1854

Som Gippert

MUZEUM DOMOWE

ALBO

CZYTELNIA WIECZORNA.

DZIEŁO

POŚWIĘCONE HISTORYI, STATYSTYCE, MORALNOŚCI, NAUKOM, SZTUKOM PIĘKNYM, I LITERATURZE KRAJOWÉJ.

z RYCINAMI NA MIEDZI.

PRZEZ

F. S. DMOCHOWSKIEGO.

ROK 1836.



WARSZAWA,

1836.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéy.

PUSZCZA BIAŁOWIEZKA.



Do opisu Białowiezkiej puszczy, załączamy dwie ryciny. Pierwsza wyobraża Łosia, a w następnym zeszycie, będzie rycina wyobrażająca Żubra.

PUSZCZA BIAŁOWIEZKA.

Nie raz w opisach Ameryki, Azyi, Australii, czytamy z mocném zajęciem, opowiadanie podróżnika, który zagłębia się w puszcze i lasy, ani siekierą, ani stopą ludzką nie tknięte. Tam w pierwotnéj swobodzie i dzikości zostająca natura, rozwija swoje bogactwa i wspaniałe tworzy widoki. Ciekawi badacze przyrodzenia, którzy pragnęliby poznać ją w stanie, w jakim jest niezmieniona jeszcze władzą człowieka, mogą w środku Europy bez trudów i niebezpieczeństw nasycić swoją ciekawość. To, czego szukaliby w dalekich krainach, znajdą w puszczy Białowiezkiéj. Puszcza ta znaczną przestrzeń ziemi obejmująca, jedyna siedziba zwierząt już w całéj Europie wygubionych, od dawnych czasów przeznaczona dla monarszych łowów, z umysłu zachowana jest w pierwotnym stanie. Rząd wyrzekł się wszelkich korzyści jakie z wytrzebienia tak znacznéj przestrzeni lasów mógłby odnieść i puszczę Białowiezką zostawił jako pomnik dawnego stanu Europy.

Na opisanie téj puszczy, oraz rzadkich zwierząt w niéj mieszkających, przeznaczamy dość obszerny artykuł. Ułożony on jest i zebrany z opisu Puszczy Białowiezkiéj i celniejszych jéj zwierząt, przez barona de Brinken, b: Jlnego Nadleśniczego w Królestwie Polskiem, z uwag nad tym opisem uczynionych przez pana de Ronca nadleśniczego puszczy Białowiezkiéj, umieszczonych w Dzienniku Powszechnym krajowym z r. 1830 w Nrach 84 i 85, i z opisu téjże puszczy przez F. P. Jarockiego, F. N. W. D. i Pr: w b: K. U. W, znajdującego się w zbiorze jego pism rozmaitych.

W artykule naszym trzymać się będziemy dzieła barona de Brinken, który najobszerniéj opisał puszczę Białowiezką, dołączając uwagi profesora Jarockiego i pana de Ronca, o ile te zbijają lub uzupełniają pracę pana de Brinken.

Przebywszy północno-wschodnie granice teraźniejszego Królestwa Polskiego i przeprawiwszy się przez rzekę Bug około miasteczka Granów, przez dzień cały jedzie się obwodem Białostockim, przez pola żyzne, starannie uprawne, nieco drzewami zarosłe, i pięknie zabudowane wioski; potém zdaleka widać obszerny las, który po raz pierwszy wyraźniéj wpada nam w oko, ze wzgórków po nad miastem Orlą wznoszących się: jest to puszcza Białowiezka. Na wschód wystawia ona ogromną przestrzeń lasami zarosłą, a na północ i południe kończy widnokrąg. Gdziekolwiek zatrzyma się wzrok, wszędzie widzi tylko niebo i lasy, których ponura i czerniejąca postać, obok pięknych polnych okolic, przyjemnie się wydaje, tworząc dwa tak przeciwne sobie widoki. Pod samym lasem przybywamy do wioski Hajnowczyzny, gdzie jest dawny łom celny i mieszkanie leśniczego. Znaki herbowe pogoni i byka, odmalowane na słupie, zwiastują nam przybycie do Grodzieńskiéj gubernii, a w szczególności do powiatu Prużańskiego. Puszcza zaczynająca się w tém miejscu, ciągnie się na 7 mil wzdłuż, a 6 w poprzek; zawiera 25 mil kwadratowych powierzchni, a według karty dołączonéj przy dziele pana Brinkena, leży między $52^{\circ} 29'$ i $52^{\circ} 51'$ szerokości północnéj, między $41^{\circ} 10'$ i 42° szerokości wschodniéj południka wyspy Fer. W około puszczy są wsie i pola, a gdzie niegdzie ją oddzielają nawet od innych lasów. Zachodnia część przytykająca niegdyś do granic Polski z jednéj strony, a Litwy z drugiéj, odznaczona jest słupami, rowami i kopcami. Tak odgraniczony las był po większéj części własnością Królewską; późniéj zaś Cesarzowa Katarzyna II. rozdając wiele dóbr panom na swym dworze będącym, część puszczy téj zamieniła w prywatną własność. — Lecz jedna część jéj od wieków należy do familii szlachty litewskiéj Tyszkiewiczów; inne zaś drobniejsze cząstki prywatne, są zupełnie w podobnym stanie, jak dzisiejsza Cesarska puszcza, daleko obszerniejsza od wszystkich w ogóle pomniejszych części.

Cesarska puszcza graniczy już z rzeką Narwią, oddzielającą ją od dóbr pana Tyszkiewicza, już z innemi częściami Białowiezkiéj puszczy, należącemi do prywatnych osób, które oddziela prosta linia między drzewami wyprowadzona.

Gubernator Grodzieński kazał rozmierzyć Cesarską część Białowiezkiéj puszczy. Zdjęto ogólny abrys i oznaczono jak można było niektóre wewnętrzne własności, jako to: rzeki, drogi, wioski i t. d. Według takowego rozmiaru puszcza Cesarska zawiera 22,67 mil kwadratowych geograficznych. Ponieważ zaś o rozległości prywatnych części, nie podobna było dokładnie dowiedzieć się, kładzie się więc najwięcéj przybliżona liczba mil kwadratowych 7,51; tak więc cała puszcza Białowiezka ma mil kwadratowych 30 (*).

(*) Pan Brinken przyległe lasy puszczy Białowiejskiéj, uważa, jako jedną całość z nią tworzące. P. de Ronca zbija to zdanie i dowodzi, że lasy prywatne a szczególniéj też hr: Tyszkiewicza, na wschód puszczy Białowiejskiéj leżące, zupełnie inną mają glebę ziemi i uderzająca zachodzi różnica między Florą pusz-

Nie szerokość geograficzna Polski i Litwy jest przyczyną większej ostrości klimatu, niżeli pod tąż samą strefą położonych innych krajów Europy, ale raczej niedostatek gór i obfitość lasów. Od brzegów Baltyckiego morza aż ku Tatrom, rozciąga się wielka równina Sarmacka, zaledwie gdzie niegdzie pomniejszemi wzgórkami najeżona, igraszki wichrów północnych i północno-wschodnich. Pierwsze, nim zawitają do Polski, wieją przez śnieżyste i odwiecznemi lodami przykryte strefy; drugie z pustyń lecąc przez lasy i jary, stają się suche, chłodne i bardziej ziębią atmosferę niż północne. Same nawet Tatry doznają ich wpływu, bo gdy od strony północnych Sławian zaledwie nastąpi lekka odmiana powietrza, po drugiej stronie dojrzewają węgierskie winnice i owoce południowych krain. Prócz tego jeszcze, ogromne lasy czynią przykrzejszém klima, które w miarę ich trzebienia łagodzi się. Nagły wzrost ludności przymusił mieszkańców do znacznego wyniszczenia lasów, złagodził powietrze i też same poczynił odmiany, jakie upatrują w krajach Niemieckich porównywając je z epoką w której żyli starożytni Germanowie. Temperaturę więc powietrza w Litwie kładzie pan Brinken, 5,4° Reaumura, to jest: uważa jako śrzednią między temperaturą Polski 6° i Rossyi 4,8°, a to według postrzeżeń od 80 lat czynionych; i wnosi ztąd, że temperatura w puszczy Białowiezkiéj mieć musi 5 stopni. Porównywając okolice Białowieży z Północnemi Niemcami, okazuje się, że wiosna tam później się zaczyna i trwa krócéj daleko; lato rzadko łagodne, zawsze mgliste, często dżdżyste, już chłodne, już znowu dla upałów nieznośne; jesień sucha, łagodna, zastępuje porę letnią, lecz ma gorące dnie i zimne nocy; zima zaś długa i przykra. Znaczna część roślin i owoców północnych Niemiec, rośnie w tém klimacie, ale tam prędzéj, tu powolniéj i nawet nie zawsze zupełnéj dojrzałości dochodzi. — Im bliżéj puszczy tym jest zimniéj, a żniwa od 8 do 15 dni później się tu zbierają. Różnica ta widoczniéj się okazuje przed zaczęciem wiosny; bo kiedy w puszczy jeżdżą jeszcze saniami, na dalszych okolicznych polach zamieszkały włościanin krząta się już koło roli.

Od dawna uczynione postrzeżenie, że wielkie lasy wywierając wpływ na klima dostarczają wód użyźniających oddalone ziemie, szczególniéj da się zastosować do Białowiezkiéj puszczy. Niezliczone strumienie w jéj łonie biorą początek; kiedy przeciwnie, z mniej obszernych lasów, które ją otaczają, płyną błotniste wody powolnie. Pod względem hydrograficznym uważając, puszcza Białowiezka, zawiera w sobie bardzo wiele zrzódeł dostarczających wody Wiśle za pośrednictwem Narwi i Bugu.

Narew wypływająca ztamtąd, nadaje swe imie jednemu miasteczku w obwodzie Białostockim; zabiera z sobą największą część rzek puszczy Białowiezkiéj, między któremi znaczniejsza jest Narewka. Rzeka Lśna powiększona wodami rzeki Białéj, wpada do Bugu pod miasteczkiem Pratulinem na granicy dzisiejszego Królestwa Polskiego. Narew i Bug, połączone około Serocka, pod imieniem samej tylko Narwi, wpadają do Wisły blisko Modlina. Obiedwie są spławne, a nawet pierwsza od samego prawie źrzódła swego. Narewka zaś i Biała, już wśrzód puszczy dozwalają pływać po sobie czółnami.

Powierzchnią ziemi na któréj las rośnie, równie jak okolic jego, mieszkańcy nazywają w prawdzie górzystą, lecz niewłaściwie; bo nawet z trudnością przychodzi rozróżnić tam miejsca wyższe z których spływają wody. Grunt w puszczy Białowiezkiéj jest rozmaity, najwięcéj jednak piaszczysty, co uważając z jeziorami rozproszonemi po kraju, i wielą innemi geognostycznemi dostrzeżeniami, dozwala uczynić domysł, że ta ziemia niegdyś, jeżeli nie była dnem morskiém, to przynajmniéj ulegała przedtém częstym zalewom, a żwir wszędzie tam znajdujący się w głębokości 10 do 12 stóp, czyni ten domysł bardziéj do prawdy podobnym. — W puszczy widać piasek mniéj więcéj pomieszany z gliną, kiedy w około gdzie powietrze bardziéj rozkłada spojone cząstki, glina ta często się w proch zamienia. Po miejscach niskich i nad brzegami rzek ciągle panująca wilgoć i mnóstwo roślin wodnych, tworzą czarnoziem, który aczkolwiek częstokroć ugina się pod stopami człowieka, nie masz tam jednak trzęsawisk, tylko w jednem miejscu w części puszczy będącej prywatną własnością; a z tych trzęsawisk daleko na wschód za obrębem puszczy nawet rozciągających się, bierze początek rzeka Narew. Tak powszechnie odmien-

---

czy, a Florą tych lasów. Co do rozległości, nie zgadzają się także trzej opisujący. Pan Brinken oznaczył ją na 22 i pół mil kw: a z prywatnemi lasami na mil 30. Pr: Jarocki tę samę puszczę oznacza na mil 17 1/3. Pomiar uskuteczniony był jeszcze z rozkazu Stanisława Augusta w r. 1793, przez Jeometrę Połchowskiego, a z rozkazu Ministeryum Skarbu Petersburgskiego sprawdzony w r. 1806.

ny grunt, już suchy i lekki, już wilgotny i ciężki, ma różne stopniowania; najwięcéj jednak uderzają niektóre rozproszone po puszczy miejsca, gdzie jest wyższy od powierzchni rzek a niższy od powierzchni ziemi na któréj drzewa rosną. Wilgoć sprzyja roślinom wschodzącym tam na ziemi żyznéj do znacznéj głębokości. Ziemia tu jest czarna, tłusta, zawsze wilgotna i za roztarciem w ręku przyjemny wydaje zapach. Żyzność tych miejsc rozproszonych po puszczy, czyni je podobnemi do urodzajnych wysp na morzu, lub do szczęśliwych pagórków pustyń piaszczystych. Nie wiele chybimy, robiąc stosunek żyznéj ziemi w puszczy Cesarskiéj do piaszczystego w niéj gruntu jak 1 do 4. (*).

Podobne okolice rzadko kiedy obfitują w płody mineralne czyli kopalne, przynajmniéj grunt puszczy Białowiezkiéj jest ich pozbawiony; bo oprócz rud żelaznych nie rzadkich w Polsce i Litwie, nic się tam podobnego nie znajduje. Bursztyn znajdowany w łonie ziemi w Prussach i Królestwie Polskiém około Ostrołęki, Łomży, a prócz tego po wielu miejscach w Litwie, dotąd nie odkryto, czyli się znajduje w Białowiezkiéj puszczy. Atoli zdaje się że śledzenie jego możeby pomyślne skutki przyniosło, albowiem Rzączyński powiada, że go dawniéj znajdowano nad brzegami Narwi; a domysł ten, z powodu że ta rzeka w znacznéj części puszczę przepływa, może bydź bardzo podobnym do prawdy.

Ze wszystkich miejsc zamieszkałych, wsi lub osad wewnątrz lub w około puszczy Białowiezkiéj rozsianych, wieś Białowieża, którą można uważać za osadę leśną téj puszczy, zasługuje na pierwszą wzmiankę. Wieś ta leżąca w środku puszczy Cesarskiéj, jest najpierwszém otwartém miejscem, które się postrzegać daje jadąc przez pół dnia ciemnym i gęstym lasem. Przy brzegu Narewki wężykiem płynącéj w cieniu wierzb i olszyny, wznosi się pagórek po nad wsią i jéj gruntami. August III. kazał w tém miejscu wystawić dom myśliwski, a następca jego Stanisław August dodał dwa pawilony. Lubo tylko z drzewa wybudowany, zawierał jednak wszystkie wygody, jakich może żądać strudzony myśliwiec. Jest tam obszerna sala, w niéj dwa kominki, a na około mnóstwo drobnych pokoików; z jednego zaś z nich wychodzi się na pagórek skopany z wierzchu; zarosły dębami, gdzie widać szczątki pięknego ogrodu, który wraz z całém zabudowaniem od dawna zaniechany, jest dzisiaj pusty i zapowiada zniszczenie do reszty. Samo podwórze, gdzie niegdyś zgromadzali się myśliwi, gdzie dojeżdżacze z zesforowanemi psami niecierpliwie oczekiwali na znak do odjazdu, już dzisiaj się nie znajduje: radło przemyślnego wieśniaka zamieniło je w żyzną rolę. W około tego to wzgórka, po obu brzegach Narewki ciągnie się wieś Białowieża, w któréj jest jeden kościół, 56 chat wieśniaczych i jedna karczma. Część licznych domostw u stóp owego wzgórza tworzy porządną ulicę; a inne tu i owdzie bez ładu rozsiane, składają drugą mniejszą część wioski.

»Straż leśna (mówi pan de Ronca), składa się z 12 strażników, z których każdy ma pod swoją komendą od 5 do 16 strzelców; a z tych każdy oddzielnego pilnuje obrębu. Jest takich chat strzeleckich na około puszczy osadzonych 114, a w środku puszczy 4, to jest w Białowieżu 3 i w Temiskach 1, jest więc w ogóle 118 chat. Nadto jest 5 wiosek włościan skarbowych należących do leśnéj zwierzchności, których osocznikami nazywamy. (Wsie te są Kiwaczyn, Kumieniki, Roszkowka, Cwirki i Panasiuki). W tych 5 wsiach jest 108 chat. Strażnicy nie biorąc pensyi, mają tylko wydzielone grunta przy puszczy, i na nich osady małe od 3 do 5 chat liczące, które odnikami zowią. Każdy bowiem z nich ma przy swojem pomieszkaniu wymierzony grunt i pastwiska dla bydła, których granicy przestąpić nie wolno.

»Obowiązkiem strzelców jest pilnować całości lasu i zwierzyny wszelkiego rodzaju, któréj polowanie zupełnie jest zabronione. Osocznicy nie robiąc żadnéj pańszczyzny, obowiązani są kosić siano dla żubrów i wy-

(*) Pan de Ronca zbija zdanie Pana de Brinken, co do natury ziemi w puszczy Białowiejskiéj i utrzymuje, że ona bynajmniéj nie jest piasczystą w 4/5 częściach, gdyż bardzo mało jest w niéj ziemi pokrytéj wrzosami, które są główném znamieniem piasczystości gruntu w lesie, tak, iż ledwie czwartą część przestrzeni puszczy zawierać mogą. Po największéj części gruntem téj puszczy, jest lekki, urodzajny czarnoziem, czego dowodzi najpiękniejsza wegetacya roślin wszelkiego rodzaju, oraz liczne łąki, najbujniejszą trawą pokryte, z których 11,000 fur siana zbierają, a drugie tyle stoi zarosłych. Dla tego też, w puszczy Białowiezkiéj, mogą się utrzymywać zwierzęta, tak wiele potrzebujące paszy, jak żubry, które wyginęły w innych lasach, znajdujących się już tylko na płonnych gruntach.

uszone składać w stogi, naprawiać drogi w puszczy, w czasie dozwolonych polowań składać obławy, a w czasie upałów lata odbywać warty na głównych przez puszczę idących drogach, ażeby przejeżdżający ognisk nie rozkładali, z którychby pożar w puszczy mógł powstać. Ogrodnicy odprawiają pańszczyznę do uprawy gruntów strażników wskich.»

Pr. Jarocki tak opisuje lud Białowiezkiej puszczy. Biorąc w ogóle tak strzelców jak osoczników, wyznać muszę, że mi się ten lud mocno spodobał. Wzrost ich zwykle dobry i kształtny, a twarze czerstwe i wesołe, noszą piętno dobrego bytu; a dla swéj zwierzchności okazują największą powolność i rączość w wykonywaniu rozkazów. Dla obcych osób spostrzegałem w nich wiele uprzejmości i usłużności, obok nie wymuszonéj chęci przypodobania się. W rozmowach, które z nimi w kilku okolicznościach prowadziłem, znalazłem wiele rozwagi, zdrowego rozsądku i przenikłości: niektórzy nawet odznaczali się w pewnym względzie satyrycznym dowcipem. Szczególniéj zabawił mię strzelec, który wioząc mię saneczkami na polowanie, oryginalnym sposobem opisywał mi dumne postępowanie pewnego pana, który przed kilku latami puszczę odwiedzał. Najwięcéj podoba się w tych ludziach to, że grzeczność którą się im zrobi, przyjmują z tak naturalném przymileniem, jakiego ledwie po tych wieśniakach spodziewać się można, którzy najbliżéj stolicy mieszkają. Wszyscy są grecko-unijackiego wyznania. Mówią językiem mało ruskim, jak na Wołyniu. Ich chaty (jak się to wyżéj nadmieniło) są porządnie i po gospodarsku zbudowane i zwykle dranicami pokryte. W niedzielę i inne święta, znajdzie się w każdéj chacie przez cały dzień stół białą chustą nakryty, a na nim świeże masło, chleb dobry, sól i wódka z flaszeczką, któremi przychodzących w odwiedziny, bez natrętności częstować lubią.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

POEZYA.

Dotąd prawie nie znane są w języku naszym poezye Wiktora Hugo, jednego z najcelniejszych młodych pisarzy we Francyi. P. Br. H. Kiciński trudniąc się ich przekładem przyrzekł nam uprzyjemnić Muzeum Domowe, kilkoma wyjątkami z téj pracy swojéj. Na początek umieszczamy wiersz, napisany z p[o]wodu zgonu młodéj Hiszpanki. Była ona córką hr. Martinez de la Roza, który nie dawno piastował urząd pierwszego ministra w Hiszpanii. Jéj zgon zawczesny, uczynił mocne wrażenie we wszystkich wyższych salonach Paryzkich.

WIDMA.

Luenga es su noche y cerrades,
Estan sus ojos pesados.
Noc jej długa i zamknione,
Są jej oczy obciążone.

I.

Iluż to młodych dziewcząt widziałem już zgon!
Taki jest wyrok losu! Grób weźmie swoj plon.
Pod ostrzem kosy muszą padać trawy,
Wśród balów, tańców, wśród pustéj zabawy,
Musi róże warzyć szron.

Musi strumień w dolinie swój wyczerpać ściek,
Mgnienie oka trwa tylko błyskawicy bieg,
I Kwiecień mroźnych nie skąpy powiewów,
Gwiazdziste kwiaty musi zrywać z krzewów,
Kwiaty, wonny wiosny śnieg.

To nazywamy życiem. Po dniu sina noc,
Po wszystkiém ocucenie boskie lub piekielne,
Do wielkiéj uczty siada biesiadników moc,
Lecz zbyt wielu opróżnia swe miejsce weselne,
I przed końcem jéj schodzi w ustronie śmiertelne.

II.

Iluż ja zgon widziałem! Ta, jak z mlekiem krew,
Druga wdzięczny Aniołów powtarzała śpiew,
Inna słaba, jéj czoło o dłoń się wspierało,
A jak z krzewu wzlatując ptaszek zgina krzew,
Tak jéj dusza gięła ciało.

Ta blada, śmierci tylko wswéj rozpaczy wzywa,
Niedosłyszane imie szepce nieszczęśliwa!...
Druga lekko omdlała, jak na lirze dźwięk,
Inna miała konając i uśmiech i wdzięk,
Wracającego Anioła.

Z boleści, krok zaledwie stawiąc do mogiły,
Wszystkie żyły, jak wątły, jak znikomy kwiat,
Jak niewinne gołąbki przeleciały świat,
Miłością i dziecinnym wdziękiem go zdobiły,
Licząc na wiosny krótki wątek lat.

Co? już znikły, już na nich cięży grobów głaz,
Tyleż istot uroczych odstąpiło nas?
Tyle zagasłych świateł i kwiatów zwarzonych!..
Puśćcie mnie, niech po liściach depcząc rozrzu- (conych,
W gęsty zapuszczę się las.

Lube cienie! Gdy boru otoczy mię cień,
Marząc, was słyszę i rozmawiam z wami,
Was odsłania i kryje wątpliwy tu dzień,
A przez gęste gałęzie, pomiędzy liściami,
Wasze zjawienie, oczy moje mami.

Duch mój jest bratem tych nadobnych cieni,
Jużeśmy i nad życie i nad grób wzniesieni,
To je wiodę, to biorąc ich skrzydła jak brat,
Z niemi umarły bujam w nadziemskiéj prze- (strzeni.
To one ze mną żyjąc, zdobią mi ten świat.

Uczę się myśli moje na ich sposób snuć,
Wtedy widzę je, widzę, mówią do mnie: pójdź!
Tworząc koło na grobie, tańczą lube cienie,
W tém je zwolna, stopniowe osłania zaćmienie,
I ja zaczynam znowu, jak na jawie czuć.

III.

Jedna zwłaszcza, aniołek, najmilsza z Hiszpa- (nek.
Kibić lekka, pierś wzdęta niewinném west- (chnieniem,
Oko czarne, kreolki iskrzące wejrzeniem,
I ten wdzięk niepojęty, ten świeżości wianek,
Co skroń piętnastoletnią uwieńcza pro- (mieniem.

Nie z miłości umarła. Jeszcze do téj chwili,
Jéj trosk, jéj rozkosznego nie znała uśmiéchu,
Nie napiła się jeszcze w jéj lubym kielichu,
I choć widząc ją wszyscy: »Jak piękna« mówili,
Żaden jéj nie rzekł po cichu.

Tańce nazbyt lubiła i to ją zabiło.
Swiętne rozkoszne bale, zbyt ją czarowały,
Dziś jeszcze, jéj popioły w grobie drgają miło,
Kiedy w pogodnéj nocy, tańczy obłok biały.
W tarczy xiężyca wspaniałéj.

Tańce nazbyt lubiła. Nim nadeszło święto,
Trzy dni o niém marzyła i trzy noce razem,
A muzyka i tańce, czarowną ponętą,
Napełniały i we śnie, duszę jéj zajętą (obrazem.
Uciech, wzruszeń i wrzawy zmięszanym

Potém, perły, klejnoty, drogie naszyjniki,
I przepaski morowe, w cieniach się mieniące,
I tkanki wietsze, niźli pszczół skrzydełka drżą-
I cudnemi wstążkami usłane koszyki [illegible]ce,
I kwiaty, pałac zapłacić mogące.

Ledwie się bal rozpoczął, pełna życia, wdzięku,
Już tam jest; wachlarz lekko szeleści w jéj ręku,
Miłą wonność tchną kwiaty w jéj lśniących się (włosach,
A serce jéj w wesołym rozwija się dźwięku,
Wraz z orkiestrą o stu głosach.

Rozkosz patrzeć, jak w lekkim ulata poskoku,
Złote blaszki, wraz z gazą migając się trzęsą,
Iskrzą się czarne oczy, pod czarniejszą rzęsą,
Jakby podwójna gwiazda jaśniejąca oku,
W fałdach ciemnego obłoku.

Wszystko w niéj było tańcem, śmiechem i pu- (stotą,
Dziecię!... Umiała władać nad naszą zgryzotą.
Bo nie zawsze śród balu, z serca smutek znika,
Jak w nim szpeci się kurzem jedwabna tunika,
Tak i rozrywka tęsknotą.

Lecz nasza piękność, walca porwana krążeniem,
Wirem leci, powraca, nie oddycha prawie,
Upojona kwiatami, miłych tonów brzmieniem,
Jarzącém się w złocistych lustrach oświeceniem,
W stąpania i w głosów wrzawie.

Co za szczęście, na balu wyskoczyć ochoczym,
Czując w śród hucznych tłumów pomnożone (zmysły.
Nie wiedzieć, czy w powietrzu, w obłoku się (toczym,
Czy pod naszemi stopy szczątki ziemi prysły,
Czyli kręte fale tłoczym.

Ale jéj trzeba było, z budzącą się zorzą
Odjeżdżać, brać aż w progu płaszczyk atłasowy,
Wtedy częstokroć przejął dreszcz tancerkę (hożą,
Gdy po nagiém ramieniu śliznął się nie zdrowy,
Poranku powiew lodowy.

Lecz po wesołym b[alu], smutny dzień przypada!
Żegnajcie stroje, t[a]ńce i dziecinne żarty,
Po miłym śpiewi[e] kaszel przybywa uparty,
W miejsce różo[w]ych uciech, stąpa febra blada,
Żywe si[ę] oko zapada.

IV.

Zgasła w piętna[s]tym roku, w świeżości ozdobie,
Zgasła po wyjściu z balu, jątrząc wszystkich żal,
I matce obłąkanéj, wrócił córkę bal,
Chyba na to, by strojną śmierć zabrała sobie,
Dla uśpienia w zimnym grobie.

Przed chwilą, na myśl balu, jeszcze się uśmiécha,
I stroje do przyszłego przysposabia już,
Bo śmierć, tak niespodzianie do grobu ją spycha,
Że zdobiący ją w tańcu, bukiet z świeżych róż,
Aż na jéj trumnie usycha.

V.

Biedna matka, jéj tylko poświęcała życie,
Jak troskliwie ten wątły hodowała krzew!..
Okiem miłości, na jéj patrząc się rozwicie,
Tyle nocy czuwała, gdy płaczące dziécię,
W kolebce usypiał śpiew.

Cóż z tego? Już na zawsze zakończyła dni,
Martwa, robaków pastwą, sina w ziemi spi,
A jeśli w noc pogodną, ocuci ją kiedy
Bal umarłych i zerwie z grobu, w którém tkwi,
Już przy niéj nie matka wtedy!...

Lecz widmo, z dzikim śmiechem, przy świeci cia-
(dle siędzie,
I na smutny bal strojąc, zawoła: Już czas.
Wszystkie palce skostniałe, wyciągnąwszy wraz,
Długie włosy dziewczęcia w sploty składać bę-
(dzie.
Ziębiąc usta uściskiem tak zimnym jak
(głaz.

Wiedzie drżącą, gdzie zwykle umarli hasali,
I gdzie na nią powietrzny oczekuje chór,
Gdy xiężyc płaski, blady, przezierał z za chmur,
A mleczna nocy tęcza, kolorem opali,
Fręzle obłoków malowała w dali.

VI.

Wy, którym bal z uśmiechem rozkosz tylko
(wróży,
Pomnijcie na hiszpankę, z[g]asła w wieku kwiecie,
I jéj służyło zdrowie, co wam dzisiaj służy,
I ona używała, jak wy użyć chcecie,
Wdzięków, uciech, młodości, tych trzech
(życia róży.

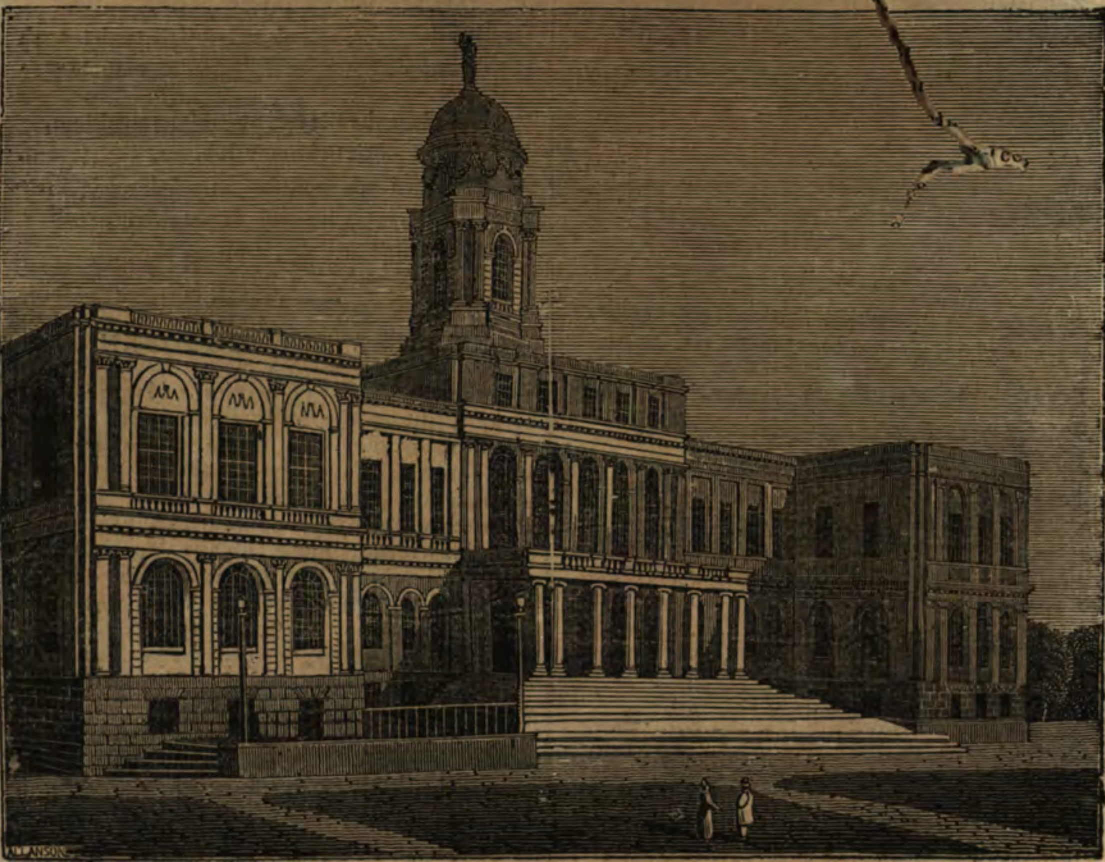
Z zabaw do zabaw lecąc, zmamiona urokiem,
Do cudnego bukietu kolory dobiera, (kiem.
Nagle śmierć niespodzianym odziewa ją mro-
Tak Ofelia bystrym porwana potokiem,
Zrywając kwiaty, umiera.

RATUSZ NOWEGO-JORKU.

Na początku XVII. wieku, półwysep rzeki znajdujący się przy ujściu rzeki Hudson w Ameryce, był jeszcze zupełnie dzikim i nie zamieszkałym. Silna wegetacya pokrywała jego pagórki, niższe miejsca poprzecinane były bagnami; pokolenia roślin i zwierząt następowały po sobie w głębokiéj ciszy, którą zaledwie czasem przerywały gromady błędnych Mahantanów. Dziś rozkopano wzgórza, zapełniono bagna, wycięto lasy, wyginął ród Mahantanów, tysiące okrętów bez przestanku porze wody zatoki, i półwysep cały, zamienił się w miasto liczące 200,000 mieszkańców. Ta szybka i zupełna przemiana, któréj owocem jest miasto Nowy-Jork, należy do najznamienitszych wypadków.

Osada holenderska objęła ten brzeg w posiadłość w r. 1613, i nazwała go Nową Belgią; w 50 lat potém, gdy Anglicy wypędzili Holendrów, Karól II. nadał tę prowincyą swemu bratu, xięciu Jorku i od niego nazwano nie dawno założone miasto. Szybki wzrost jego, zaczyna się od epoki gdy Anglia uznała Stany Zjednoczone Ameryki północnéj. W 1785, Nowy-Jork liczył tylko 24,000 mieszkańców, w cztery lata liczba ta pomnożyła się o 10,000, w 1810 było 90,000, 1827 170,000, a w 1830 przeszło 200,000. Trudno oznaczyć, kiedy zatrzyma się ten wzrost bezprzykładny w rocznikach statystyki, mało bowiem miast znajduje się w dogodniejszém położeniu.

Nowy-Jork, podobnie jak Wenecya, otoczone wodą, posiada port bez granic; z całym światem ma związek przez Ocean, a ze wszystkiemi północnemi prowincyami Stanów przez rzekę Hudson: jest przeto ogniskiem niezmiernego handlu i powszechnym targiem, na którym zamieniają krajowe płody za towary zagraniczne. Czynni i przemyślni mieszkańcy Nowego-Jorku, nie zaniechali tych korzyści. Ich okręty żeglujące do wszystkich części świata, ładują przeszło 300,000 beczek, i chociaż to miasto nie posiada tytułu stolicy związ-



RATUSZ NOWEGO-JORKU.

ku, jest nią przez swoje bogactwa i znaczenie.

Na pierwszy rzut oka poznać można i ocenić stan kwitnący tego miasta, skoro tylko ujrzemy ogromne składy nad portem i las masztów w głębi zatoki. Wrażenie to nie osłabia się bynajmniej, gdy wnijdziemy wewnątrz miasta. Ulice opatrzone chodnikami i ocienione drzewami, są bardzo piękne, a pośród nich celuje ulica Broadvay, szeroka na 80 stóp, a długa na milę, godna najwspanialszych stolic w świecie. Domy zbyt może jednostajnej budowy, są z czerwonego kamienia, z granitu wydobywanego na miejscu i z cegieł. Przy niektórych dawnych ulicach znajdują się jeszcze stare drewniane domy, zbudowane przez Holendrów. Publiczne gmachy chociaż bardzo liczne i kościoły, nie odznaczają się pięknością architektury i są zbudowane z niezmierną prostotą. Giełda nie dawno wystawiona i Ratusz wyobrażony na rycinie, stanowią wyjątek od powszechnego prawidła.

Ratusz stoi w głównej części miasta pośród zwierzyńca na podwyższeniu z marmuru białego. Uderzająca nieregularność szpeci ten budynek, trzy jego boki są z białego marmuru, a czwartą dla oszczędności zbudowano z czerwonego kamienia. Na gmachu jest kopuła drewniana, a na niej stoi posąg Sprawiedliwości. Gmach ten kosztował około 2,500,000 franków. W salach znajdują się piękne i ciekawe zbiory obrazów, wystawiające ludzi, którzy w ostatnich sześćdziesięciu latach wsławili się i zasłużyli krajowi. W sali administracyi jest krzesło, w którém siedząc Wassyngton, przewodniczył obradom.

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.

KORSYKA.



GROTA w AJACCIO.

Korsyka wyspa morza Srodziemnego, mająca 480 mil fr: obwodu, należy do Francyi i tworzy jeden jéj departament. Na zawsze słynąć będzie w historyi jako ojczyzna Napoleona, ale przytém z wielu innych względów zasługuje na uwagę badaczów natury i ludzi. Klima tego kraju jest niezmiernie przyjemne; wiatr od morza łagodzi upały. Wysokie góry przecinając ten kraj z południa ku północy, zatrzymują wyziewy powietrza i dają początek potokom i przejrzystym strumieniom, roznoszącym wszędzie świeżość i żyzność. Ziemia jest bardzo rozmaita i może wydawać większą część roślin znajdujących się między zwrotnikami. Piękne lasy rosną na górach aż do pewnego punktu wysokości i składają się z dębów białych i zielonych z kasztanów, z drzew terpentynowych i t. d. Dzikie oliwne drzewa nie szczepione, wydawałyby niezmierny dochód, gdyby dosyć było rąk do zbierania owoców i wytłaczania oliwy. Skały pokrywające tę wyspę, tworzą groty, gdzie na noc chronią się pasterze z ich trzodami owiec, kóz i wieprzów. Szczyty gór na których zwykle znajdują się małe jeziora, pokryte są wonnemi roślinami, a w lecie czerwienią się od poziomek; trzody pasą się na nich przez całe lato. Zowią *Machi* przestrzenie zarosłe jałowcem, mirtem i innemi krzakami, które częstokroć wypalają pasterze dla uprawy i zasiewu ziemi. Na południowym brzegu wyspy, drzewa pomarańczowe, cytrynowe i grenaty, wydają bez żadnych zabiegów najsmaczniejsze owoce, a ziemia byleby tylko choć trochę uprawna, rodzi najlepsze warzywa i zboża.

Tak bujna roślinność jest skutkiem czystości powietrza i dobroci wody. W niektórych miejscach są bagna, ale bagna słone, które jeżli nabawiają febry, znaczną przy tém korzyść przynoszą. Kopalnie miedzi, żelaza i ołowiu, są bardzo bogate. Granit, porfir i wszystkie marmury, znajdują się w obfitości i w bardzo dobrych gatunkach. Cały obwód Korsyki przecinają zatoki i odnogi, któreby mogły służyć jako porty. W Porto-Vecchia pomieściłaby się jak największa flota. Lasy Ajtone i Vico, dostarczają najlepszego drzewa do budowy okrętów. Wywożą z Korsyki oliwę, nieco wi-

na, zboże, miód, wosk, suszone owoce, żywicę, terpentynę, żelazo i korale. Byleby tylko udzielono zachęty rolnictwu, możnaby zbierać bardzo wiele jedwabiu i w lepszym gatunku niżeli na stałym lądzie oraz tytuń, bawełnę, indigo, len i konopie; nie wspominamy tu o trzcinie cukrowéj i drzewie herbatowém, które przyjęły się niedaleko Ajaccio. Brakuje tylko rąk i pieniędzy, ażeby te wszystkie płody rozmnożyć i ciągnąć z nich wielkie korzyści. Nie ma tam wilków i niedźwiedzi i dla tego pełno jest leśnego zwierza.

Widok kraju jest, w ogóle biorąc, malowniczy a nawet dziki. Ponure skały, odwieczne drzewa, szumiące potoki, huk morza połączony z ich burzliwym szumem, stare wieże z rzymskich czasów, wznoszące się tu i owdzie jako ślady cywilizacyi, pośród téj surowéj, krzepkiéj i dziwacznéj natury, wszystko to obudza rozmyślania artysty, poety, filozofa, a nawet i prostego człowieka, który uderzony widokiem tych piękności, myśl swoją wznosi do Stwórcy.

Herodot, Diodor Sycylijski, Tucydydes, wspominali o Korsyce pod nazwiskiem Cyrny; Kallimach, przenosił nad nią jednę tylko wyspę Delos; Seneka, którego na nią wysłano na wygnanie, wiele złego o niéj powiada; starszy Pliniusz naliczył tam 33 miast, a wszyscy autorowie starożytni zgadzają się, że była zaludniona przez Fenicyan. Potém zdobyli ją Foceanie, a następnie osiedli na niéj Egipcyanie, Grecy, Trojanie. Późniéj należała do Kartagińczyków, a po nich do Rzymian. Jak całe państwo rzymskie, uległa najazdowi dzikich narodów, a Saraceni mnóstwo ludzi umęczyli na niéj za wiarę. Karol Martel w 739 uwolnił ją z ich ręku. Zostawała potém pod władzą domu Kolonna i przechodziła koleją pod władzę papieżów, królów Arragonii, Genueńczyków i rozmaitych dowódzców, którzy z jéj łona powstawali. W ostatniéj połowie zeszłego wieku, Genua nie mogąc utrzymać władzy swojéj nad Korsyką, odstąpiła ją Francyi. Lecz i Francuzi nie ugruntowali posiadania swego bez ciężkiéj walki. Podczas rewolucyi francuzkiéj, jéj deputowani odznaczyli się umiarkowaniem. Z sześciu, jeden tylko Sallicetti, należał do stronnictwa terrorystów.

Dwa miasta, Bastia i Ajaccio, uważane są za stolicę Korsyki. Trybunał i naczelny dowódzca wojenny, rezydują w pierwszém, arcy-biskup z Aix i prefekt w drugim. Ajaccio, obronne miasto z portem, ma 7656 mieszkańców. Bastia, także obronne i portowe, liczy 9520 mieszkańców, inne są pomniejsze. Cała ludność wyspy wynosi 185,000.

Posiadanie Korsyki drogo kosztuje Francyą, lecz gdyby była w ręku innego mocarstwa, handel Francyi na morzu Śródziemném, zupełnie musiałby ustać podczas wojny, a zdobycz Algieru tém ją ważniejszą uczyniła. Francya oprócz tego zaopatruje Korsykę wszystkiemi płodami swego przemysłu, gdyż rękodzielnie są bardzo w niskim stanie na téj wyspie. Charakter Korsykanów bardziéj zbliża się do powagi Hiszpanów, niżeli do żywości Włochów. Prawie ciągłemi dręczeni wojnami, stali się skłonni do podejrzenia i zawziętości. Korsykanie nigdy nie zapominają o wyrządzonéj krzywdzie, i ztąd panują między niemi odwieczne familijne nienawiści, których ani wpływ cywilizacyi, ani napomnienia kapłanów, ani bojaźń kary, dotąd wytępić nie zdołały. W miastach znaczniejszych, obyczaje są prawie takież same jakie w miastach południowéj Francyi, z tą atoli różnicą, że kobiety nie należą do towarzystwa i żyją zamknięte w ustroni domowéj. Wynika z tąd, że kobiety są nieśmiałe i jakby wymuszone w obec cudzoziemców. Mierność majątku, nakazuje kobietom aby zachowywały jak najściślejszą oszczędność i bez przerwy trudniły się gospodarstwem domowem i dziećmi. Korsykanki chętnie poświęcają się temu sposobowi życia i zaprzeczyć nie można, że najlepiéj rozumieją powołanie swoje i najbardziéj zasługują na miłość i uszanowanie mężczyzn. Pierwsze wychowanie chłopców, zupełnie bywa poruczone naturze; biegają boso, wprawiają się we wszystkie ćwiczenia które pomnażają siłę, chwytają konie zamykane w ogrodzeniach pod otwartém niebem w braku stajen, dosiadają je bez siodła i strzemion, i noszą broń skoro tylko podźwignąć ją zdołają.

Nieco późniéj, rodzice posyłają ich na naukę do Włoch lub Francyi. Pojętni, pilni, ambitni, chciwi przewodzenia nad drugiemi, Korsykanie, dopóki tylko nie dopną celu swojego, nim się wyłącznie zajmują. Są uraźliwi, zazdrośni, oczerniający; jest to żółciowy charakter rozwinięty przez naturę a powściągany przez cywilizacyą. I dla tego też, domowe pożycie mało mieć może słodyczy u ludzi wszędzie doznających sprzeciwieństwa, prócz własnéj zagrody, gdzie sobie wetują doznawaną przykrość. Obyczaje Korsykanów są pewnym rodzajem zjawiska, wśród tegoczesnéj Europy. Mimo wpływu chrześciańskiéj wiary, mimo podróży odbywanych na stałym lądzie, mężczyźni zachowują wrodzone namiętności. Zdrowe i ciepłe klima, jasne promienie słońca, rozwijają władze umysłu, a

dzikość gruntu hartuje i ćwiczy władze ciała.

Nie ma kraju w Europie, któryby w stosunku do ludności swojej, wydał tylu sławnych ludzi, nie literatów, uczonych i artystów, ale statystów i wojowników. Te dwa charaktery muszą objawić się w człowieku, który chce przewodzić nad drugiemi: siła i zręczność, oto są godła jego: inne przymioty zwolna doprowadzają do władzy i działają tylko na umysły już przygotowane. Ważną niedogodnością w Korsyce, jest liczba osób obdarzonych wyższemi władzami umysłu i dążących do panowania nad innemi. Nie można powiedzieć że są uprzejmi, ale za to są zręczni, przedsiębiorący, wytrwali. Napoleon jest wzorem Korsykanina, którego zupełnemu rozwinięciu posłużyły okoliczności. Teraz już się znajdują w Korsyce szkoły i teatra, pomnażają się potrzeby i zbytek. W Rastia zajmują się naukami. Korsykanin, P. *Salvadore Viale,* jest znamienitym poetą włoskim. Korsykanin jest lekarzem papieża. Wkrótce utworzy się towarzystwo społeczne na téj wyspie, ale daremnie szukać będą owéj wspaniałomyślnéj gościnności, za którą tylu podróżnych odpłaciło się przez niewdzięczność. Ci wyspiarze przejmą nasze cnoty i występki, i powiemy że są wykształceni. Za staraniem hrabiego Pozzo di Borgo, posła Rossyi, zrodzonego w Korsyce, przedrukowano Filipiniego jednego z najdawniejszych historyków tego kraju.

Nie opodal od Ajaccio, miasta o którém wspomnieliśmy w powyższém opisaniu Korsyki, stoją nad zatoką olbrzymie głazy na pół zakryte silną roślinnością.

Tam każdego poranku w roku 1774, mały chłopczyk przychodził uczyć się lekcyi zadanéj mu przez wuja, którego dom stoi dotąd po prawéj stronie olbrzymiego głazu. Tam, dziecię to zapominało o nauce, biegnąc za motylem, albo spoglądając na pszczółkę z kwiatka na kwiatek przelatującą. A potém, z żalem znowu zabierało się do nauki i wbijało w swoją pamięć prawidła gramatyki francuzkiéj.

Ta grota leży na wyniesionéj płaszczyźnie, otoczonéj kaktusami i oliwnemi drzewy. Wązka ścieszka prowadzi do niéj. Trzy głazy granitowe niezmiernéj wielkości, pochylone ku sobie, tworzą uchronę otwartą z przodu, a wewnątrz mchem wysłaną. Wnętrze ma trzy i pół metrów głębokości, a wysokie jest na dwa metry. Przy wnijściu i w głębi groty, znajdują się kamienne ławki, pokryte licznemi napisami. To dziecię, które w téj grocie znajdowało lube dla siebie schronienie, które zapominało o gramatyce, dla motylka, albo pszczółki, to dziecię ubogie i nieznane, nazywało się *Napoleone Buonoparte.*

CHIŃSKI XIĘGARZ.

Prawie nieskończona liczba liter w piśmie chińskiem (jest ich bowiem około 80,000) niezmiernie utrudnia naukę czytania, a ztąd wynika, że wiadomości naukowe w Chinach, są niezawodnym znakiem wysokich zdolności umysłowych. Dla tego też, od niepamiętnych czesów, uczeni posiadają tam jak największe poważanie i zajmują wysokie stanowisko społeczne; z pomiędzy nich wybierają prawie wyłącznie urzędników państwa. To uczczenie posuwa się tak dalece, że wszystkie stany łączące się ze stanem uczonych, wyżéj cenione są nad innych; i tak, nie tylko xięgarze i drukarze, ale nawet fabrykanci papieru należą do wyższego rzędu artystów.

Sztuka drukarstwa już od dawna znaną była w Chinach, wprzódy nim ją odkryto w Europie, ale pod wpływem systematycznéj niewzruszoności, którym się rządzi to państwo, bardzo małe uczyniła postępy.

Druk w Chinach uskutecznia się jak najprostszym sposobem i zbliża się do sztychu. Kopiują rękopisma na deskach z bardzo twardego drzewa, wyrzynając litery wypukło na samejże desce. Potém je powlekają farbą, znaną u nas pod nazwiskiem tuszu chińskiego; kładą na deskę arkusz papieru i lekko przyciskają go do wyrzniętego pisma. Ponieważ ten papier zrobiony z wewnętrznéj kory drzew bambusowych, bawełnianych albo morwowych, jest bardzo słaby i kruchy, przeto z jednéj tylko strony można na nim drukować. Na każdym arkuszu drukują dwie stronnice i tak go składają, aby niedrukowana powierzchnia poszła wewnątrz. Introligatorowie chińscy nie tak postępują jak nasi, arkusze przyklejają brzegami do grzbietu xiążki, a złożenie papieru przypada na brzegu. Te xiążki nie są zapisane od lewéj strony do prawéj jak w naszych dziełach, albo z prawéj do lewéj jak u Hebrajczyków, lecz prostopadle z dołu do góry, zaczynając od prawéj strony. Częstokroć ich oprawa dosyć podobna do zbytkowych opraw używanych w Europie w średnich wiekach, jest z materyi jedwabnéj haftowanéj złotem i srebrem. Xięgarz chiński chociaż ma swój handel na straganie pod otwartém niebem, jednakże nie należy poniżać go do rzędu naszych kramarzy, albowiem kupcy chińscy po większéj części nie czekają za kantorem na kupujących, ale szukają ich po ulicach roznosząc swoje towary.

CHIŃSKI XIĘGARZ.



Chińczycy nie piszą piórem, ale pędzelkami z sierści królika. Zamiast kałamarza, mają kawał wygładzonego marmuru, w rogach którego są dziury do wody i tuszu. Rozpuszczają tusz trąc go o marmur. Pędzel, papier, tusz i marmur, oznaczone są jednym wyrazem, *cztery kosztowne rzeczy*. Poważni i drobiazgowi we wszystkiém, Chińczycy zmieniają stosownie do osób, do których piszą, albo podług interesu, kształt i kolor swoich listów.

WIANEK.

Noworocznik na rok 1836; *oryginalne utwory poezyi i prozy zawierający, z sześciu rycinami i muzyką, wydany nakładem i staraniem Józefa Kaczanowskiego. Warszawa* 1836.

Między rozmaitemi przedsiębierstwami xięgarskiemi, które, idąc za wzorem mistrzów naszych w xięgarstwie, Francuzów, Anglików i Niemców, wydajemy, najtrudniejszemi i najniewdzięczniejszemi po wszystkie czasy były Noworoczniki. Trudno u nas o piękny papier, o piękne ryciny, o piękną oprawę; wszystko to nad miarę przepłacić potrzeba; trudniéj jeszcze o artykuły, a podobno najtrudniéj o amatorów, którzyby licznym zakupem wynagrodzili koszta i zabiegi przedsiębiercy. Wdzięczność zatém należy się panu Kaczanowskiemu, właścicielowi xięgarni Bióra Informacyjnego, że nie zrażony temi trudnościami i niepomyślnym skutkiem pracy poprzedników, wydał Noworocznik na rok bieżący. Zakupił piękny papier, sprowadził z Anglii ryciny, wykończone przez najsławniejszych artystów nie tylko w W. Brytanii ale nawet w całéj Europie, nie szczędził zachodów na zebranie artykułów. Prawie wszystkie artykuły prozą, są zajmujące i pięknie napisane, między niemi wspomniemy powieść i wyjątki z podróży Fryderyka hr. Skarbka; — *Teraz dopiero kocham prawdziwie*, powieść przez panią WandęMałecką;—*Dwie przyjaciołki*—*Niedźwiednik* powieść K. Wł. Wojcickiego. *Wdowa* przez Stanisława z Dzikowa. Między poezyami, piękne bajki Stanisława z Dzikowa, z których stylu odgadujemy łatwo ulubionego autora bajek dla dzieci, Stanisława Jachowicza, wiersze K. Brodz;

i F. Wężyka dawniejszéj zasięgające epoki, zwróciły naszą uwagę.

Mniemamy, że uczynimy przyjemność czytelnikom naszym, przytaczając z tego zbioru bajkę St: z Dzikowa p: t: *Tyniek* i cokolwiek skróconą powieść K. Wł. Wojcickiego, p: t: Niedźwiednik, jako żywy obraz zwyczajów i trybu życia, które z postępem wykształcenia co raz się bardziéj zacierają.

TYNIEK.

Smaczną jadł Tyniek polewczkę z piwa.
Dziecina chciwa,
Na talerzu u brzega,
Muszkę spostrzega.
»Moja muszko, idźże sobie,
»Mama mnie dała nie tobie.»
Tak ją uprzejmie przestrzega:
Ale muszka także chciwa,
Nie chciała odejść od piwa.
Chłopczyk w gniew wpada.
I woła z płaczem: »muszka piwo zjada!»
Śmiejecie się z dzieciny — czyście nie widzieli,
Jak niechętnie się bogacz z ubogimi dzieli;
Choć wtedy z jego zbiorów tak mało ubywa,
Jak téj poléwczki z piwa.

Stanisław z Dzikowa.

NIEDŹWIEDNIK.

GAWĘDA STARA.

Śnieg zasypał drogi, pozawiewał ścieszki na podwórzu przed dworem starego Tadeusza. Choć wiatr zimny poświstywał i przejmował do kości, łuna z okien domu wskazywała, że w izbach tego domostwa, nie boją się mrozu. Byłto dzień drugi Lutego, dzień uroczysty N. Panny Gromnicznéj. Chociaż dopiero siódma rano uderzyła na zegarze, pozamiatano komnaty i wykadzono jałowcem. W izbie tak zwano »gościnnéj» gdzie na dużym kominie palił się ogień nieustanny, siedział w wielkiém krześle z poręczami, stary Tadeusz; odmawiał pacierze, i w drżących ręku przesuwał rożaniec. Miał na sobie bekieszę, baranami siwemi podszytą, a buty wielkie futrzane, świadczyły o słabości w nogach. Jakoż bez pomocy już ten starzec poruszyć się nie mógł, najczęściéj wnuczka i domownicy, z krzesłem które kółka miało, przesuwali go na miejsce gdzie żądał.

Nagle usłyszano głośny dzwonek; stary Tadeusz obrócił ku oknu siwą głowę, gdy wbiegła młoda i dorodna Anna i z radością zawołała: »Mój dziadku, pan Czesław jedzie.

—»A gdzie moja Jadwisia? zapytał starzec.—»Już idę, idę, mój Tadeuszku» odezwał się głos piskliwy; i weszła wspierając się na lasce małżonka starego Tadeusza.

—»Moja dziewczko, każ dać śniadanie, bo Czesław przeziąbł, rzekł Tadeusz, obracając się z uśmiechem do żony.

I pokazał się gość oczekiwany: w sieni zrzucił wilczurę, a wszedł w lisiurce; wysoki, kształtnéj postaci, bladego lica, oczy niebieskie, wypukłe; pełne ognia i życia, malowały młodzieńczą duszę, chociaż twarz starsze wskazywała lata.

—»Jak się waszeć miowa? ściskając rękę Czesława, zapytał stary.

—»Zdrowo, odrzekł, tylko za zimno.

—»Co waszeć gadasz? w twoich latach w parciankach latałem boso po śniegu, a nie kurczyłem się wcale.

Uśmiechnął się Czesław na zapał starego, który go unosił zawsze, gdy o młodych latach wspomniał. —»Bydź to może, odrzekł; albo strach dodał więcéj zimna.

—»Jaki strach? zapytał z podziwem.

—»A bo to widzi chorąży (tak bowiem Tadeusza zwali sąsiedzi) widziałem nie mało wilków i ledwiem się im wymknął.

—»Co waszeć gada? a to co innego! z temi bestyami nie ma żartu. Ja sam mało nie zginąłem: ale posil się waszeć, a po śniadaniu powiem o Niedźwiedniku dykteryjkę.

Czesław ciekawy usiadł naprzeciw starca, a Chorąży pomuskawszy czupryny, zaczął gawędę.

»Żył przed 50 laty szlachcic zwany Niedźiednik: był to jego przydomek dla nadzwyczajnéj siły, gdyż każdego przełomał niedźwiedzia, z którym się spotkał: właściwie nazywał się Roch Dąbrowa. Postać nie okazywała bynajmniéj téj olbrzymiéj siły, którą dziwił i przestraszał. Wysoki, kształtny, topolowego wzrostu; poruszenia żywe; ręka nie wielka ale żylasta; twarz wesoła i ciągle w uśmiechu. Nosił zwykle szarą kapotę i czapkę na lewe ucho przekrzywioną. Mieszkał w domostwie, nie wiele różniącém się od chałupy wieśniaka; mały ogród i jeden zagon 12 łokci szeroki a do 100 sążni długi, były całém dziedzictwem Niedźwiednika. Żył pracowicie, uprawiał w pocie czoła ogródek i zagon, a w wolnych chwilach zarzuciwszy strzelbę na plecy, szedł w obszerne knieje, na *grubego* zwierza, co nie były tak puste jako dzisiaj, kiedy nie zobaczysz niedźwiedzia, jelenia i łosia. A przecie kaftan mam łosi i skór kilka na posłanie, z łosiów co ich sam powaliłem przed 40 laty. Gdzież dziś to zobaczysz?

I sąsiedzi okoliczni dziwili się jego łowom: nie strzelił on do zająca, ani lisa; każdego ptaka omijał: lecz za to w ob-

szernéj puszczy nie przepuszczał niedźwiedziom, dzikom, łosiom, jeleniom, rysiom i wilkom. Ale i w tém zachował szczególny zwyczaj.

Żaden z myśliwych nie widział go, by użył strzelby na niedźwiedzia, chyba że niespodzianie go spotkał, kiedy nie miał swojego, jak nazywał, *kija*. Kij ten była to pałka jak dwie ręce gruba; u góry zaokrąglona nakształt buławy: nagłówek ten był nasadzony trójkątnemi gwoździami grubemi, a ze środka wychodził na łokieć długi, ostry, obszerny dziryt. Z taką bronią przyjmował zawsze niedźwiedzia i gdy ten rozjuszony na dwóch łapach wspięty, zbliżył się do niego, pchnął go najprzód dzirytem, a potém za jednem uderzeniem pałką, rozciągnął go u nóg swoich. Wtedy z radością uśmiechał się, naciskał lepiéj czapkę na lewe ucho; dobywał myśliwskiego noża i nietylko że odcinał, po zdjęciu skóry, łapy niedźwiedziowi, (ulubiony przysmak na wielkich stołach,) ale nadto wykrawał pieczenie, które swemi *delicyami* nazywał.

Sąsiedni kmiecie często rozmawiając o nim, gdy przyszło wspomnieć o nadzwyczjnéj sile, zawsze mówili:

»Nie dziwota, musi bydź mocny jak nie»dźwiedź, kiedy się żywi pieczeniami z nie»dźwiedzi.»

Mimo to wszakże, nie mogli pojąć jak człowiek taki może bydź zdrów i silny, nie pijąc ani wódki, ani miodu, ani piwa. Napojem zwyczajnym była u niego kryniczna woda.

Nie pogardzał i futrem z lisa; ale na nie umiał tak zręcznie stawiać samołówki, że w zimowéj porze kiedy najlepsze skóry, nietylko że co rocznie sam się zaopatrzył w nową lisiurkę, ale za sprzedane futra, zbierał nie mało grosiwa.

Mówiono potajemnie że ma dużo pieniędzy zakopanych i musiał ich mieć wiele, bo o nic nikogo nie prosił.

Samotny, bezżenny: łowy były dlań rozrywką i uciechą. Pan na jednym zagonie, sam go łatwo mógł uprawić i zebrać. Ogród warzywny i sad pełen smacznego owocu, dostarczały mu dosyć żywności przy obfitéj zwierzynie. O! pamiętam jeszcze te gruszki, jabłka: wdzierałem się nie raz na drzewa i strząsałem owoc, a Niedźwiednik śmiał się ze swego, jak mnie nazywał, Tadeuszka. W obszernéj izbie, łoże było zasłane wilczemi i niedźwiedziemi skórami; inne rozesłane na ziemi; tu spały ogromne kundle, wyżeł, a na wysokim berle siedział uczony jastrząb, którego używał na ptaki i zające.

Na cały nasz powiat, Niedźwiednik był osobliwością: a trzeba waszeci wiedzieć, że wtedy u nas nie brakło na silnych ludziach i dobrych myśliwych: wszakże wszyscy przy nim gaśli. Nie dosyć że na oszczep brał wielkie niedźwiedzie; ile razy dziedzicowi chciał podarek zrobić: a zawsze to czynił na kolędę i przed wielkanocą: przywoził z kniei żywego dzika. Każdy się nad tém dziwił i z dalekich okolic zbiegali się myśliwi, by zobaczyć tak osobliwego strzelca.

Był przytém pobożny i uczciwy człowiek. Chłopstwo oskarżało go o czary, że ma związki z djabłem: lecz to wszystko kłamali wierutnie.

Tego szlachcica poznałem następującym przypadkiem. Jechałem z ojcem i siostrami z kuliku. Mróz był tęgi. Wilki zabiegały nam z boku, ojciec skręcił w bok sanie, przewróciły się, ja wypadłem w śnieg. Matka i siostry prędko wskoczyły do sani; w trwodze i pośpiechu zapomniano o mnie małym chłopcu i zostawiono w śniegu.

Kiedym otworzył oczy, zobaczyłem pierwszy raz w życiu Niedźwiednika: nacierał mi twarz śniegiem: cztery ogromne kundle stały obok niego, a daléj, jednokonne sanki, pełne lisów i trzy skóry wilcze. Gdy zobaczył że żyję, zaniósł do sanek i przywiózł do domu. Lecz nie zostawił mię w ciepłéj izbie; rozebrał do naga i na podwórzu wśród mrozu natarł mocno śniegiem. Wtedy obwinął w skórę wilczą i położył na swoiém łożu. W kilka dni już zdrów byłem, a Niedźwiednik dowiedziawszy się kto mój ojciec, odwiózł do domu. Drżało mi serce z radości, kiedym ujrzał suche gałęzie lipowéj drogi i dwór mego ojca: Zostawił mnie w saniach a sam wszedł do komnaty.

Skłonił się ojcu, i żeby zbytnia radość nie zaszkodziła, prosił do osobnéj izby; tam mu powiedział, jak mię uratował i że przywiózł z sobą. Pan ojciec nie wiedział jak dziękować; płakał z radości i całował mojego wybawcę.

Powrócili do komnaty, gdzie matka i siostry zapłakane siedziały. Ojciec kazał jednéj pobiedz do piwnicy po węgrzyna, a sam rzekł do matki mojéj: no! dzieweczko moja, wieści nam pewne nasz sąsiad przywozi o naszym Tadeuszku.

—»Żyje! zawołała:

—»Nie tylko żyje, ale przyjechał: i zaraz wbiegłem, upadłem do nóg panu ojcu i matce, a Niedźwiednik płakał i wszyscy.

Kiedy chciał węgrzynem ojciec częstować, podziękował za wino i żadnego daru nie przyjął, wyjąwszy strzelbę jako pamiątkę.

Jeżeli Wielmożny chorąży, powiedział ojcu, chce mi wynagrodzić, niech samotnego Niedźwiednika, (bo i sam się tak z chlubą

nazywał) często pan Tadeusz nawiedza. Nauczę go strzelać, a te odwiedziny rozweselą starego myśliwca.

Od tego czasu, zawsze co miesiąc na cały do niego tydzień wyjeżdżałem: on mię wprawiał do strzelby, i mogę rzec bez chluby, mówił stary, że po nim w naszéj ziemi jak myśliwy rej wodziłem, a nie miałem jak szesnasty roczek.

Nadchodziły imieniny mego ojca; pojechałem do niego, żeby zwierzyny przysposobić. Na kuropatwy poszliśmy z jastrzębiem i bez strzału dwadzieścia par złowili. Wtedy Niedźwiednik rzekł do mnie: »No: »mój Tadeuszku, trzeba coś grubszego pa»nu ojcu zawieźć: po jutrze imieniny; jutro »ze świtem złapiemy dzika żywego, i tak »zdrowego zawieziem, jak te kuropatwy co »je wybraliśmy po jastrzębiu z pod rozja»zdu.»

Serce biło mi z radości; jeszcze bowiem nie widziałem jakto można wziąść żywego dzika w kniei. Mało co spałem; przed świtem już byłem na nogach, ubrany. Niedźwiednik wziął cztery kundle, zarzucił strzelbę, i wyostrzone przywiązał żelazo obosieczne. Słońce jeno poczęło wschodzić, kiedy już byłem na stanowisku. Za małą chwilkę, usłyszałem szczekanie psów głośne, a prędko potém słychać jeno było ciche warczenie. Poskoczyłem, patrzę i widzę jak na małéj łące kundle przytrzymały ogromnego dzika; dwóch trzymało za uszy, a dwóch za tylne racice. Usłyszałem trzask gałęzi, i wnet pokazał się Niedźwiednik: leciał prędko; widać że pędził za psami, w ręku mu błyszczało ostre żelazo. W pełnym biegu dosiadł na grzbiet dzika, i sznurem surowcowym co go miał za pasem, skrępował ryj dzika, wybił kły żelazem, a przebiwszy niém przednie pod kolanami racice, poza żyły tenże sam sznur przeciągnął i silnie związał. A ów dzik ogromny, postrach psów i myśliwych, bezsilny upadł. Wtedy stanąwszy nad nim, rzekł do mnie:

—»Tadeuszku, przy trzech brzozach stoi fura, sprowadźcie ją tutaj; ruszemy do dworu pana ojca, z podarunkiem myśliwskim.

Już wiele było gości; wszyscy zdjęci ciekawością wybiegli. Jaki był ich podziw, gdy ujrzeli żywego dzika co obchodził wkoło lipę! Ojciec mój rozradowany, wypił zdrowie z ogromnego puhara, dzielnego myśliwca, i sąsiedzi z radością powtórzyli to wszyscy. Wnet wyniesiono strzelb kilka; zaczęli strzelać podochoceni goście; a gdy dzika powalili na ziemię, trąbki myśliwych ogłosiły koniec téj uciechy. Wtedy sąsiedzi porwali niedźwiednika na ręce i nosili po całym podwórzu, śpiewając owę sławną myśliwską piosneczkę:

Siedzi zając pod miedzą,
A myśliwi o nim nie wiedzą.

Stary strzelec płakał z radości, przy wieczerzy posadzono go na starszém miejscu; a co nie pił nigdy, wtedy rozochocił go węgrzyn.

We dwa miesiące, już płakałem nad jego grobem! Tu westchnął boleśnie stary Tadeusz.

Jak żył, tak i skończył, nie umarł zwyczajną śmiercią.

Polowano na niedźwiedzicę, co wiele robiła w okolicy szkody. Już wybrał się i niedźwiednik ze swoim, jak nazywał, kijem: kij ten czternastu już zgładził niedźwiedzi. Kiedy poruszona z legowiska wypadła rozżarta, wtedy wysunął się z za drzewa i ugodził ostrym dzirytem, ale ten się osunął po kości: już nie miał czasu poprawić ciosu. Pochwyciła go w silne łapy. Blizko stojąc, usłyszałem jęk cichy i chrzęst łamanych kości. Zemściłem się, bo z mojéj strzelby poległa od razu; ale mój wybawca leżał bez duszy cały krwią zlany. Tak skończył stary myśliwiec, jakiego już więcéj oczy moje nie zobaczą. Opłakiwałem go ciężko: a ś. p. mój pan ojciec, wystawił piękny dlań nagrobek z kamienia, w tém miejscu gdzie życie skończył, i na nim dał wyryć jak upada pod zajadłym niedźwiedziem!

K. Wł. W.

PODRÓŻE.

Ostatnia wyprawa Kapitana Ross na morza Bieguna Północnego.

Wszystkie krainy globu, do których trudny jest przystęp, silnie wzbudzały ciekawość tegoczesnych podróżników. Afrykę i bieg rzeki Nigru, zwiedził Mungo-Park, Denham, major Laing, bracia Lander, i: t: d: Australią i wyspy morza Południowego Dampierre, Lapeyrouse, Vancouver, Entrecasteaux. Do bieguna północnego, odbyli wyprawy sławni i liczni podróżnicy. Już od dziewiątego wieku liczne podróże czyniono do tych krain. Odkrycie Islandyi zasięga téj epokj, a w 970 wyprawa z téj wyspy, odpłynęła do Grenlandyi. W piętnastym i szesnastym wieku, wówczas, kiedy odkrycia Krysztofa Kolumba, niezmierne otworzyły pole przedsięwzięciom żeglarzy, dwadzieścia rozmaitych wypraw czyniono do północnego bieguna, już to dla odkrycia krótszéj żeglugi między Europą i Ameryką, już to dla rozpoznania téj części Ameryki. Żeglarze, którzy wsławili się odkryciem wielu zatok i lądów są, dwaj bracia Cabot, Jakób i Aubert Cartier.

Stevan Gomez, John Davis i t. d. W siedemnastym wieku odbyto 22 nowych wypraw, ale prawie wszystkie bez skutku, oprócz wyprawy Henryka Hudson i Wiliama Baffin. W osiemnastym wieku nie ostygła gorliwość, szesnastu nowych żeglarzy udało się na morza północne i poczynili jeszcze ważniejsze odkrycia. Behring, lord Mulgrave, kapitan Kook, objawili Europie swoje usiłowania i nadzieje.

Wojna domowa panująca w Europie od 1790 aż do 1815, odwróciła umysły od tych przedsiewzięć. W tym przeciągu czasu, nie uczyniono żadnéj wyprawy do bieguna północnego, ale w 1815 po ustaleniu powszechnego pokoju, obudził się popęd do żeglugi, a biegun północny stał się celem poszukiwań.

Rossyanie pierwsi dali przykład; kapitan Kotzebue, mimo nie pomyślnego skutku wyprawy swojéj do cieśniny Behring, zasługuje na pochwałę za śmiałość przedsięwzięcia. W 1818 kapitan Ross zapowiadał przyszłe odkrycia, objeżdżając zatokę Baffin. W rok potém, kapitan Parry, odkrył wyspy Melvil, Georgią północną, kanał xięcia Rejenta i on to pierwszy przepędził zimę w tych biegunowych strefach. Od roku 1820—21. Franklin, lądem odbywając podróż, zwiedził brzegi Ameryki, leżące między rzeką Hearne, a przylądkiem Turnagum. Była to ciężka praca; udoskonalił ją i powiększył w 1822 i 1823. Od 1822 do 1825, Parry w towarzystwie kapitana Ross, odbył trzecią podróż do bieguna północnego i doszedł aż 72 stop: szerokości. W téj to wyprawie postradał okręt *Jędza*, z którego to przypadku kapitan Ross tak wielką miał pomoc w cztery lata póżniéj.

Skutkiem tych wszystkich podróży, było odkrycie wielkiéj przestrzeni ziemi, znajdującéj się między Grenlandyą i Azyą; ale cel zamierzony odkrycia nowéj drogi między Ameryką i Europą, około bieguna północnego, nigdy nie był dopięty. Nie powiodło się lepiéj kapitanowi Ross w ostatniéj wyprawie swojéj uskutecznionéj między rokiem 1829—1833; ale poczynił ciekawe odkrycia. Rozpoznał ziemię króla Wilhelma, znajdującą się pod 69 stop: szerokości, a między 92 i 94tym długości; oprócz tego dokładnie skreślił brzegi od zatoki Adelaidy, aż do przylądka Felixa. Oznaczył prawdziwe położenie bieguna magnetycznego, zbogacił umiejętność najważniejszemi postrzeżeniami czynionemi za pomocą termometru i na mocy długich licznych postrzeżeń, utworzył nową teoryą zorzy północnéj. Co się tycze wielkiego zagadnienia względem przejścia w stronie północno zachodniéj, dowiódł iż nie może bydź przez cieśninę xięcia Rejenta, ani ze strony południowéj pod 74 stop: szerokości. Takie odkrycia winna mu jest geografia i fizyka, lecz filozof znajduje oprócz tego ważną i użyteczną naukę, zastanawiając się nad przywiedzeniem do skutku téj podróży, nad tą ciągłą karnością i porządkiem, które jeden człowiek umiał utrzymać w całéj osadzie okrętowéj przez lat cztery pośród najtrudniejszych okoliczności. Zaiste warto badać takie rezultata, są one bowiem uderzającym dowodem ile mocy i dzielności dał Bóg człowiekowi, aby z najtrudniejszego położenia wyszedł zwycięzcą.

Skreśliliśmy historyczny zarys głównych wypraw do bieguna północnego; teraz z opisu wyprawy kapitana Ross, poczynimy wyjątki, które powszechne wzbudzać mogą zajęcie.

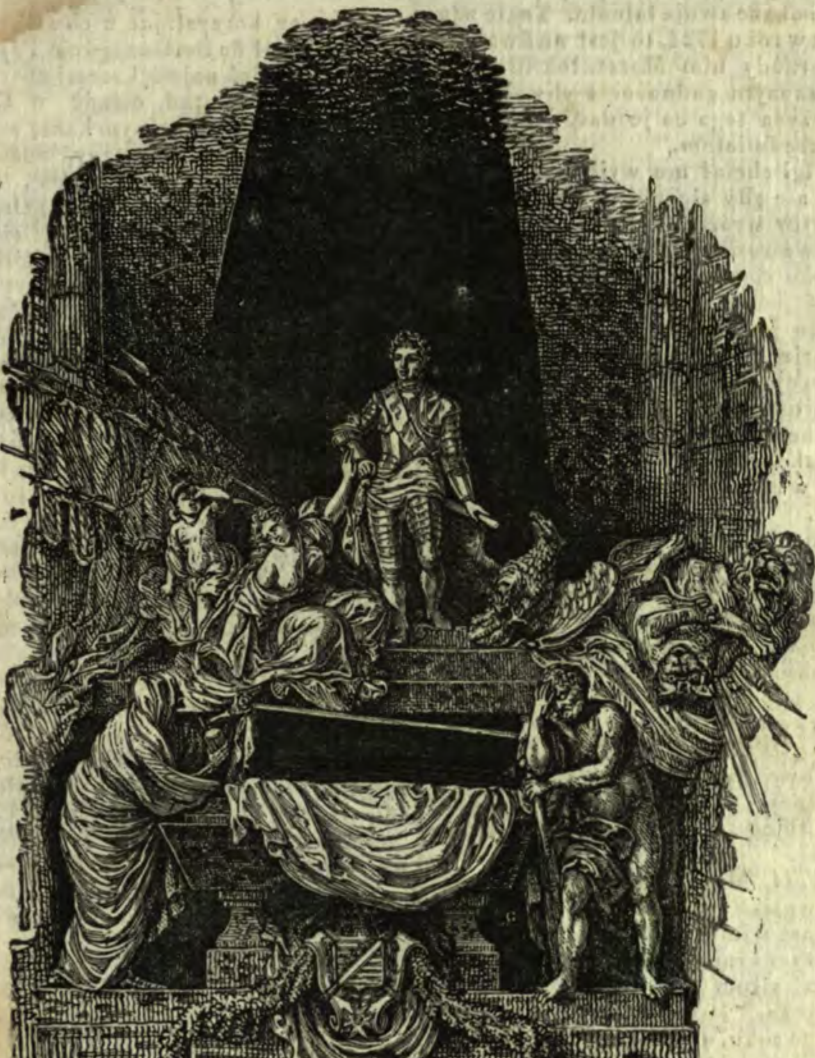
Pod czas pierwszéj naszéj wyprawy, mówi kapitan Ross, przekonałem się, iż łatwiéj jest żeglować na północnych morzach, okrętom poruszanym przez parę, aniżeli tym które otrzymują swój popęd od innego działacza. Siła co je porusza. popycha je pomiędzy krami, pośród których okręt z żaglami byłby zupełnie zatrzymany, przez to zaś że mało zanurzają się w wodzie, mogą unikać mass pływających lodów i zawijać na bezpieczne miejsce. Na tych zasadach opierając nadzieję pomyślnéj podróży na morzach biegunowych, plan mój przedstawiłem admiralicyi; ale rząd angielski postanowił już nie udzielać zachęty tego rodzaju wyprawom. Udałem się do prywatnych negocyantów, także mi odmówili. Nareście pan Booth podjął się najbezinteressowniéj dostawić mi wszystkiego, czego potrzebować będę do téj wyprawy.

Kupiłem w Październiku 1828 statek parowy *Zwycięztwo*, i kazałem do niego zrobić nową machinę podług najświeższych ulepszeń. Pan Booth dostawił mi jak najhojniéj wszelkich narzędzi, zapasów żywności i materyałów palnych. Zewsząd zgłaszali się światli i doświadczeni oficerowie, gotowi przyjąć podrzędne obowiązki, a wielu młodych marynarzy, chciało przyjąć na siebie część kosztów podróży.

(Dalszy ciąg nastąpi)

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.

MAURYCY SASKI.



Ten znakomity wojownik urodził się w Dreźnie 19go Października 1696, z hrabiny Koenigsmark, Szwedki sławnéj pięknością i dowcipem. Ojcem jego był August IIgi. Zawczasu nazwyczajał się do wszystkich ćwiczeń wojennych; dziecięciem jeszcze znajdował się przy oblężeniu miasta Lille w roku 1708 i przy oblężeniu miasta Fournaj w 1709, a potém w bitwie pod Malplaquet i zachował zimną krew pośród najokropniejszéj walki. Obdarzony od natury takiem nieustraszoném męztwem, uwielbiał Karola XIIgo, i wiele miał do niego podobieństwa. Uniesiony awanturniczą odwagą, udał się do Węgier i zostawał pod sztandarami xięcia Eugeniusza, tam zaprzyjaźnił się z xięciem Charolaix, i on to wpoił w niego upodobanie do Francyi. Wkrótce po tém, gdy przybył do Paryża, przedstawił go Xżę rejentowi Xciu Orleanu, który go przyjął jak najuprzejmiéj i skłonił go do do służenia w wojsku francuzkiem ofiarując mu stopień Marszałka polnego. Maurycy zajął się zgłębieniem wojennego rzemiosła, nauk matematyki i fortyfikacyi, utworzył nowy sposób uczenia musztry, o którym sła-

wny taktyk Folard, wspominając w komentarzach swoich nad Polibiuszem, mówi, że jéj wynalazca jest jednym z największych geniuszów wojennych i że przy pierwszéj sposobności okaże swoje talenta. Takie zdanie wydane w roku 1724, to jest na dwadzieścia lat wprzódy nim Marszałek Maurycy dosięgnął szczytu godności i chwały, równie zaszczyca tego co je dał, jak tego co był jego przedmiotem.

August IIgi chciał mu wyjednać xięztwo Kurlandyi, ale gdy się nie powiódł ten zamiar, Maurycy wrócił do Francyi. Kraj ten cieszył się wówczas głębokim pokojem, a Maurycy lubo ciągle doskonalił się w sztuce wojennéj, jednakże nie miał żywiołu potrzebnego do jego niespracowanéj czynności. Nareście Francya wydała wojnę Austryi. Maurycy pośpieszył natychmiast do Wersalu, prosząc o służbę. Odznaczył się wielu świetnemi czynami przy oblężeniu Filipsburga, jako też w dwóch następnych kampaniach, a w r: 1736 został generałem porucznikiem.

Pokój ten nie długo potrwał; po zgonie Karóla VI wszczęła się powszechna wojna. Ludwik XV. wysłał do Czech wojsko, którego lewem skrzydłem dowodził Maurycy. Po kilku dniach oblężenia zdobył Pragę, a godząc ludzkość z męztwem, dołożył wszelkich starań aby ją zachować od rabunku. Wkrótce z równą szybkością zdobył warownię Egra. Okazał także męztwo swoje i biegłość, dowodząc wojskiem w Bawaryi i broniąc Alzacyi przeciw Karolowi xięciu Lotaryngii, za co został Marszałkiem Francyi w r: 1743.

W roku 1744, Maurycy dowodząc lewém skrzydłem wojska we Flandryi, należał do zdobycia miast wielu. Wkrótce sam pozostawszy w tym kraju, opierał się trzykroć liczniejszym siłom i zachował wszystkie swoje zdobycze.

Następnego roku, oddano mu naczelne dowództwo nad wojskiem, w chwili kiedy puchlina wycieńczała jego siły. Nic go jednakże nie zatrzymało, ani konieczna potrzeba pompowania wody, ani osłabienie zdrowia, ani niesłychane trudy wojenne. 11go Maja wygrał sławną bitwę pod Fontenoy. Aż do ostatniéj chwili musiał kazać wozić się w wózku; dopiero wsiadł na konia, gdy zaczęto z dział strzelać, a przez cały dzień trzymał w ustach ołowianą kulę, aby oddalać pożerające pragnienie. Podbicie Niderlandów uwieńczyło tę świetną kampanią.

Za powrotem do Wersalu był celem powszechnych uniesień. Otrzymał dobra Chambord i 40,000 franków dochodu. Przed odjazdem do wojska, dano mu prawo naturalizacyi we Francyi i tym sposobem uczczono jego świetne zasługi.

Biegłe obroty wojenne oznaczyły kampanią roku 1746, i wzbudziły podziwienie wszystkich wojskowych. Zwycięztwa pod Rocoux i Lanfeld, przyśpieszyły pokój.

Maurycy korzystając z chwili wypoczynku, pojechał do Berlina, gdzie Fryderyk W. przyjął go z jak największemi zaszczytami, a wróciwszy ztamtąd osiadł w Chambord, z pułkiem ułanów, którym kazał pełnić służbę tak ścisłą jak w fortecy. Sześć armat i sześć sztandarów zdobytych, ozdabiały przysionek zamkowy. W téj szlachetnéj ustroni, przepędzał czas, bawiąc się polowaniem, muzyką, musztrą i mnóstwem doświadczeń mechanicznych, mających na celu dobro powszechne. Pośród tych miłych zatrudnień, umarł na zgniłą gorączkę 30 Listopada 1750. »Życie jest tylko snem, rzekł przy zgonie, moje było snem krótkim, lecz pięknym.» Z powodu że był wyznania luterskiego, nie mógł bydź pochowany w kościele Sgo Dyonizyusza obok sławnego Turena. Nabalsamowano jego ciało, przeniesiono je z jak największą uroczystością do Strazburga i pochowano je w kościele Sgo Tomasza. Tam wzniesiono mu wspaniały pomnik, który jest arcydziełem Pigalla. Rycinę tego pomnika umieściliśmy na czele artykułu.

Maurycy Saski był wzrostu wysokiego, po swoim ojcu odziedziczył tak wielką siłę, iż łamał podkowy i pieniądze. Spojrzenie miał szlachetne i rycerskie. Liczne przygody zalotne były u niego dowodem słabości, wspólnéj wielkim ludziom. Przez czytanie nabył wiadomości, jednakże wychowany w obozach, nie przyjął wezwania na członka Akademii francuzkiéj, oświadczając, że nawet nie posiada dobrze ortografii tego języka.

NOWE DZIEŁO.

Historya Starego i Nowego Testamentu;— 2 *tomy in 8vo minori*; — *Warsz*: 1836. *Cena zł.* 7.

Pod tym tytułem przedrukowany został treściwy Zbiór Pisma Swiętego, jeszcze w roku 1680 przełożony z francuzkiego przez Xiędza Andrzeja Załuskiego biskupa Warmińskiego i w następnych czasach kilkakrotnie wydany; ostatnie wydanie było z roku 1789.

Długi przeciąg lat utwierdził użyteczność tego zbioru. Polszczyzna w przekładzie jest czysta, zbliżona do prostoty biblijnéj i nienapełniona bynajmniéj tém mnóstwem cudzoziemskich zwrotów, które w teraźniejszych przekładach napotykamy. Dzieło to trzyma środek pomiędzy obszernym textem Pisma S. a krótkiemi katechizmowemi zbiorami. Wydawca istotną przysłu-

gę uczynił publiczności, odnowieniem i upowszechnieniem téj xiążki.

PODRÓŻE.

Ostatnia wyprawa Kapitana Ross na morza Bieguna Połnocnego.

(Dalszy ciąg.)

Wybrałem za drugiego dowódzcę, James Clark Ross mego synowca, który już należał do poprzedzających wypraw. Nasza osada składała się z trzech oficerów, trzech podoficerów, z chirurga i z szesnastu majtków, żeglarzy albo rzemieślników. Żywność miałem na osobnym statku który miał ją przewieźć aż do cieśniny. Admiralicya dała nam także statek Kruzenstern, mały okręcik o szesnastu beczkach ładunku, który był mi towarzyszył w poprzedzających wyprawach. Te wszystkie przygotowania, zabrały mi pół roku czasu i dopiero 24 Maja 1829, opuściłem ujście Tamizy.

Złe urządzenie machiny parowéj, niezmiernie utrudniało naszą żeglugę. Osada statku John, korzystając z tego, zbuntowała się i opuściła wyprawę.

2go Lipca ujrzeliśmy przylądek Farewell leżący na południowym końcu Grenlandyi. W wigilią tego dnia rozkazałem rozdać osadzie odzież, mogą ją zabezpieczyć przeciw ostrości klimatu. Każdy dostał niebieski surdut, flanelową koszulę, halsztuch wełniany robiony na drutach, parę pończoch wełnianych i takąż samą czapkę. 13go byliśmy przy ujściu rzeki Baal i w dziesięć dni potem zawinęliśmy do zatoki dla naprawienia statku. Była to wyspa opatrzona pochodnią morską i oznaczona na mappach pod imieniem *Kaptura Staréj kobiety.* Nie znaleźliśmy na niéj mieszkańców, ale obecność trzech psów wskazywała że jesteśmy na zamieszkałéj ziemi. Wyspa przedstawiała zachwycający widok; grunt okryty był zielonością, a mnóstwo dzikich rozkwitłych roślin, nadawały jéj tém przyjemniejszą postać, iż spodziewaliśmy się że ujrzemy jak w poprzedzającéj podróży, same tylko góry śniegu i lodu. Roślinność była tak żywa jak w najżyźniejszych krainach Anglii i Szkocyi. Zapuściwszy się kawał drogi w głąb wyspy, wróciłem do brzegu i postrzegłem mnóstwo małych czółen z flagą duńską, płynących na przeciw nas. Był to gubernator i pastor okręgu Holsteinborg który w towarzystwie przyjacioł ofiarował nam swoje usługi. Nie postrzegli naszego przybycia, lecz ujrzawszy nasze maszty pomiędzy skałami, rozumieli żeśmy się rozbili, bo żaden statek nie zawinął nigdy do téj zatoki. Rządzca przemówił do nas uprzejmie, rzekł iż urodził się w Danii i zarządza powiatem osady Bestyrere pod rozkazami gubernatora Leifly. Pastor miał około trzydziestu lat, jego sposób wyrażania się i obejście, oznaczały dobrze wychowanego i światłego człowieka.

Szczególnym trafem zawinął był w roku przeszłym do zatoki Holsteinborg, statek angielski trudniący się połowem wielorybów, ale tak uszkodzony, iż osada musiała go porzucić i zostawić pod opieką gubernatora. Poprosiłem aby mi odstąpiono część jego zapasów, lin i żagli, oświadczając że zapłacę za nie właścicielowi w Londynie. Gubernator skłonił się do mojego życzenia, a mocno zajmując się pomyślnym skutkiem naszéj wyprawy, udzielił nam użytecznych wiadomości. Powiedział, że ostatnia zima była jedną z najłagodniejszych w tym kraju, co niezmiernie ucieszyło moją osadę. Pastor ofiarował nam gościnność w swoim domu.

Poczęstowano nas porządnym obiadem, godnym jak najbardziéj wykształconego kraju. Zwiedziliśmy potém osadę; składała się z domów gubernatora i pastora, za któremi były bardzo ładne ogródki, zasadzone sałatą, rzodkwią i tym podobnemi roślinami. W niejakiéj odległości stał kościół z małą dzwonnicą, dwa składy, piekarnia i ze czterdzieści chat Eskimów. Domy gubernatora i pastora zbudowane były z drzewa, mieściły w sobie izbę jadalną, izbę sypialną, gabinet i kuchnią. Kościół był wewnątrz prosty, bez ozdób, bez obrazów i mogł pomieścić w sobie dwieście osób. Tam zbierają się co niedziela wszyscy mieszkańcy Holsteinborga. Widząc porządek i czystość téj osady, powtórzyć musimy pochwały oddawane rządowi królestwa Duńskiego, za troskliwe zajmowanie się osadami. Holsteinborg, mimo ostrości klimatu, mimo lodów co go otaczają, przywiązuje do siebie. W tych północnych krainach, zatrudnienia i prace są mało urozmaicone, główną pracą mieszkańców jest polowanie, albo rybołostwo. Mała osada Holsteinborg, wyprowadza corocznie trzy tysiące skór rennów i znaczną ilość tłuszczu z wielorybów i cieląt morskich.

Wyporządziwszy nasz statek jak tylko można było najlepiéj, puściliśmy się w dalszą podróż. Wpłynąwszy w ciaśninę Lankastra, znalazłem ją oczyszczoną z lodów i ziemię było widać po obu stronach. 7go Sierpnia w południe byliśmy pod 73 stopn: i 30 min: szerokości północnéj. Temperatura powietrza była tak łagodna, że chociaż nie dochodziło do naszéj izbedki ciepło od kotła machiny parowéj, mogliśmy obiadować otworzywszy okna, a jednakże byliśmy otoczeni górami lodu. 12go Sierpnia odkryli-

śmy miejsce gdzie przed czterema laty rozbił się statek *Jędza*. Kommendant Ross wyszukał miejsca do zarzucenia kotwicy i wybrał zatokę utworzoną przez dwie góry lodu o kilka staj od miejsca rozbicia. — Udałem się na ląd. Jeszcze jeden namiot stał nieuszkodzony; służył on był oficerom statku Jędza. Niedźwiedzie odwiedziły go kilkakrotnie i poszarpały aż do dołu, ale skrzynie z żywnością tak były szczelnie zabite, iż niedźwiedzie nie poczuły co się w nich znajduje. Odbiliśmy skrzynie, nic w nich nie zmarzło i prawie wszystka żywność dochowała się bez uszkodzenia. Wino, spirytusy, cukier, suchary, kakao, mak, były w jak najlepszym stanie. Kwas cytrynowy, owoce i warzywa zachowane w occie, bardzo mało się uszkodziły. Nie było żadnego śladu okrętu; kry rozerwały go na sztuki i uniosły daleko.

Tak więc po czteroletniéj niebytności, znaleźliśmy pośród lodowéj pustyni wszystko co tylko mogło posłużyć do naszego przedsięwzięcia. Proch także pozostał nieuszkodzony. Zabraliśmy te zapasy i popłynęli ku przylądkowi Garry. Rozumiano że od tego miejsca aż do lądu Ameryki jest wolne morze; lecz poznaliśmy wkrótce, że przypuszczenie to jest zupełnie bez zasadne; zawróciwszy się bowiem ku wschodowi, ujrzeliśmy ziemię ciągnącą się w kierunku południowo-zachodnim. Po wielu trudnościach przepłynęliśmy pośród niezmiernych lodów. Największém niebezpieczeństwem było to, żeby nagle nie otoczyły nas lody, i dla tego zawsze byliśmy gotowi zarzucić kotwicę, albo odpłynąć na morze, stosownie do okoliczności.

Taki stan rzeczy trwał przez osiem tygodni. Codziennie nowe niebezpieczeństwa, codziennie nowe walki. Już wysiadaliśmy na ląd dla rozpoznania płaszczyzn bez granic, rozciągających się przed okiem naszém, już to zasłonieni pływającemi górami, chroniliśmy się uderzenia brył lodowych niesionych z falami. A pośród tego niezmierzonego potoku, który huczał bez końca, okazywały się, tu i owdzie, ogromne wieloryby, cielęta morskie i niedźwiedzie; fale miotały je, zawieszały w powietrzu i wtrącały w przepaść; ten uderzający obraz nigdy nie wyjdzie z mojéj pamięci. Kto nie widział Oceanu północnego w zimie pośród burzy i zniszczenia, ten mniema że wyraz lód, wzbudza tylko obraz milczenia, ciszy i spokojności. Przeciwnie, na morzach biegunowych, jest to chwila ruchu i zamętu. Wyobraźcie sobie olbrzymie góry gwałtownym przystępem morza w wązki kanał pędzone, ścierające się z hukiem podobnym do grzmotu, kruszące się wzajem i nareście zapadające się w ocean. Przestrzenie lodów nagromadzają się, wznoszą, opadają jedne na drugie i pomnażają zamęt i wrzawę tych scen straszliwych.

A jednakże w obec tych okropnych zjawisk natury, pośród tych wirów co chwila grożących śmiercią, żeglarz musi zachować męztwo i obojętność, musi uzbroić się cierpliwością, jak gdyby tylko bezinteressownym był widzem i czekać losu, którego uniknąć nie może.

Otoczeni temi niebezpieczeństwy, rozpoznaliśmy wiele ważnych stanowisk i poczyniliśmy wiele astronomicznych postrzeżeń. Jakże więc ucieszyliśmy się, widząc żeśmy się posunęli o 166 mil geograficz: daléj jak w poprzedzającej wyprawie! Lecz coraz to bardziéj nagromadzały się lody; zimno powiększało się codzień i niepodobna było posuwać się daléj. Pomyśleliśmy więc o tém, aby nasz okręt ochronić od uderzenia lodów, zbliżyć się do ziemi i zawinąć do bezpiecznéj zatoki.

Takie było nasze jednozgodne postanowienie i żeby lepiéj przekonać się o stanie atmosfery i skutkach przezimowania, wysiedliśmy na ląd. Nigdzie nie było widać ani kropli wody nie zamarzłéj i prócz posępnych skał, sterczących tu i owdzie, wszędzie rozciągała się niezmierzona przestrzeń śniegu. Był to okropny widok. Pośród tego zaślepiającego blasku, którym go długa zima pokrywa, ten kraj lodów jest obszerną pustynią, któréj jednostajny widok odrętwia umysł. Wyobraźnia poety, chociażby najpłodniejsza, nie zdołałaby wyrazić całéj okropności téj samotni nie mającéj ani ruchu, ani zmiany, gdzie wszystko jest oziębłém, smutném, milczącém.

Potém zajęliśmy się przygotowaniami, aby mieszkanie nasze na okręcie wygodniejszém uczynić. Rozebraliśmy najprzód machinę parową i złożyli na brzegu, potém otoczyliśmy okręt mocną palisadą, zasłaniającą go od wichrów i od nieprzewidzianego uderzenia. Most, pokład i izbę okrylismy dachem z desek i płótném żaglowem. Tak opatrzeni, mieliśmy umiarkowane jednostajne ciepło, i znacznie oszczędziliśmy węgla.

Ludzie okrętowi sypiali w hamakach. Dla zabezpieczenia się od wilgoci zrobiłem osobną przegrodę, w któréj zdejmowano przemokłą odzież. Każden człowiek dostawał codzień funt chleba i mąki, pół funta solonego mięsa i stosowną ilość leguminy, herbaty i cukru. Przestrzegałem jak największego umiarkowania w używaniu trunków.

(Dalszy ciąg nastąpi).

54

PUSZCZA BIAŁOWIEZKA.

(DALSZY CIĄG).



ZUBR.

Obyczaje i zwyczaje mieszkańców puszczy Białowiezkiéj tyle mają właściwych cech, że zdaje się, iż na nich widać piętno starożytnych dzikich ludów niegdyś zamieszkujących te kraje, równie jak lasy dotąd będące obrazem starożytnéj Słowiańszczyzny. Mocnéj natury ludzie, w każdéj porze roku odziani w ubior krótki z grubego sukna, brunatnéj barwy, ściągnięty szerokim rzemiennym pasem, na nogach mają rodzaj sandałów z kory lipowéj zrobionych. Lud ten jest zdolny do znoszenia wszelkiéj ostrości klimatu; chętniéj w lasach przebywa, gdzie ma miód, liczne rodzaje dzikich owoców, grzyby i paszę dla bydła, niż żeby miał w polu pracować jak jego sąsiedzi. A tak ten rodzaj życia, czyni ich zdolnymi do wszelkich zatrudnień w leśném gospodarstwie i do polowania: dla tego nawet biorą ich na strzelców i strażników do puszczy Cesarskiéj. Wreszcie, kraj ten nie ludny, rolniczy, nie zna przemysłu który zwykł bydź owocem większego oświecenia, a który gdyby tam zawitał, owa lesista okolica, byłaby obszerném polem dla ludzi czynnych i ożywionych. Na próżnobyśmy wkraczali do głębi téj puszczy, szukając przemysłu, który ożywiać powinien bogactwa lasu; nie usłyszymy ani silnych uderzeń młota po kuźniach, ani szelestu tartaków, ani rąbania, nie ujrzymy dymów z hut lub węglarni kurzących się; nawet na otwartych gościńcach trudno napotkać idących wieśniaków. Wzajemne stosunki, biedny stan większéj części wiosek na krańcach puszczy, mała ich liczba i nie wielka ludność, jest przyczyną téj nie zwyczajnéj ciszy, która puszczy Białowiezkiéj nadaje postać pierwotnego lasu; dla tego właśnie utrzymują się w niéj i swobodnie żyją też same wszystkie rodzaje zwierząt, które w niéj mieszkały może od najdawniejszych wieków.

W puszczy Białowiezkiéj jest dwanaście straży: Augustowska, Narewska, Browska, Hajnowska, Leśnianka, Starzyńska, Stołpowiska, Krukowska, Okolnicka, Swietliczańska, Pobielska i Dziadowlańska.

W Browskiéj straży, mówi Pan Brinken, w powiecie Kletniańskim, jest jedno miejsce nazwane *Stara Białowieża*, a niedaleko ztamtąd *Zamczysko*. Nie ulega prawie zaprzeczeniu, że w tém miejscu był wystawiony zamek dla polujących królów i że bielejące jego wieże, dały imie całéj wsi i Białowiezkiéj puszczy. Ciągłe wojny krajowe, zniszczyły nawet szczątki tego zamku; lecz jeszcze drobne odłamki murów i czerepy potłuczonych naczyń w łonie ziemi obficie zawarte, przeświadczają o tém. W Hajnowskiéj straży przy drodze z Hajnowszczyzny do Białéjwieży, o milę prawie od pierwszéj, jest nieco wzniesione nad poziom miejsce, zwane *Batorową Górą*, dla tego że w tém miejscu ów monarcha wielkie odprawił polowanie. Straż Augustowska wzięła swe imie od dwóch Sasów królów polskich, którzy tam zwykle przybywali na łowy, i wzięli tę część puszczy w szczególniejszą swoję opiekę. Okolica przy źrodle *Jelarki* w Browskiéj straży zowie się *Zwierzyńcem Krolewskim*, co pokazuje, że musiał bydź kiedyś w tém miejscu zwierzyniec. Lecz zważając na obfitość zwierzyny w puszczy, możnaby przypuścić, że to raczéj było miejscem, gdzie pojmane żywcem najrzadsze w puszczy zwierzęta były strzeżone. Wreszcie, w straży Leśniance jest miejsce obszerne nazwane *Nieznanów*, dla tego, że przez długi czas było niedostępném z powodu mnóstwa łomów i wywrotów. (*)

Skreśliwszy ogólny obraz puszczy Białowiezkiéj, przestąpilibyśmy zakres pisma naszego, gdybyśmy chcieli szczegółowo opisywać wszelkie rośliny i zwierzęta znajdujące się w jéj obrębie. Poprzestaniemy zatém na ważniejszych szczegółach, trzymając się odtąd opisu Pr: Jarockiego.— Rosną tam bez ładu stowarzyszone jodły, dęby, sosny, jesiony, osiki, wiązy, brzosty, brzozy, lipy świrki, olsze, a ustępy między niemi napełnia kalina, cis, leszczyna, jałowiec i łozy. Aże i dla spokojności zwierząt i dla braku odbytu, nie wywożą drzewa, przeto wśród gęstwiny nieprzebytéj, leżą i butwieją ogromne kłody.

Troskliwie ochraniane są w puszczy Białowiezkiéj barcie pszczół dzikich. Bobry już od niejakiego czasu zniknęły z téj puszczy; o nich tak pisze pr: Jarocki: »Pokazują tylko nad rzeką Narwią dawne ich budowy, jako smutny dowód, że się tam dosyć licznie gnieździły. Z powodu źle zrozumianéj rachuby, nałożony na strzelców tamtejszych uciążliwy podatek *strzałowy*, który albo w skórach zwierząt dzikich, albo w pieniądzach corocznie do skarbu wnosić byli obo-

(*) Zródłosłów tego wyrazu Białowieża, mówi P. Jarocki, chociaż zręcznie przez pana de Brinken wystawiony, nie polega na żadnym historycznym dowodzie. W puszczy nie ma o tém żadnego podania, a w miejscu zwaném Zamczysko, nie znaleziono żadnego śladu murów, ale tylko liczne groby z czasów pogańskich, gdyż w głowach każdego kościotrupa, były naczynia gliniane łzownicami zwane.

wiązani, a który dopiero przed kilkoma laty zniesiono: ten mówię podatek przyczynił się do prędkiego wytępienia tych tak pożytecznych zwierząt; każdy bowiem strzelec ubiegał się za ubiciem Bobra; bo mu się strzał i skórą i strojem jego sowicie opłacił. Ponieważ puszcza Białowiezka ma wszelkie Bobrom sprzyjające okoliczności, i ponieważ te zwierzęta w ościennych lasach jeszcze się tu i owdzie znajdują: więc gdyby je Rząd pod opiekę swoją przyjął, i nie tylko w puszczy téj strzelania ich surowo zakazał; ale gdyby nawet nagrodę jaką za przywrócenie i rozplenienie ich w niéj wyznaczył: z pewnością niemal spodziewać się można; żeby znowu brzegi Narwi i innych rzek Białowieży wkrótce od nich zostały zamieszkane. Dosyć bowiem, żeby zkąd jedną tylko parę sprowadzono i w zupełnéj spokojności zostawiono; a w kilka lat całe towarzystwa Bobrów widzieć się dadzą; bo te zwierzęta są bardzo mnożne. Wiadomo zaś wjakiéj cenie i wartości jest strój bobrowy europejski: wartoby zaiste! ażeby te szanowne zwierzęta w téj przynajmniéj jednéj puszczy obok Zubrów zupełnéj swobody używały, i łaską Rządu od całkowitéj zagłady zabezpieczone były.

Z drapieżnych zwierząt najpospolitsze są wilki, które tak się rozpleniły, że w Zubrach wielkiéj narobiły szkody. Ryś jest tylko przechodnym zwierzem; dorasta wielkości psa dużego. Chód ma powolny. W czasie pochodu trzyma się dróg i ścieszek. Na zdobycz podchodzi czającym się sposobem, a potém rzuca się nagle; lecz jeźli za drugim a najwięcéj za trzeciem skokiem upatrzonéj zdobyczy nie dosięgnie: staje w miejscu i patrząc za uchodzącą, kiwa na boki swym krótkim ogonem. Najwięcéj pożera on zające, sarny i młode łosie. —Kotów dzikich w téj puszczy nie mają.

W miejscach niskich i błotnistych dziki żyją, stadami. Z leśnego zwierza puszcza obfitości w sarny i zające.

Przechodzimy teraz do dwóch najcelniejszych jéj mieszkańców, to jest do Łosiów i Żubrów. Łosie z przyczyny wzmiankowanego wyżéj podatku strzałowego, niezmiernie zostały przerzedzone, ale że te zwierzęta są bardzo mnożne, przeto spodziewać się trzeba; że teraz gdy zakazano polować na nie, znowu się rozplenią. Pr: Jarocki tak opisuje Łosia.

Samica nosi płód blizko przez siedm miesięcy. Oprócz rozsochów czyli rogów, które zrzuca w początku miesiąca Lutego, samiec różni się jeszcze tém od samicy, że jego pętlica u podgardla jest znacznie większa, i tak dużą siercią pokryta, że tworzy w pewnym względzie gatunek brody, która szczególniéj u starych jest dosyć długa. Rogi samca roczniaka są rdzawe, słabo esowato zgięte, zupełnie okrągłe, jedno kończyste. W roku drugim wyrastają mu płaskie, wązko listewkowate, z końcem widełkowato rozdwojonym. W trzecim roku są już właściwego sobie orzechowego koloru, a przybrawszy cokolwiek więcéj szerokości, dostają trzeci koniec na boku. Tak powiększając corocznie (przy nowém wyrastaniu) szerokość swoję, i mnożąc sęki czyli końce na zewnętrznym brzegu, wszóstym roku dostają kształt prawdziwie szeroko dłoniasty na krótkiéj okrągłéj szypułce. Odtąd, po każdém zrzuceniu rozrastając się coraz bardziéj i w szerokość i w liczbę końców, dochodzą z wiekiem tak ogromnéj wielkości, że u piętnastoletniego samca, mając po czternaście końców na zewnętrznym brzegu, ważą około sześćdziesiąt funtów. Biorąc ściśle, taki ciężar na głowie próżną tylko zdaje się bydź zawadą; bo Łoś należy do najbojaźliwszych zwierząt, tak dalece, że nawet w czasie rui trwożliwość go nie odstępuje: ztąd też trudno zejśdź Łosia na bekowisku. Samica nie mając rogów, zdaje się jednak mieć więcéj odwagi; a chociaż dzieci swoich bronić się nie odważy; lecz gdy widzi, że jéj łosięta zabrano, wydając cichy, żałosno pogwizdujący głos, idzie za niemi w pewnéj odległości dopóty, dopóki trwa gąszcz lasu. Puściwszy jéj dzieci, i odstąpiwszy od nich na kilka kroków, widzimy ją natychmiast przybiegającą do nich. Obwąchawszy je z radością, uprowadza na powrót w gąszcze; a jeżeli jeszcze są bardzo młode, popycha je przed sobą, trącając z lekka chrapami. Węch łosia jest bardzo bystry: nawet w ucieczce przed psami, nie łatwo wychodzi pod wiatr na strzelca. Rzadko idzie on galopem; lecz zwykle biegnie niezmiernie szybkim kłusem; gdyż z przyczyny wysokich nóg robi kroki bardzo długie. W biegu jego spostrzegamy dwie osobliwości: najprzód, że nogi jego wydają pewien rodzaj trzaskania; a powtóre, że chodząc szybko po miejscach bagnistych tak się na bok pochyla, jak gdyby się chciał wywrócić. Mimo szybkość biegu jego, dwa psy miernéj dobroci snadno go zgonią; a skoro się zadyszy, zatrzymuje się w miejscu rozkraczony. W takiéj postawie spuściściwszy głowę ku ziemi, tak się zapomina, że chociaż ma ogromne rogi przy czole, parska tylko, i bez żadnego oporu pozwala się psom kaleczyć. Jeżeli t[illegible] dosyć cięte, zdarza się, że mu i chrapy porozdzierają. — Najulubieńszy pokarm dla łosi jest *Bagno swinie* (Ledum palustre), mchy wszelkiego rodzaju, tudzież latorośle tak iglastych jak listkowatych drzew i krzewów. Lubo w puszczy Białowiezkiéj stoją przez całą zimę liczne stogi najlepszego siana: ni-

gdy się do nich Łosie nie zbliżają. Krzyżówka i polędwica Łosia mają smak wyborny; lecz innych części mięso jego jest przytwarde, potrzymane jednak przez kilka dni w occie lub w winie czerwoném, staje się kruche i smaczne. — Skóry samic i młodych samców dają zamsz najprzedniejszy; ze starych samców skóry są mniéj cenione, bo są zatwarde: a przy tém zbyt rzadkie. Brodawki wielkości połowy orzecha włoskiego są u nich zwyczajną skórną chorobą; a te wyrastają im zwyklej na nogach tak gęsto, że u niektórych sterczy guz przy guzie. Worka żółciowego nie mają.

Jelenia właściwego (Cervus elaphus) nie ma w tych kniejach. Wyciągane jednakże dosyć często z rzek tamtejszych sieciami przy łowieniu ryb, a nawet i znajdowane (lubo rzadziéj) w gąszczach rogi jelenie różnéj wielkości, najoczywistszym są dowodem, że i te zwierzęta przed laty w puszczy Białowiezkiéj żyć i rozmnażać się musiały. Nazwiska zaś miejscowe, jako to: *Jelenia góra*, struga *Jelonka* i t. p. zdają się wskazywać, że w tych częściach puszczy, Jelenie najchętniéj zatrzymywać się lubiły.

Najcelniejszém téj puszczy (bo podobno już tylko w niéj znajdującém się) zwierzęciem jest *Żubr* (Bos Urus). Rycinę tego zwierza, zdjęto z natury, przez P. Dietrich, umieściliśmy na stron 21. Zupełnie gładkie i podobnie jak u bydła domowego xiężycowate, czyli na boki i na przód wygięte rogi stały się powodem, że niektórzy pisarze uważali *Żubra* za pierwotny szczep bydła czyli *Wołu domowego*: a przeto za jeden i ten sam gatunek. Inni, do których należy i Linneusz, zaledwie poczytali Zubra za dziko żyjącą odmianę bydła domowego. Pierwszymi, którzy Zubra za osobny gatunek uznają, chociaż cech gatunkowych dla niego z ścisłością Linneuszowską nie określili, są: Pallas, Haller, Gilibert i Cuvier. Jestem zupełnie ich zdania; a podług mego sposobu uważania, cechą gatunkową, to jest różnicą, którą się *Zubr litewski* od wszystkich innych dotąd znanych, tak domowych jak dzikich gatunków wołu zewnętrznie odznacza, są następujące punkta:

Wół Żubr litewski ma rogi czarne, miernie długie, okrągłe grube, rozłożyste, naprzód podane, końcami w górę zwrócone, pod krawędzią ciemieniową osadzone. Czoło szersze niż dłuższe, wypukłe, kędzierzawe, piżmem woniejące. Podgardle i mostek zaokrąglone bez owisłéj skóry. Na całém podgardlu i mostku (mianowicie u samic i młodych samców), włos długi nakształt brody zwisły. — Bardzo stare samce bez brody na podgardlu, mają tylko podbródek brodaty. — Szyja krótka. Głowa nizko osadzona. Na karku grzywa krótka, w górę sterczącą. Tułuw w przodzie wysoki, silny; w tyle zeszczuplony. Grzbiet na przodzie łukowato wzniesiony, ku tyłowi spadzisty. Ogon od połowy mocno kiściasty. Otwór gęby ciasny. Zęby przednie ściśnione, ostre, z szczytami głęboko wydrążonemi. Sierć na ciele w zimie gęsta, wełniasta, miernie długa, zbita, pieprzykowo brunatna bez połysku, na bokach szyi i na łopatkach bledsza, z białawą siercią pomięszana; a na nogach przednich czarniawa: w lecie krótka, położysta, połyskująca, wszędzie czarniawo brunatna, czyli gniada. Policzki, broda, kiść ogonowa i kopyta zawsze czarne. Młode jednoroczne są w zimowéj barwie popielato siwe, mocno kosmate; mają policzki, brodę, grzywę, kiść ogonową, i nogi czarniawe.

Wymię krowy domowéj bardzo wielkie, sięga daleko pomiędzy nogami. Przeciwnie Zubrzyca nie mając wyraźnego wymienia, ma tylko cztery małe cyce na skórze; gruczoły zaś mleko wyrabiające w kształcie dwóch klinowatych listew ciągną się u niéj na podbrzuszu aż ku bliźnie pępkowéj.

Wreszcie najważniejszą różnicą, któréj ani klimat ani sposób życia zmienić nie może, a która zawstydza uważających Zubra za prostą odmianę bydła domowego, jest to, że wszystkie dotąd znane rassy i gatunki Wołu mają po trzynaście par żeber; gdy przeciwnie w Zubrze liczymy ich czternaście par.

Budowa oka Zubrzego zasługuje także na uwagę. Jest ono duże, bardzo wypukłe, otoczone od spodu białą błonową pochewką, która mając brzegi brunatne, powiększa pozornie obszerność tęczy jego; gdyż ta podobnie jest brunatną. O ile jednak oko Zubra w stanie spokojnym ma przyjemnego i i zajmującego wyrazu o tyle przestrasza w chwili gniewu lub przestrachu tego zwierzęcia. Podłużna, w środku zwężona, źrenica, wskazują że Zubr otrzymał od natury możność widzenia w dzień i w nocy. Nareście właściwy jest Zubrom zapach pośredni między zapachem fiołka i piżma, który się z czoła jego czuć daje. Siedlisko tego zapachu jest w mózgu, w mięsie zaś nigdzie go nie postrzegamy. W tym względzie rożni się Zubr od Wołu piżmowatego, Bos moschatus, w północnéj Ameryce żyjącego, którego mięso piżmem pachnie.

(Dokończenie nastąpi.)

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.

GANDAWA.



Gandawa jest bez wątpienia jednêm z miast Europejskich najciekawszych dla badacza, a to z powodu jéj położenia, obyczajów ludu, pomników, a nadewszystko wspomnień historycznych. Niektórzy dziejopisowie utrzymują, że Juliusz Cezar wspomina o jéj mieszkańcach pod imieniem *Gorduini*, i że założył jéj fundamenta pod czas pobytu swego w kraju Morinsów. Nerwianie obrali ją za stolicę, a po nich Wandalowie nadali jéj miano *Wanda*, zkąd mniemają iż pochodzi *Ganda* czyli *Gandawum*.

Utrzymują iż męczennicy Fuscian i Wiktoryn, byli pierwszemi Apostołami, opowiadającemi Ewangelię we Flandryi, około roku 286; lecz mieszkańcy téj krainy na nowo wpadli w najgrubsze pogaństwo, a szczególniéj mieszkańcy Gandawy, których dopiero Swięty Amand nawrócił na wiarę chrześciańską, około roku 630. Niezmiernie dawna legenda, istniejąca dotąd w bibliotece Gandawskiéj, zawiera takie szczegóły względem tego wypadku. »W owym to czasie, Swięty Amand zwiedzając rozmaite miejsca, troskliwy o zbawienie dusz, dowiedział się, iż po nad brzegiem rzeki Skaldy, znajduje się osada zwana Gandawa, zamieszkana przez ludzi, którzy od niepamiętnych czasów tak uwikłani byli w sidła szatańskie, iż opuściwszy Boga, oddawali cześć drzewom, kłodom, kamiennym bałwanom i wznosili im świątynie. Dzikość tego ludu, była przyczyną iż wszyscy xięża unikali téj okolicy i nikt nie opowiadał Słowa Bożego. Dowiedziawszy się o têm S. Amand, bardziéj wzruszony ich zaślepieniem, niżeli lękający się o własne życie, udał się do Arcybiskupa *Aichaire*, przełożonego nad katedrą w Noyon, prosząc go najpokorniéj, aby wyjednał u co prędzéj u króla Dagoberta, postanowienie, iż ktokolwiek nie chciałby odrodzić się przez chrzest, chrzest nie mniéj dla tego danym mu będzie. Poselstwo żądany otrzymało skutek, a człowiek boży, otrzymawszy pełnomocnictwo od króla i błogosławieństwo kapłana, odważnie udał się w tę okolicę. Nie podobna opowiedzieć jakie zniewagi wycierpiał, ile razy mieszkańcy posunęli się aż do bicia, a kobiety nie szczędząc złorzeczeń w rzekę go spychały.»

Ta missya apostolska Swiętego Amanda, zostawiła tak bujne nasiona, iż dotąd katolicyzm kwitnie jeszcze w Gandawie, podobnie jak i w całéj Flandryi, lepiéj może niżeli w Hiszpanii i Włoszech. Wskazuje ona z drugiéj strony, o ile podobna zasięgnąć przeszłości, iż Gandawczykowie od dawna byli burzliwego charakteru, a pierwszy ten pomnik ich dziejów, nie zaprzecza bynajmniéj skłonności do niepokojów, którą późniéj tylokrotnie okazali. Nieraz otwarte toczyli zapasy z Hrabiami Flandryi, a nawet z potęgą Karola Wielkiego. Ileż to razy, ich burmistrz, naczelnicy jakiego cechu, lub znakomici mieszczanie, musieli iść bła-

ga przebaczenia, bosemi nogami, z powrozem na szyi! Ta kara, tak często wkładaną bywała na Gandawczyków, iż powróz stał się godłem charakteryzującém ich miasto, pomiędzy innemi miastami Belgijskiemi.

Gandawczykowie dotąd z chlubą przypominają sobie wojnę, którą stoczyli pod Jakóbem Arteweld i synem jego Filipem, przeciwko Hrabiemu Ludwikowi de Maele. Jakób Arteweld, przez siedm lat rządząc, wzniósł miasto swoje rodzinne do wysokiego stopnia potęgi i zamożności, (od 1339 do 1345). Anglia szukała sprzymierzeńca z owym Gandawskim mieszczaninem. Znakomity krasomówca, biegły polityk i groźny wojownik, posiadał szlachetność i powagę. Łagodny i popularny ze współziomkami, zjednał sobie przychylność kupców, (gdyż utrzymywał handel w kwitnącym stanie) i szacunek duchowieństwa, W ten to sposób, pewien tegoczesny Gandawski autor mówi o tym człowieku, którego insi dziejopisowie malują jako wichrzyciela.

Gandawa coraz bardziéj wzrastała w ludność; jéj pomyślność, pomimo często wznawianych zamieszek, zwiększała się tak dalece, iż liczyła 300,000 mieszkańców, a w XVIstym wieku przechodziła w obszerności samą nawet stolicę Francyi. Tak przynajmniéj wnosić należy z owych słów Karóla Vgo: »*Je metrais Paris dans mon Gand.*» Dzisiaj, słowa te dowodzą tylko, iż Paryż znacznie się powiększył, a Gandawa bardzo podupadła. Nie mniéj dla tego mieści się jeszcze w rzędzie trzech pierwszych miast Belgijskich,' pod względem ludności, bogactw przemysłowych, handlowych, i pomników.

Pomiędzy pomnikami odznacza się szczególniéj katedra Swiętego Bavona, która jest najpiękniejszym może kościołem w całém królestwie i najpyszniéj ozdobnym w grobowce, obrazy i posągi. Pokazują w niéj dwie kosztowne osobliwości: chrzcielnicę która służyła do chrztu Karóla Vgo, naczynie z pospolitego błękitnego kamienia, zamknięte przykrywą mosiężną, i cztery kandelabry bronzowe, z ozdobami w starożytnym guście, które stały niegdyś przy katafalku Karóla Igo króla Angielskiego. Bardziéj zajmująca osobliwość zwraca jeszcze uwagę w téj obszernéj katedrze: jest to kościół podziemny, gdzie niegdyś chowano biskupów, a który podobnie jak górna świątynia, przedstawia piętnaście kaplic, zupełnie téj saméj wielkosci.

Nie opodal od katedry wznosi się dzwonnica, którą w nadzwyczajnéj wysokości uwieńcza smok z miedzi pozłacanéj, przytwierdzony na ogromnéj sztabie żelaza. Smok ten bywa oświeconym w wielkich uroczystościach publicznych; utrzymują że wewnątrz niego pomieści się stół i kilka krzeseł; lecz że dostać się do niego można jedynie za pomocą drabiny, która wsparta na bardzo spadzistym dachu, styka się z jednem udem zwierzęcia: łatwo pojąć, iż mało kto sprawdził rzeczywistość podania. Mówią prócz tego, że Xiąże Flandryi, Baldwin, przysłał tego smoka z Konstantynopola do Bruges, z kąd Gandawczykowie przenieśli go do siebie, aby go jako trofej umieścić na wieży. Początek wieży wywodzą od roku 1228, jest na niéj grający zegar, i dzwon ogromny, ważący 11,000 funtów.

Oprócz ratusza, gmachu o dwóch wystawach, z których jedna wzniesiona r. 1481, a druga 1600, niwersytetu, biblioteki i ogrodu botanicznego, zwracają uwagę podróżnego piękne i obszerne rynki, zachwycające przechadzki i wspaniałe groble, po nad brzegami Lysy i Skaldy. Dwie inne rzeczki Lievre i Moere, przepływają przez miasto i dzielą je na dwadzieścia sześć wysep, połączonych trzystu mostami. Rycina umieszczona na czele tego artykułu, przedstawia łachę Skaldy, która jest właściwie portem Gandawskim. Wpływa w sam prawie środek miasta, niedaleko zbożowego targu. W głębi, widać piękny kościół Świętego Michała, z dwoma niedokończonemi wieżami, a po obu stronach rzeki wznoszą się domy w setnych urozmaiconych kształtach, których malownicze dachy zachowują cechę średnich wieków.

Gandawa ma dwie mile i pół obwodu, i ludność nie stósowną do tak wielkiéj powierzchni, gdyż na 82,000 dusz, liczą 10,000 domów.

Oprócz Uniwersytetu, Kollegium i Seminarium, Gandawa posiada Królewską Akademię rysunku, snycerstwa i architektury, kilka ważnych zakładów literackich, towarzystwo ogrodnicze: jest to bowiem miasto kochające się w sztukach nadobnych, miasto zaludnione mieszczanami i zamożną szlachtą, która chętnie poświęca swe bogactwa na zakładanie galeryi obrazów i osobliwości; posiada liczne prywatne zakłady, często kroć piękniejsze daleko niż gdzie indziéj Muzea. Baltazar Klaes Balzaka (w Obłędzie umiejętności), jest prawdziwym mieszczaninem Gandawskim, wyjąwszy tylko manię poświęcania wszystkiego alchimii, która bynajmniéj nie zgadza się ze spokojną wyobraźnią, i gruntownym rozsądkiem Flamandczyków. Dom Baltazara Klaes, jest także prawdziwym Gandawskim domem, oraz jego staroświeckie lamperye, sztucznie wyżłobione z drzewa, stósowne do nich meble i zbiór obrazów flamandzkich i holenderskich.

Dotąd nie wyszliśmy jeszcze z Gandawy, lecz nie podobna poznać wszystkich jéj piękności, bez obejrzenia okolic przerzniętych kanałami szerokiemi jak rzeki; jakoto kanałem Bruges, Antwerpskim i Sas de Gand. Tam to znaleźć można piękne i kwitnące wioski, wspaniałą roślinność, grunt nadzwyczajnie płodny, najlepsze i najwięcéj wydające rolnictwo. Brakuje tylko gór, któreby przerywały jednostajność widoku, jak naprzykład wokoło Bruxelli, która pod tym względem hojniéj jest uposażona od natury niżeli Gandawa. Sławny statysta Balbi, obliczył, że prowincya któréj Gandawa jest miastem stołecznem, jest najbardziéj zaludnionym krajem w Europie.

PUSZCZA BIAŁOWIEZKA.

(Dokończenie.)

Ruję odbywają Zubry w miesiącu Sierpniu przez dni czternaście. W téj porze są one najładniejsze: bo tłuste, gładkie, czarniawo brunatne czyli gniade, połyskujące; a przy tém najzuchwalsze i najswawolniejsze. Rozigrawszy się, chodzą około cienkich a rzadko rosnących drzew, ryjąc rogiem w ziemi dopóty, aż mu się to na głowę wywróci. Tym sposobem wykopują jodły od czterech do sześciu calów średnicy mające, które uczepione korzeniami na rogach noszą, jak wieńce, sprawiając szum i łoskot po lesie.

Stare samce walczą tak zapalczywie z młodemi, iż nie trudno znaleźć wtedy Byka zakłutego rogami. Taką śmiercią giną zwykle trzechletnie samce.

Żubrzyca nosi płód przez dziewięć miesięcy i rodzi w Maju jedno tylko ciele, które (podobnie jak ciele krowy domowéj) zaraz po obeschnięciu wstaje za nogi i za matką biegać zaczyna. Ssie blizko przez rok cały. W czasie ssania, młodziak ma kształt najpowabniejszy: jego krótka, a mocno włosami na bokach napuszona głowa, obok łukowato garbatego grzbietu nadaje mu wyraz junakowaty. Widziane z pewnéj odległości, (mianowicie na śniegu) idące za stadem starych, mają postać Niedźwiedzi. Zubr rośnie do lat sześciu, a żyje do czterdziestu.

Zubrzyce ledwie co trzeci rok bywają cielne, i dla tego rozplemienie ich postępuje dosyć opieszale. Tym sposobem w r: 1830 liczono siedmset jedynaście. To prawda, że szybszemu rozplenianiu się Zubrów są na zawadzie zwierzęta drapieżne, a mianowicie Wilki, które nie tylko cielęta, ale i stare Zubry pożerają. Wiedzieć bowiem potrzeba, że pomimo ogromnéj siły swojéj, Zubry nie mają nawet tyle dzielności, co bydło domowe w stepach chowane; gdyż na widok Wilka nie zbiegają się w kupę dla wspólnéj obrony; ale najsilniejsze ufając sobie oddzielają się i uchodzą. Tym sposobem zostawiając młode bez zasłony, narażają siebie na tym prędszą zgubę; pojedynczy bowiem, choćby i najtęższy Żubr obskoczony tylko od trzech wilków, z łatwością zostaje pokonany; bo gdy jeden z nich zabawia Zubra na przodzie, zaskakując mu około głowy: odwraca uwagę jego od tych, które mu z boków zachodzą; a skoro mu tylko jeden wydrze w boku dziurę, już Zubr pada ofiarą ich żarłoczności.

Oprócz kory młodych drzewek i krzewów listkowatych, jako to: łozów, iwiny, osiczyny, jesionów i grabów, najulubieńszém pokarmem dla Zubrów są następujące rośliny: *Dąbrowka* (Holcus odoratus, aristatus); czyli odmiana wąsata *Zubrówki południowéj* (Holcus odoratus, muticus), którą pospólstwo w Królestwie Polskiém *Turówką*, lub *Turzą trawą* nazywa. Daléj *Chrabust* czyli *Ostrożeń jarzyny* (Cnicus oleraceus), *Oczeretek leśny* (Agrostis arundinacea), *Molinija błękitna* Melica coerulea) i *Żeruża* czyli gładka odmiana *Jaskieru rozesłanego* (Ranunculus repens glabratus. — Względem kory drzew utrzymują strzelcy, że Zubry najbardziéj lubią taką, która ma smak gorzki. Skrobiąc korę tak sobie przednie zęby ścierają, że u starych ukośne tylko pieńki ich zostają. Zubry lubią w jesieni wrzosy i mchy drzewne; lecz tych nigdy nie tykają, które na brzozach i na ziemi rosną. Nie jadają także zboża, i dla tego na pola uprawne nie wychodzą.

W czasie zimy, gdy śnieg ziemię pokryje, Zubry udają się do stogów siana, z których jedne umyślnie dla nich są postawione; drugie zaś od okolicznych wieśniaków za opłatą zebrane, na dogodną sannę czekają.

Polowanie na Zubry odbywa się w największym porządku i spokojności, bez trąb i bez psów. Obława, którą składają osocznicy opatrzeni w grube laski, a między którymi w pewnych odstępach są strzelcy, otacza gąszcz, w którym się znajduje upatrzone stado Zubrów. Strzelcy tymczasem wyciągają linię na tym brzegu owego gąszczu, na który wiatr od Zubrów powiewa. Gdy wszyscy stanowiska swoje zajęli, za danym znakiem łańcuch obławy z okrzykami *u-hu! u-ha!* i sztukaniem laskami po drzewach, pędzi na strzelców z kierunkiem wiatru, obsaczone Zubry; a ci strzelają z nich tylu, ilu ubić pozwolono. Gdyby kierunku wiatru nie uważano, cały zachód byłby daremny; bo Zubry zwietrzywszy od strony strzelców, proch i ludzi nie poszłyby na nich:

ale obróciłyby się na osoczników, i gwałtem przedarłyby się pomiędzy niemi, rozbijając i depcąc tych, którzyby im chcieli zastępować. — O tém polowaniu i to nadmienić nie będzie od rzeczy, że kto celnie strzelać nie umie, i nie jest pewnym strzału swego, ten na polowaniu na Zubra niech się do fuzyi nie bierze; gdyż ranienie tego zwierza bez położenia go na miejscu, czyli postrzelenie takie, iż Zubr ujdzie i w gęstwach zginie, równie surowéj podlega karze jak prosta kradzież jego.

Mięso zubrze mianowicie samic i młodych samców jest kruchsze, soczystsze i smaczniejsze niż mięso Łosia. Ma sobie właściwy, zwierzynowy, a tém samém mięsu wołowemu niepodobny smak. Jest zdrowe i bardzo pożywne. Szczególniéj, jeźli się przez kilka dni w dobrym occie lub winie czerwoném wymoczone, a potém młodą słoninę szpikowane na rożnie upiekło, słusznie pomiędzy przysmaczki policzone bydź może.

Skóra na Zubrze jest więcéj niż dwa razy tak gruba jak na wole domowym;ale przy tém tak rzadka, że ją tylko w rzemieniu kręconym na potrzeby zaprzęgowe wyrabiają. Osobliwie na lece i uzdy ma bydź najzdatniejsza. W dawniejszych czasach, zdzierano świeżo zabitemu Zubrowi skórę z czoła, i z téj robiono futrzany pas. Z przyczyny zapewne zapachu wyżéj opisanego, który czoło Zubra wydaje, przypisywano tym pasom moc ułatwiania porodu, i dla tego pasy takie noszone od kobiet ciężarnych, jak talizman, były tak wysoko cenione, że je nawet Monarchinie za godny siebie dar poczytywały. Rogów Zubra używano dawniéj za myśliwskie toastowe kielichy; zaś podług świadectwa Pliniusza, z cienko rzniętego rogu zubrzego robiono latarnie, które przepuszczając wstawione światło, bardzo przyjemnym sposobem, za ozdoby w domach ludzi majętnych służyły.

Zachodzi jeszcze niejaka wątpliwość czyli Tury o których znajdujemy ślady w dawnych aktach, że się w lasach Jakturowskich między Błoniem, Sochaczewem a Wiskitkami znajdowały aż do roku 1627, są odmiennym gatunkiem od Zubra żyjącego dotąd w puszczy Białowiezkiéj. Professor Jarocki mniema że to są jedne i też same zwierzęta. Inni naturaliści mniemają, że Tur oznaczał dziko żyjącego wołu.

Na zakończenie téj krótkiéj wiadomości o puszczy Białowiezkiéj, dodadź wypada, że pomiędzy ważniejsze w niéj zdarzenia należy nadzwyczajny pożar, który przypadkowo powstał 1811 roku w końcu miesiąca Maja. Pomimo najusilniejsze starania i zabiegi tamtejszéj zwierzchności, przy pomocy kilku tysięcy ludzi, których z okolic sprowadzono, pożar ten trwając ciągle aż do końca miesiąca Września, nieocenione szkody we wszystkich prawie częściach téj puszczy zrządził, a przy tém dowiódł, jak siły ludzkie bez pomocy Bozkiéj są niedołężne; bo ten tak straszny ogień, którego tysiące ludzi przez trzy miesiące przytłumić nie mogło, jeden ulewny deszcz w dniu pierwszym Października zupełnie ugasił.

SŁOŃ DOMOWY.

Chociaż tak wiele pisano o słoniach, jednakże codziennie znachodzą się nowe przykłady ich nadzwyczajnego instynktu. I dla tego mniemamy, że niniejszy artykuł, ozdobiony piękną ryciną, wyobrażającą słonia paradnie przybranego, jeszcze zająć zdoła uwagę czytelników.

Słusznie uważano jako nowy dowód mądréj przezorności natury, iż nadała zwierzętom najbardziéj zatrważającym swoją postacią, charakter łagodny i spokojne obyczaje. W istocie, gdyby słoń czuł wolę i potrzebę niszczenia, jak do tego władzę posiada, gdyby był równie dziki i krwi łaknący jak jest przerażający ogromem, byłby największą klęską zamieszkiwanych przez niego krain. Lecz celem jest natury, aby słoń nie tylko nie posiadał owéj dzikości, lecz owszem aby jak najłatwiéj dał się oswoić, aby olbrzymie zwierze, podobnie jak słabe dziecię, ulegało ręce i głosowi człowieka, i aby tenże w niezmiernéj owéj sile ożywionéj, podobnież jak w koniu, znalazł narzędzie zarówno powolne jak i potężne. Pod tym względem uważany, słoń staje się przedmiotem badań równie ciekawych jak i zajmujących. Znają go czytelnicy w stanie dzikości; na uzupełnienie jego historyi przedstawiamy go teraz takim, jakim się okazuje kiedy jest oswojony. Nie podpada wątpliwości, że sztuka ułagadzania słoniów, jest znana w Azyi od niepamiętnych czasów. Każdemu wiadomo, iż Porus miał słonie w wojsku które prowadził przeciwko Alexandrowi, i nie jest to najmniéj zadziwiającym dowodem siły tych zwierząt, iż mogły dźwigać na swym grzbiecie, zbrojne wozy pełne wojowników. Słonie Porusa zdobyte przez Alexandra, były pierwszemi które ukazały się w Europie: może te same, których w kilka lat późniéj Pyrrus użył w wojnie Tarentskiéj, a z których jeden ozdobił tryumf Kuryusza.

U Indyan, tak usposobione słonie tworzyły jak najlepsze wojsko; lecz odtąd jak ogień stał się żywiołem wojny, zwierzęta te lękając się huku i płomieni, znikły zupełnie ze sceny bitew. Jeśli niekiedy jeszcze królowie Indostańscy w wojenny rynsztu-

SŁOŃ DOMOWY.



nek przystrajają słonie, to jedynie dla wystawności i przepychu i teraz słonie służą tylko do prac domowych.

Przywykły do władzy człowieka, słoń do najwyższego stopnia posuwa uległość, przezorność, poświęcenie się. Osobliwy przypadek, którego był świadkiem pewien Anglik podróżujący po Indyi, uderzającym jest tego przykładem. Pewien Mahud (Mahud czyli Kornak, tak się nazywa prowadziciel słonia), idąc do bazaru za sprawunkiem, powierzył małe swe dziecię straży jednego z tych zwierząt, czyniąc mu słówne zalecenie, które słoń zdawał się jak najlepiej rozumieć, aby starannie czuwał nad dziecięciem. Uczyniwszy to, odszedł i zostawił strażnika przywiązanego do słupa, a dziecię leżało przed nim na ziemi.

Kilku oficerów angielskich posłyszawszy to zalecenie, ciekawych było zapewnić się o wierności słonia, i czy zdołają go skusić tak dalece, aby zapomniał rozkazu. Przekonani, że samolubstwo weźmie górę, jak to się często przytrafia nie tylko u zwierząt ale i u ludzi, zaczęli drażnić jego łakomstwo, podawali mu owoce które lubił najbardziej, ani wątpiąc że opuści dziecię dla pożerania owoców, lecz zawiedli się w nadziejach. Rzucając z ukosa chciwe spojrzenie na owoce, słoń ani ruszył się i stał ciągle nad dziecięciem, którego na chwilę nie tracił z oczu. Wówczas, oficerowie pokusili się za pomocą długich bambusów z zadzierzgniętym przy końcu węzłem, wydrzeć mu przedmiot jego pieczołowitości. Słoń okazał natychmiast gniew gwałtowny, i nawet ukradkiem nie spoglądał na owoce. Szlachetny ten zwierz patrzał na swych kusicieli z miną wyrażającą zarazem iż czuł wyrządzoną mu zniewagę i gotów był ją pomścić. Mahud wrócił niezadługo, słoń podniósł trąbą dziecię i złożył je zwolna na ręku ojca, objawiając zadowolenie z wypełnionej powinności; potém zaczął pożerać owoce, i uraczył się niemi z oznaką widocznej radości.

Niezadługo potém, słoń uciekł, a Mahud oskarżony o niedbalstwo, stracił służbę. Trzy lata już upłynęły od ucieczki zwierzęcia, którego wszędzie na próżno szukano, gdy pewnego dnia polując w lesie, Mahud poznał zbiega, któremu towarzyszyło młode słoniątko. Zbliżył się do niego natychmiast, przemówił zwyczajnym sposobem, zaczął pieścić małego i bez najmniejszego oporu matki, wsiadłszy na jej szyję, przyprowadził oboje do dawnego pana. Słoń nie utracił bynajmniej łagodności przez dłu-

gi przeciąg swobody; wrócił do przywyknień posłuszeństwa i nie przestał bydź wiernym i pracowitym sługą.

Nie podobna dosyć się wydziwić, widząc to potworne zwierze przyklękające na dany rozkaz, a gdy powstanie, wyciągające trąbę, aby z niej zrobić stopień dla swego przewodnika. Przewodnik ten siada zawsze jak gdyby na koń, na szyję zwierzęcia, przemawiając do niego przyjaznemi wyrazy, lub w razie oporu kołąc go bodźcem żelaznym. Nim ruszy z miejsca, słoń podnosi trąbą, sznury lub tłomoki, jeźli spadną na ziemię. Niekiedy, tak obładowany, odłamuje szeroką gałąź z pobliskiego drzewa i chłodzi się nią z niechcenia, jak najpierwsza elegantka wachlarzem.

Zaprzęgają słonia do wozów; ciągnie bez odpoczynku, bez zatrzymania się lub oporu, byle go nie obrażać razami zadawanemi niesłusznie i okazywać wdzięczność za dobre chęci. Prawie zawsze powodują nim samemi tylko słowami, szczególniej gdy się przyzwyczai do przewodnika i zupełną w nim ufność położy; przywiązanie jego staje się tak trwałe i tak głębokie, że potém innego przewodnika słuchać nie chce. Utrzymują iż słoń domowy czyni panu większą posługę niż sześć koni, odbywa łatwo i bez utrudzenia piętnaście do dwudziestu mil na dzień; trzydzieści zaś, a niekiedy do czterdziestu gdy jest naglony. Aby uczynić ogólne wyobrażenie usług, które zwierze to wyrządza człowiekowi, dodamy, iż wszystkie beczki, worki, paki, przesyłane w Indyach wschodnich z jednego miejsca na drugie, przewożone bywają na jego grzbiecie. Może także dźwigać ciężary na szyi, kłach, a nawet i w pysku, gdy mu je podadzą uwiązane na sznurze, który mocno ściska w zębach. Łącząc pojętność z siłą, nie tłucze ani uszkadza niczego co mu jest powierzone; przekłada ciężary z brzegu na statek, nie zamoczywszy ich, układa je zwolna na miejscu naznaczoném, potem probuje trąbą czy dobrze leżą, a gdy to jest beczka która się stacza, szuka nawet kamieni i podkłada pod nią aby leżała bezpiecznie.

Oprócz słonia używanego do przewozu ciężarów; ciekawą jest rzeczą zwrócić uwagę na słonia paradnego, który zdaje się obchodzić z pierwszym jako z pośledniejszém od siebie stworzeniem, prostém pociągowém bydlęciem, rzucając na niego pełne pogardy spojrzenia. Nie dosyć na tém: nie tylko że unika jego towarzystwa, okazuje zwykle niecierpliwość, gdy przypadkiem staną obok siebie. Tak więc szczęście psuje zwierzęta zarówno jak i ludzi.

Należąc prawie zawsze do bogatych osób, przyzwyczajony do większych starań, okryty wspaniałym czaprakiem, mając na kłach złote lub srebrne pierścienie, niosąc przepyszny *hudah* (pawilon albo wieżyczkę) w którym pan jego siedzi wygodnie, słoń od parady zdaje się pojmować całą swoją wyższość nad towarzyszem oddanym pracom pożyteczniejszym, lecz bardziéj poniżającym. Trzeba też wyznać iż w tym ubiorze ma postawę prawdziwie wspaniałą. (Zobacz rycinę).

Drabinka jest sprzętem nieoddzielnym od zaprzęgu słonia; zawieszana bywa po lewym boku, gdy podróżni mający jechać na słoniu już wsiądą na niego. Chociaż go uczą kłaść się na brzuchu, aby wstęp na niego uczynić łatwiejszym, jednakże bez pomocy drabiny nie podobna dostać się na grzbiet jego. Gdy nie jest przybrany w paradny czaprak, kładą na niego proste tylko siedzenie w kształcie pół-okrągłego fotelu z niską poręczą, w którém jak najbezpieczniéj siedzieć można; słoń bowiem ma krok niezmiernie pewny.

WĘGRY SŁAWAKI.

(Wyjątek 2gi z dziennika podróży r. 1829)

Nim głębiéj zajrzymy do Węgier, zatrzymajmy uwagę baczną na góralach i Sławakach. — Karpaty są gniazdem górali polskich, Tatry górali Sławaków; najżyźniejsze doliny nie są tak zaludnione jak nieplenne góry, a przecież żywią mnogie żelazne pokolenia górali: jeżeli w Karpatach nie braknie na licznych mieszkańcach, więcéj są zarojone Tatry, i ztąd nie próżna piosnka górali:

Sławacy! Sławacy!
Wszystka ście jednacy,
Jakoby was miała,
Jedna matka stara.
Ale ojców wiela,
Boć ich tak jest dużo
Jak na tyczkach chmiela. (*)

Chociaż te góry skaliste nie mogą same górali wyżywić, i muszą nadrabiać przemysłem, żaden góral nie zamieszka przecież.

(*) Nie znał téj pieśni T. Szafarzyk, bo w swoim zbiorze: »Pisne swetske Lidu Slawenskeho w Uhrach.» 1827 w Peszcie wydany w części drugiéj mały jéj złamek umieścił następny:

Słowaci! Slowaci!
Wssecci ste gednaci,
Ako by was mala
Wsseckych gedna maci.»

doliny, na którą jedynie schodzi dla zarobku i kupienia chleba. Oprócz przekonania o tém, od dawna powziętego, sam to naocznie doświadczyłem. Przybyłem po wybornéj drodze cały Komitat Orawski, zatrzymując się we wsi *Rewucze* nad rzeką tejże nazwy, a u stóp wysokiéj góry Szturec zwanéj, któréj nie łatwo przebydź bez pomocy górali. Nająłem małego konika, co po najniebezpieczniejszych górach wprawnie przeszedł, a takiemi są wszystkie konie górali; przymocowałem mocniéj drewniane siodło, i ruszyłem na przykrą przeprawę. Było to w Maju; rzeka Rewucza z łoskotem płynęła, słychać było kukułkę, a zielone trawy i zioła, zielone lasy, dziwnie odbijały, spojrzawszy na wierzchołek góry ubielonéj śniegiem. Z tamtéj strony góry był odpust we wsi jednéj, sławnéj cudownym obrazem; górale pobożni, przy rozwiniętych chorągwiach, gromadami postępowali zwolna zodkrytemi głowami, śpiewając pieśni nabożne. Konno towarzyszyłem jednéj gromadzie: zwolna po skalistych postępując złomach, przy huku rzeki co z szumem rozbijała spienione bałwany spadając na dolinę, spoglądałem na dorodne pokolenie mężczyzn, bo między kobietami żadnéj nie dojrzałem urodnéj.— Szła przy mnie stara niewiasta z paciorkami w ręku, i po krótkiéj znajomości rozpoczęła rozmowę. Zapytała z któréj stron jestem, a gdym jéj doliny nasze opisał i zamożność kmieci co obfitują w pszenicę, żyto i niemal wszelkie inne ziarna, potrząsała głową z niedowierzaniem. »A wy tu, mówiłem do niéj, żyjecie »w niedostatku, o chleb nawet starać się »musicie. Dla czegoż nie zejść na doliny? »przyjmą was tam radzi, dosyć tam gleby »rodzajnéj, ale rąk mało: nie doznacie nigdy »głodu i poznacie co dostatek.» Staruszka uśmiechnęła się na to, i odrzekła mi w te słowa. »Dobry panie! wy nie wiecie że wolimy tam umrzeć z głodu gdzie rodzice żyli, jak na dolinie szukać chleba.»

Nie odrzekłem i słowa; właśnie przybyliśmy na szczyt góry po dwugodzinnéj przeszło drodze: stał tam krzyż z męką pańską, cała gromada uklękła w około, i moja rozmowna staruszka; zsiadłem z konia, uklękłem z nimi razem, wzniosłem oczy, modliłem się szczerzéj, bo byłem bliżéj nieba.

W krótce cała gromada zaczęła schodzić wolnym krokiem z góry, zatrzymałem się przy krzyżu, bo ztąd daleko przejrzeć mogłem. — Jak orszak pogrzebowy, powolnie za chorągwią szła pobożnych gromada, już rzadko między drzewem powiała chorągiew, a śpiew dochodził coraz słabiéj, mięszając się z krzykiem sępa, co na pobliskiéj nagiéj skale, rozdzierał szponami zakrwawioną zdobycz.

Zacząłem się spuszczać z góry; po trzech niemal godzinach wróciłem znów na dolinę zieloną i rozkwitłe drzewa.— Kilka tysięcy nabożnych pielgrzymów już otaczało kościół sławny cudownym obrazem: na cmentarzu stał kapłan tameczny w ornat przybrany, z wyciągniętą ręką, którą każdy z przybyłych z poszanowaniem całował: pieśni święte brzmiały wszędzie: lecz co mnie zdziwiło najwięcéj, to widok jak pod krzyżem siedział dziad ślepy, przy nim dziecię może lat 10 mające. obok palił się ogień, a dym gryzący zaciemiał twarz chłopca; z zapłakanemi i czerwonemi oczyma siedział w śród niego, zdawał się ustami połykać dym jakby woń jaką, gdy niekiedy dorzucał ślepy na ogień zioła jakoweś, które z trzaskiem gorzały powiększając dym smrodliwy.

O dwie mile dojrzałem na drodze kilka długich wozów, pełnych górali z Tatrów, bom ich poznał po ubiorze: zapytani gdzie jadą, odpowiedzieli że osiędą na dolinach, bo w górach nie ma chleba. Jakoż w istocie, kilku panów Węgierskich, mając łany plenne, a rąk mało, sprowadzeniem i osadzeniem górali pewną mogli mieć nadzieję i uprawy pustych gruntów i powiększenia dochodów. Dla zwabienia ich powystawiali domy porządne, dali zapomogę w zaprzęgu i bydle, zyskowne warunki uwiodły kilkudziesiąt górali; ale we trzy miesiące spotkałem tychże samych, co porzuciwszy na dolinach wszystko, wracali na swoje góry.

—»Cóż was tak pędzi z doliny?

—»Co! zawołał stary góral, człek głupi dał się uwieść; byłoć tam domostwo i konie i krowy i woły, wszystkiego nie ma co rzec dostatek, ale rzuć okiem, nic nie widać tylko równiny i tak jakoś było tęschno, że żaden z naszych ani dnia dłużéj nie chciał zostać; porzuciliśmy wszystko i wracamy na nasze góry, tam choć głód czasem, ale człek weselszy, wszystko łatwiéj zniesie.

Żaden kmieć na dolinie nie walczy z tylu potrzebami życia, ile wysmukły góral mieszkaniec skał nagich. —Kiedym wracał na powrót tąż samą drogą przez tęż górę: było to w końcu Października: spoczywając pod tymże krzyżem, gdzie niedawno gromada pobożnych górali wznosiła modły; na wyższéj górze dostrzegłem górala jak karła, na wysokiéj połoninie koszącego kilka garści siana. Ale tu i nie każdy może się tak małym zapasem paszy pochwalić: nie zobaczy tu nawozu na ornych kawałkach, tylko małe kupki przegniłych liści z lasu, bo słoma jest tu drogą rzeczą, ztąd i domy wszystkie gontami jeno pokrywają. — Za bogatego już jest miany ten, co może zawsze jeść z solą, a do tego choć jeden połeć słoniny

wisi w komorze na kołku. — W wielu miejscach, mieszkaniec doliny aniby tchnął roli którą góral uprawia; na gołéj skale zaledwie ziemi masz na łokieć i to obszar mniejszy jak kmiecy ogród, pracowity rolnik tutejszy znosi liście z lasu, uprawia, zasiewa owies, który po tylu trudach jak zejdzie, każdy kłos porachujesz i zbiera za to kilka snopków lichego ziarna! — A przecież nie masz silniejszego pokolenia, zdaje się że przyroda tak w górach twarda i skalista, równych sobie synów utworzyła! Nie masz śmielszego żeglarza nad górala. Nieraz z trwogą patrzałem na Skawie i Rabie, przy nabrzmiałych wodach, grożących na wiosnę powodzią, jak zciąwszy z wierzchołka góry świrki, puszczają je w pędzie po spadzistéj drodze, a gdy z szybkością wiatru drzewo leci i spada w zapieniałe bałwany, zuchwały góral z siekierką w ręku, taczając się jak piłka za drzewem, wpada w wodną przepaść, i kiedy jeszcze szumi woda zapieniała po spadnięciu wielkiéj sztuki, już góral co nurkował w wodzie, wychyla głowę ubieloną pianą, błyszczy w podniesionéj ręce siekierka którą zatrzymuje sztukę drzewa pędem rzeki unoszoną, i przyciąga do tratwy! Z taką łatwością ztacza się ze stroméj góry, spada w wir wodny, zanurza się, wydobywa, skacze na tratwę i kieruje nią w locie ptasim, iż się zdaje że to dlań jest igraszką, gdzie nie idzie o życie!

Znaczna część jest między niemi pasterzy, ale wielką różnicę widziemy w porównaniu pasterzy górali Karpackich a Sławaków. U tych zowie się Baczą i z daleka rozpoznać go ubiorze można. Z szerokiemi skrzydłami kapelusz, włosy splecione w długie dwa warkocze, wysuwają się z pod niego; koszula krótka bo pół piersi jeno zakrywająca, cała czarna bo w maśle gotowana, spodnie szerokie tejże barwy, pas szeroki skórzany który niemal brzuch cały i część piersi okrywa, a za nim nóż pasterski z długą kościaną rękojeścią; między pasem a koszulą, wyzierają nagie piersi, szerokie, kudłate. Na ramieniu strzelba lub w ręku toporek. Tak Bacza przybrany pokazuje się oczom wędrownika, na wysokich połoninach, jak oczyma wiedzie za śladami jego. Między niemi jest wielu rozbójników. Pędząc samotne życie przez całe lato, tułając się po bezdrożach i tajnikach gór i lasów, gdy mu się zdarzy sposobność, obdziera. — Ziemianin Węgierski opowiadał mi wiele ich rozbojów; między tym i napadł na siebie. Czeladź swoją był porozsyłał, został sam jeden w swoim Kasztelu (1). Noc była widna, nie śpiąc jeszcze spojrzy w okno i widzi że ktoś się pod oknem zaczaja, zerwał się z pościeli i poznaje Baczę co bierze na cel jego łoże. Spodziewał się bowiem że śpi w nim pan, domu. Ziemianin nie długo czekał, celny wystrzał przeszył pościel, a Bacza uciekł. — »A »le *sem* (mówił do mnie) nie długo pasł »owce, na drugi dzień wisiał w moim ogro»dzie na tém samém miejscu zkąd wystrze»lił.»

Najwięcéj między Baczami opojów, przez cały tydzień pasąc owce. woły i konie w górach, przy niedzieli i święcie zbiegają się do gospód i ulubioną *palanką* lub *śliwowicą* uraczają się hojnie. Wtedy nie obejdzie się bez bójki; nie widziałem więcéj zuchwałych i zaciętych w bitwie. Wtedy przy brzmieniu *gajdów* (2) rozpoczynają ulubiony taniec, w którym olbrzymią ukazują siłę. Za jednym skokiem przesadzają stoły i ławy, kręcą się jak fryga i w silnych poskokach i rzutach niegrabnie naśladują węgierski taniec, powolny werbunek i szybki i chyży *friszko*.

Ci Baczowie, na Zielone świątki zostawiwszy do strzeżenia trzód wybranych towarzyszów, zgromadzają się razem: grajek z gajdami naprzód postępuje, a za nim reszta drużyny, i tak gromadnie idą do obranéj gospody, gdzie na pijatyce i tańcach cały dzień do późnéj nocy przepędzają. Są i u górali naszych *Baczowie*, ale nie tyle między niemi znajdzie rozbójników.

(1) Kasztel z łacińskiego zamek, tak dwory swoje szlachta Węgierska nazywa.
(2) *Gajdy*, jest to rodzaj naszéj kozy i dudy, którą grajek ustami nadyma.

K: Wł: W:

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.

WAN-DYCK.



Antoni Wan-Dyck (czyta się Wan-dyk) najsławniejszy malarz szkoły flamandzkiej po Rubensie, którego był uczniem, urodził się w Antwerpii w r: 1599. Ojciec jego był malarzem na szkle i nauczył go pierwszych zasad rysunku. Od niego przeszedł potem do pracowni Henryka Van-Balen, który uczył się i pracował w Rzymie u najsławniejszych mistrzów owoczesnych. Ożywiony mocną żądzą nauczenia się, młody Van-Dyck nie tracił ani chwili i doskonalił się w teoryi i praktyce umiejętności tak, iż wkrótce zdala za sobą zostawił wszystkich swoich współuczniów. Usłyszawszy o chwale i geniuszu Rubensa, prosił i otrzymał ten zaszczyt aby mógł uczęszczać do jego pracowni. Rubens odkrywszy za pierwszym rzutem oka, piękne zdolności nowego ucznia, mocne powziął do niego przywiązanie i jak najtroskliwiej go uczył: przekonywa nas o tem następujące zdarzenie.

Powiadają że pod czas nieobecności Rubensa, zaufany sługa pozwalał uczniom wchodzić do jego pracowni. Tam przypatrywali się obrazom na pół ukończonym i poznawali jego sposób pracowania i wykończania roboty. Lecz zwykle u młodzieży miesza się z nauką swawola. Pewnego razu gdy się popychali na wzajem, jeden z nich padłszy na obraz którego części cieliste wykończył Rubens, zatarł rękę i część twarzy. Przerazili się uczniowie, lękając się aby za tę szkodę Rubens nie wypędził wszystkich. Jeszcze było trzy godziny do wieczora. Jeden z uczniów poradził aby najbieglejszy z nich naprawił szkodę. Wszyscy przyklasnęli i jednozgodnie wybrali Wan-Dycka. Im bardziej obawiał się gniewu mistrza, tem większe czynił usiłowania aby mu wyrównać. Nazajutrz Rubens wszedł do pracowni razem z uczniami, spojrzał na mniemaną swoją pracę i zwracając uwagę

na części które Wan-Dyck naprawił. »Nie jest to najgorsza moja robota: rzekł. Jednakże przypatrzywszy się lepiej, poznał ślady obcej ręki, a wyznanie uczniów, powiększyło jeszcze wyobrażenie które powziął o talencie Wan-Dycka. Talent ten nie raz przydał się Rubensowi, który przeciążony pracą używał pomocy swego ucznia.

Wan-Dyk już celował w malowaniu portretów, gdy opuścił pracownię Rubensa. Wiele osób tak hojnie zapłaciło mu za jego pracę, iż szczególniej oddał się temu rodzajowi malarstwa. Mylne więc jest mniemanie, że Rubens przez zazdrość poradził Wan-Dyckowi porzucić rodzaj historyczny, a zająć się malowaniem portretów. Wiemy prócz tego, że Wan-Dyk malował obrazy historyczne, porzuciwszy szkołę Rubensa, a ciągłe oznaki poważania i wdzięczności, oddalają wszelką myśl o nikczemném uczuciu zazdrości między nauczycielem i uczniem.

I owszem, ciesząc się z powodzenia i sławy Wan-Dycka, poradził mu aby pojechał do Włoch i tam wydoskonalił się przez rozważanie najpiękniejszych dzieł sztuki. Wan-Dyck zatrzymał się najprzód w Wenecyi i upodobał sobie wielkich kolorystów téj szkoły. Ze szczególną troskliwością rozważał obrazy Tycyana i Pawła Weroneza, kopiował najlepsze utwory tak doskonałych malarzy, a mianowicie zastanawiał się jakim sposobem malowali portrety. Mieszkał potem w Genui, w Rzymie i rozmaitych miastach włoskich, ucząc się zarazem i korzystając ze swojego talentu. Udał się potem do Sycylii i tam odmalował xięcia Filiperta Sabaudzkiego, wówczas wice króla téj wyspy, a przez czas niejaki zatrzymał się w Palermo. Znaczne prace rozpoczął, ale gdy zaraza morowa rozszerzyła się w tym kraju, odpłynął do Genui, a tam zabawiwszy się przez czas niejaki, powrócił do Flandryi.

W rodzinnym kraju ściągnął uwielbienie wielu pracami, z których pokazywało się ile skorzystał we Włoszech. Kanonicy z Courtray zamówili u niego obraz do wielkiego ołtarza w kościele katedralnym. Wan-Dyck wymalował J. Chrystusa na krzyżu i wybrał tę chwilę, kiedy po przybiciu ofiary do tego narzędzia męk, dźwigają krzyż do góry, aby go utkwić w ziemi. Gdy artysta ukończył dzieło swoje, kapituła mało obeznana ze sztukami pięknemi, zganiła obraz i powiedziała że malarz jest nędznym bazgraczem. Wan-Dyck ledwie tego dokazał że obraz jego przyjęto i zapłacono umówioną kwotę. Kilku znawców przejeżdżając przez Courtray, z uwielbieniem ujrzeli ten obraz: ich opowiadanie sprowadziło ciekawych z innych miast Flandryi, a trafni sędziowie uznali, że ukrzyżowanie jest arcydziełem Wan-Dycka. Kanonicy poznawszy swoją grubą omyłkę, prosili Wan-Dycka o inne obrazy, lecz nie chciał dla nich pracować.

Nieprzyjemności których doznawał od swoich dawnych współtowarzyszów w nauce, daleko niższych od niego, były mu przykrzejsze niżeli mylny sąd nieznających się zakonników, a Wan-Dyck znużony przyganami zazdrości, opuścił Belgią i udał się do Hagi. Odmalował tam portrety xięcia Oranii, całéj jego familii, panów dworu, posłów zagranicznych mocarstw, najbogatszych kupców i wielu cudzoziemców, którzy naumyślnie jeździli do Hagi aby mieć portret jego roboty. Pojechał ztamtąd do Anglii i Francyi i znowu powrócił do Anglii, dokąd wezwał go Karol I i przyjął jak najzaszczytniej.

W owéj to epoce, Wan-Dyck porzucił zupełnie przedmioty historyczne, dla malowania portretów. Ponieważ bardzo pracował, drogo kazał sobie płacić i otrzymywał rozmaite łaski od króla, mógł był zbogacić się niezmiernie, gdyby nie chciał żyć jak xiążę. Trzymał otwarte i przepyszne stoły, miał wspaniały ekwipaż, konie wierzchowe i służących, pożyczał wszystkim przyjaciołom, tak dalece, że dla wystarczenia na te wydatki, zawierzył czczym obietnicom alchimistów, którzy strwonili znaczną część jego bogactw.

Ożenił się z córką lorda Rutwen, hrabi Gorei. Ale jego małżonka przyniosła mu w posagu samą tylko wysoką rodowitość i piękność. Umarł na suchoty w Londynie, w r. 1641; a mimo nadzwyczajnego marnotrawstwa Wan-Dycka, wdowa jego zebrała znaczną kwotę ze szczątków mężowskiego majątku.

»Jeźli znawcy nie mieszczą Wan-Dycka jako malarza historyi na równi z Rubensem, mówi Watelet, przyznają że go przewyższył delikatnością kolorytu. Jeźli nie posiadał takiej mocy i obfitości geniuszu, rysunek miał delikatniejszy i prawdziwszy koloryt. Połączając te przymioty, byłby może przewyższył swego nauczyciela, gdyby nie za często odrywał się od tego rodzaju, dla malowania portretów. Jako malarz portretów, zajmuje pierwsze miejsce po Tycyanie i to jeszcze Tycyan wyższym jest tylko co do malowania głów, a Wan-Dyck przewyższa go wytwornością i gustem okolicznych przedmiotów. Oddawał je z większą prawdą, wystawiał charakter osoby którą malował i nie wpadał w ten sposób zimny, jaki częstokroć bywa udziałem malarzy portretów.

Wan-Dyck podobnież jak Rubens, nadzwyczaj wiele malował, tak dalece, iż po-

jąć nie można jakim sposobem artysta zmarły w czterdziestym drugim roku życia, zostawił tyle obrazów. To prawda że przy końcu życia, pod czas pobytu w Anglii, obarczony robotami, pracował z wielkim pośpiechem i wcale nie wykończał prac swoich; lecz nie przez nie też zyskał tak wielką sławę. Znaczna liczba jego dzieł wykończonych należycie, poświadcza, że umiał połączać łatwość z poprawnością.

Pomiędzy jego obrazami: pisze wydawca Mozaiki francuzkiej: moglibyśmy wahać się w wyborze tego, któren chcemy przedstawić oczom naszych czytelników, gdyby ten wzgląd, że czytelnicy z upodobaniem ujrzą i wyobrażenie Wan-Dycka i próbę jego talentu, nie skłonił nas do załączenia kopii portretu, w którym on sam siebie odmalował.

Muzeum Luwru posiada wiele płodów tego artysty, między niemi szczególniej zwraca uwagę portret Karola I. w chwili gdy zsiadł z konia w towarzystwie giermka i pazia, i *Swięty Sebastyan*, w którym poprawność rysunku, walczy o pierwszeństwo z zachwycającą pięknością kolorytu.

STAROŻYTNE WESELE SERBSKIE.

(Podług dawnéj Serbskiej dumy.)

W Numerze 5 Muzeum Domowego, umieściliśmy opis wesela Serbskiego, jak dotychczas jeszcze w Serbii obchodzą. Dla porównania dołączamy opis starożytnego wesela, które maluje dzielność i zręczność dawnych Serbów, a co nie było nadzwyczajnym wtedy i u innych pokoleń Sławiańskich.

—»Janko z Sybina (*) z wybraną dziewką, miał się ożenić, więc Swaty wysyła, w drogę strojnie i zbrojno; a między nimi swego siostrzana, Zakulę Wolharina.

—»Zakula siodła rumaka, co już nie w jednéj rżał bitwie. Oblókł się w szaty wolbarskie, i w dali za swatami, niepoznany od nikogo, zwolna drogą postępnje.

—»Wszystkich swatów wprowadzili, do białego wiodą dworu; sadzają za długiemi stołami.

—»Gdy ztrudzeni drogą swaty, wzmocnili członki omglałe, a pokarmem i napojem głód i pragnienie nasycili, na kopji jabłko przynieśli, postawili na podwórcu.

»Kto te jabłko z kopji zbije, ten otrzyma dziewicę.»

—»Wolharin skacze na konia i naciąga mocny łuk; każdy patrzy, i ciekawy w koniec kopji wzrok wlepia.

(*) Sybin w Siedmiogrodzie.

—»Ledwie od mocnéj cięciwy, wyskoczyła z łuku strzała, świszcze pierzem, a przeszywszy środek jabłka, z jabłkiem upada na ziemię.

—»Dziewięć koni wywiedziono, przed Janka wojewodę, by przeskoczył wszystkie konie: »Gdy przeskoczy dziewięć koni, wtedy dostanie dziewicę.»

Zastępując Janka z Sybinu, Wolhar staje w jego miejscu, rozpędza się jak jaskółka, przeskakuje dziewięć koni, dziewięć koni wszystko dobrych. Dziesiątemu na grzbiet skacze i na siodle mu usiada.

III.

—»Jeszcze nie koniec! pan dworu woła, niechaj gra trzecia zakończy.

Wywiedziono dziewięć dziewic, wszystkie były osłonione: nie dojrzałeś żadnéj lica, nie dojrzałeś żadnéj szyi, ni ciała ręki łabędziéj. —Między temi narzeczona Janka z Sybinu jest ukryta. — Gdy ją Janko Wojewoda pozna między dziewicami, wtedy rękę jéj otrzyma i do swego Dworu weźmie.

Zakul idzie przed zakryte dziewice, rozsypał garścią pierścienie, dobył miecza szerokiego, i w te słowa się odzywa:

»Weź sobie drogie pierścienie, wybrana »Janka dziewico! A jeśli która zuchwała, »sięgnie ręką po dar drogi: tym mieczem co »dzierżę w dłoni, utnę jéj rękę po ramie.»

—»Wszystkie zadrżały, dziewica Janka śmiało z grona występuje, pierścienie złote zbiera i kładzie na białe palce z radością.

Wtedy dopiero Janko z Sybina, bierze za rękę swą lubą i dziękuje siestrzanowi. Znów wszystkich swatów do dworu proszą, na komnaty wprowadzili i w białym dworze jedząc i pijąc, za długie stoły posadzili.

K. Wł. W.

GALERNICY WE FRANCYI.

W artykule o Systemacie poprawczym więzień, umieszczonym w Numerze 41 Muzeum Domowego z roku zeszłego; skreśliliśmy zarys usiłowań podejmowanych u rozmaitych narodów; a mianowicie Anglików i Amerykanów, dla poprawy więźniów i uczynienia ich użytecznemi członkami społeczności, po wytrzymanej karze. Po tym obrazie, pocieszającym przyjaciela ludzkości, przychodzi nam wystawić zajmujący i ciekawy wprawdzie, ale smutny obraz stanu winowajców, skazanych na cięzkie i dłuższe więzienie i z tego powodu używanych do prac w portach Tulonu i Brestu we Francyi. Kraj ten, tak szczycący się ze swojéj cywilizacyi, nie jeszcze nie przedsięwziął



GALERNICY PRACUJĄCY.

coby na poprawę więźniów wpływać mogło, coby ich przynajmniéj ochraniało od gorszego zepsucia. We Francyi, winowajca, który się raz dopuści występku i na karę zasłuży, już na zawsze wytrącony jest ze społeczeństwa; daremnie usiłowałby wrócić na drogę cnoty, społeczność nieszczęsnym powodowana przesądom, odpycha go od siebie, zamyka mu drogę poprawy i pracy, a niedostatek i nędza, zmusza go do nowych zbrodni i otwiera mu bramy więzienia, które się za nim na zawsze zamykają. Chcecież wiedzieć jaki jest stan winowajcy poddanego pod niezbłaganą surowość prawa, któremu religia nie przynosi pociechy i nauki, nad którym nie czuwa zbawienna przyjaciół ludzkości opieka? przeczytajcie opis galerników Tulońskich.

»Pod czas mego pobytu w Tulonie, mówi autor francuzki tego artykułu, miałem sposobność, dzięki uprzejmości prefekta morskiego i naczelnego Komissarza więzienia, obejrzeć sale przeznaczone dla galerników, ich warsztaty, szpitale; widziałem przybycie nowo skazanych, zgoła powziąłem zupełne o nich wyobrażenie.

Nic nie może bydź smutniejszego jak widok tych wszystkich ludzi ubranych czerwono, przykutych jeden do drugiego i gromadnie prowadzonych do warsztatu, pod dozorem straży galerniczéj.

Mimo jak największych środków ostrożności, często bardzo uciekają złoczyńcy. Nie podobna sobie wyobrazić jak dowcipnych używają sposobów: ale prawie zawsze schwytają zbiega, i ucieczka posłuży mu tylko do przedłużenia kary.

Galernika łatwo poznać po ogolonéj głowie i po stalowym pierścieniu założonym przy kostce, którego nie może przepiłować i który odejmują mu wówczas dopiero, gdy go wypuszczają na wolność po wysiedzeniu kary. Operacya ta jest bardzo niebezpieczna, galernik kładzie się na brzuchu; nogę jego opierają na przenośném kowadle, jeden z jego towarzyszów trzyma ją, a drugi kruszy pierścień, uderzając młotem w dłuto przytknięte do niego. Zdarza się częstokroć, że mylném uderzeniem zgruchocą nogę więźniowi. Również bolesne i niebezpieczne są roboty przy okowaniu.

W dzień i w nocy jak najpilniejszy utrzymują dozór; w nocy, skoro tylko żołnierz stojący na straży, usłyszy chociażby najmniejszy hałas, natychmiast daje ognia, jeźli nie odpowiedzą na zawołanie *kto idzie!* Tego dnia gdym zwiedzał więzienie, zdarzyła się podobna katastrofa. Poszedłem do naczelnego chirurga, który mi przyrzekł że mię oprowadzi wszędzie. Nazajutrz rano obejrzałem te piękne przykryte warsztaty, na których budują okręty wojenne i z nich spuszczają je do morza. Po drodze spotkaliśmy szeregi galerników po trzydziestu do czterdziestu, z nagą szyją i boso, przykutych po dwóch i dążących na robotę. Okropny, obmierzły widok przedstawiało to połączenie, ta mieszanina wszystkich stanów, wszystkich klass społeczeństwa, porównanych przez występek. Młodzi, ludzie w wieku dojrzałym, starcy, mulaci, zmieszani, jak trzoda bydła, szli jedni za drugim i usiłowali uśmiechać się postrzegając nieznajomego. Skorośmy tylko przyszli do sali więzień, adjutant doniósł naczelnemu chirurgowi o śmierci jednego galernika, który chciał był uciec i zabity został przez żołnierza stojącego na warcie. Weszliśmy za adjutantem do sali wysokiéj i posępnéj, gdzie siedzą złoczyńcy których mają stawić przed sądem galerniczym za to, że się dopuścili niesforności. Zwłoki zabitego leżały przed niemi: spoglądali na nie obojętnie, nazwyczajeni zapewne do takiego widoku. Ztamtąd poszliśmy do szpitala, gdzie na trzy tysiące galerników było tylko pięćdziesięciu chorych. Trzeba przyznać że ten szpital jest jak najlepiéj utrzymywany; siostry miłosierdzia dozorują galerników i ciągle okazują dowody poświęcenia się i ludzkości.

Galernik dostaje funt chleba na dzień, i trochę gotowanego grochu, po kilka soldów dają na wino i mięso tym, którzy są używani do prac bardzo ciężkich. Nikt nie jest wyłączony od pracy w porcie, chyba ci których używają w biórach administracyi, którzy już nie długo wyjśdź mają z więzienia, i ci o których dobrém postępowaniu przekonała się zwierzchność. Gdy z powodu przykréj pory nie mogą pracować w porcie, zręczniejsi z pomiędzy nich robią rozmaite drobiazgi, które przedają odwiedzającym: są to po większéj części rzeźby na orzechach kokosowych, albo roboty ze słomy.

Mulon skazany na dziesięć lat galer, za kradzież dyamentu panny Mars, założył swój warształ tuż przy porcie i następujące uwiadomienie rozdaje tym co go odwiedzają. *Artysta rzeźbiarz na kruszcu i słoniowéj kości, ma przy tém dobór robot ze słomy, naśladujących malowanie, ryje pieczęcie herbowne i t. d.* Pokazał mi tabakierkę na któréj wyryte było dziecię wyciskające sok z grona winnego; postać była dobrze odrysowana i wykończona. Za wyroby swoje naznaczał dosyć drogą cenę, lecz na ten zarzut odpowiedział, że stara się zadowolnić osoby które go *zaszczycają swojém zaufaniem* i spodziewa się, że przez wzgląd na jego dobre postępowanie, skrócą mu czas kary za *głupstwo* którego się dopuścił. Wielu dozorców zapewniło mię, że sobie nazbierał dużo pie-

nędzy. Sprawuje się dobrze. Po wytrzymanej karze zamyśla udać się za granicę i żyć jako człowiek uczciwy.

Teraźniejszy naczelny komissarz galer, zaprowadził różne ulepszenia, i ograniczył karę cielesną, którą dozorcy wymierzali samowolnie. Zbiegły więzień i schwytany w ucieczce, podpada karze przedłużenia pobytu na galerach. Wiele jest przykładów że winowajcy skazani na lat pięć, siedzieli z tego powodu przez całe życie.

Opłakaną jest rzeczą pomyśleć sobie, że tak surowej kary używać trzeba; ale jakże postępować z ludźmi, których nic przestraszyć nie zdoła? Trudno jest także zaprowadzić znaczne ulepszenia na galerach Tulońskich, w moralnym systemacie więzienia. Teraźniejszy komissarz mocno się temzajmował, chciał oddzielić mniej winnych i mniej zepsutych, od zatwardziałych zbrodniarzy, lecz potrzeba mnóstwa rąk do pracy przy budowie okrętów, jest temu na przeszkodzie. Żądają trzydziestu, czterdziestu ludzi razem, musi tę liczbę dopełnić bardziej zepsutemi, a przez to pomieszanie zepsują się drudzy. Od niejakiego czasu, znacznie polepszył się stan fizyczny więźniów.

Najprzykrzejsza dla nich jest podróż do galer, którą odbywają razem okuci; a potem sypianie na gołych deskach, a mianowicie w zimie.

Uważałem, przypatrując się uważnie fizyonomii rozmaitych złoczyńców, że nędza, upodlenie i nałogi więzienia, zmieniają u nich pierwotny wyraz fizyonomii i na wszystkich wyciskają podobne piętno.

Przed kilkunastu laty widziałem w wigilią odejścia galerników do Tulonu, człowieka skazanego na tę karę, lecz jeszcze nie miał na sobie ubioru więźnia, a jego obejście się oznaczało osobę z wykształconego towarzystwa. Był to dawny notaryusz, skazany na lat dziesięć do galer za sfałszowanie akt. Widok tego człowieka, głębokie wrażenie uczynił na mnie i pamiętałem o jego nazwisku. Zapytałem się o niego, zwiedzając galery. Pokazano mi go; ledwiem go poznał, rysy jego zmieniły się zupełnie, przybrały wyraz nikczemności. Nędznik ten przejął wszystkie wady najbardziej zepsutych więźniów, dwa razy chciał uciekać i za to o dziesięć lat przedłużono jego karę.

Na dopełnienie tego artykułu, skreślimy obraz przybycia złoczyńców do galer. Przybycie to obudza zarazem obrzydzenie, litość i przestrach. Komissarz zawczasu poczynił wszelkie przygotowania, straż stoi pod bronią, wielkie kadzie nalane wodą, czekają na nowo przybyłych, suknie i okowy są przysposobione.

Złoczyńcy przybywszy na miejsce, zrzucają swoją odzież i rozebrani do naga, myją się w przygotowanych kadziach, potem kują ich po dwóch razem. Wszystkie znaki na ciele, opisane są z jak największą dokładnością, aby ułatwić chwytanie zbiegów. Potem odprowadzeni są do sal i mają ośm dni do wypoczynku. Po upływie tego czasu, używani bywają do najcięższych prac w porcie.

OLKUSZ.

(*Wyjątek z 5go zeszytu Powszechnego Pamiętnika Krakowskiego.*)

Zaledwie podróżny opuści rozkoszne okolice Ojcowa i Piaskowej skały, otwiera mu się morze piasków, rzeczywista polska *Sahara*. Nie ma podobno na całej ziemi polskiej, dwóch gwałtowniej rażących sprzeczności, czarująca piękność i okropna dzikość przyrody sąsiadują z sobą. Trzeba odbywać tę podróż żeby pojąć jak dziwne mogą się w duszy obudzić uczucia, kiedy wzrok cudownemi Ojcowa zachwycony widokami, nagle na pustynię piaszczystą paść musi, i zamiast rozkosznie ożywionej przyrody, gdzie niegdzie tylko karłowatą sosnę, albo poziomy dostrzega jałowiec. Śród tego oceanu piasków, błyszczą posępną wieków powleczone barwą, rozwaliny sławnego w starożytności srebrnemi kopalniami miasta, Olkusz zwanego. Od północy i wschodu czernią się po wzgórzach zsepiska żużlów, a tu i owdzie rozrzucone chatki wieśniacze, są całą ozdobą rozległej, dzikiej okolicy. Ale przyroda jak gdyby na pokazanie człowiekowi, że często pod nędzną zwierzchnią powłoką, wielkość spoczywać zwykła, ukryła w łonie piaszczystego morza zadziwiające ogromem bogactwa. Nie można twierdzić z pewnością, kiedy miasto Olkusz wzięło początek, ale niewątpliwie, odkrycie srebra musiało poprzedzić jego założenie; bo nikt by z upodobania tak dzikiej i nieurodzajnej nie zasiedlał okolicy; wszakże i ta, równie jak tamta pamiątka, ginie w zamęcie odległej starożytności; wiadomo tylko że już w wieku XII. skazywano występnych na kopanie kruszczów, ale czy do Olkusza, czy do innego jakiego miejsca wysyłani byli, milczą dzieje piśmienne i ustne podania. Ładowski pisarz historyi naturalnej, twierdzi, że za panowania Kazimierza W. niejaki Grzegorz Augustyjanin, pierwszy odkrył w Olkuszu srebro; ale nie wymienia źródła, z którego tę wiadomość wyczerpnął. Naruszewicz na wiarogodnych opierając się dowodach, powiada że Elżbieta Łokietkówna, matka Ludwi-

ka króla, nadała miastu Olkuszowi w roku 1374 przywilej wolnego dobywania kruszczu. Na jak wysokim zaś stopniu musiały już stać kopalnie olkuskie w wieku XVstym, dowodzi to zdarzenie, że w r. 1455 Irzyk Stosek Morawczyk i niejaki Swiborowski, z zgrają rabusiów wpadłszy, 800 koni przeznaczonych do wydobywania wody z kopalń Olkuskich, z sobą uprowadzili.

Przywilej ten, mówi Swięcki, rozporządza dobywanie kruszczów w ten sposób: wszyscy mieszczanie albo ludzie skądkolwiek przybywający, mieć będą milę rozległości na okrąg miasta, w którym obwodzie będą mogli szukać, dobywać i topić własnym kosztem kruszce; z tych na czysto przetopionych, będą oddawać żupnikom do skarbu królewskiego jedenasty centnar ołowiu, a dziesięć sobie zachowają, z wolnością wywiezienia nawet za granicę. Podatek ten nazywał się *Olbora*, jak świadczy Czacki o prawach litewskich T. II. karta 199. Zastrzeżono jeszcze tymże przywilejem podatek dla skarbu zwany *Frejhaller*, po jednym pieniądzu od centnara ołowiu i od baków ziemi, tudzież od sądów żupniczych; względem własności i innych przepisów odwołano się do dawnych zwyczajów, praw górniczych i tyrolskich. Miało to miasto późniejsze ustawy, statuta Montana zwane, 1551 r. przepisane. Pierwsze powszechne badanie kruszczów w części naszego kraju, było za Alexandra króla 1501 roku; pozwolił monarcha ten, Stanisławowi Tarnowskiemu z Poznania i Pawłowi z Gdańska w wszystkich dobrach szukać kruszczów, a od znalezionych opłatę dawać, jak górnicze prawa czeskie i węgierskie przepisują. Zygmunt I. postanowił 1517 r. urząd *Camerarii Montani* na całe królestwo i mianował tym urzędnikiem Lanckorońskiego. Jeszcze Zygmunt II. w r. 1574, potwierdził towarzystwo od Jasta Ludwika Decyusza do szukania kruszczów w województwie krakowskiem ustanowione, w tej ustawie między minerałami i cynober liczy. Zygmunt August 1550 r. miastu Chęcinom potwierdził *Jura Montani*, i pozwolił kopać w okolicy kruszcze za opłatą dziesiątej części *Olbora* zwanej i jednego grosza od niecki kruszczu. Za Zygmunta III. znaleziono miedź niedaleko Kielc, uformowało się tam górnictwo, czyli towarzystwo górków, porządkowe między niemi pochwały spisano, te z innemi aktami wojna do Swecyi przeniosła, które Sierakowski sekretarz legacyi polskiej w Sztokolmie w r. 1792, wypisał i dał do użytku uczonemu Czackiemu.

Była też w Olkuszu mennica Królewska, ale czasu jej założenia równie śladu dzieje nie zostawiły. Za panowania wszakże Kazimierza Jagielończyka, znano już karę śmierci na fałszujących monetę krajową, a Zygmunt I. gmachy mennicze w Olkuszu pobudować kazał. Gruzy tych gmachów długo zaniedbane, wreszcie w r. 1828 odnowione, na pomieszkanie dla władz rządowych przeznaczone zostały.

Nie ma wątpliwości, że kopalnie srebra w Olkuszu, były jednem z najważniejszych źródeł wewnętrznego bogactwa kraju, że więc, szczególniej za czasów Zygmuntowskich, bardzo obficie dostarczały srebra; dopiero nieszczęsna wojna szwedzka w roku 1615, i tę okolicę okropną klęską dotknęła. —„Zabrał, powiada Swięcki, górników Mellor generał szwedzki oblegający Częstochowę, do wykucia przekopów w twardej i skalistej Jasnej Góry opoce; ci od wystrzałów z twierdzy a w ostatku przez wycieczkę wybici zostali.

Tak więc złe przeznaczenie mieć chciało, że kiedy Olkusz w gruzy się zamienił, kiedy Szwedów ręka wodami kopalnie zalała, a umiejętni górnicy Olkuscy wyginęli, zabrali Szwedzi akta górnicze do Sztokholmu; tym sposobem już nie można było powziąć wiadomości i podźwignąć kopalni. Po tak nieszczęsnem zdarzeniu, stały gruzy wielkiego i kwitnącego miasta, przez lat kilkadziesiąt zupełnie od ludzi opuszczone.

Podług twierdzenia Staszyca, dawne roboty podziemne rozciągają się na około Olkusza w rozległości mil kilku, wody zawsze największą przeszkodą były. Dawni Olkuszanie, mając sobie przywilejem, wzgórza opasujące miasto, nadane, środkiem w podziemnych robotach, w głębi dwudziestu czterech sążni, wybili dwa wielkie kanały, (Bonikowski i Bielecki), które od miasta aż do wsi Bolesławia pod ziemią się ciągną.

Malte-Brun powiada, że podług świadectwa, akt publicznych, dochód w roku 1658 samej dziesięciny Królewskiej, *la dime*, wynosił 1225 grzywien i 14 łotów srebra i 1358 centnarów ołowiu; co ceniąc jak najumiarkowaniej, 476,773 złpol: starych, czyli na teraźniejszą monetę, blisko dwa miliony złp: czyniło dochodu (?). Dodaje jeszcze, iż należność królewska, nie była z wielką wybierana skrupulatnością. Rozważając położenie okolic Olkusza, wśród niezmiernych zsepisk piasku położonego, oczywistą pokazuje się bydź rzeczą, że wody zalewające tamecznych kopalń bogactwa, są skutkiem pochłonionych potoków. Jakoż strumień przez wieś Zurada płynący i drugi z źródeł między Olelinem i Kosnotowem powstający, oraz potok *Baba*, upłynąwszy przestrzeń pewną, nieznacznie nikną w ziemi. Wody te kilkakrotnie zatamować usiłowano; ale nigdy do ostatecznego wzięcia się nie przyszło. Za panowania Stanisława

Augusta, stowarzyszenie się kilkunastu obywateli usiłowało odnowić zaniedbane kopalnie Olkusza; a chociaż się tylko jak wieść niesie, wypłóczkami wydobywanych przed laty złomów kruszczowych zatrudniało, zyskowną jednak pracy i wydatków swoich znajdowało nagrodę. Prusacy robili niektóre usiłowania, Austryacy także zabierali się do doświadczeń; rząd nakoniec Królestwa Polskiego do wydobywania wód podziemnych kosztowne sprowadził maszyny, lecz jeszcze dotąd nie są w ruchu. Tyle o kopalniach Olkusza. Dziś to miasto, niegdyś ludne i zamożne, jest bardzo zubożałe i podupadłe. Zwaliska i gruzy daleko rozciągają się w około. Godne też są podziwienia starożytne piwnice, pod całem rozłożone miastem, znaczna ich część we trzy piętra (kondygnacye) w głąb zabudowana, a niektóre w ćwierć milowéj przeszło długości za miasto się ciągną. Cały pokład miasta zapełniony jest odwiecznemi szybami, środkiem miasta i rynku ciągnie się główna sztolnia, całe zaś miasto i okolica przyległa, podryta i pełna szyb starożytnych, obecnie wodą zalanych, albo zawalonych gruzami. Są też, w około miasta ślady hut i pieców górniczych, w stronie północnéj i zachodniéj szczególniéj mnoga ich jest ilość. Wszystko przedstawia widok najokropniejszego zniszczenia.

Rodzaj gruntów otaczających miasto Olkusz, jest prawie całkiem do uprawy nie zdatny, to też mieszkańcy tameczni, bardzo się mało rolnictwu oddają; głównem ich zatrudnieniem jest wyszukiwanie ołowiu w wierzchnich pokładach ziemi, który do zakładów rządowych sprzedają. Wnosząc z dotychczasowych doświadczeń, z dziejowych świadectw i podań miejscowego ludu, nie można wątpić że i z największym nakładem przedsięwzięte prace, około przywrócenia dawnego stanu kopalń olkuskich, sowicieby wynagrodzonemi zostały. (1).

(1) Do dziejów miasta Olkusza, należy jeszcze wspomnieć, że tu się urodził mąż sławny naukami, Marcinem z Olkusza zwany, do układu reformy Kalendarza rzymskiego wyznaczony, Brudziszewskiego uczeń, a nieśmiertelnego Kopernika towarzysz. (Sołtykiewicz o stanie akademii Krakowskiej na karcie 251). Łagodne mieszkańców tego miasta obyczaje i wytworność, chleb przedniejszego pieczenia jak krakowski, mięso i obfitość wszystkiego co do wygody życia należało, Starowolski w opisie krajowym wychwala. W nadgrobkach zaś w kościele parafijalnym i u Xięży Augustyjanów została nam pamięć, jak możni, jak oświeceni byli tu mieszkańcy, kiedy niektóre nawet kraje zagraniczne dla nabycia wiadomości w sztuce górniczéj zwiedzali. Patrz Monumenta Sarmatiae, Starowolski na karcie 621 między innemi Bartłomiej Hythni burmistrz i dyrektor sztolni, Stara Olkuska zwanéj.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Piąty zeszyt Powszechnego Pamiętnika Nauk i umiejętności wychodzącego w Krakowie, obejmuje następujące artykuły.

O nabożeństwie starożytnych Sławian.— Estetyka uważana jako umiejętność.— Słowo o kształceniu się Polaków na stopę francuzką. — Osobliwości narodowe pod względem namiętności i charakterów. —Opis starożytnych miast, zamków i wszelkich innych budowli w Polsce. — O rzeczach pożywnych i głodzie. — Kronika literacka: Rozbiór dzieł nowo wyszłych. a) Słowo Xenofonta o wyprawie wojennéj Cyrusa, przełożył C. C. Mrongovius. b) Nowa metoda uczenia przez M. A. Jazwińskiego. c) Filozofia i przysłowia ludu w Polsce, rozprawa przez W. P. napisana.— Rozmaitości naukowe, literackie, historyczne, statystyczne przemysłowe, lekarskie i t. d.

CENA PRENUMERATY
MUZEUM DOMOWEGO.

w Warszawie, W KANTORZE GŁÓWNYM w xięgarni F. S. Dmochowskiego przy ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D. oraz w innych xięgarniach i Kantorach, rocznie złp. 18. półrocznie złp. 10.

Na Prowincyi, W Urzędach Pocztowych i po xięgarniach, rocznie zł 24. półrocznie złp 13.

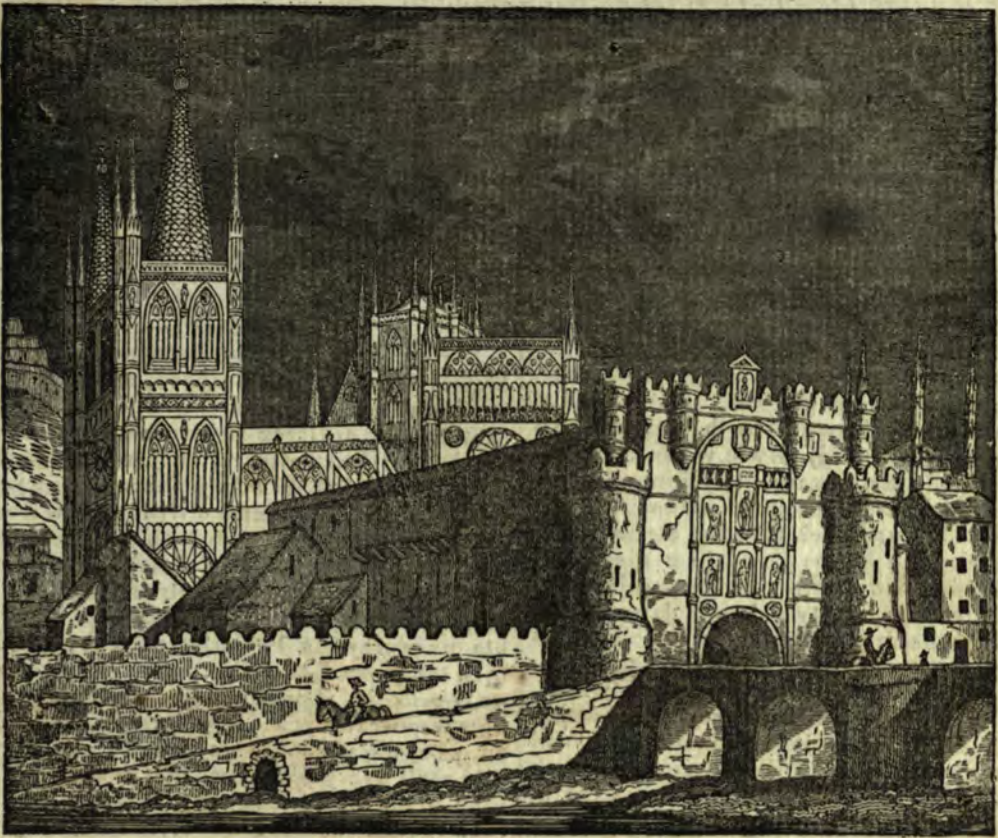
Można także prenumerować na Urzędach Pocztowych oraz u następujących xięgarzy.

w Kaliszu u Jahnischa.
w Radomiu w xięgarni tamtejszéj.
w Lublinie u Streibla.
w Poznaniu u T. Scherka.
w Krakowie u Friedlejna i Czecha.
w Wilnie u Zawadzkiego.
tamże u T. Glücksberga.
w Winnicy na Podolu i w Kamiencu Podolskim. } w xięgarniach braci Lechów

Osoby prywatne na prowincyi zamieszkałe, któreby raczyły dopomódz upowszechnieniu pożytecznych nauk, przez zatrudnienie się zbieraniem prenumeraty, otrzymają na 10 exemplarzach 11sty gratis.

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.

BURGOS.



Powodowani próżnością, której liczne znajdujemy przykłady, genealogiści miasta Burgos chcieli początek jego wywieśdź od Rzymian, lecz nie ma na to dostatecznych dowodów. Założycielami miasta Burgos byli Wizygotowie, którzy po bitwie pod Xeres i la Frontera, przybrali nazwisko chrześcian, dla rozróżnienia się od Arabów zalewających większą część kraju i dopiero na początku XVIgo wieku zamienili je na ogólne nazwisko Hiszpanów, w chwili gdy skończyło się panowanie Aarabów, a cały kraj rozdzielony dotąd na małe państwa, złączył się pod jedno berło i utworzył wielkie mocarstwo Hiszpanii.

Alfons I. założyciel królestwa Leonn, zbudował kilka miasteczek między rokiem 730 a 750 w Bardulii, nazwanéj potém starą Kastylią. Ponieważ Maurowie pustoszyli te osady, Alfons III. zbudować kazał dla ich obrony warownią na wzgórzu, nad brzegiem rzeki Arlanzon. Zamek ten umieszczony pośród kilkunastu miasteczek, nazwany został Burgos. Stara Kastylia wkrótce stała się kwitnącą i potężną, i utworzyła oddzielne królestwo. Fernand Gonzales, w którego żyłach płynęło kilka kropel krwi Karola W, uskutecznił to rozłączenie. Życie jego odznaczało się takiém mnóstwem politycznych i bohatyrskich przygód, że je prawie za romans poczytać można. Fernand Gonzales był założycielem królestwa Staréj Kastylii, chociaż nie nosił tytułu króla. Stara Kastylia ciągle od tego czasu miała pierwszeństwo nad innemi stanami, a w epoce utworzenia się królestwa Hiszpanii, otrzymała przywiléj, że jéj deputowani najpierwsi zabierają głos na obradach stanów i noszą chorągiew przy koronacyi nowego króla. Burgos jest stolicą téj prowincyi, wsławionéj w XV. wieku, wielkiém Izabelli imieniem.

Najdawniejsze domy tego miasta, dotykały się murów warowni, za czasem mieszkańcy posuwali się daléj, w miarę oddalania się niebezpieczeństw, a nareście, gdy już nastała zupełna spokojność, miasto rozpostarło się nad brzegami rzeki Arla..

zon, tak, iż ulica dzisiaj najbardziéj wywyższona, była niegdyś najniższą. Na téj to ulicy zwanéj starą, znajdują się dwa najważniejsze pomniki miasta Burgos. Pierwszym jest łuk tryumfalny, pięknego kształtu, wzniesiony w miejscu gdzie niegdyś stał pałac Fernanda Gonzales, drugim jest część muru, na którym widać jeszcze szczątki wielkiéj tarczy herbownéj. Napis tegoczesny (położony roku 1784) wskazuje nam że to są ostatnie ślady domu bohatyra, który był celem chluby i miłości wszystkich Hiszpanów, sławnego Roderyka z Biwaru, znanego pod imieniem Cyda.

Inne pomniki miasta Burgos, są także bardzo zajmujące pod względem sztuki. Kościół katedralny zbudowany w wieku XIII. jest jednym z najwspanialszych w całéj Hiszpanii. Jego wzniosłe dzwonnice, mnogie rzeźby, ozdoby delikatnie wyrabiane, tworzą zbiór wszystkich piękności architektury gotyckiéj. Dwie wieże na szczególną zasługują uwagę. Wycięte na przestrzał tak, że je przejrzeć można, wznoszą się do wysokości 300 stóp; liczne strzały wznoszące się tu i owdzie w nierównéj wysokości, ozdobione z nadzwyczajną lekkością, towarzyszą tym dwom dzwonnicom w ich śmiałém wzbijaniu się pod obłoki. Gmach najeżony takiemi wieżyczkami, przedstawia dziwaczny i oryginalny widok, lecz zarazem wspaniały i przyjemny. Wnętrze kościoła odpowiada wspaniałością swoją przepychowi i bogactwu zewnętrznych ozdób; szczególniéj zasługują na uwagę obrazy bardzo znamienite. Inny pomnik miasta Burgos, zasługuje także na wspomnienie: jest to brama tryumfalna, zbudowana za panowania Filipa II. Nie jest ona właściwie gotyckiéj architektury, ale tylko jéj naśladowaniem: już bowiem zmiana gustu w budownictwie rozpostarła się w Hiszpanii. Ciekawe są ozdoby téj bramy, jako pomniki historyi i obyczajów. W sześciu niszach dwoma rzędami stojących, znajdują się posągi Fernanda Gonzales, Cyda, Karola Vgo i dawnych urzędników Kastylii. Pałac biskupi w Burgos odznacza się wytworną architekturą gotycką. Ludność miasta Burgos dochodzi do 12,000 dusz; leży w żyznéj i dobrze uprawnéj okolicy. W wieku XV. było jedném z najhandlowniejszych miast Hiszpanii; teraz znacznie jego czynność zwolniała, jednakże rozmaite rękodzielne, a mianowicie fabryki sukna i kapeluszów, mieszczą je w rzędzie przemysłowych miast Hiszpanii.

WIADOMOSCI LITERACKIE.

Otrzymaliśmy z Wilna zeszyt 8. 9. 10. i 11sty *Wizerunków i roztrząsań naukowych.*

Zeszyt 8my obejmuje: Postęp i rozwijanie się filozofii oraz umiejętności metafizycznych od początku wieku XIX. — Wizerunki historyczne: Gibbon, Edmund Burke i Chateaubriand. — Rozmaitości.

Zeszyt 9ty: Krótki rys historyi nauki moralnéj, wraz z wizerunkami charakterystycznemi celniejszych moralistów. — Robert Maturin. — O postępie sztuki drukarskiej, tudzież o jéj wpływie na taniość xiążek. — Rozmaitości.

Zeszyt 10ty: literatura, wymowa i poezya, Stanów-Zjednoczonych Ameryki. — Oelenschlaeger poeta duński. — Rozmaitości.

Wszystkie te artykuły, czerpane z najcelniejszych pism zagranicznych, są pożyteczne i zajmującym sposobem napisane, a dla czytelników polskich zupełnie nowe.—Pod artykułem Rozmaitości, znajdują się wiadomości literackie i biliograficzne o nowych dziełach, a między niemi o wydanych w Rossyi autentycznych rękopismach, dotyczących się historyi Rossyi i Polski, a mianowicie Pamiętników o Dymitrze Samozwańcu, wydanych przez pana Ustriałowa, adjunkta uniwersytetu Petersburgskiego, o których tak pisze Rossyjskie pismo peryodyczne, *Czytelnia.* »Dwie nowe części Pamiętników współczesnych o Dymitrze Samozwańcu, zawierają w sobie trzy oddzielne dzienniki czyli dyaryusze. Dwa pierwsze były pisane przez bezimiennych autorów, z których jeden należał do orszaku Maryny Mniszchówny, albo właściwie mówiąc do orszaku jéj ojca, bowiem jak się okazuje z dziennika, znajdował się on z wojewodą Sandomirskim w Moskwie od czasu przybycia tam Maryny; drugi był przy posłach Oleśnickim i Gąsiewskim, wysłanych przez Zygmunta III do Samozwańca z pozdrowieniem, z powodu wstąpienia jego na tron. Oba te dzienniki nie zawierają w sobie nic tak bardzo obudzającego ciekawość, oprócz niektórych mniéj wiadomych szczegółów, o wjeździe do Moskwy i pobycie Wojewody sandomirskiego, o przyjmowaniu posłów i uroczystém wstąpieniu Maryny. W Vtej części zawiera się trzeci dyaryusz, pisany przez szlachcica litewskiego Maskiewicza, który w stopniu porucznika znajdował się z Zygmuntem III. pod Smoleńskiem, był z Zołkiewskim pod Kłuszynem, dzielił niebezpieczeństwa z Gąsiewskim w Moskwie. Rękopism ten znaleziony w bibliotece byłego kollegium Jezuitów w Połocku, jest dopiero własnością Departamentu Narodowego Oświecenia. Trafność postrzeżeń, żywe przedstawienie obrazów, interes szcze-

gółów, dzielność i nieudana humorystyka w opowiadaniu, stanowią główne, nie wszystkie jednak, przymioty porucznika Maskiewicza, którego praca jest nader ważnym nabytkiem dla Rossyjskiej literatury historycznéj. Wiele niejasnych albo zupełnie niepewnych wypadków z owéj epoki intryg, zdrad i nieszczęść, ukazuje się w zupełnem świetle, i cały ruch dziwnie pogmatwanéj i zawikłanéj sprawy Rossyi z Samozwańcami i Zygmuntem, staje się tak prostym i naturalnym, iż zdaje się jakobyś był obecnym podczas jéj rozwijania się.»

Zeszyt XI Wizerunków, cały niemal zajmują oryginalne artykuły o miejscowych przedmiotach. Jest w nim: 1mo wiadomość o mineralnéj wodzie druksienickiéj, przez Jg: Fonberga, znajdującéj się w guberni grodzieńskiéj niedaleko Niemna. Rozbiór téj wody wskazuje, że ma wiele podobieństwa z wodą morską, a zatem może bydź używana w chorobach, na które tamta jest skuteczną, jako to w skrofułach, w chorobach artrytycznych i t. d. Dotąd we wsi Druskienice nie ma wygodnych pomieszkań dla chorych i podróżnych, a nawet nie ocembrowano i nie oczyszczono źrzódeł.

2do Wyjątki z własnoręcznych pamiętników Jana Śniadeckiego, obejmują wiadomości o początkach jego naukowego zawodu i pobycie za granicą; już w treści ogłoszone w jego biografii.

3tio Wiadomość o życiu X. Anioła Dowgirda, kapelana b. Uniw: Wil: i proffessora loiki i filozofii moralnéj w akademii rzymsko katolickiéj duchownéj nowo utworzonéj, zmarłego 26 Kwietnia 1835. Artykuł ten poświęcony na uczczenie pamiątki tego zasłużonego i uczonego męża, obejmuje zarazem wymienienie pism jego tak drukowanych, jako też pozostałych w rękopiśmie. Szczupłość miejsca nie dozwala nam ich przytaczać. Jedne z nich są treści filozoficznéj, drugie teologicznéj.

PARTOWIE.

Partowie pochodzili ze Scytyi, zkąd ich wypędzono w skutku wojen domowych. Podług Justyna, ich nazwisko znaczyło w języku Scytow, wygnańców, podług zaś innych autorów zwano ich jezdzcami. W epoce panowania Medów i Assyryjczyków, tworzyli jeszcze nieznany lud w Azyi, i gdy cesarstwo Wschodu przeszło do Persów, zmieszali się jako słabe pokolenie bez nazwiska, między podboje zwycięzców. Potem Partowie dostali się pod władzę Macedończyków, ale nareście i na nich przyszła kolej wielkości.

Arzaces. pierwszy założyciel monarchii Partów, panował około roku 350 przed N. J. C. Stolicę kraju ustanowił w Hekatompolu i uwolnił się z pod władzy królów Syryi. Selenkus Kallinikus następca Antyocha, usiłował odzyskać prowincye Partów, lecz Arzaces zwyciężył go i wziął w niewolę, zdobył Hirkanią i różne sąsiednie prowincye, a nareście zginął w walce z królem Kappadocyi. Arzaces tak był sławny u Partów jak Cyrus u Persów, Alexander u Macedończyków, Romulus u Rzymian. On rozpoczął to cesarstwo wschodnie, które przez długi czas przeważało szczęście Rzymu i stanowiło nieprzebytą zaporę jego legionom: dla tego też królowie Partów, jego następcy, nosili wszyscy jego nazwisko i nazywano ich Arzacydami.

W przeciągu lat dwóchset, Partowie rozpostarli się po Azyi i podbili wszystkie kraje między Indyami i Eufratem. Demetryusz król Syryi, wyruszył przeciw nim, ulegając naleganiom ludów wschodnich, które się za nim oświadczyły; nieraz zwyciężył Partów, ale nareście dał się wciągnąć w zasadzkę, stracił całe wojsko i był wzięty w niewolą. Od tego czasu, mocarstwo Partów utwierdziło się tak dalece, że przez kilka wieków było postrachem swoich sąsiadów i mierzyło się z Rzymianami siłą oręża i chwałą dzieł wojennych; nie raz nawet Partowie zwyciężyli Rzymian; najcięższa klęska była ta, w któréj poległ konsul Krassus.

Duma, zarozumiałość, zazdrość przeciw Cezarowi, wzbudziły już w sześćdziesięcioletnim Krassusie, zgubny zamiar walczenia z Partami, chociaż między niemi a Rzymianami, nie było żadnéj przyczyny do prowadzenia wojny. Przełożenia, rady, złe wróżby, nic go nie mogło odwieśdź od tego przedsięwzięcia. Rzymianie i Partowie nareście stanęli na przeciw siebie. Krassus miał siedm legionów, cztery kohorty sprzymierzeńców i cztery tysiące jazdy i lekkiego wojska. Partowie mieli bardzo silną jazdę, dowodził niemi Surena, groźną okazywali postawę i wydawali straszliwe krzyki. Zręcznym obrotem otoczyli Rzymian i ściśnięte ich szeregi obsypali gradem strzał i pocisków, z których prawie każdy nie był daremny. Rzymianie nie ustępując z miejsca, ponosili rany, a nie mogli się bronić; ci którzy usiłowali gonić za nieprzyjacielem, nie mogli go doścignąć: uciekając, nowe zadawał im rany. Pozostawała jeszcze nadzieja iż ustanie ta burza, gdy Partowie wypróżnią swoje kołczany; lecz dowiedziawszy się że jeszcze mają wielbłądy obciążone strzałami, Krassus zdjęty przestrachem, rozkazał synowi swemu dowodzącemu jazdą Gaulów, uderzyć na

nich, dopóki wojsko rzymskie ze wszystkich stron otoczone nie będzie. Na widok tego nowego nieprzyjaciela, Partowie uciekli, lecz powrócili za chwilę. Uporczywa bitwa wszczęła się wówczas między jazdą Gaulów a niemi. Młody Krassus widząc przegraną swoich, nie chciał jej przeżyć. Inni Rzymianie także się zabili, albo wpadli w moc Partów. Konsul daremnie usiłował powetować przegranę. Rzymianie dotrzymali placu aż do nocy, a wtedy oddalili się Partowie, zmordowani walką. Krassus korzystając z ciemności, cofnął się ze szczątkami swojego wojska, lecz doścignął go Surena i po nowej potyczce wezwał go na naradę, jak gdyby dla umawiania się o pokój. Zaledwie tenże stanął na wskazanem miejscu, Partowie chcieli go porwać. Krassus bronił się dzielnie, ale nareście uległ pod przewyższającą liczbą.

Partowie ucięli mu głowę i prawą rękę. Tak skończył życie, roku 699 od założenia Rzymu. Podług Plutarcha, stracili Rzymianie 20,000 poległych, a 10,000 niewolników, lecz Appien pisze, że ze 100,000, ledwie 10,000 schronić się mogło do Syryi.

Partowie z początku nosili ten sam ubior co i Scytowie, a gdy się zbogacili przez wojnę, przybrali powiewne i przejrzyste szaty Medów, okryli się złotem i klejnotami. Plutarch mówi o Surenie, który odniósł tryumf nad Krassem, że był piękny, przystojny, wysokiego wzrostu, lecz zniewieściała jego postać bynajmniej nie zapowiadała tak wielkiej odwagi; malował bowiem twarz jak Medowie i miał trefione włosy; inni zaś Partowie, nosili je na wzór Scytów, dla wzbudzenia większego przestrachu w nieprzyjacielu, to jest nie obcięte i nie ułożone.

Partowie zachowali także wiele zwyczajów scytyjskich, a zwłaszcza w uzbrojeniu i sposobie walczenia, co tem ciekawszą jest rzeczą, że przez nie przemogli nad karnością i taktyką Rrzymian. Lucyan tak maluje Partów: »Zwyciężać i panować jest uciechą tego dumnego i walecznego ludu, konie mają przepyszne, łuk straszliwy; od dzieciństwa aż do późnej starości naciągają go silną ręką. Strzała wypuszczona z niego, nieuchronną śmierć zadaje. Oni tylko jedni wstrzymali zastępy Alexandra W. podbili Medów i Assyryjczyków, nie lękają się naszych pocisków, a od klęski Krassa, wiedzą, że z kołczanami Scytów, swoich naddziadów, mogą pogardzać bronią Rzymian. Nie dosyć że ostrzą końce strzał, umieją zatruwać je: najlżejsza rana już jest śmiertelna.»

Bronią Partów były szyszaki i kirysy, zrobione ze stali albo ze skóry bardzo twardej. Ich konie opatrzone były żelazem albo miedzią, a u strzał były zakrzywione ostrza. Ich łuki giętkie i wielkie, prawie łączyły się dwoma końcami gdy je naciągnięto i wyrzucały strzałę z niesłychaną szybkością i mocą. Partowie strzelali z łuku, a prócz Scytów, żaden lud nie wykonywał lepiej tego zwrotu, który zabezpieczał ich życie, podawał im sposobność rażenia nieprzyjaciół, w nieładzie ścigających za niemi. Częstokroć udawali, że pośród największego zapału bitwy pierzchają z placu, a potém wracając niespodzianie, odnosili zwycięztwo.

Niektórzy jeźdzcy u Partów, okrywali głowę żelaznym szyszakiem tak podobnym do głowy ludzkiej jak maska. Kirys nietylko pokrywał ich piersi, ale wszystkie części ciała. Kirys ten był z łusk żelaznych i miedzianych, tworzących tym sposobem pokrycie nie przystępne ciosom i bynajmniej nie utrudzające ruchu jezdzca. Nogi i ręce podobnymże sposobem były bronione. Koń również był opatrzony, jak to wyobraża załączona rycina. Tacy jezdzcy sadzani byli na konie: gdyż nie mogliby sami wsiąśdź na nie: a puszczając wodze rumakowi, wpadali w szeregi nieprzyjaciół.



Jeździec Partów.

Panowanie Partów trwało około 410 lat, aż do roku 226 po N; J: Ch: W owej epoce, podniosła się obalona jeszcze przez Alexandra W. monarchia Persów. Historycy liczą 31 królów partyjskich; ostatnim z nich był Artaban. Lud ten nie posiadał żadnych innych zalet, prócz wojowniczych. Był okrutny, oddany zbytkom i rozpuście. Prowincye będące gniazdem Partów, należą teraz do Persyi pod nazwiskiem Irak-Adiemi. Istnieją jeszcze nie daleko Teheranu, teraźniejszej stolicy państwa Perskiego, zwaliska Arzacyi, miasta, które

było stolicą Partów, a jeszcze w VIII. wieku, za czasów sławnego Haruna - Alraszyda, było jednem z największych miast Azyi.

LITERARURA, WYMOWA I POEZYA STANÓW - ZJEDNOCZONYCH AMERYKAŃSKICH.

Dziennik literacki Edimburg Reviev, umieścił artykuł rzeczony, którego treść i wyjątki udzielamy czytelnikom naszym, podług tłomaczenia w Wizerunkach i Roztrząsaniach naukowych wileńskich umieszczonego.

Dziennikarz angielski położywszy zasadę że imaginacya niczém innem nie jest tylko przypomnieniem i darem tworzenia nowéj całości, z pojedynczych już istniejących cząstek, wyprowadza z tego wniosek, że jak niepodobieństwem jest dla człowieka popozbawionego przypomnień, posiadać imaginacyą, równymże sposobem ta zdolność umysłowa nie może należeć do narodu tylko co nastałego, którego cała przeszłość i całe dzieje są wczorajsze.

Stany Zjednoczone Ameryki, znamienite i okazałe pod tylu względami, w istocie nader są nowoczesne; geniusz ich jest materyalny i mechaniczny; potęga ich gruntuje się na zdrowym rozsądku, cierpliwości, postrzeżeniu i przemyśle. Jest to (jakeśmy tylko co powiedzieli) kraj pozbawiony imaginacyi, albowiem przypomnień mu brakuje. Czyny w nim historyczne nader są młode, nader świeże, nader rzeczywiste, ażeby je tradycya opanować mogła; jest tam za wiele i za mało dziejów, ażeby się te do poezyi przydały. Sztuka, jaką Ameryka północna pojmuje, jest sztuką naśladowania i kopijowania; przerabia ona tylko wzory i w ślad za nimi postępuje. Nie własne ona wystawia przypomnienia, lecz przypomnienia cudze powtarza: przetoż, ani literatura, ni też wymowa amerykańska, prawdziwéj dotąd samodzielności nie posiadają.

Mowa nawet Stanów Zjednoczonych do nich nie należy. Nie jest ona córką téj ziemi, nie powstała ani z potrzeb ani z wyobrażeń téj krainy; przybyła z za morza i tam się osiedliła; gdzie się bez żadnego pokrewieństwa z krajem i klimatem nowym dla siebie, utrzymuje. Dla zachowania czystości swojego stylu, pisarze amerykańscy przymuszeni są statecznie trzymać wzrok, w matkę ojczyznę wlepiony; tam się to wzorowy kształt ich znajduje.

Niski zatem stopień nauk pięknych w Ameryce, wynika z natury rzeczy. Kraj ten, całą energią swoją zwraca na zakładanie miast, na rozwijanie przemysłu i potęgi. Nie miał on ani dzieciństwa, ani doby wieku młodzieńczego. Nie masz w jego dziejach przejścia od niemowlęctwa do mężkości, żadnéj z tych epok, których pasmo ubarwione podaniem, przyjmuje potem poświęcenie poezyi. Poeci późniéj się zrodzą, po upływie kilku pokoleń.

We wszystkich dziełach umysłowych tego kraju, panuje zawsze zdrowy praktyczny rozsądek. Rzut oka na jego najznakomitszych pisarzów, udowodni prawdę tego twierdzenia.

Najpierwszym z nich jest B e n j a m i n F r a n k l i n: żaden człowiek daléj filozofii experymentalnéj nie posunął, ni też mądrości prostéj i bez wystawy; sumienny i biegły dyalektyk, instynktem się tylko jedynie, prawdy połączonéj z pożytecznością, powodował. W jego stylu wszystkie się przymioty jego myśli jednoczą: jasność, dobrotliwość względem ludzi, skromność i czysty zdrowy rozsądek, jego znamionują. Nie odwołuje się on ani do przypomnień, ani nawet do nadziei; żadne się odcienie namiętne, w mowie jego nie przebija. Jest to jedynie sam rozum, słodki, rozweselony, uprzejmy, surowy wszelakoż, a zawsze dobrą wiarą idący. Nazwij go prozaicznym i pospolitym, cień jego nie oburzy się przeciwko tobie; potrzebaż było krajowi jego poetów, albo artystów? Więcéj przysłużył się przez jedno lub dwa dzieła proste i moralne, aniżeliby tego zamożni w wyrazy mowcy, nadobni rymotworcy, obdarzeni pięknym dowcipem, dokazać zdołali.

Przed wojną osad z Anglią w zeszłym wieku, pokazała się xiążka p. t. Listy ziemianina Amerykańskiego. Niewiadomy jest jéj autor, lecz dzieło to zasługuje na zacne miejsce w poczcie płodów piśmiennych, nie tylko w Ameryce lecz i na całym świecie. Wystawia obraz kraju, obyczaje, uczucie osadników amerykańskich, z największą prawdą, z ujmującą prostotą, z szlachetnym zapałem.

Na téj świeżości uczuć, na tém zrzeczeniu się egoizmu, zbywa pospolicie płodom amerykańskim. Od czasu, kiedy Stany-Zjednoczone podniosły się do stopnia pierwszego narodów cywilizowanych, podobnemi zostały tym dorobkowym pankom nowéj daty, którzy zawsze się troszczą o to, czy są dosyć wytwornie ubrani, czy ich obejście się dostatecznie jest ukształcone, czy tłómaczenie się tchnie wykwintną i górną wymową; bez przestanku porównywają siebie do tego wszystkiego co ich otacza; uwziąwszy się nigdy w zły ton nie wpadać, są zawsze wysztafirowani, wymuskani, wyprężeni; słowem wszelkiéj snadności i swobody w obejściu się pozbawieni, zadają so-

bie siła straszliwego trudu, ażeby zostać nieznośnemi.

Jonathan Edwards, autor *Traktatu o Woli*, jest trzecim znakomitym pisarzem Stanów-Zjednoczonych Ameryki.

Brown chciał obdarzyć swój kraj wydaniem namiętnych uczuć i okropnych obrazów, i mimo znakomitego talentu, wpada w przesadę i śmieszność. Zkądże to wynika? Ztąd że w Stanach Zjednoczonych społeczność nie zawiera w sobie nic patetycznego, nic cudownego i okropnego. Nie zrozumieją tam ody i tragedyi i tylko domniemają się jéj, nie zaś czuć ją są zdolni.

Ojczyzna Benijamina Franklina nader jest rozumną, ażeby poetyczną bydź mogła. Wyobraźmy sobie drama, do któregoby występek zgoła nie wchodził, z któregoby zabobonność i namiętność wygnane były. Mają oni domy pokuty, swoje systemata poprawy karnéj, swoich kwakrów, swoją policyą czujną, swoje ulice pod sznur wyprowadzone; wszystko u nich, według prawideł nader dokładnych postępuje, po gościńcu zbyt prostym i nadto równym, ażeby romans i drama udadź się tam mogły. Wypuśćże tedy istoty nadludzkie po tych ulicach otoczonych budynkami, wzór foremnéj architektury wystawującemi; niechaj wystąpi Otello albo Hamlet wśród tych obyczajów wymierzonych i wyrachowanych; wprowadź widma do téj Ameryki północnéj, gdzie wszystko jest dokładne i jasne. Niechaj duchy szkockie, upiory dalmackie, sylfidy wschodnie, ośmielą się pokazać tam, gdzie starają się leczyć zbrodnią, podobnie jak się leczy gorączka; gdzie żebractwu zapobiega się przez lekarstwa miejscowe. W Ameryce, gdzie ludzie są ogrodzeni i ponumerowani, gdzie się wszystko na swojém znajduje miejscu, romans nader jest trudnym.

Washington Irwing, skromniejszy i szczęśliwszy, nie sięgał po oryginalność; winien on jest sławę, która go otacza, nie wyskokom imaginacyi, nie myśli twórczéj, ani wysokiemu pojętności wygórowaniu, ale naśladownictwu powabnemu dawnéj literatury angielskiéj.

Żadne nie zachodzi podobieństwo pomiędzy Washingtonem Irwingiem, którego dzieła zupełnie są angielskie, a Kuperem, najrzeczywiściéj amerykańskim ze wszystkich, swojego narodu pisarzów. Jest to romansista, któremu nie jeden zarzut możnaby uczynić; ale oryginalności zaprzeczać mu nie podobna. Czerpa on swoje opisy, swoje natchnienia, swoje pojęcia, w krainach, na których się łonie urodził; wystawując zawsze przyrodzenie zaatlantyckie, jest wprawdzie drobiazgowym, wpada w długości, lecz zawsze w nim autora amerykańskiego, w całém znaczeniu widzimy. Błędy, jakieby w nim wytknąć mogła krytyka, nie są pozbawione interessu. Kuper jest najsumienniejszym z opowiadaczów, można w nim znaleźć opisanie najdokładniejsze całéj miejscowości, tudzież najdrobniejszych należących do niéj szczegółów, co niekiedy ciąg powieści przerywa; i to jest właśnie uchybienie, tego arcy pięknego talentu, które wszelakoż świetnych jego zalet nie zacienia. Czytaj jego arcydzieło *Sternika*, ten romans mało rozumiany, którego dwoma bohatyrami są Ocean i Okręt; dzieło przedziwne co do jedności i mocy; całe przejęte jeszcze wonią morską, okryte pianą i słoną wodą nasiękłe; ubóstwienie tryumfu człowieka, hamującego ocean jak niesfornego rumaka. Znajdziesz tam wszystkie rzadkie zalety autora a bardzo mało jego błędów.

Moglibyśmy przytoczyć jeszcza Joela Barlowa, autora *Kolumbijady*, poematu któremu ani na wytworności ani na mocy nie schodzi; Paulding'a, którego romans ostatni, *Kominek Hollendra*, jest wdzięczną elegią, naśladowaniem lubém *Wikarego z Wakefieldu*.

Z pomiędzy wielkiéj liczby poetów albo wersyfikatorów, których Ameryka wydała, znajduje się jeden, który dla prostoty wdzięcznéj swoich natchnień, ich melancholii religijnéj, tudzież ich wyborności, na przytoczenie zasługuje. William Cullen Bryant, nie wydał dzieł wielkich, nie można mu nawet przyznać zalety oryginalności znamienitéj; głos jego jest słaby i melodyjny; ale razem czysty i nie przez naśladownictwo wydany.

Nie pytajmy się tego poety o wielkie i wspaniałe obrazy przyrodzenia zaatlantyckiego. Jest on bardziéj sentymentalny niż malowniczy. Wyrażenie uczuć jego melancholicznych, które widok lasów i jezior wydobywa, w wierszach jego rozkoszne echo znajduje: lecz chociażby przepędził życie swoje w Europie, też same pienia wypłynęłyby z jego geniuszu: ma on czystszy smak od Kuper'a i od Irwing'a, a wytworności wyrafinowanéj, połączonéj z prostotą wdzięczną, dościga. Górność nie należy do jego dzierżawy: wdzięk jego wyłączny wynika ze słodyczy nieco smętnéj, z zadumanéj i czystéj tęsknoty: jednoczy on się z przedmiotami przyrodzonemi i z jestestwami stworzenia; kocha się w nich, a pobożność skromna łącząca się z tą czułością, pełna jest wdzięku i patetyczności. Poeta chrześcijański i angielski, miejsc swojego urodzenia żadnego wyłącznego rysu nie przypomina: uroczystość słodka jego poezyi, z jego przekonania religijnego wypływa. Jeśli on postawi stopę swoję w puszczy, to dla oglądania tam ręki Stworzyciela wy-

rytéj na każdym przedmiocie: życie wewnętrzne świata fizycznego ukazuje się jemu i zachowuje się w jego wierszach: powiew świeży, balsamiczną wonią kwiatów przejęty, zdaje się aż do czytelnika dolatywać. Ale powtarzamy jeszcze, że te piękności, ani do Ameryki, ani do Europy nie należą; wynikają one z duszy tkliwej i melancholicznéj; nie są one tak miejscowe, jak poezye Thompson'a i Burns'a dla Szkocyi.

Miejsce następne naprzykład, jest nader, pod względem poezyi, znakomite:

OBRAZ ZIMY.

Wyjdźmy razem, śnieg w lody zmieniła ulewa,
Kryształowym owocem okryły się drzewa;
Luty ukośnem słońcem zapłomienił gaje,
I dobrze znanych gęstwin rozpoznać nie daje.
W przysionek dyamentu, śpiesznym wstąpmy krokiem,
Gdzie się wśród kolumn światło rozlało potokiem:
Pod stopami naszemi, ścięte skrzypią śrżony,
Powlekające barwą srebrzystą zagony:
Dęby szklistym pancerzem otoczone stoją,
Rzekłbyś zastęp olbrzymów przyodzianych zbroją,
Tysiącem pereł każda gałązka jaśnieje,
Do których się Iryda różno-barwna śmieje.
W koło głównéj kolumny, śniegowe ciężary,
Ku ziemi rozłożyste nagięły konary:
Ich miąższe łuki lśniącym obwiedzione lodem,
Swietne tworzą arkady pod króla drzew spodem.
Ach! któżby oglądając te cudne przemiany,
Nie mniemał, że do środka ziemi jest porwany?
Do urocznego wieszczek wszechwładnych siedliska
Gdzie topaz się rodzący z dyamentem błyska.
Pyszny pałac! tu ginie wzrok dziwem olśniały,
Poglądając na jasne filarów kryształy;
Na rzędy kolumn w różne skierowane strony,
Wśród się których labirynt lśni niewybłądzony!
Pałac dziwny, bez stropu, bez ścian i bez cienia,
Okryty przez niezmierne niebieskie sklepienia;
Pałac którego przepych, chluba znamienita,
Zniknąą, jak tylko słońce jutrzejsze zaświta.

Uwielbiać tylko zostaje tę delikatność rysów i tę biegłość wytworną pęzla.

Niekiedy, przypomnienie ludów indyjskich, przez postęp cywilizacyi zniszczonych, rzuca na Bryant'a pisma urok osobliwszy. Wymienić tu należy te arcypatetyczne dzieła: *Młoda Indyanka*; *Indyanin u grobu swoich przodków*; *Trup Dzikiego*; i *Pomniki Góry*. Jakoż rzeczywiście zawiera coś w sobie nader dramatycznego i smutnego los tych rodów odwiecznych. Porównajmy szlachetność naturalną, energią niepohamowaną, męztwo, a częstokroć zdumiewającą roztropność, tego dziecięcia lasów, jego życie wystawione na przygody, jego odosobnienie się tak okazałe, wśród przepysznych pustyń; porównajmy, mówię, to wszystko, z wytrwałym przemysłem, długiemi cierpieniami, ciężką i uporczywą osadnika pracą; potém zastanowmy się bacznie nad tym ostatnim, który słabszy, nie tak cnotliwy może, zazwyczaj nie tak odważny, ale przez wszechmogącą cywilizacyą wsparty, uprawia grunta, wznosi miasta, rozciąga sieci sztuk czarodziejskie: zważmy jak umiejętność i przemysł tryumfują z siły fizycznéj, tłumią i niszczą pokolenia na niéj się opierające, dźwigają życia domowego ołtarze, tworzą społeczne cnoty, zawierają wielką człowieka z człowiekiem ugodę i wprowadzają na miejsce prostoty bytu dzikiego, powikłanie interessów, namiętności, tudzież pasma wyobrażeń za cywilizacyą następujących. Kogoż taki widok zdziwić nie potrafi, dwoistym sposobem? Przejmujemy się najprzód zdumieniem na widok rodów pierwotnych, tak bohaterskich i tak nieszczęśliwych, potém na widok cywilizacyi, któréj postępy, równie są niezbędne jak niezmierne. W tém się to właśnie zawiera poezya Stanów Zjednoczonych, którą P. Kuper w znacznéj części odgadnął. P. Bryant winien mu jest kilka rzewliwych elegii.

Wieki, poemat napisany w stylu *Child-Harolda* Lorda Bajrona, zawiera w sobie jeden wyjątek znakomitszy; jest to jedyny w całych dziełach Bryant'a, który się nam amerykańską miejscowość wyjawiać zdaje:

Zieleniejąca się ziemio step, potoków rzecznych, i puszcz nieprzebytych! karmicielko niezmiernych źrzódeł, rodzico tych gór, które wierzchołków przystępnych dla nas, nie mają! Odwieczna i głęboka noc która cię otaczała, rozproszyłaś się przecie? Jutrzenka niespodziewana zaświtała dla ciebie od cywilizowanego zachodu. Niedawno jeszcze, ruchoma kopuła lasów, jedyną była, którą wzrok, na twoich postrzegał przestworach. Tam podnosił wycia wilk srogi, tam bawoł przebiegał; daléj Indyjanin, z obnażonemi, bronzowej barwy, członkami, wiosłem się w łodzi, po niezmiernem jeziorze kierował; jego naszyjnik i jego czerwoną przepaskę odbijały promienie słoneczne, a czołno jego lekkie zmykało po wodzie, podobne do ptaka na powietrzu lecącego.

Ach! wtenczas był to raj zieloności, ziemia przerznięta ścieszkami niewyśledzonemi, którą, nakształ przedmurza bez granic, niezmierność lasów zasłaniała. Doliny, wyniosłości, góry niebotyczne, wszystko znikało, pod tą zasłoną z liści, któréj nikt nie był jeszcze uchylił, gdzie nigdy promień jesienny nie przeniknął, dokąd sam się tylko dostawał uragan, kiedy, w swoim zaciekłém rozdąsaniu, walił stare puszczy olbrzymy, i pnie ich, odziane korą szarawą, poczerniałe wiekami, druzgotał. Te schronienia ponure (któżby temu wierzył?) miały także swoje roskosze; znajdowały się wśród tych liści uchrony pełne powabu, pełne ujmującej i wdzięcznéj piękności. Tam się roztaczały błękitne jezior wody, w których, pragnienie swoje daniel dziki ugaszał, a tysiące posłusznych wioseł pędziło po nich łodzie, roztrącając pianę odlatującą daleko. Tam powiew kołysał kukuruzę o srebrzystej łodydze; siedziba indyjska wznosiła się w tém miejscu lubém, w miejscu pokoju niewinności, odosobnienia i wdzięku szczérego: a wszelakoż tam to Indyjanin krępował swojego brańca; tam skazywał i poświęcał go na śmierć; tam żywcem go palił. Potém następował odwet morderczy, straszliwszy jeszcze od mordów samych; ta roskoszna osada spalona od nieprzyjaciela, stała się tylko kupą obwalin krwią zbroczonych: dziecię u piersi, młoda matka i sędziwy wojownik padali pod tomahawkiem. Morze się płomieniste po dolinie toczyło, domy zburzone, drzewa potrzaskane, rozproszone kości; w to się zamieniła osada indyjska: nie widać już było dymu otaczającego swoim wieńcem mglistym lepiankę dzikich; nie widać łodzi na jeziorze, ani też wioseł poruszających wód bałwany. Milczenie, na dolinę pustą następowało; a zawiązek tej cywilizacyi, tak niedołężny jeszcze, znikał na zawsze.

Wędrowniku! spojrzyj teraz. Tam pływało niegdyś czółno dzikiego; tysiące żagli białych, wzdymanych i miotanych wiatrem, cisną się dzisiaj do téjże saméj zatoki; zawiera ona w sobie handel całego świata. Nowe pokolenie zaludnia te krainy; puszcza wstecz się cofa; cywilizacya coraz postępuje dalej: miasta powstają; pleni się żniwo z każdéj strony. Zewsząd się nowe poniki i nowe rzeki odkrywają; pod zasłoną liści, przezroczyste ich wody zakryte przed wieki, nigdy jasnych niebios nie odbijały: te źródła dziewicze, napawają dzisiaj dziewicze osady. Codziennie ich się dziedzina powiększa; cywilizacya nachodzi i pochłania całą krainę, jak pożoga chyża drzewa jesienne pożera.

Tam spadają ostatnie łańcuchy ludzkości; geniusz naszego rodu rozwija się na koniec. I któż zauzdać potrafi olbrzyma? kto nie uchodzonego rumaka zmusi do przyjęcia wędzidła i wodzów? Kto pohamować zdoła jego siłę i powściągnąć zapęd porywczego biegu?

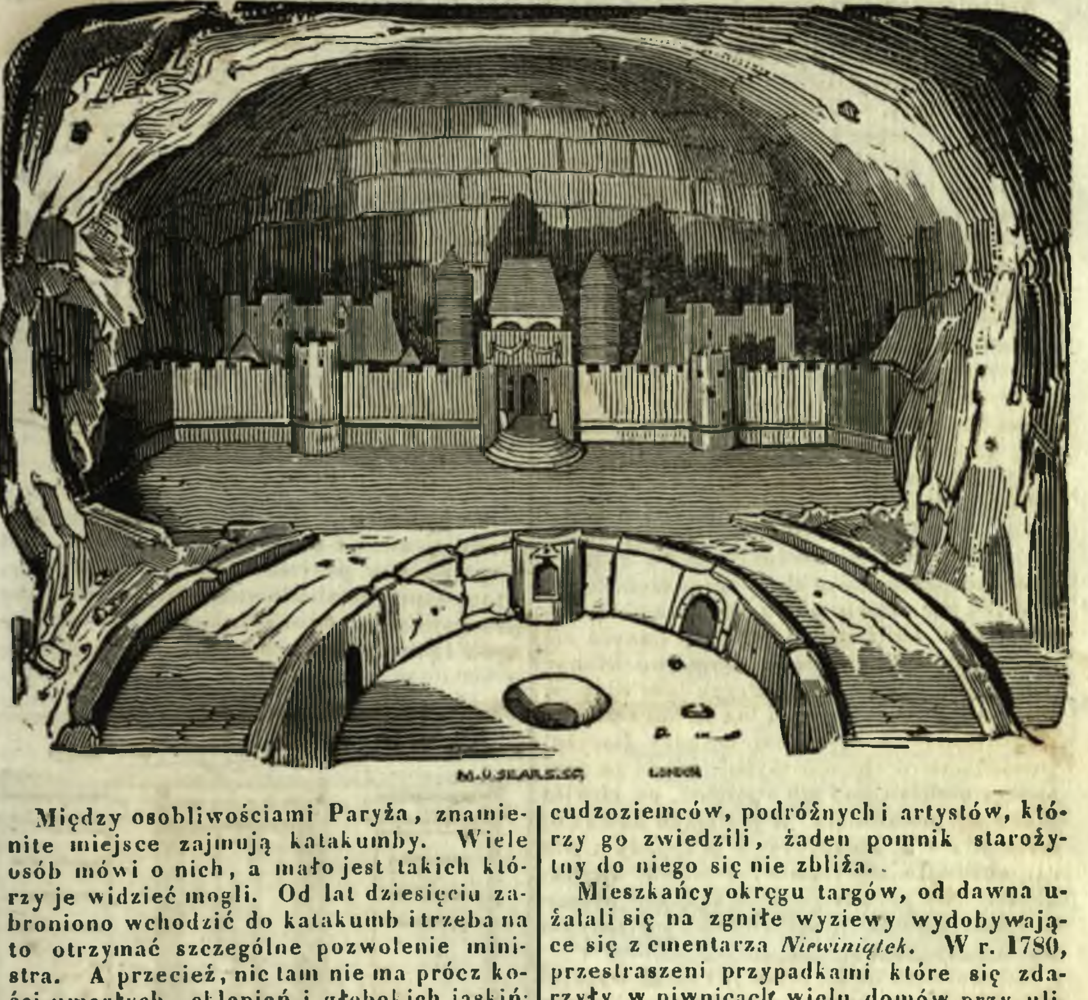
Nikt w świecie. W głębi przyszłości, wzrost uniesienia tego, upatruję; kometa na przestwor ciśnięty nie tak jasną przebiega drogę. Owoż widoczny i cudotworczy, niepohamowany i olbrzymi ten postęp; myśl błąka się, za jego zawodem nieograniczonym ścigając, a niezdolna przeniknąć daléj w przestrzeni, skupia się w sobie samej, pełna uniesienia i przestrachu.

Rzadko jest, ażeby poezya Bryant'a, była nacechowana tym charakterem wyniosłości i mocy, jaka w tych ostatnich wierszach przywiedzionych tutaj oddycha. Słowem jedném, próbki poetyczne Stanów Zjednoczonych nie tak się odznaczają płodnością, nowością, oraz siłą imaginacyi, jako raczéj natchnieniem moralném, patetyczném i tkliwém. Kiedy ten ląd rozległy okryją kwitnące grody, kiedy się walka człowieka z przyrodzeniem ukończy, wtenczas to, ujrzymy bez wątpliwości jak skrzydła swoje imaginacya zaatlantycka rozprzestrzeni. Skrępowana i słaba jeszcze dzisiaj, naśladuje ona Europę, biorąc sobie za wzór i prawidło uniesienie naszych poetów: a jakażkolwiek jest zasługa rozmaitych pisarzy, na których zwróciliśmy tutaj baczenie, nie dostawa im wszystkim jeszcze zalety najszacowniejszéj: oryginalności.

(Edimburgh Magazine.)

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.

KATAKUMBY PARYZKIE.



Między osobliwościami Paryża, znamienite miejsce zajmują katakumby. Wiele osób mówi o nich, a mało jest takich którzy je widzieć mogli. Od lat dziesięciu zabroniono wchodzić do katakumb i trzeba na to otrzymać szczególne pozwolenie ministra. A przecież, nic tam nie ma prócz kości umarłych, sklepień i głębokich jaskiń; wszystkie te przedmioty nie szkodzą nikomu, przemawiają równie do uczuć, jak do duszy dostrzegacza. Jakiż więc jest powód owego zakazu? nie wiem.

Katakumby są to wydrążenia naturalne, nie zaś sztuczne, jakby kto mógł sądzić; ręka ludzka powiększyła je potem i urządziła, lecz sama natura wykopała ich przestrzeń i głębokość.

Aż do roku 1783 nie wiedziano jaka jest ich obszerność i znano je tylko jako podziemia nie daleko Paryża, z których wydobywano materyały do budowy domów. Do owej przeto epoki były tylko kopalniami kamieni.

Lenoir, naczelnik policyi za Ludwika XVI, powziął myśl uczynić je tém czem są teraz, wielką kostnicą, pomnikiem grobowym tak wspaniałym, religijnym i tak jedynym w rodzaju swoim, że podług zdania wszystkich cudzoziemców, podróżnych i artystów, którzy go zwiedzili, żaden pomnik starożytny do niego się nie zbliża.

Mieszkańcy okręgu targów, od dawna użalali się na zgniłe wyziewy wydobywające się z cmentarza *Niewiniątek*. W r. 1780, przestraszeni przypadkami które się zdarzyły w piwnicach wielu domów przy ulicy Lingerie, z powodu bliskości wspólnego dołu wykopanego w 1779, a w którém wrzucono przeszło 2000 ciał, uczynili przełożenie do naczelnika policyi, wskazując jak dalece szkodzi zdrowiu ta niezmierna massa zgnilizny, w której: wyrażone było w podaniu: *liczba ciał złożonych, przechodząca wszelką proporcyą tak, że jéj nawet obrachować nie podobna, wzniosła poziom cmentarza o osiem stóp nad ulice sąsiednie.*

W rzeczy samej, przeraża to wspomnienie, przez jak długi czas we wszystkich krajach chowano trupów po kościołach i szczupłych cmentarzach wewnątrz miasta znajdujących się, i nie pomyślano o tém, że okropne zaraźliwe choroby, które tylokrotnie niszczyły stolice państw Europejskich, brały początek z tego nagromadzenia zgnilizny! Dziwne jest usposobienie umysłu ludzkiego. Zdaje się, że im prostsza jest, im

zbawienniejsza jaka prawda, tém trudniéj przypada do pojęcia i przekonania ludzi.

Naczelnik policyi przyjął podanie, uznał jego słuszność i wyjednał zniesienie kościoła *Niewiniątek*, wyczyszczenie jego starożytnego cmentarza i zamienienie go na plac publiczny. Wkrótce potem komissya mianowana przez królewskie towarzystwo medycyny, poradziła, aby w katakumbach złożyć nie tylko kości z cmentarza *Niewiniątek*, ale i ze wszystkich innych cmentarzy i grobów Paryzkich.

Taki był początek odkrycia i urządzenia podziemiów, które teraz noszą nazwisko katakumb.

Jeden z robotników w zwany *Decure* (a imie jego zasługuje na pamięć, z nim bowiem łączy się najtkliwszy ustęp téj historyi) postrzegł najpierwéj, że znane podziemia leżące za rogatkami S. Jakóba, łączą się z innemi podziemiami nieznanemi, których głębokość i obszerność jest niedościgła oku i myśli. Pan Guillaumot inspektor jeneralny, kazał czynić poszukiwania i z przestrachem przekonano się o przepaściach ciągnących się prawie pod trzecią częścią Paryża. Jaki bądź przypadek, załamanie się skały, osypanie się ziemi, mogło pochłonąć tysiące domów i ludzi. Przez tyle wieków rząd nie zwracał uwagi na te niezmierne wydrążenia. Obojętni mieszkańcy Paryża, wesoło bawili się, nie myśląc wcale że roztwarta otchłań pod ich stopami, co chwila może ich pochłonąć. A jednakże nieraz ostrzegały ich, szczegółowe przypadki; nie raz obsunęła się ziemia, zrysował się budynek. Nie przedsięwzięto żadnych poszukiwań... Po cóż się dziwić? Neapol zasypia na Wezuwiuszu.

Cóżkolwiek bądź, teraz już ustał wszelki powód obawy, wzmocniono filarami słabe i przygniecione sklepienia i zabezpieczono się od wszelkich niespodzianych zdarzeń.

Katakumby rozciągają się pod całem prawie przedmieściem Sgo Germana, i tak zwanym okręgiem łacińskim, oprócz tego zajmują wiele ulic przyległych.

Zstępuje się do nich trzema odmiennemi schodami. Pierwsze znajdują się przy rogatce de l'Enfer, drugie na równinie Mont-Souris, trzecie przy grobie Isoarda, tak nazwanéj od sławnego rozbójnika, który kryjąc się w katakumbach, rozbijał w okolicy. Temi to schodami wszedłem do Katakumb. Prowadził nas doświadczony przewodnik i opatrzeni pochodniami zeszliśmy krętemi schodami na 54 stóp głębokości. W głębi téj studni zaczynają się podziemia. »Nie oddalajcie się odemnie, rzekł nasz przewodnik: a gdyby się kto z was obłąkał, spojrzyjcie na tę czarną linią naznaczoną na sklepieniu; ciągnie się ona aż do ostatnich zakątków, jéj się trzymajcie, ona będzie dla was nicią Aryadny i zawsze przyprowadzi was na to miejsce i na te schody któremiśmy zeszli.»



Brama Izoarda.

Po kwadransie drogi przyszliśmy do głównego wnijścia katakumb. Ta brama, jest poprzedzona przysionkiem czyli kaplicą, którą zapewne zbudowano w tym celu, aby przygotowała odwiedzającego do szczytnych i przerażających widoków.

»Memoriae majorum.»
(*Pamięci zmarłych.*)



Główne wnijście.

Taki napis czytamy na bramie, ułożony z wielkich czarnych liter, a po obu stronach na dwóch tablicach w kształcie nagrobku wyryto.

Has ultra metas,
Requiescant beatam
Spem expectantes.

(*Za temi szrankami,
Spoczywają błogosławionéj
Nadziei wyglądający.*

Otworzono bramę i cofnęliśmy się nagle przed widokiem który nasze oczy uderzył. Dwa tysiące głów i dwadzieścia tysięcy ko-

ści trupich, pokazują się razem; ułożone jedne na drugich na cztery stopy grubości, a na 10 stóp wysokości. Widok ten uczynił na nas niepojęte do opisania wrażenie; okropność nas przejęła; ale była to religijna okropność. Sam nie wiem przed kim ukorzyłem czoło moje, czy przed Stworzycielem, czy przed stworzeniem? przed Bogiem, czy przed umarłemi? ale machinalnym ruchem powodowany, podniosłem rękę i odkryłem głowę.

Człowiek czuje jak małym jest w obec tylu pokoleń natłoczonych razem, w przestrzeni dziesięciu stóp kwadratowych. Widok tych czaszek i tych kości, czynił na mnie takie same wrażenie, jak gdybym wziął w rękę garść kurzu i dmuchnął na niego, mówiąc: »To było tysiącem ludzi. Po tem pierwszém wrażeniu następują inne odmienne. Te kości ułożone w małe krzyże, z czaszką we środku, przykre czynią wrażenie. Trup, jest to my sami, a nie lubimy bydź przedmiotem zabawki. Ta symetrya zastosowana do szczątków ludzkich, wydaje się igraszką, zniewagą i ujmą godności człowieka; przykro nam jest gdy pomyślimy, że tak mogą bawić się z naszemi szczątkami i przenosim odosobnienie i nieład smentarza, nad to obicie grobowe zrobione z kości i całunów... Zasłona spada; wówczas uroczystość znika, a śmieszność się zaczyna. Myśl o Bogu oddala się, widzimy tylko niedołęźność człowieka. I dla tego też ze śmiechem przeczytaliśmy napisy ozdabiające ze wszech stron ten amfiteatr kostny.

Nasz przewodnik postrzegłszy to i dla utrzymania naszéj wesołości, opowiedział nam następującą historyjkę, która zdarzyła się robotnikom układającym kości trupie.

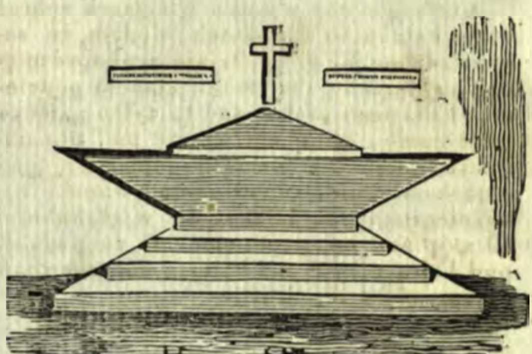
Pewnego dnia, albo raczéj pewnej nocy, nie ma bowiem dnia w katakumbach; gdy układali piszczele i głowy, bawiąc się niemi jak grabarze w Hamlecie, jedna z nich, leżąca na ziemi, zaczyna ruszać się i chodzić. Wszyscy rzucają lampy i uciekają z przeraźliwym krzykiem, przekonani że szatan ściga za niemi.

Jeden, jeszcze bardziéj przestraszony, pada w znak i napełnia krzykiem jaskinie, rzucając się jak potępieniec. Wielka wrzawa wszczyna się na górze, wołają inspektorów, a najodważniejsi schodzą do walki ze złym duchem. Stawają na miejscu, głowa rusza się jeszcze, zewsząd lecą na nią motyki i widły, gdy w tém ogromny szczur który wlazł był w czaszkę i wyjść z niej nie mógł, wyrywa się wreście i ucieka pośród powszechnego śmiechu.

Robotnik który był upadł, nie doczekał końca tej sceny, uciekł skoro tylko mógł się podnieść; nie chciał uwierzyć, gdy mu opowiedziano co było powodem przestrachu. Przekonany był że widział djabła na własne oczy i odtąd już ani postał w katakumbach. — Z tego miejsca przeszliśmy pomiędzy dwoma stosami kości ciągnącemi się na ćwierć mili, do *gabinetu Mineralogicznego*; gdyż katakumby są podziemnem Muzeum, któremu nic nie brakuje. W tym gabinecie znajduje się bardzo ciekawy zbiór wszystkich pokładów ziemi, kamieni, próbek i stalaktytów składających grunt tych podziemi. Widzieliśmy następnie gabinet *osteologiczny*, złożony z rozmaitych części zwracających uwagę pod względem patologii i fizyologii, wydobytych z tych milionów kości.

Nie wspomnę o kilku kaplicach żałobnych, zrobionych z czaszek i piszczeli. Każda z nich powiększa smutne wrażenie tego miejsca: o jednéj tylko namienię, o kaplicy Gilberta, znamienitego poety, który umarł z rozpaczy i nędzy. Paryż dobrze uczynił że jego zwłoki ukrył w katakumbach! Za nagrobek położono ten wiersz jego:

„Na ucztę życia, nieszczęsny biesiadnik,
Przybył na chwilę i umarł.



Kaplica Gilberta.

W tych podziemiach znajdują się dwa źródła: jedne ma trzy stopy głębokości, drugie piętnaście; woda w nich jest bardzo czysta. Przebądźmy ostatnią bramę składu kości, a zapuszczając się daléj, dojdziemy do wnijścia zwanego Port-Mahon i do zajmującéj okoliczności od któréj je nazwano.

Prosty wyrobnik Decure, odkrył ją w r. 1777. Tak dumny ze swojego odkrycia, jak Kolumb z odkrycia Ameryki, nie wyjawił go przed nikiem. Miał do tego powody. Ubogi robotnik, czuł w duszy swojéj, że coś więcéj może dokazać jak piłować kamienie i tynkować filary. Uczuł ten głos wewnętrzny, który mówi do człowieka: »zrób to, takie jest twoje powołanie;» uczuł, że jest artystą zdolnym powziąć pomysł i utworzyć, lecz bojaźliwy robotnik nie *śmiał!*.. nie śmiał i był ubogim. Pierwsze jego próby po-

trzebowały zachęty, a w braku zachęty potrzebowały tajemnicy i milczenia. Znalazł je w swojej pieczarze.

Przez długi czas był jeńcem w Port-Mahon, umyślił zrobić jego plan w płaskorzeźbie na jednej z mass kamieni, któremi był otoczony. Założył tam mały warsztat i chwile wypoczynku poświęcał pracy. Przez lat pięć pracował nad tą płaskorzeźbą i od 1772 do 1782, wyciosał na ścianie miasto Port-Mahon, warownię Filipa i koszary.

Decure, mówi pan Hericourt, pracował w milczeniu; nikt inny prócz niego nie byłby zdołał wnijśdź do jego pracowni. Ukończywszy dzieło, chciał zrobić wygodne schody, robione w massie; lecz zły uczynił rozmiar, zawaliły się kamienie, a biedak ten, niebezpiecznie zraniony, umarł wkrótce potem... Za czasów rewolucyi, uszkodzono tę płaskorzeźbę; jednakże tyle jeszcze pozostało jéj śladów, iż można ocenić cierpliwość, pamięć i talent Decura. Zachowano stół i kamienną jego ławkę, w starym wyłomie, któren nazywał swoim salonem ten ubogi rzemieślnik.

A teraz, ażeby w kilku wierszach zebrać zarys katakumb paryzkich, dodam że zaprowadzono jak najściślejszą zgodność między powierzchnią miasta, a stanem podziemi. I dla tego zachowano te tylko galerye podziemne, którą ciągną się pod ulicami Paryża; wszelkie zaś znajdujące się pod gmachami publicznemi zamurowano i zabezpieczono tak dalece, że w głębokości 80 stóp pod miastem, możemy rozpoznać, pod którą ulicą, pod którym domem znajdujemy się w tej chwili.

STRUŚ.

Nauka historyi naturalnej, naprowadza na to postrzeżenie które umysł uderza i zadziwia, że wszystkie istoty znajdujące się na ziemi, łączą się i tworzą niezmierne ogniwo. I tak, weźmy dwa najbardziéj różniące się rodzaje w trzech królestwach natury, a zobaczemy, zastanawiając się nad pośredniemi rodzajami, iż można ustanowić między niemi stopień pokrewieństwa i na granicy jednego i drugiego, znaleźć istoty podobne po części do obudwu i będące punktem ich połączenia. Ale jeszcze bardziéj zadziwia, że to co mówimy o rodzajach, można także powiedzieć o trzech królestwach natury, tak dalece, że królestwo zwierząt łączy się z królestwem roślin, to zaś z królestwem rzeczy kopalnych i na wzajem, przez stopniowe modyfikacye, przez istoty jakiemi są zwierzo-krzewy, królestwo rzeczy kopalnych, łączy się z królestwem zwierząt: gdyż zwierzo-krzewy trzymają środek między zwierzęciem, rośliną i kamieniem. Te przechodnie rodzaje, mocne zajęcie wzbudzają w dostrzegaczu. Struś należy do jednego z najznakomitszych.

Struś jest największym z ptaków, dochodzi do ośmiu stóp wysokości, i może ważyć 80 funtów. Z powodu długości nóg i szyi, jako też jego przymiotów i sposobu życia, porównywają go z wielbłądem i lud prosty w Arabii mniema, że Struś zrodził się z wielbląda i ptaka. Nareście, chciano upatrzyć nowe podobieństwo między tym ptakiem i zwierzem, przyznając strusiowi garb którego nie posiada. Ale mimo tych wszystkich przesad i pomyłek, przyznać potrzeba że w pasmie istot, Struś stanowi przejście pomiędzy ptakami i czworonogami. Jeźli podobnie jak Kazoar, mając skrzydła nie może latać, przewyższa za to wszystkie zwierzęta szybkością biegu.

W historyi naturalnéj Jarockiego, znajdujemy takie wyszczególnienie charakterystycznych znamion Strusia.

»Dziób mierny, prosty, płaski, na końcu zaokrąglony, tępy. Szczęki prawie równe. Otwory nozdrzy na dziobie podłużne. Głowa i większa część szyi nagie, rzadkiemi tylko włoskami upstrzone. Skrzydła nie lotne, wiotkiemi kędzierzawemi piórami pokryte, dwoma szponami przy zgięciu uzbrojone. Na piersiach guz duży, nagi, twardy. Boki ciała i nogi całe zupełnie nagie, reszta ciała miernemi piórami pokryta. Steruwki w ogonie podobne piórom w skrzydłach. Nogi bardzo wysokie, potężne, dwu palczaste. Każdy palec ma cztery członki Na palcu przyszrodkowym pazur gruby, podłużny, kopytkowaty. Palec skrajny przez pół krótszy bez pazura. n. p. Struthio Camelus.»

Uważany co do wewnętrznego składu, szkielet Strusia podobniejszy do szkieletu czworonogów niżeli ptaków. Jego język bardzo krótki, ma kształt podkowy. Kość płaska przed-piersia, zwana sternum, u innych zwierząt podobna do sztaby okrętowéj, tworzy pewien rodzaj puklerza, dogodnego do poruszeń Strusia, gdy chcąc się położyć, musi najprzód zgiąć kolano, oprzeć się na kości piersiowéj, a potem na całéj niższéj części ciała. Ma trzy żołądki podobnie jak zwierzęta odżuwające. Sam jeden ze wszystkich ptaków, osobno oddaje urynę, osobno gruby stolec.

Zastanawiając się nad zmysłami Strusia, wnieśćby można z powikłanéj budowy jego nozdrzów, iż celuje powonieniem: mylne byłoby to mniemanie; albowiem zmysł ten, przez który zwierzęta rozróżniają stosowne dla siebie pokarmy, jest tak niewydoskonalonym w Strusiu, iż połyka żelazo, ka-

STRUŚ.



mienie, szkło, a nawet miedź i wapno. To dowodzi, że zmysł smaku podobnież gruby jest u Strusia jak zmysł powonienia. Słuch i wzrok posiada bardzo mocny.

Tak u samca jak u samicy, zrzenica jest koloru orzechowego, a dziób koloru rogowego, prócz końca, który jest czarniawy. Niższa część szyi, grzbiet, kuper, piersi i brzuch, pokryte są czarnemi piórami, pośród których znajduje się nieco białych i szarych; wielkie pióra skrzydeł i ogona, są bardzo pięknéj białości; nogi są szare. Samica jest koloru ciemno popielatego, samiec ma pióra czarne. Młode są szare pierwszego roku i mają pióra na głowie, szyi i udach; te pióra wypadają wkrótce i już więcéj nie odrastają.

Ciężkie ptaki są zazwyczaj wielożenne, i Struś nie wyłącza się z téj zasady; wnieść należy iż gniazda zakładane bywają przez jednę parę tam gdzie jest równa liczba samców i samic, a w przeciwnym razie wielożeństwo ma miejsce. Bez tego, nie możnaby wytłomaczyć, jakim sposobem może się znajdować niezmierne mnóstwo jaj w jedném gnieździe. Czas noszenia jaj nie jest z pewnością wiadomy. Z resztą, okoliczność ta nie tyle zajmuje ile postrzeżenie zrobione przez Levaillant, Bougainville i innych dawniejszych badaczów, że Struś ma zwyczaj składać pewną liczbę jaj swoich w niejakiéj odległości od gniazda, w miejscu gdzie się dochować mogą bez zepsucia, aby służyły za pierwsze pożywienie pisklętom.

Przez gniazdo Strusia rozumie się dołek, który wykopuje w piasku i tam bez żadnego przygotowania składa jaja; każda samica znosi dziesięć do piętnastu jaj.

Są bardzo duże, mogą obejmować kwartę cieczy i ważą blisko trzy funty. Pod strefą spiekłą, upał słoneczny uwalnia ojca i matkę od siedzenia na jajach i siedzą tylko w nocy. Młode wylęgają się po sześciu tygodniach. Chodzą zaraz po urodzeniu. Ponieważ w strefie gorącej znajdują ciepło, i stosowne pożywienie, matka porzuca je natychmiast; lecz na Przylądku Dobréj Nadziei i w zimniejszych krajach, dopomaga im do szukania żywności, czuwa nad niemi i broni odważnie, dopóki potrzebują jéj opieki.

Chociaż natura obdarzyła Strusia silnemi środkami napadu i obrony, ograniczony instykt tego ptaka nie dozwala mu z nich korzystać i gdy się musi bronić, używa tylko swego dziobu i nóg, któremi bardzo silnie uderza. Jednakże najczęściéj ratuje się ucieczką i nie zna własnéj mocy. Ta moc tak jest wielka, że niosąc na sobie dwóch ludzi, biegnie jeszcze prędzéj niżeli koń najdoskonalszy. Kto nie jest przyzwyczajony do tak szybkiéj jazdy, ten może dech utracić w tak gwałtownym biegu. Struś biegnie zawsze z podniesionemi skrzydłami. Ptak ten, byłby dla człowieka tak użytecznym jak koń, gdyby dał się podług woli kierować.

Struś żywi się roślinami, ale żołądek ma tak wielki, iż aby go zapchać, połyka wszystko co tylko napotka. Arabowie powszechnie mniemają że Struś nie pije, jednakże Struś znajdujący się w menażeryi paryzkiéj, pił cztery kwarty wody w lecie, a sześć w zimie: lecz to jest prawda, iż przez długi czas może się obejśdź bez napoju.

Arabowie konno polują na Strusie, a zwłaszcza w epoce gdy te ptaki zbierają się wielkiemi gromadami, dla przebycia pustyni. Strzelcy korzystając z téj chwili gdy Strusie są bardzo zmordowane, napadają na nie i zabijają kijami. Wydobywają z nich substancyą pomięszaną ze krwią i tłuszczem, zwaną *manteque*, któréj używają na zaprawę potraw i lekarstwa. Mojżesz zabronił Żydom jeść mięso strusie. Mięso z młodych i tłustych Strusiów jest dosyć smaczne. Mieszkańcy przylądka Dobréj Nadziei, robią z jaj strusich pasztety i jajecznicę.

Wielkie białe pióra z ogonów i skrzydeł strusich, są najbardziéj poszukiwane od najdawniejszych czasów. Starożytni nosili je jako ozdobę wojenną. Wiadomo nam akie mnóstwo piór strusich sprowadzają do Europy, do kapeluszów, szyszaków, ubiorów scenicznych i strojów damskich. Najlepsze pióra strusie są te, które z żywego ptaka wyrwano; poznać je można z czerwonawego soku wychodzącego z ich rurek za naciśnieniem; pióra wyrwane z zabitego Strusia, są lekkie, suche i prędko podpadają zepsuciu przez robaków.

PODRÓŻE.

Ostatnia wyprawa Kapitana Ross na morza Bieguna Północnego.

(Dalszy ciąg.)

Nie na tém skończyły się moje urządzenia. Aby ciągle utrzymać ludzi naszych w czynności, i chcąc zapobiedz aby śród osamotnienia w którém znajdowaliśmy się, nie osłabł ich umysł, urządziłem szkołę pierwszych początków czytania, pisania, rysunku i matematyki. Podzieliłem całą osadę na pięć klas, względnie do stopnia pojęcia każdego, a trzej nasi chorążowie podjęli się bydź nauczycielami. Tym sposobem, ludzie nasi po skończonéj służbie zawsze byli zatrudnieni: gdy czas pozwalał wychodzili na polowanie lub połów; a gdy zimno lub gęsta mgła zatrzymywała ich na statku, znajdowali w nauce pożyteczną rozrywkę. Co do nas, na innych wcale zatrudnieniach czas nam upływał, robiliśmy kolejno barometryczne i termometryczne spostrzeżenia. Sprawdziliśmy twierdzenie La Peyrousa, że w tych stronach merkuryusz opada podczas wiatrów północnych i wschodnich, a podnosi się w razie przeciwnym. I tak, barometr opadający bardzo nisko, zapowiadał pogodę, a na deszcz najwyżéj się wznosił. Poczyniliśmy także niektóre postrzeżenia względem xiężyca, i zapisali zjawienie kilku wspaniałych zórz północnych, których byliśmy świadkami. Sprawdzaliśmy prócz tego zmiany temperatury: téj zimy przedstawiała różnicę od 3ch do 10 stopni.

Tak nam upływał czas w téj biegunowéj krainie, śród zabaw i zatrudnień, któreśmy sami utworzyć sobie umieli. Żadna skarga, żadne szemranie słyszeć się nie dawało, a gdym w niedzielę, po nabożeństwie, przeglądał osadę, staranny ubiór majtków, wesołe twarze, były dla mnie zapewnieniem najzupełniejszéj wytrwałości. Trzy miesiące upłynęły, a chociaż niekiedy widzieliśmy niedźwiedzie, zające i lisy, krążące w około naszego statku, nie napotkaliśmy jeszcze żadnego myśliwca. Jednakże 9 Stycznia 1830 roku, majtek stojąc w obserwatorium, postrzegł ludzi snujących się w dali. Wyruszyłem natychmiast w stronę którą mi wskazał, i rozpoznałem gromadę Eskimów, stojącą przy niewielkiéj lodowéj górze, o milę blisko od okrętu. Skoro mnie postrzegli, schronili się po za górę, lecz gdym nie przestał się zbliżać, ukazali się dobrowolnie, uszykowani we trzy rzędy, po dziesięciu w każdym. Posłałem po komendan-

ta Ross i kilku ludzi, rozkazawszy im trzymać się w pobliżu na odwodzie. Zbliżywszy się wówczas ku Eskimom, o jakie pięćdziesiąt sążni, poznałem że każdy z nich uzbrojony był włocznią i nożem, lecz nie mieli strzał ni łuków.

Wiedząc że Eskimowie przy spotkaniu wymawiają wyraz: *tima, tima*, powitałem ich własną mową, a oni odpowiedzieli mi jednogłośnym tegoż samego rodzaju okrzykiem. Przywołano wodza, trzymającego się dotąd na boku; stanął na ich czele. Rozkazałem towarzyszącym mi ludziom porzucić broń, i postąpiliśmy bliżéj, krzycząc *aja tima!* uroczyste wyrazy, których używają te ludy, gdy chcą przyjacielską zacząć rozmowę. Natychmiast Eskimowie rzucili na ziemię swoje włócznie i noże, powtarzając okrzyk przez nas wzniesiony, i wyciągając ręce, aby pokazać że są bezbronni. Przystąpiliśmy wówczas bliżéj i uściskali się wzajemnie. W kilku minutach pozyskaliśmy szacunek i ufność tych poczciwych ludzi. Powiedziliśmy im że jesteśmy Europejczykowie (Kablunae), a oni nam odpowiedzieli że są *Innuits*. Najstarszy z gromady miał około sześćdziesiąt lat, a najmłodszy ośmnaście: wszyscy dobrze byli przyodziani. Większa ich część miała po dwie pary bótów, a niektórzy jeszcze mieli na nich trzewiki. Ubior ich składał się z dwóch lub trzech par spodni skórzanych; kurtki z niedźwiedziéj skóry, obróconéj włosiem do środka, i szuby z podwójnych skór lisich, spadającéj po kolana. Z takiém mnóstwem sukien i ogromnemi kapturami osłaniającemi im głowę, wydawali się się daleko grubsi i wyżsi, niżeli byli w istocie.

To spotkanie tak było niespodzianém, żeśmy im najmniejszego nie mogli zrobić podarku; lecz ponieważ zezwolili pójść z nami na okręt, wynagrodziliśmy im to spóźnienie, ofiarowaniem kilku żelaznych kółek i sprzętów bez żadnéj wartości, które niewymowną im radość sprawiły. Twarze tych Eskimów ożywiał wyraz szczeréj wesołości, a małe ich czarne oczki żywym świetniały blaskiem. Płeć ich nie była tak śniadą jak tych których poprzednio widziałem. Byli także ochędożniejsi, i rzecz dziwna, mieli włosy krótko obcięte i porządnie zaczesane. Namówiliśmy ich aby zwiedzili wnętrze naszego okrętu, co z wielką uczynili przystojnością; najmniejsze nasze rozporządzenia, nasze sprzęty, zwierciadła, obudzały w tych biednych ludziach niewysłowione podziwienie. Daliśmy im potém skosztować mięsiwa zgotowanego dla osady, lecz była to strawa zbyt delikatna dla ich żelaznych żołądków, z obrzydzeniem ją odrzucili, i wówczas dopiero zostali zadowoleni gdy im przyniesiono kilka kubłów oleju i przetopionéj tłustości.

Zadaliśmy im kilka pytań względem położenia tych krain; lecz bądź że nas nie zrozumieli, bądź że nie zdolni byli odpowiedzieć, nie otrzymaliśmy zaspokajającéj odpowiedzi.

Zaczynało już ciemnieć; trzeba było wreście położyć koniec tym odwiedzinom; rozstaliśmy się jak dawni przyjaciele, i przyrzekliśmy naszym gościom że odwiedzimy nazajutrz ich obóz. Składał się z dwunastu chat wzniesionych obok niewielkiéj zatoki, o dwie mile blisko od naszego statku. Każdą z tych chat, ułożoną z kilku kawałów wyrąbanego lodu, poprzedzało przejście kryte, długie i kręte, w głębi którego siedziały po jednéj stronie kobiety i drobne dzieci, po drugiéj zaś stronie były psy przeznaczone do zaprzęgu. Chaty te zewnątrz mają pozor ostro-słupa z gruba zaokrąglonego. Wewnątrz, główna komnata na 10 do 15 stóp obszerna, wznosi się w kształcie kopuły. Na przeciw drzwi jest ława z lodu, zajmująca blisko trzecią część pomieszkania, pokryta skórami niedźwiedzi i rennów; jest to wspólne łoże całéj rodziny. Do jednéj ze ścian przytwierdzona jest lampa pełna rybiéj tłustości, któréj płomień rozlewa po chacie światłość wątpliwą i łagodne utrzymuje w niéj ciepło. Po nad lampą zawieszone jest naczynie kamienne, w którém gotują się kawałki mięsa rennów i cieląt morskich. Oto jedyne sprzęty i narzędzia, które postrzegliśmy w tych chatach. Z resztą, najmniejszego nie ma porządku; wszędzie skory świeżo odarte, świeże ćwierci morskich cieląt, nagromadzone bez żadnego ładu, z futrami i łachmanami odzieży.

Kobiety, któreśmy zastali w tych chatach, przyjęły nas nieśmiało, lecz z ukontentowaniem. Rysy ich były łagodne, a świeże i pulchne policzki, dowodziły doskonałego ich zdrowia. Wszystkie, mniéj lub więcéj wykalane były na czole i podbródku. Zadaliśmy im pytania względem miejsca w którém znajdowaliśmy się i fizycznéj powierzchni krainy.

Niektórzy z nich znali Igloolik, wyspę Winter i zatokę *Repulse*. Od trzynastu dni opuścili dopiero Akoolee, i przybyli w okolicę, w któréj ich spotkaliśmy, aby się zbliżyć do wolnego morza, które jak mówili, w niewielkiéj było odległości ku północy. Rozwinęliśmy przed nimi nasze mappy i plany. Po krótkiém objaśnieniu zdawali się doskonale pojmować ich cel i użyteczność; te mappy, jak łatwo można się domyśleć, nie zupełnie były dokładne: wskazali nam niektóre punkta na nich nie wyrażone. Wymienili nam góry, zatoki, wyspy i jeziora, zwracając naszą uwagę na miejsca

najbardziéj rybne, lub obfitujące w renny i piżmo-woły.

Odtąd stosunki nasze z temi poczciwemi ludźmi stały się daleko częstsze; przynosili nam część swojej myśliwéj zdobyczy, a my dawaliśmy im w zamian noże, szklanne paciorki i nieużyteczne już dla nas narzędzia. Jeden z łowców tego pokolenia, utracił nogę w walce odbytéj z niedźwiedziem. Łatwo pojąć jakim ciężarem ta rana czyniła go dla pokolenia, tak ze względu boleści których doświadczał, jako też trudności przenoszenia go z miejsca na miejsce. Chirurg nasz opatrzywszy go, dał cieśli okrętowemu rysunek szczudła. Gdy skończyło się leczenie i Eskim przypasał drewnianą nogę, trzeba było widzieć z jaką radością przechadzał się przed towarzyszami, nie mogącemi się wydziwić tak cudownemu uleczeniu. Uleczenie to wielką nam zjednało sławę.

Był 15sty Stycznia, a zimno tak wielkie iż czysty merkuryusz zamarzał. Mrozy nadzwyczajne przyśpieszyły zapewne śmierć jednego z naszych ludzi, James Maślin, puszkarza, zapadłego na kilka miesięcy przed naszym wyjazdem na słabość piersiową. Miesiąc Styczeń uważany jest w tych okolicach za najzimniejszy; zdrowie jednakże naszéj osady, większéj jeszcze nazbierało mocy. Stosunki nasze z Eskimami dostarczyły nam wygodnéj odzieży, w któréj łatwo można było stawić czoło téj srogiéj porze roku. Co do puszkarza, wątpię ażeby nawet w Anglii mógł żyć dłużéj.

Rzadko charakter ludzki okazuje się od razu w zupełném świetle, zawsze pokrywa go jakaś powłoka. Z czasem tylko można schwycić wszystkie jego odcienia, ocenić dobre i złe przymioty. Podobnież się stało i z naszemi Eskimami: z razu byli nieśmieli, potem ufniejsi, daléj bezczelni, nakoniec kłamcy i złodzieje. Przez takie stopniowanie przechodzili owi ludzie, których za tak poczciwych poczytaliśmy przy pierwszém spotkaniu. Jeden z nich, aby dostać kawał drewna, udał że go boli noga, i prosił cieśli aby mu zrobił podobne szczudło jak strzelcowi ranionemu przez niedźwiedzia. Podstęp zbyt łatwy był do odkrycia; powiedzieliśmy natrętowi że chcąc mieć szczudło, musi sobie koniecznie dać upiłować nogę. Zmięszany tą odpowiedzią nie nalegał dłużéj i odszedł zawstydzony. Inni obiecywali nam niedźwiedzie, skóry rennów, morskie cielęta, kazali sobie dawać sznury i haki, a nie dotrzymywali umówionéj ugody. Inni nakoniec, korzystając ze wspaniałéj naszéj gościnności, przywłaszczali sobie drobne narzędzia zupełnie im bezużyteczne. Jedna z kobiet pochwyciła szczypce. *Angekok*, to jest wieszczek, mędrzec, lekarz, poeta tych hord błądzących, uznał za rzecz potrzebną skraść nam wielką perspektywę i młotek.

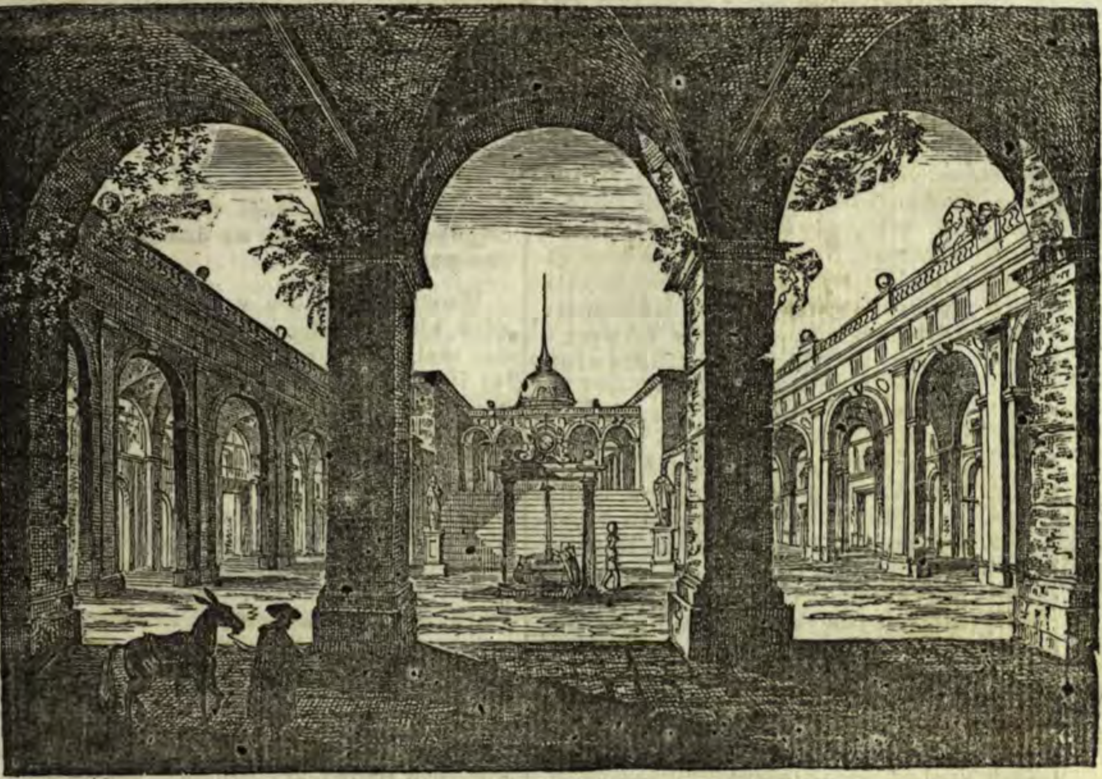
Skorośmy postrzegli brak tych rozmaitych przedmiotów, staliśmy się ostrożniejsi i nie tak przystępni; pobłażanie zachęcałoby tę niegodną skłonność, a nie chcieliśmy przystąpić do surowszych środków. Muszę wyznać na pochwałę Eskimów, że z przykrością postrzegli naszą oziębłość, i zażądali wytłomaczenia. Odbyło się w ten sposób: Jeden z nich towarzyszył mojemu synowcowi w jego wycieczkach, a gdy tenże bawił się strzelaniem tu i owdzie napotkanéj zwierzyny, Eskim, posłyszawszy kilka wystrzałów, zbliżył się do niego i spytał pomięszany: »Co mówi twoja fuzya? —»Wymienia, odpowiedział mój synowiec, imiona tych wszystkich, którzy co skradli na okręcie, i zapowiada że łowy wasze dopóty będą bezskuteczne, dopóki nie zwrócicie wszystkich źle nabytych przedmiotów.» W istocie, od kilku dni polowanie nie było obfite. Udał się ten podstęp, i nazajutrz mieliśmy już na okręcie wszystkie potajemnie uniesione rzeczy.

To dobrowolne oddanie i wyraz żalu jaki oświadczyli Eskimowie, wróciły pomiędzy nami dawniejszą zażyłość. Znowuśmy im dawali fraszki za ubite zwierzęta; a gdy głód im dokuczał, przychodzili do nas po zaopatrzenie żywnością. Dali nam kilku psów do sanek, nauczyli nas zastawiać sidła na lisy, niedźwiedzie i borsuki, i nieznacznie łowy nasze stały się podobnie jak i ich korzystne. W ten to sposób upływał nam czas od Listopada.

Od pierwszych dni marca, zimno przestało bydź tak straszliwe, lód był nie tak ścisły, słońce bardziéj ożywcze. Kazałem rąbać kanał, dla łatwiejszego wydobycia naszego statku gdy nadejdzie odwilż. Kapitan Ross udał się ku południowo-zachodniéj stronie, w celu odkrycia jakiego przejścia; tę długą i przykrą podróż, już kilka razy podejmowaliśmy bezskutecznie. Upewniliśmy się jednak, iż Ocean zachodni znajduje się po za owym wązkim przesmykiem, należącym do krainy któréj nadaliśmy miano *Boothia*. Porównywając to odkrycie z tém co nam powiadali Eskimowie o miejscu zwaném przez nich Mag-a-Woke, powzięliśmy nadzieję że znajdziemy może wyjście na Ocean zachodni. Krajowcy wprawdzie nie wielką czynili nam zachętę, utrzymując iż ziemia ciągnie się bez żadnéj przerwy od północy na południe i że nie istniało żadne przejście tam, gdzieśmy je sobie wyobrażali.

(Dalszy ciąg nastąpi).

OPACTWO MONTE-CASSINO.



Opactwo Monte-Cassino, założone w roku 529, było kolebką większéj części zakonów na Zachodzie. Młody człowiek z xięztwa Spolette, święty Benedykt, gardząc światowemi uciechami, którym mógł oddać się z powodu majątku i świetnego stanu swoich rodziców, schronił się na puszczę Subiaco niedaleko Palestyny, ażeby tam rozmyślał nad pismem świętem i oddał się pobożności. W owych wiekach gorliwą ożywionych wiarą, każdy człowiek który świetniejszemi czynami objawiał przekonanie swoje, stawał się naczelnikiem i zgromadzał mnóstwo uczniów. Pieczara gdzie mieszkał Swięty Benedykt, wkrótce stała się ogniskiem osady chrześciańskiej, zajmującéj się uprawą roli, czytaniem Ewangelii i nabożnemi ćwiczeniami: tak więc reguła zakonu Benedyktynów, już była wykonywana w praktyce, wprzódy, nim ją spisano jako ustawę. Bałwochwalstwo już pozbawione władzy duchownéj i świeckiej, jeszcze było uzbrojone siłą naturalną i broniło się gwałtami i prześladowaniem. Swięty Benedykt musiał opuścić Subiaco jako za bliskie Rzymu, a zapuściwszy się w Latium, poprowadził swoich współ-wyznawców w góry Apeninu, do miasta Casinum o kilka mil od Gaety. Mieszkańcy Casinum, jeszcze przywiązani do czci fałszywych Bogów, czcili Apolina, ale byli łagodnego charakteru: przyjęli więc chrześcian, a wkrótce nawróciwszy się na wiarę chrześciańską, dopomogli im do zbudowania wielkiego klasztoru. Taki był początek sławnego opactwa Monte-Cassino i potężnego zakonu Benedyktynów, który rozszerzył się po całéj Europie, którego reguła stała się powszechnym prawem zgromadzeń religijnych, i który wydał 40 papieżów, 200 kardynałów, 50 patryarchów, 1600 arcybiskupów, 4,600 biskupów, i 3,600 świętych kanonizowanych.

Rozmaite klęski przerywały szybki wzrost Opactwa Monte-Cassino. Umieszczone w kraju najbardziéj wystawionym na rozboje, sławny bogactwami i wziętością, uległo wielokrotnym napadom. Zdobyli je i zniszczyli Lombardowie w 589, Saraceni w roku 884, Normanowie i inni najezdnicy. Klasztor ten musiał więc przybrać obronną postać. Spokojna uchrona rozmyślania i nauki, otoczyła się warowniami, a zakonnicy musieli zarazem władać orężem, moty-

ką i piórem; ich opaci mający tytuł biskupów i z powodu wysokiego dostojeństwa i obszernych posiadłości, uważani za pierwszych dygnitarzy państwa, dowodzili wojskiem i byli naczelnikami zakonu. Nie tylko życie swoje i majątki zabezpieczyli zakonnicy Monte-Cassino murami klasztoru, ale ukryli w nich szczątki cywilizacyi wieków upłynionych i żywioły przyszłego od rodzenia oświaty. Ich reguła nakazywała im trudnić się pracą umysłową i ręczną, po uprawie pola i winnic zajmowali się naukami. Tak więc, gdy Gotowie, Frankowie, Włosi, Saraceni, Normanowie, we krwi gasili promień światła, Benedyktyni zapalali je w głębi cel swoich, zgromadzali szczątki wykształconego towarzystwa niknące w powszechném rozbiciu, ocalali źródła nauk, sztuk i umiejętności. Gdy xięgozbiory ginęły wszędzie pod ogniem i żelazem, zakonnicy z Monte-Cassino kazali ozdabiać swój klasztor, rzeźbami, malowidłem, mozaiką i rozmnażali przepisywaniem dzieła starożytnych filozofów, historyków i poetów. Z tego przykładu okazuje się, że wtenczas, kiedy Grecya i Włochy były spustoszone i przywiedzione do stanu dzikości, umierająca cywilizacya gdyby nie była znalazła klasztorów, gdzie się schroniła jak do arki zbawienia, przeszłość byłaby ze wszystkiém dla nas straconą. Gdy się burza zaczęła uspokajać i pomyslano o wynagrodzeniu klęsk tylu, wyłącznie prawie w klasztorach znaleziono materyały i pisma starożytności. Zakonnikom z Monte-Cassino, winniśmy szczególniéj wdzięczność za to wielkie dobrodziejstwo. Przez długi czas, pokolenia następowały po sobie na uczonéj górze, nie słabnąc bynajmniej w nauce i gorliwości; nazwisko Benedyktyna, było świadectwem erudycyi. Opactwo Monte-Cassino, aż do epoki dosyć bliskiéj, pozostało świętem miastem nauk; uczeni wszystkich krajów zawierali z niém stosunki, a świat uczony uważał jego zdanie jako wyrocznią w przedmiotach spornych. Jednakże niekiedy gasł ogień nauk, nawet w tym przybytku. Bokacyusz zwiedziwszy klasztor w środku XIV wieku, boleśnie zadziwił się opłakanym stanem biblioteki; sala do któréj z trudnością po drabinie dostać się można było, nie miała drzwi; trawa rosła na oknach, xiążki rozrzucone tu i owdzie i okryte kurzawą, były po większéj części poobdzierane i uszkodzone. Zakonnicy wycinali z nich malowidła, karty i oprawy pargaminowe, robili z nich zabawki dla dzieci. Teraz przynajmniej, dowcipny autor Florencki z radością postrzegłby, że kosztowne skarby zakonu Monte-Cassino, są w jak największym porządku i w wspaniałéj sali umieszczone.

Tak więc, Monte-Cassino, uświęcone pamiątką cnot chrześciańskich, pobożnych czynów, walk, oblężeń, prac naukowych, bytnością najsławniejszych monarchów, zwraca jeszcze prócz tego uwagę przez wspaniałość architektury i liczne przedmioty sztuki, które w niém się znajdują. Gmach, wielokrotnie niszczony napadami, trzęsieniem ziemi i ogniem piorunowym, wielokrotnie odnawiany, nie ma jednostajności i proporcyi w budowie; ale jego wielkość nadaje mu znamię siły i powagi. Główna wystawa ciągnąca się wzdłuż na 523 stóp, jest bardzo wspaniała.

Wnętrze klasztoru, z powodu mnóstwa ozdób, nie ma cechy zakonnéj. Wszędzie widać malowidła, rzeźby, mozaiki. »Widok téj świetnéj bazyliki: mówi pewien podróżny: na wierzchołku góry i w dzikiéj pustyni Apeninów, czarodziejstwem się wydaje. Gdy przebywszy bramy z bronzu, ciekawe dzieło XIgo i XIIgo wieku, na których są wypisane srebrnemi literami, nazwiska zamków i posiadłości opactwa, dostaniemy się wewnątrz klasztoru, wszystko tam, od sklepienia aż do posadzki, jest z drogiego marmuru, granitu, alabastru, bronzu, lazuru, lapisu, ametystu, bronzu, złota. Oko błąka się pośród tłumu obrazów, kosztownych nie tylko przez starożytność i wypracowanie, ale jeszcze z powodu że wyobrażają historyą Monte-Cassino. Jedne wystawiają cuda Świętego Benedykta, drugie, główne sceny życia starszego syna Karola Martela, Karolomana, który złożywszy koronę, oblókł szatę zakonną i umarł w opactwie; inne, królów, xiążąt, hrabiów i znakomitych osób, które przeniosły bogobojne życie nad przepych świata.

Wszystkie sztuki piękne powołane zostały aby cześć oddać założycielowi opactwa; jego obraz, pamiątkę i ślady, napotykamy za każdym krokiem. Głębokie sklepienie, którém wchodzi się do klasztoru, zachowują troskliwie, ponieważ składać miało część groty, w któréj mieszkał; jego posąg olbrzymiej wielkości, stoi przy wnijściu do gmachu; pędzel wyobraził jego postać na wszystkich ścianach; kościół podziemny *Tugurio*, zbudowano i wspaniale ozdobiono dla przyjęcia zwłok jego; a nareście część gmachów uważanych jako reszta pierwotnego opactwa, jest celem szczególnego uczczenia, pod nazwiskiem wieży i komnat Świętego Benedykta. Tam sztuki podwoiły swoje usiłowania, a ich wytwor sprzecznie odbija się ze wspomnieniem pokory, które pozostawił święty pustelnik. W sali ozdobionéj obrazami Rafaela Guido, Guerchini, Dominikina, Annibala Karacio i innych mistrzów, jest napis w języku łacińskim: »Część wyż-

sza starożytnéj wieży, w któréj Swięty Benedykt mieszkał, słynąca wielu cudami.»

Opactwo Monte-Cassino posiada jeszcze w archiwach swoich nieocenione skarby, są to ustawy, nadania, przywileje, bulle, wszystko to są dokumenta oryginalne, podpisane przez cesarzów, królów, papieżów, xiążąt, niezmiernie dawne rękopisma, arcydzieła cierpliwego pióra zakonników, niezliczone listy pisane przez korrespondentów ze wszystkich stanów i wieków.

Opactwo to podobne jest do tych wielkich miast, które przez połowę wyludnione, wydają się pustemi i tak jak Wersal jeszcze mają mieszkańców, ale już nie mają ludności. Mała tylko liczba zakonników, przerywa jego samotność; nie trudnią się teraz ani piórem, ani rolnictwem.

O cztery mile od tego klasztoru, wznosił się mały klasztor Albareta, założony w Xtym wieku przez pielgrzyma który z ziemi Swiętéj powracał. W nim to, sławny twórca zakonu Jezuitów, S. Jgnacy Lojola, położył w 1338 pierwsze zasady swego zakonu. Tak więc, dziwacznem zbiegiem wypadków, na Monte Cassino, powstały, przedzielone wiekami, dwa najsławniejsze zakony, Benedyktynów i Jezuitów.

KARDYNAŁ RYSZELIEU.

Sposoby któremi wyniósł się Ryszelieu na stopień ministra i władza bez granic którą zdołał ogarnąć; wskazują jaki był rząd Francyi za jego czasów. Wszystko musiało ulegać przed jego wolą. Ugruntował on, nieograniczony systemat monarchiczny, który dotrwał we Francyi, aż do panowania Ludwika XVI.

Po śmierci Henryka IV. Marya de Medicis; żona jego, rejentka państwa, w jednym roku zniszczyła wszelkie dobrodziejstwa i korzyści, jakie ten monarcha ściągnął na Francyą. Spokojność wewnętrzna, pojednanie stronnictw, bogactwa, przewaga w Europie, wszystko to postradała Francya. Xiążęta krwi i wielcy panowie. wszczynali zaburzenia. Kraj zostawał w jak największym nieładzie, pod zarządem Florentczyka Concini, ulubieńca królowej, który nigdy nie służąc w wojsku, został marszałkiem Francyi. Przeciwni temu cudzoziemcowi zwanemu marszałkiem d'Ancre, byli najpotężniejsi panowie. Xiążęta, Kondeusz, Gwizyusz, Vendome, xiąże de Nevers, marszałek Bouillon, oświadczyli, że służą sprawie króla, prowadząc wojnę z ministrem. Nareście zwołano stany państwa w r 1614, było to ostatnie zgromadzenie aż do 1789 roku: ich posiedzenia nastręczyły biskupowi Lucon (Ryszeliemu) sposobność utorowania sobie drogi do dworu.

Ryszelieu nie sposobił się z razu do stanu duchownego; urodził się 5go Września 1585 w Paryżu. Ojcem jego był Franciszek du Plessis, pan na Richelieu zamku w Poitou; młody Ryszelieu zrazu kształcił się na wojskowego, ale gdy starszy z jego dwóch braci zginął w pojedynku, a drugi który już był biskupem Lucon wszedł do Kartuzów; wystawiono młodemu Armandowi, że ta katedra biskupia, którą był także zajmował jego dziad stryjeczny, powinna zostać w familii, i bez innéj przyczyny porzucił wojskowość, dla uczenia się teologii. Tak szybko postąpił w téj nauce, że mając dopiero lat 22, namaszczony został w Rzymie na biskupa Lucon. Wyłącznie zajmował się obowiązkami powołania swego, aż do zgromadzenia Stanów w 1614, na których zasiadał jako deputowany od duchowieństwa z Poitou. Odznaczył się wymową i przy zamknięciu Stanów polecono mu, ażeby miał mowę do króla. W téj mowie, która już w zupełności maluje charakter Ryszeliego, użala się, że duchowni zbyt rzadko powoływani bywają do rady monarchy, jak gdyby zaszczyt służenia Bogu, czynił ich niezdolnemi do służenia królowi, który jest najżywszym jego obrazem. Przytoczył przykład Gaulów, którzy zawsze szli za radą swoich Druidów. Zakończył pochwałą królowej rejentki, która tak jéj była przyjemną, że w nagrodę otrzymał urząd jéj jałmużnika.

Ryszelieu starał się najprzód o względy marszałka d'Ancre i otrzymał w r. 1616 urząd ministra sekretarza wojny i spraw zewnętrznych. Po upadku Conciniego, królestwo pozbywszy się faworytów królowéj, dostało się pod władzę faworytów króla. Ryszelieu przez długi czas oszczędzał obie strony i stopniami się wznosił. Zostawszy kardynałem w r. 1632; dzięki staraniu królowej, wyraził jéj najżywsze oświadczenia wdzięczności i uszanowania; uwiedziona niemi, póty nalegała na króla, dopóki nie wezwał go do rady. »Znam go lepiéj niżeły, rzekł król do matki swojéj; jest to człowiek nienasyconéj dumy.» Jednakże Ludwik XIII. ustąpił, a Ryszelieu wszedł do rady, jak pan, który znać nie chce ani towarzyszów, ani równych sobie.

To ministeryum, albo raczéj to osiemnastoletnie panowanie, pod czas którego kardynał Ryszelieu postawił Ludwika XIII. na drugiém miejscu w monarchii, a na pierwszém w Europie, objęło cztery główne cele, to jest: pozbawienie kalwinów zaciętéj potęgi, zniszczenie intryg knowanych bez ustanku przeciw pierwszemu ministrowi, upokorzenie i złamanie przewagi możnowładzców i nareście podniesienie z uj-

mą Austryi zewnętrznego wpływu Francyi: takie to olbrzymie dzieło rozpoczął Ryszelieu, i przywiodłszy je do skutku, pośród intryg i spisków dworskich, mimo słabości króla, zajadłego oporu królowej matki i nieustannych intryg xięcia Orleanu, stanął w rzędzie najbieglejszych ministrów.

Kalwinizm był na łonie kraju zbrojnym stanem, ktoren obce mocarstwa zawsze podżegały do rozruchów, ilekroć chciały szkodzić Francyi. Ryszelieu postanowił pozbawić go tej sposobności szkodzenia i poniżyć protestantów. Zaczął od zdobycia Roszelli najważniejszej fortecy jaka była w ich mocy. Szturm i obrona uczyniły pamiętnem to oblężenie. Ryszelieu okazał talenta biegłego jenerała, chociaż ta rola nie-



zgadzała się z jego szatą duchowną. Roszella musiała uledz w roku 1628, postradała swoje przywileje i warownie. Odtąd związek protestantów nie miał już punktu zjednoczenia, a Francya drugiej stolicy, która przywłaszczała sobie prawo wyobrażania religii reformowanej, umawiania się z obcemi mocarstwy i była ogniskiem gdzie wszyscy burzliwi i niechętni znajdowali wsparcie i przytułek.

Ryszelieu ukorzył potem hugonotów Langwedockich, a w tymże czasie udzielił wsparcia xięciu de Nevers, z którym trzech xiążąt spór wiodło o xięztwo Mantui. Ludwik XIII. udał się z wojskiem do Włoch, a za powrotem z tej wyprawy, którą wykonano z równem szczęściem i z powodzeniem, wojska zajęły w Langwedocyi wszystkie miasta protestantów (1630).

Z tem wszystkiem, knowano intrygi na dworze przeciw Ryszeliemu, tém groźniejsze, że małżonka Ludwika XIII. Anna Austryacka i królowa matka, popierały je całym wpływem swoim. Ryszelieu już miał upaśdź, ale ostatni raz przyszedłszy do króla, odzyskał dawną przewagę. Przeciwnicy jego ukarani zostali więzieniem, wygnaniem lub śmiercią. Marya de Medicis, królowa matka, musiała opuścić Francyą, i dwanaście lat żyjąc na wygnaniu, umarła w Kolonii roku 1642. Z tego okazuje się, jak dalece Ludwik XIIIsty ulegał Ryszeliemu.

Surowość i srogość ministra, już znana była wszystkim, a jednakże możni panowie żałując swojej feodalnej władzy, nie przestawali intrygować przeciw niemu. Najznamienitsi, życiem przypłacili te niebezpieczne zamachy. W przeciągu sześciu miesięcy, dwóch marszałków Francyi, Marillac i Montmorenci, padło na rusztowaniu. Cinq-Mars i de Thou, doznali tegoż samego losu. Takim to sposobem, Ryszelieu kończąc dzieło przez Ludwika XI. rozpoczęte, przygotował nieograniczoną władzę Ludwika XIVgo.

Obok tej niezbłaganéj surowości, z którą karał zmowy przeciw niemu knowane, nie zapominał o wielkości Francyi, a gdy zbliżała się chwila wykonania, nie zważał wtedy na grożące mu niebezpieczeństwa. Oderwał Bawaryą od Austryi, wstrzymał zawarcie traktatu z Danią i rozsiewał niezgodę w katolickim związku xiążąt niemieckich. Ten sam minister, który tak zajadle walczył z protestantami we Francyi, umawiał się z Gustawem Adolfem ich naczelnikiem w Niemczech i posyłał mu w pomoc wojska francuzkie; przede-wszystkiem mając na uwadze wzrost potęgi Francyi, nie zważał na tę sprzeczność w postępowaniu i rzucił pierwsze zasady traktatu Westfalskiego, który chociaż już po jego śmierci w lat sześć zawarty, stanowi zasługę i chwałę tego ministra.

Czyliż wspomnieć mamy o słabości, którą ten człowiek wyższy z tylu względów, okazywał, uważając się za poetę? Musimy to uczynić, ponieważ i ta słabość przyłożyła się do wzrostu nauk, założenie akademii w r. 1635, jest tego świetnym dowodem.

Takie to główne czyny, wsławiły ministerstwo kardynała Ryszelieu, które skończyło się razem z życiem jego, 4go Grudnia 1642. Oczekiwał zgonu ze spokojnością umysłu, którą miał zawsze. Gdy mu przyniesiono wiatyk, »Oto jest mój Pan i Bóg! zawołał, oświadczam przed jego obliczem, że we wszystkich czynach moich, miałem

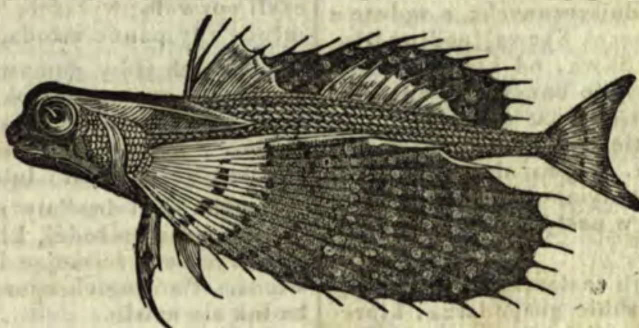
jedynie na celu dobro religii i kraju. Gdy już skonał, Ludwik XIII, rzekł zimno. »Umarł wielki polityk.»

JASKOŁKA MORSKA.

Jak wszystkie zwierzęta zwracające na siebie uwagę charakterystycznym i odznaczającym się rysem, bądź w powierzchowności, bądź w obyczajach, ryba ta ma kilka odmiennych nazwań, które dosyć wymienić aby ją dać poznać. Nosi na sam przód rodzajowe imie *daktyloptera*, złożone z dwóch greckich wyrazów, znaczących błony w skrzydłach lub pletwach; a drugie *pirapede*, wzięte z mowy Brezylskiéj. Nazywana bywa prócz tego rybą latającą, jaskółką, sokołem morskim, nietoperzem, i. t. d.—Niektóre z tych nazwisk wytłomaczy opis téj ryby, ciekawéj z wielu względów.

Imie jaskółki morskiéj, podobnież jak i inne, nadane jéj zostało z powodu długich piersiowych pletew, za pomocą których może wyskakiwać z morza, i wznosić się do tak znacznéj wysokości, że łuk powietrzny który zakreśla, podrzuca ją o piętnaście do dwudziestu stóp odległości. Przebywałaby w ten sposób większy daleko przestwór, gdyby błona jéj skrzydeł mogła zachować swoją sprężystość w gorącém powietrzu, w którém się porusza. W braku owéj sprężystości, opada niezadługo w rodzinny żywioł, gdzie ożywcza świeżość wody natychmiast dawną dzielność jéj powraca: tak mitologia nam opowiada, że Anteusz utracał siły, ilekroć razy wzniesiony został w powietrze, a odzyskiwał je dotknąwszy się swojéj karmicielki ziemi.

Tego gatunku ryby, podlatują niekiedy. w liczbie przeszło tysiąca razem, i bardzo przyjemny widok przestawiają wówczas.



Ma sześć piersiowych promieni spojonych błoną; pletwy piersiowe tak są prawie długie jak całe ciało, z rozchodzącemi się promieniami, jak w skrzydłach nietoperza; głowę pokrywa pewien rodzaj hełmu czterokątnego, uzbrojonego w niewielkie kolce rozchodzące się gwiaździsto, na przodzie zaokrąglone, a zakończone czterema szerokiemi, przedłużonemi bodźcami; szczęka wierzchnia bardziéj wystająca niżeli spodnia; pysk mocno rozcięty; język krótki, gruby i gładki jak podniebienie, i podwójne nozdrza; łuski brzuchowe mają kształt sześciościenny, to jest dwa kąty ostre, a dwa ścięte, i cztery boki, z których tylko dwa na przeciwległe są sobie równe; pletwa szyjowa zwiększa się stopniowo; grzbietowe znacznie są jedna od drugiéj oddalone. Ogólny odcień jest czerwonawy z wierzchu, fioletowy na głowie, białawy spodem; pierwsza pletwa grzbietowa i szyjna błękitna, druga grzbietowa zielona, wielkie piersiowe pletwy brunatno oliwkowate, obsiane okrągłemi, jasno-błękitnemi plamy. Cała jaskółka morska długa jest na stopę.

Niekiedy, śród cieni burzliwéj nocy, błyszczą fosforyczną światłością i ognistemi ślady przejście swoje znaczą.

Powodem wychodzenia z wody, jest konieczność chronienia się przed nieprzyjaciołmi, ścigającemi ich bezprzestannie. Lecz, jak uważa Lacepede, taki jest nieszczęśliwy los tych stworzeń, które zarazem ryby i ptaki, podwójne powinnyby mieć schronienie, iż dla tego jedynie unikają niebezpieczeństw morza, aby się na niebezpieczeństwa powietrza wystawiać; jeśli się uchronią przed zębem wodnych swoich prześladowców, wpadają w groźne szpony fregat, faetonów, kulików i innych ptaków morskich. Często ryby latające padają także na pomosty okrętów i rękoma chwytane bywają. Dawniéj majtkowie składali w kościołach, złowione tym sposobem daktyloptery.

Jaja które zawiera w sobie samica, są zwykle mocno-czerwone. Pożywieniem tych ryb są skorupiaki i drobne muszle. Ryby te jeść można, lecz mięso jest chude i twarde. Pewien autor zapewnia z własnego do-

świadczenia, że żółć ich jest skuteczném lekarstwem na kataraktę.

OBRZĄDEK WESELNY U KURPIOW CZYLI KURPIKÓW.

Słynna za czasów xiążąt Mazowieckich puszcza, a raczéj niebotyczne lasy Skwańskie, zajmujące rozległą przestrzeń między rzekami Bug, Narew, Ugierka aż do Biebrzy, zamieszkałemi były przez lud trudniący się wyłącznie bartnictwem i myślistwem; który dla noszenia zupełnie odmiennego od innych wówczas prowincyi obuwia bez cholew ze skóry, a najczęściéj z kory lipowéj, lub wierzbowéj, zręcznie uplecionéj i sznurkami aż do kolan nogawice krępującemi, a do zatrudnień codziennych wygodnego, otrzymał nazwisko kurpiów. Lecz dziś nazwiska tego używają tylko wieśniacy zamieszkali po prawéj stronie Narwy w lasach wprawdzie rozległych, lecz równie jak wszelkie inne nadniszczonych; a sądząc z dwóch małych rzeczek Skrwa (podług Długosza Sktrwa) i Skwa, od których zapewne przed tem lasy te nazywano, zdaje się iż w prawdziwém miejscu pozostał. Lud ten zachował wiele różnych od innych prowincyi zwyczajów. Najważniejszym i najbardziéj urozmaiconym obchodem u nich jest wesele, które w następny sposób odbywają.

Podług zwyczaju zastarzałego, szukający żony wybiera sobie gospodarza, któremu odtąd służy nazwisko *Raj*, ten oznaczywszy dzień zwykle sobotni, w towarzystwie młodego, udaje się do domu rodziców przyszłéj. Tam po dwakroć zapytuje się matki czy wyda za tego z którym przybył córkę; powszechną odpowiedzią bywa że dziecka przyniewalać nie może: »jeźli się jéj uda, to i dobrze;» — wtenczas Raj wydobywa z skórzanéj torby miód, lub wódkę, częstuje rodziców i córkę. Poczem wprowadza młodego do izby, każe mu się przywitać ze wszystkiemi, i rozpoczyna zaręczyny. Ten przedwstępny akt nazywa się zmówiny. Po kilkakrotném wypróżnieniu kieliszków, Raj ciągle rozmawia z młodą dziewczyną, która siedząc za piecem, czy to dla wstydu, czy dla zwykłéj ceremonii, po cichu mu odpowiada. Jeźli nie przystaje na wybór, wtenczas tłucze Raj flaszkę i wychodzi natychmiast z domu, w przeciwnym razie wykrzyknie. »Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! to i zgoda.» — Oświadcza wolę panny młodéj i zachęca do zabawy. Teraz rozpoczyna się pijatyka, tańce i różne właściwe każdego humorowi dziwactwa. Rodzice zaręczonego przybywają, i następuje układ o posag. — Po upływie trzech niedziel, również w sobotę schodzą się tak gospodarze jako i gospodynie na *Rozpleciny*. I tu najważniejszą osobą jest Raj ze strony pana młodego, a Swachna panny młodéj; za zwyczaj obierają tę, która umie śpiewać i zna wszystkie zwyczaje. — Druchny siedzą za stołem przy narzeczonéj, a drużbowie w końcu izby na ławie, trzymają w pośród siebie pana młodego. Gdy się wszyscy zejdą, Raj występuje na środek i zaczyna taką przemowę, którą dosłownie umieszczam.

»Najukochańsi ojcze i matko. Jużcim się zabawili, i uczynilim sobie zabawę, która nam się spodobała. Czyli pozwolicie ojcze i matko téj parze aby się złączyli?» — Powszechne panuje milczenie. »Jeszcze cicho, nie odpowiadają nic. Jeszcze się powtórnie pytam co mówicie ojcze i matko? Oto ta para siedzi; zezwalacie czyli nie?— Powtórnie, i wszyscy przyjaciele i sąsiedzi pokłońcie się ojcu, matce i spytajcie się czyli pozwolą; wyłaźcie z za stołu ty panie młody i ty panno młoda.»

Gdy tych słów domawia, pan młody powinien się zwinnie wymknąć pilnującym go drużbom, jeźli chce uniknąć kary za opieszałość, która się ogranicza na wystawieniu parę garcy wódki lub miodu.

Drużbowie i druchny przystępują do rodziców panny młodéj, kłaniają się, za niemi narzeczeni ściskając ich proszą o odpowiedź. Po długich oporach w końcu matka tak się ozwie.

»Pozwalam wam moje dziatki. Niech wam Pan Bóg dopomoże i łączy was. A wy kochani sąsiedzi, co będziecie życzyć. Dacież jaką zapomogę téj parze?

Raj. Ja naprzód dam ćwierć pszenicy?
Marcin. A ja ćwiartkę żyta.
Jan. Ja ćwierć jęczmienia na piwo.

Wszystkie Gospodynie. A my składamy się po kawałku słoniny, sadła, dajem kury, gęsi, aby mieli obiad.

Jeden z młodych chłopców musi bydź przebrany za żyda faktora, ten więc w końcu odzywa się: »Ny, a ja będzie przynosil z wodem gorzałki.

Tak więc gdy wszyscy gospodarze coś ofiarują, to ma bydź obrocone na pierwszą po ślubie biesiadę, czyli pohulankę.

Po skończonych oświadczynach, państwo młodzi dziękują wszystkim, zapraszając na dzień jutrzejszy. Raj znowu wychodzi przed stół i mówi:

» Kładź panno młoda i ty panie młody wasze pierścionki; teraz przyjrzyjcie się sobie młodzi ludzie, bo to jest sęk twardy i

ciężki do rozcięcia, W Imie Ojca i Syna i Ducha Swiętego Amen.»

Bierze kropidło i święconą wodę, kropi pierścienie i przytomnych. Starzy ludzie utrzymują że te wszystkie ceremonie i peryochy były obowiązkiem organisty, lecz teraz dla zbytniej odległości wsiów od kościołów parafialnych, Raj miejsce jego zastępuje.]

Państwo młodzi odebrawszy pierścienie ale przemienione, odzywają się. »Dziękujemy wszystkim. Grajcie na wiwat, pijcie wódkę w koło, a wy drużbowie, druchny i gospodynie, bądźcie łaskawi na mnie na jutro.» — Wszyscy przytomni jednozgodnie wykrzykują Wiwat! a Raj uderzywszy silnie o stół szklanką, tak aby się stłukła, po dwakroć woła: »Ho nasza!

Te ceremonie powinny się zakończyć z południem. Mężczyźni wychodzą, zostają same tylko druchny. Za nadejściem szaréj wieczornéj godziny, rozpoczynają się Rozpleciny. Druchny ubrawszy głowę panny młodéj, splotłszy warkocz zapraszają sąsiadów, poczem na nisko przepiłowanym ulu, okrytym białym płótnem, sadzają pannę młodą, i w koło obstąpiwszy czekają na Raja.— Ten stanąwszy przed najstarszą z gospodyń, tak mówi:

»Sliczne nasze zgromadzenie, ale która tu się znajduje osoba między nami, niech rozpocznie rząd. Pani Swachno, juźcim się zabawili, trzeba nam zrobić skutek; weźcie wy pannę młodą i rozpleććie warkocz porządnie, będziecie mieli za warkocz nagrodę. Zagrajcie, pójdziem teraz wszyscy w około. Będziem rozpletali moi Drużbowie kochani.»

Swachna wystąpiwszy przed panną młodą, ze wszystkiemi gospodyniami zaczyna śpiewać.

Zakukała kukaweńka na sęku,
Zapłakała Kasiuleńka na pieńku;
O kukajże kukaweńko a głośniej,
O płacz że ty Kasiuleńko załośniej.
Lata żółna, szuka ula,
A na nim siedzi Kasiula,
Latajcie smutne żołneczki
Póki nie porwą Kasieczki.

Drużbowie wyprowadzają pana młodego do drugiéj izby, a Druchny zaczynają warkocz rozplatać, w czasie czego Swachna śpiewa.

Ty mój bracie rodzony,
Rozpleć warkocz spleciony,
Nie ma tego na świecie,
Kto mój warkocz rozplecie.

Mój braciszku rodzony
Rozpleć warkocz spleciony.
Przybywajcie drużbowie
Jeszcze warkocz na głowie.

O dla Boga żywego!
Nie ma drużby żadnego,
Przybywajcie drużbowie,
Jeszcze warkocz na głowie.

I ty duży i ty mały,
Jeszcze mój warkoczyk cały,
Przybywajcie drużbowie,
Bo mój warkocz na głowie.

Co u Boga żywego?
Nie ma drużby żadnego.

Nagle drzwi się otwierają i drużbowie jeden przez drugiego się tłocząc wchodzą.

My koniki siodłali
Tom późno przyjechali.
Druchny. Jak drużbowie przybyli,
To sto złotych zrzucili;
Dziękujem wam drużbowie,
Za mój warkocz na głowie.

Każdy podług możności zrzuca co na talerz dla panny młodéj.

O Ty drużbo kochany
Już warkoczyk splątany,
Uczeszcie mi drużbowie,
Mój warkoczyk na głowie.

Obowiązkiem jest przytomnych wziąść grzebień do ręki i po razie pociągnąć po włosach. Nieraz wydarza się że rywal pana młodego, narzeczoną co sił szarpnie po włosach, wtenczas uciekać musi którędy tylko może. Poczem znowu Swachna śpiewa.

Gdzież mój grzebień perłowy,]
Żeby mi był gotowy,
I wstążeczka różowa,
Żeby była gotowa.
Ach! dla Boga żywego
Nie ma Jasia mojego.
Ach! Jasieńku kochany,
Już warkoczyk splątany.

Wprowadzają Drużbowie pana młodego, ten musi wstążką koniecznie koloru różowego związać włosy narzeczonéj. Panna młoda wstaje i zaczynają się tańce trwające aż do białego dnia. Kiedy już ukaże się w okienkach, wszyscy się rozchodzą do domów; jedne tylko druchny zostają i ubierają pannę młodą do ślubu, który jak teraz odbywać się musi w Niedzielę, lecz podług najdawniejszego zwyczaju bywał we

Wtorek, ale dla jakich przyczyn, dojśdź tego nie można.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWE DZIEŁO.

W Wilnie nakładem Józefa Zawadzkiego wyszło dziełko p. t. *Wstęp albo wiadomości przygotowawcze do Historyi powszechnéj dla dzieci, przez L. A. Schlozera, przekład z niemieckiego podług wydania szóstego, dwie części — Cena zł. 4.*

Dziełko to, praca znakomitego historyka niemieckiego, jest bardzo pożyteczne do nauki historyi. Słusznie uważał autor który całe życie poświęcił krytyce i badaniu dziejów, że bez posiadania przygotowawczych wiadomości, nauka historyi będzie tylko mieszaniną dorywczych faktów, po większéj części niezrozumiałą dla młodzieży.

Zaradzając temu niedostatkowi, wyłożył Schlozer sposobem jak najprostszym i do pojęcia dziecinnego zastosowanym; początek świata i ludzi, przemiany jakich ziemia doznała przez działanie natury, a potem przez działanie ludzi; przemiany ludzi zrządzone wpływem klimatu, pokarmu i wychowania; powstanie cywilizacyi i rządów. Daje po tem wyobrażenie co to jest historya powszechna. Ażeby dać poznać sposób wykładu i styl autora, umieszczamy to miejsce.

»Jak się zmienia ziemia sama przez się i potężném działaniem ludzi! Z pustyń stały się błonia i uprawne niwy, z bagien miasta, z łąk morze! Tu, gdzie niegdyś pługiem ziemię krajano, dopiero okręty płyną, a gdzie morze szeroko się rozlewało, tam teraz pługiem ziemię orzą.

»Tam się rozciągał zamierzchły i niedostępny las, na wiele dni drogi; sarny i dziki stadami biegały, a ludzie w stanie dzikości żyli pojedynczo; nie było żadnego pomieszkania wszerz i wzdłuż dla człowieka, samo niebo jakby się żałobnym kirem przyoblekło; a ziemia i powietrze były jak w północnéj Syberyi. Teraz, w tém miejscu wznosi się 100 miast, 1,000 wiosek i żyje 100,000 uobyczajonych mieszkańców; nie ma więcéj drapieżnych zwierząt na około, lecz trzody bydła i do towarzyskich porządków nawykli ludzie, wszędzie się dają widzieć wśród ocieplonego powietrza, pod jasném i orzeźwiającém niebem. Spojrzyj na północną Amerykę przed 200 i na Niemcy przed 2,000 lat.

I jakże wszystko po upływie lat 2,000 tu u nas inną przybierze postać?

A jakże ludzie się zmieniają w bystrym locie czasu! Z białych stają się czarni, z olbrzymów karły, z niezgrabnych kloców eleganci, z rozsądnych upośledzeni na rozumie, z ludzi przyjemnych! i towarzyskich zbójcy, i wszystko na opak się przewraca, podług tego, jak klimat i obyczaje, panujący i rządzcy, wynalazcy i szarlatani, kucharze i krawcy (§. 30-33 mieć chcą).

Poznać przemiany, jakich doznała ziemia od lat około 4,000, wyśledzić przyczyny, dla których kraj ten takim, a ów stał się innym; daléj, dowiedzieć się o przemianach, jakie od czasów Adama z ludźmi na ziemi zaszły, i wybadać przyczyny, dla czego lud jeden nieoświeconym, silnym i czarnym pozostał, drugi zaś stał się roztropnym, słabym pod względem fizycznéj siły i białym: to oboje razem zająwszy, zowie się, mówiąc jednóm słowem, uczyć się dziejów świata.

Młody obywatelu ziemi! chceszli wiedzieć co cię czeka i jak masz postępować, aby ci w tamtém życiu błogo było? pytaj o to Religii.

Jeźli zaś chcesz wiedzieć, zkąd się wziąłeś i jak się stało, iż tu na świecie nie jesteś ani nierozumnym, ogłupiałym Jameosem, ani plugawym Hotentotem, ani płaskonosym o grubych wargach, kędzierzawych włosach, czarnym Murzynem? Iż nie jesz ani ludzi, jak niektórzy bracia twoi na Nowéj Zelandyi, ani koni, jak niegdyś starożytni Niemcy i twoi przodkowie Sławianie, lecz używasz na pokarm pszenicy i kartofli, i to w kraju, gdzie te płody nigdy nie rosły? Pytaj o to Historyi powszechnéj.

Nauka ta daje poznać, co z dawnych czasów w massie z całemi narodami i krajami w świecie zachodziło. Ona też pokazuje śrzodki i sztuki, przez które dzicy ludzie stali się uobyczajonymi, głupi mądrymi, biedni i nędzni nieszczęśliwymi. Kto wie o tych śrzodkach i razem posiada władzę wykonania ich w zastosowaniu, to jest, kto może bydź wielowładnym nauczycielem, o Nieba! jakże wiele mógł dobrego dokonać.

Wskazuje potem autor co jest Chronologia, jak jest potrzebną, daje wyobrażenie o sposobie wykładania historyi powszechnéj i czyni podział jéj na okresy. Tyle mieści się w pierwszym tomiku; o treści drugiego napiszemy w następującym zeszycie.

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiej Nro 476 Lit. D.

PETRA.



Na trzysta lat przed erą chrześciańską, Moabitowie, Amalecity, Edomici i inne ludy wymienione w piśmie świętem, zebrane pod wspólnem imieniem Nabatejczyków, posiadały starożytną i kwitnącą stolicę. To miasto zwane Petra, leżało w Arabii skalistej, o trzydzieści pięć mil na południe Jerozolimy, w dolinie ściśniętej dwoma skalistemi górami. Przewożąc karawaną płody Azyi na brzegi morza Srodziemnego, Nabatejczykowie trudniąc się hodowaniem trzód i handlem, zebrali znaczne bogactwa. Tak dalece uważano ich za bogatych, że Rzymianie za czasów Augusta, uczynili wyprawę dla zrabowania miasta Petra. Za panowania Trajana na początku 2go wieku, miasto Nabatejczyków stało się stolicą prowincyi rzymskiej w Arabii skalistej. Nie wiele jeszcze zmniejszyła się jego pomyślność; lecz zwolna handel inną obrał drogę: jednę bardziéj ku południowi, ku morzu Czerwonemu, a drugą ku północy wzdłuż brzegów Eufratu. Petra została się na boku, nie była już składem towarów i upadła. Za czasów Mahometa, zapomniano nawet o nazwisku Nabatejczyków; zaprzestali trudnić się handlem i powrócili do koczującego sposobu życia. Mieszkańcy opuścili Pe-

trę, a rozpostarli się w pustyni. Od tego czasu, podanie tylko dochowało się o nazwisku tego miasta zagubionego pośród piasków. Wynaleźli je panowie Leon de Laborde i Linant i odtąd zajęło znamienite miejsce w jeografii, na które zasługuje przez wielkie wspomnienia i wspaniałe zwaliska. Jest to bardzo ważne i zajmujące odkrycie; archeologia tem większą wdzięczność powinna mieć za nie, iż nie są to pospolite i znane od dawna zwaliska budowli Greków i Rzymian. Pierwotne i silne znamie ducha wschodniego, okazuje się na szczątkach Petry. Dzięki tym dwom podróżnikom, możemy stawić przed oczyma czytelników, pomnik połączający wytworność i szlachetność: z ich opisem w ręku, wnijdziemy w miasto przez nich odkryte.

»Krążyliśmy, mówią ci podróżni, w koło wzgórza, na którém stało samotne drzewo. Z tego miejsca objąć można oczyma niezmierzoną przestrzeń. Widok puszczy okropne czyni wrażenie; zdaje się że to są skamieniałe fale morza, że to jest obraz zamęte. Idąc ścieszką, postrzegliśmy przed sobą górę Hor, a na niéj grób proroka Aarona. Kilka niekształtnych wydrążeń i zwalisk, zatrzymuje ciekawego podróżnika, który nie wie co się znajduje za pasmem skał rozciągającém się przed jego oczyma; nareście prowadzi go ścieszka na szczyt drugiego wąwozu, a tam postrzega najosobliwsze widowisko, najwspanialszy obraz jaki tylko natura i ludzie przekazać mogli na podziw następnym pokoleniom. W Palmirze, niezmierzona wielkość natury, niszczy usiłowania ludzi; na horyzoncie bez granic, niknie kilkaset kolumn; tu zaś przeciwnie zdaje się, że z upodobaniem otoczyła] wielkością swoją, budowle, które nie bez korzyści walczą z jéj utworami. Przez chwilę waha się człowiek co ma bardziéj uwielbiać, czyli pasmo wielkich skał, uderzającego kształtu i barwy, czyli dzieła ludzi, którzy nie lękali się stawić płody swego geniuszu, obok tych olbrzymich dzieł natury.

Petra leży, jakeśmy już wspomnieli o tem, w wązkiej dolinie, między dwoma pasmami gór skalistych. Przestrzeni nie dostawało mieszkańcom, którzy obrali to miejsce dla ochrony bogactw swoich od napaści rozbójników. Żywi, nagromadzeni jedni na drugich, musieli jeszcze ustępować miejsca umarłym; umyślili zatem wyciosać pieczary grobowe w ścianach dwóch gór; a że ludy Wschodnie bardziéj niżeli inne, lubią wznosić świetne grobowce; groby zatem mieszkańców Petry, były to pałace wyciosane w skale. Tak więc, wzdłuż całéj doliny, dwa pasma skał od podstawy aż do wierzchołka, były nadpowietrznemi smentarzami, w których grobowce stały jedne na drugich, i gdziekolwiek mieszkańcy zwrócili spojrzenia, widzieli same tylko groby. Czas zniszczył pomieszkania żywych, rozsiane w głębi doliny nad brzegiem strumienia, wyłożonego dotąd jeszcze szerokiemi taflami granitu, lecz groby w skałach wykute, pozostały nie tknięte; ztąd wynika, że te miejsca przybrały jedyny w świecie widok i cechę. Osobliwsze widowisko, mówi pan de Laborde, przedstawia to miasto z samych grobów złożone, z których jedne są tylko co zaczęte, inne świeże jak gdyby dopiero wyszły z ręki rzeźbiarza; inne nareście porysowane, cierniami porosłe.

W tych mauzoleach łączą się formy architektury indyjskiej, egipskiéj, greckiej i rzymskiéj, ułożone z gustem i delikatnością, a to połączenie posiada wielkość i wdzięki. Grób którego rycinę stawiamy przed oczyma czytelników, odznacza się między wszystkiemi, doskonałem zachowaniem i pięknością rzeźby. Ten pomnik, umieszczony w niszy wysokiej na 120 stóp, szerokiej na 90, jest wyżłobiony w ogromnéj massie piaskowego kamienia i dzieli się na dwa piętra. Pierwsze, ozdobione wytwornemi kolumnami, między któremi stoją posągi, tworzy przysionek z frontonem ozdobionym płaskorzeźbami i ma trzy bramy, z których główna otwiera się na przysionek, a dwie inne po bokach. Drugie piętro zrobione jest podług planu pierwszego, z tą tylko różnicą, że w środku stoi mała świątynia otoczona kolumnami i posągami, wznosząca się w kształcie kopuły i uwieńczona urną. Trafna proporcya, przyjemne dla oka chociaż dziwaczne postaci, delikatność wyrobienia szczegółowych ozdób, odznaczają ten grobowiec. Postaci orłów i lwów, posągi wyobrażające obfitość i sławę, jezdzcy gotowi dosiądź konia, wojownicy uzbrojeni tarczą i puklerzem, i inne ozdoby nie mające oznaczonéj cechy, są jak najtroskliwiej wypracowane. Pieczary, do których wykuto bramy, nie mają w sobie nic szczególnego i zdaje się że ukończone nie były. Zasłoniony wystającemi bokami góry, ten wspaniały twór rzeźby, lekko różowego koloru, zachował się tak doskonale, że jego świeżość uderza wyobraźnią i tak już dumiejącą się nad mnóstwem nadzwyczajnych widoków. Arabowie przywiązując każden pomnik do nazwiska jakiego znakomitego władzcy, którego pamiątka dochowała się w pustyni, przypisują Faraonom założenie Petry, i przekonani są że pomnik ten mieści w sobie ich skarby. Grzebali więc wszędzie, szukając domniemanych bogactw, a nie znalazłszy ich nigdzie, wyobrazili sobie że muszą bydź w urnie stojącéj na wierzchołku pomnika. Nie mogąc dostać się tam, strzela-

ją do niéj, ilekroć koło niéj przechodzą, sądząc iż się skruszy nareście i że skarby zawarte w jéj łonie wypadną na ziemię: lecz urna aż dotąd została w całości.

Oprócz tych nieprzeliczonych grobów, w Petrze znajdują się odmiennego rodzaju budowle. Widać tam zwaliska łuków tryumfalnych, kościoła i teatru, który podobnież jak mauzolea wyciosany był w ścianach góry. Nie daleko wnijścia w dolinę tak obronną z natury, iż kilku ludzi nie dopuści do niéj wstępu, są ślady starożytnéj warowni.

OBRZĄDEK WESELNY U KURPIÓW CZYLI KURPIKÓW.

(Dokończenie.)

Ś l u b.

Drużbowie wprowadzają pana młodego, który zaprasza rodziców i pannę młodą do wozów i bryki, nie rzadko zaprzężonych w cztery konie. Rodzice błogosławią parę, a druchny stojące przed sienią śpiewają.

Na cóżeś mnie matuleńko za mąż wydała,
Jeszczem ja się w gospodarstwie nie naumiała
Tylko biedy, kłopotości.
Żal się Boże mej młodości
Matulu moja.

Wszakże wyście matuleńko, świadomi w doma
Nie użyje rozkoszeńki u męża żona
Tylko biedy i niewoli
Od frasunku główka boli
Matulu moja.

Już wyjeżdżam Matuleńku z domu twojego
I wylewam krwawe łezki z serca szczerego.
Do nóżek twych upaduję
Za wychowanie dziękuję,
Matulu moja.

Założcież mi moje konie w nową kolasę,
Ja pojadę i pałace jego zobaczę;
Załóżcież mi jak najprędzéj,
Niechaj się serce nie dręczy,
Méj pani matce.

Już wyjeżdżam matuleńku z domu twojego
I wylewam krwawe łezki z serca szczerego
Do nóżek twych upaduję
Za wychowanie dziękuję,
Matulu moja.

Sadzają pannę młodą na wózku obok Swachny, Druchn i Rodziców. Muzykant siedząc na przodku gra przez całą drogę. — Pan młody i wszyscy młodzi wieśniacy na koniach często wyścigi odprawiają. Po odbytym obrzędzie ślubu w kościele, podług rytuału Rzymsko-Katolickiego, wracają w takimże porządku do domów, wtenczas druchny śpiewają.

Wesele jadzie,
Kapusta w kłodzie,
Mięso na kołku
Pasternak w dołku.
Żeby nie poduszka, nie Jasiów sukmanek,
Kiwałby się kiwał na méj głowie wianek.

Jeźli w czasie powrotu wrona albo sroka zaskrzeczy, co wróży pannie młodéj nieszczęśliwe i kłótliwe pożycie; obowiązkiem jest jednego z towarzyszących ubić którego z tych ptaków.

Gdy się cały konwój zbliży do domu, Raj wyprzedza ich konno, i dopadłszy drzwi bierze chleb z solą przez domowników poprzednio na progu postawiony, wychodzi przeciw nowożeńcom i pyta się panny młodéj:

— »Co wolisz, czy pana młodego? czy chleb? ona mu odpowiada: »chleb.»

—»Otóż masz!» i zamiast chleba uderza ją bizunem, co powtarza do trzech razy, lecz nowo-zamężna powinna ciągle żądać chleba. Ta przykra ceremonia ma bydź obrazem, iż pomimo trudności i przykrości, na chleb pracować będzie i nic ją nie zrazi.

Teraz następuje obiad, na stole nakrytym, czem Bóg kogo obdarzył jedzą, potem przyśpiewują z kolei.

Raj. »Już obiad podjedliśmy, podziękujmy Panu Bogu i gospodarzowi.

Wszyscy. Dziękujem Panu Bogu, dziękujemy. I tobie panie gospodarzu po obiedzie, po dobrym.

Raj. Co tam było stołów a wszystko lipowe.

Swachna. Co było obrusów, wszystko Toruniowe.

Raj. Co było półmisków, wszystko bursztynowe.

Swachna. Co było ławeczek, wszystko jesionowe.

Faktor. Łyżki były posrebrzane,
A widelce pozłacane.

Raj. Co było wódek to alembikowe,
A piwo samo dubeltowe
Na stole była samutka zwierzyna

Faktor. Ale pieczyste sama wołowina.

Swachna. Był zjazd weselny to dystyngowane.

Drużbowie. A swachny ładne gdyby malowane.

Druchny. Byli drużbowie wszyscy z Torunia.
A każdy z nich miał po Szwedach konia.

Raj. Ale i druchny jak warszawianki,
Tylko że mają piękniejsze wianki.
Faktor. Niechajże będzie koniec téj zabawy.
Wynoście stoły, wynoście i ławy.
Wszyscy. Dziękujmy panu Bogu dziękujmy
I tobie panie gospodarzu po obiedzie, po dobrym.

Drużbowie natychmiast się odłączają, i stanąwszy na boku śpiewają.

Syta druchna syta,
Zjadła zasiek żyta.
Pięcioro kokoszy,
Pieczeń za sto groszy.
Syta druchna pękata
Zjadła byka miał trzy lata,
War piwa wypiła,
Jeszcze się swarzyła.
Co pod stołem grucha
Druchna łokciami rucha;
Co pod wozem jęczy,
Druchnę wilczek męczy.
Ey wy druchny miły
Gdzieś ta się bawiły,
Czy z byczkiem w oborze,
Czy w nowéj komorze.

Druchny na to odpowiadają.

Niech drużba nie kokosi się,
Wleź za piec a wyśpij się.

. . . .

. . . .

Różne następują spory, lecz nad samym wieczorem gospodynie przybierają się do Oczepin. Druchny usuwają się na stronę, a Swachna i gospodynie, zdejmują z głowy wianek.

Jużci wieczór nadchodzi,
Kasi wianeczek schodzi
Pomaleńku zdejmajcie
Głoweńki nie targajcie.
Bym ja o tem wiedziała
Komum wianek oddała.

Mąż odpowiada.

Do skrzyni go do skrzyni,

Swachna.

Dopierom go włożyni.

Druchny.

Mój wianeczku ruciany
Komuś ty obiecany;
Bym ja o tem wiedziała
Komum wianek oddała.
Tobie Jasiu kochany
Bo twój wianek ruciany.
Któż się tutaj znajduje,
Mój wianek wykupuje?
Ty mój Jasiu kochany
Bo twój wianek ruciany.

M ą ż.

Konie woły utracę,
A twój wianek zapłacę;
Ja tysiące utracę,
A twói wianek zapłacę.

Po tych słowach gospodynie wkładają czepek i wykrzykują: »Ho nasza.

Druchny. Pójdziem do tańca z panną młodą.

Gospodynie. Już ona nie wasza.

Pójdźcie druchny waszą drogą,
Zgubiłyście pannę młodą.
Idźcie druchny wilczą steczką
Już nie będziecie z dzieweczką.

Drużbowie. Cóż będziem z nią robili?

Raj. Sprzedajmy to bydle, bo to piękne. A znajdzież się kupiec?

Teraz rozpoczyna się pewien rodzaj dyalogu, który zwykle nazywają Termedyą.— Na takie zapytanie Raja, pan młody odpowiada (wszystko to dosłownie) Kupił bym i ja?

Raj. A cobyś dał panie?

Pan młody. Choćby dwieście złotych, ale do zgody, proszę ją przeprowadzić.

Raj bierze za rękę pannę młodą i przeprowadza po stancyi; ta mu kuleje i przekrzywia się.

Pan młody. Ale kiedy kula.

Raj. Zleś panie zatargował.

Pan młody. A cóż u milion diabłów to ją ja sam przeprowadzę: prowadzi i panna młoda idzie mu prosto. Wyskakuje nie źle, w najgorszym razie dam trzy grosze.

Raj. Mój kochany idźże z Bogiem, bo się nabawisz dużéj konfuzyi.

Pan młody. Może przyjdziem do zgody, jest i faktor. Przyczyń się za mną może lepiéj kupisz.

Faktor. Ny nie dużo się ciągnijcie Jaśku, możebym litkup wypili..

Pan młody. Masz 10 groszy, napij się.

Raj. Nie żartujesz sobie bo wam nie wyjdzie na dobre, przeprowadzim jeszcze raz; śliczne bydlątko chodzi dobrze.

W czasie tych słów panna młoda musi co sił wyskakiwać i tańczyć dobrze.

Pan młody. Masz ostrogi i bicz, to ci lata, ale i ja sprobuję przeprowadzę, zobaczę jak to będzie.

Zaledwie jéj się dotknie, ona natychmiast upada, kuleje i wywraca się.

No jużci dość tego, cóż u wszystkich diabłów, czy się nie zgodziem czy co u licha?

Faktor. Dajcie rękę Wojciechu, a wy Jaśku przybijajcie.

Pan młody. Jeszcze ci postąpię pół grosza. Bierze ją znowu, przeprowadza, a ta chodzi mu dobrze.

»Jakościm się nie postrzegł, ale to piękne bydle, spytam się was panie Raju, czy się może człowiek spodziewać przychowku?

Raj. Nie bój się człeku, pierwasteczka.

Pan młody. Aby niezawodna. Pieniążki odliczę śliczne. Zgoda?

Raj. Zgoda.

Pan młody. Wypijmy litkup.— Bierze wódkę i częstuje wszystkich.

Raj. Krzyknijcie teraz wszyscy Wiwat, bo ten pan kupił bydle śliczne, dał złotych dwieście: Wiwat całemu kołu, już kupiona!

Jeżeli para nie ma do siebie pociągu, często albo pan młody, albo panna młoda zniweczą tę zabawę przez opieranie się zwyczajowi. Po ukończonym targu, gospodynie biorą do siebie nową małżonkę i śpiewają otworzywszy druchnom uciekającym.

Pójdźcie druchny wilczą drogą,
Zgubiłyście pannę młodą,
Narządzajcie belki w kalinowym moście,
Bo tędy pojadą Jasienkowe goście.

Leci koniczek
Przez pastewniczek,
Nóżkami przebierając
Płacze Kasieńka z za stołu wysiadając.
Nie łamcie się belki w kalinowym moście,
Bo tędy pojadą Jasiulkowe goście.

Po czem rozchodzą się wszyscy, zostawiając nowożeńców w domu rodziców Panny młodéj.

Alex: R: Radoszkowski

DRZEWO MUSZKATOWE.

Drzewo to, przypominając handlowy egoizm Holendrów, przypomina także gorliwość i zasługi pana Poivre, które je przeniósł na osady francuzkie. Drzewo muszkatowe rodzące się na wyspach Moluckich, było przez długi czas wyłącznie własnością Holendrów i dopiero w r. 1770 i 1772 przeniesiono je na wyspę Ile de France i Bourbon, zkąd potem dostało się do Ameryki.

Niektórzy autorowie utrzymywali, że Teofrast znał owoc drzewa muszkatowego i nazywa go *comacum*; ale to co mówi o téj roślinie, jako o wonności sprowadzonéj z Indyów, tak jest nieoznaczoném i ogólném, iż nie można ztąd wyprowadzić stanowczego wniosku i większa część botaników utrzymuje, że Grecy nie znali drzewa muszkatowego. Zdaje się że pierwszą wiadomość o niém powzięliśmy od Arabów. Od dawna jest przedmiotem obszernego handlu, a jednakże dopiero od lat kilkunastu dokładnie opisano drzewa wydające gałkę muszkatową.

Wysokie na trzydzieści stóp, drzewo to odznacza się piękną zielonością liści i rozkładem konarów, które obciążone gałązkami, tworzą gęstą i piękną koronę. Kora pnia ma kolor czerwonawy; kwiaty męzkie i żeńskie są małe i żółtawe.



Owoc dojrzały żółtawo biały, równa się wielkością moreli, jest gładki, lśnący, jego zewnętrzna łupina jest soczysta, mięsista i cierpka, gruba blisko na pół cala. W téj jest zawarty orzech, w łupinie drzewistej na półtory linii grubej, zewnątrz brunatnéj, wewnątrz siwéj, którego jądro jest, właściwą gałką muszkatową, jaką w sklepach korzennych sprzedają. Pomiędzy zewnętrzną mięsistą skorupą i łupiną orzecha, znajduje się tkanka włóknista, naczynkowata, podobnie jak u włoskiego orzecha. Tkanka ta w owocu muszkatowym jest koloru czerwono karminowego, a wyschła daje kosztowny towar pod imieniem kwiatu muszkatowego. Łuba owocowa dojrzawszy, pęka najczęściej sama od siebie i orzech razem z tkanką wypada na ziemię. Tę ostatnią zbierają starannie, skrapiają wodą morską i wysuszoną rozsyłają zawiniętą w wor-

kach. Orzechy suszą w dymie, rozłupują, dobierają ziarn, moczą je po kilka razy w wodzie morskiej zarobionéj wapnem, suszą i podobnież rozsyłają. Z jąder podlejszych wyciskają olej. Owoce całkowite, jeszcze niedożrzałe, zaprawiają cukrem i jedzą zamiast konfitur.

Drzewo muszkatowe bez ustanku wydaje kwiaty i owoce, tak iż zaledwie postrzedz można zmianę liści. Gdy natniemy korę albo odłamiemy gałązkę, wycieka sok kleisty blado różowy. Drzewo jest białe, rzadkie i bardzo lekkie, nie wydaje żadnéj woni; można z niego robić pomniejsze sprzęty. Liście zielone po zgnieceniu wydają słabą woń muszkatową. Owoc muszkatowy dojrzewa dopiero w dziewięć miesięcy po opadnięciu kwiatów. Drzewo to zaczyna kwitnąć dopiero w siódmym albo osmym roku i wtedy można poznać które są drzewa męzkie a które żeńskie, ażeby powyrywać niepotrzebne drzewa męzkie, jedno bowiem wystarcza na sto żeńskich. O użytkach gałki muszkatowéj, nie potrzebujemy się rozszerzać.

LASENER. (Lacenaire).

Czytelnikom polskim wiadoma jest z gazet historya Lasenera. Człowiek ten odebrawszy lepsze wychowanie, dopuszczał się kradzieży i morderstw z niepojętą krwią zimną; zatwardziałość w zbrodni, brak wszelkich uczuć religijnych i moralnych, zachował aż do chwili gdy już miał iśdź na rusztowanie; wówczas dopiero opuściła go odwaga; skończył jak nikczemnik.

Sprawa zbrodniarza Lasenera zajmowała przez czas niejaki pisma francuzkie i publiczność paryzką, a nawet w kobietach mocne bardzo wzbudziła zajęcie. Dziennik *Moda* uczynił z tego powodu następujące uwagi, z których powziąść możemy wyobrażenie, o teraźniejszym stanie tak zwanéj wykształconéj społeczności francuzkiéj.

Sprawa porucznika Laronciera, Lacenera, wychodzące teraz romanse najbardziéj cenione w Paryżu, których zarys czytamy w pismach publicznych, a które tchną najwyższym egoizmem i pogardą najświętszych związków rodzinnych, wykazują jak mocno cierpiący jest stan społeczności w tym kraju.

Niepojęte zajęcie, pisze dziennik Moda, obudziło uwagę wszystkich, a co więcéj współczucie niektórych, dla tego nędznika, który z rękoma krwią zbroczonemi, zdawał sprawę ze zbrodni swoich. Nie możemy przeto zamilczyć o tym dziwnym obłędzie, o tém niesłychaném zepsuciu smaku, jako o znamiennym rysie naszego wieku. Lasener był najważniejszą figurą upłynionego roku i pierwszych dni teraźniejszego. Tym gorzéj dla epoki, która sobie takiego bohatera obrała.

Jakaż więc przyczyna zwróciła spojrzenia tylu osób raczéj na tego mordercę, niżeli na jego współzawodników, których przecież mnóstwo codzień wloką przed oblicze sprawiedliwości? Niestety! przyznać trzeba, jego bezwstyd. Zbrodnia upokorzona, żałująca, błagająca przebaczenia Boga i ludzi, przekazująca przyszłości przykład zgryzot swoich, nie zwróciłaby na siebie ani jednego spojrzenia, nie powiedzianoby o niéj ani jednego słowa. Ale ten, który śmieje się bezezelnie, który objawia przerażający ateizm, który zbrodnią w teoryą i axyomata zamienia, który morderstwo nazywa *interessem*, który posiada wytworne obejście się i wysłowienie, który trafnie cytuje poetów, a nawet czasami w chwilach wolnych wiersze składa, obmywając zakrwawione dłonie: taki to zbrodniarz zgromadzi około siebie niezmierne tłumy słuchaczów, jego to straszliwe przechwałki z rąk sobie wydzierać będą. Piękna to rzecz, zbrodniarz który odbył nauki, zna świat i nawet nie może się zasłaniać, dla pozyskania litości, pozorem jak najgrubszéj ciemnoty!

To wykształcenie, które podwaja okropność zbrodni, pomnoży tylko zajęcie téj dramy, tak bowiem nazywają tę sprawę; dramma! Lasener napisał kilka miernych wierszy, słabszych niżeli te które przechodzą inkognito w poetycznym zbiorze wydanym przez jakiego młodego człowieka, co nie kradł i nie zabijał; a te mierne wiersze mordercy, przejęte wonią więzienia, powtarzają wszędzie, słyszysz je wychodzące z ust kobiety... O sromoto! Bądź złodziejem, zabójcą, a jeźli źle czy dobrze sprzężesz kilka rymów, zyskasz sławę poety. Poezya! ta czarowna harmonia, to uszlachetnione wyrażenie myśli ludzkiej, ta pocieszycielka serc cierpiących, do jakiegoż to stopnia jest poniżona i splamiona! Dają nazwisko poety, pierwszemu nędznikowi, ktory do dwóch wierszy tak nikczemnych jak on sam, dwa rymy przyczepi. Na przyszłość, w kursach literatury, trzeba będzie oznaczyć między rodzajami poezyi, poezyą pręgierza i galer (*).

Nie tajmy tego przed sobą, z jednéj strony ten bezwstyd występku, z drugiej, ta uwaga i ta wyrozumiałość którą publiczność okazuje dla niego, są dowodem złego, głęko zakorzenionego w naszéj społeczności.

(*) Lasener siedząc w więzieniu, napisał i posłał do pism publicznych wiersze, które chciwie czytała publiczność francuzka.

Są teatra, na których za upoważnieniem teraźniejszego rządu, występek otrzymuje najobmierźlejszą zachętę. W melodramie *Robert Macaire* naprzykład, widziemy zbrodniarza, ocierającego skropioną woniami chustką, ręce, jeszcze kurzącą się krwią zbroczone; sypiącego żartami w dwie minuty po morderstwie którego okropność znika przed oczyma publiczności, pośród owych strasz-liwych żartów; za nic mającego sprawiedliwość i wzbudzającego powszechne zajęcie i śmiechy: taka nauka przynosi owoce swoje we wszystkich ludziach, w których zaród zbrodni potrzebuje podniety. Chcą zostać podobnego rodzaju *bohatyrami*, goreją pójśdź za tak świetnym śladem. I oni także, jeźli ich przeznaczenie zrządzi że ulegną w walce, (albowiem zawód występku, jest tylko walką w ich mniemaniu, jest pojedynkiem, w którym przegrana tak jest świetna jak zwycięztwo) mieć będą w ustach żarty i piękne słowa; nie braknie im oklasków.

I nie dziwujcie się, że tak opłakana głośność uwiedzie nie jednego nędznika, w narodzie, w którym usiłowano wytępić wszelkie religijne uczucie, a tym samym wszelką zasadę moralności. Moralność bowiem i religia, są nieodłączne od siebie. Ludowi temu, przez długi przeciąg lat wskazywano jako nieprzyjacioł, xięży którzy mu przynosili wsparcie i pociechę; wyobrażenia religijne wyszydzano jako nikczemną słabość; podawano mu do ręki, gdy umiał czytać, *Wojnę bogów* za dwa soldy przedrukowaną, i *Umowę społeczną*, którą znaleziono w kieszeni Lasenera. Takiemi to zasadami przejmowano lud, ukształcono go do buntu przeciw wszelkiej prawej władzy na ziemi, do bluźnierstwa przeciw wszystkiemu co pochodzi z nieba, rozkiełznano jego namiętności, wydarto mu rezygnacyą, córkę pobożności, która go mogła wspierać w niedoli, napełniono go tą dumą która nie poprzestaje na owocach uczciwej pracy, ale chce zadosyć czynić wszystkim złym skłonnościom, a zepsuty występnemi naukami, w zbrodni szukać musi sposobów, któremiby żądze swoje nasycił.

Taka bowiem jest historya Lasenera; potrzeba mu było złota i zbytku; kradł więc, a potem zabijał dla kradzieży. U tego człowieka, występek stał się zawodem, jak każdy inny, zakładem, w którym szło o jego życie. Zawczasu ułożył sobie jaką rolę grać będzie przed sądem przysięgłych; a gdy czas nadszedł, odegrał ją z całem trzpiotostwem sromoty. Stanął jak Macaire, ten wzorowy rozbójnik; uwieńczył się różami, podobny do epikurejczyka przy końcu ochoczej biesiady. Ławkę oskarżonych zamienił w katedrę ateizmu i zasiadł na niej ze śmiałem czołem, z bezwstydnym uśmiechem na ustach; a że wyglądał jak porządny człowiek, że się pięknemi słowy tłomaczył, piękne damy zbierały się aby go widzieć i słyszeć, *wytwornie ustrojone*, jak mówi żartobliwy historyograf zbrodni, *Gazeta Sądowa*.

Tak jest rzeczywiście, piękne damy! Wyznajmy to śmiało, powinność nakazuje zerwać zasłonę z takiej ochydy. Jest w Paryżu świat niewieści, któren niepodobna oznaczyć, któryśmy na własne oczy widzieli, obecny całemi dniami na posiedzeniu sądów przysięgłych, w jedwabnych sukniach, w różowych kapeluszach. Kobiety przysłuchiwały się sprawom oburzającym równie wstyd jak ludzkość. Wszystkich spojrzenia błagały ich ażeby wyszły przez wzgląd na honor płci swojej, a one siedziały bezczelne, nie zachwiane. Chciały wszystko aż do końca wysłuchać.

I nie poprzestały na tem, że ani jednego posiedzenia nie opuściły w sprawie Lasenera, że podczas przykrych dni zimowych, od rana oblegały drzwi sali sądowej: a przecież najważniejszy, najczulszy powód, nie byłby ich przed dziesiątą godziną wywołał z ich sypialni! Wiele z nich posłało do więzienia Lasenerowi smaczne potrawy, delikatną czekoladę, a nawet wiersze; tak jest, listy wierszem pisane do Lasenera, przez kobiety, przy których może w owej chwili igrały ich własne dzieci.. Wiemy o jednej, na której poezyą odpowiedział zabójca, wierszami, którebyśmy przytoczyli, gdybyśmy nie szanowali delikatności naszych czytelników. I w rzeczy samej, Lasener pisząc swoje pamiętniki, które na wstyd naszej epoki, znalazły wydawcę i przekazując przyszłym naśladowcom swoje podania i prawidła, śmiał się z tych czułych wywnętrzeń, co aż dopiero w więzieniu znalazły serce które je zrozumieć mogło. Znany im jest *Antony*, wzór tego rodzaju złoczyńców; czytały Lelią z jéj pięknym galernikiem Tremnorem; a te kobiety, szukały w Lasenerze dla serca Lelii nowego Tremnora, który wytrychami drzwi otwierał i zabijał posługaczy bankowych, dla zabrania pieniędzy.

Z resztą, jeżeliście dobrze uważali, poznalibyście te same kobiety, które w roku przeszłym wydzierały sobie lożę ostatniego z teatrów przedmieściowych, dla zobaczenia Roberta Macaire, na wyścigi z gminem, zwyczajną publicznością tego widowiska, dziwiącą się niezwykłym widokiem téj strojnej i wytwornej publiczności. Opera i balet już nie dosyć wzruszeń wzbudzały w tych kobietach. Trzeba im było języka złodziejów, który dreszczem przeszywa chociaż go nie rozumiemy; wiadomo bowiem, że te dziwaczne wyrazy, są zasłoną zbrodni. Trzeba im było scen oszukaństwa i kradzieży. Ale jakże piękniejsze jest wi-

dowisko, kiedy z bulwaru przechodzi się na sąd przysięgłych, kiedy zamiast aktora, widzi się prawdziwego mordercę!

Ileż 'to łez wylać musiały te czułe dusze, kiedy ich bohatyra na śmierć skazano. »Biedny człowiek! rzekły zapewne wychodząc z sali sądowéj, wtedy właśnie gdy odpychały błagającą rękę biednéj matki, któréj dzieci narzekały na głód i zimno. Rusztowanie miało bydź głównem rozwiązaniem *drammatu*, ostatnią próbą bohatyra. I przyznać trzeba, byłaby to okropna rzecz, gdyby ten człowiek wstąpił na rusztowanie uzbrojony ateizmem tak, jakby kogo innego religia uzbroić mogła. Przerażający byłby przykład, gdyby kto był mógł powiedzieć na widok tego nędznika umierającego bez przestrachu z bezwstydem na czole, z bluźnierstwem w ustach, że zgryzota jest baśnią, że uczucie przyszłego życia, jest kłamstwem. Lasener byłby zajął miejsce pomiędzy bohatyrami zbrodni, żadna skaza, w oczach] jego współzawodników, byłaby nie zaćmiła téj krwawéj plamy, która mu starczy za bohaterską koronę. Już posiadał niezmierną popularność, już na poddaszu znajdował się na ścianie portret Lasenera: pewna znakomita dama, zanosząc wsparcie ubóstwu, ze drżeniem ujrzała tam obrazek tego wsławionego mordercy. Sądźcie więc jaką wziętość byłby uzyskał, gdyby i na rusztowaniu nie postradał odwagi.

Dla tego też, od chwili ogłoszenia wyroku, Lasener uczył się roli swojéj na tę ostatnią chwilę, układał przemowę, porządkował swoje rękopisma, przybierał heroiczną postawę, jak mędrzec Horacyusza. Żartował sobie z imienia kata, wyzywał gilotynę. Nadszedł ten dzień zgubny; od rana, chociaż nie rozgłaszano téj krwawéj tragedyi, tłum powodowany instynktem, zebrał się na placu tracenia; a w koło rusztowania zbudowanego w nocy, wytworne powozy stanęły o świcie. Przez drzwiczki od powozów, wyglądają twarze kobiece, zsiniałe od zimna; są to owe kobiety sądu przysięgłych, które po raz ostatni przyszły zobaczyć bohatyra swojego, zachęcić go spojrzeniem i gestem. Jesteśmy w porze balów. Może te kobiety tańczyły aż do świtu, ażeby ztamtąd prosto z balu pojechać na plac tracenia. Ich kawalerowie nie wiedząc o téj nowéj rozrywce, cieszyli się z tego zapału do tańca, który je aż do białego dnia zatrzymał. Czułe i piękne kobiety, mając jeszcze w uszach brzmienie galopad i kadrylów, trzymając w ręku bukiety balowe, idą patrzeć na stracenie dwóch ludzi.

Co za szkoda, że dziecinna bojaźliwość nie dozwoliła im, rzucić Lasenerowi, jakby jakiéj Taglioni lub Grisy, bukietów, któreby na rusztowaniu rozsypały swoje listki. Miła ta względność, byłaby może wzbudziła w nim odwagę, zamiast tego że zachwiał się ujrzawszy swoją ostatnią widownią. Zęby jego ścinały się jak w gorączce, usta szukały zawczasu dobranych wyrazów, a znaleźć ich nie mogły; jąkał się, rzucał przerażające spojrzenie męczarni wewnętrznych i przestrachu, na narzędzie śmierci; a wtenczas, gdy jego wspólnik Avril, który w religii szukał i znalazł pociechę i siłę, poddał głowę swoją, spokojny i uległy, wyrokowi, jako zadosyć uczynieniu za zbrodnię, ateusz omdlewający z nikczemności, już prawie umarł z przestrachu, zanim go cios śmiertelny uderzył. Piękne damy odjechały niekontente i zawiedzione; to tchórzostwo Lasenera, zniszczyło ich ideał.

A teraz, gdy się już wszystko skończyło, obyśmy raz na zawsze mówić przestali o tém opłakaném zajęciu dla zbrodni oryginalnej i *malowniczej*, które jednak zachęca naśladowców zbrodniarza. Lecz tu podobnież jak wszędzie, uznać potrzeba wpływ bezpośredni albo pośredni tych, którzy na wzniosłem stanowisku umieszczeni, przykładem swoim złe lub dobre rozszerzają w massie ludu. Duch bezbożności, niemoralność osób wpływ mających na ludy, w każdéj rzeczy dają się uczuć i właściwe rodzą owoce. Gdy jak u Spartanów, wybaczają złodziejowi dla tego że zręcznie kradnie, czyliż kradzież w jakimkolwiek bądź względzie, nie traci swojéj karo-godności? Tak przynajmniéj wielu rozumuje. A przytem, w obec tylu gorszących majątków tak szybko nabytych, w obec wielu nowozbogaconych, rozwijających bezwstyd zbytku, tak sprzeczny z ich wczorajszym stanem, nie jestże naturalną rzeczą, iż ludzie z zepsutem sercem jak Lasener, pragną także bogactwa i jakimkolwiek bądź sposobem chcą je osiągnąć.

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.

POLOWANIE NA LISA.



POLOWANIE NA LISA.

Lis jest najzawziętszym i najniebezpieczniejszym nieprzyjacielem zajęców, królików, kuropatew, przepiórek i w ogólności wszelkiej drobnej zwierzyny; mimo szybkości biegu i lekkości lotu, prędzéj czy późniéj dostają się w paszczę tego żarłoka, czyli to otwarcie na nie uderza, czyli też stawa na zasadzce. Słuszna jest aby taki wielki myśliwiec ścigany był na wzajem i odniósł karę za swe rozboje. Ale nie tylko dla ochrony zwierzyny człowiek poluje na lisa; zręczność z'jaką się bronić umie, jest wielką podnietą do tych łowów: nie łatwo bowiem można upolować lisa i żadne inne łowy nie przynoszą myśliwcowi większéj radości i chluby. Nie zawsze ścigają go na otwartém polu; częstokroć nie pozwalają zwierzęciu rozwinąć wszelkich sposobów ratunku. I tak, duszą go dymem w głębi jamy, zapuszczają w nią jamniki, zmuszają go do wyjścia, a przy otworze jamy czekają na niego sieci i koły; rozkopują jego najskrytsze tajniki, nareście chwytają go w zastawione żelaza. Przeciw tym podstępnym napaściom, lis broni się tylko długiem przewidywaniem i ciągłą czujnością. Dla tego więc kopie nory pod skałami, pod korzeniami drzew, ażeby motyką nie mogli ich uszkodzić, pomnaża ich zakręty, ażeby nie wiedziano gdzie go szukać, a gdy jaka okoliczność obudzi jego podejrzenie, idzie wtedy jak najostrożniej; nie wychyla się z jamy, gdy się domyśla że go w niéj oblężono i na wszystkich drogach rozstawiono zasadzki. W tym ostatnim przypadku, myśliwcy nie odstępują od jamy ani na chwilę i dopiero po kilkunastu dniach lis wyczerpawszy wszelkie zapasy, zwyciężony głodem, wypada z jamy z całą szybkością i mocą, na jaką jeszcze zdobyć się może. Gdy już nadejdzie jego ostatnia godzina, broni się wtedy z osobliwszą odwagą i przytomnością umysłu. Jeśli go złapią za nogę w zastawione żelaza, nie waha się odciąć zębami część uchwyconą; jamnikom stawia zacięty odpór i nieraz zniewala ich do ustąpienia z jego jamy; jeźli go ścigają dymem, ucieka do najniższej nory, jak gdyby najdoskonalszy fizyk; a gdy wreście schwytają go, kąsa wszystko co tylko może pochwycić. Lecz są to pospolite uciechy wieśniaków i leśniczych; myśliwcy z wznioślejszą wyobraźnią, trudniej-

szego szukają zwycięztwa. W dzień oznaczony, gdy już są pewni, że liś wyszedłszy na przechadzkę, albo za zdobyczą, opuścił swoją norę, zatykają onę troskliwie, a nawet i te, które się w pobliskości znajdują, a potem myśliwcy dosiadłszy koni, puszczają psów w trop za nieprzyjacielem. Mocna woń którą lis z siebie wydaje, wkrótce odkryje jego schronienie, a szczekania psów oznajmują że już go ścigają. Zwierz ucieka czémprędzéj do jamy; a widząc że jest zatkana i odstraszony przez ludzi których trzeba postawić aby sobie wnijścia nie odgrzebał, leci dalej i po kilku zakrętach znowu powraca do nory. Odpędzony po drugi raz, widzi że musi wyrzec się tego schronienia; leci więc do znajomej jamy jakiego krewnego albo przyjaciela, lecz i te są zasypane.

Znużony wreście bezużytecznem bieganiem od jamy do jamy, poznaje, że jedynie tylko w ucieczce powinien szukać ocalenia. Puszcza się więc bez celu przez lasy i płaszczyzny, psy prześciga w biegu. Wówczas to zaczyna się właściwe polowanie. Chociaż w téj ostateczności lis zwykle pędzi linią prostą, nie pomija przecież środków ocalenia, które mu się nastręczają. Jeżeli napotka las, przesuwa się między gęstemi krzakami, przez które psiarnia z trudnością przedrzeć się może; szuka żywych płotów, gdzie najmniejszy otwór dostatecznym jest dla jego ciała; wyszukuje także nierówności gruntu, które utrudzają jego przeciwników; rowów, które jednym skokiem przesadza; skał za któremi może nagle zmienić kierunek i psy omylić. Poznaje z nadzwyczajną pojętnością to wszystko, co może stawić przeszkodę myśliwcom, a ułatwić jego ucieczkę. Jednakże, wszystkie te podejścia, wszystkie te strategiczne kombinacye, nie zdołają zwieśdź i odstręczyć nieprzyjacioł; konie i psy z zapałem pędzą za śladem zbiega. Nie mała liczba ścigających pozostaje w tyle, nieraz konie i jeźdzcy, padają w rowy, rozbijają się na płotach i zagrodach i w rzeczywistości przedstawiają te wszystkie dziwaczne upadki, które wynalazła imaginacya malarzy, wystawiających polowanie na lisa; psy znużone i pokaleczone zaprzestają ścigać, ale główny korpus myśliwców nie porzuca polowania i dopiero wówczas zatrzyma się, gdy lis wycieńczony biegiem, dostanie się w ich ręce. Jest to zwykły koniec walki. Zdarza się, że lis niezmiernie rączy, albo przebiegły, zdoła uciec; jednakże opóźni tylko przeznaczenie swoje: sama bowiem jego sława naraża go na nieuchronną zgubę i podania myśliwych, którzy nie porzucą walki, dopóki nie dokonają zwycięztwa.

W Anglii zwłaszcza, polowanie na lisa odbywa się z wielką uroczystością. Nie jest to prywatna zabawa, ale raczej publiczne zdarzenie, o którém piszą dzienniki i które większą wzbudza ciekawość, aniżeli wszelkie inne wiadomości.

PODRÓŻE.

Ostatnia wyprawa Kapitana Ross na morza Bieguna Połnocnego.

(Dokończenie.)

Luty i Marzec 1830 przeszły bez żadnych przygód, prócz codziennych stosunków z krajowcami. Eskimowie podług swego zwyczaju podzielili się na kilka gromad i osiedli w miejscach najdogodniejszych do chwytania foków. Kapitan Ross tak opowiada założenie jednéj z ich osad, którego był świadkiem.

31 Marca wieczorem, cztery familie Eskimów, złożone z 15stu osób, przeciągnęły nie opodal okrętu, udając się o pół mili ku południowi dla zbudowania nowych pomieszkań. Miały czworo sanek ciężko naładowanych, do których dwoje lub troje psów zaprzężono. Poszliśmy za niemi, chcąc zobaczyć jakim sposobem budują domy ze śniegu. Zadziwiła nas ich zręczność. Jeden z nich ukończył budowę w przeciągu trzech kwadransy. Przekonawszy się że śnieg jest dostatecznie gruby i mocny, równiają wybrane miejsce, drewnianym rydlem, zostawiając na gruncie zbitą massę śniegu, przynajmniej na trzy stopy grubą. Odcinają potém kawały śniegu w kształcie klina, na dwie stóp długie, a szerokie na stopę przy podstawie, i obrównawszy nożami te kawały zaczynają budować chatę, pochylając je ku wnętrzu, i robią doskonałe sklepienie. Wycinają drzwi w jednéj stronie. Przez ten czas, kobiety upychają wszystkie szpary śniegiem, a chłopczyki budują legowiska dla psów. Potém okrywają skórami ławy ze śniegu, zrobione wewnątrz chaty, a kawały przezroczystego lodu stawiają zamiast okien.

»W Kwietniu, lód zaczął się roztapiać powoli. Eskimowie opowiadali o morzu znajdującém się ku północy. Mogło to bydź przejście od tak dawna szukane. Komendant Ross puścił się lądem dla sprawdzenia tych opowiadań. Przekonano się, że ku południowi nie ma żadnego przejścia; szukano go zatém w stronie północnej. Brak żywności i niezmiernie przykra pora, nie dozwoliły im doprowadzić do skutku tego przedsięwzięcia. 17 Czerwca, komendant Ross powrócił do okrętu. Przez ten czas, lód o tyle się roztopił, że można było naprawić okręt i odpłynąć za

nadejściem pomyślnéj chwili, ale nic jéj nie zwiastowało. W zatoce morze było ciągle zamarzłe i nieruchome jak w zimie. Temperatura jednego dnia gorejąca, drugiego była lodowa, a termometr spadał o 10, 15 lub 25 stopni w przeciągu kilku godzin. Nareście w pierwszych dniach Sierpnia 1830, puściły lody, lecz wkrótce znowu stanęły. Przecież, po niesłychanych wysileniach, statek wypłynął z zatoki, w któréj przez 11 i pół miesięcy był uwięziony. Niestety! krótko trwała ta radość. W dziesięć dni potém, okręt stanął o o trzy mile od miejsca z którego odpłynął, zewsząd otoczony lodami. Wróciła okropna zima a z nią konieczność przepędzenia drugiego roku w takiéj saméj niewoli. Lękać się było można, żeby unudzenie, zniechęcenie i upadek wszelkich sił duszy, nie ogarnęły majtków. Wrócili się do dawniejszego sposobu życia i zatrudnień. Zima ta była daleko mocniejszą, a na domiar nieszczęścia, Eskimowie których towarzystwo rozrywało przynajmniéj tęsknotę osady okrętowéj, oddalili się w inne strony.

Zimę roku 1831 na 32 przepędziwszy w takim stanie, kapitan Ross stracił nadzieję wypłynienia na otwarte morze. Okręt znacznie uszkodził się naciskiem lodów i nie byłby wytrzymał dalekiéj żeglugi. Opuścili go więc w czerwcu 1832, i umyślili sankami i czółnem dostać się na miejsce, gdzie była jeszcze złożona większa część zapasów ze statku *Jędza*. W podróży niezmiernie wiele trudów ponieśli, i następną zimę z 1832 na 33 tamże przepędzić musieli. Szkorbut rozszerzył się między osadą; brak żywności i wszelkich potrzeb, co raz bardziéj dawał się uczuwać. Nareście w Lipcu 1833, zdołali wydobyć się z pomiędzy lodów i na słabych czółnach wypłynęli na otwarte morze, spodziewając się, że spotkają statki trudniące się połowem wielorybów. Spełniła się ich nadzieja i przecież ujrzeli kres długoletnich cierpień. Spotkał ich i przyjął statek *Izabella*, niegdyś zostający pod dowództwem kapitana Ross. Na nim powrócili do Szkocyi.

Rezultata téj wyprawy, w kilku słowach wystawić można. Od czasu odkrycia przesmyku *Hekla* i *Fury*, przez kapitana Parry w jego drugiéj podróży, półwysep Melville uważano jako północny kraniec lądu Ameryki, który tym sposobem kończył się pod 70 stopniem szr. półn. Odkrycie półwyspu Boothia posunęło tę granicę aż do 74go stopnia i zdaje się, co jest ważniejszą rzeczą, że na zachód tego między-morza, brzeg ciągnie się aż do przylądka Turnagain. Tak więc, jeżeli jeszcze rozpoznają nie wielką przestrzeń 220 mil ang: znany będzie cały brzeg północny Ameryki. Okazało się także, iż droga, którą w pierwszéj podróży swojéj puścił się kapitan Parry, jedynie doprowadzić może do odkrycia poszukiwanego przejścia. Tak więc, pole domysłów znacznie się zmniejszyło, a rozpoznanie brzegów 200 mil długo. wielkiéj liczby rzek i jezior, oraz oznaczenie bieguna magnetycznego i rozmaite postrzeżenia meteorologiczne, stanowią znamienitą zasługę naczelnika wyprawy.

KAPITOLIUM TULUZY.

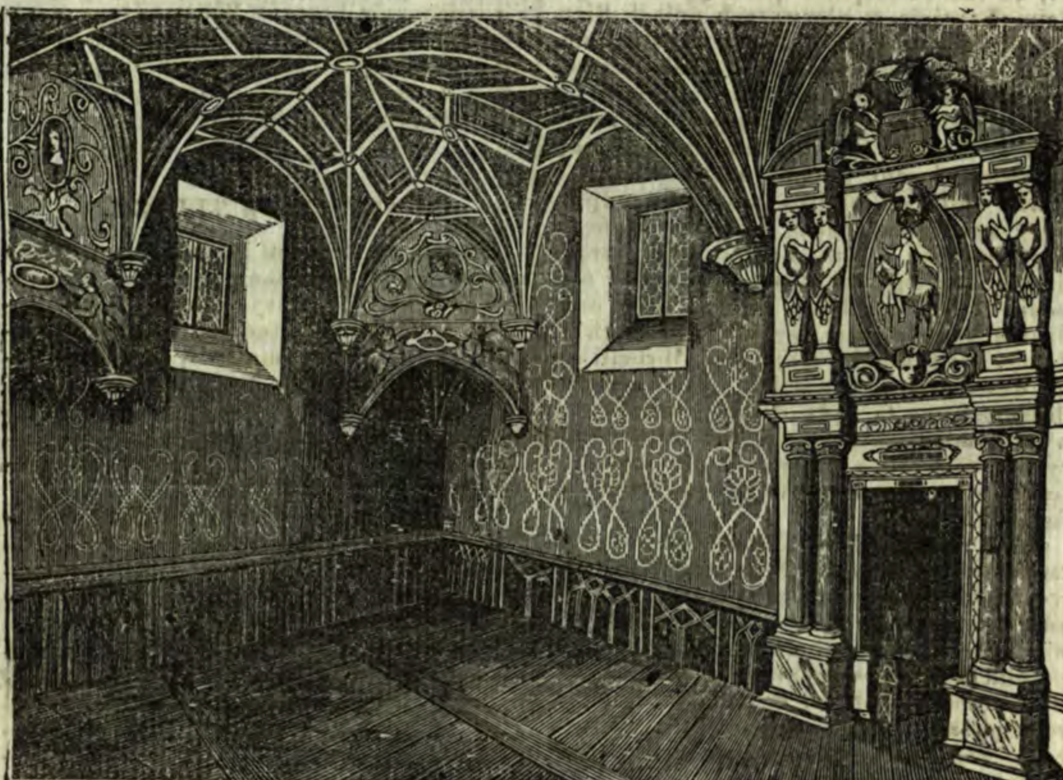
Idąc za przykładem Rzymu, znaczniejsze miasta, które Rzymianie poddali pod swoje panowanie i w których założyli swoje osady, nadały szlachetne imie Kapitolium jakiemu ze swoich pomników, bądź to świątyni, bądź warowni. Konstantynopol, Jeruzalem, Kartagina, Kolonia, Nimes, Tuluza, miały także swoje kapitolia. Kapitolium Tuluzy, najznaczniejsze było ze wszystkich.

Wybudowane podług wzoru Kapitolium Rzymskiego, obejmowało kościół poświęcony Jowiszowi. Świątynię pogańską zamieniono potem w kościół chrześciański. Gdy władza municypalna urządziła się w Tuluie, odbywała swoje posiedzenia w Kapitolium, a urzędnicy municypalni, nazwani byli Kapitulami. Gmach ten stał się ratuszem miasta i pod tym względem nie było pomnika bardziéj zajmującego i bogatszego w przedmioty sztuki.

Pod względem architektury, można było upatrywać nieład i brak w téj massie budowy, pomieszanym płodzie rozmaitych wieków; lecz uważane z osobna, wszystkie te części były arcydziełami i tworzyły zbiór kształtów architektury, tak szacowny, jak zbiór malowideł i rzeźb, znajdujących się w salach ratusza. Na nieszczęście, Kapitolium Tuluzy, nie uszło także przed opłakaną manią przerabiania i niszczenia. Wystawę gmachu odbudowano ze szczętem przy końcu XII wieku, w nowożytnym guście, od tego czasu, znikły powoli ostatki dawnych budowli, a skarby rzeźby i malarstwa znajdujące się w licznych salach, także uległy zniszczeniu.

Jednakże, mimo tych spustoszeń, Kapitolium Tuluzy jest jeszcze chlubą miasta i jednym z najznakomitszych pomników we Francyi. Sala którą wyobraża nasza rycina, jest dowodem że jeszcze nie postradała wszystkich swoich starożytnych ozdób i bogactw architektury. Sala ta, zwana *Małym Konsystorzem*, była miejscem zwyczajnych posiedzeń rady miejskiéj; w innéj sali obszerniejszéj zwanéj *Wielkim Konsystorzem*,

KAPITOLIUM TULUZY.



chowano roczniki Kapitolium. Godność Kapitulów tak była ceniona, że najbogatsze familie ubiegały się o nią i nadawała im prawo szlachectwa, z przelaniem go na potomków. Portret każdego Kapitula, umieszczony był na czele opisu jego czynów i zarządu, a piękne malowidła na welinie, wyobrażały główne wypadki wzmiankowane w kronice. Te rękopisma, tak ważne, już to jako przedmioty sztuki, już to jako historyczne pomniki, zginęły pod czas rewolucyi francuzkiej.

Tuluza, dawniej Toloza, leży nad rzeką Garonną, była stolicą prowincyi Langwedocyi, liczy się do rzędu najznaczniejszych miast Francyi i zasięga bardzo odległej starożytności. Historyk Justyn wspomina, że już stała w piątym wieku po założeniu Rzymu. Gdy przeszła pod panowanie Rzymian, ludność jej i obszerność tak była wielka, iż tworzyła pięć oddzielnych miast, czyli okręgów. Rzymianie ozdobili ją amfiteatrem, którego szczątki trwają dotąd. Po upadku państwa Rzymskiego, była stolicą królestwa Wizygotów, a potem królestwa Akwitanii. W średnich wiekach, hrabiowie Tuluzy byli lennikami królów Francyi i wyrównali im w potędze. Dopiero za czasów Filipa IIIgo, hrabstwo Tuluzy, ostatecznie przyłączone zostało do Francyi. Teraz miasto Tuluza, posiada wiele pięknych tegoczesnych gmachów, wspaniały most na Garonnie i wiele ważnych naukowych zakładów.

W końcu XIVgo wieku, Klemencya Izora, ustanowiła w Tuluzie igrzyska poetyczne, na których popisywano się z utworami poezyi i w nagrodę dawano poetom kwiaty złote. Bogatem uposażeniem zapewniła trwałość igrzysk. Posiedzenia odbywały się w Kapitolium Tuluzyjskim. Poetyczne kollegium Izory, rozproszone pod czas rewolucyi, podźwignięte zostało w roku 1806, i corocznie w pierwszych dniach Maja, odbywa swoje posiedzenie i rozdaje nagrody.

LITERATURA.

I.

Dzieje starożytne narodu Litewskiego. Tom pierwszy, Mitologia Litewska, z ośmiu rycinami. Wilno, nakładem i drukiem A. Marcinowskiego 1835; in 8vo majori, stron 482 *oprócz przedmowy. Cena zł.* 24

Pan Teodor Narbutt znany z pojedyńczych rozpraw w Tygodniku Wileńskim ogłaszanych, oraz osobnego dzieła niemałej wartości »O Cyganach« zbogacił obecnie literaturę naszą dziejami starożytności narodu Litewskiego.

Wydany tom pierwszy, o którym mówimy, zawiera w xiędze pierwszéj *Mitologią Litewską.* — Druga xięga obejmuje, *Rzeczy odnoszące się do Mitologii Litewskiej.*

Pierwsza dzieli się na VI rozdziałów, w nich opisał badacz Bogów większych, Boginie, Bogów mniejszych czyli Bożków, ubóstwienie ciał niebieskich, bóstwa tajemnicze i Fetysze, Bohaterów i pół-bogi.

Druga rozdzielona na VIII. rozdziałów, poświęcona opisom przedmiotów czci religijnéj, miejsc uświęconych, osób poświęconych, ofiar, świąt, uroczystości, obrządków, pogrzebów, mogił, wesel. Kończą ten tom obszerny rzeczy związek z Mytologiją Litewską mające i obszerne dodatki.

Zanim zastanowim się rozciąglej nad układem i wykończeniem tak ważnego dzieła, nie możem przeminąć milczeniem wielkiego zasobu materyałów, które z niezmordowaną pracą i trudem, zebrał pan Narbutt do ułożenia wspomnionego dzieła. — Wiele pomników nieznanych i obrzędów odkrył i wybadał: słowem, dzieło to nie tylko każdego Litwina, ale całą Słowiańszczyznę mocno zajmować musi.

Gdyby nasi historycy z tak wielostronnemi zasobami obeznani byli, które pan Narbutt zebrał, jak pieśni i przysłowia, podania, przesądy dawne ludu i obrzędy, bez czego *bogosłowie* (mytologia) obejść się nie może, więcéj mielibyśmy rozjaśnione przedchrześciańskie wieki i mitologią Sławiańską starych niechrzczonych ojców, aniżeli dotąd.

Życzyć należy upowszechnienia tak ważnego dzieła, a oraz bezstronnego rozbioru od obeznanych uczonych Litewskich, w rzędzie których przepomnieć nie można Kajetana L. Niezabitowskiego, który od lat wielu zajmuje się dziejami starożytnéj Litwy.

K. W.

II.

W zeszycie 2gim tomu 2go Kwartalnika Naukowego, znajdują się następujące przedmioty.

Do filozofii. Rys filozoficzny umiejętności (Ciąg dalszy). Zasada filozofii ducha. Zasada Antropologii. — *Do umiejętności prawa.* Obraz prawoznawstwa Słowiańskich ludów w czasach najnowszych. — *Do dziejów.* Ułamki historyczne. O Kozakach. — *Do literatury.* — Jerzy Samuel Bandtkie w stosunku do społeczności i literatury polskiéj. Ważniejsze nowe dzieła.

Umieszczamy w skróceniu artykuł o Jerzym Samuelu Bandtkie.

Pamięci tego uczonego i pracowitego męża, którego imie mianowicie znane jest wszystkim jako autora Słowników i historyi Polskiej, poświęcił wydawca Kwartalnika obszerny artykuł.

Rozważanie prac i dążności umysłowej Bandtkiego, podaje mu sposobność do czynienia uwag nad stanem oświaty kraju, i dążnością uczonych naszych.

»Nie dawno w pośród nas zakończył życie mąż, którego imie w całéj Słowiańszczyznie, i daleko po za jéj krańce słynie. Mężem tym jest *Jerzy Samuel Bandtkie.* Działalność życia jego połączona jest ściśle z dziejami postępu naukowości w Polsce. Śledźmy jéj więc z głębszą rozwagą i oznaczmy jéj stanowisko; rozpoznajmy wartość, i starajmy się jéj wpływ na przyszłość przewidzieć. Z tego jedynie względu uważany żywot *Bandtkiego,* będzie odpowiednim właściwej treści bytu jego, i godnym jego osoby.

Przez cały ciąg bytu swego, był on zimnym na ziemskie czasowe koleje, a toczące się w oczach jego wypadki, nie inny na umysł wpływ jego wywierały, jak przeczytana karta starożytnéj kroniki. A przecież, umysł jego zadziwiającéj był siły i energii, a przecież dusza jego była czułą na wrażenia, które nieszczęście, i cnota i wielkość wzniecają! Nie była-to więc nieprzenikliwość i ciężkość, lecz właśnie siła ducha jego, oderwania się niejako z zamętu stosunków współczesnej rzeczy publicznéj. Iż siła ta taki kierunek wzięła, przyczynił się zaiste zbieg okoliczności, towarzyszących bezpośredniemu *Bandtkiego* światowemu położeniu.

Pierwszą zachętę do nauk udzielił Bandtkiemu professor Dawid, nauczyciel gimnazyum Stej Elżbiety we Wrocławiu. Nauki jeszcze za młodu dźwignęły go w poważaniu i sercach ludzi cnotliwych i mądrych, nauki były dla niego rzeką zapomnienia w tysiącznych życia domowego przykrościach, nauki wreście wyżywiły go i jakby wdzięczne dla wielbiciela swego, potrafiły mu zjednać tryumf ostateczny nad natarczywością potęg światowych.

We wszystkich naszych uczonych, objawia się głównie dążność do prac mających na celu dzieje i prawo publiczne; taż sama dążność okazuje się w poetach, od najdawniejszéj zasięgając epoki.

»*Bandtkie* stał się zakonnikiem nauk, a śluby któremi się związał, do ostatnich dni wiernie zachował. Przylgnął on do nich z taką czystością, iż żadna inna dążność w zawód życia jego się nie wcisnęła. Wśród przeważnych nawet zmian stanu społeczności któréj był członkiem, nie wystąpił on nigdy w obywatelskim charakterze zapaśnika publicznego téj lub owéj opinii. Do rzeczy publicznych nie zwracał on siły swego umysłu, dopóki te w przeszłość nie spełzły, w któréj się z zakresem jego zawodu złączyły. W wczesnéj już młodości, nawykł był odwracać swe oczy od otaczających go stosunków, a ścigając tém usilniéj za jasnością prawd od zmiennéj obecności nie zawisłych, odzwyczaił je niemal od przezierania rzeczy bliskich. Nie wystawiajmy go więc sobie jako obywatela skrzętnego o rozliczne potrzeby społeczności swojéj. To pole zostawił on innym a gości na niém nie brakło. Sam, udał się w stronę przez nie wielu tylko uczęszczaną, gdzie zakres powinności obywatela bynajmniéj nie ustaje, lecz gdzie przedmiotem zabiegów nie są chwilowe i widoczne sprawy, lecz skryty częstokroć, a przecież trwały postęp ducha, gdzie skutkiem ich nie są przerażające przekształcenia, lecz swobodne i ciche zbliżanie się do prawdy; gdzie wreszcie nagrodą nie są łoskotne tryumfy i zaszczyty zewnętrznego pierwszeństwa między obywatelami, lecz rozkosz wpawana przez własne przekonanie, iż się na skromnéj tej drodze, nie bez korzyści dla świata postępowało.»

W tém miejscu autor stawia obok siebie czterech naszych uczonych, Bandtkiego, Ossolińskiego, Kołłątaja i Czackiego; wszyscy czterej oddawali się naukom, a zwłaszcza badaniu dziejów, ale Bandtkie i Ossoliński, uczynili je głównym celem życia. Kołłątaj wówczas oddawał się naukom, gdy mu w zawodzie publicznem pola nie stawało. Czacki zaś połączał te oba zawody.

Przejrzyjmy liczny szereg pism jego, ogarnijmy je jako całość, a duch ogólnéj ich dążności, porównany z cechą wskazaną literatury naszéj, da nam poznać literackie stanowisko, literackie znamie tego męża. Połączał on w swym zawodzie umysłowym dwie z owych głównych gałęzi naukowych, w których się kierunek właściwy ducha naukowości polskiej objawił. Prace jego wszystkie odnosiły się częścią do dziejów krajowych, częścią do badań języka ojczystego. W owych przedmiotach okazała się polskość umiejętnego ducha jego, okazała się styczność jego szczegółowéj dążności z kierunkiem całéj literatury naszéj. Wglądając zaś głębiej w główną cechę prac jego, spostrzeżemy, iż *Bandtkie* był jednym z najpierwszych wyobraźników nowego zjawiającego się w tym okresie popędu gruntowności. Nie dojrzysz w pracach jego nigdzie tworów wyobraźni, w jego badaniach śmiałych przypuszczeń, w jego zdaniach łgnienia do upodobanych lub popłacających opinii, w jego nauce, powierzchowności. Obaczysz wszędzie skrzętną pracowitością wyszperane podania, trzeźwe i bezstronne wyszukiwanie prawdy, odważne i sumienne jéj wynurzanie, odrazę od upowszechnionéj francuzczyzny.

Jako historyk, obrał on za przedmiot swych badań, to całość politycznych dziejów, to znów w szczególności dzieje oświaty.

Pod pierwszym względem, zaczął on zawód autorstwa od pojedynczych historycznych wywodów, szczególniéj Szlązka się tyczących. Były to przygotowawcze prace do obszernéj historyi tego kraju, którą aż do roku 1355, to jest do wygaśnięcia zupełnego stosunków zawisłości Szlązka od Polski, doprowadzić zamierzał. Umieszczane z razu w piśmie peryodycznem w Wrocławiu wychodzącém (*Schlesische Provinzial-Blaetter*), późniéj poprawne, wraz z kilką nowemi badaniami, ogłoszone zostały przez autora w zbiorze jego rozpraw odnoszących się do Polski, Szlązka, Miśnii, Rossyi, i do uwag nad dziełami innych pisarzy, rzeczy słowiańskie rozbierających. Zbiór ten wydał w Wrocławiu pod tytułem: »*Historisch-critische Analecten zur Erlauterung der Geschichte des Ostens von Europa.*» Dziełko to acz nie wielkie, wprowadziło *Bandtkiego* w poczet znakomitych narodu naszego pisarzy. Nie wielu bowiem przed nim takich było u nas, którzyby krytycznie dzieje badali, opierając się na najskrzętniejszém poszukiwaniu źródeł. Z śladów historycznych, podać wierny obraz stanu włościan w Polsce, i zniszczyć przesądne cudzoziemców pod tym względem mniemania; wykryć pochodzenie nazwy Szlązka, wyrzetelnić właściwe imie Agneszki żony Władysława IIgo xiążęcia Krakowskiego i podać wypadki panowania Xięcia tego; przedstawić i zbadać źródła wiadomości o znakomitém w dziejach naszych życiu *Piotra Dunina*, i jego zięcia *Jaxy* xięcia Serbskiego; wyrzetelnić podania i chronologiczne daty o Henryku II. *Kietliczu* Arcybiskupie Gnieźnieńskim; zgłębić usilniej i prostować głoszone o Słowianach podania Antona, o służebnościach włościan Polskich podania Bohmego, i o ich losie podania Klosego, — oto były przedmioty dziejów, które *Bandtkiego* w

dziele tém zajmowały. Ścigać go w badaniach tych, i takowe znów głębiej zbadywać, przechodziłoby kres założenia naszego. Dość w ogóle powiedzieć, iż co tam uczony mąż wykrył, to nowém było, lub nowemi dowodami wspartém; a wszystko co orzekł, to dla następnych badaczów stało się przeważnymi powodem zbliżenia się do prawdy, nawet i wtedy, gdy zdania przeciwnego byli. Co się zaś tu o pierwszych *Bandtkiego* płodach naukowych rzekło, to należałoby powtarzać o każdém z jego późniejszych podobnych mnogich historycznych wywodów, które bądź osobno bądź po wielu czasopismach ogłaszane były. Dostarczał on ich światu naukowemu przez całe swe życie, a dokładne wszystkich ich razem ocenienie, winnoby zająć osobne pióro, któreby ważności przedmiotu sprostać było mocne. My zwróćmy się do ogólnego zarysu dzieła, które jego twór główny stanowi.

Zamierzył *Bandtkie* jakośmy widzieli, skreślić dzieje Szlązka, później myśl jego ta snać wzrosła, a tak napisał dzieje nie już owéj części, lecz całości.

Dawniejsi dziejopisowie nasi, byli po większéj części opowiadaczami świadomemi dziejów współczesnych, a przepisywaczami podań dawniejszych. Celował między niemi ten, kto prawdę szczerzéj objawił, a w toku opowieści jasnéj i płynnéj, tu i owdzie ożywiającą go myślą czasu błysnął. Były zaś to zwykle obszerniejsze prace, wertowane przez ludzi uczonych, lub dawnych poważnych publiki zapaśników, a mniéj dla powszechnego obznajmienia przeznaczane. W późniejszych dopiero czasach, zaczęto w krótszych zbiorach, cel ten mieć na oku. Między temi, słusznie pierwszeństwo Lengnichowi przyznaném zostało; bo nie wspominając już o kilku wcześniejszych i współczesnych dziełu jego ramotkach, późniejsze nawet i z czasem więcéj upowszechnione zbiorki, albo są lekkomyślném bajaniem, jak układy *Wagi*, Kalendarzyka z r. 1781, i *Flatta*, albo w tém mają swą zaletę, iż dobre z *Lengnicha* wybrawszy, w nowym do przejrzania łatwym kształcie rzecz podały, jak układy *Schmitta i Albetrandego*. Wszakże we wszystkich tych xiążkach, nie szukajmy ani pragmatycznego historyi stanowiska, ani głębszych pojęć, ani krytyki źródeł. Znajdziem zaś wszystko, w owych mistrzach dziejopisarstwa, *Naruszewiczu i Czackim*; lecz dzieła ich są obszernym skarbem, którego dostatki zwolna używane, a nie zaś jakby w lot chwytane bydź mogą; prócz tego, prace mianowicie *Czackiego*, nie są wątkiem prowadzonych wciąż całych dziejów narodu, lecz obszerne... i bystremi wywodami pojedynczych przedmiotów. Dopieroż w r. 1810 wystąpił *Bandtkie* z dziełem swém: »*Krótkie wyobrażenie dziejów Królestwa Polskiego*«, w którém mistrzowską głębokość *Naruszewicza* i *Czackiego*, z zwięzłością odpowiednią celowi wszechstronnego upowszechnienia wiadomości o kraju, połączył.

Przeznaczał skromny *Bandtkie* swe dzieło na użytek czternastoletnich dzieci a przecież zalecone głębszém z gruntowaniem rzeczy, zdaniem słusznėm bystrego krytyka, stawiło autora obok *Naruszewicza i Czackiego*. Rozbiór dokładniejszy po trzykroć wydawanego, a coraz to więcéj pomnażanego dzieła, podały w różnych czasach różne nasze pisma peryodyczne.

Postąpiwszy na tak wysoki stopień doskonałości w pracach całość dziejów ojczystych wystawiających, nie mógł bydź niższym w szczegółowych poszukiwaniach dziejów naukowéj oświaty w kraju, zwłaszcza gdy go do prac podobnych, główna nawet dążność umysłu pociągała. Uchwycił on przedmiot Bibliografii najmniéj u nas opracowany, a zajmował się nim z tém większą ochotą, że widział, jak gałęź ta lekce ważoną była, i jak o niéj między miłośnikami nawet, najfałszywsze pojęcia miano. Naukę tę znano tylko z jéj mechanicznéj niejako strony, jako nudną wiadomość o formacie, roku wydania i drukarzu xiążki. Nie widziano, jak sama nauka ta jest czemś nierównie więcéj, niż jéj nazwa wskazuje; nie wnikano w to, że w martwéj i butwiejącéj xiędze, że w maluchnéj czcionce drukarskiéj, że w jednéj napisanéj literze, jest ukryty promień życia umysłowego, jakby duch zaklęty w pęta materyi; że więc wiadomość o zabytkach w piśmie i druku złożonych, odnosząca się tak do względu technicznego, jako też i do oceniania wartości dzieł wewnętrznéj i zewnętrznéj, jest połączona ściśle z dziejami oświaty.

Pod względem bibliograficznych opisów i zbiorów, dostarczył okres ostatni szacownych prac szczególniéj *Załuskiego, Janockiego, Sołtykiewicza, Bentkowskiego i Ossolińskiego*. Pod względem historyi drukarstwa w Polsce, jeden tylko *Hoffman* w uczonym lecz krótkim rysie, *Bandtkiego* wyprzedził.

Począwszy od pomniejszéj rozprawy: »*De primis Cracoviae in arte typographica incunabulis*«, daléj w nierównie ważniejszych dziełach rozbierał ten przedmiot z takiem bogactwem nauki, iż w nich czytelnik na korzyść złudzony, znalazłszy daleko więcéj niż zapowiada tytuł, więcéj się zaprzyjaźnia z xiążką przy jéj ukończeniu, niż gdy jéj pierwszą kartę odwinął. Dzieła te jego, oceniane były w uczonych za granicą i w kraju pismach. Były-to dzieła: »Histo-

rya zwłaszcza pierwszych drukarń Krakowskich, »dzieło wcale nowe, z nieruszo»nych od nikogo źródeł, z spleśniałych »i zbutwiałych aktów, z wielkim nakładem »czasu, trudu, oczów, zdrowia wyczerp»nione, pełne nowych z zarzuconych ręko»pismów z nieznajomych nam zagranicz»nych i rzadkich xiążek wiadomości, pełne »odkryć z między których arcy-ważne są »o przed-Hallerowskiej u nas drukarni. »W tem-to dziele nie tylko nasze krajowe »rzeczy zjawia, ale wprowadza w znajo»mość zasad ogólnéj Bibliografii... Im się »więcéj miłością naszéj literatury zajmo»wać będziemy, tém więcéj szacowane, tém chciwiej szukane będzie.» Wyrzekł to *Ossoliński* o *Bantkiego* Historyi drukarń Krakowskich, a niemniejszą mógłby był podać pochwałę jego *Historyi drukarń w Królestwie Polskiem i W. X. Litewskim*, gdyby ta wówczas już na widok publiczny wydaną była. Wziął *Bandtkie* w dziele tém za podstawę wspomnionego *Hoffmana* książkę, lecz ją tak przelał i przekształcił, tak pomnożył i rozszerzył, iż miał wszelkie prawo poczytywania się za jego twórcę.

Z zawodem autorstwa Bandtkiego w przedmiocie Bibliografii, łączy się jego powołanie jako bibliotekarza xięgo-zbioru Akademii Krakowskiej. — Biblioteka ta od kilkunastu lat zostawała w zupełnem zaniedbaniu, kiedy ją powierzono Bandtkiemu.

Wprowadzony w omszałe mury Biblioteki akademickiej, pomiędzy usypane w stosach kilkunasto-tysiączne xięgi, zwaliska szaf, gratów i śmieci, widział przed sobą ruiny jakby rozwalonéj niegdyś wspaniałéj stolicy, któréj odbudowanie jednemu polecono budowniczemu, widział zamęt, który aby do ładu przyprowadzić, czuł iż całą resztę życia poświęcić musi. Ogrom trudu nie zachwiał gorliwości *Bandtkiego*, boć to był budowniczy zaprawny w swéj sztuce, co znał i świetność owéj dawnéj stolicy, i wspaniałość samych nawet jéj ruin, a nade-wszystko, zbawienność powtórnego jéj dźwignienia. Wnet się zajął urządzaniem jakby nowego swego państwa, a wstąpiwszy w ściany xiążkowe z całą siłą męzkiego wieku i czerstwości zdrowia, wyszedł z nich zgięty pod ciężarem trudów, z starganą siłą umysłu i ciała, z posiwiałą głową i pomarszczoną twarzą, krok ciężki zaledwo pomykając, a oczy jego mógłeś był widzieć pokryte mgłą jakby tych wszystkich głosek, na których je wypatrzył. Takim był *Bandtkie*, kiedy bibliotekę opuścił; było-to wtenczas, kiedy i z światem się pożegnał. Umarł, lecz wprzód w xięgozbiór Akademii Krakowskiej wlał życie i porządek; budowniczy umarł, lecz wprzód zieloną wiechę na wieży odbudowanéj stolicy zatknął.

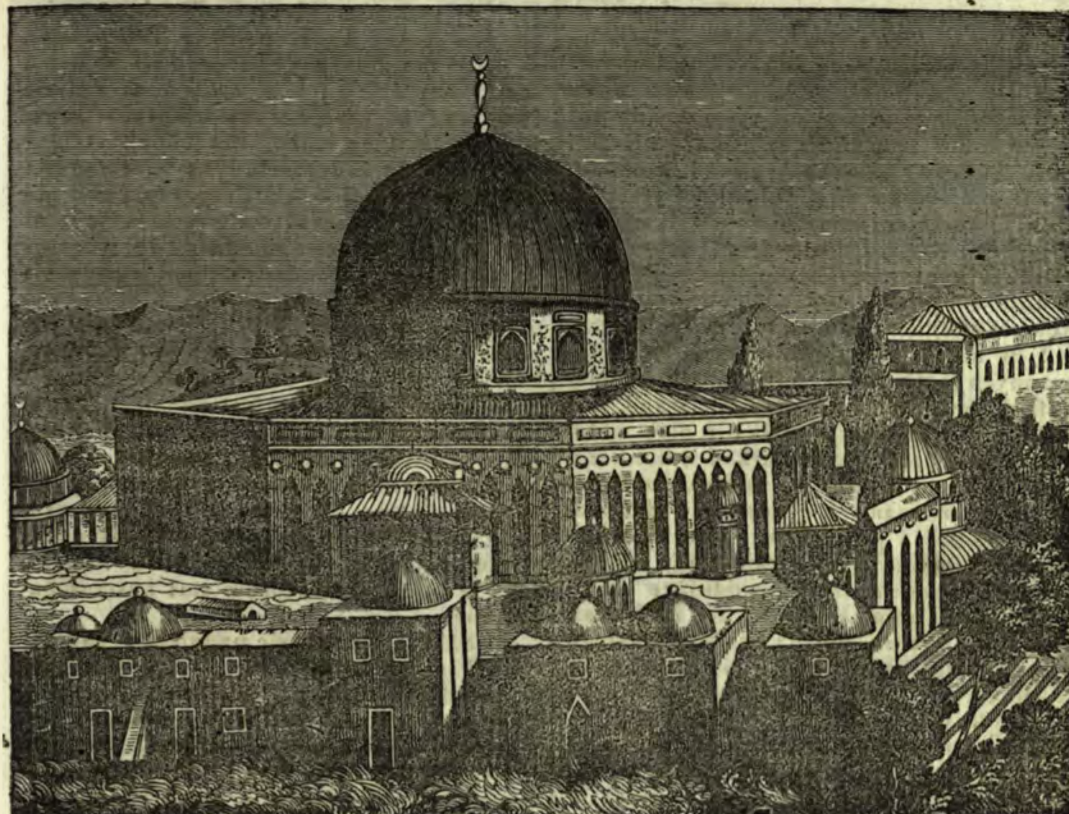
Drugą gałęzią autorskiego zawodu *Bandtkiego*, były badania ojczystego języka.

Już w swych *Analektach*, umieścił on pomniejsze rozprawki, w których mówiąc o nowéj metodzie pisania po rossyjsku łacińskiemi głoskami, zastanawiał się nad związkiem tego języka z polskim i czeskim, a dodając swe uwagi do dzieła *Antona* o Słowianach, wyjaśniał polszczyznę mowy Szlązaków. Następnie, jak w zawodzie prac historycznych, tak i w tym także wzmogła się myśl jego do tworów nierównie wyższych; a jako tam objął ogół dziejów polskich, tak tu całość języka; podając publiczności to słowniki, które (zdaniem uczonych) zbogaciły prawdziwie Lexykografię polską, to znów Gramatykę, którą najznakomitsi właściwi sędziowie, jak uczony *Bentkowski*, i najgenialniejszy z naszych Gramatykologów *Mroziński*, za najlepszą ze wszystkich uznali. W tém drugiem mianowicie dziele, jakkolwiek szedł w ogóle za śladem przez *Kopczyńskiego* podanym, odróżnił się szczególniéj głębszém pojęciem ducha języka polskiego w jego stosunku do innych słowiańskich języków, obszerną i gruntowną znajomością dziejów jego kształcenia się, a wreszcie ową zdrową krytyką, która odrzucając zboczenia prowincyonalizmu, lub narzucanych przez wielu urojonych prawideł, umiała wszędzie właściwość języka rodową w czystości utrzymać. Żyjąc wówczas w Szlązku, a we wszystkich swych pierwotnych pracach, mając na widoku obalenie przesądów Niemców, względem oświaty Słowiańskich szczepów, w których-to przesądach jakby z zamiłowaniem trwać zwykli, napisał Grammatykę dla ich szczególniéj użytku, bo w ich języku.

Należałoby zaiste w końcu podać pod uwagę zawód *Bandtkiego* jako publicznéj Akademii Krakowskiej nauczyciela. Należałoby wystawić stosunek udzielanych przez niego nauk, tak do poprzedniego ich w Uniwersytecie wykładu, jako też do całego stanu naukowości w tym starożytnym zakładzie. Lecz w takiém wyłuszczeniu, wątek rzeczy zbyt blisko nasunąć-by się musiał do względów osobistości, nie samego już nawet *Bandtkiego*. Może te względy, świetności śladów na cmentarzu szukać-by kazały i zmąciłyby głęboki spoczynek żywych i umarłych. Ktoby pragnął poznać owoce nauczycielskich prac *Bandtkiego*, ten niechaj spojrzy na poczet znakomitszych w nowéj literaturze imion. Zaszczytnie znani w polu naukowém mężowie: *Jan Wincenty Bandtkie*, *Wacł. Alex. Maciejowski*, *Kajetan Trojański*, *Józef Muczkowski*, szczycą się tém otwarcie, iż w swych postępach główniéj jego za mistrza i pomocnika mieli.

(Dokończenie nastąpi.)

MECZET EL-HARAM W JEROZOLIMIE.



MECZET EL-HARAM W JEROZOLIMIE.

Trzy wyznania czczą Jerozolimę jako miasto święte. Jest kolebką religii chrześciańskiej i żydowskiej. Machometanie uważają je także jako drugi przybytek ich wiary: nietylko bowiem wspomina o niej Alkoran, lecz znajduje się w Jerozolimie kościół muzułmański, najbardziej czczony po meczecie Mekki, sławny meczet Omara, zwany *Domem Bożym* (El-Haram). Gdy drugi Kalifa czyli następca Mahometa, Omar I. zajął Jerozolimę w 633, zapytał się patryarchę kościoła chrześciańskiego, zostawując mu kościół Świętego Grobu, jakie miejsce byłoby najstosowniejsze do zbudowania meczetu. Patryarcha wskazał mu we wschodniéj części miasta szczyt góry, na któréj Herod zbudował niegdyś drugi kościół Salomona, zburzony potém przez Tytusa. Nie podobna było obrać świetniejszego miejsca. Uprzątnięto zatém zwaliska kościoła Salomona i na obszernéj przestrzeni, którą zajmowały, wzniesiono gmachy, poświęcone na cześć wyznania Mahometa i noszące zbiorowe nazwisko *El-Haram* czyli Domu Bożego.

Meczet ten otoczały mocne mury i wieże, do niego zatém schronili się Muzułmanie, gdy w 1099 Krzyżowcy zdobyli Jerozolimę; lecz zwycięzcy przedarli się do tego ostatniego przytułku niewiernych i okropną rzeź uczynili. Zrabowali wszystkie bogactwa meczetu, gmach zamienili na kościół chrześciański.

W osiemdziesiąt siedem lat po zdobyciu Jerozolimy przez Franków, Muzułmanie odzyskali ją i Dom Boży natychmiast zamienili na meczet. Gdy zrzucono krzyż złoty, stojący na szczycie meczetu, powstały tak mocne tryumfalne okrzyki Muzułmanów i krzyki boleści chrześcian: mówi pewien autor arabski: iż zdawało się że już jest koniec świata. Wprzódy nim zatknięto pół xiężyc na meczecie Omara, Sułtan Saladyn rozkazał oczyścić go z jak największym przepychem i uroczystością. Posadzkę i lamperye umyto wodą różaną, wyczerpano wszystkie wonie Yemenu: 500 wielbłądów zaledwie zdołało

przewieźć je przez pustynię. Zwycięzca i wszyscy członkowie jego rodziny, przyłożyli się do tak pobożnego dzieła. Od tego czasu, meczet przywrócony do stanu w jakim był przed wyprawą Krzyżowców, żadnéj zmianie nie uległ. Obwód poświęcony, długi przeszło na 600 kroków (od północy do południa), szeroki przeszło na 300 (od zachodu do wschodu), otoczony jest od wschodu i południa murami; miasto i domy Turków, zamykają go od zachodu; na północ dotyka zwalisk pałacu Heroda. W téj przestrzeni znajduje się kilkanaście meczetów, klasztorów, galeryi, arkad, pomieszkań kapłanów i nabożnych osób, ogrodów i fontan. Dwanaście odosobnionych przysionków nie jednostajnego kształtu i w nie jednostajnéj odległości umieszczonych, wychodzi na plac przed meczetem: przysionki składają się arkad, pod któremi palą się lampy; kilka z nich ozdobione są drugim rzędem arkad umieszczonych na pierwszym. Te ułomki architektury, pomieszane z cyprysami, drzewami oliwnemi i palmowemi, tworzą z daleka, nie regularny lecz zajmujący widok.

Dwa główne meczety znajdujące się w okręgu El-Haram, są El-Sakhra i El-Aksa. Meczet El-Sakhra stoi na środku drugiego placu, długiego na 450 stóp, szerokiego na 340; cztery schody marmurowe prowadzą do niego. Gmach mający 160 stóp średnicy, jest ośmiokątnego kształtu. W środku tarassu który go pokrywa, wznosi się ośmioboczna wieża, w każdym boku mająca okno, oparta na czterech filarach i dwunastu kolumnach, na téj wieży jest kopuła, a nareście strzała z pół xiężycem na wierzchu. Cały gmach, licząc w to i strzałę wysoki jest na stóp 120. Podobny jest, mówi pan Chateaubriand, do namiotu Araba zbudowanego w pustyni. Mury téj budowy są pokryte zewnątrz, jak pagody chińskie, małemi cegiełkami pomalowanemi w różne kolory, na których popisane są złotemi literami wyjątki z Alkoranu. W oknach wieży, są okrągłe, różnobarwne szyby. Kopuła niegdyś była pokryta złoconą blachą miedzianą, teraz pokryto ją blachą ołowianą. Trudno wyobrazić sobie, jak wspaniały widok przedstawia ten meczet, wówczas, gdy słońce Palestyny oblewa go potokami światła. Niektórzy autorowie sądzą, że ten gmach w późniejszych czasach zbudowany został, niżeli reszta domu Bożego.

Skała uświęcona czcią żydów, chrześcian i muzułmanów, jest kamieniem węgielnym i najszacowniejszym skarbem świątyni El-Sakhra, która od niéj powzięła nazwisko. (*El-Sakhra* znaczy skarb). Wycisk który widać w téj skale, mający przeszło 33 stóp średnicy, zrobiony był, jak mówią żydzi przez patryarchę Jakóba, przez Jezusa Chrystusa podług chrześcian, a przez Mahometa podług muzułmanów, téj nocy, gdy cudowna klacz El-Borak przeniosła go z Mekki do Jerozolimy. Ten kamień po drugi raz ma służyć prorokowi. W dzień sądu, wsiądzie na koń z niego na dolinie Józefata, na któréj ważą się czyny ludzi w niewidzialnéj szali. Prorok okryty będzie szatą ze skóry młodych wielbłądów; dusze sprawiedliwych przyczepią się do niéj jak roje pszczół, a gdy Mahomet uzna po ciężarze swojéj szaty, że wszyscy prawowierni zgromadzili się pod jego skrzydła, wzleci w górę i wraz z sobą wyniesie ich do nieba. Dla tego też każe pilnować kamienia świętego 70,000 aniołów, których codziennie zmienia nowy zastęp.

Meczet El-Aksa (to jest oddalony) zwany szczególniéj świątynią Omara, jest innego kształtu i rysunku niż meczet El-Sakhra. Rozdzielony jest na siedem naw, z których środkowa długa na 160 stóp, a szeroka na 32, dźwiga kopułę. El-Aksa nie wielu zmianom uległ od czasu Omara, leży w miejscu w którém stał kościół Salomona.

El-Sakhra wznosi się na miejscu podrzędnéj kaplicy. Dom Boży, jest podług jednozgodnego zdania podróżnych, najpiękniejszym pomnikiem w Jerozolimie; pan Chateaubriand upatruje w nim szlachetność i wytwór Arabów Hiszpanii, Alhambra Grenady. To nieszczęście, że można go widzieć tylko z daleka. Zazdrosny i niespokojny fanatyzm muzułmanów, nie dopuszcza dostąpić do meczetu El-Haram, tak dalece, iż tylko nie pewne wiadomości posiadamy o tém świętém miejscu i to jeszcze ciekawi muszą się ukrywać, aby ich nie postrzeżono. Śmierć albo niezwłoczne przyjęcie religii mahometańskiéj, taki to los spotkałby każdego chrześcianina, któryby śmiał przedrzeć się w obręb meczetu. Muzułmanie dosyć śmieszną przyczynę naznaczają tak surowéj czujności. Miejsce to jest tak święte, mówią oni, że Bóg wysłuchać musi każdą modlitwę na niém uczynioną. Muszą zatém nie wpuszczać do niego chrześcian, którzyby nie omieszkali błagać o zagładę muzułmanów i o ich wypędzenie z Jerozolimy. Mamy więc tylko domniemania, o cudach znajdujących się wewnątrz meczetów El-Aksa i El-Sakhra, lecz jeźli wnosić można z przepychu zewnętrznego i z opowiadania muzułmanów, gmachy te posiadają niesłychane bogactwa.

LITERATURA.

JERZY SAMUEL BANDKIE.

(Dokończenie.)

Przeszliśmy więc wszystkie główniejsze stosunki męża, które go w wielkie koło ludzkości wplatywały. Widzieliśmy, iż w świecie zewnętrznych stosunków społeczeństwa swego, gościem był z innego świata, »*prorokiem wstecznym*;« ale z swej oderwanéj sfery, zwracał oczy ku rodzinnym rzeczom, i w jednéj dobie więcéj swą myślą zlał dobra na kraj ojczysty, niż nie jeden syn ziemi przez całe swe życie. Wszystkie strony pod któremi działalność *Bandtkiego* uważaliśmy, tworzyły razem jednozgodną całość i w obrazie dziejów doskonalenia się naszego, oznaczyły męża barwą osobną. Jest więc zaiste historycznym człowiekiem, a treść żywota swego, którą wyssał z żywiołów ducha społeczności, koleją zwykłą znów na pożycie społeczności nowszéj podaje.

Bandkie złożył w r. 1826, kuratorowi akademii, zarys życia swego, z niego przytaczamy data i ważniejsze okoliczności.

Urodził się 24 Listopada 1768 w Lublinie. Ojciec jego był kupcem dość majętnym, ale potém podupadł. 15 Maja 1779 przybył do szkół Wrocławskich i tam odbył nauki kosztem stryja, który go także posłał do Jeny. Wróciwszy z Jeny w 1790, trudnił się edukacyą domową synów hrabiego Piotra Ożarowskiego, z niemi przebywał w Dreźnie, Berlinie i Peterzburgu, gdzie nauczył się po rossyjsku i poznał literaturę staro-słowiańską.

Od 1798 aż do 1811 był nauczycielem w Wrocławiu. W 1811 Izba Edukacyjna powołała go do Krakowa. W 1818 wszedł w związki małżeńskie z Zuzanną Dorotą Bandkie.

Dzieła Bandkiego są:

I. Historisch-Critische Analecten zur Erleuterung der Geschichte des Ostens von Europa. Bresl. bey *Mayer*. 1802.

2.) Commenii orbis sensualium pictus quadrilinguis. Vratisl. 1805. Poprawił wydanie *Lacontella*; lecz tylko to wydanie jest jego, a późniejsze są po części poprawne, po części pogorszone przez innych.

3.) Wydał *Fredra przysłowia* dwa razy w Wrocławiu 1802 i 1809. Zobacz *Bentkowskiego*. T. I. p. 225.

4.) Słownik polsko-niemiecki w Wrocławiu 1806 r. Podjął się téj pracy ciężkiéj, gdyż mu na wsparcie młodzieży trzeba było pieniędzy: (w ósemce wielkiéj, Tom jeden).

5.) Słownik kieszonkowy polsko-francuzki-niemiecki, w czterech tomikach, jest częścią jego, częścią jego brata pracą. Wychodził od r. 1805 do 1813.

6.) Gramatyka polska dla Niemców. (Polnische Grammatik fir Deutsche.) Téj już trzy wyszły wydania, w latach 1808, 1818 i 1824.

7.) Dzieje narodu Polskiego: Tych są trzy wydania: w r. 1810, 1820 i 1835, dwa tomy w ósemce wielkiéj.

8.) Na otwarcie biblioteki Krakowskiéj: De primis Cracoviae incunabulis in arte typographica. in 4to I. arkusz.

9.) Historya drukarń Krakowskich. 1817 w 8ce.

10.) Historya biblioteki Krakowskiéj 1821 w 8ce.

11.) Historya drukarń w Polszcze i W. X. Litewskiém. Jest to przerobione dziełko *Dan: Hoffmana* »De typographiis». 3 tomy 1825—1826.

12.) Modlitwa pańska w języku polskim i w innych słowiańskich językach, 22 razy, (15 razy po polsku, a 7 razy w innych) w Wrocławiu u Korna 1825.

Członkiem Towarzystwa uczonego w Luzacyi został roku 1804, Królewskiego Warszawskiego Przyjaciół Nauk w r. 1810, Doktorem Filozofii roku 1812 w Krakowie, Towarzystwa Naukowego Krakowskiego w roku 1815.

Wiele pojedynczych rozpraw historycznych Bandkiego, znajduje się w dzienniku szlązkim: »Schlesische Provinzial-blatter» od r. 1798 do 1810; w Pamiętniku *Bentkowskiego* i *Osińskiego*; w dzienniku *Relicha* i *Oelsnera*: »Schlesien ehedem und jetzt.»

W dalszym ciągu życia jego, od roku 1826, nic godnego uwagi nie zaszło, aż do roku 1833, w którym nowa uniwersytetu reorganizacya nastąpiła. Nie zrządziła ona zmiany w jego położeniu, lecz przy nie jednem zmartwieniu, wstrząsnęła zbyt mocno umysł ogromnemi pracami znękany. Uderzenie paralityczne na górną część ciała, poddało w stan wątpliwy życie jego w dniu 20tym Sierpnia 1833 roku. Biegłość lekarzy wywiodła go jeszcze z niebezpieczeństwa, tak iż w lecie roku 1834 znów był zdolnym do pomniejszych prac umysłowych, do których się rwał ciągle mimo zakazu lekarzy. W jesieni roku tego, zwiedził mineralne wody Karlsbadu i Cieplic, lecz po powrocie do domu, tak mocno po raz drugi dnia 1go Listopada zapadł, iż już najmniejszéj nadziei wyleczenia go nie miano. Opatrzność jednak zachowała go jeszcze przy życiu, aż do lata 1835 roku; lecz czas ten, lubo przy polepszonym nieco stanie zdrowia, był raczéj tylko chwilą oswajania się jego krewnych i przyjaciół z myślą bliskiéj śmierci jego. Jakoż przy trzeciém uderzeniu paralitycznem, rozstał się z tym światem dnia 11 Czerwca 1835 o godzinie 3éj po południu

Na obchodzie pogrzebowym, przemowę godną mistrza, miał jego uczeń, a później Kollega, Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, *Kajetan Trojański.* Zwłoki pogrzebano na cmentarzu Rakowickim.

W chwili swojéj ostatniéj, dziedziczką całego majątku, oprócz pewnych legatów, mianował żonę swoją. Piękną i zamożną swoją własną bibliotekę, przeznaczył na wcielenie jéj do biblioteki Uniwersytetu, pod warunkiem, aby rząd za to, wdowie po nim pozostałéj, 1500 złotych corocznie opłacał.

Zostało się po nim w rękopiśmie niezmiernie ważne i uczone jego dzieło, *Historyi prawa saskiego czyli niemieckiego w Polszcze*, napisane w języku łacińskim. Dzieło to nie zupełnie ukończone, przed śmiercią darował Bandtkie gorliwemu miłośnikowi nauk, JMPanu *Kantemu Rzesińskiemu*, doktorowi filozofii i prawa, adwokatowi przy sądach Krakowskich i adjunktowi przy bibliotece. Mamy nadzieję, iż publiczność nie długo pozbawiona będzie powszechnego użytku z tak przeważnéj xiążki. Pozostały prócz tego bardzo ważne rękopisma i wyciągi historyczne pióra Bandtkiego, a zbiór nieznanych dotąd zupełnie listów Jana III, prawdziwym jest dla literatury skarbem, który oby uronionym nie został!

A. Z. H.



TUKAN.

Dziwna jest postać tego ptaka; nazwisko Dużo-dzioba dane mu przez niektórych podróżnych, wskazuje jaką częścią ciała szczególniéj zwraca na siebie uwagę. Dziob jego jest w rzeczy saméj bez żadnego stosunku z jego wzrostem: ledwie bowiem wyrównywa krukom i wronom. Dziob ten półtrzecia raza dłuższy niżeli głowa, jest tak szeroki jak ona; część wyższa, zakręcona jest jak kosa, haczykowata u dołu, część zaś niższa jest krótsza i prostsza, obie są nie równo zębowane. Ten olbrzymi dziob jest przytém niezmiernie lekki i składa się z wydętéj błonki rogowéj, która ugina się za naciskiem ręki. Tukan nie może tym dziobem nic ścisnąć ani skruszyć, a do tego ma język krótki, musi więc tylko podrzucać żywność tak, aby mu wpadła w gardziel.

Tokany znajdują się w Ameryce południowéj i żyją w małych gromadkach po pięciu lub sześciu. Przebywają na wierzchołkach drzew i ciągle przeskakują z miejsca na miejsce. Nogi mają takie jak papugi, zastosowane do drapania się po gałęziach. Lot mają ciężki, jednakże mogą latać dosyć szybko, a zawsze w linii horyzontalnéj. Rzadko bardzo zeskakują na ziemię. Z powodu tak ogromnego dzioba, mają fizyonomią smutną i poważną a przytém są nie ufne i ostrożne. Ścielą gniazda podobnie jak papugi, w wydrążonych pniach; samica nosi tylko dwa jaja. Nie przebierają w jedzeniu, żywią się owocami, owadami, pączkami drzew, mięsem piskląt różnych ptaków, które wybierają z gniazd. Niszczą także i rozgrzebują gniazda mrówek. Z resztą połykają wszystko co im tylko kto rzuci. Za młodu łatwo dadzą się oswoić. Jest ich kilkanaście odmian.

LETYCYA BONAPARTE,

MATKA NAPOLEONA.

Pisma publiczne doniosły w tych czasach, o zgonie Letycyi Bonaparte, matki Napoleona. Umieszczamy zarys jéj życia, wyjęty z nowo wychodzącéj Encyklopedyi Francuzkiéj.

Letycya Bonaparte urodziła się w Ajaccio w r. 1750. W siedemnastym roku życia, poszła za Karola Bonapartego, który w kilkanaście lat potem, dla słabości zdrowia pojechawszy do wód w Montpellier, umarł w tém mieście i zostawił ją owdowiałą z ośmiorgiem dzieci. W roku 1793, gdy Anglicy opanowali Korsykę, pani Bonaparte, któréj familia należała do stronnictwa Francuzkiego, musiała schronić się do Marsylii. Żyła tam w jak największym niedostatku. Miała przy sobie Lucyana, i trzy córki, Elizę, Paulinę i Karolinę. Dopiero po 18tym Brumaire, osiadła w Pa-

ryżu. Pani Bonaparte żyła tam szlachetnie, ale bez przepychu, aż do roku 1804, kiedy jéj syn został cesarzem Francyi. Wówczas, Napoleon urządził jéj dom i mianował jéj pierwszym szambelanem hrabiego de Cosse Brissac, a jéj pierwszym sekretarzem pana Decazes, który był potém ministrem, a teraz jest xięciem i parem Francyi. Cesarz mianował swoją matkę *główną opiekunką instytutów miłosierdzia*; było to zatrudnienie godne matki panującego. Od roku 1814, Letycya Bonaparte ciągle mieszkała w Rzymie. Papieże którzy od tego czasu zasiadali na stolicy apostolskiéj, okazywali dla niéj jak największe poważanie. Przytoczymy kilka rysów jéj charakteru i życia; z nich można przekonać się, że połączała trafny rozsądek, z godnością i szlachetnością duszy, we wszelkich przemianach losu. Pierwsze lata po ślubie, poświęciła wychowaniu dzieci swoich. Ze światłą przezornością miała o nich staranie, połączała czułość, rozsądek i rozum. Charakter matki i z wyższym umysłem kobiety, okazywał się w téj młodéy osobie, która wówczas posiadała zachwycającą piękność. Pani Bonaparte przypominała Rzymiankę z najpiękniejszych epok Rzymu, jéj fizyonomia łączyła czyste rysy włoskie i greckie. Nie będziemy rozwodzić się nad latami, które pani Bonaparte poświęciła dzieciom swoim, gdyż ukryła je w milczeniu, obracając je na dopełnienie obowiązków i szczęście domowe. Gdy jéj syn wyniósłszy się na najwyższy stopień, powołał ją do swojego tronu, zajęła przy nim miejsce, które upiękniła ciągłą dobrocią, prostotą i powagą. W tém to nowém położeniu, dała poznać, jak dalece jéj dusza wyrównywa wielkości jéj obecnego losu i wyższa jest nad wszelkie złudzenia. Gruntowny posiadając rozsądek, łączyła powagę ze słodyczą i umiarkowaniem, chciała tylko czuwać nad dobrem pięknéj swojéj familii, nagle tak wysoko wzniesionéj i może zaślepionéj urokiem, który ją w ówczas otoczył. Codziennie udzielała jéj rad opartych na doświadczeniu i rozwadze; dla tego tylko zbliżyła się do niéj, ażeby wzmocnić jéj braterskie ogniwa. Nie raz Napoleon zasięgał rad matki swojéj, tchnących zawsze roztropnością i macierzyńskiem przywiązaniem.

Cnota i wielkość zawsze bywa celem potwarzy i niesprawiedliwych uprzedzeń ze strony współczesnych. Zazdrość i nienawiść, nie oszczędzały pani Bonaparte i ścigały ją długo jeszcze po upadku jéj wielkości. Nie myślę powtarzać i zbijać tych zarzutów. Całe pasmo jéj życia, wspomnienie jéj dobrych czynów, postępowanie w ciągu ostatnich dwudziestu dwóch lat życia, jest najlepszą na nie odpowiedzią, a blaskiem cnot i chwały otacza jéj wspomnienie. Sprostować tylko muszę błąd upowszechniony, a który przypisywać trzeba nie tak złośliwości i niechęci, jak raczéj pośpiechowi w sądzeniu o ludziach. Sam nawet cesarz podzielał tę pomyłkę. Wyrzucano pani Bonaparte że była skąpa. Kto ją znał dokładnie, ten nie byłby jéj uczynił tego zarzutu, ale nastręczało do niego pozór, najściślejsze przestrzeganie porządku i prostoty, Nie przytaczano faktów, ale wierzono na słowo. Takie jest usposobienie serca ludzkiego, że zarzutom czynionym przeciw wielkości, bez namysłu zawierzamy od razu. Cesarz dla tego mniemał iż jego matka jest skąpą, że się z nią bardzo rzadko widywał. Nie znał ile wyświadczała dobrego, gdyż je świadczyła po cichu; a późniéj przekonał się, że to był tylko porządek i mądra oszczędność; przekonał się wtedy, gdy wdowa obciążona wiekiem, biedna ta matka, ofiarowała mu po dziesięć razy, więźniowi na wyspie Stéj Heleny, najukochańszemu ze wszystkich jéj dzieci, całe swoje oszczędzone mienie. »Napisz do cesarza, ka»zała powiedzieć hrabiemu Las Casas, *że mu »oddaję wszystko co tylko posiadam, że z rado»ścią poprzestanę na jednéj tylko służącéj.*» Pani Bonaparte nie przeczuwała w epoce wielkości swojéj, jaki ona koniec mieć będzie; mylnie o tém powtarzano tak często. Sądząc podług zwyczajnego biegu rzeczy, obawa ta byłaby tylko dziwactwem i słabością, ale oszczędzała przez zamiłowanie porządku i dla tego aby uposażyć kilkanaście zakładów. Doszedłszy do lat późniejszych, osoby z wyższym umysłem, lubią umiarkowanie i oszczędność, ponieważ ta oszczędność jest rozumem, objawiającym się w życiu praktycznem.

W położeniu pani Bonaparte, umiarkowanie dozwalało rozszerzać zakres jéj dobrodziejstw. Z czasem przekonają się o tém. Zdanie moje opieram na znanych faktach. Cały dom pani Bonaparte może je zaświadczyć. Taka to była jéj oszczędność. Pomimo rozmaitych fałszywych wieści, jéj dom był zawsze godzien matki tak wielkiego mocarza. Wszystkie jego urzędy płacone były po królewsku. Pani Bonaparte żyła w prawdzie nieco samotna pośród téj wielkości, ale czyliż nie ma bydź wolno, unikać przepychu i wystawności? Osiadłszy w Rzymie, pani Bonaparte nie zmieniła wcale sposobu życia. Jéj szlachetna prostota, jak zachowała ją od upojenia potęgi, tak usposobiła do znoszenia ciosów przeciwności. Pani Bonaparte była na dworze Napoleona przykładem filozofii praktycznéj. Cnota złączona z rozumem, nie upaja się

czarodziejskim kielichem wielkości. Xiężna d'Abrantes w zajmujących pamiętnikach swoich, opisała ze wszystkiemi szczegółami dom matki cesarza. Nikt lepiéj nie odmalował rzadkich przymiotów pani Bonaparte, jéj tkliwéj prostoty i téj szlachetnéj fizyonomi, którą dochowała pośród cierpień starości, jak Hekuba u Greków.

Matka Napoleona aż do zgonu mieszkała w Rzymie, otoczona kilkorgiem dzieci i wnuków, razem z kardynałem Fesch, swoim bratem. Jedynie tylko czułe starania dzieci utrzymywały słabe tchnienie jéj życia. Rozrzewniający był widok ich miłości, ich uszanowania. Odwiedzali ją Francuzi, wierni pamięci jéj syna. Codziennie czytywano jéj wiadomości z Francyi i los tego kraju obchodził ją aż do ostatniéj chwili. Gorzko opłakiwała, że po objęciu rządów Francyi przez króla Filipa, utrzymano w mocy swojéj postanowienie, zabraniające rodzinie Napoleona powrotu do Francyi; pragnęła bowiem aby jéj zwłoki spoczywały w kraju, który tyle był winien jéj synowi.

PODRÓŻE WYGNAŃCA.

BARONA D'HAUSSEZ.

NADREŃSKIE PROWINCYE PRUSKIE.

Nimega, ostatnie miasto Holandyi od strony Pruss nadreńskich, nie korzystne podawałoby wyobrażenie o kraju, którego opuszczamy, gdybyśmy długo zachowali w pamięci, jego pochyłe wązkie i brudne ulice, brzydkie domy i nieporządne gospody. Prócz przechadzki, na środku któréj ze zwyczaju trzeba unosić się nad nic nie znaczącym i źle zachowanym ułomkiem świątyni rzymskiéj, i z kąd jest rozległy widok na płaszczyznę mnóstwem wiosek zapełnioną, na piękne pola i na szeroką rzekę, nie ma co widzieć w Nimedze, nawet twarzy kobiecych, które będąc przejściem z rysów holenderskich do niemieckich, niczém się nie odznaczają.

Dwadzieścia i cztery godzin trwa żegluga z Nimegi do Kolonii; płynie się przez jednostajną płaszczyznę którą zaledwie urozmaicają Wezel, Dusseldorf i inne pomniejsze miasta.

(Zamierzając dać obszerniejszy artykuł wraz z ryciną, o mieście Kolonii, pomijamy krótką wzmiankę, którą uczynił o niéj baron d'Haussez.)

Z Kolonii puściłem się w górę Renu, spodziewając się, że nareście ujrzę tak sławne widoki. Za miastem Bonn, zaczął się przecież ciąg malowniczych krajobrazów, znajdujących się po obu stronach rzeki. Ażeby żaden szczegół nie uszedł przed naszém okiem, natura umieściła je na górach nie zbyt odległych od Renu. Po prawéy ręce widać drogę, która ginie w krętych ulicach mnóstwa wiosek i miast zbudowanych pod zasłoną warowni, któremi wiek średni najeżył tę krainę.

W okolicy Koblentz, góry kończące się niedobytą warownią Erheinsbrestein, zbliżają się do Renu; na ich pochyłości widać wioski, lasy i pola. Z cytadelli jest widok na obszerną i żyzną przestrzeń, skropioną dwoma pięknemi rzekami, przy których zbiegu, miasto mające podwójną postać, jedną starą i posępną, drugą nowożytną i przyjemną, pochyla się pod warowniami broniącemi wstępu do niego. Piękne topole zasłaniają fortyfikacye. Okolica widzialna z *Erheinsbrestein*, podobna jest do ogrodu, w którymby znaydowały się koszary, magazyny prochów i warownie, wzniesione tam, gdzie czynią najbardziéy malownicze wrażenie.

Na górach ciągnących się nad Renem, widać urządzone w tarasy i opuszczające się aż do rzeki, winnice od których wina biorą swoje nazwisko. Ich hodowanie wymaga wielkiéj pracy, wnieść to można z podmurowań utrzymujących grunta i z pochyłości ziemi. Orzechy włoskie rosną w rozpadlinach skał i zacieniają pola zasiane żytem i jęczmieniem. Wszędzie widać znakomity postęp rolnictwa i cierpliwość właściwą Niemcom.

Nie ma ani jednego szczytu skały, na którymby nie wznosiły się zwaliska obronnych zamków, świadki lat upłynionych i stanu społeczeństwa, w którym te mury służyły zarazem za obronę, narzędzie władzy i zbytku. Z ich obecnego stanu wnosić można, że gdy je budowano, pierwszą potrzebą było stawienie oporu nieustannie zagrażającym nieprzyjaciołom, i dopiero po zaspokojeniu téj potrzeby, myślano o wygodach życia. Niektóre zwaliska noszą ślady zburzenia podczas wojny. Inne są skutkiem opuszczenia. Okazuje się, że mieszkańcy, skoro tylko mogli wychylić się za posępne mury, gdzie ich więziło niebezpieczeństwo i trwoga, opuścili je i zajęli wygodniejsze siedliska. Nikt nie myśli o tém aby je podźwignąć. Jeden tylko zamek *Rheinstein*, kazał naprawić królewicz pruski. Wątpię, czyli piękność albo raczéj dziwaczność położenia, równoważy jego niedogodności.

Każde z tych zwalisk, ma swoje podania o smokach, olbrzymach, czarownikach, dla prostego ludu; o rycerzach i turniejach dla osób wyższego stanu, którzy chociaż by najspokojniejsi, lubią wojenne czyny,

o przygodach miłosnych dla kobiet. Na statkach parowych, znajdują się opowiadacze z rzemiosła, którzy bawią towarzyszów podróży. Ci Liwiusze germańscy, nie pominą żadnego szczegółu. O wszystkiém mówią z taką pewnością, iż powątpiewanie byłoby wielkiém uchybieniem. Trzeba więc udawać, iż wierzymy w czułą namiętność Rolanda, który zamiast poledz pod *Roncevaux*, jak mniemano aż dotąd, skonał z żalu w pustelni, z któréy widział klasztór, gdzie jego kochanka wykonała śluby zakonne, zwiedziona wieścią o jego śmierci; i w ten zwyczaj, który zniewalał panie zamku Faltz, odbywać połóg w baszcie zbubowanéj na skale, na środku Renu; i w myszy, które zjadły jakiegoś arcybiskupa Moguńckiego, chociaż uciekając przed niemi, wpław przez rzekę przepłynął. Jeźli powątpiewasz, pokażą ci na wzgórku pustelnią siostrzeńca Karola W. a w domu, zbudowanym najdaléj przed stu laty, okna mieszkania jego nieszczęśliwéy kochanki. Zamek Faltz, stoi jeszcze jako dowód podania, które się z nim połącza. W wieży arcybiskupa Moguńckiego, są jeszcze dziury, które myszy w niéy wyrobiły, przedzierając się do swego nieprzyjaciela.

Pobożność starożytnych czasów, upiękniła także brzeg Renu. Najmniejsze wioseczki, mają kościół z dzwonnicą; wyżéj niżeli zamki, ale na przystępniejszych miejscach stoją kaplice, wskazując pociechę w nieszczęściu, pokój po burzy. Przy ścieszce prowadzącéj do nich, widać kamienie na trzy lub cztery stóp wysokie, na których wiejski artysta, wymalował lub wyżłobił jaki wypadek z historyi świętéj albo z żywotu Swiętego, pod którego wezwaniem zbudowano kaplicę. Płynąc koło Ruthenstein, widziałem liczną processyą młodych dziewcząt, biało ubranych, udających się do kaplicy. Przy każdym kamieniu, zatrzymywały się i odśpiewawszy czystym i harmonijnym głosem strofę hymnu, szły daléj. Był to zajmujący widok.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWE DZIEŁO.

Wstęp albo wiadomości przygotowawcze do Historyi powszechnéj dla dzieci.

(Dokończenie.)

W drugiéj części tego dziełka, w oddziale Iszym, autor mówi o stworzeniu świata, daje wyobrażenie i wykłada co się rozumie przez *świat*, w najobszerniejszém znaczeniu tego wyrazu, to jest *universum*. W oddziale IIgim, pisze o początku ziemi, o jéj przemianach, wulkanach, skamieniałościach i przyszłych wstrząśnieniach fizycznych, jakich się domniemywać można. W oddziale IIIcim wystawia początek rodu ludzkiego i w tym względzie opiera się na Piśmie S: W oddziale IV. zajmuje się początkiem kultury ludzkiéj, wystawia wynalezienie sztuk mechanicznych, a zwłaszcza najpotrzebniejszych ludziom. W oddziale V. wywodzi początek historyi przez podania, pomniki i pisma. W oddziale VI. mówi o potopie. Pracę swoją zakończa następującemi uwagami.

»Samo przyrodzenie dowodzi pewności potopu, o którym podania religijne w księgach Mojżesza i najstarożytniejsze wielu ludów głoszą. Nauka za nowszych czasów, opierając się na dowodach niemylném badaniem stwierdzonych, okazała historyczność powszechnego potopu, przez który porządek fizyczny globu, zupełnie był zburzony i królestwo zwierzęce całkowitéj uległo zagładzie. Pewna jest w geologii, iż przez wielką i nagłą katastrofę, przed pięcią lub sześcią tysięcy lat, zmieniła się powierzchnia ziemi, iż wówczas znikły okolice, będące przedtém pomieszkaniem człowieka i zwierząt dopiero znajomych, że ówczesne dno morskie przewróciło się w ląd i stało się miejscem teraz zamieszkaném, że tylko od tego czasu ludzie poczęli się rozchodzić po świecie i składać towarzystwa, a z tąd, iż my niedawno staliśmy się gospodarzami na naszym planecie. Chociaż bowiem podania niektórych starożytnych ludów, odwołują się do odległéj przeszłości, naznaczając długie tysiące lat światu, ściśle się jednak nad niemi zastanowiwszy, łatwo się można przekonać, iż one nic w sobie nie mają historycznego: przeciwnie, jawnem jest, iż historja i wszystko, co do naszych czasów pewnego doszło o pierwiastkowych siedliskach ludów, potwierdza, czego i pomniki przyrodzenia dowodzą, to jest niezbyt wielką starożytność świata. Wszelkie zatem dowody filozofii przeszłego wieku, oparte na podaniach ludów, Chinów, Babylonu, Egiptu, odnoszących wielki potóp do czasów na dwadzieścia i trzydzieści tysięcy lat, okazały się bezzasadnemi, kiedy objawienie i święta kronika naszego rodu, najdawniejsze piśmienne świadectwo, wypadek ten odnosi na sześć tysięcy lat przed naszemi czasy. I przyrodzenie toż samo stwierdza, co głosi biblia, przez swe podania fizyczne. Nadto, teraźniejszy skład człowieka, jego umysłowe rozwinięcie, świadectwo wszystkich płodów przyrodzonych, stanowczo dowodzą, iż te-

raźniéjszy porządek rzeczy nastał niezbyt dawno.

Niezaprzeczone fakta pokazały, iż niezmierne, gwałtowne i nagłe wstrząśnienia kilkakroć zmieniały w przeciągu nieobliczonego okresu, kształt i własności tego świata. Znaleziono ogromne olbrzymie twory, zwierzęta nieznane, w lodach podbiegunowych, wpośród palm i roślin równikowych. W klimatach dziś umiarkowanych, wydobyto z głębokich otchłani kości czworonożnych zwierząt, ryby i wielkie skorupy, których podług wszelkiego podobieństwa do prawdy morze nie zawiera. Musiały więc bydź wielkie, częste i nagłe przewroty, z jakich niektóre zaszły przed ukazaniem się istot życiem obdarzonych na ziemi, inne już po ich nastaniu. Skały bowiem pierwiastkowe, jak twarde granity, najgłębiéj leżące pod powierzchnią ziemi, na których opierają się inne pokłady, nie zawierają żadnych szczątków życia, żadnych śladów istot życiem obdarzonych, lub przynajmniéj roślinnych płodów, a tém samém dowodzą, iż życie nie zawsze było na naszym planecie. Lecz pokłady tych skał pierwiastkowych, ich pogięcia, rozmaite formy, pokazują, iż one także były pod wodami i uległy rozlicznym przemianom. Po nad skałami pierwiastkowemi, wznoszą się skały przechodowe. Tam w różnych od siebie odległościach, znajdują się niejakie szczątki wątpliwego życia, skorupy i korale bez mięczaków i zwierzętokrzewów, mdłe istoty, których życie podobne jest do roślinnego. Dopiero w pokładach wyższych, skał powtórnych, dają się postrzegać ślady stworzeń większem życiem obdarzonych. Nakoniec, szczątki zwierząt ssących, zwierząt zbliżających się do tych, jakie są dzisiaj, dają się widzieć w pokładach najpóźniejszych skał trzeciego rzędu, najbliższych ziemi napływowéj, na której mieszkamy.

Jakoż nie wszystkie istoty organiczne ukazały się w jednym czasie; rośliny najpodobniéj poprzedziły zwierzęta, mięczaki i ryby nastąpiły przed płazami, a płazy ukazały się przed zwierzętami, które dopiero nazywamy ssącémi. Rodzaje i gatunki stanowiące najdawniejszy świat zwierzęcy, były razem zniszczone, a na ich miejscu ukazały się inne; to ogólne wytępienie obdarzonych życiem utworów i przetworzenie ich w nowym doskonalszym kształcie, powtarzało się kilkakroć tak, iż dopiero znajdujące się zwierzęta, stanowią może już czwarte pokolenie. Odkrycie zaś jakiegokolwiek zwierzęcia, w jakiejkolwiek warscie ziemi, dowodzi, iż ta warsta musiała bydź niegdyś powierzchnią lądu i następnie, iż przemiany na kuli ziemskiéj bynajmniéj nie ograniczały się do samego tylko spływu i zniżania się wód. A jak skały pierwiastkowe dowodzą, iż był czas, kiedy same martwe fizyczne siły działały na lądzie i morzu, gdzie potém rozwinęły się wszystkie cuda i osobliwości organizacyi, tak odkopywane szczątki zwierząt zaginionych i różnice w ich rodzajach, wskazując dawność warst w jakich się znajdują, są jakby tablicą chronologiczną postępnego kształtowania tworów przyrodzenia. W tych podziemnych głębiach, świadczących o rewolucyach kuli ziemskiéj, przechowują się podania wielu światów, na szczątkach których, ręka Stworzyciela rzuciła świat przez nas zamieszkały. W pokładach skał rozmaitego rodzaju, roztaczają się przed okiem badacza tajemnice, jak karty xięgi, w któréj historya przeszłości wypisana jest wiecznémi głoskami. Lecz nigdzie, ani na północy, ani na południu, w pokładach skał pierwiastkowych, nie znaleziono kości ludzkich. Nie idzie wszakże zatém, iżby nie było ludzi przed nastaniem wielkich przemian, jakim ziemia uległa; szczątki ich zapewne znajdują się na dnie dzisiejszych oceanów, albo z czasem zostaną odkryte w Azyi, kolebce rodu ludzkiego, kiedy geologia i do téj części świata rozciągnie swe poszukiwania. Bowiem i xięgi Mojżeszowe i podania wszystkich starożytnych ludów utrzymują, iż człowiek żył przed powszechnym potopem, że był świadkiem ostatniego wielkiego na kuli ziemskiéj wstrząśnienia, o któréj pewności, zgodnie z religijnem podaniem w xięgach świętych, nauka na faktach polegająca, dowodnie przekonywa.«

Z tego zarysu i przytoczonych wyjątków, czytelnicy przekonać się mogą o użyteczności dzieła, które Schloezer pod skromnem nazwiskiem wiadomości przygotowawczych dla dzieci, ogłosił. Niechaj tytuł nie odstręcza nikogo; owszem, zdaje nam się że dopiero młodzież już dorastająca, z zupełnym pożytkiem czytać może pracę Szloecera, dla wielu zaś starszych osób, będzie ona przypomnieniem i uzupełnieniem wiadomości dawniej nabytych.

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.

KOLONIA.



Nazwisko miasta Kolonii, pochodzące z łacińskiego *colonia*, osada, wskazuje jego starożytność i początek od Rzymian. Założyli je na dwadzieścia lat przed erą chrześcijańską, Ubienowie, których Cezar już był przyjął za sprzymierzeńców Rzymu i którzy oddali się pod opiekę Agryppy, zięcia i przyjaciela Augusta. Od jego imienia Ubienowie nazwali to miasto *Colonia Agrippina*. W pięćdziesiąt lat potem, powiększyła je matka Nerona, sławna Agryppina, która urodziła się w tem mieście i posłała tam osadę weteranów rzymskich. Odtąd, Kolonią uważano jako stolicę krajów nadreńskich. Ciężkie klęski spotkały to miasto, pośród wstrząśnień, które w piątym wieku nastąpiły z przyczyny upadku państwa rzymskiego. Frank Meroweusz, założyciel pierwszej dynastyi królów francuzkich, zdobył je na Rzymianach. Attyla wódz Hunnów, odebrał je potém Frankom, znowu powróciło pod panowanie Rzymu, ale wkrótce posiadł je Chilperyk syn Meroweusza i dał jednemu z krewnych swoich. Klodoweusz przyłączył je do korony francuzkiej. Po rozdziale cesarstwa Karola W, przeszło pod panowanie xiążąt niemieckich. Aż dotąd Ko-

lonia zachowała swoje instytucye municypalne, lecz Cesarz Otton W. podbił ią zupełnie, około r. 950 i oddał w moc arcybiskupów Kolonii. Późniejsi cesarze ogłosili je miastem wolném cesarskiem. Wynikły ztąd spory i wojny między arcybiskupami a mieszkańcami Kolonii. Spory te skończyły się na tém, że arcybiskupi zostali przy tytule zwierzchników miasta, rząd zaś i wszelka władza była w ręku senatu i konsulów. W owéj epoce, Kolonia doszła do wysokiego stopnia potęgi. W 1260 przyłączyła się do związku miast Anzeatyckich i była czwartą w ich rzędzie. W tym składzie rzeczy, utrzymywała się aż do rewolucyi francuzkiéj. Francuzi zdobyli ją w r. 1794 i przyłączyli ją do departamentu Roer. Po upadku Napoleona, Kolonia dostała się Prusom i jest teraz stolicą nadreńskich prowincyi tego mocarstwa.

To miasto zajmujące tak licznemi wspomnieniami historycznemi, w przeciągu osiemnastu wieków, niemniéy także zajmuje malowniczą fizyonomią, którą mu nadają zabytki architektury wieków średnich. Zbudowane na lekkiéj pochyłości wzdłuż lewego brzegu Renu, wygiętego w kształcie półxiężyca, ma obwodu dwie przeszło mil francuzkich, otoczone jest głębokim rowem i staremi murami, na których stoi 83 wież. Ludność do 70,000 dochodząca, na tak obszernej przestrzeni wydawałaby się za bardzo rozproszona, lecz ogrody, winnice i place publiczne, zajmują większą część téj rozległości, a gmachy stoją gęsto przy sobie. Ulice są wązkie i kręte. Domy gotyckiéj arckitektury, zbudowane są z cegieł i drzewa; gmachów z kamienia nie ma wiele. Publiczne pomniki zgadzają się z prywatnemi domami i noszą także poważne piętno czasu.

Kolonia posiada wspaniały ratusz; gmach ten wyobrażony na naszéj rycinie, należy do najznamienitszych pomników. Zbudowany między dwoma placami, odznacza się szlachetną i wytworną architekturą, pięknym przysionkiem, podwójnym rzędem kolumn marmurowych i pięknemi płaskorzeźbami. Napisy na nim umieszczone, poświadczają o stosunkach tego miasta z Rzymem. W salach znajdowały się portrety rządzców miasta, ich bronie i strzały.

Kolonią nazywano Rzymem niemieckim, z powodu wspaniałości jéj gmachów; niektórzy pisarze nazwali ją także miastem świętem posiada bowiem przeszło 300 kościołów i relikwie wielu świętych. Ze wszystkich kościołów najsławniejsze są: N. Panny Maryi z Kapitolu, założony przez Plektrudę żonę króla Pepina i kościół katedralny.

PODRÓŻE WYGNAŃCA. BARONA D'HAUSSEZ.

ZWIĄZEK NIEMIECKI.

Neuvied, Bingen, i t. d.

Xiążęta Neuvied, jedni z pierwszych uczuli potrzebę zbliżenia się do zwyczajów wieku, a porzuciwszy swój obronny zamek na górze, zbudowali nowy na prawym brzegu Renu, na końcu żyznéj równiny. Czterdzieści wiosek z których się składa ich xięztwo, nie miały tyle mieszkańców, aby z nich mogło utworzyć się miasto. Xiążęta Neuvied ustanowili zatem w swoich posiadłościach wolny port na Renie, ogłosili wolność wyznań, przemysłu i handlu. Te środki uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem. Ich stolica liczy teraz kilka tysięcy mieszkańców. *Bingen* jest ładne miasteczko, leżące w miejscu, gdzie Ren nim jeszcze wejdzie w zwężone przejście między górami, rozwija się w całéj wspaniałości. Na przeciwko, na prawym brzegu, jest Johannisberg, sławne winnicami. Zamek ten, jest prawdziwą osadą winniczną, bez przechadzek, bez ozdób, bez żadnego zbytku, któryby zabierał grunt szacowny, albo szkodził winnicom; dosłownie zastósowano się do tego prawidła, że winnica nie powinna mieć innego cienia, tylko ten, który pochodzi od kapelusza jéj właściciela. Z okna téj obszernéj lecz prostéj budowy, jest widok na okolice przerznięte wspaniałemi nurtami Renu. Krajobraz przybiera znamie wielkości. Widokrąg się rozszerza, szczegóły znikają i ustępują przed wspaniałością ogółu.

Przechodząc do innego rodzaju ozdób, zdaje nam się iż przechodzimy także do innej epoki, i porzucając dzikość wieków średnich, wstępujemy w obecną cywilizacyą. Już nie wznosimy oczu, dla upatrywania zamków, które, czas rycerstwa, zawiesił, jak orle gniazda, na nieprzystępnych skałach. Zamiast gotyckich domów natłoczonych przy sobie, widać nad brzegami rzek albo na pochyłości wzgorzów, pokrytych winnicami, wioski których porządek i dobre zabudowania, oznajmiają inną sferę życia, inne obyczaje, lepszy byt i lepszy stan społeczeństwa. Między wioskami, wznoszą się piękne pałace, otoczone zwierzyńcami i przysposabiają nas do wspaniałego widoku zamku Biberich, rezydencyi panującego xięcia de Nassau. Na lewéj stronie rzeki, w odległości czterech do pięciu mil francuzkich, zamykają widokrąg góry lasami okryte. Na prawéj, okolica nie tak urozmaicona, nie tak piękna, zakończa się miastem Moguncyą, któ-

rą oznajmiaią warownie usypane w wielkiéj odległości, po obu stronach rzeki i która wreście wznosi się, jako ostatnia i najświetniejsza część tego krajobrazu.

Moguncya, Wisbaden.

Gdy wjedziemy wewnątrz miasta, Moguncya nie czyni zadosyć wyobrażeniu, któreśmy sobie tworzyli na widok jej pięknéj okolicy i obszernych murów. Przy wązkich ulicach stoi bardzo wiele pięknych gmachów, lecz nie można ocenić ich piękności, tak są źle otoczone i tak szczupły mają widok. Rzeźb jest mnóstwo, lecz wszystkie są bardzo pospolite. Moguncya zostawała dawniéj pod rządem duchownym, teraz jest pod opieką konfederacyi niemieckiéj. Austryacy i Prusacy trzymają tam po 8000 załogi. Dzień jeden wystarczy na obejrzenie kościoła katedralnego, téj największéj osobliwości miasta. Spiesznie szukałem rozrywki w *Wisbaden*, w ładnem miasteczku o trzy mile od Moguncyi, gdzie odbywają się posiedzenia sejmu xięztwa de Nassau, gdzie chorzy szukają zdrowia, a zdrowi przyjeżdzają tracić pieniądze. Miasteczko to, ma piękne domy, liczne kąpiele, ładny teatr i salę balową. Przydajmy do tych przyjemności, bliskość granic francuzkich, a nie będziemy się dziwić, że Wisbaden, jest miejscem zjazdu, licznego i dobranego towarzystwa.

Frankfort.

Z Wisbaden do Frankfortu przejeżdza się przez kraj dobrze uprawny i bardziéj upiękniony pomyślnym bytem, niżeli wdziękami przyrodzenia. Ulice szerokie, dobrze brukowane, przy których stoją wspaniałe domy, obszerne place, kilka znakomitych gmachów, hojnie uposażone zakłady publiczne, piękny zbiór obrazów, muzeum historyi naturalnéj bardzo kompletny, ogród botaniczny, wodotryski mało mające wody, lecz za to ozdobione mnóstwem płaskorzeźb, bronzów, obelisków, urn i kolumn, teatr nie zbyt wspaniały, ale przez dobrych artystów utrzymywany, przechadzki, któreby można gustowniéj urządzić, ale czyste i ocienione, a przytém wszystkiém, społeczność spokojna, bogata, wykształcona, ożywiona obecnością posłów królów i xiążąt związku niemieckiego, oto są zalety i przyjemności tego miasta. Dla tego też Frankfort liczy się do miast Europy, w których najprzyiemniej jest mieszkać.

Frankfort jest składem towarów i kantorem północnéj Europy. Jego handlowe i bankierskie stosunki, rozciągają się do wszystkich miejsc i czynią je niezmiernie bogatém. To miasto, jak wiemy, jest jednem z wolnych miast niemieckich, to jest, iż ma swoią własną administracyą, a co do stosunków politycznych, ulega ogólnym zasadom związku. Ma dwóch burmistrzów, którzy wyobrażają sobie, że posiadają władzę tak wielką, jak była niegdyś konsulów rzymskich, senat, w którym kilkunastu bankierów gra ważną rolę, radę miejską, z któréj bardzo chlubią się mieszkańcy, a nareście gwardyą, któréj szlify zadosyć czynią pospolitéj próżności. Te wszystkie korzyści połączone są wprawdzie z niektóremi ciężarami, jako to z wielką opłatą podatków, z linią celną pięciu lub sześciu xiążąt, o ćwierć mili od miasta zaprowadzoną: daléj bowiem nie rozciąga się terrytoryum Frankfortu.

Hanau.

Pod czas pobytu w Frankforcie, nadarzyła mi się sposobność poznania okolicy, i udałem się na żałobny obrzęd, który sprowadzał mnóstwo ludzi do miasta Hanau. Uroczystość tę ustanowiono, jak mi powiadano, na cześć jakiegoś niemieckiego generała, który nie chcąc przeżyć przegranéj, usiadł na beczce prochu i wysadził się na powietrze. Zaczęto od entuzyazmu i przyrzeczono sobie, że co rok opłakiwać będą śmierć bohatyra. Dzięki Opatrzności, boleść nie może trwać długo na świecie. Zamiast więc płakać przy grobie mężnego, zaczęto pić, potém tańczyć i obchód żałobny zamieniono w ochoczą zabawę.

Spodziewałem się więc, że w lasach Hanauskich znajdę wesołość, i widziałem ią na wszystkich twarzach, Mężczyzni palili tytuń, jedli i pili, kobiety tańcowały. Lecz daremnie upatrywałem piękności. Pospolita kibić, rysy nie odróżniające się niczem, twarze podobne jedne do drugich, niebieskie oczy, jasne włosy, płeć biała: gdyby nie piegi, więcéj upowszechnione w tym kraju, niżeli gdziekolwiek indziej: twarze ogorzałe, taka jest postać pospólstwa. Też same rysy, nie tak opalone, trochę delikatniejsze, widzieć można w klassach wyższych.

To zgromadzenie pięciu lub sześciu tysięcy osób, znajdowało się w okolicy dobrze uprawnéj i pięknemi lasami przeciętéj. Podobne było do wiejskiego jarmarku. Orkiestry przygrywały walce, pod namiotami siedzieli pijący, ledwie można było przedrzeć się przez tłumy, a pijani ludzie leżeli na ziemi. Na takich obchodach w Niemczech, napatrzyć się można rozmaitym strojom; w każdym bowiem okręgu jest odmienny. Obok kaszkiecika i długiéj nie-

bieskiéj sukni wieśniaka z dolin; widać kończasty kapelusz obszyty wstążkami, albo czapkę ze skóry sarniéj, z pękiem sztucznych kwiatów, albo z blachą złoconą, okrągłą kamizelkę, krótkie spodnie i trzewiki ze srebrnemi sprzączkami góralów. Tu jasne włosy kobiet, są tylko ozdobione grzebieniem, strzałą, albo przepaską srebrną; tam pokryte czapeczką z czarnego jedwabiu, albo złotego sukna, u któréj aż do ziemi wiszą szerokie wstążki; gdzie indziéj noszą wielki słomiany kapelusz. Łańcuchy złote lub srebrne, szklanne paciorki rozmaitego koloru, spódniczki bardzo długie, albo też bardzo krótkie, rogowe gorsety nadaiące dziwaczną postać ciału, albo też suknie bynajmniéj go nieściskające, nadzwyczajne ozdoby, wszystko to bawi cudzoziemca i nastręcza mu bardzo wiele przypomnień. Od téj wesołéj sceny, wyobraźnia moja przeniosła się do téj krwawéj i chwalebnéj walki, w któréj szczątki wojska francuzkiego, cofające się z pod Lipska, otworzyły sobie drogę rozbiwszy wojsko Bawarskie.

Oppenheim, Worms.

Aż do Renu, droga z Frankfortu do Manheimu idzie przez niezyzną i piaszczystą okolicę, któréj część jednę pokrywają sosnowe lasy, a drugą zaś przecinają wioski otoczone polami, na których sieją żyto, owies i sadzą kartofle. Ta droga, która w odległości czterech do pięciu mil jest prawie nie znaczną, łączy się w Oppenheim z drogą idącą z Moguncyi do Strasburga. Jesteśmy w ówczas na dolinie Renu, jeźli można nazywać doliną, płaszczyznę jak najrówniéjszą, ciągnącą się na kilka mil na prawo i na lewo rzeki, którą rzadko bardzo postrzedz można i tylko odgadywać ją trzeba z masztów i żaglów przesuwających się po niéj. Widokrąg ograniczony jest górami średniéj wielkości; przyjemny widok tworzą ich rozmaite kształty, pokryte lasami albo uprawne i zasiane zbożem.

Jednostajność równiny, urozmaicona jest mnóstwem wiosek i folwarczków. Rolnictwo przybiera tam znamię ogrodownictwa, tak dalece jest rozdrobniony podział gruntów. Kobiety podejmują ciężkie prace około roli; widać to z ich wynędznienia i braku świeżości. Pracują w każdéj porze roku, bez kapelusza, bez pończoch, bez trzewików, aby tylko opędzić pierwsze potrzeby życia. Niedaleko od Oppenheimu jest miasto Worms, nie zbyt rozległe, źle zbudowane, smutne, w którem sam tylko katedralny kościół gotyckiéj architektury, na uwagę zasługuie.

WIELKIE XIĘZTWO BADEŃSKIE.

Manheim.

Z niezmiernym i kosztownym pałacem w którym xiąże nie mieszka, z obszernemi koszarami, w których nie ma wojska, z pustemi i szerokiemi ulicami, na których nie ma ruchu i ludności, z pomnikami na które nikt nie patrzy, z obwodem napełnionym niskiemi domami, ze szpitalem, teatrem i przechadzkami, Manheim wygląda jak stolica, która oczekuje na królestwo i nigdy go się nie doczeka. W teraźniejszym składzie Niemiec, Manheim należy do xięztwa Badeńskiego a jego pałac i inne gmachy publiczne, są bezużytecznym ciężarem. Piękne domy tego miasta, zajmuje kilka rodzin angielskich, które w nim osiadły z powodu tanności życia.

Sztuki i przemysł dosyć kwitną. Wyrabiają tam wiele przedmiotów zbytkowych. Port Manheimu, jest składem handlu wyższego Renu. Muzyką zajmują się z wielkiém powodzeniem i chociaż w szybkim przejeździe, mogłem przekonać się o tém; byłem bowiem na koncercie amatorskim, granym przez osoby znakomitym obdarzone talentem. Chwalą uprzejmość wyższego społeczeństwa w Manhejmie. Uważam to miasto jako jedno z tych, w którém cudzoziemiec najbardziéj może sobie upodobać.

Pałac xiążęcy, zwraca uwagę raczéj z powodu obszerności i regularności, niżeli z powodu wytworu budownictwa. Mania stawiania kamieni w jednym rzędzie, nie może się daléj posunąć. Aby mieć o niéj wyobrażenie, dosyć będzie wspomnieć, że główny korpus ma 500 stóp długości, że dwa skrzydła mają po 400, a dwa gmachy dotykające do tych skrzydeł, długie są na 800 stóp każden. Widziany ze strony dziedzińca, pałac ten podobny jest do zamku Wersalskiego, w takiéj jednakże proporcyi, jak xięztwo Badeńskie do Francyi. Wewnątrz znajduje się ciąg apartamentów niczem nie ozdobionych, prócz obicia okrywającego ściany. Meble nie są bogate. Sala ozdobiona malowaniami al fresco, kaplica i galerya obrazów, zasługują na wspomnienie. W galeryi znajdują się najpięknjejsze obrazy Teniera, wielka liczba Wuwermana, Rembrandta, Ruisdaela i kilka ułamków szkoły włoskiej i francuzkiéj.

(Dalszy ciąg nastąpi).

POGRZEB.



Pomiędzy tegoczesnemi malarzami szkoły francuzkiej, znamienite miejsce zajmuje pan Leopold Robert. Ten artysta urodził się w 1794. w Neuchatel w Szwajcaryi, ojciec jego był zegarmistrzem. W roku 1810 sztycharz Girardet sprowadził go do Paryża, a młody Leopold, tak dalece pod jego przewodnictwem postąpił, że w 1814 otrzymał drugą nagrodę sztycharstwa w Rzymie. W owej epoce, uczęszczać zaczął do pracowni Dawida i oddał się malarstwu. Od tego sławnego mistrza przejął czystość i szlachetność rysunku. W 1816 osiadł w Szwajcaryi i dał się poznać zrobieniem kilku znakomitych portretów. Wówczas, pewien miłośnik sztuk pięknych dopomógł mu do udania się do Rzymu. Przez lat kilka żył tam w ukryciu, zajęty pracą, aż nareście piękne jego utwory rozgłosiły jego sławę i zjednały mu wziętość. W r. 1822 dał na wystawę sztuk pięknych w Luwrze, kilka obrazów, między któremi zwróciły powszechną uwagę, *Korynna improwizująca na przylądku Mizeny* i *Widok gór Terracyny*. W r. 1824 postrzeżono wielkie postępy w obrazie *Marynarza neapolitańskiego* i *Pielgrzymów wypoczywających na płaszczyznie Rzymu.* W r.

1827 sława tego artysty doszła do najwyższego stopnia. Trzy obrazy, *Żniwiarze na bagnach Pontyńskich*, *Odjazd na długie rybołowstwo* i *Pogrzeb*, są najcelniejszemi jego utworami. Umieszczamy rysunek tego ostatniego obrazu. Kreśląc go, malarz, pod niebem Włoch szukał natchnienia i w okolicach Rzymu upatrzył jednę z tkliwych i prostych scen, które pędzlem swoim, z prawdą, czystością i przyjemnością wystawia. Śmierć uderzyła naczelnika rodziny wieśniaków i malarz wybrał tę chwilę, gdy już zabrać mają zwłoki z ojczystego domu. Stary ociemniały ojciec, żona zmarłego, jego młody syn i córka, wystawieni są na pierwszym planie obrazu, z tą trafnością, która cechuje talent Roberta. Boleść, odmienna na każdéj twarzy, stósownie do płci i wieku, na żadnéj nie jest gminną i nie szlachetną. Ci ubodzy wieśniacy, w chatce cierpią i płaczą, z godnością dawnych Rzymian; żaden przymus i nienaturalność nie osłabia zajęcia. Czujemy, że szlachetna ich fizyonomia nie jest maską, którą na nich narzucił artysta, trzymając się klassycznych podań. Kawałek nie dojedzonego chleba, któren trzyma w ręku chłopak i któren jeść będzie, gdy przeminie pierwsze uczucie boleści, jest dowcipném wyrażeniem dziecinnego smutku. W głębi stoi kilka postaci, nadających tém wydatniejszą barwę miejscowości, rozpostartéj po całém dziele. Orszak pogrzebowy gotów wyruszyć, nad którym panuje twarz zmarłego, odkryta podług starożytnego zwyczaju, utworzony jest przez bractwo Czarnych Pokutników, poświęcających się w Rzymie, najsmutniejszéj posłudze chrześcijańskiéj.

CAŁE ŻYCIE CIERPIEŃ, A KWADRANS RADOŚCI.

§. I.

ROZPACZ.

Ten tylko kto mieszka we Flandryi, wie jak smutna jest postać tego kraju przy końcu jesieni, gdy zimny i rzęsisty deszcz pada przez kilka tygodni. Niebo ciągle jest pochmurne, nie ma ani promienia słońca, ani kawałka błękitu; wiatr świszczy i wyje gwałtownie pomiędzy drzewami i wstrząsa ich obnażone konary; po drogach zamienionych w potoki, płynie bystra woda z mułem zmięszana. Ta wilgotna atmosfera, ściska nerwy i zachmurza najweselszą wyobraźnię. Wszystko przejmuje się wrażeniem smutku. Bydło gnuśnie kładzie się w stajni i obojętnie patrzy na przynoszoną paszę, a jego bezczynni właściciele, siedzą w milczeniu przy ognisku. Gospodynie nawet, zasmucone szumem wichru, któren wstrząsa oknami, nie są tak zwinne; zapominają rozweselać gospodarskie prace, śpiewaniem starych ballad; zawczasu zamykają drzwi i psy spuszczają. Bo w takiéj porze, gdy noc zapada o czwartéj, oddziały żandarmeryi nie zapuszczą się w niedostępne drogi, a złoczyńcy krążą około folwarków i nie raz napadają na nie z toporem w ręku. Dla tego też, wiadomość o pożarze lub zabójstwie, częstokroć podwaja przestrach i nieufność, a gospodarze ryglują drzwi i nabijają zardzewiały muszkiet, wiszący spokojnie nad kominem.

Otóż więc: było to przy końcu jesieni: noc zapadła, deszcz gwałtowny padał, po drogach spływała woda, a przecież człowiek mający około czterdziestu lat, jechał z udaną obojętnością, małym wózkiem, ciągnionym przez wychudłego konia. Wózek ten składał się z dwóch oddzielnych części; na przodzie był to jakoby karykiel, a w tyle była ogromna skrzynia, tak wysoka jak karykiel i zapewne przeznaczona na towary. Latarnia przymocowana do jednego boku wózka, rzucała żółtawe światło na twarz podróżnika i ukradkiem pokazywała jego fizyonomią pełną energii i czoło zachmurzone jakąś zgubną myślą.

W rzeczy saméj, biedny ten człowiek, mimo uporczywego boju z nieszczęściem, stracił wszystko co tylko posiadał, stracił skutkiem niespodziewanego ciosu, który niszczy najlepsze najrozsądniejsze rachuby. W wigilią dnia tego, przybywszy do wioski Lejendorp, wypakował szkła i fajanse, składające jego ładunek. Nazajutrz spodziewał się pomyślnéj przedaży i usnął z nadzieją, że po tygodniowym pobycie w Lejendorp, nie mało pieniędzy przywiezie do domu, gdy w tém obudziło go wołanie »gore! gore!«... Zerwał się na pół nagi. Karczma gdzie w osobnéj izbie złożył był swoje towary, już stała w płomieniach i zaledwie zdołał wyratować pustą brykę i konia. Musiał wyjechać nazajutrz rano, zniszczony ze szczętem, z rozpaczą w sercu. Dla tego to, puścił lejce koniowi, dla tego brwi jego zmarszczyły się z wyrazem ponuréj i okropnéj boleści.

»Smutny będzie, pomyślał sobie, mój powrót do domu. Żona moja, matka i syn, liczą ile dni jeszcze upłynie i mówią sobie, »Dziś zaczął się jarmark, przedaż pójdzie mu pomyślnie, powróci za osiem lub dziesięć dni z dobrym zarobkiem i zapłaci długi, które zaciągnąć musiał podczas trzech

miesięcznéj choroby. Nieszczęście! jutro zobaczą mię powracającego, bez szeląga, zniszczonego, zadłużonego, zagrożonego więzieniem, bo lichwiarz, który mi pożyczył trzy tysiące złotych, nie zaczeka ani jednéj godziny. O mój Boże! jakżem nieszczęśliwy! Cóż przewinił Mikołaj Dow, że tak surowo z nim się obchodzisz!

»I nie mam żadnego środka ratunku! Będąc winien tak znaczną kwotę, nie znajdę nikogo, któryby mi chciał dopomódz. A więc nędza i sromota spadnie na mnie i i na rodzinę moją, gdyż wrzucą mię do więzienia złodziejów i bankrutów!

»Nie! zawołał uniesiony rozpaczą, nie! nie pójdę do więzienia. Jeżli nie mogę dopomódz mojéj żonie i synowi, jeżeli mam ściągnąć na nich ochydę, zakończę nędzę, która mię tak długo obarcza. Umrę.

I mocno zaciął konia, który powoli i z obawą postępował nad brzegiem głębokiego wąwozu.

Koń przestraszony wstrzymał się natychmiast i nie chciał iśdź mimo wołania i razów. Podczas téj sprzeczki, wóz cofnął się, brzeg wąwozu rozmoczony od deszczu, osunął się, a powóz, koń i człowiek wpadli z łoskotem w przepaść, w głębi któréj płynął wezbrany potok.

Wóz roztrzaskał się na kawałki, a bystre nurty porwały pokaleczone zwłoki konia. Ale człowiek, ze złamaną ręką i zranioną głową, uczuł znowu, w tém okropném niebezpieczeństwie, przywiązanie do życia, którego przed chwilą chciał się pozbyć i usiłował dostać się do brzegu.

Po niesłychanych wysileniach, dokazał tego, ale nie mógł uchwycić się brzegu, gdyż był za bardzo śliski. Bystry potok wycieńczył siły nieszczęśliwego i uniosł go w swoim pędzie. Wkrótce przestał pływać. Potém zniknął w toni i tylko dwa razy jeszcze wyrzuciła go woda.

Nareście pień drzewa leżącego w poprzek potoku, zatrzymał trupa.

§. II.

MATKA BOLEJĄCA.

Nazajutrz słońce weszło jaśniejące na wypogodzoném niebie, a jego promienie zaiskrzyły tysiącem świateł, mokry i jeszcze ciekący dach małego domku w Lejdzie.

Dla tego też, trzy kobiety mieszkające w tym domu, które zaledwie zdołały usnąć pośród huku burzy, obudziwszy się rano, doznały, na widok pogodnego słońca i błękitu nieba, takiéj radości, jak Noe w arce, gdy gołębica przyniosła mu rószczkę oliwną. Przydać trzeba, że prócz pogody wracającéj po tylu dniach dżdżystych, inny powód zadowolenia rozpogodził ich twarze. Rzęsisty deszcz wczorajszy, napełnił trzy ogromne beczki stojące pod rynnami, i zacne gospodynie miały zapas przynajmniéj na trzy tygodnie, wody najlepszéj do prania bielizny: nie licząc i tego, że woda ta potrzebuje daleko mniej mydła, niżeli woda ze studni albo zdroju.

Najpierwéj przeto udzieliły sobie tę ważną wiadomość.

—»Mamy trzy pełne beczki: rzekła tłusta Barbara do swojéj pani, która jeszcze leżąc w łóżku, karmiła ładną dziewczynkę, dopiero pięć miesięcy mającą.

—»Trzy beczki są pełne, matko: powtórzyła ta młoda kobieta do podeszłéj damy, która ją pocałowała w czoło. Dziecię spojrzało na babkę błękitnemi oczyma i uśmiechało się do niéj, nie puszczając wszakże piersi matczynéj.

—»Wiem o tém Garitto, wiem, nie raz bowiem obudziłam się téj nocy i słyszałam jak woda leciała rynną. To dobrze, pomyślałam sobie, nocujemy w ciepłych izbach, my tu, a syn mój w Lejendorp. Bogu niechaj będą dzięki za ten deszcz: byleby tylko nikomu krzywdy nie zrobił: oszczędzi bowiem roboty Barbarze, a nasza bielizna będzie jak najbielsza. A Gerard czy śpi jeszcze? przydała, podnosząc firankę zasłaniającą okno małego gabinecíku.

—»Śpi, snem jak najgłębszym od wczorajszego wieczora i ani się domyśla biedne dziecię, że téj nocy była taka burza. Gerardzie, Gierardzie!

—»Co! babko? odpowiedział dwunastoletni chłopczyk jeszcze na wpół uśpiony.

—»Ósma bije: odpowiedziała ze złośliwym uśmiechem: za późno przyjdziesz do pracowni.

—»Ósma! ósma! Będą mię łajać.

I z pośpiechem dziecię zerwało się z łóżka.

—»Nie śpiesz się tak Gerardzie, masz czas ubrać się i zjeść śniadanie, dopiero jest w pół do siódméj.

—»Ach babulu! zawsze mi wyrządzasz tę psotę.

—»I dla tego zapewne nie uściskałeś ani mnie, ani twojéj matki i maleńkiéj siostrzyczki?

—»Przebacz mi; ale bo nie można późno przychodzić do pracowni. Rembrandt się gniewa i łaje. Przeciwnie zaś, dobra panna Ludwika, gdy wcześnie przyjdę, nie omieszka powiedzieć: »Otóż jest Gerard! najpilniejszy ze wszystkich naszych uczniów» a to mi jest bardzo przyjemnie.

Gdy tak rozmawiali, Barbara otwierała sklep i myła jego posadzkę z palonych kafli zrobioną.

Na pierwszy rzut oka trudno byłoby po-

wiedzieć jaki był główny handel, którym trudnili się właściciele tego sklepu, zawalonego tysiącem rozmaitych rzeczy. Ażeby się objaśnić, trzeba było przeczytać szyld, na którym dużemi literami ze złota już wypłowiałego, napisano:

POD CZERWONĄ POŃCZOCHĄ

DOW MIKOŁAJ,

Kupiec towarów szklannych i łokciowych.

Z resztą, najmniéj było szkła w tym sklepie, a za to znajdowało się mnóstwo innych rzeczy, jako to płótna, korzenie, a nawet szkarpetki i kaftaniki.

Sklep Mikołaja Dow, zarządzany przez jego żonę i matkę, posiadał wielką sławę w Lejdzie, wiedziano że tam wszystkiego dostać można taniéj niżeli gdziekolwiek indziéj, że towary są w jak najlepszym gatunku i nareście wszyscy nazwyczaili się Bóg wie od jak dawnego czasu, kupować w tym sklepie od pani Dow, dobréj staréj kupcowéj, wiedzącéj o wszystkiém co się dzieje w mieście i tyle tylko zaceniającéj wyżéj nad istotną cenę, ile było trzeba, iżby mieli przyjemność potargować się trochę.

Trzeba ją było widzieć w tym sklepie, w małym czepeczku jaśniejącéj białości, który pokrywał jéj siwe włosy, podług zwyczaju krajowego. Uprzejma, rozmowna, z uprzedzającą żywością usługiwała gościom, a dosyć znaczna otyłość nic jéj nie przeszkadzała. Jeźli przez chwilę nie było nikogo w sklepie, pani Dow stawała na progu, spoglądała co się dzieje w sąsiedztwie, witała znajomych, którzy przechodzili koło jéj sklepu, (a miała znajomych w całém mieście) a jeźli było dosyć czasu prowadziła z niemi rozmowę. Z resztą, chociażby jak najwięcéj osób było w sklepie, na najmniéjszy hałas wybiegała na próg, pytała się o przyczynę téj wrzawy i wracała natychmiast, opowiedzieć ją swym gościom, nie mniéj ciekawym.

Dziewiąta biła; mały Gerard dawno poszedł już do pracowni Rembrandta, jego matka uśpiwszy dziecię, dopomagała Barbarze mydlić bieliznę i już pięciu lub sześciu kupujących zawitało do sklepu.

W tém nadzwyczajna wrzawa powstaje na końcu ulicy, ta wrzawa musi oznajmiać wielkie zebranie ludzi, albowiem odgłosy licznych stąpań, dają się słyszeć, pomieszane z niewyraźnem wołaniem.

W oka mgnieniu, pani domu wybiega na próg i patrzy w tę stronę, zkąd idzie gromada, lecz słońce bijąc jéj w oczy, niedozwalało jéj widzieć dobrze, musiała rękę przyłożyć do oczu. —»O Boże! gdzież ci ludzie, niosąc tragi pokryte prześcieradłem? Dobrze! idą ku mnie, zaspokoję moją ciekawość.

Jeden z ludzi odłączył się od gromady i postąpił ku niéj. —»Dzień dobry sąsiedzie. O Boże! jakże jesteś blady? wnijdź i usiądź.

—»Pani Dow! biedna pani Dow! rzekł ten człowiek, skinąwszy na orszak, aby nie postępował na przod.

Scisnęło się serce staréj kobiety, sama nie wiedziała dla czego; jakaś niespokojność ją ogarnęła, chociaż przekonana była, że to nieszczęście nie może jéj zagrażać.

—»Cóż ci to jest kumie? mów, cóż ci się stało?

—»Mnie nic, moja kochana pani, ale wam..

—»Mnie!

—»Milczcie, potrzeba przygotować waszą córkę, do téj okropnéj wiadomości. Karmi, mogłaby to przypłacić życiem.

—»Mój syn!

—»Jego to przynoszą.

—»Mój syn! mój syn jest zraniony. Ach! może niebezpiecznie. Lećmy.

—»Zostań, zostań.

—»Zatrzymujesz mię... a więc umarł!

Blada wyrwała się z rąk tego człowieka i pobiegła do gromady. Na jéj widok tłum ustąpił się z uszanowaniem.

Stara kobieta postąpiła prosto ku tragom, odrzuciła prześcieradło zakrywające zwłoki jéj syna i patrzała na trupa, nie roniąc ani jednéj łzy, nie wydając ani jednego westchnienia.

Jest rozpacz w któréj płakać nie można. Jéj spojrzenia były krwawe i wryte, oczy zamykały się konwulsyjnie, a zęby szczękały gwałtownie; może byłaby nie zniosła tego ciosu, ale proboszcz jéj parafii nadszedł na tę scenę rozpaczy, zbliżył się do nieszczęsnéj matki, wziął ją za rękę i rzekł po cichu:

—»A twoja synowa? a twoje wnuki?»

Spojrzała na niego, dwie łzy puściły się z jéj niewzruszonych powiek i spłynęły po zmarszczonych licach.

Pójdę do niéj, rzekła nareście. Uszła kilka kroków i zatrzymała się.

—»Nie, nie zdołam jéj tego powiedzieć: zawołała.

Przez ten czas, młoda kobieta, ciekawa jak wszystkie osoby wiodące jednostajne życie, wybiegła także dowiedzieć się dla czego takie mnóstwo ludzi zebrało się na ulicy. Bliskość niebezpieczeństwa, przywróciła staréj matce siłę i przytomność umysłu.

—Garitto, rzekła, pójdź; odejdź ztąd. Zaprowadziła ją do izby za sklepem i zalana łzami rzuciła się w objęcia nieszczęśliwéj małżonki. —»Mąż mój! co się stało mojemu mężowi? wyjąkała Garitta i zemdlała.

(Dokończenie w następującym zeszycie.)

REMBRANDT.



CAŁE ZYCIE CIERPIEŃ, A KWADRANS RADOŚCI.

(Dokończenie.)

Przyszedłszy do siebie, ujrzała proboszcza i Barbarę ratujących ją ze łzami, matkę która jéj podawała niemowlę i Gerarda płaczącego rzewnie.

—»Ach! zawołała, przecież mi jeszcze coś pozostało na ziemi. J na pół obłąkana prawie, podała piersi dziecięciu.

Lecz boleść nagle zgubiła pokarm.

—»Ani matką, ani żoną! niczem już nie jestem; niczem o Boże! zawołała biedna wdowa, z twarzą rozpłomienioną od gorączki, z obłąkanemi oczyma, z drżącemi i spie-

kłemi usty. Chcesz więc Boże i mnie powołać do siebie!

W tém objęła dwoje swojch dzieci, i konwulsyjnym uściskiem, przytuliła je do serca.

—»Nie chcę umrzeć! nie chcę was porzucić sieroty! Ach, to rzecz okropna! aż nazbyt okropna! biedne sieroty, nie mają ani ojca, ani matki. Nie chcę, ażebyście były sierotami. Ach! otóż jakiś człowiek... chce je porwać!.... nie dostanie ich, nie dostanie. J stojąc na łóżku, na pół obnażona, z rozpuszczonemi włosami, szarpała się i groziła doktorowi, którego przywołano.

Doktór milcząc, dotknął się pulsu choréj, położył rękę na jéj rozpalonem czole, przepisał lekarstwo, przyrzekł iż w krótce powróci i wyszedł z proboszczem.

—»Lękam się bardzo, rzekł do niego, ażeby ta kobieta na zawsze nie pozostała obłąkaną.

§ III.

BEZ PRZYTUŁKU.

W rzeczy saméj, bjedna Garitta pozostała obłąkaną; cały dzień siedząc w oknie, czekała bez ustanku na powrót męża; śpiewała, przędła i nie poznawała nikogo, nawet własnych dzieci. Jeźli Gerard zbliżył się do niej, wlepiała oczy w niego, odpychała go bez gniewu i znowu spoglądała przez okno; jeżeli jéj mała dziewczynka zaczęła krzyczyć, głuszyła natychmiast jéj wołanie, głosem swoim, do najwyższego stopnia natężonym. Swiekrze posłuszna była machinalnie, tak prawie jak machina wykonywająca ruch który jéj nadadzą, lecz bez żadnéj pojętności i wiedzenia co czyni; zachowała w pamięci jedno tylko słowo, które powtarzała kiedy niekiedy, głupowatym i jednotonnym głosem; a zwłaszcza gdy była głodna:

»Szczęście!

Można wyobrazić sobie rozpacz bjednéj Katarzyny Dow, pozbawionéj obojga dzieci tak ciężkim i niespodziewanym ciosem. »Boże! Panie mój! rzekła nazajutrz po pogrzebie syna swego, do poczciwéj Barbary, która z oczu nabrzmiałych bez ustanku, łzy roniła: jakże sobie poradzimy moje dziecię, aby dojrzeć sklepu, wykarmić smoczkiem tę maleńką, jakeśmy to spróbowali od dnia onegdajszego, czuwać nad Garittą, zajmować się Gerardkiem i co miesiąc zapłacić jego nauczycielowi malarstwa? Bóg surowo nas karze, ale niechaj spełni się jego wola.... Gdybym przynajmniéj tak była silną i czerstwą jak za młodu, nie traciłabym serca.

—»Ach! moja pani, czyliż potrzeba tak się zniechęcać? Nie jestżeś zdrową i mocną jak ja? A przytém Gerard jest już teraz prawdziwym młodzienjaszkiem, który sam idzie do pracowni malarza i powjadaią że tak dobrze maluje tam, jak najstarsi uczniowie. Nic to nie szkodzi, pracować będę trochę więcéj, a w nocy postawię kolebkę dziecka przy mojém łóżku, aby jéj krzyki małej nie budziły pani; bardziéj bowiem potrzebujesz wczasu, niżeli ja. A z resztą, Bóg nas nie opuści, jak mówi xiądz proboszcz.

»Zadzwoniono, któż to przychodzi tak rano? To pan Ruskonnetz! Wejdź pan proszę. Pani Dow zaraz przyjdzie, tylko włoży czepek na głowę.

—»Chciałem mówić z nią sam na sam.

—»A więc wnijdź pan do izby w tyle sklepu i zaczekaj trochę.

Pan Ruskonnetz, człowiek niezmiernie otyły, który za najmniejszém poruszeniem zdyszał się i spocił; rzucił się bez ceremonii w krzesło z poręczami i twarz obtarł. Zdawało się, że tak sobie postępuje jak we własnym domu.

—»Przepraszam pana, żeś na mnie zaczekał trochę: rzekła pani Dow, przybiegając jak najśpieszniéj i jeszcze zawięzując czepek pod brodą.

—»Pani Katarzyno: odpowiedział otyły człowiek, zmuszony przerywać sobie za każdém słowem, ażeby dech schwytać: przychodzę tu w ważnym interesie i powinnaś mi bydź wdzięczna, żem zaczekał aż do dnia dzisiejszego, przez wzgląd na twoję boleść.

—»Cóż takiego, panie Ruskonnetz?

—»Oto jest wexel waszego syna; winien mi jest trzy tysiące złotych. Termin zapłaty upłynął wczoraj, przychodzę więc po pieniądze.

—»Trzy tysiące złotych! trzy tysiące złotych! zawołała Katarzyna, z przestrachem, któren łatwo pojąć możemy,

—»Trzy tysiące złotych: powtórzył lichwiarz sapiąc, najobojętniejszym tonem.

—»Posłuchaj mój panie Ruskonnetz; mój syn pozostał ci dłużnym, ja ci zapłacę, ale dozwól mi zwłoki. Co tydzień oddam ci małą kwotę, tak jest, wszystko co mi pozostanie od nieuchronnych wydatków na życie. Tym sposobem wypłacę ci powoli, lecz aż do ostatniego szeląga, przysięgam.

—»Wczoraj termin upłynął, zacna pani Katarzyno. Jeżeli dziś nie dostanę zapłaty, jutro każę zatradować wasz sklep i wszystkie sprzęty.

—»Ach! nie uczynisz tego panie Ruskonnetz, nie uczynisz! Cóżbym zrobiła ze sobą, z dwojgiem dzieci, i moją biedną

synową, która postradała rozum. Panie Ruskonnetz! miéj litość.

—»Znam dochód waszego sklepu i wiem ile wydatków pociąga za sobą wasze położenie; nie moglibyście zapłacić mi ani szeląga na tydzień; i ja mam także dzieci i żonę; bądź mi więc zdrowa pani Katarzyno, dziś wieczorem odeślijcie pieniądze, albo jutro przyślę komornika.

»O mój Boże! mój Boże! co począć, cóż się z nami stanie? Moje dzieci! moje biedne dzieci!

Tak więc jutro będziemy bez sposobu do życia, bez kawałka chleba, bez przytułku! Boże! czyliż się nie ulitujesz nad nami?

»A przecież trzeba poddać się losowi swojemu: rzekła po pierwszym przystępie rozpaczy; niechaj przynajmniéj nie powiedzą, że moje sprzęty gwałtem sprzedano przededrzwiami naszego domu, jak to robią oszustom i bankrutom. Nigdy jeszcze nie tradowano nikogo z mojéj familii. Pójdę do komornika pana Ruskonnetz i powiem mu że wszystko oddaję temu człowiekowi, że tylko wezmę trochę bielizny dla mnie i dla moich dzieci. Pozostają mi dyamentowe kolczyki; przedam tę szacowną spuściznę po rodzicach moich: warte są przynajmniéj sto talarów, a za te pieniądze założę sobie mały handelek. Bóg który mię doświadcza, nie opuści mię przecię.

Natychmiast poszła do komornika, który chociaż nazwyczajony do przykrych czynności, uczuł uwielbienie na widok takiéj odwagi i rzetelności; chciał więc jéj dopomódz.

—»Posłuchaj mię pani, rzekł prowadząc ją do osobnego pokoiku. Może potrafimy załatwić ten interes. Zaprzysiąż mi tylko, że nikomu nie powiesz, kto wam doradził użycie tego środka.

—»Jakiego środka? powiedz panie, a sprawisz mi jedyną pociechę, jakiéj jeszcze doznawać mogę.

—»Posłuchajcie mię. Po śmierci Mikołaja Dow waszego męża, czyliżeście zrobili akt spółki z waszym synem?

—»A to na co? nie miałam więcéj dzieci.

—»To dobrze; nawet szyldu nie zmieniono, jak sobie przypominam.

—»Byłby to niepotrzebny wydatek, ponieważ mój biedny syn, tak się nazywał jak ojciec jego.

—»A więc wszystko pójdzie dobrze. Długi twojego syna nie należą do ciebie; umarł, wszystko stracił; tém gorzéj dla jego wierzycieli; nie masz potrzeby przyznawać i płacić jego długi.

—»Ale imię mojego syna, byłoby zhańbione?

Komornik osłupiały, spojrzał na nią.

—»Ale wszyscy powtarzać będą koło mnie: »Jéj syn był nieuczciwym człowiekiem. Wolę cierpieć nędzę, wolę ażeby dzieci moje pozostały bez chleba. Bądź zdrów panie.

J powróciła do domu, z rozpaczą w sercu, ale z postanowieniem, że wytrwa w tak chwalebnym zamiarze.

Za powrotem uczynić musiała jeszcze jedną ofiarę; zawołała Barbarę służącą swoją, powjedziała, jakie nieszczęścia spadły na nią, i z płaczem rzekła do niéj aby sobie poszukała innego miejsca.

—»J mogłaś pani mniemać, że zdołam odłączyć się od ciebie, teraz gdy jesteś nieszczęśliwą i gdy jestem ci potrzebniejsza, niżeli kiedykolwiek. O Boże! jakże źle sądzicie o mnie pani Katarzyno?.... Nie zasłużyłam na takie obejście się ze mną. Ja mam was opuścić! o nie.... chociażbyś mi pani rozkazała, chociażbyś mię za drzwi wypchnęła.... Jestem młoda i silna, mam krzepkie ręce, będę pracować, będę się najmować do prania, to wystarczy na moje pożywienie i jeszcze się okroi trochę pieniędzy. Gdy nie trafi się robota na mieście, będę prząść, szyć, ale nigdy was nie opuszczę.

J te dwie kobiety uściskały się tonąc we łzach.

Nazajutrz rano, gdy komornik przyszedł z panem Ruskonnetz, zastał samą tylko Barbarę, która im oddała pismo, zawierające ustąpienie całego handlu, za dług Mikołaja Dow.

O świcie, pani Katarzyna Dow, biedna sześćdziesiątletnia kobieta, opuściła dom, zabrawszy ze sobą wnuka, dziecię w powiciu i obłąkaną, powtarzającą jedyny wyraz, który pozostał w jej pamięci. —»Szczęście! szczęście!

§ IV.

BÓG JEST WE WSZYSTKIÉM.

Pomińmy piętnaście lat upłynionych od owéj smutnéj chwili i przenieśmy się do innéj części miasta Lejdy, uboższej i wyłącznie zamieszkanéj przez artystów.

Tam jeszcze znajduje się szyld dawnego sklepu pani Katarzyny Dow.

POD CZERWONĄ POŃCZOCHĄ

DOW MIKOŁAJ,

Kupiec towarów szklannych i łokciowych.

Ale ten szyld, niestety! jest tylko ubogą czarną deską, na któréj litery nakreślone, nie już złotym, ale po prostu żółtym kolorem, wskazują, że są dziełem bar-

dzo niezgrabnego malarza. Serce się ściska, gdy porównamy kramik, nad którym ten szyld jest zawieszony, ze sklepem, któren Katarzyna Dow posiadała przed piętnastą laty, na najpiękniejszéj ulicy. Nie mniéj zasmucającą zmianę widać było w ubraniu Barbary i jéj pani; w prawdzie ich suknie były ochędożne jak zawsze, ale niezliczone ściegi i delikatne cery, które tylko zbliska dostrzedz było można, wskazywały starość tych sukien i pracowitą wytrwałość, z którą te kobiety usiłowały je ratować. Z resztą, podobnież jak dawniéj, pani Katarzyna siedziała za kantorem, albo wychodząc na próg, przypatrywała się najmniéjszym zdarzeniom, przytrafiającym się na ulicy. Tłusta Barbara, przez te lat piętnaście rozrosłszy się na krzepką kobietę, jakie tylko we Flandryi znaleźć można, zawsze toż samo uszanowanie okazywała pani swojéj. Jedynie tylko zamjast prząśdź w izbie za sklepem, przędła w samymże sklepie, a to z téj przyczyny, że ten sklep stanowił teraz całe pomieszkanie biednéj Katarzyny.

Przy Barbarze, młoda dziewczyna niepospolitéj piękności, z pochyloną głową, z oczyma wilgotnemi od łez, milcząc robiła pończochę.

W głębi, wysoka i blada Garitta, niedbale i gnuśnie rozciągnięta w krześle z poręczami, drzymała jak zwykle.

W tém młoda dziewczyna zadrżała i zbladła. Odgłos znanych jéj kroków dał się słyszeć na ulicy i młody człowiek szybko przeszedł koło sklepu. Tak mocno był wzruszony, iż zaledwie zdołał drżącą ręką unieść szeroki kapelusz, który mu głowę zasłaniał.

Barbara i jéj pani, wzajemnie spojrzały na siebie z wyrazem politowania i westchnęły. Młoda dziewczyna nie mogła wstrzymać się od łkania.

Sama tylko obłąkana, została obojętną. Katarzyna i Barbara wyszły parę kroków na ulicę, aby młoda dziewczyna nie słyszała ich rozmowy.

—»Ach pani Katarzyno! rzekła Barbara, serce się kraje, bjedni ci młodzi ludzie!

—»Tak jest Barbaro, tego tylko zmartwienia nie dostawało nam jeszcze.

—»A przecież mieliśmy je wszelkiego rodzaju. Od lat piętnastu, jakeśmy tu założyły ten kramik za sprzedane dyamentowe kolczyki, ileż to trzeba było znosić niedostatku, niespokojności i nędzy; bo nie łatwo wyżywić można pięć osób, zarobkiem z tak małego sklepiku w tak bjednéj części miasta, i to jeszcze gdy jedna jest w takim stanie (przydała wskazując na Garittę) A przecież dokazałaś tego; nasza córka jest najładniejsza i najlepiéj wychowana ze wszystkich panienek w naszém mieście. Co za szkoda, że nie ma posagu! Gdyż byłaby to prześliczna para z tym młodym Mieris, który ją tak kocha, a któremu nie pozwalasz bywać u nas.

—»Czyliż mogłam pozwolić Barbaro, kiedy jego familia najbogatsza w Lejdzie, kiedy jego ojciec, syn burmistrza, rozpowiadał głośno, że ich syna przyciągam do siebie, ale że nigdy nie da swego Jakoba, tak ubogiéj dziewczynie, jak moja wnuczka?

—»Prawda, ale mimo tego boli mię serce, gdy patrzę na zmartwienie tych biednych dzieci.

—»Oby tylko, kochana Barbaro, nie zagrażało im inne cięższe nieszczęście. Już od roku, nie mam wiadomości od Gerarda, który przed czterema laty, wyjechał dla wydoskonalenia się w malarstwie. Czyliż go spotkało jakie nieszczęście?

—»Po cóż je przypuszczać?

—»Jnna okoliczność jeszcze bardziéj mię zatrważa. Od niejakiego czasu, już nie przysyła nam, jak to czynił dawniéj, małéj kwoty, która nam dopomagała do życia, a zwłaszcza służyła na opłacenie procentów, od czterechset dukatów, które pożyczył mu Rembrandt na koszta podróży. Wie, że ja nie mogę tych procentów opłacić; już nadszedł termin, a nie mamy pieniędzy.

—»Otóż i Rembrandt sam przychodzi po pieniądze.

—»W rzeczy saméj, wielki ten malarz, który obok sztuki swojéj, trudnił się także lichwiarstwem, zmierzał ku sklepowi pani Katarzyny Dow; lecz jego fizyonomia za zwyczaj nieprzyjemna, nie zwiastowała nic złego, i widać było mimowolny uśmiech na jego ustach.

—»Niechaj Bóg ma was w opiece swojéj, pani Katarzyno: rzekł uchylając kapelusza: i ciebie także tłusta Barbaro, nie zapominając i o tobie moja Treo: przydał, całując ją w czoło.

»Co! znowu płaczesz! zawsze płaczesz?

»J cóż pani Katarzyno: mówił daléj, bez ceremonii siadając w krześle: czy są jakie wjadomości od mojego ucznia Gerarda?

—»Niestety, nie panie Rembrancie i bardzo jestem niespokojna... Jakże się ma twoja dobra siostra, panna Ludwika? Przydała śpiesznie, usiłując jak don Żuan odwrócić rozmowę i nie dopuścić aby jéj wierzyciel zaczął mówić o pieniądzach.

—»Ach! ach! będę więc musiał obejśdź się bez pieniędzy: przerwał malarz, odgadując podejście bjednéj Katarzyny.

—»Niestety! kochany panie Rembrandt, gdybyś chciał jeszcze zaczekać trochę.

—»Posłuchajcie mię; zaczekam, ale przysługa za przysługę. Potrzebuję tego

sklepu i musicie ustąpić go, tak jak jest, ze wszystkiém, co się w niém znajduje.

Katarzyna, z przestrachem spojrzała w około siebie.

—»Ustąpić panie Rembrandt!... a cóż się z nami stanie?

—»Zaprowadzę was do innego domu, gdzie będziecie mogli tak dobrze prowadzić wasz handel jak tu. Podaj mi rękę, a ty idź z téj strony, ładna Treo. Pójdź także Barbaro,... A jeźli się wam niepodoba ta zamiana, wolno wam będzie powrócić: przydał, widząc ich boleść i obawę.

—»A moja bjedna pani? zapytała się Barbara, wskazując na chorą.

—»Weź ją pod rękę Barbaro i pójdźmy.

J wyszli wszyscy, kobiety bardzo niespokojne, Rembrandt z uśmiechem na ustach.

Za dziesięć minut, stanęli przed dawném pomieszkaniem Katarzyny. Nie wiedziała co się z nią dzieje, ujrzawszy że ten sklep przerobiony potém na szynkownię, znowu stał się składem towarów łokciowych.

Siostra Rembrandta, Ludwika, stała w progu, wyszła na przeciw Katarzyny i uściskała ją czule.

Biedne kobiety rozumiały że to jest sen i nie mogły pojąć, co się to znaczy.

—»A cóż, rzekł Rembrandt, ten sklep czyli, się wam podoba?

—»Nie żartuj z nas panie Rembrandt, nie znieślibyśmy tyle szczęścia.

Drzwi się otworzyły i młodzieniec, Gerard Dow, wybiegł i rzucił się na szyję babki i siostry.

Rembrandt i Ludwika, nie mogli powściągnąć się od łez, na widok radości i wzruszenia tych szczęśliwych kobiet.

—»A mnie też, rzekła nareście Barbara, płacząc z radości, mnie, czy nie przywitasz Gerardzie?

—»J ciebie także! moja wierna, moja przywjązana Barbaro!

—»Gerardzie, mój chłopaku, jeszcze nie koniec na tém; jest tu ktoś, na którego także kolej przyjśdź powinna: przerwał Rembrandt, przyprowadzając zapłonionego młodzieńca, na którego widok Trea spuściła oczy.... A ty Barbaro, zrób dobrą wieczerzę, prawdziwą wieczerzę weselną: bo dziś wieczorem, rodzice Jakoba Mieris przyjdą prosić o rękę téj ładnéj dziewczyny.

—»Wszystko to wydaje się snem, albo czarodziéjstwem, wam pani Katarzyno i tobie także Barbaro... Wyłupiasz oczy, bierzesz mnie za czarownika.

J jeźli kto jest czarownikiem, nie ja zapewne.

»On to jest pani Katarzyno, Gerard Dow, niegdyś mój uczeń, a dziś mój rywal, Gerard, którego każden obraz zasypują złotem, którego imie cała Flandrya, cała Europa z uwielbieniem powtarza. Jest to wielki malarz, a co lepsza syn cnotliwy i brat czuły, co jest rzadką rzeczą, nie prawdaż Ludwiko?

—»Czuły, jak ty moj bracie.

—»Nie zawsze takim jestem, Ludwiko. Zbyt często ogarnia mię melancholia, ale dziś jestem wesołym i czułym.

»Ci zacni ludzie, powrócili mi najświętszą i najsłodszą ufność.

»Ufność w cnotę.

Nagle posłyszano szmer żałosny; wysoka i blada postać Garitty, pokazała się, jak zjawisko, między temi szczęśliwemi którzy zapomnieli o niéj; zwróciła w około głupowate oczy, nie poznała nikogo, i potém wyjąkała swoje zwyczajne słowo:

»Szczęście! szczęście!

Wszystkich czoła smutek zasępił.

Rembrandt zbladł i spojrzał potém na wychudłą twarz Gerarda Dow, który mimowolnie poniósł rękę do piersi, czując znowu boleść, na chwilę wstrzymaną uczuciem szczęścia.

»Ludwiko! rzekł Rembrandt z rozpaczą, do siostry, zaprowadziwszy ją do drugiéj izby: cóż pozostanie téj kobiecie, któréj córka jest obłąkana, a wnuk ledwie jeszcze dwa lata pożyje?

—»Czyste życie i Bóg! odpowiedziała Ludwika.

REMBRANDT I GERARD DOW.

Paweł van Rhyn Rembrandt, jeden z najsławniejszych malarzy i sztycharzy szkoły flamandzkiéj, urodził się w 1608, we młynie, niedaleko Lejdy, należącym do jego ojca. Jego namiętny popęd do kunsztów, zniszczył plany ojca, który go chciał na uczonego wykształcić. Pierwszych początków sztuki, uczył się u Jaka, miernego malarza, potém pracował w Amsterdamie u Piotra Lastmann, Józefa Pinas i Jerzego Schooten. Ale w krótce powrócił do domu, a za wzór i nauczycielkę obrał sobie naturę. Ale natura ta była pospolitą, a brak wykształcenia nie dozwolił Rembrandtowi, wznieść się do ideałów wysokiéj i szlachetnéj piękności. Ograniczył się zatém na malowaniu gminnéj natury! Całe życie przepędzał także z ludźmi pospolitego stanu, nie chciał uczęszczać do lepszych towarzystw. W r. 1630 osiadł w Amsterdamie i ożenił się

z piękną wieśniaczką z Rarep, któréj portret znajdujemy w wielu jego pracach. Jego obrazy nadzwyczajnie poszukiwano i drogo płacono, dla tego też zaprzestał je wykończać pracowicie i robił z pośpiechem. Dzieła uczniów swoich, którym drogo kazał płacić sobie za naukę, poprawiał i za własne przedawał. Przez chciwość zysku, dał powód do wielu pomyłek względem szczegółów swego życia: i tak naprzykład, wiele sztychów swoich datował z Wenecyi, aby miały większy pokup i z téj przyczyny wielu mniemało, iż w rzeczy samej Rembrandt znajdował się w Wenecyi między rokiem 1635 i 1636. Nigdy nie opuścił Amsterdamu, chociaż zawsze groził że oddali się z tego miasta, aby miłośników sztuki zachęcać do nabywania jego obrazów. Od roku 1628, gorliwie przykładał się do sztycharstwa i posunął je do wysokiego stopnia doskonałości. Jego sztychy tak są wysoko szacowane, jak jego obrazy. Powodowany łakomstwem, dopuszczał się rozmaitych podejść, używanych podobnież przez wielu sławnych sztycharzy. J tak np: przedawał na pół wykończone blachy, potém je kończył po wyciśnięciu pewnéj liczby exemplarzy, poprawiał i za nowe przedawał. Takiemi sposobami, zebrał znaczny majątek. Rembrandt umarł w r 1674. Tytus syn jego odziedziczył po nim zebrane pieniądze, był także artystą, lecz się niczém nie odznaczył.

Juześmy wspomnieli, że Rembrandt grzeszył gminnoscią w obrazach swoich, ale za to celował mocą i wielką sprzecznością światła i cieni. Tak wiele rzucał farby na płótno, że obrazy jego z pewnéj odległości widzieć potrzeba. Nikt lepiej od niego nie znał, jak trzeba dobierać kolory. Nie zważał na szczegóły, ale zawsze do tego dążył, aby całość czyniła mocne wrażenie. Obrazy Rembrandta znajdują się rozrzucone po galeryach prywatnych, jest ich wielka liczba. Do najznakomitszych należy Tobjasz i jego familia klęcząca przed aniołem, Dwaj filozofowie, Chrystus i dzieci, Portrety jego matki i jego własny, którego rycinę umieściliśmy na czele tego zeszytu. Rodzina Swięta, Złożenie w grobie, Zdjęcie z krzyża, Biesiada Asswera, Ganimedes i t. d.

Gerard Dow, uczeń Rembrandta, zupełnie odmiennym sposobem pracował, chociaż od mistrza swego przejął sposób dobierania kolorów. Jego obrazy i portrety są wszystkie w zmniejszonéj postaci, tak, iż się prawie do rodzaju miniatur zbliżają. Z niezmierną pilnością pracował nad ich wykończeniem i nie pominął najdrobniejszego szczegółu. Rzadko który z jego obrazów wyższy jest nad stopę. Czasem pięć dni malował jednę rękę i pewnego razu przyznał się swojemu przyjacielowi, że nad drągiem od miotły trzy dni pracował. W jego obrazach nie trzeba szukać zapału, ani wyobraźni. Z pomiędzy nich wyłączyć tylko można obraz kobiety chorującéj na puchlinę, w którym, boleść malująca się na twarzy córki, cierpienia choréj i postać doktora przyglądającego się lekarstwu, jest wzniosła i szlachetna, chociaż w tak małym zakresie zawarta. Gerard Dow umarł w r: 1680.

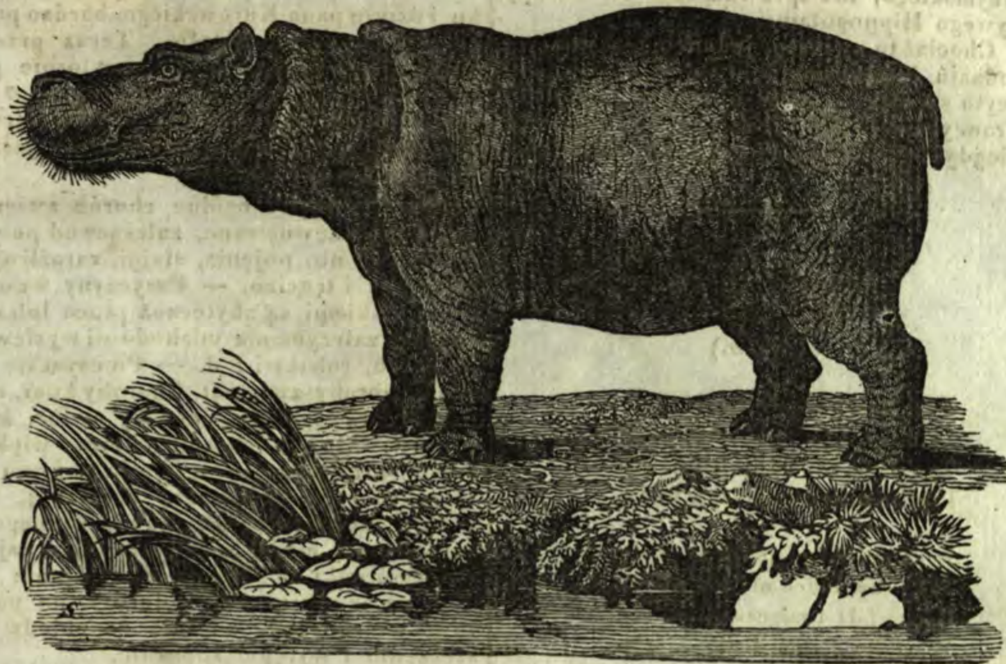
HIPPOPOTAM.

Hippopotam, tak nazwany od dwóch wyrazów greckich, znaczących konia rzecznego, z powodu jego krzyku, dosyć podobnego do rżenia konia, należy do najcięższych i najgrubszych zwierząt. Jego ciało jest niekształtną massą, dźwiganą na członkach bardzo krótkich i grubych; okryty jest skórą, przez którą nie można rozpoznać żadnego zgięcia, żadnego muszkułu, kilka zaledwie fałdów odznacza szyję, a głowa zakończona jest wargami mięsistemi i spłaszczonemi, przez co pomnaża się jeszcze szpetność tego zwierzęcia.

Jego zwyczaje odpowiednie są postawie, żyje ciągle w mule, nad brzegami rzek i z tamtąd wychodzi tylko w nocy i to jeszcze, za najmniejszym łoskotem, za najmniejszą oznaką niebezpieczeństwa, zanurza się w głębi wody i tylko nozdrza swoje wychyla nad powierzchnią, aby kiedy niekiedy odetchnął. Dla tego też niezmiernie jest trudno ubić go; zwyczajne kule, płaszczą się na jego skórze i trzeba utrafić go w głowę, aby go zranić; ma właściwy sobie systemat zębowy; zęby przednie walcowato stożkowate, w szczęce górnéj cztery pjonowe, rozsunione, w dolnéj cztery poziomo na przód sterczące, z tych dwa środkowe najdłuższe. Kły wargami zasłonione, górne od przednich krótsze, dolne zaś znacznie dłuższe i grubsze, łukowate, rowkowane, na końcach ukośnie ścięte, trzonowe niby przyłamane, składane: w każdéj zuchwie po siedm lub po cztery, gdyż trzy pierwsze niestałe.

Pewien naturalista schwytał w Egipcie na początku XVII wieku, dwa hippopotamy, samca i samicę. Samiec większy o jednę trzecią część od samicy, miał 16 stóp i dziewięć calów długości, od końca paszczęki aż do ogona, 15 stóp obwodu, 6 i pół wysokości, nogi długie na dwie sto-

HIPPOPOTAM.



py i 10 calów, głowę na 3 i pół, paszcza miała 2 stopy i cztery cale otworu, a wielkie zęby, długie były przeszło na stopę. Zęby Hippopotama są bielsze od słoniowych i nie żołknieją tak prędko, dla tego też są przedmiotem handlu. Ludy mieszkające w krajach gdzie się znajduje, żywią się jego mięsem, a skórę używaią do rozmaitych potrzeb.

»Tak będąc silnym i ogromnym, mówi Buffon, Hippopotam mógłby stać się groźny wszystkim zwierzętom; lecz jest z natury swojéj łagodny, a prócz tego tak ciężki i powolny w biegu, iż nie mógłby schwytać żadnego czworonoga. Pływa prędzéj niżeli chodzi, chwyta ryby i niemi się żywi. Lubi przebywać w wodzie. A jednakże nie ma błon między palcami, i zdaje się, że wielka objętość brzucha, najbardziéj dopomaga mu do pływania Oprócz tego, może długo zostawać pod wodą i chodzi tam jak po ziemi, a wyszedłszy na ląd, jé trzcinę cukrową, proso, ryż, korzonki roślin i t. d. Wiele bardzo potrzebuje żywności, i przez to zrządza wielkie szkody w uprawnych gruntach, lecz ponieważ jest bojaźliwy, łatwo można go odpędzić; nogi ma tak krótkie, iż nie zdołałby uciekać, gdyby się oddalił od wody. Zraniony Hipppopotam, wpada w wściekłość i odwracając się, uderza na polujących, chwyta zębami ich czołna i częstokroć je zatapia.

Hippopotamy mieszkały niegdyś w całéj Afryce, prócz okolic na północ gór Atlasu położonych; teraz, gdy już wypędzono je z Egiptu, znajdują się tylko w Abissynii i w krainach na południe wielkiéj pustyni, aż do przylądka Dobréj Nadziei, ale i tam ich liczba znacznie się zmniejszyła.

Nie wiele mamy wiadomości o budowie ich organów zmysłowych; wiemy tylko że zewnętrzne ich części, nie są należycie rozwinięte, oko jest bardzo małe, jako też trąbka uszna. Nozdrza są wystające i otoczone ściągaczami i muszkułami, za pomocą których, zwierz może je otworzyć lub zamknąć, podług tego czyli jest na lądzie, czyli na ziemi. Organa smaku nie były także opisane i trudno mniemać, aby organa dotykania miały jaką delikatność, chyba na ustach. Cała skóra niezmiernie twarda i gruba, jest naga. U nóg ma cztery palce równéj prawie długości, zewnątrz poznać je można tylko po paznokciach. Ogon krótki, gruby i wiszący. Kolor skóry jest w ogólności ciemno brunatny, nieco bledszy pod brzuchem.

Zdaje się, że samica jeden tylko płód na rok wydaje, a gdy pływa, nosi go na grzbiecie.

Pomimo rzadkości swojéj, zwierzę to nie raz widziano w Rzymie w starożytnych wiekach; teraz zaś od upadku państwa Rzymskiego, nie sprowadzono do Europy żywego Hippopotama.

Chociaż to zwierzę, jedyném jest w swym rodzaju i tylko znajduje się w Afryce, odkryto szczątki jego w pokładach ziemi we Francyi i we Włoszech, co dowodzi, że niegdyś było daleko więcéj upowszechnione.

ŁÓDKA.

(*Bajka.*)

Póki łódka wiosło miała,
W ciszy, czy śród niepogody,
Tysiąc zawad odpychała,
Płynąc przez spienione wody.

Lecz przebóg! jakaż to zmiana?
Już przy łódce nie ma wiosła.
Rzeka falą rozigrana
Wartkim pędem łodkę niosła.

Coraz daléj się pomyka,
Nic ją nie zatrzyma w biegu,
Waha się, w bałwanach znika,
J rozbiła się u brzegu.

O jak smutne widowisko
Dla serc czystych, czułych powiek!
Cóż jest wodą? — żądz siedlisko,
Rozum wiosłem, łódką człowiek.

Fl. Jałowiecki.

NOWE DZIEŁO.

Nauka leczenia chorób ZWIERZĄT DOMOWYCH z najnowszych autorów weterynaryjnych jako to: Wagenfelda, Rohlwesa, Wejtha, Bojanusa, Kauscha, Peterki i wielu innych, dla użytku gospodarzy wiejskich, zebrana przez Jana Nepomucena Kurowskiego, z XI tablicami rycin. Warszawa nakładem Gustawa Sennewalda 1836 *r. Cena zł.* 15.

W 1832 r. pan Kurowski, który ciągle zajmuje się wydawaniem dzieł gospodarskich, czerpanych z źródeł najlepszych i doświadczeniem stwierdzonych, wydał w r. 1832 dzieło p. t. Najnowsze spostrzeżenia nad chorobami zwierząt domowych. Zaraza na bydło ciężką klęskę przynosząca wówczas naszemu krajowi, zniewala do szukania wszelkich środków ratunku, i dzieło pana Kurowskiego, bardzo prędko wyczerpaném zostało. Teraz przerobione i pomnożone, wydał powtórnie pod tytułem: *Nauka leczenia chorób zwierząt domowych.* Dzieło to do 400 stronnic druku obejmujące, jedenastą tablicami objaśnione, zawiera w sobie:

1mo Przyczyny ogólne chorób zwierząt domowych; zewnętrzne, zależące od powietrza pokarmu, pojenia, stajni, zaraźliwych miazmów i trucizn. — Przyczyny wewnętrzne, jakiemi są zbyteczna praca lub spoczynek, zatrzymanie odchodów i wyziewów skórnych, robaki i t. d. — Po czym się poznają choroby zwierząt. Choroby koni, choroby bydła rogatego, choroby owiec, świń i psów. Co do choroby która większą część bydła rogatego wytępiła w kraju naszym, choroby xięgo-suszą nazwanéj, wykazuje autor, że na nią prawie żadnego lekarstwa nie ma i że jedynie tylko najściślejsze środki ostrożności i zabijanie bydląt, zaraz w pierwszych dniach, po pokazaniu się choroby, zdołają zapobiedz jéj szerzeniu i wytępić zupełnie.

Za tak użyteczne i dokładne dzieło, należy się zasługa i wdzięczność autorowi, oraz wydawcy, który głównie trudni się wydawaniem dzieł, pożytek i dobro społeczne na celu mających.

CENA PRENUMERATY

MUZEUM DOMOWEGO.

w Warszawie, W KANTORZE GŁOWNYM w xięgarni F. S. Dmochowskiego przy ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D. oraz w innych xięgarniach i Kantorach, rocznie złp. 18. półrocznie złp. 10.

na Prowincyi, W Urzędach Pocztowych i po xięgarniach, rocznie zł. 24, półrocznie złp. 13.

Można także prenumerować na Urzędach Pocztowych oraz u następujących xięgarzy.

w Kaliszu u Jahnischa
w Radomiu w xięgarni tamtejszéj.
w Lublinie u Streibla.
w Poznaniu u T. Scherka.
w Krakowie u Friedlejna i Czecha.
w Wilnie u Zawadzkiego.
tamże u T. Glücksberga.
w Winnicy na Podolu i) w xięgarniach braci Lechów
w Kamieńcu Podolskim)

Osoby prywatne na prowincyi zamieszkałe, któreby raczyły dopomódz upowszechnieniu pożytecznych nauk, przez zatrudnienie się zbieraniem prenumeraty, otrzyma na 10 exemplarzach 11sty gratis.

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.

MARSZAŁEK DE RANTZAU.



Jozyasz hrabia de Rantzau, marszałek francuzki, należał do liczby najlepszych generałów w ostatnich latach panowania Ludwika XIII. a w początkach rządów Ludwika XIV. Urodzony z dawnéj i świetnéj familii w xięztwie Holsztyńskiem, wszedł za młodu do wojska Szwedzkiego i wyćwiczył się w sztuce wojennej pod sławnym Gustawem Adolfem. Przybył do Francyi w 1635 w orszaku kanclerza Szwecyi Oxenstierna. Zalecony pozyskaną sławą, przyjemną postacią i przymiotami umysłu, Rantzau podobał się Ludwikowi XIII, który zaciągnął go pod sztandary francuzkie, mianował go marszałkiem polnym i dał mu dowództwo dwóch pułków.

Rantzau wkrótce okazał że jest godnym tych łask; od r. 1635 do 1646 ciągłe odbywał kampanie i wsławił się świetnemi zwycięztwami. W 1645 został marszałkiem Francyi. To prawda, że ta godność miała nietylko wynadgrodzić jego zasługi, ale i ciężkie kalectwo: gdyż stracił oko przy oblężeniu miasta Dole, nogę przy oblężeniu Arras, rękę przy oblężeniu Aire, nie licząc mnóstwa innych blizn ciężkich. Umarł w 1650 na puchlinę, której dostał w więzieniu, gdyż kardynał Mazarini, pośród niezgód Frondy kazał go wsadzić do Bastylii, jako stronnika niespokojnych.

Był to śmiały pomysł, wystawić na obrazie takie historyczne kalectwo, a malarz który go powziął i dał na wystawę sztuk pięknych w Paryżu w roku zeszłym, mógł bydź poczytanym za zuchwalca, dopóki wykonaniem dzieła nie usprawiedliwił téj śmiałości. Pan Alaux w tym obrazie okazał talent wyższego rzędu. Marszałek Rantzau siedząc na spinającym się koniu, mimo drewnianéj nogi i blizny na czole, ma wojenną i szlachetną postawę. Umieszczamy rycinę tego obrazu, (mówi redakcya Mozaiki francuzkiéj) jako piękny utwor sztuki i cześć oddaną pamiątce wojownika.

KORDUBA

JEJ MECZET I OKOLICE.

Korduba przez długi czas była stolicą Arabów w Hiszpanii. Abderam, kalif z familii Omniadów, panujący około roku 754; najbardziéj przyłożył się do jéj świetności; za jego czasów Korduba liczyła 200,000 mieszkańców, 12,000 wiosek w okręgu do niéj należącym i sto dwadzieścia milionów dochodu. Teraz jest stolicą intendencyi tegoż nazwiska, źle zabudowana i nieporządna, leży na prawym brzegu rzeki Gwadalkwiwir. Wspaniały most na téj rzece, wielki rynek i kościół katedralny, zasługują na wspomnienie w Kordubie. Podług geografa Balbi, liczy 57,000 mieszkańców.

Kalifa Abderam, o którym wspomnieliśmy powyżej, chciał ażeby Korduba, stolica jego krajów, posiadała meczet, który tém byłby na zachodzie, czém meczet w Mekce na wschodzie. Nie brakowało mu ani rąk ani skarbów na dokonanie tego przedsięwzięcia. Całą zdobycz zebraną na Francuzach i Katalończykach po bitwie przy Narbonne, poświęcono na to pobożne dzieło. Rzymianie zbudowali niegdyś świątynię Janusowi, na wzgórzu przy rzece Gwadalkwiwir, chrześcianie przerobili ten gmach na kościół, Abderam rozkazał zbudować meczet na zwaliskach chrześcijańskiego kościoła.

Trzydzieści lat wystarczyło na dokonanie tego olbrzymiego dzieła sztuki; meczet zaczęty w r: 1770 za Abderama, ukończony został w r: 1800, za jego syna Jssena. Gmach ten tworzył czworobok, długi na 620 stóp od południa do północy, a szeroki na 440 od zachodu do wschodu. Siedemnaście bram, pokrytych bronzowemi blachami, wyrobionemi z niezrównaną delikatnością, prowadziło do jego wnętrza, w którém przestrzeń 210 stóp, zostawiono raczéj na dziedziniec, niżeli na ogród. Wnętrze meczetu, zajmowało dziewiętnaście naw, długich na trzysta pięćdziesiąt stóp, a na czternaście szerokich, ciągnących się równolegle od północy do południa i dziewiętnaście mniejszych ciągnących się od wschodu na zachód. Te trzydzieści osiem naw, opierały się na 850 kolumnach z kosztownego marmuru. Kolumny te nie były wyrobione dłutem Arabów; władzcy Korduby zabrali je z gmachów rzymskich, których mnóstwo znajdowało się w Hiszpanii. Architekci maurytańscy, poprzestali tylko na naprawieniu tego, co w nich było uszkodzoném, bez zmieniania porządku rzymskiego. Na koryntckich kapitelach tych kolumn, zrównanych do jednostajnéj wysokości stóp dziewięciu, położono łęki, których kształt, arabeski i napisy należały wyłącznie do architektury wschodniéj. Kolumny przedłużały się potém w pilastry, a na nich był drugi łęk, utrzymujący sklepienie świątyni, w jednostajnéj wysokości, stóp dwudziestu dziewięciu. To sklepienie zrobione było z belkowiny, wyrzynanéj w najdelikatniéjsze ozdoby i pokrytéj najświetniéjszém malowaniem. Drzewo *alerce*, przechodzące wonią wszystkie inne sosny i rosnące w owych czasach nad brzegami Gwadalkwiwiru, użyte było do téj budowy. Cały gmach pokryty był ołowianą blachą.

Z miejsca, z którego można było ujrzeć długie aleje, utworzone przez rzędy tych kolumn, wspaniały przedstawiał się widok, mimo niewielkiéj wysokości gmachu; lecz z boku widziane, tak, iż się mieszały jedne z drugiemi, czyniły niepojęte wrażenie. Żadna ściana i przerwa nie przecinała wzroku, gubiącego się w tym lesie kolumn i łęków, przerywała je tylko linia odznaczająca miéjsce zostawione dla możnych, lekka i wytwornie zrobiona kazalnia Muftego i grupa czterech pilastrów, między któremi zasiadał władzca Korduby.

W tém miéjscu przypomnieć potrzeba, że sztuka jeszcze będąca w dzieciństwie za Abderama, nie mogła wydać tych arcydzieł delikatności, jakiemi są późniejsze budowy Maurów w Hiszpanii. Musimy jednakże poświęcić kilka wierszy opisowi sławnéj sali, w któréj chowano świętą xięgę Koranu. Sala ta tworząca przedłużony czworobok, ozdobiona dwoma rzędami kolumn ze złoconemi kapitelami, pełna była najpiękniéjszych ozdób. Jedna sztuka marmuru tworzyła kopułę ośmioboku, mającego piętnaście stóp średnicy, w którym złożona była xięga święta. U sklepienia téj wspaniałéj sali, zawieszono pomnik bardzo szacowny dla Maurów: były to łańcuchy, któremi poruszano dzwony w kościele S. Jakoba w Kompostelli. Maurowie odniósłszy zwycięztwo nad chrześcianami, zmusili chrześcian zanieść te łańcuchy do Korduby. Gdy w roku 1236. Ferdynand król Kastylii i Leonu zdobył Kordubę, zniewolił Maurów prawem odwetu, odnieść te łańcuchy z Korduby do kościoła S. Jakoba z Kompostelli. Abderam budując ten meczet, rozkazał, ażeby żadne budowle nie przytykały do niego i żeby cztery szerokie ulice otaczały go, dla zachowania perspektywy. Gmach dziwaczną miał postać zewnątrz; każda strona odmienne miała ozdoby; mury nierównéj wysokości, lecz w ogóle niskie, uwieńczone blankami, podobne były do murów fortecy; lecz tu i ówdzie otwierały się piękne bramy, których sklepienie ozdobione było mozajką, płaskorzeźbą i malowaniem. Dziedziniec o którym już wspomnieliśmy, zamknięty był z jednej strony ścianą meczetu, a z trzech innych obszernym przysionkiem, opierającym się na siedemdziesięciu dwóch kolumnach. Na środku wytryskały piękne fontanny, a najbogatsze drzewa wschodu, rozwijały przepych swéj wegetacyi, chociaż zasadzone były na kilku stopach ziemi usypanéj na sklepieniu wodociągów. Gmach ten obrócony został na kościół chrześciański, skoro tylko wypędzono Arabów w 1236. Jednakże, miano wzgląd na jego ozdoby i poczyniono tylko nieuchronne zmiany. Hiszpanie z szesnastego wieku, okazali się dzikszemi, niżeli ich poprzednicy. W 1528, kanonicy chcieli zbudować kościół katedralny, w środku meczetu Korduby; daremnie mieszkańcy bronili téj ozdoby ich miasta; kanonicy odwołali się do cesarza Karóla Vgo, który nie znając pomnika, zatwierdził ich żądanie. Żałował potém, gdy ujrzał meczet Abderama, ale już było po niewczasie. Powyrzucano kolumny, zbudowano kaplice. Za temi uszkodzeniami, nastąpiły inne. Wyobrażono sobie, że drzewo belkowiny, nie uszkodzone przeciągiem 700 lat i zawsze przyjemną woń wydające, może się przydadź do różnych robót, do narzędzi muzycznych, a zwłaszcza do gitar; wyrąbano zatem cudowną posowę arabską. J w następnych czasach nie przestano psuć tego gmachu. Jednakże pomimo tylu ciosów, meczet w Kordubie, zachowuje cechę wschodniéj architektury i imie swoje.

Pustelnicy Korduby.

Poznawszy starożytne pomniki stolicy Abderamów, przejdźmy teraz do jéj obecnego stanu. Jeźli dawne gmachy Saracenów, wzbudzać mogły ciekawość naszę, niemniéj zajmującém będzie zarys teraźniejszości.

Wybraliśmy się, mówi pan A. de Custines autor francuzki, na zwiedzenie okolic Korduby. Wiele mi opowiadano o pustelnikach Korduby; umyśliłem ich odwiedzieć. Mieszkają na szczycie góry, o półtory mili od miasta. Wybierającym się do ich pustelni, taką dano instrukcyą.

»Jest was dwóch i macie trzech służących; każdy z was niech weźmie parę pistoletów; dostaniecie przewodnika; wszyscy pojedziecie konno; nie rozłączajcie się ani na chwilę i nie oznajmujcie godziny powrotu.«

»Przy takich środkach ostrożności, podróż wasza będzie bardzo przyjemna.

Z tych przygotowań poznać można, iż wycieczka do pustelników Korduby, uważana jest jako zuchwałe przedsięwzięcie. A jednakże okolice Korduby należą niby do kraju cywilizowanego; był nawet czas, kiedy ta kraina stała na czele narodów Europy, a teraz pod wielu względami nie ustępuje krajowi Marokańskiemu.

Mniemacie; że z tego powodu nieprzyjemnie jest podróżować po Hiszpanii; mylicie się, i owszem, lękać się należy, aby podróżnemu który ten kraj opuści, reszta świata nie wydała się nudną. Wyobrażenie niebezpieczeństw podwaja przyjemność podróży. Wszystko co widzimy w téj krainie, utrzymuje umysł w tém złudzeniu, jakiego doznajem czytając poemat; życie nie idzie tu jednostajnym i nudnym trybem. Hiszpania, a zwłaszcza Andaluzya, podoba się umysłom, którym się sprzykrzyła nasza wykształcona i wyrachowana społeczność

Postąp kilka kroków na nierównym bruku Korduby, a co chwila napotkasz młodych ludzi jadących konno i ubranych jak rycerze śpieszący na romansowe wyprawy. Ci ludzie mają płeć gładką, lecz ogorzałą jak Arabowie, przenikliwe oczy, kibić wysmukłą, rysy lekkie i żywe, wy-



MECZET W KORDUBIE.

tworność ich ubioru tém więcej uderza, że w tym osobliwszym kraju, wszystko jest zaniedbane prócz sukien. Ich postawa tak jest wdzięczna i swobodna jak andaluzyjskie ich rumaki. Ubiór andaluzyjczyka, zmienia się stósownie do fantazyi człowieka, który go nosi. Jeden z tych prowincyonalnych elegantów, przejechał koło mnie. Miał na głowie szary kapelusz zajączkowy w kształcie głowy cukru, skrzydła tego kapelusza są zagięte i podszyte czarnym axamitem, koniec jest także otoczony szeroką taśmą axamitną czarną; krótki kaftan z zielonego axamitu, ze złotemi pętlicami przy guzikach, spodnie z białéj skóry, z taśmą zieloną na szwach pobocznych, podwiązki z fontaziami tegoż koloru, żółte skórzane ciżmy, bogato haftowane jedwabiem, składały ubiór tego jeźdźca. Ubiór ten chociaż świetny i teatralny, nikogo nie dziwi w Kordubie. Każdy bowiem właściciel, który nie potrzebuje pracować na życie, a przynajmniej pracuje tylko dwa dni w tydzień, jest podobnie ubrany. Koń tego eleganta, był to piękny rumak andaluzyjski, zarazem bystry i łagodny; te zwierzęta zbliżają się do koni arabskich, lecz nie są tak ogniste. Koń ten miał głowę i grzywę ozdobioną wstążkami, tegoż samego koloru, co suknia jego pana.

Obok téj fantastycznéj figury, u podnóża maurytańskiego przysionku, na pustym placu, gdzie pomiędzy zwaliskami wyrosło samotne drzewo palmowe, zobaczysz gromady żebraków natrętnych, bezwstydnych, prawie nie podobnych do ludzi.

Nieco daléj, przed gospodą czyli karczmą, ujrzysz podróżnych uzbrojonych od stóp do głów, ich strzelby, konie, fizyonomia, postawa, mimowolnie wzbudzają twoją ciekawość.

Szczęśliwie odbywszy naszą podróż, przybyliśmy do pustelników. Była godzina pierwsza z południa, kiedyśmy zadzwonili do fórty klasztornéj. Jest to chwila poobiedniego spoczynku. Ci pustelnicy nigdy nie śpią dłużéj jak dwie godziny wciąż, a że przepędzają część nocy na czuwaniu i modlitwie, odpoczywają we dnie. Żyją zupełnie tak jak samotnicy Thebaidy, biorą za wzór pierwszych pustelników, czynią

pokutę, lecz nie wykonywają ślubów zakonnych. Bardzo często zdarza się, że opuszczają pustelnię i wracają do świata. Mimo téj swobody, bardzo wielu pozostaje tam aż do śmierci; jeden powiedział nam, że już od lat 35ciu żyje w tém ukryciu.

Zapytałem się kapelana, który nas przyjął, co może przywiązywać tych ludzi do tak przykrego sposobu życia. »Pokój duszy» odpowiedział kapelan: ta prosta i trafna odpowiedź łzy wycisnęła mi z oczu. Takie przykłady jakie napotykamy u pustelników Korduby, większy wpływ mają na serce niżeli najwymowniejsze nauki. Pokuta z taką odwagą wypełniana, jest świetnym tryumfem ducha nad ciałem i dowodzi, że cnota może przezwyciężyć naturę.

Każdy pustelnik ma domek otoczony ogródkiem i oddzielony murem od mieszkań innych pustelników. Uprawą ogródka sam się trudni. Nie wychodzi z tego szczupłego obrębu, tylko raz na dzień o godzinie szóstey rano na mszę. Resztę czasu przepędza w celi, na modlitwie lub pracy.

Każdy przyrządza sobie śniadanie składające się z warzywa ugotowanego na wodzie. Obiad przynoszą im ludzie zgodzeni do tego, aby im usługiwali. Weszliśmy do kościoła, potém otworzono nam kilka domków, ujrzałem tam cztery postaci, których nigdy nie zapomnę. Jedna z nich wzbudziła mój podziw i uwielbienie: długa biała broda, usta pełne łagodności, żywe jeszcze oczy: był to przełożony.

Ten pustelnik urodził się w Mexyku. Za młodu był znakomitym kupcem, rewolucya wypędziła go z Ameryki, przybył do Hiszpanii, został pustelnikiem i od lat dziesięciu żyje w téj puszczy.

Gdym zwiedzał to miejsce, znajdowało się tam dwudziestu dwóch pustelników i kilkunastu kandydatów. Zakład ten nie jest bogatym, posiada nieco gruntów, a dwaj pustelnicy udają się dwa razy w miesiąc na kwestę do Korduby. Chorych odsyłają do szpitala miejskiego. To ustronie, tak odmienne od innych klasztorów, zasługuje na dokładną uwagę. Rozpoznanie reguły tych pokutników i stanu ich duszy, nową światłość rzuca na próżność świata. Ludzie zamieszkujący w téj pustelni, po większéj części zajmowali wprzódy znakomity stopień w społeczeństwie. Przed kilkunastą laty, szambelan królowéj hiszpańskiéj przejeżdżając przez Kordubę, zwiedził tę pustelnią powodowany ciekawością i pozostał w niéj przez lat kilka; dla tego tylko musiał ją opuścić, że ostre górzyste powietrze, zaszkodziło jego zdrowiu. Takie przykłady nie są rzadkie.

Ci biedni pustelnicy nie są jeszcze dostatecznie oddzieleni od ludzi; zazdroszczą im spoczynku, okupionego tak drogo, a nadużycia światowe dają się czuć nawet w świątyni pokuty. Rozbójnicy przypominają im niedogodności stanu społecznego. Przed trzema miesiącami zrabowali kościół i główny klasztór. To nieszczęście już się nie raz zdarzyło. Czyliż się nam nie zdaje, że to jest opis jakiego klasztoru w Abissynii, wystawionego na napady koczujących pokoleń?

Droga z Korduby do pustelni, idzie przez bogate i malownicze okolice.

PRZEJAŻDZKA DO WILANOWA.

Fantazya.

—»Otóż cię przekonam, że ja domem rządzę: rzekł pewnego razu pan Antoni: nie dla pokazania mocy uporu i zawziętości, bo wiesz Auguście, żem z natury łagodny, ale z pewnych innych pobudek i zobaczysz że co chcę, to się stanie. Wierzaj mi, najlepsza i najrozsądniejsza z kobiet, ma każda swoje wyskoki i prawie zawsze błąkać się musi pomiędzy urojeniami, uprzedzeniami i dziwactwy, jeżli do uległości i poufnego posłuszeństwa mężowi, z samego początku jak pójdzie za mąż, nie jest przyzwyczajaną.

—»Alboż to tak łatwo panie Antoni?

—»Trzeba tylko rozsądnie postępować. J tak: jeżli woli żony sprzeciwisz się, albo przystaniesz, byle tylko ze sprawiedliwych zasad, przekonasz ją natychmiast o gruntownem działaniu, odtąd ślepo ci zawierzy i postępować będzie za tobą jak za wyrocznią nieomylną.

Zastanowiła mnie ta uwaga, bo mówiąc szczerze, męztwo i panowanie domowe pana Antoniego, u sąsiadów nie w najlepszém były mniemaniu; każdy bowiem utrzymywał, że jego żoneczka zawsze go w pętach wodziła, jakkolwiek to były pęta z jedwabnych nici.

Byłoby to grzechem, zbrodnią nawet, pomyślałem, gdybym tak szczęśliwe mniemanie, o mocy panowania śmiał zburzyć, lecz pomimowolnie wyrwało mi się z ust, że każda prawie kobieta, rodzi się z dowcipem ministrów.

—»Ej bajki, bajki! odpowiedział Antoni. Tak, gdybyśmy ich wszystkich obrotów nie umieli przeniknąć. A ktokolwiek z ich wykrętami, z ich przebiegłością obznajmiony, ten wie gdzie, i jak działać, i wie z którego punktu rozpocząć walkę.

—»Lecz kochany panie Antoni, znajdu-

ją się tysiączne zwroty, których nie podobna przewidzieć.

W kilka dni po naszéj rozmowie, przybyłem do mieszkania mego przyjaciela, zastałem żonę samą w domu; kobieta uprzejma, ładna, przytém mówiąca i działaiąca z taką naturalnością, że gdyby to postępowanie było fałszywem, sądziłbym iż zwodzenie drugą naturą kobiet bydź musi.

—»Ach! jakie ładne powietrze, przecież doczekaliśmy się pogody, rzekła: wartoby przejechać się do Wilanowa. Zapewne Pan nie odmówiłbyś nam towarzystwa?

—»Jeżeli jutro, najchętniéj.

—»Jutro? Dobrze. Prawda, im wcześniéj tém lepiéj, powietrze może się zmienić.

—« Ale co Pan Antoni na to powie?—»Mój mąż ha! ha! ha! przecię wiadomo Panu, że niewinnych rozrywek nigdy mi niewzbrania. Tylko się Pan wybierz, a jutro o szóstéj z rana, niezawodnie wyjedziemy.

W tém wszedł służący z jakimś interesem; wyszła z nim do przedpokoju, a ja udałem się do pobocznéj biblioteki mego przyjaciela. W kilka minut, wszedł pan Antoni rozmawiając dość żywo z żoną, a ponieważ usłyszałem wyraz Wilanow, z ciekawością przyłożyłem ucho do klamki, iak też Jejmość Dobrodzijka ułoży stan sprawy, i usłyszałem co następuie:

—»Słusznie mówisz, kochany mężu, nader kosztowne nudy. Pędzić po suchym szossé, wśród kurzawy, pić i jeść niesmaczne potrawy, unużyć się, upiec na skwarze słonecznym i nakoniec nic więcéj nie zobaczyć prócz drzew, których i w Saskim ogrodzie nie brakuje. Augustowi tak się zachciało tego spaceru.

—»Z chęcią, w czem mogę zadosyć czynię żądaniom przyjaciół, kochana żono, ale niechajże nie żądają, abym się dla nich koniecznie nudził. Pomimo tego, nie mógłbym jutro jechać, mam bardzo wiele ważnych zatrudnień, ledwie za dni kilka wygrzebię się z papierów, a mówiąc szczerze, nie lubię ubiegać się za roskoszą, którą wtenczas dopiero poznajemy gdy przejdzie, i skutkiem któréj odzywamy się nareście »Chwała Bogu, przecie już jesteśmy w domu« Zatem niepojedziemy jutro.

—»Oczywiście! Niech sobie August szuka innego towarzystwa. Powietrze ładne, suche, użyję go na to do czego od tak dawna wzdycham. Twój pokój i Bibliotekę choćiaż raz jak się należy każę wymyć, wyczyścić, książki obkurzyć i wszystko do porządku przyprowadzić. Słońce grzeje, prędko wyschnie, a tak pozbędziesz się nieznośnéj nieczystości.

—»Zosiu! na miłość Boską wstrzymaj się! nie chcę tego! Wiesz dobrze ile przykrości sprawują mi wasze huki, puki; zostaw to na późniéj, jutro muszę dokończyć zaczęte dzieło.

—»Czyliż nie możesz przez kilkanaście godzin zabawić w salonie? Ile razy ktoś z obcych przychodzi, wstydzić się muszę. Bo nieporządek przypisują tylko gospodyni. Przecię choć raz we dwa lata uprzątnąć należy.

—»Dobrze, dobrze, ale róbcie to wtenczas, kiedy mnie w domu nie będzie.

—»Wieleż to miesięcy zawsze mnie tylko zbywasz? Nie gniewaj się Antolku, ale ten nieład wstydzić nas powinien: czyliż to zdrowo i przyiemnie przesiadywać w takich brudach? Czyliż to grzecznie nikogo tam nie wpuścić? J ty z większą przyjemnością zajmiesz się pracą w czystéj stancyi, przewiewanéj miłym wiosennym wietrzykiem.

Zamyślił się przez chwilę Antoni, i nareszcie rzekł: »Wiesz co, August tak jest dla nas uprzejmy, zróbmy i jemu grzeczność. A więc jedźmy do Wilanowa a wtenczas możesz kazać wszystko uprzątnąć.

—»Bardzo dobrze kochany mężu. Ty z nim pojedziesz, i użyjecie świeżego powietrza, a ja tymczasem wszystkiém się zajmę jak należy.

—»Nie żoneczko, na to się nie zgodzę! Brakowałoby mi tysiącznych przyjemności. Bez ciebie ani na krok nie wyjadę.

—»Czyliż niepotrzeba pilnować, aby papierów nie pomieszano, książki tak ustawiono jak były? Ja więc ciebie zastąpię.

—»Nie żoneczko, nie, Oleś twój brat cię wyręczy, a ty jeźli mnie kochasz, i ieźli łaska poiedziesz znami.

—»Ależ kochany mężu.

—»Krótko węzłowato! przyjemność za przyjemność; bo jeżeli ja pozwalam przewrócić mój pokój do góry nogami, dla twego upodobania, i ty powinnaś jechać do Wilanowa.

—»Tylko się nie unoś Antolku! samo życzenie twoje jest dla mnie rozkazem. Natychmiast poślę po remizę. Usciskali się się, a ja wysunąłem się tylnemi schodami.

Przychodzę; kocz przed domem. Znajduję Jejmość już ubraną, witającą mnie temi słowy. »Widzisz Pan, że mój stary nigdy mi się nie sprzeciwia.

Jedziem więc do Wilanowa. Gdyśmy siadali do powozu, biedny Antoni ścisnął mnie przyjacielsko za rękę, mówiąc:—»Mnie to powinienes podziękować że w takim towarzystwie jedziesz; żadnym sposobem żona moja nie chciała dziś jechać, ale ty wiesz że umie bydź posłuszną.

Jleż to, pomyślałem sobie, znajduie się przebiegłych kobiet, które nie jednego, nie głęboko uczonego, ale prostodusznego

męża, dalej jeszcze niż do Wilanowa manowcami wyprowadzają?

An. B. Rado:

OSOBLIWSZY ZASTAW.

Czyny pojedyncze, nie raz lepiej znamionują epokę, niżeli szczegółowa i obszerna historya. Co powiedziano i napisano o honorze kastylskim, co teraz wydaje się f.r-szem i przesadą, to wszystko usprawiedliwi i podobném do prawdy czyni zdarzenie przypisywane wielu osobom, ale którego rzeczywistym bohatyrem jest Jan z Kastro, czwarty wice król Indyów portugalskich.

Jan z Kastro wychowany był razem z bratem króla Portugalii Jana III. Zaledwie wyszedłszy z dzieciństwa, udał się z Karolem V. na wyprawę przeciw bejowi Tunetańskiemu i mężnie się sprawił; lecz gdy cesarz chciał mu wynagrodzić jego rycerskie czyny, odpowiedział, że nie będąc poddanym cesarza, łask tych przyjmować nie może.

Wynagradzając jego wierność, król Portugalii posłał mu tysiąc dukatów i tytuł dowódzcy Ormus. Kastro nie przyjął tytułu, lecz tylko summę, dając za przyczynę, że ubóstwo zniewala go do przyjęcia pieniędzy, lecz że jeszcze nie zasłużył na zaszczyty. Odpłynął więc jako dowódzca okrętu, a powróciwszy do Portugalii, pracowicie zajął się naukami i został gubernatorem Indyów w roku 1545. Tam postępował sobie z wielką odwagą i roztropnością; wypędził Maurów z całego nadbrzeża Kambaye. Trzeba było naprawić warownię miasta Siu i wówczas następujący list napisał do mieszkańców Goa.

»Panowie, magistracie, sędziowie, i wy mieszkańcy szlachetnego i królewskiego miasta Goa! Pisałem do was w tych dniach, przez Szymona Alwareza, donosząc o zwycięztwie, które z woli pana odnieśliśmy nad wojskami króla Kambaye. Zamilczałem o moich troskach i wielkich potrzebach, ażebyście mogli cieszyć się swobodnie wiadomością o zwycięztwie. Teraz powinienem wszystko odkryć przed wami. Warownia jest zburzona z gruntu i trzeba ją odbudować. Oprócz tego, żołnierze dopominają się o pieniądze. Proszę więc ażebyście mi pożyczyli dwadzieścia tysięcy pardaos. Przyrzekam słowem rycerskiém i na Święte Ewangielie, że te pieniądze oddam przed końcem roku, chociażby nawet spotkały mię nowe troski i jeszcze większe potrzeby niż są te, w których teraz zostaję. Kazałem wykopać zwłoki Don Fernanda mego syna, którego Maurowie zabili w téj fortecy, walczącego za sprawę Boga i naszego króla. Chciałem posłać wam jego kości w zastaw, ale są w takim stanie, że jeszcze nie można było wydobyć ich z ziemi. Pozostały mi więc tylko moje wąsy i posyłam je wam przez Dyega Rodryga de Azevedo. Musicie wiedzieć, że nie mam ani złota ani srebra, ani kosztownych sprzętów, nie posiadam gruntów, na którychbym zabezpieczył moją pożyczkę, mam tylko szczerość i rzetelność, którą dostałem od Boga. Proszę go, aby was miał w swojéj świętéj opiece.

Czyliż znajdziemy szczytniejszy przykład w starożytnych wiekach?

NOWE DZIEŁA.

O potrzebie i możności zaprowadzenia w naszym kraju Jedwabnictwa, z najnowszych zagranicznych dzieł, przez Jana Nep. Kurowskiego, Warszawa 1836 *roku.*

W dziele tém, dowodzi pan Kurowski, że klima nasze nie jest przeciwne hodowaniu jedwabników, i że ten nowy rodzaj przemysłu, mógłby wielkie przynieść korzyści. W przedmowie oddaje sprawiedliwość usiłowaniom pana Birner.

»Tak jest, pierwszy pan Birner powziął pomysł zaprowadzenia u nas jedwabnictwa. On to w części już rozpędził pomrokę, piękną tę niwę okrywającą; on to, że tak powiem, wydarł zapomnieniu poczynione u nas dawniej w téj ważnéj gałęzi przemysłu rolniczego doświadczenia; on nakoniec wyhodowawszy, mimo wielu przeszkód, nie z rzeczy saméj, ale z potocznych okoliczności pochodzących, krocie prządek jedwabiu, przekonał najuprzedzeńszych: iż i my jedwabnictwo posiadać możemy. — Przyjdzie czas, gdy wdzięczna potomność potrafi ocenić jego zachody i słusznie go umieści w rzędzie osób, prawdziwie krajowi zasłużonych.»

Mówi potém o hodowaniu jedwabników w różnych krajach północnéj Europy, w Szwecyi, w Rossyi, w Prusach.

O jedwabnictwie w kraju naszym tak się wyraża:

»U nas jedwabnictwo około roku 1770 zaprowadzone zostało.

»Wiele osób, a mianowicie dam, skwapliwie się niém zajęło. Lubo w ogólności więcéj dla zabawki, a może i dla doświadczenia, aniżeli w duchu spekulacyj-

nym, to przecież w niektórych gospodarstwach doszło do tego stopnia, iż utworzony jedwab wydostarczał na potrzeby domowe.

Później hodowanie jedwabnic poczęło się coraz bardziej upowszechniać; ale wybuchłe w kraju niespokojności i zmiany stłumiły je w samym zarodzie.

Jednakże i ztąd nie mała już dla kraju wyniknęła korzyść. Otrzymany bowiem skutek dowiódł, że i u nas jedwabnictwo istnieć może. Nadto, zasadzone wówczas morwy, potrwawszy dotąd: najmocniej zbijają twierdzenie utrzymujących, jakoby drzewo to naszego znieść nie mogło klimatu.

Okoliczność ta największéj jest wagi; bo skoro posiadać możemy liście morwy, już przez to posiadamy najpierwszy i najgłówniejszy warunek hodowania jedwabnic: gdzie jest morwa, tam i jedwabnictwo bydź może.

Tak jest, upadło zaprowadzone u nas jedwabnictwo, ale nie z powodu przeszkód fizycznych, ale raczéj z przyczyn, onym zupełnie obcych.

Odtąd ta piękna i żyzna niwa odłogiem u nas leżała; a poczynione w niéj dawniéj tak ważne doświadczenia całkiem może dla potomności byłyby zaginęły, gdyby ich P. Birner nie był wydarł zapomnieniu i nie wsparł nowemi.

Wspomniałem, że tenże pan Birner, chcąc przekonać rodaków o możności istnienia u nas jedwabnictwa, wyhodował w ogrodzie Botanicznym w Warszawie kilkadziesiąt tysięcy prządek jedwabiu.

Dnia 26 Maja, wystawił P. B. jajka jedwabnic do wylęgnienia, w jednéj z oranżeryi w ogrodzie Botanicznym w Warszawie. Miejsce to przez cały czas hodowania tych owadów nie było opalane: okoliczność ta wielkiéj wagi, i dla tego ją przytaczam.

W końcu Maja jedwabnice poczęły się wylęgać.

W końcu miesiąca Czerwca już się zaczęły oprzędzać. W 10—12 dni późniéj oprzędy zebrane zostały.

Oprzędy te były wielkie i wydały znacznie więcéj jedwabiu, niżli go wydają w innych krajach.«

Po tych przedwstępnych uwagach, wykłada pan Kurowski sposób hodowania i rozmnażania drzew morwowych. W drugiéj i trzeciéj części dzieła, mówić będzie o sposobie hodowania jedwabnic i o apreturze jedwabiu.

Warszawski Karnawał we czterech waryacyach, przez autora sztuki podobania się mężowi: w drukarni Gałęzowskiego. Cena zł. 3. gr. 10.

Na końcu tego dziełka napisanego wierszem, umieścił autor przekład kilku poezyi autora niemieckiego Eberta; umieszczamy z nich dwa następujące:

DO CZYTELNIKA.

Ledwie pozna motyl nowy,
Że mu skrzydełek przybywa,
Wnet się doświadczyć sił zrywa,
Leci przez wzgórki, dąbrowy.

Zaledwie słowiczek młody
Poczuje w gardziołku tony,
Wnet nuci na wszystkie strony.
Głosi pieśń lubéj swobody.

Ledwie fiołek w ustroni
Doczeka się tchnienia wiosny,
Wnet ożywiony, radosny,
Słodki wkoło zapach roni.

Ledwie serce wieszcza wzruszy
Natchnienia chwila szczęśliwa,
Zaraz go zapał porywa,
Smutek, rozkosz wylać z duszy.

Nie rzeknięcie, że myśl marna
Lot mu daje w rannéj dobie,
Wiele skryć człek może w sobie,
Lecz nie skryje życia ziarna.

Nie skryje wieszcz, co w dzień biały,
Co w noc wstrząsa serca biciem,
Co jest jego karmią, życiem,
I w coby się przelał cały.

Nie kwapcie się więc z naganą,
Na głos młody skłońcie ucha,
Bo sądzicie iskrę ducha
W barwę pieśni przyodzianą.

NADZIEJA POETY.

Dawniéj jedyna była ma uciecha,
Słyszeć śpiew ptasząt gdzieś w gaju kryjomy,
Lub łowić uchem, jak kłótliwe echa
W skałach powtarzały gromy.

Teraz ciekawa, śród lasów milczenia,
Rzesza śpiewaków moich piosnek słucha,
Teraz na grzmiącéj liry mojéj brzmienia
Skały nadstawiają ucha.

A gdy hymn skończę, wraz mieszkańcy leśni
Budzą się z ciszy, brzmią wesołym chórem,
Ptaszki dźwięk moich powtarzają pieśni,
A skał echa służą wtórem.

Teraz wesołą karmię się nadzieją:
Gdy usta zmilkną i piosnka przeminie,
Ptaszki i skały me piosnki umieją,
Tak pamięć moja nie zginie.

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.



GROB DYNASTYI MUZUŁMANÓW W MAISSUR.

W połowie zeszłego wieku, Hyder-Ali wywyższył się na stopień władzcy królestwa Mysory czyli Maissur w Indyach, i tak dalece rozszerzył granice państwa, że stawił opór Anglikom, którzy rozpostarli się po Indyach. Zaczął on budować wspaniały grobowiec dla swojej dynastyi; budowę tę dokończył syn jego Tippo-Saib. Sułtan ten, wierny zasadom polityki ojcowskiej, był także niezbłaganym nieprzyjacielem Anglików. Ale nie posłużyło mu szczęście, poległ w bitwie 4 Maja 1799, a państwo Mysory wcielone zostało do posiadłości angielskich. Zwłoki jego pochowano w tym grobie, który wystawiony w nadziei, tej, że długi szereg monarchów w nim spoczywać będzie, mieści tylko zwłoki dwóch sułtanów. Grób ten jest ciekawym pomnikiem budownictwa wschodniego, odznacza się wspaniałością i ogromem, stoi w roskosznym ogrodzie nie daleko miasta Seringapatam.

WIDZIADŁO.

ZDARZENIE WYPISANE Z NOTATEK DOKTORA.

Już bliskim będąc lat osiemdziesięciu, muszę zaniechać praktycznéj medycyny, a to z powodu coraz większego osłabienia wzroku, tego zmysłu najpotrzebniejszego w powołaniu lekarza. Idąc za przykładem doktora Harrisona, którego rozmaite opowiadania z zajęciem czytała publiczność, sądzę, że każdy człowiek poświęcający się sztuce leczenia, powinien ogłosić sposoby ze zbawiennym skutkiem przez siebie użyte: Było to zwyczajem w starożytnych wiekach, że na kolumnach świątyni Eskulapiusza, zawieszano tablice z opisaniem rodzaju chorób, ich wzmagania się, zmniejszania i sposobie leczenia. Pochwalam ten zwyczaj i z kolei składam ofiarę moją na ołtarzu Boga, który uderza i pociesza; sądzę bowiem, że uczucie religijne powinno wpływać na wykonanie każdego powołania, a tém bardziéj na powołanie lekarza. Może to będzie jedyny ślad mojego pobytu

na tym świecie. Oby młodzi następcy moi, znaleźli w moim opisie użyteczną skazówkę w jakim niebezpiecznym przypadku, a praca ta, ani dla nich, ani dla mnie daremną nie będzie.

Już od lat dwunastu, byłem lekarzem w mieście Nantes, gdy około jedenastéj godziny w nocy, przy końcu Października 1789, mocne zadzwonienie do drzwi domu, dało poznać że jeden z bliźnich moich potrzebuje pomocy. Wierny przyjętym na siebie obowiązkom, przezwyciężając wrodzoną gnuśność ubrałem się czémprędzéj i byłem gotów iśdź z posłańcem. Otwieram drzwi i przy świetle lampy poznaję hrabiego de Renac, mężnego marynarza, wsławionego wielą świetnemi czynami.

—»Doktorze Villatroy, rzekł do mnie, chciałbym z tobą pomowić na osobności, a czas jest bardzo krótki. —»Wejdź panie hrabio» odpowiedziałem, idąc przed nim ze światłem. Gdyśmy weszli do gabinetu, hrabia usiadłszy w krześle, rzekł do mnie.

—»Doktorze! moja żona umiera.

—»Spieszmy ratować ją! zawołałem. Przez drogę opowiesz mi hrabio, co jéj jest. Wsiadajmy do powozu, jedźmy! —»Mylisz się doktorze; wyjeżdżając powozem byłbym zwrócił uwagę mojéj lubéj Koralii i może byłbym ją zbudził z pierwszego snu, jeżeli tylko zasnęła. Ukradkiem wyszedłem z domu i nie wiem czyli nawet dziesięć minut szedłem do ciebie doktorze. Niebezpieczeństwo jest wielkie. Biedna Koralio! czyliż będziesz musiała umrzeć, tak młoda, w wiośnie twojego życia?

»Spieszmy więc!« powtórzyłem. Kapitan odpowiedział mi spokojniéj niżelim się mógł spodziewać: wiedziałem bowiem, że jak najmocniéj kocha swoją żonę, ładną Kreolkę z Jle de France, zepsute dziecię świata i natury, pełną uroku, któréj podobał się na szczęście swoje i która z prześliczną kibicią, przyniosła mu w posagu najbogatszą osadę na wyspie. Przyszedłem skrycie zasięgnąć twojéj rady, względem jéj stanu, rzekł do mnie.

—»Powiedz więc panie hrabio.

—»Dobrze mówisz; tę tylko jednę porę mam wolną; gdyż moja Koralia żąda, abym jéj ani na chwilę nie odstąpił i za nic w świecie, nie przyjęłaby twoich odwiedzin jako lekarza. Przekonana jest, że jéj nic pomódz nie zdołasz. »Są to rany, rzekła do mnie, których sztuka nigdy nie uleczy.

—»A przecież musi mnie przyjąć kapitanie. Rany! o nie jedną już leczyłem pomyślnie. Zobaczymy, jeźli nie będę również szczęśliwy i z tą raną. O cóż idzie? Wielu miesięcy, wielu dni zasięga ta choroba? Gdzież jest jéj siedlisko?

—»Sam nie wiem. To tylko mi wiadomo, że od trzech tygodni nie jé i nie sypia, zaledwie można wymódz na niéj, aby do ust swoich poniosła lekkie pożywienie; natychmiast je odrzuca. Straciła powiększéj części, świeżą rumianą cerę, żywość wzroku. Daremne były wszystkie usiłowania moje, nic ją nie zdoła pocieszyć, ani rozerwać.

—»To wszystko nie objaśnia mię wcale, kapitanie. Jakaż jest przyczyna jéj cierpienia? Jeżeli jéj nie wiesz kapitanie, to przynajmniéj powinienbyś się domyślać.

—»Otóż właśnie dla tego przyszedłem do ciebie, doktorze! To tylko mogę ci powiedzieć, że dwa lub trzy razy na dzień, a nawet i w nocy, wstaje i idzie do pokoiku naszéj maleńkiéj Ludwisi, ściska ją, całuje, płacze nad nią i wymawia po cichu ucinane słowa, których dobrze dosłyszeć nie możemy, a które podobne są do smutnych i bolesnych pożegnań matki... Oprócz tego doktorze, zaręczam honorem, że nie dałem jéj żadnego powodu zmartwienia.

—»O Boże! wiem o tém aż nazbyt, odpowiedziałem, nie raz przestrzegałem cię panie hrabio, że wszystkie twoje grzeczności, ceremonie i wynurzenia miłosne, zepsują nareście tę zajmującą istotę. Sprawdziło się moje przepowiedzenie. Gdyś pan zaczął mówić o hrabinie de Renac, myślałem, że mi powierzysz tajemnicę, która naprowadzi mię na przyczynę jéj słabości, a zamiast tego wyprawiasz mię, że użyję twoich wyrażeń, na odkrycie ziem australnych bez mappy, bez bussoli, bez kompasu. I cóż mam robić na tém nieznajomém morzu? Lepiéj byłoby na łodzi rybackiéj popłynąć do Kochinchiny.

Hrabia de Renac, oparłszy brodę na gałce złotéj, milczał. Bolesnego doznałem wrażenia, patrząc na tego uczciwego człowieka, oddającego się tém cięższéj boleści, że ją tłumił w sobie, a przynajmniéj tak wniosłem z rozpaczy malującéj się na jego fizyonomii. Ponieważ było już późno, wstałem z krzesła, a ścisnąwszy kapitana za rękę, rzekłem te kilka wyrazów, zaspokajającym tonem:

— Dziś rano (już było po dwunastéj) będę u pana między dziesiątą a jedenastą; czy będzie chciała czyli nie, zobaczę twoją młodą hrabinę i byłbym bardzo niezręczny, gdybym nie wybadał jéj tajemnicy. Lekarz mający piętnastoletnią praktykę, lepiéj zdoła zgłębić serce kobiety, niźli kapitan okrętowy, który przez całe życie zgłębiał tylko morza północne, i południowe. Z resztą jest to niekiedy

wina mężów; przebacz mi panie hrabio, jeżli mam jakie podejrzenie w tym względzie.

—»Ale przedewszystkiém, nie mów jéj doktorze, żem cię wezwał. —»Tak to zdradzasz sam siebie! Bądź spokojnym, nie zaszkodzę ci przy twojéj ukochanej żonie. Potrzebuję przekonać ją, że działam z własnéj woli.

Po odejściu hrabiego, długo rozmyślałem co może bydź powodem smutku i słabości hrabiny. Czyliż namiętność sprzeczna z obowiązkiem cnotliwéj żony? Nic nie usprawiedliwiało tego mniemania. Hrabia de Renac był człowiekiem razem delikatnym i poważnym. Na pokładzie fregaty, nikt nie zdołał z większą mocą wydawać rozkazów; w salonie, a nawet w swojéj kajucie, innym zupełnie był człowiekiem. Żaden gwałtowny albo obelżywy wyraz nie wyszedł z ust jego, nawet na sługę, który się dopuścił winy. Niezadowolenie jego oznajmiało się tylko spojrzeniem, albo też dumnym i pogardliwym tonem. Wesołość jego nigdy nie była głośna, wątpię nawet, czyli się aż do uśmiechu posuwała. Ten człowiek posiadał jednakże to wszystko, czego potrzeba do podobania się kobietom, umiejącym czuć wartość swoją. Nie wiem do jakiego stopnia je kochał, ale to jest prawdą, że każda kobieta, po kwadransie rozmowy w towarzystwie z panem de Renac, musiała cenić się wyżéj: gdyż obchodził się z nią z uszanowaniem, aż do czci posuwającém się, a które aż do całéj płci niewieściéj rozciągał.

Takie to względy i delikatność, aż do najwyższego stopnia posunioną, okazywał żonie.

Młoda hrabina miała sen lekki; aby jéj nie przebudzić, kapitan wstając wcześniéj a późniéj idąc spać niżeli ona, kazał wysłać grubą pilśnią podłogę i nogi od krzeseł i stolików, aby żaden łoskot nie przerwał jéj spoczynku.

Czyliż więc można dziwić się, że piękna Koralia była zepsutem dziecięciem? Zaspokojony tą uwagą i spodziewając się że znajdę środki leczenia, zasnąłem. Nazajutrz rano, udałem się do hrabiego, a korzystając z przywileju doktora, wszedłem bez oznajmienia, do pokoju hrabiny. Zaledwiem poznał tę młodą kobietę, tak się zmieniły jéj rysy. Spoczywała na sofie, ubrana wytwornie i z gustem; widać było że przez to chciała ukryć stan swój i cierpienie. Uderzyła mię zmiana która w niéj zaszła, w tak krótkim przeciągu czasu; podobna była do zagranicznéj rośliny, obumierającéj na obcym i niestosownym dla niéj klimacie. Zląkłem się, czyli ten kwiat jeszcze w poranku życia, nie jest skazany na zgubę. Udając zaufanie, które z trudnością okazałby młodszy odemnie lekarz, przysunąłem krzesło do sofy, usiadłem, nie mówiąc ani słowa i przyłożyłem palec do ręki hrabiny. Gdym z uwagą badał bicie jéj pulsu, podniosła oczy i niespokojnie wpatrując się we mnie rzekła: »Doktorze, któż cię tu zawezwał? czy mąż mój?«

—»Alboż mi nie wolno odwiedzieć moich przyjaciół, odpowiedziałem, w ówczas kiedy nie potrzeba przepisywać im lekarstw? Moje doktorskie życie byłoby niezmiernie smutne, gdyby wszelkie współczucie, miało bydź mu obcém. Po sześciu tygodniach niebytności, przechodziłem przez tę część miasta i podobało mi się, wybacz pani, dowiedzieć się osobiście o jéj zdrowiu. Ta wizyta nie wnijdzie do rachunku; chociaż mógłbym ją jak najsumienniéj policzyć.

—»Dla czegoż? Widzisz doktorze, iż jestem zdrowa.

—»Tak jest, ubranie pani okazywałoby zdrowie, lecz to nie zwiedzie ani mnie, ani ciebie pani.

—»Nic mię nie boli doktorze. —»Gdybym nie był pewny, że pani chcesz tylko doświadczyć mojéj umiejętności, odpowiedziałbym: tém gorzéj. Ale mię nie zwiedziesz. Twoje pani spojrzenie, ten puls słaby i nierówny, to nagłe spadnięcie z ciała, czyliż nie wskazuje choroby? Założę się, że od trzech tygodni a może i więcéj nie spałaś i nie jadłaś. —»Trzy tygodnie! nie doktorze, dopiero od dwóch. —»A więc przekonałem panią, że jesteś chorą! zawołałem z żywością. —»Ależ można postradać sen i apetyt, a mimo tego, nie bydź chorą?» To mówiąc, ciężko westchnęła i dwie łzy spłynęły z wolna po licach ładnej kreolki.

Jużem był bliski odgadnienia tajemnicy Koralii. Nie wątpiłem, że ją udręcza słabość moralna; szło tylko o dowiedzenie się co u niéj cierpi, serce czyli też wyobraźnia. Działałem więc i na jedno i na drugie.

—»Odpowiedź pani zasmuca mię, rzekłem, bardzo zasmuca, lecz nie odejmuje mi nadziei, że zdołam przynieść ulgę twoim cierpieniom. Nie mam takiego zaufania w mojéj znajomości sztuki lekarskiéj, ażebym od razu wynalazł nieomylny środek na słabość pani, lecz winszuję sobie, że nie słabość fizyczną, ale cierpienie moralne usunąć należy. Nie jako lekarz, ale jako przyjaciel, mówię do pani. Opowiedz mi twoje zmartwienie, może będę tak szczęśliwym, iż zdołam przynieść mu ulgę. Wierz mi pani, że nie wszystkie lekarstwa czerpać można z apteki, są także le-

karstwa, których sercu potrzeba, a które serce umie znaleźć; moje nie odrętwiało jeszcze na widok cierpień ludzkich. Jeżeli zdołam przynieść ulgę pani, mniejsza o to czyli dokażę tego słowami pociechy, czyli kroplami Sydenhama; główną jest rzeczą ażebym ci przywrócił sen i apetyt, któren postradałaś, jak to sama przyznajesz. Bez apetytu, życie nie może się przeciągnąć; a pod czas snu, mowi Cervantes, wypoczywa jak podróżny, w płaszczu w któren się obwinie.

—»Nie przywrócisz mi go doktorze! Musi spełnić się moje przeznaczenie. —»Twoje przeznaczenie, pani hrabino? dziwisz mię nadzwyczajnie, czyliż dotąd twoje przeznaczenie nie snuło nici tkanych jedwabiem i złotem? Czule ukochana od męża, otoczona powszechnym szacunkiem, mając tak piękną córeczkę, która tem będzie kiedyś czym pani teraz...

Na te słowa, przerwała mi z pośpiechem: —»A gdybym musiała napełnić boleścią serce tego zacnego człowieka, gdybym jeszcze w kolebce musiała opuścić biedną maleńką Ludwisię?.. Ach! mój Boże! jak okrutny wyrok! Czyliż nazbyt wiele odemnie nie wymaga?

Zwiodły mię te słowa, lecz nie żałuję tego, ponieważ mój błąd doprowadził mię do odkrycia prawdy. Rozpacz téj kobiety wzruszyła mię aż do głębi duszy; postrzegłem w niéj głos cnoty, a przynajmniéj zgryzot.

—»Nie trzeba porzucać ani męża ani córki! zawołałem z najmocniejszem uczuciem: Niebo jest sprawiedliwe i tych tylko ofiar wymaga, do jakich bez zapłonienia przyznać się może cnota. Wierzaj mi pani hrabino, lat piętnaście zawodu lekarskiego, pod którego rękojmią powierzono mi wiele tajemnic, upoważnia mię do udzielenia ci rady mojéj; nie daj się uwodzić złudzeniom niebezpiecznym, zgubnym. Nie wierz kłamliwym słowom, zaklinam cię przez wzgląd na twoją spokojność, na twoje szczęście obecne i przyszłe.

—»Ogłoszono mi mój wyrok doktorze; jest on tu napisany, rzekła, wskazując na czoło, daremnie walczyłam, muszę uledz.

Na te słowa odpowiedziałem z bolesnem wyrażeniem, ściskając silnie rękę młodéj kreolki.

»Wyrok! a czyjeż usta miałyby prawo wydać ten wyrok? Panią będąc twoich czynów, od kogóż odbierałabyś rozkazy? Któżby śmiał narzucać ci wolę swoją? Któżby na nieszczęście tyle władzy pozyskał nad tobą? Nie, nie kochana Koralio; przebacz mi to wyrażenie ojcowskiéj prawie czułości; nie poświecisz rzeczy pewnych dla niepewnych; młoda, posiadająca tysiące powabów, musiałaś bydź wystawiona na uwodzenie pokryte barwą uczucia; aby cię łatwiéj poniżyć, pochlebiano twojéj miłości własnéj i podobnież jak tyle innych, uwieńczono cię kwiatami wprzódy, nim padniesz ofiarą.... Opieraj się pani hrabino! opieraj się! błagam cię, a to w imie twojego męża, dziecięcia i ciebie samej!

Gdym się rozwodził z tém wymownem napomnieniem, niecierpliwość i podziwienie malowało się na twarzy hrabiny. Rzekła nareście:

»Doktorze! nie rozumiemy się; twoja pomyłka wskazuje mi, iż nic nie powinnam ukrywać przed tobą. Dowiesz się o wszystkiém, ale przysiąż wprzody, że nikt w świecie nawet i mąż mój, nie będzie wiedział o téj smutnéj tajemnicy. Dobry, zacny Renac! byłby przejęty boleścią; dosyć będzie gdy się dowie jakie były moje cierpienia, gdy już mię cios uderzy. Chociaż przez miłość dla swojéj córki, zdoła przeżyć śmierć moją. Żądam tego, rozkazuję wyraźnie w liście, który mu oddasz gdy już umrę.

Przyjąłem ten list, zapieczętowany czarnym lakiem, a hrabina tak daléj mówiła:

—»Dla tego jedynie aby się nie tyle obawiał, ubieram się i dbam o szczątki téj piękności, którą tak uwielbiał.

Przyrzekłem wszystko czego tylko żądała odemnie. Rozkazano nikogo nie wpuszczać, a po tych przygotowaniach, opowiedziała mi co następuje:

»Będzie temu dni dwanaście, tak jest dni dwanaście bardzo długich i bolesnych, gdy obudziwszy się wcześniéj jak zwykle, zadzwoniłam na garderobianę, kazałam otworzyć okna, odsłonić firanki, zapalić ogień i leżąc w łóżku czytałam daléj, tkliwą historyą Pawła i Wirginii.

»Swieży i wdzięczny obraz obyczajów wyspy, na któréj upłynęła młodość moja, te miejsca tak trafnie opisane, ich nazwiska obecne mojéj pamięci, te obrazy niewinnego i patryarchalnego życia, chociaż nieco upiększone, rozrzewniły mnie wczorajszego wieczora; marzyłam o nich aż do rana. Tę miłą i niewinną Wirginią, któréj serce mimo jéi wiedzy oddawało się cnotliwéj miłości, uważałam za siostrę moją. Jak ona,.i z nią razem, kochałam Pawła, był on moim bratem. Pragnęłam ich połączenia, rachowałam na nie, i moje złudzenie było tak wielkie, że nim zamknęłam xiążkę i zgasiłam świecę, wyobrażałam sobie że ich znałam, że ich spotkałam w kościele Pample-Mussy, żem nawet mówiła z niemi. I pośród tego zajęcia ukochanemi istotami, sen słodki zamknął moje powieki.

»Jakże srodze zawiodłam się nazajutrz,

czytając dalej, gdy po odjeździe Wirginii z Francyi, po upragnionym jéj powrocie do rodzinnej wyspy, doszłam pośród oznak zapowiadających burzę, aż do rozbicia okrętu, a potém aż do śmierci Wirginii i Pawła, do śmierci dwóch matek i murzyna Dominga. Łzy płynęły mi obficie. Płakałam wszystkich, nawet psa *Fidela*.

»Przejęta smutkiem, położyłam xiążkę na stoliku, gdy w tém nagle otworzyły się drzwi od sypialnego pokoju (zważaj doktorze, że już była dziesiąta godzina rano) i ujrzałam stojącego przedemną rzemieślnika, którego twarz nie zupełnie była mi obcą, chociaż trudno mi przypomnieć sobie gdziem go wprzódy widziała. Z ubioru poznać było można jakiego jest rzemiosła. Miał na sobie ciemny kaftan z rękawami, długi fartuch skórzany, od szyi aż do nóg spadający i zawiązany na plecach; na jedném ramieniu zawiesił piłę, na drugim siekierę, a worek z szarego płótna, przez który przechodziły końce długich gwoździ, wisiał u jego pasa.

»Ten stolarz, czyli też cieśla, stojąc nie poruszony, wlepiał we mnie złowrogie spojrzenia, i ja z tajemnym przestrachem patrzałam na niego.

—»Czego chcesz odemnie? rzekłam zmienionym głosem. Natychmiast zbliżył się o kilka kroków i mierząc moje łóżko długą miarą hebanową, na której się opierał, rzekł:

—»Przychodzę wziąźć miarę pani. Bądź gotowa, podobnież jak ja, na dzień 4ty Listopada teraźniejszego roku.

»Słyszałeś doktorze, czwartego Listopada, o samej północy, po dniu zadusznym. Iest to jak najokropniejsze zapowiedzenie, a do nieszczęsnego kresu pozostaje tylko pięć dni i kilka godzin. Nie jestże to przestrogą Bożą? Czyliż niebo nie oznajmiło woli swojéj, przez usta tego człowieka albo raczéj widziadła; gdyż nikt w całym domu nie widział go, nikt nie przystąpił do drzwi mego pokoju.

—»I nikt też pani hrabino, nie mógł widzieć tego, coś sama widziała tylko w sennem złudzeniu: odpowiedziałem. A zacierając ręce na znak radości, której zbawiennego skutku spodziewać się mogłem, przydałem z żartobliwą nadętością:

Otóż to jest owa okropna tajemnica, pani hrabino! wszystko to bardzo łatwo wytłomaczyć można. Część nocy przepędziłaś na czytaniu, mało co spałaś, a rozdrażniona wyobraźnia twoja, sama utworzyła to widziadło.

Nie będę powtarzał rozumowań, któremi usiłowałem wywieśdź ją z błędu. Wyobrażenie bliskiéj i zapowiedzianéj śmierci, tak dalece wpoiło się w umysł Koralii, iż niczém przekonać jéj nie mogłem. Pokazanie się stolarza uważała za oznajmienie woli nieba i pewna była, że 4go Listopada o północy umrzéć musi.

(Dokończenie nastąpi.)

OBRZĘD WESELNY W BRETANII W DAWNIEJSZYCH WIEKACH.

Każden naród, każda prowincya, ma swoje oddzielne zwyczaje przy obrzędach wesela, pogrzebach, przy biesiadach i tym podobnych uroczystościach. Ich opis i porównanie, wiele rzuca światła na obyczaje i historyą ludu. Bretania, prowincya Francyi, najwięcéj i najdłużéj dochowała zwyczajów i podań starożytnych Celtów, od których pochodzą jéj teraźniejsi mieszkańcy. Umieściwszy w Muzeum Domowém opisy obrzędów weselnych u wielu sławiańskich ludów, mniemamy że podobny opis obrzędów u ludu celtyckiego, obojętnym nie będzie dla czytelników naszych.

Młoda dziewczyna w Bretanii, wezwana za druchnę, która szpilką koronę panny młodéj, w téj nadziei że to dla niéj saméj przyśpieszy dzień wesela. Niepostrzeżona od nikogo, rzucała szpilkę do zdroju, a jeżeli szpilka nie utonęła, było to nie omylną oznaką, że tego roku za mąż pójdzie. Tą nadzieją pocieszona, wyciągała przede drzwiami pierwszą nitkę w dniu obranym uprzędzioną, i była pewna, że takie będzie imie jéj męża, jakie jest tego kto pierwszy dotknął się téj nitki. Poprawianie ognia na kominku w obecności zalotnika, było znakiem że odrzuca jego zabiegi. Kochanek siadając przy dziewczynie, zwijał długą wstążkę wiszącą u jéj pasa, dopóki nie dotknął się jéj gorsetu. Niestawianie oporu téj śmiałości wskazywało, iż może prosić rodziców o jéj rękę.

Gdy zalotnik z sześcioma swatami przychodził do domu rodziców dziewczyny, otwierano przed nimi kufry, szafy, drzwi od komor i piwnic, ażeby za jednym rzutem oka ocenić mogli ich majątek. Na zaręczyny, narzeczony podawał swojéj przyszłéj pierścień i parę trzewików. W niedzielę poprzedzającą dzień ślubu, narzeczony prowadził narzeczoną do swoich rodziców i to się nazywało przepędzić *piękną niedzielę*. Bardowie, następcy potężnych niegdyś Druidów, a po zaprowadzeniu chrześciaństwa śpiewacy rodzinni, ważną grali rolę przy weselnym obrzędzie Bretonów. W dzień ślubu, pan młody z drużbami i domowym Bardem przychodził do drzwi narzeczonéj, lecz były zamknięte. Wówczas Bard improwizował pieśni i przemo-

OBRZĘD WESELNY W BRETANII.



wy dopominając się o wydanie panny młodéj. Obrońca, którego sobie umyślnie wybierała, przyprowadzał jednę po drugiéj dziesięć druchn, wychwalając ich powaby i cnoty, lecz Bard wstrząsał głową i ciągle przygrywał na arfie, a wyrażając niecierpliwość i miłość, upominał się o narzeczoną. Wychodziła nareście, a zwykłe milczenie Bretonów, przerywane było tysiącznemi okrzykami.

Urządził się orszak, uzbrojeni drużbowie jechali konno na czele orszaku, za niemi postępowały druchny. Jedna trzymała cierń białą, obwiniętą wstążkami i obciążoną owocami, druga kądziel i wrzeciono. Spiewały kolejno pieśń o cierni i o wrzecionie, jako o godłach trosk i trudów małżeństwa, a którą inne dziewczęta przerywały pocieszającemi zwrotkami. Wszystko co nowożeńcy dostali od rodziców, wieziono na wozie ozdobionym zielonemi gałązkami. Nowożeńcy jechali konno obok siebie. Xiądz przyjmował ich u drzwi kościelnych.

Po odbytym obrzędzie wracali do domu. Drużbowie pędzili na wyścigi. Ci, którzy najpierwéj przyjadą, oderwą czerwone wstążki zawieszone na drzewie wkopaném przede drzwiami, następni odejmą wstążki niebieskie. Wstążki te były przez cały czas weselny zaszczytną ozdobą.

Przy uczcie, panna młoda siedziała na pierwszém miejscu, ale pan młody biało ubrany musiał usługiwać gościom. Bardowie śpiewali pieśń na cześć nowożeńców; a potém rzekli: »Pośród dzisiejszéj wesołości nie zapominajmy o umarłych. Natychmiast zaśpiewano *de profundis* a po tym żałobnym śpiewie przyniesiono drugie danie. Pierwszy dzień kończył się rozmaitemi zabawami i tańcami. Następnego dnia, nowożeńcy kazali odprawić podług zwyczaju, mszę na pamiątkę zmarłych krewnych, na niéj znajdowali się w wielkiéj żałobie i dopiero trzeciego dnia udawali się na wspólne mieszkanie.

NOWE DZIEŁA.

Teofil Glücksberg xięgarz w Wilnie, wydał kolendę dla dzieci na rok 1836, ułożoną przez X Antoniego Moszyńskiego.

W dziełku tém, pięknie drukowanem, znajdują się powieści, bajki, różne wiersze i moralne przykłady, zastósowane do pojęcia dziecinnego wieku.

Nakładem tegoż xięgarza, wyszła powieść historyczna przełożona z Waltera Skotta, pod tytułem *Córka Malarza*, wyjęta z jego dzieła *Kroniki przedmieścia Kanongate*. Przekład jest gładki i polszczyzna czysta. Gdy już oddawna niemieliśmy żadnego romansu w stylu i sposobie Waltera Skota, spodziewać się można, że powieść ta przyjemnie zabawi czytelników, sprzecznie odbijając się od lekkich scen Pawła Koka, od smutnych obrazów Balzaka, Sue, Souliego i innych tego rodzaju pisarzów, wyłącznie teraz panujących w literaturze powieści i romansów.

Teorya szyku wyrazów języka niemieckiego dla uczącéj się młodzieży, ułożona przez Ch: Cz. Cz.... Warszawa w drukarni P. Barychiego. 1836. *Cena zł.* 1.

Autor uważając, że bardzo wielu z uczących się języka niemieckiego, popełnia błędy przeciw szykowi wyrazów, uznał za rzecz użyteczną i potrzebną wydać osobną xiążeczkę wykładającą teoryą tego szyku.

STAROŻYTNE PRZYPOWIEŚCI Z XV, XVI. i XVII. WIEKU.

P. Kazimierz Wł. Wojcicki, zamyśla ogłosić drukiem przypowieści z wieku XV, XVI i XVII. zebrane z dawnych autorów i rękopismów. Umieszczamy z tego zbioru przedmowę i niektóre przypowieści. Praca pana Wojcickiego bardzo jest pożądana dla wszystkich miłośników literatury.

Wydane przed sześcią laty Przysłowia we trzech tomach r: 1830 są małą cząstką starożytnych pomników języka naszego. Dziś gdy wszystkie pokolenia sławiańskie dążą do wydobycia z zapomnienia zabytków dawnych, nie tylko języka, ale pamiętników historycznych i pieśni ludu, niemożem się ostawać, w tak chwalebnym zamiarze. Nim przystąpię do wydania zbioru przysłów, z przykładami z naszych pisarzy starożytnych, ograniczam się teraz na ogłoszeniu starożytnych przypowieści, z XV. XVI i XVII. wieku. Butwiały one dotychczas po księgozbiorach zapomniane, lub w ręku licznych u nas bibliomanów, co zbierają księgi i rękopisma, nie by je upowszechniać, lecz żeby z rzadkich wydań cieszyć się i przechwalać, jak bogacz ze złota, co mu roskosz sprawia, ale ubogiemu i zgłodniałemu nie udzieli nawet. Mnóstwo starożytnych pomników, leży u tych panów bez użytku, zamknięte pod kluczem, niedowidziane niczyjém okiem.

Dwóch było znajomszych zbieraczy przypowieści i przysłów; Salomon Rysiński, pierwszy który się tą pracą zajął około roku 1580, i Grzegórz Knapski Jezuita, co w lat 50 po nim wydał zbiór daleko większy. Wychwalano pracę Jezuity, a Rysiński coraz rzadszy, szedł w zapomnienie. Przypowieści i przysłowia tym czasem, te bogate skarbce języka, wychodziły z użycia, a z zepsuciem smaku od połowy XVII. wieku, wysilano głowy na tworzenie kuchenno-łacińskich rymowanych przysłów i przypowieści, którymi dawne zastępowano; a te wkońcu wieku XVIIIgo i na początku naszego, francuzkie prędko wygnały. Ta głupota modna, na szczęście niedługo trwała, lubo i tak zbyt szkodliwe okazała skutki.

Nikt dotąd krytycznie nie badał zbiorów Rysińskiego i Knapskiego; wspominano o pierwszym, chwalono bez miary drugiego. Za prawdę, oba wielkie położyli zasługi; wszakże Rysiński nie tylko jako pierwszy ale jako przechowacz najważniejszych pomników języka, daleko więcéj nad Knapskiego cenionym bydź musi, gdyż on język stary, pradziadowski, wyrazisty, rubaszny, pełen życia, czynów i pamiątek dawnych, słowem język historyczny ukazał widomie. Rysińskiego przypowieści jest to zbiór naszych hieroglifów, nie trudnych dla badacza do wyczytania, hieroglifów zwięzłych, gdzie słów kilka jędrnych i mężkich, dobitnie wyraża czynne życie, dawne żelazne życie XV. wieku.

Knapski, nie tak odległy od niego, żyjący w stanie duchownym, nie znający życia współczesnego pokolenia, grubszą księgę daleko napisał od Rysińskiego, ale jakże odmienną, jak w wartości niższą!

Rysiński zachował w pomnikach języka duch czysty sławiański i te przypowieści i przysłowia, które w jego czytamy zbiorze, znajdujemy na Rusi, u Czechów, Sławaków i Serbów. On jak słup drogowy wskazuje na pobratymcze pokolenia, daje szukać objaśnień tego, co dla nas zostawił zamroczone, nieczytelne! (*)

(*) Sam przecież Knapski nie pochwala Rysińskiego pracy. Wyrzuca mu, że spisał przysłowia, bez przyzwoitego objaśnienia o ich początku, użyciu i bez dobrego po łacinie wykładu. Mimo to, gdyby nie zbiór Rysińskiego, zaginęłyby nam wszystkie historyczne przysło-

Knapski, ogranicza się zdaniami moralnemi, filozoficznemi; opuścił wszystko, co głównie Rysińskiego zaletę stanowi; zniknął tam duch sławiański, został jedno moralistą.

Szlachcic bezimienny żyjący przed Knapskim, w roku 1600 napisał dzieło pod nasem: »*Gospodarstwo Izdeckie, strzelcze i myśliwe,*« które w lat 90 wydane ma też samą wartość i zalety co Rysiński; równie jak z czasów Zygmunta IIIgo głośny na on czas poeta, Jan Zabczyc, a współczesny z Knapskim. Przechowali oni ważne pomniki historycznego języka.

Zbiór niniejszy podzielony jest na dwa oddziały.

a) Na przypowieści z XVgo.

b) Na przypowieści z XVI i XVII. wieku.

Przypowieści Rysińskiego pierwsze wydanie jako »gospodarstwo jezdeckie« bezimiennego szlachcica, oraz dwa rękopisy, 1509 i 1595 roku, stanowią podstawę zbioru XVgo wieku.

Dwa dziełka Jana Zabczyca i Knapski (**) złożyły zbiór z XVI i XVII wieku.

DAWNE PRZYPOWIEŚCI.

Czapką, chlebem i solą, ludzie sobie udzi niewolą. — Co na sercu u trzeźwego, to na języku u pijanego. — Ciężka boleść gdy się chce jeść: jeszcze cięższa kiedy jedzą a nie dadzą.—Cztery nogi białe, piąta łysina, jeśli koń dobry, wielka nowina!— Chrzan się chlubi: dobry ja z miodem; a miód na to: kat cię prosi, dobry ja i bez ciebie. — Chłopska rzecz siła jeść, a siła pić szlachecka. — Co się radzi zalecają, nie radzi się ożeniają. — Do interessów, jednego woru z pieniędzmi, a drugiego z pilnością potrzeba. — Djabeł nie chciał bydź kucharzem, furmanem, mamką; ale chciał bydź młynarskim wieprzem, ekonomskim koniem i dworską kucharką. — Dębowa wić, uczy robić, a brzozowa, rozum dawa. — Do sieci wpadnie, kto z głupim kradnie. — Dwa razy żona męża biła: raz że ogórki łupił, drugi raz że jabłek nie łupił. — Dla przyjaciela najlepiej kuwia. Twierdzi F. Bentkowski (Hist. Lit: Pol: str: 221 T. I.) że wiele przysłów Knapski przez skromność i delikatność z powyższego zbioru wypuścił: ale on nietylko rażące przypowieści ominął, ale wszystkie historyczne i obyczajowe, których nie rozumiał i nie umiał objaśnić. Fr: Siarczyński na oślep przywodzi naganę Rysińskiego. (T. 2. Obraz Zyg: III.)

(**) Dla okazania co ze zbioru Knapskiego, korzystałem przypowieści ztamtąd wzięte oznajmiłem gwiazdkami.

kiełkę kupić, bo jeśli mu się nie spodoba, tedy ją sam zjesz. — Furman w złym razie, odrzeka się stanu swojego, a przyjechawszy na nocleg, znowu wóz smaruje. — Gdzie miło tam oczy, gdzie boli tam ręce. — Gdzie djabeł nie może, tam babę poszle. (*)

(*) Lud powiada że następne zdarzenie, było powodem do téj przypowieści.

Djabeł zgodne i cnotliwe małżeństwo żyjące z sobą już lat kilkanaście, chciał koniecznie poróżnić: ale na próżno wszelkiego rodzaju pokus i wszelkich używał sposobów; wszystko na próżno. Szedł zadumany drogą, gdy spotkał z wioski sąsiedniéj babę. —»A co waszeć tak frasowity? zapytała. —»Moja kobieto! odrzeknie, cóż mi pomożecie? oto już 7 lat pracuję a nie mogę tego zgodliwego małżeństwa poróżnić. —»Co mi waszmość dacie, a ja je dzisiaj pokłócę?« Djabeł przyrzekł parę nowych trzewików: Baba poszła do męża na pole co orał: »Kumie! rzekła, przychodzę cię ostrzedz że żona cię dzisiaj zabije! Kmieć wytrzyszczył oczy i otworzył z podziwieniem gębę. »Jak przyjdziecie doma (mówiła daléj) żona zechce cię pocałować, a będzie miała w pogotowiu brzytew, by ci gardziel poderznąć, bo rozmiłowana w twoim parobku.« I poszła znowu do domu jego i rzekła żonie: —»Kumo! twój mąż dziś umrze! —»O mój Boże!« wyrzekła z płaczem niewiasta, czyż taki niemocny, czy mu już nic nie pomoże? —»Nie troskajta się o to, ja wam poradzę, a żyć długo jeszcze będzie. Niewiasta nasłuchiwała ciekawie, bo baba była we wsi lekarką. —»Wasz ma włos na głowie taki, który trzeba brzytwą uciąć: poznasz go łatwie bo dłuższy od innych. Jak przyjdzie powiedzta że chcecie go uściskać: wtedy mu włos wytniecie a zdrów żyć będzie.. Kmieć niecierpliwy przychodzi do chaty. Z ostrożnością głowy nachyła, ażeby cios spodziewany odwrócić. Żona ujrzawszy włos dłuższy, bierze za ukrytą brzytwę; a kmieć pewny że go chce zabić, powala ją na ziemię i bić bez litości zaczyna. Na próżno biedna niewiasta wyklinała ciało i duszę, zbił niewinną na na kwaśne jabłko i żyć z nią dłużéj nie chciał. Baba dowiedziawszy się o tém, idzie z radością i donosi djabłu o sprawności swojéj, ten zdziwiony, już sam się jéj obawiając, na długiéj żerdzi żeby go nie skusiła, podał babie parę nowych trzewików i wyrzekł: »Gdzie djabeł nie może, tam babę poszle.« Od tego to czasu i między ludzie weszła ta przypowieść.

JAN KOCHANOWSKI.



Prawie każdemu, kto tylko posiada choćiażby ogółową wiadomość literatury i języka, znane jest imie Kochanowskiego i krótki zarys jego życia, jaki doszedł do naszych czasów. Powtarzać go zatém nie będziemy, uwagi zaś nad pismami Kochanowskiego i duchem jego poezyi, umieścimy w zarysie literatury naszéj, któremu kilkanaście artykułów w Muzeum poświęcone będzie, teraz zaś, udzielając czytelnikom rycinę ojca poetów naszych, o niéj saméj powiemy słów kilka. Tadeusz Mostowski drukując dzieła Jana Kochanowskiego, w wyborze pisarzy polskich dołączył do nich rycinę tego autora, przekopiowaną z obrazu znajdującego się w zamku warszawskim. Następni wydawcy dzieł Jana Kochanowskiego, kopiowali ją z tego zbioru. Toż samo uczynił wydawca Biblioteki kieszonkowéj klassyków polskich, wychodzącéj w Lipsku u Breitkopfa. Rycina ta wyobraża nam młodego człowieka, tchnącego życiem i zapałem. Kasztelan Ignacy Kochanowski, potomek tegoż samego domu z którego Jan Kochanowski pochodził, wynalazł w zbiorze familijnym portretów, rzeczywisty portret naszego poety i dowiódł że portret który aż dotąd pod imieniem Jana był znany, wyobraża jego brata Piotra, tłómacza Jerozolimy wyzwolonéj i szalonego Orlanda. Rycina zdjęta z portretu będącego własnością Kasz: Jgnacego Kochanowskiego, wysztychowana przez pana F. Dietrich, znajduje się na sprzedaż w składzie Magnusa przy ulicy Miodowéj; z niéj zrobiona jest rycina, którą umieściliśmy na czele dzisiejszego zeszytu Muzeum. Wyobraża ona poetę już przy schyłku życia, zapewne po zgonie ukochanéj córki, tak przynajmniéj wnosić można z smutku, który się maluje na jego czole.

Do tego krótkiego objaśnienia, dołączamy opis teraźniejszego stanu włości Czarnolesia, w któréj niegdyś mieszkał Jan Kochanowski i jego grobowca znajdującego się

w miasteczku Zwoleń w Województwie Sandomierskiem. Opis ten wyjęty jest z przejażdzek po kraju, umieszczanych w Rozrywkach dla dzieci.

»W kilka dni po zwiedzeniu Janowca, byłam w Czarnolesie o dwie mile z tamtąd będącym; z prawdziwą przyjemnością przebiegłam to miejsce, gdzie blisko trzy wieki temu, mieszkał pierwszy z naszych poetów, łączący z talentami, duszy i serca przymioty. Nie pojętą jakąś skłonność do Jana Kochanowskiego czuję; z pomiędzy wszystkich z wieku Zygmunta pisarzy, jego najchętniej wystawiać sobie lubię. W czasie, kiedy wszystkie oświeceńsze narody, pod przewodnictwem Erazma z Roterdamu, mówiły i pisały językiem Wirgilego, kiedy uczeni nasi (nie dając się nikomu i w tej sławie wyprzedzić, wydali światu tylu sławnych pisarzy), lecz własnemu krajowi tyle wydarli światła, jeden tylko Kochanowski ścierpieć tego nie mógł. Z tegoż samego Czarnolasa upominał ziomków: a co czuł, czego żądał, to dowodził przykładem; psalmy śpiewaka Syonu na polską lutnię przestroił, swoję nadobną Orszulę uwiecznił i na przydomek *Poety serca* zasłużył. Przytém, dobry mąż, najtkliwszy z ojców, umiarkowany w życzeniach, życie jego, pisma, śmierć sama, dowodzą jak pięknie myślał i jak kochać umiał. Dzisiejsza pani Czarnolasu, widać, że także wielce pamięć Kochanowskiego szanuje i ceni. Już od dawna dom z modrzewia w którym mieszkał, zniszczony, zostały się tylko gruzy fundamentów, i jak podanie niesie, narożnéj i murowanéj komnaty gdzie najwięcéj przesiadywał; z tych szczątków i na témże samém miejscu, ręka téj zacnéj właścicielki udatną w gotyckim guście wzniosła kaplicę; w miejscu zaś gdzie stała owa rozłożysta i ulubiona lipa jego, będzie stał pomnik kamienny; piękny napis na dom, który on niegdyś nad drzwiami swemi wyrył, i dziś dom Czarnoleski w bok dawnego postawiony zdobi; a jakby hołd oddając owéj chęci którą miał Kochanowski rozkrzewienia światła, część domu tego obrócona jest na szkołę, gdzie dzieci wiejskie pod okiem dobroczynnéj właścicielki, najpotrzebniejszych nabierają wiadomości.

»Starożytny kościół parafialny pod opieką S. Katarzyny będący, w którym są groby Kochanowskich, jest całą Zwolenia ozdobą. Te groby są po lewéj ręce od wchodu, pod kaplicą S. Franciszka zwaną, z ołtarzem Opatrzności; napisy zaś na marmurach w ścianę wprawianych. Jana Kochanowskiego nagrobek najwspanialszy; z marmuru czerwonego, zdobi go napis i popiersie. Wpatrywałam się uważnie w tę twarz znaczącą, która tak piękną pokrywała duszę. Obaczywszy twarz jego, zdało mi się że twarz przyjaciela widzę... W grobach téj kaplicy są prochy jego zmięszane już teraz z prochami rodziców, i owéj nadobnéj Orszulki, któréj pamięć łzami ojcowskiemi uwiecznił; tam leży także poczciwy brat jego Mikołaj, żona Katarzyna z Jasieńca i dwaj ich synowie Piotr i Adam. Będąc w tém miejscu, gdzie Kochanowski tak często bywał, siedząc w téj ławce gdzie i on siadywał, nadzwyczajnego doznałam wzruszenia. Ileż on to razy modlił się tu gorliwie, w uniesieniu swojém Psalmy Króla Proroka przetwarzał; z uczuciem radości na żonę i córki go otaczające, z wdzięcznością i żalem na nagrobek ukochanych rodziców spoglądał... Oto napis nagrobku wielce już uszkodzonego:

Joannes Kochanowski Tribunus Sandomir.
Hic quiescit.
Ne insalutata praeteriret hospes eruditus
Ossa tanti viri,
Hoc Marmor indicio esto.
Obiit anno sal. 1584 die 22 Aug. aetatis LIV.

tenże po polsku:

Jan Kochanowski, Wojski Sandomirski
. Tu spoczywa.
Uczony Przechodniu! ażebyś nie pominął bez pozdrowienia
Kości takiego Męża,
Ten marmur niech ci skazówką będzie.
Umarł roku zbawienia 1584 dnia 22 Sierpnia wieku swojego 54go.

Zdaje się, że nie żony, ani braci lub synowców, ten pomnik jest dziełem. Jest raczéj uwielbienia i szacunku, niżli tkliwości dowodem. Nie mogłam się dowiedzieć kto go stawiał... Napis nagrobku rodziców przez syna położony, jest następujący:

M. D.

Petro Kochanovio terrae Sandomiriensi judici, et Annae
de Białaczów ejus conjugi.
Cum exinctis beneficii auctoribus, tenuis admodum referende gratiae supersit ratio
JOANNES KOCHANOVIUS
Parentibus in lulgentissimis hunc lapidem jugibus rigatum lachrimis posuit
Obierunt alter anno XLVII. supra M. D, aetatis suae LXII. Altera decennio post quinquagenaria VI filiis et filiabus IV superstitibus.

P. P.

Piotrowi Kochanowskiemu Sędziemu Sandomirskiemu i Annie z Białaczowa jego Małżonce,
Gdy po zgaśnięciu Dobroczyńców, tak mało pozostaje sposobów do okazania wdzięczności
JAN KOCHANOWSKI.
Najlepszym Rodzicom ten kamień skropiony łzami położył. Umarł Ojciec 47 lat nad 1500 rok, wieku swego 62go. Matka w dziesięć lat po pięćdziesięciu, 6 synów i 4 córki zostawiwszy.

WIDZIADŁO.

ZDARZENIE WYPISANE Z NOTATEK DOKTORA.

(Dokończenie.)

Powróciłem do siebie, bardzo niespokojny. W trudném położeniu zostawałem, czułem jak niebezpieczną byłoby rzeczą, zostawić kobietę młodą i zajmującą, w tém uwidzeniu, które przy niezmiernéj drażliwości jéj nerwów, może ją o śmierć przyprawić. Swieżo zdarzona okoliczność, przekonywała mię, do jak mocnych wrażeń zdolna jest hrabina.

Zima roku 1788 była długa i trwała; pewnego rana, gdy powietrze było dosyć umiarkowane, hrabina poszła z mężem na przechadzkę. Pękł jéj trzewik i musieli wstąpić do domu biednego szewca mieszkającego nad rzeką. Tam ujrzała dwoje biednych dzieci, drżących od zimna. Widok ten uczynił na niéj tak mocne wrażenie, iż w nocy spoczywając w pokoju jak najlepiéj opatrzonym i ciepłym, czując się słabą, pociągnęła dzwonek idący do pokoju jéj męża. Pan de Renac przybiegł przestraszony.—»Cóż ci jest, zapytał?—»Nic, rzekła, alem skościała od zimna. —»Co! rzekł mąż, tu, pod kołdrą i puchem?—»Tak jest, odpowiedziała, te biedne dzieci, które widziała dziś rano, ścigają mię bez ustanku. Widzę je przed sobą, leżące na słomie w nieogrzanéj izbie. Zanieście im tę kołdrę, gdyż bez tego przez całą noc nie mogłabym zasnąć. —»Ależ sama zziębniesz, rzekł hrabia, bo już teraz drżysz od zimna? —»O nie! czuję, że już nie będę widzieć tych biedaczków, gdy im zaniosą ciepłą kołdrę.

Zawołano służącego murzyna i kazano mu zanieść kołdrę, a młoda Kreolka natychmiast po jego odejściu zasnęła jak najspokojniéj.

Widzimy więc, jak mocna była wyobraźnia téj kobiety. Pewny byłem, że z wybiciem zapowiedzianéj godziny, może utracić życie, a przynajmniéj rozum. Przemyślałem jakim sposobem odwrócę tę niezawodną katastrofę. Wypytawszy się, Koralii, jak wyglądał ów tajemniczy stolarz, chciałem wyszukać podobnego człowieka, któryby oświadczył hrabinie, iż przez omyłkę wszedł do jéj pokoju, lecz bardzo łatwo byłaby odkryła moje podejście. Rozważałem czyliby za zbliżeniem wskazanéj godziny, nie można dać Koralii kilkanaście kropel opium, ażeby ją przespała, lecz po drugiéj bytności u państwa de Renac, musiałem zaniechać tego środka. Hrabina tak była osłabiona, niespokojnością umysłu i nieprzyjmowaniem pokarmów, iż niepodobna było dać jéj taką dozę opium, któraby ją na kilka godzin uśpiła. Musiałem więc obmyślić inny środek, jedyny, który mi w takim razie pozostał.

Nie powierzając nikomu mojéj tajemnicy, nawet jéj mężowi, zaleciłem tylko, aby Koralia bez ustanku miała przy sobie przyjemne i zajmujące towarzystwo; poświęcałem jéj każdą chwilę, wolną od nieuchronnych wizyt doktorskich. Wieczór 1go Listopada był bardzo ciężkim do przebycia: kościół obchodził święto Wszystkich Swiętych, ale wieczorem już się zaczęły modlitwy za umarłych, a żałobne dźwięki, niezmiernie działały na umysł hrabiny. Ostatni wyszedłem z jéj pokoju, a gdym nalegał na nią, aby zażyła lekarstwo mające utrzymywać jéj siły, rzekła do mnie łagodnym i smętnym głosem:

»Doktorze, dla czegóż chcesz przedłużyć gasnące życie? Próżne twoje starania; za trzy dni, te dzwony, które dziś brzmią przez cały wieczór, dadzą znak mojego pogrzebu. Sam ten dzwon kapucynów, który wzywa tych zakonników na nabożeństwo nocne, obwieści ostatni mój wieczór.

—»Próżne uwidzenie! zawołałem; dzięki Bogu, ja i pani przeżyjemy jeszcze nie jednego kapucyna. Cóżby robili lekarze, gdyby nasi najprzyjemniéjsi i najbogatsi chorzy, tak prędko ten świat porzucali? Idzie tu o mój majątek, pani hrabino; przynajmniéj jeszcze przez lat dwadzieścia muszę mieć staranie o twojém zdrowiu, a potém przekażę cię mojemu synowi, jako część mojego spadku.

Żart mój bardziéj pochodził z ust tylko, a niżeli z myśli; młoda kreolka uśmiechnęła się smętnie i ścisnąwszy rękę moją na znak wdzięczności, powiedziała mi dobranoc. Gdym odchodził, spojrzała na mnie, jak spoglądamy na przyjaciela, którego raz ostatni widzimy. Żal ścisnął serce moje. Ta kobieta zajmowała mię tém mocniéj, żem widział w niéj niezwykłe połączenie słabości i mocy duszy.

Hrabia nie przypuszczał, że jego żona jest tak niebezpiecznie słaba. Spokojność jéj

umysłu zaspokajała go cokolwiek. W wigilią 4go Listopada, zaleciłem hrabinie, ażeby poszła na spoczynek natychmiast, skoro się tylko goście oddalą. Gdy ją rozbierała garderobiana, ja i kapitan rozmawialiśmy w pobliskim pokoju, w tém dał się słyszeć krzyk służącéj... Koralia zemdlała... Więcéj mię to zmartwiło, niżeli zadziwiło, gdyż od trzech tygodni ta młoda kobieta jadła tak mało, jak gdyby koniecznie chciała umrzeć w dniu oznaczonym. W ówczas powinszowałemsobie, żem nie użył usypiających kropli. Niebezpieczeństwo nagliło, trzeba było przedsięwziąźć środki ratunku.

Hrabia klęcząc, usiłował ocucić żonę i zaklinał mię, abym ratował hrabinę, któréj wycieńczenie sił, aż nazbyt widoczne, przejęło go przestrachem. Uspokoiłem go i chociaż sam zatrwożony, rachowałem jeszcze na młodość téj kobiety; główną było rzeczą przebyć tę nieszczęsną godzinę, a potém nie wątpiłem że natura przy pomocy lekarza, powróci jéj zdrowie. W ówczas dopiero wyjawiłem kapitanowi przyczynę słabości jego żony, zaleciłem zachowanie jak najściślejszéj tajemnicy i przykazałem, aby nazajutrz rano opóźnił o dobrą godzinę wszystkie zegarki i zegary w całym domu, niepomijając żadnego... »Na tém pokładam, rzekłem: jedyną nadzieję uratowania choréj; ludziom także zapowiedzieć trzeba zachowanie tajemnicy. Przed obiadem wyjedziesz pan z żoną na przechadzkę, a na obiedzie ja będę i zaproszę kilka osób.«

Tak się stało. Garderobiana Koralii cofnęła także jéj zegarek damski, a chora za powrotem znalazła bilety od swoich przyjaciołek, pani Gralin i Bainville, z oznajmieniem że będą u niéj na obiedzie. Przypuściłem te panie do tajemnicy, a ich przyjemne towarzystwo, mogło zbawienny wpływ wywiérać na panią de Renac.

Przy obiedzie, każdy z nas był wesołym, lecz baczny dostrzegacz byłby poznał, ile wysilenia kosztowała nas ta wesołość. Spojrzenia Koralii były omdlewające, czasem tylko błyskał w nich posępny ogień. Dosyć późno wstaliśmy od stołu. Pani de Renac ledwie wypiła filiżankę bulionu, z resztą nie chciała przyjąć żadnego pożywienia. Po obiedzie przeszliśmy do pokoju hrabiny. Z tamtąd łatwiéj było przenieść ją na łóżko, gdyby miała zemdleć; ostrożność ta była nieuchronna, gdyż coraz bardziéj wzmagała się niespokojność i udręczenie choréj. Bez ustanku spoglądała na zegar, jéj cierpienia i trwoga malowały się na jéj twarzy; ukradkiem patrzała także na swój zegarek, który tęż samą godzinę wskazywał. Zdarzenie któregom nie przewidział, powiększyło moją obawę i stało się powodem rozdzierającéj sceny. Garderobiana, rozebrawszy Ludwisię, zaniosła ją jak zwykle do matki, aby ją ucałowała. Pieszczoty tego dziecięcia, wzajemne uściski matki, łzy które mimowolnie spłynęły z jéj oczu na rumianą twarz dziecięcia, nagłe poruszenie, którém się oderwała od niego, spojrzenie pełne miłości i żalu, które zwróciła na garderobianę, gdy ta odnosiła dziecię, niezmiernie zmieszały nas wszystkich, łzy stanęły nam w oczach i o mało żeśmy się na głos nie rozpłakali.

Aby oderwać się od tego wrażenia, zaproponowałem partyą wista, zasiedli do nich państwo Gralin, pani Bainville i kapitan, ja zaś przysunąłem krzesło moje do szezlonga hrabiny, aby pokrzepić jéj odwagę i rzekłem do niéj pocichu.

—»Miéj nieco odwagi kochana pani, oprzyj się próżnym widziadłom, wylęgłym w twojéj tylko wyobraźni. Czyliż nie jesteśmy przy tobie? Czyliż nie jesteś pośród twoich przyjaciół?

—»J właśnie też pośród przyjaciół moich cios uderzy we mnie: odpowiedziała w chwili gdy na opóźnionym zegarze biła dziesiąta; nim dwie godziny upłyną, nim kapucyni wstaną na północne modlitwy, gdy ten zegar wskazywać będzie....

—»Dzieciństwo! niedorzeczność! przerwałem nagle. Zaręczam za panią, głowa za głowę.

Niestety! nie wiedziałem wrzeczy saméj, mimo tak śmiałego zaręczenia, co się stanie z Koralią. Mieniła się co chwila. Jéj drżące usta bladły i rumieniły się kolejno, jéj cera już od dwóch tygodni pozbawiona delikatnego rumieńca, zapalała się i znowu wpadała w tę białość, jaką mają przedwczesne narcyssy, rozkwitłe w salonie; jéj skóra sucha i gorąca, stawała się zimną jak marmur, a krople potu spływały z jéj lodowatego czoła. Te symptomata, pod czas których puls ustawał zupełnie, albo też nadzwyczajnie był szybki, powtarzały się co kwadrans za każdém uderzeniem zegara. Ach! jakże pragnąłem przyśpieszyć bieg czasu! Zacierając ręce, mimowolnie chwytając za poręcze od krzesła, pragnąłem końca tego przesilenia. Nie wątpiłem, że hrabina padłaby martwą, gdyby na nieszczęście zegar wybił *dwunastą.*

Dochodziła jedenasta. Spodziewałem się iż się podwoi wzruszenie Koralii. Mimo moich skinień, gra ustała, grający rozmawiali z sobą po cichu. W chwili, gdym rozumiał że nieszczęśliwa Koralia pogrążona jest w bolesném dumaniu, postrzegłem że zwróciła przenikający wzrok na swoich przyjaciół, których milczenie uważała. Spojrzenia swoje zatrzymała na

pani Bainville, która, co mię bardzo rozgniewało, spoglądała na zegar. Ostatni dźwięk dzwonka brzmiał jeszcze, gdy hrabina rzekła do pani Bainville.

—»Nie grasz, kochana Bainville! spoglądasz na ten smutny zegar i masz słuszność, albowiem przeznaczenie moje napisane jest na nim, niezatartemi słowy.

—»J nasze także: z żywością odpowiedziała pani Bainville, postrzegając pomyłkę swoją: ponieważ wszyscy grzeszymy złém użyciem czasu i za to sądzić nas będą.

—»Prawda, mówiła daléj młoda kreolka, roniąc łez kilka, które zmniejszywszy natężenie jéj nerwów, nadały jéj głosowi czulsze i łagodniejsze wyrażenie. Prawda, lecz jeżeli dni, co mówię dni! jeźli godziny i minuty jédnéj z nas, już byłyby policzone, jeźliby na zawsze miała rozstać się z wami, przyznacie moi zacni przyjaciele, iż miałaby słuszne prawo do waszéj litości.

—»Komużby ta śmierć grozić miała? zapytał się pan Gralin. Spodziewam się przecież moje panie, że będziecie ze mną razem na wystawie opery komicznéj Dalejraka, w teatrze któren teraz buduię.

—»A ja zapraszam się także na to widowisko, rzekłem, ale zapowiadam, że na mocy mego doktorskiego przywileju, wypędzę z téj sali każdego ktoby gestem swoim, skinieniem, albo słowem, naprowadził rozmowę na smutny przedmiot. A ponieważ bez umawiania się, zebraliśmy się na wieczór do naszéj młodéj hrabiny, wypijmy wesoło herbatę, którą nam przynieść mają.

Wstawszy zadzwoniłem na służących, a po drodze połajałem panią Bainville za jéj nieuwagę.

—»Mniemałam, odpowiedziała głośno, że idąc za mąż na tym biednym świecie, mieć będziemy jednego pana, ale widzę doktorze, że nie dosyć jest słuchać męża, trzeba jeszcze bydź posłuszną doktorowi.

Przy herbacie, pani Bainville opowiedziała bardzo ładną i wesołą powiastkę, lecz ani Koralia, ani ja, ani żaden z obecnych nie zważał na jéj opowiadanie. Wszyscy wlepili wzrok i spojrzenie w hrabinę, któréj konwulsyine drżenie ciała, wskazywało jakich udręczeń doznaje. Ach! jakżem pragnął wyrzec słowo mające wyrwać ją z tak zgubnego stanu! jakże mi przykro było, że jeszcze nie mogę położyć kresu boleści, którą ocenić zdoła wyobraźnia czytelnika! Ale chciałem wprzódy, ażeby na zegarze wybiło w pół do dwunastéj.

Nie podobna było doczekać téj chwili. Zbliżał się gwałtowny paroxyzm nerwowy, a chociaż było dopiero pięć minut po kwadransie, postanowiłem go uprzedzić. Klasnąwszy w rękę, ażeby zważano na to co powiem, zawołałem mocnym głosem: »Panie hrabio uściskaj żonę, gdyż jednem słowem przywrócę jéj zdrowie.

Wszyscy wlepili we mnie swoje spojrzenia, oczy hrabiny wyrażały podziwienie, połączone z przestrachem.

—»Kapitanie, powtórzyłem dobitnie, uściskaj żonę, albowiem wyrocznia która zapowiedziała jéj że umrze o północy dnia 4go Listopada 1789, skłamała, jak bezwstydny hultaj; teraz gdy ją oskarżam o kłamstwo, jest już w pół do pierwszéj, a zatém zaczęliśmy już piąty dzień Listopada.

Hrabina boleśnie spojrzawszy na zegar, odpowiedziała.

—»Mylisz się doktorze! jest dopiero w pół do dwunastéj i to jeszcze w pół nie wybiło.

Wyjąłem zegarek, który wskazywał prawdziwą godzinę i odpowiedziałem.

—»Patrzaj pani, oto jest istotna, prawdziwa godzina. Przysięgam na mój honór, na Boga, że wszystkie zegary i zegarki w domu, a nawet i naszych gości, cofnione były o pięć kwadransów. Twój brudny stolarz, ze skórzanym fartuchem, piłą i miarą, skłamał jak nędznik. Przebacz kochana pani, że tak mówię o utworze twojéj wyobraźni. Jego podejście i mnie także upoważniło do podejścia; on kłamał aby cię udręczyć, a ja skłamałem jak uczciwy człowiek, aby cię uratować, a jego przekonać że jest kłamcą.

—»Lecz, rzekła? pani de Renac, dzwon kapucyński, jestem tego pewna, nie powołał jeszcze tych ojców na modlitwę nocną.

A w téj właśnie chwili, gdy te słowa wyrywały się z jéj drżących ust, promień nadziei błyszczał w jéj oczach.

Odpowiedziałem na to:

—»Czyliż mię bierzesz za głupca pani hrabino? Czy mniemasz, że chcąc uchronić ciebie od twoich własnych wrażeń, przez pół tylko wykonałem mój zamiar? Dziękuję niebu, żeś mi wspomniała o kapucynach; uprosiłem ich, aby bez dzwonienia poszli na modlitwę.

Przekonana zupełnie, uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę do męża, który ją uściskał że zwyczajném uszanowaniem. Co się nas tycze, bez tylu ceremonii uściskaliśmy ją serdecznie; ona zaś nie mówiąc ani słowa, zerwała się ze sofy jak łani i wyszła z pokoju. —»Bądźcie spokojni, rzekłem do moich towarzyszów. Pobiegła ucałować córkę; czułe będzie to pocałowanie matki wracającéj do życia.

Nie myliłem się. Podczas nieobecności hrabiny, zregulowałem zegarki, a gdy powróciła z oczyma zwilgoconemi od łez, lecz słodkie wyrażającemi zadowolenie, rzekłem:

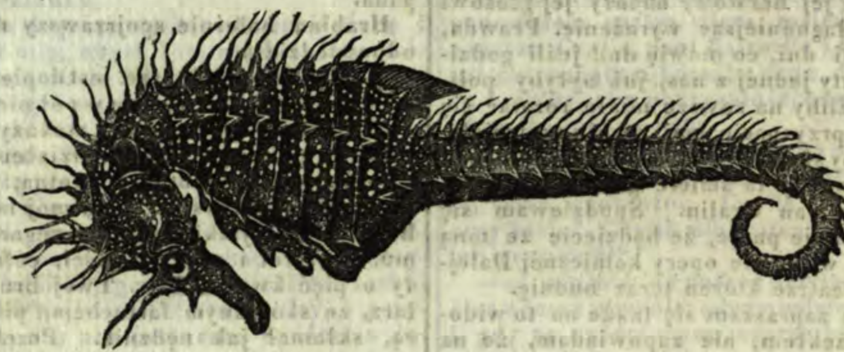
—»Smutny był nasz obiad, a że mam prawo rozkazywać dziś w tym domu, proszę, aby nam przyniesiono wieczerzę, którą wczoraj rano, tak jest wczoraj, ponieważ dziś mamy 5go Listopada, zarządziłem.

»Posłuszni bądźcie doktorowi! zawołał z powagą hrabia, na którego szlachetnéj i wypogodzonéj twarzy malowało się wewnętrzne zadowolenie.

Jedliśmy z apetytem i pili wino szampańskie. Hrabinie pozwoliłem zjeść skrzydło kuropatwy. Rozeszliśmy się o trzeciéj rano. Hrabina tak dalece uspokoiła się, iż dozwoliła nam żartować z przestrachu, którego ofiarą ledwie że nie padła.

Prawdziwe to opowiadanie, wskazać może młodym lekarzom, jak trzeba leczyć choroby, mające w wyobraźni siedlisko swoje.

KONIK.



Nazywają konikiem małą rybę, któréj głowa po zeschnięciu się, cokolwiek podobna jest do głowy konia. Jarocki tak ją opisuje.

»Głowę ma dużą, na wierzchu sękatą; pysk długi, graniasto rurkowaty, ściśniony, na końcu ryjkowaty; otwór paszczy na końcu pyska mały, bezzębny, prawie pionowy; oczy duże; ciało długie, szczupłe, w środku znacznie grubsze, ściśnione, siatkowato wieloboczne, sękate, twardą chrząstkową skórą pokryte; pletwy piersiowe małe, grzbietowa mierna, podogonowa bardzo mała lub żadna; pletw brzuchowych i ogonowych nie dostaje; np: Hippocampus aequivoca. *Aldr.*

»Z pewnością wiemy o trzech gatunkach. Z tych dwa żyjące w morzach europejskich, są na różnych punktach krótkiemi błonowemi nitkami nastrzępione; na trzecim zaś postrzegamy szczególniejsze błonowe wyrosty w kształcie listków. Ostatni poławia się w morzach przy Nowéj Holandyi, gdzie dorasta okazałéj długości. Shaw opisał go pod nazwiskiem *Syngnathus foliatus.*

»Koniki są rybami żeźwemi. Za życia są zupełnie proste; po śmierci kurcząc się, tak się zwijają podginając głowę pod spód ciała, iż przybierają postać podobną zgięciu szyi konia arabskiego. Ta ich postać pośmiertna, zjednała im prawie we wszystkich językach jednoznaczące nazwiska rodzajowe. Ich sposób rozmnażania się, jest nam jeszcze niewiadomy.«

Lud prosty, uderzony nadzwyczajném kształtem téj ryby, przypisuje jéj rozmaite własności. W Dalmacyi mają onę za bardzo skuteczne lekarstwo, a w Norwegii za śmiertelną truciznę. Ale pewną jest rzeczą, że nikogo nie uleczyła i nie zabiła.

GRENADA.

Wiersz Wiktora Hugo

przekładania Br. Hr. Kicińskiego.

Czy jest bliską czy daleką,
Czyli pod Krzyża opieką,
Czy pod mocą pół-xiężyca,
Nie zrówna Grenadzie ładnéj,
Bo milszéj nie znajdzie żadnéj,
Żadna na świecie stolica.
I któraż okaże od niéj
Więcéj wspaniałości wschodniéj,
I milszém niebem zachwyca?

W Murcji są, owoc złoty wydające drzewa,
Jaen, dziwacznym gmachem gotyckim zdumiewa;
W Agredzie Święty Edmund wzniósł klasztorne mury,
W Segowii słynie ołtarz narodu modłami,
I z trzema arkad rzędami
Wodociąg chwytający rzekę z szczytu góry.

Zbawcza Faros, w Barcellonie
Na szczycie kolumny płonie,
I morzom światła udziela.
Królom Arragonu stała,
Ich żelazne zachowała
Berło w swych grobach Tudela.
Tolozy ciemne kuźnice,
W nocy za piekieł strzelnice,
Bywają brane od wiela.

Napełnia Fontarabską ta ryba zatokę,
Co z oczu Tobijasza odjęła pomrokę,
Alikante do dzwonnic minarety łączy,
Świętą jest Kompostella, w Korduby meczecie
Wzrok ginie pośród cudów niezrównanych
w świecie,
Madryt oblewa Manzanares rączy.

Bilbao swe wątłe mury
Darniną zieleni z góry,
Stopy kąpiąc w oceanie.
Ledwie xiążąt swych szkarłatem,
Dumne ubóstwo przed światem,
Medyna ukryć jest w stanie;
Figo-morwy ma jedynie,
Z jéj bowiem mostów Maur słynie,
Z jéj wodociągów Rzymianie.

Kołyszą się na murach ostréj Alkantary,
Liczne na Turkach zdobyte sztandary.
W Walencyi z trzystu świątyń głos dzwonów
się szerzy,
Salamanka z uśmiechem siedzi na trzech wzgór-
kach
I zasypia przy wdzięcznie grających bandur-
kach,
Lecz budzi się z nienacka, na krzyki młodzieży.

W opiece Piotra Świętego
Jest Tortoza, Tuję z dawna
Ośmiokątne baszty strzegą;
Pujcerda płodzi marmury
Król wzniósł Tarragony mury,
I z tego jéj chluba jawna.
Pod Zamorą Duro płynie,
W Toledzie Alkazar słynie,
Sewilla Giraldą sławna.

W Burgos jest kapituła skarbami wsławiona,
Penaflor margrabiną, xiężną jest Girona,
Bivar jest jako młoda, skromna zakonnica,
Pampeluna słynąca wojowniczym duchem,
Nim pójdzie na spoczynek przy świetle xiężyca,
Zamyka się wież łańcuchem.

Z tych rozlicznych miast i stolic,
Każda wzrosła śród okolic,
Nad któremi Sierra włada,
Z ich dzielnych twierdz, nigdy działo
Niewiernego nie zagrzmiało.
Przy farze każdego miasta,
Złoci się wieża kończasta,
Lecz Alhambrę ma Grenada.

Alhambro! o Alhambro! ród geniuszów w ciebie
Wlał melodye i wdzięki, znane tylko w niebie,
Twierdzo! strojna w strzelnice, w girlandy po-
chyłe,
W tobie słychać śród nocy syllaby urocze,
Gdy xiężyc przez trzylistnych wyrabiań prze-
zrocze,
Rzuca na mury światło swoje miłe.

Tak płodna w cuda Grenada,
Iż nie z tylu ziarn się składa,
Owoc jéj dolin wspaniały;
A kiedy na srogie boje,
Rozwinąwszy flagi swoje,
Grenada łakoma chwały,
Zagrzmi, sroższe zrządza straty,
Niż te ogniste granaty,
Co nad rotami trzaskały.

Grenada swe rywalki gasi. Śród Grenady,
Miększym głosem śpiewają miękkie serenady;
Bogatszemi swe domy malują kolory.
I są tacy co mówią, że wiatr w wonniéj wieje,
Gdy ożywiając letnie Grenada wieczory,
W przechadzkach swe kobiety i kwiaty rozsuje.

Dla Grenady, Maur zuchwały,
Pomny dawnych rozkosz, chwały,
Los Afryki ważyć śmie;
Lecz strat swoich nie odbierze,
Bo Grenada stała w wierze
Ani słyszeć o nim chce.
Grenada stolica miła,
Drugąby Sewillą była,
Gdyby mogło bydź ich dwie!

ZMYSŁ SŁUCHU.

Zmysł słuchu u człowieka, podobnież jak u wszystkich zwierząt, ma swoje siedlisko w głowie. Jedyna widoczna część tego narzędzia jest powierzchowna część ucha, ukształtowana tak, aby jak najwięcéj dzwięków zgromadzać mogła. Zebrane dźwięki wchodzą w kanał słuchowy, który sięgając do niewielkiéj głębokości wewnątrz głowy, kończy się ukośnie bembenkiem, błoną cienką ruchomą i elastyczną, która zamyka wydrążenie kościste, zwane skrzynią bembenka. Ta skrzynia ma tylko maleńki otwór łączący się małém przejściem zwaném trąbką Eustachiego, z tylną częścią ust. Przez ten otwór, powietrze odnawia się i układa się do rownowagi z ciśnieniem atmosferyczném. Skrzynia bembenka, ma jeszcze dwa otwory, jeden u góry, zwany oknem owalném, drugi u dołu, zwany oknem okrągłém, lecz zamknięte błonami czyli muszkułami, do których przyczepiony jest łańcuch kosteczek zawieszonych wewnątrz skrzyni. Łańcuch ten składa się z czterech małych kostek, zwanych, przez

podobieństwo kształtu, młotkiem, kowadłem, soczewką i strzemieniem, służy on, jak się zdaje do umniejszania zbyt gwałtownych wrażeń, którychby narzędzie słuchu doznawać mogło.

Te wszystkie powyżéj wzmiankowane części, tworzą ucho zewnętrzne. Ucho wewnętrzne składa się z kanału kościstego, w kształcie skręconym, zwanego ślimakiem. Jednym końcem przywiązany jest do błony okrągłego okna, drugim końcem otwiera się w wydrążenie, zwane przysionkiem i umieszczone za oknem okrągłém. Przysionek łączy się z trzema półkolnemi kanałami, zrobionemi z chrząstek i napełnionemi szarą materyą, któréj użytku nieznamy. Ostatnie włókna nerwu słuchowego, pływaią w cieczy przezroczystéj, zapełniającéj okręgi ślimaka.

Zdaje się, że dźwięki zgromadzone w powierzchownéj części ucha, uderzają błony bembenka, odbijaią się w wydrążeniu kościstem, jak w skrzyni bębna i dochodzą do wewnętrznego ucha, za pośrednictwem błon zamykających dwa okna, o których jużeśmy wspomnieli. Lecz jakim sposobem wrażenie tych dźwięków udziela się nerwowi słuchowemu, jaką ma czynność w tym udziale błonka bębenka, łańcuch kostek, ślimak i kanały pół koliste, jest to nieodgadnioną tajzmnicą natury. Wiemy tylko, że błona bębenka może bydź przebita bez zrządzenia głuchoty. W wielu nawet przypadkach, czynią tę operacyą dla uleczenia z głuchoty. Samo tylko spadnięcie strzemienia, zrządza tę niemoc.

Umieszczamy rycinę głębszéj części ucha, cztery razy powiększoną.



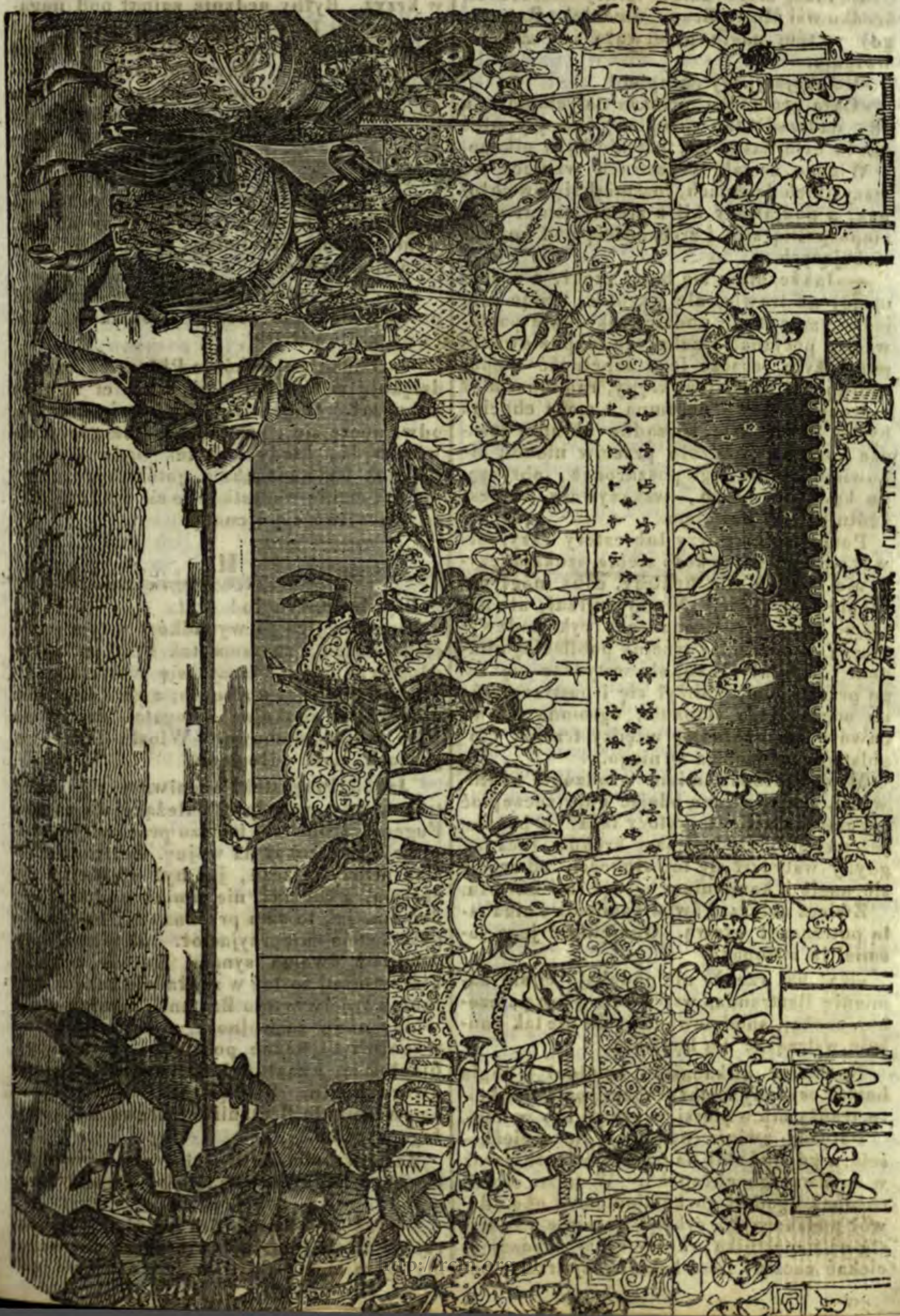
1. Młotek. 2 Kowadło. 3. Soczewka. 4. Strzemię. 5. Kanały. półkoliste. 6. Przysionek. 7. Okno okrągłe.

Badania anatomiczne nie wyjaśniły nam dotąd mechanizmu słyszenia. Dowiodły tylko, że zmysł słuchu, bardzo wcześnie rozwija się w płodzie i czynnym jest bardzo prędko po urodzeniu. Ale podobnie jak inne zmysły, długo doskonalonym bydź może. Ciągła praca doprowadza go do wysokiego stopnia doskonałości. Jakże wielki postęp uczynić może ucho dziecięcia, które doznaje pierwszych wrażeń dźwięku, nie mogąc ich ocenić, aż do chwili, kiedy będzie mogło rozróżnić wymawiane dźwięki, rozpoznać ich kierunek odległość, moc i brzmienie! Cóż może nas więcéj zadziwiać, jak ucho muzykanta, który pośród całéj orkiestry schwycić zdoła dźwięk najmniejszego instrumentu, oznaczyć właściwe dla niego miejsce i tak nieprzyjemnego wrażenia doznaje słysząc najmniéjsze uchybienie przeciw taktowi? Ciekawą byłoby rzeczą, wybadać powody nadzwyczajnéj władzy, którą na człowieku bądź to wykształconym, bądź dzikim, wywiera słuchanie kilku dźwięków i modulacyi. Wpływ muzyki daje się uczuć nawet na zwierzętach, na ludziach zaś wywiera niezwalczoną potęgę. I kogoż nie rozrzewnią żałosne dźwięki smętnéj i melancholijnéj muzyki? kogoż nie zapalą głośne brzmienia muzyki wojennéj? U Greków, nauka muzyki stanowiła nieuchronną część wychowania. Starożytni filozofowie wielką wagę do niéj przywiązywali. Przydanie trzeciéj strony do liry, uważano w Sparcie jako zamach przeciw obyczajom i bezpieczeństwu kraju: taki miały wpływ na ognistych duszach Greków, harmonijne dźwięki muzyki.

U dzikich, organ słuchu nie jest bardzo czuły, ale za to niezmiernie jest delikatny; za przyłożeniem ucha do ziemi, odgadnąć mogą liczbę, i kierunek swoich nieprzyjaciół, chociaż są jeszcze w wielkiéj odległości.

Na nieszczęście, organ słuchu podpada wielu chorobom zrządzającym głuchotę i prawie zawsze nieuleczonym. Gdy głuchota nie jest zupełna, używają trąbki, która zbierając dźwięki, ułatwia słyszenie. Zupełny brak słuchu, pociąga za sobą ważne dolegliwości. Jeżeli nastąpi w wieku późniejszym, głos się zmienia i chociaż mówi przysłowie: »krzyczeć jak głuchy« chory mówi na ostatek bardzo cicho i niewyraźnie. Jeżeli głuchota zasięga od urodzenia, towarzyszy jéj zaniemówienie. Chory bowiem nie słysząc żadnych dźwięków, nie może nauczyć się mówić. J ta okoliczność zasługuje na uwagę, że utrata słuchu nie bywa wynagradzana wydoskonaleniem innego zmysłu, gdy prawie zawsze utrata wzroku wydoskonala zmysł dotykania.

TURNIEJE.



MŁODOŚĆ BERTRANDA DUGUESCLIN.

W 1328, małe dzieci igrały wesoło na środku wsi Motte-Broon, niedaleko Rennes, gdy w tém nagle przerwało ich zabawę wołanie.

»Uciekajmy, zły chłopiec!

»Cała gromadka uciekła natychmiast, a gdy nadszedł ten chłopiec, mogący mieć około czternastu lat, już nie było nikogo. Widząc że taki przestrach wznieca we wszystkich dzieciach, rozśmiał się ów chłopak, a podjąwszy kij z ziemi, rzucił go z niepospolitą siłą i zręcznością pod nogi uciekających.

—»Jakże mnie się boją! rzekł, a potem usiadł na trawie; ale wkrótce, będąc sam jeden, zaczął się nudzić i okropnie ziewać; a przyznać trzeba, że to ziewanie pomnożyło jeszcze jego szpetność niepospolitą: był albowiem krępy, ramiona miał szerokie, głowę ogromną i małe chociaż bystre oczy. Nie porządne ubranie jeszcze gorzéj uprzedzało przeciw niemu; albowiem suknie jego poszarpane, obryzgane krwią i błotem, wskazywały że jest kłótnikiem i hultajem.

Poziewnąwszy trzy lub cztery razy, zerwał się i patrzał w koło siebie, szukając czyli nic takiego nie upatrzy, coby mógł zaczepić i udręczyć. Nic nie ujrzał, ale nareście usłyszał wychodzący ryk nadzwyczajny, z pomiędzy trzciny pobliskiego bagna. Zadrżał z razu, ale wstydząc się tego przestrachu, zbliżył się i postrzegł, że na odgłos jego stąpania, ogromna głowa bawołu pokazała się między trzciną i ogniste oczy wlepiła w niego.

Młody chłopak, mimo wrodzonéj kłótliwości, chciał z razu odejść i nie zaczepiać ogromnego zwierza, który leżał w bagnie; już nawet odszedł o parę kroków, lecz jak gdyby wstydził się téj słabości, odwrócił się nagle i kamieniem cisnął na bawołu.

Zwierz usłyszał świst kamienia i niedbale potrząsnął głową. Obojętność jego, ośmieliła chłopaka.

»Ha! ha! rzekł, nie podobają ci się kamienie Bertranda, wstrząsasz głową, czekaj, czekaj, spodziewam się że nie tak gnuśnie wstrząsać nią będziesz.

Nazbierał kilkanaście kamieni i nagle bawół osypany został gradem pocisków, które trafiły mu w piersi, w głowę lub w nogi.

Potężny zwierz podniósł się z ciężkością, a gdy już stał na nogach, wlepił wzrok w zuchwałego chłopaka. W téjże chwili chłopak ugodził go kamieniem w oko. Bawół podskoczył, ryknął boleśnie i rzucił się na napastnika, który czém prędzéj uciekać zaczął. Lecz bawół rozjątrzony bólem, biegł jeszcze prędzéj i wkrótce go doścignął..

Bertrand upadł, ciężko uderzony rogiem w krzyż. Byłby nędznie zginął pod nogami bawołu, lecz młody wieśniak który był świadkiem téj sceny, nadbiegł i widłami uderzył zwierza. Bawół obrócił się, pobiegł przeciw nowemu napastnikowi, a Bertrand podniósł się tym czasem. Ale mężny chłopak, chociaż zraniony, przybiegł natychmiast na pomoc temu, który go tak odważnie i w samą porę uratował. Schwycił sznur leżący na ziemi, rzucił go między nogi bawołowi i zdołał go obalić. Tym czasem inni ludzie przybiegli i poskromiono zwierza.

Zakrwawiony i okryty kurzawą, Bertrand posunął się ku młodemu wieśniakowi, który go uratował.

—»Dziękuję ci Jakóbie Plugastek, rzekł, dziękuję ci tém bardziéj, żem ci zawsze dokuczał. Odpłaciłeś mi dobrém za złe, odwdzięczę się i przysięgam, że gdziekolwiek bądź, kiedy kolwiek bądź i jakim kolwiek bądź sposobem, gotów będę uczynić dla ciebie wszystko, co się zgadzać może z uczciwością i cnotą.

II.

Pięć lat upłynęło!

Pięć lat! ileż to wypadków w tym przeciągu czasu, zarazem tak krótkim i tak długim, może zdarzyć się w życiu człowieka! Pięć lat upłynęło, a cała Bretania niegdyś tak spokojna i bogata, niszczona była wojną domową. Wioski leżały w gruzach, pola odłogiem.

Jakób Plugastek, ożeniwszy się przed trzema laty we włości należącéj do zamku Fugeraj, zrobił się bardzo pracowitym rolnikiem i narzekał na wojnę. Bertrand chociaż młody jeszcze, już był sławnym rycerzem, a chociaż nie umiał podobać się damom, jak to sam przyznawał, był za to postrachem nieprzyjaciół. Wysłany do Anglii z dwoma synami Karola z Blois, którzy mieli zostać w zakładzie za ojca, gdy ten powróciwszy do Bretanii, zbierze umówiony okup za wolność swoją, Bertrand wypełnił to ważne poselstwo z powagą i biegłością, i zasłużył na pochwały całego dworu Anglii. Słynął także w turniejach i powrócił do Bretanii ze sławą doskonałego rycerza.

Za powrotem dowiedział się, że wojska Karola z Montfortu, zdobyły zamek Fougeraj.

—»Już od trzech dni w nim goszczą, rzekł: niechaj zgotują wieczerzę, jutro zjemy ją za nich. Czyli tu jest czterech od-

ważnych żołnierzy, gotowych iśdź ze mną?

Wszyscy byli gotowi.

—»A więc w imie Boże, pojdziemy wszyscy.

Rozpowiedział co mają czynić i w trzy dni potem, czterech wieśniaków podstąpiło mrokiem pod mury zamku Fougeraj

—»Hola! hej! zawołali na straż, podnieście bronę? prowadzimy dwa wozy suchego drzewa; będziecie z nich kontenci, bo pan z Kraon, który wami dowodzi, posłał sługę swego, aby je natychmiast dostawić.

Zołnierz stojący na straży, zawołał na drugiego i podnieśli bronę.

W ówczas czteréj wieśniacy podjechali z wozem, ale tylko co stanęli pod sklepieniem bramy, złamało się jedno koło i wóz się przewrócił.

—»Niech cię szatan porwie! zawołał żołnierz; kwadrans upłynie, zanim będzie można spuścić bronę.

—»J nie ty będziesz ją spuszczał! odpowie jeden z wieśniaków, zadając śmiertelny cios żołnierzowi.

Jeden z jego towarzyszów, gwiznął na dwieście ludzi ukrytych w pobliskim lesie, a w kwadrans potém, jak powiedział Bertrand, jedli wieczerzę zgotowaną w zamku Fougeraj.

Po wieczerzy, rycerz Bertrand poszedł podług swego zwyczaju obejrzeć jeńców, aby wypuścić ubogich ludzi, a zatrzymać tych tylko którzy mogą zapłacić okup. Między pierwszemi poznał Jakóba Plugastek; kazał mu zbliżyć się.

Jakób ze drżeniem spojrzał na rycerza, którego po upływie lat pięciu poznać nie mógł, okrytego żelazem i noszącego długą brodę.

—»Słuchaj, rzekł: dowiesz się jaki będzie twój los.

Jakób rozumiał, że już zginął.

»Słuchaj, daję ci najpiękniejszy folwark we włości Fougeraj, daję ci piędziesiąt wołów i tyleż krów, dwieście morgów roli, nie licząc tego, iż każe wyryć dużemi literami na drzwiach ten napis przy moim herbie:

POD OPIEKĄ

RYCERZA

BERTRANDA DUGUESCLIN.

»Biada temu, kto się odważy dotknąć go; pożałuje tego; przysięgam, że dotrzymam słowa.

Jakób Plugastek osłupiały spoglądał na rycerza i mniemał iż mu się marzy.

—»Czy nie pamiętasz, mówił daléj rycerz, o chłopaku, który zabijał twoje kury, kradł twoje jabłka i zaczepiał twoje bawoły? Czy nie pamiętasz, że zamiast skarżyć się przed jego matką, mówiłeś tylko: »ta młodość wyszumi« czy nie pamiętasz że bez twojéj pomocy byłby zginął zabity od bawoła? Przyrzekłem, iż ci dopomogę w razie potrzeby; teraz nadeszła pora. Bądź więc bogatym i szczęśliwym, a jeśli cię kto skrzywdzić zechce, powiedz mu: »Strzeż się rycerza Bertranda Duguesclin»

III.

W r. 1359 Duguesclin bronił miasta Dinan oblężonego przez xięcia Lankastru; zawarto zawieszenie broni, na dni kilkanaście.

Rycerze dwóch wojsk nieprzyjacielskich, dla uprzyjemnienia tych chwil wypoczynku, staczali turnieje, oczekując chwili, kiedy będą walczyć na prawdę, Duguesclin, był jeden z najczynniejszych w tych rozrywkach wojennych.

Pewnego dnia, gdy jechał na turnieje w towarzystwie giermków, jeniec wybladły i obciążony więzami, padł mu do nóg, wołając o ratunek i miłosierdzie. Rycerz poznał Jakóba Plugastek, którym się opiekował.

—»Panie, rzekł wieśniak, zlituj się nademną! zabili moją żonę i dzieci, spalili mój folwark i rzekli do mnie: tém więcéj ucierpisz, że tobą opiekuje się Bertrand Duguesclin.

—»A któż to zrobił?

—»Ludzie pana z Kantorbery i on sam.

—»Ach! ach! rzekł rycerz nie okazując mocniejszego wzruszenia. Już mi jedną krzywdę wyrządził; chciał wziąźć w niewolę młodszego brata mojego, mimo zawieszenia broni; zobaczymy co z tego wyniknie.

To mówiąc, skierował koniem ku namiotowi xięcia Lankastru. —»Mości xiąże, rzekł: mieliśmy odbywać turnieje, a ja żądam pojedynku, walki na śmierć, za dwie zniewagi, które wyrządził mi Tomasz pan z Kantorbery.

»Przed ośmiu dniami, schwytał mojego brata, dziecię które ufając zawieszeniu broni, wyszło z miasta. Wymierzyłeś mi sprawiedliwość, oświadczając, iż nie życzysz sobie, ażeby stoczono walkę. Ale dzisiaj dowiaduję się, że człowiek, którego wziąłem pod moją opiekę, został mimo zawieszenia broni, zrabowany, zniszczony, pozbawiony żony i dzieci, a to przez tegoż samego Tomasza z Kantorbery. Wyzywam go więc do walki, niechaj Bóg sprzyja dobréj sprawie.

Xiąże Lankastru, uległ naleganiu Duguesclina i oświadczył, że walka odbędzie się natychmiast.

Udano się więc na miejsce gdzie na turnieje zgromadziło się, rycerstwo wojsk obu, a Herold ogłosił że Bertrand Duguesclin wyzywa na śmiertelną walkę Tomasza z Kantorbery. Wtedy Tomasz wystąpił w szranki, i wkrótce wszczęła się walka.

Złamawszy włócznie, dwaj rycerze skoczyli z koni i uderzyli na siebie, w jednéj ręce trzymając topór a krótką szpadę w drugiéj. Walka była długa i straszliwa, albowiem dwaj rycerze równą mieli zręczność i siłę.

Tomasz z Kantorbery zadał tak straszny cios Duguesclinowi w głowę, iż szyszak rycerza bretońskiego skruszył się, a czoło jego zostało obnażone i bez obrony.

Jakób Plugastek, który modlił się klęcząc, pod czas téj okropnéj walki, rozumiał że już zginie jego dobroczyńca, ale Duguesclin szybki jak błyskawica, rzucił się na swego przeciwnika, schwycił go i powalił na ziemię, a nastąpiwszy mu nogą na piersi, rzekł:

Ach! mości Tomaszu z Kantorbery, chciałeś znieważyć mię i skrzywdzić tego który był oddany pod opiekę samych nawet prawych nieprzyjaciół; otoż okazałem w obec wszystkich, że jesteś zdrajcą, przewrotnym i złym człowiekiem i że tylko umiesz walczyć z dziećmi i bezbronnemi lennikami.

Tomasz z Kantorbery dusił się pod hełmem. Heroldowie chcieli mu przyjśdź na pomoc.

—»Nie wy! zawołał Bertrand Duguesclin, nie wy! niechaj się nikt nie waży przystąpić. Ten tylko, którego skrzywdził, może mu darować życie, jeźli taka będzie jego wola.

»Hej, poczciwy Jakóbie, pójdź tu i zobacz co chcesz zrobić z tym rycerzem, który w brew zawieszeniu broni, zabił twoją żonę i dzieci, a ciebie uprowadził związanego. Weź sztylet i zabij go, albo też naznacz okup, a jakikolwiek będzie, choćby najdroższy, przysięgam że go zapłaci.

—»Jego krew nie przywróciłaby życia mojéj żonie i dzieciom; niech więc żyje! odpowiedział Jakób.

Tomasz Kantorbery wstał wreście, pośród szyderczych krzyków rycerstwa. Xiąże Lankastryi kazał mu opuścić szranki i wrócić do Anglii. Rozkazano mu także odbudować dom Jakóba Plugastek i wojska szanowały go przez cały ciąg wojny.

Dom stał jeszcze we dwa wieki po śmierci rycerza, z tym napisem we trzech językach, angielskim, francuzkim i bretońskim.

POD OPIEKĄ

RYCERZA

BERTRANDA DUGUESCLIN. (a)

RENIFER.

(*Cervus Tarandus.*)

Ze wszystkich gatunków objętych w rodzaju jeleniów, najsławniejszym jest Renifer, czyli ren który w północnych stronach globu, sam zastępuje wiele zwierząt domowych przeznaczonych do użytku człowieka. Dla tego też ren jest dla Lapończykow tém, czém wielbłąd jest dla Araba, czém są dla nas woły, barany, i kozy. W renie znajdujemy nowy przykład téj doskonałéj zgodności, tego cudownego stosunku między ludźmi, naturą i jéj płodami, zgodności, która dla każdego chociażby najbardziéj ograniczonego człowieka, jest dowodem mądrości i opatrzności Boga.

Jednakże najużyteczniejszy ze wszystkich jeleni, nie jest najpiękniéjszym z pomię-

(a) Bertrand Duguesclin, wielki hetman Francyi, hrabia Burgos i Longueville, słynął we Francyi za panowania królów Jana i Karóla Vgo, urodził się 1311 w Bretanii; mając lat szesnaście, odniósł tryumf na turniejach w Rennes na które pojechał ukradkiem, mimo woli ojca, pożyczywszy konia od młynarza. Od téj chwili nie składał oręża. Odzyskał zamek Fougeraj, a potém zwyciężył Tomasza z Kantorbery. Po nieszczęsnéj bitwie pod Poitiers, wiele przyłożył się do uratowania Francyi. Karól V. bardzo go cenił. W bitwie pod Coherel głównie przyłożył się do zwycięztwa. Gdy potém w bitwie pod Apras dostał się do niewoli, wielki okup król zapłacił za niego. Odbył wyprawę do Hiszpanii i został wielkim hetmanem Kastylii, xięciem Molina i hrabią Burgos. W r. 1370, został wielkim hetmanem Francyi. Umarł w r. 1380 mając lat 69, ciało jego złożono w grobach kościoła S. Dyonizyusza, obok grobu Karola Vgo.

RENIFER.



dzy nich. Jego ciało, jest krępe i niekształtne, nogi ma krótkie i grube, racice niezgrabne i szerokie, i słusznie postrzega pewien naturalista, że podobniejszy jest do wołu, niżeli do jelenia. Rogi, które są taką ozdobą głowy jelenia, nie są bynajmniéj ozdobą rena, są bowiem niezmiernie wielkie i niezgrabnie spłaszczone. Sierść długa, gęsta, ma na początku każdego roku, płowy kolor, ktory wyjaśnia się powoli i na ostatku jest białawym, w koło pyska, ogona i nad racicami, jest wązkie pasmo białe, oczy otoczone są pasmem czarném. Ren dorównywa wzrostem jeleniowi i nie odznacza się bynajmniéj ani kształtem, ani kolorem; w tym względzie podobny jest do wielu użytecznych przedmiotów, posiadających prostą i skromną powierzchowność.

Ren znajduje się we wszystkich prawie krainach północy, bądź to w stanie dzikim, bądź też w domowym, zacząwszy od 60 stopnia szerokości północnéj.

Jego historya naturalna nie wiele może zajmować w kraju, gdzie jeszcze jest pomięszany z innemi zwierzętami, które służą do użytku człowieka, ale jest niezmiernie zajmująca w tych krainach, gdzie zastępuje miejsce wszystkich i gdzie życie ludzi zależy od życia rena. Samiec służy do przewożenia lekkich ciężarów, a zwłaszcza zaprzęgają go do sanek i z nadzwyczajną szybkością przebiega wielkie przestrzenie. Samica daje na dzień funt mleka, które Lapończycy piją, albo też robią z niego sery. Mięso rena zachowuje się dosyć długo i cztery osoby wyżyć mogą jednym renem przez tydzień. Ze krwi robią kiszki; ozór i wątroba są bardzo smaczne. Ze skóry pokrywającéj głowę, jako najtwardszéj, robią obuwie, z reszty skóry szyją odzież, a z skórki młodych renów koszule. Robią z niéj także bardzo ciepłe kożuchy, sakwy na żywność i żagle. Żyły służą zamiast nici, pęcherza używają zamiast butelki, z rogów nareście wyrabiają rozmaite narzędzia.

Oswojenie renów, hodowanie, żywienie, obuczanie, jest głównem zatrudnieniem Lapończyków, niektórzy z nich posiadają gromady składające się z kilkuset a czasem z tysiąca renów. Najuboższy Lapończyk posiada przynajmniéj dwanaście sztuk i one wyżywią całą jego rodzinę. Nie jest to rzecz łatwa, dostarczyć żywności dla takiego mnóstwa zwierząt pokrywającego całą Laponią. Na wiosnę i w lecie, reny żywią się pączkami i gałązkami roślin i krzaków, lecz w zimie, gdy wszystko śnieg pokryje, a cała wegetacya obumiera, wówczas reny umarłyby z głodu, gdyby natura nie opatrzyła ich środkami ratunku. Na pniach starych sosen i wzdłuż najgrubszych konarów, znajdują się obficie mchy, mające tę własność, że mogą rosnąć pod śniegiem. One są zimowym zapasem renów; instynktem wiedzione, umieją odgrzebywać śniegi i ogry-

zać mech, leżący pod ich gęstym pokładem. Ale zdarza się czasem, że wielkie deszcze spadną przed śniegami: a wtedy reny daremnie odkopują śnieg, nie mogąc dostać się do mchu pokrytego warstwą lodu. W ówczas Lapończykowie ścinają drzewa, aby reny mogły ogryzać mech rosnący na gałęziach. Szczęściem, zwierze to żyjące roślinami, może jeść na przypadek głodu, żaby, szczury, owady i t. d.

Z resztą rzadko zdarza się, aby do téj ostateczności przywiedzione było. Lapończykowie starają się rozmnażać mech w swoim kraju, a doświadczenie nauczyło ich, że po wypaleniu lasów, mech puszcza się najobficiéj: palą więc corocznie część lasów, a po kilku latach, ich trzody znajdują obfite pożywienie na wypaloném miejscu.

Zaopatrzywszy w żywność reny, Lapończyk czuwa nad tém, aby ochronić je od napadu dzikich zwierząt. Rogami i racicami, ren broni się odważnie przeciw wilkom, lecz nie może stawić żadnego oporu rosomakowi który ukryty między gałęziami drzewa, rzuca się na grzbiet zwierza, przyczepia się do swojéj zdobyczy i rozdziera ją mimo wszelkich jéj usiłowań. Jest jeszcze drugi niebezpieczniejszy nieprzyjaciel rena: ponieważ nie mogą uwolnić się od niego same, a ich pan nie może im przynieść żadnéj pomocy: jest to gatunek owadu, zwany gzikiem, którego liszki gnieżdzą się pod ich skórą i krew wysysają. Tak srodze kaleczą te biedne zwierzęta, iż nie raz ich skóra, cała pokryta jest bliznami. Nic nie może uwolnić ich od téj plagi. Same tylko kruki przynoszą przerwę ich męczarni, lecz lekarstwo gorsze jest od choroby; te ptaki siadają na grzbiecie pacyentów, dziobem rozdzierają ich rany i wydobywają owad, któren bardzo lubią. Reny tak dalece się tego ptastwa lękają, że skoro je tylko postrzegą, uciekają rozjuszone i przelękłe.

Chociaż lubią błąkać się po pustych obszarach, kilkaset renów posłuszne są jednemu człowiekowi i oswoją się bardzo prędko. Lubią nawet leżyć przy ognisku w pośród kłębów dymu, który wyniszcza owady tak im dokuczające.

Nieporozumienia przerywają czasami tę zażyłość; wielbłąd zrzuca z siebie zbyteczny ciężar, ren daléj się posuwa; gdy mu się zdaje, że go zaprzężono do sanek zbyt ciężkich, wpada w najgwałtowniejszą wściekłość i obraca się przeciw swemu powoźnikowi, który w takim przypadku nie ma innego środka, jak tylko obalić sanki i schować się pod nie, dopóki gniew rena nie przeminie. Lecz rzadko zdarzają się te kłótnie, a Lapończyk i ren żyją z sobą w jak najlepszém porozumieniu.

MARCIN BIELSKI.

Mija lat 260 jak zakończył życie w sędziwym wieku Marciu Bielski, ów zasłużony pisarz dwóch kronik, co dla języka naszego wielkie położył zasługi. Jeżeli *Kronika Polska* przez powtórzone wydania jest więcéj znajomą, a kronika świata do rzadkich osobliwości bibliograficznych należy, zostawił Marcin Bielski prócz tego drobniejszych dzieł cztery, z których trzy przez rzadkość swoją mało komu znane, czwarte zupełnie żadnemu z bibliografów nieznajome, w jedynym dotąd exemplarzu dochowane widziałem.

Pierwsze po kronikach wspomnianych, godne zająć miejsce, jest dzieło pod napisem:

»Sprawa Rycerska według postępku i zachowania starego obyczaju rzymskiego, greckiego, macedońskiego i innych narodów, pierwszego i niniejszego wieku, tak pogańska jako i chrześciańska, z rozmaitych xiąg wypisana, ku czytaniu i nauce ludziom rycerskim pożyteczna.„ Xiążki na ośm części rozdzielone. Cum gratia et privilegio S. R. M. w Krakowie: drukowano u Mateusza Siebeneychera, roku pańskiego 1569 in 4to, przypisane Albertowi z Łaska.

F. Bentkowski w Hist: Lit: Polskiéj, pomieścił dzieło to między bezimiennemi, lubo na czele wiersza do rycerstwa, podpisał się *Marcin B.*

Dzieło pomienione, wielce wyjaśniające dawny sposób wojowania, mimo swojéj wartości drugi raz nie przebite, stało się rzadkością osobliwą i mało w któréj bibliotece jest widziane.

2do. Syem (Sejm) niewieści Marcina Bielskiego. Teraz nowo przez Joachima Bielskiego, syna jego wydany roku pańsk. M. D. X. C. V. — pod tytułem na jednéj że stronie rycina, wyobrażająca dziesięć białych głów w dawnych ubiorach siedzących przy stole na radzie. Stron liczbowanych 39, na końcu: »w Krakowie w drukarni Jakóba Sibenejchera, roku pańskiego 1595, in 4to.

H. Juszyński, widać że nie znał téj broszurki, gdyż tytuł jeno i to skrócony przytacza (Dykc: poet: P. T. I. st. 26), a F. Bentkowski (w T. 1 str. 408 Hist: Lit: Pol:) z notat ją B. Lindego opisuje.

Poemat ten wystawia radzące białegłowy. Do życia domowego ówczesnéj szlachty i kobiet, znajdzie tu badacz nie mało pomocy, a przytém ciekawe opisy obron i dobywania zamków, stawa-

nia w szyku, słowem dawnego sposobu wojowania, czegobyśmy napróżno szukali i w Bielskiego kronice, i w *sprawie rycerskiej* powyżéj opisanéj. Tu pierwszy ślad mamy, kiedy wyraz *kobieta* nastał, gdyż zgromadzone białegłowy, uważają to sobie za wielką hańbę.

»Ku więtszemu zelżeniu, kobietami zową,
»Każdy dzień by chciał pojąć żonę sobie nową.

Język czysty, wyrażenia dosadne, obrazy mocne i prawdziwe, zalecają ze wszechmiar ten poemat Bielskiego. Taki nam stawia obraz pijaków podówczas nierzadkich.

»Rzadko chłop bywa trzeźwy, zawzdy się popiją,
»Wstanie ku południowi, oczy mu zagniją,
»Szatę zgniótł, ociera się, idzie do kościoła,
»Twarz pijana, zapuchła, ujadła go pszczoła.

Że mężowie, nie osobliwie dobrze obchodzili się z żonami, wyczytujem tu dowód, kiedy mówi:

»Na wszystkie zbytki świata, młodzi się udali,
Drudzy z małżonek swoich szaty poprzegrali,
Naostatek nie mają nad kimby się mścili.
Jedno by żony swoje, upiwszy się bili.
A drudzy je już w klozach w więzieniu chowają,
Ledwo kęs chleba z wodą, oknem jeść podają.

3tio. »Sen majowy pod gajem zielonym jednego pustelnika, przez Marcina Bielskiego napisany i teraz nowo przez Joachima Bielskiego syna jego wydany, poniżej rycina wyobrażająca pustelnika uśpionego i senne widziadła, które poemat ten opisuje. Joachim Bielski poświęcił go Stanisławowi Szafrańcowi z Pieskowéj Skały, wojewodzie Sędomirskiemu, którego przyrównywa do Scypiona, Herkulesa i Polluksa z Kastorem.

Wiersz pisany z powodu wojny węgierskiéj, wystawia Polską, Węgierską, a w końcu i Wołoską ziemię rozmawiające. Broszura, lubo pod względem języka ma też same zalety co i poprzedni Sejm niewieści, w wartości historycznéj wiele ustępuje, bo dziejom i starożytnościom żadnego prawie materyału nie poda, stron liczbowych 19 w końcu miejsce druku i czas, »w Krakowie w drukarni Jakóba Siebenejchera roku 1590. in 4to.

4to. »Rozmowa nowych proroków, dwu baranów o jednéj głowie, w Krakowie w drukarni Jakóba Siebenejchera 1587 in 4to.

Poemat ten jest zupełnie nieznany i przez żadnego bibliografa dotąd nie widziany. Jedyny exemplarz widziałem w księgozbiorze Mikołaja Walryka Cieńskiego, w Cyrkule Kołomyjskiem w Galicyi. Jak poprzednie dziełka, tak i to równie z Sejmem niewieścim, podaje nie mało badaczowi wątku do skreślenia starych, wiernych, historycznych obrazów domowego życia XVIgo wieku.

Powziąłem wiadomość, że Marcin Bielski zostawił jeszcze w rękopiśmie 20stu arkuszowym poemat pod napisem »Wojna Kokosza.« który w prywatnym księgozbiorze ukrywa się dotąd, nie mając sposobności ani czytania ani widzenia, nie kładę go przeto w poczet pism Bielskiego.

K: Wł: W.

LITERATURA.

Są u nas pisma użyteczne, wypracowane należycie i zawierające wiele przyjemnych i zajmujących wiadomości i artykułów, przecież prawie nieznane ogółowi czytelników, dla tego, że są głównie jednemu przedmiotowi poświęcone. Takim jest Sylwan, Zbiór Urządzeń leśnych i łowieckich.

Pismo to, wydawane staraniem Dyrekcyi dóbr i lasów Rządowych, upowszechnione między urzędnikami leśnictwa, prawie nieznane jest za tym obrębem. Sądzimy przeto za rzecz stósowną, umieścić z niego kilka wyjątków ogólne wzbudzających zajęcie.

W dwóch ostatnich Tomach Sylwana wydanych w r 1834—35, znajdują się oprócz części urzędowéj, następujące artykuły:

O Bażantach i Bażantarniach.
O twardości drzew.
Historya Łowiectwa przed wynalezieniem prochu.
Królestwo zwierzęce.
Nauka Leśnictwa właściwego w całéj obszerności.
Uprawa lasów.
Teorya ugruntowania Leśnictwa rządowego.
Użytkowanie lasów i Technologia leśna.
O spławie drzewa z terminologią orylów, flisów i majtków.
O ptakach w ogólności.
O wyżle czyli psie legawym.

W oddziale *Rozmaitości* znajdują się artykuły przyjemnéj rozrywce poświęcone, podług starego prawidła, *utile dulci*, między niemi są poezye, jednę z nich, Polowanie na Kuropatwy, umieszczamy na teraz. Późniéj zajmiemy się innemi przedmiotami z tegoż dziennika.

POLOWANIE NA KUROPATWY.

Poema w trzech pieśniach.

przekład B. Hr. K.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Gdy błogiem ciepłem słonecznych promieni,
Soczysta gruszka złotem się rumieni;

Gdy leśny orzech z swéj łuski wytryska
I wino w czarce kryształowéj błyska,
Gdy się ku ziemi gną brzemienne kłosy
I stożą suche ostatnie pokosy;
I mnie na polu zastaje dzień nowy
Gdzie *kogut* (1) wabi na bezpieczne łowy.

Słuchajcie! lotna zwierzyna *cięgocze* (2)
Z mokrych łąk stado farbówek ochocze
W podrywczym biegu porzuciwszy *siadło*,
W pszeniczne pole do rodziców wpadło.
Jakby ci radzi swe potomstwo młode
Ustrzedz i każdą odwrócić przygodę.
Lecz już godzina rozstania wybija,
Bo słońce bystrzéj śród nieba się wzbija.

Ledwie noc swego wyrzecze się berła
I z listka spadnie pierwsza rosy perła,
Dostrzegaj bracie znanemi ci godły,
Gdzieby ci lepiéj łowy się powiodły;
I spuść legawca co karny i gracki,
Wprawił się w łowcze sztuki i zasadzki,
I biegnąc rączo przez łasów obszary,
I wietrząc górą, tropi swe ofiary.

Swym bystrym węchem zwietrzył on z daleka
Miedzę, gdzie kłosy kołyszą się z lekka;
Gdzie młode dziatki zgromadziwszy starka,
Bez trwogi z niemi smacznie dziobie ziarka.
Przestańcie żeru gdy wam miłe życie,
Bo wkrótce zgubę nad sobą ujrzycie;
Baczny wzrok strzelca, wyżła węch wytropny,
Stadu waszemu niesie zgon okropny.

Słyszycie szelest! nie chceciеż odbiegać?
Jeźli będziecie tak trwożnie dolegać,
Podstępny wyżeł cel żądań pozyska.
Patrzcie! przystanął i wasze *paprzyska* (3)
Zdradza strzelcowi, który niecierpliwie,
Ledwie w żądaném wstrzymując się żniwie,
Dał legawcowi hasło umówione,
By dosiądz strzałem ofiary spłoszone.

Kogut najpierwéj zerwawszy się leci,
Pewny że za nim śpieszą jego dzieci;
Lecz już mu więcéj nie staną przed oczy,
Bo tknięty gromem we krwi własnéj broczy.
Znów dwoje fruga i upada dwoje,
Trafnéj dźwirówki poczuwszy naboje;
Ich matka w łąkę przemknęła się żwawie,
I resztę dziatek zakopała w trawie.

Lecz próżno skrytéj ustroni szukacie!
Na bliskim wzgórku stojący na czacie,
Ujrzał wasz odwrót pastuszek ciekawy;
Do myśliwego śpieszy z zdaniem sprawy,
I w głos do niego te słowa powiada:
Próżno wyglądasz spłoszonego stada,
Już odleciało, i w owym grądziku,
Jakby w bezpiecznym kryje się tajniku.

Z gęstéj leszczyny, nie bojąc się zdrady,
Wabi rozpierzchłe matka do gromady,
Lecz na trzech zwłokach strzelec i legawy,
Jeszcze myśliwskiéj nie kończą wyprawy.
Znów lekko wyżeł czai się warnje,
A strzelec za nim cicho postępuje,
I wypłoszoną pyszną *starkę* z krzaka,
Bierze na oko i puszcza grot w ptaka.

Lecz ptak nie pada przed grzmiącym myśli-
Wierny legawiec przynosi go żywcem. (wcem,
Głaszcz towarzysza, lecz mu zręczną siłą,
Z żarłocznych zębów wyrwij zdobycz miłą;
I gdy się nie chcesz dać litością wzruszyć,
W kark kołąc piórkiem, (4) śpiesz zdobycz za-
Bo własne serce mieć będzie za karę, głuszyć;
Kto mogąc zabić morduje ofiarę.

Powściągnij chciwéj namiętności wodze.
Lotnéj zwierzyny nie wytępiaj srodze;
Kilku rodzinom daj się schronić lotem,
I ołowianym nie sięgaj ich grotem;
A po niejakiéj xiężyca odmianie,
Miłe ci będzie téj pory spotkanie.
Za wstrzemięźliwość dostąpisz nagrody,
Gdy nową korzyść da ci płód jéj młody.

Kiedy ci szczęście sprzyjało niezmienne,
Skromną zdobyczą zakończ łowy dzienne.
Miłość cię w swoją zachwyciła tkankę,
W pięknéj małżonce masz razem kochankę;
W nagrodę trudów uścisk ci przyrzeka,
I tęschna w domu znużonego czeka.
Patrz! o to wyszła o ciebie troskliwa,
Chustką znak daje, i pieszcząc cię wzywa.

(Dokończenie w następującym zeszycie.)

W Wilnie, u Teofila Glicksberga, xięgarza i typografa Cesarskiej Akademii Medyko-Chirurgicznéj i Białoruskiego naukowego okręgu, wychodzi *Słownik Polsko-Rossyjsko-Francuzki, w dwóch tomach, in 8vo majori*, zawierający do 60 arkuszy druku.

Trzech redaktorów głównych podjęło się redakcyi tego dzieła: WW. B. Waliszkiewicz i Sadowski co do języka polskiego i francuzkiego, a W. Mikołaj Dimitriewicz Dimitriew Professor, co do języka rossyjskiego. Znany z prac swoich naukowych, W. Stanisław Górski Professor Botaniki, wypracował terminologią nauk przyrodzonych. Słownik ten, ile bydź może najzupełniejszy, odznaczać się będzie od innych, obfitością wyrazów technicznych i naukowych.

Widzieliśmy połowę tego dzieła już wyszłą z pod prassy; druk i papier jest piękny. Cały Słownik ukończony będzie przed I Lipca 1837 roku. Cena prenumeraty jest złp. 20 na oba tomy. Po ukończeniu druku, znacznie podwyższoną będzie. W Warszawie prenumerować można w xięgarni Emanuela Glicksberga przy ulicy Miodowéj.

---

(1) Samiec kuropatwy. (2) głos wydaje. (3) gniazda. (4) Postrzeloną kuropatwę dobija się, kołąc piórkiem w kark między atlasem i [illegible]

WALKI BYKÓW.



Walki byków sławne w Hiszpanii, obudzają ciekawość tak pod względem szczegółów bitwy, jako też obyczajów i upodobania narodu, który się im z taką namiętnością oddaje. Bo chociaż walki byków liczą się do zabaw gminu, jednakże mieszkańcy wszystkich stanów, tłumem zbiegają się na to widowisko, a mianowicie kobiety. Townsend podróżny angielski, tak je opisuje:

W niedzielę wieczorem wróciłem do Madrytu, a nazajutrz z rana poszedłem przypatrzéć się walce byków na amfiteatrze, mającym 330 stóp średnicy, w którém pole walki ma stóp 230. Był obecny temu widowisku urzędnik policyjny z dwoma niższemi dla utrzymania porządku.

Walczący nazywają się w ogólności Toreadorami, dzielą się na Pikadorów, walczących z konia i Matadorów, walczących pieszo.

Gdy ten urzędnik dał znak, otworzyły się podwójne drzwi i zaraz byk wypadł na plac bitwy. Na widok mnóstwa ludu w około, zatrzymał się i spojrzał na wszystkie strony, jakby dla upatrzenia kogoś, na któregoby wściekłość swoję mógł wywrzéć. W tém Pikador, czyli jeździec, z włócznią wystąpił. Postąpili oba ku sobie, zastanowili się w miejscu i przypatrzyli się sobie nawzajem; poczém byk zwiesiwszy łeb i zgromadziwszy swe siły, zamknął oczy i rzucił się na przeciwnika. Pikador z zimną krwią, powstawszy na strzemionach, zwrócił wściekłego zwierza włócznią. Ale nie zawsze się to udaje; jakoż jeden z byków walczących, spiąwszy się na zadnie nogi, uderzył łbem w piersi Pikadora, zgruchotawszy wprzód włócznią, rzucił go o podal na plac walki, i konia obalił. Co widząc Chalosowie, zręczni młodzieńcy, mający chorągiewki czerwone, wpadli na środek obwodu dla roztargnienia byka, a tym czasem Pikador wycofał się z miejsca utarczki. Wystąpił znowu inny Pikador na koniu. Zwierz zachęcony pierwszém zwycięztwem, poskoczył na przód, lecz wstrzymany został włócznią; nim atoli koń zdążył obrócić się, byk znowu skoczył i podsadziwszy się mu pod brzuch, rzucił go w górę a jeździec upadł. Wypadli znowu Chalosowie, ułatwili jeźdźcowi ucieczkę, a tym czasem ów pierwszy Pikador stanął do bitwy na świeżym koniu. Ten padł ofiarą wściekłości byka, który uniknąwszy sztychu włóczni, przebił konia na wylot.

Zdarza się niekiedy, że za jednym razem

i jeździec bywa zrzucony i koń miewa brzuch rozpruty. Widziałem trzynaście koni jednego poranku ubitych, a często i więcéj ich ginie. Tak zaś są odważne, iż lubo śmiertelny cios odbiorą, nie ustępują jednak z miejsca.

Gdy byk zmęczony nie chce już walczyć, puszczają na niego Chalosów. Są to młodzieńcy uzbrojeni w małe strzały, któremi byka w kark ugadzać powinni; tym końcem draźnią go i do uderzenia na siebie podbudzają. Jak tylko zaś zamknie oczy i czyni mały przestanek, który zazwyczaj porwanie się jego poprzedza, wypuszczają do niego jednę strzałę i umykają. Jeźli go nie mogą pobudzić do rzucenia się, pokazują mu moleta czyli chorągiewkę szkarłatną, którą w lewéj ręce trzymają, i na ów czas byk pędzi się ku niéj; ażeby zaś mogli uciec, rzucają ją, gdyż byk zastanawia się pospolicie dla powąchania jéj i stratowania nogami; lecz niekiedy także nie spuszcza z oka nieprzyjaciela, i z taką go szybkością ściga, że ledwie zdąży przeskoczyć za zagrodę. Widziałem, jak niektóre byki i za nię, lubo na sześć stóp wysoką, przeskakiwały. Za tą znowu jest druga nierównie wyższa dla bezpieczeństwa widzów tuż przy niéj siedzących, a słyszałem od osób godnych wiary, iż zdarzały się takie przypadki, że byk rozpędziwszy się z placu walki, doskoczył nawet aż do ławek amfiteatrowych.

Gdy walka ze 20 minut potrwa, nadchodzi chwila nieuchronnej śmierci byka, i ten wypadek jest ciekawszy. Występuje bowiem Matador z mieczem w prawéj, a z chorągiewką w lewéj ręce. Przez czas walki stara się on poznać charakter byka i uważa wszystkie jego poruszenia, aby osądził u siebie, jak się z nim ma obejść. Jeźli byk natarczywy a nie chytry w walczeniu, zowią go claro (otwarty), i w tym razie Matador postępuje ku niemu z śmiałością i pewnością łatwego zwycięztwa; ale jeżeli byk ostrożny i chytry, jeżeli zimną krew okazuje, i zwolna do działania przystępuje, a szybko je wykonywa, zowią go oscuro (skryty),i natenczas najdoświadczeńszy i najwprawniejszy Matador wzdryga się nieco. Wstrzymuje on rozjuszonego przeciw sobie zwierza, tyle czasu, ile mu potrzeba, aby mógł zadać nieprzyjacielowi śmiertelny cios z przodu. Często dozwala mu Matador ścigać siebie po placu bitwy, oglądając się w tył dla pomiarkowania, czyli w złym razie umknąć potrafi. Jeden z tych Matadorów, nazwiskiem Popillo, tak był przytomny i zręczny, że gdy go byk dosięgał przy zagrodzie i gotował się uderzyć na niego, wskoczył między rogi jego i umiał korzystać z podrzucenia łbem byka, wtenczas bowiem przeskoczył lekko zagrodę.

Podczas bytności mojéj w Hiszpanii, dwóch Matadorów zginęło w Kadyxie od jednego byka. Byli oni bracia; jeden z nich padł ofiarą niezręczności albo nieprzychylnego mu szczęścia; drugi wpadłszy na plac walki nie ostrożnie i rozpalony zemstą, stał się ofiarą lekkomyślności.

Gdy Matador jest biegłym w sztuce swojéj, wytrzymuje zwierza w zupełnéj spokojności i nareście go rozjusza tak, iż sam wpada na zabójcze żelazo. A naprzód godzi Matador w część przedzielającą ode łba pierwszy pacierz w karku, w którą gdy utrafi, wół pada, ale i kropli krwi nie traci; jeźli tego dokazać nie może, mierzy do serca. Zdarza się czasem, iż lubo miecz w piersiach utkwi, nie dojdzie przecież do serca, lub do płuc, i ja sam taki przykład widziałem; miecz ugrzązł w byku aż po rękojeść, ale poszedł wzdłuż żeber nie sięgnąwszy pod samą pierś, dla tego rozjuszony zwierz wyrzucił go rzucając się i skacząc. Pewnego dnia chybił Matador, a byk porwał go na rogi i dwa razy w górę wyrzucił, nim go wyratować zdążono. Nie wiele on wprawdzie przez to szwankował, co do zdrowia; lecz szkodował na sławie w oczach widzów, któréj nie odzyskał, aż im po ubiciu byka okazał, że róg w który ugodził, na dwa cale był dłuższy od drugiego. Gdy byk plac bitwy otrzyma, kopie ziemię z zajadłością, a gdy konia ubije, tratuje go, jeźli mu na to Chalosowie czas dadzą.

Jak tylko byk zdechnie, odzywają się trąby i trzy muły wpuszczone na pobojowisko, wyciągają go z niego. Co tydzień, a często i dwa razy w tygodniu latem, bywają takie walki i ginie w nich sześć byków z rana, a dwanaście wieczorem. Dawniéj występowano do téj walki na bardzo drogich koniach i mało ich ginęło; ale od czasu używania tańszych, a zatem podlejszych, ginie ich wiele, tak dalece, iż niekiedy w jednym dniu po sześćdziesiąt bywa ubitych. Jeden na drugiego rachując sześć tylko czerw: złot: holenderskich, taki koń kosztuje, a byk szesnaście. Wydatki na to widowisko są wielkie, jakem się z przejrzanych rachunków przeświadczył.

Czasami walki byków odprawiają się na broń przytępioną, to jest że przyprawiają kule drewniane do rogów byka, a Matadorowie i Pikadorowie, walczą przytępioną włócznią i mieczem, lecz pospólstwo nie lubi tego rodzaju widowisk. Wtedy ucieszy się należycie, gdy ze dwadzieścia byków zginie w przeciągu widowiska, a przytem kilku walczących padnie na placu.

W tych uroczystych walkach, ani jedno miejsce nie pozostanie próżne i walka byków jest dla całego miasta najważniejszym wypadkiem.

Walki byków w Hiszpanii przypominają igrzyska w cyrkach rzymskich i nie raz możni panowie hiszpańscy, za przykładem możnowładzców dawnego Rzymu, sami wstępują w szranki i walczą o pierwszeństwo z Torredorami z rzemiosła. Jeden z członków najznakomitszéj rodziny w Portugalii, zginął walcząc z bykiem. Podczas pobytu Francuzów w Hiszpanii, za czasów Napoleona, jeden z wyższych oficerów wojska francuzkiego, chciał także walczyć z bykiem, wystąpił w szranki, a jego siła, zręczność i odwaga, zjednała mu znakomite miejsce w rzędzie torreadorów.

JASKINIA ANTYPAROS.

Po jaskini Staffa, opisanéj w 51 zeszycie Muzeum z roku przeszłego, najwięcéj wzbudza ciekawość jaskinia na wyspie Antyparos, któréj rycinę załączamy, wyjętą z pięknego dzieła o Grecyi przez pana Choiseul Gouffier. Bez wątpienia, wiele potrzeba odtrącić z przesadzonego opisu podróżników; lecz mimo tego, ta sławna grota jest jednym z najznamienitszych utworów natury i ażeby wzbudzała podziwienie, nie potrzebuje urojonych dodatków.

Wyspa Antyparos, jest płonną skałą, mającą trzy mile obwodu, leży niedaleko wyspy Paros na Archipelagu Grecyi; znajduje się na niéj trochę tylko winnic i krzaków bawełnianych; geografowie starożytni zaledwie wzmiankowali o niéj pod nazwiskiem Oliaros; nie znali jeszcze jéj najcelniejszéj ozdoby; a przynajmniéj Grecy z czasów bałwochwalczych, nie śmieli zapuszczać się w przepaść którą uważali może za jeden z otworów Tartaru. Pan de Nointel poseł francuzki w Konstantynopolu, najpierwszy zwiedził tę jaskinię, w r. 1673; znalazł on wprawdzie napisy greckie na pół zatarte na ścianach jaskini, lecz ta okoliczność,, że napisy były umieszczone prawie przy wnijściu, wskazywała aż do pewnego stopnia, iż zwiedzający nie śmieli zapuścić się daléj. J w rzeczy saméj, ten kto pierwszy odważył się na tę nieznaną podziemną podróż i zaraz na wstępie wielkie przedstawiającą trudności, posiadać musiał niepospolitą moc duszy.

Jaskinia Antyparos znajdująca się pomiędzy massami skał o pół mili od brzegów morza, przedstawia najprzód otwor, nad którém rozciąga się kamienne sklepienie: a w środku stoi skała niezgrebnie wyciosana jak słupiec kolumny. Tylko co postąpimy kilka kroków, sklepienie się zniża, spad pochyla się, ściany zwężają się i stajemy nad brzegiem jamy, prawie prostopadłéj, w tę to przepaść trzeba się spuszczać za pomocą długich sznurów, przywiązanych do skały i trzymając w ręku pochodnię. Podziemie idzie z razu kręto, potém doprowadza do niejakiéj płaszczyzny, a daléj grunt zupełnie się urywa. Za pomocą sznurów, potrzeba spuścić się o piętnaście sążni głębokości i dochodzimy do przejścia, w którém zebrać wypada całą moc duszy. Podróżny znajduje się wówczas na wązkiéj zaokrąglonéj skale; po prawéj stronie są bezdenne przepaści, po lewéj idzie ściana prostopadle ścięta. Zewsząd spadają krople wody i czynią grunt wilgotnym i śliskim; powietrze tak jest gęste, tak obciążone mgłą, iż pochodnie są tylko jasnemi punkcikami i prawie nie rzucają swiatła. Taką ścieszką iśdź trzeba znaczną przestrzeń, nad brzegiem przepaści. Ale po zwycięženiu tych trudności za pomocą sznurów, droga jest co raz lepsza, pochyłość zmniejsza się, grunt się rozszerza, a zwracając się na lewo, można oddalić się od przepaści i puścić liny już nie potrzebne. Reszta drogi jest wygodna i łatwa; przynajmniéj o tyle, ile bydź może w podziemiu utworzoném przez działanie ognia i wody. Uszedłszy tym sposobem pod ziemią około sześciuset stóp, przybywamy do właściwéj jaskini Antyparos i chociaż nie powtórzymy z jednym podróżnych iż jesteśmy przeniesieni do grot Tetydy w dniu jéj wesela z Peleuszem, możemy przyznać, że widok téj groty wynagradza poniesione trudy.

Grota Antyparos leży, o ile przez przybliženie można było wyrachować, w głębokości 260 stóp pod ziemią; ma 180 stóp wysokości, 360 obszerności. Jéj ściany i sklepienia utworzone są z kamieni wapiennych i krystalizacyi. Jéj wnętrze nie jest próżne, nie przeliczone stalaktyty (kamienie kroplowe), wiszą u sklepienia w kształcie kolumn i festonów, rozwijają się wzdłuż ścian, z ziemi zaś wyrastają inne stalaktyty, najdziwaczniejszego kształtu i łączą się z krystalizacyami górnemi. Pan Choiseul Gouffier, porównywa je do soplów lodu, utworzonych w zimie przez wytryskujące fontanny. Na nieszczęście, te krystalizacye wapienne, są szare i chropawe; potrzeba zatém między bajki policzyć opowiadanie podróżnych, że filary i ściany jaskini Antyparos, czarodziejski widok przedstawiają przy świetle pochodni. W głębi jest ogromny głaz stalaktytu, wysoki na 24 stopy, a mający 20 stóp średnicy, przy podstawie; ten piękny odłam zowią ołta-

JASKINIA ANTYPAROS.



rzem, ponieważ przy nim pan Nointel kazał odprawić mszę, gdy w 1673 zapuścił się w tę jaskinię. Stósownie do mniemania upowszechnionego na wyspach Archipelagu, podziemia wyspy Antyparos nie kończą się na téj jaskini, ale ciągną się pod całą wyspą, a nawet idąc pod dnem morza, wychodzą na sąsiednią wyspę Nio. Na poparcie tego podania opowiadają, że koza dostała się tym sposobem z Antyparos do Nio. »Jakkolwiek zdarzenie to jest nie podobne do prawdy, mówi pan Choisenl Gouffier, jednakże zupełnie odrzucać go nie należy. Nalegałem na człeka który mi przewodniczył, aby mię daléj jeszcze zaprowadził i wskazał wnijście do inszych jaskiń; lecz utrzymywał jak najmocniéj, że nie ma żadnego; głuchy był na moje proźby i pogróżki, nie mogłem go skłonić ani widokiem piastrów, ani widokiem kija. Po nadaremném użyciu takich środków, niewątpiłem już o jego dobréj wierze.

Podzielamy zdanie pana Choiseul Gouffier, a pomijając przesadzone opowiadania gminu i podróżników, zgadzamy się na to, że jaskinia Antyparos jest nie tylko ciekawym płodem natury, ale jeszcze jednym z najważniejszych pomników tych straszliwych wstrząśnień, które za połączoném działaniem ognia i wody, wzburzyły wnętrzności ziemi.

TEATR.

Bankocetle przecięte, krotofila w dwóch aktach oryginalnie napisana ze śpiewkami, wystawiona pierwszy raz w Teatrze Rozmaitości dnia 20 Kwietnia r. b.

Pierwszy raz w tém piśmie, przychodzi nam mówić o Teatrze. Chętnie poświęcimy stronnicę Muzeum Domowego, sztuce oryginalnéj, tak rzadkiemu zjawisku pośród ciągłego napływu tłómaczeń, a do tego odnaczającéj się wesołością, dowcipem i śpiewkami, których wersyfikacya wskazuje pisarza wyższym obdarzonego talentem, który ważniejszym przedmiotom pióro swoje poświęcał, a dla którego, krotofila Bankocetle przecięte, była tylko igraszką wesołéj myśli.

Anegdota przeciętych Bankocetli, podała autorowi myśl do téj krotofili; lecz zamiast adwokata autor wystawił Towarzystwo prowincyonalnych aktorów wędrują-

cych na Wołoszczyznę i którym wysyłający ich w podróż antreprener, dał przecięte bankocetle, wręczywszy drugie połowy swemu synowi, aby jednéj z innemi aktorami trzymał się drogi w téj wędrówce. Spóźnił się syn dyrektora, aktorowie zadłużywszy się w gospodzie, przyrzekają żydowi u którego mieszkanie najęli, odegrać komedyą, aby dochodem z niéj opłacić dług należny.

Jedna z aktorek napotkawszy młodzieńca, który ją ze swojéj strony poczytał za majętną osobę, przybyłą razem z rodzicami na jarmark, nie odrzuca jego grzeczności, upatrując w tém nadzieję, że siebie i towarzyszów wydostanie z kłopotu. Ten młodzieniec był to ich towarzysz Belmont, na którego z takiém upragnieniem uczekiwały. Nieznany dwom aktorkom, a w zmowie będąc z trzecią, daléj gra swoją rolę i w sidła zastawione na siebie, wprowadza Elizę. Tak więc mimo wiedzy odegrali komedyą. Rzecz się wyjaśnia. Belmont przywozi drugie połowy bankocetli. Wesołe śpiewki kończą sztukę.

Krotofila ta, podała sposobność panu Panczykowskiemu zabawić publiczność wyborném oddaniem roli żyda, a panna Zamecka w roli tancerki i śpiewaczki, liczne zyskała oklaski; przytaczamy jéj śpiewkę, którą chce pozbyć się natrętnego gospodarza.

TEKLA.

Na tańce, na skoki,
Przy hucznéj kapeli,
Ochoczą bez zwłoki
Wszyscy mię widzieli.
Ma Francuz Menuety,
Ma Hiszpan Bolery,
Ma Włoch Kanzonety,
Ma Niemiec Sztajery.
To dziewcze, powiecie,
Do wszystkiego zdolne,
Poważne w Menuecie,
W Sztajerze swawolne.
Francuza rozkocha,
Hiszpana przynęci,
Oczaruje Włocha,
Z Niemcem się wykręci.
Lecz nie raczy słowa,
Mówić z tobą żydzie,
Co patrzysz jak sowa,
Gdy o pieniądz idzie.

Czytała już publiczność w kuryerze warszawskim śpiewkę z téjże sztuki, któréj autor uczcił pamięć zasłużonego Bogusławskiego.

Umieszczamy końcowy Wodewil, z niego przekonają się czytelnicy, że od dawna nie słyszeliśmy na scenie naszéj tak dobrze napisanych piosnek.

SZAPSA. (*arendarz*)

Aktorowie! ej wej licho,
Wielkie państwo, lecz przy świecach,
Bo w dzień, widzę, siedzą cicho,
Chłodno, głodno i w szlafmycach.
W wieczór aktor pan wielmożny,
Bóg wie, co w swéj roi głowie,
Lecz gdy ej wej teatr próżny,
Glubt mir, biedni aktorowie.

ADOLF.

Jak listek pędzony wiatrem.
Tak człek pędzon losu wolą,
Ten świat jest wielkim teatrem,
Każdy się biedzi swą rolą.
Tłumy przed złotem się płaszczą,
Co dziś tanie, jutro w cenie,
Jednych gwiżdżą, drugim klaszczą,
Jak za sceną tak na scenie.

FREDERYK.

Ja nie powiem, że w teatrze
Nie ma wady, nie ma grzechu,
Lecz gdy z niego na świat patrzę,
Trudno wstrzymać się od śmiechu.
Obłudnicy! jak was wielu,
Chce szkła udać za brylanty,
Cnotę w ustach, zysk na celu,
Macie liche komedyanty!

ELIZA.

Niech młoda wyjdzie aktorka,
Fircyk wnet swe sidła stawi,
Wpadnie w samotrzask sikorka,
Fircyk swe zwycięztwo sławi.
Poznajcież o przyjaciółki,
Że u takich tylko w cenie,
Młodych serca bab szkatułki,
Jak za sceną tak na scenie.

TEKLA. (*do publiczności.*)

Ta niewinna krotofila,
Czy nas zrobi Krezusami,
Autor co nas nią zasila,
Mniéj w to wierzy niż my sami.

Bawić zacnych naszych gości,
Ten jest cel nasz i życzenie,
Lecz bez twych łask publiczności,
Zle za sceną i na scenie.

Jak nam wiadomo, autor dalsze wystawienia Bankocetli, powiększy i uprzyjemni nowemi spjewkami.

POLOWANIE NA KUROPATWY.

Poema w trzech pieśniach.

przekład B. Hr. K.

(Dokończenie.)

PIEŚŃ DRUGA.

Wieku Rycerstwa! z dniami szczęśliwszemi,
Na zawsze znikłeś z kształcącéj się ziemi.
Tylko twe ślady w pieśniach Trubadurów
I widzim w gruzach starożytnych murów;
Bo ledwie Szwarca (1) piekielne natchnienie
Łatwiejszéj śmierci odkryło nasienie,
Znikło rycerstwo, czarodziejki, karły,
I nowe klęski na świat się wywarły.

Łuk niegdyś strzelca stanowił ubranie,
Dźwigał on ciężar pocisków w kołczanie,
Stalową włócznią silnie dłonią władał
I nią odyńce na ziemię pokładał;
Lub brał maczugę kutą z ciężkiéj miedzi,
I gromił stada turów lub niedźwiedzi:
Częściéj musiały przed nim w trąb odgłosie,
Schylać swe wieńce rogacze i łosie.

Lotną zwierzynę w wesołym połowie,
Siecią otarczyć umieli przodkowie.
Nie marnowali wieczorów na wisku,
Lecz przy domowém zasiadłszy ognisku,
Gdy proboszcz czytał Patryarchów czyny,
Kiedy w przyjemnéj rozmowie, godziny
Spędzała młodzież pracując nad siatką,
Wzajem się dłonie ściskały ukradką.

Dotąd chowają te zwyczaje dawne;
Rozliczne sieci tworzą ręce wprawne.
Sidła chłopczyna zastawia wesoły,
Skowronki lecą w rozciągnione poły.
W dzwon biorą ptastwo dzielniejszego rodu,
Wabiąc przepiórki wciągniesz do niewodu;
Lecz często młodych i pod okiem matki,
Miłość w sieć schwyci przy robocie siatki.

Minął poranek, sieje słońca promień
Nie błogie ciepło, lecz palący płomień.
Ucichło w koło chłodnych wiatrów tchnienie,
W bijących żyłach czujemy krwi wrzenie,
Już kuropatwy drogi nie zastąpią,
Bo przed upałem śród trawy się kąpią;
Teraz czas z paprzysk strachem je wyrywać
I lekką płachtą z nienacka okrywać.

Spojrzyj na wyżła — wdzięczen za nawarę (1)
Wietrząc śród trawy ujrzał jednę parę;
Jakby słup stanął przed zdobyczą błogą,
Z zwieszoną głową, z podniesioną nogą,
Patrząc ostrożnie, tylko sobie życzy,
By doprowadzić strzelca do zdobyczy,
Lecz już ją zdradne otarczyły sieci,
A jednak wyżeł chwytać jéj nie leci.

Kiedy już słońce w węższym łuku krąży,
I gdy noc rychléj za krótkim dniem dąży,
Wtedy częstokroć myśliwego praca,
Ani psa czujność nie wiele popłaca.
Z pola w bór pierzcha płocha kuropatwa,
Łowy są ciężkie i zdobycz nie łatwa;
Jednak i wtedy masz korzyść nie płonną,
Łowiąc na rozjazd lub na sieć nagonną. (2)

Lecz pilnie musisz kierować nawłoką,
Baczyć by w sieci nie zdarło się oko,
Nie płoszyć ptastwa, aż z stada ostatni
Do nastrojonej dostanie się matni.
Ciekące ptastwo za ziarkiem i zdziebłem,
Języczek w siatce niech spuści swém grzebłem
Osłóń potycze i zawiasy zdradnie,
Aż całe stado w twą zasadzkę wpadnie.

Patrz jakie mnóstwo schwytałeś wesoły,
Mają je ledwie objąć całe *poły*.
Biédne! trzepoczą — zaprzestańcie drżenia,
Wkrótce z szczupłego wyjdziecie więzienia;
Waszéj wędrówki swobodne użycie
Możeby w mrozach skróciło wam życie;
Bo zima bliska zgubnie na was czeka,
Od niéj was ludzka osłoni opieka.

W izbie bezpieczne znajdziecie ustronie
Gdy nagle wicher zimowy zawionie,
Gdy zaspy śniegów w pola poroznosi,
Was do biesiady przywoła głos Zosi.
Będziecie mieli przez jéj pamięć baczną
Z czystego zboża żywność zawsze smaczną.
Rzuca wam ziarka po łepku, po grzbiecie,
Trwożliwe z razu, już chciwie dziobiecie.

Gdy bocian wróci z zamorskiego kraju,
Zaśpiewa słowik w umajonym gaju,

---

(2) Szwartz wynalazca prochu.

(1) Jadło. (2) Sieć na kuropatwy.

Wówczas szczęśliwi poznacie dopiero
Że nasza przyjaźń była dla was szczerą,
Że was w podstępnym chwytając połowie
Wasze chcieliśmy zabezpieczyć zdrowie;
Wówczas swobody użyjcie radośnie
I nowe szczęście miejcie w nowéj wiośnie.

Takie uważam łowy za bezprawia,
Gdy zima szczupłéj żywności odmawia,
A kto śród śniegu zrobiwszy *gumienko* (3)
Chytrą ponętą z ziarek sypie cienko,
Ptastwo zwabione nie dostrzegłszy sieci
Z głodu na oślep w pewną zgubą leci,
Wikła się w połach, wpada wreście w matnią
I w niéj nadzieję utraca ostatnią.

Gdy ostra zima głodem je przyciśnie,
Niech nasza pomoc skutecznie im błyśnie.
Krzepmy je szczodrym pożywienia darem,
Aż znikną mrozy za słonecznym skwarem.
Wtedy puszczone na rozkosz szczęśliwą
Swém nas potomstwem obdarzą na żniwo,
Z nich mając ucztę, wszyscy się połączem,
A Zosia wonnym uraczy nas ponczem.

PIEŚŃ TRZECIA.

Słaby Człowieku! zkądże ci natura
Dała moc zgromić ogromnego *tura*
I lwa dzielnego? Jakich czarów siła
Dzikie ci zwierze pod władzę podbiła?
Zwiedzasz zuchwale knieje i pieczary
I w łonie ziemi znajdujesz ofiary,
Nawet płynące sięgasz na bałwanie
I w kraj powietrzny niesiesz polowanie.

Zwróć oczy w siebie, patrz na członki twoje,
Jak śmiesz w nierówne narażać się boje?
Czemże ty jesteś w porównaniu z niemi?
A drżą przed tobą wszystkie zwierza ziemi.
Woda, powietrze, nic ich nie ochrania,
Lot im wydarłeś i zdolność pływania,
Skarbów rozumu gdy umiałeś użyć,
I najsilniejsi muszą tobie służyć.

Tobie i *Sokoł* kark w jarzmo poddaje,
Choć mu powietrzne hołdowały kraje;
Zgromiłeś *czaplę* zuchwałemi łowy,
Umiałeś nawet saméj użyć *sowy*.
I *sęp* żarłoczny musiał tobie uledz.
Już z ręku Emmy wzbija się *Krogulec*,
Już *jastrząb* głos twój pośród chmur poznaje
I korny na dłoń Sokolnika staje.

Zaraz go łowiec do pracy zaprzągnął,
Gdy niebacznego w *sieć lepową* wciągnął.
Snu, pożywienia broniąc i napoju
Więźniowi swemu, kształci go do boju.
Już słucha pana, daje się przywabiać,
Pozwala sobie łeb w *kaptur* ozdabiać,
Rozumie każdy znak i słowo łowca,
Zna nawet *jego psa* i wierzchowca.

Łowca wierzchowiec winien bydź łaskawy.
Łowiec ma ptaka trzymać w ręce prawéj.
Niech mu pochlebia, niech mu głaszcze pióra,
Nie myśląc jednak zdejmować *kaptura*.
Wiernego wyżła niech ma zawsze blisko,
Ten w biegu wietrząc, przepatrzy mu rżysko.
Głosu słuchając i zgadując znaki,
Wkrótce polowe wyszpieguje ptaki.

Odkrył *paprzysko*. Daléj z wyżłem śpieszmy,
I smacznych płaków łupem się ucieszmy.
Kręcąc ogonem, gdy się zastanawia
Wyżeł — zdobyczy bliskość nam objawia.
Gdy *kogut cierknie*, (4) w powietrze się wzbija,
Wtedy najlepsza chwila łowom sprzyja,
Wtedy zdejm kaptur, daj lot sokołowi,
Niech rączym pędem kuropatwy łowi.

Nic tak jest skora piorunu potęga,
Wzrok najbystrzejszy nie tak rączo sięga,
Jak wpada sokół. Już kogut spłoszony
W gęstwinie ciernia szuka swéj obrony;
Od jego szponów daremnie ucieka,
Sokoł krwi chciwy dojrzał go z daleka.
Kark zdławił, ostrym ujmując *kantakiem* (5)
I u nóg łowca spadł z porwanym ptakiem.

Dziko trzepocząc, dziób w nim topi z góry
A wiatr pomiata wyrwanemi pióry.
Teraz *koguta* wyrwij żwawo z szponów
I Sokolniku! łowów już nie ponów.
A ty Sokole odpokutuj łowy,
Już na cię *pęto* i *kaptur* gotowy.
Gruba zasłona na twe oczy spadła,
Musisz się cieszyć choć z szczupłego jadła.

Rozsądny łowiec zna umiarkowanie:
Ty więc bez szału prowadź polowanie.
Wieczór, odwrotu znak daje niezwłocznie,
Rumak się znużył, niech i Sokoł spocznie.
Na Anioł Pański zabrzmiały dzwonnice,
Słońce za górą skryło złote lice,
I ogląda się, jak gdyby mu było
Powrót do domu twój oświecać miło.

Gdy z światłem ciemność w jednem spłyną kole,
Gdy we mgle zmierzchu zniknie las i pole
I serca nasze jakaś tęschność tkliwa,
Jakieś pragnienie wieczności porywa,

(3) Miejsce gdzie się sypie przynętę.

(4) Głos wydaje. (5) Pazur tylny.

A dźwięk, co przebrzmiał w dzień niedosłyszony,
Budzi w nas śpiące czarodziejskie strony,
Zapał myśliwski ust nam nie zamyka
I czas w rozmowie poufałéj znika.

Większe się szczęście nie dostało ziemi,
Jak z przyjaciołmi polując szczeremi
Wracać z zwierzyną, gdy myśl jest w swobodzie
A wieczór w wonnym zanurza się chłodzie.
Gdy w domu żona przywiązana szczerze,
Pracą znużonych woła na wieczerzę,
Gdy z jéj pieszczotą sen przychodząc miły
Do nowych łowów nowe daje siły.

O KOBIETACH.

O ich przeznaczeniu i obyczajach, u ludów tegoczesnéj Europy.

Dla czego dzieła, w których autorowie zajmowali się przeznaczeniem kobiet, po większéj części uchybiły swojego celu? Publiczność ledwie zwróciła uwagę na głos pisarzy, którzy przecież starali się zająć i zjednać sobie jéj część tak wielki wpływ wywierającą. W tegoczesnéj literaturze, jest przeszło trzydzieści zapomnianych i nieznanych dzieł o kobietach. Płeć będąca przedmiotem filozoficznych rozmyślań albo świetnych opisów, niewdzięczną okazywała się dla autorów i z roztargnieniem i obojętnością przeglądała ich prace.

Z kądże to pochodzi? Z tąd że z fałszywego punktu zapatrywali się na swój przedmiot. Pani Wolstonecraft w Anglii, Thomas i Segur we Francyi, wielu znamienitych pisarzy w Niemczech i ci wszyscy którzy ulotnym sposobem pisali o kobietach, zrobili z nich jakiś oddzielny naród, odosobnioną kastę, lud posiadający swoje roczniki. Nie postrzegli, że kobieta jest względną istotą, wiążącą ludzi z naturą, głównem ogniwem spółeczeństwa i że kto chce pisać o kobietach, nie pisząc o samémże społeczeństwie, ten je do nicości przywodzi. Cała ich potęga polega na tem magnetyzmie, któren je ogarnia i któren one udzielają, który panuje nad niemi i przez któren one panują. Nie istniały by bez związków spółecznych, są przedewszystkiem, matkami i ogniskiem rodziny. One to najczęściéj odbijają wszelkie odcienia, któremi są otoczone, ponieważ ich życie bardziéj zależy od innych, a niżeli od nich samych. Podobne są do tych dźwięków muzycznych, którym potrzeba głównej noty, aby się okazała ich rzeczywista wartość, do tych zadziwiających kolorów, które tylko jaśnieć mogą na tle wyłącznie przygotowanym dla nich.

Z téj sympatycznéj władzy, zapomnianéj przez autorów dzieł o kobietach, wynika, że właściwy koloryt spółeczeństwa, żywiéj i wydatniéj okazuje się nam w obyczajach téj płci, a niżeli w naszych. We wszystkich nawet epokach, zjawia się kobieta, która łącząc wszystkie jéj znamiona, zgromadzając je w myśli swojéj i nazwyczajeniach, wynosząc je do najwyższego stopnia, przedstawia w najsilniejszéj postaci, znamie towarzyskiego życia.

Mężczyzna, w mniejszym daleko stopniu posiadając tę sympatyczną zdolność, może oddzielić się od współczesnych sobie i gardzić niemi, może jak Russo i Bajron, wydać wojnę rodzajowi ludzkiemu. Wojna, nauki i sztuki, zapełnią czczość jego istnienia i uszlachetnią jego przeznaczenie. Może on żyć za obrębem sympatyi niezbędnych dla kobiety. Widziano wojowników okrytych zakonnym habitem, surowych filozofów na zepsutym dworze Ludwika XVgo.

Ale kobieta nie istnieje za obrębem towarzyskiego popędu, którego jest częścią. Jest ona ważnem, nie uchronnem, ale podrzędnem kółkiem w społecznéj machinie i zawsze od obcéj ręki popęd odbiera. Nie zajmujmy się zatém rozważaniem jéj obyczajów i doli, dopóki nie roztrząśniemy należycie, jaka jest dola, jakie są obyczaje społeczeństwa i jakie działanie toż społeczeństwo na kobiety wywiera.

Bardzo powstawano na zepsucie kobiet we Francyi, od śmierci Ludwika XIVgo aż do panowania Ludwika XVIgo; lecz widziemy w jak niestósownem położeniu znajdowały się wówczas. Ich wychowanie ograniczało się na pierwszych i konieczynych wiadomościach i na oschłych morałach, których prawdziwego i zbawiennego ducha nie wskazywano im bynajmniéj; wchodziły w świat, a tam widziały powszechną rozwiązłość, pobłażanie wszelkim słabościom; widziały, że nagana i wyrzuty na tych tylko spadają, którzy występków swoich ukryć nie mogą. Czyliż zatem dziwić się trzeba, że ulegały temu popędowi i zachowały tylko jako jedyną cnotę, wzgląd na przyzwoitość, przebiegłość w intrygach i zręczność w wysłowieniu. Czyliż charakter ich nie musiał bydź jak najlepszym z natury, gdy chociaż jeden przymiot pozostał im pośród tego zamętu kłamstw i zepsucia?

(Dalszy ciąg nastąpi).

158

SEGEST.



O dwanaście mil na zachód od Palermo, w nie wielkiéj odległości od morza, w krainie pustéj, dzikiéj i zniszczonéj, ukazują się nagromadzone w głębi ciasnego wąwozu mnogie kamienie; znać jeszcze na nich ślad ręki ludzkiéj, lecz tak są rozkruszone i porozrzucane, iż nie wskazują jaki pomnik całość ich kiedyś tworzyć mogła. Jedno tylko zwalisko zachowało się o tyle, iż wnosić z niego można że jest cząstką teatru. Te szczęty, pod błachém i gminném nazwaniem *Barbara*, są wszystkiém co dotąd pozostało z najpotężniejszego i najbogatszego miasta Sycylii. Segest, założone przez towarzyszy Enaasza, uświęcającając pamięć swego Trojańskiego pochodzenia mianém Skamandru i Simoisu, nadaném dwom rzeczkom skrapiającym go swemi wody, (dzisiaj *Fueme-San. Bartholomeo* i *Fueme-Freddo*), w pierwszych wiekach ery rzymskiéj współzawodniczyło o wielkość i potęgę z Selinuntem i Syrakuzą. Na trzysta lat blisko przed erą chrześciańską, Agatokles, władzca Syrakuzański, chcąc ukarać miasto Segest że się połączyło przeciwko niemu z Kartagińczykami, zniszczył je do szczętu. Mury zostały zwalone, mieszkańcy wycięci w pień, a na uwiecznienie pamięci téj kary straszliwéj, nazwisko *Dicocarque* (miasto kary), włożone zostało na zwaliska Segestu. Lecz Segestianie tyle jeszcze byli zamożni, iż zatarli zupełnie ślady téj klęski, a grod ich odzyskawszy dawne imie, zajął na nowo miejsce w dziejach, pomiędzy najsławniejszemi miastami. Po kilku wiekach pomyślności, nie powetowane nieszczęście ugodziło je, gdy Saraceni osiedli w Sycylii, gdyż Włochy całkiem były wówczas wyniszczone. Zburzone ogniem i mieczem, miasto Segest już nie usiłowało podnieść się na nowo; działanie czasu zwolna dokończyło zburzenia ręką ludzką zaczętego i dziwimy się teraz, że tak sławne miasto tak małe zostawiło po sobie ślady. Lecz przez zadziwiającą sprzeczność, tuż

obok gruzów jego wznosi się pomnik najwspanialszy, najdawniejszy i najlepiéj dochowany w całéj Sycylii.

Idąc od morskiego wybrzeża ku gruzom Segestu, oko utrudza się patrzeniem na dzikie skały i stepy chróstami tylko zarosłe, i nadaremnie szuka śladu mieszkań ludzkich, gdy nagle, z dalekiego wzgórka, zakreśla się na błękicie niebios wspaniała kolumnada. Budowa ta wznosi się po nad Segestem, na przylądku ze trzech stron prostopadłym i okolonym potokiem: przedstawia kształtny czworobok, 175 stóp długi, a 73 szeroki, złożony ze 36 kolumn, z których po 12 jest z każdéj dłuższéj strony, a po 6 po obu końcach. Kolumny te kształtu doryckiego, zwężając się z wolna w miarę wysokości, mają 28 stóp na wyż a 6 obwodu. Umieszczone na podstawie urządzonéj w stopnie, dźwigają mur blisko na 8 stóp wysoki, przyozdobiony mocno wystającym gzymsem. Po obu końcach, gmach ten przedstawia fronton o mocno roztwartych kątach. Nic nie wskazuje aby istniał kiedy mur w przestworzu zakreśloném kolumnadą, i zdaje się że przestwór ten zawsze musiał bydź próżnym jak jest teraz i pomnik tak jak teraz ze wszystkich stron był przezroczystym. Widać że dach pokrywał kiedyś wewnętrzną przestrzeń. Nie pozostał żaden ślad ani dachu i posadzki; zastępuje ją piękny kobierzec murawy. Gmach ten zbudowany jest z prostego wapiennego kamienia, lecz barwa jego jest świetno-żółta, przerzynana żyłami tak, iż widziane w niejakiéj odległości kolumny, zdają się bydź marmurowe. Wolny od wszelkich drobnostkowych ozdób i przydatków, pełen surowéj prostoty, regularności i doskonałéj harmonii, pomnik ten cudownie otoczony dzikim i tęsknym krajobrazem, jest jednym z najwspanialszych i najpoważniejszych, a jednakże na kształtności mu nie zbywa.

Zadziwiającą jest rzeczą iż się dochował w stanie zupełnéj nienaruszoności; krój kamieni dotąd jest czysty, okrągłe lub wystające linie bynajmniéj nie uszkodzone, żadna z kolumn ani się chwieje ani pochyla. Przy końcu jednakże ostatniego wieku, niektóre symptomata osłabienia, lękać się kazały o ten wspaniały zabytek architektury, najszacowniejszy, najbardziéj może zajmujący z tych, jakie posiada Sycylia, a może nawet i całe Włochy. Szczęściem, pomoc śpiesznie przyniesiona, zatrzymała złe w samym zawodzie.

W lepszym będąca stanie, niżeli wszystkie pomniki Sycylii, piękna ruina Segestu, nie powinnaby zasięgać odległéj daty, a jednak przeciwnie, wszystkie w starożytności przewyższa. Zbliżywszy ją do innych dawnych szczątków rozmaitych epok, nie znajdujemy wniéj żadnego z niemi podobieństwa; nie należy ani do greckiéj, ani do rzymskiéj architektury. — Obca wszelkim innym pomnikom, poprzedziła je wszystkie. Dla zbadania zatém jéj początku, przenieść się trzeba w starożytność bajeczną i wierzyć, że szlachetny ten gmach wzniesionym był przez towarzyszów Eneasza i sięga blisko trzech tysięcy lat. Prosta i męzka jego architektura, zwiastuje, mówi pewien podróżnik, sztukę w całéj pierwotnéj mocy i w całém nieokrzesaniu. Inne wątpliwości wznoszą się jeszcze względem tego szanownego dzieła, którego epokę przez przypuszczenie tylko można określić. Był to zapewne gmach religijny, świątynia, lecz nie wiadomo jakiemu bóstwu Segestianie wyłączną cześć oddawali i pod czyją opieką umieścili nowo-powstające miasto. Ponieważ ojcowie ich mieli za wodza Eneasza, syna Anchizesa i Wenery, Segestianie podług niektórych archeologów wielbili raczéj to bóstwo, niżeli którekolwiek inne z mieszkańców Olimpu; świątynia zatém pewnie poświęcona była Wenerze.

Inni erudyci opierając zdanie swoje na położeniu tego gmachu, mniemają, że Cerera była bóstwem któremu tam cześć składano, gdyż świątynie poświęcone bogini żniw były zwykle umieszczane po za obrębem miasta. Podług trzeciego nakoniec domniemania, Dyana była głównie ulubioném bożyszczem Segestyanów i w téj to świątyni umieszczony miał bydź posąg, którego historya doszła aż do nas. Ze sprzymierzeńców stawszy się nieprzyjaciołmi, Kartagińczykowie porwali Segestianom wyobrażenie ich bóstwa; lecz zwyciężywszy Kartaginę, Rzymianie zwrócili Segestowi posąg Dyany. Powtórnie miano im go wydrzeć; Weres zapragnął tego skarbu; Wszyscy Segestianie nie chcieli przyłożyć ręki do spełnienia tego świętokradztwa, a gdy posąg uniesiony został przez obcych robotników, cała ludność ze łzami towarzyszyła mu nad brzegiem Symoisu.

Trzy te zdania, wsparte są na dosyć mocnych powodach: dotąd też zapytanie pozostało nie rozwiązaném, a pomnik nosi tylko miano świątyni Segestu.

HAENDEL.

Dzieła jenialnego muzyka, świat przebiegając, roznoszą sławę czarodzieja, co tak piękne rzeczy utworzyć zdołał. W Ha-

wanie, równie jak w Paryżu, unoszą się nad talentem: szczytnemi natchnieniami Bethowena; symfonie tego wielkiego mistrza rozlegają się na obu półkulach. *Il Barbiere di Siviglia* Rossyniego, przemawiając kolejno po włosku, francuzku, niemiecku, nim powrócił do hiszpańskiego, ojczystego swego języka, przebiegł całą Europę i śmiało zapuścił się do Afryki, Ameryki. Wszędzie świetny i wesoły Figaro, gościł dosyć długo, zniewalał uwagę, pozyskiwał względy tak wielkiéj liczby, iż swobodnie mógł rozszerzyć sławę Rossyniego i rozgłosić nawet w krainie dzikich, imie tak drogie lubownikom naszego pół-sferza. Z posłannikami tak lotnemi, przedsiebierczemi, tak przekonywającą obdarzonemi wymową, łatwo jest dostać się na koniec świata, nie opuszczając stolic naszych, co mówię, bez wyjścia nawet z pokoju. Pomoc ta wielce jest szacowną, dozwala z nadzwyczajną szybkością przebywać przestworza; jeniusz jednakże może obejśdź się bez nich: przybędzie, późniéj wprawdzie, lecz zajmie swoje miejsce również jak i inni. Takim jest Haendel, ów grom harmonii, którego imie bezustannie przytaczaném bywa, a którego liczne i kolosalne utwory, nie wielu miłośnikom i biegłym są znane. Szczytne jego dzieła, zbliżające się prawie do cudu, zostały przywiązane do ziemi na któréj się zrodziły. Tak, owe pomniki, które Faraony i Sezostrysy, wzniosły wśród obszernych płaszczyzn Egiptu, mało osób zdolnych je podziwiać widziało, a jednak wszyscy o nich mówią. Dzieje opisały te dziwy, a kilka odłamów wydartych owym szczytnym świątyniom, owym wspaniałym pałacom, przedstawiają nam niekiedy punkt porównawczy, dozwalający sądzić o całości.

Prócz namiętnych amatorów, mistrzów co chcą znać wszystkie tajemnice i utwory sztuki, nikt nie wie czém był Haendel; imie to bezustannie się rozlega, wszędzie ukazuje się jasnością sławy okolone; lecz sława ta, któréj nikt nie zaprzecza, nie mniéj dla tego jest tajemnicą dla większéj części zajmujących się muzyką. Chcemy dać im poznać tego nadzwyczajnego człowieka, jeden z najbardziéj zadziwiających jeniuszów, który zabłysł kiedykolwiek na muzykalnym horyzoncie. Lepiéj daleko byłoby posłuchać dzieł jego, niżeli mojego opowiadania, lecz to co o nim powiem, natchnie może chęcią usłyszenia jego utworów, które zdaje się, iż Anglia na korzyść swoją przywłaszczyła.

Jerzy Frederyk Haendel, urodzony w Hali, w Prussach, 24 Lutego 1684, zaczął muzykalne swe nauki od siódmego roku życia, pod przewodnictwem sławnego organisty Zachau i ukończył je nim jeszcze miał lat czternaście. R. 1703 udał się do Hamburga i ułożył w roku następnym *Almirę*, pierwszą swoją operę, dla teatru tego miasta. Zajmowanie się mnogiemi uczniami nie przeszkadzało mu napisać *Nerona, Floryndy, Dafny*, od 1705 do 1708 i wielkiéj liczby kantat i sztuk na klawikord. W tym to czasie pojechał do Włoch i dał we Florencyi, 1708, pierwszą swoją włoską operę, *Rodrigo*. *Agrippina* ukazała się w Wenecyi; roku następnego w Rzymie dał słyszeć swą serenadę *Il triomfo del Tempo*. Z tamtąd Haendel udał się do Neapolu, gdzie skomponował pastorelę, *Aci Galatea e Polifene*, dla pewnéj hiszpańskiéj xiężniczki, którą historycy nazywają Dona Laura. Roku 1710 opuścił Włochy i przybył do Hanoweru, gdzie Elektor mianował go swoim pierwszym kapelmajstrem na miejscu Stefaniego. Niezadługo potém udał się do Anglii; napisał w Londynie, w przeciągu dni piętnastu, *Rinalda*, który przez pół wieku prawie, był ulubioną Anglików operą. Następnego roku wrócił do Hanoweru; lecz po drugi raz pozwolono mu udać się do Anglii i odtąd stałe obrał w niéj zamieszkanie. Jerzy Iszy dawny jego monarcha, co go dobrodziejstwy obsypywał, przybył także do Londynu 1714, jako król Wielkiéj Brytanii, i nie przestał obdarzać łaskami sławnego mistrza, naznaczając mu rocznéj pensyi 400 funtów szterlingów.

Roku 1718, wielcy panowie stowarzyszyli się na założenie w Londynie teatru opery. Haendel mianowany został dyrektorem owéj królewskiéj akademii muzyki. Spiewacy francuzcy dali już poznać Anglikom dramę liryczną; Haendel pragnął, aby widowisko jego wzniosło się wyżéj daleko nad nieśmiałe próby Lullego i jego współubiegaczy. We Włoszech zebrał artystów godnych wykonywać jego utwory. Zakład ten jak najlepiéj szedł przez lat kilka; lecz niezgoda wkradła się do świątyni harmonii. Żywe sprzeczki powstały pomiędzy sławnym kompozytorem i szlachtą wspierającą ów teatr. Haendel został wprawdzie panem pola bitwy, lecz zwycięztwo to kosztowało go drogo. Przeciwnicy jego sprowadzili do Londynu Porporę, który przybył z Włoch z całém towarzystwem, a Farinelli sławny jego uczeń, jaśniał na czele téj nowéj śpiewającéj truppy. Duch współzawodnictwa, zemsty nawet, potrafił usunąć przeszkody jakie przedstawiało założenie drugiego teatru lirycznego, w mieście nie zbyt obfitém w lubowników sztuki. Współzawodnicy tryumf odnieśli; pozbawiony wsparcia wyż-

HAENDEL.



szego towarzystwa, jeniusz tylko swój mogąc stawić naprzeciw nim, Haendel pokilkakrotnie widział się już bliskim upadku. Po czterech latach ciągłej walki, jeniusz jego zupełne otrzymał zwycięztwo; a cudowne oratoria, które przez ten czas ułożył, przeciągnęły na stronę jego, tych, co się przeciwko niemu spiknęli.

Senesino odznaczał się na teatrze pod zarządem Haendla; Farinelli był pierwszym sopranistą Porpory; śpiewali w te same dni i te same godziny i nie słyszeli się nigdy wzajemnie, ani we Włoszech, ani w Anglii. Pewnego dnia, zeszli się na uroczystém wystawieniu, daném na benefis jednego z ich kolegów. Senesino wystawiał dzikiego ciemięzcę, a Farinelli nieszczęśliwego bohatera. Spiewak tak mocno rozczulił serce owego ciemięzcy, przemawiając do niego piosnką pełną wyrazu i świeżości, prośba jego tak była miłą i rozczulającą, iż Senesino uderzony zadumieniem i podziwem na talent tak piękny, głos tak potężny, zapomniał zupełnie o współzawodnictwie, porzucił charakter swej roli i rzucił się w objęcie Farinellego, aby mu wynurzyć radość, któréj doświadczył.

Haendel utracił wzrok r. 1751. Bethoven cierpiał głuchotę przeszło przez lat dwadzieścia; smutne podobieństwo w życiu owych dwóch nadzwyczajnych ludzi! Haendel po tém nieszczęściu utracił cały ogień, całą żywość natchnień; dyktował przyjacielowi swojemu Smith. Ciągle komponował i odegrywał swoje koncerta na organach. Bethoven pisał, kombinował na papierze skutki głosu i orkiestry, których nie mógł już słyszeć. Oratorium *Jefte* jest ostatniém dziełem, które napisał Haendel. Ręka wielkiego mistrza mocno jest zmieniona w tym rękopiśmie, zachowują go jako drogi za-

bytek w Londynie i łatwo po nim poznać, iż wzrok autora bardzo już musiał bydź osłabionym. U spodu ostatniéj karty, napisał drżącą ręką przypisek; *Sweet as sight, to the blind* »miły jak wzrok ślepemu« Sześć dni przed śmiercią, wykonał jeszcze jedno ze swoich oratoriów. Umarł 13 kwietnia 1759.

Haendel miał twarz szlachetną i pełną ognia; postać jego była wzniosła. Pozostawił krewnym swoim w Niemczech 10,000 funt: szterl: majątku, z których 1000 funt: szterl: zapisał instytutowi wsparcia w Londynie.

Jedenastu autorów pisało historyą Haendla i dzieł jego, a grób jego wznosi się w opactwie Westminsterskiém. Tak uwiecznіwszy pamjęć mistrza, Anglicy wyprawili roku 1784, za pozwoleniem króla, uroczysty jubileusz, przez cztery dni po sobie następujące, podczas którego wszystkie religijne dzieła Haendla wykonane były w opactwie Westminsterskiém, przy jego grobowcu, przez orkiestrę złożoną z pięciuset muzykantów, pod przywodztwem sławnego skrzypka Kramera. Roku 1785 tęż samą uroczystość powtórzyło zgromadzenie sześciuset siedmiu muzyków, z małą tylka zmianą utworow Haendla. R. 1786 liczba ich daleko była mniejsza; lecz następnego roku wzniosła się aż do 800.

Niemcy zapragnęły wspuł-ubiegać się z Anglią; tego samego roku wykonano w Berlinie *Messyasza* Haendla, z orkiestrą złożoną z trzechset muzykantów, pod dyrekcyą kapelmajstra Hiller. We Francyi uczniowie pana Choron, wykonali niektóre oratoria tego mistrza. *Uroczystość Alexandra* i *Messyjasz*, wielkie sprawiły wrażenie.

Od wieku przeszło, dziełom Haendla dziwi się Anglia i niektórzy muzycy niemieccy i francuzcy; inni z nazwiska je tylko znają. Aż do téj chwili, ledwie można było dostać kilku jego utworów we Francyi, i nigdy nie wykonywano ich publicznie, nim pan Choron powziął tę myśl szczęśliwą.

Niektóre jego kawałki były w ręku fortepianistów; lecz czterdzieści pięć jego oper niemieckich, włoskich i angielskich; dwadzieścia jego oratoriów, motety, kantaty, i t. p., składające 15 tomów; jego trya na rozmaite instrumenta, jego dwanaście koncertów na organy, zupełnie były nieznane. A jednakże, nigdy obszerniejszy jeniusz, śmielsza wyobraźnia, wsparta głęboką nauką, większa łatwość stylu i bardziéj zadziwiająca praca, dotąd nie istniały.

Messyasz jest jednym z arcy-dzieł Haendla i ułożony był zaraz po *Uroczystości Alexandra.* Podziw jaki wznieca to szczytne oratorium, ten kolos harmonii, podwaja się, gdy zważymy w jak krótkim czasie Haendel je napisał. Noty świadczą zadziwiającą szybkość ręki, i w kilku miejscach rękopismu, znajdują się daty oznaczone przez autora, nie pozostawiające żadnéj wątpliwości o improwizacyi tego pomnika sławy. To dzieło obszerne, ta zadziwiająca praca, zaczęta była i skończona w przeciągu dwudziestu jeden dni, od 22 Sierpnia do 12 Września 1741 r. Pan Fetis, z ktorego czerpam te szczegóły, sprawdził te daty, przeglądając starannie zbiór rękopismów Haendla, zachowanych w królewskiéj bibliotece w Londynie. Przytaczamy nie raz łatwość niektórych kompozytorów tegoczesnych, ale któż Hendlowi równywa? Haendel tak był przynaglanym przez kopistów, iż nóty jego zaledwie są zakreślone. Czas wykonania tak był bliski, iż musiano uczyć się podczas kompozycyi dzieła: co widocznie dowodzą te słowa. »Wykonane 14 tego miesiąca, to jest, we dwa dni po ukończeniu.« Większa część dat napotykanych w rękopismach Haendla, dowodzi, że ta łatwość tworzenia była ciągłym przymiotem jego jeniuszu.

Życie muzykalne Haendla z dwóch części się składa; pierwsza zajmuje blisko lat szesnaście, od r. r; 1698, gdy objął po Kejzerze dyrekcyą teatru Hamburskiego, aż do roku 1714, w którym osiadł w Anglii, druga rozciąga się od 1714 aż do jego śmierci, 15 Kwietnia 1759. Długi ten przestwór sześćdziesięciu jeden lat, zapełniony był ciągłą pracą i bezprzykładną płodnością tworzenia. Młodzieńcze dzieła tego sławnego mistrza, zagrzebane zostały w niepamięci przeszło od wieku. To co pisał w Anglii, szczęśliwszy los miało, gdyż przemysłowy duch Anglików, pojął, jak wiele skorzystać można na ogłoszeniu tych utworów. Walsh znaczny zebrał majątek przez samą tylko sprzedaż dzieł Haendla. Mistrz ten uczynił wielki wydatek na wystawienie swéj opery *Rinalda*, która się nie powiodła. Muzyka jéj jednakże bardzo była poszukiwaną i Walsh rozprzedał mnóstwo exemplarzy. Haendel spytał go pewnego dnia, ile zarobił na tém dziele. »Tysiąc pięćset funtów szterlingów, odpowiedział wydawca. Kochany przyjacielu, rzekł mu Haendel, sprawiedliwie jest, aby wszystko było między nami równe, teraz ty najpierwszą skomponujesz operę, a ja będę ją sprzedawał.

Castil Blaze.

PRZEOBRAŻENIA MITOLOGII LITEWSKIÉJ.

rzecz wyjęta z Tygodnika Petersburgskiego.

Mitologia Litewska oddawna oczekuje swego Owidyusza, któryby jéj wszystkie metamorfozy opisał i w jaśniejszém ukazał świetle. Pospólstwo bardzo wiele w tym rodzaju posiada wiadomości; obowiązkiem jest historyka zebrać wszystkie te powieści, odłączyć prawdę od fałszu, i wydrzeć zapomnieniu. Podania bowiem ludu przechodząc z ust do ust, od pokolenia do pokolenia, tak już się zepsowały i zatarły, iż z trudnością przychodzi badaczowi dojść wątku prawdziwego ich źródła. W ustach narodu, bożkowie pogańscy są popomieszani razem z wyobrażeniami wiary chrześciańskiéj, rzeczy mitologii pogańskiéj łączą się z faktami Ewangelii. Litwini będąc od dawna wyznawcami religii objawionéj, zapomnieli już, że ich przodkowie urojone niegdyś czcili bożyszcza, wszystkie więc swoje baśnie odnoszą do wypadków chrystyanizmu.

Przemiany w Mitologii Litewskiéj, jakie nam gminne dochowały podania, również są połączeniem dawnych wyobrażeń pogańskich, z wyobrażeniami religii chrześciańskiéj. — Ja, w moich badaniach starałem się ile możności dochodzić prawdziwego ich początku i sprostować te mniemania, które w przeciągu lat podległy skażeniu. Powieści o tak nazwanych *przemianach* u Litewskiego narodu, są nader liczne. Każde zwierzę, każdy ptak, podług mniemania ludu, był kiedyś człowiekiem, który za przeniewierzenie się woli bogów, został skarany i przemieniony w inną żyjącą istotę, dla odpokutowania za swe przestępstwa. Nie same jednak zbrodnie były pobudką do skazywania ludzi na mieszkanie w zwierzętach; namiętna miłość, żal po stracie drogich osób, choroby, cierpienia i t. d. często stawały się przyczyną iż bogowie, litując się nad nędzą ludzkiego rodzaju, przetwarzali go na inne istoty.

Kukułka podług podania gminu, najpierwsze trzyma miejsce, między nieszczęśliwemi przeobrażeńcami. Była to niegdyś córka bogatego litewskiego szlachcica (bojors), siostra trzech mężnych młodzianów. Czule kochała swych braci, jedynem jéj zajęciem się było o nich myśléć, ich zgadywać chęci, ich śledzić skinienia. Całe swe życie dla nich poświęcała: tkać szarfy, haftować czapraki, to jéj najmilsza zabawa, to jéj codzienne zatrudnienie. Wdzięczny uśmiech młodzianów, czułe wejrzenia, były jedyną dla jéj serca nagrodą. Szczęśliwa z oglądania braci, ich spokojnością, ich życiem żyła. Lecz los zawistny nie dał jéj długo kosztować téj słodyczy. Głos wojennéj trąby przebudził spoczynek i wezwał ich do walki z Krzyżakami na pole sławy. Dzielny Kiejstut (*) xiążę Żmudzkiéj ziemi, powiódł swe hufce na pogromienie Krzyżaków. Dźwięk żmudzkiego rożka, po odwiecznych rozlegający się puszczach, doleciał do uszu młodzianów.— Ze łzami pożegnała ich siostra.

Skończyła się wyprawa, pierzchnął za Niemen przelękły Krzyżak. Lecz gdzież są młodzianie? darmo ich śledzi łzawe siostry oko. — Konie ich tylko, pozbawione drogiego ciężaru, przybiegły w domową zagrodę. Stroskana Litwinka po stracie swych braci, opuściła mieszkanie ojca, zabrawszy z sobą konie młodzianów, udała się do lasu, aby tam resztę opłakanego dokończyć żywota. Długo się tułała na puszczy, przepędzając dni rozpaczy w płaczu i jękach, aż też najwyższe Bóstwo ulitowawszy się nad nieszczęsną, przemieniło ją w kukułkę. I odtąd ciągle na wiosnę w tym czasie kiedy polegli młodzianie, wywiera żal swój i smutném kukaniem opłakuje zgon braci. — Taka jest powieść o kukułce na Żmudzi i Litwie. Lud prosty, ze szczególniejszém czci ją poszanowaniem i wiele przyznaje przymiotów. Jeżeli tylko da się usłyszeć nad jakim domem, jest to przepowiednią śmierci. Kto zaś usłyszał jéj głos w lesie, a miał przy sobie pieniądze, jest pewnym iż i w całym tym roku miéć one będzie. Czy zaskoczy jakie nieszczęście, czy sobie czegoś życzy, czy też chce się dowiedziéć jakiéj rzeczy, zaraz do kukułki po radę; jéj głos, jest głosem proroka. Kupiec pyta o zyski, stary jak wiele lat żyć będzie, mąż, jak długo żona kochać go ma, młoda mężatka córkę, czy syna powije i t. p. Młoda piękność, co już piętnaście przeżyła wiosen, u któréj wszystkie rozrzutném przyrodzeniem dane rozwinęły się wdzięki, u któréj w tym czasie, co raz mocniéj, co raz gwałtowniéj serce bić zaczyna, dla któréj samotność staje się nieznośną, czuje potrzebę życia w całém znaczeniu, czegoś pragnie, za czemś wzdycha, która sama przed sobą nie może zdać rachunku, nie umie nazwać tego słodkiego uczucia, jakie ją trawi! — do kogóż się nieszczęsna uda, u kogo o przedmiot swych marzeń zapyta, komuż miłe troski powierzy? — Kukułce! Po-

(*) Litwini, a szczególniéj Żmudzini, wszystkie zdarzenia odnoszą do czasów panowania Kiejstuta. Mężny ten xiążę i Krzyżacy, największą rolę grają w ich powieściach.

(*Przypisek Autora.*)

dania ludu, dochowały nam piosnkę, którą i dzisiaj młode dziewice śpiewają na Żmudzi, gdy się chcą czego dowiedzieć u kukułki:

Tu seserity brangioy,
Tu gieguźajty rajboy,
Brolun arklus ganidama,
Szyłkun siułus wajstidama,
Sakik kad'asz wira gausu?

po polsku:

Ty siostrzyczko droga,
Ty pstra kukułeczko,
Braterskie konie pasząc,
Jedwabne nici zwijając,
Powiedz, jak prędko męża dostanę?

Wiele razy po tém zapytaniu wydaje głos kukułka, oznacza to liczbę lat, po upłynieniu których, ma się spełnić żądanie.— Litwini zawsze tego byli mniemania, że tych, którzy utracili krewnych i ich żałowali, bogowie za nagrodę przemieniali w kukułki, co nawet potwierdza następna piosnka gminna.

Par tyłta jojau,
Nu żyrga pulau,
Yr upeley gulejau.
Asz teu gulejau,
Trys nedieleles,
Nieks manies ne giedawa.
O yr atleky
Trys margas gegeles
Wydor tamsios naktetes.
Wina kukawa,
Koju galelie,
Antroy pri galweles;
O szy treczioy
Rajba gegely
Kukawa pri szyrdeles
Marty pri Koju,
Sesun pri gałwos,
Matuszy pri szyrdeles.
Marty gajlijos
Trys nedieleles
Sesun trejus metelus
O matuszialy
Augintojaly
Pakol giwa galwaly. i t. d.

po polsku:

Przez most jechałem,
Z konia upadłem,
W rzece leżałem.
I tam leżałem
Trzy tygodnie,
Nikt nie tęsknił po mnie.
I przyleciały
Trzy pstre kukułki,
Pośród ciemnéj nocy.
Jedna kukała
W końcu nóg moich,
Druga przy głowie,
A ta trzecia,
Pstra kukułeczka,
Kukała przy sercu.
Żona przy nogach,
Siostra przy głowie,
Matka przy sercu.
Żona tęskniła
Trzy tygodnie;
Siostra trzy lata;
A matka,
Piastunka,
Do śmierci przy sercu! i t. d.

W Litwie na cześć kukułki i teraz jeszcze obchodzą święto. Dnia trzeciego Wielkiéjnocy, zbiera się z całéj wsi młodzież do jednego domu, śpiewa rozmaite pieśni, po czém następuje taniec zwany *Giaguży*. Tym tańcom przewodzi jedna dziewica (giegiely) celująca pięknością nad inne. Stawają wszyscy w koło, śród którego, z zawiązanemi oczami siedzi na krześle bohaterka uroczystości. W tém położeniu, pląsają wszyscy. Po każdém przetańczeniu, mężczyzni zbliżają się do siedzącéj i wziąwszy jéj rękę śpiewają:

Karaluny giegiely kuku, kuku!
Asz tawa brolalys kuku kuku!

po polsku:

Królowo kukułko kuku, kuku!
Jam twój braciszek kuku kuku!

Siedząca, zgadując po głosie tych, którym najbardziéj sprzyja, wybiera trzech młodzianów, odwiązuje sobie oczy i przez cały dzień tańcuje z nimi. Przy rozstaniu się, daje im swojéj roboty pstre pasy, młodzianie zaś wzajemnie czynią jéj podarunek. I odtąd dziewica młodzianów nazywa swojemi braćmi, a oni ją siostrą.

Na téj uroczystości sam byłem przytomny w powiecie Szawelskim, parafii Waj-

gowskiéj, w miejscu mojego urodzenia, zwaném *Pokiewie.* Drugi raz widziałem ją w tymże powiecie, w parafii Kurszańskiéj, w majętności sędziego Ignacego Rodowicza, Milwidach.

Ludwik Adam Jucewicz.

Pisałem w Wilnie
1836 r. Kwietnia 1. d.

Pieśń o kukułce, wspólna jest wszystkim plemionom sławiańskim. Oto jest jéj przekład z narzecza ruskiego.

Na polu zwłoki młodzieńca leżą,
Ciekące jeszcze, krwią ciepłą, świeżą.
Przy nim koń wierny nozdrza rozdyma,
Krwawéj murawy już się nie ima.
Dwudziestą strzały przykuci do ziemi!
Któż się użali zapłacze nad niemi?

W tém trzy kukułki nadlecą razem,
I lecą razem i płaczą razem.
Wszystkie na trawnym siadły kobiercu,
Jedna przy nogach młodzieńca padła,
Druga przy głowie, trzecia przy sercu.
Ta co przy nogach usiadła,
Jest to siostra we łzach zbladła;
Co przy głowie łzy wylewa,
To kochanka czarnobrewa.
Ta przy sercu zapłakana,
To stara matka młodziana.

Krwawa tam rzeka, gdzie matki lica,
Gdzie siostra płacze, krwawa krynica;
Suchą trawą wiatr powiewa,
Gdzie łzy roni czarnobrewa.
Bo matka płacze rok rocznie,
Lice od łez nie odpocznie;
Siostra może ze trzy lata,
Ze łzą w oku wspomni brata;
A kochanka zmienna, płocha,
W miesiąc innego pokocha.

UNIESIENIE.

z *Wiktora Hugo.*

I słyszałem głos za sobą wielki.

Stałem przy falach morskich, sam, w nocy gwiaździstéj,
Ani chmurki na niebie ni żagla na morzu,
A wzrok mój tonął daléj niż świat rzeczywisty,
A lasy, góry, wszystko w natury przestworzu
Zdawało się, że bada w niezgłębionéj dali
Swiateł nieba morskich fali.
I legiony gwiazd złotych bez końca się skrzące,
Raz cicho, to znów wznosząc harmonji tysiące.
Korząc płomienne wianki wśród wskazanych dróg,
I modre fale, wolne, niczem nie wstrzymane,
Powtarzały, zginając bielejącą pianę,
Oto jest pan, oto jest Bóg!

NOWE DZIEŁA.

w Xięgarni F. S. Dmochowskiego.

Podróż Malownicza około świata, 2 Tomy Złotych — — — — — — 48.
Mleczarka romans Koka 3 Tomy zł: 9.
Magdalena romans Koka 4 Tomy zł: 12.

CENA PRENUMERATY
MUZEUM DOMOWEGO.

w Warszawie, W KANTORZE GŁÓWNYM w xięgarni F. S. Dmochowskiego przy ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D. oraz w innych xięgarniach i Kantorach, rocznie złp. 18. półrocznie złp. 10.
na Prowincyi, W Urzędach Pocztowych i po xięgarniach, rocznie zł 24. półrocznie złp 13.
Można także prenumerować na Urzędach Pocztowych oraz u następujących xięgarzy.
w Kaliszu u Jahnischa.
w Radomiu w xięgarni tamtejszéj.
w Lublinie u Streibla.
w Poznaniu u T. Scherka.
w Krakowie u Friedleina i Czecha.
w Wilnie u Zawadzkiego.
tamże u T. Glücksberga.
w Winnicy na Podolu i w Kamieńcu Podolskim. } w xięgarniach braci Lechów
Osoby prywatne na prowincyi zamieszkałe, któreby raczyły dopomódz upowszechnieniu pożytecznych nauk, przez zatrudnienie się zbieraniem prenumeraty, otrzymają na 10 exemplarzach 11sty gratis.

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.

SĘP EGIPTSKI.



Porównanie zwierząt ssących z ptakami, nigdy może lepiej nie było ugruntowane jak pomiędzy-sępami z jednej, a hyeną, szakalem i wilkiem z drugiej strony. Mając niejako zlecenie oczyszczać ziemię z nieczystości, uprzątają trupy i popsute szczął-

ki, które inaczéj zarażałyby powietrze morowemi wyziewy. Sępy jednakże nie posiadają zupełnie dzikiego charakteru czworonogów do nich zastósowanych. Te napadają na żyjące zwierzęta, z gwałtownêm krwi pragnieniem, gdy tamtych wyłącznie biesiadą są tylko trupy. Szczęściem dla nich, że w krajach gdzie są najliczniejsze, rzadko o żer swój troszczyć się muszą. Przylatują z dala obsiadać kupami niepogrzebne trupy pozostałe na bojowisku; śmierć zwierzęcia śród pól jest bankietem, w około którego zgromadza się wkrótce mnóstwo biesiadników.— Z najwyższych przestworów, gdzie szybują na rozpostartych skrzydłach, spadają na łup swój i nie raz tak żarłocznie nim się obżerają iż stają się niezdolnemi wznieść się po nad ziemię. Sęp z resztą głodem tylko przyciśniony porzuca zwyczajną ociężałość i idzie szukać pożywienia. Wzbija się wówczas nie dojrzany prawie oku, rozciąga skrzydła i nie poruszając niemi szybuje i zakreśla szerokie koła i przepatruje powierzchnią ziemi. Nie raz niebo wydaje się zupełnie czyste, a oko nie odkrywa najmniejszego śladu ptaka w powietrzu; lecz zaledwie tylko co zwierze padnie martwe na polu, zaledwie strzelec oddali się od wypaproszonych trzewów, tysiące sępów, jak gdyby nagle w téj chwili zrodzonych, zstępuje z obłoków i gromadzi się na około uczty.

Moc-że to wzroku lub węchu sprowadza te ptaki z wysokości niebios i najdalszych krańców widokręgu, do przygotowanéj dla nich pastwy? Zapytanie to jeszcze dotąd nie jest rozwiązaném. W starożytnych klassycznych pisarzach, pełno jest miejsc przypisujących sępom wzrok najlotniejszy i najbystrzejszy, a rozwinięcie jakie u nich organ wzroku przedstawia, zdaje się bydź przychylném temu zdaniu, które pan Waterton i inni przyjęli, lecz które pan Audobon zupełnie za bezzasadne uważa. Naturalista ten zgodnie z panem Levaillant, utrzymuje, iż sęp przez nadzwyczajną moc węchu z tak daleka łup swój odkrywa.

Posłuchajmy jak Buffon wspaniale opisuje obyczaje, któremi sęp różni się od orła i innych gatunków wojowniczych i drapieżnych.

„Nadano orłom pierwsze miejsce pośród drapieżnych ptaków, nie dla tego żeby były silniejsze i większe od sępów, lecz dla tego iż są bardziéj wspaniałomyślne i nie tak nikczemnie okrutne; obyczaje ich są dumniejsze, chód śmielszy, odwaga szlachetniejsza, gdyż prawie tyle mają upodobania w wojnie ile i chęci pozyskania łupu. Sępy przeciwnie mają tylko instynkt podłego żarłoctwa; jedynie wtedy walczą z żywemi, gdy się trupami napaść nie mogą. Orzeł napada nieprzyjaciół lub ofiary wstępnym bojem; sam jeden ich ściga, chwyta. Sępy przeciwnie, skoro tylko przewidują opór, gromadzą się w kupę i są raczéj złodziejami niżeli wojownikami, ptakami rzezi, aniżeli ptakami drapieżnemi; gdyż z pomiędzy drapieżnych ptaków, one tylko jedne napadają w kilku na jednego; same tylko pozostawiają kości: smród i zepsucie przynęca ich, zamiast coby miało odpychać. Jastrzębie, sokoły, najmniejsze nawet ptaszęta, daleko więcéj okazują odwagi; gdyż polują same i wszystkie prawie gardzą martwemi ciałami i zupełnie odrzucają te, co są już zepsute.»

Obraz ten, jak wszystkie które maluje Buffon, świetnieje kolorytem; dodajmy, że opis ten obyczajów sępów i ptaków, do których wymowny pisarz je porównywa, jest prawdziwym; lecz niechaj nam wolno będzie różnić się od niego w pochwałach których nie szczędzi jednym, a w pogardzie drugich. Podług widoków opatrznéj natury, wszystko jest dobrém, a sęp odstręczający swojemi obyczajami, dopełnia właśnie włożonéj na siebie powinności, to jest, oczyszczania ziemi z trupów, aby nie zarażały powietrza. Gdyby sęp był wojowniczym ptakiem, podobnym orłowi, gdyby jak on napadał na żyjące istoty, szedłby prosto w brew celowi natury, gdyżby powiększał liczbę trupów. Wyrzucają mu, że się gromadzi w stada na pożarcie pastwy, nie uważając że to właśnie wielkiém jest szczęściem, gdyż tym sposobem ziemia prędzéj jest oczyszczona ze szczętów zwierząt zarzucających jéj powierzchnię. Nie dajmy się więc uwodzić pozorom i przesądom; tak orzeł, jak sęp, ślepo tylko posłuszne są swojemu instynktowi; tam gdzie uczucie moralnie nie istnieje, nie może mieć miejsca ani pochwała, ani nagana.

Wielka rodzina sępów, rozrzucona jest po całéj kuli ziemskiéj; lecz obfitują szczególniéj w gorących klimatach, to jest właśnie tam, gdzie są najpotrzebniejszemi do oczyszczania pól, wsi, a nawet i miast, z psujących się zwierzęcych części. Pod tym względem Egipt bardzo wiele jest winien pięknemu ptakowi, którego nasza rycina wyobraża. Najmniejszy z sępów dawnego świata, należy do najliczniejszego gatunku, znajduje się szczególniéj w Egipcie i sąsiednich Europy, Azyi i Afryki; widziano go nawet we Włoszech i Szwajcaryi, a raz nawet 1825 roku, zabito jednego w Somersetshire w Anglii. Wszyscy prawie podróżni oceniają użyteczność tych sępów dla Egiptu, gdzie wraz z błąkające-

mi się psami, oczyszczają ulice z nieczystości wszelkiego rodzaju. Usługi ich niemniéj były cenione w starożytności jak i teraźniejszych czasach; liczono je do ptaków poświęconych i widzimy często jak najstaranniejsze ich wyobrażenie na pomnikach dawnego Egiptu. Z tąd pochodzi ich miano *kurcząt Faraona*.

Wierny towarzysz karawand, za któremi postępuje od miasta do miasta, pilny zwiedzacz wszelkich rzeźni, przemyślny w wynajdowaniu trupów, sęp egipski zasługuje przynajmniéj na uwagę ludzi, a jeśli dzisiaj nie czczą go jako bożyszcze, zawsze szacują go jako dobroczyńcę.

Corocznie przylatują liczne stada tych sępów w okolice Gibraltaru i południowéj Hiszpanii; przepędziwszy zapewne zimę w Afryce. Pewien podróżny mówi, iż je widział blisko Sewilli, idące w ślad za pługiem i pożerające robaki wyorywane z gruntu.

Długie i obszerne skrzydła sępa egipskiego, nadają mu potężną moc lotu i dozwalają wzbijać się z nadzwyczajną lekkością. Jednakże; podobnie jak wszystkie sępy, gdy się nazrze do sytości, staje się tak ciężkim, tak osępiałym, iż zaledwie wznieść się może nad ziemię, i w tym stanie łatwo bardzo go schwytać; zdobycz ta jednakże nie jest przyjemną, ciało jego bowiem wyziewa smród nieznośny i obrzydliwa ciecz płynie z jego nozdrzów.

Sęp ten mało co większy jest od kruka, lecz z rospostartemi skrzydłami blisko sześć stóp trzyma. Gdy pierze jego dojdzie do zupełności, jest jednostajnie biały, prócz wielkich piór w lotach, które są czarne. Wierzch i boki głowy, podobnież i szyja, zupełnie są nagie i dozwalają widzieć skórę sino-żółtą. Oczy ma czarne. Pierze jego przychodzi do téj pory po kilku kolejnych zmianach; najpierwéj jest brunatne, a po każdem wypierzeniu się przybiera coraz świattlejszy odcień. Gnieździ się po rozpadlinach skał i miejscach wyniosłych; lecz jaja jego nigdy jeszcze opisane nie były.

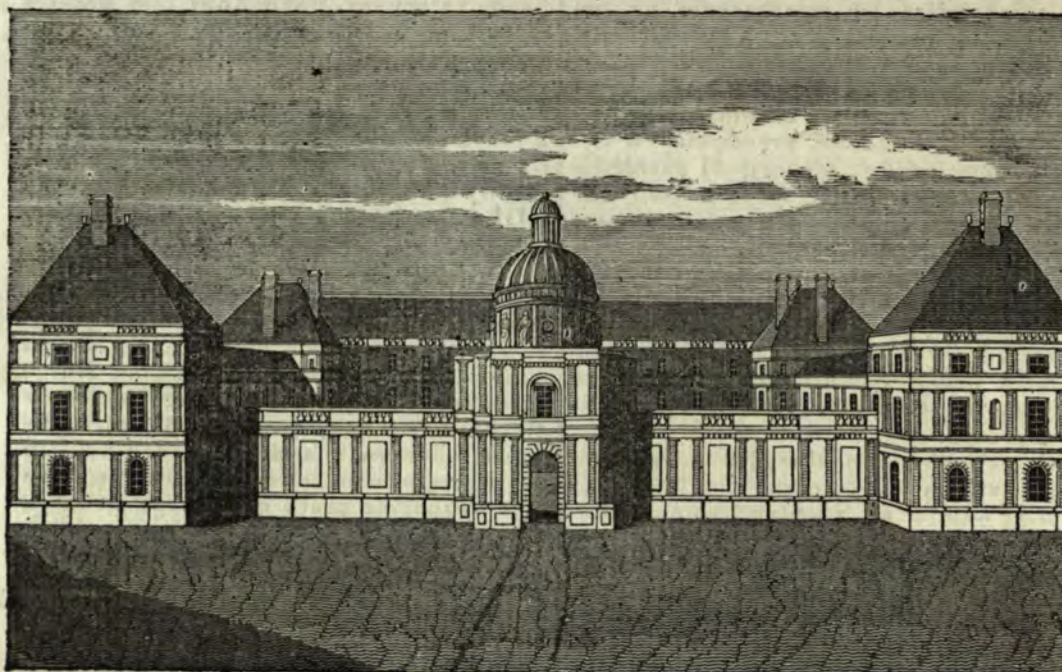
PAŁAC LUXEMBURGSKI.

Luxemburg, który po Tuilleries wzięty wraz z ogrodami, jest jednym z najobszerniejszych i najokazalszych pałaców paryzkich, zasięga zupełnie nowoczesnéj daty. Miejsce które zajmuje, służyło niegdyś za obóz Rzymianom, potém stało się jednym z owych bezimiennych gruntów, dwójznacznego przeznaczenia, zarazem pustych i uprawnych, zamieszkałych i bezludnych, jakiemi bywają zwykle grunta leżące w około miast wielkich: albowiem aż do środka XVIgo wieku, przestrzeń którą teraźniejszy pałac zajmuje, nie była objętą w obwodzie Paryża. Robert de Harlay de Sancy, pierwszy wybudował tam pałac i ustąpił go w krótce xięciu d'Epinay-Luxemburg: z tąd pochodzi imie tego gmachu. Z rąk xięcia Luxemburg, który go znacznie powiększył, pałac Harlay wraz z przyległościami, przeszedł kupnem (1612 r.) do królowéj matki, Maryi de Médicis, wdowy po Henryku IV. a matki Ludwika XIII. Urodzona i wychowana w Florencyi, Marya de Medicis pragnęła, aby pałac który wznieść zamyślała, wznawiał niektóre pamiątki rodzinnego jéj miasta; zaleciła więc swemu architektowi, Jakóbowi de Brosses, aby w pomysłach do tego dzieła natchnął się jeniuszem florentskim, Marya prócz tego posłała jeszcze jego plany do Włoch i Niemiec, pod krytykę największych mistrzów w architekturze; i dopiero po jednogłośném ich potwierdzeniu, kazała rozpocząć prace około tego gmachu, (1615).

Pałac Luxemburgski oznacza się szczególniéj mocą i pięknością kształtu; dokładną symetryą i najdoskonalszą regularnością; lecz właśnie dla tego, że pełen jest mocy i szlachetności, zbywa mu na lekkości i wdzięku: męzka surowość jest może zbyt panującym charakterem w całości budowy, równie jak w szczegółowych ozdobach. Zabudowania trzech porządków, (toskańskiego na dole, dorycкiego na pierwszém piętrze, a jońskiego na drugim) wychodzą na dziedziniec tworzący czworobok 60 stóp długi a 50 szeroki. Część najwznioślejsza jest od strony miasta, na przeciw ulicy Tournon. Przedstawia po obu koncach dwa pawilony, a w pośrodku kopułę, którą odkryte tarasy, wzniesione na murach przebitych arkadami, z obu pawilonami połączają.

Pałac Luxemburgski, aż do roku 1835 nie doznał żadnéj głównéj zewnętrznéj zmiany, rozkład tylko wewnętrzny przeistoczono i znacznie ulepszono; lecz ogrody zupełnie rozburzono, a planów Brossesa również nie uszanowano w Luxemburgu, jak plany Le Notra w Tuilleries. Nie wchodząc w dzieje wszystkich przemian drzew, ziemi, wody, kwiatów i trawników, których ogród ten był widownią, powiemy tylko, iż teraźniejszy jego stan ruchu i pozornego nieładu, nadaje mu pozór wieśniaczy i naturalny, nie będący bez pewnego wdzięku pośród Paryża. Kwietnik umieszczony na gruncie niskim, w prost pałacu, okolony klombami drzew, rozrzuconych tu i owdzie po rozmaitéj pochyło-

PAŁAC LUXEMBURGSKI.



ści wzgórzach, ozdobiony sadzawką, otwiera wstęp do pięknéj i długiéj alei, przyjemnie połączającéj pałac obserwatoryum z pałacem Luxemburgskim.

Upodobanie w przepychu, które skłoniło Maryą de Médicis, aby w ogrodach swoich miała wodo-tryski, dało powód do szczęśliwego wielce wypadku dla mieszkańców lewego wybrzeża Sekwany. Były wtedy istniejące jeszcze dotąd, szczęty rzymskiego wodociągu, które niegdyś sprowadzały wody rzeczki Arcueil do pałacu Termów; już Henryk IV i Sully, myśleli o przywróceniu tego wodociągu, Marya de Medicis kazała wznieść zupełnie nowy, tuż obok zwalisk rzymskich. Pożyteczna ta praca, będąca prócz tego pięknym pomnikiem, sprowadziła strumień czystéj wody, któréj ogrody Luxemburgskie chłonęły wprawdzie część największą, lecz któréj reszta rozdzielona na czternaście studni, zjednała mieszkańcom lewego wybrzeża dobrodziejstwo od dawna upragnione. Prawda, iż nieco za drogo opłacili swoją wodę, gdyż wszystkie wydatki na piękny wodociąg Arcueil, pokryte zostały podatkiem nałożonym na wprowadzenie wina.

Odznaczający się jako pomnik, pałac Luxemburgski wzbudza prócz tego mocne zajęcie, przez wielkie wypadki jakich był widownią. Mało jest gmachów w Paryżu, do którychby dzieje we wszystkich epokach przywiązały tyle imion, tyle wspomnień. Marya de Médicis ledwie tylko na chwilę w nim się ukazawszy, podarowała swojemu drugiemu synowi, Gastonowi d'Orleans. Posiadały go potém kolejno xiężne de Montpensier, de Guise i d'Alanson; ta ostatnia darowała go Ludwikowi XIV. który go przyozdobił. Wrócony domowi Orleańskiemu był mieszkaniem xiężnéj de Berry, córki rejenta Filipa. Ludwik XVI. stawszy się właścicielem pałacu Luxemburgskiego, ustąpił go swemu bratu, wówczas *Monsieur*, a późniéj Ludwikowi XVIII. Pod władzą konwencyi, pałac Luxemburgski, niegdyś siedlisko uciech, pustoty, wielkości i przepychu, stał się miejscem żałoby i nędzy: zmieniony został w więzienie. Pod dyrektoryatem gmach xiążąt i królów, dostał za mieszkańców urzędników rzeczy-pospolitéj, dyrektorowie w nim się rozgościli. Gdy rewolucya 18 brumaire, ustanowiła konsulów w miejsce dyrektorów, Luxemburg był zrazu przeznaczony na stolicę nowéj władzy; lecz Tuilleries lepiéj przypadły do widoków Bonapartego. Luxemburg inne otrzymał przeznaczenie; senat zachowawczy obrał w nim swe siedlisko. Gdy roku 1814

utworzoną została izba parów, tamże zaczęła odprawiać swoje posiedzenia; odtąd ciągle służy do tego użytku i uważanym bydź może jako kolebka praw rządzących Francyą. Ciało prawodawcze, izby parów, jest zarazem najwyższym trybunałem sprawiedliwości; tym więc sposobem, pałac Luxemburgski był jeszcze trybunałem, gdzie się rozstrzygały najważniejsze procesa. Roku 1815, wyrok śmierci był w nim wydany przeciw Marszałkowi Ney. R. 1820, zabójca xięcia Berry, Louvel usłyszał tam wyrok śmierci. Po zmianie r. 1830, ministrowie Karola X. którzy podpisywali Lipcowe rozkazy, zostali w nim skazani na wieczne więzienie. Teraz wreście, liczni zwolennicy zaburzeń, otrzymali tamże zasłużoną karę. Z powodu tego olbrzymiego procesu, który liczył najmniej 160 obwinionych, obszerna sala z drzewa, przybudowaną została do wystawy pałacu wychodzącéj na kwietnik. Chociaż przybudowanie to zmienia zupełnie z téj strony postawę gmachu, nie razi jednak oka, gdyż jest w najzupełniejszéj zgodności z resztą budowli.

Pałac Luxemburgski: gdyż miano to mu pozostało mimo wszystkich zmian: słynie nie z samych tylko historycznych wypadków, sztuki uświęciły go także jako swoją świątnicę. W samym zakładzie, galerya urządzona na zbiór obrazów, przyjęła pomiędzy innemi skarby, dwadzieścia cztery wielkich malowideł Rubensa, wystawiających pod allegorycznemi kształty, historyą Maryi de Médicis. Roku 1805, zbiór ten długo zaniedbany, zbogacił się kilku płodami największych mistrzów dawnych i tegoczesnych; lecz gdy roku 1815 przerzedzono muzeum Luwru, galerya Luxemburgska przybyła mu w pomoc i ogołociła się aby zapełnić próżne w niém miejsca. Szczęściem, płodność artystów francuzkich, wynagrodziła uszczerbek, który owe pożyczki zrobiły w bogactwach Luxemburgskich. Snycerstwo rozrzuciło także, bądź po ogrodach, bądź w około pałacu, i w jego salach, mnóstwo utworów wielkiéj wartości. Najbardziéj szacowanemi są: posąg kąpiącéj się kobiety, godny walczyć o pierwszeństwo z arcy-dziełami starożytności i wspaniałe wschody wiodące do sali posiedzeń, których całość i ozdoby, szlachetne i pełne wdzięku, odznaczają się rzadką zaletą wykonania.

LIRA I ARFA.

POEZYA WIKTORA HUGO.

przekład Br: Hr: Kicińskiego.

Lira jest godłem poezyi i wyobrażeń starożytnych klassyków; arfa godłem poezyi i ducha chrześciaństwa. W pięknym utworze swoim, Wiktor Hugo na przemiany stawiąc Lirę i Arfę, wydał główną różnicę i piętno tak różnych epok.

LIRA.

Śpij synu Appolina! w wawrzyny cię zdobię,
Śpij w pokoju, siostr dziewięć twe dzieła wynoszą,
Mglisty snów orszak, buja nad tobą z rozkoszą,
I lira nuci przy tobie.

ARFA.

Młodzieńcze! synu nędzy! przerwij słodycz snu
Nazbyt gnuśne marzenie, zakryło ci świat,
A gdyś spał, nieszczęśliwy twój bliźni, twój brat,
Przyszedł i wsparcia twego dotąd czeka tu.

LIRA.

Twa młodość drogą jest chwale,
Już od urodzenia chwili,
Muzy kochały cię stale
Ludzie cię stale wieńczyli.
Nie lękaj się bóstwa czasu,
Olimp jest płodem Parnasu,
Poeci bogów stworzyli.

ARFA.

Pomnij żeś niewiasty dziecię,
Przy twéj kolebce płakała.
Cierp więc; twe znikome życie
Błyszczy jak światłość niestała.
Bóg twój pan, znaki jasnemi
Zakreślił ślad twój na ziemi,
I grób gdzie zgaśnie czcza chwała.

LIRA.

Śpiewaj! Jowisz świat wstrząsa jednem oka mgnieniem
Wenus Marsa z miłosném ściska uniesieniem,
Irys błyszczy w powietrzu, Flora płodzi kwiaty;
Śpiewaj, jak nieśmiertelni potrójném stąpieniem
Całe przemierzają światy.

A R F A.

Módl się! Bóg tylko jeden, on się skruchą wzrusza,
Wiecznie jeden i dobry, łaską grzechy myje.
Wszystko powstaje z niego i na nim się skrusza,
On cały świat zapełnia, jak niezmierna dusza,
I śród nieskończoności, nieśmiertelny żyje.

L I R A.

Wieszczu! od Muz ukochany,
Dni w ustroniu błogiém kryj,
Ziemię tłoczy wiek miedziany,
Lecz ty w złotym wieku żyj.
Cicho czcząc domowe Bogi,
Zdala mijaj miast pożogi,
I ich wrzący mijaj tłum.
Niech nawałność wre najsroższéj;
Samotniku! cóż cię strwoży,
Gdy jéj ledwie słyszysz szum?

A R F A.

Bóg cię wesprze! W Bogu żyj,
Czém Jan święty był na puszczy,
Tym bądź dla występnéj tłuszczy,
I niewiernych jak on chrzcij.
Idź zwiastować ludom ziemi,
Że nawałność wre nad niemi.
Że im nieba grozi sąd.
Niech twój głos i rada prawa;
Silna jak grzmot, jak miast wrzawa,
Zaślepionych wstrzyma błąd.

L I R A.

Orzeł jest królem ptaków, ptakiem króla świata,
Od Kaukazu do Atos, w oba ziemi końce.
Dźwigając gromy przelata,
Nad błyskawicą buja, oczy wraża w słońce.

A R F A.

Gołąb zstępuje z nieba, jego postać błoga,
Swiętego Ducha w Boskiéj kryje tajemnicy
Równo starcowi drogi, jak świętéj dziewicy,
Niesie gałęź do Arki, światu głosi Boga.

L I R A.

Kochaj! Eros panuje w piekle, niebie z ziemi,
Pochodnią swoją w Sestos, zatlił ognie lube,
Parysa ręką ściągnął Jlionu zgubę.
Piękności się zmieniają, zmieniaj się wraz z niemi,
Miłostki są igraszek braćmi przyrodnemi.

A R F A.

Sercu twojemu duszę wyszukaj dziewiczą,
Przywiąż się stale do niéj, złącz węzły świętemi,
Dwie istoty spojone zgodą tajemniczą,
Przemijając po téj ziemi,
Już dni twoje w niebie liczą.

L I R A.

Używaj! potok żyjących
Przepływa w umarłych kraje,
Mędrzec w nieszczęściach rażących,
Wiatrom swoje troski zdaje.
A gdy śmierć niespodziewana,
Przyjdzie, jak towarzysz blady,
Niech cię znajdzie w śród biesiady;
Witaj ją pełnym kielichem,
I w noc nie mającą rana,
Z obojętnym przejdź uśmiechem.

A R F A.

Dziel z bliźnim twój kawał chleba,
W smutku pomniéj łzy ocierać,
Czuwaj, wznoś modły do nieba,
Żyjąc myśl że masz umierać.
Grzesznik ginąc duma sobie,
Że jak w życiu tak i w grobie,
Znajdzie nicość w tém go zwoła;
Budząca trąba Anioła...
Wtedy zadrży że ma duszę,
Zadrży na wieczne katusze.

Słuchał pilnie poeta tych głosów z nad ziemi,
Które do odmiennego wabiły go celu,
I późniéj, śmiał niekiedy wyrazy wątłemi,
Echom Parnasu nucić hymn Karmelu.

O KOBIETACH.

O ich przeznaczeniu i obyczajach, u ludów tegoczesnéj Europy.

(Dalszy ciąg.)

Dziś nawet w wychowaniu kobiet, niewidzimyż połączone nauki moralne, sztuki nadobne, omdlewającą i ognistą kawatynę Rossyniego, taniec prawie zbyt wolny, romanse pełne najmocniejszych opisów z

surowém zalecaniem poszanowania winnego światu i przyzwoitości, które zachować należy? Rzucona w taką scenę towarzyską, niepowinnaż nabyć kobieta wielkiéj przebiegłości dowcipu, szybkości i jasności pojęcia, giętkości w życiu, upodobania do tajonych uciech, łatwości kłamania i maskowania się, a nadewszystko przedwczesnego poznania namiętności i uczuć? Nie trzebaż się spodziewać, że pierwszy kwiat tkliwości, zamiast rozwijać się z prostotą i naiwnością, zwiędnie zawcześnie i ustąpi miejsca wyszukaniom zalotności, miłości własnéj i osobistego interesu?

Powiedzmy bez obawy, iż cywilizacya wszystko uczyniła przeciw kobietom. Im więcéj przyczyniła się do ich zepsucia, tym okazała się względem nich surowszą. Owa nawet zalotność i dworność zrodzona z pomięszania wyobrażeń rycerskich i chrześcijańskich, zdając się pochlebiać kobietom i hołdy im składać, nie byłaż pośmiewiskiem i niesprawiedliwością? Mówiła im: »Otoczone będziecie złudzeniami, a jeśli ich nieprzyjmiecie, śmieszność na was spadnie. Jeśli ulegniecie pochlebstwu, zostaniecie spodlone.« Wierny obraz towarzyskiego stanu, od początku wieku siedemnastego, aż do dziewiętnastego.

Dwóch filozofów, jeden katolik, drugi protestant, pojęli to położenie kobiet: Fenelon we Francyi, Foe w Anglii. Rad ich nie usłuchano i od owego czasu żadna prawie zmiana nie zaszła w téj najważniejszéj części moralności publicznéj. Prawda, iż podług założonych przez nas zasad, potrzeba przeistoczyć pierwéj mężczyzn i ich wady.

Dziś, gdy Europa jednym jest tylko wielkim narodem, gdy wszystkie zamieszkujące ją ludy, zamieniły starodawne obyczaje, aby powszechną utworzyć cywilizacyą, do żadnego z nich wyłącznie nie należącą, same tylko kobiety zachowały jeszcze z religijną skrupulatnością, odcienia rozróżniające niegdyś obyczaje. Niemka, Włoszka, Hiszpanka, Francuzka przedzielone są odcieniem wydatniejszym daleko, niżeli mężczyzni tych krain.

Nie mówimy tu o najwyższych klassach. Kobiety i mężczyzni salonowi podobni są do siebie we wszystkich krajach i tworzą naród bardzo łatwy do poznania. Nie tam szukać potrzeba odcieni; wieczór ambasadora, obiad ministra, bal dworski, wszędzie są prawie jednakowe. Jednostajność ta rozciągnie się w krótce nawet do pierwszych klass w Turcyi, które za lat pięćdziesiąt, przyswoiwszy sobie nasze surduty i kapelusze, dojdą niezawodnie do usamowolnienia kobiet. Średnia klassa, sama tylko przedstawia odrębną cechę. W téj to sferze oceniać należy kobiety i rozmaitość zwyczajów i obyczajów, wynikającą ze stanu towarzystwa. Nikogo poznać nie można, gdy się widzi tylko świat w paradnym ubiorze. Zwiedź buduar, wejdź do sali jadalnéj, przeniknij szczegóły gospodarstwa, jeśli chcesz sądzić i oceniać zwyczaje i obyczaje domowe. Jeśli zostawimy na stronie uprzywilejowane klassy, zawsze wystrojone, zawsze podległe prawom etykiety, a zajmować się tylko będziemy ogółem, można zaręczyć, iż ze wszystkich kobiet Europejskich, najbardziéj naiwne są Niemki. Pod tym względem różnią się zupełnie od Angielek, a nadewszystko od Francuzek. W tych krajach wychowanie kobiet jest odjemne. Powtarzają im bez ustannie: »Rób to, nie rób tego.« Mało przytaczają powodów. Jeśli panienka śmielsza lub bardziéj otwarta, spyta dla czego jéj to zalecają, odbiera odpowiedź: — »To nie jest podług zwyczaju, to nie jest jak należy, to śmiesznie!« Lecz czyn zakazany jestże złym? J dla czegóż jest złym? Krótka na to odpowiedź: »Moja kochana, nie należy rozprawiać; młode dziewczęta nie powinny rozumować. Jdź się uczyć włoskiego języka. Ależ mamo, ja myślałam... — »Myśleć! to wcale nie potrzebne; rób to co ci każą.» Jakto! wola nauczycielki, przepisy mody, siła zwyczaju, przytłumiąż owe namiętności, owe uczucia, owe myśli, ową tajemną dzielność z których ręka Twórcy utkała osnowę naszego życia! Mniemają, że dosyć jest zgasić czułość i przezwyciężyć charakter, odjąwszy wszystkie powierzchowne jego oznaki. Nie widzimyż przeciwnie, że owe władze czucia i myśli są prawdziwemi ogniwami spajającemi nas ze wszystkiém co jest boskiém, że aby ich popęd skierować i zwolnić, do nichże samych właśnie przemawiać należy?

Skutek takiego wychowania, zupełnie jest różny we Francyi i Anglii. W Anglii, stare wyobrażenia krążące w towarzyskiém ciele, służą za przeciw-wagę powściągliwości nakazanéj kobietom. Ponieważ Anglicy wysoce cenią osobistość każdego, nie mogą wzbronić płci pięknéj podzielać to uczucie. Obyczaje też kobiet są zimne i surowe na pozór, rzeczywiście zaś stanowcze i śmiałe. Towarzyskość francuzka otacza kobiety potężniejszemi daleko więzy, utwarza im istnienie bardziéj sztuczne, wpaja w nich zasady daleko mocniéj krępujące. Czytanie romansów, rozmowy wolniejsze niżeli w Anglii, wcześnie czynią dojrzałym umysł kobiety francuzkiéj; a może w ogóle, przywyknienia te zaostrzając dowcip, wysuszają prędzéj niżeli w Anglii, a nade-

wszystko w Niemczech, prostotę i pierwszy kwiat czułości i myśli.

We Francyi, kobiety podległe są przyzwoitościom; w Anglii etykiecie. Niemniéj dla tego w obu tych krajach cenią naturalność; jest ona przedmiotem wyłącznéj zupełnie nauki. »Córko moja, bądź naturalną,» mówi nie jedna dobra matka. Owa wyuczona prostota zależy na tém, aby nie czynić tego czego inni nie czynią, ściskać, że tak powiem, duszę i umysł jak najobciślejszą sznurówką; a co najdziwniejsza, potrzeba koniecznie uledz temu wymuszeniu, pod karą śmieszności.

W Niemczech, mniéj daleko widzimy śladów téj wyuczonéj elegancyi, tego przepisowego życia. W ogóle, Angielka na to żyje, aby robiła herbatę, Francuzka dla zalotności, a Niemka dla gospodarstwa. Co do miłości, ta mięsza się z tém wszystkiém i prawie w równym stosunku we wszystkich krajach. W Niemczech, życie domowe pochłania wszystkie wyobrażenia; nie poświęcają tam kształcenia uczuć moralnych, wykształceniu umysłowemu, a mniéj jeszcze powabnéj układności. Nie każą przytłumiać lub pokrywać wrażeń i uczuć naturalnych; kobiety też dla tego zachowały tam więcéj osobistości charakteru, a poezya natchnienia mięsza się z rzeczywistością pospolitego życia. Nie raz widziałem w Niemczech rozwijającą się instynktową prostotę i zachwycającą świeżość uczuć. Sama nawet przysada była przesadzoną naturalnością i nie raz wielce mnie bawiła. Angielka jest zupełną arystokratką, nawet gdy ojciec jéj jest tylko kupcem korzennym. Umysł jéj sprowadzony z prostéj drogi, pewném przyjętém wyrachowaniem, przywiązuje fałszywe wyobrażenia pospolitości, do zatrudnień, które rzeczywiście nic w sobie pospolitego nie mają. Można ją widzieć nudzącą się cierpliwie przy oknie lub klawikordzie, nucącą miłosną piosnkę jak gdyby czytała elementarz, haftującą chusteczkę, lub robiącą siatkę. Nudzi się, lecz nudzi się szlachetnie. W Monachium, Wiedniu, Berlinie, młoda i piękna córka wielkiéj damy, schodzi i wbiega po schodach, nosząc za pasem klucze od spiżarni i piwnicy. Lolotta Wertera smarująca masłem grzanki chleba, na których widok kochanek jéj we łzach się rozpływa, bynajmniéj nie jest żartem, a jeszcze mniéj parodyą.

To połączenie czułości i zatrudnień domowych, nadzwyczajnie pospolite jest w Niemczech. W Anglii przeciwnie, czułość znana jest tylko w pończoszkach jedwabnych rękawiczkach słomkowego koloru i białym atłasie. Pewnego dnia, kobieta z wyższego stanu, która miała ze mną odwiedzieć galeryę obrazów, wymówiła się, gdyż to był dzień przeznaczony na pranie. Jednakże jéj umysł był wykształcony, obejście tchnące szlachetnością i pełne wdzięków; nie wiele znałem znakomitszych kobiet. *Die grosse Waesche* (wielkie pranie), jest ogromnym wypadkiem dla wszystkich kobiet niemieckich; biada temu kto wówczas wejść się do ich domu ośmieli! wszystko tam przewrócone do góry nogami. Ileż to razy damy, i to jeszcze damy dworskie, poświęcają zaproszenia i wizyty *wielkiemu praniu!* Nie trzeba zapominać, że nie mówię o żonach rzemieślników i wyrobników. W tych klassach, żona jest tylko pierwszą sługą. Myśli jedynie o kuchni i praniu. Pomiędzy temi dwoma ostatecznościami: życiem gospodarskiém i drobiazgowém, które pochłania całe pojęcie, i owém fałszywém sztuczném wymuszeniem, przytłumiającém prawdę charakteru: znajduje się ideał kobiety, towarzyszki męczyzny, tyle oświeconéj, aby go mogła zrozumieć, tyle naiwnéj, aby zachowała prawdziwe uczucia, tyle skromnéj, aby nie pogardzała tém wszystkiém, co się przyczynia do dobrego bytu i przyjemności życia.

W Hiszpanii i Włoszech, postęp wychowania zupełnie jest różny. Kobiety uczą się drżeć, ulegać swym namiętnościom, żałować za nie i na nowo rozpoczynać to następstwo winy i żalu, dopóki nie nadejdzie wiek, który wydziera im zarazem uwodzącą miłość i oczyszczającą karę. Zwróćmy jednakże na to uwagę, że w tych krajach pod niektóremi względy, nie istnieje prawo przyzwoitości towarzyskich. Dobre lub złe postępowanie, nie zawisło od towarzystwa. Ponieważ związki we Włoszech, są skutkiem natchnionego popędu, szanują je i myślą że ludziom nie należy mięszać się do spraw takich.

Wszyscy podróżni zgadzają się, iż we Włoszech panuje wielka wolność obyczajów, że uczucia zdrarzają się i rozwijają z mocą i niepodległością niepochodzącą z samego tylko klimatu, lecz i z wychowania kobiety. W Niemczech tenże sam zapał istnieje, tylko jest nieco lepiéj skierowanym. Mniéj tam jest wystawności, etykiety niż w Anglii i Francyi. Próżność mniéj ofiar otrzymuje.

(Dokończenie nastąpi).

164

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.

APOTEOZA AUGUSTA.



Pomiędzy rzadkiemi i kosztownemi przedmiotami, które znajdowały się w skarbcu kościoła Swiętéj Kaplicy w Paryżu, był kamień agat-onix, największy ze wszystkich jakie są znane dotąd. Długi był na stopę, a szeroki na dziesięć cali. Liczne płaskorzeźby zajmowały jego powierzchnię. Cesarze Greccy, posiadając ten kamień wprzódy nim go przywieziono do Francyi, niewiadomo w jakiéj epoce i z jakiego powodu, mniemali ze wyobraża przedmioty z pisma świętego. Odgadli że płaskorzeźba wystawia tryumf Józefa w Egipcie za czasów Faraona, i dla tego przydali postaci czterech ewangelistów wyrobione w emalii w czterech rogach ramy, w którą oprawiono agat. Mniemanie to, przyjęto we Francyi bez żadnego rozbioru. Karol V. uważając ten kamień za świętość, darował go kościołowi Swiętéj Kaplicy i pod czas wielkiego nabożeństwa, pokazywano go wiernym, aż do r: 1619, w którym to czasie, pan de Peirese radzca parlamentu prowanckiego i bardzo biegły archeolog, udowodnił, że agat ten wyobraża apoteozę cesarza Augusta, nie zaś jaki religijny przedmiot.

Postrzeżenie to, zwróciło uwagę uczonych; uznano jednomyślnie, że ta rzeźba nie należy wcale do historyi świętéj, że wyobraża apoteozę, lecz nie zgodzono się który z cesarzów jest jéj przedmiotem.

Płaskorzeźba dzieli się na trzy gruppy, umieszczone jedne nad drugiemi. Najwyższa, wystawiająca przyjęcie do nieba, nowego bożka, składa się z pięciu figur,

środkowa z dziewięciu, dolna z dziesięciu. Oprócz niektórych drobnych sprzeczności, zgadzają się względem znaczenia dwóch niższych płaskorzeźb. Dolna wyobraża podbitych barbarzyńców; środkowa, zgromadzenie głównych członków familii Tyberyusza; lecz nie zgadzają się co wyobraża gruppa najwyższa. Nie będziemy wchodzić w wykład rozmaitych systematów, powiemy tylko, że taż sama figura wyobraża podług jednych Augusta, podług drugich Jowisza, podług trzecich Wenerę.

Dzisiaj najliczniejsze i najpoważniejsze zdanie jest, że kamień ten rznięty był za panowania Tyberyusza, na pamiątkę Apoteozy Augusta. Wyższa gruppa, wyobrażałaby zatém przyjęcie do Olimpu tego cesarza, przez jego krewnych już zmarłych, środkowa wystawiałaby krewnych jeszcze żyjących, a do nich przydany został za tronem Tyberyusza, senator Numerius Atticus, który przysiągł, że widział cesarza Augusta uniesionego do nieba. Figura ta wlepia wzrok w wyższą gruppę, jak gdyby uderzona swojém widziadłém. Nareście, dolna gruppa, na któréj są postaci podbitych narodów, byłaby symbolicznym znakiem panowania Rzymu. Tłomaczenie to, jest dosyć podobne do prawdy; jednakże nigdy nie będzie miało zupełnego udowodnienia.

Z resztą; praca artysty, jaki bądź wystawia przedmiot, zasługuje na powszechny podziw i uwielbienie. Wyraz twarzy doskonale jest oddany. Głowa człowieka siedzącego na koniu i samegoż konia, jest niezrównanéj piękności. Znawcy nie mogą wydziwić się gromadzie niewolników; niektóre wprawdzie postaci nie są tak doskonale wykończone: może to pochodzić z téj przyczyny, że rozmaici artyści pracowali nad tém dziełem, i że bardzo jest trudną rzeźba na agacie. Kamea ta jest razem cudem sztuki i cudem przyrodzenia, jest bowiem największym i najpiękniejszym agatem, jaki tylko znać możemy. Rozmaite jego kolory nie tworzą plam, ale następują jedne po drugich regularnemi pokładami. Na wierzchu jest cienki pokład ciemnego koloru, potém następuje pokład doskonałéj białości, w którém wyrobione są płaskorzeźby; na spodzie jest pokład czarny, doskonale odbijający gruppy umieszczone na nim.

Agat ten znajduje się teraz w zbiorze starożytności w Bibliotece królewskiéj w Paryżu i jak najlepiéj jest zachowany. Rycinę jego zamieściliśmy w piśmie naszém, jako piękny wzór starożytnéj sztuki.

POEZYA.

Pomiędzy tegoczesnemi poetami naszemi, mało dotąd znany, a należącym do wyższego rzędu pisarzy, jest Stanisław Starzyński. Przed czternastą laty zbogacił scenę naszą przekładem tragedyi Gryllpacera *Matka rodu*, któremu sprawiedliwe zalety przyznała publiczność. St. Starzyński szczególniéj celuje w pieśniach; odznacza się w nich niezmierną łatwością wiersza, bogactwem wyrażeń i pięknością myśli. Dotąd, zbyt mała liczba poezyi jego ogłoszona była drukiem. Haliczanin, pismo którego dwa tomy wyszły we Lwowie, umieściło kilka pieśni Starzyńskiego. W Dzienniku Warszawskim od roku 1826 do 1829, znajduje się parę jego elegii. Mając sposobność uzyskać kilka pieśni i elegii tego poety, z prawdziwą przyjemnością umieścimy je w Muzeum Domowem.

WIOSNA W ALPACH.

Elegja St. Hr. Starzyńskiego.

»Najrańsza z ptaszyn przelotnych,
Wiejskiéj chaty przyjaciołka,
Ku poddaszu strzech wilgotnych,
Śmiga już, chyża jaskółka.

Wkrótce i słowik powróci,
Do skromnéj, jak on zaciszy;
W Maju kocha, w Maju nuci,
Minął Maj, nikt go nie słyszy.

Głos jego, rozkosznem brzmieniem,
Świata wskrzeszenie wywróży,
I powita słodkiém pieniem,
Każdy pączek świeżéj róży.

Wiosno! więcejż człeku trzeba?
Szczęśliwa Alpów ustroni,
Przejrzysty błękicie nieba,
I miła zieloność błoni,

W pogodném waszém przestworzu,
Wzrok mój, błąka się i tonie,
A na tém rozkoszy morzu,
Wiatr pływając zbiera wonie!

Ty druszko pasterskiéj strzechy,
Helwetów piosnko radosna;
Rozznieś to głosem pociechy:
Znów dla szczęścia, nowa wiosna!«

DAWNE STRZELBY RĘCZNE.

Strzelby ręczne wynalezione w piętnastym wieku, zwały się armatami ręcznemi i składały się po prostu z lufy żelaznéj bez panewki i kurka.

Ażeby przy strzelaniu z téj broni nie zranić się jéj cofnięciem, przyprawiono do nich hak odlany razem z lufą, a który zatrzymywał ją, gdy dla strzelania opierano broń na kiju drewnianym, z tąd poszło nazwisko *muszkietów z hakiem.*

Zazwyczaj, muszkiet ten był bronią piechotnych, długi na cztery stopy do pięciu, ważył od 50 do 100 funtów; najcięższych używano tylko na wałach, a najlżejsze mieli także jeźdzcy. Te muszkiety zapalano lontem.

Z czasem doskonalono co raz bardziéj te narzędzia wojenne. Przydano do nich oprawę, aby można było oprzeć broń na ramieniu, i blachę, przez którąby lont przechodził i dotykał się do podsypki. Takim więc sposobem zrobiono muszkiet z lontem, dotąd używany u ludów wschodnich.

Mechanizm téj broni, niezmiernie jest prosty. Na blasze znajdował się kurek zwany *wężem* z powodu jego kształtu, w którego paszczę lont wsadzano. Dotykając się ręką długiéj sprężyny, spuszczano kurek z zapalonem lontem na panewkę, i tym sposobem zapalano podsypkę. Ponieważ ten muszkiet był prawie tak ciężki, jak muszkiet z hakiem, uzbrojony nim żołnierz piechotny nosił także kij okuty u dołu, któren zatykał w ziemię, u góry zaś opatrzony widełkami, na których opierała się broń dla tém lepszego wycelowania.



Muszkiet z lontem przez długi czas był zwyczajną bronią piechoty, aż do Ludwika XIIIgo. Uczyniono go lżejszym, a stopniowo ulepszając, doprowadzano nareście do téj doskonałości, jaką ma teraz. We wszystkich wynalazkach, ludzie nie trafią od razu na sposób najprostszy i najdogodniejszy. Nim wynaleźli zamki do strzelb i pistoletów, a na ostatku pistony, robili muszkiety z kółkiem, które się nakręcały kluczem, i ten dopiero wynalazek naprowadził na myśl robienia zamków.



Pistolety zaczęto robić w połowie szesnastego wieku, i nazwisko ich pochodzi od miasta Pistoja w Toskanii, gdzie wszczął się ten wynalazek. Były z kółkiem, a ich lufa długa była na stopę. Niemcy używali ich z razu, a potém Francuzi.

Sztucce napierane były także bronią używaną w dawniejszych czasach, a teraz

zagubioną zupełnie. Było to, mówią współcześni, narzędzie pośrednie między muszkietami a pistoletami; z powodu ciężkości, zawieszano je na szerokim pasie i strzelając opierano o piersi. Dopiero za Ludwika XIV. upowszechniły się w piechocie karabiny osadzone bagnetami, jakich dotychczas używają.

O KOBIETACH.

O ich przeznaczeniu i obyczajach u ludów tegoczesnéj Europy.

(Dokończenie.)

Wiele kobiet niemieckich bardzo jest uczonych, niektóre nawet są autorkami, chociaż błękitne pończochy (a), które zajmowały niegdyś pewien rodzaj tronu w Wielkiéj Brytanii, żadnéj potęgi nie wywierają w Niemczech. Skoro tylko kobieta pragnie wykształcić swój umysł, nie zbywa jéj na sposobności ani w Wiedniu, ani w Pradze, ani w Berlinie; lecz posłuszna jest tylko własnéj woli, własnéj chęci, nie zaś potrzebie błyszczenia i uchodzenia za artystkę jak we Francyi i Anglii. Ileż to biednych ofiar widziałem w tych dwóch krajach, które rysowały okropnie, malowały kwiaty bez żadnego gustu, mordowały klawikord, wymuszały kilka nędznych akordów z arfy i na los przytaczały panią Stael i Byrona. A mogąc bydź dobremi gospodyniami, samochcąc okrywały się śmiesznością. W Niemczech, kobieta która nic nie umie, która się tylko wielkiem praniem zajmuje, bez wstydu przyznaje się do swojéj niewiadomości; lecz jeśli ma dobre pojęcie, znać będzie z gruntu Szekspira, będzie umiała dwa lub trzy języki, będzie tłómaczyć angielskich poetów (którzy bardzo są dzisiaj w modzie po za Renem) i ulegając wrodzonéj skłonności, bez żadnéj chluby ze swych zdobyczy, zadziwi cię rozmaitością wiadomości, które dla saméj tylko siebie nagromadziła.

Nic pospolitszego we Francyi, jak kobieta satyryczna. W trzydziestym roku, gdy już straci złudzenia, gdy już dwa lub trzy razy skruszy bożyszcze, które sama sobie tworzy w pierwszych marzeniach, albo podług pierwszych czytanych romansów, wnosi zwykle w świat zgubną przezorność i przebiegłość, niepobłażanie i uszczypliwe szyderstwo, pokryte zasłoną lekkomyślności. Od dzieciństwa społeczeństwo ciężyło nad nią i zmuszało ją do powściągania się i udawania. Ten rodzaj istnienia, przytłacza i przygasza wszystkie tkliwe uczucia, jest wprost przeciwnym charakterowi kobiety. Jest to sztuczny występek. Tysiąc złych wpływów zmieniło ją i przekształciło; początkowa edukacya, małżeństwo jedynie dla widoków zawarte, długie powściąganie się, wszystko to, coby tém mocniéj zahartowało męzki charakter, przeistacza charakter kobiety i nadaje mu odcień uszczypliwéj ironii tak obcy i niewłaściwy jéj płci w naturalném stanie. W Niemczech nie napotkałem ani jednéj kobiety satyrycznéj. Prawda, iż Niemkom zupełnie zbywa na wdzięku, elegancyi i lekkiéj rozmowie Francuzek. Żartowanie nie jest dla nich lekkim rydwanem, którym w lot kierują, jak świetne kobiety salonów paryzkich, lecz ciężkim wozem do którego przyprzęgają się dosyć niezgrabnie. Zbyt poważnie zajmują się każdą rzeczą; za wiele mają prostoty w duszy i umyśle; nie posiadają tajemnicy owéj łatwéj grzeczności, która w szybkim i mało znaczącym wyrazie, zdaje się przesyłać każdemu jakieś niby pół-pochlebstwo i przyjaźny uśmiech; tajemnica ta do samych tylko francuzek należy. Nie posiadają także owéj układnéj i zimnéj grzeczności Angielek, owego powierzchownego powabu, wygładzonego jak zwierciadło, lecz podobnież bez ognia.

Bardzo małe miejsce mógłbym dać Niemkom w xiążce najlepiéj mi upodobanéj. Gdy napiszę tę xiążkę, dam jéj tytuł: *Historya naturalna Zalotności.* O piękna, szlachetna xiążka! Każę ją wydrukować in 4to i pragnę aby mogła iśdź w zawody z owym sławnym traktatem o motylach, w dwunastu tomach in folio, wydanym przez pewnego professora holenderskiego. Będę w niéj traktował najprzód o zalotności instynktowéj, która jest własnością wszystkich kobiet, która je przy śmierci dopiero opuszcza. Potém, przebiegając długą skalę wszystkich odcieni zalotności, zatrzymam się dopiero na rozdziale traktującym o zalotności wyrachowanéj i filozoficznéj; o tym płodzie najdaléj posuniunéj i najrzadszéj oświaty, znajdującym się szczególniéj we Francyi i po salonach arystokracyi angielskiéj; kwiecie bez owocnym, wyznać potrzeba, który jednak upaja i zawraca głowę, niemniéj jak miłość najbardziéj naiwna i najczystsza. Drugi mój tom poświęcę tym odcieniom, które zalotność od rozmaitych przybiera charakterów.

Dla wielu kobiet, zalotność jest instynktem, dla innych zabawą, dla niektórych zatrudnieniem, a dla tych co najdaléj postąpiły, nauką; w Niemczech, zalotność nawet jest namiętnością. Łatwo wziąćby można zalotność niemiecką za miłość, tak

(a) *Blue stakking* imie nadawane w Anglii kobietom literatkom.

bardzo do niéj jest podobna; lecz nie dajcie się tém oszukać, jest to tylko po prostu, potrzeba kochania. We Francyi chodzi tylko o to aby świetnieć; w Anglii żeby znaleźć męża; w Niemczech daléj posuwają wymaganie, miłości żądają; nie téj żywéj i nagłéj, znanéj tylko krainom południowym, lecz czułości exaltowanéj, a jednakże prawie metafizycznéj. Przytoczyćby można tysiąc najosobliwszych poświęceń się kobiet niemieckich, i zdaje mi się, że one pierwsze dały światu przykład owych podwójnych samobójstw, które od niejakiego czasu przestraszają czytelników gazet. Sławny jeden poeta, który się kochał w swojéj bratowéj, widząc że jest pastwą nieuleczonéj i straszliwéj choroby, doradził jéj aby zakończyli razem życie dla obojga tak przykre, i smutny ten drammat wykonanym został w pobliskim lasku. O to drugi przykład mniéj okropny romantyzmu, który Niemki mięszają do życia rzeczywistego. Pewna dama z wyższego stanu, straciwszy narzeczonego, poświęciła się na usługi chorych w szpitalach. Ponieważ była protestantką, nie mogła zatém zostać zakonnicą; lecz pełniła wszystkie obowiązki siostry miłosierdzia. Naczelny lekarz szpitala drezdeńskiego, na próżno usiłował odwieśdź ją od tego przedsięwzięcia. Aby ją zniechęcić, zaczął od wkładania na nią obowiązków najprzykrzejszych i najbardziéj oburzających kobietę delikatną. Wytrzymała tę próbę. Od piętnastu lat postępuje niezachwianym i spokojnym krokiem w tym zawodzie zupełnego wyrzeczenia się siebie, i nie opuści go aż do grobu.

W takim kraju, zamiłowanie próżności małą bardzo musi mieć władzę. Pomimo dumy swojéj, angielki zmuszone są dosyć często ośmielać cierpiącą pychę, która udręcza większą część męzkiéj ludności. Sama ta pycha walcząca z miłością, czyni wielkie namiętności pospolitszemi w Anglii niżeli we Francyi. We Francyi zbyt wiele kosztowałoby kobietę, wyznać, że nie jest kochaną lub że nią bydź przestała. Towarzyskość francuzka zadała cios śmiertelny wielu głębokim uczuciom; dobry ton na tém zależy, aby lekce o wszystkiém mówić i nie wzruszać się niczém. We Włoszech chcą bydź szczęśliwemi i poddawać się chwilowamu natchnieniu; we Francyi nadewszystko pragną tylko ustrzedz się śmieszności. Pozbawione czytania romansów, kobiety włoskie za całe wychowanie i rozrywkę mają muzykę, wrażającą w duszę potrzebę namiętności i kochania. W Rzymie, czułość zamiast roztrwaniać się i niszczeć kropla po kropli, jak w Paryżu, z powodu tysiąca drobnostkowych wypadków, gromadzi się, że tak rzekę, pod uchroną spokojnego istnienia i braku wielkich wypadków. Nie trzeba się spodziewać po włoskich kobietach, tysiąca małych przymileń, wymuszonych i nauczonych na pamięć, które w Paryżu tak potężne wywierają złudzenie, lecz natury ognistéj, namiętności przeniesionéj nad wszystko. Natura Niemek zupełnie jest inna; nie dają się powodować zmysłom, lecz z dziecinném ubieganiem oddają się całe swéj wyobraźni; Angielki zaś odznaczają się od wszystkich kobiet dziwaczną delikatnością i wyszukaniem wstydliwości, które zachowują w mowie. Czynność mężczyzn zbyt jest zajęta interessami polityki i handlu, aby im pozostała choć kropla owego *far niente*, na łonie którego rozwija się miłość włoska.

Angielka gardzi nadewszystko pospolitością, Włoszka przymusem, Francuzka złym tonem. Co do Hiszpanii, tego żyjącego godła średnich wieków, tam to namiętność miłości istnieje w całéj prostocie, całéj czystości swojego szaleństwa. Roskosz panuje w Hiszpanii, namiętność we Włoszech, próżność we Francyi, przystojność w Anglii, miłość w Niemczech. W tym ostatnim kraju, kobiety ją uważają nie tyle jak uczucie, ale raczéj jako mistyczny iluminatyzm, skupienie się w jedno ognisko cnot wszystkich; wierzą w nią; można je nazwać prawdziwemi dewotkami miłości. Exaltując się rozmyślaniem, pozbawione gwałtownéj, tyrańskiéj zazdrości, unoszącéj serce Włoszki, nie mają także lekkiéj zalotności, któréj bodźcem jest miłość własna, a która tak długo ożywiała Francuzki. Lubią życie spokojne, na łonie którego rozwinąć się może ów łagodny zapał. Obrzędy publiczne i uroczyste, uświęcają życie i te drobne zatrudnienia gospodarskie, które im się wydają obrządkami domowéj wiary. Trzeba było widzieć, z jaką szybkością przywiązania, lecz zarazem z jaką stałością, kobiety giermańskie czyniły wybór i silnie przywiązywały się do niego, gdy wojska francuzkie przebiegały wszystkie zakątki wielkiego państwa Karola Wielkiego; gotowe były z zapałem i bez najmniejszego skrupułu do niesłychanych poświęceń się, i z własnéj woli przykuwały się do nich uporczywie.

Wszystkie te dziwne odmiany obyczajów, pochodzą raczéj nie z gruntu samegoż charakteru, lecz z wpływu praw i przywyknień: o tém wątpić nie można, zastanowiwszy się, że Napoleon, uderzeniem swéj czarodziejskiéj różczki i otwierając tylko przykładnym małżeństwom drzwi swojego dworu i drogę łask swoich, przeistoczył zu-

pełnie obyczaje Neapolu i Medyolanu. Reszta Włoch, Wenecya, Rzym, Florencya, trwają dotąd pod urokiem zastarzałych wyobrażeń, które są owocem złego wychowania kobiet i nicości mężczyzn.

Tam przeciwnie, gdzie jeniusz męzki musi rozwinąć się, gdzie jest tysiąc przeszkód do zwalczenia, tysiąc nowych środków do utworzenia, gdzie roztropność, odwaga, oszczędność, wytrwałość, dokupują się wielkim kosztem tytułu obywatela; tam gdzie panuje czynność, duch zatrudnienia, moc duszy, kobieta musi koniecznie na drugi szczebel zstąpić. Na cóżby się przydała w Ameryce exaltacya niemiecka, żywość francuzka, lub włoska namiętność? Byłyby to choroby ciała i duszy; niktby ich nie zrozumiał. Tam także gospodarstwo pierwsze trzyma miejsce, lecz nie pod taką opieką, nie tak uidealizowane jak w owéj Germanii, którą Goethe w swoim Wilhelm Meister tak dobrze odmalował; jest to gospodarstwo wyrachowane jak tablice Pitagoresa; jest to użytek czasu, przypominający ścisłością swoją ścisłość logarymów; rozsądek, zdolny zabić nudami. Bogata Amerykanka wstaje o stałéj godzinie, odmawia modlitwy, urządza dom, nudzi się doskonale, zajmuje się drobnemi kobiecemi robotkami, zwiedza sklepy z próżniactwa, powraca na oznaczoną minutę, każe dawać obiad, potém znowu się nudzi do wieczora i tak od dnia do dnia, od miesiąca do miesiąca, wlecze jednostajne, rozsądne i spokojne życie. Po tych duszach uczciwych, pobożnych, lecz ostygłych i uśpionych, można żądać bez wątpienia wiele dobrego bytu i wielką pokładać w nich ufność, lecz za to wymagać nie można sympatyi i szczęścia. W ogóle, demokracya śmiertelną jest dla kobiet.

We Francyi, czytać zbiór początkowych wiadomości, śpiewać arye Rossiniego, haftować, to jest uczyć się rzemiosła, któreby zaledwie na pierwsze wystarczyło potrzeby, oto jest edukacya najlepiéj nawet wychowanych kobiet. W Anglii uczą je wcześnie męczyć uporny klawikord, nucić omdlewającą dumkę, któréj nie wolno jest nadać żadnego wyrazu, i ślepo stosować się do woli macierzyńskiéj. W Niemczech, wieleby można powiedzieć o uduchownionym mistycyzmie, któremu oddają się kobiety, a który także nie małe wiedzie za sobą niebezpieczeństwo. W krainach południowych, edukacya kobiet jest żadna. W Ameryce na koniec, popędy ich duszy ograniczają się na mechanicznych poruszeniach, tracą śród téj surowéj moralności, szacownéj z innych względów, niektóre przymioty kobiece, natchnienie działania, wolność moralną. Na całym więc świecie, pod wszystkiemi strefy, położenie kobiet, a nadewszystko ich wychowanie, wymaga wielkiéj zmiany. Uczone kobiety małych komitetów angielskich, zarówno są oddalone od prawdziwego wzoru kobiety, jak ciemna Włoszka, przystępna wszelkim uczuciom i samemu tylko zostawiona instynktowi. Wszystko to jest dziwaczném; niemniéj byłoby dziwacznie naśladowwać Francyą i Anglią, te kraje, gdzie kobiety sześć lat trwonią na nauczeniu się tego o czém mają zapomnieć skoro pójdą za mąż. Któraż kobieta w miejskiéj lub średniéj klassie, pomyśli poszedłszy za mąż, grać na arfie, lub malować akwarelle? W salonach widzimy i słyszymy tylko półartystki, młode panienki, których zaledwie pierwszemi zarysy wykształcony talent, tém mniéj jest znośnym, że go się starały nabydź jedynie dla tego aby na siebie zwrócić uwagę i ułowić męża. Nie jestże to śmiesznie, widzieć młodą panienkę, która wstydliwie spuszcza oczy, śpiewając dumkę miłosną? Dziwaczna i niesłychana sprzeczność, któréj pełne są nasze towarzystwa, która nadewszystko niweczy los kobiet, słabych istot, zmuszonych ulegać naszym prawom i zwyczajom! Edukacya jest tylko powierzchowna; pogardzają całkiem wykształceniem serca i umysłu, może nawet przez fałszywą oświatę i złe wyrachowanie dokażą tego, iż się przekonamy dowodnie, że edukacya najbardziéj zaniedbana będzie najlepsza.

W życiu Niemek, o którém wspomnieliśmy wyżéj, kobieta podeszła nie jest tak nieszczęśliwa jak w innych europejskich krajach. Otoczone pochlebstwy w w dwudziestym roku, opuszczone w czterdziestym, kobiety francuzkie i angielskie, doznają bardzo niesprawiedliwéj surowości w obchodzeniu się z niemi; nie mają już powagi na swiecie, pozostaje im tylko intryga, bigoterya, lub nicość. Życie niemieckie, w którém uciechy, powinności i wyobrażenia małżeńskie, pierwsze trzymają miejsce, nie jest podległe takowym nieprzyzwoitościom; kobieta zawsze może znaleźć dla siebie chlubne miejsce, przez swoją wyższość domową i skromny wpływ na gospodarstwo. Przeciwnie, szczątki przyjemnych talentów młodości, stają się śmiesznością dla pięćdziesiąt-letniéj kobiety. We Francyi i Anglii, dwóch najbardziéj ucywilizowanych krajach na całym świecie, zdarza się często kobietom pocieszać się w starości, okazywaniem nadzwyczajnéj surowości dla błędów, których dzielić już nie mogą.

W ogóle, w Stanach Zjednoczonych i w protestanckich Niemczech, małżeństwo i miłość największą miarę szczęścia przynoszą.

Lecz w Stanach Zjednoczonych, szczęście to jest nieco przyćmione i jednostajne. Przymuszone zamykać się w obrębie rodzinnym, gdzie myśli ich nie doznają nigdy najmniejszego wzruszenia, Amerykanki wkrótce przestają rozwijać władze duszy i umysłu. Zamiłowanie sztuk, pociąg ku mistyczności, nadają Niemkom zupełnie inny charakter; czuła ich wierność stroi poetycznym obłokiem najprostsze zatrudnienia życia. Otoczone dziećmi, uważają intrygi miłosne, nietylko jako zgorszenie, lecz jako ton najgorszy; prawie zawsze uwielbiając męża, potrafią jeszcze wmięszać Kanta i Klopstoka do miłosnego sam na sam. Śmiejcie się jeźli chcecie z tych obyczajów; największém zapytaniem jest, czyli czynią szczęśliwemi. W podobnym kraju, rola Don Żuana zbyt jest łatwa, aby mogła bydź szacowaną. W salonach Angielskich nie znalezionoby dość żartów na wyśmianie podobnego sposobu życia. W Niemczech to, zrodzić się koniecznie musiała miłość werterowska, miłość otwierająca duszę na wszystkie wrażenia tego co jest pięknem, na zamiłowanie muzyki, lasów, promieni xiężyca i sztuk nadobnych; ta miłość, która duszę lubemi marzeniami upaja, która ma także swoje niebezpieczeństwa, lecz nie przypuszcza dzikiéj dumy Don Żuanów, owéj dumy co licząc trofea swoje, idąc ze zwycięztwa do zwycięztwa, uważając cały ród kobiecy jako nieprzyjazny, wtedy dopiero staje u swego kresu, gdy potrzebę panowania, w przesyceniu zagasi.

Ladies' Magazine.

WIADOMOSCI LITERACKIE.

Wydany w Wilnie zeszyt 12 Wizerunków naukowych, obejmuje *Poezyą ludu Sławiańskiego, Podania o Lazarze, Przygody Marka.* Obszerny ten artykuł wyjęty z dziennika *Revue Encyclopedique*, jest bardzo zajmującym. Przedmiotem jego są pieśni i podania ludu Serbskiego z epoki zawojowania tego kraju przez Turków i pod ich panowaniem. Pienia te nie ustępują prawie rapsodyom greckim; szkoda tylko że nie znalazł się Homer sławiański, któryby zlał je w jedną całość poematu bohatyrskiego. Lazo był bohatyrem Serbian pod czas najazdu Turków i zginął w bitwie z sułtanem Amuratem. Marko późniéj żył i już to walczył z Turkami, to znowu im służył. Lazo odznacza się duchem rycerskim i religijnym, Marko prostą siłą fizyczną. Między Markiem a Rolandem jest wiele podobieństwa.

Doktor Francya Dyktator Paragwaju. Wiele już pisano o tym człowieku; z pomiędzy wszystkich naczelników rewolucyi Amerykańskiéj, doktor Francya odznacza się przez osobliwość swojego charakteru, tajemniczość polityki i trwałość władzy. Jednozgodne jest zdanie o surowości, srogości i podejrzliwości tego dyktatora Paragwaju, jednakże: mówi autor tego artykułu: Doktor Francia wyświadczył znakomite przysługi swemu krajowi, przez utrzymanie porządku i zabezpieczenie go od ustawicznych zaburzeń, których ofiarą są dotąd niektóre kraje Ameryki hiszpańskiéj.

W rozmaitościach Wizerunków znajdujemy recenzyą pierwszego tomu dziejów starożytnych narodu Litewskiego przez Teodora Narbutta, o którego wyjściu jużeśmy donieśli w Muzeum.

Recenzent oddaje sprawiedliwość gorliwości autora i wytrwaniu w trudnéj i mozolnéj pracy. Zbija potém zdanie jego, że mitologią Litewską od Greckiéj i Łacińskiéj chce wywieśdź i twierdzi, że jak Litwa jest narodem złożonym ze Sławian, Gotów i Finnów, tak i mitologii litewskiéj w tamtych źródłach szukać trzeba. W ogólności, wskazuje że P. Narbutt więcéj z późniejszych historyków czerpał, niżeli z dawnych kronikarzy, z podań zaś i pieśni, bardzo małą liczbę nowych i nieznanych jeszcze wyszukać zdołał.

W tychże rozmaitościach znajdujemy wiadomość o drukującém się w Wilnie *Wyborze Poezyi z pisarzów polskich, z dołączeniem uwag o istotném źródle, duchu i celu prawdziwéj poezyi.* Wydane już trzy sposzyty obejmują pienia religijne i wiersze filozoficzne, poważne i tkliwe; całe dzieło składać się będzie z siedmiu sposzytów. Dotąd nie nadesłano ich do Warszawy. O tym zbiorze, tak pisze recenzent.

»Cztery jeszcze wyjść mające w nieprzerwanéj po sobie kolei, sposzyty niniejszego zbioru, zupełną jego całkowitość, jaką sobie wydawca zamierzył, uskutecznią.

»W rozprawie dosyć obszernéj i gładko napisanéj, skupił pan Pieńkiewicz celniejsze o poezyi pojęcia, które, jak oświadcza, z pism teoretycznych Brodzińskiego, Korzeniowskiego, swego niegdyś nauczyciela w Liceum wołyńskiém, tudzież innych wyczerpnął. Według nich: Zrzódłem poezyi jest serce człowieka; duszą jéj, wierne uczuć namiętności i charakterów ludzkich obrazy; a celem poezyi jest obudzenie w ludziach prawych uczuć. Gruntując się na téj ostatniéj zasadzie, wydawca wpada na niesnaski dawnéj i nowéj szkoły poetyckiéj, któréj część większa zagadnień, dzięki nieprzerwanemu ich roztrząsaniu,

już się na miejsca pospolite (*loci communes*) w krytyce literackiéj wystrychnęła. Wierny celowi, jaki poezyi założył, powstaje natarczywie wydawca na najznakomitszych nawet, jak na Bajrona naprzykład, poetów za to, że do niego nie dażyli. Jakkolwiek chwalebną jest żarliwość religijno-moralna wydawcy, ze smutkiem wszakże wyznać nam wypada, zapatrując się na płody sztuk pięknych, że nie to ich koniecznie bywa istotnym celem. Poezya, malarstwo, rzeźba, i t. p. piękność i szkaradę, cnotę i zbrodnie, słowem złe i dobre, zarówno idealizują, a wtenczas tylko rozmijają się ze swoim celem kiedy się im dostąpić tego nie uda. Wszelakoż, rzetelny społeczności pożytek wymaga tego, ażeby estetyczne człowieka kształcenie, zgodnie z moralnem postępowało; i ten to właśnie pożytek, ta korzyść moralna była powodem wydawcy do zebrania niniejszego *pieśnio-xięgu* i pobudką do okazania go na widok publiczny. Poezya i moralność, są to według twierdzenia pana Pieńkiewicza, dwie rodzone siostry i przyjaciołki odwieczne; zgodę ich przeto jedynie i dobrą harmonią, za prawdziwe pienie uznał; resztę zaś, coby pierwsza z siostr, przy wtórowaniu wolniejszego sposobu myślenia towarzyszki, nuciła, odrzucił.

»Ztąd wyniknął zbiór wierszy religii z moralnością poświęconych. Zbiór ze wszech miar szacowny, którego czytania, matka żadna nie zakaże swéj córce. Można w nim znaleźć mnóstwo rzeczy, zdolnych smak, serce i umysł ukształcić; zdolnych przynieść miłą rozrywkę i roztargnienie w chwilach nudnéj samotności a słodkie wytchnienie i wypoczynek po trudach: bo to jest xiążka, którą gdziekolwiek otworzywszy, rzadko można chybić, żeby się coś interesującego nie napotkało.

»Lecz, ponieważ jest to wybor poezyi, godzi nam się zrobić jak mniemamy tę uwagę, że do niego za nadto może wielu, wydawca nieznanego imienia autorów, przypuścił. Są tu obok wyjątków z niezachwianéj i czasu długością ustalonéj sławy poetów naszych, robotki szkolne niektórych zdatniejszych kawalerów, nie mających nawet pretensyi sięgania po wziętość wyborowych pisarzów, którzy na jednym mniéj więcéj szczęśliwym wierszyku, imionnikowi, dziennikowi, noworocznikowi, i t. p. poświęconym, cały swój zawód poetycki zakończyli. Krasicki, Trembecki, Zabłocki, i podobni im w sławie talentu, zdumieliby się nie pomału, gdyby ich do grona podobnych towarzyszów wprowadzono, o których się teraz mimowolnie, w xiążce pana Pieńkiewicza ocierać muszą. Trudno prawdziwie zgadnąć, czy pan Pieńkiewicz chciał przez to podłużyć spis poetów na czele zbioru swojego umieszczonych, czy też przez grzeczność lękał się uchybić tym wszystkim którym się kiedykolwiek wierszyk sklecić udało, czy też wreszcie zyskując ich życzliwość; cóżkolwiek bądź z tego, zawsze jednak powiemy otwarcie, że tu jest wielu wezwanych a mało wybranych. O planie i układzie niniejszego zbioru nic do całkowitego wyjścia wszystkich sposzytów, powiedzieć nie możemy. To jednak jest jawna, że wydawca nie miał na celu w téj mierze podziałów poezyi na jéj rodzaje, gdyż się tu liryczne, opisowe, dramatyczne i t. d. wyjątki, na przemiany z sobą mięszają.

WPŁYW MAŁŻEŃSTWA NA DŁUGOŚĆ ŻYCIA.

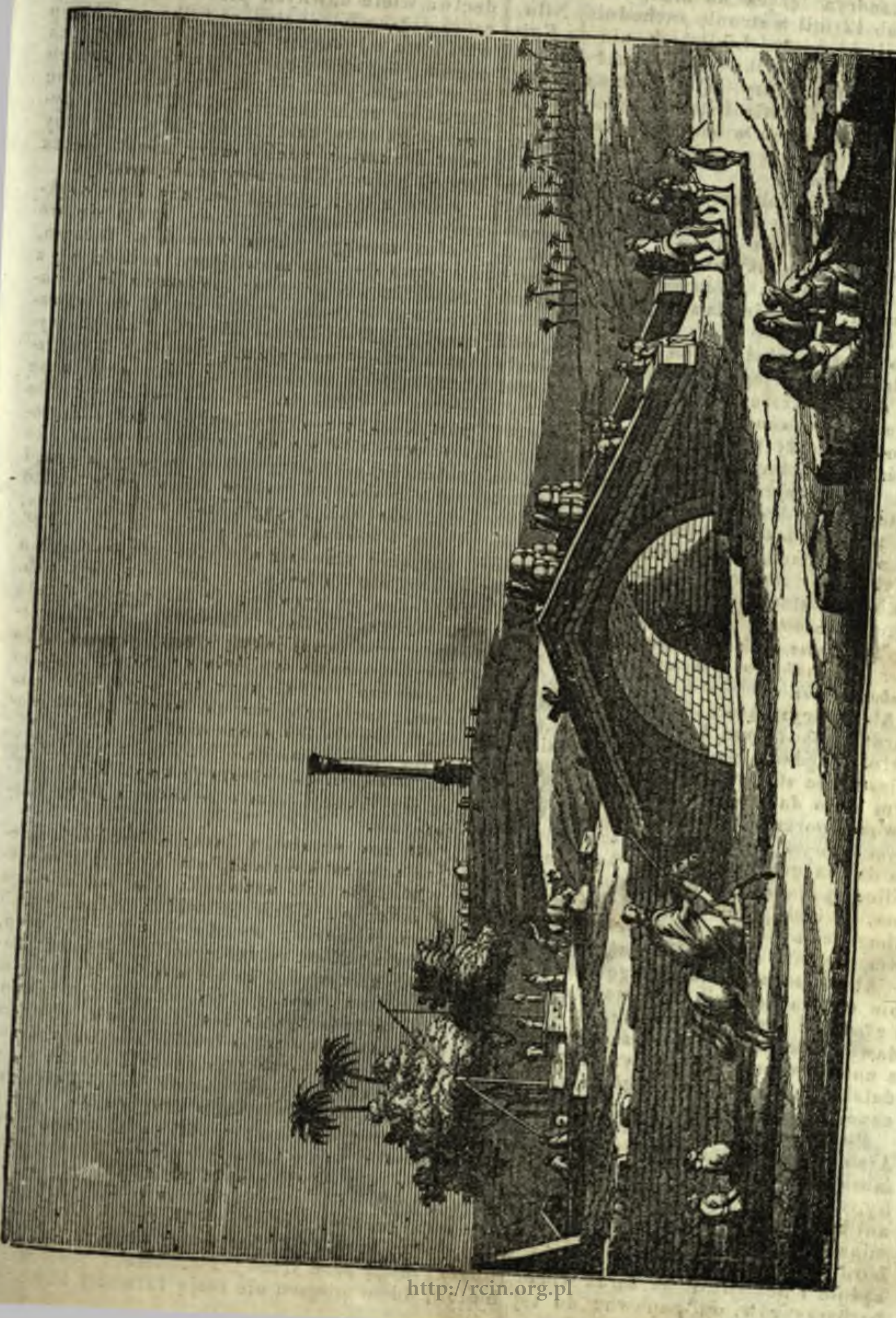
Doktór Casper, w piśmie niedawno ogłoszoném w Berlinie, zebrał ciekawe postrzeżenia o tym przedmiocie. Od dawna utrzymywało się mniemanie, że bezżeńcy krócéj żyli aniżeli żonaci. Hufeland i Deparcieux byli tegoż samego zdania, a Wolter uważał, iż między bezżennemi więcéj zdarza się samobójstw. Odjer najpierwszy zajął się zgłębieniem tego przedmiotu i uznał, że dla kobiet zamężnych, średnia długość życia, poczynając od 25go roku, była lat 36, dla niezamężnych zaś tylko 30. Od trzydziestego roku życia, różnica jest o lat cztery na korzyść mężatek, i tak daléj.

Co się zaś dotycze mężczyzn, tablice śmiertelności, zrobione przez Deparcieux wskazują, że śmiertelność między 30 a 45 rokiem życia jest 37 na sto, między bezżeńcami, a tylko 18 między żonatemi, że na sto ludzi, 48 żonatych dożyje do lat 60, a tylko 22 bezżennych. W 70 roku życia jest 11 bezżennych, a 27 żonatych; w 80 zaś roku jest 11 żonatych przeciw 3 bezżennym. Takaż sama proporcya znajduje się i u kobiet: i tak naprzykład 72 mężatek, a 52 kobiet bezżennych dochodzi do 45 lat życia.

Pan Casper uważa zatem za rzecz dowiedzioną, że tak u mężczyzn jak u kobiet, małżeństwo sprzyja długiemu życiu, a liczby któreśmy przytoczyli, zwycięzko wspierają to prawidło że człowiek nie powinien żyć samotnie.

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.

ALEXANDRYA.



ALEXANDRYA.

Alexandrya leżąca na brzegu morskim na 9 lub 12 mil w stronie zachodniéj Nilu, bardziéj do pustyń Libijskich, niż do Egiptu należy. Ma tylko jeden kanał i to źle utrzymywany, który jéj dostarcza wody w czasie wezbrania Nilu. Zachowuje ją dla swoich potrzeb w bardzo pięknych studniach, które są ostatkami wspaniałości dawnego miasta.

Okolica Alexandryi wystawuje oczom przychodnia pole nie płodne i puste, wyjąwszy gdzieniegdzie krzewy i drzewa palmowe. Kanały użyźniające niegdyś okolice tego miasta, są zawalone: Zniknął przemysł, który je dawniéj tak pięknemi czynił.

To miasto założone od Alexandra, pod Ptolomeuszami jego następcami, wzniosło się do najwyższego świetności stopnia. Rzymianie opanowali Egipt, jak już byli opanowali cały brzeg północnéj Ameryki. Do środka siódmego wieku zostawał Egipt pod panowaniem cesarzów wschodnich. W téj epoce Arabowie, pod komendą Omara, zapaleni jeszcze gieniuszem Mahometa, zostali panami Alexandryi. Wtedy fanatyk Omar dał rozkaz spalenia bogatéj biblioteki, staraniem Ptolemeuszów zebranéj. *Spalcie te xięgi,* mówił: *jeżli zamykają rzeczy zgodne z Koranem, więc są niepotrzebne: jeżli mają co przeciwnego Koranowi, są niebezpieczne.*

Alexandrya, któréj świetność i wielkość bardzo upadła pod Arabami, stała się zupełnie nędzną pod Turkami. Dzisiejsze miasto nie stoi na tymże gruncie, na którym stało dawne: wystawione jest między dwoma portami zwanemi od Turków *nowym i starym portem,* na miejscu, gdzie była dawna grobla, łącząca *Pharos* z lądem. Ulice są ciasne i nie brukowane, domy smutne, w nich okna kratami zakryte. Lud ubogi, chudy i czarniawy, chodzi bez obuwia, kobiety się obwijają aż do nosa.

Ale co szczególniéj uwagę i oko na siebie obraca, ożywia wielkie wspomnienia i głębokie czyni wzruszenie, są to obaliny dawnéj Alexandryi, które zaraz, wychodząc z nowéj widzieć się dają; rozciągają się daleko nad brzegiem i wgłąb lądu w znacznéj rozległości.

Połączone wieże murami, są dziełem Arabów. Oni reszty tego sławnego miasta murem opasali. Pozostałe na nich ozdoby, nie przypominają ani wieku Alexandra, ani Potolomeuszów, ani panowania Rzymian. Użyto prawda w tych fortyfikacyach bardzo pięknych kolumn, ale tak nierozsądnie i bez gustu, że zaraz widać robotę barbarzyńców; oni zapewne do téj budowy zwaliska dawnych gmachów użyli. Można jeszcze poprzeć to mniemanie uwagą następującą: Obeliski, które podług świadectwa wielu dawnych pisarzów, składały część pałacu Kleopatry, są tylko na 20 stóp wewnątrz od murów odległe, a daléj za murami ciągną się rozwaliny tegoż pałacu aż w morze, gdzie jeszcze mnóstwo widać zabytków architektury, które do tego pysznego gmachu należéć musiały. Któżby mógł rozumiéć, ażeby mury miasta przez środek pałacu Kleopatry przechodziły?

Jeden z tych obelisków leży i po większéj części ziemią zasypany: drugi się we środku nowego portu wznosi za murem, o którym dopiero mówiliśmy; składa się z jednéj sztuki granitu: podstawa jego zagrzebana w ziemi, reszta zaś aż do wierzchołka hieroglifikami okryta. *Pokocke* wysokość jego nad ziemią 60 stóp francuzkich rachuje, a szerokość ścian u dołu na 6 stóp z okładem. Można mniemać, że portyki, które poprzedzały pałac Kleopatry, wznosiły się na brzegu morskim, że potém drugie następowało wnijście, a przed niém z obudwu boków znajdowały się te dwa obeliski. Przeglądając ruiny Tebów, Phile i innych miast, pokazuje się, że Egipcyanie stawiali obeliski nie na środku placu, ale po bokach bram główniejszych. Podobna do prawdy, że Kleopatra tymże sposobem obeliski postawiła, sprowadziwszy je z innéj jakiéj strony Egiptu, dla przyozdobienia wnijścia swego pałacu: bo za jéj czasów już nie ryto hieroglifów na pamiątkach publicznych, nawet już stracono klucz do ich zrozumienia.

Za obeliskami ze strony lądu, jest wielka równina: tak często ją kopano, że zdaje się jakoby ziemia przesiana była rzeszotem.

Drugą pamiątką jeszcze bardziéj uderzającą, jest kolumna Pompejusza, lubo niewłaściwie tak nazwana: stoi na miejscu wysokiem, z którego widać Alexandryą i dwa jéj porty, wysoka jest na 111 stóp, cała z jednéj sztuki granitu. Paweł Łukasz utrzymuje, że się wspiera na jednym kamieniu, pozostałym od jéj fundamentu: to twierdzenie jest fałszywe. Fundamenta jéj są tylko trochę nadpsute przez Arabów, którzy tam szukali skarbów, w mniemaniu, jakoby się we wszystkich starożytnych pamiątkach znajdowały. Savary idąc za zdaniem Araba Abulfeda, rozumie, że ta kolumna nie dla Pompejusza ale dla Sewera była wystawiona.

Beduini, czyli Araby błąkające się i złodzieje, okolicę Alexandryi napastują, wszędzie przenoszą swój obóz, gdzie mogą paść trzody i rabować: jeśli na jednem miejscu nie mają łatwości bawić się

tym sposobem, przechodzą na drugie. Są ubodzy, mało mają potrzeb i żyją w zupełnéj niepodległości.

Idąc tym brzegiem suchym, na 6 lub 7 mil za Alexandryą, znajduje się góra nadmorska, gdzie dawniej była *Kanopa*, a gdzie teraz jest zamek uzbrojony kilką armatami, pod imieniem *Abukir*: Tam stoczona była sławna bitwa morska, z tak wielką stratą dla Francuzów.

KILKA SŁÓW O XIĘDZU PIOTRZE KWIATKOWSKIM.

Entuzyazm religijny wieków średnich, w całéj niemal Europie dał początek dyalogom czyli przedstawieniom scenicznym tajemnic męki Chrystusowéj, lub też wystawianiom cnot i występków pod rozmaitemi allegoryami; których zawsze celem było natchnienie i poprawa tłumnie gromadzącego się ludu. J w Polszcze zwyczaj ten znalazł naśladowców, a przedstawianie podobnych dyalogów, lubo trudno dociec w którym roku początek wzięły, skończyło się z rokiem 1746.

Początkowo dyalogi odprawiała młodzież szkolna z Retoryki lub Filozofii, w każdą uroczystość Bożego Narodzenia i Wielkiéj Nocy; później zaś podobnych widowisk zamiłowanie, rozszerzyło się i między znakomitszemi panami polskiemi. Xiądz Władysław Żółtowski Prowincyał Jezuicki, w dziele swém dziś nader rzadkiém pod nazwą: »Osobliwa sprawa w poniżaniu się panów świata.« pod rokiem 1736 wspomina, iż marszałek trybunału głównego koronnego w Lublinie, w sam wielki czwartek przybywszy na rynek słomianym zwany, z całą assystencyą panów Deputatów, wziął krzyż bardzo długi na barki i udając podróż na górę Kalwaryą, szedł przez miasto aż do kollegiaty Sgo Michała. Żaki z przedmieścia Leszczyńskich, studenci i mnóstwo ludu, śpiewając rozpamiętywanie męki Chrystusa Pana, w wielkim ordynku za nim postępowali. Gdy cała ta kalwakata weszła do kościoła, kilku Retorów rozpoczynało mowy ku uczczeniu męki Zbawiciela. «

Z czasem wzięto się do sztuk świeckich, które również przedstawiali studenci w kościołach lub kaplicach; lecz gdy kapituła Rzymska w r. 1685 i 1686 wydaną uchwałą zabroniła wystawiania takowych po miejscach chwale Boga przeznaczonych, odprawiano je już to po korytarzach klasztornych, już to po innych obszerniejszych gmachach, zwłaszcza iż zamiłowanie tych zabaw, do tego posunięto stopnia, że marszałek trybunału Piotrkowskiego Sapieha w r. 1746 gdy Dominikanie nie chcieli pozwolić kościoła, za zgodą wszystkich panów Deputatów, zawiesił sądy na dni kilka i nie tylko sali, ale ozdób i muzyki swéj pozwolił.

Gdy te zabawy ustawać poczęły, zjawiły się deklamacye sceniczne, mające za przedmiot rzeczy święte. Te deklamacye odprawiano albo prozą albo wierszem. Piotr Kwiatkowski Teolog Jezuitów, wydał w Krakowie r. 1736 Dzieło pod tytułem: »Theatrum życia ludzkiego.« in 4to majori zawierające 36o stronnic, podzielił je na tak nazwanych Exhibicyi 21, z których każda dzieli się na 3 sceny i zawiera opisy różnych zdarzeń tak z żywotów Świętych jako i światowych powieści. Ostatnią zaś exhibicyą rozdzielił na V aktów, których osnową jest Historya Sgo Augustyna Francuzkiego.

Jakkolwiek dzieło to zdaje się że jest pisane w kształcie drammatu, lecz prócz nazwisk aktów i scen nic takiego nie zawiera, coby pod tego rodzaju dzieła podciągnąć się dało, celem więc onego była tylko deklamacya sceniczna. Dla lepszego poznania tego pisma przytaczamy wyjątki z jednéj exhibicyi, któréj treść wzięta jest z prawdziwego w dniu 15 Maja 1618 r. w Pułtusku zdarzenia, o którém Strengelius w tomie pod tytułem Hospitalitas, wspomina.

EXHIBICYA SIEDMNASTA.

Łakomstwo do niesłychanego okrucieństwa rodziców pobudza i ichże samych do zguby przywodzi.

SCENA PIERWSZA.

Syn po długim czasie na wojnie strawionym, do rodziców powraca.

Żołnierz niejaki, był z Pułtuska rodem,
Który z rodzinnéj wyszedłszy krainy
Za postronnego Marsa szedł powodem
Przez wojenne się dobijając czyny,
Sławy i szczęścia, jakoż owym chodem
Do wielkich bogactw doszedł; tam godziny
Złote miał, bowiem z łupu czy zapłaty,
Stał się na owéj wojnie dość bogaty.

Chciał jednak swego mieć ucześtnikami
Rodziców szczęścia; zaczem pożegnawszy
Z cudzym się krajem; za swéj granicami
Stanął krainy, i już przejechawszy
Dość jéj, sporymi zbliżał się krokami
Ku swemu miastu, przed którym potkawszy
Niewiastę, od niéj nie poznany z liców,
Bo się był zmienił, pytał o rodziców.

Było to jego własna siostra; dał się jéj poznać i ucieszony poszedł do domu rodzicielskiego; siostra zaś udała się do pobliskiéj wioski za interesem.

W scenie drugiéj, któréj tytuł: *Syn nie poznany z rodzicami niepoznanemi traktuje się*, Syn wita się z ojcem i matką, a chcąc ich tém przyjemniéj zadziwić, nie wyjawia nazwiska swego aż do powrotu siostry. Tymczasem prosi o gościnność i oddaje na schowanie spory trzos złota. W scenie trzeciéj p: t: *Nieszczęśliwa tragedya snem zmorzonego i umorzonego od rodziców syna*, gospodyni podżegniona chciwością zabija nieznajomego gościa i z pomocą męża ciało ukrywa. Powraca siostra, a nie widząc brata, pyta się o niego.

Mówiąc: gdzież jest brat? na które pytanie
Zadziwiwszy się straszliwie rodzicy,
A gdy pytania czyni powtarzanie:
Gdyż niewiadoma była tajemnicy;
A opowiada swe z nim powitanie;
Co za osoba była; rozbójnicy
Domowi w tenczas haniebnie zdumieni,
Jako piorunem byli przerażeni:
Domyślili się że własnego syna
Samiż, niewiną krew zdradnie przelali
A uznający jak to wielka wina
Włosy na głowie sobie z żalu rwali;
Napełniła wnet miasto ta nowina,
Gdy przez żałosny płacz lamentowali;
A lub katowskiéj godni byli ręki,
Pozadawali sobie mordem męki.
Ach! złe łakomstwo, wieleżeś pożarło
Ludziéj niewinnéj krwi; jako straszliwie
Twojéj chciwości dało wielu garło:
Twą uwiedzionych powabą straszliwie;
Tobie się nie raz wielkie nie oparło
Wojsko, zwyciężasz i panów zdradliwie.
Za twoją sprawą ludzie nie użyci:
Aleć też tobą piekło się nasyci.
Kto chcesz ujść takiéj łakomstwa niewoli,
Nieznośne szkody i szwanki uważaj;
Które więc cierpi, kto sobie pozwoli
Na cudze prawa. Zawczasu porażaj,
Martw, w tobie chętki na cudze; swywoli
Twojéj, żebyś rwał cudze, nie pobłażaj,
Z takich się chętek, niecą więc pożary
Które jak ogień szerzą się bez miary.

W takim duchu i takim stylu całe dzieło Piotr Kwiatkowski napisał. Wiesz lubo nie jest w ogóle czysty i każą go niekiedy rymy zbyt pospolite i przymuszone, nie zbywa mu jednak na mocy i zwięzłości. Częste przenoszenie wyrazów z wiersza do wiersza, jak miarowym wierszom przystoi, tak rymowe nie zaleca, owszem je z harmonii ogołaca; uległ temu błędowi Kwiatkowski i rzadkie są miejsca, gdzieby rymowanie nie było przerywane. Lecz wszystkie te wady zasłania cel w jakim pisał, a szczególniéj ta uwaga, iż nierównie łatwiéj pisać dzieła godne potomności, kiedy wszystko dąży do wyższego ukształcenia i oświaty, niż wśród rozumowych obłąkań i powszechnego zepsucia; przeciąg bowiem czasu od Jana Kazimierza, a nawet od Zygmunta III. aż do Stanisława Augusta, nacechowany był grubym pedantyzmem, skażony mieszaniną łaciny i prawie letargiem naukowym. Nie widać tu dzieł któreby piętnowały talenta, czystość i dobroć smaku; a lubo dosyć szczupła liczba opierała się téj ogólnéj zarazie, duch jednak czasu najświetniejsze zamiary niszczył. Do rzędu tych szermierzy śmiało policzyć można xiędza Piotra Kwiatkowskiego, który opierając się zamiłowaniu makaronizmów, całe dzieło o którém wyżéj wspomnieliśmy, czystą polszczyzną napisał.

Pomimo usilnych poszukiwań, nie mogłem powziąść bliższych szczegółów o życiu i innych pismach xiędza Kwiatkowskiego, i to smutne przekonanie nasunęło się, iż pewniejsze wiadomości mamy o życiu i pracach uczonych, Kadłubka, Miechowity, Hozyusza, niż o tych, którzy ledwo wiekiem życie nasze uprzedzili.

An. B. Rado:....

MIASTO SPIRA.

Miasto Spira posiadające pomnik wystawiony na naszéj rycinie, stoi na lewym brzegu Renu, nad brzegiem rzeki Speyerbach, należy do najstarożytniejszych w téj części Niemiec; aż do siódmego wieku zwane było miastem Nemetów, od imienia jego pierwszych mieszkańców; później przybrało nazwisko rzeki, nad któréj brzegiem się wznosi. Długi czas zostawało pod zarządem biskupów, a potém korzystając z zamieszek między władzą świecką i duchowną w ciągu XI. wieku, zostało wolném miastem cesarskiem. Utrzymywało się w ciągłéj pomyślności aż do połowy siedemnastego wieku, wtedy spadły na nie klęski, któremi Ludwik XIV. i jego minister Louvois obarczyli palatynat Renu. Los wojny skazał

miasto Spira, aby stało się pastwą płomieni.

Nieszczęśliwi mieszkańcy daremnie zanosząc błagania za miastem swojém, prosili przynajmniéj aby ochroniono kościół katedralny, który był jego ozdobą. Zaczęty przez cesarza Konrada II. około roku 1030, ukończony w kilka lat po śmierci cesarza Henryka III. który umarł w 1056, kościół katedralny miasta Spira, uważany był jako jeden z najpiękniejszych pomników rzeźby w Niemczech. Mieszkańcy chlubili się mianowicie ze czterech wież piramidalnych, wznoszących się w czterech rogach nawy kościoła.

Ich kościół drogim był dla nich z tego powodu, że mieścił w sobie wiele pomników grobowych i popioły kilku cesarzów niemieckich. Jenerał Montclair, gdy go zaklęto w imie tych wszystkich wspomnień i w imie religii, przyrzekł nareście, że ochroni świątynię od powszechnéj zagłady.

Ufając téj obietnicy, mieszkańcy przenieśli do kościoła, przed oddaleniem się z miasta, wszystko co tylko mieli najdroższego. Lecz te bogactwa zrządziły zgubę gmachu. Gdy już dano znak pożaru, żołnierze wyłamali drzwi kościoła, dla zrabowania nagromadzonych skarbów; nie uszanowali nawet grobów, a potém zapalili kościół, aby zatrzeć ślady rozboju. Miasto spłonęło do szczętu, a gdy mieszkańcy powrócili, było tylko stosem popiołów. Sto lat zaledwie wystarczyło im do podźwignienia go z gruzów i dopiero na początku naszego wieku, miasto Spira, dziś stolica jednego z cyrkułów Renu, odzyskało dawną świetność. Powszechne ubóstwo nie dozwoliło także ukończyć naprawy kościoła, który dopiero w r. 1775 przywrócony został do pierwszego stanu, lecz już od dawna popioły cesarzów odzyskały spoczynek w podźwignionych grobach.

Te żałobne pomniki, nietylko są szacowne pod względem sztuki; zajmują także wspomnieniami wielkich monarchów, których zwłoki tam spoczywają. Leży tam Konrad II. Henryk III i Henryk IV, Adolf de Nassau i Albert Austryacki, oprócz wielu xiążąt i cesarzowych; ale wszystkie te pomniki gasi pomnik Rudolfa, hrabiego Hapsbourg, założyciela monarchii austryackiej. Życie jego było ciągłém pasmem trudów i dzieł wielkich. Czując że już zbliża się chwila jego śmierci, Rudolf odpowiedział lekarzom, którzy mu zalecali spoczynek. »Nie sprzeciwiajcie mi się, niech udam się do Spiry i zobaczę groby moich poprzedników«. Śmierć zaskoczyła go w drodze i pokazują dotąd w Germensheim starą zburzoną wieżę, w któréj oddał ostatnie tchnienie w r. 1291. Kto tylko zwiedza kościół katedralny w mieście Spira, pierwsze wspomnienie poświęci temu wielkiemu człowiekowi i przedewszyttkiém zobaczy jego grobowiec, któren stawiamy przed oczyma czytelników.



Grobowiec Cesarza Rudolfa Habsbourg.

XIĄŻE REICHSTADT, SYN NAPOLEONA.

Napoleon Karól Józef Bonaparte, król Rzymski w chwili urodzenia, a potém xiąże Reichstadzki, przyszedł na świat 20 Marca 1811 w pałacu Tuileries. Ojciec jego zostawał wówczas na najwyższym stopniu potęgi, a radość mieszkańców Paryża, odbiła się w całéj niemal Europie. Krótko trwały chwile świetności dla młodego Napoleona. Gdy Marya Ludwika 30 Marca 1814 opuściła Paryż, dziecię nie chciało opuścić swego apartamentu w Tuileries i więcéj jak przez godzinę płakało. Nie przywięzuję wagi do téj okoliczności i uważam ją równie z innemi jako dziwactwo trzech-letniego dziecięcia, lecz przytaczam ją bo jest tkliwą. Życia Plutarcha, któremu teraz zbyteczną łatwowierność zarzucamy, czyliż nie obfitują w te drobne a zajmujące okoliczności? Do wielkich zmian losu, przywiązuje się wiara w nadzwyczajne nadprzyrodzone wyobrażenia i przeczucia.

Cesarzowa Marya Ludwika przybywszy do Wiednia w 1814, wysiadła w pałacu Schoenbrunn. Cała rodzina cesarska czekała na jéj przybycie. Jéj rodzice i stryjowie, obsypali pieszczotami jéj syna. Arcy-xiąże Karol wziął go na ręce i ucałował ze łzami. Marya Ludwika obrała sobie na mieszkanie pałac Schoenbrun. Syn jéj pozostał przy boku matki i wiele zajmowała się pierwiastkowém jego wychowaniem, dopóki młody xiąże nie został oddany w ręce nauczycieli. Mylnie utrzymywano, że xiąże Reichstadzki nie wiedział o swojém urodzeniu i losie ojca; dowiedzioną jest rzeczą, że gdyby przez wzgląd na słabość jego zdrowia i drażliwość nerwów, wiadomość ta była zatajona przed nim aż do 15go roku jego życia, nie byłby zmarł tak wcześnie. Edukacyą xięcia Reichstadt zajmowano się jak najtroskliwiéj; posiadał kilka języków dawnych i tegoczesnych; po niemiecku i po francuzku umiał doskonale; do nauk matematycznych przykładał się z wielkiém zajęciem i bystra jego pojętość dziwiła nauczycieli: czasami zaś, co zapewne było symptomatem zarodu śmiertelnéj choroby, widać było w nim niespodziane znużenie i niechęć. Mając lat szesnaście, odbył kurs prawa politycznego i cywilnego. W owym czasie, można go było spotkać jadącego karyklem lub konno. Bardzo dobrym był jeźdzcem i lubił jeździć na koniu, chociaż to ćwiczenie mocno go utrudzało. Rysy młodego Napoleona, w chwili gdy były ożywione radością, wyrażały prostotę i niewinność, a zwykle malowała się na jego twarzy jakaś troska i powaga, oznaczająca głębokie wewnętrzne cierpienia i bolesną myśl nieustannie obecną. Oczy miał niebieskie, pełne smutku i zapału; rysy jego przypominały razem podobieństwo do ojca i matki. Kochał młodych arcy-xiążąt i był od nich wzajem kochany. Stary cesarz Franciszek, miał o nim ojcowskie staranie, a xiąże odpłacał mu się jak najmocniejszém przywiązaniem. Bardzo często bywał na tych posłuchaniach których cesarz udziela ludowi wiedeńskiemu. Bardzo lubił mundur wojskowy. Gdy miał lat siedem, zrobiono go żołnierzem. W kilka miesięcy potém przydano mu galonki podoficerskie. Lato przepędzał w Schoenbrunn razem z familią cesarską.

Wolne chwile oddawał ogrodnictwu. Wszyscy xiążęta rodziny cesarskiéj mieli upodobanie w téj sztuce. Uprawiał tam część ogródka, któren cesarz Franciszek kopał własnemi rękami, a chociaż do téj rozrywki przywiązywał się z tą namiętnością, jaką osoby słabowitego zdrowia okazują we wszystkich zatrudnieniach, hodował nie same tylko rzadkie i osobliwe rośliny, lecz przytém dobre warzywa i kilka gatunków róż i owoców. To zatrudnienie i przejażdzka konna, były jego najulubieńszą zabawą. W zimie bywał u swego dziadka w pięknych szklarniach zamkowych i z radością przypatrywał się wzrostowi roślin, które pielęgnował cesarz Franciszek. Postanowieniem cesarskiém z dnia 22 Lipca 1818, nadano mu tytuł xięcia Reichstadt, od nazwiska dawnéj posiadłości domu cesarskiego. Cesarz Franciszek tak dalece go lubił, iż w każdéj chwili młody xiąże miał wolne wnijście do niego.

Pokoje xięcia w Schoenbrunn, były w prostym i starożytnym guście. Pewien podróżny, który je widział jeszcze za życia xięcia Reichstadzkiego, opowiada, że na półkach biblioteki widział tomy napełnione postrzeżeniami; były to dzieła: *Historya cesarza Karola V*, przez Robertsona; o *upadku państwa Rzymskiego*, przez Gibbona; o *wielkości i upadku Rzymian*, przez Montesquieu, i *Historya Francyi* przez pana Bignon. Stare sprzęty tego apartamentu były dosyć ciekawe; obicia sprowadzone z Indyi i z Chin, na ścianie przy łóżku wisiało kilkanaście szpicrut i świecące ostrogi. Nad łóżkiem xięcia wisiał portret Napoleona, malowany przez Gerarda. Znajdowała się także rycina wyobrażająca pierwszego konsula, przechadzającego się przed zamkiem Malmaison. Popiersie Franciszka II. roboty Kanowy, stało nad kominkiem. Podróżny ten opowiada, że wszystko co widział było do-

wodem, jak czynnie zajmował się xiąże pracami umysłowemi. Edukacyą młodego xięcia kierował naczelnie hrabia Maurycy Dietriechstein, człowiek wysokiéj mądrości. On to ma zarząd głównych instytutów naukowych w cesarstwie. Nauczycielem języków był pan Collin, jeden z najznamienitszych poetów sceny austryackiéj. Cesarz Franciszek mianował był dwie komissye do kierowania naukami xięcia Reichstadt. Komissya wiadomości klassycznych, składała się z guwernerów, z prałata dworu, z dyrektora szkół publicznych w cesarstwie; komissya nauk wojskowych składała się z guwernerów i z czterech znakomitych oficerów. Obok tych ćwiczeń umysłu, nie zaniedbywano działać na serce. Arcy-xiąże Karol, opiekun i przyjaciel xięcia Reichstadtzkiego, prowadził go corocznie 5go Maja do małego kościołka w Wiedniu, gdzie odbywało się żałobne nabożeństwo za jego ojca. Uderzającą była boleść starego wojownika i młodego xięcia. Młody podróżny angielski opowiada, że widział go w téj chwili, jak zgromadzał wszystkie siły swoje w uczuciu miłości i żalu. Jego lica zwyczajnie blade, zapłoniły się i oczy miał łzami zalane. Ten młody człowiek, o którym powiadano w Paryżu, że *nawet o swojém urodzeniu nic nie wie*, wychodził zawsze z tego nabożeństwa wycieńczony boleścią i przez kilka dni był słabym. Od roku 1827 to jest od szesnastego roku życia, ciągle zwracał uwagę na Francyą i wiedział o wszystkiém co się działo w tym kraju. Najbardziéj lubił czytać komentarze Cezara, a w ogólności wszystkie dzieła historyczne. Literatura nie miała dla niego powabu. Jeden tylko Kornel zgadzał się z jego usposobieniem umysłu.

W ostatnich latach życia, powziął ścisłą przyjaźń dla pułkownika Prokesch d'Osten i zostawał z nim w ścisłéj korrespondencyi. Pułkownik Prokesch oświadcza, że xiąże Reichstadzki nie raz zwracał myśli swoje i zamiary na Francyą, nie raz marzył że będzie kiedyś następcą swojego ojca. Jednego razu, u cesarza Franciszka, spotkał marszałka Marmont xięcia Raguzy. Uwolnił go od przykrych tłomaczeń i rzekł do niego: »Panie marszałku! chociaż jestem młody, wiem że potęga okoliczności bywa niekiedy bardzo wielką i zgubną. Wiesz, żem nigdy nie podzielał zdania jakie mają o tobie niektórzy przyjaciele mego ojca, i uważam cię za najstarszego z jego towarzyszów broni.» Kilkakrotnie widział się z marszałkiem i długo z nim rozmawiał.

Im starszy był xiąże Reichstadt, tym głębszy smutek malował się na jego czole, a mimo tego łagodnym był i uprzejmym dla swoich służących i przyjaciół.

Wrodzona słabość konstytucyi i wewnętrzne cierpienia xięcia, rozwinęły się nagle w skutek zbyt szybkiego wzrostu i w samém źródle uszkodziły jego życie. Zachorował, mimo starań bardzo biegłego lekarza Malfatti, który był do niego mocno przywiązanym. Wówczas przestał pełnić obowiązki służby wojskowéj. Żałował tego, gdyż cesarz mianował go podpułkownikiem pułku, w którym się liczyło jego starszeństwo. Doktor zalecił łagodne klima Neapolu, ale xiąże już był tak słaby, że nie mógł odbydź téj podróży. Na chwilę polepszyło się jego zdrowie i mimo wszelkich prośb i odradzań, zaczął znowu przejeżdżać się konno. Zaziębiwszy się wieczorem podczas mocnego i wilgotnego wiatru nad brzegiem Dunaju, zachorował powtórnie. Nastąpiło zapalenie piersi z najmocniejszemi symptomatami połączone; lecz sztuka jeszcze wstrzymała postęp choroby. Mimo tego już poznano iż słabość jest śmiertelną. Stan chorego co raz się pogarszał, wszystkie władze w nim gasły. Obojętnym był na ostatnie starania, które około niego podejmowano i zdawało się iż nie żałuje życia. W ostatnich dniach dopiero, po mocnych paroxyzmach zapytał się, *czyli sztuka nie ma już dla niego żadnych sposobów? W moim wieku*, przydał, *życie ma wiele środków ratunku.* Smutek wszystkich obecnych poczytując za odpowiedź, uśmiechnął się gorzko i wzniósł oczy na obraz swego ojca. Przekonawszy się że choroba jest śmiertelną, chciał widzieć się z matką. Napisano do niéj, proszono ją także w imieniu jéj syna, o kolebkę z emalii, którą widział był w Parmie, a którą miasto Paryż ofiarowało cesarzowéj w dzień jego urodzenia. O téj kolebce nie zapomniał ani na chwilę. Przywieziono ją, a zaraz potem przyjechała jego matka. Gdy mu pokazano kolebkę, dziwił się jéj piękności i blaskowi, z tém świętém i łagodném wzruszeniem konających; zatrzymał się, w oczach jego malowało się wzruszenie wyobrażeń; kazał przysunąć tę kolebkę do łóżka dotknął się jéj, a potém rzekł obracając się do swego sługi. »Wszyscy nie mogą umierać przy swojéj kolebce; moją zostawcie tu przy łóżku mojém! Ta kolebka i łóżko na którém cierpię, są krańcami życia mojego. Między tém łożem, które będzie moim grobem, a tą kolebką, jest przedział lat dwudziestu jeden, moje imie, moje zmartwienia i srogie boleści. Nie ma nic nawet, prócz mojego imienia! Francuzi nie będą znali moich cierpień.» Innym razem rzekł: »Zostawcie tu moją

kolebkę, będzie tuż przy moim grobie.» Łzy zasłaniały wzrok jego; w tymże dniu piorun skruszył jeden z orłów cesarskich, znajdujących się na pałacu. Zdarzenie to mocno uderzyło umysły. Przybycie Maryi Ludwiki, stało się powodem rozdzierającéj sceny w pokoju konającego. Matka i syn uściskali się z konwulsyjném łkaniem. Wyniesiono ją na pół umarłą. W ostatnich dniach choroby, nadzwyczajnie spadł z ciała i nigdy nie był podobniejszy do ojca jak od początku téj słabości, aż do ostatniéj chwili. Wiedeńczykowie niezmiernie zajmowali się losem xięcia i mnóstwo osób zawsze zgromadzało się przed bramami pałacu. Ostatnie cierpienia xięcia były dosyć mocne, a jednakże znosił je stałym umysłem. Gdy dzień był pogodny, wyniesiono go na balkon wychodzący na ogrody. Lecz zniszczona pierś jego, z ciężkością oddychać mogła, a wówczas z bohaterską spokojnością mówił o bliskim zgonie. Dopiero 21 Lipca, na dzień przed zgonem, mocno narzekał; aż do téj chwili ukrywał boleści swoje, ile tylko było można. Nad wieczorem usnął. O trzeciéj godzinie rano podniósł się na łóżku, wołając: »Umieram, umieram!« Kamerdyner i jeden z dworzan przybiegli do niego i utrzymywali go: konający wołał: »Moja matka!« To były ostatnie jego słowa. Arcyxiąże Franciszek i Marya Ludwika przybiegli i padli na kolana przy łożu umierającego. Nie mogąc już mówić, wzrokiem wyraził że ich żegna. Biedna matka była w rozpaczy. Kapłan dworski wskazał xięciu niebo, na ten znak xiąże wzniósł w górę oczy, zamknął je potem i skonał. Było to 22 Lipca o 5 godzinie i 8 minucie rano. Xiąże Reichstadzki umarł w tym samym pokoju, gdzie był nocował jego ojciec, gdy po bitwie pod Wagram podyktował warunki traktatu. Cesarz Franciszek, cesarzowa, cały dwór, rodzina cesarska i miasto, opłakiwali ten zgon przedwczesny. Xiąże był celem powszechnego uwielbienia. Łagodność i szlachetność jego charakteru, usprawiedliwiała ten urok, którym otaczała go wyobraźnia ludzi.

POEZYA.

Król Bawarski, nietylko że jest wspaniałomyślnym opiekunem nauk, lecz jeszcze sam szuka wytchnienia po trudach władzy monarszéj, zajmując się poezyą. Przekład jednéj jego dumy udzielił nam pan Fr: Zatorski, autor poematu Polowanie i Pieśni lirycznych, których większą część exemplarzy ofiarował na wsparcie cierpiącéj ludzkości.

ISCHIA.

Wiersz króla Ludwika Bawarskiego przekład miarą oryginału p. Fr. Zatorskiego.

Tutaj spokój się uśmiecha,
Przyrodzenia błogi twór,
Czysta miłość tu oddycha,
Z drzew i kwiatów, z pól i gór.

Spokojności tu nie miesza
Tętent kopyt, turkot kół;
Ni karczemna wrzawą rzesza,
Ani grzmiącym rykiem wół.

Wyspa słodka tchnąca ciszą,
Jak czarowny rodzi wdzięk,
Żadne słowa nie opiszą,
Żadnych strun nie odda dźwięk.

Czém południe nas obdarza,
Swych piękności niosąc wzór;
Co marząca dusza stwarza,
Wzrok tu widzi cudny zbiór.

Co bądź zdarzy obieg słońca,
Tu spoczywać zda się czas:
W morzu, które nie ma końca,
Wieczność błoga wita nas.

Jak wód fale chyżość łodzi,
Tak wspomnienie żegna świat;
Co tylekroć serce zwodzi,
Ni minionych wskrzesza strat.

Co jest przez nie rozum wszczęte,
Co występny powił grzech,
Niepamięcią tu ujęte,
Nie odżywi pusty śmiech.

Pospolite — wszystko zgasło;
Wszystko poetyczny świat,
Pod czarowne wzywa hasło;
Co on daje, nie zna lat.

Tu w miłosném zachwyceniu,
Swój poezya zlewa dar,
By w roskosznem znów marzeniu,
Serce rozpłomienił żar.

Myśl, na skrzydłach pieśni, błoga,
Do niebieskich wznosi bram;
Widzieć daje wielkość Boga,
I sprowadza niebo nam.

MOSTY W PARYŻU.



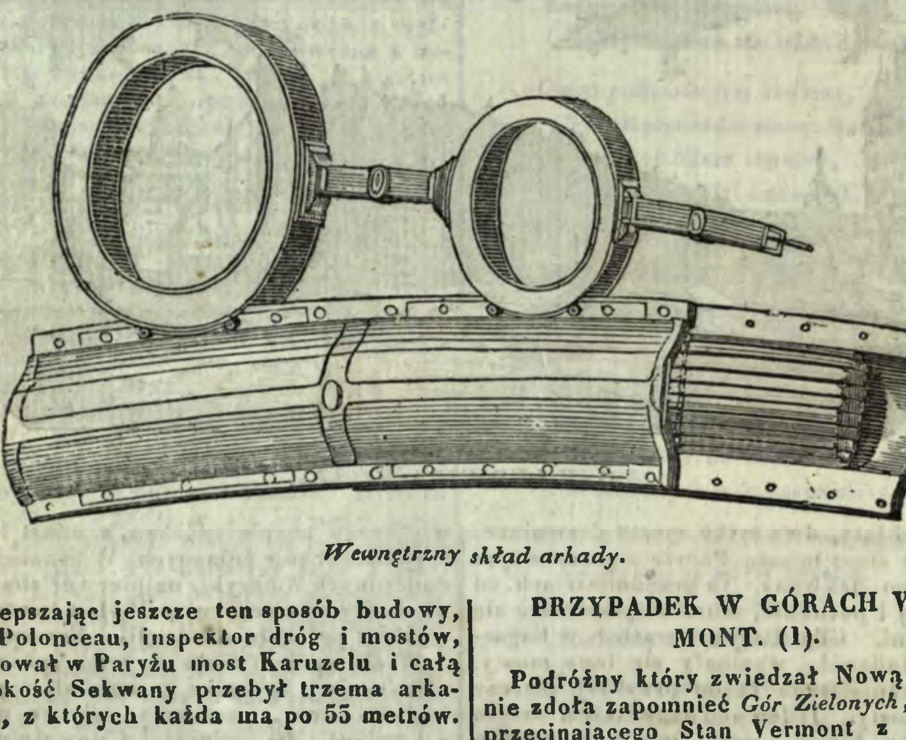
MOST LUDWIKA FILIPA.

Przed laty, dwa tylko mosty drewniane, łączyły stare miasto Paryża z przeciwnym brzegiem Sekwany. Na przedmiesciach od północy i południa, musiano przewozić się czółnami. Gdy Paryż wzrastał w bogactwa i ludność, wzniosły się inne mosty. Za teraźniejszego rządu przybyły jeszcze dwa mosty. Jeden pod nazwiskiem mostu Ludwika Filipa, drugi mostu Karuzelu. W ich budowie użyto wynalazków i ulepszeń, jakiemi teraz zbogaciło się budownictwo. Most Ludwika Filipa zawieszony jest na linach drucianych. Wynalazek budowy mostów wiszących, jest tylko udoskonaleniem sposobu używanego w dzikich okolicach Ameryki i Indostanu, gdzie za pomocą lin wyciągniętych od jednego brzegu do drugiego, robiono bardzo długie mosty, wzdłuż których przesuwano kosz, mieszczący w sobie podróżnego i jego sprzęty, a tymczasem jego muły albo konie, jak mogły wpław przebywały rzekę. Później u tych lin zawieszono deski, a dla większego bezpieczeństwa, zamiast lin, użyto łańcuchów żelaznych. W Stanach Zjednoczonych Ameryki, najpierwéj zbudowano mosty wiszące, w r. 1811; z tamtąd nowość ta przeszła do Anglii i Francyi.

Wielu sprzeciwiało się temu sposobowi, utrzymując, że przez to cofa się i poniża budownictwo, porzucając piękne arkady z kamieni, dla wynalazku powziętego od dzikich ludów. Lecz znaczna oszczędność i możność budowania takich mostów w miejscach, gdzie nie podobna budować arkady, dostatecznie odparła czynione zarzuty. Od dawna usiłowano w Anglii zbudować na odnodze *Menai*, dzielącéj wyspę Anglezej od xięztwa Walii, taki most, któreby nie przeszkadzał żegludze i śpiesznie korzystano z wynalazku budowania mostów wiszących. Cztery ogromne łańcuchy opierające się na żelaznych piramidach i mocno wprawione w filary zbudowane po obu brzegach, przechodzą nad odnogą, na nich zawieszono w stósownéj odle-

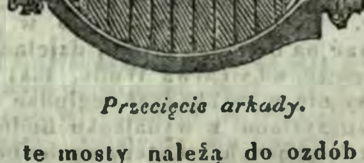
głości belki, na których ułożono posadzkę mostu. Most ten wisi w przerażającéj wysokości na 126 stóp nad powierzchnią morza podczas najwyższego wezbrania; długość jego wynosi 580 stóp. Tak więc okręty mogą jak najbezpieczniéj przepływać pod nim. Szerokość jego dzieli się na trzy części, to jest na chodnik dla pieszych i na dwie drogi dla powozów, po dwanaście stóp każda. Tym więc sposobem, podróżni nie doznają tego zawrotu głowy, który mimowolnie porywa na widok głębokich próżni pod nogami naszemi.

Wiadomo, że budowanie słupów do dźwigania arkad na rzece, pociąga za sobą wielkie nakłady; postanowiono zatém ile możności ograniczyć ich liczbę. W 1779 w Anglii zbudowano most na rzece Sawerne, oparty na jednéj arkadzie zrobionéj ze zworników z lanego żelaza. Smiały ten pomysł znalazł naśladowców i największém dziełem w tym rodzaju jest most zbudowany na odnodze *Bacas*, między Sunderland i Wearmouth, opierający się na jedynéj arkadzie, mającéj 256 stóp średnicy. Opowiadają, że po jéj ukończeniu, furmani lękali się przejeżdżać przez ten most z wozami obciążonemi wielkim ładunkiem. Inżynier kazał przyprowadzić pod ten most podczas przystępu morza okręt i przywiązał go łańcuchami do sklepienia. Gdy morze opadło, okręt pozostał zawieszony aż do następnego przystępu wody, a tak więc ustała obawa względem mocy sklepienia, które tak wielki ciężar znieść mogło.



Wewnętrzny skład arkady.

Ulepszając jeszcze ten sposób budowy, pan Polonceau, inspektor dróg i mostów, zbudował w Paryżu most Karuzelu i całą szerokość Sekwany przebył trzema arkadami, z których każda ma po 55 metrów.



Przecięcie arkady.

Dwa te mosty należą do ozdób Paryża; umieszczamy ich rycinę oraz wewnętrzny skład arkady w moście pana Polonceau.

PRZYPADEK W GÓRACH VERMONT. (1).

Podróżny który zwiedzał Nową Anglią, nie zdoła zapomnieć *Gór Zielonych*, pasma przecinającego Stan Vermont z północy ku południowi, a z którego boków lasami porosłych, wypływa tysiące nie wyczerpanych strumieni, skrapiających doliny i wpadających potém do jeziora Champlain. Tam wznoszą się ostrosłupy z ciemnego granitu, lecz w ogólności całe to pasmo przedstawia niezmierzony amfiteatr lasów, gęstą roślinnością pokrytych. W części południowéj zobaczysz białe domy i dzwonnicę ładnéj wioski, lecz w północnéj znaj-

(1) Vermont, prowincya w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnéj, patrz Podróż Malowniczą około świata.



MOST KARUZELU W PARYŻU.

dują się same tylko samotne chaty osadników, pola kukurudzą zasiane i otoczone zwalonemi pniami, prawie na przystępne oazy, w pośród których dziesięcioro albo dwanaścioro dzieci pasie trzodę.

Postęp cywilizacyi i kule strzelców, wypędziły dzikie zwierzęta z ich starych przytułków nad brzegami rzek, gołoborzów i niższych gruntów, ich reszta schroniła się w Góry Zielone i tam znalazła nie przebyte schronienie. W tych to miejscach, jeszcze nie zdeptanych stopą człowieka, błąka się czarny niedźwiedź, wilk, daniel i lis podstępny. Niedźwiedzie i jaguary nie są tak groźne, lecz wilki stały się tak strasznemi, iż rząd musiał naznaczyć cenę za ich ubicie.

Przed kilkoma laty, wyjechawszy w pięknéj porze roku na zwiedzenie tego kraju, znajdowałem się w małéj wiosce, zbudowanéj na wschodnim stoku gór Wermontu. Widok tego kraju niezmiernie mię zajmował i przez kilka dni nasycałem się pięknością natury w jéj pierwotnéj dzikości i nie mogłem napatrzyć się dostatecznie tym olbrzymim massom.

Chociaż nie jestem zapalonym myśliwcem, lubię jednak polowanie, lubię ścigać zwierzynę i wytrapiać ją w jéj schronieniu. Pełno jest danieli w lasach gór Zielonych, a jeszcze mi się nigdy nie zdarzyło zabić daniela. Chciałem chociaż jednego ubić przed odjazdem z téj okolicy i tą pobudką powodowany, raz jeszcze zapuściłem się w lasy z strzelbą w ręku.

Polowanie na daniela w lasach Ameryki, różni się zupełnie od polowania na to zwierze w zwierzyńcach Anglii. Nie można tam pędzić galopem dwie lub trzy mile po wygodnych i bezpiecznych drogach. Powoli tylko i ukradkiem, myśliwiec toruje sobie drogę przez gęstwy i zawały, albo też staje w zasadzce nad gołoborzem, czekając nie poruszony i milczący, dopóki daniel nie nadejdzie. Nie można używać psów do takiego polowa-

nia; ich szczekanie i szelest krzaków, wystraszyłyby zwierza wprzódy, nimby myśliwy mógł strzelić do niego. Poszedłem więc tam z fuzyą na plecach.

Góra gdziem się wedrzéć umyślił, składa się z nieregularnéj massy wzgórzów stojących jeden na drugim, jak stopnie niezmiernego amfiteatru. Pokryta była gęstym lasem, sam tylko jéj wierzchołek był z nagiego granitu. Liczne wąwozy i łożyska potoków, przecinały ją we wszystkich kierunkach. W niejakiej wysokości były odkryte miejsca na pochyłości góry, tam wieśniacy wypędzają bydło na paszę. Wyżéj jest spiekła pustynia, z kąd widzieć można całą okolicę.

Słońce tylko co weszło, ani jednéj chmury nie było na niebie i tylko lekkie wyziewy poranku, unosiły się nad ziemią. Wązką i kamienistą ścieszką zagłębiłem się w las, żadnéj ludzkiéj istoty nie widziałem przed mojemi oczyma. Wiewiórki skakały z gałęzi na gałąź i z podziwieniem spoglądały na mnie.

(Dokończenie nastąpi).

LITERATURA.

NOWE DZIEŁA.

Kwartalnik Naukowy z roku 1836. Nadesłany do Warszawy zeszyt pierwszy tego pisma obejmuje »O zawodzie filozofii jako przyczynek do zawiązania się jéj w kraju naszym. — O posiadaniu i skargach possessoryjnych. — Teatr starożytny za Władysława IV. przez Kaz. Wł. Wojcickiego. — Kalina, przez tegoż. — Badania w przedmiocie fizyologii mowy ludzkiéj, (zakończenie). — Spostrzeżenia nad niektóremi polsko lekarskiemi wyrazami (recenzya). — Ważniejsze nowe dzieła, mianowicie przez niemieckich uczonych wydane. Z pisma tego przytaczamy dwa wyjątki, jako najstosowniejsze z przedmiotami Muzeum Domowego: O Teatrze za Władysława IV. i Kalina.

TEATR STAROŻYTNY

ZA WŁADYSŁAWA IV.

(*Wyjątek z dzieła: Badania starożytności polskich i ruskich*).

Zajaśniała więcéj sztuka dramatyczna w czasach panowania Władysława IV. Król sam od młodu szczególniéj ją miłował, a gdy będąc królewiczem, odprawiał podróż w Europie, po zwiedzeniu Rzymu i miejsc świętych we Włoszech, Antwerpii i obozu sławnego Spinoli, przyjmowany był wspaniale we Florencyi od xięcia panującego, który znając upodobanie Władysława, dał świetne wystawy dwóch sztuk, tragedyi o *Świętéj Orszuli* i komedyi z tańcami, muzyką i śpiewem: »*Wybawienie Ruggiera z wyspy Alcyny*« (jest to melodrama Saracinellego). Treść pierwszéj nieznajoméj nam wcale, podaje Samuel z Skrzypny Twardowski; drugiéj mamy wyborny przekład S. Jagodyńskiego, który będąc na on czas dworzaninem, patrzał na jéj z przepychem wystawę, i we trzy lata (r. 1628) w Krakowie drukiem ogłosił.

Władysław zostawszy Królem, nie zapomniał o ulubionéj rozrywce; w Zamku Warszawskim miał swój teatr, który Jaszemski muzyk przybrany dworski opisał. Z opisu tego okazuje się, że była opera i balet: w sztukach zaś polskich dworzanie przyboczni przyjmowali role, a Władysław rad uczęszczał na teatralne widowiska, urządzane z przepychem. Roku 1635 w Warszawie, wystawiono w tym teatrze Komedyę z muzyką (operę) »Dafnis przemieniona w drzewo bobkowe« w obecności króla, braci królewiczów i senatorów koronnych.

Z niesłychanym przepychem we dwa lata wystawiono na tymże zamkowym teatrze tragedyę o *Swiętéj Cecylii* w czasie wesela Władysława IV z Cecylią z domu Rakuskiego. Nic z tą wystawą nie mogło iść w porównanie, zgasła Florencka świetność wyprawy Ruggiera i Dafnidy. Cudzoziemcy obecni, posłowie zagraniczni, przyznali zgodnie, że nie widzieli nigdzie równego zbytku i przepychu teatralnego. Nie znam saméj tragedyi, ale posiadam Summaryusz czyli krótki opis, który dać może jakiekolwiek wyobrażenie. Pomięszano tu rzeczy święte z mitologią; a co dziwnego, że gdy dzieła potępiano i niszczono, których treścią była mitologia grecka i rzymska, bezkarnie przecie na teatrze nadwornym uchodziło, by Apollo lub Kupidyn poprzedzał lub kończył smutną scenę śmierci męczenników chrześcijańskich! Rękopism współczesny nie może dosyć wychwalić muzyki, tańców i śpiewów które *słowiczemi* nazywa, przy wystawie pomienionéj tragedyi. A gdy z jednéj strony płakano patrząc na martwe zwłoki Swiętej Cecylii, dwa razy w szyję ciętéj, gdy z nieba ukazują się męczenników dusze, rozweselił serca Apollo przy złotéj cytrze, z gromadą pogańskich bogiń, śpiewając cnoty i dzielność oblubieńca Władysława i urodę królowéj Cecylii.

Kiedy z takim przepychem i świetnością teatr dworski króla jaśniał, dziwił zręczną maszyneryą, osadną muzyką, śpiewka-

mi i tancerzami włoskiemi — pod względem sztuki przecież wiele zostawiał do życzenia. Po klasztorach i szkołach, w domach zamożniejszéj Szlachty i Panów, grywano Dyalogi i komedye, zwykle w mięsopusty. Jeżeli tragedye poświęcano historyi świętéj, za to dyalogi, komedye i tak zwane Intermedia, nosiły barwę więcéj swojską, krajową. Potrzeba jeno było wtedy wyższego talentu, a sztuka dramatyczna nabrałaby była oddzielnego charakteru. Te to dyalogi, komedye i intermedia, uważam za najpiękniejszy pomnik dramatów naszych, za wielki materyał do utworzenia sztuki oddzielnéj, samorodnéj. Żywe obrazy zapomnianych figur tu oddychaią, ze starym językiem, i z wspomnieniami. W nich Klecha, Kantor, Bakałarze, Plebani, Dworacy, żaki, żołnierze, ciurowie obozowi, sołtysi, pątnicy, wędrowni, czarownice i guślarze, tyle stanów, w właściwéj ukazują się barwie. Nie ma tu żadnego naśladowania obczyzny, są to obrazy rodzinne, własne. Figury te, zamarłe odżywione i dzisiaj ręką mistrzowską, ozdobiłyby scenę: nie odmienią zaprawdę języka, ale zmienią stanowisko i do wyższego interesu powołane być mogą. W dramacie nawet historycznym, czy w obrazach domowego pożycia naszych przodków, mogą odżyć; a dramat taki, jeśli się go doczekamy, będzie prawdziwie krajowym, bo będzie wiernym obrazem zapomnianego żywota przodków, jako osób, które do tego obrazu są nieodstępnemi figurami. Gdy tak teatr dworski króla jaśniał, a dyalogi wywoływały charaktery rodzinne, w Wilnie Jezuici nowy rodzaj wynaleźli teatru, pod nazwą *Processyi*. Cała wystawa sztuki składała się z oddzielnych wozów i jeźdzców: każdy wóz, osobno, pojedyńczo, inny przedmiot wyrażał. Tu natura z mnóstwem zwierząt jedzie; daléj Otto Cesarz Rzymski na Węgrów pogan; cały wóz zajął piąty Rozdział objawienia Sgo Jana. Nawet cały Rzym pomieszczono w parokonnéj bryce. A naprzeciw tego leciała w osobie wąsatego studenta zabłocona *Poesis* swemi poetami, i *Eloquentia* z swemi oratorami!

Nie znajduję śladów, by po innych szkołach i klasztorach, podobne że tak nazwę *hece* wyprawiano. Żaki w Warszawie wesołym dyalogem pamięć Bachusa w zapusty odżywiali, który miał więcéj sensu nad te niesmaczne koncepta. Dyalogu tego napis: «*Bachus orbis dominus ipsis Bachanaliorum Feriis comice ab ipsa pueritia ad usque senectam et tumulum deductus*». (Varsaviae, u Piotra Elerta 1611 roku in 4to po łacinie i po polsku: aktów 4.)

Tu oddają do szkół Bachusa; ale ten miasto kałamarza, bierze flaszę, współuczniów spaja: idąc na filozofię na gospodzie pije. Gdy młódź dla rycerskiéj wprawy częścią z łuków, częścią z pistoletów do celu strzela, Bachus z łuku do kufla zmierza, ale prędzéj weń gębą niżeli strzałą ugadza. Kiedy według zwyczaju szkolnego, jeden z młodzi, filozofów, drugi krasomówców, trzeci poetów wysławia; Bachus naukę picia aż pod niebo wynosi; nie mając pieniędzy zastawia suknie i prawie nagi ucztę wyprawia. Nie chce iśdź że bosy do kościoła, ale na wino idzie. Radzi się cyganów o przyszłości; ci wróżą, że choć bezżenny, liczne potomstwo zostawi, nowéj nauki mistrzem będzie i w starości czopem zabity polęże. Bachus na dyspucie uwieńczony laurem: gdyż obronił racyami, aby wino nie było wytępione: na katedrze przez woźnego ogłasza, iż o nauce picia będzie mówił. Liczni zbierają się słuchacze, gdy niektórzy nie chcieli zupełnie przystać na jego naukę, częstuje i raczy, a wszyscy mu lat setnych życzą. Po czém, wedle wróżby czopem przebity, mimo leków, napisawszy testament, przy brzęku szklenicami umiéra. Grzebią Bachusa w słodzinach i piszą nagrobek.

Pomiędzy wielą komedyami które podnosiły nie mało sztukę drammatyczną, w obecnym czasie co, naszą zajmuje uwagę, odznacza się Piotra Baryki, *Z Chłopa Pan, komedya dworska.* Jako we wszystkich, tak i tu nie znajdzie żadnej intrygi, na które sadzą się francuzkie dowcipy: spojenie kmiecia, przebranie za pana, a późniéj ubranie na powrót w łachmany własne, oto żart i krotochwila walecznego rotmistrza z kilką towarzyszami, co używali mięsopustu, po ciężkich na Gustawa wyprawach. Sztukę tę cenić należy z charakteru osób wydatnych, pięknego wiersza, czystego języka, pełnego przysłów i zwrotów. Komedyę tę mogę nazwać prawdziwą perłą naszéj sztuki drammatycznéj za Władysława IVgo: a żałować potrzeba, że Baryka więcéj nam sztuk nie zostawił: był to prawdziwy talent swojego czasu do pisania komedyi. Graną była na dworze jednego szlachcica w Sieradzkiéj ziemi: podzielona na trzy akty, oddzielne sceny z prologiem i epilogiem: po pierwszym i drugim akcie Intermedia.

Niższa daleko co do prawdziwéj wartości, ale należąca do ciekawych zabytków sztuki drammatycznéj tychże czasów, jest komedya pod napisem: *Dziewosłęb dworski mięsopustny uciészny*. Główną osobą téj komedyi jest Pamfilus, młodzieniec bogaty i rozrzutny, który chce używać świata. Za poradą swego sekretarza, przedsiębierze podróż w obce kraje, mimo przestrogi marszałka nadwornego, że to koszt wielki.

Sam marszałek posłuszny rozkazowi pana, wybierającemu się na wojaż przyprowadza trzech pachołków do służby, jak żądał, śpiewaka, galanta i skoczka, którzy się ze swemi zdolnościami popisują. Lecz wkrótce Pamfilus, jak każdy tego rodzaju panicz, marnotrawca, płochy i zmienny, podmówiony przez marszałka i dworzan, woli jechać w zaloty niż do cudzych krajów: ale wśród radości, kiedy sam wesoły śpiewa:

»Jedźmy tedy znowu kędy,
»Będąc młodym, radzi wszędy.«

zamarła mu w ustach z przestrachu piosnka; bo zastępuje mu drogę Śmierć z dwowa dyabłami, *Węglikiem* i *Smutką*. Pamfil drżący rozkazuje służbie wypędzić nieproszonych gości, ale ta zbita od dyabłów ucieka; sam napędzony jak mówią do zimnéj wody, omglewa. Nagle ukazuje się *Wiara* z krzyżem w ręku, w towarzystwie Anioła: ci stając w obronie Pamfila, wyprowadzają ocalonego za zasłonę. Dyabli wtedy na Śmierć zagniewani, że przez jéj niepośpiech, uszła im jedna dusza, biją Śmierć i dławią, tak że ta omglała z bólu upada bez zmysłów. Wtedy Smółka przestraszony żeby nie umarła, posyła Węglika po lekarza. Przychodzi doktor Niemiec, a pomacawszy pulsów, zapewnia że żyć będzie i odprowadza osłabioną do swojéj izbedki, ażeby ją z pobicia zupełnie wyleczył. Dyabli przyrzekając, że nie przestaną usiłowania, by Pamfila skusić, odchodzą z wesołym śpiewem. Kończy komedyą epilog.

Podzielona nie na akty i sceny, ale na sprawy, zawiera pięć spraw czyli aktów. Wystawiana na teatrach przenośnych, z któremi objeżdżali żaki miasta i dwory, nie mogła pominąć wprowadzania dyabłów, aniołów, bo takie obrazy najwięcéj zwabiały widzów i zjednały im poklask. Rozpoczynał tę komedyę prolog następny, w którym Żak wystrojony dziwacznie, skłoniwszy się widzom, deklamował.

Prosimy panny, panowie,
Wdówki, młodzieniaszkowie:
Zgoła ktoby chciał słuchać,
Chciejcie nam wolne ucho dać.
Będą różne zabawy
Nie jednakie potrawy.
Wszak też życie inszego,
Inaksze niż drugiego.
Lecz że prędzéj wierzycie,
Na co sami patrzycie,
Wynijdzie tu wnet taki,
Który mając dostatki,
Po swéj woli żyć będzie,
Dotąd, aż na to przyjdzie,
Że lat, kosztów, próżności,
Żartów, zbytków marności,
Odstąpiwszy na [illegible]ę,
Musi z inąd obi[illegible]
Upatrywać, strwozony
Groźbą złéj Persefony!
Aż się sam Bóg zmiłuje,
I z nieba go ratuje.
Posły różnéj postaci,
Wynijdą mu przed oczy:
Wy z przykładu takiego
Bierzcie co jest lepszego:
A nas prosim słuchajcie
Przyczyny się spodziewajcie:
Krotofilnéj uciechy:
Pomiesza się płacz z śmiechy:
Onoż się z dworem toczy,
Mówcież z nim sami w oczy.

Do téj epoki należy piękny Dyalog pod napisem: «*Szkolna mizerya w dyalog zebrana* 1633», *i Komedya Sołtysa z Klechą* 1646.» Jak w pierwszéj główną grają rolę Klecha, Kantor, Pleban, i żona Klechy (Kleszyna), tak w drugim obok Klechy figuruje celnie Sołtys. Lecz w śród téj obfitości dyalogów i komedyj, które tak wysoko podnosiły sztukę dramatyczną, żaden z pisarzów nie wziął pióra do ręki, by w strzemię Jana Zawickiego wstąpił, co w pierwszym roku panowania Zygmunta III, poważną tragedyą z dziejów świętych, zaćmił *Odprawę Posłów* Jana Kochanowskiego i sam pozostał przy téj sławie, że tragedya jego (wydana w Krakowie w drukarni Łazarzowéj 1587 r.) zostanie: ściśle biorąc znaczenie tego wyrazu, jako tragedya: jedyną ozdobą starożytnego teatru w Polszcze.

K. W. W.

KALINA.

Wyjątek z dzieła: Badania starożytności polskich i ruskich.

Do świętości niemal należy Kalina podług starych wyobrażeń ludu polskiego i Rusi. Ona do dziś dnia zdobi weselne ruskie korowaje, jak dawniéj nasze kołacze; nad rzeką Stryj śpiewają jeszcze, jak sama Kalina prosi drużbów, by ją z ługu wzięli, bo chce korowaj ozdobić. O lasach kalinowych wspominają pieśni polskie i ruskie.

Przy rozczesywaniu kosy, pannie młodéj, zwykle u Mazurów, kiedy już siedzi na dzieży drużki śpiewają:

W kalinowym lesie,
Woda kamień niesie;
Maryś na nim stała,
Swe włosy czesała.
Co włosek upadnie,
To woda zagarnie.

»Płyńcież moje włosy,
»Do m[illegible] roskoszy!
»Jak [illegible] płyniecie,
»Przed płoty staniecie,
»Pytajcież odemnie,
»Nie tęskniąż bezemnie?»

Wianek weselny bez kaliny obejść się nie może, albowiem ona jest znamieniem czystości dziewiczéj. Na Rusi Województwa Podlaskiego, gdy się przekonają goście o złamaniu wstydu panny młodéj, wyrywają kalinę z za czapek, a niewiasty od piersi rzucają z pogardą na ziemię, a w jéj miejsce zatykają hoiny!

Ztąd też mamy mnóstwo pieśni weselnych kalinie poświęconych.

Zahotiła Hanula kałynowoho winka,
I posłała Bateńka za more po kałynu:
Bateńko pryizdżaje,
Kałyno zaćwitaje
—»Ej kałyno! kałyno!
Neszczasływoja hodyno!
Neszczasływoje zile,
Ne pospiło na wesile,
Na toj deń — na nedilu,
Hanuli na winoczok.
—»Oj! posiła, posiła,
Odna ćwitoczka ne dozryła.»
—»Ne dozryło w sadoczku,
To dozryje w winoczku.»

Krasę świeżego lica porównywają zawsze do czerwonéj kaliny, gładkie dziewczęta kładąc ją przy czerstwych policzkach, zapytują, czy ich rumieniec trwać będzie długo.

Porównanie z kaliną nie tylko krasoty, ale całéj postaci, jest ulubione szczególniéj na Rusi.

W kołomyjkach nawet, tych że tak nazwę ruskich krakowiakach, mnóstwo porównań tego rodzaju widzimy.

Dom panny młodéj, gdzie wesele się odbywa, zdobią Rusini szczególniéj kaliną, dla czego też i piosnkę mają:

W dumie krakowskiéj, widzimy podobny jak w ruskich pieśniach, z piewcą ludu rozhowor; a co najgodniejsze uwagi, że starożytna duma, którą w całości umieszczam, dochowała wiernie dawne wyobrażenia sławiańskie o kalinie i dziewiczéj cnocie. Widzimy bowiem w zręcznym obrocie myśli, nieznanego piewcy ludu, jak naprzód rozmawiając z kaliną, do ciemnego odsyła ją lasu: czemu?, bo kreśli daléj obraz przestępnéj dziewicy i surowéj kary, jakiéj doznaje od rodzonego brata. Pierwszą myśl zwrócił do kaliny, do godła nie skalanego dziewictwa, ale chwytając zdarzenie krajowe, które wedle zwyczaju i dla nauki pokoleniom w pieśń ułożył, i własną zawsze sławiańską myślą i wyobraźnią osnuł, prędko usuwa z oczu naszych hieroglif skromności, gdy występek ze srogą kaźnią malować musi.

Czego kalino w dole stoisz,
Czy się letniéj suszy boisz?

KALINA.

Pewnobym tu nie stojała,
Gdybym się suszy nie bała.

Wędruj kalino w ten ciemny las,
Zaśpiewa ci tam słowiczek w czas.
»Słowiczek śpiewa, a Kasia płacze:
»Dla ciebie Jasiu, wianek swój tracę;
»Pozbyłam wianka rucianego,
»A nabyłam żyjącego.»—

Wjeżdża braciszek w podwóreczko,
W tém zapłakało dzieciąteczko.
—Czyje to dziecię siostro płacze?
—»Méj sąsiadeczki panie bracie!
»Sąsiadeczka mnie prosiła,
»Bym jéj dziecię ponosiła.»

BRAT.

Podaj mi chłopcze ten ostry miecz,
Co zetnę siostrze swéj główkę precz!—
Ale dzieciątko choć niemowlę było,
Tak do wujaszka swego przemówiło:
—»Któż mię wujaszku teraz przytuli,
»Gdy dzwony grają mojéj matuli?
»Twoja wujaszku żona jeszcze chodzi,
»Mnie się matula więcéj nie urodzi.»—

Kalina jest ulubionym krzewem dla słowika, a szczególniéj poswięcona kukułce: dla tego, choć na wysokiéj mogile rośnie jesion, brzoza i kalina, kukułka na ostatniéj siedząc, żałobliwie kuka.

W okolicach rzeki Prut, gdy przyprowadzają pannę młodą do domu męża, śpiewa Ruś dolin, ażeby zgadła matka gospodarza młodego, co mu przywiedli, czy kalinę, czy malinę, czy młodą niewiastę? A dla okazania jéj cnoty dziewiczéj, dodają że ztamtąd była wzięta, gdzie kalina ścięta.

Grobowce i mogiły zdobiono kaliną.

O ile nas nauczają stare podania Rusi i Białochrobatów, zakochane dziewczęta, umierając przed ślubem, zamieniały się w kalinę. To wyobrażenie należy bez wątpienia do bogosłowia pogańskich Sławian: ztąd i teraz w licznych pieśniach i powie-

ściach ludu znajduję, że kochanek nie mogący otrzymać ręki swojéj ulubionéj, życzy jéj, by się zamieniła w kalinę. I to był główny powód sądzę, dla czego kalina do obrzędów weselnych została przeznaczona, a w pieśniach ludu tyle wspomnień znalazła.

Ruś i Polacy, przypisują jéj władzę szczególną: kwiat kaliny ułamany świeżo i przyłożony do serca rozkochanego i zbolałego, ma cierpienia uspokajać.

Jako wszelkie niemal krajowe ptastwo, równie i kalinę, wystawiają pieśni polskie i ruskie mówiące głosem ludzkim. Tak na starém Pokuciu przed wyjazdem państwa młodych do ślubu, widzimy jak kalina statecznemu staroście (weselnemu) zastępuje na bitéj drodze: a gdy wyjął szabli i począł ją łamać, przemawia doń, że nie dla niego sadzona, jeno dla młodéj swachy.

Kalina pomaga, by sen głowę utłumił, podług wyrażenia ludu. Na całéj Rusi jak i w Polszcze, niewiasty wiejskie używają kaliny za pewne lekarstwo na kaszel.

W ostatku, kalinie przypisują głównie dwie namiętności ludzkie, to jest, gniew i czułość: może się unosić gniewem i rzewliwie narzekając płakać. Mimo to, zawsze jest znamieniem skromności i czystoty dziewiczéj. Hańba i upodlenie spotykały tę dziewczynę, która wedle starodawnego zwyczaju, kalinowego wianka nosić nie mogła, ani na jéj weselu domostwa nie przystroją w kalinę!

K. W. W.

NIEWOLNICA W HAREMIE.

Duma W. Hugo przez Br: hr: K:

Słyszano śpiew ptaków tak harmonijny, jak poezya.

Sadi w Gulistanie.

Gdybym nie była w więzieniu,
Tobym lubiła te strony,
Morze płynące w milczeniu
Łan kukurydzą zżółcony,
Gdyby nie było w tym kraju,
Tego dzikiego zwyczaju,
Że pod murami seraju
Miecz spahów błyska się w cieniu.

Nie jestem córką Tatara,
Aby mię strzegła niewiara,
Eunuchy czarne i stare,
Stroiły moją gitarę.
W téj z któréj pochodzę ziemi,
Wolno pogadać z młodemi,
I wieczór potańczyć z niemi,
I przyjąć serc ich ofiarę.

Jednak są piękne te strony,
Bo nawet w zimowéj porze,
Przez okno śnieg, ani szrony,
Ni mróz dosięgnąć nie może.
Deszcz ciepły rzeźwi śród łąta;
Zielona muszka skrzydlata,
Jak żywy szmaragd przelata,
Świecąc się w trawce zielonéj.

Smyrna jak xiężna opływa,
Pysząc się złotem swych wieży,
A lata pora szczęśliwa,
Ledwie ją chwilę odbieży.
Jak z wiosny błogiego daru,
Błyszczy bukiet śród puharu,
Tak śród morskiego okszaru,
Lśni się archipelag świeży.

Gdy słońce blask siejąc złoty,
Powietrze obdarza ciszą,
Lubię te pstre ich namioty,
Co się na słoniach kołyszą.
Lubię ich domki ozdobne,
Dziecinnym cackom podobne,
I te wieżyczki ich drobne,
Na których chorągwie wiszą.

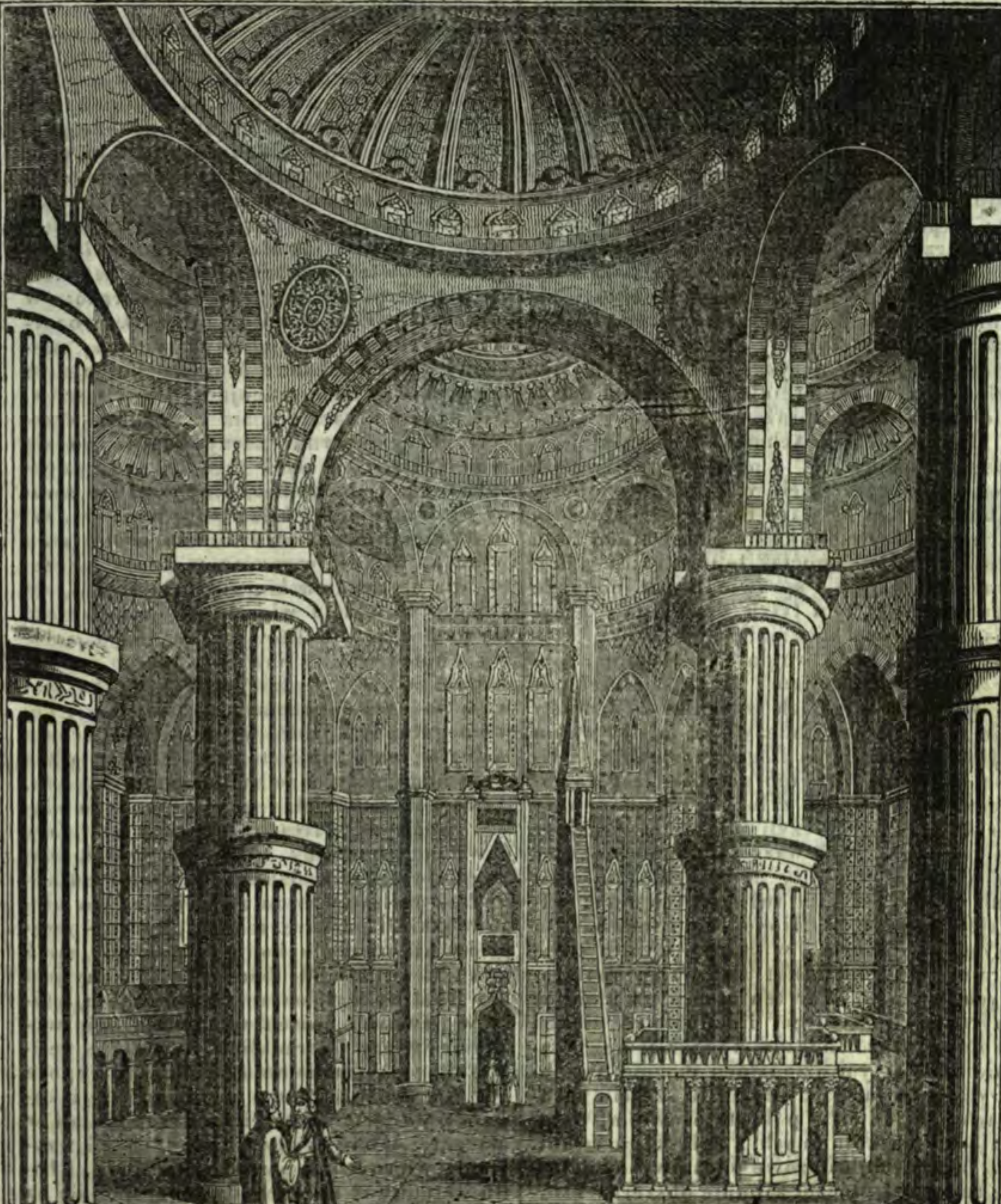
W téj czarodziéjskiéj dziedzinie,
Zda się że słyszę te głosy,
Których dźwięk z pustyni płynie,
I wzbija się pod niebiosy;
Że geniuszów tysiące,
Niebieskim głosem wtórzące,
Wznoszą harmonie brzmiące,
Których brzmienie z lekka ginie.

Dla mnie ma wdzięki urocze,
Nad miastem minaret biały,
Gdy na nim bocian klekocze.
Lubię krynicy kryształy,
Która w cieniu palmy tonie;
Lubię mile tchnące wonie
Które nie raz w to ustronie,
Ciche wiatry przywiewały.

Dla mnie wtedy błoga dola,
Gdy się na łoże z mchu rzucę,
I dumkę hiszpańską nucę;
A rówiennic mych swawola,
Różne wymyśla zabawy;
I w tańcu tłocząc murawy,
Tworzą z siebie okrąg żwawy,
Pod okręgiem parasola.

Lecz najbardziéj wtedym rada,
Siedzieć i dumać siedzący,
Gdy wietrzyk błogo wiejący,
Pod wieczór się do mnie skrada,
Gdy się przyglądam w swobodzie,
Jak niebo skrzy się w pogodzie,
A blady xiężyc po wodzie,
Swój srebrny wachlarz rozkłada.

MECZETY TURECKIE.



Widok wewnętrzny Meczetu Achmeta w Konstantynopolu.

MECZETY TURECKIE.

Przed niedawnym czasem, bardzo trudno było europejczykowi dostać się wewnątrz meczetu w Konstantynopolu i musiał na to otrzymać szczególny firman Porty, który go nie zawsze ochronił od zniewag ciemnego i zagorzałego pospólstwa. I dla tego też znano tylko powierzchowną postać tych świątyń, nad których wielkością i pięknością dziwili się podróżnicy, a których wzniosłe, lekkie i wytworne wieże, minaretami zwane, urozmaicają widok miasta. Teraz, dzięki reformom zaprowadzonym przez sułtana Mahmuda, uśmierzyła się duma i niechęć Turków, a zwłaszcza po ostatniéj wojnie z Rossyą, i chrześcianin może bez niebezpieczeństwa odwiedzać ich świątynie. Znamy zatém wnętrze meczetów, i każdy przyzna, że widok wystawiony na naszéj rycinie, może nam dać o nich wysokie wyobrażenie.

Meczet sułtana Achmeta najbardziéj zasługuje na uwagę, z pomiędzy czternastu meczetów cesarskich w Konstantynopolu. Zbudował go na placu Hippodromu, sułtan Achmet pierwszy, który panował od roku 1603 do 1617. Chociaż ten władzca panował chwalebnie i sprawiedliwie, jednakże Muzułmanie, tym tylko z sułtanów przypisując prawo stawiania meczetów, którzy się wsławili wojną i podbojami, patrzali ze zgorszeniem, że sułtan Achmet I. wznosi ten gmach wspaniały, a mufty nie wahał się oświadczyć, że modły w nim składane, nie będą Bogu przyjemne. Mimo tego, piękny ten pomnik jest dowodem wspaniałości założyciela, nazywają go Alti Minarety, czyli meczetem o sześciu minaretach, gdyż wszystkie inne meczety w Konstantynopolu, mają tylko po dwa lub cztery. Meczet sułtana Achmeta, oddzielony jest od Hippodromu nie bardzo wysokim murem, w którym wybito troje bram i siedemdziesiąt dwa okien opatrzonych kratami. Mur ten otacza dziedziniec wyłożony marmurem i ozdobiony piękną fontanną sześcioboczną, z tegoż samego kamienia. W tym dziedzińcu ciągnie się pokryta galerya, na dwudziestu sześciu arkadach; jéj kopuły pokryte ołowiem, opierają się na kolumnach z egipskiego granitu, mających bronzowe podstawy i kapitele tureckie. Meczet zajmuje obszerny kwadrat. Uderza wysokością swoją; jego kopuła wyższa i lżéjsza, niżeli kopuła meczetu Przedwiecznéj Mądrości (patrz tom I M. D. kar. 327), opiera się na proporcyonalnych kolumnach, a każden minaret wybiegając w górę nad kopułę ma trzy galerye w około. Jednym z najpiękniejszych widoków Konstantynopola, jest widok tego meczetu, gdy spoglądamy na niego z wierzchołka dawnego obelisku stojącego w środku Hippodromu, a niezmierna kopuła meczetu Przedwiecznéj Mądrości, okazuje się w oddaleniu.

Meczety sułtanów, jak uderzają ogromem i wzniosłością, tak są niezmiernie proste wewnątrz. W niektórych, jak n. p. w meczecie sułtana Achmeta, kolumny są wyrabiane, kopuły zaś i mury ozdobne płaskorzeźbami i mozaiką; lecz jest to cała ozdoba wnętrzów meczetu i nie ma tam żadnych przydatków i sprzętów, któreby ich prostotę przerywać mogły. Religia Mahometa, podobnie jak Mojżesza, zabrania malować albo też wyobrażać jaką żyjącą istotę, nie cierpi ani posągów ani obrazów w meczetach. Organ który brzmi tak uroczyście w chrześciańskich świątyniach, nieznany jest Turkom. Muzyka ma u nich miejsce w salach tańcujących derwiszów. Nie mają ani kazalnic, ani ławek, ani krzeseł. Trzy główne rzeczy znajdujące się w meczetach, a obok tego bardzo niepozorne, są: 1mo *Mihrab*, niewłaściwie zwany ołtarzem przez kilku podróżników: jest to bowiem nisza na sześć do ośmiu stóp wysoka, wykuta w murze w końcu meczetu, dla oznaczenia kierunku do Mekki, do którego to miasta wierni powinni obracać się pod czas modlitew; 2do *Mahfil muezzim*, nieco wyniesione miejsce po prawéj stronie *mihrabu*, gdzie muezzimowie stawają podczas nabożeństwa; 3tio *Kursy*, pewien gatunek kazalnicy po prawéj stronie *mihrabu*, na 6 lub 8 stóp nad ziemią, gdzie staje iman, gdy chce mieć naukę do ludu.

Meczety sułtańskie mają prócz tego *minber* i *mahfil* dla sułtana. Minber jest mały pawilon, podobny trochę do gołębnika; znajduje się w niejakiéj odległości od mihrabu, po lewéj stronie prowadzą do niego wązkie i przykre schody. Podług przepisów alkoranu, schody te powinny mieć tylko 23 stopni. Minber przeznaczony jest dla Rhatiba czyli naczelnika meczetu, który w pewnych dniach odmawia długie wyznanie wiary i przeklina wszystkie religie oprócz mahometańskiéj. W epoce gdy Turcy byli ludem zdobywczym i kościoły wydarte chrześcianom zamieniali w meczety: w chwili otwarcia onychże i wzywania wiernych na poranną modlitwę, Rhatib wstępował na wschody opierając się na pałaszu, a gdy odmawiał wyznanie wiary, trzymał go w ręku jako narzędzie zwycięztwa i podobnież zstępował, opierając się na nim.

Mahfil padyszaha, czyli *mahfil* cesarski, jest to komnata odosobniona, od przodu zamknięta złoconą kratą, w któréj sułtan i dwór jego siedzi podczas modlitwy. Ta

izba która nie przewyższa murów meczetu, znajduje się w dosyć znacznéj wysokości i zazwyczaj na przeciw kazalnicy *Rhatiba.*

Napisy wielkiemi literami arabskiemi i tablice na których wyryte są imiona Allaha, Mahometa, czterech pierwszych kalifów, Hassana i Husseina dzieci Alego, widać tu i owdzie na ścianach, ale tak prostych przedmiotów nie można liczyć do ozdób. W niejakiej odległości, napisy wyglądają jak bazgranina czarnym kolorem, a tablice otoczone prostemi ramami z czarnego drzewa, zajmują ledwie trzy lub dwie stóp przestrzeni. Na niektórych są napisy z błękitu i złota, i wyrażają krótkie zdania z koranu. Lampy czasami ze srebra (a w meczecie Ahmeta są, a przynajmniéj były ze złota drogiemi kamieniami ozdobione) wiszą w rozmaitych miejscach, lecz jest ich za mało i w zbyt znacznéj odległości jedne od drugich, nie mogą zatém czynić wrażenia w tak obszernym obrębie. Czasem widywano w tych świątyniach małe lampy ze szkła kolorowego, podobne do lamp używanych w Europie do illuminacyi. Turcy zawieszają także w meczetach i wielkich mauzoleach jaja strusie: dziwaczny zwyczaj, którego przyczyny dotąd nie wiemy.

Podłoga meczetów jest w ogólności pokryta matami egipskiemi, doskonałego gatunku. Aż do ostatnich czasów, Turcy nosili buciki safianowe lekkie, bez podeszwy, a na nich dopiero mocne papucie, albo pantofle z podeszwami, które zdejmowali nie tylko wchodząc do meczetu, lecz nawet przy progu pomieszkania. Tym sposobem, maty nie brudziły się, a chociaż na prowincyi mała liczba pomniejszych meczetów była w zaniedbaniu, główne meczety Stambułu utrzymywano w jak największym porządku. Wnętrza meczetu sułtana Achmeta, sułtanki Walidy, Solimana, Eyaub, odznaczały się pod tym względem. Teraz, gdy Mahmud zniewolił większą część poddanych do chodzenia w butach i trzewikach, trudno będzie ochronić maty na których klękają Turcy, od zawalania kurzawy.

Oprócz czternastu meczetów cesarskich, zbudowanych z bardzo mocnych materyałów, a zwłaszcza z marmuru białego, lekko przeciętego szaremi żyłkami, znajduje się w Konstantynopolu sześćdziesiąt meczetów zwyczajnych, zasługujących także na uwagę i przeszło dwieście meczetów pomniejszych czyli kaplic.

Meczet, a dawniéj kościół Przedwiecznéj Mądrości, uważany jest jako pierwszy w stolicy, lecz do meczetu Achmeta sułtan udaje się na nabożeństwo pod czas Bairamu, Kurban-Bairamu i Melmud, trzech głównych świąt tureckich. *Bairam,* zwany także Id-ifita czyli przerwa postu, następuje po Ramadanie i odpowiada Wielkiéj-Nocy u chrześcian. To święto trwa trzy dni. Kurban-Bairam, czyli święto ofiar, przypada w siedemdziesiąt dni po Bairamie i trwa dni cztery, Melwud jest świętem które Murad III. ustanowił w r. 1588 na cześć urodzenia proroka; obchodzi je tylko sułtan i dwór jego; trwa jeden dzień i ogranicza się na odwiedzeniu meczetu Achmeta.

Turcy w ogóle obchodzą post Ramadanu tak ściśle jak żydzi i przez cały ten czas od wschodu słońca aż do zachodu nic nie jedzą, palą tylko tytuń i piją kawę. Niezmiernie zatém cieszą się ze skończenia postu. Tańcują w kółko przy dźwięku gitary i tamburynu, ściskają się wzajem i z radością mówią o pobliskiéj nocy, tak niecierpliwie wyglądanéj, w któréj promień xiężyca oznajmi im koniec Ramadanu i rozpoczęcie Bairamu. Lampy i girlandy z liści, zawieszone są u domów, wszędzie ozdabiają okna, w bazarach najbogatsze ubiory wystawiają na sprzedaż.

Zwyczajna powaga Turków, rozwesela się nieco; idą szybszym krokiem; wszystko przybiera oznakę radości i uciechy. Nie przeliczone rzędy lamp oświecają wielkie meczety, które wówczas czarowny tworzą obraz; doskonale widać meczety Achmeta, Solimana i Przedwiecznéj Mądrości. Pośród ciszy nocnéj, cały Konstantynopol i lud wygląda hasła uroczystości. Stojąc na wierzchołkach minaretów, imanowie z oczyma wlepionemi w niebo, śledzą pierwszy promień xiężyca. Skoro go tylko postrzegą, tysiące radosnych okrzyków brzmi w powietrzu, odbite echami tego niezmiernego miasta. Godzina zabawy nadeszła, wynagradzają sobie post zeszłego miesiąca, jedząc i pijąc z niesłychaném żarłoctwem.

Nazajutrz o świcie, pierwszy dzień Bairamu witają wystrzałami tysiąca armat. Mnóstwo okrętów ozdobionych banderą rozmaitych narodów i ustawionych w porcie, odpowiada wystrzałami, na wystrzały te, które rozlegają się w Seraju w Tofana i w koszarach. W owéj chwili, Konstantynopol najwspanialszy w świecie widok przedstawia. Szczęście maluje się na każdego twarzy. Przechodzący witają się jak bracia. Często zdarza się widzieć, że wówczas ubogi ściska rękę i całuje lica potężnego i bogatego człowieka, który wita go jak równego, jak brata, jak wyznawcę prawdziwéj religii, który kiedyś podobnie jak on podzielać będzie rozkosze raju. Każdy mieszkaniec ubiera się w jak najpiękniejsze suknie, a miłe dźwięki muzyki połączone z pieśniami na cześć proroka, brzmią

na wszystkie strony. Turcy mają osobny strój na tę uroczystość, zwany także Bairamem, który należy do dziedzictwa familii i przechodzi od pokolenia do pokolenia.

W pierwszy to dzień Bairamu, Sułtan udaje się ze wspaniałym orszakiem do meczetu Achmeta. Obszerna przestrzeń, którą wyobraża nasza rycina, zapełniona jest wówczas dworem sułtana i mnóstwem muftych, ulemów, baszów, bejów i innych dygnitarzy cesarstwa, w towarzystwie dzieci i służących bogato przybranych. Za powrotem, sułtan przejeżdża przez miasto, jadąc przez plac Hippodromu i potém wraca do seraju.

Reformy zaprowadzone przez sułtana Machmuda, zniosły ten zbytek wschodni i te wspaniałe ubiory, a w ich miejsce zaprowadzona została odzież uboga, ale dogodniejsza do ćwiczeń wojennych.

ORLEAN (*Roślina*)



Orlean jest krzak wysoki na dziesięć do dwunastu stóp, przy wierzchołku ma kilkanaście gałęzi połączonych w pęk gęsty, liście mają kształt serca, przy osadzie pięknie zielone, żyłki mają czerwonawej i ogonki prawie tak długie jak liście; kwiaty mają kielich, wewnątrz biały, w różowo wpadający, bez woni, z pięcioma zaokrąglonemi listkami. Owoc jest gałką prawie kulistą, najeżony czerwonawemi włosami i otwierający się na dwie torebki, wsrodku których znajduje się nasienie obwinięte czerwonym pyłem, mocno farbującym. Ta roślina znajduje się w południowych ziemiach Ameryki. Najlepszy Orlean pochodzi z Kajenny.

Mieszkańcy wysp tego półsferza, przed przybyciem Europejczyków używali orleanu pomieszanego z tłuszczem i nim smarowali sobie ciało; wydobywali go z dojrzałych nasion, trąc je w rękach wysmarowanych oliwą; tym sposobem otrzymywali daleko piękniejszą farbę, niżeli tę która jest w handlu. Przy tej pracy, murzyni podpadają bólowi głowy, któremu łatwo zapobiedzby można, zmieniając robotników, i używając potrzebnych środków ostrożności.

Orlean rozmnaża się tylko z nasienia. Zasiewają go od Stycznia do Maja, w roli świeżo uprawnej, w odległości czterech do pięciu stóp. Gdy roślina wznijdzie, wyrywają słabsze odrostki, zostawiając mocniejsze krzaki. Plantacye orleanu dopiero w drugim roku są najmocniejsze i trwają przez trzy lata; potém je niszczą. W Saint Domingo, dwa razy do roku zbierają Orlean, w Czerwcu i Grudniu. Orlean używany jest do farbowania, daje piękny kolor pomarańczowy, ale nie dość trwały.

PRZYPADEK W GÓRACH VERMONT

(Dokończenie.)

Jeszcze nie dawno było po wschodzie słońca, szedłem więc dalej w górę; była co raz bardziej stroma i przykra. Skończył się las wielkich dębów i jesionów, i widać było wystające skały, pokryte gęstemi kępami sosen, wierzb i małych jodeł. Torowałem sobie drogę, wahając się w obawie, jak żeglarz, który płynie około nieznanych brzegów. Na tak wielkiej wysokości, nie było żadnego zwierza, żadnego ptaka. Drzewa zamieniały się w poziome krzaki. Grunt niepłodny i skalisty, pokryty był tu i owdzie samym tylko mchem żółtym. Doszedłem nareście na wierzchołek i usiadłem na głazie z szarego granitu.

Jakże swietny obraz rozwinął się wówczas pod mojemi stopami! Był to jeden z najpiękniejszych dni w porze letniéj. Pogodne i czyste powietrze, dozwalało widzieć wszelkie kształty i odcienia krajobrazu. Spojrzałem najprzód na obszerną górę, na mnóstwo jéj cyplów, na jéj piękne doliny i lasy, mnóstwem odcieni zieloności pokryte. Wyraźnie widziałem wioskę, z któréj wyszedłem dziś rano. Za nią okolica przecięta była głębokiemi dolinami, pośród których widać było smugi uprawnéj roli; strumienie płynące wężykiem, błyszczały jak srebrne wstęgi pośród ciemnych lasów, a daleko na zachodzie, biała przestrzeń jeziora Champlain, ciągnęła się od północy ku południowi, ile tylko można było okiem zasięgnąć. Na końcu widokręgu, za jeziorem, przeglądały pasma gór Shawangunk, błękitną zielonością pokryte.

Zajęty wspaniałością tego obrazu, wpatrywałem się w niego w zadumaniu, gdy słońce schylające się ku zachodowi, ostrzegło mię, że już czas wracać do wioski. Zstępując z góry, postrzegłem białą chmurę, która zaczynała powstawać na wierzchołku. Za chwilę wzrosła szybko, zgęściła się, ściemniała i prosto płynęła ku mnie. Schodziłem śpiesznie, lecz gdym już doszedł do części góry pokrytéj lasem, gruba mgła otoczyła mię zupełnie. W przeciągu dwóch minut straciłem ślad; nie można było widzieć o dziesięć kroków, musiałem stąpać po omacku, pomiędzy gęstemi krzakami i iśdź szerszém miejscem, które z razu poczytałem za ścieszkę, lecz było to łożysko potoku, dochodzące do przepaści. Chciałem się wrócić, lecz mgła zgęszczała się co raz bardziéj i w krótce nie mogłem rozeznać czyli idę ku zachodniéj, lub też ku wschodniéj stronie. Wdzierałem się na każdą wystającą skałę, jaką tylko napotkałem, spodziewając się, że dostrzegę jaki ślad znany. Była to daremna praca!

Położenie moje stawało się coraz przykrzejszém; najmniejsze niebezpieczeństwo było to, iż musiałbym przepędzić noc w téj puszczy. Lekko byłem ubrany, a nocy na górach są zimne; głód zaczynał mi dokuczać.

Niestety! rzekłem do siebie, wszystko mi się zdaje, że nie będę wieczerzać, a zasnąwszy, obudzę się zapewne w łapach niedźwiedzich. Szedłem więc daléj, spodziewając się, iż mgła ustanie. Nie spełniła się ta nadzieja. Ciemność co raz to była większa. Poznałem iż muszę wyszukać sobie jakiego schronienia, gdziebym mógł aż do rana pozostać. Z początku chciałem wedrzeć się na drzewo, dla ochrony od dzikich zwierząt, lecz zimny wiatr zniewolił mię do szukania wygodniejszego przytułku. Odkryłem nareście wązką rozpadlinę, która mogła mię zasłonić od wiatru, a jéj ściany porosłe były mchem gęstym.

Za pomocą strzelby, zapaliłem stos liści i suchych gałązek, a wysoki płomień przed wnijściem do jaskini, zabezpieczył mię od napaści dzikich zwierząt. Słońce już zaszło, mgła ustała, a xiężyc świecący na zachodzie, czasami rzucał tylko wątpliwe światło. Nie długo potém xiężyc zaszedł, a głęboką ciemność lasu, przerywał tylko płomień przezemnie wzniecony. Pomimo utrudzenia, przez długi czas nie mogłem zasnąć. Ogień i strzelba nabita, ochraniały mię od obawy. Posępność nocy i pustyni zajęły moją duszę. Nadstawiałem ucho na szum wiatru, zdawało mi się że słyszę w dalekości wycie wilków, lecz dotąd żaden z mieszkańców lasu nie poważył się przerywać mojéj samotności. Umyśliłem nareście nie opierać się żądzy spoczynku. Nagromadziłem tyle drzewa ile go było potrzeba, ażeby aż do rana ogień utrzymać, i położywszy się na skale mchem pokrytéj, w głębi jaskini mocno zasnąłem. W takich okolicznościach mamy rozmaite marzenia senne. Gdy już zaczęły się zamykać moje powieki, patrzałem w kłęby dymu wzbijające się w górę, a moje wrażenia mieszały się co raz bardziéj. Zdawało mi się, że mnóstwo ogromnych niedźwiedzi skacze na sklepieniu z liści zielonych. Zdało mi się potém iż błądzę pośród lasu, że za każdém drzewem stoją drapieżne zwierzęta, a moja strzelba nie chce dać ognia; usiłowałem wtedy wedrzeć się na wierzchołek góry i obsuwałem się za każdym krokiem, a gdym już był na wierzchołku, porywała mię fantastyczna chmura, niosła przez powietrze roztwierała się nagle i rzucała w jezioro Champlain.

Obudziłem się w téj chwili i zacząłem opierać się jakiemuś przedmiotowi, który mię porwał rzeczywiście. W mgnieniu oka uczułem że gdzieś lecę; doznałem uderzenia, które mię o mało nie ogłuszyło; zdało mi się że jeszcze śpię; spojrzałem w koło siebie; wszędzie panowała jak najgłębsza ciemność i tylko w górze błyszczał dziwny promień, jakoby otwór w niebie, przez któren czerwonawe światełko błyskało w nierównych przerwach. Wstałem chcąc wyjśdź z tego miejsca. Niestety! spotkałem przed sobą prostopadłą ścianę, spojrzałem znowu i poznałem nareście, że jestem na dole głębokiéj rozpadliny i że światło w górze, pochodzi z otworu, którędy wpaśdź musiałem.

Połtuczenie i ciasne miejsce w którém byłem zamknięty, przekonały mię, iż obecne położenie moje nie jest marzeniem.

W Górach Zielonych znajduje się wiele takowych jaskiń; podróżny idzie po mchu, któren rozciągnięty od skały do skały, utrzymuje go nad przepaścią. Na takiém miejscu położyłem się i zapaliłem ogień, nie domyślając się tak zdradnéj zasadzki. Mech załamał się pod ciężarem ciała mojego.

Przetarłem oczy; nie miałem rany lecz kilkanaście bolesnych stłuczeń. W głębi jaskini były zeschłe liście, osuniona ziemia i gałązki: one to uczyniły lżejszém upadnięcie moje i ochroniły od śmierci; spadłem bowiem przynajmniéj z wysokości stóp dwudziestu. Wyciągnąwszy ręce, postrzegłem, że mogę dosięgnąć dwóch ścian jaskini. W zupełnéj ciemności postępowałem dalej, lecz ściany były prostopadłe i na nic nie natrafiłem, coby mogło dopomódz mi do wydobycia się z tego miejsca. Doszedłszy do końca jaskini w jednéj stronie, obróciłem się ku drugiéj. Sciany były wszędzie gładkie i śliskie. Cóż począć? czyliż mam okropną śmiercią z głodu zakończyć życie? Zaczekajmy aż do rana, pomyślałem sobie, nie poddawajmy się rozpaczy. Może znajdę jaki otwór. W tém przestraszył mię szelest jakiegoś ciała, rzucającego się w głębi jaskini. Za chwilę ujrzałem dwoje błyszczących oczu wlepionych we mnie. Dreszcz przeszył mię wskroś, włosy najeżyły się, pot zimny spłynął z czoła, stanąłem skamieniały. Wszystko w świecie byłbym oddał w téj chwili za najsłabszy promyk nadziei. Byłem w jaskini wilka, sam na sam ze straszliwym mieszkańcem téj jaskini, bez żadnego środka ucieczki i obrony.

Przez czas niejaki przypatrywaliśmy się jeden drugiemu, lecz się nie ruszył. Wkrótce odzyskałem nieco przytomności umysłu, i przekonałem się iż muszę śmiały krok uczynić albo zostać pożartym. Miałem tylko nóż kończasty, któren wziąłem do obcinania gałęzi i krzaków. Wyjąłem go z kieszeni, a schwyciwszy w prawą rękę, gotów byłem uderzyć na zwierza. Był to czyn rozpaczy, ale wstrzymała mię inna uwaga. Moj dziki nieprzyjaciel siedział cicho w kącie jaskini. Od kilku minut byłem z nim, a nie zaczepił mię jeszcze. Przypomniałem sobie, że wilk pomimo dzikości swojéj jest wielkim tchórzem. Ponieważ mię nie zaczepia: rzekłem do siebie: zapewne boi się; śledziłem każde jego poruszenie, z zaufaniem i odradzającą się odwagą.

Nie omyliłem się w moich domysłach. Zdaje się że wilk spał głęboko, gdym wpadł do jaskini i zapewne na niego zlecieć musiałem. Czas upływał, a ja ciągle patrzałem na wilka, bojąc się aby nie przezwyciężył swojéj trwogi i nie odzyskał zajadłości. Lecz ciągle siedział spokojnie, a gdy światło dzienne dostało się do jaskini, ujrzałem wilka siedzącego w kącie i drżącego bardziéj odemnie. Niestety! powrót dnia powiększył moje udręczenie. Nie podobna było wydobyć się z téj jaskini. Jeden tylko był wązki otwór, którędy wilk zaledwie mógł się wczołgać. Otwór ten był właśnie przy téj stronie, przy któréj ja stałem i dla tego zwierz nie mógł ratować się ucieczką. W takiém położeniu rzeczy, widziałem iż muszę umrzeć z głodu, jeźli zwierz nie rzuci się na mnie, skoro chęć jadła przemoże jego obawę. Godziny upływały. Promienie słońca dochodzące do jaskini, wskazywały że już musi bydź około południa. Udręczenie i czczość przyprawiały mię o zawrót głowy. Usiadłem poddając się mojemu losowi i myśląc jakie wnioski czynić będą, jeźli kiedyś znajdą moje kości w téj jaskini. W tém, głuchy jęk przerwał moje dumanie. Wyobrażałem sobie z razu, iż wilk wygłodniały zamyśla rzucić się na mnie. Duszę moją poleciłem Bogu, gdyż tak byłem słaby iż nie byłbym zdołał stawić oporu. Wkrótce usłyszałem szczekanie psa. Jakże opiszę radość, którą wówczas uczułem, poznając że śpieszą mi na pomoc! Szczekanie co raz bliżéj było słychać, nie mogłem wątpić że moi przyjaciele szukają mię i znaleźli moje ślady. To, co mi przywróciło nadzieję i siłę, pomnażało przestrach wilka. Drżący przycisnął się do skały, a na każde zaszczekanie psa odpowiadał żałosnym mrukiem. Za parę minut, wołania ludzi dały się słyszeć nad głową moją, a krzyk mój naprowadził ich nad brzeg jaskini. Można sobie wyobrazić jak się zdziwili; znalazłszy mię w tém miejscu. Niezwłocznie zrobili drabinkę, po któréj wydostałem się na wolność.

Powiedzieli mi, iż ocalenie winien jestem wiernemu psu mojemu, który ślad mój wytropił. Wilk natychmiast wybiegł zwyczajnym otworem, skoro tylko uwolniony został od mojéj obecności. Włosy moje nie zbielały podczas téj przygody, ale nigdy nie zapomnę o niéj. Ileż to razy widziałem we śnie dwoje iskrzących oczu, wlepionych we mnie pośród ciemności! Ileż razy ponowiły się w marzeniach sennych, udręczenia téj nocy, przepędzonéj sam na sam z wilkiem, w jego własnéj jaskini!

FILOZOFIA. MORALNOŚĆ.

Droga do szczęścia przez J. Droz, (Essai sur l'art d'etre heureux) *przełożył z francuzkiego M. W. Kraków, nakładem i drukiem J. Czecha* 1836.

Naukowe pisma nasze, a zwłaszcza Kwartalnik krakowski, wiele zajmują się filozofią, a mianowicie filozofią szkoły niemieckiej, na głębokich spekulacyjnych rozumowaniach opartą. Oddając sprawiedliwość usiłowaniom naszych pisarzy, którzy pragną oswoić ziomków swoich z przedmiotem prawie zupełnie dla nas obcym dotąd, z prawdziwém upodobaniem i słodkiem zajęciem wspomnieć nam przychodzi o dziele, którego przedmiotem jest Filozofia praktyczna i moralna, filozofia naucząca nas jak mamy dopełniać powołania naszego na tym świecie, żyć zgodnie z sumieniem, bliźnemi, prawami pod któremi zostajem, jak mamy unikać wszystkiego co zatruć może krótki nasz pobyt na ziemi. Takiém dziełem przysłużył się Francuzom J. Droz, nam zaś pan M. W. pięknym i wypracowanym przekładem. W krótkiéj przemowie tak się odzywa tłomacz do czytelnika:

»Przedsiębiorąc dziełka niniejszego prze»kład, użyteczność jego miałem szczegól»niéj na względzie, w każdém człowieka po»łożeniu, w każdéj doli. Komuż z nas nie »zdarzyło się widzieć ludzi posiadających »to wszystko, co tylko na świecie szczęście »stanowić zwykło, a przecież skarżących »się i utyskujących? Nie byli, nie są szczę»śliwemi, bo się nie chcieli i nie chcą za»stanowić nad korzyściami położenia swe»go, bo nie umieli i nie umieją użyć darów »tak hojnie sobie od natury i od losu udzie»lonych. Z drugiéj strony znowu, nie przy»trafiłoż się napotkać ludzi dotkliwie i sro»go czasem od losu prześladowanych, za»chowujących przecież duszy spokojność i »niosących z sobą we wszelkich społecznych »stosunkach wypogodzone czoło, najpe»wniejszą wewnętrznego zadowolenia ozna»kę? Czyste sumienie jest zapewne dla czło»wieka najpierwszym i niezbędnym szczę»ścia warunkiem: lecz i przy niém trzeba »pracy nad sobą, żeby zmienne i rozmaite »życia koleje spokojnym i jednostajnym »znosić umysłem. Jest więc pewna ku te»mu zmierzająca nauka, są pewne zasady, »których się trzymać należy, by do zamie»rzonego trafić celu. To właśnie jest przed»miotem niniejszego dziełka. W przekła»dzie starałém się ile możności zgłębić myśl »autora i wiernie ją oddać; z przywiedzio»nych przez niego przykładów, pozwoliłem »sobie jedynie wypuścić te, które wyłą»cznie miejscowości kraju i dziejów Fran»cyi dotyczyły się, jak również ustęp je»den dotyczący się Grecyi, która dziś po»stać swą polityczną zmieniwszy, nie zo»staje już jak niegdyś pod władzą mu»zułmanów. Z resztą, niech łaskawy czy»telnik mniéj zważa na niedokładność »przekładu, a więcéj na chęć tłómacza.»

Dziełko składa się z 20 rozdziałów, obejmujących: Wstęp.— O żądzach.— O spokojności duszy. — O nieszczęściu.— O zdrowiu. — Dobry byt. — O opinii i przychylności ludzkiéj. — O uczuciu jakie ludzie w nas wzbudzać powinni.— O niektórych cnotach. — O małżeństwie. — O dzieciach. — O przyjaźni.— O rozkoszach zmysłowych.— O rozkoszach serca. — O rozkoszach umysłu.— O rozkoszach wyobraźni. — O melancholii. — O uczuciach religijnych. — O szybkim życia upływie. — O śmierci. — Zakończenie.

Zebrał w niém autor, prawdy, będące owocem szlachetnego serca, wytrawnego rozsądku i długiego doświadczenia. Dzieło to zasługuje na jak największe upowszechnienia, a zwłaszcza teraz, gdy obok zbiorów encyklopedycznych i przekładania lekkich płodów literatury, żadne poważniejsze dzieło nie zasila naszego czytelnictwa. Z dzieła niniejszego przytaczamy rozdział IV. o postępowaniu w nieszczęściu.

Chcąc upowszechnić prawidła, trzeba je dostępnemi uczynić. Są cierpienia, których ni rozum, ni przyjaźń ukoić nie zdoła. Szanujmy żal tego, co przez śmierć drogiéj mu osoby, połowę swego utracił jestestwa. Czas tylko sam może w nim osłabić żywe jeszcze wspomnienia i cierpienia złagodzić. Chcieć człowieka nieczułym uczynić, jest to chcieć zmienić jego naturę. I jakażby z tego wynikła korzyść? Surowa stoicizmu nauka, hartując duszę przeciw okrutnym srogiego losu ciosom, pozbawia ją zarazem i czucia w doznawaniu rozkoszy. Nic niedorzeczniejszego jak słowa pociechy udzielane zwykle temu, co płacze nad stratą dziecięcia, żony lub przyjaciela. Coś utracił, mówią, już się nie wróci. — Ach! gdybyż się mogło wrócić, zamiast płaczu i narzekania, użyłbym wszelkich ku temu środków; właśnie dla tego łzy leję, że się wrócić nie może. — Łzy te na nic się nie przydadzą. — One są dla mnie ulgą.— Dziecię twoje szczęśliwe, nie doznało jeszcze trosk życia. — Ja mu chciałem dać zasmakować jego rozkosze. — Przyjaciel twój w długim życia zawodzie, stał się cnot wszelkich wzorem. — Dla tego właśnie winienem go bezustannie opłakiwać.

W żalu, któremu ludzie się oddają, nie mała częstokroć daje się postrzegać przesada; więcéj tam jest względów na przy-

zwoitość jak popędu serca, lada roztargnienie natenczas pocieszy. Lecz udzielane pociechy stają się prawie męczarnią, dla duszy do żywego przejętéj, która w żalu swym zupełnéj potrzebuje swobody. Samotność unosi wprawdzie wyobraźnią, lecz nieci oraz pocieszające pomysły. Jéj to winniśmy, iż nam się czasem zdaje, że osoba przez nas opłakiwana jest obok nas, że ją widzimy, że z nią rozmawiamy. Tak to dobroczynna opatrzność umie do cierpień zastósować pociechy i w największém nieszczęściu najżywsze budzić nadzieje.

Więcéj może niżby się z razu zdawać mogło, żal sam przez się szuka pociechy. Staramy się zawsze cierpienia nasze łagodzić; różnimy się tylko w użyciu ku temu sposobów, a to w miarę mniéj lub więcéj dotykających nas ciosów. Dwie osoby postradały przyjaciela; jedna z nich porzuca miejsca w których przemieszkiwał, szuka roztargnienia i usiłuje poniekąd o nim zapomnieć; druga przeciwnie, w miejscu pozostaje i za pomocą pamiątek któremi się otacza, chciałaby go niejako do życia przywrócić.

Smierć ukochanéj osoby jest może jedynem prawdziwem nieszczęściem: jeżeli nas po wielu innych dotyka przygodach, wszystkich pamięć zaciera i daje nam uczuć, żeśmy jeszcze dotąd prawdziwego nie doznali żalu. Kiedy więc jest nieszczęście, pod którego brzemieniem uledz koniecznie musimy, niechajże przy niém jedynie ten smutny pozostanie przywiléj: w innych wszelkich przeciwnościach, powinniśmy sami w sobie znaleźć pomoc i ratunek; albo ich uniknąć, albo je mężnie znieść zawsze można.

Wielu moralistów pisało już o tém, jak należy troski i cierpienia życia uważać. Nie wdając się bynajmniéj w rozbiór zasad tylokrotnie już powtarzanych, a częstokroć mniéj do wykonania łatwych, podam tu krótki rys własnéj mojéj filozofi.

Codziennie powtarzać sobie winniśmy: nie ma stałego szczęścia na ziemi. Nie tracąc czasu, trzeba używać dozwolonych w życiu rozkoszy, bo troski i cierpienia mogą bydź tuż za nami. Niech nas wszakże bynajmniéj te nie obchodzą, co w ludzkiém tylko istną mniemaniu; inne starajmy się ile możności od siebie oddalać: a gdy im uledz wypadnie, wtedy nie zastanawiając się już wiele nad przeszłością, poddajmy się najwyższéj woli i pozbawieni szczęścia, zachowajmy ile tyle spokojności. Zdaniem mędrców, spokojność duszy ma bydź skutkiem wrodzonego usposobienia i sprzyjających okoliczności; jest ona więcéj jeszcze skutkiem dojrzałéj rozwagi. Biada temu, kto w roskoszach uśpiony, nie pomni że go smutne czekać może ocknienie. Wielkie nieszczęścia i nadzwyczajne wypadki, są wprawdzie rzadkie, lecz jakiekolwiek nas potkać mogą, zawsze będą trudne do zniesienia, jeżeli wprzód przewidziane nie były. Zastanawiajmy się niekiedy nad nieszczęściem, tak jak się zastanawiamy nad charakterem osób, z któremi żyć nam przychodzi.

Rozwaga uprzedza doświadczenie. Odbiera nieszczęściu tę postać nowości, która więcéj jeszcze przeraża. Mędrzec, przeciwności jakiéj doznający, wcześnie się już oswoił z nowém swém położeniem, ocenił cierpienia, przewidział pociechy. Jakie bądź czeka go mięszkanie, nie znajdzie on się w niém zupełnie obcy.

Słabi zapaśnicy, w niezmierzone świata rzuceni szranki, nie czekajmy, aż los w nas ugodzi; dotkliwe i trudne do zagojenia byłyby natenczas rany. Uzbrójmy się wcześnie przeciw nieszczęściu; jeżeli nas dotknie, nie zgniecie nas przynajmniéj.

Lecz pomnąc, na jakie zapasy kiedyś męztwo nasze wystawionę bydź może, niech wszakże żadna obawa obecnéj nie zachmurza nam chwili. Nic trudniejszego do miarkowania jak przezorność: gdy jéj za mało, łatwo jakiemu popaść nieszczęściu; gdy jéj za wiele, ciągle nędzne prowadziemy życie.

Jak gdyby natura, w krótkim życia naszego zawodzie, nie dość już na nas zesłała cierpień, nowe sami sobie tworzemy. Cierpienia te w przesądach i próżności ludzkiéj biorą swój początek i trudniejsze są czasem do zniesienia jak istotne nieszczęście. Nie jeden co mężnie w niebezpiecznem stawił się położeniu, nie śpi dla tego, że go na ucztę prosić zapomniano.

(Dokończenie nastąpi).

CENA PRENUMERATY

MUZEUM DOMOWEGO.

w Warszawie, W KANTORZE GŁÓWNYM w xięgarni F. S. Dmochowskiego przy ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D. oraz w innych xięgarniach i Kantorach, rocznie złp. 18. półrocznie, złp 10

na Prowincyi, W Urzędach Pocztowych i po xięgarniach, rocznie zł 24, półrocznie złp 13.

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.

PUSZCZYKI.



Puszczyk, którego naukowe nazwisko jest Strix czyli Aluco flammea, wydaje krzyk smutny i przerażający, który częstokroć rozlega się pośród cieni nocy. Za nadejściem zmroku, wylata ze szczytów wież, dzwonnic i wysokich dachów kościelnych, gdzie się przez cały dzień ukrywa. Miejsce mieszkania tego ptaka, rodzaj jego krzykul i chwila w której się ten krzyk rozlega, pod czas zupełnej ciszy i ciemności, wzbudza przestrach, w słabych i zabobonnych umysłach. Wyobrażenie cmentarza, grobu i śmierci, łączy się zawsze z wyobrażeniem tego ptaka, a jeźli przypadkiem lata nad jakim domem gdzie się chory znajduje, gmin nie omieszka czynić z tego najsmutniejszéj wróżby. Ten przesąd panował u wszystkich narodów. Wirgiliusz w Eneidzie wystawia Jędzę, która z rozkazu Jowisza na ziemię zesłana

Z obojéj strony zastęp ujrzawszy marsowy,
Nagle przybiera postać, drobnéj, smutnéj sowy,
Co wśród zgliszczów i zwalisk, ponura, milcząca,
Cichość nocy złowieszczém wołaniem roztrąca.

Pliniusz opowiada, iż w Rzymie było uroczyste oczyszczenie dla tego, że sowa zabłąkała się aż do Kapitolu. Grecy przeciwnie, czcili i szanowali tego ptaka, był on u nich godłem mądrości i poświęcili go Minerwie.

Puszczyk odróżnia się od innych sów, pięknością i rozmaitością pierza; zazwyczaj pod spodem jest żółty, z odmianą szarą i ciemną, nakrapiany białemi punktami, z wierzchu zaś biały z punktami czarnemi. Okrąg piór białych, tak delikatnych iż możnaby poczytać je za włosy, otacza jego oczy; źrenicę ma żółtą, dziób biały przy po-

czątku, ciemny przy końcu. Jego nogi białym są puchem pokryte; ma białe palce, a czarniawe pazury. Samica jest w ogólności jaśniejszego koloru. Ptak ten długi jest na trzynaście do czternastu cali, zacząwszy od końca dzioba aż do ogona. Ogon puszczyka jest biały, z pięcioma ciemnemi pasmami i krótszy od skrzydeł.

Ptak ten znajduje się w całej Europie i w innych częściach świata. Puszczyki przebywają blisko pomieszkań i czynią znaczne przysługi ludziom, niszcząc szczury, myszy i karaczany. Pewien naturalista angielski, wspomina o puszczykach, które pustoszyły gołębnik i pożerały młode gołąbki. Utrzymuje także, iż w jesieni podczas nocy, przylatują do sideł zastawionych na bekasy i kwiczoły i zabijają schwytane ptaki. Młodo złapane, dadzą się oswoić.

KUPALNOCKA
czyli
WIGILIA Sgo JANA
U WŁOŚCIAN NAD NARWIĄ.

Nie ulega żadnéj wątpliwości, że zjawiska nadzwyczajne i przerażające, we wszystkich narodach i wzbudziły w ludziach przekonanie o istnieniu złych duchów; a jakkolwiek święte skutki Chrystyanizmu, naprowadziły ród ludzki do co raz większego stopnia oświaty, jednakże w umysłach nieoświeconego gminu, pozostały mniemania o działaniu złych duchów czyli czartów, już to pod postacią upiorów, już to czarownic i czarowników. Głęboko zakorzenione przekonanie o istnieniu czarownic u mieszkańców za narwiańskich, i dziś jeszcze daje powód do wyszukiwań środków przeciw nim, i do obchodzenia różnych w tém celu uroczystości, których opisanie w krótkości: miłośnikowi zwyczajów ludu naszego, może nie będzie obojętném.

Podług mniemania Kurpiów, czarownice począwszy od dnia Sgo Jerzego, w Zielone Swiątki i Sty Jan, zrzuciwszy z siebie odzienie, biegają w nocy od wrót i drzwi obory, stajen, chlewów i t. p. w których mają zamiar zrządzić szkodę i ustrugawszy po trzasce, rzucają takowe w szkopek, a starannie zebrawszy w niego rossę znajdującą się na drodze którą bydło wraca z pola, zakopują w toż miejsce ów szkopek nad którym odmawiają dziwaczne słowa, a tém sposobem mleko krowom odbierają. Gdyby zaś nieprzewidziana przeszkoda wynikła, w tedy czarownica przyszedłszy do domu wbija klin w ścianę i pomazawszy koniec wodą z tegoż szkopka, ma z niego doić mleko jakby z krowy, co ma bydź dziełem złego ducha, który w oka mgnieniu odbiera krowom mleko i przenosi w szczelinę, w której klin się znajduje. Prócz tego, czarownice mogą zrządzić niepokój między małżenstwem, pomór bydła, niewierność kochanków i tym podobne klęski. Chcąc więc temu zapobiedz, gdy już słońce zupełnie zajdzie, gospodynie i młode dziewczęta zbierają się na łące po nad strumieniem, i rozpaliwszy ogień, patrzą czy są wszystkie: gdyby któréj nie było, tę uważają za czarownicę: lecz teraz zazwyczaj żydówkom przypisują to rzemiosło. Następnie napiwszy się wódki, młodsze dziewczęta tańcują przed ogniem, a starsze wyjąwszy z fartuchów pęczki ziół oddzielnie powiązane, z każdego po gałązce rzucają w ogień, z których wychodzący dym ma rozpędzać czary, w czasie czego śpiewają:

Niechaj ruta w ogniu trzeszczy,
Czarownica z złości wrzeszczy.
Niech bylicy gałąź pęka,
Czarownica próżno stęka.

Myśma tu przyszły z daleka,
Popalili zioła święte;
Nie zabiorą już nam mléka,
Czarownice przeklęte.

Spokojnie nam ogień świeci,
I ziołeczko każde tleje,
Oj nie pomrą nasze dzieci.
Oj nie będzie swaru w doma.

resztę zaś ziół zabierają z sobą do domów, i w każdym kącie obory, stodoły, chlewków i domu zatknąwszy, już się nie lękają złych ludzi. Zioła zaś używane najwięcéj, są te: rosiczka, płomyk, bylica biała, dziewanna, ruta, szałwia i ziele Sgo Jana.

Gdy miarkują po czasie, że się północ już zbliża, mocniejszy rozniecіwszy ogień, pozostałą gorzałkę wlewają w niego i jedna z dziewcząt bierze wianek z siedmiu powyższych ziół na umyślnie uwity i zbliżając się do strumienia, rzuca go, reszta zaś przytomnych spoglądając przy świetle ognia za płynącym, śpiewa:

Oj czego płaczesz moja dziewczyno?
Ach cóż ci za niedola.
Nie płacz że Kasiu,

Smutnaś po Jasiu;
Oj będziesz ci go miała.

Moja matulu, moja kochana,
Przygoda mi się stała.
Uwiłam wianek
Z siedmiu równianek (*)
Woda mi go zabrała.

Ach stoi Jasio, stoi kochany,
I patrzy na Kasieńkę,
Nie bój się Kasiu
Choć zczarowany,
Będziesz ci ty go miała.

Oj mam ci ja mam parę łabędzi,
Popłyną one po nie,
Ujrzysz wianuszek
A nie czepuszek,
Boć wianek nie utonie.

Łabędzie płyną, ledwie nie giną,
Bystra ich woda garnie,
Oj utraciłaś
Moja Kasieńku,
Twój wianuszeczek marnie.

Łabędzie płyną, ledwo nie giną,
Bystra ich woda niesie,
Nie masz wianeczka,
Moja Kasieczka,
Już ja cię nie pocieszę.

Łabędzie płyną, ledwie nie giną,
Wianeczka nie niosą,
Tylko rąbeczek
To na czepeczek,
Na twoje ruse włosy.

Łabędzie płyną, ledwo nie giną.
Wianeczka nie niosą,
Tylko wstążeczkę
Związać główeczkę,
I twoje ruse włosy.

O mój Jasieńku, czemuś nie przybył,
Kiedym ci kazała?
Czyś nie był doma
Czyś nie miał konia.
Czy cię oczarowała?

Byłem ja doma i miałem konia,
Żadna mnie nie czarowała,
Najmłodsza siostra
Ta niedorosła,
Oj ta mi zakazała.

Nie jedź Jasieńku, nie jedź braciszku,
Nie będzie ciebie chciała,
Już po wianuszku
I po kwiatuszku,
Na cóż ci się już zdała.

Poczém zabrawszy wianki z sobą, wracają do domów i ten wieczór nazywają Kupalnocką. Za przybyciem do domu, rzucają na dachy zabudowań łopian i bylicę, a we drzwiach mieszkania stawiają miotłę: to ma nie dopuścić czarownic. Ogólne mniemanie co do działań czarownic w noc wigilii Sgo Jana, jest to, iż każda z nich nasmarowawszy się tłuszczem z powieszonego człowieka, skoro tylko dosiędzie miotły, łopaty, lub ożoga, oknem, a najczęściéj kominem wyjeżdża na powietrze i śpieszy na kirkut czyli cmentarz żydowski, na którym szatan ma wyprawiać dla swych zwolenników ucztę, złożoną z różnego jadła i napoju, wyjąwszy chleb i sól jako używanych do różnych tajemnic religijnych.

W sam dzień Sgo Jana gospodynie zapaliwszy gromnicę idą do obory, i tam do rogów każdéj krowy przyczepiwszy wianek, robią nad nim płomieniem znak krzyża, i to jest otatnia ceremonia.

Lecz pomimo wyszukiwania tak starannego środków przeciw czarom, jednak je niekiedy i same robią, i tak, gdy kochanek porzuci oblubienicę, a ona uda się z żalem do któréj z starych gospodyń umiejącéj odmawiać uroki, i jeżli chce, by się niewierny powrócił, powinna koniecznie przynieść z sobą koszulę jego; wtenczas w sam dzień Sgo Jana wieczorem stara wróżka bierze szeroką dzieżę, sypie pod nią rozzarzone węgle, jedną część nakrywa garnkiem, pod którym siedzi kot czarny, a na drugą, uniosłszy cokolwiek dzieży sypie jęczmień trzęsąc nad nim koszulą, przy czém powtarza trzykrotnie:

Ty jęczmionku trzeszcz,
A ty kocie wrzeszcz,
A ty Jaśku przybywaj,

(*) Równianki znaczą siedem równych pęczków, z których się wieniec splata.

I to ma bydź niezawodny sposób sprowadzenia niewiernego. Jakkolwiek wieśniacy odbywają tę ceremonią dla tego, że ich ojcowie toż samo czynili dla uniknięcia mocy złego ducha, wierząc w dobre skutki, jednak nie jest to już u nich koniecznem i nie raz wtenczas tylko tém się zajmują, gdy swoboda, wolny czas od pracy i lepsze mienie, czynią ich umysły rzeźwiejszemi i i zdolnemi do wesołości. Jeżeli zadziwia kogo tak zabobonne mniemanie zakorzenione w śród gminu, niech tylko przeczyta księgi Tylkowskiego pod tytułem:Tribunale sacrum, Pamiętniki X. Modestusa Wiśniowskiego Reformata, Jerzego Woglerus Jezuity de Elementis, Jerzego Gurgel de Odio Sathanae i Historyą naturalną X. Gabryela Rączyńskiego Jezuity, a znajdzie tysiące dziwactw, które umysły ludzi poświęconych oświacie w wiekach poprzednich zajmując, spowodowały do pozostawienia foliałów, popartych świadectwami różnych pod ówczas żyjących lub oddawna zmarłych dygnitarzy.

An: B. Rad........

SOKRATES I ARYSTOFAN.

Było to święto Cybeli; miano grać sztukę Arystofana. Widzowie tłoczyli się gromadnie, a gmin swawolny wyszydzał tych, którzy mu się nie podobali z powierzchowności.

Gdy już wszyscy zasiedli na miejscach, starzec biednie ubrany i pochylony wszedł do amfiteatru i szukał miejsca gdzieby mógł usiąśdź. Szydzono sobie z jego kłopotu. Młodzi ludzie ściskali się dla zrobienia próżnego miejsca, a gdy starzec z ciężkim trudem doszedł do nich, szaleńcy rozsunęli się znowu i starzec musiał odejśdź pośród śmiechów i żartów. Tym sposobem przeszedł cały amfiteatr aż do miejsca przeznaczonego dla posłów Sparty.

Wówczas, najmłodszy z posłów podniósł się, podał rękę starcowi i posadził go na miejscu swojém, sam zaś stanął za nim. Na ten widok, jeden z Ateńczyków dał oklask. Widzowie poszli za jego przykładem, nie pomnąc, że przez to potępiają własne postępowanie.

Zaczęło się widowisko. Wolność a raczéj swawola autorów komicznych do tego stopnia dochodziła, iż maski aktorów, ich ułożenie i ubiór, zupełnie wyobrażały osoby, które chciano uczynić celem pośmiewiska ludu. Aktor jeden spuścił się z obłoków; wszyscy widzowie poznali w nim Sokratesa i wskazując na człowieka, któremu jeden z posłów spartańskich ustąpił miejsca, wołali: Sokrates! Sokrates!

Wyszydzony śmiał się razem z drugiemi, bez przymusu, bez najmniejszego wzruszenia. Arystofanes wystawił Sokratesa jako człowieka psującego obyczaje i moralność; gmin nie zdolny pojąć nauk mędrca, przyklaskiwał jego prześladowcy.



Sokrates.

Po sztuce, Sokrates wyszedł ze spokojném czołem, otoczony swemi uczniami, z których nie każden posiadał taką moc duszy. Na zakręcie ulicy spotkał się z Arystofanem, którego w tryumfie odprowadzano. Szyderca zapłonął się i chciał zejśdź na bok; lecz Sokrates poszedł prosto ku niemu, i bukietem z róż, któren trzymał w ręku, trącił go lekko.

Arystofan zdumiany cofnął się z niejakim przestrachem. —»Arystofanie, rzekł filozof z uśmiechem, uczyń tak jakem ja uczynił z twoją sztuką; dla woni, wybacz kolcom.

—»Strzeż się, zawołał jeden z przechodzących, między temi różami znajdować się może wąż jadowity.

Ten przechodzący był to Platon.

W kilkanaście lat potém, Sokrates musiał wypić truciznę, a Arystofan przechodził zadumany przez plac publiczny, gdy w tém zadrżał usłyszawszy te słowa: »Powiedziałem ci był Arystofanie, że między twemi różami może znajdować się wąż jadowity.«

Jakoż, szyderstwa Arystofana, bardzo przyczyniły się do śmierci Sokratesa.

FILOZOFIA MORALNOŚĆ.

DROGA DO SZCZĘŚCIA.

(Dokończenie.)

Aby uniknąć błahych do zmartwienia powodów, za ogólną to sobie połóżmy zasadę, iż większa nierównie część rzeczy na tym świecie, nie warta aby jéj zapragnąć. Przydać tu jeszcze można, że w sprawach, które się zdają większéj nawet wagi, nie źle jest spuścić się na los, który mniéj częstokroć zawodzi, jak wszystkie ludzkie rachuby. I w tenczas jeszcze, kiedy nam się mniéj przychylnym zdaje, nie obwiniajmy go zbyt porywczo. Widziałem pana F... w rozpaczy, że nie otrzymał ręki młodéj osoby, któréj ojciec przez śmiałe handlowe przedsięwzięcia ogromny gromadził majątek. Niezmordowana czynność, zręczne obroty i zła wiara, wszystko to razem połączone, nie mogło ocalić zebranego majątku, i pan F... podzielałby dziś nędzę zhańbionéj rodziny. Jeden nam wypadek radość przynosi, drugi o rozpacz przyprawia: przyszłość sama dopiero powie, co jest istotnie nieszczęściem.

Są atoli prawdziwe niebezpieczeństwa i nie widzę ja znowu żadnéj w tym zasługi, żeby samochcąc i przez niedbalstwo stać się ofiarą ludzi lub losu. Kiedy nam widocznie zagraża niebezpieczeństwo, zbierzmy wszystkie siły i starajmy się mężnie odwrócić je od siebie; jeżeli zaś pomimo usiłowań naszych, doznamy przeciwności; jest i w tenczas lekarstwo które sam rozum przepisuje.

O jakże to wiele ludzi nie umie dostatecznie ocenić rezygnacyi, i za słabość ją bierze! Jest ona najrzadszym może odwagi rodzajem. Człowiek ma ją sobie z natury daną, lecz niespokojne żądze, skutek nagannego wychowania, odejmują duszy jéj pierwiastkową siłę, każą nam walczyć z przeciwnościami, a nie uczą nas nigdy ile w rezygnacyi powabów znaleźć można. Ona to nie tylko że na straty nasze lekką spuszcza zasłonę, lecz przyśpieszając dzieło czasu samego, otwiera nam oczy na to, co nam w życiu dobrego jeszcze pozostało; poprzedza nadzieję tak, jak mrok jutrzenkę poprzedza.

Przez codzienne roztrząsanie głównéj jakiéj życia zasady, nadajemy co raz większą moc rozsądkowi naszemu i uczymy się z każdego korzystać położenia. Greccy filozofowie posiadali sztukę osiągnienia rzetelnego szczęścia, bo znajomość prawdziwego dobra, korzyści z podniesienia duszy wypływające, niebezpieczeństwo na jakie namiętności narażają, były zwyczajnym rozmów ich i rozmyślań przedmiotem: dla tego jedynie cierpienia życia mniéj im dokuczały, że więcéj byli do rozwagi nawykli.

Teraz pomiędzy ludźmi, jedni na tém całe swe zakładają szczęście, aby jak najwięcéj fizycznych użyć rozkoszy, i małoby się od zwierząt różnili, gdyby o tym co jedzą nie było mowy. Drudzy, z większym światła zasobem, oddają się naukom i pięknym sztukom: ci wprawdzie przez umysłową pracę wynoszą się nad gmin, lecz nie są może przeto w pomyślniejszém od niego położeniu. Gdzież są więc ci ludzie, co chcąc bydź prawdziwie ludźmi, starają się o ukształcenie własnego charakteru, o rozwinięcie w sobie zarodów umiarkowania, odwagi i rezygnacyi, tych to nieocenionych skarbów, jakiemi Wszechmocna Opatrzności ręka duszę naszą uposażyć raczyła?

Przepisy swoje zakończa autor następującém rozumowaniem:

Zamiar dziełka tego będzie osiągniony, jeżeli czytającego naprowadzi na tę myśl, że człowiek przez udoskonalenie zdolności umysłowych, może ułagodzić cierpienia i przysporzyć sobie roskoszy, a tém samém utworzyć sobie niejako szczęścia naukę. Wiem ja, że takowemu twierdzeniu przeciwią się przyjęte powszechnie między ludźmi zdania; tak ci, co zbyt surowo, jak ci, co zbyt płocho o rzeczach sądzą, równie mu będą przeciwni; niedorzeczne im się zdawać będzie to twierdzenie, i ci nawet którzy zwykle są pobłażającemi, będą jeszcze powątpiewać o dobréj piszącego wierze.

Przecież począwszy od Sokratesa aż do Franklina, zdaniem wszystkich filozofów było, że człowiek może kierować i udoskonalać umysłowe zdolności i w nauce czynić pewne postępy. A jacyż to ludzie tak myśleli? Oto ci, których za wybór rodzaju ludzkiego poczytać można. Lecz może każdy znajdował się ciągle w szczęśliwych okolicznościach, które go takową filozofią łatwo natchnąć mogły?... Przeciwnie; doznali oni wszelkich życia przygód, i jakby właśnie natura chciała wielkiemi przykłady stwierdzić tę prawdę, że szczęście nasze więcéj od nas jak od okoliczności zależy: Epiktet żył w więzach, a Marek Aureliusz na tronie.

Oddajemy hołd należny, filozofom Grecyi. Zachodzi teraz pytanie czyli sława ich polega na ich fizyce pełnej błędów lub też na ich dziecinnéj często metafizyce? Nie zaiste; zasłużyli oni sobie na poszano-

wanie wieków, stanowiąc życia prawidła, które gdyby ściśle zachowywane były, uczyniłyby nas i lepszemi i szczęśliwszemi. Sokrates tę sobie tylko wysoko cenił naukę, która do cnotliwego wieść nas może życia. Nikt mi tu nie zdoła zarzucić, że biorę jedną naukę za drugą, że Sokratesa nauka była nauką moralności, nie zaś jakąś urojoną szczęścia nauką. U Greków moralność miała cel doskonale określony, a celem tym do którego mistrze uczniów swych prowadzili, było istotnie szczęście. Takiż to jest skutek wygórowanej u nas oświaty, że nad wiadomościami które ci dawni świata mędrcy lekce sobie ważyli, my się unosiemy, a tę jedyną naukę, która im się zdawała prawdziwie człowieka godną, my za urojoną poczytujemy!

Gdyby też kto filozofom tym był powiedział, że rodu ludzkiego przeistoczyć nie potrafią, że zamiast marzenia o mądrości, o szczęściu, tak błahych przedmiotach, powinniby rzczej chwile swe godniejszym i ważniejszym poświęcić umiejętnościom, rozśmieszyłaby ich zapewne taka mowa, a jeżeliby raczyli coś na nią odpowiedzieć, w ten chyba odezwaliby się sposób: »Pisma nasze nie przerobią rodu ludzkiego; nie wykorzenimy z serca złych ludzi, ani pychy, ani chciwości, ani zawiści, lecz tyle przecież odnieść możemy chwały, iż człowieka cnotliwego utwierdzimy w jego zawodzie. Wśród burzy i nawałności, poczuje on w sobie więcej siły, widząc, że dusze nasze zgodne były z duszą jego. Jakkolwiek wpływ pisma i xiążek słabym bydź może, nie godzi się jednakże tak dalece źle o ludzkości trzymać, izby się nie mieli znaleść ludzie, którzyby z dzieł naszych korzystać nie potrafili: Mogą one świętą cnoty miłością zapalić kilku z tych, co je czytać będą w wieku, gdzie nie trudno o szlachetne i wspaniałomyślne zamiary. Mało może będzie takich, coby naukę naszą w całej jej zachowywali rozciągłości, lecz każdy niemal z czytających, winien jej będzie kilka zbawiennych i pożytecznych prawideł. Liczba uczniów naszych może nie bydź wielką, lecz będziemy ich mieli po wszystkich krajach i po wszystkie wieki.« Mogą się mylić, ale w mowie takowej nie widzę nic urojonego ani przesadzonego.

W tenczasby naukę szczęścia za urojoną poczytywać można, gdybyśmy jej przypisywali moc uprzyjemnienia, by też najgorszego w życiu położenia. Lecz jeżeli zamiast ukazywania idealnego szczęścia, ma ona z przed oczu naszych usuwać zasłonę istotnego dobra; jeżeli ma nas tylko uczyć, jak łatwych doznać rozkoszy, jak chwile cierpienia łagodzić i przemijającemi uczynić, łatwo zaiste będzie dowieść, że nauka takowa istnąć i udoskonalać się może. Komu przytrudną zdawać się będzie, ten niech raczy pomnieć, iż nie ma nauki, któraby pewnej ku nabyciu jej nie wymagała usilności. Jeżeliby ktoś znowu powszechnej chciał jej odmówić użyteczności, temu niech stanie za odpowiedź, iż we wszystkich szkołach, jedną z najwięcej upowszechnionych nauk jest wymowa, chociaż wszyscy uczniowie na mówców nie wychodzą. Im więcej się nad nauką szczęścia zastanowiemy, tem więcej uznamy, że ją do innych nauk przyrównać można; a jeżeli się od nich różni, to chyba tem, że większej nie równie jeszcze od nich jest wagi. W istocie, cenę każdej nauki należałoby zawsze ustanawiać, w miarę bliższych lub dalszych styczności, jaka między nią a tą najgłówniejszą nauką zachodzić może. Przy ocenieniu każdej umiejętności, każdego prawa, przedsięwzięcia, czynu, najzbawienniej jest zważać, jaki to wpływ na szczęście ludzi mieć może.

Jeżeli nauki moralne głębokiego na umyśle naszym nie czynią wrażenia, dwie są główne przyczyny: słabość natury naszej i złych przykładów zaraza. Lecz jest jeszcze i inna, którą przypisać można tym co uczą moralności, to jest, zbytnia w nauce ich przesada. Kiedy ołtarz mądrości na wysokich stromych wznoszą skałach, któż się o to kusić poważy, aby tej niedostępnej dosięgnął wyżyny? Po smutnej wreście kapłanów ołtarza tego postawie, dość się to już widzieć daje, że bóstwo ich, nie darzy bynajmniej słodkiem ukontentowaniem i pokrzepiającą po doznanych troskach nadzieją.

Błądzi ten bardzo, kto sobie wyobraża, że w moralności przesada może bydź pożyteczną. Wzbudza ona owszem częstokroć wstręt ku najistotniejszym prawdziwej mądrości przepisom. Jak tylko ludzie sami przez się o rzeczach sądzić poczynają, a dostrzegą, że w pewnych względach uwiedzionemi i oszukanemi zostali, zaraz jarzmo, które ich tłoczy staje się im nieznośnem, i wraz z dziwacznemi przesądami odrzucają i najzbawienniejsze prawidła. Kto chce bydź słuchanym, powinien się zawsze prawdy trzymać; dobitnie zapewne wystawiać należy nieszczęścia, które człowiek przez nadużycie właściwych mu zdolności na siebie sprowadza; lecz z równą także objawiać wypada otwartością, iż nie mniej błądzi, kiedy z tychże samych zdolności nie korzysta o ile tylko może, dla upięknienia krótkich chwil życia swojego.

Moralność, jest to słowo, którego często użyto na rozkrzewienie przesadzonych i fałszywych zasad, W miejsce tego nie do-

syć określonego wyrazu, trzebaby zaprowadzić inny, któryby lepiéj wskazywał cel, do którego zmierzać należy. Albo moralność uczy jak można zostać szczęśliwym, albo jest nauką zupełnie nie potrzebną.

Tak niezawodnie; uczyć właściwie tego potrzeba jak zostać szczęśliwym, a zbytnia w tym względzie surowość, tak co do myśli, jak do ich wysłowienia, jest zawsze naganną. Najpożyteczniejszemi rodzaju ludzkiego nauczycielami są ci, których czuła i tkliwa dusza, nie tyle nakazywać cnotę ile ją wpajać usiłuje, i których świetna i obfita wyobraźnia, umie w zachwycający sposób najmędrsze wskazywać przepisy. Najlepszą może książką moralną jest *Wikary z Wakefieldu.* Ukazać ojca rodziny wystawionego na wszelkie nieszczęścia rodzaje, zastawiającego się zawsze lub swą odwagą, lub też spokojném poddaniem się wyższemu rozporządzeniu, jest to zapewne najszczytniejszym, jaki tylko skreślić można było obrazem. Cnota i dowcip razem połączone, mogły jedynie coś podobnego utworzyć i bez wątpienia należy się pisarzowi hołd wdzięczności i uszanowania od wszystkich cnotliwych. Gdyby mi tylko jedną książkę zachować wolno było, wybrałbym niezawodnie Wikarego z Wakefieldu.

Ustaw publicznych i dobrego wychowania jest to zapewne szczególniéj dziełem, upowszechniać między ludźmi zwyczaje do szczęścia wiodące, lecz i książki mogą bydź korzystne dla człowieka wyższym obdarzonego światłem. Szczęśliwy, kto do nie wielkiéj przyjaciół liczby, pewną ilość dobrych książek dołączyć umie! kto często zdala od zgiełku świata z niemi swobodnie obcuje i co raz więcéj ztąd pokoju, odwagi i nadziei, w korzyści odnosi.

Kto twierdzi, iż niepodobna jest ani szczęśliwych chwil dla siebie przysporzyć, ani też nieszczęśliwych liczby zmniejszyć, ten nie zważa, że gdyby to nawet i prawdą było, to jeszcze i wtenczas, zasady w dziełku niniejszém objawione, miałyby swój początek. Człowieka cnotliwego ostra i zniechęcająca nauka strapi, lecz żadnego na jego obyczaje nie będzie mieć wpływu. Staraniem jego zawsze będzie co raz więcéj się doskonalić, troski i cierpienia bliżéj go dotykających osób łagodzić i wszystkich ile możności uszczęśliwiać. Tak szlachetne usiłowania nie mogą bydź zupełnie stracone: czyste chęci i szczera ku bliźnim swym przychylność, słodkim darzą duszę pokojem, i jest to najlepszy sposób zapepewnienia sobie szczęścia, myśléć o szczęściu drugich.

ERUDYCYA.

O ROZMAITYCH PRZEDMIOTACH.

Są dawne zwyczaje, których początku ciekawi jesteśmy. Chleb jest wynalazkiem Greków, późniéj przeniesionym do Rzymian. Przez długi czas w Europie mielono zboże w młynach ręcznych czyli żarnach i dopiero za czasów pierwszéj krucyaty nauczono się od Saracenów budowania wiatraków. Przez kilkanaście wieków, stawiano chleb podczas biesiady, jako potrawę, i krajano go na okrągłe kawałki. We Francyi nazywano go *pain tailloir*, a po biesiadzie rozdawano ubogim te kawałki. Już za czasów Pliniusza naturalisty, Gaulowie używali drożdzy do robienia chleba; lecz w siedemnastym wieku, lekarze uznali że ten zwyczaj szkodzi zdrowiu i powstała jawna wojna między doktorami i piekarzami. Głośny publicysta Linguet, w ostatnich czasach był jednym z najzawziętszych przeciwników chleba, a Tysot doktor, jednym z jego najgorliwszych obrońców.

Egipcyanie nie tylko bardzo cenili kalafiory, ale nawet uważali je za przedmiot czci religijnéj. Rzymianie wprowadzili je do Europy.

Brzoskwinia pochodzi z Persyi; w kraju tym uważana jest jako trucizna; w klimatach naszych straciła przez przeniesienie, szkodliwe własności i stała się bardzo przyjemnym owocem.

Za czasów krucyat, śliwki przeniesiono z Syryi. W wielu krajach Europy znajdują się śliwki zwane renklody, od imienia królowéj Klaudyny. (Reine Claude) żony króla Franciszka I.

Dawniéj zastawiano na stole króliki jako przewyborną potrawę; powiadają, że tak dalece rozmnożyły się w Hiszpanii, iż miały podkopać mury miasta Tarragony, które przez to zarwały się w wielu miejscach.

Rzymianie uważali ostrygi jako delikatną potrawę. Poeta Auzoniusz wysławiał je w rymach swoich; po nim poszły w zapomnienie, i dopiero w XVIItym wieku odzyskały wziętość.

W kraju gdzie są winnice, zlewano wino nie tylko w beczki, ale nawet w studnie wymurowane jak najtroskliwiéj. Germkowie i sługy, czerpali z nich wino we

flaszki i magierki, które nosili zawieszone przy siodle.

Cukierki służyły niegdyś do zjednania sobie względu osób, do których podawano prozbę. Ten zwyczaj wzmógł się tak dalece, iż Ludwik IXty zabronił sędziom przyjmować ich więcéj jak za 10 soldów na tydzień. Filip piękny jeszcze bardziéj ograniczył ten zwyczaj.

W dwunastym i trzynastym wieku, dobry ton wymagał, aby do biesiady zasiadały parami osoby płci rozmaitéj i dla każdéj pary dawano jeden półmisek.

U Rzymian, wnoszenie toastów przy obiedzie, należało do obrzędów religijnych; był czas gdy ten zwyczaj upowszechnił się w całéj Europie. Przed kilkudziesięciu laty, wnoszono zdrowie nie tylko wszystkich osób obecnych, ale jeszcze wujów, ciotek, kuzynów, pito na cześć pamięci nieboszczyków, tak dalece, że gość znać musiał całą genealogią osób, z któremi jadł obiad. W dziełach Krasickiego i innych obrazach obyczajów kraju naszego, znajdujemy przykłady, jak gościnność gospodarza wysilałaby się na wynajdowanie toastów, byleby tylko zmusić biesiadników do wychylania pucharów.

Starożytni uznali za rzecz potrzebną, urozmaicić biesiady przez wystawianie widowisk. Rzymianie i Grecy bawili gości swoich pantominami, a niekiedy nawet krwawą walką szermierzy i gladiatorów. Xiążęta chrześciańscy w pierwszych wiekach po Chrystusie, niezmiernie lubili patrzeć podczas biesiady na pantominy tańczące. W przerwach, minstrele i trubadurowie śpiewali swoje wiersze i przygrywali na harfie. W refektarzu zakonników i przy stole pobożnych kapłanów, czytano budujące xiążki, albo grano kościelną muzykę. Pierwszy organ zbudowano dla Karola W.

Najznamienitsze zabawy wyprawiane na dworach możnych, były to widowiska, zwane między-uczty: składały się z walk rycerzy, maryonetek i z wystawiania scenicznego ważniejszych zdarzeń. Na uczcie, którą Karol VI. dał damom dworskim, dwaj rycerze, Reynaud de Roye i Boucicaut, pędzili na koniach w około stołu i skruszyli włocznie, a po nich inni uczynili toż samo. Na biesiadzie danéj przez Karola V. w 1487 wystawiono wyprawę Godfreda de Buillon do Ziemi Swiętéj i zdobycie Jerozolimy. Podczas biesiady za Karola VI. danéj na przybycie Izabelli Bawarskiéj, wystawiono oblężenie Troi. Widać było ogromną warownię z pięcioma wieżami; kirysy i tarcze zawieszone na murze, wskazywały, iż było to miasto Troja; wieża środkowa wystawiała cytadellę Ilionu. W niejakiéj odległości widać było obszerny obraz, herby wskazywały że to są Grecy. Za tym obozem stał okręt mogący objąć stu wojowników. Forteca, obóz i okręt, poruszały się za pomocą kół ukrytych. Była wielka bitwa między Grekami a Trojanami, lecz trwała krótko: tak bowiem mocny był ścisk i gorąco iż wiele osób uduszono lub zraniono.

Dwór xiążąt Burgundzkich, lubił niezmiernie widowiska automatów i zwierząt. Podczas uroczystości wydanéj z powodu zaślubin Karola Śmiałego z Xiężną Małgorzatą angielską, były trzy między uczty. Wielki jednorożec (zwierz bajeczny) wjechał najprzód, niosąc lamparta na grzbiecie. W jednéj łapie lampart trzymał herby Anglii, a w drugiéj stokroć: zastósowanie do imienia xiężniczki (stokroć; po francuzku *Marguerite.*)

W dawnych wiekach miano zwyczaj pić wino i jeść jaja na początku biesiady, dla wzmocnienia żołądka. Zwyczajny obiad Karola W. składał się z czterech potraw i zwierzyny na pieczyste.

Jadano dawniey na drewnianych stołach bez nakrycia, lecz były wygładzone. Późniéj okrywano je skórą a nareście obrusami. Aż do końca czternastego wieku, serwety nie były upowszechnione w średnich stanach; pierwsze serwety zrobiono w Rheims i to miasto podarowało królowi bardzo kosztowny obrus. Z wielką uroczystością rozcinano obrus przed rycerzem, który zasłużył na niełaskę i przewracano jego talerz. Rycerz musiał wtedy zmyć tę zniewagę i dowieśdź że go skrzywdzono.

UWIADOMIENIE.

Z następnym numerem skończy się pierwsze półrocze Muzeum Domowego z 1836. Uprasza się półrocznych prenumeratorów o wczesny zapis.

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.

GOETHE.



W roku 1832, zeszło z tego świata kilku znamienitych pisarzy i uczonych. Francya straciła Cuviera, Anglia Waltera-Skotta, a Niemcy dostojnego patryarchę ich literatury, Jana Wolfganga Goethe. Tego to męża wyobrażenie, stawiamy przed oczyma czytelników, a gdy zakres pisma nie dozwala wchodzić w rozbiór tak licznych prac jego, gdy spokojne i błogie życie Goetego, w krótkich słowach opowiedzieć można, skréślimy zarys rozwijania się jego pomysłów i prac naukowych, po większej części wyjęty z jego własnych pamiętników.

Jan Wolfang de Goethe, urodził się w Frankfurcie nad Menem 28 Sierpnia 1749. Ojciec jego, dawny prawnik, spokrewniony z najznaczniejszemi familiami w mieście, wiódł życie dosyć oddalone od spraw publicznych. Postrzegłszy wkrótce zaród wyższego rzędu zdolności w synu swoim, przyłożył się jak najusilniej do ich rozwinięcia.

Nie będziemy trudzić czytelników, wykazaniem postępów Goethego w początkowych naukach: lecz przytoczymy kilka anegdot, które sam w pamiętnikach swoich zachował. Albowiem, chociaż często zwieśdź

się można szukając w okolicznościach dotyczących się pierwszych lat znakomitego męża, źródła jego dzieł wielkich i pięknych; są jednakże znamienne wypadki, którym przyznać musimy, że zostają w związku z dalszém przeznaczeniem człowieka. Do takich to zdarzeń należy następujące. Goethe miał naówczas sześć lat dopiero. Opowiada je po najpierwszych swoich rozmyślaniach o naturze Boga i czci jemu należnéj. »Nie mogąc sobie wyobrazić Najwyższego Jestestwa, szukałem go w dziełach jego, i za przykładem patryarchów chciałem mu ołtarz wystawić. Niektóre płody przyrodzenia miały mi posłużyć do wyobrażenia świata, a zapalony płomień mógł wyobrażać duszę człowieka podnoszącą się do swego Twórcy. Wybrałem w tym celu rozmaite przedmioty z historyi naturalnéj, które miałem pod ręką. Za ołtarz posłużył mi pulpit od muzyki, przeznaczony do grywania kwartetów, a nie używany od dawna. Wziąłem go, poustawiałem na nim, jedne nad drugiemi, wszystkie moje przedmioty z historyi naturalnéj w wyraźnym i odznaczającym się porządku. O wschodzie słońca chciałem dopełnić mego pierwszego aktu uczczenia, lecz nie wiedziałem jeszcze jak otrzymać mój symboliczny płomień, który powinien był zarazem przyjemną woń wydawać. Nareście dopełniłem tych dwóch warunków. Posiadałem małe ziarna kadzidła; przygotowałem wszystko, a słońce weszło już od niejakiego czasu. Lecz domy sąsiedzkie nie dopuszczały aż do mnie jego promieni, i dopiero po długiém oczekiwaniu, za pomocą szkła palącego, zapaliłem moje kadzidło pięknie ułożone na miseczce porcelanowéj. Ta upragniona chwila przyszła nareście, spełniłem ofiarę, zadosyć uczyniłem pobożności mojéj, i odtąd ołtarz ten stał się główną ozdobą mego pokoju.«

Zaiste, osobliwszy to jest pomysł u dziecięcia w tym wieku, a jeszcze osobliwsza wytrwałość w przywiedzeniu go do skutku. Że usiłował pod materyalną formą wystawić sobie tę nieskończoną istotę, o któréj mu nieustannie mówiono, jest to zamysł, który może nie jeden z nas powziął w dzieciństwie: lecz że chciał oddawać zewnętrzną cześć bóstwu, które sobie utworzył i na to wynalazł godła tak jasne, tak trafne, tak poetyczne; jest to owoc za nazbyt mocnéj wyobraźni, abyśmy w nim nie poznali autora Egmonta. Nadprzyrodzony płomień który okazał się nagle nad głową Askaniusza, nie był pewniejszą przepowiednią wielkości.

Od dzieciństwa, przy takiéj zdolności umysłu, wszystkie przymioty czyniły na nim głębokie i mocne wrażenie. Zrodzony w jednym z najstarożytniejszych miast niemieckich, w jednym z najdawniejszych jego domów, przejmując się czytaniem najstarszych kronik, powziął upodobanie w historyi.»Lubiłem, mówi, badać rysy ludów, bez innéj pobudki prócz rozmaitości i prawdy obyczajów, bez względu na ich ważność lub piękność moralną.«—Oddany do szkół po śmierci swojéj babki, w chwilach wolnych od nauk, zwiedzał z kilku towarzyszami, wały i przechadzki Frankfortu. Ciasne i ciemne ulice dawnego obwodu, wieże zaczernione przeciągiem lat, stare bramy, miały w jego oczach największy powab. Lubił spoglądać na te budowy gotyckie, wzniesione w epoce zaburzeń i trwogi, gdy miasta były tylko warowniami i miejscem przytułku. A gdy niemi pasł swoje oczy, historya starożytności narodowych któréj się uczył, zarazem przybierała nieznacznie w jego umyśle, byt, rzeczywistość i życie, któréjby nie miała gdyby był na samych xiążkach poprzestał.

Babka jego podarowała mu teatrzyk maryonetek. Zdarzenie to umieścił w pierwszych rozdziałach swego romansu Wilhelm Meister, w którym je przytacza jako jedną z przyczyn skłaniających bohatera tego romansu, iż zostaje aktorem.

Wśród tych spokojnych nauk i zabaw, sroga wówczas choroba, ospa, dotknęła Goethego i po długiéj słabości wzmocniła w nim upodobanie w życiu samotném i skłonność do smutku. Wojna siedmioletnia, stała się powodem poróżnień w wielu rodzinach, których członkowie, jedni trzymali stronę Maryi Teressy, a drudzy Fryderyka W.; toż zaszło w familii Goethego. »Okoliczność ta, mówi Goethe, wzbudziła we mnie obojętność lub raczéj pogardę sądu publicznego; chorobę moralną, z któréj w długi czas potém uleczyło mię doświadczenie i rozwaga.«

Wojna siedmioletnia, jeszcze bliższy wpływ miała na niego, z powodu wejścia do Frankfurtu wojsk francuzkich. Jeden z wyższych oficerów tego korpusu, hrabia Thorane, człowiek bardzo światły, stanął w domu rodziców Goethego, polubił młodego ich syna, i oswoił go z arcy-dziełami literatury swego narodu. Uczęszczając na teatr francuzki, znajdujący się w Frankfurcie, zaznajomił się Goethe z rówiennikiem swoim, należącym do grona artystów, który go po swojemu nauczył reguł dramatycznych.

Pobyt hrabiego Thorane w domu rodziców Goethego, przerwał był porządek nauk: po jego oddaleniu się, ojciec żądał od dzieci, aby wynagrodziły to opóźnienie. Przyszło wtenczas Goethemu na myśl, u-

kładać lekcye w kształcie korrespondencyi między dwoma uczniami, podróżującemi w rozmaitych krajach i zdającemi sobie sprawę z swoich prac i podróży. Chcąc wprowadzić do tej korrespondencyi żyda niemieckiego z jego zepsutym dyalektem, nauczył się po hebrajsku. Nauka ta, przywiodła go do poznania starego testamentu; a ponieważ uważał wszystko ze strony poetycznej, powziął namiętne upodobanie w historyach opowiadanych w tej xiędze stylem tak prostym i szczytnym. Historya Józefa niezmiernie go uderzyła i uczuł potrzebę rozwinięcia i wystawienia wszystkich jej okoliczności.—»Użyłem do dzieła tego prozy poetycznej i z zapałem wziąłem się do pracy, usiłując odmalować czysto główne charaktery i nadać tej prostej powieści, przez ustępy, znamię wielkiej epopei. Zapomniałem o tém, co młodzież zawsze zapomina, że takowe dzieło powinno mieć właściwą barwę i że aby ją uchwycić, długiego doświadczenia potrzeba. Nareście, źle czy dobrze, skończyłem mój romans biblijno-poetyczny.

Ojciec nie przyganiał tym pracom dokonanym w chwilach wolnych od nauki. Lecz gdy już dochodził do czternastego roku, zamierzając sobie ukształcić go na biegłego prawnika, zniewolił go do porzucenia poezyi i zamiast starego testamentu dał mu ręki *Corpus Juris.*

Nie bardzo zajmujące czytanie tego dzieła, nauka pierwszych zasad umiejętności przyrodzonych i mechanicznych, nareszcie lekcye fechtowania się i jeżdżenia na koniu, zajmowały wszystkie jego chwile. Lecz mimo tak licznych zatrudnień, wracał niekiedy do historyi starożytności miasta Frankfurtu.—»Jak dawniej, mówi, lubiłem średnie wieki, chwile niespokojności, gdy każdy będąc uzbrojony przeciw wszystkim, mógł swobodnie osobistą dzielność rozwijać.«

Pragnąc wszystko widzieć i wszystko poznać, często zwiedzał nie tylko ulice miasta, lecz i wnętrza domów. Część miasta zamieszkana przez żydów, była głównym celem jego odwiedzin.

Przyjaciele ojca Goetego, usiłowali odwieśdź młodzieńca od poezyi i autorstwa. »Lecz, mówi, czułem że mię przejmuje żądza wsławienia się czém nadzwyczajném, i to, pierwej jeszcze, nim wiedziałem do jakiego szczególnego celu zwrócę moje usiłowania. Zazwyczaj, goręcéj pragniemy otrzymać uwodzącą nas nagrodę, aniżeli pracą nabydź sposoby do jéj pozyskania. Dla czegóżbym taił, że w marzeniach szczęścia i chwały, najwięcéj przed mojemi oczyma miał wdzięku, obraz lauru przeznaczonego dla poety?«

Pełen tej żądzy, pisał wiersze w chwilach wolnych od pracy; — niewinne to zatrudnienie zaledwie mu zgubném nie było. Kilku z roztrzepanej młodzieży, chcąc się zabawić cudzym kosztem, prosiło Goethego aby im dopomógł. — Przystał na to; a pierwsze te związki dość nie stosowne, wciągnęły go w dalsze. — Nieznacznie wmieszał się między ludzi podejrzanych, nawet po większej części przekonanych o szalbierstwa, a zbiegiem okoliczności których tu nie potrzeba wyliczać, poczytany został za ich wspólnika. Oskarżenie to nie miało ważnych dla niego skutków, lecz wielu jego przyjaciół narażonych było, a lubo nie chciał ich obwiniać zeznaniami swojemi, jednakże i w tym co musiał powiedzieć dla usprawiedliwienia swojego, obawiał się, aby przeciwko nim broni nie znaleziono. Ich więc ukaranie dwukrotnie przykre mu było.

Lecz w tém zdarzeniu, jeszcze większym smutkiem przejęło go to, że musiał na zawsze zerwać związek z młodą dziewczyną, imieniem Małgorzatą. Związek ten, czysty, jak wszelkie w tej dobie życia zawarte, stopniami przybrał znamiona prawdziwej namiętności, przynajmniej w Goethem. W pamiętnikach jego czytać trzeba opisanie godzin, które codziennie przy niej przepędzał; jest to zachwycający obraz upojenia i świeżości pierwszego kochania.

Tęż samą dziewczynę odmalował późniéj w obrazie kochanki Fausta.

Można więc sobie wystawić, co wycierpiał, dowiedziawszy się, że poszukiwania zwrócone zostały przeciw rodzicom kochanej jego Małgorzaty, i że ją samą wmieszano do sprawy. Przyaresztowany w mieszkaniu swojém, nie mając innych wiadomości, prócz tych których udzielić mu chciano, z nieustannej niespokojności zachorował. Gdy zaczął przychodzić do zdrowia, jeden z przyjaciół opowiedział mu los jego towarzyszów, a gdy Goethe zniewalał go do objawienia mu co się stało z Małgorzatą: »Uspokój się, rzekł, ta dziewczyna dowiodła swojej niewinności. —»Cóż zeznała? co podpisała? —»Ponieważ chcesz koniecznie wiedzieć, gdy ją zapytano o jéj związkach z tobą: —»Nie mogę zaprzeczyć, odpowiedziała tonem pełnym szczerości, żem go często i z upodobaniem widywała, lecz zawsze miałam go za dziecko.»

»Myśl ta, że Małgorzata miała mnie za dziecko, zupełnie mnie wywiodła z uroku. Mniemałem żem się uleczył z mojego przywiązania do niej; lecz spokojność daleka była odemnie: — jéj ukochany obraz zbyt często odnawiał się w mojéj pamięci...

»Obszerniej wspomniałem o tej przygodzie, ponieważ jest ważną w piętnastym

roku życia; — stanowi wówczas epokę: jest to promień, który przedzierając się do umysłu młodzieńca, oświeca po raz pierwszy pomieszany aż dotąd zbiór rzeczy, które w nim od dzieciństwa mechaniczna pamięć nagromadziła.»

Można sobie wyobrazić co się działo w umyśle Goethego, gdy znikło to lube omamienie. Pocieszył się nareście; a rodzaj pracy, jaką obrał aby tego dokazać, oznacza zarazem spokojną i usilną stałość, która w nim zawsze się z najgorętszém sercem łączyła, i tę siłę rozwagi, pod której wodzą ciągle zostawała jego tak żywa wyobraźnia.

Goethe zaczął wtenczas piętnasty rok życia, a chwila jego udania się do uniwersytetu, nie była daleką. — Lecz po tak gwałtownéın wstrząśnieniu, wszystko zdawało mu się ponurém i zmartwiałém; nic go nie zajmowało, nic nie zwracało jego uwagi. Szczęściem, że przyjaciel, który go był doglądał w chorobie, i czuwał nad nim, posiadał zdrowy rozsądek i gruntowną naukę. Przebiegając wszystkie umiejętności, wynalazł jednę, zupełnie nową dla Goethego, i mogącą silnie go zająć; była to filozofia, w której prócz tego, ten przyjaciel szczególne miał upodobanie. Zaraz chciał go jednego systematu nauczać; lecz widząc że uczeń nie bardzo się nim zajmuje, musiał dogmatyzm dla historyi porzucić. Czytali więc razem Bruckera, i Goethe mocno się jego historyą zajął, ponieważ każde zdanie, każden systemat był w jego oczach równie dobry jak inne. Tym sposobem objawiała się w nim skłonność do sceptycyzmu, która tak ponurą barwą pierwsze dzieła jego okrywszy, zamieniła się po tém w spokojną obojętność, i była przyczyną zadziwiającéj rozmaitości, a może nawet zwykłéj oziębłości następnych jego utworów. Znudzony okręgiem, w którym był prawie uwięziony, i mniemając że zdala od ojca będzie mógł bez przymusu zająć się poetyckiemi pracami, Goethe co raz bardziéj utęskniał za chwilą swego odjazdu. Życzył sobie udać się do Goettyngi, gdzie byli professorowie Heyne i Michaelis; lecz wola rodzicielska inaczéj postanowiła, i musiał udać do się Lipska.

Wkrótce postradał urok jaki go był przynęcał. Zamiast zajmujących kursów, znalazł tylko same nudne powtarzania rzeczy, które już umiał na pamięć; zamiast zachęty, znalazł w professorach surowość. Wszystkie utwory poetyckie które uwielbiał, oni gorzko potępiali, a nie wskazywali mu innych wzorów. Jego wiersze wydały się bydź złe każdemu komu je tylko przeczytał; sam nareście poszedł za ich zdaniem: związał w pęk wszystkie swoje rękopisma, «a po tém, mówi, prozę, poezyą, plany, zarysy, wszystko to rzuciłem w komin. Dym który z nich powstał, napełniając dom, przestraszył naszą gospodynię. Taki los spotkał pierwsze usiłowania mego geniuszu.»

Bez wątpienia, pobyt Goethego w uniwersytecie lipskim, podał mu przedmiot scęny ucznia i Mefistofelesa w Fauście. Następująca uwaga co do słowa znajduje się w rozmowie tego szatana o metafizyce:— »Poznałem wkrótce że filozofia niczego mię nowego nie naucza. Dziwno mi było, naprzykład, że loika zmuszała mię do składania i rozkładania tych działań umysłu, które od dzieciństwa z największą łatwością wykonywałem.»

Jakkolwiek takowy zawód goryczą go przejął, nie pognębił go wcale, a nawet był mu korzystnym. Człowiek słaby zbłądzi bez przewodnika, lecz kto w sobie samym źródło zasiłków znajduje, zyska na tém że go mieć nie będzie. Zamiast puszczania się ubitą drogą, musi wynajdywać nowe. W takiéj to okoliczności znajdował się Goethe, i przed nią się nie chronił.

Radzca Boehme, professor historyi i prawa publicznego, sławny Gellert i wielu innych, od których spodziewał się lub zachęcenia albo przynajmniéj rad użytecznych i skazówki, ganili to wszystko co on uwielbiał, i odwracali go od wszystkiego co sobie był zamierzył. Znudzony wreście tylą sprzecznościami, powiększającemi się jeszcze przez rozmowy ludzi światowych, (gdyż zupełna wątpliwość panowała wówczas co do przedmiotów gustu w całych Niemczech) postanowił wreście sam siebie przed wszystkiemi radzić się i działać jak można najlepiéj, nie dbając o publiczność. I to odosobnienie, szacowne dla takiego jak on umysłu, na zawsze zachował, różniąc się od tych ludzi, którzy zdanie swoje zupełnie do zdania drugich stosują i o których można powiedzieć, że postępują nie tak podług znajomości świata, jako raczéj na wzór swoich znajomych.

»Moje dzieciństwo i młodość łączyły się z epoką naszéj rozwiązłości literackiéj. Przez ten czas pracowałem z ciągłą gorliwością, w towarzystwie wielu zasłużonych ludzi. Znaczna ilość rękopismów pozostałych w domu ojcowskim, zaświadczała o mojéj pracy. Spaliłem, zniechęcony raczéj niżeli przekonany o ich słabości, mnóstwo prób, planów i pism już do połowy wykonanych. Rozmowy, prelekcye, spór tak różnych mniemań, a zwłaszcza zdanie jednego z naszych biesiadników, radcy Pfeila, nauczyło mnie dwie rzeczy przede-

wszystkiemi cenić: — 1) ważność i interes przedmiotu — 2) zwięzłość stylu. Lecz nie wiedziałem jak wynaleźć te przedmioty, jak téj zwięzłości dostąpić. Szczupły zakres mego istnienia, obojętność moich towarzyszów, niedokładność nauczycieli, zupełna nicość okolicznéj natury, wszystko to zmuszało mnie do szukania zasiłków w sobie samym. Jeźli do moich poetyckich utworów chciałem znaleźć jakie prawdziwe natchnienie, jakie głębokie uczucie, jaką myśl trafną i wydatną, — w mojém sercu czerpać je musiałem; jeźlim do moich obrazów potrzebował naocznych przedmiotów i zdarzeń — nie przestępowałem za obręb tych, które mnie bezpośrednio zająć mogły. Tym to sposobem zacząłem pisać małe poezye w wierszach wolnych, lub też w kształcie lirycznym. Tworzyło je chwilowe zastanowienie się lub doznane uczucie. Tak więc poszedłem tą drogą, z któréj przez całe życie moje zboczyć nie mogłem; nazwyczaiłem się opisywać, oddawać wierszem to co mnie mocno zajęto, co mi żywą radość lub przykrość sprawiło.»

(Dalszy ciąg nastąpi.) 215

ZABOBONY SZKOTÓW.

Szkocya jest uprzywilejowaną ziemią romansów i zabobonów poetycznych, tam kwitnęła wiara w wzrok duszy, w upiory, w czarowniki i w powieści, które chociaż nie opierają się na żadnéj rozsądnéj podstawie, jednakże miłe są i zajmujące. Wiadomo ile skarbów wydobył Walter-Skott z téj bogatéj kopalni, i w rzeczy samej, jakież pomysły najbogatszego geniuszu przewyższyćby zdołały zmyślenia będące utworem gminnéj wyobraźni? Sam nawet Homer cóż uczynił? oto zebrał zabobony upowszechnione za jego czasów i ubarwił je kolorytem poezyi. Między bajkami Szkocyi, bardzo wiele jest takich, które mogą wzniecić ciekawość i podobać się miłośnikom cudowności, tyle, ile bajki Greków. Lud Szkocyi wierzy w istnienie pewnego rodzaju pośrednich duchów, znajdujących się w powietrzu i wodzie. Ich władzy przypisuje wezbranie wód, wichry, i wszystkie zjawiska, których sobie wytłomaczyć nie zdoła. Przypuszcza, że te duchy mieszają się do spraw człowieka, czasem szkodzą, czasem dopomagają. Do Do szkodliwych duchów należą *kobiety zielone*, które pewnego razu pokazały się dwom myśliwym, spoczywającym w chacie po całodziennych trudach.

Zdarzyło się to w głębokiéj dolinie. Noc była ciemna a niebo grubemi chmurami pokryte. Dwaj myśliwi byli młodzi, chata dobrze opatrzona; a grube i suche szczapy paliły się na ognisku. Już do połowy wypróżnili spore flaszki, a nie lękając się ani samotności ani cieni nocy, śpiewali aż do północy. Trunek już zaczął ćmić ich rozum.

Mamy, rzekł jeden z nich, wesołe piosenki i dobry trunek, jeszcze brakuje nam trzeciéj uciechy. —»Prawdę mówisz odpowiedział drugi, czemuż w téj chwili nie siedzą przy nas dwie dziewczyny góralki, nie bawią się i nie śpiewają z nami!

Natychmiast, jak gdyby przywodząc do skutku to życzenie, wdzięczne głosy dały się słyszeć w niejakiéj odległości od chaty; lekki ten szmer wzmagał się powoli i stąpanie odbiło się na murawie. Z lekka zapukano do drzwi, które otworzyły się same. Dwie dziewczyny weszły śpiewając i tańcząc: miały na sobie suknie zielone z najpiękniejszego jedwabiu i jaśniały najżywszym blaskiem piękności. Ale zkądże przyszły? Jakim sposobem? w jakim celu? Dwaj myśliwi ledwie oddychać mogli i zapytywali się wzajem jeden drugiego, zkąd się wzięły te piękne nieznajome. Nareście jeden z nich schwycił piękną dziewczynę w objęcia swoje; ona wyrwała się bez gniewu, wybiegła z chaty i znikła w cieniu. Myśliwy poszedł za nią.

—»Zobaczmy dokąd poszli, rzekła druga dziewczyna. —»Nie, odpowiedział drugi myśliwy: jest ciemno, zostańmy tutaj.

Młoda dziewczyna usiłowała wszelkiemi podejściami zalotności, wyprowadzić go z domu, lecz tak była niecierpliwa, jéj oczy tak się iskrzyły, iż strzelec zaczynał mieć podejrzenie iż to musi bydź jakaś nadprzyrodzona istota.

Poczekajmy za moim przyjacielem, rzekł. —»Będzie za późno; muszę odejśdź natychmiast; pójdź, daj mi rękę.—»Zaczekaj; powiedz mi wprzódy... Ale słuchaj...

Krzyk powstał w niejakiéj odległości; był to głos jego towarzysza. Piękna nieznajoma zaczęła śpiewać co raz głośniéj, jak gdyby dla przytłumienia tego złowieszczego krzyku. Przestraszony strzelec poznał wówczas zasadzkę, i wezwał opieki Boga Rodzicy. Im gorliwiéj odmawiał strofy pieśni *Salve Regina*, tém bardziéj słabiały dźwięki tajemniczéj dziewczyny, tém bardziéj nikła jéj piękność. Jednakże, za każdą zwrotką świętéj pieśni, ponawiała śpiewanie, a gdy weszła zorza poranna, myśliwy już był na pół umarły z trudu i wycieńczenia. To szczęście, że za ostatnim znakiem Krzyża Sgo, czarodziéjka znikła i ustały jéj zgubne śpiewy.

Gdy słońce przedarło się przez chmury, myśliwiec poszedł szukać swojego to-



KAPLICA W ROSLYN.

warzysza, a znalazłszy jego pokaleczone zwłoki, okropnością przejęty uciekł z téj nieszczęsnéj doliny, dziękując niebu, że go ochroniło od sideł *kobiet zielonych*.

Wróżki Szkocyi nie zawsze są złośliwe. Opowiadają, że nie jedna z nich porzuciła swoje nieznane mieszkanie, aby pocieszać niewinnie prześladowane dziewczyny. Jedna z nich zaprzyjaźniła się z ładną Kilmenią, zwaną różą hrabstwa Pertu. Kilmenia codziennie zbierała torf potrzebny na opał domowy, gdy tymczasem jéj bracia zepsuci niesłuszną przychylnością matki, przepędzali czas na próżnowaniu lub na łowach. Dobra wróżka chcąc ulżyć pracy swojéj przyjaciołce, czekała na nią co rano przy wnijściu do *turhamu*, czyli małego czarownego wzgórza, gdzie było jéj mieszkanie. Kilmenia zapukała w skałę trzy razy, a przez mały otwór pokazywała się rączką, trzymająca nożyk. Tym nożykiem Kilmenia wykrawała w przeciągu kilku minut tyle torfu, ile jéj było potrzeba. Skończywszy pracę, pukała dwa razy w skałę, a mała ręka pokazywała się znowu i odbierała nożyk.

Tak to, łatwowierna Szkocya zaludniła nadprzyrodzonemi istotami swoje samotne doliny i góry. W kraju tym, prawie do każdego pomnika przywiązuje się jakaś cudowna legenda; taką jest między innemi ciekawa kaplica w Roslyn, któréj wspaniałość wzbudza podziwienie a razem i żal, że tylko jest na pół ukończona. Kaplica Roslynu jest kształtu równoległoboku, prawie dwa razy dłuższa niżeli szer-

sza; architektura jéj łączy w sobie styl XIII XIV i XV wieku.

Kolumna pokryta bluszczem, którą łatwo można rozpoznać na rycinie naszéj, jest widocznym przykładem téj dziwaczności w budowie, chociaż piękność liści zasługuje na uwagę. Podanie mówi, iż rzeźbiarz przypominając sobie, że podobną kolumnę widział był w Rzymie, udał się do tego miasta dla wzięcia kopii. Za powrotem ujrzał, iż jeden z uczniów podczas jego nieobecności, zrobił kolumnę. Doskonałość i bogactwo roboty, zapaliły zazdrość mistrza tak dalece, iż uderzeniem młota, na miejscu zabił młodzieńca. Na pamiątkę tak smutnego wypadku, kolumnę nazwano *filarem ucznia*. Dwie głowy wyrobione w rogu sklepienia, uważane są jako wierne postaci gniewliwego rzeźbiarza i jego ofiary.

Założenie kaplicy Roslynu opowiadają następującym sposobem. Wiliam Saint-Clair, jeden z możnowładzców Szkocyi, razem xiąże, baron, lord, admirał i namiestnik Szkocyi, polując w bagnach Roslynu z królem Robertem Bruce, założył się o głowę swoją, że jego psy Help i Hold schwytają białego daniela wprzódy nim dobiegnie do naznaczonego miejsca. Zwierz uciekał niezmiernie szybko i nie roztropny strzelec postrzegł że już dobiega do strumienia, któren gdy przeskoczy, będzie wolnym od pogoni. Wówczas, przestraszony Saint-Clair ślubował założenie kaplicy Stéj Katarzyny, jeżeli uniknie tak wielkiego niebezpieczeństwa. W téj właśnie chwili, Help dognał danjela, ale biedny pies źle wynagrodzony został, gdyż pan jego zgniótł go nogą, aby na przyszłość nie narażał go na tak niebezpieczne koleje. Wyrobione postaci psa i człowieka, na posadzce kaplicy, mają wskazywać grób tego zuchwałego i niewdzięcznego myśliwca.

Inne podanie utrzymuje, że gdy jaki pan Roslynu ma umrzéć, kaplica okazuje się cała w płomieniach.

Z resztą, lud szkocki ma najdziwaczniejsze wyobrażenia o umarłych. Dusza nie opuszcza izby, w któréj się rozłączyła z ciałem, aż dopiero po skończonym pogrzebie. Unosi się nad katafalkiem, a jeżeli ją zaklną pewnym tajemniczym sposobem, może na chwilę ożywić ciało i opowiedzieć przyczynę śmierci. Dusza nie jest sama w izbie, wszystkie dusze znajome dotrzymują jéj towarzystwa, aż do chwili pogrzebu. Zwyczaj nakazuje otorzyć drzwi izby w któréj leży ciało, albo je zupełnie zamknąć; gdyby tylko były na pół zamknięte, pierwsza osoba wchodząca do izby, ujrzałaby ciało siedzące na łóżku.

MOROWE POWIETRZE NA POKŁADZIE OKRĘTU.

Była pogoda, przezroczyste obłoki przesuwały się czasem po błękicie nieba, okręt *le Glorieux* nazajutrz o świcie miał podnieść kotwicę, gdyż od dnia wczorajszego dął wiatr pomyślny. Płynął na morze południowe; podróż miała bydź długa; pożegnanie długo trwało. W przejrzystych i spokojnych wodach Tagu, odbijał się okręt oświecony zewsząd na rozkaz oficerów, którzy tego wieczora wyprawili ucztę swoim współziomkom zamieszkałym w Lizbonie: była to świetna zabawa, przy któréj zapominano o smutku, oddając się nadziei.

Nic bardziéj nie zgadza się w tak malowniczy i zachwycający sposób, z głośną i ochoczą radością, jak widok wojennego statku przybranego z całym wytworem: i w rzeczy saméj, okręt le Glorieux rozwinął w tym razie wszelkie zasoby swéj sztuki.

Nad przednim pokładem, rozciągnięty był namiot różowy, pięknie odbijający się od światła tysiąca lamp, zawieszonych w girlandy, u lin i drągów okrętowych. Ale w oczach majtków, którzy wdrapawszy się na tylny maszt, albo oparci wzdłuż strzelnic, przypatrywali się, z części najmniéj oświeconéj, ochoczemu gronu oficerów i dam, była to jakaś wiejska zabawa na zaczarowanéj wyspie, jakieś fantastyczne widzenie, unoszące się nad rzeczywistém życiem. Wszystko na pozór było szczęściem, radością, zachwyceniem, i widząc taniec tych żeglarzy, niktby nie pomyślał, że za dwadzieścia cztery godzin, już będzie między niemi a ich pięknemi tancerkami, przestrzeń, nie przebyta nawet dla oczu kochanków: żaden z nich bowiem nie wspomniał sobie, że nazajutrz zgiąć będzie musiał do ciężkich obrotów żeglarskich, swe członki, tak miękko zgadzające się z taktem muzyki.

Lecz pośród tego zgromadzenia, było dwoje osób, których oblicza dziwaczną tworzyły sprzeczność: albowiem cierpienia moralne, tak nagle przechodzą na twarz, jak krew z serca do głowy: a przy mnogich światłach, tém mocniéj odbijała się bladość ich liców. W rysach młodego człowieka widać było ślady głębokiego zmartwienia, które poskramiała mocna wola. Na twarzy kobiety malowała się ta boleść bez przymusu, którą tylko sama płeć niewiast zdoła znosić z anielską rezygnacyą.

Był to Juliusz i Irma L. zaślubieni przed kilkoma dniami. Juliusz miał popłynąć do Brazylii. Nie będę opowiadał dla czego rozłączali się tak wcześnie; było to jedno

z tych zdarzeń, które częstokroć zmieniają bieg przeznaczenia człowieka.

Raz tylko tańczyli, ale razem; potém usunąwszy się do tylnéj część pokładu, odwrócili oczy od zgromadzenia i zdaleka spoglądali na ziemię, która wydawała się jak żałobna osłona, za oświeconym okrętem.

Juliusz jednoczył z głęboką czułością, niesłychaną moc duszy. Nazajutrz już był daleko na morzu, a majtkowie uprzątnęli wszelkie szczątki zabawy. Zamiast dźwięków muzyki, rozlegał się lekki szum bałwanów, a Juliusz stracił z oczu tę ziemię, którą wczoraj jeszcze widział za sobą.

Drugiego dnia podróży uderzył go widok młodego majtka, chodzącego na pokładzie, z twarzą sinéj bladości, niepodobnéj do opisania. Zawołał go, zapytał się czy jest chory, a powodowany współczuciem litości, radził mu zniśdź i położyć się do łóżka. Majtek nie zważał na tę przestrogę i na chwilę silniejszy od choroby, wlazł na maszt dla zwinięcia żagłów, ale w chwili gdy pzyklękał na reju, zemdlał, a przesunąwszy się między liny i żagle, ciężko spadł na pokład. Juliusz pobiegł do niego i podniósł go; biedak już nie żył, a jego rysy wyglądały jak rysy trupa od kilku dni zmarłego.

Mimo tego, zapisano w dzienniku okrętowym, że ten młody majtek zabił się spadłszy z masztu. Lecz nie było ani wzmianki o chorobie i tylko czémprędzéj rzucono ciało w morze, zapewne bojąc się aby *przypadek* nie zamienił się w *epidemiczną chorobę*. Daremnie Juliusz zwracał uwagę na tak nagłe zepsucie się trupa, nie słuchano go wcale.

Nazajutrz, kilku z osady okrętowéj zachorowało, a za dwadzieścia cztery godzin, co raz więcej zaczęło chorować i umierać. Wówczas dopiero zatrwożył się kapitan i wkrótce pomiędzy majtkami rozszerzyła się wieść tajemnicza, że Portugalczycy musieli zatruć żywność okrętową. Lecz Juliusz w szczerości serca zbijał tę obmierzłą potwarz, a jednakże nie śmiał przypuszczać, że plaga ta jest dziełem potężniejszéj ręki.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

JESIEŃ POETY.

Elegia St. hr. Starzyńskiego.

Skroń moją już szrony bielą,
Dni mych jesień przyszła wcześnie,
Troski rychłą zimę ścielą!..
Dni szczęścia nikną jak we śnie.
Upłynął mi ciąg dni krótki,
Jeśli chwile szczęsne liczę,
Lecz długi, gdy na me smutki,
Gdy wspomnę na me gorycze!
We łzach, o śpiewy żałośne!
Ujrzałyście życia zorze;
Tak cierpi męki nieznośne,
Gdy ją nurek żywcem porze,
Muszla dobyta z wód łona;
Perłę w niéj chciwiec znajduje;
A rad z zdobyczy, nie czuje
Cierpień, w których muszla kona.
A ten wodorzut wspaniały,
Co w obłoki z szumem tryska,
I zdrobnionemi kryształy,
Jak deszczem klejnotów błyska;
Ciosowéj więzień sadzawki,
Tylu wdzięcznych zjawisk sprawca,
Roszące kwiaty, żywiąc trawki,
Ten zieloności rozdawca,
Ten strumyk igrzysko pychy:
Czy sądzicie, że ochoczy
Rzucił braci swych nurt cichy,
By tu wasze łudził oczy?
Łagodny jego szmer zginął,
Ach! radby jak niegdyś w lasku,
Gdy pod kwiatów cieniem płynął,
Zrzec się zmuszonego blasku!
Tak i Wieszcz, szczęsny dopóty,
Póki wrzące w nim płomienie,
Jak ścieśnionéj wody rzuty,
Nie wytrysną w głośne pienie;
Póki jak muszla skrwawiona,
Gdy drogim darzy klejnotem,
Skarbu nie wydrą mu z łona,
Przeszytego srogim grotem;
Lub póki, jak ten dąb stary,
Na którego piorun strzeli,
Sam płonąc wrzącemi żary,
Puszczy blaskiem nie obdzieli.

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.

BUDOWNICTWO.



PAŁAC SPRAWIEDLIWOSCI W ROUEN.

Na widok zabytku ery gotyckiéj, obudzają się natychmiast wspomnienia wojny lub religii, wyobrażenia twierdzy lub kościoła. Zdaje się iż powołaniem architektury publicznéj było w ówczas wyłącznie tworzyć warownie lub świątynie, a niekiedy za szczególnym wyjątkiem, fontanny. Rzadkie też to jest szczęście napotkać śród szczątków owéj epoki, gmach, poświęcony podobnie jak ten, którego jednę wystawę przedstawiamy czytelnikom, na zaspokojenie towarzyskiéj potrzeby, nie tyczącéj się religii, lub obrony.

Wygnani z Rouen przy końcu 12go wieku, w ówczas gdy byli pariasami społeczeństwa europejskiego i jako tacy wyłączeni z pod powszechnego prawa; żydzi, opuszczając miasto, zostawili na własność skarbowi plac obszerny, który zajmowali niegdyś obok ulicy, dotąd miano ich noszącéj. Plac ten stawszy się pustym, od trzech wieków leżał nieużytecznie i bez żadnego przeznaczenia, gdy targowisko na nim założono. Katedra służyła w ówczas kupcom za miejsce zgromadzeń; a że ich zgromadzenia niekiedy hałaśne; zakłócały pobożność wiernych, władza nie wypędzając owczesnych spekulantów ze świątyni,

zmusiła ich przynajmniéj do ustąpienia, nowe im otwierając schronienie. Wystawiono na przyjęcie ich (roku 1493) na placu żydowskim wspaniałą salę, nazwaną późniéj salą prokuratorów. Sala ta długa na 170 stóp a szeroka na 50 przedstawia jeden z najśmielszych i najwytworniejszych gmachów całéj Europy: nadała ona początek pałacowi sprawiedliwości w Rouen. Gdy Ludwik XII, w chęci utwierdzenia sprawiedliwości na stalszéj podstawie, a razem czyniąc zadosyć życzeniom ministra i przyjaciela, kardynała Jerzego d'Amboise, uchwalił, że sąd w Rouen zasiadać ma dożywotnie, chciał ażeby urządzono miejsce dla posiedzeń tego najwyższego sądownictwa i rozkazał wznieść na placu żydowskim, gmach przytykający do sali prokuratorów. Budowa zaczęta w ostatnich latach piętnastego wieku, wprędce ukończoną została; roku 1506 sądownictwo już mogło zająć swój pałac, a wkrótce Ludwik XII przybył uświetnić go swą obecnością.

Pałac ten, który kosztował znaczną jak naówczas summę, 88;931 liwrów, godny jest światłego opiekuna sztuk, pod którego okiem był przedsięwzięty i ukończony, mieści się w liczbie pomników, któremi zbogaciło się miasto Rouen za panowania Ludwika XII i biskupstwa kardynała Jerzego d'Amboise. Jest to jeden z ostatnich i najpiękniejszych utworów, które sztuka gotycka, bliska zniknienia, pozostawiła we Francyi. Smiały w pomyśle i delikatny w wykonaniu, gmach ten nadawszystko odznacza się kształtnemi oknami, ozdobnemi gustowną rzeźbą dachu i lekką wieżą, którą miło nazywać nadaném jéj mianem *Gabinetu złotego.* Pomnik jest tym szacowniejszy, iż cały należy do jednéj i téj saméj epoki i nie składa się z cząstek następnie w długich przerwach dodawanych. Dzieło Ludwika XII nie doznało zmiany aż do początku ośmnastego wieku. Przydano wówczas do niego całe skrzydło, lecz architekt nie natchnął się bynajmniéj wzorem który miał przed oczyma i ani myślał, ani starał się połączyć rozerwany łańcuch czasu, przez jakowe zręcznie wykonane spojenie, tak, aby oba gmachy zgodną całość tworzyły: poprzestał na wzniesieniu budynku, zimnéj i nieznaczącéj regularności, tak, iż obie budowle przyczepione do siebie, różnią się najzupełniéj kształtem i pomysłem.

Pałac sięgający panowania Ludwika XII. chociaż dosyć szczęśliwie dochowany, uległ jednakże niejakim zmianom pod dłonią czasu, i niektórym uszkodzeniom zdziałanym ręką ludzką. Część z pod panowania Ludwika XIV. także ucierpiała. Utraciła ozdobę, okupującą smutną oschłość całości. Było to wspaniałe *al-fresco*, wyobrażające niewinność ściganą przez kłamstwo i chroniące się na łonie sprawiedliwości, którą uwieńczała wiara. Piękne to dzieło Jana Jouvenet, jednego z najsławniejszych malarzy wieku Ludwika XIV, zniszczone zostało przez zapadnięcie sklepienia.

Ciekawy pod względem sztuki, pomnik ten wyższe daleko wzbudza zajęcie historyczne względnie do swéj daty, zważywszy podwójny cel, w którym go wzniesiono. Przeznaczony zarazem na miejsce zgromadzeń handlowych, i świątynią sprawiedliwości, świadczy usiłowania Ludwika XII. ku wprowadzeniu porządku i regularności w społeczeństwo francuzkie.

MOROWE POWIETRZE NA POKŁADZIE OKRĘTU.

(Dokończenie.)

Dziesiątego dnia, wiatr pomyślny dotąd, ustał nagle i okręt zatrzymał się na morzu. Taki był stan powietrza, że mimo ogromnych bałwanów, któremi w dalekości najeżał się Ocean, okręt podobny był do nieporuszonéj skały i przez czternaście dni wciąż na jedném miejscu pozostał. Na domiar nieszczęścia, słońce zwrotnikowe rzucało prostopadłe promienie na pokład, tak dalece, iż majtkowie spragnieni świeżego powietrza i nie zdolni znieść wyziewów powstających z między-mostu i dolnéj części okrętu, czołgali się koło otworów w pokładzie, paleni gorącem z nieba; albo też, jeźli zasłaniali się żaglem, nie śmieli oddychać, aby zarazy z dołu nie wciągnąć w siebie. Było to okropne widowisko! Chorzy wili się w konwulsyach i ochrzypiałym głosem wzywali śmierci! Nareście przerażenie zamieniło się w rozpacz, a majtkowie którzy jeszcze mogli wykonywać obroty, utrzymywali się tylko mocą rezygnacyi. Rzekłbyś, że to są umierający, którzy jeszcze ścielą sobie łoźko w dzień śmierci, albo też wołają o świeże prześcieradło, aby czystszym całunem okryci byli. Myśl ta dreszczem przenika.

Juliusz spoglądał w około siebie, z niesłychaną mocą duszy. Uderzony tą szczytną myślą, że nigdy nie należy dobrowolnie zstępować do grobu, a zwłaszcza gdy los drugiéj istoty połączony jest z naszym losem, opierał się na miłości, ażeby nie wpaśdź w rozpacz. Ach! gdyby wtedy ludzie pospolici mieli czas dostrzedz na jego ustach, ten uśmiech spokojny i łagodny,

byliby go przeklinali zapewne, gdyż nie mogliby pojąć tych marzeń szczęścia, który tworzył sobie pośród umierających i umarłych. Ale i na innych ustach okazywał się nie mniéj dziwaczny uśmiech: nie jednemu bowiem zdawało się, że powraca do życia, gdy odrętwiały od bólu, przestał cierpieć, bo już umierał.

Jednakże Juliusz zaczął wątpić o sobie, widząc że umiérają najodważniejsi jego towarzysze, a przeniknióny tajemniczą myślą, że gniew Boga dotknie wszystkich aż do ostatniego, obrócił się ku północno-wschodniéj stronie, i dwa razy po cichu wymówił pożegnanie z najdroższą dla niego istotą.

Pewnego wieczora, opatrzywszy kilku chorych, rzucił się strudzony na łożko, spodziewając się że we śnie pogrąży żałobne i dręczące myśli. W tém ogarnęła go słabość; był to zawrot głowy, drzenie wszystkich nerwów: zdaje mu się że łożko jego krąży z nim razem, że jego nogi uwiązane między ścianami wązki izdebki, nie mógł wystarczyć temu ruchowi. Lecz między dwoma takiemi paroxyzmami zebrał myśli i poznał iż gorączka mięsza jego zmysły. — Przemógł się więc i zażądał wody, lecz nikt mu nie odpowiedział. Wówczas zawlókł się na pokład, sądząc że tam odetchnie świeższem powietrzem; słońce bowiem już zaszło od kilku godzin. Leżąc wznak, z oczyma wlepionemi w niebo, z otwartemi ustami, oddychał ciężkiem tylko powietrzem i wilgotnemi wyziewy; atmosfera była nieznośnym ciężarem dla jego piersi. Zawołał chirurga, ale już nie było chirurga, a jego pomocnik więcéj miał zatrudnienia niżeli wystarczyć mogły siły jego umysłu i ciała. Nareszcie, przyjacielska ręka przyniosła mu szklankę wody, ale ta woda była ciepła i jak gdyby napojona chorobliwym wyziewem. Jednakże Julian doznał lekkiéj ochłody i napiwszy się usnął. Lecz o Boże! któż zdoła opisać ten sen, pełen gorzkich zjawisk.

Okręt wydawał mu się jak niezmierny teatr ze wszystkich stron oświecony fosforem i siarką, których płomień: zielony, białawy i błękitnawy, rozpościerał siną i grobową barwę na twarzy aktorów tajemniczéj tragedyj; piekielna moc była w ich spojrzeniach, a ich zatruty oddech dochodzi, aż do widzów którzy odwracając głowę, przyklaskiwali zajadle. Potém, lampa zgasła, a dym czarny, gruby, zapowietrzony, napełnił całą przestrzeń, pędzony niewidzialnem potężnem tchnieniem. Potém nareszcie okręt pokazał się znowu, lecz niezmiernie wielki, a przy świetle płynących ław, wielki, maszt rozdzierał niebo i pokazywał się otwór trąby dającéj piorunne hasło ostatecznego sądu. Juliusz wyciągnął rękę, dla schwycenia ręki kobiety klęczącéj przy niém; widmo znikło, chory czuł iż wpada w przepaść: i obudził się.

Chcąc się poruszyć, uczuł iż mu szyja nabrzmiała i stężała, tak, iż bez nieznośnego bolu nie mógł głowy obrócić. Inne jeszcze symptomata wskazały mu, iż choroba w krew przeszła, a ta myśl którą tylokrotnie odrzucił jako znamie słabości, stanęła przed jego oczyma, i na chwilę rozproszyła gorączkę; czuł że jeszcze zdoła zawlec się aż do lampy, a przy jéj świetle, postrzegł na piersiach swoich, czerwone plamy. Wówczas poznał że już jest po nim, i z ciężkością obracając się ku wschodowi, zawołał gasnącym głosem:

»Żegnam cię! żegnam!« Było to straszliwe wysilenie myśli. Nastąpiła potém ponura odrętwiałość, cięsza konania, i nieszczęśliwy zawołał drugiego chirurga, który oderwawszy się od innych chorych, zbliżył się do niego.

—,,Czy wiesz Panie, rzekł Juliusz, czy wiesz nareście jaka to choroba spadła na nas?.. i odsłaniając piers z przerażającą powagą wysłowienia:

,,Ja ci powiem mości panie, jest to morowe powietrze. Tak jest, morowe powietrze, czy mię rozumiesz? Czuwaj nad kapitanem, bo jeśli wątpisz jeszcze, mieć będziesz wkrótce nowego trupa, do czynienia postrzeżeń.

Lekarz znał od samego początku naturę téj choroby, i pochylając się ku Juliuszowi, rzekł po cichu z przerażającą spokojnością:

Ach! mój przyjacielu, wiem o tém; poznałem to od razu: czyliż to dla przeszkodzenia skutkom zatrucia mięsa, rozdać kazałem tyle tytuniu, ile tylko można, oddzieliłem chorych od reszty załogi? Lecz na Boga; nic nie mów, przezco wzbudziłbyś przestrach i pomiększył śmiertelność. Milcz więc przyjacielu, spodziewam się że jeszcze zdołam wstrzymać postęp zarazy.

Lecz chory nie usłyszał tych wyrazów, wpadł w obłąkanie, a jego członki drgały konwulsyjnie jak w paroxyzmie febry. Lekarz dał mu lekarstwo, potém zostawił go jak trupa jeszcze nieostygłego, a o siebie nie dbając: rozumiał bowiem że już go nie dotknie choroba: chciał znišć na niższy pokład, gdy w tém chwiać się zaczął. Wszystkie jego organa skruszyły się w jednéj chwili; dotknięty jadowitym wyziewem, padł trupem. i odtąd cała osada zwątpiła o sobie. Wszyscy rzucili się do izdebki kapitana, ale i kapitan już nie żył.

W téj chwili, dramma stała się coraz

straszliwszą, żaden język w świecie nie zdoła oddać tego obrazu kary bożéj.

W pięć dni po śmierci chirurga: o ile mógł wyrachować Juliusz: wyszedł z letargu, zdało mu się iż obudził się w świecie na którym już się nie znajdował od dawna, i kilka minut upłynęło nim poznał co się z nim dzieje. Był jeszcze na pokładzie, lecz leżał na materacu, w łóżku okrętowem. Przy nim postawiono na ziemi szklankę wina i kawał solonego mięsa. Od razu wypił wino, lecz nie mógł znieść smaku mięsa, gdyż zapewne było tam od kilku dni, wystawione na działanie słońca i zgniłéj atmosfery. Jednakże, stopniowo odzyskał zmysły, lecz dla tego tylko, aby najokropniejszy widok zobaczył.

Słońce uderzając prostopadle na pokład okrętu, rozkładało materye zwierzęce dla pochłonienia zarazy. Juliusz skoro tylko odzyskał uczucia bytu, zawołał na towarzyszów; potém zatrzymał oddech i nadstawił ucha aby ani jednego dźwięku nie stracić, lecz nie usłyszał ani jednego szmeru, ani jednego odetchnienia. W ówczas, niewysłowione uczucie okropności, wstrzymało bicie jego serca i przez kilka chwil pozostał w tém odrętwieniu, w którém nie znać krążenia krwi w żyłach, ani też braku duszy w ciele. Nareście, dzięki nadzwyczajnéj mocy duszy, zebrał siły umysłu i ciała i wstał z posłania.

Lecz jaki widok, o Boże! ujrzał wtedy, W koło niego leżały same trupy, w najdziwaczniejszych postaciach. Widać było, że śmierć uderzyła w nie jak piorun i tém gwałtowniéj, że mniéj cierpieli; ich bowiem ciała wpadły w zgniliznę w przeciągu kilku minut. Statek *le Glorieux*, najdzielniejszy ze wszystkich okrętów wojennych, najlepszy do żeglugi, pływał teraz bezwładny, jak cmentarz oderwany od lądu, albo podobny do uśpionego wieloryba.

Żaden powiew nie poruszał żaglów, zdawało się, że niebo naumyślnie zrządza tę ciszę, aby trujące wyziewy okrętu, zamknąć w ściślejszym obrębie.

Juliusz osłupiał na ten widok; na chwilę zabrakło mu odwagi; rozpaczą przejęty odwrócił głowę i ukrył twarz w posłaniu, z którego się podniósł: potrzebował bowiem wypoczynku, po tak okropnéj scenie. Po tem, pierwszą myśl podniósł ku niebu, a następnie uzbroił się straszliwém postanowieniem. Potém wypił dla wzmocnienia się, szklankę rumu, któraby go w każdym innym razie odurzyła i zdołał obejrzeć pokład i izdebki, dla zobaczenia, czyli nie znajdzie jakiego konającego któregoby mógł poratować, a nareście dla pochowania w morzu, zwłok nieszczęśliwych towarzyszów.

Stopniowo musiał przyzwyczajać się do zatrutego powietrza izdebek okrętowych, a przy tém boleśnie przerażała go ta nieruchomość i cisza grobu, czasem tylko przerywana skrzypieniem drągów masztowych. Juliusz przezwyciężył wstręt i obawę; zwiedził długie rzędy posłań, jedne próżne, drugie jeszcze obciążone trupami: on sam jeden pozostał żyjący na okręcie.

Juliusz postanowił pochować towarzyszów i zabrał się do tego dzieła. Nie mógł podźwignąć trupa i uczuł że musi wprzódy sił nabrać. Lecz jakże pozostać żyjącym, pośród tego mnóstwa ciał zgniłych!

Noc zapadła, a w ówczas germańska wyobraźnia Juliusza puściła wodze marzeniom.

,,Sam! mówił! sam! jéj nawet nie ma przy mnie!... Bogu niechaj będą dzięki, żem nie pozwolił aby płynęła ze mną. A gdy pomyślę, iż muszę cały ocean przebydź dla napotkania ludzi; że co krok następuję na trupa, że gdyby jaki okręt nadpłynął, zostawiłby mię z umarłemi, że nie śmiem oddychać, bojąc się, abym się nie otruł!...?

Straszliwą była ta noc dla wycieńczonego umysłu i ciała Juliusza. Ilekroć siarczysty połysk przecinał niebo, zdawało mu się, że na pokładzie z pośrodka ciemności wstaje jeden z trupów okrętowych, a skrzypienie drągów brał za chrapanie umierającego, który gasnącym głosem żąda napoju. Lecz te fantastyczne widziadła poety, ustąpiły rozwadze filozofa, a przecież któżby w takiém położeniu nie doznał przerażenia i przestrachu?

Prędko odzyskał siłę, jak to się zdarza w téj chorobie, a nazajutrz rano już mógł w morze powrzucać trupów. Nie raz jednakże zabrakło mu sił i usiadł, aby nie upaśdź zemdlony.

Słońce zachodziło, gdy ostatnie zwłoki zniknęły w morzu. Wtedy Juliusz chciał dopełnić powołania swego, a że znał język towarzyszów podróży, odmówił po angielsku modlitwy za umarłych.

Śpijcie, towarzysze moi, rzekł z głębokim smutkiem, śpijcie, dopóki nie obudzi was mocniejszy głos, dopóki morze nie odda ciał waszych w dzień ostatecznego sądu.

J domawiając tych wyrazów, ujrzał straszliwe ludojady, które wychylały głowę z wody, upatrując czyli jeszcze nie dostaną jakiéj zdobyczy.

Kilka dolnych żagli było jeszcze zwiniętych. Juliusz pomyślał iż trzeba je rozwinąć, wolał bowiem wyrzuconym bydź na skały nieznanego kraju, aniżeli pozostać w tém pływającem więzieniu. Wy-

konał to z nie małym trudem, a potém zszedł na pokład.

Wówczas to, całemi siłami duszy, wzywał swoją ukochaną Jrmę; wówczas, prawie gotów uważać się, za szczęśliwego, chciał był podzielać z nią swój statek.

Gdyby przynajmniéj umiał kierować okrętem, byłby dzień i noc pracował, zastępując całą osadę; lecz niestety, czuł że nie zdolny jest do téj pracy i ta myśl przejmowała go przestrachem.

Wieczorem oddawał się tym bolesnym myślom, potem kładł się na pokładzie obwinięty płaszczem, a gdy plusk bałwanów uderzał jego ucha, młodzieńcza jego wyobraźnia, oddawała się jeszcze nadziei.

»O Boże! myślał sobie, téj nocy może fala zmyje pokład okrętu i zabierze ostatniego trupa. Téj nocy może, wicher rozbije o skały, mnie i mój okręt. Lecz tam na wschodzie jest anioł, który modli się za mnie, kocha mnie i płacze.

Zasypiał spokojnie i marzył o miłości, dni i tygodnie upływały tym sposobem. Juliusz przestał rachować bieg czasu; spoglądał na widokrąg, bacznie słuchał najlżejszego powiewu; potém mierzył żywność nagromadzał obrazy i myśli.

Wiatr zaczął dąć przecież i co raz to gwałtowniéj. Około północy powstała okropna burza. Juliusz wstał i z uniesieniem radości spoglądał na nie.

Jak miło! zawołał: oddychać swieżem powietrzem, słyszeć jak wicher świszcze między linami, patrzeć w widokrąg, z tą nadzieją, iż nareście zobaczę ziemię, ludzi, którzy mię uratują, albo skałę, o którą się rozbiję i ten okropny stan zakończę.

Biedny Juliusz nie wiedział, że statek źle opatrzony miał dwie niewielkie dziury w dnie swojem i że burza wyrwała pakuły które je w części zatykały. Lecz gdy ujrzał że spód okrętu szybko zapełnia się wodą, raz jeszcze spojrzał na widokrąg; a potém powtórzył pożegnania, które wicher uniósł daleko.

W dwadzieścja dni, Juliusz obudził się w wspaniałym apartamencie, którego okna wychodziły na ogrody pełne wonnych kwiatów i drzew pomarańczowych.

Gdy po długiém obłąkaniu otworzył oczy jeszcze iskrzące się od gorączki, ujrzał swoją Irmę, ocierającą pot z jego czoła.

Kapitan galioty holenderskiéj, uratował go przy zatopionym okręcie i przywiózł do Lizbony.

G R Y F.

(Sęp Gryf podług Jarockiego).

Długo bardzo, wyraz ten Gryf obudzał w umysłach błahe i niepewne wyobrażenia, i przedstawiał myśli coś nadzwyczajnego. Podobnie jak Krakeny, węże morskie, ptak ten potwornéj wielkości znany był jedynie z ciemnych i allegorycznych opisów. Podług jednych pisarzy, skrzydła jego rozciągnięte miały 20 stóp przestworu; podług innych zdolny był unieść w szponach swoich wołu, i zanieść go na pożarcie aż na sam szczyt góry. Przesadzone te baśnie długo zajmowały mieysce rzeczywistych opisów, zwłaszcza wsparte powagą Buffona. Wielki ten pisarz, ognistą obdarzony wyobraźnią, dał się ułudzić powabom cudowności, i malując w zapale, utworzył swojego Gryfa z rysów pożyczonych od największych ptaków kuli ziemskiéj. Zimniejsze i bliższe rozpatrzenie się, zniweczyło wszystkie te bajki, a Gryf, pod rzeczywistą poddany miarę, utracił kształty olbrzymie; pozostał jednakże, i słusznie, jednym z pierwszych w rodzie drapieżnego ptastwa.

Gryf, mieści się pomiędzy sępami; ma podług wiarogodnych świadectw, dwanaście do czternastu stóp szerokości. Skoro rozwinie potężne skrzydła; długości ma 3 stopy, a prócz strusia przewyższa wszystkie inne ptaki. Głowa jego i część szyi są nagie, podobnie jak u innych sępów. Chropowata skóra, barwy fioletowéj, wydymająca się w grzebień na wierzchu głowy, owisła i głębokiemi poorana bruzdy, pod szyją wzdłuż któréj opada, powleka jego oblicze; żadne piórko jéj nie pokrywa; kilka tylko kosmyków, rzadkiego i krótkiego włosa, czerwono-różowych, ukazuje się tu i owdzie na policzkach i tyle głowy. Część tę zeschłą i nagą, nieprzyjemny przedstawiającą widok, która, podług energicznego wyrażenia, zdaje się doskonale usposobioną do zagrążenia się w trupach, zakończa powabnie naszyjnik otaczający szyję w kształcie wianka. Naszyjnik ten utworzony jest nie z piór, lecz z pewnego gatunku puchu, gęstego, jedwabistego, śnieżnéj białości, tém świetniejszéj, iż zupełnie jest sprzeczna z resztą pierza, które ma jednostajny odcień błękitnawo pięknie czarny, prócz kilku piór w lotach i pokrycia skrzydeł, ubarwionych szaro-perłowym kolorym. Dziób, długi blisko na dwa cale, prosty, mocny, zakrzywiony na końcu zwierzchniéj części, czarny jest przy osadzie, a żółty przez całą długość; szpony, długie na cal, są czarne i zakrzywione; oko nakoniec, owalne i o-



G R Y F.

toczone rzęsą, ma odcień szary promienisty. Ta wielkość, kształt i barwy właściwe są Gryfowi który już doszedł zupełnego rozwinięcia; w pierwszéj młodości, okryty jest puchem niezmiernie długim, bardzo miękkim, bawełnistym i białawym, który podwaja prawie pozorną jego wielkość; pierwsze pierze którém się potém okrywa jest brunatne. Odmienna względnie do wieku, powierzchowność Gryfa, zmienia się prócz tego i co do płci. Samica, większa od samca, nie ma grzebienia; a powłoki jéj skrzydeł zamiast perłowe, są brunatnawe.

Niemając dumnéj postawy i odwagi orła, Gryf ma oko nadzwyczaj śmiałe, a jego ruch i chód, chociaż poważne i leniwe, nie są jednakże bez mocy i szlachetności. Najpiękniéj się wydaje gdy szybuje w przestworzu na ogromnych skrzydłach, któremi, tak silnie trzepoce, iż człowiek wystawiony na poruszenie powietrza, zdziałane jego lotem, może się zachwiać i ogłuszyć. Gdy wypoczywa, siedząc na wierzchołku skały, milcząca jego nieruchomość jest melancholiczna, posępna i groźna.

Najwyższe strefy powietrza, najwybieglejsze szczyty Kordylierów, są dziedzinami Gryfa, który wówczas chyba zstępuje na równiny, gdy mu żeru na górach zabraknie. Lubi wzbijać się nad chmury, zakreślać okręgi swego złowieszczego lotu w około najstromszych skał wierzchołków; granica jego państwa ustanowiona jest w ogólności na dwa tysiące sążni nad poziomem morza, i przypadkowo tylko zniża się do punktu, gdzie się kończą śniegi gór Andes. Te zwyczaje Gryfa tak są stałe,

iż krajowcy pożyczają od nich niektórych wyrażeń, na oznaczenie najwyższych miejsc w górach; zowią je gniazdem albo też obserwatoryum Gryfa. — Tam on żyć zaczyna; chmury, śniegi i naga powierzchnia skał są pierwszemi przedmioty które uderzają jego oczy. Goły i twardy głaz przyjmuje jaja samicy, a pisklęta rodząc się, nie znajdują ani piórka, ani źdźbła trawy na którychby wypoczęły ich członki; skrzydło macierzyńskie jedynie chroni je od zimna. Ostre to wychowanie, doskonale usposabia Gryfów do dzikiego życia w górach, i stawia je w najzupełniejszej harmonii z pustemi siedziby, których jedynemi są mieszkańcami.

Gryfy tylko dla polowania zchodzą z siedlisk; bo chociaż się żywią trupami i padłem podobnie jak inne sępy, są również bitne jak orły, i lubią nasycać się łupem który zdobyły siłą i odwagą, i któremu same śmierć zadały. Gdy mu głód dokuczy, Gryf zniża lot i zasiada na czatach na urwiskach skały, zwieszonemi po nad płaszczyznami. Ztamtąd, przez zadziwiającą potęgę wzroku, przebiega niższe piętra, góry i obszerne łąki; jeżeli postrzeże lamę, barana, lub inne zwierze podobnej wielkości, spuszcza się gwałtownie, krępuje go swemi szpony, unosi w powietrze i broczy śniegi szczątkami swéj biesiady. Są to najpospolitsze jego czyny. Niekiedy, w chwilach niedostatku, Gryfy gromadzą się aby kupą natrzeć na większe daleko czworonogi, woły, konie. Zwierzęta mało bardzo mają sposobów obrony przeciw Gryfom, które zgromadziwszy się w liczbie pięciu lub sześciu, zagrążają dzióby i szpony w ich szyi i głowie, i zaślepiają ich trzepotaniem skrzydeł; chyba że dopadną lasu, i zdołają uciekać pomiędzy liśćmi i gałęźmi. Koń lub wół podobnie napadnięty musi koniecznie uledz, a wówczas Gryfy rozszarpią ofiarę, i dzielą pomiędzy siebie jéj szmaty. Zdarza się niekiedy, iż Gryfy gromadzą i działają zgodnie, skoro postrzegą owce pasące się na równinie. Spuszczają się w niewielkiéj odległości od stada, rozdzielają pomiędzy siebie stanowiska, tak aby utworzyły linię zaokrągloną, potém postępują podskakując i bijąc skrzydły powietrze z wielkim łoskotem. Przestraszone owce kupią się i cisną jedne do drugich; skoro utworzą massę która nie może ani się poruszyć ani uciekać, ani bronić, Gryfy wzbijają się w powietrze, spadają natychmiast, i okropną rzeź rozpoczynają.

Polowanie na Gryfy jest jedną z najulubieńszych zabaw ludów zamieszkujących podnóża Kordylierów. Łowią je na dwa sposoby, bądź na pętlice, bądź przez zatrucie. W pierwszym razie zabijają wołu, konia, lub inne zwierze dość duże, aby go Gryfy unieść nie mogły; potém składają zwłoki w miejscu odkrytém, a strzelcy, uzbrojeni w węzły ukrywają się w pobliżu. Gryf wkrótce postrzega łatwy łup dla siebie zastawiony; spuszcza się i zaczyna pożerać na miejscu. Strzegą się mocno zakłócić jego biesiadę, i dozwalają mu przesycić się mięsiwem; dopiero wtedy gdy się nażarł do sytu, i obładowany pokarmem próżne czyni usiłowania aby podlecić, strzelcy wypadają na niego ze wszech stron z pętlicami w ręku: rzadko się bardzo zdarza, aby ptak podobnie otoczony, w chwili gdy zaczyna się trawienie, tak pracowite dla żarłoków, zdołał wzbić się w górę. Po kilku nadaremnych podskokach, pada zawikłany w więzy, pochwycony za szyję i skrzydła. Drugi sposób łowienia mniej przedstawia powabu. Ukrywają w ciele zwierzęcia porzuconego za przynętę, jakową jadowitą substancyą, wprowadzającą Gryfy w letargiczne osłupienie, w czasie którego można je chwytać, bez pomocy nawet pętlicy.

Ogromny łańcuch Kordylierów, który przerzynając Amerykę od południa w całéj długości, bieży od przesmyku aż do przylądka Horn, jest jedyną strefą całego świata w któréj znajdują się Gryfy. Zanadto nagły jest przeskok od tych śnieżystych szczytów do menażeryi botanicznego ogrodu w Paryżu; dokazano jednakże zachować przy życiu, przez kilka lat, pięknego Gryfa, w jednéj z klatek Muzeum. Jednakże, chociaż miło jest przypatrywać się temu ptakowi, który tak długi czas był celem podziwu, doświadczamy przykrego uczucia, widząc wysilenia które czyni, siedząc na prącie aby mógł skrzydła rozwinąć i ulecić. Widzimy nieszczęśliwego więźnia powodowanego materyalną potrzebą doświadczania siły, lecz wstrzymanego przekonaniem iż mu zbywa na przestworzu; zatrzymującego się dobrowolnie, w daremnych i ciągle wznawianych zabiegach.

GOETHE.

(Ciąg dalszy)

Dwie próby w rodzaju dramatycznym plany do wielu innych, których nie skończył i nauka sztuk pięknych, do których upodobanie wzbudziła w nim xiążka Winkelmana; oto były zatrudnienia Goethego, podczas pobytu w Uniwersytecie, dokąd go rodzice na naukę prawa wysłali; a obejrzenie galeryi drezdeńskiéj, odwróciło go zupełnie od pierwszego celu jego zatru-

dnień; wzmogła się w nim skłonność do hipokondry i niebezpiecznie zachorował.

Zaledwie powstawszy z choroby, umyślił opuścić miasto dla niego tak niekorzystne i powrócić do ojczyzny. Dokonał tego zamiaru przy końcu roku 1768. W domu rodziców znowu w ciężką wpadł recydywę; pewien doktór wyleczył go z niej, lekarstwem zrobionem podług przepisów alchimii; okoliczność ta skłoniła go do nauczania się umiejętności tajemniczych. Nowy doktór Faust, daremnie doświadczywszy wszystkich nauk, chwycił się czarnoxięztwa; dnie i nocy przepędzał na działaniach tajemniczych, których sam nie rozumiał.

Na wiosnę, gdy odzyskał zdrowie, ojciec chciał go wysłać do Strasburga, dla pozyskania w tém mieście stopni akademickich. Chętnie jego woli dopełnił i spaliwszy wszystko co pisał w Lipsku, prócz dwóch sztuk powyżéj wspomnianych, puścił się w drogę.

Skoro tylko przybył do Strazburga, pobiegł zobaczyć stary kościół katedralny, wstąpił na jego dzwonnicę, a zachwycony okazującym się ztamtąd widokiem, błogosławił przeznaczenie, że mu dozwoliło przez czas niejaki w tak pięknem miejscu przebywać.

Tym razem nie zawiodły go szczęsne przeczucia; nie stracił na próżno roku, przepędzonego w uniwersytecie strazburskim. Nie rozwodząc się nad szczegółami jego życia akademickiego i nad wiadomościami które tam nabył, powiem tylko, że przy końcu roku został doktorem prawa, a co więcéj, był panem dwóch przedmiotów o których już dawno rozmyślał: to jest Goetza i Fausta. »W korzeniły się one w mój umysł mówi Goethe i zwolna barwę poetycką przybierały. Zycie Goetza, głębokie wrażenie zrobiło na mnie: surowa i prawa fizyonomia tego niepospolitego człowieka, zrodzonego w wieku dzikiéj anarchii zajmowała mię bardzo. W drammacie gminnym, którego Faust był bohatyrem, znajdowałem nie jedno brzmienie, które się głucho w duszy mojéj odbiiało. I ia także przebiegłem zakres umiejętności ludzkich; wcześnie przekonałem się o ich próżności; wszystkie moje usiłowania aby znaleść szczęście w tém życiu, dotąd były daremne. Lubiłem więc rozmyślać nad temi przedmiotami, w moich samotnych godzinach, lecz nic jeszcze nie napisałem.«

Za nim oznaczym chwilę gdy wstąpił w zawód, który od owego czasu, bez przerwy tak pewnym krokiem i z taką chwałą przebiegał, musimy spojrzéć raz jeszcze, na pierwsze dwadzieścia lat życia jego, skreślone w tym krótkim zarysie. Czyliż nie zadziwia ten obraz życia bez dzieciństwa, to powołanie literackie, już się w szóstym roku okazujące? Nie jest to prosty sposób mówienia, ponieważ od tego czasu, można ujrzeć zaród wszystkich jego wielkich pomysłów, które go późniéj wsławiły i ścigać jego nieznaczne postępy, aż do chwili dojrzałości, tak śpiesznéj dla innych, lecz u niego przygotowanéj z tak daleka, przez młodość w któréj wszystko miało swoje znaczenie.

Twierdzenie ustawicznie przy nim powtarzane, że Niemcy nie mają gustu, do reszty zniechęciło go przeciw Francuzom; ta świetna gwiazda 18 wieku, Wolter, którą uwielbiał z daleka, bladła stopniami i już miała zgasnąć; ta filozofia o któréj tyle na świecie mówiono, rozważana bacznie, głębokim przejmowała go niesmakiem.

»Tak więc, mówi, na granicy Francyi uwolniłem się od wszelkiego wpływu Francuzów; sposób obejścia się w tym kraju, zdawał mi się nazbyt wyrachowanym, poezya zimną, krytyka oczerniającą, filozofia trudną do zrozumienia, a jednakże niezupełną.« — Czytanie i zgłębianie dzieł Szekspira, przejęło go najżywszem uwielbieniem, dla tego autora i silnie nań wpłynęło. Ulubiony swój przedmiot, Goetza, przybrał w postać już oznaczoną: a jednakże tak obszerną że mógł około tego człowieka cały wiek jego zgromadzić.

Ciągle dręczony potrzebą napisania oryginalnego dzieła, nie ograniczał swoich rozmyślań do średniego tylko wieku; często zwracał je na czas obecny. Lecz trzeba było, ażeby nieprzewidziana okoliczność, nadała formę temu drugiemu przedmiotowi: zdarzyła się w rzeczy samej i Werther wyszedł na świat; »podobny, mówi, do kwiatu, który traci swoją barwę i umiera. Zajmiemy się nim w dalszym ciągu; powróćmy teraz do Goetza, gdyż pierwéj był ogłoszony; lecz w przód nim przystąpimy do dzieła, zobaczmy w jakich okolicznościach i pod jakiém natchnieniem Goethe je napisał.

(Dalszy ciąg nastąpi)

CENA PRENUMERATY
MUZEUM DOMOWEGO.
w Warszawie, W KANTORZE GŁÓWNYM w xiegarni F. S. Dmochowskiego przy ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D. oraz w innych xiegarniach i Kantorach, rocznie złp. 18. półrocznie złp. 10.
na Prowincyi, W Urzędach Pocztowych i po xiegarniach, rocznie zł. 24, półrocznie złp. 13.

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.

OBYCZAJE WSCHODNIE.



DOM ALEGO.

OBYCZAJE WSCHODNIE.

Za rządów Hussejna, Deja Algierskiego, Ali był jednym z najznaczniejszych członków rejencyi. Był to, mówiąc właściwie, dzielny korsarz, jeden z tych odważnych Algierczyków, którzy podczas wojny sławali się postrachem żeglarzy. Skoro Dej ogłosił w porcie, że regencya prowadzi wojnę z jakiém europejskiém mocarstwem, gdy kazał zwinąć chorągiew konsulatu, a straż postawił w mieszkaniu konsula, Ali wychodził z domu, kazał podpłynąć karawelli pod sam brzeg lądu, a wówczas, kto chciał, mógł wsiąśdź na statek, Ali oparty o lawetę, z cybuchem w ręku, milcząc przypatrywał się nowo przybyłym, oglądał ich pistolety, pałasze, ładownice, a gdy już się dostateczna liczba zebrała, puszczał się na morze. Ali zmierzał ku wyspom Balearskim; tam krył się w jednéj z licznych zatok Kabrery albo Formentery i z perspektywą w ręku czekał na zdobycz. Orzeł nie uderza tak szybko na giemzę jak karawella Alego na statek, któren zdobyć chciała. Ali z pałaszem w ręku, najpierwszy wpadał na pokład nieprzyjacielskiego statku. Zdobycz była szybka, a częstokroć krwawa. Prowadzono ją do brzegów Afryki, tam niewolników przedawano natychmiast, a po rozdzieleniu zdobyczy, Ali używał przyjemności życia na łonie rodziny.

W dwa dni po zdobyciu Algieru przez Francuzów, jadłem obiad na tarasie domu któren zajmowałem, gdy renegat, mój służący, powiedział mi, że jakiś Turek chce mówić ze mną. W téjże chwili wszedł człowiek szlachetnéj i wysokiéj postawy, rysy miał wschodnie, a na fizyonomii malowała się dobroć, połączona z głębokim wyrazem smutku. Pod pachą trzymał wazon z kwiatami, a w ręku klatkę z dwoma ptaszkami. Zbliżył się do mnie, postawił na ziemi klatkę i wazon i prosił mię zepsutą włoszczyzną, ażebym je przyjął. Przez chwilę wahałem się, nie wiedząc czyli ten podarunek nie był delikatnym, sposobem proszenia o jałmużnę. Odgadł moje myśli i przydał że jest raisem, dobrze się mającym i potrzebuje protekcyi nie zaś jałmużny. Dowiedział się że jestem jednym z sekretarzy naczelnego wodza i spodziewa się iż zdołam wyjednać mu jednomiesięczną zwłokę: rozkazano bowiem wszystkim Turkom z milicyi deja, aby natychmiast opuścili miasto. Oświadczyłem iż może uzyska to czego żąda. Ścisnął mię za rękę, a dwie łzy upadły na jego czarną i gęstą brodę. Ocierając je rzekł: »Nie prosiłbym o tę łaskę, gdyby dwie moje żony nie były chore; jedna dopiero co odbyła połóg, a druga odbędzie go za dni kilka. W takim stanie nie mogę narażać je na niebezpieczeństwa żeglugi. Uspokoiłem go zupełnie, i poczęstowałem kieliszkiem wina szampańskiego. Ledwie go skłoniłem do picia, wmawiając w niego, że to jest piwo francuzkie; wówczas wychylił kilka kieliszków, zapalił fajkę i poufale palił ją przy mnie. Oświadczyłem mu, że nazajutrz przyniosę żądane pozwolenie, *do jego domu.* Zdziwił się tém oświadczeniem, pomyślał trochę, dorozumiał się iż pragnę zobaczyć wnętrze domu tureckiego i nie sprzeciwiając się żądaniu mojemu, powiedział gdzie mieszka. Sądzę, że wino szampańskie nie mało przyczyniło się do tego pozwolenia i że bez niego nigdyby mi nie dozwolił wstąpić do swego *skiffa.* Turek ten, był to Ali, ów groźny korsarz.

Pan d'Aubignaux naczelnik policyi w Algierze, udzielił mi żądane pozwolenie, zaniosłem je Alemu. Jussuf, mój renegat zaprowadził mię do jego domu. Ali mieszkał niedaleko odemnie; dom jego chociaż pobielony zewnątrz, dosyć biednie wyglądał, jak wszystkie w Algierze. Zapukaliśmy do drzwi, czarny niewolnik otworzył nam i czémprędzéj zamknął. Byłem w sieni bardzo ciemnéj. Murzyn wyszedł innemi drzwiami, a Jussuf został na ulicy. Zaczekałem przez kilka minut i słysząc śmiechy w pobliskiéj izbie, zacząłem się niecierpliwić, gdy w tém otworzyły się drzwi; murzyn rzekł po arabsku jakieś wyrazy, które zapewne znaczyły abym wszedł daléj, a wstąpiwszy na kilka schodów, ujrzałem się na podwórzu otoczonym galeryą. Niewolnik zaprowadził mię do sali dolnéj i tam zastałem Alego. Siedział na kobiercu, bawiąc się z kilkorgiem dzieci pięknych, czerstwych i mocnych: były one prawie nagie, miały na sobie koszulę muślinową przewiązaną wełnianym pasem i czapeczkę z czarnego sukna wyszywaną cekinami, podług zwyczaju bogatych rodzin mauryańskich. Najstarsze dziecię miało około dwunastu lat, najmłodsze cztery.

Pomyślałem najprzód o sprzeczności jaka zachodzi między rzemiosłem tego Algierczyka a domowemi jego zwyczajami. Ten dziki korsarz, postrach brzegów Walencyi i Grenady, który nie raz aż pod armatami Palmy lub Iwiki porywał młode dziewczęta, który bez litości mordował tych co mu opór stawiać chcieli, który tylokrotnie zapełnił targ w Algierze niewolnikami swemi, bawił się teraz z dziećmi, jakby jaki spokojny mieszkaniec Francyi.

Powitał mię i przedstawił mi swoje dzieci, zaczynając od najstarszego, każde wy-

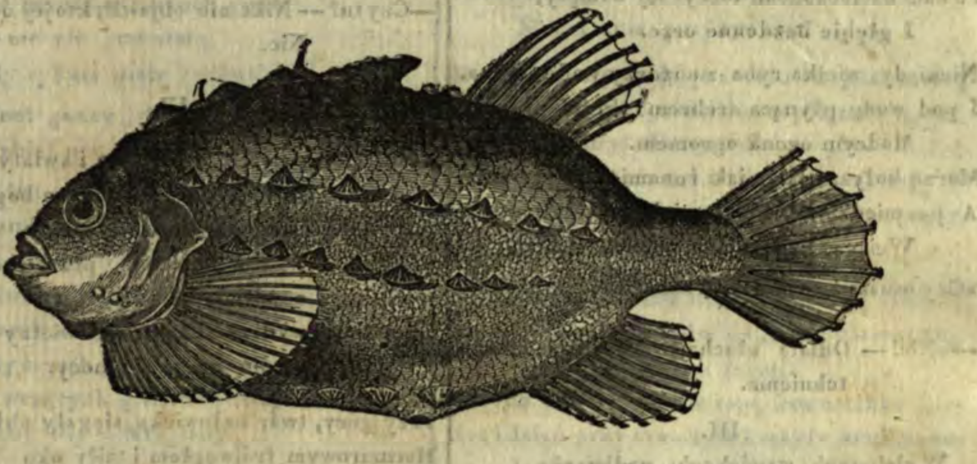
mienił po imieniu i oświadczył[iż najstarszy syn jego mający lat 25. jest cyrulikiem przy ulicy Babazun, córka jedna jest za mężem a pięć jeszcze w domu.

Ubranie algierskiego salonu jest bardzo proste, składa się z sofy stojącej w alkowie; na téj sofie gospodarz sadza gości których zaprasza.

Reszta sprzętów składa się z kobierców mniéj lub więcéj bogatych i z kilku ram, w których oprawione są zdania z alkoranu, wyszyte na materyi, złotemi albo czerwonemi literami. Drzwi wewnątrz zamykane są ramami z wełny lub jedwabiu, wyszywanemi w rysunki w maurytańskim guście. Mury, ozdobione są na sześć stóp wysokości, mozaiką, składającą się ze sztuk kwadratowych fajansu, malowanych rozmaicie, a przyjemną dla oka. Wyższa część ściany jest po prostu pobielona wapnem, posowa składa się z belek wyrzynanych i malowanych czerwono i zielono.

Tylko com usiadł na sofie obok Alego, najstarszy z chłopców przyniósł mi fajkę. Potém dano kawę, a następnie pilaw ulubioną potrawę ludów wschodnich. Nareście częstowano mię konfiturami i galaretami.

Młoda murzynka postawiła przed nami fajerkę z żarzącemi się węglami i rzuciła na nie garść benzoesu. Izba natychmiast napełniła się dymem, przyjemną woń wydającym, w milczeniu paliliśmy fajki, a tym czasem dwie niewolnice murzynki uraczyły nas muzyką, grając na instrumencie i bijąc w bęben. Młody murzyn i młoda murzynka, tańcowali taniec z brzegów Senegalu, przy odgłosie téj muzyki. Głos muezzima wzywający na modlitwę wieczorną, przerwał tę zabawę i zakończył moje odwiedziny.



TASZA (*Cyclopterus*)

Tasza należy do rodzaju ryb morskich, zowią ją także zającem morskim, albo puklerzem; przebywa zazwyczaj w głębi morza, ukryta pod skałami, albo przyczepiona do nich swoją pletwą, mającą kształt puklerza i z nie małym trudem można ją oderwać. Żywi się morskiemi robakami i rybkami. Ponieważ jest ciężką i nie wiele posiada sposobów obrony, staje się łatwą zdobyczą ludojadów i innych ryb drapieżnych. Jéj mięso nie jest smaczne; jednakże jedzą je w niektórych krajach nad brzegami morza połnocnego, gdzie zwykle przebywa; lecz w ogólności służy tylko do robienia wędy na inne ryby. Przez długi czas mniemano, że ma doskonalsze organa słuchu i wzroku, niżeli inne ryby i że posiada instynkt towarzyskości, którego inne ryby są zupełnie pozbawione; lecz późniéj przekonano się, że to mniemanie, jest bezzasadném. Powstało ono z tąd, że nie raz uważano parę taszów leżących jedna koło drugiéj i przez długi czas nieporuszonych na piasku. Tę bliskość mylnie poczytano za skutek wzajemnego przywiązania,

OGIEŃ Z NIEBA.

Wiersz Wiktora Hugo

przekładania Br: Hr: Kicińskiego.

I.

Czy widziszjak przeciąga chmura zaczerniona,
To blada, to jaskrawa, to świetna jak łona,
To martwa jak lato skwarne?

Błyszczą z niéj na tle nocy jakieś ognie krwawe,
Kotłują się po brzegach, dymu kłęby czarne,
Słychać jak pożarów wrzawę.

Skądże ta chmura? z nieba, z morza, czy z Wulkanu?
Tenże to wóz ognisty, którym grzeszne Panu
Po gwiazdach wożą się duchy?
Jéj łono tajemniczym będące zamętem,
Skądże to szarpią błysków szalone wybuchy,
Jak długiego węża skrętem?

II.

Morze i wszędzie morze, fale, jeszcze fale;
Ptak który się nad niemi zapędził zuchwale
Próżno chce przebyć to morze,
Gdyż bałwan coraz nowym bałwanem zepchnięty,
Po nad natłoczonemi toczy się odmęty,
J głębie bezdenne orze.

Niekiedy, wielka ryba z nozdrzy wodę tryska,
J pod wodę płynąca srebrem skrzel połyska
Modrym ogona ogromem.
Morze kołysze falą, jak runami trzody,
A pas miedziany, błękit nieba w błękit wody,
Wciąga, krążąc nad poziomem.

»Czy osuszyć to morze? rzekł obłok z płomienia.
—»Nie! — Odlata słuchając wszechmocnego tchnienia.

III.

W zielonych wzgórkach, nadbrzeże
Patrzy w wód zwierciadło świeże.
Wznoszą pieśń pełną ochoty
Bawołów, zbrojni pasterze!
Łowców rybaków ród śmiały,
Koczuje tu, a ich strzały
Z błyskawicą by igrały.
Jch te żłoby, te namioty.
Codzień indziéj te rodziny,
Zdrowem powietrzem się nęcą.
Jch dzieci, ich dziarskie syny
J hoże skaczą dziewczyny.
Nad brzegiem koło ogniska,
Które wiatr wzdyma lub ściska,
Jch tańca nie widząc z bliska,
Rzekłbyś, że duchy się kręcą.
Tak piękne, jak noc w pogodę,
Z twarzą jak heban, dziewice,
W lśniącéj miedzi swą urodę,
Przeglądają żywe, młode.
Jnne pod namiot się chronią,
J tam z pełnych wymion ronią,
Białe mleko, czarną dłonią
Ciągnąc wielbłądów samicę.
W słonéj kąpią się otchłani,
Płci zmięszane w jednym tłumie.
Skądże ludzie ci nieznani?
Nikt powiedzieć nam nie umie.
Brzmią chrapliwie ich cymbały,
Na ten odgłos konie rżały,
Brzęk i rżenie się zmięszały,
W oceanu hucznym szumie.

Chmura chwilę w powietrzu zatrzymać się chce.
—Czy tu? — Nikt nie objawił, kto jéj odrzekł;
Nie.

IV.

Egipt! ubrany w kłosy złociste i kwiaty,
Wskazał pole upstrzone jak dywan bogaty.
Za płaszczyznami płaszczyzny,
Wrzący piasek z południa, przestrzeń wód z północy,
Chcą sobie wydrzeć Egipt; on świetny i żyzny
Z tych mórz urąga się mocy.

Trzy góry, twór człowieka, sięgały obłoku
Marmurowym trójwęgłem i taiły oku
Stopy popiołem zasute.
Aż do złocistych piasków, od ostrego szczytu
Szły szerzące się, stopnie potwórne, z granitu
Na krok dwu sążniowy kute.

Sfinx różowy, z marmurów zielonych Bogini.
Strzegły ich, i tym powiek niemogły płomienne
Przymrużyć wichry z pustyni.
Nawy szeroką piersią do portu wpływały,
Siedząc olbrzymie miasto nad morskiemi wały,
Myło w nich stopy kamienne.

Zdala zabójczem tchnieniem ryczał Semun dziki.
Chrzęszczały łuski, tarte o białe kamyki,
Pod krokodylów brzuchami,

Wzniosły się jednym tryskiem siwe obeliski,
J jak tygrysia skóra żółty, wpływał bliski
Nil, nakrapiany wyspami.
Król gwiazd szedł na spoczynek, a morze w pogodzie,
Ten krąg z żywego złota odbijało w wodzie,
Tę świata naszego duszę.
Błysły śród świetnéj fali i na krwawém niebie,
Dwa słońca, jak królowie idący do siebie
Przyjazne zawrzeć sojusze.
»Gdzież się zatrzymać»? spytał głos idący z chmury,
»Szukaj«....i aż Taboru zatrzęsły się góry.

V.

Piasek i piasek znowu,
Straszne głuche pustynie
Potworów tu obłowu
Kto uszedł, w zaspach ginie.
Tu nic nie stoi stale,
Gdy ryknie wiatr zuchwale,
Wnet gnany jakby fale,
Grzbiet gór piaszczystych płynie.
W tém miejscu sępów żyru,
Brzmi czasem głos nieznany;
Od Membry i Ofiru
Przechodzą karawany;
Wzrok ściga je ciekawie
Gdy orszak ciągnie żwawie
Po wrzących piasków lawie,
Jakby wąż nakrapiany.
Bóg martwe te pustynie
Pod władzę swą wziąźć raczył,
On środek téj dziedzinie,
On krańce jéj oznaczył.
Mgłę zawsze widzieć możem,
Nad wrzącém jéj przestworzem
Lecz tylko nad tém morzem
Z popiołów piana płynie.
Czyż tę pustynię w morze zmienić? Chmura bada,
»Daléj! tak jéj głos drugi z nieba odpowiada.

VI.

Jak ogromna, śród morza stercząca opoka
Lub nawał wież, okropném zwalonych wstrząśnieniem,
Tak Babel pusta, szeroka,
Zadziwiający świadek nicości człowieka,
Tłumiąc światło xiężyca, okrywa z daleka
Cztery góry swoim cieniem.
Nurzał się gmach zwalony w głębokich przestrzeniach,
A uragany w jego więzione sklepieniach
Wydawały dziwne tony.
Niegdyś blisko ród ludzki gwarzył; mury swemi
Miała kiedyś roztoczyć Babel w koło ziemi,
Zakręt niczem niezmierzony.
Jéj schody miały dumnie wzbić się do Zenitu,
A do nich wielkie góry, bokiem swym z granitu
Stopień tylko dostarczały.
Na dawnych szczytach, szczyty natłaczane nowe,
Piramidalnéj wieży przykrywając głowę,
Nieustannie przybywały.

Mniejszemi się wydając z dołu od jaszczurów,
Boasy, krokodyle, widzialne z tych murów
Śród brył olbrzymich zaległy.
W zbyt obszernym zakresie ginące zastępy
Palm wyniosłych, co czoła owéj wieży strzegły,
Zdają się jakby ziół kępy.

Koło rozpadlin muru dziki zwierz się czaił,
Śród słupów i pilastrów na placu obszernym,
Gęsty las cieniem zagaił.
Rudych orłów i sępów roje, bez ustanku
Noc i dzień przy otwartym krążyły krużganku,
Jakby przed ulem niezmiernym.

—Czy to mam zniszczyć? chmura zadaje pytanie.
Leć! — J dokądże jeszcze unosisz mnie Panie?

VII.

Widok dwóch obcych grodów przed oczy nam stawa.
Piętra kładąc na piętrach wzbiły się w obłoki,
Teraz widać je śpiące śród nocnéj pomroki,
Usnął ich lud i Bogi i wozy i wrzawa.
Pokładły się jak bracia na jedno nadbrzeże.
Xiężycem odkreślony cień, kąpie ich wieże.
W różnych przedmiotów tłoku, może dostrzedz oko
Wodociąg, schody, słupy, z podstawą szeroką

Wydęte kapitele; tu w niekształtnem gronie,
Wielką kopułę niosą granitowe słonie,
Tam kolossy patrzące w potwory źle sprzęgłe,
Pełzające i z związków ohydnych wylęgłe.
Tam w kwiatach sad na śmiałych wiszący arkadach,
W nim xiężyc szarfę srebrną rzuca po kaskadach.
W świątyni wykładanéj drogiemi flizami,
Sto bałwanów z jaspisu grozi byków łbami.
Sufity z jednéj talli nakrywają sale,
A w nich, głów kolossalnych nie podnosząc wcale,
Czuwają, patrząc w siebie i zasiadłszy w gronie,
Bożki z spiżu, wspierając o kolana dłonie.
Te stopnie, te pałace, te przechody tajne,
W których wszędzie postaci straszą nadzwyczajne.
Ten most, wodociąg, łuki, tę wieże okrągłe,
Męczą wzrok przez zakrętów przeglądanie ciągłe.
Na niebie tak te gmachy posępne sterczały,
Jak w morzu sterczeć zwykły przylądki i skały.
Tłok przedmiotów okrytych ciemności ogromem
Jskrzyło się gwiazdami niebo nad poziomem,
J przez tysiączne przerwy stojącéj osłonki,
Swieciło jak z pomiędzy tła czarnéj koronki.

Grody piekielne, w żądzach niepowściągłe plemię!
Tam z każdą chwilą nowa roskosz się uśmiecha!
Tajemnicę nieczystą, kryje każda strzecha,
J jakby wrzód podwójny bezeciły ziemię.
Spało wszystko! Nad obu miast przestrzenią całą,
Tylko niekiedy blade światło się migało:
Lampy rozpusty, w samém zatleniu tłumione,
Gasnące ognie biesiad, bez ładu rzucone.
Róg ulic cienie zmniejszał, bo go Xiężyc zbielił
J tak zbielony w wodzie strumienia odstrzelił.
Kto wie czyli wątpliwie nie był dosłyszany
Szmer złączonych uścisków i oddech zmięszany,
Kiedy dwa bratnie grody po dziennem znużeniu,
Gwarzyły, spoczywając w lubém uściśnieniu,
A wiatr wzdychając w chłodzie świeżéj Sykomory,
Tchnący wonią, z Sodomy śpieszył do Gomory.
Naówczas to przemijał obłok zaczerniony,
»Tu kres« ozwał się z nieba głos w niém utajony.

(Dokończenie w następującym zeszycie)

GOETHE.

(Ciąg dalszy)

Gdy powrócił do ojczyzny, zastał znacznie już posuniętą fermentacyą umysłów. Od rozpraw teoretycznych, przeszli do usiłowań. Ktokolwiek miał zdolność do pisania, znajdował zachętę u drugich. Współubieganie, może nawet zbyteczne, lecz przychylne oryginalności talentu, każdemu nadawało pewną wagę. Cała młodzież nie miała innego przewodnika, prócz natchnień wrodzonego smaku i charakteru. Tak to rozpoczęła się ta sławna epoka literatury niemieckiéj, okrzyczana od jednych, wychwalana przez drugich w któréj dobre użycie zdolności, musiało przynieść najpiękniejsze owoce, złe zaś użycie, musiało sprawić najzgubniejsze skutki. Korzystając z powszechnego popędu, Klopstock, który przez swoje poema religijne i ody, potężnie się do niego przyłożył, ogłosił prenumeratę na swoję Rzeczpospolitą Nauk i zamierzył sobie w tém dziele ustalić prawidła smaku i poezyi. Praca jego mały skutek sprawiła, z powodu ciemności stylu autora. Lessyng ze swojéj strony, usiłował utworzyć teatr narodowy, a chociaż sam nie zdziałał rewolucyi dramatycznéj, pożądaną ją uczynił. Jego sztuki nadały niemieckiéj scenie jakiżkolwiek wyraz; zaczęto na nią więcéj uczęszczać. Lecz naówczas zatrwożyli się poważni ludzie i powstali gwałtownie przeciw teatralnéj zabawie, jako nagannéj i niemoralnéj. Dla rozproszenia ich obawy, zaczęto pisać sztuki tak zwane moralne. I natychmiast, mimo użalania się wielu osób, zagarnęli teatr wdzięczni synowie, ojcowie rodzin, dobrzy pastorowie: nauki w rozmowach, zdolne przywieśdź do upadku teatr i na śmierć widzów znudzić.

Goethe wyżéj się wzniósł; uwielbianie Szekspira, rozszerzyło zakres jego wyobrażeń. Teatr wydawał mu się za nazbyt ciasny, zwyczajny przeciąg wystawienia za nazbyt krótki, żeby wystarczyć mógł do rozwinięcia wielkiego dzieła, nad którém od tak dawna rozmyślał. Kreśląc charakter prawego Goetza z Berlichingen, chciał zachować całą ważność historyczną jego życia. Wyobraźnia Goethego rozszerzyła się wraz z przedmiotem i nareście formy dramatyczne które przyjął, prze-

stąpiły zakres sceny i zbliżyły się do form powieści wystawionej w działaniu.

Pódówczas, umysły młodzieży, zwróciły się do rozstrząsania praw politycznych. Poezya z zapałem wmieszała się do tych sporów. »Co do mnie, mówi Goethe, wrażenia, stosujące się do panującego ducha czasu, umieściłem wkrótce potém w mej sztuce. Wystawiłem obłąkanie prawego człowieka, który uwiedziony przesądami swego wieku, wynosi się nad prawa, nierostropnie wdaje się w walkę z władzą publiczną i nareszcie wpada w rozpacz, gdy najwyższy naczelnik państwa, jedyna władza którą zna i szanuje, postępuje z nim jak z buntownikiem.

Jak wspomnieliśmy wyżéj, zajął się tém dziełem powróciwszy do ojczystego miasta i sześć tygodni czasu wystarczyło mu do ukończenia sztuki.

Przejrzawszy ją z kilkoma przyjaciołmi, wydał na widok publiczny. Wkrótce sprawiła pożądany skutek. Wziętość jéj nawet tak była nagła i powszechna, że wkrótce wyprzedano pierwszą edycyą. Zastanawiając się nad dziełem samém, chwała Goethego musiała bydź świetną, lecz zwracając uwagę na wiek autora, jakże musiała wzrosnąć w oczach jego współziomków! W rzeczy samej, że w tym wieku napisał Werthera, jest to bez wątpienia wyraźne znamie geniuszu: lecz raz je uznawszy, nic nie znajduje się w pomyśle takowego dzieła, w dwudziestym roku życia, coby obalało przyrodzony porządek rzeczy. Wszystko przeciwnie nosi w niém cechę młodości: gorący entuzyazm, zapał duszy, przesada uczuć, są to wrodzone przymioty i wady pisarza, doświadczającego sił swoich; a jeżeli znajdujemy w Wertherze liczne i wydatne dowody głębokiéj znajomości serca ludzkiego i to jeszcze nie powinno zadziwiać: człowiek wystawiony jest w nim, jako wychodzący dopiero z powicia dzieciństwa i stawiający pierwsze kroki w zawodzie życia. Lecz to powinno wzniecić zadziwienie do najwyższego stopnia, że Goethe wówczas mógł napisać taką dramę, jaką jest Goetz z Berlichingen, że utworzenie jéj poprzedziło Werthera. Ściśle biorąc rzeczy, możnaby jeszcze pojąć, że gruntowną odebrawszy edukacyą i posiadając takt historyczny, mógł Goethe wcześnie poznać historyą średniego wieku i uczenie nad instytucyami swej epoki rozprawiać. Nie raz się to zdarzało. Lecz, że obok tych wiadomości, posiadał wyobraźnią tak żywą i płodną, że z materyałów suchych, niekształtnych, różnorodnych, utworzył harmonijną i ożywioną całość; a jednakże tyle umiarkowaną, iż do ściśléj rzeczywistości nic romansowego i fałszywego nie przymięszał; jest to zaiste bezprzykładną i niesłychaną rzeczą, pewnym rodzajem cudu, w któren tylko wolno jest wierzyć, bez odgadywania jego powodów.

Teraz odmawiają Goetzowi nazwiska sztuki teatralnéj, nie tak dla zgwałcenia prawideł jedności miejsca i czasu, które już się przykrzyć zaczynają, a których autorowie łatwoby się pozbyć mogli, gdyby po większéj części, sami się ich dobrowolnie nie trzymali, dla tego że są dogodne, jak raczéj dla długości całego dzieła, co przy małém rozwinięciu każdéj sceny, wystawienie téj sztuki dwakroć trudzącemby uczyniło. Sam Goethe był tego zdania; jakoż nie pozwolił wystawić jéj aż dopiero wtenczas gdy ją zastósował do sceny. Co nastąpiło w 1804. Lecz odtąd Niemcy widzą ją z upodobaniem.

Z tém wszystkiem, mówiąc o samém czytaniu, gdyż pod tę tylko próbę możemy poddać dzieło Goethego; musimy się żalić na zupełny brak rozwinięcia w szczegółach. Bez wątpienia, każden z głównych zarysów jawnie jest oznaczony, lecz przedział między liniami często jest próżny i zamiast obrazu mamy tylko lekki szkic przed oczyma: nic zapewne nie ma tam zbytecznego, lecz częstokroć żałujemy, że nie ma więcéj: nigdy kolory nie są fałszywe, lecz się wydają nieco blade. Zaledwie od tego zarzutu możnaby wyłączyć akt piąty najlepiéj wykończony.

Pomimo tych wszystkich zarzutów, jakiekolwiek nazwisko nadamy Goetzowi, umieszcza on jednakże Goethego na najwyższym stopniu; wszystko zadziwia w téj sztuce, nawet same błędy, gdy pomyślimy sobie, że to jest praca młodzieńca.

Okazanie się Goetza było hasłem obudzenia się sztuki dramatycznéj w Niemczech. Ustaliło to wyobrażenie sprawiedliwe, lecz jeszcze wątpliwe naówczas, że jeźli starożytni wystawiali starożytne wieki, my tegocześni powinniśmy za ich przykładem, (i jest to jedyny sposób naśladownictwa) wystawiać nowożytną Europę, tę cywilizacyą na łonie chrystyanizmu zrodzoną i rozwiniętą przeciągiem wieków średnich. W gruncie rzeczy, nowa poezya romantyczną nazwana, jest tylko wyrażeniem téj myśli, zarazem tak prostéj i tak prawdziwéj. Lecz to, co w poprzednich epokach i w innych krajach, w ręku Petrarka, Danta, Szekspira i Miltona zrobiło się dobrowolnie, za natchnieniem natury i rzeczywistości, systematycznie odnowionem zostało w Niemczech, za pomocą zdrowszéj krytyki, lecz także z nieskończenie mniejszą prawdą i dzielnością. Wten-

czas okazały się prawidła nowéj poetyki wynikającéj z poezyi wieków średnich i w pewnym względzie na jéj kształtach utworzone. A jeźli jest sztuka, w któréj trzymano się prawideł téj poetyki albo raczéj wzniesiono ją do wysokiego stopnia ścisłości, to zapewne Goetz z Berlichingen. Wieki średnie tak są jawnie i głęboko w tém dziele wystawione, że odtąd, systemat klassyczny, naśladownictwa i pożyczania, ustąpić musiał ze sceny niemieckiéj. Przykład Goethego, zniewolił wszystkich poetów do czerpania ze źródeł średnich wieków, przedmiotów zastósowanych do naszych obyczajów. Goetz z Berlichengen taki wpływ w Niemczech wywierał; a wpływ ten jakkolwiek zbytecznym bydź się wydaje, nie ograniczył się na samych Niemcach i w zakresie teatralnym. Zdaje się, że WalterSkott, stając na granicach tego rodzaju i innego obszerniejszego jeszcze, winien jest Goethemu pomysł swoich historycznych obrazów. Przynajmniéj przełożył go w młodości i znajdujemy w Jwanhoe scenę wiernie naśladowaną z Goethego, najpiękniejszą ze wszystkich jego utworów: Selbitz raniony, rozkazujący żołnierzowi aby mu walkę opisał, nazbyt jest podobny do rycerza Jwanhoe słuchającego Rebeki, aby to przypuszczenie nie zamieniło się w pewność. Oprócz tego, nie jest to jedyny hołd który poeta szkocki oddał Goethemu; wspomnę późniéj o innych jeszcze więcéj uderzających. Naśladowania te, nie są kradzieżą: dobra wspólne są między ludźmi z geniuszem. Jedyném prawidłem jest, umieć z nich przyzwoicie korzystać, a WalterSkott bardzo dobrze tę sztukę posiadał.

Pośród tak nadzwyczajnego położenia, uczuł w duszy swojéj młody Goethe, podwojoną skłonność do naturalnéj mu smętności, może z powodu wspomnień ostatniéj miłości tak nieszczęśliwie rozwiązanéj, może przez czytanie posępnych poezyi angielskich w modzie naówczas będących, może, jak zwykle w jego wieku, przesycony życiem, którego zewnątrz rozwinąć nie mógł, doznawał ciągłego niesmaku we wszystkiém, i stroniąc od społeczności, zawierał się z przykrością w sobie samym. Taki stan, tém przykrzejszy, iż przyczyny jego dociec nie mógł, trwał przez czas niejaki; aby wyjść z niego, chciał sobie życie odebrać. Uleczył go widok narzędzia zabójczego, a wkrótce odzyskał nad swoją wyobraźnią tyle mocy, iż zapragnął odmalować nudy, które go dręczyły. Nieprzewidziane zdarzenie podało mu tło do pożądanego przedsięwzięcia. Mówię tu o dobrowolnéj śmierci młodego Jeruzalem; syna poety tegoż nazwiska. Śmierć jego zrządzona przez miłość ku żonie jednego z przyjaciół, zrobiła na Goethem wielkie wrażenie. Materyały przez niego przygotowane, jakby same przez się złączyły się w całość. Co się tycze sposobu, jakim się wziął do wykonania, tak o nim mówi: »Dzieło którém się zająć miałem, natchnione tragicznym zgonem znajomego młodzieńca, i przez podobieństwo z mojém położeniem, musiało mieć ten zapał prawdziwy, który w płód poetyczny całe życie rzeczywistości przelewa. Zamknąłem się i nie przyjmowałem nawet przyjaciół. Odłożywszy na bok, wszystko, co się nie łączyło bezpośrednio z moim przedmiotem, usiłowałem przeciwnie gromadzić wszystko, co z nim najmniejszy miało stosunek. Wystawiłem sobie żywo przeszłe wypadki i wszystko czegom był jeszcze wyobraźnią moją nie objął. Pod wpływem tylu okoliczności i po przygotowaniach zwolna i potajemnie uczynionych, napisałem Werthera w czterech tygodniach, nie zrobiwszy wprzódy żadnego planu, żadnego zarysu dzieła. Zaledwie go na czysto przepisano, posłano go księgarzowi, wydrukowano i ogłoszono. »Ta książeczka, mówi sam Goethe, sprawiła nadzwyczajne wrażenie; przyczyna tego jest bardzo prosta; wyszła w swoim czasie. Minę mocno nabitą, zapala najmniejsza iskierka. Werther był tą iskierką. Przesadzone żądania, niespokojne namiętności, cierpienia urojone, dręczyły umysły wszystkich. Werther był wiernym obrazem powszechnéj choroby; wybuch był zatém nagły i okropny. Uwodzono się nim nawet, a skutki jego podwajał niedorzeczny przesąd, podług którego nauczanie jest rzeczą zgodną z powołaniem autora. Zapomniano, że ten który opowiada, nie pochwala ani gani, lecz usiłuje rozwinąć po prostu bieg uczuć i czynów. Tym to sposobem oświeca, a do czytelnika należy zastanawiać się i sądzić.» Romans ten znajomy jest wszystkim; wielu odczytywało go po sto razy. Ale jak się często zdarza i jak Goethe sam nad tém ubolewa, ludzie zamieniają natychmiast dzieło sztuki w katechizm filozoficzny. Liczni zapaleńcy wzięli Werthera za wizerunek ludzkości, narzekania jakie na nim namiętność wymusza, przeistoczyli w swoich umysłach w normę postępowania, którą głośno wyznawali i którą niektórzy z nich wykonywać zaczęli, odbierając sobie życie nie wiedząc dla czego.

(Dalszy ciąg nastąpi)

WYDAWCA F. S. DMOCHOWSKI.
w Drukarni przy Ulicy Nowo-Senatorskiéj Nro 476 Lit. D.

MALARSTWO.



KRAJOBRAZ PRZEZ P: BRASCASSAT.

Między znamienitemi artystami europejskiemi: zajął teraz miejsce pan Brascassat, jako malarz krajowidoków. Jeden z jego obrazów, dany w roku zeszłym na wystawę sztuk pięknych w Paryżu, zyskał powszechną pochwałę. Umieszczamy jego kopią, z której chociaż słabe wyobrażenie powezmą miłośnicy sztuk pięknych o zaletach oryginału.

LISTY X. ALBERTRANDEGO.

Uczony badacz starożytności, xiądz Albetrandy, wysłany był do Szwecyi dla przejrzenia tamecznych bibliotek i archiwów, gdzie znajduje się mnóstwo dzieł i aktów, które Szwedzi zabrali i wywieźli podczas wojen za Jana Kazimierza. X. Albetrandy drogę swoją obrócił na Berlin i Hamburg, zkąd dopiero morzem popłynął do Szwecyi. Przez ciąg podróży i pobytu swego w tym kraju, korrespondował z Piusem Kicińskim. Wyjątki z tej korrespondencyi umieścimy w Muzeum, są bowiem szacowną pamiątką zasłużonego i znakomitego męża w zawodzie naukowym i obejmują zajmujące szczegóły o ówczasowym stanie krajów, które zwiedził X. Albertrandy, oraz o bibliotekach i archiwach Szwecyi.

I.

Kwapię się z używaniem danego mi pozwolenia nadgłoszenia się czasem JWPanu Dobrodziejowi i oznajmienia mu o przygodach mojej podróży. Była ona dotąd dosyć pomyślna. Zabawiłem w Frankfurcie nad Odrą godzin 19 i ten czas przepędziłem na oglądaniu tamecznych ciekawości.

Frankfurt nad Odrą miasto jest wielkie, dobrze położone, ulice i domy dosyć pię-

skne mające, domy prawie wszystkie z Puczka są murowane, tych nawet których facyata z ulicy jest cała murowana, większa część wewnątrz z przedziałów drewnianych trybem Pruskim jest zabudowana. Kościół tego miasta główniejszy ogromnej jest wilkości, architektury gotyckiej, ale już się do gustu dobrego skłaniającej. Wnętrzna część onego, oprócz głównej nawy, ma dwa krzydła, a za niemi kaplice i chór, który w koło jak po starodawnych nie przerobionych kościołach naszych obejść można. Widok wnętrzny tego kościoła przytrudny jest, dla niezmiernego mnóstwa ław, ławek, stołeczków; któremi zwyczajem Protestantów, jest całe zarzucony. Chór oddzielony jest kratą od reszty kościoła i ma przed kratą ołtarz do zwykłych obrządków służący. Chór sam słusznego kościoła jest wielkości, na ołtarzu obraz ma snycerską robotą Najświętszéj Panny, i z obudwóch stron starożytne na dnach złocistych malowania tym podobne, które w Sredzie w W. Polszcze widziałem, i które zapewne są kończącego się wieku czternastego. Kaplice dziś opuszczone, wiele katolictwa znaków zachowują, w jednéj z nich złożone jest mnóstwo wielkie obrazów, tych pewnie, które się mniéj z protestantów prawidłami i sposobem myśleniazgadzają. Trzy wielkie okna, oprócz innych, są w tym kościele od wierzchu do dołu ozdobione szybami mulowanemi starożytną robotą, któréj zatracony dziś jest, albo raczéj zarzucony sekret. Malowanie wyraża rozmaite z pisma świętego i z dziejów kościelnych historye. Zdało mi się widzieć niektóre obrazy do życia Sgo Antoniego pustelnika należące. Liczba grobowców w tym kościele przewyższa pojęcie, ale między niemi nic nie znalazłem, coby mnie interesować mogło, nic coby człowieka powszechnie znajomego i wielką sławą zaszczyconego przypominało. Jednakże niektóre grobowce mają malowania nie pospolite, i między niemi zdało mi się widzieć obraz jeden Alberta Durera, jeden Holbeina albo przynajmniéj ich uczniów, i perspektywę bardzo kształtną, która, ile o tych rzeczach sądzić mogę, jest starego Brilla. Z obrazów w tym kościele zawartych, dobre z średniemi i podłemi łącząc, możnaby złożyć galeryą, któraby początek biorąc od końca wieku dwunastego, mogła dosięgnąć naszego wieku. Opuścić nie mogę obraz w Berlinie świeżo malowany, podłużny w poprzek kwadratowy, wyrażający ten moment, którego dla ratowania w powodzi obywatelów, zatopiony xiąże Leopold Brunświcki był znaleziony. Obraz ten stawia wszystkich przy téj okropnéj scenie znajdujących się aktorów portrety, wyrazy są żywe, skład dosyć dobrze ułożony. Zawieszony jest w kościele dla pamiątki dzieła, ale grobu tego xiążęcia w nim nie masz. Pulpit śpiewaków cały jest bronzowy wielkości ogromnéj, okazujący swojemi ozdobami, iż niegdyś od katolików był użyty. Chrzcielnica także bronzowa, od kościoła dawniejsza bydź musi, ponieważ wiek barbarzyński i kunsztów zupełne zaniedbanie okazuje. Nic w tym kościele nie masz, z czegoby się domyśléć można było, iżby niegdyś do jakiego zgromadzenia zakonnego należał, malowanie okien, ozdoby pulpitu i chrzcielnicy, raczéj trzymać każą, iż tu przed tye, kollegiata była. Cycerony Frankfurtskim (moim Cyceronem i najemnym razem sługą był Żyd) wodząc po mieście cudzoziemca, koniecznie go do grobowcu Kleista na cmentarzu pewnego kościoła prowadzą. Jest to trzygraniasty obeliszek albo chuda pyramida kamienna, podstawę takąż mająca z trzema napisami, na główniejszéj stronie napis jest francuzki, drugi łaciński od Fran-massonów przypisany, trzeci Niemieckim rymem bardzo kształtnym ułożony, wierszopisa i wojownika tego pochwały zawierający. Wyżéj francuzkiego napisu na saméj piramidzie jest portret Kleista w medallionie zawarty.

Od grobu Kleista prowadzą obcych do monumentu xiążęcia Leopolda Brunświckiego, wystawionego za miastem, na tym miejscu, gdzie ciało jego było znalezione. Ludzkość, stałość, i nie pamiętam jaka trzecia cnota, utrzymujące na głowach swych urnę, (próżną, bo ciało jest gdzie indziéj złożone) formują zbiór figur kształtnych w prawdzie, ale trzycielną Hekutę nadto przypominających, i nadto tę wadę mających, iż dla trzygraniastego kształtu pojedynczo tylko widziane bydź mogą. Główniejsza strona stawia przed oczy geniusz miasta wieniec około urny zawieszający; pełen ognia i żywości, z téjże strony geniusz rzeki Odry wstyd i rozpacz najdoskonaléj wyraża. Medallion xiążęcia pod urną nie dosyć jest wypukły. Pod medallionem jest napis krótki łaciński, a z drugiéj strony długi niemiecki, opisanie przypadku dla którego ten monument był postawiony wyrażający. Katolicy Frankforccy mają za co wielbić pamiątkę tego xiążęcia, ponieważ z jego łaski i starania kościół w Frankfurcie posiadają.

(Dalszy ciąg nastąpi)

MECHMET ALI
BASZA EGIPTU.

Mehmet Ali, urodził się w Cavalla w Romelii, za młodu wszedł w służbę rządcy tego miasta, i był poborcą podatków. Nabył znaczenia na tym urzędzie, ożenił się bogato i otrzymał stopień bimbaszego, czyli dowódzcy batalionu z trzechset ludzi, których jego powiat dostarczył do wojska wysłanego do Egiptu, przeciw Francuzom w 1798. Od chwili wylądowania na tę ziemię, która miała bydź teatrem jego chwały i potęgi, szczęście sprzyjało mu bez przerwy.

Turcy i Mamelucy spór wiedli o panowanie nad Egiptem. Mehmet-Ali podżegał ich niezgody i osłabiał jednych przez drugich, a przez to sam się wyniósł. Wysłany na czele oddziału Turków przeciw Mamelukom, złączył się z niemi, wszedł do Kairu, wypędził rządzcę od którego dzierżył swoją władzę, potém z kolei wypędził Mameluków i przywołał rządzcę. Wkrótce podniecił rozruch i stanął na miejscu dawnego rządzcy. Te obroty trwały lat kilkanaście, w ciągu których zwalczył większą część przeszkód i nareście otrzymał od sułtana inwestyturę na wicekrólestwo Egiptu.

Jednakże, zastarzała zazdrość panowała między bejami Mameluków i Baszą. Po długim ciągu kroków nieprzyjacielskich i obłudnych pojednań, okazał im oznaki jak najszczerszego przywiązania, i dla dokonania zgody, zaprosił ich na świetną ucztę do cytadelli, daną z powodu wyjazdu swego syna do Mekki. Siedząc na wspaniałych rumakach i wspaniale przybrani, bejowie, wjechali bez nieufności, w liczbie trzechset, w krętą ścieszkę prowadzącą do fortecy. Ta ścieszka wykuta między skałami, tak jest szczupła, iż zaledwie dwóch jezdzców jechać może obok siebie. Grube bramy broniące wstępu, zamknięto za długim szeregiem Mameluków; zamknięto także bramy cytadelli, a za danym znakiem Albańczykowie ukryci za blankami, na wałach i na wieżach, rozpoczęli straszliwy ogień. Daremny był opór i rozpacz bejów. W kilka chwil zabito wszystkich. Ta rzeź zniszczyła zupełnie władzę Mameluków; rozpierzchli się po zgonie wodzów.

Odtąd, Mehmed Ali panował bez rywalów; pozbył się Mameluków tak, jak później Mahmud pozbył się janczarów i odtąd jego niezłomna wola jedyny tylko cel miała, to jest cywilizacyą Egiptu. Chwała wojenna jest dzielną pomocą dla założyciela państwa; pozyskał ją władzca Egiptu, przez pokonanie Wehabitów, tych sektarzy arabskich, którzy zajęli Mekkę Medynę, tylokrotnie oparli się wojskom Turków i Persów, i na chwilę zagrozili upadkiem Islamizmowi. Mehmed Ali zmusił ich do opuszczenia Syryi, po tém wypędził ich z Mekki i z Medyny, a przez odzyskanie tych miast, zjednał sobie szacunek i cześć Muzułmanów. Jego syn, Ibrahim basza, zadał potém ostatnie ciosy Wehabitom; od téj wyprawy zaczęła się jego sława.

Skoro tylko objął władzę, basza Egiptu usiłował urządzić po Europejsku bataliony albańskie i tureckie, lecz nie mogąc zniewolić je do zachowania karności, utworzył wojsko z mieszkańców Egiptu. Stanowi żołnierskiemu nadał rozmaite przywileje. Przywołał do siebie mnóstwo światłych i utalentowanych Europejczyków. Znalazł między niemi wielu oficerów instruktorów, którzy wyćwiczyli mu regularne wojsko, cel wszystkich jego życzeń. Basza Egiptu nie ograniczył się na wojsku lądowém, chciał także mieć flottę i dzięki wytrwałości swoiéj, dopełnił tego cudu. Inżynier francuzki pan Cerisi, najbardziéj przyłożył się do uskutecznienia tak olbrzymiego dzieła. Marynarka egipska składa się teraz z 6 liniowych okrętów, 5 wielkich fregat, 8 brygów, 6 palnych statków i 30 przewozowych.

Handel, rolnictwo i przemysł są także przedmiotem troskliwości Mehmeda Alego widzi bowiem że w nich jedynie znajdzie śródki do utrzymania flotty i wojska. Negocyant francuzki pan Jumel, wprowadziwszy na brzegi Nilu uprawę bawełny Brazylijskiéj, podał Wicekrólowi nowe śródki zasiłku, gdyż podatki i monopolia, któremi obarczył Egipcyan, byłyby wkrótce do ostatku kraj wycieńczyły.

Podróżnicy europejscy, którzy zwiedzili Egipt, nie zgadzają się w zdaniach swoich, o postępowaniu Mehmeta Ali. Jedni widząc gmachy, rękodzielnie publiczne, prace przez niego dokonane, porządek zaprowadzony w kraju, względy dla cudzoziemców, zachęcanie sztuk i nauk, warsztaty do budowy okrętów, ludwisarnie, telegrafy, kanały, wysławiają jego geniusz; drudzy zwracając uwagę na nędzę i ucisk, w jakiéj pogrążona jest większa część mieszkańców, twierdzą, że tylko duma i żądza osobistego wywyższenia się, jest pobudką tych wszystkich prac Baszy Egiptu i że ta budowa będąca niezręcznem naśladowaniem cywilizacyi Europejskiéj, nie oparta na dobrym bycie i pomyślności kraju, wkrótce pod własnym ciężarem runąć musi. Cóżkolwiek bądź. Mehmet Ali zawsze zostawi po sobie wsławione imie i uważany będzie jako człowiek ze znakomitym umysłem.



MECHMET ALI.

OGIEŃ Z NIEBA.

(Dokończenie.)

VIII.

Grzmi chmura i pryska,
Z niéj płomień wytryska
J boki jéj rwie,
Siarczysta z nim fala
Na przepaść się zwala
Na mury się drze;
J tocząc się lawą,
Odbija jaskrawo,
Na białém ich tle.

Gomoro! Sodomo!
Paląc-ż się słomą,
Pokryty wasz gród?
Ta chmura płomienna,
To kara niezmienna,
Na grzeszny wasz lud.
Z jéj paszczy szerokiéj,
Na was to potoki
Tych siarczystych wód.

Ten lud dni swe przeżył,
Co wczoraj nie wierzył
Że skarze go Bóg.
Jch domy w proch poszły,
Jch wozy, nie doszły
Wskazanych im dróg.
W ulicach płomienie,
Spłynęły w strumienie,
Któż przebrnąć je mógł!

Na wzniosły szczyt wieży,
Strwożony tłum bieży;
W niéj schronić się chcą,
Gdy inni tam zbiegli
Snem wiecznym już legli,
J zmarli choć śpią.
Tak mrówki, co siły
J na mur pochyły,
Za żerem się pną.

Lecz kto uciec zdoła,
Kiedy Bóg do koła,
Ogniem, gromem dżdży?
Mosty w proch rozciera,
Dachy w pędzie zbiera,
Jakby popiół czczy.
Wszystko niszczy w huku,
Aż na szarym bruku
Szczątek dachu tkwi.

Grzmi potok niezmierny,
Na lud ten niewierny:
Zwala baszty z wież.
Różowo zielona,
Fala rozogniona
Wzdęta wzdłuż i w szerz,
Mur powleka wrzącą
Emaliją lśniącą,
Z swych siarczystych leż.

Głazy z mogił wali,
Agat, porfir pali,

Jakby suchy wrzos.
Z marmuru wzniesiona,
Statua Nabona
Łamie się jak kłos.
Twór snycerzy dumny,
Ozdobne kolumny
Tak płoną jak stos.

Magów tłum zebrany,
Niosąc Bóstw bałwany,
Na góry się piął.
Próżno król ofiary
Próżno jakieś czary
Przy potoku wszczął,
Wnet potok, kościoły
W płomieniste poły,
Swoich ogni wziął.

Dalej gmach porywa,
W którym się ukrywa
Natłoczony lud.
Tam wyspę kamienną
Swę falą płomienną
Sciąga w głębię wód,
Ona z razu płynie.
W tém topniejąc ginie
Jak od słońca lód.

Do wrzącego brzega
Nadkapłan przybiega.
Ofiary nieść chcą.
J z niego ofiara,
Tli mu się Tyara,
Jak przez palne szkło.
Wznosi rękę do niéj,
Ta przylgła na skroni,
J płonie wraz z nią.

Lud pierzcha ze drżeniem,
Bo oczy płomieniem
Oślepione ma;
Pcha się do bram miasta,
Lecz w nim trwoga wzrasta,
Gdy się próżno pcha.
Przeklęci, pobladli,
Myślą że już wpadli,
Aż do piekieł dna.

IX.

Jak śród ciemnego lochu wstaje więzień stary,
By świadkiem być stracenia skazanéj ofiary.
Tak miano widzieć Babel, wspólnicę miast obu
Patrzącą się w ich stronę z nad gór swego grobu,
Słyszano w czasie trwania tajemnego cudu,
Łoskot, który świat cały przestrachem ocucił
Tak okropny, iż nawet spokojność zakłócił,
Żyjącego pod ziemią głuchoniemych ludu.

X.

Ogień był bez litości! Żaden z potępionych
Nie mógł uciec z tych murów zwęglonych, zwapnionych.
A jednak ręce składali do góry,
J ci co się w ostatnim żegnali uścisku
Pytali się, z jakiego Boga to nacisku,
Spłynął wulkan na ich mury.

Widząc oni ten ogień żywy, ogień boski,
Czynili nadaremne w ukryciu się troski.
Umiał Wszechmocny dosiądz za złe sprawy;
Wzywali Bogów swoich; lecz karzącym gromem
Padały nieme Bogi; okiem niewidomém,
Kamienném, leli łzy z lawy.

Już wszystko, krętym wrzącym spalone tumanem,
Znikło.... tak człowiek z grodem, jak i zboże z łanem,
Wszystko Bóg w koło karzący wyplenił,
Z obu grodów nie stało nic o swojéj mocy,
Wiatr nieznany wiejący owéj strasznéj nocy,
Nawet gór postać odmienił.

XI.

Palma, co tém powietrzem ognistém oddycha,
Czuje jak liść jéj żółknie, jak gałęź usycha,
Ani świeżością miłą bawi oczy.
Dawno miast obu nie ma. Przeszłości zwierciadło,
Jezioro, na wygasłych szczątkach się zapadło,
I kłęby siarczyste toczy.

GOETHE.

(Dokończenie.)

Inni, niepokonani wymową młodzieńca, urażeni tém co usłyszeli, wpadli w drugą ostateczność, nazwali Wertera książką, wywracającą wszelką moralność i religią, godną płomieni i dążącą do wyludnienia świata. Spór należał do rzędu tych, w których żadna strona nie wie o co rzecz idzie, i dla tego, pomimo zaciętości nie doprowadził do żadnego rezultatu. Lżono się, zamiast przytaczania dowodów. Francya i Niemcy podzielone były na dwa nieprzyjacielskie stronnictwa: *dusz czułych i głów zimnych.* Nakoniec, utrudzone wojną, zaczęły o czém inném rozprawiać i obadwa na tém zyskały, bo zastanawiając się nad romansem, z krwią zimną lepiéj go oceniły, a nadto, mógł w nim każdy znajdować upodobanie, bez obawy, aby o uczucia jego bohatera był obwiniony. — Widziano w nim wizerunek tych ludzi, którzy obdarzeni mocniejszemi namiętnościami niż charakterem, i właśnie w wieku namiętności rzuceni w odmęt świata, w którym rzeczy nie zawsze najlepiéj są urządzone, zaraz na wstępie tysiącznych doznają przeszkód, a jeszcze szkło powiększające ich wyobraźni nad miarę je pomnaża. Nie mając odwagi do uwolnienia się od nich, a tym mniéj, do ich znoszenia, nienawidzieć zaczynają bliźnich i zatapiają się w samotności. Ale i samo-

tność wkrótce ich utrudza, a przyrodzenie, które im się z razu pięknem zdawało, utraca urok w ich oczach. Kochali go, jakby z rozpaczy i zgryzoty, a miłość taka trwa krótko. Nadto, uprzykrza im się miłość jednostronna, szukają więc przedmiotu, któryby im się wywzajemnił. Napotykają taki przedmiot i jeśli im się sam nie oddaje, tym pewniej sami oddają się jemu, ponieważ przywykli uważać szczęście za niepodobne, a w niełaskawości losu widzą obszerne pole do złorzeczenia społeczności, bo złorzeczenie jest u nich zarówno potrzebne jak miłość. — Dla tego, wszystkie uczucia, wszystkie ich myśli tam się jednoczą, a sami coraz posępniejsi, kończą albo pomięszaniem zmysłów, albo śmiercią. Takim był Werther Goethego; tłumaczono go, a między licznemi, mniéj więcéj szczęśliwemi naśladowcami, wymienić należy pana Chateaubrianda w romansie Réné. Także i parodye miały w Wertherze obfite źródło. Sentymentalny sposób mówienia, stał się do tego stopnia śmieszny, iż sam Goethe, parodyował po swojéj *Manii uczucia*.

Podczas, gdy niektórzy niedorzecznym zapałem uniesieni, zamieniwszy fikcye w rzeczywistość, na powadze romansu albo samobójstwa popełniali, albo onego apostołami się stali, Goethe zamieniwszy rzeczywistość na fikcyę, przestał pragnąć dobrowolnéj śmierci. »Podobny — sam mówi — do grzesznika, który ciężar swoich grzechów na spowiedzi z siebie złożył, uczułem się pełnym siły do rozpoczęcia nowego życia.« Każdy pragnął poznać młodego i oryginalnego pisarza, który na świecie literackim tak nagle i śmiało się zjawił. Każdy chciał go widzieć, z nim mówić. Natłok taki, często przyjemny, częściéj trudzący, zawsze zabierał mu wiele czasu, bo nie brakowało mu już rozpoczętych robot. Z łona spokojności i zaciszy, tych koniecznych warunków płodów umysłowych, przeniesiony został nagle na świat wielki, którego zimna obojętność, pochwała lub nagana, zarówno nas obłąkują.

Sam przyczynił się do opóźnienia swoich ważnych dzieł, improwizując małe poezye w gronie przyjaciół, albo pisząc małe dramy, z przedmiotów, które ich uwagę zwracały. — *Uroczystość jarmaczna*, *Przywidzenie doktora Bauch*; i inne podobne drobnostki, wyszły na świat w tém wesołém gronie, a będąc zagadkami satyrycznemi, do których tylko przyjaciele klucz posiadali, nie mogą wzbudzać powszechnego zajęcia. Pomimo tego, nie zapomniał zupełnie o doktorze Fauście; już bliskim był ukończenia jego planu, gdy udzieliwszy go jednemu z swoich przyjaciół, został przez niego skradziony. Ten mniemany przyjaciel, Wagner, napisał podług jego planu trajedyą: *Dzieciobójczyni*. Ale pocieszyły go trwalsze i prawdziwsze stosunki, między któremi związki z Lawaterem najwięcéj sprawiły mu rozkoszy. — Ten kochający i ukochany uczony udał się był do Niemiec, jedynie w celu poznania najznakomitszych mędrców, i nie zapomniał był o naszym poecie, z którym już dawniéj korespondował, i którego nawet o portret był prosił. W czasie jego pobytu w Niemczech, Goethe był prawie nieodstępnym jego towarzyszem. Zetknięcie się dwóch jeniuszów tak różnych od siebie, było widokiem dosyć dziwacznym. Lawater wierny swemu powołaniu apostolskiemu, usiłował nawrócić Goethego, a ten chronił się jego wpływu, nie obrażając go bynajmniéj.

Xiąże dziedziczny Sasko-Wejmarski i brat jego Konstanty, w przejeździe przez Frankfurt pragnęli go poznać i zaprosili go z sobą do Moguncyi, gdzie przez czas niejaki zabawić się zamierzali. Pomimo oporu ojca, przyjął zaproszenie i tam to umocniły się pierwsze węzły przyjaźni, które miały stanowczy wpływ na resztę jego życia.

Za powrotem do Frankfurtu, napisał w ośmiu dniach, z pisma Bomarszego, komedyą *Klawio*.

Wieku ludzkiego nie należy mierzyć liczbą lat; źle ten postępuje, kto je liczy zwykle, aby się dowiedział czy kto jest młody lub stary. Kto w duszy czytać i zwodniczą powłokę przenikać umie, ten pewniejszéj w téj mierze dojdzie wiadomości, z codziennéj właściwości pomysłów, uczuć i smaku. Nie jeden tym sposobem wybadany, wyda się starym w dwudziestym roku, a inny w sześćdziesiątym wydawać się będzie, jak gdyby był w kwiecie młodości.

Z téj strony rzecz uważając, młodość Goethego trwała krótko. Można ją uczuć jeszcze w pierwszém jego dziele: uniesienia Werthera i gorąca jego wymowa są widoczną tego oznaką. Ale po niesmaku, jaki go zaraz przy wnijściu na świat ogarnia, i po zawczesném odczarowaniu, widzieć można, że go wkrótce ma opuścić; sam blask tego światełka zapowiada, że jest ostatni. I rzeczywiście, toż pióro skreśliło prawie w téjże samej chwili, najbezstronniejszy, najprawdziwszy, najmniej uprzedzony obaz wieku, wolny od błędów jakie młodym pisarzom są zwyczajne, pozbawiony nawet wielu ich przymiotów, obraz w którym rzecz jest wszystkim, a w którym poeta, prócz siebie wszystko odsła-

nia. Jak gdyby na téj widowni świata sam nie był aktorem, przypatruje się grającym role, śmieje się lub płacze podług natury widowiska, i uśmiecha się następnie, że się na chwilęułudził.

Dostąpiwszy tak wcześnie tego stanu, w którym dusza przez jednakową władz walkę, w doskonałéj równowadze zostaje, uczuł Goethe potrzebę opisania takiego stanu. Przedmiot Fausta dziwnie się z nim zgadzał; wziął się więc na nowo do tego przedmiotu i połączył w nim formę dramatu, poematu i romansu. W tym dziwacznym utworze łączą się najwyższe myśli filozoficzne, z najnikczemniejszemi trywialnościami życia, natchnione miejsca liryczne, z płaską gadaniną mieszczanina, najnierozsądniejsze zbytki z widowiskiem morderstwa, największe prawdy w świecie rzeczywistym, z najfantastyczniejszemi i najniedorzeczniejszemi błędami w świecie zabobonnym. A jednak, wszystkie te sprzeczności, małe są, w porównaniu jednéj, na któréj całe dzieło się opiera, i którą Goethe z samego siebie skreślił. Mówię tu o sprzeczności między Faustem, a Mefistofelesem. Aby się w całości wynurzyć, musiał się rozdwoić. Pierwszy wyobraża burzliwość i ogrom jego żądań, drugi wystawia niezmienny i zimny rozum, który mu pokazuje niepodobieństwo ich osiągnienia. W Fauście łączy się cały zapał illuminizmu, w Mefistofelesie cała szydność niedowiarstwa. Pod tym względem, dzieło Goethego jest ukończonym wizerunkiem nietylko jego samego, ale także epoki, w któréj pisał; téj epoki, podzielonéj między mistycyzmem, który chcąc wszystko rozświecić, ułudzonych, przynajmniéj przez wiarę szczęśliwemi czynił, i pustoszącą filozofią, któréj odjemne światło, podobne do ognia Miltona, dozwalało tylko ludziom spostrzegać, że zostają w ciemności. Układ Fausta jest bardzo prosty; dzieli się na dwie części. W pierwszéj, biedny mędrzec, otoczony narzędziami, księgami, flaszeczkami, nadaremnie wzywa umiejętności, aby mu wytłumaczyła niepojętą zagadkę, zwaną światem; obiegłszy do koła wiadomości ludzkie, a nie dowiedziawszy się od nich nic pewnego, uznaje ich czczość i oddaje się rozpaczy. Tymczasem, czarnoxięstwo podaje mu ostatni ratunek, zaspokaja go on zrazu. Ale duch, którego przywołał, odsłania mu jeszcze jaśniej jego słabość; po najwyższym stopniu uniesienia, następuje jak bywa zwykle, zupełne znużenie. Pragnie zakończyć swoje nieszczęście i przytyka do ust napój zatruty. W tém dają się słyszeć śpiewy kolędy; przypominają mu chwile dziecinstwa, dni, w których serce wierzyło jeszcze ich osnowie, a przypomnienie to, jest dla niego miłém ocknieniem po śnie okropnym. Nie ma już odwagi umierać. Szatan korzysta z téj chwili; żartuje z niego że usiłuje dojść prawdy której nie ma, pochlebia jego namiętnościom i zachęca go, aby raczéj życia używał. Faust daje się uwieść, robi z nim ugodę i idzie za nowym przewodnikiem. Tu zaczyna się część druga. Pokazuje w niéj, że człowiekowi równie niepodobna osiągnąć szczęście przez uciechy zmysłowe, jak przez rozum dojść prawdy. Część ta jest może mniej wypracowana niż pierwsza, a nadewszystko, obok obfitego przedmiotu jest może od niéj łatwiejsza, ale niższość tę, którą z resztą mało kto z czytelników uczuwa, wynagradza autor nierównie silniejszém zajęciem. Niezrównana jest naiwność i prostota Małgorzaty, a smutne jéj przeznaczenie rozwija się w scenach, w których Faust i Mefistofeles coraz bardziéj uderzającą przybierają barwę. Sceny, w których istoty cudowne wchodzą na scenę, nie są bez użytku, są nawet potrzebne. — Goethe chcąc wystawić w najwyższym stopniu złe, musiał je wziąźć z innego rodzaju tworów, aby zmniejszyć nieco nieprzyjemność, jaką potwór taki sprawia. Chcąc, aby w niego uwierzono, musiał mu nadadź jaką rzeczywistość. Nie posłużyłyż mu do tego wybornie, czarnoxiężnicy, czarownice i duchy piekielne?

Pośród téj pracy blisko dwuletniéj, wezwał książe Wejmarski Goethego, aby obecnością swoją podwyższył blask jego dworu, gdzie się już znajdowali uczeni niemieccy. Około r. 1775 uczynił zadosyć żądaniu księcia. Mianowany naprzód radcą legacyi, późniéj radcą tajnym, nakoniec zaszczycony szlachectwem, obrał Wejmar za miejsce dozgonnego pobytu.

»Z tamtąd to, jak mówi Pani Stael, rządził duchem swoich spółczesnych, ztamtąd to dzieła jego upoważniały kolejno, lub na wygnanie skazywały, nadużycia sztuki.«

Użył pierwszy raz tego prawa, w sztuce pod tytułem: *Mania czułości.* W niéj powstał przeciw pospolitéj sentymentalności, którą był wzniecił przez swego Werthera. Popełniono liczne samobójstwa, mężczyzni gardzili formami przyjętéj grzeczności, byli ponuremi, ubierali się jak Werther, a kobiety żądały po pracowitych małżonkach takiéj samej sentymentalności. Goethe, na którym takie zarzuty ciężyły, nie mógł się od nich przyjemniej uwolnić, jak w wymienionéj sztuce, któréj nigdy publicznie nie wystawiono.

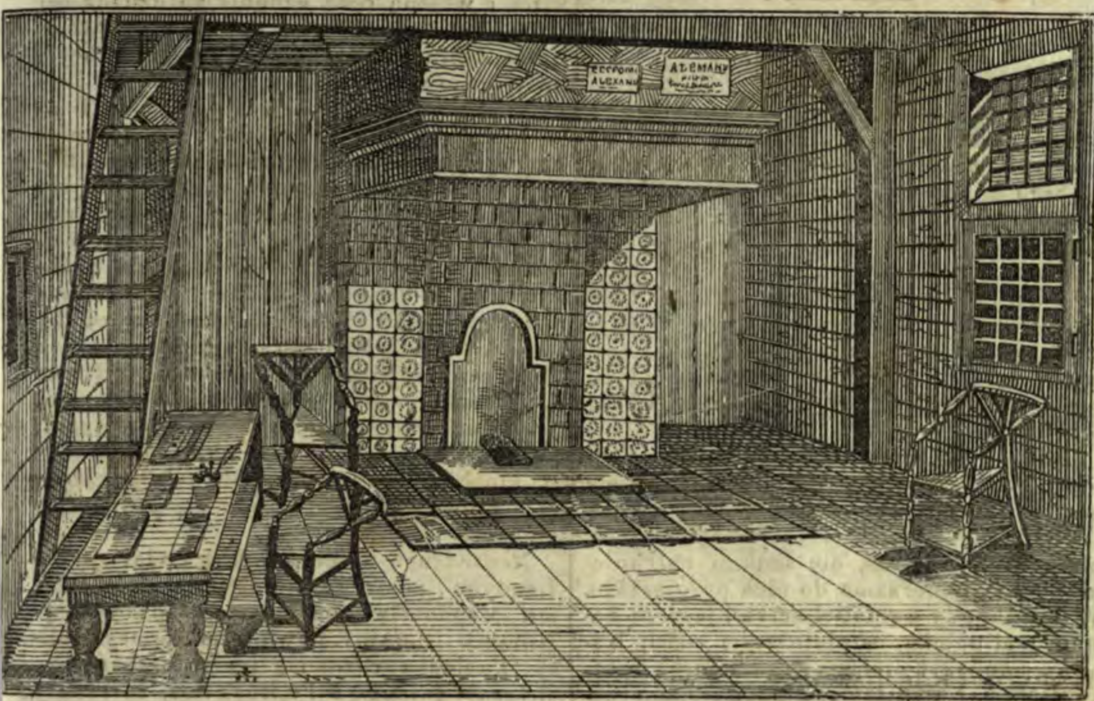
Przyjąwszy zarząd teatru wejmarskiego, napisał dla niego kilka sztuk, najwięcéj o-

per, *Lila*, *Elfenor*, *Żarty*, *Chytrość* i *z miasta*, naśladował z Arystofana *Ptaki*, nakoniec napisał piękną dramę pod tytułem: *Brat* i *Siostra*. Ale większém przedsiewzięciem Goethego było zniszczenie mylnego wpływu jaki na literaturę niemiecką wywierał jeniusz Szekspira i jego własny w trajedyach Goetz i Faust. Napisał w tym celu Jfigenią w Taurydzie. Tak nagłe przejście od chropowatości Szekspira, do form ulanych Sofoklesa, było nieco złośliwe. Przez całe życie zwracał Goethe ziomków swoich z drogi, na którą ich sam wprowadził; własną ręką obalał bożyszcza, którym sam cześć oddawać nakazywał. Ogłoszenie Jfigenii sprawiło konieczny skutek. Był to cios maczugi, który ogłuszył wielbicielów ojca trajedyi romantycznéj. Nie wierzono, iżby Jfigenia mogła bydź siostrą Goetza i Fausta. Z tém wszystkiem, tak była piękna, że ją uwielbiać musiano, a Niemcy, sami nie wiedząc na którą przechylić się stronę, widzieli że ich pozbawiono teoryi drnmatycznéj.

Objętość pisma nie dozwala umieszczać wyjątków z rozbiorów innych pism Goethego, jakoto: hrabia Egmond, Torquato Tasso, Wilhelm Mejster, Herman i Dorota. P. Stapfer powiedziawszy o najświetniejszych pismach Goetego, kończy swoję użyteczną pracę wizerunkiem poety, zdiętym z natury.

»Dusza jego zachowała całą moc wieku młodzieńczego, mówią, że siły fizyczne równie miał dzielne. W 70. roku życia nie miał ani jednego białego włosa. Pewien Francuz odwiedził go niedawno i tak go opisał: »Goethe ma lat przeszło 70. ale wygląda tylko na lat 60. Ma postać Talmy, ale jest od niego lepszéj tuszy i wyższy. Rysy jego twarzy są wielkie i wydatne. Czoło ma wysokie, twarz dosyć szeroką, ale proporcyonalną, usta jego znamionują surowość, oczy ma przenikliwe, cerę śniadą, na twarzy wyraz mocy i rozwagi. Dom jego jest przepyszny; zdaje się, iż dawniéj był kościołem, albo przynajmniéj wystawiony był w miejscu kościoła. Nadedrzwiami ma napis; *Salve*. Przyjął mnie w galeryi ozdobionéj popiersiami. Przechadzaliśmy się w niéj, chód jego jest spokojny i powolny, podobnie jak jego mowa, ale mocne niekiedy gesta wnosić każą, że wewnętrzność jego bardziéj niż zewnętrzność jest poruszona. Rozmowa jego z razu zimna, ożywiła się nieznacznie: zdawało się, iż mu była przyjemną.— Wzrok jego zajaśniał, zaczął używać częstszych i dłuższych okresów. Przez kilka chwil, z ukontentowaniem słuchałem go wynurzającego się chętnie. Stawał, gdy chciał mnie badać, myśl zebrać, wyraz jaki znaleść, lub przykład albo szczegół przytoczyć. Gestów używa rzadko, ale gdy ich używa, są malownicze. Ruch jego jest zwykle poważny, pewny i uderzający. Rozmawiałem z nim blisko przez godzinę i ciągle dziwiłem się jego wielkiemu rozsądkowi. Nie wymówił się z żadném paradoxem, z żadną myślą dziwaczną, chociaż to co mówił, było nowe. Imaginacya jego przebijała się niekiedy. W szczegółach i rozwijaniu myśli okazywał wiele dowcipu. Jest to prawdziwy jeniusz w dziedzinie pomysłów, a rozległość zdaje się bydź charakterystyczną cechą jego umysłu.« Lawater, umieściwszy w dziele swojém twarz Homera obok Goethego, uznał w jednéj i w drugiéj doskonały wyraż jeniuszu poetycznego. I w rzeczy saméj, jeśli właściwą cechą poety jest, wznawianie wiernego obrazu ludzi i rzeczy, które go otaczają, któż ten talent lepiéj nad niego posiadał? Nie skreśliłże w wieku swoim wszystkiego co tego wieku jest własnością? Nie byłże podobnie jak Homer, zwierciadłem, w którém przeglądały się namiętności i pomysły spółczesnych? Nie zaniedbał bez wątpienia niczego ze swojéj strony. Lecz aby wypadek jego pracy był Jlijadą, potrzebował żyć w wieku poetyckim. Wiadomo zaś każdemu, do jakiego stopnia los w tym względzie niełaskawość swoję posunął. Nie przyznają tego jednakże wszyscy, i z tąd poszło, że Goethego niekiedy niesprawiedliwie sądzono. I tak, wielu ubolewa, że nic nowego i oryginalnego nie utworzył. Ale możnaż dzisiaj tworzyć rzeczy nowe? Myśl ludzka uprawiana we wszystkich kierunkach, nie ma ani jednego odcienia, któryby nie był zgłębiony. Droga do niéj podobnie jak w naszéj dawnéj Europie, wszędzie jest ubita, wszędzie na niéj napotykamy towarzyszów. Niepodległość i wybor w naśladowaniu, oto jedyna oryginalność, jakiéj ieszcze od pisarza żądać możemy, a takiéj oryginalności nikt zapewne Goethemu nie zaprzeczy. Jego oryginalności przypisać należy nadzwyczajną rozmaitość talentu, nigdy niewyczerpaną. — Z niéj pochodzi nadzwyczajny wpływ jego na literaturę niemiecką. Na kilka lat przed zgonem Goethe, zatrzymał się w swoim zawodzie; i pamiętniki jego życia zajmowały go wyłącznie. W ostatnią rocznicę jego urodzin, oświecono Frankfurt nad Menem, a tegoż dnia w Berlinie rozpoczęto drukować dzieło, mające obejmować to wszystko, co tylko w Berlinie o nim najlepszego napisano. Kochany był od wielu, ubóstwiany od niektórych: nic mu więc nie brakowało, co jest piętnem geniuszu, nawet potwarców i zazdrosnych.

DOM PIOTRA WIELKIEGO W SARDAM.



Wiadomo każdemu z czytelników, że Piotr Wielki, twórca potęgi Rossyi, chcąc upowszechnić w kraju swoim, rzemiosła i sztuki, a mianowicie marynarkę, udał się był do Holandyi i przez czas niejaki w wiosce Sardam praktycznie obeznawał się z tém wszystkiém co należy do budowy i uzbrojenia okrętów. Rycinę domu w którym mieszkał, stawiamy przed oczyma czytelników.

Wioska Sardam jest miejscem pielgrzymki; zbiegają się tam z uszanowaniem i podziwem, odwiedzać domeczek drewniany, zbudowany 1632 r. który mimo ubiegu dwóch wieków dotąd jeszcze stoi, chociaż spruchniały i pełen szczelin. Domek ten był mieszkaniem Piotra Wielkiego, a każdy podróżny, jakiego bądź kolwiek stanu, nie opuści Amsterdamu, dopóki nie przebędzie wodnéj płaszczyzny, przedzielającéy to miasto od Sardam. Sklepienia i regularny czworobok arkad ceglanych, wzniesiono za staraniem xięcia Oranii, dla użyczenia zachrony, szanownéj i sławnéj chatce.

Chatka ta dzieli się na dwie izby, z których jedna była pracownią Cesarza; druga, ta właśnie, którą rycina nasza przedstawia, była jego salonem, kuchnią, sypialnią i jadalną salą. Sprzęty jéj składają się z prostego drewnianego stołu, drabiny, trzech stołków drewnianych z małą poręczą i trójkątném siedzeniem, ogromnego komina, lichéj spiżarni i łóżka, jeźli łóżkiem nazwać można deskę, wzniesioną na innéj desce. Wszystko poczerniałe jest od starości, stoczone robakami, zbutwiałe przez długi lat przeciąg; lecz pamięć Piotra Wielkiego zmieniła tę chatę w świątynię, i czyni łatwym do zrozumienia napis holenderski, brzmiący w tych słowach: »Nic małego dla wielkiego człowieka.»

Żałować należy, iż napis ten nie sam jeden tylko czytać się daje w domku Piotra Wielkiego: inne nie tak są stósowne, i nie mają téj prostoty. Miliony zwiedzających, nie przestały na tém iż zapełniały swemi nazwiskami i myślami, album, którego teraz siedemdziesiąt czwarty tom już się zaczyna, nie uszanowały nawet starych poświęconych lamperyi. Cesarz Alexander był w Sardam roku 1814 i raczył cesarską swą ręką wmurować po nad kominem, tablicę z białego marmuru, z tym napisem złotemi literami: *Petro Magno Alexander I. benedictus imperator, huanc lapidem*

ipse posuit. Król Wilhelm i xiąże Oranii, poświęcili także pamięci Piotra Wielkiego tablicę ze złotemi literami.

KANOWA.

Historya artysty, składa się zwykle z dwóch kart, bardzo nierównéj wagi: na pierwszéj znajdują się tylko daty i miejsca jego urodzenia i śmierci; przedwczesne świadectwa jego jeniuszu i otrzymanych zaszczytów. Druga karta zapełniona jest samemiż dziełami artysty, świetniejsza daleko i bardziéj godna zajęcia. Takie dwie karty obejmują życie największego ze snycerzy tego wieku, Kanowy. — Co do nas, zajmiemy się szczególniej pierwszą z tych kart, druga wymagałaby przynajmniéj całego tomu.

Urodzony 1757 w Possagno, wiosce dyecezyi Trewizeńskiéj, w dawném państwie Weneckiém, Kanowa (Antoni), zaczął jak Michał-Anioł, jak Rafael. Wszystka trzéj nie mieli młodości, nie szukali natchnienia; natchnienie samo do nich pośpieszało. W latach, gdy pospolici artyści jeszcze zostają pod opieką, w pietnastym roku, Kanowa ukończył pierwszą rzeźbiarską sztukę. Musiał walczyć ze wszystkiemi przeciwnościami, któremi nędza tamuje rozwinięcie talentów; lecz wspaniałomyślni ludzie udzielili mu wsparcia przy wstępie do zawodu. Szlachetny Wenecyanin, nazwiskiem Falieri, dziedzic wioski w któréj się Kanowa urodził, był wiernym przyjacielem i opiekunem jego, drogę mu utorował i nie szczędził zarazem pomocy i zachęty. Powodzenie polepszyło los jego, rozszerzyło sławę, a r. 1779, poseł Wenecki powołał go do Rzymu.

Kanowa miał wówczas dopiero lat 22. już go poznać dały posągi *Eurydyki* i *Orfeusza*. Gruppa *Dedala* i *Jkara*, zjednała mu od senatu Weneckiego 300 dukatów roczněj pensyi. Znalazł w towarzystwie zbierającem się u posła, światłych miłośników, których rady go wykształciły, a poklaski dodały zapału. Radząc się prócz tego pism Winekelmana i Rafaela Mengs, z całéj siły zaczął pracować nad reformą, któréj koniecznie wymagało powszechne gustu zepsucie. *Tezeusz siedzący na zwalczonym Minotaurze*, wskazał cel do którego dążył: stowarzyszenie naśladownictwa natury z pomysłowemi pięknościami starożytnych. Od téj chwili, sława jego ciągle się zwiększała i po całéj rozeszła się Europie: wkrótce przyznano mu najpierwsze miejsce pomiędzy współczesnemi rzeźbiarzami.

Roku 1798, Kanowa opuścił Włochy zakłócone wojnami i podróżował po Niemczech. Za powrotem do Rzymu, Papież Pius VII. mianował go naczelnym inspektorem sztuk pięknych, kawalerem rzymskim i własną ręką ozdobił go oznaką téj godności. Roku 1802, Jego Świątobliwość upoważniła go do udania się do Francyi, gdzie go wzywał pierwszy Konsul. Najpochlebniéj go przyjęto, Instytut wpisał go w liczbę swoich członków. Powierzono mu wykonanie kolossalnego popiersia Bonapartego; lecz praca ta nie tak mu się szczęśliwie powiodła jak inne: mianowano go jednakże członkiem Legii honorowéj. Kanowa odbył powtórną podróż do Francyi, lecz w zupełnie odmiennych okolicznościach. Roku 1815, wybrał go Papież aby dozierał odbierania przedmiotów sztuki z Muzeum francuzkiego, które niegdyś Rzym zdobiły. Przybył w tym celu do Paryża, z tytułem posła papieskiego. W istocie, nie tego rzędu artyście, ani człowiekowi którego Francya obsypała tylu zaszczyty, przystało podejmować się podobnego zlecenia.

Nie zadługo potém, Kanowa udał się do Londynu, gdzie książe Rejent podarował mu wspaniałą tabakierę, wysadzaną brylantami. Smutny powietrzokrąg téj stolicy, kupiecka czynność jéj mieszkańców, obyczaje sklepowe i karczemne, zostawiły w umyśle artysty, nie bardzo pochlebne mniemanie o Anglii.

Wkrótce wrócił do Włoch, gdzie mu Papież polecił ustawić na dawnych miejscach arcy-dzieła przywiezione z Paryża. Jak największe zaszczyty spotkały go z powodu téj okoliczności. Akademia Ś. Łukasza wyszła na przeciw niego, a Papież, aby mu oświadczyć całe swoje zadowolenie, w uroczystém posłuchaniu, które mu dał 5. Stycznia 1816, sam mu wręczył dyplom, poświadczający wpisanie jego imienia do xięgi złotéj Kapitolium. Zrobiono go nakoniec Margrabią Jschia z pensyą 3000. rzymskich talarów, którą całkiem poświęcił na zachęcanie sztuk pięknych i artystów.

Kanowa od dawna dostąpił szczytu sławy, gdy umarł w Wenecyi 13 Października 1822. Pogrzeb jego obchodzony był w całych Włoszech z jak największą okazałością. W Rzymie szczególniéj, Akademia świętego Łukasza, któréj był wieczystym księciem, (szczególniejsza godność, dla niego jedynie utworzona, która po nim wakującą została), odznaczyła się wspaniałością, godną dawnych Rzymian. Nic podobnego nie widziano od śmierci Rafaela. Na te żale i zaszczyty zasłużył zarówno jako człowiek i jako artysta. Prosty, skromny, uprzejmy, bezinteresowny, wol-

ny od nikczemnéj zawiści właściwéj ludziom jego stanu, Kanowa zawsze najszlachetniéj używał swojego majątku. Okazywał najczulszą wdzięczność dla przyjaciół i opiekunów swéj młodości.

Chciał jeszcze, umierając uposażyć wszystkie Akademie Rzymskie i zostawić fundusze na zachęcanie artystów i zapewnienie im pomocy, na stare ich lata.

Pewien Angielski podróżnik, który widział Kanowę w jednym z Rzymskich salonów, zostawił opis jego osoby.

»Był to człowiek blisko 60-letni, średniego wzrostu i nadzwyczajnie prostéj powierzchowności. Nic w nim nie przypomina rysów mieszkańców Włoch południowych. Wszystko w nim było delikatne, tchnące miękkością i wdziękiem. Krótkie i ciemne włosy, naturalne tworzyły pukle w około głowy wyrażającéj niewinność i pogodę. Żadnego wymusu nie miał w ułożeniu i ubiorze. Było cóś zajmującego i nęcącego w fizyonomii tego człowieka, na którego rysach wiek podeszły zdawał się rozlewać przedwczesny smutek, udzielając im zmarszczek i zachmurzenia starości. Była to twarz otwarta i pełna wyrazu, czoło szerokie i wystające, spojrzenie iskrzące zapałem, lecz spokojne, objawiające filozofią i miłość; słowem, wzniosłość i powabność, szczerość i powaga, wskazująca wysoki stopień umysłowego usposobienia i przywyknień do wyższego towarzystwa, połączona z delikatnem uczuciem piękności, jasnością dowcpu, wytwornością gustu, łagodnością charakteru, umiarkowanym zapałem, których urok potężnie na wszystkich działał.»

Obraz ten odpowiada najdokładniéj wyobrażeniu jakie sobie tworzymy o tegoczesnym snycerzu, który posiadał tajemnicę pomysłowych wdzięków, i użyczył bronzom i marmurom najdelikatniejszéj niebiańskiéj prawie piękności.

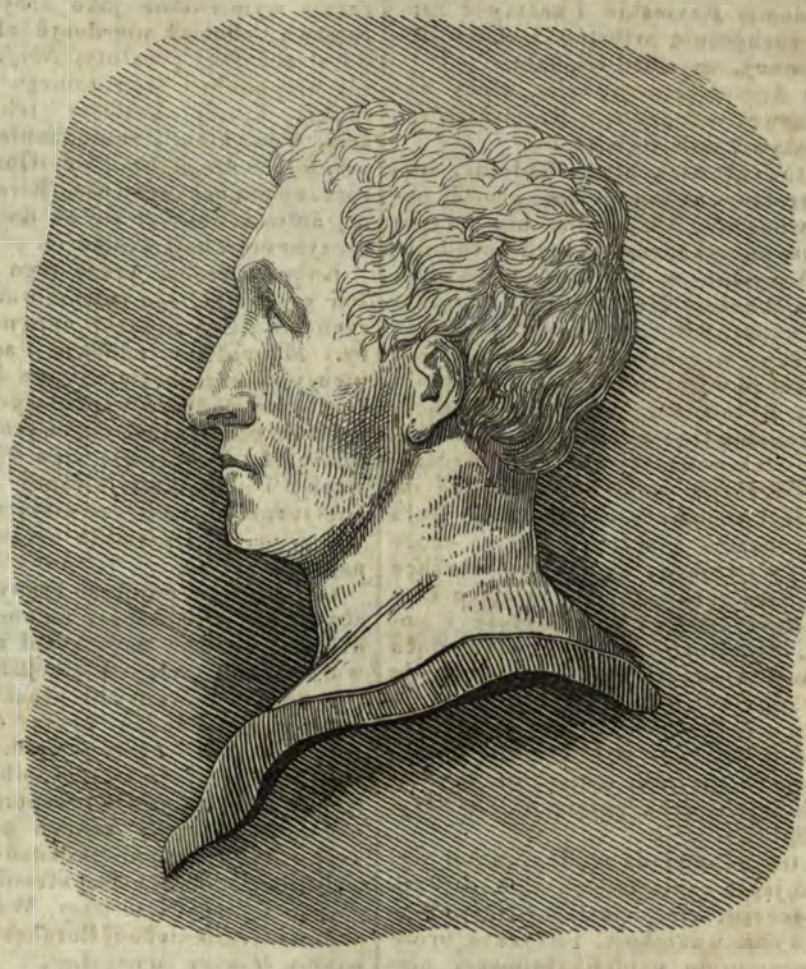
Utwory Kanowy są tak liczne, iż sam ich spis dalekoby już przeszedł zakres tego artykułu. Najbardziéj odznaczające się, i najbardziéj odpowiednie naturze jego jeniuszu, są: *Kupidyn i Psysze*, zachwycająca gruppa, w któréj namiętność połącza się z najłagodniejszą tęsknotą i najmilszą niewinnością, w któréj nie nie razi, nic nie ma zamięszanego ani gwałtownego, w którym najsurowsza, najściślejsza sztuka zdołała wydać najszczytniejsze marzenia i pomysły; *Wenera wychodząca z kąpieli*, uważana jako wyraz tkliwych i nie śmiałych uczuć; *Herkules* i *Lykas*, gruppa w któréj nie znajduje się w prawdzie to, co zawsze w Kanowie do życzenia pozostaje, to jest moc koniecznie potrzebna, lecz któréj odmówić nie można doskonałego rozkładu i wielkiéj oryginalności; *Pyrrus*, którego ułożenie przedstawia szczęśliwy związek wdzięków i siły; miękkości Katulla z dobitnością Korreża; *Wenera i Adonis*, gruppa okazująca jeniusz Kanowy w całéj jego potędze; *Gracye*, tak często wymieniane jako arcy-dzieło snycerstwa, chociaż nie dosyć zbliżające się do starożytnéj prostoty; *Nimfa leżąca*, któréj niepodobna tego samego uczynić zarzutu, któréj kształty tchną miękkością, wdziękiem i zaniedbaniem; nakoniec *pokutująca Magdalena*, ożywiona duchem i rozrzewniającą surowością Ewangelii, w któréj artysta wzniósł się aż do najwyższego szczytu moralnéj wielkości.

Kanowa zrobił prócz tego kilka *pomników grobowych*, nie równéj wartości, z których nie jeden nie jest godnym swego twórcy. Mauzoleum jednakże Papieża Rezzonico, odznaczać się zawsze będzie z powodu swych lwów wspaniałych i w całym Rzymie ustąpi może chyba grobowcowi Juliusza II. w kościele Sgo Piotra w okowach, i pomnikowi xiężnéj Santa-Croce, poetycznemu, rozrzewniającemu utworowi, którego wszystkie szczegóły są jak najdoskonalsze.

Co do jego popiersi branych z natury, zbywa im w ogólności na mocy; pod jego dłótem, wszyscy mężczyźni zmieniają się w Sybarytów, wszystkie kobiety w Heleny. Nie udały mu się ani płaskorzeźby, ani obrazy; a jednakże przez słabość często się znachodzącą, wychwalał nadewszystko wartość swoich obrazów, gdy tymczasem zaledwie wspomnieć raczył o najpiękniejszych swoich posągach. Do liczby tych ostatnich dodać jeszcze musimy posągi matki Napoleona, Maryi Ludwiki, xiężnéj Esterhazy, Washingtona, a nadewszystko xiężnéj Borghese, znany pod nazwą *Wenery zwycięzkiéj*.

Słowem, natura jeniuszu Kanowy, zbyt mało męzka, zbyt mało energiczna, obca wzruszeniem zgrozy, pozbawiona była niektórych dzielnych przymiotów, naznaczających artyście pierwsze miejsce śród jednoczesnych swoich współzawodników. Można do niego zastósować te wyrazy Kwintyliana o Polyklecie: «Wdzięki i wykończenie są jego zasługą, a chociaż głos publiczny przyznał mu palmę, znajdą się jednak krytycy co go obwinią, że mu zbywa na mocy.« W istocie, jeżli człowieka pięknością przyodział, zagasił może ów wyraz uroczystéj majestatyczności, którą bóstwo się otacza. Obdarzony powabnym i kobiecym talentem, nie posiada bynajmniéj konwulsyjnych namiętności, konania rozpaczy, widziadeł przestrachu, śmiałości pomysłów; lecz za to czarodziejska i obszer-

KANOWA.



na jego dziedzina, zamyka w sobie tkliwe namiętności, żądze, najdelikatniejsze odcienia, marzenia nadziemskiej piękności, kształty pełne wdzięku, uroku i młodości, pomysłowe i czyste utwory.

ELEGIA.

DO ELŹBIETY.

przez St: Hr: Starzyńskiego.

Ty, która swym uśmiechem niebo mi otwierasz.
A wzrokiem obojętnym wtrącasz mię w otchłanie
Sroga! coż przed mych oczu złudzeń tęczę
zdzierasz,
I wierne, urąganiem nagradzasz kochanie:
Sercu droga, oczom miła
Ty Elżbieto, coś w méj duszy,
Najczystszą miłość wznieciła,
Dziś, przyczyno méj katuszy...
Ciesz się, ciesz się, nie użyta!
Zgubnym płomieniem zajęty,
Ginę, jak polny kwiat, ścięty
W porze, gdy wdzięcznie zakwita.
Postrzegam, do mnie podobnych tysiące,
Ludźmi nazwane stworzenia.

Do gromady żyjących ze mną należące:
Wszyscy wznoszą ku słońcu dzięk czynne spoyrzenia.

Istoty, którym spełna płyną życia zdroje,
O! jak różne od waszych są wyroki moje!
Wyście szczęśliwi... i jam liczył chwile,
W których mniemałem doyść roskoszy szczytu,
Przebóg! te szczęścia błyski, trwały dla mnie tyle,
Co przelot gwiazdy, gdy z niebios błękitu,
Spadać się zdaje na ziemskie posady...
Zapuść wzrok żądny za tą gwiazdą w ślady,
Nim przed twém okiem uciecze,
I wyznaj, tęskny człowiecze,
Czy się nią napieściła twa zrenica chciwa?...
Lecącą, oczów widziało ją krocie,
Lecz, choć jednemu życzliwa,
Usmiechnęłaż się w przelocie?

O! dajcie mi, choć jednę namiętność powolną,
Pasmo dni cichych, całe zaiąć zdolną.
Niech, jak drugi, przestanę na błahém użyciu
Fraszek, które niesmakiem są w burzliwém życiu,
Niech z moich piersi, z tych spiekłych czeluści,
Ochłonie mi skwarne tchnienie;
Niech mię pożerająca gorączka opuści;
Niech nasycę to wrzące miłości pragnienie,
Co trawi życia mojego pochodnię;
Niech raz odetchnę swobodnie;
Niechay, zamiast fosforu wlanego mym żyłom,
Chłodna krew, chłód po członkach targanych rozsyła;
Niech wreście żyię, jak bryła,
Zazdroszcząc już nie raz bryłom.
Zamilknę w tedy; niczym się nie wzruszę,
Zimny jak wyrok, lub jak pan wyroku,
Który, mimo wszech istot jęki i katusze,
Srogiego nie zmieni wzroku.
Istny obraz téj okrutnéj,
Sprawczyni méj doli smutnéj.
Przeciw któréj na przekór rozum z sercem walczy,
Któréj dotąd hołd z płaczem niosę bałwochwalczy.

LISTY X. ALBERTRANDEGO.

(Dalszy ciąg)

Stanąłem w Berlinie czternastego tego miesiąca Ze wszystkich Polaków tu będących najsnadniejszy był do znalezienia JMP. Zabłocki, którego w domu nie zastałem, ale tegoż wieczora był u mnie i dawszy mi przyzwoite informacye, nazajutrz posłał mnie swoim ekwipażem oddać wizyty rozmaitym osobom, których znajomość zdatna mi bydź mogła. Między obcemi był poseł szwedzki P. Carisien, do którego miałem list od posła szwedzkiego w Warszawie i l'Abbé Denina, od którego list mi dany był od Margrabi Luchesiniego. Dnia 16 Currentis JMPan Zabłocki dał kwoli mnie wielki obiad, na który zaproszeni byli różni tutejsi Sawantowie, między którémi i l'Abbé Denina znajdował się. Chociaż na fundamentach gruntownych JWMPanu dobrze wiadomych, powziąłem był w Warszawie jeszcze, wysokie bardzo zdanie o JMPanu Zabłockim, jednak przyznać muszę, iż poznanie jego nie tylko w niém utwierdziło, ale bardzo je pomnożyło. Człowiek to jest wielkiego rozsądku i wielkiego doświadczenia i bardzo w swoich czynnościach obrotny. Zna on i doskonale przenika kraj któremu służy i kraj, dwór, ludzi, ministrów, obroty dworu, przy którym mieszka. Ma on tu szacunek i poważanie tak wielkie, jakie tylko mieć może człowiek godzien największego od swoich zaufania, od obcych szacunku.

Dnia wczorajszego, 17 Currentis, byłem z wizytą u Graffa Herzberga ministra, prezentowany od JMPana Zabłockiego. Przyjął mię ten minister z takiém ukontentowaniem i otwartością i familiarnością, jakbyśmy się od 30 latj znali. Był humoru na podziw dobrego i wesołego. Po zwykłych komplementach, wpadł wnet wdykurs o zaborze pism i archiwów przez sSzwedów, z tamtąd o wojnach Brandeburczyków z Szwedami, zwłaszcza dawniejszych, kiedy z okazyi wspomnienia bitwy pod Ferbellinem i odparcia Szwedów z Pruss w wieku przeszłym, wspomniałem mu medal, na którym z Seneki Tragika jest napis z jednej strony: *Quem dies vidit veniens superbum*: z drugiej *Hunc dies vidit fugiens ja-*

centem. Bardzo to go ucieszyło i zdawał się o tym medalu nie wiedzieć. Wpadł potém w rozmowę o Zygmuncie III. o manuskryptach które ma z tamtego wieku, które aby mnie pokazano zalecić obiecał, równie jak krolewską księgarnię.

Prosił mię, na dziś, 18 Currentis, na obiad, który ma bydź prywatny z kilku erudytów złożony, to jest z pierwszego doktora królewskiego pana Moehsen, z patrona jednego, który archiwisty u Grafa tego urząd sprawuje, z księdza Denina i z JMP. Zabłockiego, któremu największe oświadczał attencye. Przed obiadem pokazał mi kilka ksiąg dla edycyi swojéj ciekawych. U stołu było nas 12, to jest wspomnieni wyżéj, Xiąże Gonzaga, Graf Rodl, mający jechać na poselstwo do Petersburga, Conte Guiccioli Audytor Nuncyatury kolońskiéj tu przytomny dla utrzymania Nuncyatur papiezkich i jeden erudit duchowny protestant. Cały stół wiele gadano, była tam mowa z okazyi Gonzagi i o królowéj Ludwice Maryi i o królowéj Bonie. Bardzo często Herzberg do mnie mowę obracał. Po obiedzie powiedział mi sam, iż jest polakiem z domu Arcemberskich i że rozumie po polsku. Czytał nam też różne kawały do ligi książąt Jmperyi należące, ręką zmarłego króla pisane.

II.

Przyjazd do Berlina od Frankfurtu, nic nie ma osobliwszego, nie widać nic coby stołeczne miasto opowiadało. (1) Położe od oczu odsunięte, przyjazd dziki, ponury, nic podobnego do okolic Warszawy nie mający, piaski wieczyste, pola dla téj saméj przyczyny mniéj zyzne, wsie ubogie, jeden tylko lub drugi dom królewski pospolicie z zwierzyńcem pozoru bardzo pospolitego, przedmieścia szczupłe i nic nie znaczące. Ale wjechawszy do miasta, podróżny zadziwiony jest widokiem miasta dla kształtu nowości, prawie z pudełka wyjętego. Ulice przestrone, pod sznur prowadzone, długości niezmiernéj. Domy nowe kształtne, bez wysokości ogromnéj, bez jednostajności ponuréj. Tu i owdzie fabryki wspaniałością swoją inne celujące, w których pierwsze spojrzenie zadziwia, lubo z czasem niedoskonałości i błędy budowy jeszcze bardziéj zadziwiają. Pomnażają wesołość miejsca, przeplatania gęste drzew po placach i ulicach, miłe i wygodne przechadzki obywatelom, aż nadto do tego rodzaju rozrywki skłonnym, ofiarujące. Ale po kilko-dziennym zabawieniu się, ustaje to omamienie. Bruki po ulicach są zaniedbane, równina nie wiele spadku dająca, pomnaża błoto, i sprawuje częste kanałów ściek sprawujących zatkanie, ztąd albo powodzie po ulicach, albo smród wynika, gdy kanały otworzyć usiłują. Domy nowe nie wiele mają gruntowności, a to zmarłego króla sprawowała niecierpliwość, który obaliwszy w Kwietniu stare jakie graty, chciał w następującym Wrześniu widzieć na tym miejscu wystawioną i zupełnie zakończoną kamienicę. Obcy i mieszkańcy przydają, iż tych kamienic wnętrzne ułożenie bardzo jest nie dokładne, i że w większéj ich liczbie niedostatek pewnéj wygody sprawuje, iż się Madryckich zwyczajów trzymać z wielkim ochędóstwa uszczerbkiem potrzeba. Wpatrzywszy się dobrze, trzecia część starego miasta, już to w rozproszonych domach, już to w ciągłych częściach pozostaje, i okazuje co był niegdyś Berlin, to jest zbiorem krzywych i ciasnych ulic z domami nikczemnemi pruskim sposobem zbudowanemi, o jednym najczęściéj oprócz dołu piętrze. Między doskonałościami Berlina ta nie najmniejsza jest, iż obfitość wody, nie zawsze do napoju, ale do innych potrzeb zdatnéj, jest największa. Każda ulica ma pompę, a większe tę wygodę ledwie nie co sto kroków znajdują. Zadziwiło mię bardzo iż tak mało żołnierzy po ulicach widać, lubo sam miejscowy garnizon do 20 tysięcy ludzidzi wynosi. Karność jednoczyć w potrzebie, a trzymać w innych czasach w kwaterach te orszaki umie; mniejsza ich część ma koszary wyznaczone, reszta u obywatelów mieszka, ale tak spokojnie, że za szczęście mają mieć u siebie żołnierza, który wszystkie domowe usługi odprawuje. Jedno skinienie wszystkich zgromadza, każdy w takowym przypadku wie gdzie się znajdować powinien. W Sobotę przed moim z Berlina wyjazdem, była straszliwa burza z powodzią, która ludzi brnąć po kolana przymusiła, co się i mojemu służącemu przytrafiło. Piorun trzy razy tu uderzył, raz w koszary pewne, drugi raz w dom pewny na ulicy Wilhelm strasse nazwanéj, trzeci raz w kościół Stéj Trójcy. Dwa pierwsze razy nie były szkodliwe, trzeci piorun zapalił wieżę na kościele. Za daniem hasła 20 tysięcy garnizonu z oficerami podług przepisu stanęło, i mimo najgwałtowniejszy deszcz tak stało przez półtoréj godziny. Pożar prędko był ugaszony, częścią przez żołnierzy pośpiech, częścią przez zręczność kompanii na to umyślnie ustanowionéj, która przyzwoite do takiéj przy-

(1) Czytelnicy Muzeum mieli opis terazniejszego stanu Berlina w Nr 16 tym z r. z. Porównywając go z opisem Albertrandego, ocenią, jaką zmianę zrządziły długie lata pokoju i ciągła troskliwość rządu.

gody odzienie z szyszakami na głowie ma. Naywięcej pomógł jeden człek jeden, który po ciemku na wieżą wszedłszy gzyms zapalony wyrąbał.

Dnia 20 praesentis byłem z rana w zamku lub pałacu królewskim dla oglądania skarbcu, to jest rzeczy drogich i kosztownych zbioru. Skarbiec ten, w kilku pokojach złożony jest pod dachem, i do niego iść trzeba miejscami najbezecniejszemi, wszystko tam bez żadnego zostaje porządku i w najzupełniejszym opuszczeniu. Są tam niektórych zwierząt wypchane skóry, jako to osłów zamorskich pręgowatych, jeleni, dzików, renny i rosomaka, którego tam wilkiem czarnym nazwać podobało się, lubo nic wilczego nie ma. 2. Mnóstwo niesłychane rogów rozmaitych zwierząt, któremiby cały regiment uzbroić można. 3. Wiele szafek i gabinecików kosztownych staroświeckich, między któremi najznaczniejszy jest gabinecik jednego z ostatnich xiążąt Pomorskich zrobiony w roku 1606, w którym sprzętów do życia ludzkiego zdatnych niezmierne jest mnóstwo, między któremi są gry całe kart francuzkich, włoskich i niemieckich z blachy srebrnej 4. Wiele figur z wosku zrobionych wielkości naturalnej, osób domu królewskiego, między któremi pradziad królewski pierwszy król Pruski w odzieniu swoim. 5. Wiele bardzo robot z kości słoniowéj i bursztynu. 6. W pudełku osobnym pokazują gwóźdź na pół w złoto przemieniony, lubo dosyć jawnie spojenie złota z żelazem widzieć się daje. 7. Cokolwiek kruszców ale bezporządku.

Z skarbcu udałem się do biblioteki. Powiadają tu że Bibiena był jéj architektem. Wierzyć temu nie mogę, bo Bibiena nie był ani gustu ani rozumu pozbawiony. Większe jest podobieństwo, iż zmarły król bardzo w tych rzeczach określonego gustu, wzór téj biblioteki wziął z Teutońskiego jakiegoś na Szląsku pałacu.

Ksiąg jest dostatek wielki i w téj mierze zdaje się biblioteka i co do starych i co do nowych, bydź bardzo bogata. Manuskrypta także są dosyć ciekawe i liczne. Pytałem się o manuskrypta kraju naszego tyczące się. P. Stosch krewny barona Stosch królowi JMCi dobrze znajomego, obiecał mi wyciągnąć z katalogu swego extrakt onych, ale że tak długo w Berlinie bawić się nie mogę, wykonanie tego JMCi P. Zabłockiemu zostawię.

Tegoż dnia około godziny piątéj po południu, byłem na sesyi de l' Academie des sciences et des belles letres, zaproszony na nią od samegoż Graffa Hertzberga. Miejsce posiedzenia jest w pałacu osobnym nad stajniami, co powodem jest zazdrosnym do mówienia, iż konie są na dole a osły na górze; żart niesprawiedliwy, gdyż akademia składa się z ludzi gruntownie uczonych.

263

PRZEDAWANIE I KUPNO ŻYCIA

Sen Franklina.

Sniło mi się niedawno, iż rodzaj ludzki odebrał nowe prawo, nadające moc wszystkim, którymby się życie sprzykrzyło, ustępować je tym, którzyby je sobie przedłużyć życzyli. Najwyższy trybunał był postanowiony dla sądzenia o ważności przyczyn każdego żądaiącego, przyśpieszenia lub spóźnienia kresu dni swoich. Znaydowałem się na jednem z tych posiedzeń Tłum cisnących się z prośbami był niezmierny, lecz nie potrafiłbym powiedzieć, z któréj strony liczba była znaczniejsza, czy za przedłużeniem czy za skróceniem życia.

Postrzegłem najprzód negocyanta proszącego o uwolnienie siebie od ciężaru życia Był w przystojnem odzieniu, czerstwy, rumiany, otyły, lecz smutny i ponury. Powiedział sędziom, iż wstąpił na drogę życia z nadzieiami nader smutnemi; że gdy się wysługiwał w kantorze, nic więcéj sobie nie życzył nad zapłatę, z któréjby się wyżywić potrafił. Lecz pozyskawszy zaufanie swojego pana, został od niego przyjętym do współki, i wkrótkim czasie zebrał wielki majątek. Zakupił najpiękniejsze domy w mieście, i rozkoszne wiejskie mieszkania, Nikt nie miał wspanialszych powozów, lepiéj przybranych służących, i liczniejszych przyjacioł u dworu. Przez wejście w śluby małżeńskie pomnożył swoje dochody. Po urodzeniu pierwszego syna, zapragnął zostawić mu oddzielny majątek. Skutek uwieńczył jego nadzieie, a ciągłe powodzenia zdawały się zapewniać świetny los całemu jego późniéj zrodzonemu potomstwu. Widział się już szlachetnym patryarchą, którego szanowny obraz ozdabiać będzie salony zamków każdéj pochodzącéj z niego familii. Takowem wyobrażeniem zajęty, podwoił swoje usiłowania ku pomnożeniu bogactw. Siwe włosy ostrzegały go, iż trzeba się śpieszyć. Edward i Jakób synowie jego posiadali już swój majątek, trzeba jeszcze było zapewnić los Henryka i Wilhelma. Przyzwyczajony zyskiwać na swoich przedsięwzięciach, zaufał szczęściu, porobił znaczne układy, nabył wiele papierów publicznych, nakupił niezmierną liczbę towarów, wszedł w spółki z wielu fabrykantami. Lecz gdy nagle zmienił się stan interesów Europy, nie mógł znaleźć kupców na swoje towary, magazyny stały nie naruszone. Na terminach oznaczonych, nie wi-

dział się w stanie wypłacenia, papiery znacznie spadły; trzeba się jednak było uiścić, a tym sposobem zniknęły góry złote, usypane w jego imaginacyi.

Po tylu jednak stratach zostało mu się jeszcze kilka tysięcy funtów szterlingów; zdawałoby się, iż to jest dosyć dla człowieka, który zaczął od funkcyi pisarka w kantorze, lecz on nie mógł znieść téj myśli, iż jego nadzieie zostawienia po sobie kilku ślachetnych familii, zawiedzione będą. Życie nie miało już dla niego żadnéj ponęty, stół, ogrody, ekwipaże, nie były mu miłe. Dzieci piękne, przywiązane, skromne, nie były dla niego pociechą, owszem, im więcéj miały zalet, tém bardziéj ubolewał, że im nie mógł zostawić pałaców i ogromnéj fortuny. Pragnął jak najprędzéj śmierci i zapytywał się, ktoby chciał od niego nabyć dziesięć lat życia.

»Proszę o nie, odezwał się głos drżący, który wychodził z tłumu; ofiaruję za nie połowę mego majątku, a do tego beczkę przedniéj madery. Żona moja ma dopiero lat szesnaście, a ja skończyłem siedemdziesiąt dziewięć: chciałbym więc mieć czas na wychowanie moich dzieci. Nagły śmiech powstał w zgromadzeniu całém. Toczy się przed trybunał maleńkie stworzenie, które niegdyś było człowiekiem. Wspiera go młodziutka żona, przychylając się niby do jego żądania, lecz nie rzekła i słowa.

Zbliża się potém młodzieniec z tak smutną twarzą, iż mogłaby służyć za kopersztych do sentymentalnego romansu. Przyrzekł on niedawno swoję wiarę kobiecie anielskiéj urody; wydarła mu ją śmierć zbyt skwapliwa, nie mógł dłużéj znosić życia i przyszedł prosić o wolność wyzucia się z niego. Sędziowie pokazali się czułemi na jego nieszczęście, a prezydent trybunału rzekł: Idź do przyległego téj sali lasku, tam namyślaj się jeszcze, a potém powróć.

Po krótkiéj chwili wchodzi zapłakana panienka, z roztarganemi włosami, i prosi tonem jęczącym, ażeby jéj wolno było umrzeć. Była tak piękna, jak Wenus, gdy opłakiwała śmierć Adonisa. Po utracie swego kochanka, życie było jéj nieznośném; szukała więc, komuby je oddać mogła. Sąd zdawał się bydź dotknięty jéj żalem. Wejdź do małego lasku rzekł jéj prezydent, obejdź go kilka razy, a potém tu powróć.

Widziałem potem długi szereg przybytych z podobnemi prośbami; widziałem wyniszczonych niewieściuchów żądających śmierci, i bogatém dożywociem obdarzone wdowy, które jak najdłuższego życia pragnęły. Już niemały przeciąg czasu upłynął, a jeszcze rozpaczający młodzieniec i wzywająca śmierci panna nie powrócili z lasku. Rozumiano, iż się już potopili, nie czekając pozwolenia sądu. Posłano do lasku, postrzeżono ich nad brzegiem cichego strumyka, pod cieniem mirtu razem siedzących. Napotkali się przypadkowo. Panience zdawało się, że widziała w młodzieńcu kochanka którego opłakiwała; przelękniona tak nadzwyczajném zjawieniem, padła i zemdlała. Młodzieniec przyskoczył na jéj ratunek, i on także znalazł w niéj podobieństwo do téj, po któréj żyć nie chciał. Przybyli oboje upraszać sędziów, ażeby im pozwolili odmienić pierwsze postanowienie i połączyć losy swoje węzłem nierozerwanym. Sąd zezwolił.

Stanął potém przed sądem jeden młody trzpiot, tak piękny, tak wysmukły, tak w swojem ruszeniu i ubiorze wytworny, iż patrząc na niego, byłbym się założył, że przyszedł prosić o przedłużenie życia. Wbiegł do sali podskakując i nucąc nowe rondo; trzymał w ręku małe zwierciadełko, w którém się czasami przeglądał poprawując wysoki czubek, głowy swojéj najcelniejszą ozdobę. Na palcu miał kosztowny dyament, którym jak gdyby z niechcenia na różne strony obracając błyskał. Z miną pełną wyniosłości rzucił swoję prośbę na piśmie, i rzekł, iż gdyby nie przez szacunek dla mody, nie byłby nigdy zatrudniał swoją osobą brodaczów sądowych, i że jeden wystrzał z pistoletu byłby mu tę samę łaskę wyświadczył.

Ciekawy byłem, co mogło bydź powodem temu młodzieńcowi do tak ostatecznego kroku. Dowiedziałem się, iż był synem jednego bogacza niedawno zmarłego; iż będąc oddany na naukę prawa, wyprosił u swoich opiekunów wolność rozporządzania swoim majątkiem, i zaczął marnotrawne życie. Pozabierał liczne znajomości, dawał wyborne wieczerze, i codziennie się upijał. Nabrał upodobania do klejnotów, których mu podostatkiem dostarczano; nakoniec tak skutecznie pracował ażeby się pozbył swojego złota, iż wkrótce ujrzał próżną szkatułę. Natenczas objechał wszystkich swoich przyjaciół dla pożegnania się z niemi, i zamknął się w gabinecie, dla odebrania sobie życia wystrzałem z pistoletu. Lecz przypomniawszy, iż najnowszą modą było stanąć przed trybunałem, gdzie zarazem zobaczy świetne towarzystwo, udał się tam ze swojém żądaniem.

Sąd czynił trudności, czubaty elegant się gniewał. Zapisano go więc w rejestrze nieboszczyków.

Przybyli potém autorowie dramatyczni, żalili się na zepsucie gustu z przyczyny odrzucenia dzieł swoich; zaczęli je czytać; sędziowie posnęli, a jam się obudził.

PARYŻ I PARYŻANIE w r. 1835.

Przez panią Trollope, Angielkę.

Dwie Angielki opisywały Paryż i społeczność Paryzką. Lady Morgan w 1815 i 1829 i pani Trollope w 1835. Ciekawe porównanie tych trzech dzieł, wskazałoby jakie zmiany zaszły w charakterze i duchu Francuzów w przeciągu lat 20stu. Pani Trollope, nieprzyjaciółka zaburzeń, bez ustanku zakłacających spokojność tego kraju, wykazuje i ocenia smutne owoce teoryi, którym pani Morgan przyklaskiwała. Z jéj dzieła umieścimy kilka wyjątków, najbardziéj zgadzających się z przedmiotami pisma naszego.

LIST XIV.

Ogród Tuileries.

Cóż porównać można do ogrodu Tuileries? Jest to całość złożona z wydatnych rysów, i jéj tylko właściwych tak, że nawet niepodobna wynaleźć co takiego, coby się z nią mogło porównać. Mojém zdaniem, nie masz na całéj ziemi rozkoszniejszego miejsca a chociaż pierwszy urok nowości dawno już dla mnie przeminął, ilekroć tam wnijdę, zawsze nowéj przyjemnosci doznaję.

Samo już miejsce, niezależnie od ruchomego tłumu który je bezustannie zapełnia, nadzwyczaj mi się podoba. Lubię wszystkie szczegóły jego upięknień, lubię mianowicie świetne i szczęśliwe ich połączenie. Wiem jednakże, iż rozmaite są w tym względzie zdania. Wiele osób cierpieć nie może linij prostych, drzew strzyżonych, regularnych kwietników, brzydkich dachów. Co mówię? Są osoby pozwalające sobie uwłaczać samym nawet szanownym drzewom pomarańczowym, dla tego iż rosną w czworograniastych skrzyniach i nie puszczają gałęzi na igrzysko wiatrów, jak wierzby płaczące.

Nie zgadzam się na jeden z tych zarzutów i mniemam iż tak nie słusznie byłoby ganić opactwo Westminsterskie, dla tego że nie jest podobne do greckiéj świątyni, jak wyrzucać ogrodowi Tuileries że jest w guście francuzkim, nie zaś podobny do angielskiego zwierzyńca. Co do mnie, przyznam się, że gdybym miała nawet moc po temu, nie chciałabym najmniejszéj rzeczy odmienić w tém przyjemném miejscu.

O któréjkolwiek godzinie i którą bądź stroną wchodzę do ogrodu Tuileries, zawsze zdaje się przyjmować mię z wesołym uśmiechem. Codziennie odświeżam moje myśli przesiadując czas niejaki pod jego zacieniami i obok jego kwiatów. Z części miasta gdzie mieszkam, najbliższy mam wchód przez bramę wychodzącą na plac *Vendome*, i nie masz punktu z któregoby ożywiona piękność téj sceny lepiéj się wydawała, jak z pod sklepienia zieloności tarasu, do którego krata przytyka. Na prawo wznoszą się ciemne massy drzew nie obcinanych, przystrojonych w kwiaty indyjskich kasztanów, i tak wybiegłych jak tylko mógł pragnąć największy miłośnik angielszczyzny, w głębi serca. Przechodząc pod ich długim i rozkosznym cieniem, oko przenika aż do wspaniałéj kraty, prowadzącéj na plac Ludwika XVI. Na lewo jest obszerna wystawa pałacu Tuileries, o którego brzydkim dachu zapominamy natychmiast, skoro tylko przypatrzymy się piękności ogrodu. A przytém, właśnie w tém samém miejscu, gdzie ustaje cień wielkich drzew, i zaczyna się jasny odblask słońca, jakież mnóstwo najpowabniejszych kwiatów rozwija się pod wpływem jego promieni! Teraz, w wiośnianéj porze, widać same tylko bzy, a każdy powiew wiatru upaja ich wonią. Idę najprzód zacienionym tarasem, przez który wchodzimy aż do punktu gdzie staje w równi ze wspaniałą esplanadą, panującą wzdłuż pałacu. Obracam się potém w prawo i znoszę ślepiący blask słońca, dopóki nie przybędę do przepysznéj alei, ciągnącéj się śród kwiatów, posągów, drzew pomarańczowych i kasztanowych gajów, jak tylko wzrokiem zasięgnąć zdoła, nie zatrzymując się aż na łuku tryumfalnym rogatki *l'Etoile.*

Widok ten tak jest piękny, iż się nim nasycić nie mogę. Wyznać muszę, iż należę do liczby osób lubiących włoskie ogrody. Lubię wytworność, doborowy wdzięk każdego przedmiotu, wpadającego pod oczy w miejscu takiém jakiém są Tuileires. Lubię te szlachetne zamorskie rośliny, tak starannie hodowane; te stare pomarańczowe drzewa, majestatycznie uszykowane w długie szeregi; lecz nadewszystko lubię owe gruppy marmurowe, już to odbijające się na błękicie niebios, już to znowu na pół ukryte pod gęstym drzew cieniem. Wszystko zdaje się tchnąć dobrym gustem, przepychem i wesołością.

Posunąwszy się wolnym krokiem aż tam gdzie światłość słoneczna znika a cień nastaje, czeka nas nowy rodzaj zajęcia i zabawy. Tysiące krzeseł między drzewami, zajmuje nieskończona rozmaitość gości.

Chciałabym wiedzieć, jak długo musiałabym uczęszczać do Tuileries, abym mogła zacząć nudzić się rozważaniem ogółu i każdéj oddzielnéj cząstki tak świetnego

obrazu. Jako widowisko, jest w istocie nieporównanéj piękności i prócz tego najmocniéj zajmuje pod względem rozważażania charakteru Francuzów. Tu można przypatrzyć się z kolei całemu Paryżowi i najłatwiéj rozpoznać wzory urozmaiconych i mocno odcieniowanych klass ludu.

Dziś rano zasiedliśmy pod drzewami będącemi naprzeciw pięknéj grupy Aryi i Petusa. Była to właśnie godzina, o któréj najbardziej ubiegają się o rozmaite gazety i mieliśmy przyjemność przypatrzyć się trzem czytaiącym osobom, z których każda mogłaby posłużyć za wzór artyście, chcącemu dać wyobrażenie o ich charakterach.

Nie podpada żadnéj wątpliwości, iż przez owe pół godziny któreśmy tu przesiedzieli, widzieliśmy legitymistę, doktrynera i demagoga, napawających się za dwa soldy' polityką, w rodzaju który każdego z nich najmocniéj obchodzi:

Starzec poważny, przybył najpierwéj; a wziąwszy dziennik usiadł nie opodal od nas. Byliśmy pewni że czytał *Gazetę francuzką* albo *la Quotidienne*. Nie umiem powiedzieć dla czego byliśmy tak mocno przekonani, iż widzimy przed sobą legitymistę, lecz to pewna, że nikt z nas ani na chwilę o tém nie wątpił. Spokojnie siedział na stronie; pycha przebijała się przez jego tęsknotę; miał także fizyonomią arystokratyczną, twarz bladą i smętną, ubiór jakiego żaden pospolity człowiek nie nosił, a któregoby żaden z teraźniejszych bogatych ludzi, także nie przywdział. Tyle tylko mogłam o nim powiedzieć; lecz w całéj jego osobie było cóś tak delikatny tworzącego odcień, iż go nie podobna odmalować jednym rzutem pędzla. Nie znam wcale téj osoby; lecz gdybym kiedy odkryć miała iż to jest doktryner lub demagog, wyrzekłabym się na całe życie sądzić z fizyonomij o ludziach.

Ten co się po nim do nas przybliżył, był widocznie demagogiem; lecz tym razem odkrycie to nie wielki zaszczyt przyniosło naszéj domyślności; gdyż ten rodzaj osób bynajmniéj nie zostawia nam pod tym względem najmniejszego powątpiewania. W całéj ich powierzchowności, nie masz ani jednego szczegółu, coby nie wykrywał godła, znaku, urzeczywiszczonego wyobrażenia szaleństwa, które ich owładnęło. I on także trzymał gazetę w ręku; a nie śmiejąc się za bardzo przybliżyć do téj strasznéj osoby, z największém jednak zawnieniem mówiliśmy jedni do drugich, że to jest niezawodnie dziennik *le Reformateur*.

Za chwilę postrzegliśmy otyłego mieszczanina. I on przychodził także pożywać swoją codzienną polityczną strawę, z miną człowieka zapewnionego na przód, że będzie kontent z tego co się dowie, a który jednakże zbyt był zadowolony ze swojéj własnéj osoby, ażeby go miały mocno obchodzić sprawy krajowe. Każda kreseczka jego wesołego oblicza i każde poruszenie jego okrąglutkiego ciała, zwiastowały szczęście i dobre mienie: należał zapewne do liczby tak rzadkiéj w Paryżu, kupców którzy prędko dorobili się majątku. Mogliżeśmy wątpić iż gazeta którą trzymał w ręku był to *Journal des Débats*? mogliżeśmy myśleć, iż ów człowiek był czym inszym jak szczęśliwym doktrynerem?

Tak to, na neutralnym gruncie tego rozkosznego ogrodu, naisprzeczniejsze umysły napotykają się bezpiecznie i nie mięszając się ze sobą, cieszą się wspólnie miłym przywilejem świeżego cienia, zdrowego powietrza, czytania dzienników w pięknym ogrodzie, z taką pewnością że nikt im nie przerwie ani przeszkodzi, jak gdyby każdy z nich błąkał się samotny po własném dziedzictwie.

Osoby nie zbyt usposobione do hypokondryi, mogą także znaleźć w tym ogrodzie przedmioty do rozmaitych postrzeżeń, uważając obyczaje owych elegantów i elegantek w miniaturze, które o pewnych godzinach, zapełniają rojami, na kształt drobnych kolibrów, aleje Tuilerów. Jedno z dwójga, albo te małe osóbki umieją się jak najdoskonaléj znaleźć, lub czuwa nad niemi jakowy surowy dozór nie dozwalający im krzyczeć; gdyż nie widziałam nigdy, aby maleńkie te istoty zgromadzone razem, oddawały się owym zbawiennym ćwiczeniom płuc, których rozgłos zwykle drżenie w nas obudza, za »zbliżeniem się »miłego dzieciństwa« jak mówi poeta.

Ubiory tych ładnych stworzeń, nie mało przyczyniały się do méj rozrywki; tak są niekiedy dzikie, iż możnaby je wziąźć za maski.

I tak, widziałam małych chłopczyków grających w piłkę, w kompletnym mundurze gwardyi, innych w stroju Szkockim i nie przeliczone mnóstwo młodych dam, których ubiór nie miał nic dziecinnego.

Lecz przyjemność któréj doznajemy w przeglądaniu strojów ogrodu Tuileries, nie ogranicza się tylko na najmłodszéj części towarzystwa. W żadnym kraju nie widziałam nic zbliżającego się do dziwacznego ubrania niektórych figur, które co chwila napotykamy po tych alejach. Lecz te dziwotworne fantazye właściwe są tylko mężczyznom: bardzo się rzadko zdarza widzieć kobietę śmiesznie ubraną, pod jakim bądźkolwiek względem, a gdy się to zdarzy, można śmiało założyć się sto przeciw jednemu, że to nie jest Francuzka.

Pełna prostoty elegancya, jest podług mnie najbardziéj uderzającą cechą w strojach dam francuzkich na przechadzcze. Zdaje mi się, że bardziéj dbają o drobnostki wykończające ubiór kobiéty, niżeli o ważniejszą część ubioru, jako to szalu lub futra.

Wszystkie kobiéty, mają jak najpiękniejsze obuwie i świeże rękawiczki. Jeśli wstążki ich nie są takie same jak suknia, zawsze przynajmniéj z nią się zgadzają; co zaś dotycze się wszystkich delikatnych przedmiotów bielizny, można by myśleć że Paryż jest jedynem miejscem na całéj ziemi gdzie umieją prasować.

Lecz za to, dziwaczne kaprysy męzkich ubiorów, przechodzą wszystko co tylko podobna powiedzieć. Mógłby kto mniemać, iż powietrze Paryzkie posiada szczególniejszą własność czernienia wszystkich faworytów, wąsow i bródek hiszpańskich, znajdujących się w okręgu jego murów. Zdaleka, wszyscy młodzi mężczyzni zdają się mieć twarz podwiązaną czarną wstążką, jak gdyby chorowali na gruczoły; a chociaż w ogóle, czarne włosy są bardzo piękne, piękność ich bardzo zmniejszyła się przez upowszechnienie. Gdy wszyscy mężczyzni mają połowę twarzy zarosłą czarnemi włosami, kolor ten przestał być szacownem odznaczeniem. Może być także, iż doniesienia któremi przepełnione są wszystkie dzienniki, o niezawodnych sposobach nadania włosom wszelkich kolorów, prócz tego który im dała natura, tém bardziéj podają w podejrzenie tę ozdobę, niegdyś tak zajmującą u ludów południowych. Jestem mocno przekonana, iż teraz, przystojny mężczyzna z krain północnych, z brodą całkiem ogoloną, ma niejakąś wartość w salonach Paryzkich, chociażby tylko dla saméj rzadkości.

Nie można zaprzeczyć, iż dnie Lipcowe zaszkodziły nieco ogólnemu pozorowi ogrodu Tuileries. Dawniéj, surowo przestrzegano ubioru osób którym tam wstęp był dozwolony. Lecz zdaje się iż nie porządek i nieochędostwo w ubraniu stały się przywileiem i zaletą gminu, gdyż od roku 1830, dla oznaki niejako poważania i szczególniejszéj łaski, wolno mu wchodzić do wielu miejsc, których przystęp był mu dawniéj wzbroniony, co miejscom tym nadaje pozor arki Noego, gdzie wchodziły wszystkie razem zwierzęta, czyste i nie czyste.

TADUSZ CZACKI.

Jednym z najznakomitszych uczonych naszych, jest Tadeusz Czacki. Nie przestawał on na zajmowaniu się naukami w zaciszu domowém, ale wpływ swój i znaczenie, które posiadał przez szlachetność rodu i znaczny majątek, obracał na pożytek współziomków, na rozszerzenie gruntownéj oświaty, połączonéj z religiją i uległością rządowi. Życie tak zasłużonego męża, nikomu obojętne bydź nie może i godne jest jak największego upowszechnienia. Wyobrażenie Czackiego, przerysowane jest z wybitego dlań medalu; na nim bowiem najlepiéj utrafiono jego rysy. Zródłem zaś do artykułu niniejszego, była »Mowa o Życiu i pismach Tadeu»sza Czackiego, czytana na zebraniu gimnazyum Wołyńskiego 30 Lipca 1813 w Krzemieńcu, przez Aloizego Osińskiego, kanonika katedralnego, nauczyciela literatury łacińskiéj i polskiéj w témże gimnazyum.» Obszerna ta rozprawa zaleca się pięknym stylem i gruntownym wywodem; drukowana była w Krzemieńcu r. 1816.

W pierwszym roku panowania Stanisława Augusta, Czacki Tadeusz urodził się w Porycku w powiecie Włodzimierskim 1765 roku, dnia 28 sierpnia. Szczęsny, Podczaszy koronny i Katarzyna Małachowska, wydali go na świat. W dzieciństwie odumarła go matka: ulubionych synowców stryj zabrał do Gdańska i tam pół piąta roku z nimi przebywał. Dalsze wychowanie Czackiego powierzone było X. Faustynowi Grodzickiemu Jezuicie, osobie sędziwéj, bo jeszcze ojcu ich naukę Jeometryi dawał we Lwowie. Ten nauczyciel znakomity wybornemi obyczajami i głębokiem rzeczy objęciem, tłómaczył mu prawdziwe wzory piękności w łacińskich pisarzach. Pamięć tego przewodnika młodości, zawsze mu była przyjemną i miłą, zawsze go wdzięcznie wspominał.

Rozwijające się w nim skłonności i władze rozumu, były jutrzenką wysokich cnót i okazałych zaszczytów. Nadzwyczajną bystrością dowcipu obejmował nauki, w pamięci zachowywał je żywéj i miał wielką chęć do czytania. Przekonywał się z młodu, że nieocenione pożytki i pociechy, pochodzą z prawego serca i oświeconego rozumu, że uczciwość i chwała powinny bydź głównym celem usiłowań. Odciągał się od lekkomyślnych przywar młodości i wszystkie swoje postępki prostował do woli rodziców. Lgnęły zatém do serca jego prawidła cnoty, a poważne domowe przykłady, stawały się dzielną do naśladowania pobudką. Te cnoty wrażały w serce jego miłość sprawiedliwości głęboką. Starszym oddawał cześć powinną, serca rówienników pociągał do przyjaźni uprzejméj, a niższych okiem nie przenosił dumném. Tak, cnotliwi rodzice zasilając szczęśliwy zaród skłonności w swych dzieciach, tworzą

z nich przyjaciół ludzkości, ozdoby imienia i wieku.

W poranku lat swoich podnosił się do téj doskonałości, która się na miłości bliźnich wspiera i zasadza. Przeznaczone od rodziców pieniądze na swoje wydatki, obracał na uczenie dzieci osierociałych. Tak młodzieniec lata swoje przechodził cnemi postępki i otwierał serce swe litości we sierotom ogarnionym ubóstwem i nędzą. Tak czule zaczynając zawód młodości, ze wzrostem lat tkliwość swoję pomnażał i nauczył się w drugich szczęściu własne dobro znajdować. Jedno uczucie, jedna szlachetność pobudek, stawiała w młodości szkółkę sierotom w Porycku, a w latach dojrzałych, Gimnazyum Wołyńskie dla dobra pokoleń. Tak wiążą się z wiekiem dalszym chwile młodości. Doświadczony rozum nadaje tylko dziełom większą rozciągłość i na trwalszych opiera je zasadach.

Z cnotliwém sercem i zdrowym rozsądkiem wyszedł na świat. Poznał, jakich wiadomości społeczność wymaga po młodym wychodzącym z rodzicielskich podwojów. Uczuł w sobie ich niedostatek, widział, jak wiele mu jeszcze do nabycia pozostaje, nie ustraszył się pracy niezmiernéj i wszystkie myśli i usiłowania swoje, na oświecenie obracał.

Do pierwiastkowych zasług w urzędowaniu sprawiedliwości, przyniósł z sobą godne przymioty: rostropność, męztwo, dowcip żywy i wspaniałość umysłu. Sądy zadworne koronne były dla niego pierwszym wstępem do znajomości praw i sądownictwa. Tam się nauczył, jak przyśpieszać karę dla przestępnych, a sprawiedliwość dla niewinności. Wolne godziny od urzędowych zatrudnień oddawał naukom. Ledwie okazał się na wielkim świecie, umiał sobie pozyskać i przyjaciół i przewodników do rozwinienia talentu. — Adam Naruszewicz i Jan Albertrandi, uczeni starożytności badacze, podsycali chciwą chęć czytania w dziełach statystycznych i dziejopisarskich. »Uczyłem się od tych (słowa są jego do Stanisława Augusta) których W. K. Mość zbliżając do swego boku, wznieciłeś w nich swojém zachęceniem gorliwość o rozszerzenie światła w historyi, a szczodrotą Pańską dałeś im sposobność pomnażać razem wiadomości krajowe do wdzięczności następnych pokoleń.« Z pracowitością najusilniejszą porównywał wydarzenia główniejsze, czynił stosunek dziejów rozmaitych narodów i wyprowadzał wielkie prawdy, na których zasadza się prawodawstwo i polityka. Poszukiwaniem tych prawd umacniających towarzyski porządek, szczególnie się zajmował. — Nie łatwo znaleźć się mogła rzecz jaka z dziejów współczesnych i obcych, tudzież prawodawstwa, którejby nie poznał. Tak dowcip górujący pokonywa wszelkie trudności, zbiera plony z rozległéj nauk przestrzeni i staje na tym szczycie sławy, do którego tak ciężki jest przystęp, iż praca najusilniejsza całego życia ledwie zdoła uprzątnąć nie które zawady. Sławny księgozbiór Załuskich w Warszawie dostarczał mu dzieł do nabycia rozległych wiadomości i stał się pobudką do wyszukania i zgromadzenia tak licznych pamiątek starożytnych, któremi rozsławił się Poryck.

Rodzice zostawili mu dosyć obszerne dziedzictwo. Bywać to zwykło w bujności wieku, zarodem dumy, podnietą nieumiarkowania żądz twoich, albo żywiołem łakomstwa. Wspanialsze widoki zajmowały umysł i serce Czackiego. Dzieła nieśmiertelne dowcipu, były dla niego skarbem prawdziwym, a pożyteczne zasługi krajowi, całą pociechą życia i szczęściem.

Stanisław August mianował go członkiem Komissyi Kruszcowéj. Na jego wniosek wysłano za granicę kilku z młodzieży dla doskonalenia się w nauce górniczéj probierskiéj, mineralogii i metalurgii. Z tych: Wielmożny Antoni Bieńkowski od dawnych lat jest dyrektorem mennicy w Warszawie. Był potém w Komissyi Skarbowéj i tam najtroskliwiéj pracował nad podźwignieniem handlu, ułatwieniem wewnętrznéj żeglugi i uskutecznieniem pomiaru kraju i założeniem rękodzieł.

Z polecenia komissyi skarbowéj, zwiedził i opisał Województwo Krakowskie i miasto Kraków.

Dwa tomy ogromne czynności skarbowych, ze trzech tysięcy przeszło arkuszy złożone, dowodzą, iż w działaniach ekonomicznych okazał się niezmiernie czynnym, w handlowych ułatwiał wszelkie trudności, w sądowych sprawiedliwość przyśpieszał, a we wszystkich dziełach oznaczył piętno czynnéj wielkości, czuwającéj nad dobrem kraju, a zaufanie powszechne było najmilszą prac jego nagrodą.

Paweł I. Cesarz Wszech Rossyj, uwiadomiony o tak użytecznych pracach Czackiego, okazał mu swoje poważanie. Przy obrachunku massy Prota Potockiego, obrany na pełnomocnika do komissyi bankowéj, przyczynił się do prędszego i korzystnego ukończenia tak zawiłych interesów. Obok tych podług obywatelskich, ciągle zajmował się naukami, badaniem dziejów i praw krajowych.

W roku 1802, na prośbę jego, Fryderyk Wilhelm Król Pruski, w wyrazach upewniających wysoki szacunek, dozwolił mu przejrzeć Archiwum tajemne mistrzów Krzyżackich w Królewcu i czynić z nie-

TADEUSZ CZACKI.



go wypisy. Minister Pruski Alvensleben, Xiąże biskup Warmiński Hohenzoller przynosili mu pomoc skuteczną, z chęcią największą pozyskania jego przyjaźni. Z tego Archiwum przywodzi w rozprawie, czy prawo rzymskie było zasadą praw Litewskich i Polskich? ważny list Jana biskupa Lutomirskiego Kanclerza Karola IV. do Ludgera mistrza Krzyżackiego, i odpowiedź Jana de Milis rzecznika Polskiego przeciw Krzyżakom w Rzymie i inne.

W drodze przedsięwziętéj, szukał pomników Kopernika, który się wyniósł nadpowagę czternastu wieków. W Frauenburgu uczcił grobowiec tego nauczyciela wieków i narodów.

Zwiedził książnicę na Łyséj górze starożytnego zamku Xięży Benedyktynów, sprowadzonych od Bolesława Chrobrego z obcych krajów dla nauki młodzieży. Stanisław August zalecił był zwierzchności zakonnéj okazać mu wszelakie zbiory dzieł drukowanych i rękopismów.

Odbył podróż do Gdańska, Gniezna, Poznania, Kalisza i Kujaw. Wszędzie oznaczał swój pobyt czynnością dla sprawy oświecenia. W przejazdach zwiedzał księgarnie zakonne i obywatelskie, czynił wyjątki, i wyszukiwał troskliwie dawne pamiątki.

W roku 1802, Tadeusz Czacki, Stanisław Sołtyk, Józef Drzewiecki, Michał Walicki, utworzyli towarzystwo handlowe. Dziewiątego Lipca 1803 roku, okręt noszący imie Tadeusza Czackiego, odpływał z Odessy do Tryestu. Xiążę de Richelieu, w gronie znakomitych obywatelów, przyjmowany był na tym okręcie ze czcią należną opiekunowi handlu Czarnego Morza, w pośród wystrzałów armatnich.

Gdy w 1803 skończył polecone od rządu obowiązki w Warszawie, łaskawy monarcha ALEXANDER I. w którego ręce Opatrzność złożyła przeznaczenie tylu milionów ludzi, powierzył mu losy, poruczył nadzieje kształcącéj się młodzi we trzech guberniach, Wołyńskiéj, Podolskiéj i Kijowskiéj. Wolą Cesarza dobrotliwego wykonać, miał sobie za powinność i chlubę. Umiał doskonale utrzymać i podnieść godność tego urzędowania. Odtąd historya życia jego łączy się z dziejami téj szkoły; bo na zbieraniu troskliwém dochodów publicznych i na urządzeniu gimnazyum Wołyńskiego, resztę życia przepędził i wsławił.

Szkoły w tych trzech Guberniach były w jak największem zaniedbaniu. Czacki godnie odpowiedział zaufaniu Monarchy, przywodząc je do kwitnącego stanu. Wezwał obywateli do wnoszenia ofiar na szkoły i nie zawiódł się rachując na ich hojność. Wkrótkim przeciągu czasu, ustanowione zostało Gimnazyum Wołyńskie w Krzemieńcu i otworzone I. października 1805. roku.

Dzień otwarcia gimnazyum Wołyńskiego, z największą okazałością był obchodzonym. Pasterz dyecezyi Łuckiéj, okryty czcią i uwielbieniem powszechném, wzywał pomocy Boga, aby temu przedsiewzięciu wielkiemu błogosławić raczył. Xiądz biskup Polemoński, okazał w dniu owym tę wielką prawdę w całéj mocy, jak rozum bez religii naraża się na błędy niezliczone i zarodem jest najokropniejszych zdrożności. W obecności xiążęcia Wołkońskiego gubernatora, hrabiego z wielkich Kończyc Wandalina Mniszcha, prawnuka założyciela tych gmachów i licznie zgromadzonych obywatelów, Alexander hrabia Chodkiewicz, Jan Wyleżyński i Jan Lernet, głosili wymownie nadzieje przyszłego szczęścia, wdzięczność miłośnikowi światła, prawdy i ludzkości Alexandrowi I, a trwały szacunek wznoszącemu nowy dla nauk przybytek.

W tym dniu dał się słyszeć głos wymowny Czackiego, wielbił dobrodziejstwa Pawła I. Oddał cześć powinną Alexandrowi I. szczodremu dla nauk, nazwał go chlubą Słowian i nadzieją ludzkiego rodu, który oświecenie wprowadził w ogromne państwo, zajmujące dwudziestą ósmą część znajomego świata, który mieszkańcowi zlodowaciałéj Kamczatki i ciepłéj Taurydy jedne prawa nadał i jedne otworzył na-

dzieje w miarę osobistych zdolności, który dozwolił, aby sąsiad Chin, Ameryki, Persyi i Indyi, udzielał wiadomości potrzebnych mieszkańcom nadbrzeżnym Bugu, Dźwiny i Dniepru.

Za staraniem Czackiego, nowo założone Gimnazyum, opatrzone zostało w bibliotekę, zbiór medalów, machin i minerałów.

Gorliwy o fundusze Gimnazyum, zajął się ich wyszukaniem i zabezpieczeniem funduszu przez niego wydźwignięty 2,350,000. złotych wynosi.

Na prośbę Wołynianów, Cesarz dobrotliwy dozwolił uczcić zasługi Czackiego postawieniem jego pomnika w księgozbiorze i wybić medal złoty. Na jednéj stronie wyobrażona bogini mądrości, budzi laską gieniusz nauk uśpiony, a imie Alexandra w promieniach światła, nad głową Minerwy, okazuje wpływ dobroczynny do rozszerzenia nauk w swém państwie. Ta strona medalu taki ma napis: hoc lumine resplendet, geniumque literarum exuscitat. »Tém światłém jaśnieje i gieniusz nauk obudza.» Strona odwrotna mieści popiersie Tadeusza Czackiego z napisem: Grati civitas Volhyniae in memoriam sempiternam. »Wdzięczni obywatele Wołyńscy na pamięć wieczną.» Nikt się zapytać nie mógł słowami niegdyś Katona, za co postawiony ten pomnik Czackiemu; bo zasługi jego i głośne były i nie wątpliwe.

Dzieła Czackiego są wielkiéj wagi w piśmiennictwie naszém. Dziwnie śmiałe, mocne i głębokie zawierają myśli. Wszędzie dowcip jego ożywny rzucał światło, od tronu, aż do nędzarza, a dusza jego wielka i cnotliwa, tłumaczyła się zawsze łagodnym serca językiem.

Oto jest ich wyliczenie:

1. Wydane bezimiennie, z powodu wyroku wydanego na Zughoera, rezydenta kurlandzkiego, który będąc szlachcicem Polskim; skazany został w sprawie przeciw Tomatysowi na siedzenie w wieży. Czacki roztrząsa czyli Zughoera uważać należy jako posła księcia Kurlandyi, czyli jako obywatela krajowego.

2. W manuskrypcie zostająca obrona Zygmunta Augusta.

Liczne tam znajdujące się uwagi i objaśnienia o prawach, wojsku, skarbie i handlu pod rządem tego ostatniego króla z rodu Jagiełłów, były pobudką do ogromnego dzieła o Polskich i Litewskich prawach, które stało się głośném i w obcych narodach.

3 O Litewskich i Polskich prawach, o ich duchu, źrodłach, związku i o rzeczach zawartych w pierwszym Statucie dla Litwy 1529 roku, wydane w Warszawie 1800 roku w drukarni J. E. G. Ragoczego.

To dzieło owoc niezmiernéj pracy i trudów, ten zbiór najbogetszy wiadomości o prawach Litewskich i Polskich powszechnie uznano za nieskończenie potrzebny i za niewymownie pożyteczną skazówkę dla uczących się prawodawstwa naszego. Czytelnicy nie nawykli do szperań prawniczych i dziejopisarskich, mogą to dzieło lasem nazywać, iak je sam autor przez skromność mianował. Znajome są zalety, które temu dziełu przyznali umiejący oceniać naukę.

4 Wielu pisało o dziesięcinach, jako to: X. Sokołowski Stanisław, sławny kaznodzieja Stefana króla, x. Piotr Grabowski, x. Hieronim Powodowski, Mikołaj Dobrocieski, Maciéj Smogolecki; ale nikt rzetelniéj i gruntowniéj nad Czackiego. Rzucił o tém w dziele o *litewskich* i *polskich prawach* zaród myśli, których dojrzałym owocem stała się oddzielna o dziesięcinach rozprawa. Alexander Potocki przełożył ją po francuzku. Drugie wydanie téj rozprawy znacznie rozszerzone, Bazyli Anastasewicz radzca nadworny, wsławiony tłumacz wielu dzieł polskich, przełożył na język rossyjski. (1).

5 Roztrząsał pod względem krytyki dawnych dziejopisów polskich, Marcina Galla i Wincentego Kadłubka. (2)

6 Pisał rzecz do prawdy zbliżoną o nazwisku Ukrainy i początku Kozaków; (3) bo Czacki nie był z téj liczby badaczów, co jedną ręką odkrywają zasłonę czasu, a drugą wprowadzają czytelników w ciemnotę, w któréj słabe światełko zdaje się tylko

(1) Dysertacya o dziesięsinach w powszechności, a szczególniéj w Polszcze i Litwie, i o koniecznéj potrzebie utworzenia zamiany snopowéj dziesięciny na osep zbożowy, umieszczona jest także historya gospodarstwa krajowego w porównaniu z Angielskiém i Niemieckiém 1802 in 8.

(2) Dmochowski wydrukował ten rozbiór w tomie I. Pamiętnika Warszawskiego 1801 roku od stronnicy 152 do 197.

(3) Mieści się w tomie IV. Pamiętnika Dmochowskiego 1801 roku od karty 32. do karty 40 Tłomaczenie rossyjskie Bazylego Anastasewicza, znajduje się w części I. Dziennika Rossyjskiego z napisem Ulej (Ul) in 8 od stron: 118 do 127.

błyszczeć, na okazanie uczonéj niewiadości autora.

7 Napisana rzecz o prawie do propinacyi nowych obywateli dzisiejszéj Rossyi, okazuje ważny wpływ wiadomości prawnych i dziejowych na społeczny porządek i zabezpieczenie każdemu własności. (1).

8 Czynił rozbiór jeografii matematycznéj i fizycznéj ziemi, dzieła powszechnie uuwielbionego, i wyłożył prawidła pisania dzieł elementarnych. O ważności i loicznym porządku, o jasnym i wymownym wykładzie tego dzieła, zdanie wyraził: że, »Pisane jest w języku dziadów naszych z wymową męzką i rzadką precyzyą.

W drugim roku od założenia gimnazyum ważył w swéj mowie pożytki wynikające z domowéj i publicznéj nauki. (2). To ważne badanie zaymowało wielu sławnych pisarzów. Kwintyliian, Paulin Cheluci i inni w różnych narodach; a nasi współziomkowie Marcin z Pilzna, i Alexander Olizarowski pisali o tém gruntownie. Lubo z wyiasuienia téj prawdy nie ma chlubu pierwszości; ale czucie, dowcip, i smak Czackiego, umiały jego myślom nadadź nowe zwroty i barwę nadobną.

(1) Rozprawa o prawie, które mają Obywatele Gubernij, Wołyńskiéj, Podolskiéj i Ukraińskiéj do wolnego szynkowania piwa, miodu i gorzałki, i o przyczynie, dla któréj obywatele dawnéj Rossyi, nie mając téj części dochodów, krzywdy nie ponoszą — 1805 in 4to stronic 16 bez oznaczenia Drukarni. Wydrukowana jest także ta rozprawa w Dzienniku Wileńskim roku 1806 w Miesiącu Sierpniu. Tłumaczenie Rossyyskie téj rozprawy przez Bazylego Anastasewicza oddał Czacki wPetersburgu 1807 roku hr: Wiktorowi Koczubejowi ministrowi interesów wewnętrznych.

(2) Mowa o pożytkach z wychowania publicznego i domowego 20 Lipca 1806 roku in 4to stronnic 14 bez oznaczenia drukarni.

(Dokończenie w następującym zeszycie)

SAINT CLOUD.

Saint-Cloud miasteczko nie daleko Paryża, sławne pałacem, ogrodem i zwierzyńcem, było od najdawniejszych czasów miejscem rozrywki i wypoczynku dla monarchów Francyi. Teraźniejszy zamek zbudowany był za rządów Katarzyny de Medicis; mieszkał w nim kardynał Mazaryni, po tém xiążęta Orleanu i Ludwik XVI nim wstąpił na tron. Napoleon bardzo lubił to miejsce i tam przepędzał krótkie chwile wytchnienia. Ludwik XVIII. i Karól X. także często odwiedzali to miejsce. Zwierzyniec w Saint-Cloud dzieli się na mniejszy i większy. W większym znajdują się przepyszne kaskady i wodo-tryski. Zasługuje na wspomnienie obelisk znajdujący się w zwierzyńcu, uwieńczony piękném piękném naśladowaniem starożytnego pomnika w Atenach, znanego pod nazwiskiem latarni Dyogenesa.

Do zamku idzie się ulicą prowadzącą do pierwszego dziedzińca, żelazna krata oddziela go od drugiego dziedzińca, w głębi którego stoi pałac składający się z korpusu i dwóch skrzydeł. Widok ograniczony ze trzech stron, obejmuje z czwartéj piękną płaszczyznę Paryża. Główna wystawa ozdobiona jest płaskorzeźbami i czterema kolumnami koryntckiemi, na których stoją posągi, Mocy, Roztropności, Bogactwa, i Wojny. Skrzydła są także ozdobione pięcioma posągami, roboty rzeźbiarza Denezor. Nie należy zamilczeć o pawilonie d'Artois stojącym w pierwszém dziedzińcu, oranżeryi, sali teatru, stajniach, ujeżdżalni i nowych koszarach. Wnętrze pałacu dzieli się na dziewięć apartamentów, to jest siedem paradnych, a dwa pomniejsze. Pierwszemi są. Galerya i salon Dyany, galerya Appolina, salony Marsa, Ludwika XVI, xiążąt i wielki salon. Sciany w salonie Dyany wyłożone są obiciem z fabryki Gobelinów; salon Marsa, ozdobiony jest malowaniami Mignarda, uważanemi jako arcy-dzieła tego wielkiego mistrza; są tam obrazy Lesuera, Rubensa i Michała Anioła. Prawie wszystkie apartamenta ozdobione są malowaniami pierwszych artystów.

Saint-Cloud jest ulubionėm miejscem niedzielnéj przechadzki Paryża. W dzień świąteczny zbiera się w Saint-Cloud niezmierny tłum, któren bawi się widokiem kaskad i wodotrysków, a po tém wstępują na tańce i biesiadę do pobliskich restauratorów.

»Jutro w niedzielę pojedziemy do Saint-Cloud.» Ta myśl wynagradza rzemieślnikowi paryzkiemu, trudy i niedostatek wycierpiane przez cały tydzień.



SAINT-CLOUD.

BIESIADA U PERSOW.



MOJE PRZYGODY W PERSYI.

(*Artykuł wyjęty z dzienników angielskich.*)

I. JAKIM SPOSOBEM STAŁEM SIĘ PODRÓŻNYM.

Mój ojciec, uczciwy kupiec w Starém Mieście Londynu, zbogaciwszy się przez dwadzieścia pięć lat pracy i najściślejszéj uszczęśdności, sprzedał swój handel, zrealizował majątek i zaczął swobodnie używać owoców pracy swojej.

Nigdy nie zapomnę, jak dziwacznym sposobem oznajmił nam tę zmianę w naszym trybie życia.

Miałem wówczas lat dziewiętnaście, a z nich dziesięć przepędziłem w sklepie ojcowskim, nie domyślając się bynajmniej jak ogromny posiada majątek. Wyobraźcie sobie jakiem się zdziwił gdy pewnego poranku zawołał mnie, moją siostrę i naszą matkę, do izby będącej w tyle sklepu, i zasiadłszy z powagą, rzekł do nas:

—»Moje dzieci, przedałem nasz handel i kupiłem dom wiejski o trzy mile od Londynu. Jenny, wiem że kochasz młodzieńca bez majątku, lecz z uczciwym charakterem. Kupiłem dla niego kapitaneryą w *Coldstreams guards* i wydaję cię za niego z sześcią tysiącami gwineów posagu. Jutro odbędzie się wesele.

»Ty zaś mój synu będziesz podróżował dla poznania ludzi. Masz w tym pugilaresie dwa tysiące gwineów; powrócisz wówczas gdy ci pozostanie tyle tylko ile potrzeba na koszta powrotu do kraju.

»My zaś żono wsiądźmy do pięknego koczyka, który stoi przed bramą i wraz z końmi jest także naszą własnością. Odprawiemy wesele naszéj córki w nowo kupionym domu wiejskim.

»Jedźmy!»

Ja, moja matka i siostra, mniemaliśmy że nasz ojciec rozum postradał, lub że to jest marzenie senne. Lecz gdy wyliczył mojéj siostrze posag, a mnie pieniądze na podróż, już nie podobna było wątpić i wesoło pojechaliśmy na wieś.

Po weselu pomyślałem o podróży i postanowiłem zacząć od Szwecyi. Nająłem więc miejsce na okręcie niemieckim wychodzącym pod żagle i pożegnawszy się z rodzicami udałem się do portu.

Cudzoziemscy majtkowie niecierpliwie czekali z czółnem przy brzegu. —»Czy pan jesteś Sir John Brown? zapytali się złą angielską mową, widząc że przybywam z podróżnym mantelzakiem. —»Tak jest odpowiedziałem. —»Płyńmy! zawołali, za tobą tylko czekają.« Wsiadłem więc na okręt.

II. DOKĄD PŁYNĘ.

Oprócz zwyczajnéj słabości morskiéj na którą mocno cierpiałem, nudziłem się na okręcie, nikt bowiem nie mówił po angielsku, oprócz dwóch majtków którzy mię przewieźli czółnem, a i tych nie podobna było zrozumiéć. Byli to prócz tego ludzie prości, grubijanie, pijacy. Siedziałem więc samotny w mojéj izbedce i ile możności nie zadawałem się z nikim.

Z tém wszystkiém podróż ciągnęła się, a nie widać było brzegów Szwecyi. Przeprawa trwać miała dni kilkanaście, a upłynęło przeszło dwa miesiące. Upominać się o ten zawód i kłócić się z temi prostakami, na nicby mi się nie przydało, wolałem cierpieć i milczéć.

Nareście po długiéj podróży zbliżyliśmy się do lądu. Sternik miejscowy przypłynął do okrętu, a słysząc że mówię po angielsku do dwóch majtków, którzy mię jako tako rozumiéć mogli, przystąpił do mnie i rzekł najczystszą angielszczyzną.

—»Kochany współziomku! winszuję ci szczęśliwego przybycia do Persyi!...

—»Do Persyi! zawołałem! do Persyi! Jestem w Persyi? ależ mniemałem że jestem w Szwecyi?

Rozjuszony pobiegłem do kapitana. Mój współziomek sternik, służył mi za tłomacza i wyłożył moje zażalenie.

Kapitan otworzył kartę podróżną i pokazał mi zapisane: *Sir John Brown kupiec towarów jedwabnych.*

W pośpiechu zająłem miejsce mojego imiennika. Musiałem rad nie rad poddać się mojemu losowi i umyśliłem ponieważ tak wypadło, zwiedzić Persyę.

III. GOŚCINNOŚĆ.

Tymczasowo stanąłem w domu sternika; lecz zaraz nazajutrz przyszedł do mnie człowiek poważnéj postaci, ubrany po persku, i ofiarował mi gościnność. Był to wnuk Anglika od dawna osiadłego w Persyi, nazywał się Kabul i zamienił nazwisko angielskie na krajowe. Przyjąłem jego ofiarę gościnną i poszedłem z nim do jego domu.

Ten dom otoczony murami tak wysokiemi, iż zasłaniały wystawę, stał na ustroniu w głębi wielkiego dziedzińca.

Weszliśmy maleńką fórtką, podobą do fórtki więzienia. Ponieważ są to jedyne wnijścia od ulicy, przeto cudzoziemiec ujrzawszy po raz pierwszy miasto perskie, nie wie gdzie się znajduje, nie widzi bowiem ani gmachów, ani wystaw, lecz tylko wysokie i posępne mury stanowiące ścianę ulicy.

Dom gospodarza mojego był piękny i miał dobry rozkład pokojów. Składał się z kilkunastu izb i wielkiéj sali środkowéj zwanéj dywanem. Ta sala leżąca między dziedzińcem i ogrodem, miała po obu stronach szerokie okna idące od posowy, do posadzki, zrobione z kawałków drzewa zgrabnie ułożonych w wieńce i festony, między które wprawiono szkła rozmaitych kolorów. Ponieważ szkło jest bardzo drogim i rzadkim towarem w tym kraju, średnia klassa poprzestaje na stłuszczonym papierze.

Persowie bardzo lubią wodę i dla tego, prawie przed każdym domem mają obszerne wodo-zbiory z marmuru lub alabastru; z pośród których wytryskają ładne fontanny. Szmer wody miłym jest dla ich uszu. Bo można siedzieć od rana aż do wieczora przy oknie, spoglądając na fontannę i przesuwając ziarka swego różańca.

Inne pokoje w domu gospodarza mojego, zwały się w ich języku *balakua*; pod niemi były piwnice.

W pierwszym dziedzińcu znajdowały się boczne oficyny, z pomieszkaniami dla cudzoziemców średniéj klassy i dla derwiszów; oraz stajnie, składy na słomę, jęczmień i psiarnie.

Karczmy zbudowane są podobnymże sposobem; lecz obszerniéj i mają także ozdobne oficyny na kuchnie i łaźnie.

Wielkie sale haremu przeznaczone są dla pana domu; tam on jada i często bardzo sypia. Jest to miejsce zebrania się wszystkich żon jego, które przychodzą natychmiast, skoro tylko on wnijdzie.

Po krótkiéj wieczerzy, ponieważ już było późno, poszedłem do pomieszkania wyznaczonego dla mnie, gdzie było łóżko usłane na ziemi; podług ich zwyczaju.

IV. KĄPIELE.

Nazajutrz rano, gospodarz mój zaprowadził mię do kąpieli publicznych.

Kąpiele są najprzyjemniejszym zwyczajem dla Persów. Są nawet potrzebą, gdyż Persowie raz tylko w miesiąc zmieniają bieliznę. Prócz tego, religia nakazuje używanie kąpieli iako powinność.

Kąpiele perskie bardzo różnią się od Europejskich; są to obszerne budowy podziemne, pokryte kopułą, w któréj zrobione są szerokie otwory, pokryte większemi tablicami alabastru, dla przepuszczania światła.

Pierwsze sale zazwyczaj są okrągłe i bardzo wielkie, opatrzone w około ławkami i niszami, gdzie rozbierają się kąpiący. W środku obszerne wodo-zbiory z marmuru lub alabastru, ozdobione fontannami, dla przyjemności kąpiących się.

Gdy się już zupełnie rozbiorą, zarzucają na siebie prześcieradło; które ich okrywa, od bioder aż do kolan. Wchodzą potem do sali napełnionéj parą, tak gorącą, iż osoby nie nazwyczajone do niéj, ledwie że się nie duszą.

Sala ta, wysłana jest taflami z marmuru białego, rozgrzanemi wodą ciepłą, którą bez ustanku na nią wylewają. W głębi jest gabinecik do którego jeden po drugim wchodzi dla pozbycia się włosów, co następuje w mgnieniu oka, przez użycie maści zrobionéj z ziela zwanego *uronie mało* albo *zajęcza kapusta* i wapna, rozpuszczonego w zimnéj wodzie. Tą maścią nacierają sobie części obrosłe, a w pięć minut zrobią się tak gładkie, jak dłoń u ręki. Trzeba jednakże wiedzieć jakim sposobem używa się téj maści, gdyż niebezpiecznie byłoby zostawiać ją dłużéj niż potrzeba, przegryzłaby skórę, a części ciała do któréj ją przyłożono zamieniłaby w ranę. Po jéj użyciu nie należy także obmywać się wodą ciepłą.

Po téj operacyi, powraca się do sali ciepłéj, gdzie dwóch silnych ludzi będących cerulikami miejscowemi, bierze kąpiącego się i kładzie go na posadzce marmurowéj, położywszy mu poduszkę pod głowę. W takiém położeniu wkrótce następuje obfita transpiracya; wówczas dwaj cerulicy nacierają i naginają wszystkie części ciała podług kierunku muszkułów, ruszają potém każdym stawem. Z razu doznaje się dosyć przykrego uczucia, lecz jego skutki są wyborne. Operacya ta jest prawdziwą męczarnią dla tych którzy jéj po raz pierwszy doświadczają; lecz dobry skutek z niéj wynikający okazuje, że to jest najlepsze lekarstwo krajowe, nic bowiem nie nadaje ciału większéj czerstwości i nie ułatwia lepiéj krążenia krwi.

Przez ten czas gdy dwóch ludzi wysila się nad ciałem jednéj osoby, trzecia ciągle ją oblewa ciepłą wodą, od stóp aż do głowy. Gdy się to skończy, biorą rękawiczkę włosianą i trą ciało we wszystkich kierunkach; zdejmują tym sposobem znaczne krążki zwierzchniéj niepotrzebnéj skóry, któréj pozbycie się tém skuteczniéj dopomaga zdrowiu, iż ułatwia transpiracyą. — Cyrulicy perscy tak zręcznie umieją zdejmować tę martwą skórę, bez skaleczenia ciała, iż za jednem pociągnięciem ręki, odrywają kawały długie przeszło na stopę, i zwijające się pod rękawiczką jak mokry papier.

(*Dalszy ciąg nastąpi*)

CHWYTACZ (*Cercoleptus*)

Zwierze to należy wyłącznie do Ameryki, mniemają nawet, iż znajduje się tylko w części lądu między dwoma zwrotnikami. Chociaż nie musi bydź bardzo rzadkie, sposób jego życia ochrania je od poszukiwań myśliwca i naturalisty. Lubi mieszkać w głębi nieprzebytych lasów, siedzi nieporuszone przez cały dzień, i w nocy tylko wychodzi na szukanie żeru. I w tenczas nawet więcéj skacze po drzewach, niżeli po ziemi, tak więc unika wzroku dostrzegaczy. Nie ma przeto nic dziwnego że Buffon nie znał go należycie i że wielu naturalistów pomieszało je z *Carcajou* innym czworonogiem tegoż samego lądu, który także wdziera się na drzewa, lecz przebywa w krajach zimnych, poluje w w dzień i rzuca się na wielkie zwierzęta. Chwytacz chociaż jest drapieżnym, łapie tylko małe zwierzątka, a nawet żaby i owady. Wielkością nie przechodzi Żbika. Budowa i sposób życia tego zwierza, odróżniają go od innych; naturaliści oznaczyli go osobnym rodzajem pod nazwiskiem *Cercoleptes*; zręcznie chwyta się ogonem za gałęzie; ma język bardzo długi i ruchomy, sięga nim w wydrążenia drzew, wykrada miód dzikim pszczołom i t. d. Do tego przydać trzeba, że w przednich łapach może utrzymać to co obgryzuje, jak wiewiórka. Pod względem ruchu i zwinności przyrodzenie bardzo obdarzyło Chwytacza, lecz nie może znieść blasku słońca, zrenica jego tak się ściąga od światła, iż wygląda tylko jak punkcik czarny. Chwytacze tém są między czworonogami, czém sowy u

CHWYTACZ.



ptaków; należą do ostatniego rzędu zwierząt mięsożernych, nie mają ani odwagi, ani przewidywania i zabijają swoją zdobycz wówczas nawet kiedy jéj ani zieść ani schować nie mogą. Głowę ma dosyć małą w stosunku reszty ciała. Miód lubi nade-wszystko i jest najgroźniejszym nieprzyjacielem pszczół dzikich. Mało bardzo zwierząt z tego gatunku sprowadzono do Europy. Jedno z nich było w wędrownéj menażeryi; szkodziło mu to, że go ustawicznie budzono w dzień i zdechł wkrótce. Drugi żył dłużéj i dosyć się oswoił. Zażerał się niezmiernie. W dzień spał zwinięty w kłębek, a za to w nocy był bardzo zwinny i ruchawy.

TADEUSZ CZACKI.

(Dokończenie.)

W jakiéj prostocie uymuiącéj wyraził tę troskliwość Oyców i Matek w dozorze domowym, w jakiéj delikatności określał te nawet błędy, które rodzą się w cnocie i bojaźni o najmilsze iestestwa, w jakiém czuciu rozmaite względy rodzicielskiéj opieki wystawił. Zdaie się, iż wszystko powiedział na obronę wychowania domowego i zdawał się uprzedzać słuchających na jego stronę, gdyby jeszcze ważniejszych uwag nie miał zamiaru przedstawić. Tak przemagające myśli rodziców wystawia za nauką domową. Rodzicielskie serca, naylepiéj ocenić myśli tego zdołają, który pisząc ich czucia, swoje tak szlachetnie wyraził. Troskliwi Rodzice o wychowanie swych dzieci, jeszcze posłuchają opisu domowego ucznia, jak jest narażonym na niebezpieczne i szkodliwe przywary, jak umysł jego w samotności trętwieje i słabnie.

»Uczeń nie widzi w domu tylko siebie, nauczyciela, rodziców, których może omylić, a zawsze ubłagać, patrzy na domowników, jak na przyszłe narzędzia swéj woli... Samolubstwo odróżnia go od innych. Mniema, że jest najlepszym i najuczeńszym; bo nie ma punktu porównania. Wszystkie nazwiska umiejętności są mu wiadome; ale ich gruntownie nie zna i związ-

ku między niemi nie wié. Zadziwia nie umiejętnych językiem nauk, a zyskuje niepomyślną dla siebie litość od uczonych. Zna siebie choć nie dobrze; ale nie zna zupełnie ziomków. On wychodząc z podwojów własnego domu, jest dla własnéj ziemi i współmieszkańców prawie cudzoziemcem. Dumnym jest że mówi językiem Woltera, Klopsztoka, Petrarchy, lub Miltona, a najrzadzéj językiem Horacyusza; ale nie czuje, że mowy różnych narodów, ułatwiają tylko wzajemne myśli i życzeń tłómaczenie: a ogromny słownik kilkunastu języków, nie jest jeszcze jedną kartką loiki, albo rozdziałem potrzebnych umiejętności. Najczęściéj taki młodzian jest próżnym; bo wyższa zasługa rówiennika nie jest mu wiadoma. Wié, że jest rząd; ale nie doświadcza jego czynnéj opieki w badaniu o jego postępkach, w zachęcaniu i udziale nagród. Wstydzić się tylko może przed rodzicami, których łzy łączą się ze łzami dzieci i odnawiany dają dowód czułości i nadziei. Lecz opinia publiczna nie wpływa w wychowanie takiego młodziana. Przyjaźń, zapomnienie o sobie, dla dobra społeczności, rzadko mieć mogą ołtarze w domowém zaciszu; bo nie masz takich wypadków i takiego zbioru ludzi równego wieku, jak w publicznéj szkole.»

Pisał uczoną rozprawę o narodzie Izraelskim. (1). Do historyi ustanowień tego narodu, czerpał wiadomości z ogromnych dzieł Bartoloccego i Błażeja Ugolina. Wstęp do téj rozprawy wspaniały i podziały porządne. Opisawszy pierwiastkową tego plemienia historyą we czterech okresach aż do śmierci Juliana Cesarza, kreśli stan Izraelitów u Arabów, Włochów, Hiszpanów, Francuzów, Niemców, i Węgrów. Mówi o wejściu ich do części południowéj Polski w wieku XII. o stanie ich oświecenia, rządzie, prawach, prześladowaniach i zabobonach.

Mnogie przypisy do téj rozprawy dowodzą niezmiernej pracy autora. Rozprawa o Karaitach w kilkunastu kartkach objęta dokładną wiadomość o nich wyłuszcza.

Na cztery lata przed śmiercią napisał rozprawę, czy prawo rzymskie było zasadą praw Litewskich i Polskich? (2).

Napisał także rozprawę o losach i prawach xięztwa Mazowieckiego. (3).

Z obowiązku włożonego od króla Stanisława Augusta i wielu ziomków miał kończyć dzieje od Naruszewicza zaczęte. Zajęty ważnemi obowiązkami urzędu, wstęp tylko do nich przygotował.

Przedsiębiorąc pisać dzieje rodu Jagiełłów wyraził, iż kto ma sądzić o narodzie, powinien razem sądzić o wieku, w którym pisze, o ludach, które były temu narodowi w mocy lub słabości, bogactwie i oświeceniu współczesne, pozna dopiero tym sposobem czytelnik, co uczynił ród Jagiełłów, co mógł uczynić, a czego dopełnić w jego mocy nie było. Śmierć zawczesna pozbawiła naród dzieła, które zapewne byłoby godnem sławy Czackiego.

Zebrał liczne do historyi pisma, któremi prawdę miał objaśniać i błędy obalać dowodnie. Ztąd największe dowcipy zabierając się do pisania dziejów, udawały się do niego o pomoc, radę i zasilenie, jak do skarbnicy nieprzebranéj bogactw naukowych. Nie był zawistnym, lecz z zapomnieniem nawet o sobie, udzielał się oświeceniu drugich. Nie mam potrzeby wymieniać tych, co korzystali z jego rad i pomocy. Jedni już publicznie okazali swą wdzięczność, a drudzy gdy płony swoich badań oddadzą narodowi, nie zatają tego źródła, zkąd swoje wiadomości czerpali.

Wsławiony pisarz dziejów rossyjskich Mikołaj Karamzyn, zasięgał od niego wielu historycznych wywodów i udzielał mu nawzajem swoich badań uczonych. Niech słowa powtórzone uczonego Karamzyna, oddadzą hołd jego poszukiwaniom w odkryciu prawdy i wielbieniu cnoty. »Gorliwie zajmujemy się jednym przedmiotem, (słowa są Karamzyna) dla sławy i korzyści wspólnéj ojczyzny, kochamy prawdę i cnotę, gdzie ją znaleśdź możemy. Dziejopisarze wolni do przesądów łączą się związkiem braterstwa. W tym duchu ściskam rękę badacza dziejów i wzajemnego uściśnienia pragnę.» Kto tak mówił, szanował naukę i cnotę w Czackim, a ludzi całego świata uznawał za braci.

Piotr Stefanowicz Wałujew rzeczywisty tajny Radzca, Senator, Naczelnik zgromadzenia czuwającego nad zachowaniem starożytnych pamiątek w Moskwie, i trudniący się ich opisem, znając rzadką biegłość Tadeusza Czackiego w śledzeniu dawnych dziejów, wezwał go do wspólnictwa prac za przyzwoleniem Monarchy.

Najdrobniejsze szczegóły dziejów Liwiju-

(1) Drukowana w Wilnie u Zawadzkiego 1807 in 8vo stronnic 245. Tłómaczoną po Rossyjsku od Bazylego Anastasewicza, w rękopiśmie oddał Czacki w Petersburgu hr: Wiktorowi Koczubejowi, ministrowi interesów wewnętrznych 1807.

(2) Drukowana w Wilnie u Józefa Zawadzkiego 1809 roku in 8vo stronnic 122. Bazyli Anastasewicz w roku 1810 tłómaczył ją dla Sperańskiego dyrektora kommissyi praw i oddał mu rękopism.

(3) Drukowana w Krzemieńcu 1811 r.

sza, Tacyta i Sallustyjusza pamiętał. Lubił odczytywać historyą Hume, Robertsona i Gibbona, i często z nich myśli przywodził. Miał dar tłumaczenia się nadzwyczaj rzadki. O każdej rzeczy bez przygotowania ozdobnie rozprawiał. W porównaniach i kreśleniu obrazów był wielce trafnym. Szczęśliwie połączał dokładność z krótkością. Nikt czuléj zasług nie wielbił, nikt cnoty w przyjemniejszych niestawiał obrazach.

Z niewypowiedzianą pracą, trudnością i nakładem, zgromadził pamiątki wieku Zygmuntów, porozpraszane w kraju i za granicą, wydarł tę pastwę molom i spleśniałości, i wskrzesił pamięć wielu prawie zatartą. Jedni pisarze zupełnie zapomnieni, zostawali w prochu, drudzy ledwie z imion byli znaiomi. Pracowicie zebrana Hystoryja Polskiej Literatury, nie mieści w sobie wielu dzieł rzadkich niezmiernie, znajdujących się w Poryckim księgozbiorze.

Uczeni przeglądający ten skarb najdroższy pamiątek narodowych, uznali go bydź jedynym w całej Europie. Żadna księga nie była mu obojętną, wszystkie rozczytywał z uwagą. Na każdej niemal opisał osnowę, i czynił uwagi we względzie języka i rzeczy. Stać się one mogą wielką pomocą piszącym. Zebrany ogrom wiadomości rozległych, miał w przytomnéj pamięci, a w posiedzeniach i szkołach, rozprawiając nieprzygotowanie z największą dokładnością o wielorakich przedmiotach, słuchających zdumiéwał.

Jaki duch religii, co za dobroć serca, powodowała nim w sprawie oświecenia! Jak usilnie pragnął, aby ze źródła nauki BOGA, wylewało się szczęście na młodzież. Czystość tych chęci, świadczą niewątpliwie te słowa powiedziane w obliczu najcnotliwszego z pasterzów. (1). Błogosław téj szkole. Przyjmie Twórca ukorzone serca nasze w hołdzie przez twoje święte ręce. Jego to jest dzieło, z którego się cieszysz. Racz bydź pewnym, że póty tylko pragniemy jestestwa téj szkoły, póki ją religia i cnota oznaczać będą. Niech zamieni się w opuszczone zwaliska, jeżeli stanie się przybytkiem występku.»

Ogrom zatrudnień, których pamięć najszczęśliwsza ledwie objąć może, siły jego wyniszczał. Mogę śmiało powiedzieć, iż nie miał wzorów w gorliwości i podobno naśladowców nie znajdzie.

W życiu domowém przekonywała się familia i stająca się najznakomitszą ozdobą wyboru i pożycia, (2) o pełnych szlachetności postępkach. W téj żywości, jaką miał z przyrodzenia, nie poruszał się umysł jego nagłą popędliwością, ale wszędzie szukał słuszności i prawdy, wszystko umiał trafnie rozeznać i osądzić, a przez to nie ubliżał téj powadze, na któréj sława wielkiego człowieka polega. Wszystko mówił otwarcie; bo nic nie miał w sercu, czegoby nie śmiał wyjawić. Najmiléj zawsze wynurzał wdzięczność czyniącym pomoc w wielkich swoich zamiarach. Równie był z głosu, jak z wejrzenia szacowny. Sama dobrotliwość była Jego zacnością, sama łagodność w rozpowiadaniu, uprzyjemniała chwile domowych posiedzeń. Często w zamyśleniach bywał roztargnionym. Na nieludzkość, zdradę, niewdzięczność i sprawy niegodne człowieka, oburzał się niezmiernie, i bez wzdrygnienia mówić o nich nie mógł; ale osobiste urazy dobrotliwie przebaczał. W rozrywaniu niesnasek i pojednaniu serc zagniewanych miał pociechę jedyną. Dziwnie był łaskawym i miłosiernym. Ubogich ludzi użaleń chętnie wysłuchiwał, a sprawiedliwości nikomu nie odmawiał. Dla krwi swojéj wylewał się z uczuciami najtkliwszemi serca. Trafnym był w wyborze przyjaciół, i wywiązywał się im uprzejmością dozgonną. Przyjmował chętnie porady; ale i zdania swoje mocno popiérał; bo wszystko prawdzie poświęcał, nawet i miłość własną. Mógł się wprawdzie omylić jako człowiek; ale czystość pobudek, same nawet omyłki wymawiać mogła. Szczodrym był w pochwałach nieskażonego podłością życia, i o kim raz powziął dobre mniemanie, tego złość i potwarz upośledzić przed nim nie mogła. Wszystkiego słuchał, a mało czemu wierzył. Majątek jego był otwartym na zastępowanie potrzeb téj szkoły. Tyle z jego dobroczynnych ofiar, celującéj w naukach młodzieży, brało udoskonalenie w uniwersytecie Wileńskim. Powodowała nim wielka miłość chwały; ale jak drogiemi okupił ją dziełami z utratą majątku swego i życia, chociaż miał do walki, nietylko złość i niewiadomość, jak sam wyraził, ale nawet samę omyloną cnotę przed oczywa swojemi. Wszelakie gorycze osładzał, wszystkie trudności przełamywał hasłem poczciwego serca i oświeconego rozumu.

Kto czytał dzieła Jego, zdumiewał się nad mocą myśli i wyrażeń, a poznawszy Go, do wyobrażenia głębokiego rozumu, przydawał piękniejszą jeszcze zaletę ujmującéj ludzkości. Mogęż stosowniej użyć wyrazów Xiążęcia wymowy na uwielbienie Rzymianina cnotliwego? gdy w tym krótkim opisie widzę prawdziwy Czackiego obraz: »Fuit ille vir, cum foris clarus, tum domi admirandus: neque rebus externis magis laudandus quam institutis domesticis.»

(1) JWJX. Cieciszowskiego Biskupa Dyecezyi Łuckiéj i Żytomirskiéj.

(2) JW. z Dębińskich Barbara Czacka.

Nie inne były mowy, nie inne myśli i pisma w domu jego, jak tylko o prawach, o pomnikach starożytnych i o nauce. Quae in illa domo dicebantur, quae cogitabantur, quae litteris mandabantur? jura, monumenta majorum, omnis sapientiae ratio, omnisque doctrinae.»

Nieszczęsne i bolesne wypadki zgon Jego poprzedziły.

W okropnościach wojny wystawującéj obraz smutnego spustoszenia i nędzy, czuł i swoje dolegliwości i tych, z którymi bliższe łączyły go związki. Cieszył więc troski swoje życzliwością drogich i swojém sumieniem. Dla ustawicznej pracy, zbytniego natężenia umysłu, nagle odbywanych podróży podczas ciężkich i zaraźliwych chorób, ustawać zaczął na siłach. Pospieszał z Żytomierza do Dubna, na orzeźwienie i ulgę trosk swoich. Ledwie stanął w tém mieście, gwałtowna choroba zaczęła się zwmagać. Szóstego dnia rozstał się z tym światem na łonie najbieglejszych lekarzów. Mocny w wierze, cierpliwy w nadziei, stanął z ufnością przed sądem Przedwiecznego Pana.

Podług woli ostatecznéj, zwłoki jego sprowadzone były do Porycka, i w grobie przodków złożone.

Rękopisma Tadeusza Czackiego.

1. Uwagi o handlu, z Angliią, Portą Ottomańską i innemi Narodami. 2. Opis obrad sejmowych we dwunastu dniach Miesiąca Maja. 1790. Roku. 3. Obrona Zygmunta Augusta. 4. O urządzeniu rękodzielni. 5 Prawo dla miast kryminalne; składa się ze dwóch części. W pierwszéj okazuje rozmaitość przewinień i przewód prawny; w drógiéj wyszczególnia kary występków. 6. Plan mapy jeneralnéj. 7 O drożyznie zboża, i środkach do jéj zmniejszenia 8. O stanie jeneralnym oświecenia Gubernii Wołyńskiéj i o środkach urządzenia i upowszechnienia nauk uczynione doniesienie 1804 r. 9. Urządzenie Gimnazyum Wołyńskiego w mieście Jego Imperatorskéj Mości Krzemieńcu i wszystkich innych ustanowień przy tym Gimnazyjum, projekt podany do rozwagi, a potem do Najwyższego potwierdzenia. 10. O rokoszu szlachty pode Lwowem 1537 11. Rozprawa o cyganach. Kołłątaj tak wielbił to pismo, iż pragnął je mieć swoim utworem. List ze Stołpca do Tad: Czackiego. 12. O sztuce menniczej. 13. Wyłuszczenie przedmiotów kommissyi sądowej edukacyjnej. 14. Mowa przy dokończeniu biegu Nauk szkolnego w Gimnazyjum Wołyńskiem 1808. 15. Wstęp do historyi Polskiej. 16. Wstęp Mowy pochwalnéj Chreptowicza. 17. O statystyce Polskiéj. 18. Wypisy z rozmaitych pisarzów, ściągające się do Dziejów. 19. Listy do najznakomitszych Osób w Narodzie i za granicą.

Dzieła Drukowane.

1. Mowa miana w imieniu Kommissyi kruszcowéj do Stanisława Augusta 1785 in 4. 2. Odpowiedź na pismo Grumerta, czy JP. Zughoer może bydź umieszczonym w liczbie posłów Monarchów? 1787. in 8. s. 107. 3. Reflexyie nad uszkodzeniem dla Krajów Polskich wynikającem z zaniedbywania handlu, pochodzącego z mniej uważania poruczonéj nad Gdańskiem opieki 1790 in 8. stronic 30. 4. Usprawiedliwienie się na Sejmie w materyi kupna pałacu Posłowi cudzoziemskiemu 1791 5. Mowa w materyi mennicznéj na Sejmie 28 Września 1791 w Warszawie w drukarni Michała Groella in folio. 6. Mowa w czasie pierwszego zasiadania na kommissyi skarbu koronnego Rocha z Głogowy Kossowskiego jako Podskarbiego W. koronnego imieniem téjże kommissyi miana 14. Lutego 1791. Roku. 7. O Litewskich i Polskich prawach, o ich duchu, źrzódłach, związku i o rzeczach zawartych w pierwszym Statucie dla Litwy 1529. wydanym w Warszawie 1800. R: w drukarni J.E.G Ragoczego in 4to dwa Tomy. 8. Rozbiór dziejów Narodu Polskiego przez pierwszych dwóch Pisarzów Marcina Galla i Wincentego Kadłubka, znajduje się w Tomie I. Pamiętnika Dmochowskiego 1801 od karty 183 do 197.

PARYŻ I PARYŻANIE w r. 1835.

Przez panią Trollope, Angielkę.

(WYCIĄG DRUGI).

LIST XXX.

Ze wszystkich kobiét, które poznałam w Paryżu; ta, co podług zdania mego przedstawia najdoskonalszy wzór wytwornéj francuzki, jest to pani Recamier; ta sama pani Recamier, którą przypominam sobie iż widziałam w Londynie, nie śmiem powiedzieć jak wiele lat temu, przedmiotem powszechnego uwielbienia. I rzecz zadziwiająca! jest niém dotychczas. Dawniéj znałam ją tylko z widzenia; pokazywano mi ją jako najpiękniejszą kobietę w całéj Europie; lecz teraz poznawszy ją osobiście, pojmuję jakim sposobem to się dzieję, iż wdzięki, zwykle tak ulotne, u niéj trwają dotąd. Prawdę mówiąc, jest ona wzorem wszelkich powabów. Powszechnie uważana jest za doskonałość w ułożeniu, obejściu, powierzchowności, ubiorze, głosie, wymowie i nie mogłabym wymyśléć lepszego sposobu nadania ostatecznego wykształ-

cenia młodéj panience, jak podając jéj sposobność naśladowania każdego ruchu, każdego słowa pani Recamier.

Nie zaprzeczoną jest rzeczą, iż przyswoiła sobie mnóstwo talentów i wdzięków, które wystarczyłyby na utworzenie tłumu zachwycających kobiét. Nie widziałam nigdy francuza, któryby nie przyznawał, że chociaż kobiéty jego narodu świetnieją wdziękami, do nich tylko samych należącemi, w ogóle mniéj daleko pięknych kobiet jest we Francyi niżeli w Anglji; dodawał jednakże: »*quand une Française se mêle d'être jolie, elle est furieusement jolie.*« Słowa te są najstósowniejsze w rzeczywistości i dowcipne w wyrażeniu. Piękna Francuzka jest może najpiękniejszą kobiétą na całym świecie.

Piękność pani Recamier czyniła ją niegdyś cudem, a teraz, gdy przebyła wiek, w którym piękność najwyższego szczytu dosięga, jeszcze bardziéj zadziwia: gdyż wątpię aby kiedykolwiek więcéj obudzała podziwienia jak w téj chwili. Spieszą za nią tłumami, jest kochaną i szacowaną od licznego grona najpierwszego paryzkiego towarzystwa, do którego liczą się najsławniejsi francuzcy literaci.

Wszyscy uznają że jéj wieczory są tak zachwycające jak osoba, a łącząc mój głos, z głosem ogółu, chlubię się razem i wdzięczna jestem żem na nie została przypuszczona. Lecz mówiąc o społeczności Paryzkiéj, nie podobna ominąć rysu tak mocno uderzającego, jakim jest salon pani Recamier. Umie ona martwym nawet przedmiotom, użyczyć wdzięków.

We wszystkich tych przedmiotach oddycha wykończona wytworność nadającaim powab, któremu oprzeć się niepodobna. Bywałam często w salonach tak obszernych, iżby pomieściły w sobie cały jéj apartament, lecz zawsze nie tyle mię uderzały, przy całéj wspaniałości, jak jéj powabny salonik w *l'Abbaye-aux-Bois*. Draperye z białéj jedwabnéj materyi, delikatny odcień błękitu, tak lubo łączący się z nimi; zwierciadła, kwiaty, wszystko to razem nadaje temu salonowi pozor, cudnie zgadzający się z piękną jego mieszkanką. Możnaby mniemać, że sama pani Recamier obrała na zawsze białą odzież, gdyż nigdy nie nosi innego ubioru jak tylko świetnéj białości, i prawdę mówiąc mięszanina wszelkiego innego koloru, zdawałaby się świętokradztwem obok wytwornéj delikatności jéj osoby.

P. Recamier przyjmuje co rano małą liczbę przyjaciół. Odwiedziny te odbywają się codziennie od czwartéj do szóstéj przed obiadem. U niéj byłam przedstawioną panu de Chateaubriand, którego odtąd miałam przyjemność częściéj tam napotykać, przyjemność któréj pewno nigdy nie zapomnę.

Grono bywające u pani Recamier, nigdy nie jest liczném, a rozmowa zawsze bywa powszechną. Gdym tam była pierwszy raz z córką, zastałyśmy, jak mi się zdaję, jednę tylko damę i ze sześciu mężczyzn, w których liczbie był także i Pan de Chateaubriand. Wspaniały obraz Gerarda, powzięty ze szczytną śmiałością i z właściwą jemu doskonałością wykonany, zajmuje jedną ścianę tego wytwornego salonu. Przedmiotem tego obrazu jest Korynna, w chwili poetycznego natchnienia; trzyma lutnię w ręku, a skronie ma uwieńczone laurami. Gdyby nie tegoczesne ubiory otaczających ją osób, możnaby ją wziąść za Safonę. Nigdy ta namiętna kobiéta szczytniéj odmalowaną nie była, z mocniejszém uczuciem wzniosłéj poezyi, z wytworniejszym wdziękiem niewieścim.

Widok tego arcy dzieła, naturalnie zwrócił rozmowę na panią de Stael. Opowiadano jéj przyjaźń z panią Recamier i uszczypliwą odpowiedź uczynioną pewnemu mężczyznie, który siadłszy między niemi dwoma, dosyć niedorzecznie odezwał się: »Znajduję się teraz pomiędzy dowcipem a pięknością! — Nieposiadając jednego, ani drugiej,»—odpowiedziała pani Stael.

Dowiedziawszy się o ich przyjaźni, korzystałam ze sposobności, aby się zapytać, czy pani Stael istotnie miała zamiar odmalować się w osobie Korynny.

—»Bez wątpienia,—odpowiedziała mi;—dusza pani Stael najzupełniéj jest rozwiniętą w Korynnie.«

Potém obracając się ku obrazowi, dodała: »Te oczy, są oczami pani Stael.«

Pokazała miniaturę, wystawiającą jéj przyjaciółkę w całym blasku młodości, w wieku, w którym zapewne jeszcze nie znała się z panią Recamier... W istocie, oczy miały barwę i wyraz natchnienia, które Gerard nadał Korynnie. Lecz artysta posiadał zbyt wiele gustu, lub na zbyt mało odwagi, aby daléj posunąć podobieństwo. Grube wargi i krótki podbródek prawdziwéj Sybilli, zmienione zostały na płótnie, w to wszystko, co tylko piękność kobieca może miéć najułudniejszego. Wiek, ktory wskazują rysy, przedstawione w miniaturze, nie osobliwe daje wyobrażenie o guście wówczas panującym. Głowa utrefiona *a la Titus*, umieszczona jest na popiersiu i ramionach, równie ogołoconych ze wszelkich ozdób, lecz nieco otylszych, jak u Wenery Medycyjskiéj.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WOJSKO PERSKIE.



MOJE PRZYGODY W PERSYI.

(*Artykuł wyjęty z dzienników angielskich.*)

(*Ciąg dalszy*)

Ponieważ zwykle w kąpieli farbują sobie włosy i brodę, opiszę więc jak się to robi: jest to sposób bardzo prosty, i nie tylko że nie pociąga za sobą złych skutków, jakie zrządza użycie proszków sprzedawanych przez naszych europejskjch szarlatanów, ale jeszcze dopomaga rośnieniu włosów. W tym celu używają bardzo delikatnego proszku zrobionego z liści Indigo ususzonych i na proch utartych. Rozmaczają ten proszek w wodzie, dopóki nie zrobi się gęstawą maścią. Przed użyciem wymywa się broda i włosy mocną wodą mydlaną, dla odjęcia wszystkich części tłustych; potém spłókuje się ciepłą wodą i ociéra ile możności. Przykładają maść tak aby wszystkie włosy były nią przejęte i okryte; zaczyna się potém nacieranie w kąpieli, że zaś trwa przez półtory lub dwie godziny, farba tymczasem doskonale się uchwyci. Potém opłukują maść wodą ciepłą i zczesują delikatnym grzebieniem. Gdy kto po raz pierwszy każe sobie włosy farbować, musi powtórzyć tę operacyę przez dwa dni, gdyż z początku włosy wpadają w kolor zielony, lecz potém przybierają najpiękniejszą czarność; a taka jest moc téj farby, iż ledwie co sześć tygodni odnawiać ją potrzeba.

V. BIESIADA.

Gospodarz mój wydawał tego dnia biesiadę i zaprosił mię na nią.

Jadalna sala mojego gospodarza, tworzyła podłużny czworobok; goście usiedli na ziemi, na dywanach z pilśni, szerokich na trzy stopy, a grubych na trzy lub cztery linie, tak iż całe towarzystwo siedziało w podkowę; na jednym końcu usiadł pan domu i widzieć mógł wszystkich gości.

Persowie siadają na ziemi na piętach, i warto opisać jak wchodzą do towarzystwa.

Jakkolwiek liczne jest zgromadzenie, wchodzący do niego postrzega od razu miejsce, na którém stósownie do swego stopnia ma prawo usiąśdź; zostawia przy drzwiach swoje pantofle, a zostając w safianowych papuciach, wchodzi nie patrząc na nikogo, nie kłaniając się, a zwłaszcza nie mówiąc ani słowa; staje na swojém miejscu, składa obie nogi, prostując się jak do musztry, podnosi zwierzchnią suknię, przyklęka na kolanach, a potém siada na piętach; wówczas dopiero podnosi oczy i poważnie wymawiając wyraz *salam-alekum* kłania się głową na prawo i na lewo; każdy z gości oddaje mu wzajemny ukłon, mówiąc także *alekum-salam*; na tem kończy się przywitanie. Gospodarz wita gości wyrazem *koch-gujaldy* (witam was w moim domu.)

W porze obiadowéj rozciągnięto w około izby przed gośćmi wielkie obrusy płócienne kolorowe, a potém kilku służących przynosiło dzbanki i miedniczki miedziane; każdemu nalano wody na prawą rękę, którą obtarł chustką. Podano potém panu, a następnie wszystkim gościom, ogromne półmiski z cukrami, sucharkami, marcypanami i owocami, jeden półmisek na dwóch. Mało kto jada te przysmaki i wkrótce je wynoszą.

Słudzy przynieśli potém chleb składający się z placków, szerokich na stopę, długich na dwie, a grubych na dwie lub trzy linie. Służą one tylko zamiast talerzy, na nie spadają ziarka ryżu, gdy go biesiadnicy rękami niosą do gęby. Wnoszą potém półmiski po jednym na dwie osoby; znajduje się na nich ulubiony pilaw, (ryż z baraniną), a gdy już każdy ma przed sobą potrawę, gospodarz daje znak jedzenia, wyrazem Bism-Allha (za pomocą Bożą). Słudzy przynoszą co raz to nowe potrawy, a naostatku pieczyste.

Osobno dają dla podniecenia apetytu, rodzenki, korniszony, migdały, a nawet sól, którą każdy bierze na palec lekko zwilżywszy go śliną.

Persowie jedzą prawą ręką, nie używają łyżek, nożów i widelców, i bardzo zręcznie rozrywają wszelkie mięsiwa, które wprawdzie tak są rozgotowane iż rozdzielają się za najmniejszém naciśnieniem.

Lewéj ręki nigdy nie używają do jedzenia, i byłoby to jak największém grubijaństwem dotykać nią jadła; nie pokazują jéj przez ciąg biesiady, ale trzymają zawiniętą w fałdy szaty za pazuchą.

Do picia nie używają w Persyi szklanek; napoje przynoszą w słojach przy których kładą łyżki drewniane bardzo zręcznie wyrobione; ich rękojeść długa jest na osiemnaście cali, każdy słój ma swoją łyżkę; służą one do czerpania i picia; bywają rozmaitéj wielkości, zazwyczaj objąć mogą średnią szklankę; ale są także dwa razy większe.

Po obiedzie sprzątnięto półmiski i obrusy, które tak zręcznie zwijają, iż nic nie upadnie na kobierzec. Słudzy przynieśli potém dzbanki i miednice z wodą ciepłą. Każdy biesiadnik obmył sobie prawą rękę, płukał usta, obmył brodę i obtarł się chustką własną, częstokroć dosyć brudną. Po-

tém dano kawę i fajki, wprowadzono muzykantów i tancerzy.

Muzykanci usiedli na piętach w kącie salonu, i zaczęli śpiewać przygrywając sobie na mandolinach, tamburynach i gitarach. Tancerze byli młodzi i mieli głowy ogolone, prócz dwóch długich kosmów spadających wzdłuż uszów. Skacząc dzwonili dzwoneczkami z miedzi. Tancerki były bardzo ładne, miały także dzwoneczki i śpiewały. Włosy miały pięknie uwite i przewiązane chustką gazową wyszywaną złotem. Ubiór ich był bardzo lekki muślinowy, przewiązany jedwabnym pasem. Tańczyły boso, a ponieważ nogi miały ufarbowane od wielkich palców aż do kostki, zdawało się że mają pomarańczowe trzewiki.

VI. POLOWANIE.

W kilka dni potém mój gospodarz wziął mnie z sobą na polowanie; pojechaliśmy konno, a przybywszy do wielkiego lasu, ujrzeliśmy niezmierne mnóstwo bażantów i kuropatw. My i służący nasi uszykowaliśmy się w pół-xiężyca, każdy trzymał na ręku sokoła; wypłoszono zwierzynę, kuropatwy wzleciały, i natychmiast były schwytane przez sokołów.

Bażanty zabijano kijem. Bawiliśmy się tak łatwém i korzystném polowaniem, gdy w tém rozległ się straszliwy ryk, i ogromny tygrys rzucił się na mojego gospodarza. Moi towarzysze uciekli, ja zaś poskoczyłem ku tygrysowi, strzeliłem w niego z pistoletu, a potém dobiłem go szablą, i Kabul podniósł się bez niebezpiecznéj rany.

—»Angliku, rzekł do mnie, stałeś się bratem moim, gdyż ci winienem życie. Mam córkę młodą i piękną, weź ją za żonę i przyjmij odemnie imię syna.»

To rzekłszy, nie pozwolił ażebym mu odpowiedział, ale wsiadł na konia i wróciliśmy do miasta.

Nazajutrz rano, stara kobiéta weszła do mojego pokoju, i przyniosła bogaty ubiór perski, w który miałem się ubrać, albowiem jak mi powiedziała, tego sobie życzył mój gospodarz.

Była to najprzód koszula jedwabna bardzo krótka, bez kołnierza, rozcięta po prawéj stronie i obszyta jasnym kolorowym szlakiem, włożyłem potém pantalony różowe jedwabne, bardzo szerokie, i przywiązałem je sobie na biodrach pod koszulą elastycznym pasem, zawiązującym się od przodu. Włożyłem pantofle na nogi i na koszulę wdziałem długą kamizelkę, a na to wszystko suknię wierzchnią spadającą aż po pięty.

Wówczas wszedł mój gospodarz i rzekł do mnie: »Czy chcesz zaślubić moją córkę? jest wysoka, wysmukła, przystojna, nic nie zrówna jéj płci, jéj czarne i gęste włosy spadają aż do stóp; młode towarzyszki zazdroszczą jéj wysokiego czoła, czarnych brwi, wielkich i łagodnych oczu, długich jedwabnych rzęsów, małych usteczek, rąk i ramion rzadkiéj doskonałości, i perłowych zębów. Czy chcesz zaślubić moją córkę?

—»Przystaję na to, odpowiedziałem.

—»Dobrze więc, oto masz sto tysięcy cekinów, na jéj dożywocie.

—»Jestem tak bogaty, odpowiedziałem, iż sam mogę zapisać dożywocie.

—»Nic nie szkodzi, rzekł, moje cekiny powiększą posag.

—»A kiedyż będę zaręczony?

—»Jutro rzekł mi.

VII. WESELE.

Nazajutrz zebrała się cała rodzina i znajomi Kabula. Przedstawił mię po kolei każdemu z nich, oznajmił że będę jego zięciem, i że ślub nastąpi za miesiąc. Piliśmy potém sorbety i sprowadzono tancerzy.

W tymże czasie tenże sam obrządek odbywał się u mojéj narzeczonéj.

W dzień ślubu poszedłem w towarzystwie Molhaa, czyli kapłana perskiego, na dziedziniec haremu mojéj przyszłéj, która stała w oknie za żaluzyą, nie widziana od nas. Kapłan zapytał się jéj, czy przyjmuje za małżonka mężczyznę którego widzi przed sobą, gdy zezwoliła, zadano mi to samo pytanie, przyjąłem nie widząc jeszcze mojéj przyszłéj, wtedy kapłan wyrzekł uroczyste słowa i wolno mi było oznaczyć dzień w którym przyjadę po moją żonę. Zebrałem przyjaciół mojego teścia, którzy w liczbie stu kilkudziesięciu, wsiedli na konie uzbrojeni od stóp do głowy. Wiele kobiét przyłączyło się do nich. Prowadzono konia z bogatym rzędem dla narzeczonéj. Na dwie godziny przed zachodem słońca, cały ten orszak poprzedzony przez muzykantów, śpiewaków i tancerzy, udał się do pomieszkania nowo-zamężnéj, po drodze często dając ognia z broni ręcznéj. Skorom wszedł, szukałem wszędzie mojéj małżonki, która podług zwyczaju dobrze się skryła: znalazłem ją nareście, lecz zasłonioną. Wówczas zaczęła się utarczka; chciałem ją uprowadzić, namówić aby poszła za mną; nie chciała: i tym bardziéj opierała się, im bardziéj nalegałem; krzyczała jak gdyby ją kto mordował. Widząc bezskuteczność moich nalegań porwałem ją mimo zwyczajnych krzyków i zaniosłem na konia dla niéj przeznaczonego. Kobiety otoczyły ją, i poszły za orszakiem, który ciągle poprzedzany przez muzykan-

tów i tancerzy, dopiero po objechaniu miasta udał się do mego domu. Z moim orszakiem wszedłem do dywanu, gdy tymczasem małżonkę zaprowadzono do haremu. Zabawy trwały aż do nocy; potém przyniesiono wieczerzę, która przeciągnęła się aż do godziny dwunastéj. Wówczas odprowadzono mię aż do drzwi haremu, życząc mi jak najszczęśliwszego powodzenia, a mianowicie aby widok mojéj małżonki wstrętu we mnie nie wzniecił. Muzycy, śpiewacy i tancerze stanęli w zewnętrznym dziedzińcu.

Kobiéty uwiadomione o mojém przyjściu, zasłoniły twarz nowo-zamężnéj: zwyczaj wymaga żeby mąż podniósł jéj zasłonę. Uczyniłem to, skoro tylko wszedłem do haremu. Ponieważ pierwszy raz wtedy widzi mąż swoją żonę, jest to najkrytyczniejsza chwila w całym obrzędzie. Jeźli się żona nie podoba mężowi, wychodzi nie mówiąc ani słowa, i wiadomo co się to znaczy; powstają płacze, krzyki i żale; nowozamężną odprowadzają natychmiast do rodziców: małżonek musi w takim przypadku zostawić jéj posag, klejnoty i wszelkie podarunki.

Podobała mi się moja żona, usiadłem przy niéj, zapewniłem ją iż zawsze będzie mi drogą, i podziękowałem kobiétom, które ją odprowadziły. One widząc dobre między nami porozumienie, odeszły.

Moja żona w rzeczy samej była piękną; zwała się Gulla, ubrana była bardzo wspaniale, jak wszystkie bogate Persanki.

VIII. UBIÓR KOBIÉT.

Persanki robią ze swoich włosów ze trzydzieści małych plecianek, z tych połowę zawiązują na wierzchołku głowy i w koło zawoju, drugą zaś zwieszają z końcami szalu. Dwa pukle włosów, bardzo długie, spadają po obu stronach twarzy aż na łono, co pomnaża jeszcze powab tego stroju.

Kobiéty tak namiętnie lubią klejnoty, iż prawie każda posiadać je musi; najuboższy rzemieślnik, musi obywać się bez pierwszych potrzeb życia, aby zakupić żonie klejnoty, jeźli chce mieć pokój w domu.

Kobiéty wyższego stanu mają niezmiernie kosztowne klejnoty, i prawie każda z nich oprócz pięciu lub sześciu zupełnych strojów na głowę, ma z tuzin par branzoletek, pierścionki na wszystkie palce, perły rozmaitéj wielkości, oraz mnóstwo sprzączek i zapinek, a wszystko bardzo bogate.

Ich koszule, podobnie jak mężczyzn, są bardzo krótkie, bez kołnierza, z otworem na przodku, zapinane u szyi guzikiem złotym, oprawnym w perły, albo drogie kamienie. Zrobione są z bardzo cienkiego muślinu i obszyte u góry dwoma lub trzema rzędami drobnych pereł. Pantalony są takież same co i u mężczyzn. Na koszulach Persanki noszą wielkie kaftany atłasowe, zwane *arkala*. Zwierzchnia suknia zowie się *szapkina*, nie ma kołnierza, otwarta jest na przodzie tak, iż całą pierś widać, i zapina się trzema guzikami przyszytemi do wysokości bioder. Ubranie to było dawniéj bardzo długie, teraz zaś nie dochodzi do kolan. Suknie są bardzo bogate i z najpiękniejszego złotogłowu, częstokroć ozdabiane bywają wytwornym haftem, perłami i dyamentami.

Pantalony kobiét różnią się tylko wyborem materyi, pospolicie są ze złotogłowu albo z materyi jedwabnéj, wyszywanéj złotem i srebrem. To w nich jest osobliwą rzeczą, iż wywatowane są tak śmiesznie, że nogi wyglądają w nich jak dwa nie zgrabne kloce; ale moda i zwyczaj wszystko usprawiedliwia, a im bardziéj są wydęte, tém są przystojniejsze.

Persanki noszą papucie aksamitne, haftowane złotem lub jedwabiem.

Wychodząc z domu, okrywają się ogromną sztuką płótna, wiszącą aż do ziemi, zwaną *chadera*, co znaczy namiot. Ten gatunek płaszcza jest z białego perkalu, wycięty w półkole. Przywiązują go do głowy i szyi sznurkami wewnątrz przyszytemi. Oprócz tego, zakrywają sobie głowę zasłoną, zwaną *rubend*. Jest to kawał płótna, kształtu czworobocznego, przyczepiony do głowy dwoma złotemi haftkami. Przed oczyma jest otwór długi na dwa cale, zamknięty lekką siatką, przez którą patrzéć można. Bez téj zasłony nie wolno kobiétom wychodzić z domu, i jak najściśléj przestrzegają tak surowego przepisu. Ilekroć wychodzą, biorą szerokie buciki materyalne, w których kryją się ich pantalony aż do kolan, tak, iż z całego stroju postrzedz tylko można papucie: z ich więc bogactwa, i z cienkości zasłony, odgadnąć można stan kobiét, które napotykamy na ulicy.

Kobiéty z pospolitego stanu, nie są tak skrupulatne i nie używają takich zasłon. Mają wązkie chaderas perkalowe, w pasy białe i niebieskie i niemi twarz zasłaniają po same oczy. Lecz gdy napotkają cudzoziemca, zakrywają się jak najściśléj.

IX. POGRZEBY.

Ożeniwszy się w Persyi, i uważany będąc za krajowca, łatwo mogłem poznać obyczaje tego kraju, i bydź obecnym wszystkim obrzędom.

Gdy Pers umrze, wszyscy członkowie jego rodziny, jako też i służący, krzyczą

okropnie, tarzają się po ziemi, drą suknie swoje, i biegają po mieście, z twarzą pomazaną błotem dla okazania rozpaczy. Kobiéty czynią tož samo w haremie, a ponieważ nie mogłyby krzyczéć ani tak długo ani tak mocno jak zwyczaj nakazuje, zapraszają przyjaciółki i sąsiadki na pomoc, i najmują kobiéty, których rzemiosłem jest płakać, i co czwartek powtarzać z wdowami, też same obrzędy na grobie zmarłego męża.

Gdy już uspokoją się te krzyki, zajmują się oczyszczeniem trupa. Są ludzie trudniący się tém rzemiosłem, i nikt nie śmie zbliżyć się do nich, gdyż podług wyobrażeń religijnych w Persyi, trupy miane są za rzecz nie czystą. Ci ludzie nazywają się *murdc chuis*, a chociaż żadnym sposobem nie można obeyśdź się bez nich, pospólstwo nie raz rzuca na nich kamieniami.

Dopóki trwa oczyszczenie, molhaa odmawia wyjątki z koranu, dotyczące się umarłych. Obrządek ten odbywa się powoli, pod okiem najbliższych krewnych zmarłego, na polu, albo w ogrodzie, nigdy zaś w pokojach. Wszyscy milczą głęboko. Umywają najprzód ciało, trzy lub cztery razy wodą ciepłą, kropią je woniami i golą głowę, potem rzucają na nie wiele zimnéj wody; takie są pierwsze żałobne oblewania.

Niewolnicy ubierają trupa w świąteczne suknie, i kładą go na katafalk pokryty wspaniałym kobiercem. Płacze i krzyki kobiét nie powinny ustawać ani na chwilę, gdyżby je oskarżono że nie kochały zmarłego. Po dwudziesto-cztero-godzinném wystawieniu ciała, wszyscy członkowie rodziny i znajome osoby, zaproszone są na pogrzeb. Kobiéty zbiérają się w haremie, i płaczą głośno aby je słyszeli sąsiedzi. Mężczyźni schodzą się do dywanu, którego okna są otwarte. Kilku krewnych przyprowadza ulubionego konia zmarłego, u siodła zawieszona jest jego broń, puklerz i koran. Kapłan w tkliwéj przemowie wychwala przymioty zmarłego, któremi się odznaczał przez całe życie, i kończy wystawiając śmierć, jako kres wszystkich cierpień.

Mowa ta często przerywana łkaniem słuchaczów, kończy się zapewnieniem, które czyni molhaa, że ich krewny i przyjaciel już cieszy się nagrodą należną za jego cnoty, i że nie ubolewać, ale zazdrościć trzeba jego losu. Każden wówczas kładzie rękę na piersiach i odpowiada *Inch Allha*: (Niech będzie wola Boża).

Kobiéty wchodzą zasłonione i rozpoczynają jęki i krzyki; każdy wychwala zmarłego i przypomina jakie rysy jego dobroczynności. Trwa to aż do wieczora, a przez cały dzień jeden mężczyzna uderza co pięć minut w dzwon chiński, zawieszony przy drzwiach.

Na chwilę przed pogrzebem, kobiéty idą naprzód i płacząc ciągle udają się na smentarz. Przyklęknąwszy w koło, czekają za orszakiem, który wkrótce potém przybywa. Najprzód niewolnicy niosą zwłoki na marach, rodzina i przyjaciele postępują za niemi w jak najgłębszém milczeniu. Gdy już staną przy grobie, rozbiérają ciało, każdy żegna się z nim po raz ostatni, obficie skrapiają je wodą i życzą mu szczęśliwéj podróży. Potem je obwijają prześcieradłem i kładą w czworoboczną trumnę, którą spuszczają do grobu, położoną na bok lewy z twarzą obróconą ku Mekce, nie zaś stojący jak to wielu utrzymywało. Zasypawszy mogiłę, kładą napis grobowy, i ozdabiają go kwiatami. Najbliżsi krewni zmarłego, częstokroć przez dwa lub trzy miesiące nie golą sobie głowy ani brody, nie zmieniają bielizny i sukien, nie używają kąpieli, żywią się grubemi potrawami i piją samą tylko wodę.

Kobiéty zaś chcąc słynąć jako wzory miłości i wierności, jeszcze się więcéj dręczą; odmawiają sobie wszystkich przyjemności, nie używają kąpieli, zostawiają włosy w największym nieładzie, co rano i wieczór biczują się aż do krwi; co czwartek chodzą płakać i modlić się na grobach krewnych i rodziców. Szczególniéj też wdowy, więcéj ze zwyczaju jak z nabożeństwa i żalu, od godziny czwartéj z południa, aż do późnéj nocy krzyczą przeraźliwie, niektóre z nich rozdziérają szaty i wyrywają sobie włosy.

X. BAZARY.

Miasta, miasteczka i znaczniejsze wioski mają swoje bazary czyli miejsca targowe. Zwykle są to budynki gdzie się zgromadzają wszyscy kupcy i rzemieślnicy. Bazary są w kształcie obszernych kurytarzy, podobnych do sypialni w klasztorach, nieco szersze, z każdéj strony są małe sklepiki niskie i szczupłe; otwiérają się o godzinie siódméj, zamykają o zachodzie słońca. Każdy z tych kurytarzy przeznaczony jest na jeden rodzaj towarów, lub rzemieślników, dla tego łatwo kupującemu natrafić na to, czego potrzebuje.

Bazary te, są pod zarządem Daragasów, którzy zwykle uciskają kupców bezkarnie. Można się przekonać jakie dochody przynosi ten urząd, z ceny ofiarowanéj za niego. Znałem jednego mieszkańca z Urumca, który dawał za niego dziesięć tysięcy tomanów. Do każdego korytarza dodają kil-

ku podrzędnych dozorców, ci na wzór wyższych umieją dokuczać kupcom, jeżeli się im nie opłacą. Prawie każden z nich potrafi wymódz daninę od kupców i rzemieślników swego okręgu; daninę której im nigdy nie odmawiają, lękając się, aby ich nie oskarżono o fałszywą wagę, o zawczesne lub za późne otworzenie sklepu: przewinienia pociągające za sobą opłatę albo karę cielesną.

Bazary, podobnie jak karawan seraje, są własnością ludzi bogatych, którzy z ich najmu ciągną znaczne dochody.

Prawie wszędzie bazary należą do beglierbejow; a że nikt nie ma oka nad czynnościami tych podprowincyonalnych zarządzców, każą sobie płacić niezmiernie drogo, tak, iż odstręczają mieszkańców, od wszelkiego rodzaju handlu i przemysłu. Oprócz tego, wolno im kazać zamykać bazary podług upodobania, i umieją korzystać z tego przywileju, wiedząc iż z podarunkami w ręku przyjdą prosić ich o klucze.

(Dokończenie w następującym zeszycie.)

PARYŻ I PARYZANIE w r. 1835.

Przez panią Trollope, Angielkę.

(WYCIĄG DRUGI).

(Dokończenie.)

Gdyśmy kolejno spoglądali to na obraz, to na portret, i na przemian nad jednym i drugim czynili postrzeżenia, zwróciło moją uwagę, szlachetne czoło, piękne oczy i nadzwyczaj przyjemna mowa, osoby na przeciw mnie siedzącéj.

Uczyniłam postrzeżenie pani Recamier, iż mało romansów miały zaszczyt dostarczyć tak piękny obraz, jak obraz Gerarda, i dodałam, że z wielu względów powinna bydź szczęśliwą że go posiada.

—»To prawda; — odpowiedziała mi, — lecz nie jest to jedyny mój skarb w tym rodzaju; mam jeszcze oryginalny rysunek Atali Girodeta, z którego zrobioną rycinę zapewne Pani widywałaś. Pozwól niech ci go pokażę.«

Poszliśmy za nią do jadalnéj sali, gdzie znajduje się ten zajmujący rysunek.

— »Nie znasz Pani pana de Chateaubriand?—spytała mnie.

Odpowiedziałam, iż nie mam téj przyjemności.

—»On to właśnie siedział na przeciwko Pani w salonie.«

Prosiłam aby raczyła przedstawić mnie jemu, i z największą uprzejmością uczyniła to, gdyśmy wróciły do sali. Rozmawiano o panu Lamartine, Kazimierzu Delavigne, Aleksandrze Dumas, Wiktorze Hugo i kilku innych autorach; sądzono ich z lekką krytyką, lecz sprawiedliwie i dowcipnie. Nastąpili potém, nasz Bajron, Skott i t. d. i oczewiście było widać, że nie tylko ich czytano, lecz i zrozumiano.

Spytałam Pana de Chateaubriand, czy znał Lorda Bajrona. Odpowiedział?

—»Nie,— i dodał; — poprzedziłem go w życiu, i na nieszczęście on mnie poprzedził do grobu.«

Roztrząśniono pytanie, o jak daleko jaki naród zdolny jest doskonale ocenić literaturę innego; a Pan Chateaubriand utrzymywał, iż ocenienie to musiało koniecznie bydź niedostatecznem. — Uczynił w tym przedmiocie wiele niezbitych uwag, szczególniéj co się dotycze lekkich i delikatnych odcieni wyrażeń, których ulotnego wdzięku nie podobna wydać w obcym języku. Zdaje mi się jednakże, iż większa część Anglików, umiejących czytać po francuzku, lepiéj daleko zna francuzką literaturę, niżeli Pan de Chateaubriand przypuszcza.

Zwyczaj, upowszechniony pomiędzy nami, czytania w tym języku od dzieciństwa, daleko bardziéj nas z nim oswaja, niżeli mniemać może. Zdawał się wątpić abyśmy mogli rozumieć Moliera i wymienił La Fontaina, jako autora, którego piękności nikt prócz Francuza uczuć nie zdoła.

Niepodobna mi przyświadczyć temu, chociaż nie dziwię się że podobne zdanie istnieć może. Wszyscy Anglicy przybywający do Paryża, są koniecznie zmuszeni mówić po francuzku, czy umieją lub nie. Jeśli nie mogą się na to odważyć, muszą się wyrzec nadziei mówienia i nadziei żeby do nich przemówiono choć słowo. Zdaje mi się, iż sama ta okoliczność, wytłómaczy w sposób najbardziéj zadowalający, wątpliwość o znajomości Anglików języka francuzkiego.

Każdy Francuz, byleby tylko miał sposobność napotykać kiedy niekiedy Anglików w towarzystwie, musi koniecznie uszy i pamięć napełnione mieć fałszywym akcentem i mylnem czasowaniem; potrzebaż się dziwić, iż biorąc z tego miarę, utrzymuje za rzecz niezawodną, iż ci, co tak mówią, nie rozumieją bynajmniéj języka, który tak niemiłosiernie kaleczą? Jednakże jakkolwiek zdaje się bydź do prawdy podobnem to twierdzenie, ja wiem najlepiéj że nie jest sprawiedliwe. Najuczeńszy helenista, bądź we Francyi, bądź w Anglji, byłżeby w stanie prowadzić potoczną rozmowę po grecku? Ten sam tu właśnie zachodzi przypadek; znałem bowiem mnóstwo osób, które były w stanie pojmować piękności dzieł francuzkich z najczystszym gustem i najtrafniejszą krytyką, a którychby najniezawodniéj niezrozumiano, gdyby się odważyli choć pięć albo sześć minut ciągle mówić tym językiem; gdy tymczasem inne, które miały pokojówkę francuzką, lub lokaja francuza, posiadając nie zgorszy akcent

i łatwość naśladowania potocznego toku rozmowy, bardzo byłyby zakłopotane, gdyby im kazano wytłomaczyć najłatwiejszy ustęp z Russa.

Napotykamy pomiędzy Francuzami starannie wychowanemi mnóstwo osób, które czytają po angielsku i umieją wejść jak najstosowniej w ducha naszych pisarzy; lecz pomiędzy temi osobami, nie znajdzie się jedna na pięćdziesięciu, któraby chciała wymówić choć jedno słowo po angielsku; a chociaż znoszą od nas, z grzeczną i niezachwianą powagą, wszystkie najkomiczniejsze błędy, jakie tylko popełnić można, nie chcą bynajmniéj narażać się na popełnianie ich na wzajem.

Wszystko, co ma jaki stosunek z postępowaniem dobrego towarzystwa, uważane jest za świętość od jego członków, a jeśli mniemają ubliżać przyzwoitości, wyśmiewając się z cudzych błędów, również starannie unikają niewybaczalnéj obrazy popełniania ich na wzajem.

Nie zdaje mi się aby podobna było Francuzowi wejść w rozmowę, dla saméj przyjemności mówienia, gdyby nie był pewny, że się może wyrażać czysto i pięknie. Samemu pomysłowi wyrażenia myśli, chociażby była najświetniejszą i najszlachetniejszą, jaka kiedykolwiek zabłysła w umyśle ludzkim, w wyrażeniach śmiesznych lub dziwacznych, towarzyszyło by koniecznie uczucie wstrętu, zmuszające do milczenia najżywszego i najgadatliwszego ze wszystkich Francuzów.

Anglicy zniewoleni są przeto, podczas szczęśliwéj epoki ciągłych i przyjacielskich stosunków, istniejących pomiędzy obu narodami, w któréj teraz żyjemy, czynić w każdém zdarzeniu ofiarę swéj próżności, aby zadowolić upodobanie w rozmowie, gromadząc solecyzmy na solecyzmy, mięszając wszystkie akcenta, niżeli wyrzec się niewymownéj rozkoszy, słuchania dobrze zaokrąglonych peryodów, powabnych zwrotów, dowcipnych ucinków, stanowiących główną część prawdziwéj konwersacyi francuzkiéj pierwszego tonu.

Lecz wątpliwości które Pan de Chateaubriand wyraził, względem pojmowania delikatności i wdzięku pisarzy francuzkich nie ograniczają się do samych tylko Anglików. Niemcy dzielą z nami tę sławę, i wymienił z téj okoliczności jednego z najznakomitszych krytyków niemieckich, który, w dziele nowo wydaném, popełnił najdziwaczniejsze błędy, umieszczając w rzędzie sławnych mężów francuzkich, ludzi, którzy nigdy we Francyi najmniejszéj nie pozyskali sławy.

Odwiedzając często Panią Recamier, nieraz naprowadzałam rozmowę na sławną przyjaciółkę, któréj odżałować nie może, i z niewymownem zajęciem słuchałam wszystkiego, co mi przyjemna ta kobieta opowiadała o Pani Stael. Każdy wymówiony przez nią wyraz, zdawał się bydź połączeniem cierpienia i przyjemności, entuzyjazmu i żalu. Otacza się tém wszystkiem, co tylko może się przyczynić do przypomnienia téj, którą straciła. W sypialnym jéj pokoju znajduje się portret pani Stael, pędzla Gerarda, wszystkim dobrze znany, który tylekrotnie powtarzano, nie tylko na rycinach, lecz na wazonach porcellanowych, filiżankach i t. d. Miniaturę, o któréj wspomniałam, ciągle nosi przy sobie, a natchniona twarz jéj Korynny, w któréj Pani Recamier widocznie upatruje podobieństwo przyjaciółki, nie ograniczające się jedynie co do rysów fizyonomij, zdaje się bydź dla niéj przedmiotem czci, a nie tylko przyjaźni.

Miło mi jest zbliżać się tym sposobem, przy pomocy jedynego tylko pośrednika, do istoty, którą zawsze uważałam jako unoszącą się nad obłoki. Jakkolwiek zachwycającą, przyjemną pod tysiącznemi względy wydaje się w oczach moich Pani Recamier, dawna jéj przyjaźń z Panią Stael i stałość jéj żalu, nadają wyższy jeszcze stopień zajęciu, które we mnie wzbudziła.

LISTY X. ALBERTRANDEGO.

WYCIĄG DRUGI.

W całéj, którą przejechałem Brandeburgii, to jest w przeciągu mil 36, także w xięztwie Meklemburskim (o co się pilnie informowałem) chłopi są poddani, trzymają grunt i podług jego proporcyi pańszczyznę robią, przenieść się gdzie indziéj nie mogą, gdyby uciekli odebrać ich panowie mają prawo; załogę, chałupę, wyżywienie w niedostatku, karę nawet lżejszą od pana odbierają, ale w dwóch punktach od naszych chłopów są szczęśliwszemi, (2) że pan w żadnéj sprawie własnéj sądzić nie może, i że w przypadku ukrzywdzenia rekurs mieć mogą do amtmana. Ale pojąć tu nie mogą aby pan chłopa miał krzywdzić. Częste na różnych miejscach w téj podróży miałem o tém rozmowy. Cała moja logika rozbija się o tę opokę. Dziwne tu rozumienia mają o stanie poddaństwa naszego. Łagodzą się trochę, kiedy im mówią że wstyd publiczny, że duchowieństwa przestrogi, że gwałtowna interesu własnego perswazya, uśmierza, określa, i hamuje zapędy. Pytają się mnie do kogo ma chłop rekurs w przypadku może jakim, ale niepodobnym ukrzywdzenia?

(2) Przypominamy czytelnikom iż te listy pisane były jeszcze w 1789 r.

Warta byłaby rzecz naznaczenia nagrody tym, którzyby najlepsze środki na piśmie podali względem wykonania téj rzeczy, tak aby interes panów najlepiéj z interesem poddanych mógł bydź pogodzony. Drugie jakie są środki do pohamowania pijaństwa w ludziach niższego stanu, bez ubliżania intraty prywatnych i skarbu.

Xięztwo Meklemburskie okazuje wszędzie ślady dobrego gospodarstwa i dostatków. Teraźniejszego Xiążęcia pasyami poddani kochają i inaczéj nie nazywają, tylko nasz dobry Xiąże. Nie widziałem przez jego państwo przejeżdżając, jak tylko jedno miasto Boitzenburg, ale to samo widokiem jest osobliwszym. Wyjeżdżając ztamtąd do Hamburga trzeba na górę wjechać, z któréj widok tego miasta złączony z widokiem przyległéj Elby, perspektywę stawia, któréj ani w Kalabryi ani w Neapolu nic wyrównać nie może, lubo hurmem perspektyw malarze do tamtych krajów udają się dla wynalezienia ciekawych widoków. Lawenburg także z przyległościami, zwłaszcza przedmieścia onego w wąwozach położone, coś mają godnego pędzla malarskiego.

Zaczęty 5 *Września na okręcie pod Nyborgiem w Fionii* 1789.

Na okręcie sam zostając, od reszty świata oddzielony, o niczém lepiéj myśléć nie mogę, jak o pozostałych w Polszcze przyjaciołach i łaskawych Dobrodziejach moich, między któremi z najsprawiedliwszych powodów JWWMPana dobrodzieja in Capite libri kładę. Ale to myślenie miłe z razu, w przeciągu czasu nudnym się staje, gdy myśl zapędzona, nakoniec zniewolona jest uznać położenia swego okropność, gdy zataić sobie nie może oddalenia tych, z któremiby obcować pragnęła. Zatém do tego rzucić się trzeba, co obcowania zastępuje miejsce, i pisaniem obmyślić sobie pociechę, któréj inne okoliczności nie dają.

Zostawiłem JWWMPana Dobrodzieja w ostatnim liście moim przy bramach Hamburga, od tego więc dalszéj podróży mojéj przeciąg będzie przedsiewzięty.

Jadący do Hamburga z podziwieniem territorium tego miasta szuka. Herby na oczy ustawicznie nawijające się uczą go, iż Ks. Saskie na Lawenburgu, i króla Duńskiego dziedziny tak do miasta przypierają, iż niektóre, mianowicie Duńskie tuż przy bramach okazują się, a miasto Altona Duńskie nie więcej od Hamburga jest odległe, jak Praga od Warszawy. Rzecz jest jednakże pewna, iż Hamburg ma trzy territoria, jedno obok Altony ku Holstatii dosyć daleko rozciągające się. Drugie w Niemczech na południe od miasta, na wschód i zachód, na sztuczki podzielone, rozrzucone, i częścią od siebie tylko, częścią spólnie z miastem Lubekiem posiadane. Trzecie i największe Hamburga territorium jest Elba rzeka, i handel przez nią prowadzony, jeden z największych w Niemczech, i największych dostatków źródło. Przyjazd do Hamburga jest bardzo wesoły. Wszystkie przedmieścia pełne są domów ku rozrywce kupców i obywatelów służących, z obszernemi ogrodami. Wielka tych część skromność i oszczędność kupiecką okazuje, ale też nie mało jest takich, gdzie przepych, wspaniałość, wytworność osobliwszym sposobem panują. Ogrody są po większéj części, owego to gustu przeszłego, który od Anglików tak sprawiedliwie jest uprzątniony; to jest symmetrya najdoskonalsza i szpalery w różne najwymyślniejsze figury pocięte. (*Wstałem moment od pisania dla widzenia wyspy Langelandyi.*)

Od przedmieścia zaczynają się fortyfikacye miasta, które i wielkie są i bardzo dobrze utrzymywane. Wszystkie na nich warty żołnierzami, niby regularnemi są osadzone wednie. Ale wieczorem mieszczanie sami, mille colorum totidemque armorum, zaciągają wartę na fortyfikacyach, z których żołnierzy spędzają, którzy dopiero z rana powracają. Tak na przedmieściach jako i w mieście rzecz bardzo przychodniów zastanawiająca jest, wielkość i mnóstwo okien wszelkie pojęcie przewyższające. Bez exaggeracyi mówię, że większa część domów z facyaty ledwie dziesiątą część ma, którąby szkłem nie była. Zaczynają się okna równo z ziemią, tak dalece, że nic łatwiejszego nie masz, jak nie ostrożnie chodząc nogą szybę wybić, albo pośliznąwszy się wpaść oknem do domu. Takich zaś rzędów okien jest często siedem jeden na drugim. Piętra są niskie i przedział ledwo kilko-całowy mające. Okno zaś jedno od drugiego w jednéjże linii ramy tylko grubością jest oddalone. Nic sprawiedliwszego jak nazwać to miasto vitreum Hamburgum. Pytałem się różnych przyczyny tego zwyczaju, tym dziwniejszego, iż kraj jest dosyć zimny a opał drogi, ale nic mi dostatecznego nie powiedziano. Ta okien mania zaczyna się w Meklemburskim kraju, pomnaża się co raz bardziéj zbliżając się do Hamburga, w tym mieście jest w najwyższym stopniu, w Altonie już się umniejsza, a około Sleświku ustaje i proporcya w innych miastach zachowana powraca. W jednym tylko domu, w którymby u nas ledwie mogło bydź 12 okien, narachowałem ich w Hamburgu 42. Te okna nigdy nie są podwójne, przytém tak czysto są trzymane, że widok tak miły jak nadzwyczajny sprawują.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

MOJE PRZYGODY W PERSYI.

(Dokończenie.)

Nikt nie może sypiać w sklepach, gdyż skoro tylko są zamknięte, zostają pod bezpośrednim dozorem darogasów, czyli dowódzców patrolów nocnych.

Zatrzymują każdego kogo tam spotkają po dziewjątej godzinie w nocy. Jeźli jest nieznajomym, dostaje kije; jeźli mają go w podejrzeniu o kradzież, obcinają mu uszy lub nos, jeźli zaś schwytają go przy kradzieży, natychmiast ucinają mu głowę, która porzncona przed pałacem gubernatora, służy drugim za przykład.

Każdy korytarz bazaru, ma dwóch starszych, i tylko z niemi mają do czynienia darogasowie, gdy pobierają opłaty pieniężne, które każden rzemieślnik i kupiec składa dla xięcia lub dla beglerbeja. Na ten urząd z pośród siebie wybierają najuczciwszych. Ci ludzie powinni zapisywać wnoszone opłaty i również na ich ręce podają się prośby do rządu lub xięcia. Taxa żywności, sprawdzenie wagi, należy do darogasów, którzy gorliwie czuwają nad ścisłem wypełnianiem przepisów.

Lubo na wszystkie przedmioty nieodzownie potrzebne, jest naznaczona taxa, jednakże najściślejsza jest na chléb, sól i mięso; jeźliby sprzedający jeden z tych przedmiotów ośmielił się mieć złą wagę, natychmiast głową odpowie za to: przy mnie obcięto nos piekarzowi, ponieważ miał niesprawiedliwą wagę; i jeszcze darogas powiedział mu, że tylko za mojém wstawieniem się poniósł tak lekką karę. Ta surowość koniecznie jest potrzebna w tym kraju, zwłaszcza gdzie wszystko sprzedają na wagę, nawet drzewo i owoce.

Bazary są to miejsca, w których co dzień rano zbierają się zagraniczni kupcy i ludzie nie mającey zatrudnienia. A ponieważ są pod dachem, przeto przechadzka jest chłodna w lecie, a ciepła w zimie. Kobiety przychodzą tam niekiedy, albo dla robienia sprawunków albo też dla spotkania się ze znajomemi; lecz kobiety z pospólstwa snują się od rana do wieczora. Przebiegają sklepy dla dowiedzenia się nowin, pośpieszają udzielać je paniom z wielkiego świata i częstokroć są tylko narzędziem ich ciekawości. Nie raz dziwiłem się nadzwyczajnéj szczebiotliwości tych kobiet; po trzech godzinach rozmowy, jeszcze były nie zmordowane i tak zajęte, że ledwie zważały na wołanie służących, którzy w tém nieustannym tłoku poprzedzają panów swoich. Kobiety perskie mają szczególny dar poznania się z daleka, chociaż są od stóp do głów okryte, i pewne są że się nigdy nie pomylą; przeciwnie mężczyźni, bardzo często nie poznają żon własnych.

XI. KUCHNIA PERSÓW.

Kuchnia Persów nie jest najgorsza i nawet lepsza od kuchni włoskiej i hiszpańskiéj. Jest u nich, tak jak u niektórych europejskich narodów, potrawa bez któréj obejść się nie mogą, a nawet czasem na niéj tylko przestają: jest to *pilaw* czyli ryż w maśle duszony, sporządzony z wielką starannością, a jednak tak trudny do utrafienia, że sami Persowie przyznają, że między stu kucharzami, dwóch zaledwie znajdzie się takich, którzyby dobrze sporządzić go potrafili. Są rozmaite sposoby przyprawiania i nie raz można widzieć u znaczniejszych panów pięć i siedem półmisków ryżu, każden na inny sposób. Dają go z rodzenkami, z pestkami od granatów, z migdałami, z szafranem, z grochem, z cynamonem, wanilią i t. d. Rzadko kiedy jadają zupę, lecz piją bulion z baraniny i z kurcząt i ten nazywają herba: przyznać muszę że nie zawsze zdarzało mi się pijać lepszy w Europie. Inne ich potrawy najczęściéj składają się z baraniny, zwierzyny duszonéj z suchemi owocami, z omletów, ciast i pieczystego. Pieczyste zaś tak przyrządzają: krają zrazy z sarny, jelenia, lub antylopy, przyrządzają na surowo i pieką na małych rożenkach; nazywają to Kiabab.

Nigdy nie jedzą wołowiny ani też cielęciny. Kuropatw i bażantów jest bardzo wiele, i co dzień są na stole wielkich panów. Brzydzą się zającami, które uważają jako nieczyste zwierzęta, i pogardzają warzywem, chociaż mało znam krajów gdzieby ziemia tak piękne wydawała. Śniadanie ich nigdy się nie składa z mięsnych potraw: bywa bardzo proste, poprzestają na gęstéj słodkiéj śmietanie, gotowanych jajach: lecz koniecznie na śniadanie bydź musi mostoła, to jest mleko kwaśne, którego bardzo wiele pożywają w Azyi: często osładzają go miodem, lecz podług mnie, bynajmniéj to nie dodaje mu smaku.

Persowie w ogólności jedzą bardzo wiele owoców, które są w tym kraju nadzwyczajnie piękne i tak obfite, że drzewa łamią się pod ich ciężarem; bardzo lubią melony, nadewszystko arbuzy. Bardzo wiele jedzą ich i zawsze nie szkodliwie, co jest rzeczą zadziwiającą, gdyż ten owoc nabawia febry. Jednakże doktorowie zalecają go jako łagodzący srodek w gorączkach zapalnych, i sam widziałem jak dobrze skutkował. Winogrona mają rzadkiéj piękności, i niezmiernie soczyste, w Tebris liczą trzydzieści dwa gatunków, a między temi cztery bez pestek

Persowie niezmiernie lubią ogórki, lecz bez żadnej przyprawy, i jedzą je jak my gruszki lub jabłka.

Przy jedzeniu piją tylko sorbet. Jest to syrop aromatyczny z soków owocowych; jako to z jagód, z malin, z ananasów, z limaniów, cynamonu, róży, jasminu. Średnia klassa, któréj możność nie pozwala używać tego napoju, pije wodę z cukrem lub poprostu z miodem, do czego dodają octu, i ten napój nazywają Sirkie Schierasi (ocet z Szyras).

Może nie ma kraju na świecie, gdzieby więcéj używno lodu do picia jak w Persyi; zdaje się nawet że ten zbytek jest u nich nieuchronnym. Persowie o kilkadziesiąt mil sprowadzają lód, a podróżując konno pod skwarném słońcem, mają wielkie butelki ołowiane napełnione wodą zmarzniętą, które wkładają w worki z włosiennicy uwiązane u siodła. Niezmierne upały usprawiedliwiają ten zbytek: ogrzana woda od słońca, zrządza ciężkie choroby, na które jedyném lekarstwem jest woda z lodem. Tam gdzie nie można dostać ani śniegu ani lodu, ochładzają wodę takim sposobem jak we Włoszech i Hiszpanii, to jest nalewają do dwóch trzecich części dzbanek gliniany, obwijają go zmaczaném płótnem i wystawiają na przeciąg wiatru, a za kilka minut woda w dzbanku staje się zimniejsza niż atmosfera co ją otacza.

W południowych prowincyach Persyi, gdzie nie można dostać lodu, używają śniegu i zbierają go na wierzchołkach gór. Cypel Demarwend, należący do gór Albars nie daleko Techeranu, dostarcza śniegu miastu i przyległéj prowincyi; ta góra jest niezmiernie wysoka, ma kształt głowy cukru, widać ją ze wszystkich stron w odległości mil trzydziestu. Jéj wierzchołek jest zawsze pokryty śniegiem i nie łatwo można się tam dostać. Góra ta leżąca w północno-wschodniéj stronie od Techeranu, cokolwiek urozmaica nieprzyjemny widok okolic i smutnéj stolicy, zbudowanéj na spiekłéj i bezludnéj płaszczyźnie.

XII. KARY I WOJSKO.

Znaczniejsze kary w Persyi są: bicie kijem w pięty, obcięcie nosa lub uszu, wyłupienie oczów i śmierć. Zwyczajną karą policyjną są kije w pięty, więzienie i dyby; pierwsza z tych kar, chociaż uważana jako lekka, jest jedna z najboleśniejszych jaką tylko wymyślić można. Położywszy winowajcę na plecach, podnoszą mu nogi sznurem przywiązanym do kawała drzewa; tak iż podeszwa wystawiona jest poziomo. Wówczas, dwóch silnych wykonawców opatrzonych w pręty, uderza kolejno z całéj siły tak, iż pręty łamią się na kawałki.

Kara śmierci wymierzana bywa za kradzież, morderstwo i zdradę kraju.

Persowie mają piechotę i jazdę, oraz lekką artyleryą, któréj armatki dźwigane są przez wielbłądów: gdy mają dać ognia, wielbłąd wówczas przyklęka. Z resztą, rycina umieszczona na czele przeszłego zeszytu, dać może dokładniejsze wyobrażenie o postawie i uzbrojeniu żołnierzy.

XIII.

Doniosłem rodzicom o moich dziwnych przygodach, a kupiecki okręt przywiózł mi od nich listy. Potém uwiadomiłem ich o moiém ożenieniu i że zamierzam na zawsze osiąśdź w Persyi, lecz na ten list nie odebrałem odpowiedzi.

Po ośmiu latach umarł teść mój, a chęć powrotu do kraju tak mocno obudziła się we mnie, iż niebezpiecznie zachorowałem z tęsknoty. Pewnego rana, żona weszła do mojego pokoju, prowadząc dwoje naszych dzieci i rzekła do mnie:

—»Ojczyzną moją jest kraj ukochany od ciebie, wszędzie gdzie zechcesz towarzyszyć ci będę.

Uściskałem ją czule i zalałem się łzami.

—»Jedźmy więc rzekła; oprócz tego, czyliż nie jestem po części Angielką, a mój pradziad czyliż nie pochodził z twojego kraju?» Spieniężyłem mój majątek i popłynęliśmy do Anglii. Żegluga odbyła się pomyślnie, i pewnego poranku wysiedliśmy przededrzwiami domu rodziców. Żona i dzieci były w ubiorze Perskim, a Gull uklękła przed moją matką, zadziwioną temi oznakami uszanowania.

Z trudnością wymogłem na mojéj żonie że się przebrała po Europejsku, a mianowicie iż przestała nosić zasłonę; lecz nareście poznała iż trzeba stosować się do zwyczajów krajowych; tak czysto nauczyła się mówić po angielsku, i nabrała tonu naszych towarzystw, iż nikt nie mógłby zgadnąć że była wychowana w Perskim haremie.

CYGANIE W XV. WIEKU.

W roku 1127, gdy wszystkie klęski spadły razem na Francyą, zjawiła się tam nowa nieznana plaga, która przez długi czas udręczała wsie i miasteczka tego kraju. Byli to Cyganie. Przez długi czas nie można ich było wytępić w Anglii, znajdują się jeszcze w górach Hiszpanii, a do naszego kraju przyciągają dotąd z Węgier, z Ziemi Siedmiogrodzkiej i Multan. Nie wchodząc w szczegóły zkąd Cyganie przybyli do Europy, ani też w opisanie ich obycza-

jów, odsyłamy w tym względzie czytelników do rozprawy uczonego professora Daniłowicza, o Cyganach, i przestaniemy tylko na przytoczeniu następującego wypadku, którego opis wynaleziono nie dawno w starych pargaminach biblioteki Paryzkiéj.

W okolicach miasta Poitiers, nie daleko miasteczka Lusignan, gdzie są jeszcze zwaliska zamku xiążąt tegoż imienia, żyła około roku 1445 gromada cyganów. Ukryli się oni w środku gęstej kniei i od chwili ich pobytu wszędzie powiadano o porwanych dzieciach, o skradzionych bydlętach i o nagłéj śmierci wielu osób. W téyże okolicy mieszkała młoda dziewczyna, zwana Paskelta Launay, była sierotą i odziedziczyła po rodzicach kawałek roli, zależącéj od sąsiedniego opactwa. Ten majątek i nadzwyczajna piękność była powodem, iż wielu wazalów i szlachty ubiegało się o jéj rękę. Między niemi, najbardziéj zakochał się w niéj kwestarz opactwa, któren podług reguły owego klasztoru, nie był xiędzem ani nawet braciszkiem, ale człowiekiem świeckim, zgodzonym do załatwiania interesów klasztoru za obrębem klauzury i mogącym zawrzéć śluby małżeńskie. Jednakże, młoda dziewczyna odrzuciła wszystkich starania, a gdy kwestarz, któremu imie było Bartłomiéj, zatrzymywał się przed jéj domkiem, odpowiadała na jego zaloty, napełniając mu sakwy zbożem i warzywami, lecz bynajmniéj nie chciała słuchać jego oświadczeń.

Pewnego wieczora gdy przechodził koło jéj domku, zdało mu się, iż słyszy głos mężczyzny, że ten głos błagający i tkliwy, musi bydź głosem kochanka. Bartłomiéj uniesiony gniewem chciał zapukać do drzwi, i byłby je może wyłamał gdyby mu nie otworzono: lecz w tym postrzegł dwóch ludzi, którzy na niego zwracali uwagę. Przejęty trwogą na widok tych nieznajomych, dziwacznego stroju i postawy, usiadł na ławce kamiennéj przed domem, jak człowiek znużony, chcący spocząć na chwilę. Z tém wszystkiem, ciągle słyszał za sobą głos pochodzący z wnętrza domu, przed sobą zaś widział dwie dziwaczne postacie, które stały jak wryte. Bartłomiéj spodziewał się iż przechodzić będzie jaki wieśniak, z którym razem odejdzie bezpiecznie do klasztoru, i mniemał że dopóki siedzieć będzie na słońcu, nie uderzą na niego: albowiem, skoro tylko zawoła, natychmiast człowiek znajdujący się w domku, przybiegłby mu na pomoc. Czas upływał, głos szemrał ciągle, a dwaj ludzie stali nieporuszeni na miejscu swojém. W krótce, przestrach, utrudzenie, senność, zaczęły walczyć w ciele dobrego Bartłomieja; zdawało mu się, że drzewa okoliczne tańcują przed nim; że ci dwaj ludzie, których przytomność tak go straszyła, rosną w jego oczach i dotykają do wierzchołka drzew. Przejęty niezmiernym przestrachem, zapukał do drzwi domku, które otworzyły się za dotknięciem. Przy słabém świetle drzazgi palącej się na kominie, nie mógł zobaczyć od razu co się działo w téj izbie, usłyszał tylko głos, który rzekł do niego: »Skończyliśmy nasze dzieło; możesz wynieść młodą dziewczynę,» a zbliżywszy się do miejsca zkąd ten głos pochodził, postrzegł człowieka, w którym poznał cygana, po jego żółtéj twarzy i kędzierzawych włosach. Stał on przy łóżku dziewczyny, ona zaś leżała umarła, albo też uśpiona snem tak głębokim, iż nie obudził jéj nawet krzyk, któren wydał kwestarz ujrzawszy to martwe ciało.

Cygan postrzegłszy zupełnie obcą osobę, rzucił się na Bartłomieja i uderzył go sztyletem; kwestarz upadł, a chociaż nie stracił przytomności, leżał nieporuszony na ziemi, i za chwilę ujrzał wchodzących do chatki dwóch ludzi, którzy byli przedmiotem jego przestrachu. Jeden z nich był także cygan; drugi zaś szlachcic z sąsiedztwa, znany pod nazwiskiem pana z Maldetur. Szlachcic zbliżył się do młodéj dziewczyny, a położywszy rękę na jéj czole i i sercu, zawołał z rozpaczą: »Oszukałeś mię! ona umarła, jest zimna i odrętwiała, co innego mi przyrzekłeś »

»Dotrzymałem tego com przyrzekł, odpowiedział cygan: jest zimna i odrętwiała, lecz nie umarła; a za dwa dni, gdy obudzi się z letargu, będzie tak piękna i świeża, jak przed godziną. Ty sam nie dotrzymałeś słowa twojego; zapewniłeś mię, że nikomu nie dopuścisz wnijścia do tego domu, podczas spełnienia czarów moich, a wpuściłeś tego człowieka, którego musiałem zabić ażeby nas nie wydał.

—»W rzeczy samej, rzekł pan z Maldetur, widziałem go jak usiadł na kamieniu przed domem, jako człowiek chcący spocząc na chwilę, a gdy wstał, mniemałem że pójdzie daléj, lecz on wszedł nagle wprzódy nimeśmy go wstrzymać mogli.

—»Wszystko to bydź może, odpowiedział cygan: lecz będą poszukiwać sprawców tego zabójstwa, i zapewne oskarżą o nie cyganów. Skończy się na tém, że będziemy musieli opuścić okolicę.

Pan z Maldeour pomyślał przez chwilę i rzekł:

— To co nazywasz nieszczęściem, doskonale nam posłuży. Posłuchaj: niespodziana śmierć téj dziewczyny, byłaby wszystkich zadziwiła; chcąc odgadnąć jéj powód, byliby może opóźnili się z pochowa-

niem ciała, a podejście nasze byłoby na niczém spełzło; lecz jest sposób, który wszystko ułatwi. Włóż w rękę dziewczyny sztylet, którym ugodziłeś Bartłomieja.

—»A to po co? rzekł cygan.

—»Oto dla tego: wiadomo jest, że kwestarz Bartłomiéj kocha się w téj dziewczynie. Jutro, gdy go zobaczą zabitego, wniosą iż gwałtem wpadł do tego domku i że zabiła go broniąc się od napaści. Przypuszczą łatwo iż mogła umrzéć z gwałtownego przestrachu. Opat nie będzie poszukiwał dalszych powodów; czemprędzéj pochowają ciało, a w nocy będziemy mogli wydobyć je z grobu i przenieść do mojego zamku, gdzie ocuci się z letargu. Wówczas będzie musiała zaślubić mnie, chętnie czy nie chętnie.

—»Ale dla czegóż nie porwać jéj natychmiast? rzekł cygan, nie kontent z tego sposobu.

—»Czyliżem ci już nie mówił? Ja i ta dziewczyna jesteśmy wazalami opactwa. Opat dał już kilkakrotne dowody, że poszukuje jak najsurowiéj, wszelkich przestępstw popełnionych w obrębie jego sądownictwa. Gdyby znikła ta młoda dziewczyna, kazałby przetrząść wszystkie kryjówki naszych zamków i znalazłby ją nareście. Czyń co ci radzę.

Natychmiast poprzewracali w izbie rozmaite sprzęty, na znak iż w chatce musiano gwałtownie szamotać się: podarli suknie dziewczyny i poplamili ją krwią płynącą z rany Bartłomieja; położyli ciało na ziemi i odeszli, zostawiwszy drzwi nie zamknięte.

Nazajutrz wszystko szło jak sobie ułożyli. Pan z Maldetur, niby to przypadkiem idąc przez wieś, opowiedział wieśniakom objaśnienie które był ułożył i zaczęto dawać mu wiarę, gdy w tém odezwał się jeden z obecnych:

—»Bydź to może, iż Pasketta musiała zabić Bartłomieja w obronie swojéj, lecz ona nie żyje, a Bartłomiéj zezna że go bez przyczyny pchnięto sztyletem.

—»Jak to! zawołał pan z Maldetur, blednąc z przestrachu, Bartłomiéj nie umarł?

—»Nie! a chociaż utrata krwi tak go osłabiła, iż ledwie mówić może, przecież jeszcze oddycha.

Usłyszawszy to pan z Maldetur, poczytał się za zgubionego. Zapewne kwestarz wszystko widział i słyszał co się zrobiło w chatce; wyjawi to przed opatem, ten zaś surowo ukarze winowajcę. W takiém położeniu, nie pozostał mu żaden środek ratunku prócz ucieczki. Umyślił więc ukryć się, na przypadek gdyby go naraziły zeznania kwestarza: jednakże miał jeszcze nadzieję że Bartłomiéj mógł leżéć bez przytomności podczas rozmowy z cyganem. Aby tém łatwiéj przywieśdź do skutku swój zamiar, udał się do lasu, gdzie się ukrywali jego spólnicy cyganie i opowiedział im co się stało. Cyganie posłyszawszy o grożącém niebezpieczeństwie, zwinęli szatry i opuścili okolice zostawili tylko dwóch najcelniejszych i najzwinnniejszych, dla zobaczenia jaki obrot weźmie ta sprawa.

Wzięła inny zupełnie. Bartłomiéj, wprzódy nim go zaniesiono do domu, posłał jednego wieśniaka do Maldetur, z proźbą, żeby pan zamku przyszedł do opactwa, drugiego zaś do koczowiska cyganów po lekarstwa, niezmiernie skuteczne na rany.

Koło południa wrócili posłańcy, z doniesieniem, że i cyganie i pan z Maldetur opuścili okolicę.

Wówczas Bartłomiéj ułożył swoje zeznanie stósownie do odebranych wiadomości. Opowiedział, że usłyszawszy krzyk w chatce, wszedł do niéj i natychmiast został ugodzony przez cygana, któremu towarzyszył jakiś szlachcic, lecz nie może z pewnością twierdzić, że to miał bydź pan z Maldetur. Nie wspomniał wcale o trunku zadanym dziewczynie, ani o jéj pozornéj śmierci. Spodziewał się, że będzie mógł korzystać z popełnionéj zbrodni i dozwolił aby pochowano ciało dziewczyny na cmentarzu, niedaleko opactwa.

Nieobecność pana z Maldetur i zniknienie cyganów, potwierdziło zeznanie kwestarza. Pochowano więc ciało, a Bartłomiej zaniesiony do mieszkania swojego, wyczerpał z powziętéj nadziei, siłę, którą był postradał przez obfite krwi ujście. Jednakże nie mógł wyjśdź pierwszéj nocy, gdyż Opat powodowany troskliwością o jego zdrowie, kazał jednemu z zakonników czuwać przy nim. Kwestarz okrutną noc przepędził. Mieszkanie jego było za obrębem klasztoru, niedaleko cmentarza. Za najmniejszym szmerem, zdawało mu się, że słyszy grabarzy odkopujących ciało dziewczyny. Dzień następny upłynął w téjże saméj niepewności, lecz wieczorem Bartłomiéj pozbył się swojego pilnowacza. Wyszedł więc ukradkiem z izby, wziął rydel i motykę i udał się na cmentarz. Liczne przykłady okazują, ile sił dodać może człowiekowi gwałtowna jaka namiętność. Bartłomiéj chociaż zraniony, czuł, iż zdoła wydobyć dziewczynę z grobu i przenieść ją do kryjówki, którą posiadał niedaleko opactwa. Tam on składał cześć darów ofiarowanych klasztorowi, przywłaszczając je sobie; umyślił uciec razem z dziewczyną, i ożenić się z nią w pobliskiém mieście.

CYGANIE W XV. WIEKU.



Już się zbliżał do jéj grobu, gdy w tém postrzegł człowieka, który także z rydlem i motyką, dążył w to samo miejsce. Był to pan z Maldetur. Poznali się nawzajem i każdy z nich postanowił, że się pozbędzie rywala i niebezpiecznego świadka. Jednakże ani jeden ani drugi nie chciał używać gwałtownych środków. Odgłos bitwy byłby obudził mnichów w klasztorze, umyślili więc razem odkopać grób i wydobyć ciało, a potém zapełnić go ciałém nienawistnego przeciwnika.

Obadwa zaczęli odkopywać, stanąwszy jeden naprzeciw drugiego. Nie spuszczali się z oka, aby bydź w pogotowiu do obrony i do napaści. Praca postępowała, a nie raz wieko trumny odezwało się głucho pod uderzeniem motyki, gdy pan z Maldetur sądząc że upatrzył dogodną porę, chciał uderzyć kwestarza w głowę lecz baczny rywal uniknął ciosu, a uderzywszy Maldetura w piersi, powalił go na ziemię. Już go chciał dobić, gdy Maldetur rzekł do niego:

»Posłuchaj Bartłomieju, mamy toż samo życzenie; jeden z nas tylko osięgnąć je może, ale dla czegóż ma to bydź kosztem życia swego rywala? Dobądźmy z grobu tę dziewczynę, a daję ci słowo rycerskie, że ci dopomogę porwać ją i zaślubić, jeźli ją los przeznaczył dla ciebie.

Bartłomiej, czując że sam nie dokona zamiaru swego, przystał na to żądanie. Wzięli się znowu do roboty, lecz jakże się zdziwili, gdy otworzywszy trumnę, ujrzeli że jest pusta.

Ochłonąwszy z pierwszego gniewu i rozpaczy, padli oba na tę myśl, że cygánie

wiadomi letargu młodéj dziewczyny i ujęci jéj wdziękami, wydostali ciało. Zaprzysięgli więc obydwa, że pójdą za śladem wydzierców i wszędzie szukać jéj będą. Tymczasem, nowe zdarzenie pomieszało ich układy i całą okolicę zadziwiło.

Wieśniacy przechodząc nazajutrz rano koło domku pochowanéj dziewczyny, usłyszeli w nim jakiś łoskot. Rozumiejąc że zostawiono tam jakie zwierze domowe, zbliżyli się, lecz ich ciekawość zamieniła się w przestrach, gdy usłyszeli wyraźnie głos nieboszki. Cała okolica zbiegła się na to miejsce: jedni utrzymywali, że zmarła jest czarownicą, drudzy że jest świętą, która powróciła na ziemię. Słyszano ciągły łoskot w domku, jak gdyby kto przenosił sprzęty z miejsca na miejsce, zdało im się nawet, że rozpoznali głos dziewczyny, dziwiącéj się, że taki nieład jest w jéj domu. Zakrystyan postąpił ku drzwiom z kropidłem i święconą wodą, lecz gdy dziewczyna otworzyła drzwi, zrobiła znak krzyża S. i pobożnemi słowy powitała lud zebrany, nie wątpiono że jest błogosławioną.

Pasquetta zdziwiła się niezmiernie gdy opowiedziano jéj przygody; nie miała bowiem najmniejszego o nich wyobrażenia; tyle tylko pamiętała, że jakiś cygan wszedł do izby, że z razu przelękła się jego widokiem, lecz wkrótce po tém zasnęła głęboko i obudziła się na łóżku we własnym domu.

Była to dowcipna i przebiegła dziewczyna, nie odrzucała więc oznak uszanowania które jéj oddawali wieśniacy i czekała cierpliwie wyjaśnienia tajemnicy. Nikt nie domyślał się, że jéj obojętność dla wszystkich zalotników, była skutkiem miłości dla jednego. Znajdował się w Poitiers, mieście zajętém wtedy przez Anglików, piękny szlachcic z hrabstwa Kumberlandu, kapitan wojsk angielskich. Bartłomiéj byłby mógł od dawna usłyszyć głos jego przede-drzwiami domku dziewczyny, gdyby kapitan nie miał zwyczaju mówić bardzo cicho. Służba wojskowa przeszkodziła mu odwiedzieć swoją narzeczoną, i dopiero następnego dnia rano usłyszał od wieśniaków okolicznych o mniemanym cudzie, który się okazał na zwłokach téj dziewczyny. Gromada wieśniaków przez cały dzień oblegała jéj chatkę; nie mógł więc zobaczyć się z nią i dowiedzieć się prawdy; aż dopiero późno wieczorem, nieznacznie wsunął się do chatki. Narzeczona jego także nie wiedziała o niczém i może byliby nigdy nie odkryli téj tajemnicy, gdyby kwestarz Bartłomiéj, który chciał sobie przypisać ocalenie dziewczyny, nie był przyszedł.

Kapitan ukrył się za pękiem chróstu, a Bartłomiéj rozumiejąc że sam jest, przyznał się że ją wydobył z grobu i zaniósł do chatki, a w nagrodę żądał jéj ręki. Jeszcze mówił kwestarz, gdy zapukano do drzwi. Przebiegła dziewczyna ukryła kwestarza w drugim kącie, otworzyła drzwi i wszedł pan z Maldetur, który także przyznawał się do jéj uratowania i tejże saméj żądał nagrody. Dziewczyna zadała mu kłamstwo i Bartłomieja przywołała na świadka. Szlachcic nawzajem zbił twierdzenie Bartłomieja. Zdziwiona i pomieszana dziewczyna, sama nie wiedziała czyli istotnie jakim cudem ocaloną nie była, gdy w tém nowy hałas dał się słyszeć przededrzwiami. Zdawało się, ze uczestnicy téj dziwacznéj przygody, zeszli się wszyscy w to miejsce: jakoż w rzeczy saméj, byli to dwaj cyganie wspólnicy pana z Maldetur. Przed ich wnijściem, Pasquetta kazała dwóm rywalom odejśdź do pobliskiego alkierza.

Cyganie w kilku słowach wyjaśnili rzecz całą: oni to pierwszéj nocy po pogrzebie, zdjęci litością i obawą, odkopali ciało i odnieśli do chatki, teraz zaś prosili aby w nagrodę tego uczynku, dziewczyna wyjednała im wolny pobyt w okolicy.

Przyrzekła że się wstawi za niemi i kazała im odejśdź. Pozbyła się po tém kwestarza i szlachcica, i została ze swoim narzeczonym.

Kapitan angielski poznał, że gdyby utwierdziło się mniemanie o cudownem wskrzeszeniu Pasquetty, nie mogłaby zostać jego żoną. Umyślił więc ogłosić prawdę, a nazajutrz wziąwszy oddział jazdy, schwytał pana z Maldetur, cyganów i kwestarza, i wszystkich oddał pod sąd duchowny. Cyganów skazano na stos, szlachcica ukarano więzieniem, kwestrrza surowo skarcono za to, że wiedząc prawdę nie wyznał jéj przed zwierzchnością.

RANDSIJT-SINGH.
KRÓL LAHORY.

Na końcu przeszłego roku, doniosły gazety o nadzwyczajnem powodzeniu pana Allard oficera francuzkiego, który udawszy się do Indyów, został dowódzcą wojsk jednego z Sułtanów i w 1835 przybył do Paryża, w ubiorze wschodnim, okryty znakami swego dostojeństwa. Umieszczając rycinę tego człowieka, dajemy zarazem krótką wiadomość o sułtanie i kraju, gdzie mu tak los posłużył.

Indyiska kraina zwana *Pendjab*, otoczona iest pięcioma rzekami, Dihilum, Tchenab, Bhiah, Rawi i Setledj, które się pó-

żniéj łączą i wpadają razem w Jndus. Sam wyraz Pendjab uświęca zejście się tych granic samorodnych; w języku perskim, *pendi* znaczy pięć, a *ab* znaczy woda.

Podbity niegdyś przez zastępy Alexandra Wielkiego, wystawiony od jedenastego wieku naszej ery, na ciągłe napady zdobywców muzułmańskich, kraj ten był jeszcze podzielony przed czterdziestą laty, pomiędzy kilku naczelników pokolenia Sikhe. Za dni naszych utworzyło się w nim nowe królestwo. Polityka to Randjit-Singha, pierwszy mu dała początek, a odwaga i talenta kilku francuzów, rozszerzyły i zapewniły jego zabory.

Najdawniejszy z przodków Randjit-Singha, którego pamięć doszła aż do nas, był tylko prosty Zemindar, (dzierżawca) nazwiskiem Desu, który jedynie posiadał trzy pługi i jednę studnię. Nadh Singh syn jego przyjął wiarę Sikhów: synowi tegoż, Tcharat-Singh, dobrze się powiodło i wystawił hufiec złożony z 2500 koni. Maha-Singh, syn Tharat-Singha, powiększył jeszcze to powodzenie i zjednał sobie wielki szacunek, przez świetne czyny wojenne. Umarł r. 1792. zostawując syna swojego, Randjit-Singha, mającego wówczas lat dwanaście, pod opieką swéj matki, Sada-Kunwar. Macocha jego wielki także wpływ wywierała na wszystkie sprawy; Randjit-Singh winien był intrygom i przebiegłości téj niewiasty, nie jeden świetny skutek swoich zamiarów. Dopomagała mu przez długi czas wziętością i radami, aż dopóki chciwy Randjit nie ogołocił ją ze wszystkich przywilejów; poróżniła się z nim i odtąd ani chciała słuchać o zgodzie, ani nawet kosztem udanego pojednania, okupić wolności, któréj ja pozbawiono.

Randjit okazał nieograniczoną pychę przez napad na miasto Lahorę, stolicę Pendjabu. Afganie opanowali to miasto roku 1797, zmusiwszy Sikhów schronić się na północ. Randjit-Singh dopraszał się za wstawieniem Sady-Kunwar o ustąpienie mu Lahoru, w zamian za niektóre przysługi, jakie obowiązywał się uczynić Wodzowi Afghanów. Tenże przystał na to, pod warunkiem, iż Randjit wypędzi trzech innych wodzów osiadłych w Lahorze. Randjit utworzył sobie stronnictwa, pomiędzy muzułmanami zamieszkałemi w mieście, wszedł do niego podejściem i zręcznie umiał korzystać z inwestytury otrzymanéj od Afghanów. Dochował aż do 1800 roku tę zdobycz i uczynił ją stolicą państwa. Cztery następne lata, użył na wyprawy przeciw Sikhom; każda z tych wypraw oznaczoną była nową jaką zdobyczą, warowni, miast lub haraczu w pieniądzach.

Ważny wypadek powołał Sikhów do broni. W r. 1827, fanatyk nazwiskiem Seid-Ahmed który odprawił pielgrzymkę do Mekki i widział muzułmańskie Jndye, zaczął teraz z kolei, sam odgrywać rolę Proroka, w górach Afghanistanu. Głosił się natchnionym, zesłanym na pomszczenie wiary mahometańskiej i wyniszczenie Sikhów. Zgromadził nieprzeliczone siły przeciwko Randjit-Singhowi; lecz ten go uprzedził; Wojska jego wyćwiczone na wzór europejski, zniosły nieregularne hordy Seid-Ahmeda. Na próżno Prorok dwa razy jeszcze pokuszał się probować szczęścia. Dwakroć odparty, zabitym został roku 1831. W jednéj z tych wypraw, Randjit osobiście przywodził wojsku.

Począwszy od téj chwili, władca Lahory starał się tylko ustalić swoją potęgę. Utrzymywał w ciągłéj obawie wodzów hołdowniczych i podwoił przebiegłość i ostrożność, w stosunkach swoich z Anglią. Nastąpiła ciągła zamiana podarunków i honorów, pomiędzy Randjit-Singhem, królem angielskim i kompanią Jndyiską. „Królowi Lahory posyłano wspaniałe konie i karety i otrzymano w zamian od niego miękciutkie szale kaszemirowe, nadzwyczaj kosztowne klejnoty. Monarcha Jndostański i były gubernator Jndyi, Lord Bentink, jak tylko można najbardziéj po przyjacielsku ze sobą się obchodzili, a świetny wjazd szlachetnego lorda, do Rupur, w r. 1831, głośnym był w całéj Azyi. Wyznać należy z resztą, iż Randjit-Singh, bądź przez interes własny, bądź przez próżność, okazuje się zarówno pełen pzzychylności i względów dla wszystkich Europejczyków, których wypadek podróży, lub zamiłowanie nauk do kraju jego zaprowadzi. Szaty honorowe, worki z rupiami, firmany, karty bezpieczeństwa, kosztowne materye, jak grad spadają na tych, którzy umieją zniewolić monarchę, opowiadaniem o naszych odkryciach i postępach, jakeśmy uczynili w naukach i sztukach. Nienasyconą pała ciekawością ku cudom naszéj cywilizacyi i temu to upodobaniu starego króla, winien był Wiktor Jacquemont, szale, chylaty i z dwadzieścia tysięcy franków: jak młodzieniec ten, ktorego dotąd opłakują nauki, sam tak dowcipnie w listach swoich opowiada.

Randjit-Singh oddawna życzył sobie, aby wojska jego urządzone były na sposób europejski, przyimował nawet nieraz cudzoziemców do swojéj armii, a nadewszystko Anglików opuszczających służbę kompanii Jndyiskiéj. Pewnego dnia, roku 1822, dwóch Europejczyków stanęło w Derbarze (pałacu Randjit-Singha), znęconych głośną sławą monarchy Lahoru. Byli to dwaj oficerowie z wojska francuzkiego, Pan Ventura

Allard dawny oficer francuzki, a teraz wódz wojsk Króla Lahory.



rodem Włoch i pan Allard. Obydwa opuścili Francyą po klęsce pod Waterloo, cudem prawie uszedłszy przed reakcyą w prowincyach południowych; służyli już pierwéj w Persyi, lecz bynajmniéj niezadowoleni ze swego losu, udali się przez Kandahar i Kabul do Lahory. Przyjaźnie przyjął ich Randijt żądał, jednakże aby pierwéj zanieśli do niego prośbę w mowie swojéj ojczystéj.

Przekonany iż istotnie są Francuzami, Randijt-Singh nie wahał się dłużéj przyjąć obu oficerów do swego wojska. Polecił im na samprzód wyćwiczenie żołnierzy w mustrze europejskiéj. Pan Allard, który był kapitanem w konnéj gwardyi cesarskiéj, otrzymał późniéj rozkaz uformowania korpusu dragonów, na sposób francuzki. Biegłość jego zjednała mu zaufanie Randijt Singha, który obsypał go łaskami i do najważniejszych poselstw używał; stopień jego teraźniejszy w armii Sikhów, odpowiada stopniowi jenerała dowodzącego oddzielnym korpusem.

Jenerał Ventura, kapitan w piechocie za cesarstwa, otrzymał także dowództwo w armii Sikhów; wielkie już uczynił przysługi Randiit-Singhowi, w ważniejszych przedsięwzięciach. On to naprzykład, zachował monarsze zagrożone miasto Pihawer i otrzymał dla niego przepysznego konia Lili, warunek *sine qua non* negocyacyi; on to jeszcze wkrótce po tém pobił na głowę Seid-Achmeda. Porucznik Burnes, autor sławnéj podróży do Bokhary i pan Prinsep, wspominają jeszcze o trzecim Francuzie, panu Court, dawnym uczniu szkoły politechnicznéj, dzisiaj dowódzcy korpusu infanteryi i artyleryi. Wszyscy trzéj umieli postępowaniem swojém zyskać ufność Randijt-Singha i zasłużyć na świadectwa najpochlebniejsze od Europejczyków, którzy zwiedzili te strony.

Jenerał Allard rozłączył się na czas niejakiś z Randiit-Singhem; opuszczając Francyą, zostawi przynajmniéj w niéj swoje dzieci aby odebrały wychowanie, którego dobrodziejstwa stara się rozszerzyć na Wschodzie.

Król francuzki wydał rozkaz zachowujący mu imie i prawa Francuza.

DEPARTAMENT VOSGES.

Zdrój Króla Stanisława Leszczyńskiego.



Kraina zwana Vosges, składa jeden ze czterech departamentów, które zrobiono z dawnego xięztwa Lotaryngskiego, bierze nazwisko od gór wosgijskich rozdzielających Lotaryngią od Alzacyi. To pasmo gór poczynające się w departamencie wyższego Renu przy Giromagny, ciągnie się ku północy równolegle z kierunkiem Renu i nagle ucina się górą zwaną Mont Tonnere. Drugie pasmo zwraca się ku zachodowi, przecina południową część departamentu, a po tém dzieli się na dwie odnogi: jedna idzie ku południowi, łącząc się z górami Cevennes, druga ku północy i styka się z Ardennami tak, iż departament ten ze trzech stron otoczony jest górami. Oprócz tych ciągłych pasm, odosobnione góry urozmaicają tu i owdzie powierzchnią ziemi. Obfite wody spadają z tych rozlicznych wierzchołków, silną pokrytych roślinnością, wytryskają jako źródła i zdroje, spadają jak potoki, tworzą stawy i rzeki i ożywiają tę krainę. Tak więc departament Vosges posiada to wszystko, co może stanowić piękność kraju, góry, doliny, lasy i żadna z okolic Francyi nie jest powabniejsza przyjaciołom wielkich obrazów przyrodzenia.

Jéj zalety przewyższają jeszcze jéj wziętość, a znamienity autor, Franciszek de Neufchateau, słusznie utrzymywał, że tam znajduje się wszystko czego szukamy w Szwajcaryi, krajobrazy, wody i skały.

Jakoż w rzeczy samej, krajobrazy w Vosges bardzo podobne są do szwajcarskich, chociaż na mniejszą stopę; posiadają ich urok, wdzięk i oryginalność, lecz ich malownicze znamie nie dochodzi nigdy do wielkości, szczytności i okropności. Wierzchołki gór miernie wysokie, nie mają spadzistych ścian, ostrych cyplów; ich szczyty są zaokrąglone i dla tego krajowcy zowią je balonami. Nagiej skały nigdzie prawie nie widać, w zimie wierzchołki są pokryte śniegiem, a w lecie gęstą murawą;

na téj koronie, już to zielonéj, już to białéj, rosną w gęstych rzędach sosny i jodły, niżéj zaś dęby i brzozy; za krainą lasów winnice i owocowe drzewa pokrywają pochyłość; a gdy nareście zstąpimy na płaszczyznę, znajdziemy ją mnogiemi płody pokrytą. Te góry, którym natura i ręka człowieka nadała tak rozmaite postaci, wszędzie stawią przed okiem naszem, wesołe lub smętne, poważne lub przyjemne obrazy, nacechowane obok tego wiejskim pokojem i czynnością; nic tam nie ma pospolitego, i w którą kolwiek stronę zwrócimy spojrzenia nasze, wszędzie z zajęciem zatrzymać je możemy.

Kraina Vosges z wielu innych względów podobna jest do kantonów Szwajcaryi; posiada także kilka cudownych tworów przyrodzenia, wzbudzających uwielbienie podróżnych, ma swoje kaskady, jeziora, groty, lodowiska. Piękna kaskada w Tendon, wspaniała kaskada w *Bouchant*, spadająca prostopadle z 130 stóp wysokości, zasługują na wspomnienie. W wspaniałym lesie Herival znajduje się obszerna jaskinia, gdzie się tworzą stalaktyty, a tuż przy źródłach rzeki Vologne, toczącéj przejrzyste wody w wązkiéj dolinie pod cieniem od wiecznych świerków, jest głęboka jaskinia, tak zimna, iż nawet najmocniejsze upały lata nie zdołają roztopić odwiecznych lodów w niéj zawartych. Jeziora Girardmer, Longemer, Turnemer, zasługują na wspomnienie. Mieszkańcy wskazują także ciekawym podróżnikom, grottę Sapvis, któréj grunt za tupnięciem wydaje dźwięk metaliczny, olbrzymią skałę Urbin i jezioro Fondrome, zapełniające dawny otwór wulkanu i na które żaden z rybaków nie śmie się puścić.

Jeźli Szwajcarya i góry Vosges, ukształtowane były jak widać podług jednéj formy, ich mieszkańcy są także bardzo podobni do siebie. Jak wszyscy górale, tak i Vosgianie, mają wydatne rysy charakteru, nacechowane poetyczną pięknością; ich obyczaje są proste, surowe, czyste; pracowici, szlachetni, szczodrzy, gościnni, połączają z uprzejmém obejściem, godność patryarchalną. Religia zachowała zupełną władzę nad ich wzniosłym umysłem, nad ich czynną wyobraźnią; nigdzie wiara nie jest głębsza i szczersza, a obok tego nigdzie większa nie panuje tolerancya; okrucieństwa i obłąkania religijnego lub politycznego fanatyzmu, nigdy nie dotknęły téj krainy. Taka jest jéj ogólna cecha, lecz odcienia zmieniają się podług miejscowości; na płaszczyznach zatarły się nieco pierwotne rysy; na szczytach gór, są przesadzone aż do dzikości; tam, w krainie śniegów i lasów, żyje w prostych chatach na pół dzikie plemie pasterzów, rzadko schodzących na doliny, a odosobniona niepodległość uczyniła ich dzikiemi, skłonnemi do gniewu i zemsty. Między temi to dwoma ostatecznościami, między dzikim góralem i mieszkańcem płaszczyzn, charakter Vosgijczyków okazuje się w całéj piękności: ułagodzony, lecz nie zepsuty przez towarzyskie stosunki; tam to znajduje się ludność godna miłości i poważenia.

Ta pierwotna czystość obyczajów, tém bardziéj zasługuje na uwagę, że ich pojętność jest bardzo czynna i bystra, że są zdolni do sztuk, przemysłu i handlu: ich departament jest jeden z najprzemyślniejszych i najpracowitszych we Francyi; umieją wydobywać z gruntu wszelkie bogactwa ziemi; kopalnie żelaza, ołowiu, miedzi, marmuru, porfiru, kamieni młyńskich, są w ciągłym ruchu; od XV wieku otrzymywano znaczny dochód z kopalni ołowiu. Na dolinach, uporczywa praca użyzniła dosyć mierną ziemię; zbierają obfite plony owsa lnu i chmielu; na górach jeszcze niewdzięczniejszą ziemię uprawiono z jak największą wytrwałością i najszczęśliwsze skutki wynagradzają usiłowania rolnika. Te górzyste strony, są głównem ogniskiem czynności i przemysłu. Górnicy rozkopują wnętrzności ziemi; pasterze robią sery, sławne w całéj Francyi; sosny, dęby i brzozy, wyrabiają w deski i belki, które spuszczają rzekami. Na pochyłościach zbierają winogrona i jagody, z których robią kirszwasser, wyrównywającą niemieckiéj; a nareście w wioskach rozsianych w głębi doliny, nieprzeliczone rękodzielnie wyrabiają pierwotne materyały, dostarczane z gór i płaszczyzn. W niektórych rodzajach delikatnych wyrobów, przemysł goralów wosgijskich, walczy o pierwszeństwo z najsławniejszemi rękodzielniami miast wielkich. Tak więc, wszyscy są zajęci pracą, stósownie do sił i zdolności, a pośród rozmaitych warsztatów, nieczynność nie jest dozwolona wosgijczykowi: znaleźć on musi miejsce dla siebie, pomiędzy robotnikiem który z ziemi rudę wydobywa, a sztukmistrzem w Plombieres. Powszechna czynność, rozlewa w téj krainie życie, ruch, obfitość i pomyślność, tak, iż piękność gór wosgijskich wynika z rzadkiego połączenia pierwotnéj natury i obrazów wysoko posuniętéj cywilizacyi.

Departament Vosges, obfitując w piękne wioski, osady i pojedyncze mieszkania, liczy nie wiele miast: cała ludność woli żyć po wsiach: na 400,000 mieszkańców, ledwie 50,000 mieszka w miastach. Epinal, stolica departamentu, liczy zaledwie 9000 dusz. Roczniki tych małych mia-

steczek obfitują w zajmujące szczegóły. Epinal, założone w X. wieku u spodu gór nad brzegami Mozelli, przez biskupa z Metz, miało przez długi czas wielką wziętość wojenną i wytrzymało kilka oblężeń. W 1670 zdobyły je wojska Ludwika XIV i zniszczyły jego mury i warownią. Dziś jest miastem przemysłowem i handlowem, w nim robią kolorowane ryciny na drzewie, które przez kramarzy obnoszone po wszystkich wioskach, są zwyczajną ozdobą chatek. Miasteczko Mirecourt bierze nazwisko od bożka Merkurego; zwaliska jego świątyni długi czas widać tam było: podobnież jak Epinal, przestawszy bydź cytadellą, zwróciło się do przemysłu i celuje w wyrabianiu narzędzi muzycznych. W Remiremont znajdują się szczątki klasztoru Kanoniczek założonego w początku VII. wieku. Trzeba było wykazać szesnaście pokoleń szlachectwa, aby mieć wstęp do tego zgromadzenia. Przywileje Kanoniczek były niezmiernie obszerne. Xieni miała tytuł xiężniczki państwa niemieckiego i odbierała zaszczyty należne głowom koronowanym. Miasteczko Saint-Die, założone przez królów z dynastyi Merowingów, miasto feodalne, jest teraz stolicą handlu serami. Neufchateau, zasięga jeszcze epoki Rzymian. Kronika wiosek téj krainy, obfituje w zajmujące szczegóły. W wioseczce Dom Remy, stoi jeszcze, dziwaczną przedstawiając sprzeczność, i chatka w której się Joanna d'Ark, sławna dziewica Orleańska zrodziła i domek znanej w ostatnich latach Ludwika XV. hrabiny Dubarry; w Val d'Ajol znajduje się rodzina wieśniaków, słynących od lat niepamiętnych zręcznością w chirurgicznych operacyach, a z których żaden nie porzucił dotąd wiejskiego ukrycia, dla tego, aby w wyższym stanie nie zapomnieli o swoich naukach, zatrudnieniach i obowiązkach życia poświęconego wsparciu ludzkości; w Ban de Roche kwitną wioski, będące pomnikiem najpiękniejszego ewangelicznego zawodu. Gdy w środku zeszłego wieku, pastor Oberlen przybył do Ban de la Roche, na szczyt gór Vosgijskich, znalazł kraj ubogi, nie żyzny, nie uprawny, ludność nędzną, nieszczęśliwą, pogrążoną w ciemnocie i dzikości: umyślił odrodzić kraj i ludzi, wziął się do pracy z całą gorliwością chrześcijanina i mądrością człowieka z wyższym umysłem; wytrwał tak szczęśliwie, iż dokonał dzieła swojego, i teraz Ban de la Roche, jest krajem najlepiej uprawnym i najżyzniejszym w tym departamencie, a ludność o dziesięć razy pomnożona, celuje czynnością, przemysłem, oświatą i cnotami.

Vosges, zasługują przeto z wielu względów na zaszczytne miejsca między departamentami Francyi; pozostaje nam wspomnieć jeszcze o jednem z głównych źródeł ich bogactwa, o przyczynie ich wziętości, o wodach mineralnych. Wziętość tych wód rozmaite posiadających przymioty, zasięga epoki Rzymian i znajdują się przy zdrojach zwaliska rozmaitych zakładów, zbudowanych dla wygody kąpiących się. Od czasów Rzymian aż do naszych dni, kąpiele Vosges zawsze słynęły; znajduje się nawet w historyi średnich wieków, że gromady włóczęgów ciągnęły za odwiedzającemi jak teraz gromady szulerów i że xiążęta Lotaryngii zbudować kazali dla zabezpieczenia drogi, małe warownie, których szczątki trwają dotąd. Te szacowne źródła znajdują się głównie w porządnem pasmie ciągnącem się ku zachodowi, w Bussang, w Bains i w Plombieres.

Wody w Bains opuszczone przez długi czas, odzyskały wziętość swoją na początku ostatniego wieku; są bardzo ciepłe i obfite, wytryskują siedmią źródłami i mogą dostarczyć wody na 500 kąpieli dziennie, nie tyle jednakże ile wody w Plombieres, dokąd udają się szukać zdrowia i rozrywki, chorzy ze wszystkich krajów Europy Wielka rozmaitość w naturze wód Plombieres, czyni je użytecznemi na rozmaite choroby: jedne źródła są ciepłe, inne zimne, lub umiarkowane, jedne tłuste, drugie żelazne. Zakłady przy tych wodach były nędzne i źle utrzymywane, gdy król Stanisław Leszczyński, dobroczyńca Lotaryngii, znacznie je polepszył: od tego czasu Plombieres jeszcze upiększyło się i wzrosło: dziś jest miastem liczącém 1500 mieszkańców, albo raczéj długą i jedyną ulicą, która ciągnie się wzdłuż pięknéj rzeczki Agronne. Piękna okolica i miłe przechadzki, jeszcze powiększają wziętość wód w Plombieres. Ze wszystkich pięknych miejsc okolicznych, najznamienitszy jest zdrój któren król Stanisław wybudować kazał niedaleko miasta i któren zachował jego nazwisko.

Scieszka, którą ozdabiają skały, drzewa i woda, prowadzi do zdroju, ukrytego pośród gęstego gaju, na pochyłości wzgórza. Czyste wody drzymią w wązkiem łożysku z kamienia, u podnóża skał w których podstawie wyżłobiono grotę. Stary dąb rośnie tuż nad wzgórzem prostopadle obciętém i długie konary rozpościera nad zdrojem przy wnijściu do groty. Wijące się rośliny pokrywają nagość ścian skały. Ten mały wiejski krajobraz, skreślony na pierwszéj naszéj rycinie, pełen jest łagodności i melancholii. Na nieszczęście, nietrafni odwiedzacze, nie zawsze umieli zamknąć w sobie samych wzruszenia swoje; a mnóstwo rozmaitych napisów wyrytych w około gło-

STARCY W VOSGES.



wnego napisu w języku łacińskim, nuży oko i umysł. Nie będziemy powtarzać tych wysileń wyobraźni, poświęconych na cześć dębu, groty, skały, króla Stanisława i zdroju: następujące cztery wiersze bez podpisu autora, same tylko może zasługują na przytoczenie. Zdrój tak mówi o sobie:

Dobrocią twoją królu wiekopomny!
Gdybym mógł zebrać do mego łożyska
Słodkie łzy, które pamięć łask twoich wyciska,
Pewniebym nie był tak skromny.

Góry Vosges, dzieląc się na rozmaite odnogi, dają także początek kilku znacznym rzekom. Mozella, Meurthe, Moza i Saona, mają główne źródła swoje w lasach i dolinach tego departamentu.

Starcy w górach wosgijskich mają rysy poważne i wydatne, starość czerstwą i wolną od dolegliwości.

OBRZĄDKI WESELA NA ŻMUDZI. (*).

Rolnicy zamieszkujący okolice Augustowa aż po samą granicę Województwa Augustowskiego, czyli do rzeki Niemna, są pokoleniem w prostej linii mieszkańców dawnej ziemi Żmudzkiej, która do dni dzisiejszych znana jest pod tém nazwiskiem po drugiej stronie Niemna. Obrządki weselne jakie wieśniacy po lewéj stronie téj rzeki zachowują, zapewne niczém się nie różnią, a przynajmniej bardzo mało od tych jakie na prawym brzegu są odprawiane. Opisanie więc ich, o ile dało się dla różnych trudności, a szczególniej że Żmudzin nader trudnym jest w dozwoleniu zbierania piśmiennie jego zwyczajów i w tym razie nic powiedzieć nie chce, może nie najdokładniej zebrane, zapewne nie będzie bezinteresownem, gdy zwrócimy oko na różnicę zachodzącą w obrzędzie weselnym na Żmudzi, a innych prowincyach kraju.

Przed domem w którym znajduje się panna na wydaniu, Żmudzin stawia cztery wysokie sosnowe tyczki, i na samym wierzchu osadza koło od woza w położeniu poziomem: do takiego więc tylko domu Ray (pirszlis) może się zbliżyć w celu odbycia zaręczyn (surgietuvies).

Ray wszedłszy z panem młodym (Jaunikes) do domu rodziców, naprzód stojąc na progu, przepije zdrowie matki panny młodéj (mausiale), pocałuję ją w rękę i prosi o dziewczynę (pannas) dla młodzieńca. Jeżeli matka nawzajem przepije do nich, już jest

(*) Podług podań gminu.

znak przychylności. Nalenczas wyprowadzają dziewczynę, a pan młody rozkłada na stole podarunki następne. trzewiki, chustkę bawełnianą, stan płótna czyli cztery łokcie, ręcznik i świeże pierogi: dla matki trzewiki i chustkę: co gdy przyjmą obdarowani, resztę dnia poświęcają zabawie i zapraszają się sami na ucztę do ojca panny młodéj (oszwis).

Kiedy już przeminą niedziele przepisane do zapowiedzi, w poniedziałek wieczorem przyjeżdża raj, wpuszczają go do komory zamkniętéj, gdzie panna młoda w towarzystwie swaty i druchn (ponergis) stoi w kąciku. Cała izba zupełnie ciemna. Raj szuka panny młodéj, jeżli szczęśliwym trafem po ciemku na nią natrafi, druchny wykupić się muszą. W przeciwnym razie Raj daje wódkę i pierogi, co nazywają zapłaceniem strofu. Nie raz się zdarza, że Raj wprzódy namówi się z panną młodą, i za dotknięciem ręki ją poznaje.

Wychodzą wszyscy z ciemnicy i zaczynają wesołą zabawę. Muzykant siedzący za stołem wygrywa rozmaite tańce. Rzecz szczególna, że w czasie wesela na Żmudzi, dziewczęta co tylko wynaleźdź mogą, wymyślają mężczyznom, a ci im bynajmniéj odwetem nie płacą.

Po wypróżnieniu nie jednéj czarki gorzałki, druchny siadają za stołem i zaczynają śpiewy, dla szczególniejszych tylko wyrażeń umieszczamy niektóre urywki.

Pyrszlis, pyrszlis
Kates leżuwis
Musu muzykantu
Kates papiovia
I rankiukes
I kuiukes
Po sołu pokrovie.

Raju, raju
Psi języku,
Naszego muzykanta,
Koty zarznęły
I ręce
I nogi
Pod stołem pogrzebały.

Pomimo tysiącznych podobnych wymysłów, ani raj ani kapelmistrz, nie okazują najmniejszéj oznaki gniewu.

O saméj północy przybywa pan młody, w celu porozumienia się z rodzicami przyszłéj, jak wielką ilość osób może zaprosić, poczém wysyła jednego z chłopców z zaprosinami do rozmaitych osób: odtąd ten poseł otrzymuje tytuł marszałka, ubierają mu laskę w rutę, wstążki, a kapelusz cały okryty rutą, przedstawia wazon chodzący. Stare baby siadają w kącie izby, gdzie ich gorzałka i jadło jak najrzetelniéj dochodzą; i nucą rożaniec z psalmami za umarłych, na tém kończy się dzień poniedziałkowy.

Dnia następnego o wysokiém śniadaniu, swatowie (svatele) przybywają na małych ale dzielnych koniach; lecz druchny (panergis) zamykają drzwi domu i wrota podwórza, kilka z nich staje przed wrotami i nie wpuszczając drużbów (svotai) śpiewają:

Parudikit, parudikt
Ponais svotai rugiu rasa,
Parudikit, parudikit
Ponais svotai Quiczu baczka.

Pokażcie, pokażcie
Panowie swatowie rosę żyta (*gorzałka*)
Pokażcie, pokażcie
Panowie swatowie pszenicy kłodę. (*placek*).

Jeden z drużbów już ma przygotowany ogromny placek i baryłeczkę wódki; po takiém opłaceniu się wpuszczają ich na podwórko, ale we drzwiach siennych stoją drugie, żądające okupu.— Żeby jednak który nie domyślił się wleźdź oknem do izby, siedzi w niém która ze starych gospodyń, inne zaś zajmują kąt izby i pilnują bacznie rogu stoła, który u Żmudzinów ma największe poszanowanie, ale dla czego? wyznać tego nie chcą, a może i nie wiedzą, tylko że tak ich dziady robiły.

Tymczasem kawalerowie nie zważają na to i popisują się z końmi, harcując po podwórzu; znudzone druchny śpiewają znowu stojąc we drzwiach.

Nie pokorni, nie pokorni
Ponais svotai
Sukie purem stovie.

Nie grzeczni, nie grzeczni
Panowie swatowie
Bo w czapkach stoją.

Znowu radzi nie radzi, przybysze płacą strof, po czem wpuszczają ich do izby, ale jeszcze nie za stół. Dziewczęta przymusiwszy młodzież do schronienia się w kąt którykolwiek w izbie, znowu swarzą się z niemi, między innemi prześpiewaniami najczęściej powtarzają to:

Nie pokorni, nie pokorni
Panais svotai
I pyrogas jodas
I harilka nie gardy.

Nie grzeczni, nie grzeczni
Panowie swatowie
I pirogi czarne
I gorzałka nie smaczna.

Prosim svotele
I soła
Jeni soła
Po soła.

Prosiem swatowie
Za stół
Albo za stół
Albo pod stół.

Jeźli się który nie wykupił, pomimo woli wpychają go druchny pod stół — Często się zdarza, że na umyślnie jeden się nie wykupuje, a gdy wszystkie zabierają się do sadzania go pod ławę, inni tymczasem wpadają za stół. Po dowolnych i dosyć długo trwających przekąsach, druchny wychodzą w porządku z zastołu, ale go okrążają, a swatowie po kolei zachodzą w ich miejsca.

Teraz dopiero druchny stoją z pokorą w kątach, dopóki Marszałek nie przyjedzie na koniu pod okno i zsiadłszy z niego, wejdzie do izby; tam dzwoniąc laseczką wygania wszystkich do kościoła. Panna młoda ubrana w wianek ruciany, siada na jednéj bryce z rodzicami i muzykantem, a druchny proszą, aby z miłosierdzia wziął je kto do ślubu. Nieraz obiecują chłopcom co tylko mają najdroższego, lecz się wzbrania każdy, temu bowiem który ich wiezie, służy odtąd nazwisko podrzutka Kiedy wszyscy są zajęci obrządkiem ślubu, kilku z młodzieży naumyślnie pozostałych, wywożą rzeczy Panny młodéj, których również pozostałe stare baby bronią, żądając za każdy szczegół okupu. Ci którzy zabierają rzeczy, nazywają się (Kreitwezele)

Obowiązkiem jest pana młodego, uprosić jakiego gospodarza, zwłaszcza mieszkającego przy drodze z wioski nowożeńców do kościoła parafialnego, lub jeśli w téjże wsi jest i parafia, to którego z gospodarzy blisko kościoła mieszkającego, aby powracającym od ślubu wyprawił śniadanie: jeźli znajdzie takowego (pietkulis) tam się wszyscy bawią, poczém rozjeżdzają się do domów, a panna młoda wraca do rodziców, nie widząc się z mężem.

Nazajutrz, dwaj przyjaciele nowożeńca, wykradają w czasie snu jego małżonkę, a przyprowadziwszy ją do domu męża, oprowadzają w koło niego po trzykroć, po czém obmywają jéj nogi letnią wodą, którą kropią sprzęty, łoże małżeńskie i wszystkich obecnych, poczém zawiązawszy jéj oczy, prowadzą do każdych drzwi domu, w które uderza prawą nogą, nagle roztwierają się i wtenczas obsypują ją mieszaniną różnych ziarn zboża. Następnie rozwięzują oczy i sadzają za stołem, na którym już wszystko przygotowano do uczty. Rodzice obojga nowo zamężnych, gdy się przybliżą rozpoczyna się zabawa, po któréj krótko trwającéj siadają do jadła. Po obiedzie zaczynają się tany, w końcu których dziewczęta usiłują obciąć nowéj mężatce włosy, czego gdy dokażą, rozgniewane że ich opuściła, póty jéj dokuczają, że ją przymuszą, ażeby się schroniła do izby mężowskiéj, a same bawią się tańczac do późna.

Gdy nowozamężna już całą noc zostawała w domu swego małżonka, wszyscy znajomi nową dla niéj przysposabiają zabawę. Przez całą noc kradną jedni drugim konie, woły, kury i sprzężaj. Gospodarze muszą wykupywać, co tym czujnym ptaszkom służy na hulankę: jedne tylko kury, kaczki, gęsi i jędyki, zostają własnością nowéj gospodyni, jednak z obowiązkiem wyprawienja tak zwanego obiadu panny młodéj (Martius piectus) Nim jeszcze nowe małżeństwo się zbudzi, zebrana młodzież dzieli się na małe oddziały, jeden rozkłada pod oknami pęki słomy i młocą cepami (ancmana) drugi nabrawszy z całéj wioski cierlic do lnu (mintuvai) położywszy w każdą pęk słomy, lezie na dach i tam co siły turkoczą. Słowem, różne tém podobne wyrabiają figle, aby zbudzić nowożeńców. Zakończa tę całą zabawę jeździec czarny na prześcieradle z końskim łbem, tak nazwany (Jsie su arclu) na wzór tych, jakie stroją na Mazowszu i u Kurpików w zapusty.

Powstawszy nowa gospodyni z łoża, wychodzi i zaprasza wszystkich na obiad o godzinie wieczornéj, wtenczas to odkrywa się cała zamożność gospodyni Żmudzkiéj. Zawsze przestrzegają tego, aby pomimo kilku danych potraw, koniecznie był i rosół, z którego nie raz wyglądają pazury i nogi gęsi, jędyk i kapłonów, ozdobione małemi pęczkami zielonéj pietruszki: na zakończenie zaś obiadu, jedna z druchn poprzedzona marszałkiem weselnym, wnosi ogromny placek pszenny w kształcie ślimaka upieczony, wysadzany rodzenkami i migdałami, a którego obwód czasem do trzech łokci dochodzi, tak nazwany korowaj. Gdy już i ten zniknie z przed oczu, marszałek włazi na ławę i zadzwoniwszy połężnie laseczką, wzywa wszystkich do porządku i posługacze tak nazwani (posekieiai) wnoszą skrzynię i stawiają na stole. Nowożenna ją otwiera, a marszałek zacząwszy od starszych po kolei, przywołuje do podarunków. Najpierwszy raj odbiera białą koszulę z różową wstążeczką, ubiera się w nią i siada za stołem jak xiądz. Po nim marszałek dostaje ręcznik, którym przepasuje się przez biodra; każdy z przytomnych dostaje po dwa łok-

cie płótna, po jednym pasku wełnianym lub niciauym w deseń tkanym, po ręczniku i t. p. nawet pastuch wiejski pominiętym nie bywa, temu bowiem dają dwie pary tkanych podwiązek do przywięzywania łapciów czyli chodaków. Wszystko to robione bywa ręką panny młodej przed ślubem. Po ukończeniu darowizny, druchny przynoszą na misie wodę dla umycia rąk, lecz i to darmo nie ujdzie, musi dadź im po 4 łokcie wstążki.

Potém bierze maleńkie dziecię na ręce, podnosi w górę wynurzając życzenie, aby i jéj Bóg dał potomstwo, następnie siada z niém do kądzieli i chociaż nitkę wobec wszystkich uprzędzie.

Gdy już i ta ostatnia ceremonia zakończy się, druchny wyciągają młodzież do tańca i jeszcze jedną zemstę wywierają na muzykancie, śpiewając:

Musu muzykanta
Kates papiovie
I kuinkies
I rankiukies
Po sołu po krovie

Naszego muzykanta
Koty zarznęły
I nogi
I ręce
Pod stołem pogrzebały.

Rozgniewany wirtuoz żmudzki rwie wszystkie strony, lecz na przeprosiny każdy przychodzi do jego skrzypców, i przez wycięte esy wpuszcza po trzy grosze. Tem udobruchany grajek, pracuje aż do rana.

W całym przeciągu wesela, najmozolniejszy jest obowiązek marszałka, ten bowiem wszędzie latać, usługiwać, nawet wymysły wytrzymywać musi. W czasie Martuis pietus na złość jemu, jeden krzyczy piwa, drugi wody, trzeci ognia do fajki i t. d. wszystkiemu zadosyć uczynić musi marszałek.

Wszystkie wykupy i uczty są wyprawiane najczęściéj kieszenią pana młodego, dla téj to przyczyny na Żmudzi, nie bardzo kto porwie się do jawnych czyli uroczystych wesel. Jednakże bardziéj są częstszemi niż u nas. — Opis tego wesela, jest obrazem wesel odprawianych przez chłopów rolniczych, i nie powinno to dziwić iż z większym kosztem takowe odbywają, niż nasi włościanie, bo jest to skutkiem lepszego bytu, posiadania obszerniejszych i lepszych gruntów, a na domiar prawie nic nie znaczących powinności.

A. B. Rad.........

LISTY X. ALBERTRANDEGO.

(Dalszy ciąg)

Miasto Hamburg mało ma przestronnych ulic, nie wiele rynków i placów, a jeszcze mniéj ulic pod sznur prowadzonych i długich, jednakże nic nie ma wstręt czyniącego, owszem miłe jest i wesołe, a dla mnogości obywatelów bardzo ożywione. Nie regularność miasta z jego zaprzątnienia prawie jedynego wynika, to jest handlu. Od Elby wiele bardzo kanałów na wszystkie strony miasta idzie, każdy więc kupiec tak swój dom pragnie mieć położony, aby przodem na publiczną ulicę, tyłem na kanał wyglądał. Wjazd do miasta zupełnie jest wolny, żadnéj dla podróżnego wzmianki nie masz cła i komory, a u bramy swoje przezwisko powiedziawszy, prosto do gościńca jechać można.

Kontynuacya, z Kopenhagi 7 Września.

Już za jedną z bram Hamburskich położona jest Altona, wielkie miasto Duńskie, mniéj daleko niż Hamburg okazałe; łubo ulice ma lepiéj pod sznur prowadzone. Jest w tym mieście kościół duży katolicki z facyatą na ulicę okazałą, ale bez dzwonów, w tym kościele znalazłem monumentum Theodory Ogińskiéj, mianowanéj w nadgrobku de Ducibus-de-Kozielsk Ogińska, która w r. 1707 wydana była za Duckera Feld-Marszałka (w Epitaphium jest Campiductor) Szwedzkiego, a umarła r. 1719. Giełda w Hamburgu i ratusz, godne są ciekawości podróżnego. Pierwsza położona niżéj bruku ulicy, z dwóch stron otworzona jest i zchodzić tam po schodach potrzeba. Słupy wspierają tę niezmierną salę z dworu, i takież słupy w pół ją wzdłuż wewnątrz przedzielają. Słupy okryte są drukowanemi karteczkami, przybycie okrętów i tym podobne doniesienia kupców interesujące zawierającemi. O godzinie pierwszéj z południa ta sala pełna jest kupców wszelkich narodów. Na ratuszu jest sala takoż potężna, ale zamknięta i sklepiona, w niéj przedział wielki w którym na wezgłowiach czerwonych sukiennych zasiadają magistratowi. Sala jest malowana i ma u góry rząd obrazów wyrażających dawnych rzymskich cesarzów, królów Egiptu, Macedonii, i t. d. Ale wyobrażenia są polubowe a odzienia nic z starożytnością nie mają wspólnego. Tenże ratusz, ze dworu niezmiernym mnóstwem obrazów rytych cesarzów niemieckich jest przyozdobiony.

Dnia 1 Września wyjechałem extra-pocztą z Hamburga. Wnet znajdowałem się w państwie Duńskiém, przez które jadąc

przejechałem Holsacyą i część wielką Jutlandyi. W Holsacyi jeszcze wiele Niemieckich jest zwyczajów, i język niemiecki zepsuty w prawdzie i płaski jeszcze panuje, ale co raz bardziéj słabieje, kona w Jutlandyi, a za Belt mały do Fionii przeprawiwszy się, cale ginie. Holsacya ma grunt ta dosyć uprawne, ale bardzo wiele jest nieurodzajnych tego gatunku, który sapami w Polszcze nazywają. Tych gruntów ten tylko jest użytek, iż torf z nich na bryłki czworograniaste porznięty zbierają, bardzo potrzebny w kraju, w którym drzewa mało jest i cena onego największa. Oprócz innych miast, przejechałem przez Rendsburg fortecę wielką, gdzie niezmiernym kosztem kanał wykopano z Niemieckim morzem kommunikacyą mający, który mało pożytku przynosi, i na nim jeden tylko okręt kupiecki widziałem. Flensburg miasto bardzo przeciągłe, bo dwa tylko rzędy domów mające, dla swego położenia nad Baltyckim morzem wielki handel prowadzi i obywatelów ma bardzo bogatych, lubo przez oszczędność postać ludzi ubogich zachowują.

Gdy morze ucichło i wiatr powstał pomyślny, okrętem sporym puściłem się przez Belt większy, i na okręcie listu tego część większą napisałem. Belt wielki ma między Nyborgiem i miastem Corsoe 4 mile duże rozległości, a jedno z tych miast od drugiego widziane bydź nie może. Okręt pędził jak strzała, i w przeciągu trzech godzin i kwadransa, ta przeprawa pospolicie 7 godzin potrzebująca, odbyta była, bez innéj przykrości, oprócz szczupłéj nudności kiedym długo w izbie okrętowéj siedział, która wyszedłszy na wiatr na pokład okrętowy, zaraz przeminęła. Z Corsoe jest mil 14 do Kopenhagi. Ne téj drodze są miasteczka różne, między któremi najznaczniejsze jest Roschild. Duńczykowie mówią Roskild. W tym mieście, gdy obiad gotowano, udałem się do kościoła głównego niegdyś sławnego katedralnego, na wzór naszych katedr zbudowanego. Z wież, z wysokości, z położenia chóru, bardzo jest podobny ten kościół do Gnieznieńskiego, ale trochę mniejszy. Wielki ołtarz trybem protestantów położony przed kratą przedzielającą chór większy od mniejszego, złożony jest z rytych spiżowych obrazów kilkunastu, mękę Zbawiciela naszego bardzo kosztownie wyrażających. Ale co ten kościół najbardziéj zaszczyca, są mauzolea królów na górze, a w sklepach złożone ich śmiertelne zwłoki. Przed kratą mniejszego chóru, za wielkim ołtarzem jest grób Małgorzaty królowéj trzech królestw, Duńskiego, Szwedzkiego i Norwegskiego. Jest to kwadratowa wielka na trzy łokcie od ziemi wyniesiona *moles*, na któréj leżąca jéj statua marmurowa, zdaje mi się bydź tego albo przeszłego wieku. Napis w koło kwadratowego łoża, z muru tylko zrobionego, literami gotyckiemi złocistemi, językiem łacińskim imię jéj i tytuły wyraża. Za kraty w chórze mniejszym zabierają całe miejsce 4 mauzolea dwóch królów i tyleż ich małżonek.

Dwie rzeczy godne uwagi w téj podróży bydź mi się zdawały. Jedna opieszałość klimatu, która wydawać się już zaczyna w Holsztyńskim kraju, ale nie równie bardziéj pokazuje się w Fionii i w Zelandyi. Na wielu bardzo miejscach na tych dwóch wyspach widziałem pszenicę jeszcze nie użętą w polu stojącą, nic zaś zwyczajniejszego nie było, jak widzieć jęczmień i owies, także tatarkę albo cale nie sprzątnioną, albo około sprzątania, którzy dopiero poczynali gospodarze pracować. Druga jest pól wszystkich z łąkami i pastwiskami powszechne ogrodzenie, tak dalece, iż każdy rolnik grunta swoje ma wszystkie zamknięte i ogrodzone. Struenzee to wprowadził, który zabiegając skargom jednych na lenistwo lub niedbalstwo drugich, rozsypał wsie po polach i każdemu na swoim gruncie mieszkać przykazał, z kąd wyniknęło, iż wsie teraz składają się tylko z kościoła, domu pastora, karczmy i czasem gościńca, innych zaś mieszkania są o podal od siebie rozproszone. Mieszkańcy na to z wielu miar narzekają. Trudniejsza daleko rzecz jest wesprzéć się wzajemną pomocą. Kobiety, które w przygodach swoich przedtym lada dziecko do sąsiadki posłać mogły, teraz albo pozbawione są ratunku, albo z wielką trudnością wezwać im lub dać pomoc przychodzi. Do tego jeszcze przydać trzeba, że takowy porządek instrukcyi młodzi bardzo ubliża, wielka jest różność, albowiem o kilka kroków lub o kilka staj lub ćwierć mili chodzić do do szkoły zwłaszcza zimą i podczas słoty. Ta rzecz jest oraz z niemałem podróżnych uprzykrzeniem, co dwieście lub trzysta kroków zatarassowana jest droga. Wysiadać postilyon musi dla otworzenia lub zamknięcia. Przy każdéj takowéj bramie jest w prawdzie człowiek jaki stary, lub niedołężny, lub kaleka, mieszkający w budzie z ziemi usypanej, który za daniem znaku przez postiliona onę otwiera, ale opłacać się jemu potrzeba, i to od stacyi do stacyi czasem kilka złotych polskich wynosi, a często albo go nie masz, albo czekać w nocy zwłaszcza potrzeba, aż się do téj przysługi przysposobi.

326



KANCLERZ ROGIER BAKON.

Podobnież jak mnich Rogier Bakon, który przez swe wiadomości w naukach przyrodzonych, tak bardzo wiek swój prześcignął (*), iż był prześladowany jako posiadający moc czarnoxięzką, Franciszek Bakon daleko wygórował po za punkt, na którym stanęli wszyscy współcześni uczeni: możnaby dodać, iż odgadł prawdy, będące dzisiaj granicami nauk. Uposażony obszernem pojęciem, czynnym umysłem, świetną wyobraźnią, Bakon posiadał zarazem przymiot, rzadko kiedy dziecinnemu wiekowi udzielony, to jest rozsądek, tyle pewny i stały, iż pojął w szkołach jeszcze błędy, fałszywość i niebezpieczeństwo metody Arystotelesowéj, będącéj wówczas jedyną podstawą szkolnych nauk. Ta pierwsza przedwczesna wątpliwość, względem rzeczywistości tego co go nauczano, stała się źródłem jego jeniuszu: zamiast w dobréj wierze przyjmować udzielane sobie wiadomości, brał ją pod surową rozwagę i uchronił tym sposobem swój rozum od złych zasad, któreby mu zupełnie fałszywy nadały kierunek.

Odrzucać tym sposobem błąd, było to dążyć ku prawdzie; nieprzyjmować podawanych sobie zasad, było to umieszczać się o konieczności szukania, znalezienia innych. Bakon, coby błądził z Arystotelesem w ręku, odwoływał się do rozbioru, rozmyslania, zastosowanych ciągle i metodycznie; i dzięki im, rozmaite drogi, których probował, doprowadziły go prawie do celu i dozwoliły przebiedz w kilku latach przedziały, wiekom wymierzone. Najzupełniejszą reformę zdziałał tym sposobem dla siebie, lecz umysł jego zbyt był ognisty, zbyt potężny, aby nie miał utworzyć ogólnego systematu; z pracy wykonanej dla siebie, aby nie udzielić innym prawd, które przeczuwał, aby im nie wytknąć drogi, jaką dotąd postępować mieli. Kolosalny plan utworzył

(*) Od roku 1214 do 1292.

się w téj dzielnéj głowie: Bakon umyślił zwalić cały gmach umiejętności i nową wystawić budowę. Olbrzymie to dzieło, które autor ogłosił, pod imieniem, *wielkiego odrodzenia nauk*, nigdy uzupełnionem nie zostało; lecz niektóre części, mające należéć do owéj ogromnéj całości, pozostały chlubnemi pomnikami dziejów pojęcia ludzkiego.

Czując potrzebę roklassyfikowania nauk i rozdzielenia ich pomiędzy umysłowe władze człowieka, Bakon zastósował je do pamięci, rozumu, wyobraźni, podług tego samego porządku, który we dwa wieki późniéj, przyjąć mieli d'Alembert i Diderot. W metafizyce śmiało wprowadził zasadę, która nie była nieświadomą Arystotelesowi, a któréj Locke dowiódł konieczność; że nic nie istnieje w pojęciu, coby od zmysłów nie pochodziło.

(*Nihil est in intellectu quod non prius fuerit in sensu*) W naukach przyrodzonych Bakon jeszcze bardziéj zadziwiające otrzymał rezultaty, zważywszy jak wielka przestrzeń od nich go przedzielała i jak wielką była niedoskonałość narzędzi, których używał do swych oświadczeń.

Odgadł ciężkość i elastyczność powietrza, którą Galileusz i Torricelli dowiedli, oraz attrakcyą, któréj odkrycie unieśmiertelniło Newtona. Do innego jeszcze rodzaju nauk, posiadał Bakon ową cudowna łatwość: pisma jego w materyach prawnych, przez długi czas były przedmiotem rozmyślań Monteskiusza; moralne jego traktaty wykrywają głębokość, przenikliwość i wielką znajomość ludzi i rzeczy. Bakon zatém pozyskał sławę, bydź poprzednikiem i niejako początkiem kilku wielkich ludzi. »Był on, mówi Horacy Valpole, prorokiem prawd, które późniéj Newton przyszedł światu objawić.» A różnica pomiędzy niemi, mniéj może zależy od wyższości jednego nad drugim, jak od niższości jednego wieku w stosunku drugiego. Bakon uczuwał ów wpływ czasu i stopniowego postępu, przez jaki przechodzić musi rozum ludzki; odwoływał się do przyszłości, sądząc że ta powinna bydź daleko oświeceńszą i sam się mianował sługą, potomności mówił ze szlachetną pychą, w swoim testamencie, imie moje i pamięć obcym narodom i własnym moim współrodakom, po upływie niejakiegoś jeszcze czasu.» Usłyszanem zostało to odwołanie do potomności, a Bakon, przezwany ojcem filozofii experymentalnéj, najpiękniejszą posiada sławę w naukowym świecie.

Najpiękniejszym zaszczytem tego sławnego człowieka są, podług nas, nie odkrycia, których pierwsze zakreślił szkice, lecz drogi, które sobie do świątyni prawdy otworzył; gdyż wielki to jest dać dowód trafności i mocy rozumu, walczyć przeciwko zakorzenionym błędom. Błędy te, tak wszechwładne były za czasów Bakona, iż sam nie mógł zupełnie rozproszyć mgły fałszywych wyobrażeń, którą ustanowiono jako zasady, pojęcie jego przyciemniały; i tak naprzykład, zbijał system Kopernika, który w astronomii wykrył niezaprzeczoną prawdę, jak on sam wykrywał ją w innych gałęziach nauk. Na wysokim stopniu umieszczony pomiędzy uczonymi, Bakon może się jeszcze dopominać zaszczytnego miejsca pomiędzy literatami. Męzki i poważny dowcip jego, posiada nie raz wdzięk, lekkość i oryginalność; stylowi jego, zawsze nacechowanemu szlachetnością, (czy pisał po angielsku czy po łacinie), nie zbywa na wykształceniu ani na czystości, a niektóre płody jego, jak naprzykład historya Henryka VII. i traktat o mądrości starożytnych, należą raczéj do literatury aniżeli do naukowości.

Pomyślawszy na nieskończone prace, które Bakon podjąć musiał, aby nabyć tak urozmaicone wiadomości, i użyć materyałów, gromadzonych tak wielkiém wysileniem myśli, zawód lat sześćdziesiąt sześciu (od r: 1560, do 1626) zdaje się zaledwie módz wystarczyć na tak trudne dzieło, a jednakże obowiązki prawniczego powołania, urzędy publiczne i dworskie intrygi, pochłaniały wielką część jego czasu. Pragnelibyśmy módz odłączyć od historyi Bakona część materyalnie czynną jego życia, tę którą nie poświęcał nauce; gdyż podziwiając wzniosłość jego jeniuszu, obrzydzamy się na ochydną podłość charakteru. Ojciec jego, który nie był zupełnie pospolitym człowiekiem, umiał zjednać sobie łaskę królowéj Elżbiety, tak iż młody Franciszek Bakon, od samego urodzenia, mieszczony był w dosyć wzniosłéj sferze i na drodze fortuny. Lecz że szczupłem było jego dziedzictwo, przykładał się do nauki prawa, i wkrótce rozwinął wielką w tym zawodzie łatwość. Wspierany sławą swéj zdatności, oraz od możnych protektorów, których zjednały mu nieposolite jego talenta, nadewszystko wielka przebiegłość w postępowaniu, otrzymał, w dwudziestym ósmym roku życia, miejsce nadzwyczajnego Radcy królowéj. Gdy główne oskarżenie ciężyć zaczęło na jego opiekunie, jego dobroczyńcy, Hrabi Essex, podniósł z własnej woli, głos przeciwko niemu, a gdy głowa hrabiego spadła na rusztowaniu, Bakon w ogłoszonym memoriale, został apologistą surowości. Bezeczelność ta chybiła zamierzonego celu: jednogłośny krzyk oburzenia powstał przeciwko niewdzięcznikowi, i stawił tamę jego zawodowi, a Elzbieta dozwoliła mu wlec życie w największéj nędzy. Wstą-

pienie na tron Jakóba I. szczęśliwym było wypadkiem dla Bakona. Wiadomości jego naukowe i literackie były tytułami w oczach monarchy, który niechciał uchodzić za obcego w naukach i literaturze. Bakon odzyskał swą wziętość, i tym razem tak się umiał zręcznie prowadzić, tak pochlebiać słabościom i namiętnościom, iż szybko wzniósł się z urzędu do urzędu aż do godności kanclerza, przyznanej mu (1619) wraz z tytułem Kawalera, Barona Werulam i Vice-hrabiego Saint-Alban. Dostąpiwszy wysokich tych godności, przez mało zaszczytne sposoby, ze wstydem je postradał. Kancelarya stała się widonią współubiegań i przedajności; skargi publiczne tak się w krótce głośno rozległy, iż Parlament wdał się w tę sprawę, izba Parów wytoczyła proces przeciwko kanclerzowi. Bakon spodziewał się rozbroić swych sędziów przyznaniem się do winy, i pokornie wzywając ich pobłażania: poniżył się tylko jeszcze bardziéj, lecz ich nie wzruszył: stracił urząd, skazany został na karę 4000 funtów szterlingów i więzienie w wieży Londyńskiéj. Protekcya monarchy wyjednała mu darowanie kary i więzienia, lecz został na zawszę usunięty od wszelkiego zawodu publicznego; szukał w ówczas ucieczki w naukach i literaturze i starał się jeniuszem błędy swoje okupić. Można powiedzieć, iż mu się to najzupełniéj udało. Odzyskał przed śmiercią zupełną sławę i poważanie. Tak wielki to był człowiek, iż zapomniałem o jego występkach mówił Bolingbrok potomność powtórzyła to rozgrzeszenie, zdaje się bowiem iż zapominamy, że Bakon był przedajnym Kanclerzem, i w oczach wszystkich jest tylko uczonym i literatem.

Bakon rozwijał w towarzystwie i rozmowie wszystkich przymioty cechujące jego dzieła, moc, żywość, oryginalność, świetność, i nadzwyczajną łatwość zastosowania swéj mowy do upodobań, położenia myśli pojęcia, każdego co z nim rozmawiał. Łączył do tego najszczęśliwsze wysłowienie, giesta zniewalające, powierzchowność zarazem szlachetną i powabną. Słynął pomiędzy współczesnemi ze stósowności i prędkości odpowjedzi. Gdy go w pierwszém dzieciństwie spytała królowa Elzbieta, ile ma lat, odpowiedział natychmiast: »Dwa lata mniéj niżeli szczęsne panowanie W: K: Mci.» Ostatnia prędka i stosowna odpowiedź datowana jest z jego śmiertelnego łoża: pewien Pan francuzki, którен pokilkakrotnie go odwiedzał, a którego Bakon zawsze przyjmował z zasuniętemi firankami u łóżka, rzekł mu: »Podobny jesteś do Aniołów, zawsze słyszymy o tobie a nigdy cię nie widzimy. Choroba moja aż nadto mi dowodzi, a śmierć i wam wkrótce dowiedzie, że tylko jestem człowiekiem,— odpowiedział Bakon.

BLIŹNIĘTA SIAMSCY.

W liczbie rozmaitych zjawisk odstępujących od zwyczajnych praw natury w płodzeniu istot, bliźnięta Siamscy są osobliwszém najbardziéj uderzającém zjawiskiem. Rzućmy okiem na ich wyobrażenie. Widzimy dwie osoby zupełnie ukształtowane, a jednakże połączone w łonie matki nierozdzielnym węzłem u spodu piersi; urodzone, wzrosłe, żyjące razem, w tém mimowolném towarzystwie, a które jednakże zdaje się stanowić ich szczęście, jak gdyby zupełną posiadali swobodę: A gdy potém filozoficznie rozważać zaczniemy, jakież to bogate źródło moralnych i materyalnych postrzeżeń, jakież pasmo badań psychologicznych, przedstawiają nam te bliźnięta. Dla tego też wszędzie, gdziekolwiek je widziano, w Ameryce, w Anglii, a teraz we Francyi, były przedmiotem badania uczonych. Bez wątpienia, stan ich zdrowia czyni nadzieję że jeszcze długi czas podróżować będą i zwiedzą z kolei wszystkie kraje Europy.

Eng i Chang, (tak się nazywają te bliźnięta. Eng po prawéj, a Chang po lewéj stronie wyobrażony na rycinie), urodzili się w małéj wiosce w państwie Indyjskiem Siam, nie daleko morza. Ich matka miała już wprzódy kilkoro dobrze ukształconych dzieci, a przy urodzeniu tych bliźniąt nie doświadczyła żadnego przypadku i nie cierpiała bardziéj jak za zwyczaj. Gdyby nie wiedziano że ich rodzice dochodzili z rodu Chińczyków, łatwo możnaby to poznać po oczach lekko pochylonych ku zewnętrznemu kątowi, po żółtéj skórze, po włosach bardzo czarnych. Ich rodzice byli jak powiadają ubogiemi rybakami i oni sami zarabiali na życie przedając ryby i muszle, albo też robiąc oliwę z orzechów kokosowych, aż do roku 1829, gdy kapitan amerykański zawiózł ich do Stanów Zjednoczonych. Byli tam przez dwa miesiące, a potém popłynęli do Anglii. Podczas żeglugi, jeden z nich chciał kąpać się w morzu, brat zaś jego nie chciał; okoliczność ta nic nieznacząca w każdym innym przypadku, była bardzo ważna z powodu zupełnéj zgodności uczuć, instynktu i myśli, jaka dotąd między niemi panowała i z szkodliwych skutków mogących wyniknąć ze wstrętu między dwoma osobami połączonemi na zawsze. Szczęściem, dosyć łatwo uspokoiła się sprzeczka za radą kapitana okrętu. Okazali wtedy jak zręcznie biegać mogą: i pewnego dnia gdy żartami ści-



BLIŹNIĘTA SIAMSCY.

gał jeden z podróżnych, kilkakrotnie obiegli pokład i napotkawszy drzwi otwarte w podłodze, przeskoczyli je za jednym skokiem.

Przez czas niejaki zabawiwszy w Anglii przybyli do Francyi w 1830, ztamtąd znowu odpłynęli do Anglii i Ameryki, a zaspokoiwszy ciekawość tych krain, powtórnie w roku zeszłym powrócili do Francyi. Jeden z uczonych, który mu się należycie przypatrzył, tak ich opisuje.

»Ci bliźnięta zrośli są dolną częścią piersi, za pomocą przedłużenia mięsistego pasa wielkości ręki. Przedłużenie to zrobiło się jak się zdaje kosztem *sternum*, z jednego i drugiego individuum: *sternum*, jest to deka piersiowa zakończona sztuką chrząstkowatą, zwaną xiphoides dochodzącą aż do dołku brzusznego. Ten to właśnie dodatek, podniosłszy się u obudwu bliźniąt, zrosł się i spoił tak, iż tworzy tylko jeden. Rozciągając go każden w swoją stronę, przedłużyli go tak dalece, że teraz stoją jeden przy drugim, jak ich wyobraża nasza rycina, jeden ma wolną prawą rękę a drugi lewą. Dwaj bracia mogą nawet obrócić się tak, iż Chang będzie po prawej a Eng po lewej ręce, ale taka postawa jest

przykra dla nich i długo znosić jéj nie mogą.

Lekarze angielscy i amerykańscy, kilkakrotnie zadawali pytanie czyliby można było rodzielić te bliźnięta przez chirurgiczną operacyą, lecz lekarze francuzcy mniemają, że operacya ta byłaby śmiertelną. Z resztą uważano, że dwaj bracia nie lubią mówić o tym przedmiocie i że rozłączenie to nie byłoby dla nich pożądane.

Chang i Eng, mówi tenże sam uczony, chodzą jakoby jeden człowiek, siadają, wstają, biegną, pływają, polują z jednaką szybkością, z jednaką zgodnością w ruchach, jak gdyby jedna wola przewodniczyła wszystkim czynom ich życia, mają też same gusta, doświadczają w jednymże czasie tychże samych potrzeb. Jeden nigdy nie czuwał podczas gdy drugi zasypia; zasypiają i budzą się jak jedna istota: dosyć jest dotknąć się jednego, żeby obudzili się oba; we śnie zmieniają położenie nie czyniąc sobie żadnéj przykrości. Dwaj bracia nigdy nie mówią do siebie, rozumieją się lubo nie czynią widocznego znaku ani ostrzeżenia, zapomnieli ojczystego języka chociaż mając już lat osiemnaście, opuścili Siam. Z wielką łatwością uczą się języków, a teraz bardzo dobrze mówią po angielsku i wkrótce nauczą się po francuzku. Rysy ich twarzy są niezmiernie podobne, nie można rozróżnić ich po głosie.

Tak więc pod jakimkolwiek bądź względem będziemy zastanawiać się nad niemi, Eng i Chang są najosobliwszém igrzyskiem natury; nie widziano bowiem bliźniąt w ten sposób złączonych, któreby tak doskonale się rozwinęły i doszły do tąk późnego wieku. Pewien doktor amerykański, który je był widział w Bostonie, uważał że byli w dobrym zdrowiu, wkrótce po przybyciu do Stanów Zjednoczonych, lecz przepowiadał że zmiana klimatu i sposób życia, zaszkodzi im nie zadługo. Nie sprawdziło się to przepowiednie.

Eng i Chang mają teraz lat dwadzieścia pięć, są dobrze ukształtowani i mocni, ich wzrost dochodzi do pięciu stóp, jednakże jeden z nich jest trochę mocniejszy i silniejszy, drugi zaś chętnie opiera się na bracie. Krążenie krwi szybcéj odbywa się u Enga niżeli u Changa. Noszą włosy splecione zwyczajem swego kraju; lecz są ubrani po europejsku i z całego ich ciała widać tylko pas którym są połączeni. Pas ten ma u góry dwa cale, u dołu zaś 4 cale długości, szeroki jest na 3 cale, a gruby na półtora. To jest rzeczą osobliwą, że gdy go się dotknie w środku, obydwa czują dotknięcie: po bokach zaś ten tylko czuje dotknięcie przy którego stronie nastąpiło.

Obydwa mają nie pospolite zdolności umysłowe, co się okazuje ztąd, że nie poddali się w moc jakiego kornaka, któryby ich na swoją korzyść pokazywał, lecz jeżdżą sami, nie zależą od nikogo, mają swoich służących i o wyznaczonéj godzinie pokazują się publiczności.

Z resztą, ponieważ nie mają równéj siły i pojęcia, Chang jest z natury saméj naczelnikiem téj osobliwéj współki, a brat jego ulega mu bez oporu i namysłu i chociaż są rzeczywiście podwójni, nie zalegli tak w moralnym jak fizycznym względzie, przecież ożywieni są jedną tylko wolą: uważano nawet że gdy choroba dotknęła jednego i drugi także jéj podpadał i pewnego razu, gdy z powodu bólu w boku, Chang kazał sobie krew puścić, brat jego był także słaby.

BŁAWATKI.

BALLADA WIKTORA HUGO.

przekład Br. hr. Kicińskiego.

Kiedy gwiazdeczka bez woni,
Miłym błękitem śród lata
Zielone zboże przeplata
Zanim je słońce zapłoni;
Nim sierpem niwa pożęta
Z pól pozbawi wonne kwiatki,
Idźcie o młode dziewczęta,
Zbierajcie w zbożu bławatki.

W Andaluzji miast jest wiele,
Lecz ich ozdobić nie może
Pyszne błonie, gęste zboże,
Jak zyzną Penaflelę,
Ż jéj murów w karby wycięta,
Sterczy wieża zbrojna w kratki...
Idźcie o młode dziewczęta
Zbierajcie w zbożu bławatki.

Licznie do miasta świętego,
Śpieszy pielgrzym ów tłum hoży,
Liczniéj na święty Ambroży,
Co rok tu chorzy się zbiegą.
Miła dla przyjścia zachęta
Jest dla nich pobożnych składki...
Idźcie o młode dziewczęta
Zbierajcie w zbożu bławatki.

Nigdzie jak tam w dziewcząt gronie,
Gdy wieczór tańczyć się zdarzy
Nie tli się tyle róż w twarzy
I tyle płomieni w łonie;

Uśmiecha wabna ponęta
Najdroższe przyrzeka datki...
Idźcie o młode dziewczęta,
Zbierajcie w zbożu bławatki.

Lecz żadne dziewczę nie zdoła,
Alixie wyrównać młodéj,
W sadzie zbierająca miody
Za kwiat ją wzięłaby pszczoła;
Nie jeden jeszcze pamięta,
Iż za wzór kładły ją matki.....
Idźcie o młode dziewczęta,
Zbierajcie w zbożu bławatki.

W tém do miasta dumny śniady,
Prawdziwie męzkiéj urody,
Czy z Sewilli, czy z Grenady,
Przybył cudzoziemiec młody;
Może go algierskie statki,
Lub Maurów zwiozły okręta....
Idźcie o młode dziewczęta,
Zbierajcie w zbożu bławatki.

Nikt nie wié — biedna dziewczyna:
Kochana, kocha go wzajem:
Piękna Xarami dolina
Nie raz im stała się rajem.
Miłością para zajęta,
Słodkie mieniła zadatki....
Idźcie o młode dziewczęta,
Zbierajcie w zbożu bławatki.

Nie raz od miasta daleko,
Sami o wieczornéj dobie,
Szli pod xiężyca opieką,
Sobą zajęci, przy sobie.
Gaj wonny, ścieszka w nim kręta,
Jedyne rozmów ich świadki...
Idźcie o młode dziewczęta,
Zbierajcie w zbożu bławatki.

Tymczasem w wiejskiém zaciszu,
Pod morwą lub pomarańczą,
Myśląc o młodym przybyszu
Inne Andaluzki tańczą.
Wesołość wśród tańca wszczęta,
Na niewinność stawia siatki...
Idźcie o młode dziewczęta,
Zbierajcie w zbożu bławatki.

W gniazdeczku ptaszek spoczywa,
Choć mu sęp zdala zagraża,
Tak w swéj miłości szczęśliwa,
Alixa na nic nie zważa.
Nie wie aż dźwigając pęta,
Kto był ów młodzian tak gładki,
Idźcie o młode dziewczęta,
Zbierajcie w zbożu bławatki.

Był to Don Juan z Kastylji,
Jego orszak ją porywa,
Padła drżąca, ledwo żywa;
I róże znikły w śród lilji..
Zdala od ojca i matki,
Na całe życie zamknięta...
Strzeżcie się młode dziewczęta,
Zbierać po zbożu bławatki.

BICETRE.

Z pomiędzy zakładów dla więźniów i ubóstwa w Paryżu, najznaczniejszym jest Bicetre. Z obszernego opisu, którem umieściło Muzeum Francuzkie, wyjmujemy kilka ciekawszych szczegółów.

Sam ten wyraz Bicetre, obudza już wyobrażenia hańby i zgrozy. W średnich wiekach podanie i pospólstwo, wymieniały to miejsce jako siedlisko czarnoxiężników i złych duchów; i w istocie, cała południowa część za Paryżem, począwszy od katakumb, aż do miejsca, na którém stoi Bicetre, odznaczająca się kopalniami łomów, samotnością i nie płodnym gruntem, dziwnie przypadała dla złych duchów, lub raczéj złodziejów, któremi wówczas cały Paryż był zalany.

Na początku wieku trzynastego, Jan, angielski Biskup Winchesteru, rezydujący we Francyi, przywłaszczył sobie, za pomocą jednego śmiałka umiejącego z duchami wojować, budynek leżący na téj niebezpiecznéj płaszczyźnie, zwanéj *la Grange-aux-Gueux*. Kazał go zburzyć i na miejscu jego wystawić wspaniały pałac, którego okna przyozdobiono szybami, zbytek dotąd nie znany we Francyi.

Roku 1291. Filip-piękny skonfiskował wszystkie dobra biskupa i *Wincestre* stał się mieszkańcem królewskim.

Amadeusz, xiąże Sabaudzki, posiadał ten zamek pod panowaniem Karola VI. Xiąże Berry nabył później ten stary gmach i odbudował go z całym odradzającym się zbytkiem piętnastego wieku. Architekci sami siebie przewyższyli w kształtach i ozdobach, któremi go przyodziali.

Roku 1411 rzeźnicy Paryzcy, którzy przez rozmaite bezprawia utrzymywali partyą Burgundzką, spalili i złupili zamek Wincestre. Pożar zniszczył zupełnie wspaniałą tę budowę; gołe tylko pozostały mury i dwa pokoje wykładane mozajką.

W lat piętnaście później, xiąże Berry legował te zwaliska Kapitule kościoła N. Panny Paryzkiej. Karol VII. i Ludwik XI. potwierdzili to nadanie.

Kapituła N. Panny, nie wielką zapewne przywiązywała wagę do posiadłości zamku *Wincestre, Bischestre,* lub *Bicestre,* (gdyż mu zarówno te wszystkie nadawano imiona), żadnéj nie przedsięwzięła naprawy, tak iż złodzieje i złe duchy, znowu go w swą moc zagarnęli.

Roku 1519, król francuzki objął na nowo Bicetre w posiadłość, r. 1633 zrównano z ziemią zwaliska i wystawiono na tém miejscu szpital dla inwalidów.

Gdy teraźniejszy gmach inwalidów wzniesiony r. 1656, zostawił Bicetre bez żadnego przeznaczenia, Wincenty a Paulo, wyrobił u królowéj Anny Austryackiéj, iż część téj budowy miała służyć za przytułek podrzutkom; nie długo jednak tam przebywały; zbytnia ostrość powietrza wielką ich liczbę zabijała.

Nakoniec zamek Bicetre, stał się domem przytułku dla ubogich i więzieniem wszystkich włóczęgów.

W początku panowania Ludwika XVI. zamykano w Bicetre chorych, nędzarzy, młodzież, którą familie chciały ukarać i obłąkanych płci obojéj.

Bicetre, wyjąwszy niektóre dodatki, tworzy czworobok, zamykający w sobie trzy główne dziedzińce.

Pierwszy, do którego prowadzi długa aleja, służy za przechadzkę starcom, oznaczonym pod imieniem *dobrych ubogich.* Na drugim jest kościół i więzienie, a w prost infermirya; w tyle jest ogród, otoczony budynkiem, zamieszkałym przez starców niedołężnych.

Na trzecim dziedzińcu jest pomieszkanie głównego dozorcy i galerye przeznaczone dla obłąkanych.

Na drugim dziedzińcu znajduje się także ogromna studnia, wystawiona r. 1733, przez sławnego architekta Boffrand. Bicetre prócz tego ma jeszcze wodę z drugiéj studni i z kanałów łączących się z kanałem Arceuil.

Kościół ogołocony z ozdób i pokorą przystoi temu schronieniu nędzy i boleści. Jest źle oświecony, wilgotny, czarny, a na zimnych jego flizach, zawsze prawie ujrzéć można klęczącego jakiego starca, który żarliwie modli się do tego, co przyobiecał wieczność szczęścia ubogim.

Wszystkie cierpienia zgromadzone są w około téj kaplicy: starcy stuletni, niewidomi co postępują omackiem, epileptycy z wybladłą cerą, bezwładni na umyśle z głupowatém spojrzeniem. Daléj, przez żelazne kraty, widać tu i owdzie głowy więźniów, a chwilami rozlega się żałosny krzyk szaleńca.

A szczęśliwi świata przechodzą obojętnie około tego piekła, nie odwilżywszy pałających ust, zamknionych w niém potępieńców, kroplą wody, o którą w dniu kary, zatwardziały bogacz, wielkiemi krzyki domagać się będzie od Łazarza!...

Bicetre dzieli się na cztery klassy mieszkańców, składające ludność 3800 dusz; starcy zajmują wielką infirmeryą, podzieloną na dwie części; w pierwszéj znajduje niedołężnych i kaleków 700; do drugiéj należą zdrowi, w liczbie 1000.

Ubiór starców składa się z szarego surduta, niekiedy bardzo już zszarzanego. Można ich widzieć przechodzących się po dziedzińcach, siedzących na słońcu, lub zatrudniających się swoją w warsztatach pracą, dającą im sposobność nabycia dwóch rzeczy bardzo poszukiwanych w Bicetre: wódki i tabaki. Osobliwa to rzecz widzieć tych wszystkich starców, zajmujących się w milczeniu i nad zwyczaj czynnie, rzemiosłami, któremi się trudnili przez długi lat przeciąg, nim tu przyszli szukać schronienia przeciw głodowi i nędzy. Można tam znaleźć szewców, krawców, kapeluszników i stolarzy bez liczby. Ci co się dawniéj nie trudnili żadném przemysłowém rzemiosłem, muszą piłować róg, lub zajmować się innemi robotami, które poprzedniczych nie wymagają wiadomości, lecz też za to nędzny przynoszą zarobek.

Liczba tych nieszczęśliwych jest wielka, gdyż rzuciwszy okiem na listę starców lub gdy przypadkiem który z nich wymieni swe nazwisko, przejmuje nas boleść i podziwienie, poznając, że nie jedno z tych nazwisk było kiedyś sławném. Tam to kończy swój zawód mnóstwo księgarzy, literatów, muzyków, adwokatów, aktorów, lekarzy i uczonych! Co za pośmiewisko: sława i szpital!... A jednakże, warsztaty, sale i sypialnie przeznaczone dla starców, nie przedstawiają nic smutnego; ludzie ci wesoło rozmawiają ze sobą, znajdując w poddaniu się losowi, a może i w niedbaniu o niego, siłę do znoszenia lub nie czucia tak mocno, całéj goryczy swego stanu. Zwiedzający, zamknąwszy oczy, zapomniałby prawie gdzie się znajduje, słysząc w około siebie mówiących o winie, grze, miłości i zabawach. Często śpiewy i muzyka dopełniają złudzenia. Otworzywszy oczy widzi się w pośrodku starców i ślepych.

Śród tego gwarliwego tłumu, przesuwającego się bez ustannie, jeden tylko człowiek chroni się samotny w kąt najciemniejszy. Trzyma skrzypce w ręku i gra od rana do wieczora. Smyczek miga w jego rę-

ku z cudowną lekkością, a palce jego śpiesznie przebiegają struny i przypominają Paganiniego. Niekiedy marszczy brew, jak się przytrafia czynić artyście, gdy trudność jakową napotka i dopóty powtarza akord, dopóki z największą nie odda go czystością; niekiedy wzrok jego się zapala, rozjaśnia czoło, szczytne wzruszenie wszystkie jego rysy ożywia, pot leje się strumieniem po jego twarzy: słowem, doświadcza wszystkich uniesień natchnienia i zapału...

Widz tymczasem, świadek téj dziwacznéj sceny, nic nie słyszy.

Insrument żądnego nie wydaje głosu.

Człowiek ten, podług zdania niektórych doktorów, posiada słuch tak delikatny, natura uczyniła go tak wielkim muzykiem, iż słyszy w całéj pełności, głosy nieme dla innych. Gdyby uderzył w struny tak silnie, jak zwykle czynią skrzypkowie, zbyt mocny dźwięk instrumentu wstrząsnąłby wszystkie jego nerwy i mózg przygłuszył.

Podług innych, ma to bydź artysta odludek, który się mści na świecie, nie dając mu słyszéć muzyki, jaką improwizuje. Ułożoną przez niego operę odrzucono bez poprzedniczego rozpoznania, a jednakże była arcy-dziełem. Wówczas oburzony artysta gorzko się uśmiechnął i przysiągł nie uganiać się już więcéj za szyderczém widmem, zwanym sławą, którą niekiedy przypadek nadaje, któréj często jeniusz dosięgnąć nie może. Wyrzekł się świata. Żył z pracy rąk swoich i przez cały dzień oddawał się mechanicznym zatrudnieniom; zdaje mi się iż został stolarzem.

Lecz wieczór, ach! wieczór, wracał co śpieszniéj do swego lichego poddasza, zamykał się na dwa spusty, gasił swiatło i porywał skrzypce. Wówczas wielka owa wyobraźnia od rana okuta w nędzne okowy rzeczywistego życia, odzyskiwała potęgę i zapuszczała się w niezmierzoności jeniuszu. Zapominał o całéj ziemi, zapomniał że był ubogim i sam w obliczu Boga, niebiańskim natchniony zapałem, głosił hymny szczęścia. Kilka osób zasłyszało czyste i harmonijne akordy artysty i wkrótce o nim tylko w całéj mówiono okolicy. Pewien bogaty człowiek, chcąc się sam przez siebie zapewnić o prawdzie publicznej pogłoski, przyszedł ukradkiem słuchać skrzypka i po uczynionéj próbie, postanowił wydrzéć z ukrycia artystę tak wielki posiadającego talent. Artysta słuchał w milczeniu wszystkich obietnic sławy i majątku, a które tym razem zdawały się bydź niezawodnemi. Lecz nazajutrz rano wyszedł, wziąwszy ze sobą skrzypce i hebel, odmienił mieszkanie i dopiero we trzydzieści pięć lat stanął przed swym opiekunem, prosząc aby go umieścił w Bicetre.

Pokazano mi także niewidomego któremu nie dawno zdjęto kataraktę i który chwilowo wzrok odzyskał.

Człowiek ten, przed operacyą, często chodził do Paryża, sam jeden, pieszo, bez przewodnika, bez kija, przebiegał wszystkie ulice, najbardziéj nawet zapchane powozami i powracał do Bicetre, nie będąc nigdy zraniony, ani nawet potrącony. Współ-ubiegał się z innym niewidomym o zręczność przebiegania najludniejszych ulic bez żadnego niebezpieczeństwa. Odzyskał wzrok i łatwo pojąć z jaką radością ujrzał niebo i naturę. Lecz szczęście to zbyt krótko trwało. Ciemna zasłona znowu rozpostarła się na jego oczach i ślepota wróciła najzupełniejsza, nie uleczona. Starzec nie bardzo się troszczył. Ba! mówił, wszakże i dawniéj obyłem się bez wzroku, to i teraz potrafię. Pewnego poranku wyszedł z infirmeryi i chciał jak dawniéj chodzić bez przewodnika po Bicetre i Paryżu; ale wystawcie sobie jego rozpacz! zaledwie pierwszy krok uczynił, potknął się o przedmiot będący przed sobą... Przez krótki czas ozdrowienia, utracił szacowny instynkt, który winien był długiemu doświadczeniu, nieszczęsny! musiał teraz wziąść kij i przewodnika; zbyt szczęśliwy, kiedy prowadził go raczy niewidomy, z którym ubiegał się niegdyś o bystrość słuchu i zręczność w kierowaniu kroków!

Obok artysty odludka, tuż przy ślepym krawcu, który szyje najdoskonaléj, daje się widziéć mężczyzna, zaledwie pięćdziesiątletni. Zdrów, silny i młody jeszcze, w porównaniu otaczających go starców, pytamy się jakim sposobem znalazł schronienie w tym przytułku? Uczyniwszy sobie to zapytanie, naturalną jest rzeczą, iż z większą uwagą przyglądamy się temu człowiekowi i dziwimy się jego najzupełniejszéj obojętności na wszystko co się w około niego dzieje. Na żaden łoskot, chociażby nawet najgwałtowniejszy, nie podniesie głowy; nic go nie troszczą przedmioty przesuwające się przed jego oczyma... łatwo temu wierzę:

Jest głuchy; niemy, ślepy.

Głucho-niemy z urodzenia; przypadek pozbawił go wzroku i ten człowiek, lub raczéj ów pół-trup, któremu pozostała jedynie władza myślenia, dotykanie i zbytkowne prawie zmysły w takowém miejscu, węchu i smaku, oddany został do Bicetre.

(*Dalszy ciąg nastąpi*)

XIĄDZ ADAM.

Legenda z roku 1246.

Był w Franciszkanów świętym zakonie,
Mąż z cnotliwego żywota znan;
Czciły go ludy i sam na tronie,
Słowiańskich dziedzin cenił go pan.
Choć pomiłował pokorę, skromność,
Cnoty swe tulił w klasztorny cień;
Ale Bóg zrządził, późna potomność
Żywota jego ogłasza dzień.

Miał imię Adam: serce go boli
Słysząc o błędach pogańskich wieść;
Błaga starszego, by z jego woli
Ciemnym, Chrystusa światło mógł nieść.
I szedł na północ w kraje dalekie,
Gdzie się Prusaków zasiedlił lud;
Przybył nad Wisłę i Wisłę rzekę,
Głęboką, przeszedł szczęśliwie w bród.

Drogą znużony, nie brał spoczynku.
Skoro wszedł w miasto, a wieczór był,
Napotkał mnogo luda na rynku,
W środku się ogień chrustowy tlił.
A w koło ognia, chłopców i dziewek,
Mnóstwo splątanych skakało par,
Przy głosie rogów i dzikich śpiewek,
Chróstem drażniło ognisty żar.

Skoro ucichły śpiewy i gwary,
Wielebny Adam podniósł swój głos,
I mówiąc słowa Chrystusa wiary,
Runął na święty Prusaków stos.
Zdziwiona zgraja, patrzy i pyta,
Z jakiego kraju dziwny ten człek?
Poznał kapłana stary wróżbita,
I wściekłym gniewem miotany rzekł:

»To kapłan! nową niesie nam wiarę,
»On bluźni Bogom, na ogień z nim,
»Bogom uczynim godną ofiarę,
»Gdy jego popiół rozniesie dym.
Ledwie te słowa skończył wróżbita,
Budzi się w ciżbie, okrzyk i gwar,
Przypada zgraja, kapłana chwyta,
I wrzuca w ognia okropny żar.

Lecz płomień wiatrem z góry ciśnięty,
Upadł i dołem wił się jak wąż;
I stał śród ognia, ogniem nie tknięty,
Na stosie Adam, pobożny mąż.
Zaszumiał wicher, w płomienie dmuchnął,
I tam, gdzie stary wróżbita stał,
Lawą gorącą i iskrą buchnął,
Spojrzeć — wróżbita ogniem już tlał.

A kapłan cały stoi w płomieniach,
Z głowy mu jeden nie spłonął włos,
I chwali Boga w pobożnych pieniach,
I do zdziwionych podnosi głos.
A słowa jego ciekawie słucha,
Dziwem i trwogą przejęty lud,
I słowo wchodzi do ludu ucha,
Bo serce ludu otworzył cud.

I jeszcze w nocy nad brzegiem Wisły,
Do chrztu gotowy stał ludu ścisk,
A skoro ranne zorza zabłysły,
Nad miastem krzyża ujrzałeś błysk. (*).

JASKÓŁKI.

Jaskółki ważne w historyi naturalnéj zajmują miejsce. Ptaki te są małe, ale ich liczba jest nieskończona, albowiem na całéj prawie ziemi, aż do kół biegunowych gnieżdżą się. Wygubianiem zaś szkodliwych owadów, wielką ludziom czynią przysługę, i dla tego rolnik niejako za nietykalne je uważa i cieszy się gdy pod strzechą jego chaty lub w oborze gniazda swe budują. Wszystkie jaskółki są właściwie napowietrzne ptaki: nie chodzą ani skaczą, lecz tylko latają, stoją lub pną się. Ponieważ mają lot szybki, do którego szczególniej utworzone bydź się zdają, mogą przeto w krótkim bardzo czasie dalekie odbywać drogi. Z tém wszystkiém, na mróz nie są wytrzymałe i dla tego z zimnych krajów, skoro przymrozki nadchodzą, odlatują; tylko przy równiku stałe mają siedziby.

Mniemano dawniéj, a wieśniacy i strzelcy dotychczas sądzą, że jaskółki u nas zimują, nurzając się sznurem w bagniskach, gdzie w letargu czas ten przepędzają. Tymczasem, najpierwsi naturaliści dowiedli, iż żaden ptak z natury swojéj nie może w letargu żyć długo i dla braku powietrza zaraz zdycha. Takie pozornie obumarłe jaskółki, przywrócone do życia, były zapewne młode, wędrujące zbyt późno do cieplejszych krajów, nagle od mrozu zaskoczone. Kiedy na wiosnę po ich powrocie niespodziewane zimna nastąpią, wiele jaskółek ginie; lub też w jesieni, gdy je nagle w podróży mróz ściśnie, spadają nieraz na ziemię, jakby nie żywe.

Jaskółki wszystkich stref zimniejszych,

(*) Wyjęta z Żywotów świętych naszych.

węgrując na jesień, niezmierne odbywają podróże, aż do krain równika, gdzie podostatkiem owadów znajdują. Wielkiemi gromadami przeprawiają się przez ocean; a nasze europejskie jaskółki, co rok regularnie z Afryki do nas przybywają, w jesieni zaś znowu tamże odlatują.

Mając wędrować, na kilka dni wprzódy gromadzą się po drzewach (gdzie przedtém nie siadały), lub po dachach i świegocą, poczém w kilka dni nagle znikają. W podróży swojéj nie nocują ani na drzewach, ani po domach, lecz w trzcinie rzek, jezior lub bagnisk. Często także obsiadają maszty i żagle okrętowe, kiedy są znużone. Nie lecą ciągle, lecz bawią tu i owdzie po kilka dni. Co rok prawie o tymże samym czasie odlatują: z powrotem, czasem już w Marcu pojedyncze się pokazują; lecz najczęściéj dopiero około połowy Kwietnia; ztąd polskie przysłowie: jedna jaskółka nie przyniesie wiosny. Do nas najprzód przybywa jaskółka kominowa. (Dymówka), a potém dopiero razem przybywają, jaskółka domowa i brzegowa czyli grzebielucha, w drugim tygodniu Kwietnia.

Jaskółki co rok wracają w toż samo miejsce, z którego przeszłéj jesieni wywędrowały i też same pary starych jaskółek zajmują dawne gniazda. Jakiego w téj dalekiéj podróży mają przewodnika, nie wiadomo, to tylko pewna, że ich wzrok bystry, bardzo im w tym względzie jest pomocnym.

Europejskie gatunki wylęgają co rok, dwa i trzy razy po 4 lub 5 jaj. Gniazda ich są albo zewnątrz domu murowane, albo w ziemi umieszczone. Po większéj części razem zakładają swe gniazda i lubią żyć gromadnie. W powietrzu jedzą i piją lecąc, nawet młode swoje karmią w locie. Ścigają owady, muchy, ślimaki, przeznaczone sobie z natury za pokarm. Jakkolwiek tym sposobem wielką nam czynią przysługę, jednakże człowiek w niektórych krajach wytępia je i niszczy: zwłaszcza w jesieni, gdy w trzcinie nocują, łapią je w niektórych miejscach w sieci tysiącami na pokarm. Tego losu doznają szczególniéj we Włoszech, gdzie prawie wszystkie ptaki ścigane są jak najokropniéj, podobnież w Alzacyi i innych okolicach Francyi.

Spostrzeżenia niektóre dowodzą, jakoby jaskółki w niebezpieczeństwie wzajemnie wspierać się zwykły. I tak uważano raz jaskółkę domową w Paryżu, która się uczepiła za nitkę wiszącą u rynny. Na jéj pisk, zgromadziły się wszystkie prawie jaskółki, mieszkające w tym cyrkule i uwolniły ją szczypiąc jedna po drugiéj nitkę, aż się urwała. Jeszcze dziwniejszą jest rzeczą, co *Linneusz* opowiada: że jaskółki czasem zamurują wróbla w gnieździe, które sobie nie prawnie przywłaszczył.

Niektóre jaskółki, gnieżdżące się na wyspach archipelagu indyjskiego, budują sobie gniazda *jadalne*, których szczątki podobne są nieco do karuku, czyli kleju z wyzowych błonek: są twarde, kruche i przezroczyste, z resztą kształtem do małéj kropielniczki podobne. Niektórzy uczeni sądzą, że się składają z pewnego rodzaju piany morskiéj lub ikier ryb, inni myślą, że pochodzą ze śliny samego ptaka. Co łakotnisie w tych gniazdach osobliwego znajdują, pojąć trudno; smak bowiem mają brzydki, trochę słony, wcale nieprzyjemny: gniazda te są w wielkiém mnóstwie na skałach, zwłaszczcza nad brzegami morskiemi wysp Jawa, Sumatra, Cochinchina, Nowéj Gwinei i Filipinów. Jaskółki te nie są większe od kolibrów. Są także jaskółki, gnieżdżące się w ziemi, mianowicie nasza *Grzebielucha*: ta jaskółka kopie sobie niepojętym prawie sposobem lochy horyzontalne, czasem na dwie stopy głęboko w ziemi, nad spadzistemi brzegami i tam jaja składa. Ziemia niekiedy jest tak twarda, iż aby się do gniazda dostać, częstokroć dłóta lub innych narzędzi używać trzeba. Wszystkie inne europejskie jaskółki murują, przyczepiając swe gniazda z błota do muru lub belek, tak mocno że ich wiatr nie ruszy.

Obrahowano, iż jaskółka w jednéj minucie uleci milę angielską i tylko jeden ptak na świecie jeszcze ma lot bystrzejszy, to jest wędrujący gołąb amerykański, który nie raz na 150 mil od gniazda, szuka sobie żywności i w przeciągu 6ciu godzin, 300 do 400 mil angielskich, czyli przeszło 50 mil polskich uleci. Nasza zwyczajna jaskółka domowa, pod brzuchem biała, z wierzchu zaś zupełnie czarna, mieniące ma pióra: skrzydła ma szare z zielonkowatym obwodem, długa jest na cali 5 i pół. Jaskółka ta w całéj Europie jest znana i przybywa do nas w Kwietniu. Gnieżdżą się po miastach i wsiach, w bliskości okolic w wodę obfitujących; lecz niekiedy także daleko od mieszkań ludzkich, w miejscach skalistych. Samiec ma głos szczebiotliwy, który siedząc na dachu, a czasem i w locie wydaje. Buduje sobie gniazdo z błota lub szlamu zewnątrz domów, tak, aby z dwóch stron do ściany lub muru przystawało, tylko u góry zostawia wolny otwór. Gniazdo to jest tak mocne, iż trudno je oderwać. Jajka w liczbie 4—6. są sine i mają bardzo delikatną skorupkę: wylęgają młode we dwóch tygodniach: te ustawicznie piszczą i dostają pokarm od sta-

rych, składający się z owadów. Jaskółka domowa ma zaciętych nieprzyjaciół w małych drapieżnych ptakach, w kobusach i t. d. lecz zwykle szybkim lotem uchodzi napaści.

Drugi gatunek jest tak nazwany *Kominowa jaskółka*: ma czubek i podgarle brudno czerwone, świecące się jak stal, brzuch brudno białawy; jej długość dochodzi 7 cali. Ta jaskółka na wiosnę najprzód powraca, czasem już na końcu Marca. Znajduje się od najdalszéj północy, aż do przylądka Dobréj nadziei, jest najłaskawsza i najśmielsza ze wszystkich i lubi zakładać swe gniazdo wewnątrz domu, w kominach, zwłaszcza gdzie się ogień nie pali, w sieniach, w stajniach i t. d. Lata nadzwyczaj szybko, w czasie pogody zawsze prawie wysoko w powietrzu się unosi; lecz gdy słota nadchodzi, zniża się do ziemi, latając po nad wodą. W Wrześniu odlatuje do Afryki, Nubii i Egiptu. Jéj gniazdo tworzy połowę pół kuli i składa się z błota ze słomą zmięszanego, jaja są białe, szaremi i fioletowemi punkcikami upstrzone.

Większa od wspomnianych dopiero jaskółka wieżowa, jest bardzo czarna, wyjąwszy białawe gardło: ma bardzo ostre pazury i z trudnością oderwać ją można od tego miejsca gdzie się przyczepi, a jeżeli to rękami wykonać chcemy, pewno bez ran się nie obejdzie. Z wielkiém świegotaniem latają one gromadami około wież, które sobie za mieszkanie obrały. Zawsze wysoko w powietrzu się unoszą, nie spuszczając się nigdy na ziemię, a gdy przypadkiem spadną, trudno im wzlecieć, ponieważ długie ich skrzydła potrzebują zapędu. Późniéj do nas przybywają i prędzéj odlatują.

Grzebielucha, jest popielatego koloru, ma około szyi biały pierścionek; przykre brzegi rzek, nieprzystępne człowiekowi, są jéj mieszkaniem. Tu kopie sobie głębokie nory, potém znosi słomki i na nich składa jajka. I ta na zimę odlatuje.

BICETRE.

(Dokończenie.)

Bóg umieścił w sercu człowieka tajemniczą potrzebę towarzystwa innych ludzi; a ten, którego tak srodze doświadczyły wyroki Opatrzności, nie może się odważyć roślinnić jak źdźbło trawy, bez żadnych stosunków z bliźniemi. Niewidomy-głucho-niemy wynalazł więc prosty i dowcipny sposób rozmawiania i pewnego poranku, dostawszy przypadkiem kawałek kredy, skreślił następne wyrazy na podłodze sali sypialnéj.

Piszcie palcem na mojéj dłoni to, co mi chcecie powiedzieć.

A potém czekał, łatwo pojąć z jak rozdzierającą niespokojnością, aż kto będzie przechodził. O ileż w jednéj godzinie oczekiwania wycierpiał ów nieszczęśliwy! pytając sam siebie: Kredęż to ja mam w ręku? Skreśliłaż moja ręka wiernie litery? Nie zawiodłaż mię pamięć, kiedym od tak dawna nie probował pisać? Ujrzyż kto w tych literach co innego, nie kreski tylko przypadkowo skreślone? postrzegąż je? nie sąż już zmazane?... A nie może widzieć, nie może słyszeć czy kto nadchodzi. Musi czekać; nieruchomy, milczący, z bijącém sercem, z konwulsyjném drżeniem.

Nakoniec, po godzinie, po całéj godzinie! coś dotyka się jego ręki. O radości! o szczęście! o uniesienie!

Niestety! dziecię płocho około niego przebiega i ani zważa na litery skreślone na posadzce.

Przez ośm dni z wytrwałością na nowo rozpoczynał. Lecz sama ta wytrwałość czyniła niepodobném to, czego tak gorąco pragnął; gdyż pisząc ciągle na jedném miejscu, zrobił nakoniec nie czytelną mięszaninę.

Nakoniec, jeden z dozorców nadybał go rozpoczynającego po raz setny może nadaremną swoją pracę. Wziął go za rękę i zaprowadził w inną stronę sypialni. Niewidomy omdlewał prawie z radości i padł bez zmysłów, uczuwszy że palec dozorcy pisze na jego dłoni:

— *Rozumiem cię.*

Wówczas rozpoczęła się pomiędzy obydwoma ciągła rozmowa: pierwsza styczność nieszczęśliwego z ludźmi, od tak dawnego czasu! Nie mógł się nasycić nią i zaprzestać; gdy dozorca chciał się oddalić, ścigał go omackiem, otaczał błagającemi rękoma, płakał, pisał na swéj tabliczce:

— *Nie zostawiaj mnie samego.*

Zaledwie w kilka dni uspokoił się niewidomy głucho-niemy, ze wzruszenia, które o mało nie stało się zgubném dla niego. Ukoiła się nakoniec nieograniczona radość jego i odtąd mógł utrzymywać ciągłe stosunki z temi, których potrzebował.

Gdym się zbliżył do niego, siedział przy łóżku, gdyż się nawet nie może kierować po słuchu, jak inni niewidomi. Głowę schyloną miał na piersi, z głębokim wyrazem tęsknoty, a obok niego leżała tablica i szyfer, nie odstępne jego sprzęty.

Gdym dotknął się jego ręki, zadrżał, a smutny i łagodny uśmiech usta jego ożywił. Skreśliłem na jego dłoni następujące słowa:

—»*Czy chcesz pomówić ze mną?*

Wziął tabliczkę i napisał odpowiedź pismem szybkiém, dużém i kształtném:

—»*Jak najchętniéj.*

—»*Czy bardzo jesteś nieszczęśliwy?*

Wzniósł oczy w niebo i załamał ręce z bolesném wzruszeniem.

—»*Czy bardzo się nudzisz?*

Wziął z razu tabliczkę chcąc mi odpowiedzieć; lecz ją położył na łóżku i z pełném wyrazu poruszeniem ukrył głowę w obu rękach. Wziął potém tabliczkę i napisał na niéj:

—»Nie ma dla mnie ani dnia, ani nocy.

—»Pocieszaż cię modliwa?

—»Bóg moja jedyna pociecha, w nim cała moja nadzieja.

—»Czyliż węch i smak wynagradzają ci choć w części utratę innych zmysłów?

Giestem pełnym dowcipu i złośliwości, wskazał na drewnianą miseczkę, na któréj była jakaś biedna zupa.

Scisnąłem go za rękę i już chciałem się oddalić, gdy mnie przywołał znakami:

—»Powiedz mi pan swoje nazwisko, bardzo cię o to proszę; napisał na tabliczce.

—»Dla czego?

—»Żebym je pamiętał.

—»Jakoweż zajęcie może mieć dla ciebie to nazwisko?

—»W mojém życiu najmniejszy wypadek niejestże dla mnie zajęciem?

Wymieniłem moje nazwisko i odeszłem. Wychodząc już z dormitarza, raz się jeszcze odwróciłem i ujrzałem biedaka, który sądząc że jeszcze jestem przy nim, nadstawiał na wszystkie strony swoją tabliczkę, któréj nikt nie brał od niego; poskoczyłem wziąść ją; napisał:

—»Będę o panu zawsze pamiętał, boś mi okazał przychylność.»

Gdym wyszedł na dziedziniec, dwóch ludzi w odzieży *dobrych ubogich*, zbliżyło się do jednego z towarzyszących mi artystów, który właśnie kończył portret głucho niemego-niewidomego.

Dwai ci ludzie są Nizusem i Euryalem Bicetru.

Jeden jest idiot (głupowaty z urodzenia), a drugi jest ślepy.

Oba znalezieni byli w domu podrzutków, jednego dnia i o jednéj godzinie; oba wychowani byli w jednéjże wiosce; oba tego samego dnia przyjęci byli do Bicetre. Odkąd umieją chodzić, idiot służy za przewodnika ślepemu, a ślepy myśli za idiotą; oba razem posiadają zdolności jednego tylko człowieka: jeden wzrok, jednę myśl, jednę wolę. Połączeni jak Eng i Chang owe cudowne bliźnięta, nie węzłem fizycznym, lecz innym mocniejszym daleko potrzebą, nie opuszczają się nigdy, chodzą razem, śpią razem, cierpią razem i razem kosztują szczęścia, jakiego tylko doznać są w stanie: ciepłego słońca, lepszéj strawy i kilku szczypt tabaki.

Fizyonomii ślepego nie zbywa na pewnym wyrazie dowcipu. Co do głupowatego, nigdy brzydota nie przedstawiła się tak odstręczająca i spodlona. Jedno oko ciągle ma zamknięte, a jeśli je otwiera, potworném i fantastyczném igrzyskiem muszkułów, cała twarz jego się ściąga i i drugie oko się zamyka.

Otóż dwie istoty pełne siły i życia, które zapewne długie jeszcze żyć będą lata, a których całe życie będzie tém, czém było od początku: pić, jeść, spać i chodzić. Lecz nie ich tylko samych takie czeka przeznaczenie: jest tam tysiąc jeszcze stworzeń, nie mających innéj przyszłości, jak grób, innego wypadku jak cierpienie!.... A w około nich ani słowa pociechy lub nadziei! płatny dozór, ani jednéj siostry Wincentego a Paulo, coby im udzielała tkliwych i delikatnych starań, których owe święte niewiasty jedynie posiadają tajemnicę! ani jednego z owych aniołów na około nich, coby im mówił o przyszłém życiu, o życiu w którém za doznane tu cierpienia sowita czeka nagroda.

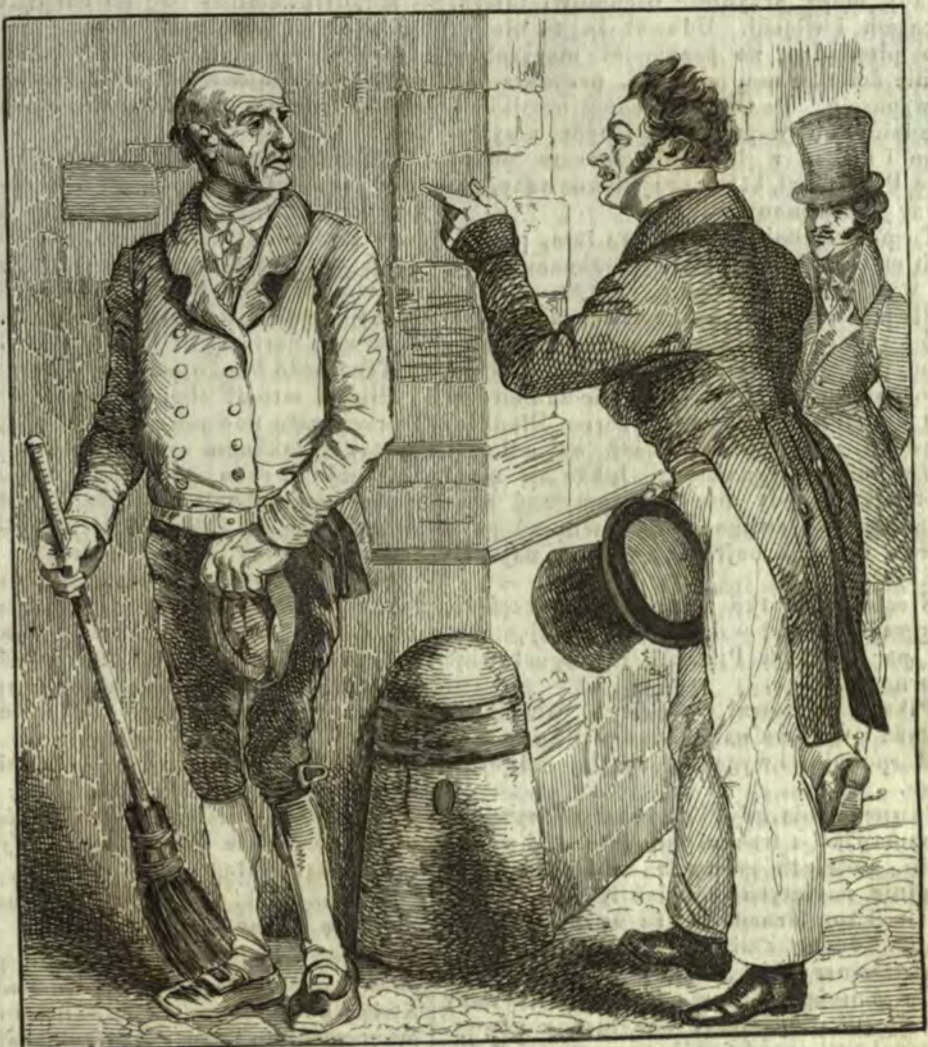
Znaczna część gmachów Bicetre przeznaczona jest dla obłąkanych. Nie będę kreślił przykrych obrazów szaleństwa, głupoty i stanu zupełnéj zwierzęcości, w którym widziałem mnóstwo nieszczęśliwych. Wspomnę tylko o zajmującéj i smutnéj ofierze pustoty i niewdzięczności.

Gdym przechodził salę obłąkanych, uderzyła mię postać starca, który w posępném pogrążonem milczeniu, stał zamknięty w zakratowanéj celi. Przewodnik mój opowiedział mi jego historyą:

W pięknym domu na Chaussée d'Antin w Paryżu, przed czternastą lub piętnastą laty, był odźwiernym starzec, którego postawa i fizyonomia oznaczała, że od młodości służył u znakomitych panów. Cienki, z długiemi rękoma, dumnie dźwigał swoją łysą głowę i nigdy nie mógł przewieśdź na sobie, ażeby obcisłe i krótkie spodnie, zamienić na wygodniejsze i cieplejsze pantalony. Ilekroć zamiatał sień domu, wzdychał ciężko i oparłszy się na miotle, opowiadał odźwiernym z sąsiedztwa, jak szczęśliwie życie wiódł przed laty, a teraz jak bardzo podupadł. Przez lat dwadzieścia pięć był kamerdynerem wielkiego pana, a na starość został odźwiernym w domu artysty. O Boże! jakże jest dziwacznem życie człowieka.

Z resztą, w całym okręgu Chaussée d'Antin, szanowano starego Pikarda; on był wyrocznią wszystkich służących, pojedna-

ODZWIERNY PARYZKI.



wcą kłótni i doradcą w trudnych wypadkach. —»Zapytajcie się ojca Pikarda,» mówiono, chcąc poprzeć opowiadanie.

Stary Pikard, mimo ciągłych ubolewań, żył szczęśliwie w wygodnéj izbedce. W zimie dobry miał ogień, a po godzinie szóstéj wieczorem, ledwie dwa lub trzy razy razy musiał otwierać bramę; w lecie miał czyste powietrze i cztery doniczki z kwiatami; wszyscy go słuchali, poważali; właściciel domu szacował go i nigdy nie omieszkał powitać go temi słowy: *Dzień dobry mój poczciwy Pikardzie.* Czegoż mu więc nie dostawało? Niczego zapewne, a jeżli żałował dawnych czasów, to dla tego, że w sercu człowieka musi zawsze mieścić się żal, albo życzenie, i że przeszłość dochowała mu pamiątkę świętego i szlachetnego czynu; o którym przecież nigdy nie wspominał.

W 1793 pan Pikarda, margrabia de Valicourt, został wtrącony do więzienia i wyzuty ze wszystkiego. Zona jego i syn schronili się za granicę. Pikard, wierny Pikard, poszedł do Paryża za panem swoim, i ażeby osłodzić los jego, ażeby dziedzic tak wielkiego domu, nie musiał sypiać na słomie i żywić się czarnym chlebem wię-

źniów, wierny sługa wykonywał najcięższe najprzykrzejsze prace. Nic go odstręczyć nie mogło. Sypiał na poddaszu, wstawał o świcie i odmawiał sobie najpierwszych potrzeb, nawet opału. Ale w dzień dekady, mógł przynieść więźniowi talara, a czasem i więcéj. Udawał że to nie są jego pieniądze, że przyjaciel margrabiego nie śmiejąc sam przyjśdź, przysyła mu to wsparcie. Pan de Valicourt nie dał się uwodzić tém wspaniałomyślném zmyśleniem i nieraz z łzawemi oczyma podał rękę Pikardowi, który przyklęknąwszy, całował ją z uszanowaniem.

To poświęcenie trwało dwa lata, po których margrabia de Valicourt skazany był na wywiezienie z kraju.

Pikardowi przez myśl nie przeszło, opuścić swego pana. Szedł pieszo od miasta do miasta, za wózkiem na którym jechał schorzały margrabia. Nareście żandarmowie zrozumieli szlachetne serce Pikarda, pozwolili mu nawet wsiąśdź na odkryty wózek, obok wygnańców. Jakże się ucieszył Pikard, gdy mógł utrzymywać opadającą głowę swego pana, zachęcać go i mieć o nim jak najtroskliwsze i najczulsze starania.

Niestety, krótko trwało to szczęście, margrabia umarł w drodze, opierając głowę na piersiach Pikarda i błogosławiąc wiernego sługę.

Pikard pochował ciało jego, wrócił do Paryża i w domu na Chaussée d'Antin znalazł spokojną i wygodną służbę odźwiernego.

Pewnego dnia, gdy Pikard stał we drzwiach i rozmawiał z trzema lub czterema sąsiadami, nadeszła gromadka młodzików, porządnie naciętych, chociaż ich wytworny ubiór i ton oznaczał, że są z wyższego stanu. Jeden z nich, najmłodszy, zatrzymał towarzyszów, rzekł do nich kilka słów śmiejąc się w głos, a zbliżywszy się do Pikarda, zdjął kapelusz z głowy, z oznakami szyderczéj grzeczności. Pikard mimo tego zdjął także swój kaszkiecik.

—»Mości panie, rzekł młodzik, musisz mi uczynić wielką przysługę.

—»Cóż takiego panie?

—»Przysługę niezmierną zacny i szanowny panie!

—»O cóż idzie?

—»Nie odmówisz mi, wszak prawda?

—»Jeżeli tylko będę mógł uczynić, dobrze.

—»Otóż.... Nie odmawiaj mi, odmówienie to przywiodłoby mię do rozpaczy.... potrzeba mi trochę twoich włosów.

—»Zuchwalcze! zawołał Pikard.

—»Potrzeba mi chociażbym po luidorze za jeden zapłacił. Potrzeba mi ich szanowny starcze.

—»Proszę pana przestać tych żartów.

Młodziki śmiały się do rozpuku: sąsiedzi Pikarda śmieli się także.

—»Potrzeba mi twoich włosów zacny odźwierny, mówił młodzik, zachęcony temi śmiechami; potrzeba, nie odmawiaj mi ich.

Pikard chciał wejśdź do swojéj izbedki; lecz jego prześladowca schwytał go za rękę. Pikard zaczął się gniewać; lecz ani jego złość, ani usiłowania, nie mogły oddalić przeklętego opilca. Ludzie zebrali się w koło nich. Wyobraźcie sobie boleść Pikarda, gdy został celem publicznego szyderstwa i żartów.

Trwało to blisko przez godzinę.

Pikard wrócił chory do swojéj izbedki i przez całą noc nie zamknął oka, dręczony tak opłakaném zgorszeniem.

Nazajutrz rano, gdy stanął na progu, sąsiedzi uśmiechnęli się jeden do drugiego, spoglądając na Pikarda. Uderzenie sztyletem nie byłoby mu tak bolesne.

Smutny i srodze dotknięty, wrócił do izbedki i nie wyszedł z niéj przez cały dzień. Wieczorem, stanął znowu we drzwiach domu dla użycia świeżego powietrza. Milczący i posępny spoglądał z pogardą na sąsiadów, gdy w tém jakiś służący przystąpił do niego.

—»Czy chcesz zarobić pięćdziesiąt franków mój stary?... Nie dokończył, gdyż Pikard zgadując resztę, z wściekłością rzucił się na niego, ale silny sługa schwycił starca i zaczął wołać.

—»Nożyczek! nożyczek! chcę uciąć trochę jego włosów.

Po téj powtórnéj zniewadze, gorączka porwała Pikarda i wpadł w szaleństwo. Związano go, przymocowano do łóżka i przetrząśnięto jego rzeczy, szukając czyli nie ma pieniędzy, za które możnaby go umieścić w instytucie obłąkanych.

Nie znaleziono pieniędzy, lecz papier obejmujący te słowa.

»Polecam mojéj familii Amanda Franciszka Pikarda, mego dawnego kamerdynera, który żywił mię z pracy rąk swoich, gdy mię więziono w Conciergerie, i który towarzyszył mi, gdy mię skazano na wywiezienie z kraju. W ostatniéj chwili życia mego, nie mogąc wynagrodzić usług tak wspaniałomyślnego przyjaciela, zostawiam mu to pismo, prosząc i rozkazując mojéj familii, aby godnie wynagro-

»dziła Pikarda, który nie był moim słu-
»gą, lecz przyjacielem i bratem.»

Margrabia de Valicourt.

—»Margrabia de Valicourt!» zawołał ktoś z obecnych. Jego syn jest w gwardyi królewskiéj, a jego ojciec mieszka od niejakiego czasu na przedmieściu Saint-Germain.

—»Trzeba mu zanieść to pismo i żądać pomocy dla Pikarda.

—»Ja to uczynię, rzekł lekarz.

Przyjął go młodzieniec dwudziestoletni i przeczytał pismo.

—»Gdzież jest ten zacny człowiek! zawołał.

—»Jest obłąkanym i to z następującéj przyczyny:

Lekarz opowiedział przygodę Pikarda. Młodzieniec zbladł i rzekł po cichu.

» To był żart, z którego smutne skutki wynikły.

I po krótkiém milczeniu przydał.

—»Proszę pana nie wspominaj o tém przed moim ojcem.

»Ja będę płacił pensyą Pikarda w instytucie obłąkanych; oto jest pierwszy kwartał.

Doktor odszedł.

—»Po cóż mi przyszedł do głowy ten żart niewczesny! Sto franków na miesiąc, drogo mię kosztuje.»

Pensyą płacono tylko przez dwa kwartały. Po ich upływie, *młodzik pamiętny na polecenie dziadka*, postarał się aby biednego Pikarda przeniesiono do Bicetre.

WILHELM ZDOBYWCA.

Wilhelm, zdobywca Anglii, prawodawca téj wyspy, założyciel dynastyi przez długie lata panującéj, twórca instytucyi, które po części aż do naszych czasów przetrwały w tym kraju, był naturalnym synem Roberta xięcia Normandyi i urodził się w r. 1016. Miłość xięcia dla jego matki, skłoniła go, iż mając dwóch dorosłych synów z prawego łoża, Wilhelmowi liczącemu dopiero lat dziewięć, przekazał testamentem państwo swoje i oddał go pod opiekę króla Francyi, od którego Normandya zależała prawem lenném. Rozporządzenie to było powodem zaburzeń; lecz młody Wilhelm doszedłszy do lat, zwalczył swoich przeciwników i stał się postrachem wszystkich ościennych xiążąt. W owym czasie umarł bezpotomnie Edward król Anglii bliski krewny Wilhelma i przez niego na tronie utrzymany przeciw napaści Duńczyków. Przez wdzięczność zapisał był Wilhelmowi koronę, lecz po jego śmierci Anglicy obwołali królem Haralda, jednego z możnowładzców, który już poprzednio przysięgą zobowiązał się Wilhelmowi że nie przyjmie berła. Wilhelm zaczął gotować się na zdobycie przyrzeczonego tronu.

Na pierwsze wejrzenie, zamysł podbicia Anglii, nie zdawał się zgadzać z rozumem, tak był nad siły xięcia Normandyi. Lecz szczęśliwe okoliczności ułatwiły wszystko. Naprzód, słynęło daleko w owym wieku męztwo Normanów. Kilku ich, za powodem tylko oręża i odwagi swojéj, puściwszy się właśnie w tym czasie do Włoch, wiele tam krajów zdobyli, z których pod niemi powstało Neapolitańskie i Sycylii królestwo. Wiele do téj sławy przyczyniał się sam Wilhelm; młodym on jeszcze będąc, całéj sprzysiężonéj Francyi i swoich zbuntowanych lenników zamachy na sobie wstrzymał; ta więc jego i Normanów sława łatwo mogła znakomitych rycerzów ze wszech stron zwabić do Normandyi, zwłaszcza w owym wieku, w którym każdy pan, mało co swemu zwierzchnikowi podległy, szukał usilnie pory wsławienia się orężem, nie wiele się pytając, za jaką sprawę bić się będzie.

Skoro więc tylko rozgłosił Wilhelm swój zamysł względem Anglii, biegło co żywo wiele wojowników ofiarować mu broń swoję. Henryk IV cesarz oświadczył się za nim. Papież Alexander II. którego sobie Wilhelm ujął, przysłał mu poświęconą chorągiew, rzuciwszy wprzód klątew na Haralda, jako na krzywoprzysięzcę. A co najprzedniejsza, Francya nawet sama zostająca pod niedorosłym jeszcze Filipem I. sprzyjała poniekąd téj wyprawie, oczywiście dobru swojemu przeciwnéj; stany tylko xięztwa Normandyi, nie pokazały dosyć ochoty na poparcie jéj pieniężnemi posiłkami, których się Wilhelm domagał. Ale on udawszy się wprzód do każdego z możniejszych z osobna, otrzymał od nich, a potym i od stanów samych znaczne pieniądze. Po czém flottę od trzech tysięcy statków wystawiwszy i 60,000 zebrawszy wojska, zagroził Anglii bliskiém opanowaniem.

Na fałszywą pogłoskę, nie wiedzieć jak rozsianą, jakoby Wilhelm przeciwnemi wiatry zatrzymany, poniechał przedsięwzięcia, Harald zwiedziony dał rozkaz flocie swojéj, przystępu Normanom bronić mającéj, aby weszła do portów. Fatalny błąd królowi i królestwu! Normanowie wprędce się u brzegów Sussexyi pokazali i tam bez przeszkody wszelkiéj na ląd wysiedli. Wilhelm gdy z okrętu swego wysiadając, upadł: zawołał: *Biorę w odzierżenie kraj angielski.* Za dobrą to wzięto wróżbę, gdy w umysłach

WILHELM ZDOBYWCA.



zabobonnych bardzo mało potrzeba do wzniecenia już ufności, już postrachu.

Harald nie słuchając rad doświadczonych wodzów i idąc tylko za popędliwością swoją, stoczył bitwę pod Hastings 14 Października 1066. Wilhelm odniósł tam zupełne zwycięztwo. Harald poległ z dwoma braćmi, a Wilhelm ogarnął całą Anglią i w opactwie Westminsterskiem koronowany został.

W pierwszych panowania początkach, idąc za powodem mądrej polityki, obrócił wszystkie starania do ujęcia sobie podbitego narodu i do zatamowania nierządów, które zwyczajnie skutkiem są podobnych w kraju rewolucyi. Sprawiedliwości, jak w swojém xięztwie Normandyi, tak niemniej surowo i w Anglii przestrzegał, z razu osobliwie, gdy szło o utrzymanie karności w wojsku; ale surowość tę umiał szczodrobliwością i przystępnością mądrze miarkować. Dla duchowieństwa tak u siebie zasłużonego, wzajemnie wiele czynił. Przywileje miasta Londynu i innych miast potwierdził. Edgarowi i innym znaczniejszym Anglikom, łaskawym się i przychylnym okazał. Zgoła, wszystkie początkowe jego czynności, sprawiedliwy rząd i panowanie spokojne zdawały się Anglii obiecywać.

Dalsze jego kroki zmierzały do ugruntowania nabytej władzy. Dobra szlachty saxońskiej, nie chcącej się poddać jego rządowi, porozdawał Normanom i kraj cały podzielił na siedemset wielkich Baronatów„ a na sześćdziesiąt tysiący mniejszych lenności. Urządzenie to jest po dziś dzień jeszcze podstawą możnowładztwa angielskiego i kluczem formy rządu tego kraju. Język Anglo-Saxonów przyjął za czasów Wilhelma mnóstwo wyrazów francuzkich.

Życie tego monarchy było pasmem prac i trudów wojennych. Już to musiał staczać walkę z Filipem królem Francyi, już to z niesfornemi lennikami w Normandyi; to znowu przytłumiał wznawiający się opór Anglo-Saxonów, a nareście bunt jego własnego syna Roberta, srogą ranę zadał sercu ojcowskiemu. — Wszystkie te trudności pokonać zdołał, a Robert syn jego, poznawszy błąd swój, padł mu do nóg i za wstawieniem się królowéj, przebaczenie otrzymał. Wilhelm umarł podczas wojny z Francyą, mając lat 71.



SZYLLER.

Wiadomość o życiu i pismach ludzi posiadających sławę ustaloną już długim lat przeciągiem, powszechne wzbudza zajęcie. Kreśląc ją, nie należy poprzestawać na krótszéj ogólnéj wzmiance. Z tego powodu, chociaż w różnych pismach naszych, była już biografia Szyllera, poświęcimy dla niéj równie obszerny artykuł, jak ten którén w poprzedzających zeszytach, przeznaczyliśmy dla Goethego.

Jan Fryderyk Krysztof Szyller, urodził się 10 Listopada 1759. w Marbach miasteczku Szwabii Królestwie Wirtemberskim. Ojciec jego był chirurgiem wojskowym z pułku Xięcia Bawarskiego Ludwika, a potém otrzymał miejsce nadzorcy ogrodu i pałacu xięcia Wirtemberskiego, zwanego *samotność*, o milę od Sztutgardu. Był to człowiek uczciwy, czynny, posiadał szacunek monarchy i wszystkich którzy go znali; doczekał się téj pociechy, iż dożył epoki kiedy chwała jego syna zupełnym blaskiem zajaśniała. Młody Szyller był ostatnim jego dziecięciem; niezmiernie był podobny do matki, wzrost miał wysmukły, włosy rudawe, twarz okrytą piegami, lecz szlachetną i pełną wyrazu.

Początki nauk otrzymał od pastora Mozer, w wiosce Lorch, potém uczył się języka łacińskiego w Luisburgu, od professora Jahna, człowieka surowego i posępnego, lecz który przywiązał się do Szyllera, uczył go troskliwie, i nawet wziął go na pensyą do siebie. Młody Szyller nie odznaczał się bystrością pomiędzy uczniami, jednakże pracował z upodobaniem i korzyścią, nad nauką języka łacińskiego. Z resztą, było to

dziecię bojaźliwe, niezręczne, słabe do wszelkich ćwiczeń ciała, posępne i lubiące samotność.

Xiąże Wirtembergski, założył wówczas szkołę wojskową i starał się nadadź jéj wielką świetność. Wezwał do niéj znamienitych professorów i kazał wyszukiwać uczniów celujących w nauce. Professor Jahn, wskazał mu Szyllera, którego ojciec był jednym z dworzan i protegowanych xięcia. Młody Szyller czuł w sobie powołanie do stanu duchownego, lecz nie wypadało odrzucać dobrodziejstw monarchy: zaczął się więc sposobić do nauki prawa, lecz gdy wielu bardzo z młodzieży rzuciło się do tego zawodu, Szyller z woli xięcia musiał poświęcić się sztuce lekarskiéj, do któréj czuł wstręt jak największy. Ten przymus wywarł jak najszkodliwszy wpływ na uspobienie umysłu Szyllera: społeczność ludzką, z któréj znał dopiero samą karność szkolną; wyobraził sobie, jako opartą na niesłusznych prawach, i przeciwną godności, szczęściu, i udoskonaleniu rodu ludzkiego. Wyobrażenia te, okazują się w wielu jego początkowych pracach, dopóki czas i doświadczenie nie wywiodły go z błędu.

W szkole wojskowéj korzystał z obszernych i rozmaitych nauk, tam wykładanych; wówczas poddał się urokowi, które na nim wywierała poezya. Klopstock mocno go zajął; wzniosłość i pobożność tego poety, zgadzała się z usposobieniem jego duszy. W tém pierwszém zajęciu, chciał napisać poema Mojżesz, lecz w krótce poznał istotne powołanie swoje, przeczytawszy kilka nowych drammatycznych utworów, jako to: Goetza z Berlichingen, Ugolina, teatr Lessynga i Szekspira.

Z tém wszystkiém, chętnie czy niechętnie, Szyller kształcił się w sztuce lekarskiéj, i w roku 1780 został chirurgiem pułkowym, ale w krótce zdarzyła się okoliczność, która rozstrzygnęła jego zawód.

W 1781 wydał swoją pierwszą i sławną drammę *Rozbojnicy*. Sztuka ta, nosi widoczne znamie, nieprzyjaznych i przeciw towarzyskich myśli, któremi zajęty był wówczas umysł Szyllera. Pod względem moralności i wpływu, na młodzież, zasługiwała na naganę, lecz pod względem drammatycznym, wskazywała talent wyższego rzędu.

Dramma *Rozbojnicy* wystawiona była pierwszy raz w Manheimie, za staraniem xięcia Dalberg, ministra elektora Palatynatu i zawróciła głowy młodzieży niemieckiéj tak dalece, że wielu z niéj chciało zostać rozbojnikami, dla tém lepszéj reformy towarzystwa. Skargi na Szyllera doszły do xięcia Wirtemberskiego, i zabroniono mu wydawać wszelkich pism niegodnych z powołaniem lekarza. Szyller nie mógł poddać się temu zakazowi. Popęd geniuszu uniosł go w zawod poety; opuścił więc potajemnie Sztutgard i pod przybraném nazwiskiém schronił się w r: 1782 do Wollzogen, do matki jednego ze swoich przyjaciół. — W tém ukryciu Szyller oddał się natchnieniom. Tam dokończył dwie sztuki, *Fiesko* i *Jntryga i Miłość*, zaczął *Don Karlosa* i napisał wiele pomniejszych poezyi. W nich on wystawia naturę śmiejącą się i pełną wdzięków, siebie jako uciekającego, bez przytułku, lecz pocieszonego jéj widokiem i gardzącego darami losu. Tym ulotnym poezyom powierzał Szyller dumania swoje o przeznaczeniu człowieka, o życiu, o śmierci, o wieczności, o powinnościach. Takie poezye bynajmniéj nie są podobne do ulotnych poezyi francuzkich, w których prócz pięknego toku wiersza i dowcipu, nic ma żadnéj wyższéj wartości. Każdy poeta, z własnego serca musi czerpać natchnienie; siła i prawda uczuć któremi jest przejęty, są jego jedyną Muzą. Poezya jest szlachetną przyjaciółką, na łonie któréj wynurza myśli, dla niéj tylko saméj zrozumiane, i które ona tylko wydać może w języku wyższym nad pospolitość. Grecya i Rzym, chciały ażeby poezya sławiła zwycięztwa na igrzyskach olimpijskich albo tryumfy wodzów, aby malowała uciechy zmysłowe i upiękniała życie pędzone na łonie przyjaźni i filozofii. Poeci francuzcy, żyjąc pośród wytwornego towarzystwa, zajęci tém aby mu się podobać zastósowali się do jego ducha Wystawili wszelkie delikatne odcienia obyczajów i rozmowy. Ale poeta niemiecki, pełen gruntownéj i poważnéj nauki, odosobniony od towarzystwa, oddany rozmyślaniom i powątpiewaniom umysłu, wszelkim wzruszeniom serca, żyje w sferze przystępnéj tym tylko duszom, które ku poważnemu celowi zwróciły swoje dumania. Czyliż więc płody jego nie będą poetyczniejsze, wznioślejsze i bardziéj zajmujące.?

Dobrodziejstwa barona Dalberg wywiodły Szyllera z ukrycia. Sciągnął go do Manheimu i tam kazał wystawić tragedye *Fiesko* i *Jntryga i Miłość*. Te dwie sztuki niższe są od *Rozbojników*. Fiesko jest najsłabszym płodem Szyllera. Intryga i miłość jest familijną dramą, jakie stworzył Dyderot. Poeta w krótce uczuł iż powinien porzucić tę napuszoną prozę, tak niezgodną z jego poetycznem dążeniem. W tym sposobie zaczął tragedyą Don Karlos. Dzieło to uważał raczéj jak poemat w którym złożył swoje uczucia i myśli, niżeli jako utwór sceniczny. Sława Szyllera tak się rozszerzyła w Niemczech, że aby zaspokoić niecierpliwość ziomków, pierwsze trzy akty Don Karlosa wydrukować musiano już w r. 1785.

Zostawał naówczas w niezmierném wzburzeniu umysłu; gwałtowna namiętność ogarnęła duszę jego, a łącząc się z powątpiewaniem o obowiązkach i boskiém ich uświęceniu, pogrążała go w niewymownych udręczeniach. Wahał się między cnotą a dzikim oporem przeciw wszelkiéj władzy moralnéj. W jego pismach prozą i wierszem, maluje się ta wewnętrzna walka. Nacechowane są w ogólności tą smutną myślą, że człowiek doznaje szlachetnego popędu ku wszystkiemu co jest pięknem, lecz że z siebie tylko samego wyczerpawszy to uczucie, nie może nigdzie znaleźć jego dowodu i poparcia. Zdołał jednakże poeta zwalczyć namiętność swoją, a zamknąwszy się w głębokiém ukryciu, ukończył tragedyą *Don Karlos*. Sztuka ta otrzymała jak największe powodzenie, jest dziełem scenicznem którym się Niemcy najbardziéj zaszczycają. Zapał ten podzieliła Europa. Talent stworzenia osób, ożywienia ich i wynalezienia uderzających położeń jeszcze bardziéj wydaje się w *don Karlosie* niżeli w pierwszych sztukach Szyllera.

Wydawszy don Karlosa, poeta udał się do Wejmaru. Xiąże Sasko-Wejmarski zaszczycił go tytułem tajnego radzcy i chciał zatrzymać przy sobie. Herder, Goethe i Wieland już byli osiedli przy tym dworze, który przez długie lata był ogniskiem nauki i oświaty w Niemczech. Niespokojność panująca w duszy Szyllera i zabobonna że tak powiem obawa o zachowanie niezależnego bytu, nie dozwoliła mu korzystać z ofiary xięcia. Kilka miesięcy przepędził w Wejmarze i tam ogłosił swoje pierwsze dzieła historyczne. Udał się potém do Saxonii i Frankonii. W téj epoce bardzo wiele pracował, nie tylko bowiem wydał *historyą oderwania się Niderlandów*. ale mnóstwo artykułów historycznych i krytycznych umieścił w dziennikach; wydawał dziennik *Talia*, należał do redakcyi *Merkurego niemieckiego*, napisał powieść *Ducho-Widz* i zapewne pracował nad historyą wojny trzydziesto-letniéj, wyszła bowiem wkrótce potém.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

O PALENIU SIĘ PIENIĘDZY.

Pomiędzy ludem wiejskim, u nas dotąd utrzymuje się mniemanie o paleniu się pieniędzy. Często byłem słuchaczem tych wieści. Prawda, iż je opowiadali ludzie bardzo łatwowierni, ja zaś jestem nadzwyczajnie *trudnowiernym*, jednak nie należę do liczby owych, którzy to zaraz z góry wykrzykując: „*to zabobon!*“ nie raczą nawet słuchać takiéj bredni, owszem powiedzieć muszę, iż jestem miłośnikiem wszelkich podań ludu, i że z upodobaniem słucham każdej tego rodzaju powieści. Albowiem wpatrzywszy się w dzieje świata, postrzegamy, iż następne pokolenia chłoszczą zawsze biczem krytyki przeszłe, wynajdują ich przesądy i zabobony i naśmiewają się z nich: i my téj saméj kolei ulegniemy, i nasze przesądy i zabobony wyjdą na jaw, a potomkowie nasi będą się z nich naśmiewać. Nie dowodzi to podług mnie wielkiéj bystrości, wyszydzać rzeczy już nie istniejące, które same przez się przed zimnym rozsądkiem upadły; lecz dostrzegać błędy tegoczesne jest bystrzejszego rozumu zadaniem. Lepiéj więc zrobimy, gdy na podania ludu inném okiem zapatrywać się będziem; gdy je nie za przedmiot do najgrawania będziemy uważać, ani wyszydzanie ich za sposób podniesienia wartości oświaty naszéj, lecz gdy w nich tylko cegiełkę z budynku przeszłości uważać zechcemy, a to pod dwojakim względem: pod względem wyobraźni i poezyi, i pod względem filozoficznéj, historycznéj, lub moralnéj treści; a tak, oskrobawszy je z mitycznego ubarwienia, dojdziemy wnet ich zasady.

Lecz wracam się do zaczętego przedmiotu. Mieszkam pod tym względem szczęśliwie, iż nawet we wsi mojej często pieniądze się palą. Miałem więc wszelką sposobność nasłuchania się do woli różnych o paleniu się pieniędzy krążących powieści, a zatem zasadę ich ile możności zbadałem i przekonałem się, iż oprócz stroju poezyi, posiadają treść moralną. Są to wyobrażenia czyscowe; bo mówił mi ulubiony mój narrator Ignacy, iż żadne inne pieniądze się nie palą, tylko pieniądze wydzierstwem, uciemiężeniem na biednych ludziach wyciśnięte, oszukaństwem zyskane, słowem pieniądze złym sposobem nabyte. Takie pieniądze nie mogą po śmierci tego, który je takiemi sposobami nabywał, służyć na dobro jego rodziny lub kogo innego, dopóki się nie wyczyszczą. A czyszczą się, to jest palą się tyle razy, ile było złych uczynków popełnionych przy nabywaniu ich, i tyleż razy cierpieć ma dusza dawnego ich właściciela w czyscu zostająca okropne męki. Pieniędzy tych pilnować muszą; z jednéj strony djabeł, z drugiéj strony dusza dawnego ich właściciela. Tak pilnuje ich na wyspie Kurnickiéj djabeł w postaci czarnego koguta z jednéj, a jakaś panna z drugiéj strony i nie raz było słychać, gdy panna chciała te pieniądze w jezioro wrzucać, jak z strony jeziora siedzący czarny kogut, natychmiast je łopatą z brzękiem i hałasem napowrót odgarniał. Przed kilku laty, przyszedł do nas kościelny z Środy, pytając się o mego ojca, któremu jak mówił, ważną nowinę ma do oznajmienia, która i mego ojca uszczęśliwi i jego samego.

Nie było go w domu, nikomu zaś tak ważnéj tajemnicy powierzyć niechciał. Gdy mój ojciec do domu powrócił, zwierzył mu

się z miną tajemniczą i największéj wagi, iż przechodząc naszym gruntem, widział, jak w jedném miejscu pieniądze się paliły. Jakież musiało być jego zadziwienie, gdy spostrzegł, iż mój ojciec tak ważne doniesienie obojętnie przyjął. Pieniądze takie palą się w każdym czasie; w nocy, zrana, w południe, lecz zawsze w rocznicę popełnionego złego czynu, którym nabyte były. Ktoby przyszedł, gdy obaczy że się palą i chciał je dobywać, a nie trafił na ostatnie ich czyszczenie, ten by ich nietylko nie znalazł, ale by duszę swoją podał w niebezpieczeństwo. Ten tylko bowiem te pieniądze dostać może, kto trafi na ostatnią ich rocznicę, na ostatnie przeczyszczenie z grzechu, lecz przytém musi do zwalczenia djabła kilka tajemniczych umieć wymówić formuł, lub kilka odbyć ceremonii. Gdy zas nikt się w tenczas nie znajdzie i diabła nie odpędzi, djabeł je jak swoje zabiera. Dlategoć to właśnie tak rzadko się zdarza, iżby ktoś natrafił na tę chwilę i znalazł pieniądze.

PRZYSŁOWIA.

Kto na piszczałkę dał, będzie na niéj grał.

Przysłowie to dzisiaj bardzo używane, w którym czasie powstało, niewiadomo, początek zaś jego ma być następujący.

Przed laty kilkuset, a może kilkudziesiąt, gdy na dworze nie tylko magnata, lecz nawet dobrze mającego się szlachcica, tuzinami bezczynna tułała się gawiedź ślachecka, i w uroczystościach dla okazałości, zwykle zaś do posług używaną była, i tylko tytulaturą różniła się od służących poddanych, również jak i prawem w rodzaju chłosty cielesnéj, pan jakiś wysyłał za sprawunkami, to jest, po pierwsze potrzeby do piwnicy i kuchni tak nazwanego marszałka swego statkiem do Gdańska. Bracia szlachta, czyli służba szlachecka na dworze pana tego, mnóstwo dała poleceń marszałkowi: jednemu chciało się futra, innemu Gdańskiego likworu, ten żądał sukna, ów rzędu na konia, inny strzelby i t. p. jeden z nich brat dworski, który może był krajczym, łowczym lub konjuszym Jaśnie Wielmożnego Pana, prosił marszałka, aby mu piszczałkę w Gdańsku kupił, dając na nią potrzebne pieniądze, gdy inni na swe sprawunki nic nie dali, mówiąc: „Panie bracie! jak powrócisz, toć „ci u nas nie zginie.“

Podróż marszałka szczęśliwie się odbyła, powrócił po kilku miesiącach. Wszyscy dworzanie pobiegli do niego po swe sprawunki, lecz każdy zamiast nich, odebrał odpowiedź: „Ach przepraszam panie bracie! zapomniałem zupełnie o waści sprawunku, lecz wkrótce znowu pojadę, toć go przywiozę.“ Gdy przyszedł ów, który polecił kupienie piszczałki i tęż otrzymał, reszta zaczęła wyrzucać marszałkowi, że o téj drobnostce pamiętał, a o ich ważniejszych sprawunkach zapomniał, on następnie się tłomaczył: „Wiadomo waszmościom, moi panowie bracia, żem statkiem płynął do Gdańska. W czasie podróży, w dzień pogodny, usiadłszy na pokładzie, wyjąłem wszystkie spisy sprawunków, i na każdą karteczkę położyłem odebrane na sprawunki pieniądze, aby wiedzieć, ile mam pańskich, i jak długo więc zabawić będzie trzeba w Gdańsku. Ni ztąd, ni z owąd, wionął wiatr nagły, i wszystkie nieprzykryte pieniędzmi karteczki, jako bardzo lekkie, wrzucił w wodę; pana brata, co dał na piszczałkę, będąc przykrytą, nie doznała tego losu. Ogrom sprawunków pańskich wybił mi z pamięci waszmości polecenia: o piszczałce zapisanéj pamiętałem.“

Właściciel piszczałki, który miał mieć humor Stańczyka, wygrywając rozmaite piosnki, w pół żartując, w pół do prawdy, miał wołać: „Kto na piszczałkę dał, będzie na niéj grał. Waszmość nic nie dali, nie będą więc grali.“

KALISZ.

Pomiędzy miastami naszego kraju, Kalisz pierwsze miejsce zajmuje po Warszawie. Chociaż zasięga bardzo odległéj starożytności, nie posiada jednak żadnych jéj śladów, i ma zupełnie nowożytną postawę. Dajemy wewnętrzny widok Kalisza od strony rogatek Warszawskich, żałując, że mimo starań redakcyi, rycina ta zbyt wiele do życzenia pozostawia.

Miasto Kalisz, teraźniejsza stolica Obwodu i Województwa, nad samą granicą W. Xięstwa Poznańskiego, położone jest w przyjemnéj dolinie, w pięknéj i bogatéj w łąki i pastwiska okolicy, nad rzeką Prosną poczwórnie go oblewającą. Miasto to bardzo dawne (a) niegdyś ozdobione Zamkiem warownym, przez Kazimierza Wgo zbudowanym i murem obwiedzione, spalone zostało r. 1281 po poddaniu zamku przez Sędziwoja Kasztelana, Henrykowi Xięciu Wrocławskiemu. W r. 1306. Witenes, Xże Litewski znacznie to miasto wojskiem swem spustoszył, a Krzyżacy w roku 1331. zamek wspomniony zu-

(a) Ptolomeusz sławny Jeograf w drugim wieku po Chrystusie żyjący, wspomina w opisie swym Germanii o mieście *Calisia*, które miało bydź siedzibą jednego z tych ludów, który w tych okolicach gdzie się teraźniejsze miasto Kalisz znajduje, miał przemieszkiwać.



PLAC W KALISZU.

pełnie zrujnowali i spalili. W czasie oblężenia Szwedów w r. 1706. trzy części miasta spłonęły, i w tymże samym czasie zaszła bitwa pod miastem przy wsi Zawady, gdzie Wojska Augusta II. i Piotra Wgo zwycięztwo nad Szwedami odniosły. Niedaleko ztąd spoczywają zwłoki Xięcia Mieczysława starego, trzy razy z rządów składanego, pochowane w kościele Śgo Pawła, w r. 1203. lecz że później miasto i kościół w inne miejsce przeniesione zostało, jak wspomina *Cellariusz*, grób ten pozostał w polu. W 1792 wielki pożar zniszczył miasto, lecz piękniejsze odrodziło się z popiołów. Miasto to za teraźniejszego rządu przez zamieszkanie Prezesa i całego składu Kommissyi Wojewódzkiéj, umieszczenie Trybunału Cywilnego, Sądu Pokoju i Sądu Policyi Poprawczéj, tudzież Kommissyi Obwodowéj znacznie się podniosło, a przez udzielanie funduszu przez Najjaśniejszego Pana na zapomogę dla murujących domy, wzrosło i okazalszą postać przybrało. Liczy ludności 11,270 domów murowanych 190 a drewnianych 336 w ogóle 526. Miasto całe z przedmieściami, brukowane, rogatkami i dobremi mostami opatrzone. Kollegium po Jezuickie z Kościołem i szkołami przez Karnkowskiego Arcy-Biskupa Gnieźnieńskiego zbudowane, na lokal dla Biór Kommissyi Wojewódzkiéj przerobione, obszernym placem ozdobione, jest dziś najwspanialszym gmachem i ozdobą Kalisza. Szkoły zamienione były na gmach dla korpusu Kadetów; kościół zaś w którym dotąd widzieć można nadgrobek tegoż Arcy-Biskupa Karnkowskiego, zmarłego 1603 r. przeznaczono na odprawianie nabożeństwa dla Ewangielików; tenże sam Karnkowski założył i uposażył Szpital Śgo Ducha i Instytut konwiktem zwany, na 12 studentów ubogich familii. W rynku miasta gmach publiczny na pomieszkanie Biskupa Dyecezyalnego przeznaczony, mniéj okazałością jak wygodą się odznacza. Pałac Sądowy kosztem Rządu przy jednéj z najpiękniejszych ulic wystawiony, w którym wszystkie władze Sądowe posiedzenia swe odbywają, celuje piękną architekturą. Nowy dom pocztowy, tudzież dom dla Szkoły Wydziałowéj nie mało do ozdoby miasta się przykładają. Kościół i Klasztor Franciszkanek ozdobiony nową facyatą oddany jest teraz Gminie Greckiéj do obrzędów religijnych, inne kościoły zdobiące to miasto są: Kościół Kollegiaty Panny Maryi, Kościół Świętego Mikołaja, jeden z najdawniejszych, Kościół

i Klasztor XX. Reformatów, Kościół i Klasztor XX. Franciszkanów w trzech czwartych częściach na Inkwizytoryat zajęty, i Kościół z klasztorem XX. Bernardynów. Lecz nie tyle przyjemném i ozdobném to miasto nie czyni, jak ogród Parkiem zwany, jakiego prócz w Warszawie, podobnego z publicznych przechadzek w całym kraju nie ma. Ogród ten w guście angielskim za Rządu Pruskiego założony, nie ma żadnych drzew exotycznych, ale w regularne alee rozłożystych drzew urządzony, przyjemny chłód pod czas upałów lata, szukającym spoczynku i świeżego powietrza, sprawuje. Porządne utrzymywanie,nad czém szczególniéj Policya miejscowa czuwa, jako też piękne położenie ogrodu tego: bowiem rozciąga się od strony wschodu i południa, otacza miasto do połowy prawie: przyjemnie zajmuje widzów.

W zeszłym roku ozdobił miasto nowo urządzony Teatr.

Kalisz zajmować będzie miejsce w historyi dziewiętnastego wieku.—11go Lutego 1813 r. NAJJAŚNIEJSZY CESARZ ALEXANDER przybył do tego miasta, i tam zawarte zostało przymierze między Rossyą, i Prussami, z którego w rok potem wynikł upadek potęgi Napoleona. W powrocie do państw swoich Cesarz ALEXANDER przybył znowu do Kalisza w końcu Października 1815. W roku zeszłym, w miesiącu Wrześniu uświetnił to miasto zjazd NN. CESARSTWA WSZECH ROSSYI z N. KRÓLEM PRUSKIM oraz przybycie wielu xiążąt Niemieckich.

STRACHY.

Dawniejszemi czasy, w każdym niemal domu pokutowało: wszyscy o tém gadali, jako o rzeczy najpewniejszéj, jedni drugich w przesądach utwierdzali; nie dziw zatém, że nareście zgłupiawszy zupełnie, gotowi byli przysięgać, iż to na własne oczy widzieli, o czém im od dzieciństwa bajano. Z téj powszechnéj głupoty korzystali oszuści; przebierali się za duchów, straszyli łatwowiernych i zawsze prawie spodziewali się obfitego obłowu.

Lecz po cóż pamięcią dawnych sięgać czasów? Czyliż jeszcze teraz pomiędzy wiejskim ludem nie panują podobne przesądy? O czemże to wieśniacy w czasie długich wieczorów rozmawiają, jeśli nie o strachach, mniemanych pokutowaniach? W czém najlepiéj usługują piastunki; strasząc dzieci *bobakami*, aby nie płakały: a tak z młodości wpajają w nie zabobony, które późniéj wykorzenić trudno.

Podobno każdy z naszych czytelników doświadczył jakiéj nocnéj ze strachem przygody, lub przynajmniéj słyszał o podobnéj awanturze, jakiéj piszący naocznym był świadkiem.

Byłem wtedy w szkołach jezuickich w Kaliszu, jeszcze przed ostatnim pożarem tego miasta. Na Warszawskiéj ulicy mieszkało obok siebie dwóch szewców: w niskim i ubogim domku mieścił się wielki partacz, pijak i oszust; dla tego mało miał roboty, a co zarobił, zaraz przez gardło przepuścił; jednak nie wiedzieć zkąd, miał się jeszcze za co upijać. Obok niego, w porządnym dworku mieszkał zawołany majster Laskowski; rodem z Warszawy. Był to człowiek poczciwy, trzeźwy, bogobojny, a przytém bardzo pracowity. Nie dziw więc, że miał zawsze wiele roboty. Palestranci, studenci, prawie wszyscy od Laskowskiego brali obuwie. Z téj przyczyny musiał się zaopatrzyć w znaczny zapas skór, które na górze były złożone. Dawniéj nie utrzymywano tak ścisłych rejestrów, jak teraz: majster Laskowski skór swoich nigdy pewnie nie liczył, lecz widząc zmniejszający się zapas, sprowadzał nowe z Warszawy. Lubo się miał dobrze, lubo był od wszystkich znajomych dla swéj rzetelności szacowany, niestety! nie był szczęśliwym! Bo jakże mógł być swobodnéj myśli, kiedy ustawicznie cóś na górze przeszkadzało? Skoro tylko wybiła godzina dziesiata, zaraz zaczynało pokutować: było to cóś podobnego do ciągłego grzmotu, który przesuwając się na górze z jednego miejsca na drugie, i ogromnym łoskotem przerywając nocną ciszę, przerażał wszystkich domowników. Wiadomo, że ta profesya nie rodzi zbytecznego męstwa, co zapewne pochodzi z ciągłego skurczenia ciała nad pracą. Dosyć, że skoro tylko ciemniało, nikt już wtedy nie śmiał wychylić się za drzwi; choć było czasem i dziesięciu czeladników w izbie. Upływały dni, tygodnie i miesiące, a strach coraz groźniejszym się stawał, coraz okropniejsze sprawiał grzmoty i przeraźliwsze wydawał jęki.

Biedny szewc, poczytując te strachy za oczywistą karę Boga, martwił się bardzo; udawał się do zwyczajnych wtedy sposobów wypędzania złych duchów: modlił się gorąco do Sgo Józefa, dawał na msze święte Ale wszystko na próżno. Wezwał nawet znanego wtedy z pobożności xiędza Chęckiego, aby mu dom pobłogosławił i strachy zażegnał. Xiądz się modlił, kropił wszystkie kąty święconą wodą; a na wieczór duch przeklęty zwowu płatał swe figle i coraz tęższym grzmotem większy jeszcze szerzył postrach.

Zdarzyło się, że pewien podróżny czeladnik, odważniejszego serca od swych bojaźliwych towarzyszów, oświadczył się z tém że chce poznać ducha i poszedł na górę.

Lecz gdy ujrzał białą zupełnie postać, postępującą wolnym krokiem, przepasaną czarną śmiertelną przepaską, z maczugą w ręku, gdy wreście dostał w łeb kością; nieczekając dalszego spotkania, uskuteczniwszy jak najprędzéj odwrót, przysięgał przed swymi kollegami, iż widział potępieńca, któremu nawet iskry z ust się sypały, a ślepie błyszczały. jak dwa żarzące się węgle Po takim wypadku, nikt już nie okazywał ochoty zabrania bliższéj znajomości, z tak złośliwym potępieńcem. Przyszło do tego, że szewc postanowił przedać dom, w którym nie miał spokojności i gdzie indziéj przenieść swój warsztat. Wieść o tych okropnych strachach, w krótce się po całém mieście rozeszła: szczególniéj zaś studenci, na téj ulicy, u różnych rzemieślników mający gospody, bardzo się gorliwie temi strachami zajmowali, a nawet raz w klassie zaczęli opowiadać profesorowi, jak okropnie u szewca Laskowskiego pokutuje. „Dzieci! odezwie się xiądz Wikłak profesor klassy piątéj, temu strachowi trzeba koniecznie zajrzeć w oczy: nie masz to pomiędzy wami nikogo, któryby się nie uląkł nocnego straszydła? Kto ma serce i czyste sumienie, niech idzie śmiało na to spotkanie. Ta przemowa rozsądnego professora, miała ten skutek, że zaczęliśmy o tém rozprawiać, układać różne plany, dodawać sobie odwagi i zachęcać się do téj nocnéj wyprawy, tak pożądanéj dla młodzieńczéj rozżarzonéj imaginacyi. Był pomiędzy nami uczeń jeden nazwiskiem Banachowicz, nie wielkiego w prawdzie wzrostu, ale sztuka nadzwyczajnie śmiała. Ten nam najwięcéj serca dodał. „Jeżeli wy nie chcecie; rzekł do nas, to ja sam pójdę.“ Nie chcieliśmy opuszczać naszego kollegi: zebrało nas się dwunastu i poszliśmy wieczorem do mieszkania Laskowskiego, oświadczając mu nasz zamiar. Przestraszony szewc, chciał nas wszelkiemi sposobami odwieść od tego śmiałego przedsięwzięścia; lecz widząc naszę stałość zezwolił nakoniec. Kazał zapalić 6 swiec; ułożyliśmy plan, potém rzucaliśmy losy, gdzie kto czuwać będzie. Na mnie wypadło zająć najniebezpieczniejsze miejsce, to jest na ostatnim stopniu schodów, prowadzących na górę. Banachowicz z jednym kollegą, zajmował środkowy stopień; Kramplicz na dole, reszta roztabowała się w sieni. Swiece paliły się w izbie i w sieni. Tak więc poleciwszy się Bogu i Swiętemu Józefowi, patronowi miejscowemu, czekaliśmy zjawiska. Ja siedziałem jak wryty, oparty tyłem o jakąś solówkę, która tam stała: od chwili do chwili podnosiłem ze strachem oczy, czy gdzie pod dachem nie ujrzę nocnego potępieńca. W tym okropnym stanie przepędziliśmy godzinę. Już wybiła jedenasta, a nic nie było widać, ani słychać: lecz nareście zwróciwszy lękliwy wzrok w ową stronę, ujrzałem ducha, spuszczającego się z dachu: przecieram lepiéj oczy, duch a duch, a do tego jeszcze potępieniec w śmiertelnéj koszuli: rozczochrane włosy, twarz blada, słabym xiężyca, przedzierającego się przez szczeliny, oświecona blaskiem: jednem słowem toż samo straszydło, o którém już tyle razy słyszałem. Struchlałem na tak okropny widok! Cóż dopiero, gdy się odezwał grzmot straszliwy, umarłem prawie ze strachu; siedziałem jednak na miejscu, nie mogąc się ani ruszyć, ani słowa wymówić. W tém zaraz, nie wiem jakim sposobem, jak piorunem rażony, spadłem z góry na schody i powaliwszy sobą siedzących tamże studentów, spadłem razem z nimi na ziemię: huk okropny rozległ się po sieni, a potém jakaś śnieżna chmura zasypała nas wszystkich. Banachowicz pierwszy odzyskał przytomność: bierze świecę, ogląda się po sieni, i spostrzega solówkę na ziemi; a po całéj sieni porozrzucane i wszędzie latające pierze, któremi obsypani, sami mieliśmy postać potępieńców. Tém odkryciem ośmieleni, postanowiliśmy wstępnym bojem natrzeć na ducha. Wchodzimy na górę ze świecą, postępujemy naprzód ostrożnie; aż tu coś białego mignie nam się za kozłem: biegniemy prędko w to miejsce, i zdążyliśmy jeszcze przytrzymać ducha za nogę, który ściągniony na dół porwie się na nas i uchwyci jednego z naszych za szyję. Przekonawszy się już, że nasz duch ludzkiéj jest natury, kiedy do zwyczajnéj bierze się napaści, nabraliśmy dopiero serca. Pochwyciwszy pana brata za kołnierz, za koszulę śmiertelną i krajkę, którą był przepasany, ściągnęliśmy go na dół. Tu dopiero przy świetle, w przytomności wszystkiéj czeladzi, w odkrytym duchu poznaliśmy owego szewca pijaka, który korzystając z przesądów swego sąsiada, wykradał mu skóry. Dla lepszego zaś udania, wprzód owe skóry włócząc po górze, mniemany grzmot sprawiał. Tak więc wpadłszy w łapkę, odebrał zasłużoną karę. Przez całą noc strzegliśmy go w izbie, gdzie nie mało z sąsiedztwa zebrało się widzów; ażeby mu tém mocniéj dać uczuć niegodziwość jego postępku, nie pozwoliliśmy mu zdjąć białéj płachty którą był odziany i w tym dziwnym stroju, rano o 8 godzinie, wśród niezmiernego tłumu ciekawych, odprowadziliśmy tego oszusta na ratusz, gdzie odebrał cielesną karę, która tak skutkowała, że mu się na zawsze odechciało sztuki udawania potępieńców.



BAOBAB.

(*Adansonia Digitata*).

Piękna roślina, której tylko parę liści i kwiat umieszczamy, jest największa ze wszystkich, jakie sławny naturalista Adanson, opisał w podróży do Senegambii. Pień drzewa nie jest bardzo wysoki, lecz staje się tak grubym, iż częstokroć miewa 60 do 80 stóp obwodu. Uwieńczony jest wielką liczbą bardzo grubych gałęzi, długich na 50 do 60 stóp; najniższe dotykają się ziemi, tak iż drzewo wydaje się z daleka massą zieloności, na 80 stóp wysoką, a 150 stóp średnicy mającą. Z pomiędzy liści wyrastają pojedyncze kwiaty, długie na 4 cale a na 6 szerokie.

Drzewo to ma korzenie odpowiednie gałęziom, prawie tak grube, ale daleko dłuższe. Środkowy korzeń w kształcie wrzeciona, wrasta głęboko w ziemię, boczne zaś rozciągają się poziomo, niedaleko powierzchni gruntu. Uważano, iż korzenie drzewa mającego lat 7 lub 12, rozchodziły się na sto kilkanaście stóp. Adansonia wzrasta bardzo prędko w pierwszych latach; później zaś daleko wolniej; trwałość je; przechodzi wszelkie wyobrażenie, i dla tego zowią ją drzewem tysiącoletniém. Adanson, który obszernie ją opisał, utrzymuje, iż widział drzewa tego gatunku, mające przeszło 6,000 lat, tak więc Adansonia byłaby najdawniejszym pomnikiem roślinnym planety naszéj. Owoc jéj gdy się już przestoi, wydaje mydło. Rdzeń jest białawy, lekki i bardzo miękki; w wydrążeniach pszczoły lubią miód składać. Zdaje się, że tego drzewa nie używają do sztuk ani do przemysłu, Negrowie obracają je na osobliwszy użytek. Rozszerzają wydrążenia w drzewach już wypruchniałych, i zawieszają tam zwłoki ludzi, których pochować nie chcą; po czém otwór zakładają deską. Trupy zasychają tam jak najlepiéj, i zamieniają się w prawdziwe mumie. Są to po większéj części ciała poetów i muzyków, którzy przewodniczą zabawom i tańcom na dworze królów murzyńskich, i dla tego uważani bywają za czarowników. Po ich zgonie, cześć Murzynów zamienia się w obrzydzenie i mniemają, że gdyby te ciała pochowano albo wrzucono w wodę, ściągnęłyby przekleństwo na cały kraj, i dla tego, chowają one w pniach Baobabów.



NISZCZĄCE DZIAŁANIE OCEANU.

Potężne fale oceanu uderzają i rozdzierają bez przerwy, wyspy i brzegi stałego lądu. Jest to niespracowany nieprzyjaciel, który wydziera ziemi, miejsce przez nią zajęte, nowemi zdobyczami rozszerza swoje granice i znaczne zmiany zrządza na kuli ziemskiéj. Jeżeli rzeki i miernéj wielkości strumienie codziennie podrywają brzegi i kopią sobie nowe koryto, jakaż może bydź siła oceanu a zwłaszcza tam gdzie gwałtowność prądów łączy się z siłą wzburzonych fali? Bałwany uderzają bez ustanku, z hukiem do wystrzału z dział podobnym, o stopy skał nadbrzeżnych, i odrywają ogromne głazy od tych szańców przeznaczonych na obronę stałego lądu.

Gwałtowność prądów powiększa się jeszcze, gdy jaka zapora sprzeciwia się wolnemu biegowi wody. Wówczas fale nagromadzają się z nadzwyczajną szybkością, i usiłują otworzyć drogę Brzegi kanału la Manche, tak od strony Francyi jak Anglii, wskazują przykład tego działania, a liczne wyszczerby są dowodem zwycięztw oceanu. Główną przeszkodą wolnemu odpływowi wody w tym kanale, jest zagłębienie, w którem leżą wyspy Jerséj Guersenéj, z okolicznemi wysepkami, przy brzegach Francyi. Przystęp morza mając przez nie utrudniony pęd ku brzegom, wpada w małe przesmyki między skałami, z szybkością któréj sobie wyobrazić nie podobna. Poziom wód przy Jerséj podnosi się na czterdzieści pięć stop w przeciągu sześciu godzin; jakiéj więc siły potrzeba ażeby taką massę wody podnieść do takiéj wysokości! Skały bez ustanku bite falami, zarywają się nareście; a wyspy poszczerbione, rozdzielają się z czasem na mnóstwo pojedyńczych wysepek.

Ocean północny przedstawia jeszcze bardziéj uderzające fenomena. W tych dzikich krainach, wystawionych na wichry od bieguna północnego, olbrzymie sceny zniszczenia znachodzą się codziennie, a zwłaszcza podczas burz zimowych. Między Or-

kadami i wyspami Schetland przystęp morza nabywa niezrównanéj mocy. Z pomyślnym wiatrem pomnaża się jego szybkość, gdy zaś przeciwny wicher tamuje bieg jego, fale wznoszą się z niesłychaną potęgą, i wściekłość swoją wywierają na skały tamujące ich postęp. Rycina umieszczona na czele tego artykułu, wyobraża grupę skał przy wyspach Schetland. Ich widok musi dadź wyobrażenie czytelnikom jak silne jest działanie Oceanu. Zapewne wkrótkim przeciągu czasu, te olbrzymie skały podobne do wież zwalonego zamku, runą w głębiny morza. Niegdyś tworzyły one jedną wyspę zamieszkaną może, a teraz ocean oderwał ziemię która ją pokrywała, i zrobił z niéj, że tak rzekę, szkielét kamienny. Wyspa Hillswick leżąca nie opodal tych dzikich skał, może z nich wyczytać przeznaczenie swoje. Codziennie ocean huczy w około niéj i dopomina się o zdobycz swoją, codzień wstrząsa i odrywa nadbrzeżne skały. Toż samo dzieje się z większemi wyspami. Lecz co z jednéj strony wydziera ocean, to wysypuje na drugą. Dawne ziemie rozrywa, a w to miejsce przy brzegach Chin i Japonii utwarza inne.

SOBUTKI
U SŁOWAKÓW W WĘGRZECH.
(*z dziennika podróży* 1829 *r.*)

W komitecie Neüsol (a) na tydzień przed Stym Janem, 16 lub 17 czerwca rozpalają zwykle Sobutki, i palą ciągle do Sgo Jana. Byłem widzem tego rodzaju igrzyska. Skoro słońce zaszło, a mrok padać zaczął, zebrały się młode dziewki, a przyniosłszy drzewa i słomy, donośnym hasłem: „*Chybaj na Jana*! „Chybaj!“ ogłaszały czas zebrania.

Za zgromadzeniem w oznaczone miejsce rozpalają stosy przygotowane. W jednéj chwili ujrzałem tysiączne ognie rozniecone na wzniosłych górach i kwiecistych łąkach nad rzeką Granem. Swieciły ognie jak gwiazdy, to błyszczące wśród dąbrowy zielonéj, to pośród łańcucha kulistego gór, oświecając ciemne lasy. Chłodny wiatr powiewał; na wyniesionym stojąc wzgórzu, owinięty burką, patrzałem na te liczne ogniska, rozwidniające w poranku cały krajobraz. I miałem przed oczyma dwie pory roku, zimę i wiosnę w całéj piękności. *Gran* jak szeroką niebieską wstęgą, toczył z cichym szmerem wody: zboża kołysane wiatrem; umajone gaje, i łąki: a wyżéj góry, i ciemne, czarne bory, a wyżéj jeszcze nagie olbrzymie góry skaliste, a na nich śnieg biały, którego słońce wiosny, a często skwar lata nie może roztopić.

Mocniejszym płomieniem zajaśniały stosy, wtedy rzeźwe dziewczęta rozpędzając się w pełnym biegu zręcznie je przeskakiwały.

Zabrzmiały śpiewy, a echo po rosie powtarzało pieśń odwieczną sławiańską. Noc była piękna i pogodna, księżyc jasny niezaćmiony chmurami, wszystko to dodawało uroku temu wieczorowi, i przenosiło naszę wyobraźnią do odległych staréj sławiańszczyzny wieków, gdy te ognie i te pieśni święcone były w duchu owczesnéj wiary i zwyczajów.

Z pomiędzy licznych pieśni, przytaczam tu jednéj wierny przekład, któréj zbiór Szafarzyka (b) nie zawiera wcale.

Przyszedł już przyszedł
Swiętego Jana wieczor:
Woj! Jana, Jana, woj Jana!

Nałożem my ognia
Na trzy strony słońca!
Woj! Jana, Jana, woj Jana!

Jeden my nakładziem
Na wychód słońca,
Drugi my nakładziem
Na *zapad* (zachód) słońca!
Woj! Jana, Jana, woj Jana!

Czarna była choina
Wynieś że mnie na podwórze!
Woj! Jana, Jana, woj Jana!

Wyniesiem, wyniesiem,
Da Pan Bóg na Jesień.
Woj! Jana, Jana, woj Jana!

Tego rodzaju Sobutki, co w Rusi zowie się *Kupało*, zachowała do tychczas cała

---

(a) Miasto stołeczne tego komitetu Neüsol po słowacku „*Bystrzyca.*“ Należy do miast większych, zasobne w mury, i wiele pięknych domów. Starożytne bramy, i mury powiększéj się części utrzymały, które całe otaczały dawniej miasto. W bramie jednéj wiszą ogromne statki rozbójników z bandy sławnego *Januszko*.

(b) Szafarzyk wydał we dwóch tomach zbiór „*pieśni Sławaków w Węgrzech.*“ Kollar ogłosił prenumeratę na nowy zbiór, który obejmie dawniejszy Szafarzyka z dodaniem nowo uzbieranych pieśni.

Sławiańszczyzna, Czechy, Serby, Ruś cała i Polska, palą te ognie, i mają szczególne do tego obrzędu przywiązane pieśni.

K. W. W.

MIKOŁAJ REJ Z NAGŁOWIC.

Andrzéj Trzecieski współczesny Reja, mąż głębokiéj nauki, wielce poważany, opisał życie jego w prostocie owych wieków, przedrukowane w Dykcyonarzu poetów polskich przez Juszyńskiego, które tutaj w krótkości zebrane podajemy naszym czytelnikom.

Rej Mikołaj pochodził z starodawnego a poczciwego domu Rejów, którzy się zawsze pisali z Nagłowic, od wsi ziemi Krakowskiéj, niedaleko rzeki Nidy. Ród tych Rejów był cichy, skromny, poczciwy, nielubiacy bawić się świeckiemi sprawami, zażywając spokojności domowéj. Ojciec jego Stanisław, służył wojskowo w ziemi ruskiéj, i tamże ożenił się z Buczacką, a po jéj zgonie, pojął był drugą żonę z niemałym posagiem, Barbarę Herbutownę, z domu sławnego Falsztyńskiego, wdowę po zacnym szlachcicu Zorawińskim, którego byli pojmali Turcy na Bukowinie za Alexandra Króla. Z téj Herbutownéj urodził się Mikołaj w Miasteczku Żórawnie nad Dniestrem roku 1505 (*) gdzie ojciec jego umarł i gdzie leży pochowany. Oprócz Żórawna posiadał on w Krakowskiéj ziemi, Topole, Stanowice i Bobin, ale tu bardzo rzadko bywał.

Ojciec jego człek poczciwy i spokojny, daleki od spraw publicznych, mało także dbał o wychowanie syna jedynaka, którego do późnych dosyć lat miał przy sobie, i ledwo go namówili sąsiedzi, iż go był oddał do Skalmierza do szkoły jako najbliższego miasteczka. Tam będąc dwa lata, niczego się nie nauczywszy, powrócił do domu, a potém ojciec go dał do Lwowa: lecz i tam ponieważ już był podrostkiem, przenosząc zabawę z przyjaciółmi, żadnéj także nie odniósł korzyści. Nakoniec dał go do Krakowa i był w bursie Jeruzalem; lecz i tam poznawszy już powab towarzystwa, napróżno czas zmarnował.

Lubo syn istotnie nic nie umiał, ojcu zdawało się że już był nauczony; wziął go więc do domu do Żórawna, gdzie z rusznicą i wędką aż do ośmnastego roku się ćwiczył bąki strzelając. Potém go posłali do Topoli, do stryja, aby go tenże gdzie wyprawił na służbę i kupili mu kitajki na kabat na wyprawę. A on tymczasem wrony łowił około brogów, i nim mu uszyto suknię, owę kitajkę wykrajał na proporczyki, które przywiązawszy wronom do szyi i ogona, i tak żywo puszczając, tym sposobem powypędzał wrony i kawki że szkody w gumnach nieczyniły. Tam więc dla kabata rok cały musiał mieszkać; aż ojciec przyjechawszy inny mu sprawił, i potém oddał go do Pana Andrzeja Tęczyńskiego, Wojewody Sandomirskiego, zacnego i mądrego senatora, który acz wzrostem mały, głowę miał wielką.

Tam będąc, zaczął się w pisanie listów polskich wprawiać, bo łacińskiego języka bardzo mało albo nic nie umiał. Z tych listów, rozmów między pisarzami, z czytania, a snadź więcéj z natury, już się był nie źle przetarł, tak, iż potrosze zaczynał czytać łacińskie pisma, pytając się czego nie rozumiał. Tym sposobem, przez wrodzoną umysłu bystrość, przez własną pracę i staranie, nabył potrzebnych wiadomości i rozumu. Ale muzyka, którą nadzwyczajnie lubił, wiele go odrywała od naukowych zatrudnień, umiał on texty dziwne, wiersze rozmaite bez namysłu składał. Będąc z młodu bardzo ciekawym, nigdy na jedném miejscu długo posiedzieć nie mógł; a myślistwo mu też wiele przeszkadzało.

Opuściwszy dwór Tęczyńskiego, wrócił między swych przyjaciół na Rusi, i często przebywał w domu Mikołaja Sieniawskiego, wojewody bełskiego, pragnąc widzieć zbliska, co zacni ludzie czynią. Lubiąc jednak pokój, zaniedbał ćwiczeń i spraw rycerskich, korda swego nie dobył nigdy, chyba dla zgody zwaśnionych przyjaciół, lubo sam do złego nikomu z siebie przyczyny nie dał. Potem się ożenił, pojąwszy Rosnownę, siostrzenicę Arcybiskupa Rożego, z którą dostał znaczne dobra Kobylskie i Sumnice w Chełmskiéj ziemi, gdzie potém zamieszkał, i niedaleko Chełma miasteczko Rejowiec założył. A wszakoż do Krakowskiéj ziemi bardzo go przyrodzenie ciągnęło, dla dworu, bez którego żyć nie mogł: a żadnego sejmu, zjazdu, ani żadnéj koronnéj sprawy nie omieszkał. Król Zygmunt stary był bardzo na niego łaskaw, także i Królowa Bona, i dał mu był jurgielt (pensyą) i kilka wiosek: podobnież wszyscy panowie bardzo go radzi widzieli i niemało mu świadczyli dobrodziejstw. Mimo takich związków i do spraw publicznych ochoty, nie przyjął żadnego urzędu ziemskiego, twierdząc, iż w zatrudnionym żywocie, dwa najszlachetniejsze klejnoty, obciążone bydź muszą, spokoj i sumienie. Kiedy jednak tego była potrzeba, bywał posłem, i bardzo rad służył Rzeczypospolitéj, wracając zawsze po ukończeniu spraw

(a) Nie 1515, jak mylnie twierdzi Trzecieski.



MIKOŁAJ REJ Z NAGŁOWIC.

publicznych do domowego zacisza. Nigdy też z Polski za granicę nie wyjechał (a), Zygmunt August podobnież jak ojciec zaszczycił go względami, dał mu jurgielt na Chełmskim mycie i wieś Dziewięciele.

Gdy nauka Lutra przyszła do Polski, pisał Postyllę językiem polskim którą ludzie radzi czytali. Przełożył też Psałterz Dawidów z modlitwami z upodobaniem czytany i śpiewany. Pisał żywot i sprawy Józefa Żydowskiego Patryarchy, cudnemi i ozdobnemi słowy, który też ludzie bardzo radzi widzieli: Apokolipsim Jana ś. cudnym polskim językiem, z wykładem zacnego a uczonego Bulingera. Pisał też książki nadobne o Potopie, a dla ludzi dworskich: Zwierciadło albo kształt, w którym każdy stan snadnie się może swym sprawom jako w zwierciedle przypatrzyć. Także: zwierzyniec stanów szlacheckich, którzy na ten czas żywi byli. Pisał też dla białych głów: Zatargnienie fortuny z cnotą, podobnież dyalogi rozliczne, Kosterę z Pijanicą, Lwa z Kotem, Gęś z Kurem. Także dla kmiotków: Wojta z Panem a Plebanem, jako się o swych dolęgliwościach rozmawiają. I wiele innych rzeczy pisał, które poginęły i księgi niemałe do neutralibus w Brześciu Litewskim z drukarzem utonęły. A naostatek pisał księgi Żywota Poczciwego, rozdzielone na trzy wieki, młody, średni i stary: Narzekanie na nierząd polski: Zbroję dla rycerza Chrześcijańskiego, nakoniec Pożegnanie ze światem. A wszakoż na żadnem swém dziele, imienia swego wspomnieć nie chciał. Prócz tego, co on pieśni, nabożnych i świeckich, wierszów rozlicznych ułożył, nagrobki różnym ludziom poczciwym, na herby i t. d., gdyż to wszystko z łatwością mu przychodziło. Pisał najwięcéj w nocy, gdyż we dnie ludźmi bardzo był zabawiony; około niego panięta i ludzie młodzi ciągle się bawili; bo to był człowiek poczciwy, zachowały, dworski,

(a) Jak sam o sobie powiada:
Z granic Polski o milę nigdziem nie wyjechał
Lecz co wiedzieć przystoi przecieṁ niezaniechał.

wszystkim znajomy, żywy, swobodny i niepodległy. W młodości bardzo mu świat smakował, ale potém był skromny, trzeźwy i spokojny. Umarł roku 1568.

Był to prawdziwie szczególny człowiek; współcześni katolicy jak najgorzéj o nim mówią i zelżywe na niego miotają obelgi: nazywają go żarłokiem, Sardanapalem, marchełtem, przecherą, człowiekiem najgorszych obyczajów, którego wyuzdana swawola tak była gorszącą, że go już nie o wiarę, ale o sromotną rozpustę wyklinano. Trudno pogodzić świadectwa spółczesnych, z teoryą Żywota poczciwego człowieka, którą napisał. Sam nawet Trzecieski wzmiankuje, jakieśmy wyżéj widzieli: że mu świat bardzo smakował, dodając że te przywary młodego wieku, pokrył późniéj cnotami. Daléj pisze iż się nie wdawał w zawikłane sprawy; a inni przeciwnie świadczą, iż trawił wiek w posługach dworskich i w burzliwym świata odmęcie. W takiéj sprzeczności zdań, zamiast potępiać może niewinnego, wolimy czynione mu zarzuty i miotane obelgi, przypisać zawziętości jego nieprzyjaciół. Lecz dodajmy jeszcze kilka słów o jego dziełach i sposobie pisania. Wszędzie w nim widać gorliwość o poprawę obyczajów, wykorzenienie złych nałogów i zabobonów. Imaginacya żywa i obfita dostarczała mu co raz nowych myśli i obrazów; w opisach spostrzegamy dokładność i obszerny każdéj rzeczy rozbiór, tak dalece, że może na zbyteczną obfitość, utrudzającą objęcie i przejrzenie całości, nie zaś na ubóstwo myśli czytelnikowi uskarżać się przychodzi; tęż samą łatwość, a czasem i dobitność widzimy w wysłowieniu. Rej nie szczędzi farb, nie cedzi słówek, nie dobiera delikatniejszych wyrazów, jak to czynić zwykli miernego talentu pisarze, zasadzający całą wartość stylu, na okrągłem i słodkiem wyrażeniu. Owszem, używa słów mocnych, dosadnych, oddających najwłaściwiéj rzecz którą przedstawia. A ponieważ po większéj części szedł za popędem własnéj imaginacyi i uczucia swego, ponieważ mało co czerpał z obcych źródeł, znajdując w własnym rozumie i sercu dostateczne zapasy; przeto i ztąd Rej oznacza się, przed innymi pisarzami, i ma szczególniejszą zaletę oryginalności. Jego pisma są niewyczerpanem źródłem wiadomości o obyczajach owych czasów, charakterze wieku i narodu, panujących przesądach, zbytkach: z niego osobliwie pisarze romansów historycznych wiele szczegółów, zkąd inąd nieznanych czerpaćby mogli. Widać w nim znaczną już wprawę w pisaniu, styl płynny i obfity, peryody zaokrąglone, składnia najczęściéj naturalna, czasem tylko zawikłana. Nakoniec jedną jeszcze w nim spostrzegamy osobliwość, to jest niepohamowaną chęć do rymowania. Na wielu miejscach, zwłaszczą gdzie wyszydza zdrożności ludzkie, i wpada w zapał, prawie mimo wiedzy swojéj składa wiersze: mówię wiersze, nie poezyą, albowiem takowe rymowanie, będąc tylko swobodnéj myśli igraszką i rozrywką w pisaniu, dalekiém jest od owego prawdziwego natchnienia muzy, bez którego trudno być poetą.

SZYLLER
(ciąg dalszy)

Zamiłowanie Szyllera dla teatru, ustąpiło miejsca zapałowi do historyi. Zasługuje na uwagę, iż nie przeniósł do niéj swego dramatycznego geniuszu, iż nie starał się przeniknąć ducha każdego wieku, malować rzeczy tak jak się działy, zrobić się obywatelem kraju i epoki którą chciał skreślić. Szyller należy do szkoły historycznéj osiemnastego wieku. Bardziéj roztrząsa wypadki, niżeli je opowiada, fakta służą mu do udowodnienia z góry powziętych zasad. Z historycznych prac Szyllera, *Historya wojny trzydziestoletniéj*, najlepsze otrzymała powodzenie; jest to epoka droga dla Niemców, początek nowéj ery cywilizacyi: Szyller skreślił ją z zapałem i szybkością.

Za powrotem Goethego z Włoch, Szyller poznał się z tym wielkim pisarzem. Zimny charakter Goethego nie odpowiedział namiętnemu oczekiwaniu młodego poety. Goethe zaś bardzo go polubił i dokazał tego iż dla Szyllera utworzono nową katedrę filozofii, w akademii w Jena. P: de Dalbergk oadjutor Moguncyi a potém xiąże prymas, połączył swoje dobrodziejstwa z dobrodziejstwami xięcia Sasko-Wejmarskiego. Tym sposobem ustalił się los Szyllera. W krótce potém ożenił się z panną de Langelfels, któréj siostra starsza poszła za pana de Wollzogen przyjaciela jego.

Wówczas zaczęło się dla niego nowe pasmo życia. Z niewymownym zapałem zajął się pracą. Odbył w młodości dobre nauki klasyczne, lecz tego drugiego wychowania, w którém roztrząsanie i pojętność wyrabia materyały nagromadzone w pamięci, jeszcze nie dostawało Szyllerowi. Znajdował się w Jena pośród najuczeńszych mężów w Niemczech, w uniwersytecie który wtedy największym blaskiem jaśniał. Wszystko podniecało jego współubieganie, wszystko zapalało go do pracy. Wrócił do języków starożytnych, przetłumaczył kilka sztuk Eschyla i Eurypida; zaczął tłumaczyć Eneidę.

Lecz wkrótce ogarnęła go inna namiętność. Filozofia Kanta zaczynała głośną bydź w Niemczech. Szyller został namiętnym

jéj uczniem, i wszystkie dumania swoje w tę stronę zwrócił, a mianowicie do wyobrażeń Kanta o piękności i zasadach sztuk pięknych. O tym przedmiocie zostawił mnóstwo pism, ale w niektórych dochodzi do takiéj subtelności i abstrakcyi, iż pasmo jego pomysłów staje się niedościgłe dla czytelnika. Nie wszystkie metafizyczne pisma Szyllera sprawiają tak przykry zawrót głowy; są inne napełnione trafnemi postrzeżeniami. Szczególniéj zasługuje na uwagę cudowna zmiana która zaszła w jego sposobie zapatrywania się na moralność. Sztukę drammatyczną uważał odtąd pod najszlachetniejszym i najczystszym względem. Zródło zajęcia umieścił w tryumfie moralnéj strony człowieka, nad stroną materyalną.

Tyle prac i wysileń zniszczyły zdrowie Szyllera; w 1791 ciężko zachorował na piersi i mniemano że nie wyjdzie z téj choroby. Wieść o jego śmierci rozeszła się po Niemczech i powszechny żal wzbudziła. Oznaki zajęcia i żalu doszły do niego zewsząd gdzie tylko mówią językiem niemieckim. Król duński ofiarował mu pensyą i chciał ażeby potrzeba nie zniewalała go do zbytecznéj pracy. Szyller wyszedł z niebezpieczeństwa, lecz już nie odzyskał zupełnego zdrowia, zabroniono mu publicznych prelekcyi, musiał odtąd unikać wszystkiego coby mu zaszkodzić mogło. Podróż do miejsca gdzie się urodził i radość któréj doznał oglądając starego ojca, zbawienne roztargnienie mu przyniosła. Rok przeszło przepędził w kraju, gdzie go przywiązywały wspomnienia lat dziecinnych. Znajdując się niedaleko Sztudgardu, napisał do xięcia Wirtemberskiego, którego dawniej był obraził porzucając jego służbę. Xiążę nie odpowiedział mu, ale rzekł jawnie, że jeźli Szyller zechce przyjechać do Sztudgardu, nie będą zważać na jego bytność. Szyller korzystał z tego pozwolenia. W krótce potém xiąże umarł, a Szyller szczerze go żałował. Z wdzięcznością i uszanowaniem wspominał zawsze o tym pierwszym dobroczyńcy swoim.

Wrócił potém do Jeny i zajął się pracami krytyki i filozofii: najważniejszą z nich jest, rozprawa o *naiwności* i *sentymentalności*; szczególniéj zasługuje w niéj na uwagę porównanie poezyi dawnéj z nowożytną.

Zamiłowanie Szyllera w filozofii oderwało go na czas niejaki od poezyi; w krótce powrócił do téj przyjaciółki lat młodych, do téj towarzyszki jego życia, ale powrócił z nie tak gorzkiém i nie tak boleśném usposobieniem umysłu; już nie malował dumnych cierpień młodéj i namiętnéj duszy. Przygnębiła go choroba, uspokoiła filozofia; słodka melancholia stała się dla niego natchnieniem. Ale nie zmienił przedmiotu dumań swoich. Natura i przeznaczenie człowieka zajmowały zawsze jego duszę; większa część poezyi Szyllera z roku 1795 i dwóch lat następnych tchnie tym duchem. Widać w nich głębokie przekonanie jak jest czczą i niedostateczną mądrość światowa. Poezya pod tytułem Ideał, jest długiém porównaniem tego co wyobraźnia marzy szlachetnem, czystem i spokojném, z tém co w rzeczywistości jest przykrém, wzburzoném i niepewném; ale człowiek nie powinien tracić odwagi, powinien walczyć z wpływem ziemskim podniecony widokiem niebieskiego świata.

Zadna poezya Szyllera lepiéj nie wystawia stanu jego duszy jak ta, o którejśmy dopiero wspomnieli, przytaczamy ją w przekładzie znakomitego pisarza JP. Kamińskiego.

IDEAŁY.

Chcecież zdradziecko i nieubłaganie
Rzucać mię, złote życia mego chwile!
Chcecież brać z sobą na moje znękanie
Tak mało trosek a roskoszy tyle?
Brać owe tkliwe méj duszy obrazy,
Oweto lube, słodkie urojenia?
Stójcie!... napróżno! wszechmócne rozkazy
Pędzą je w wieczny odmęt zapomnienia.

Zagasły słońca, które w rannéj porze
Życia mojego, czysto przyświecały,
Wyschło ogniste moich uczuć morze,
Spełzły na zawsze świetne ideały!
Zginęła z niemi i wiara w istoty,
Co moich marzeń bywały utworem,
Ach! rzeczywistość płoszy snu pieszczoty,
Niszczy co boskiém, co piękności wzorem!

Jak Pigmalion tęsknotą trawiony,
Do nieczułego przylgnąwszy kamienia,
Póty go swemi ogrzewał ramiony,
Aż się głaz zimny zajął ogniem tchnienia;
Tak ja przylgnąwszy do natury łona,
Pótym ją poił mych płomieni zdrojem,
Aż iskrą życia z martwoty ockniona,
Jęła oddychać w uściśnieniu mojem.

Aż dzieląc ze mną zapału podniety,
Skruszyła więzy swego oniemienia,
I zrozumiawszy tęschnotę Poety,
Oddała wzajem miłośne ściśnienia.
W ów czas i drzewa i kwiaty ożyły,
I śrebrny strumień począł śpiewać z wdziękiem,
Nawet bezduszne gór skalistych bryły,
Odgłos méj duszy powtarzały jękiem.

W ściśnionéj piersi nowy świat się toczył,
Potężnym szturmem domagał się życia,
By się w dźwięk, w słowo, w obraz przeistoczył,
Parł się przemocą z swojego ukrycia.
Jakiegoż kształtu nie było to dzieło,
Póki się w pączku ukrywało cichym!

Ach! jak się mało z tego rozwinęło,
A i to mało jakże było lichym!

Smiałéj odwagi uniesiony skrzydłem,
Młodzieniec życia puścił się zawodem,
Nie dał się trosek powściągnąć wędzidłem,
Szczęsny obłędnym wyobrażeń płodem!
Aż do najwyższych przestworza błękitów
Wzbił się strzelistym swych układów lotem,
Nie było głębi, ani takich szczytów,
Gdzieby nie stanął ich skrzydeł pomiotem.

Jakże się lekko uniósł w owe strony!
Bo szczęśliwemu cóż trudnego było?
W rydwanie życia widział zaprzężony
Leciuchny orszak, co mu pląsał miło!
Miłość ze swoją najsłodszą nagrodą,
Szczęście w swym wieńcu dokoła złocistym,
Sławę z gwieździstą na skroniach obwodą,
Prawdę w słonecznym blasku promienistym.

Lecz ach! w połowie życia mego drogi
Zdradna drużyna już mię porzuciła,
Wstecz posunęła swe ulotne nogi,
Zniknęła nagle, jak gdyby nie była!
Szczęście wionęło zbyt rączemi pióry,
Umysł badliwy trawiło pragnienie,
Coraz czarniejsze wątpliwości chmury
Ciemniły prawdy słoneczne promienie.

Na podłéj skroni, pohańbiony sprośnie
Widzieć musiałem święty wieniec chwały,
Ach! jakże prędko po tak krótkiéj wiośnie,
Piękne miłości chwile uleciały!
Pielgrzym samotny, opuszczony srodze,
Patrzał jak gasły jego szczęścia ślady,
Ledwie mu jeszcze na posępnéj drodze,
Nadzieja promyk uroniła blady.

Z téjże wrzawliwéj i tak świetnéj rzeszy,
Któż ze mną wytrwał wiernie i pospołu?
Kto mię w ucisku nieszczęścia pocieszy,
Kto zaprowadzi do ciemnego dołu?
Ty sama tylko ty przyjaźni święta!
Co twoją dłonią goisz wszystkie rany,
Co dopomagasz dźwigać życia pęta,
Com cię rad szukał, znalazł w czas żądany.

I ty, cóś zwykła iśdź z nią wiernym krokiem
Niezgięta praco, córko zatrudnienia,
Co wicher duszy śmierzysz twym urokiem,
Co zwolna tworząc, tępisz ząb zniszczenia,
Ty, co wieczności strzegąc od zatraty,
Do jéj budowy tkasz po jedném ziarnie,
Jednakże z czasów ogromnéj opłaty,
Twa ręka, chwile, dnie i lata garnie.

Są także poezye Szyllera, które nie wynurzając jego osobistych uczuć wiele mają ponęty i wdzięku. Pisano wtedy w Niemczech romanse i ballady o cudownych albo rycerskich przygodach. Bürger najpierwszy nadał wziętość temu rodzajowi; spokrewnionemu z poezyą średnich wieków, i przez to upodobaną ludowi. Goethe napisał kilka sławnych ballad, Anglia i Francya, mają także piękne ballady. (*)

Szyllerowi powiodło się w tym rodzaju poezyi. *Nurek*, *hrabia Eberhard z Wirtembergu*, *Fridolin rycerz z Togenburga*, *Rękawiczka*, *Walka ze smokiem*, *Hrabia Habsburg*, są to proste i łatwe opowiadania a jednakże poetycznym obleczone kolorem. Przytaczamy tłumaczenie *Nurka* przez P. Kamińskiego.

NUREK.

„Rycerz lub giermek, kto z męzkiéj ochoty
W téj się otchłani zanurzyć ośmieli?
Oto w nią rzucam puhar szczerozłoty,
Już go połknęła czarna paszcz topieli.
Kto mi ten puhar wydobędzie z wody,
Weźmie go w darze jako znak nagrody."

Król tak ogłasza i w téj saméj porze
Ze szczytu skośnéj, chropowatéj skały,
Co się w otwarte wychyliła morze,
Ciska w głąb puhar między wściekłe wały.
Któż się odważy, powtarzam pytanie,
Pornąć i zgłębić te wodne otchłanie?

Słyszy to orszak giermków i rycerzy,
I wszyscy milczą bojaźnią przejęci,
Bezdenność morza każdy okiem mierzy,
Lecz puhar zyskać żaden nie ma chęci.
A Król się pyta po trzeci raz znowu?
Nie ma nikt serca do tego połowu?

Wszyscy zostają w milczeniu głębokiem:
W tém ztąd, gdzie giermków strwożonych drużyna,
Skromny młodzieniec śmiałym idzie krokiem,
Zrzuca pas z siebie, żywo płaszcz odpina,
A ta odwaga w koło przestrach szerzy,
Zdziwia niewiasty i mężnych rycerzy.

Młodzieniec staje na pochyłéj skale,
W otwartą przepaść mocno wlepia oczy,
W tém wir te same które połknął fale,
Z okropnym rykiem na powierzchnią toczy,
I jakby gromem bijąc zawierucha,
Z czarnéj zatoki straszny wał wybucha:

I wre i kipi, i huczy i pryska,
Właśnie jak woda gdy się z ogniem zetrze,
Aż pod obłoki szumną pianę ciska,
Prą się bez końca bałwany w powietrze,
Niewyczerpane wciąż rzyga przestworze,
Jak gdyby z morza miało powstać morze.

Wszelako wściekłość skromić się poczyna,
A z białéj piany, razem niespodzianie
Rozdziewia paszczę czarna rozpadlina,
Bezdenna, jakby szła w piekieł otchłanie:
Kręcą się fale i warczą w zatopie,
Wir je w głąb ciągnie i skwapliwie żłopie:

Tu się, nim wybuch znowu wrócić zdoła,
Młodzieniec boskiéj poleca obronie,

(*) Literatura polska, chociaż późniejsza w tym rodzaju, nie dała się wyścignąć co do wartości płodów.

I... przeraźliwy słychać krzyk do koła,
Już się zanurzył, już w odmęcie tonie:
Pełna tajemnic paszcza się zamyka,
Odważny nurek z oczu nagle znika.

Wraz na powierzchni panuje milczenie,
Pod wodą tylko stęka huk daleki,
Do koła słychać głębokie westchnienie:
Dzielny młodzieńcze zginąłeś na wieki!
Wir coraz niżéj wyje po głębinie,
Każdy drżąc czeka, czy nurek wypłynie.

Gdybyś koronę w te chciał rzucić tonie,
I rzekł: kto zdoła wydobydź ją z wody,
Zostanie królem, osiędzie na tronie;
Jabym tak drogiéj wyrzekł się nagrody,
Bo co ta przepaść w swéj głębi ukrywa,
Tego nie powie żadna dusza żywa.

Nie raz od wiru pochwycona nawa
Skryje się nagle w téj strasznéj głębiźnie,
Lecz grób żarłoczny łupu nie oddawa,
Ledwie się czasem jaki szczęt wyśliźnie —
Tu co raz bliżéj odzywa się burza,
I mocniéj ryczy i już się wynurza:

I wre i kipi, i huczy i pryska,
Właśnie jak woda gdy się z ogniem zetrze,
Aż pod obłoki szumną pianę ciska,
Prą się bez końca bałwany w powietrze,
Niewyczerpane wciąż rzyga przestworze,
Jak gdyby z morza miało powstać morze.

I oto: z czarnych nurtów topieliska
Coś się wybija bielszego od śniegu,
Wyjawia ramię, jasnym grzbietem łyska,
I co ma siły porze się do brzegu.
Aż to on! puhar trzyma w lewéj dłoni,
Już nim wywija, wyskakuje z toni.

Oddycha długo, oddycha głęboko,
Swiatło dnia wita i modły zasyła,
Krzyk się radośny rozlega szeroko:
Żyje! ach żyje! otchłań go wróciła.
Z mokrego grobu, z przepaścistéj wody,
Wydobył duszę, powrócił bez szkody.

On się przez natłok przebija do Króla,
I wśród okrzyków pada na kolana:
„Oto jest puhar, spełniona twa wola."
A Król znak daje: córka ukochana
Aż pod wierzch w puhar nalewa mu wina;
Tu dzielny młodzian tak mówić zaczyna:

Żyj długo Królu! Niech szczęścia używa,
Kto tu oddycha i widzi dzień miły!
Lecz tam pod wodą mieszka śmierć straszliwa!
Bogów doświadczać jest zamiar nad siły,
Próżno chce człowiek odkryć to przemocą,
Co oni zgrozą pokryli i nocą.

Gdy mię wir chwycił, piorunem leciałem,
W tém rwiący strumień z pod wodnéj opoki
Wściekłym na poprzecz buchał na mnie wałem,
Wraz mię ujęły podwójne potoki,
I bystrym pędem wylękłego strachem,
Kręciły w koło potężnym zamachem.

Tu Bóg, któremu me usta zdrętwiałe
W téj strasznéj trwodze zasyłały śluby,
Wskazał mi w głębi w bok sterczącą skałę,
Jąłem się chyżo i uszedłem zguby.
Tu się i puhar zaplątał w koralach,
I tak w bezdennych nie zaginął falach!

Bo jeszcze bardzo głębokie przestrzenie
Kryła podemną szkarłatna powłoka,
A choć tu wieczne mieszkało uśpienie,
Przecież widziałem z wstrętem mego oka;
Że smoki, zmije, i różne poczwary,
W piekielnéj paszczy snuły się jak mary.

W najszkaradniéjsze pozwijane kłęby,
Rojem kipiały okropne straszydła.
To roch kolczasty, to tracz ostrozęby,
To młot, potwora straszna i obrzydła:
Kły wyszczerzając już się ku mnie wlekła
Morska hyena, haj, poczwara wściekła.

Tam ja wisiałem sam jeden i drżący
Ludzkiéj pomocy całkiem pozbawiony,
Między potwory, jeden czuciem tchnący,
W strasznéj samocie, śmiercią zagrożony,
W głębokiéj puszczy, wśród gadu łożyska,
Gdzie ludzkiéj mowy odgłos się nie wciska.

Tak zostawałem w okropnéj obawie:
Aż tu coś pełźnie, sto pomyka członków,
Chce mię pochwycić: ja bez zmysłów prawie
Puszczam się jętych koralu korzonków,
Wnet mię z wściekłością chwyta woda wrząca,
Ale na szczęście, do góry wytrąca.

Król go wysłuchał z wielkiem podziwieniem
A potém rzecze: weź ten puhar złoty,
I tym cię jeszcze obdarzę pierścieniem
W którym jak widzisz są drogie klejnoty,
Gdy znowu wskoczysz i powiesz dokładnie,
Co tam w tym wirze ukrywa się na dnie.

Słyszy to córka nadobna i tkliwa,
Ach! drogi ojcze, rzecze rozczulona,
Niech ci się srogich igrzysk nie zachciwa,
Co on wykonał, żaden nie wykona,
A gdy większego męstwa chcesz w ofierze.
Rozkaż, niech giermka zawstydzą rycerze.

Ale téj prośby Król nie ma na względzie,
Porywa puhar, w przepaść wiru ciska:
„Jeśli go śmiałość twoja wydobędzie,
Staniesz się godnym rycerza nazwiska,
I z tą, co teraz méj litości wzywa,
Dziś jeszcze ślubne złączą cię ogniwa.

To go przenika gdyby błyskawica,
Z ocz mu się iskrzy, odwagą goreje,
Spojrzy na przedmiót, bardziéj się zachwyca,
Widzi jak płonie, mieni się i mdleje,
Piękność nagrody wzmaga w nim żądanie,
Po śmierć lub życie rzuca się w otchłanie.

Że wybuch wraca, słychać to zdaleka,
Ogromnym hukiem ogłasza się wprzódy;
Królewna z łzami schyla się i czeka,
Wszystkie a wszystkie powracają wody,
Toczą się w górę, toczą na dół tonie
Ale młodzieniec pozostał w ich łonie.

(*Dokończenie nastąpi*).

REN.



Widok Renu pod Laufenburgiem.

Na śnieżystych wierzchołkach Alp, w tym wspólnym wodozbiorze Francyi, Włoch i Niemiec, znajdują się zrzódła Renu. Trzy wielkie potoki wypływające z okolicy gdzie także bierze początek Rodan, Tesin, Reuss i Aar, są głównemi żywiołami téj potężnéj rzeki. Pierwszy zowie się Renem przednim, albo Renem niższym i wypływa z małego jeziora znajdującego się na wielkiéj wysokości gór w zachodnim krańcu kraju Gryzonów. Drugi, zwany Renem środkowym, bierze początek w lodach góry Luckmanier, przy południowéj granicy kraju Gryzonów i wpada w Ren przedni. Te dwa potoki połączone, tworzą dosyć znaczną rzekę. Trzeci, zwany Renem tylnym, czyli wyższym, wypływa z okolicy jeszcze bardziéj malowniczéj: są to same zaspy śniegów i zawały lodów. Pod miasteczkiem Reichenau, o mil kilkanaście od źródeł swoich, łączą się te trzy potoki i tracąc oddzielne nazwisko tworzą jedną rzekę. Ren szeroki jest w tém miejscu na 230 stop i już zaczyna bydź spławnym dla mnóstwa łodzi. Ułagadzają się dzikie i ostre rysy jego krajobrazów; nie są już tak wspaniałe ale wdzięczniejsze i milsze. Po gęstych i ciemnych lasach północnych, po obnażonych skałach, po złowróżbych lodowiskach, następują kwieciem ubarwione łąki, bogate żniwa, sady, winnice. Kraina którą ta rzeka ożywia, od miasta Coire aż do Mayenfeld, jest tak piękna iż ją zowią doliną Tempe Szwajcaryi. Od Mayenfeld aż do Jeziora Konstancyi, Ren odgranicza Szwajcaryą od państw Austryackich. W téj części biegu, znowu dzikszą postać przybie-

ra. Płynie bardzo bystro, toczy odłamy skał i drzew, a przez to nie można żeglować po nim czółnami lecz tylko na tratwach. Wezbrany roztopami śniegów, wzbiera niezmiernie i pustoszy nadbrzeżne okolice. Przy upływie do jeziora Konstancyi, wody Renu już spokojniejsze, znowu służyć mogą do żeglugi. Wpadając do jeziora Konstancyi, przy jego wschodniéj stronie, rzeka przepływa je wzdłuż, idzie pod murami miasta Konstancyi, a wyszedłszy z głównéj części jeziora, wpada w część zwaną Untersee i ją także w całéj długości przecina. Gdy już porzuci jezioro i ku zachodowi weźmie kierunek, Ren już wówczas na 750 stop szeroki, niesie łodzie obciążone towarami Niemiec, Włoch i Szwajcaryi; lecz w krótce zmiana gruntu znowu przerywa żeglugę, i tworzy jeden z najwspanialszych obrazów na całym świecie. Za miastem Szaffhuzą, rzeka skręca się nagle ku południowi, jak gdyby chciała powrócić do Szwajcaryi. Lecz zaledwie w tym kierunku pół mili ubiegła, zaczyna bystrzéj płynąć; łoże się zwęża, głazy wystają ze wszystkich stron i rozbijają fale płynące w skalistym korycie. Wody tém bystrzéj i burzliwiéj płyną, im bardziéj zbliżają się do ogromnéj skały na któréj wierzchołku stoi zamek Laufen; tam urywa się nagle pokład skał po którym toczyły się fale, a cała massa rzeki spada z wysokości stop 70. Na samym krańcu przepaści, ława skalista wystawia u góry trzy słupy pośród rzeki. Nie podobna odmalować, z jak wściekłą gwałtownością, wody zatrzymane w najbystrzejszym pędzie, biją o te zapory, z jak przerażającą szybkością przesuwają się po obudwu stronach tych grobel, których przez tyle wieków jeszcze wzruszyć nie zdołały! Rozbite wody, zamieniają się w kurzawę, w pianę i krople deszczu i skrapiają okoliczne skały, ale ta kurzawa, ta piana, te krople spadają na ostatek w otchłań, w któréj massa rzeki burzy się z przerażającą mocą. O dwie mile od Laufen, huk głuchy już zapowiada wodospad. Wodospad ten, najpiękniejszy i największy w całéj Europie, ściąga licznych miłośników natury i przez to jest zrzódłem znacznego dochodu dla mieszkańców Szaffhuzy. Zmienia się jego widok, stosownie do pory dnia i roku. Najwspanialszym jest w porze roztopu śniegów; wówczas bowiem, wody znacznie wezbrane, odbijają się jak najświetniéj. W porze, gdy słońce wzbiwszy się w górę, rzuca promienie swoje na kataraktę, połyski światła przecinając się na wszystkie strony z kroplami deszczu, tworzą zachwycający widok, a przepaść okazuje się oświecona tysiącem kolorów tęczy. Obraz zmienia się i większéj nabiera uroczystości gdy noc zapada, gdy już z trudnością dojrzeć można pęd wód, a huk zdaje się bydź poważniejszym i straszliwszym.

Niektórzy, lubią oglądać wodospad przy świetle xiężyca; sprzeczność między ciszą przyrodzenia a rykiem fali, ma wówczas niewymowny powab.

Żegluga na Renie przerywa się o pół mili przed kaskadą i dopiero przy zamku Warth, poniżéj wodospadu, znowu się zaczyna. Liczne strumienie i rzeki: między niemi najznaczniejsza rzeka Aar powiększają massę wód jego. Pod Lauffenburgiem Ren nowe stawia zapory i niebezpieczeństwa. Znowu zwęża się w korycie, a skały granitowe tworzą drugą chociaż nie tak wielką kaskadę. W tém miejscu trzeba także towary na ląd wykładać. Ren płynie daléj ku zachodowi, między xięztwem Badeńskiém a Szwajcaryą, lecz znowu zwraca się w głąb téj ostatniéj krainy, skrapia miasto i część Bazylejskiego kantonu. Dopiero pod murami tego miasta, ostatecznie biorąc kierunek ku północy, opuszcza ziemię Helwetów. Szeroki jest wówczas na stop 600, głęboki na 10 do 12stu.

Porzuciwszy Szwajcaryą, Ren staje się rzeką Francyi i Niemiec i płynie przez kraje zupełną i starodawną szczycące się cywilizacyą, przez okolice, których doliny nie są tak zapadłe a góry nie tak wysokie; pozbywa się powoli swoich tak uderzających i malowniczych krajobrazów, i przerzyna nie tak szczytne ale ładniejsze i milsze okolice. Sztuka hojnie go uposaża, starożytne i sławne miasta stoją nad jego brzegami, a chociaż nie ma już wodospadów, pyszni się ze swoich mostów. Zacząwszy od Bazylei, płynie przez 46 mil francuzkich między Francyą a W. Xięstwem Badeńskiém. Posiany na téj przestrzeni niezliczonemi wyspami, rozlewa się na 1100 stop szerokości; lecz zmienia się jego głębokość a żegluga dosyć jest trudna. Zacząwszy od Lauterburga, oddala się od granicy Francyi, a wspaniałe miasta Niemiec ozdabiają obadwa brzegi Renu.

Na jego powierzchni unoszą się niezliczone statki i tratwy, a szerokość przenosi stop 1200. Zastosowane do wielkości rzeki, tratwy te są zbudowane w olbrzymiéj proporcyi i wyglądają jak pływające miasta, na których żyją liczne rodziny, razem z bydłem domowém. Podróż trwa tak długo, jak statek, któren przedawany częściami co raz się zmniejsza; osada zaś wówczas dopiero wysiada na ląd, gdy ostatni pas środkowy będzie sprzedany.

Od miasta Bingen na granicy wielkiego xięstwa niższego Renu, zaczyna się sławna kraina zwana Rhingau. Tam Ren rozwija całą wspaniałość. W otwartéj płynąc dolinie, ma 1800 stop szerokości. Już w Szwajcaryi brzegi

jego uwieńczone były winnicami, lecz wina z doliny Rhingau dochodzą do najwyższego stopnia wziętości; tam znajduje się sławne Johannisberg. Krajobraz jest wspaniały i okazuje pomyślny stan mieszkańców. Nad brzegami, wszędzie leżą piękne wioski, domy, winnice i sady.

Za doliną Rhingau zmienia się scena. Ren ma tylko 1200 stop szerokości, ściskają go dwa pasma gór, między któremi płynie. Na wierzchołkach skał stoją stare kaplice albo ruiny zamków. Pod miastem Kolonią, kraj staje się płaskim a rzeka płynie ku Holandyi przez prowincye Kliwii i Bergu. Brzegi niczém już nie zajmują oka.

Tylko co wpłynie na ziemię Holandyi, rzeka rozdziela się na kilkanaście odnog, z których jedne wpadają do morza północnego, drugie do jeziora Zuyderzee i tworzą nieprzebyty labirynt wysp i kanałów.

Ren od wieków ważnym jest pod względem politycznym jako granica krajów, jako linia działań wojennych, użytecznym jest dla handlu, gdyż rzeki wpadające do niego i kanały ułatwiają związki kupieckie. Wody Renu są bardzo czyste, jak to wskazuje jego nazwisko, z dawnego Germanów języka powzięte. Ludy bałwochwalcze mieszkające niegdyś nad jego brzegami oddawały mu cześć religijną.

WIOŚLARZ Z OHIO.

(Zarys obyczajów Amerykańskich).

Przed kilkoma laty, popłynąłem statkiem parowym z Pittsburg do Cyncynati. Urodziłem się nad brzegami rzeki Ohio i wspomnienia mojéj młodości nic mi nie przyprowadzały na myśl, procz małych czołen dzikich krajowców, którzy corocznie prowadzili do portu Pitta ładunki futer i tłuszczu niedźwiedziego. Późniéj, widziałem płaskie łodzie, mogące walczyć z pędem wody; a w kilka lat potém, wielkie statki z Ohio i Missisipi, rozszerzyły handel w zachodnich Ameryki krainach.

W epoce gdym się udał do Cyncynati, statek parowy kilka razy dopiero płynął z tego miasta do Pittsburg i głoszono powszechnie, że ten sposób żeglugi nie uda się na rzece Ohio. Powodowany ciekawością, czyli statek parowy będzie mógł korzystnie opierać się pędowi wody, odbyłem tę podróż. Statek płynął tak szybko jak strzała. W kilka godzin dosięgnął Katarakty Letort, gdzie zazwyczaj wysiadali podróżni, lecz zbliżając się do brzegu, zawadził o ogromny korzeń drzewa. Sternik usiłował przebyć tę przeszkodę.—,,W tył! w tył! zawołał głos na lądzie. Pomagajcie sobie drągami i bosakami, albo uwięźniecie ze szczętem.«

Radosnym okrzykiem powitano tego który nam dał tę radę. Poznałem wówczas Higfielda, jednego z moich najdawniejszych towarzyszów, z którym liczne odbywałem podróże. Stał oparty od niechcenia o pień dębu. Jego wysoki wzrost, strzelba którą trzymał w lewéj ręce, męzka twarz, nosząca ślady ostrego i pracowitego życia, szlachetna postawa, zwróciły uwagę wszystkich podróżnych. Była to w rzeczy saméj postać godna pędzla Salwatora Roza. Jego fizyonomia tchnęła spokojem, cera ogorzała od słońca, a muszkuły z stwardniałe nawyknieniem do trudów; chociaż liczył lat przeszło pięćdziesiąt; włosy miał czarne jak skrzydło kruka i posiadał czerstwość młodzieńczą. Miał na sobie surdut myśliwski z niebieskiego sukna, obszyty zieloną taśmą, mokassiny na nogach, skórzane spodnie i nóż myśliwski za pasem.

Statek przebył zaporę, a podróżni zaczęli wysiadać na ląd. Skoro tylko stanąłem na brzegu, Higfield zbliżył się do mnie i powitał mię. — »Jak się macie? rzekłem... —»Zdrów. A wy? odpowiedział i chwyciwszy mię za rękę ścisnął tak silnie na znak przyjaźni, jak żelaznemi kleszczami.

—,,Cieszę się że was spotykam, rzekł tonem prostéj uprzejmości. Chcecież pojśdź z nami? będziem strzelać do cynowego garczka.

Zrozumiałem Higfielda. W każdym innym razie byłbym odradzał tak niebezpieczną zabawę, ale będąc w towarzystwie dwóch Anglików, którzy kraj nasz zwiedzali, chciałem pokazać im jedną z najciekawszych rozrywek naszych osadników zachodnich.

Higfield z towarzyszami postąpił kilkanaście kroków od brzegu i utknąwszy drąg w ziemi wbił w niego gwóźdź na dwie części długości. Strzelcy stanęli o pięćdziesiąt kroków. Pięć wystrzałów nie trafiło wcale: sześć kul dotknęło gwóźdź i zwinęło go, ale kula Higfielda ugodziła gwóźdź w samą głowę, i wbiła go w deskę. Okrzykami uczczono ten dowód zręczności. Gdybyśmy mieli czas wolny, Higfield byłby pokazał naszym cudzoziemcom, zręczność w polowaniu na wiewiorki, w téj ulubionéj rozrywce myśliwców z Kentucky. Biegły strzelec nie mierzy do zwierzęcia, lecz w gałąź na któréj siedzi wiewiorka; kula odrywa gałąź a to nagłe wstrząśnienie zabija zwierzę. Higfield nie mógł także okazać nam jak zręcznie ucina knot świecy, kulą karabinową, nie gasząc światła. Lecz Anglicy mogli przynajmniéj bydź świadkami strzelania do cynowego garczka. Silny wioślarz, brat Higfielda, stanął o trzydzieści kroków od nas, i obróciwszy się



JELEŃ AXIS.

twarzą do brata, wziął garczek cynowy wiszący mu u pasa i postawił go na głowie.

Higfield wyczyściwszy jak najstaranniéj wnętrze lufy, wziął kulę w dłoń, nasypał tyle prochu aby zupełnie była przykryta, a potém nabił. Chociaż nieraz byłem świadkiem téj niebezpiecznéj rozrywki, dreszcz przeniknął mię wskróś, a towarzysze moi przestraszeni niebezpieczeństwem na które narażał się wioślarz, usiłowali oderwać Higfielda od jego zamiaru. Lecz on nie zważając na ich nalegania i prośby, postawił w tyle nogę lewą, a wlepiając oczy w brata, zwolna podniósł strzelbę do wysokości jego głowy. Przez kilka chwil zatrzymał broń w tém horyzontalném położeniu, tak niewzruszoną, jak gdyby silna ręka co ją trzymała, była wyrobiona z głazu. —„Mierz trochę niżéj bracie, albo zapłacisz zakład: zawołał wioślarz z zadziwiającą krwią zimną.

Nie wiem czyli usłuchał téj rady, lecz natychmiast usłyszeliśmy wystrzał, a cynowy garczek odleciał o kilkadziesiąt kroków, przedziurawiony kulą. Powstał krzyk uwielbienia i radości, a dwaj Anglicy pobiegli do odważnego wioślarza, patrząc czyli nie jest zranionym. Nic mu nie było i stał nie wzruszony na miejscu. Gdy kula ugodziła w naczynie, nawet nie zamknął oczu. Jego towarzysze nazwyczajeni do téj rozrywki, uważali ją za rzecz bardzo pospolitą. Powrócili po tém na łódź swoją i oddalili się od nas.

Higfield był wiernym wzorem tych odważnych wioślarzy którzy przed zaprowadzeniem statków parowych, przewozili wszystkie ładunki z prowincyi zachodnich, lecz teraz nie mogąc wytrzymać współubiegania, porzucili swój sposób do życia i przenieśli się w inne strony. Trudno pojąć, jak mogli znaleźć się ludzie, którzy za biedną zapłatę chętnie porzucali rolnicze prace i poświęcali się rzemiosłu wioślarza, wystawionemu na tyle trudów, nędzy i niebezpieczeństw. Nic bardziéj nie może zniszczyć zdrowia i przyśpieszyć kresu życia, jak ciężkie prace wioślarzy. Niepodobna ich sobie wyobrazić, zwłaszcza gdy trzeba płynąć pod górę rzeki mającéj niezliczone zakręty. Statek popychać muszą długiemi żerdziami, opierając je z całéj siły o piersi. Musiał posiadać nie pospolitą czerstwość ten, kto zdołał takie trudy wytrzymać. Ci ludzie, z pochylonym grzbietem i głową dotykającą się podłogi, byli podobni do wołów ciągnących wóz ciężko obładowany. Obnażeni aż do pasa dla chłodu i łatwiejszego ruchu, wystawieni byli na skwar słoneczny w lecie i na długie deszcze jesienne. Gdy przez cały dzień pchali statek, dawano im nędzną porcyą wódki, a po biednéj wieczerzy składającéj się z mięsa na pół spalonego i z czarnego chleba, kładli

się na statku, na gołych deskach i kilkogodzinnym snem orzeźwiali wycieńczone siły. O świcie budziła ich świstaczka sternika, a wypiwszy kieliszek wódki wracali do zwyczajnéj pracy.

Tym to statkom powierzali kupcy amerykańscy najbogatsze ładunki, mając za jedyną rękojmą podpis sternika, który nic nie posiadał prócz swego statku, i rzadko się zdarzało aby ich zaufanie zdradzone było. Pomiędzy temi wioślarzami, Higfield znamienite miejsce zajmował. Wyższém obdarzony pojęciem, w jakimkolwiek stanie byłby miał górę nad innemi. Higfield łączył siłę Herkulesa z pięknością rysów; od dzieciństwa nawykły do wszelkich niebezpieczeństw, nadzwyczajnie był odważny i sława jego rozciągała się od Pittsburga aż do Nowego Orleanu.

W kilka lat po mojéj podróży do Cincinnati, udałem się do Nowego Orleanu, statkiem parowym. Sternikiem naszym był znany mi właściciel łodzi, które wprzódy ułatwiały handel w tych stronach. Zapytałem go o los dawnych towarzyszów.

„Gdyśmy postrzegli, odpowiedział, że nie możemy ubiegać się z parowemi statkami, porzuciliśmy nasze rzemiosło: ci którzy mieli więcéj znajomości sztuki, zostali sternikami na statkach parowych, wielka część przyłączyła się do karawan handlujących z Indyanami, inni nareście zajęli się rolnictwem.

—„A cóż się stało z moim starym przyjacielem Higfieldem?

—„Higfield, odpowiedział, zginął w pośród wszczętéj kłótni. Zniewolony porzucić swój stan, nie chciał przyjąć obowiązków sternika, a czując że nie zda się do ucywilizowanego społeczeństwa, poszedł w lasy Missuri. W rok potém, gdy rozmarzony trunkiem strzelał do cynowego garczka, wymierzył za nisko i na miejscu zabił swego towarzysza. Jeden z przyjaciół zabitego, posądzając Higfielda że to naumyślnie uczynił, położył go trupem.

JELEŃ AXIS.

Jeleń axis, czyli *Jeleń z nad Gangesu* podług Buffona, żyje w Indostanie a zwłaszcza w Bengalu, a chociaż jego nazwisko znajduje się w Pliniuszu i innych autorach starożytnych, jednakże wzmianka tak jest krótka, iż nie można z pewnością wiedzieć, czyli o tém zwierzęciu mówić chcieli. Axis z postaci podobny jest do daniela, sierść ma jasno płową z białemi centkami na bokach i na grzbiecie; podbródek, brzuch i szyja są białe; ogon długi na dziesięć cali jest biały pod spodem, płowy z wierzchu i naznaczony czarnemi pasami.

Obyczaje dzikiego Axis nie są dobrze wiadome; od niejakiego czasu widziéć go można w wielu menażeryach. Rozmnażają się w stanie domownictwa, są żywe i wesołe.

SZYLLER

(dokończenie)

Po dwunastu latach przerwy, Szyller wrócił nareście do scenicznego zawodu. Już wszystko się w nim zmieniło, oprócz pięknéj i szlachetnéj duszy która w młodości mylną obrała drogę. Jego wyobrażenia o sztuce już nie były też same; głęboko zastanawiał się nad wzorami, nauczył się z zimną krwią uważać ludzi i społeczność, nauczył się znać przeszłe czasy i porównywać je z czasem obecnym. Co raz to bardziéj uszlachetnił ten świat poetyczny, w którym żyła jego wyobraźnia i wziął zupełnie odmienny moralny kierunek.

Pisząc historyą wojny trzydziestoletniéj, powziął zapewne myśl poematu dramatycznego *Wallenstein.* Dziełu temu poświęcał nie mało czasu i pracy. „Doznaję, pisał do przyjaciela, rzeczywistego udręczenia, gdy myślę o mojéj tragedyi Wallenstein; będę jéj musiał poświęcić siedm lub ośm miesięcy życia, którego trwonić nie powinienem i może na ostatku zrobię złą sztukę. Pierwsze moje utwory drammatyczne nie wzbudzają we mnie odwagi. Wchodzę w nieznany zawód, gdyż od lat kilku przyjąłem zupełnie nowy systemat.“

Czytał stare kroniki dla obeznania się z duchem i językiem dawnych czasów; obeznał się nawet z astrologią: gdyż jak wiadomo, Wallenstein wierzył w tę przesądną naukę.

Lecz mimo zamiłowania które czuł dla Szekspira, a niechęci do tragedyi francuzkich, nie mógł uniknąć wpływu epoki w któréj żył, ani zastosować się do Szekspira jak do klassycznego wzoru. Wallenstein mało ma podobieństwa do tragedyi angielskich. Zapewne Szekspir nie byłby zrobił trzech oddzielnych części ze swojego przedmiotu; nie mogąc objąć go w jednym i obszernym zakresie. Wystawmy sobie że Szekspir maluje tę samą historyczną epokę. Pośród grubych obyczajów swego wieku, pisząc językiem któren jeszcze nie znał piętna wykształconego towarzystwa, nic by mu nie przeszkadzało do odmalowania w wielkich rysach, obrazu *Wallensteina*; kilka scen rzuconych tu i owdzie, byłoby nam wysta-

wiło charakter żołnierzy; zepsucie wodzów i ich intrygi byłyby wskazane pośród nie przerwanego postępu zdarzeń, a charakter Wallensteina skreślony z równąż prawdą, nie byłby postradał cokolwiek ze swojéj wielkości, przez rozprawianie nad sobą samym.

Szyller utworzył swój drammatyczny poemat o Wallenstejnie z trzech następnych i oddzielnych części. Pierwsza jest prologiem bez akcyi i bez rozwiązania, ale przedstawia najprawdziwszy i najtrafniejszy obraz życia i charakteru żołnierza, jaki się utworzył przez lat szesnaście ciągłych wojen. Wszystko przypomina tam epokę którą chciał malować, wszystko zgadza się z barwą czasu, a jednakże wszystko jest głębokiém wszystko nosi cechę téj wiecznéj i powszechnéj prawdy, stanowiącéj urok drammatycznéj sztuki. Któż z nas, pośród wielkich wojen z Napoleonem co tak długo wstrząsały Europę, nie poznał mniéj lub więcéj tych obozowych obyczajów które Szyller skreślił? Powab tak wesołego, przygodnego i nie przewidującego życia, tak ożywionego wzruszeniem niebezpieczeństw, tak miłego przez bezczynność, to zaufanie w sile swojéj, ta karność zastępująca wszelkie prawa, to poświęcenie się dla wodzów, stawione w miejscu wszelkiéj moralności, wszystko to tworzyło wielki i uderzający obraz. *Pikolomini*, druga część Wallensteina, nie mają także ani akcyi ani rozwiązania i są owocem potrzeby odmalowania charakteru osób i miejsca. Znajomość serca ludzkiego, okazuje się równie w obrazie wodzów, jak żołnierzy.

Po tych przygotowaniach, przystępujemy do głównéj akcyi, oswojeni z osobami i okolicznościami, a wtedy tragedya ta nie wiele różni się zewnętrznym kształtem od tragedyi klassycznéj, lecz bardzo różni się duchem swoim. Wszystko bowiem ściąga się do malowania charakterów. Położenia drammatyczne wzbudzające tak głębokie wzruszenie, napotykają się w ciągu zdarzeń, lecz nie są węzłem drammatu.

Te trzy sztuki sceniczne, tworzące poemat *Wallenstein*, posiadają wzrastające zajęcie, odmienne zupełnie od tego, którego doznajemy przy tragedyach szkoły francuzkiéj, lecz które także ma władzę swoją i urok. Zdaje się, iż widziemy jak zwolna rozwija się przed nami pasmo naturalnych wypadków, których znamy przyczyny, których skutek przewidujemy. Przymiotem drammatycznego talentu, jest to, że umie tworzyć i ożywiać osoby, dać je poznać widzom: a któryż poeta posiadał ten talent w większym stopniu od Szyllera? *Wallenstein* wystawiony był na teatrze Wejmarskim w 1798. Goethe był utworzył ten teatr i nim kierował. Wejmar, miasteczko 6,000 ludności mające, było stolicą dworu na którym panowało najprawdziwsze upodobanie w pięknych naukach. Goethe posiadał względy xięcia i jego matki, xiężnéj obdarzonéj najpiękniejszemi przymioty. Herder i Wieland osiedli w Wejmarze. O trzy mile z tamtąd w tym samym okręgu jest sławny uniwersytet w Jenie. Sprawy małego kraju, rządzonego po ojcowsku i patryarchalnemu, nie wiele zabierają czasu. Wojna jeszcze była nie dosięgła środka Niemiec. Prowadzono zatém na dworze Wejmarskim jak najprzyjemniejsze życie, ożywione zapałem do nauk i sztuk pięknych. Publiczność w teatrze nie składała się z burzliwego tłumu jak w wielkich stolicach, którego zdanie i przychylność pozyskać, miłą jest ale razem niebezpieczną rzeczą. Był to jakoby teatr domowy, na którym aktorowie i artyści pewni wzajemnéj życzliwości, oddawali się swobodnie natchnieniom talentu. Goethe czynił na téj małéj scenie jak najbardziéj urozmaicone proby. Jużto urządzono salę jako starożytny teatr, i wystawiano tragedyę grecką dosłownie przełożoną. To znowu grano komedyą Terencyusza w maskach, podług starożytnego wzoru. Wierne tłumaczenia Szekspira grano nazajutrz po wystawie tragedyi francuzkiéj. Ubiory zrobione były jak najdokładniéj. Można zatem wyobrazić sobie, z jaką starannością wystawiono Wallenstejna, która to sztuka miała stanowić epokę w historyi niemieckiego teatru.

Szyller odtąd osiadł w Wejmarze. Tam, zupełnie zajęty sztuką drammatyczną, na łonie ukochanéj rodziny, otoczony najsławniejszemi literatami w Niemczech, był szczęśliwszym niżeli kiedykolwiek w życiu. Powiadają, że jego zażyłość z Goethem tkliwy przedstawiała widok. Szyller miał charakter niespokojny, drażliwy. Zazwyczaj był ponury i potrzebował ruchu i zapału dla ożywienia rozmowy. W prostych stosunkach towarzystwa, okazywał się niekiedy dziwacznym. Goethe znając tę otwartą i namiętną duszę, miał dla niego jak najczulsze względy i usuwał wszystko coby go draźnić mogło.

W krótkim lat przeciągu, wyszła na świat *Dziewica Orleańska, Narzeczona z Messyny i Marya Sztuart*, oraz tłumaczenia *Ifigenii w Aulidzie* Eurypidesa, *Mahbeta* Szekspira, i kilku komedyi z francuzkiego i włoskiego języka. Dziwną jest rzeczą, iż w Dziewicy Orliańskiéj, odstąpił Szyller od prawdy historycznéj i rzucił się w fantastyczność. Sztuka ta znana jest czytelnikom polskim z przekładu Andrzeja Brodzińskingo, ogłoszonego drukiem i wielokrotnie wystawianego w teatrze. Chociaż zdaje się, że Szyller, trzymając się historyi

byłby znalazł szczytne i rozdzierające sceny sądu Joanny, jednakże zaprzeczyć nie podobna, że cała ta sztuka ożywiona jest najwznioślejszym duchem poetycznym i należy do najcelniejszych utworów sceny niemieckiéj.

Narzeczona z Messyny, napisana była na wzór tragedyi greckich z chórami. Ale poeta nadając formy starożytne nowoczesnemu przedmiotowi i dzieląc chór na dwie nieprzyjazne strony, zatracił ducha starożytnego i nie dopiął celu. Talent Szyllera wykazuje się pośród błędów układu. Nienawiść dwóch braci odmalowana jest nowym i zajmującym sposobem. Ich pojednanie jest tkliwe i szczere. Chóry odznaczają się wspaniałą poezyą i liczone są do rzędu najpiękniejszych utworów lirycznych.

Marya Sztuart, zbliża się bardziéj do tragedyi francuzkich. Jakże wielka okazuje się różnica, między tą sztuką, a pierwszemi pracami Szyllera, tak co do malowania charakterów jako też znajomości serca ludzkiego! Nowego rodzaju wrażenia teatralne, nadają odrębną cechę Maryi Sztuart. W piątym akcie wszelka nadzieja już znikła dla Maryi; ani ona, ani widzowie już nie wątpią o jéj losie. Przygotowania niecofnionéj śmierci, obraz tak uroczystéj chwili, głębiéj wzruszają niżeli wszelkie udręczenia rozpaczy. Moralny pomysł téj drammy, wynagrodzenie wielkich błędów przez żal i nieszczęście, zgadza się z tą spokojnością tragiczną, która poprzedza śmierć Maryi.

Pośród prac drammatycznych, Szyller nie opuszczał poezyi lirycznych; wielką liczbę znamienitych utworów wydał w owym czasie. Najważniejszym jest *Dzwon*, *Pieśń Kassandry*, *Obchod zwycięztwa*.—Trzy te poezye znają czytelnicy w przekładzie polskim. W poemacie *Dzwon*, opisuje poeta w krótkich wierszach materyalną pracę, przerwy zaś między jedną a drugą robotą, zapełnia myślami pełnemi głębokiéj filozofii i wzniosłéj poezyi, do któréj użytek dzwonu nasuwa mu przedmioty.

Na wezwanie xięcia Wejmarskiego, Szyller wytłómaczył tragedyą Rassyna, Fedra, nie chętnie może, ale ze staraniem i prawością, które zachowywał we wszystkich czynnościach. Lecz przekład ten wyszedł dopiero po tragedyi *Wilhelm Tell*, ostatniem i najpiękniejszém dziele Szyllera. Zdaniem najuczeńszych znawców, jest to arcydzieło sceny niemieckiéj i w ogólności sztuki drammatycznéj. Jest to utwor talentu w całéj dojrzałości.

Szyller znajdował się wowczas w najszczęśliwszém i najsłodszém położeniu. Otoczony chwałą wzrastającą ciągle, przez nikogo niezaprzeczoną, szczęśliwy w domowém pożyciu, połączony związkami przyjaźni z najznakomitszemi ludźmi w Niemczech, ciesząc się ich towarzystwem, obsypany dobrodziejstwami xięcia, niestety! nie długo używał tych darów losu. Jego siły i zdrowie, szybko nikły. Przeczuwał swój los, a jednakże nie przestawał pracować z zapałem. Nauka była dla niego pociechą nie zaś trudem; powodzenie zachęcało go i nowe wkładało nań obowiązki. Drammatyczne pomysły cisnęły się do jego głowy; z pomiędzy nich najdaléj posuniętą była tragedya *Dymitr Samozwaniec*. Znaczne jéj ułamki pozostały w papierach Szyllera.

Wowczas to właśnie, kiedy mógł jeszcze wróżyć sobie długi zawod powodzeń i szczęścia, nielitośna śmierć przerwała pasmo tak chlubnego życia. Podróż do Berlina, którą odbył aby zobaczyć wystawę Wilhelma Tella, mocno go utrudziła i powrócił chory. Rodzina i przyjaciele powzięli o niego jak najmocniejszą obawę. Przyszedł cokolwiek do siebie i zajął się literackiemi pracami. Przy końcu 1804 r. napisał piękną scenę liryczną na ślub xięcia Wejmarskiego następcy tronu z wielką xiężniczką Rossyi.

W parę miesięcy potém, zachorował; rozwinęła się słabość piersiowa i umarł na nią 9 Maja 1805 r. Miał dopiero czterdzieści pięć lat. Lekki był zgon jego. Na kilka chwil nim wydał ostatnie tchnienie, pani Wollzogen zapytała go jak się ma: *Co raz to spokojniejszy*: odpowiedział. Była to w rzeczy saméj historya jego zgonu, i dla tego tak mocne wzbudza zajęcie. Jak zaspakaja i podnosi umysł, obraz ciągłego postępu téj gorejącéj i wzburzonéj duszy ku religii cnocie i szczęściu! Jakże nauczającym jest przykład tak czynnego umysłu, który wychowany z razu w zasadach moralności i pobożności, oburza się w wieku młodzieńczym przeciw przymusowi, śmie na wszystko powstawać, wszystkim pogardzać, a potém, doznawszy w téj walce samych tylko udręczeń, zwrócony zostaje, nie za wpływem władzy i obawy, lecz siłą rozumu i natchnieniem serca, do zródła wszelkiego spokoju, i w miarę jak tą zbawienną postępuje drogą, powiedzieć może z sumiennémprzekonaniem, „*Co raz jestem spokojniejszym.*" Jest to gołębica, która porzuciwszy arkę, i długo błądząc nad wodami przepaści, nigdzie zatrzymać się nie może i do boskiego schronienia powraca.

Szyller chciał ażeby go pochowano bez przepychu. W nocy zawieziono jego zwłoki do grobu; towarzyszył im orszak przyjaciół i młodzieży, oddali oni hołd temu, którego życie i pienia, wzbudziły w nich zapał do szczytności i cnoty. Opowiadają, że

podczas pogrzebu niebo okryte było chmurami, lecz w chwili gdy już ciało miano spuszczać do grobu, xiężyc pokazał się i blademi promieńmi oświecił grobowiec poety.

Po ukończeniu tego zarysu życia jednego z największych poetów, prawdziwą przyjemność uczynim naszym czytelnikom, umieszczając w pięknym przekładzie, wiersz Szyllera, *Godność kobiet*, w którym poeta stawiając obok siebie odmienny zawód mężczyzny i kobiety, maluje go odmienną miarą wiersza, tak, aby ta różnica powołania wydatną była razem dla myśli i dla ucha.

GODNOŚĆ KOBIET.

Czcijcie kobietę, ona ziemskie lata,
Niebieskich pociech różami przeplata,
Jéj dłonie wieniec miłości nam wiją;
Ona pod skromną Gracyi zasłoną,
Żywi starannie iskrę niezgaszoną
Najświętszych uczuć, co w jéj sercu żyją.

Z rzeczywistych krańców świata,
Wiecznie dziki mąż wylata,
I po namiętności toni,
Niespokojne myśli goni.
Serce niczém nieskojone,
Gdzieś w daleką leci stronę,
Gdzieś po gwiazdach, bez wytchnienia
Ściga marę ułudzenia.

Ale kobiety wejrzeń urok błogi,
Sprowadza zbiega z płonnéj marzeń drogi,
Na rzeczywisty ślad ziemskiego życia;
Prostéj natury wychowanka miła,
Skromnych zwyczajów matki nie zmieniła
Śród ścian rodzinnych lubego ukrycia.

Niespokojne męża ramie,
Zgubną siłą wszystko łamie;
Dziki, idzie bez wytchnienia
Śliską drogą przeznaczenia;
Co dziś stworzył, jutro kruszy,
A chuć wiecznie walczy w duszy,
Wiecznie, jako hydry głowa,
Z zgonem jednéj, rośnie nowa.

Ale kobieta kochająca, tkliwa,
Chwilowe kwiaty, cichszéj chwały zrywa,
A pod jéj ręką żaden kwiat nie ginie:
Wolniéj działając, choć w szczupłym zakresie,
Bogatsze plony i słodsze odniesie,
Bo się nie gubi po marzeń krainie!

Dumnym myślom mąż oddany,
Nie zna słodkiéj dusz zamiany,
Nigdy w zimném jego łonie,
Boska miłość nie zapłonie;
Dłoń nie zadrży w lubéj dłoni,
Łzy czułości nie uroni,
Bo przez ciągłe w życiu boje,
Zbyt zhartował serce swoje.

Ale jak harfa, od Zefirów tchnienia
Ledwie wzbudzona, boskie roni brzmienia,
Dusza kobiety w nieszczęścia godzinie,
Za każdéj troski lekkiém udręczeniem,
Cichém się w łonie ozywa westchnieniem,
Lub w łzach perłowych na lica wypłynie.

W wszystkich krokach, czynach, męża,
Dzika przemoc przezwycięża;
Ledwo z mieczem wyszli społem,
Pers przed Scytą bije czołem.
Namiętności rozkiełznane,
Walczą z sobą naprzemianę;
I tam huczy trąba wojny
Gdzie brzmiał dziewic śpiew spokojny.

Ale kobieta, uległa, trwożliwa,
Cnotą zwycięża, prośbą przekonywa,
Skłania do zgody umysły zawzięte:
Jéj głos, szalonéj zemsty uniesienia
Na tkliwy uścisk miłości zamienia,
Niezgodne dłonie, łącząc w węzły święte.

CENA PRENUMERATY MUZEUM DOMOWEGO.

w Warszawie, W KANTORZE GŁOWNYM w xięgarni F. S. Dmochowskiego przy ulicy Miodowej Nro 497, oraz w innych xięgarniach i Kantorach, rocznie złp. 18, półrocznie, złp. 10.
na Prowincyi, W Urzędach Pocztowych i po xięgarniach, rocznie zł. 24, półrocznie złp. 13.
Można także prenumerować na Urzędach Pocztowych, oraz u następujących xięgarzy.
w Kaliszu u Jahnischa.
w Radomiu w xięgarni tamtejszéj.
w Lublinie u Streibla.
w Poznaniu u T. Scherka.
w Krakowie u Friedleina i Czecha.
w Wilnie u Zawadzkiego.
tamże u T. Glücksberga.
w Winnicy na Podolu i)
w Kamieńcu Podolskim.) w xięgarniach braci Lechów.
Osoby prywatne na prowincyi zamieszkałe, któreby raczyły dopomódz upowszechnieniu pożytecznych nauk, przez zatrudnienie się zbieraniem prenumeraty, otrzymają na 10 exemplarzach 11ty gratis.



KAZIMIERZ NAD WISŁĄ

Szczątki spichlerzy Kazimierza W.

W województwie Lubelskiem, na prawym brzegu bystro bieżącej i wspaniałej Wisły, stoi miasteczko Kazimierz, z murami zamku na górze i szczątkami okazałych niegdyś śpichlerzy, z których jeden rycina dzisiejsza wystawia.

Miasta dawniejsze są u nas, aniżeli historya i pewne podania. Od 10go wieku znajdujemy już wielką ich część wzmiankowaną tak, jak jest do dnia dzisiejszego. O stanie ich pomyślnym i o ludności można się ztąd domyślać, że podług świadectwa Marcina Galla, samo Gniezno dostawiało 6,500 żołnierzy; Poznań 5,300; Kościan 3,000. Tak znaczna liczba, okazuje, z jednéj strony wczasie rozkrzewiony w nich przemysł, a z drugiéj wysoki stopień rolnictwa krajowego, które im potrafiło dostarczać potrzeb i zatrudnienia.

Kazimierz W. budując mnóstwo potężnych zamków i okazałych gmachów; opasując je głębokiemi przekopami, przyczynił im wspaniałości, zapewnił spokojność z bezpieczeństwem ich mieszkańców i dał im sposobność korzystania z ich przemysłu. Nie przestając na tém, troskliwy ten Monarcha o dobro mieszczan, ustanowił dla nich oddzielny trybunał sądowy, który pod okiem jego, wymierzał prędką sprawiedliwość.

Ochronione dotąd z dawnych tych epok dzieła, jak są dowodem stanu i stopnia

kwitnięcia wszystkich gatunków przemysłu, tak ztąd, że się wszędzie i po najlichszych zakątach kraju znajdują, wnosić można, że powszechnie już w nim były rozkrzewione. W miastach celniejszych, starodawne katedry, fary, klasztory, wszędzie w téj mierze potrafią zaspokoić ciekawość znawców.

Widok Kazimierza, zajmujące czyni wrażenie. Jadąc od strony Puław, nad samym brzegiem Wisły, z daleka jeszcze od miasteczka, postrzegamy kilkanaście szpichlerzy, po większéj części zamienionych w gruzy. Zbudowane z białego piaskowego kamienia, nie mają bynajmniéj téj posępnéj i czarnéj powłoki którą odznaczają się zwaliska grodów. Sciany jeszcze bardziéj zbielały od słot i wichrów; między rozpadlinami albo na wierzchu murów, rosną brzozy dość nawet znaczne. Kamień piaskowy pospolitym jest materyałem do budowy w okolicy Kazimierza, lecz niezmiernie jest nie trwały na działanie powietrza; gdy nasiąknie wodą, pęka po tém od mrozu i kilka lat zaniedbania już będzie dostateczne aby gmach rozsypał się w gruzy. Tak się stało z zamkiem stojącym na górze nad miastem Kazimierz, i z zamkiem Janowieckim, na przeciwnym brzegu Wisły. Droga prowadząca do miasta, posiana jest gruzami, które bez przestanku odrywają się od zamku i spichlerzów. Dwa lub trzy dopiero spichlerze, tuż pod saméin miasteczkiem, służą jeszcze do pierwotnego użytku. Póki kraje zachodniéj Europy nie rozwinęły własnego rolnictwa i znaczne zapasy zboża zakupywały od nas, miasto Kazimierz było głównym portem wiślanym dla południowych województw i ogniskiem handlu zbożowego. Upadło ze zmianą stosunków handlowych. Rynek Kazimierza, obudowany jest w koło, bardzo starożytnemi domami; trojkątna ich facyata, wyrabiane na niéj rozmaite płaskorzeźby, świadczą prostotę sztuki z czasów Kazimierza W.—Kościoł farny zbudowany przez tegoż króla, odnowiony przez Firleja Henryka, zasługuje na uwagę przez swoją starożytność. Za obrębem rynku, stare drewniane domy żydowskie noszą cechę zupełnego zaniedbania. Upadek handlu zbożem tak zgubny wpływ wywarł nad Kazimierz, że gdy przez kilkanaście lat pokoju za czasów naszych, tyle miasteczek wzrosło a przynajmniéj porządniejszą postać przybrało, Kazimierz pozostał w stanie zaniedbania i ubóstwa.

GUSTAW ADOLF.

Król Szwedzki.

Gustaw Adolf jest bohatyrską figurą XVIIgo wieku. Główny wypadek téj pamiętnéj epoki, traktat westfalski, któren ugruntował wolność wyznań w Niemczech i prawo polityczne Europy, był w pewnym względzie jego dziełem. W prawdzie, w zakresie wojny trzydziestoletniéj, dwa tylko lata należą do Gustawa Adolfa, lecz on stanowczy wywarł wpływ na jéj kierunek; wodzowie i żołnierze przez niego wykształceni, wykonywali tylko jego pomysły i zasady. Piękne miejsce zajmuje w historyi ten, kto stawił opór przeważnéj wówczas potędze domu austryackiego i prawie już wygrał sprawę, gdy go na polu bitwy cios śmiertelny ugodził.

Gustaw Adolf urodził się w Sztokholmie, w 1594, był wnukiem Gustawa Wazy, założyciela potęgi Szwedów. Miał dopiero lat 17ście, gdy po śmierci Karola IX swego ojca, odziedziczył tron Szwedzki. Natychmiast sam objął rządy państwa, chociaż świeżo wydane prawo oznaczyło pełnoletność królów Szwecyi dopiero po skończeniu dwudziestu pięciu lat życia. Lecz Gustaw Adolf okazywał tak dojrzały umysł, posiadał tak ukończoną edukacyą, że prawo to usunięte zostało dla niego. Na ten dowód zaufania odpowiedział najtroskliwszém staraniem o szczęście i chwałę swoich poddanych. Dodać należy, że już w 12stym roku życia wszedł był do wojska, a mając rok szesnasty już się oznał z publicznemi sprawami. Trafny umysł Gustawa, rozróżnił między radzcami państwa, najmłodszego z nich, Axela Oxenstierna, wielkiego statystę. Na jego zdaniu zupełnie polegał i przywiązał go do siebie najściślejszemi związkami przyjaźni. Rossya, Dania i Polska prowadziły wówczas wojnę ze Szwecyą. Gustaw nie mogąc razem walczyć z tak przeważającemi siłami, zawarł najprzód pokoj z Danią; zapłacił jéj 6 milionów talarów, ale odzyskał wszelkie zdobyte prowincye. W 1617 nastąpiła zgoda z Rossyą; z Polską zaś, gdzie się dość szczęśliwie jego orężowi powodziło, zawarł po zdobyciu Inflant, sześcioletnie zawieszenie broni. Tak zabezpieczywszy granice państwa, mógł zająć się wykonaniem wielkich i śmiałych zamiarów, nad któremi od dawna rozmyślał.

Toczyła się w Niemczech sławna wojna, trzydziestoletnią potém nazwana. Xiążęta Niemieccy którzy przyjęli naukę Lutra, zawarli związek mający na celu zachowanie wolności wyznań i opor przeciw potędze

domu austryackiego. Cesarz Ferdynand drugi, pokonawszy Danią i xiążąt protestanckich, mając wojsko ze 150,000 żołnierzy, pod dowództwem sławnych i doświadczonych generałów, otwarcie dążył do panowania nad całemi Niemcami i do zagarnienia Pomeranii szwedzkiej. Widząc to Gustaw Adolf, postanowił uprzedzić cesarza i ponieść wojnę w głąb jego krajów. Ale ponieważ przewaga Ferdynanda była uciążliwa wszystkim xiążętom Niemiec, ogłoszono zatém Gustawa jako obrońcę sprawy powszechnéj. Mniemanie to rzuciło wielki blask na przedsięwzięcie króla Szwedzkiego, nadało mu znamie bezinteresowności i religijnego zapału; lecz wprowadziło w błąd względem rzeczywistych jego pobudek. Gustaw Adolf nie myślał ogłaszać w Niemczech krucyaty protestanckiéj, a jeźli usłużył reformowanemu wyznaniu, niemniéj usłużył Szwecyi. W powzięciu tak wielkiego zamiaru, chociaż przewidział jak ważne skutki wywrze na Europę, miał przedewszystkiém na względzie interesa swojego państwa.

Przy końcu roku 1630, wylądował w Pomeranii na czele 15,000 Szwedów, gdzie go czekało kilka tysięcy żołnierzy. Mierząc wielkość niebezpieczeństw na które miał się narazić, przed odjazdem poczynił ostateczne rozporządzenia, i *urządził dom swój jak w godzinę śmierci*, mówi Szyller, Poddał zamiary swoje pod zatwierdzenie stanów państwa, wezwał je ze łzami w oczach, aby na przypadek jego śmierci oddały berło jego córce Krystynie i poruczył rządy małżonce swojéj, z przydaniem wybranych radzców. Łzy i okrzyki przywiązanego ludu pożegnały monarchę.

Zdawało się, że małe wojsko Gustawa Adolfa nie zdoła dokonać zamierzonego przedsięwzięcia; lecz ten monarcha, posiadając na polu bitwy świetną odwagę żołnierza, posiadał zarazem wielkie przymioty wodza. Pod jego twórczą myślą i potężną ręką, wojsko szwedzkie stało się wzorem dla wszystkich. Urządzenia Gustawa Adolfa stanowią epokę w dziejach wojny; z nich wykazuje się przyczyna jego zwycięztw; a nawet i później, wojska szwedzkie trzymając się przepisów tego sławnego wojownika, nie przestały zwyciężać, chociaż on ich nie prowadził do boju. Wojsko to, wynagradzało szczupłość liczby karnością i składem. Gustaw Adolf uważał je tylko jako zawiązek, w około którego skupiać się będą zaciągi zebrane w krajach nieprzyjaciela. Znając położenie Niemiec, wiedział król Szwedzki, że pierwsze zwycięztwo przeciągnie pod jego sztandary wszystkich protestantów i wszystkich awanturników najmujących się za pieniądze.

Gustaw Adolf, zbyt krótko pokazał się w Niemczech. Wylądowawszy w Pomeranii w 1630, zginął 16 Listopada 1632 w bitwie pod Lutzen. Ale też sama krótkość czasu, jeszcze powiększyła blask jego chwały. Tylu dzieł dokonał, iż dziwić się trzeba, że je zdołał zamknąć w krótkim dwóch lat przeciągu. Odniósł trzy wielkie zwycięztwa; pod Lipskiem, nad brzegami rzeki Lech i pod Lutzen; Szwedzi dostali się w głąb dziedzicznych krajów domu austryackiego; ponieśli sztandary swoje od brzegów morza Baltyckiego aż do Elby, Renu i Dunaju; xiążęta niemiecy powrócili do państw swoich; Tylli i Wallenstein wodzowie Ferdynanda cesarza, pierwszy raz zwyciężeni zostali; związek protestancki odzyskał potęgę; Szwecya zajęła pierwsze wówczas miejsce między mocarstwami północy; krótko mowiąc, Gustaw Adolf założył podstawy, na których w szesnaście lat po jego śmierci stanął traktat westfalski.

Było mniemanie, nie oparte wprawdzie na żadnych dowodach, że Gustaw Adolf zginął wśród bitwy, nie od kuli nieprzyjacielskiéj, lecz z ręki xięcia Alberta Saxe-Lauenburg, o którym Szyller pisze, iż zdolnym był do takiéj zbrodni. Niedawno wydane listy jednego z oficerów Szwedzkich, który walczył przy boku Gustawa, wyjaśniły, że padł ugodzony kulą austryacką. W zbrojowni wiedeńskiéj znajduje się kaftan bawoli tego wojownika, przeszyty dwoma kulami. Zwłoki Gustawa zawiózł xiążę Bernard Wejmarski do Wejsenfels; zkąd je potém odprowadzono do Sztokolmu. Serce pozostało w Wejsenfels, w kraju, za którego sprawę Monarcha Szwedzki walczył i poległ.

Gustaw Adolf, okazywał w domowém i towarzyskim pożyciu, te przymioty duszy i umysłu, które podwyższają odwagę i śmiałość. Był kochającym, szczerym, prawym, wspaniałomyślnym, skorym do gniewu, a jeszcze skorszym do żałowania za błędy, wesołym i przyjemnym w pożyciu. Te rycerskie przymioty, podwyższała pobożność, jawna i surowa, ale wolna od przesady i nietolerancyi. Ułożył modlitwy i kazał je odmawiać wojsku swemu w oznaczonych godzinach. *Dobry chrześcianin nie może bydź złym żołnierzem*, mawiał. Pierwszy raz wysiadając z okrętu na ląd Niemiec, uklęknął dziękując niebu iż ochroniło jego flotę; a przed bitwą pod Lutzen, całe wojsko szwedzkie, padłszy na kolana, za przykładem króla, tkliwym hymnem wzywało opieki Boga.

Wielki wojownik, Gustaw Adolf był także wielkim administratorem; prawodawstwo, nauki, sztuki i umiejętności doznały od niego zachęty i wsparcia; a chociażby nawet bi-



GUSTAW ADOLF KRÓL SZWEDZKI.

twa pod Lutzen była dla Szwedów tak zgubną jak bitwa pod Połtawą, pomyślny byt królestwa nie byłby przez to ucierpiał. Gustaw Adolf otworzył zrzódła, których nie zniszczy jedna przegrana. I dla tego to, monarcha ten wyższym jest nad Karola XII, za którego rządów Szwecya nabyła chwilową tylko przewagę, nie mogącą przetrwać jednéj stanowczéj klęski.

ZARYS PISMIENNICTWA WE FRANCYI.

(*z Niemieckiego*).

Co jest z większą korzyścią dla nauk i oświaty, czyli, żeby uczeni i literaci składali stan osobny i pismienne ich prace były dla nich głównym a nawet jedynym sposobem utrzymywania się? czyli też, aby też prace były tylko owocem chwil wolnych od innego powołania, albo płodem swobodnéj myśli autora, mającego stały i niezawisły majątek. Wielu mniemało i mniema, że praca umysłowa, podobnie jak każda inna, wówczas jest użyteczną dla społeczeństwa i odpowie celowi swemu, kiedy ten kto się jéj poświęca, znajdzie w niéj zarazem nagrodę łożonych trudów i zaszczytny sposób do życia. Drudzy twierdzą, że ponieważ prace umysłowe zupełnie są różne od prac fizycznych, od przedsiębierstw przemysłu i handlu, tak też, wtedy tylko mają swoją cenę i godność, kiedy nie łączy się z niemi żaden poziomy widok korzyści; kiedy filozof może swobodnie oddać się rozmyślaniom, badacz przyrodzenia mozolnym i długoletnim postrzeżeniom, a poeta szczytnym natchnienia popędom; kiedy żadna myśl zysku, i konieczność opędzania potrzeb życia, nie kieruje pracami uczonego, lub poety. Za dowód przytaczają, iż najzna-

mienitsze utwory geniuszu, najważniejsze i najgłębsze badania, są dziełem tych, którzy naukom poświęcając dni swoje, nic nie mieli na względzie prócz samej nauki. Jakkolwiek pozorne i pochlebne dla nauk, zdaje się bydź mniemanie na początku tych uwag wyrażone, jednakże doświadczenie wykazuje słuszność przeciwnego zdania. Rzućmy okiem na Francyą, na stan pisarzy i piśmiennictwa w Paryżu. Tam najwyżéj doszło i zamiłowanie w czytaniu i wpływ piśmiennictwa; tam autorstwo jest stanem, a pisanie i wydawanie xiążek potrzebą i jednym z najgłówniejszych rodzajów przemysłu krajowego. Jakie z tego wynikły skutki tak dla nauk pięknych, jako też dla ogólnéj cywilizacyi kraju, okaże się to z naszych badań.

Nie może tu bydź mowa o naukach scisłych; dzieła w przedmiocie nauk przyrodzonych, wynalazków, przemysłu, handlu, były i będą płodem professorów po akademiach i szkołach technicznych, albo też ludzi zamiłowanych w umiejętności, w zaciszu domowém oddających się długim i kosztownym badaniom.

Polityka, teatr i piękna literatura, oto jest niwa, którą tysiące pisarzy bez ustanku przewraca we Francyi. Zaufanie we własnym talencie, łatwy sposób zarobienia na życie, świetne widoki w razie wywyższenia się nad poziom, skłania tłumy młodzieży do autorskiego zawodu, odciąga ich od zatrudnień skromnych i cichych, gdzieby i sobie i społeczności użytecznemi bydź mogli, i prowadzi w odmęt stolicy, gdzie może z tysiąca jeden tylko szczęśliwym zbiegiem wypadków wydostanie się na szczyt wziętości i fortuny, a reszta albo umiera z nędzy, albo też służąc za pomocników i narzędzia xięgarzom i sławniejszym autorom, przyczynia się do obłędu wyobrażeń, i do téj niespokojności, która bez ustanku całą budowę towarzyską we Francyi gotowa jest zaburzyć i zniszczyć, w téj nadziei, że pośród zamętu nic do stracenia a wszystko do zyskania mieć będzie.

Publiczność lubi czytać i bez ustanku potrzebuje nowości. Niezliczone gabinety czytania, pozakładane w każdém prawie miasteczku, utrzymują się nowościami i wołają o nie na xięgarzy Paryzkich; Xięgarze wołają na autorów. Już od dawna wyczerpano piękną i szlachetną stronę serca ludzkiego; wyczerpano śmieszności domowego pożycia; rozbojnicy, stare zamki tajemne przejścia, już przestały bydź nowością, już nie wzbudzają ani ciekawości ani drżenia; rysy salonów i obyczajów wyższego świata, także już znalazły mnóstwo malarzy. Romans historyczny potrzebuje i wielkiego talentu, i długiej nauki i dokładnéj znajomości miejsc i obyczajów, a żaden z tego tłumu pisarzy nie stara się o te warunki. Cóż więc wystawiać? o czem pisać? Najsławniejsi na teraz autorowie francuzcy, nie spodzianie znaleźli nową i bogatą kopalnię. Oschłe samolubstwo, potarganie i wzgarda najświętszych związków społecznych, niewdzięczność, zdrada, wyparcie się i zapomnienie obowiązków męża, żony, dzieci; ale to wszystko z poszanowaniem i względem na artykuły prawa karnego, tak, aby nie podpaśdź pod jego nieubłaganą władzę, o to są przedmioty najznakomitszych i najnowszych romansów francuzkich. Czytając je doznajemy niechęci i wstrętu ku ludziom; żałujemy rozwlekłych może, ale przynajmniéj nie tak bolesne czyniących wrażenie, płodów niemieckiego Lafontena, Genlis i innych. Zapytajmy siebie samych co myśleć mamy, jakie wyobrażenie utworzyć sobie, o pisarzach i o społeczeństwie z którego tak przykre, tak przeciw towarzyskie, obrazy skreślono?

Smutna rzecz, gdy pomyślimy, że dzieła mogące tak szkodliwy wpływ wywierać, tak głęboką nacechowane przewrotnością, są skutkiem bez ustannie nalegającéj potrzeby nowości, są płodem autorskiego rzemiosła. Zdaje się że i ten rodzaj już się wyczerpuje, i w wielu najnowszych płodach, znajdujemy już w jego miejscu, metafizykę, mistycyzm i psychologiczne rozumowania. Toż samo rzemiosło autorskie, namnożyło nieprzeliczony rój pamiętników historycznych; w których jest wszystko, oprócz historycznéj prawdy. Massa Monitorów francuzkich, bulletyny wojska Napoleona, kilka dzieł historycznych, są magazynem, z którego, najęci pisarze, za lichą zapłatę od arkusza, tworzą pamiętniki jakich tylko xięgarz zażąda. Dziś nazywają się xiężną de B*** jutro Robespierem; potém będą kamerdynerem cesarza albo honorową damą cesarzowéj; Ludwikiem XVIII albo Latudem; xięciem Tajllerandem albo *Vidokiem* (a) Przerwy między faktami historycznemi, znanemi już oddawna, napełniają sfałszowane anekdoty, wyrazy kładzione w usta, znamienitych ale już zmarłych ludzi, których nigdy nie rzekli, i to się nazywa *historycznym pamiętnikiem.* Dziennikarstwo tąż samą idzie koleją, kompilacya wyradza kompilacyą; ale w dziennikach politycznych piśmiennictwo zamienione w rzemiosło, stokroć szkodliwsze skutki

(a) Pamiętniki wydane pod imionami tych osób, są zfałszowane i tylko są płodem spekulacyi xięgarskich.

zrządza. Codzienny polityk, będzie republikanem, legitymistą, doktrynerem, podług ceny jaką za artykuły otrzymuje; nie dba o to że staje się sprawcą niepokoju i zgorszenia: gdyż dwie koleje nie omylnie spotkać go muszą: albo *zamkną* mu usta dając urząd; albo za nadużycia druku *zamkną* go w domu Stéj Pelagii, a ta kara, nada mu wziętość i droższemi uczyni jego wyroby. Wprawdzie, czynilibyśmy krzywdę literaturze francuzkiéj gdybyśmy wszystkich pisarzy, wszystkie dzienniki obejmowali w tym zarysie. Chateaubriand, Lamartine, Wiktor Hugo, Michaud, Bertin de Vaux. Emil Girardin, europejską sławę posiadają, a talenta jednych, szlachetne i prawe dążenia drugich, wynagradzają choć w części przynajmniéj, poniżenie tłumu piszących i piśmiennictwa we Francyi.

Cóż dopiero powiedzieć o drammatycznych utworach? Kilkanaście teatrów francuzkich, chłonie tysiące sztuk, tysiące autorów. Jeżeli się znajdzie jaki pisarz z wyższym talentem, który pierwszym utworem dobrze przyjętym rozgłosi imie swoje, natychmiast nachodzą go tłumy xięgarzów, dyrektorów teatru, wydawców pism peryodycznych. Nie dozwalą jego talentowi rozwinąć się w cichości, ustalić się rozwagą i nauką. Zamawiają dzieła, sztuki sceniczne, artykuły. Ofiary te pochlebiają próżności, podżegają chciwość; autor staje się pisarzem z rzemiosła; talent jego wyczerpnie się wkrótce i z téj to przyczyny u wszystkich tego-czesnych pisarzy, najlepsze jest dzieło którém się dali poznać światu. Następne są co raz słabsze, co raz mierniejsze.

Talent i czas pojedynczego pisarza, nie wystarczyłby żądaniom i obstalunkom xięgarzy i dyrektorów teatru. Przychodzi mu w pomoc spółka literacka, to istotne zabójstwo talentu i geniuszu, ta największa klęska jaka spotykać może młodych poczynających autorów.

Młody człowiek czując w sobie powołanie do autorskiego zawodu, porzuca stan który mu wybrali rodzice; pozbawiony ich pomocy, mniema, że tak się wsławi i wzniesie, jak kilkunastu uprzywilejowanych pisarzy. Utworzył piękny romans w dwóch tomach, i uprosił jednego ze sławnych literatów, aby go przeczytał i osądził. *Sławny literat* nie czytał romansu, ale w kilku słowach pochwalił dzieło i wskazał adres wydawcy. Młody człowiek uradowany, niesie do xięgarza rękopism opatrzony nieoszacowanym przypiskiem. Xięgarz przyjmuje go bardzo grzecznie i ofiaruje sto talarów za romans, oświadczając, że aby nie obrazić miłości własnéj autora, w kontrakcie przedaży stać będzie 2,000 franków! Sto talarów za dwa tomy, wynosi po 6 franków za arkusz. Autor sześć dni poświęcał na pisanie arkusza, zarobił za tem frank na dzień. Tyleż zarabiają mularze i cieśle. Oburzony taką ofiarą, odchodzi z rękopismem. Napisał sztukę dramatyczną. Ileż to zabiegów i trudów łożyć musiał, nim ją artyści raczyli przeczytać! Sztuka jest dobra, ale ponieważ autor nie jest jeszcze znany, musi więc przybrać sobie *wspólnika*. Ten *wspólnik*, jest to dawny pisarz, wsławiony początkowemi pracami, ale który już wyczerpał cały swój dowcip i talent, a teraz jak upior literacki wysysa młodych autorów. Rzemiosło to przynosi mu wielki doc hód i znaczenie. Wspólnik, nakręca i psuje sztukę podług swego widzimi się; jego nazwisko stać będzie na afiszu przed nazwiskiem młodego pisarza: w razie powodzenia, większa część chwały i zysku spadnie na *wspólnika*, w przeciwnym zaś przypadku, usłużni dziennikarze zwalą całą winę na poczynającego autora. Daremnie oburza się na tę niesprawiedliwość, przyciśniony niedostatkiem musi przystać na wszystko. Toż samo robi z romansem; przypuszcza do współki, znanego już autora, i długie lata upływa, zmarnują się jego najpiękniejsze pomysły, zanim wydobędzie się na wierzch i z cierpiącéj ofiary, sam zostanie literackim upiorem. — A teraz osądźmy, czyli piękne powołanie autora, zamienione w stan a raczéj w rzemiosło pisarskie, zbogaca literaturę, rozwija talenta i wpływa zbawiennie na moralne ukształcenie i postęp społeczeństwa.

LISTY XIĘDZA ALBERTRANDEGO.

(*ciąg dalszy*)

Z Sztokolmu w Październiku 1789 r.

Pożegnałem się z JWWP. Dobrodzjeiem przy wjeździe do Kopenhagi; wracam się więc na to miejsce.

Deszcz nie mały padał, kiedym dnia 6 Września około godziny szóstéj do tego przyjeżdżał miasta. To przywitanie dosyć przykre, gorszym jeszcze się stało, przez niegrzeczność celnego stróża, który mimo deszcz i liczne paszporty moje, zatrzymał mię w bramie, i uparł się wizytować mój tłómoczek, co dosyć długo nudnie, a jednak niedokładnie wykonał, a zatym siebie nagrody, którąbym chętnie był dał, pozbawił, mnie od kosztu dla ukarania niegrzeczności uwolnił.

Stanąłem w Koppenhadze gospodą na przeciw zamku, który zatym przez cały

czas mojego tam bawienia się miałem przed oczami. Zamek ten stoi na wyspie, kanałem od morza ciągnionym uformowanéj, tym kanałem statki wielkości naszych wiślanych najogromniejszych, na wszystkie strony żeglują i pod oknami stawają. Pałac ten na podziw przypomina gmach ów niezmierny króla Neopolitańskiego w Kazercie, ale w ogromności jemu nieco ustępuje.

Jakkolwiek bądź, pałac jest wspaniały, i żadnemu z tych które dotąd widziałem, oprócz Kazerty, nie ustępujący, cały z ciosowego kamienia z Pirny z Saxonii sprowadzonego zbudowany, a na wielu miejscach, mianowicie na schodach włoskiemi marmurami ozdobiony, których jednak nie najlepszym gustem użyto. Wschodów ozdoba i wspaniałość daleka jest od wspaniałości wschodów kazertańskich, a ktoby na nie z zawiązanemi przyprowadzony był oczami, nagle je ujrzawszy, mógłby sprawiedliwie wątpić czy do prywatnéj kamienicy nie należą. Mówię o pryncypalnych schodach, bo inne tak brzydkie i ciemne, iżby i kamienicę szpeciły.

Miasto jest piękne, po większéj części przestronne ulice mające, bardzo dobrze brukowane, z chodnikami dla pieszych. Oprócz jednéj ulicy bardzo długiéj, inne choć są proste, jednak z berlińskiemi nie mogą być porównane. Domy po większéj części z szczerego muru stawione, wysokości jak nasze, ale wszystkie prawie z szczytami. Jest nie mało placów, między któremi są i bardzo przestrone. Jeden najbardziéj mnie się podobał, od czterech jednostajnych pałaców nazwany, z posągiem spiżowym przeszłego króla, na koniu siedzącego. Stoi ten posąg na postumencie wysokim marmurowym, z medalionami różne dobrodziejstwa tego króla w łacińskich napisach wyrażającemi.

Do tego placu kilka ulic pięknych prosto prowadzonych przypiera, z tych jedna, z tyłu królewskiego posągu, ma widok na część portu, a na przeciw jéj kończy się ulica wielkim nie dokończonym gmachem do rotundy Rzymskiéj podobnym, który kościołem być miał, ale nie jest wielkie podobieństwo, aby kiedy miał być dokończony. Port obszerny jest i przestronny. Bronią wejścia do niego z jednéj strony bateryе cytadelli mocno okopanéj, któréj armaty wielą rzędami rozstawione i z góry, i równo z płaszczyzną wody, dosięgnąć mogą okręty wszystkie wniść pragnące. Też okręty mogą tegoż czasu być dosięgnione od innych batteryi na krzyż z poprzedzającemi bijących, wystawionych na szańcu pośród morza wysypanym. O podal, to jest o milę od portu, kiedym był w Kopenhadze, widać było długim pasmem rozstawione okręty i fregaty flotty Duńskiéj, mające na 20,000 żołnierzy i majtków, co wielki łowieniu ryb uszczerbek przynosiło, i tym samym drogość żywności pomnażało. W tym widoku określa horyzont Szwecya, z ogromnemi górami swemi, ledwie się pokazująca. W porcie było wiele okrętów kupieckich wojennemi przeplatanych, które albo rynsztunku pozbawione były, albo jeszcze na morze nie zepchnięte. Ale w téj mierze widok Elby pod Hamburgiem daleko jest żywszy i okazalszy. Policya w mieście jest przedziwna.

Przy porządku, bezpieczeństwie, i obyczajów ułożeniu, należałoby się spodziewać, iż obywatele są szczęśliwi. Wszakże jednak inaczéj się rzecz ma; klima jest przykre i tak niestateczne, że obywatele Szwedom zazdroszcząc, za daleko od siebie szczęśliwszych ich poczytują. Powietrze jest uprzykrzone, wody niezdrowe, ztąd wynika powszechna melancholia, która nad wszystkiemi panowanie swoje rozciąga, i któréj uchronić się najweselszych nawet narodów ludzie, po kilkoletniém w Kopenhadze zamieszkaniu nie mogą. Ta melancholia nawet nad umysłami pospólstwa przewodzi.

Oglądałem tu wszystko co mojéj ciekawości być godnego rozumiałem. U niejakiego *Spenglera* rodem Szwajcara, dozorcy galeryi albo skarbcu królewskiego, jest kollekcya niezmierna muszlów, jakiéj równa ledwie się w Europie znajduje, wiele muszlów jest, których pojedyńcze sztupo kilkaset talarów płacił, porządek, ułożeniu, mnóstwu i wyborności równa się. Ma także kruszców nie mało i kilka wybornych obrazów. U niejakiego Pana *Treschów* ministra Luterskiego, dwa pokoje są pełne obrazów między któremi wiele jest bardzo wybornych, mianowicie Sacrificium Abrahami, autora nieznajomego, ale szkoły włoskiéj, i obraz S. Franciszka *Guido-Reniego*, nakształt tego który jest w Neapolu u Oratorianów. Obraz ten piękności jest cale nadzwyczajnéj i wszystkie ma charaktery oryginału. U innego który długo kapitanem był na okrętach kupieckich, i wiele ma oświecenia, znajduje się kollekcya najwyborniejsza do historyi naturalnéj Islandyi należąca, w któréj najrzadsze zeolity, stalaktyty, lawy, kamienie, kryształy z téj wyspy znajdują się.

Skarbiec królewski zawarty jest w galeryi niezmiernéj i kilkunastu pokojach i salach, w jednostajnym ciągu z galeryą położonych, ściany wszystkie kilkuset obrazami tak dawnemi jako i świeżemi ze wszystkich szkół są okryte. Najwięcéj jednak jest obrazów szkoły Hollenderskiéj.

Królewska biblioteka w tymże zamku położona, długości jest prawie królewskiej w Warszawie, ale daleko szersza i wyższa, ganek na około rozciągający się wsparty jest na kolumnach, na ganku i pod gankiem są szafy, i przed kolumnami, dla pomieszczenia większéj kwoty ksiąg, rząd jest szaf, od tych które przy ścianach są, niższych. Cała dekoracya nieskończenie jest mniéj okazała niż w Warszawie, ale z drugiéj strony księgi daleko są liczniejsze, i do sta tysięcy dochodzą. Żadnéj klassy nauk nie masz gdzieby się kapitalne do nich należące księgi, bez których biblioteka biblioteką nazwana być nie może, nie najdowały. Układano je właśnie kiedym tam był, i uważałem że porządek ten właśnie zachowywano, który we wszystkich walnych bibliotekach wszędzie widziałem.

Na końcu jednym sali, jest gabinet rękopismami napełniony, ale ten w nieporządku zostający, tym większéj reformy potrzebuje, iż z daru Hrabi Ottona de Thott w r. 1785 zmarłego bardzo wiele rękopismów przybyło, które z dawnemi mają być złączone. Jest między temi rękopismami kilkanaście poważnéj starożytności manuskryptów Biblii, autorów klassycznych, ale najwięcéj starych manuskryptów Francuzkich.

Dnia 12 Września z rana, wyjechałem z Koppenhagi do Helsingör, które pospolicie Elsenorem zowią. To miasto o 6 duńskich mil od Koppenhagi położone, Sundem od Szwecyi przedzielone jest. Ta ciasnina morska tak wązka tam jest iż budynki i okna na przeciwnym brzegu w mieście Szwedzkim *Helsingborg* rozeznać można.

Po obiedzie, na który od konsula Francuzkiego byłem zaproszony, i na którym był przytomny P. *Hoffmann* konsul Rossyjski, gdy morze zupełnie ucichło, wsiadłem na bat a częścią żaglami, częścią wiosłami w przeciągu godziny jednéj przeprawiłem się przez Sund i w *Helsingborg* pierwszym mieście Szwedzkim stanąłem.

Pandite nunc Helicona, novus jam nascitur ordo!

Przy pierwszym wstępie poznałem, jako przy wielkich dostatkach można być ubogim, a istotnych potrzeb niedostatek łączy się czasem z zbytkiem. Posiadając 6 lub 7 języków, w tym kraju bardzo jest ciężko rozmówić się. Dalsza podróż ustawicznem téj rzeczy potwiredzeniem była, a nie raz przyszło mi na migi potrzeby moje wyrażać. W Helsingborg pocztę i gościniec trzymający umiał przecię po Angielsku, i ostatki tego języka odemnie już zapomniane, bardzo mi posłużyły. Mając z tamtąd do Sztokholmu 58 mil Szwedzkich drogi, które naszych blisko 100 czynią, dla uniknienia nudów przekładania rzeczy, kupiłem sobie wózek kowany, z osiami żelaznemi. Jest na nim zawieszona na paskach w samym środku ławeczka, z wsparciem z tyłu, za nią położony był tłomok na którym siedział służący; nosi tak lekko i tak wygodnie, że żadna na resorach Angielska kareta równać się onemu nie może. W tym tylko jest przykrość, iż odkrytym będąc w czasie słoty, a ta często mnie w tym czasie napadała, nie masz schronienia, oprócz tego które parasol w ręku trzymany ofiaruje, który i niedostatecznym jest i bardzo niewygodnym. Ten zaś wózek nie kosztował więcéj nad 5 czerwonych złotych. Drogi w całym przeciągu aż do Sztokholmu są najlepsze i z największą starannością utrzymane, choć nieustannie na góry wjeżdżać i z nich zjeżdżać przychodziło. Poczta która w Polszcze bieży, w Brandeburgii idzie, w Danii pędzi, w Szwecyi lata i mniéj kosztuje niż w Polszcze. Koń jeden na milę Szwedzką kosztuje półtora złotego naszego, ta cena dopiero od roku dla wspomożenia chłopów wielkie z okazyi wojny podatki płacących, ustanowiona była. Przed rokiem, połowę tylko tego, a trochę dawniéj czwartą część płacono, wszakże i tak dosyć jest tanio, zważywszy iż mila Szwedzka prawie półtory mili naszéj wynosi.

Pierwsze miasto na które natrafiłem było na tym trakcie *Jönkoping*, które równie jako i inne wszystkie, które widzieć mi się zdarzyło, to jest *Gränna*, *Linköping*, *Norköping* największe w Szwecyi po Sztokholmie, *Nyköping Tellie*, całe są drewniane, domy jednak są dobrze zbudowane, choć z drobniejszego jak u nas drzewa, większa ich część ma dół i i piętro, a niektóre nad piętrem drugie pomniejsze piąterko. Z wierzchu wszystkie są czerwono malowane, wewnątrz wygodne i ochędożne, dachy na domach są czasem ceglane, ale najczęściéj z trzciny darniną na wierzchu okładane. Kościoły które nadzwyczajnie są w kraju liczne, bardzo często miedzią są okryte. Minąwszy *Linköping* o pół mili od miasta, są na dachu kościelnym dwie figury na koniach przeciw sobie biegące, z dzidami w ręku, na pamiątkę sporu między Zygmuntem III i stryjem jego Karolem Sudermańskim.

Przejechawszy 300 mil z których 270 na wozach prostych, skołatany i zbity na drogach kamienistych, mianowicie Duńskich, zmoczony deszczem kilka razy, nie miłosiernie znudzony podróżami czasem nocnemi, przyjechałem dnia 21 Września do Sztokholmu o godzinie osméj z rana w tak zupełnem zdrowiu, iż mię ani głowa nawet nigdy nie zabolała.



MANGLA

(*Ryzofora mangle podług Linneusza*)

I ŻÓRAW JNDYI.

Po Banianie, któren nazwać można królem roślin, Mangla jest może najciekawszym płodem silnéj roślinności krajów podzwrotnikowych. Drzewo to, podobne jest do Banianu pod względem rośnięcia i odradzania. Mangla lubi rość nad brzegami rzek, tuż przy ich ujściu, oraz na niskich ziemiach które przystęp morza zalewa, potrzebuje z gruntu odwilżanego kolejno wodą słodką i morską. Pień wyrasta pochyło i zawsze kieruje się ku wodzie, jest średniéj wielkości, zielonego i szarego koloru. Zaledwie dojdzie do kilku stop wysokości, już się rozdziela na liczne odnogi, które zaokrąglają się w sklepienia, i dzielą się na mnóstwo gałęzi. W miejscu gdzie wyrastają gałęzie, puszczają się także korzenie, zniżające się ku ziemi, albo raczéj ku powierzchni wody. Skoro tylko jéj dotkną się, natychmiast ciągną z niéj soki pożywne i rozrastają się bardzo szybko. Włókna korzeni rozpościerające się na powierzchni wody, plączą się z sobą i wkrótce tworzą massę zieloności pod któ-

rą wody znikają. Przystęp i odpływ morza, niezmiernie urozmaica widok tych wiszących gaików. Pod czas przystępu, tworzą się tu i owdzie kanały i małe prądy. Ryby pływają w tych przesmykach, raki morskie siadają na gałęziach. Gdy woda opadnie, widok jeszcze jest dziwniejszy; zdaje się że to jest las pod którym ziemia zapadła się i który został w powietrzu, zawieszony za wierzchołki. Drzewo to rozmnaża się i rozrasta niezmiernie prędko i dla tego też, w wielu miejscach, cała powierzchnia rzek albo brzegów morza, pokryta jest tą roślinną skorupą.

Papugi bardzo lubią owoc Mangli i siadają na gęstych jéj wierzchołkach; ale ci różnobarwni goście, na chwilę tylko przylatują; inny ptak założył na niéj stałe mieszkanie: jest to dziwaczne stworzenie, które wyobraża nasza rycina, dumające na gałęzi. Ptak ten należy do najciekawszych odmian rodzaju żórawiów. Stojąc na długich chudych nogach, dźwiga, o pięć stop od ziemi, głowę uzbrojoną kończastym dziobem, i tak długim iż bardzo wielkie kawały połykać może. Dwie kitki włosiane ozdabiają nagą jego głowę. Szyja także naga, ma u góry mięsiste naroście i rzadkie pęki włosów, część niższa opatrzona jest miękką błoną, pokrytą krótkim i kręcącym się puchem. W miejscu, gdzie szyja łączy się z piersiami, znajduje się kupa włosów, gęstsza i dłuższa. Ciało pokryte białym i szarym pierzem, przygniecione jest ogromnemi skrzydły, mającemi piętnaście stop objętości, gdy są rozwinięte. Skrzydła te, wystają nad szyją i przedłużając się za ogon, obwijają całego ptaka pokrywą czarnego koloru. Ptak ten puszy się i chodzi bardzo poważnie. Mimo téj pozornéj pychy, ma bardzo nieszlachetne nałogi, szuka pożywienia między trupami i zgniłemi szczątkami, które woda na brzeg wyrzuca. Za pomocą długich i gołych nóg, łatwo chodzić może po mule, a długim dziobem i szyją wydobywa żywność ugrzęzłą w błocie. Tak więc, żywiąc się pastwą którą mu woda przynosi, przebywa pomiędzy manglami, których korzenie rozciągnięte na wodzie, zatrzymują pływające ciała Gałęzie pochylone nad wodą są ulubionem siedliskiem tego żurawia; nie poruszony i niby zamyślony, czeka dopóki morze nie opadnie, a wtedy poważnie chodzi po mule i chwyta ścierwo, węże, żaby, jaszczurki, żółwie; spokojnie ładuje żołądek i przedłuża swoję biesiadę i przechadzkę, dopóki morze znowu wzbierać nie zacznie; wraca wówczas na manglę i trawi połkniętą żywność.

Ptak ten, z natury spokojny i bojaźliwy, łatwo się unosi gniewem. Przybiera wtedy marsową postać, spina się na rozkraczonych nogach, rozwija skrzydła i roztwiera dziób, wydając głuche ale mocne mruczenie, do głosu niedźwiedzia podobne. Rzadko się zdarza, aby kto napastował indyjskiego żórawia; dziwaczna jego postać uderza wyobraźnią zabobonnych Jndyan. Mniemają, że dusze braminów lubią przechodzić w ciało żórawi i dla tego niezmiernie wielbią i szanują te ptaki. Ztąd wynikło, iż niezmiernie rozmnożyły w Jndostanie; brzegi jezior i morza okryte są nieprzeliczonemi gromadami żórawi, które wyrządzają rzeczywistą przysługę krajowi, uprzątając zdechlizny i nieczystości, mogące zatruć atmosferę.

DOMEK MEGO DZIADKA.

(Z rękopismów Ignacego Chodźki. Rzecz wyjęta z Wizerunków Naukowych)

Któż nie doznał najtkliwszego uczucia, wchodząc po długiém oddaleniu, do domku, w którym dni swoje dziecinne i młode przepędzał; czyjeż oko nie zalało się łzą miłego rozrzewnienia, na wspomnienie osób, których w tych samych już nie ogląda izbach, a które go tu niegdyś z pieszczotą tuliły do serca; czemuż nie będzie słodszą jagoda z tegoż samego krzaku w jesieni życia zerwana, z którego, dziecięciem, piastunka lub go stary dziadulek karmił; któż w starych sługach domowych nie będzie szukał z upragnieniem choćby jednego świadka chwil dawno ubiegłych a obecnych sercu i pamięci obudwóch, ? Jakże mu drogim i szacownym będzie ten pomnik, z jakąż rozkoszą rozmawiać z nim będzie, i uczyć się na nowo tego wszystkiego, na co dziecinném kiedyś poglądał okiem!

Przybywam do domku mego dziadka.—

Wszystko tak jak było,
Tylko się ku starości nieco pochyliło.

Taż sama mchem porosła strzecha, tenże sam ganek z ławkami, i te w rozmaite strony wydeptane ścieszki, po których dziecinna niegdyś biegała stopa,—a co najbardziéj, tenże sam ogromny kamień, na którym tylekroć razem wieczorem zebrani, letniego używaliśmy chłodu, lub zwróceni pokornie do wzniesionego tuż wizerunku Chrystusa, za przewodnictwem ojca rodziny, wznosiliśmy, za jego długie życie, on, za naszą szczęśliwość, gorące modły. Chciwy zastawnik który tu był zamieszkał, ogołacajac ze wszystkiego tę ubogą chatkę, nie śmiał poruszyć krzyża, a nie zdołał głazu i te jedyne przy niemych ścianach zostawił mi pamiątki.

Przed lat kilkudziesiąt mieszkał tu P. Maciéj Widmont, dziadek mój. Szanowne cnoty jego i proste obyczaje, tym interesowniejszy złożyć mogą obraz, że pomiędzy opisem zbytków i wspaniałości bogatych dziadów naszych, pomiędzy obrazami wad klassy niższéj i średniéj, chcącéj zawsze naśladować wyższą, a do naśladowania zbytek bardziéj i nałogi, niżeli dobre wybierającéj przymioty, już nie mamy pierworysów owych uboższych ziemian, u których, w skromnych zagrodach, zachowywała się bogobojna poczciwość, prosta i otwarta szczerość chrześciańska, gorliwa pobożność, i czystość sumienia. Przechowywał się także zapas przesądów, co wieczór w cichym powtarzanych gwarze, łączących familijnem że tak powiem ogniwem, gminne urojenia i powieści z domowemi bajkami.

Kilka chat włościańskich i mały obszar ziemi, składały dziedzictwo mojego dziadka; z tém szczupłem mieniem był szczęśliwy i uszczęśliwiał. Jakiż to los do zazdrości!

„Pszczołka, klaczka i pszenica,
Wyprowadza z nędzy szlachcica;"

Powtarzał często Pan Widmont, a szedł w gospodarstwie za tém starowiejskiém przysłowiem: to też dwa ogrodki jego, gajem wiśni, jabłoni i grusz zarosłe, brzęczały rojami pszczółek; na gumnisku zawsze kilkoro pięknych hasało źrebiąt i corocznie, wielka część pola jego, złotym pszenicy okrywała się kłosem, a obfitość i dostatek gospodarski, napełniały mu stodoły, spiżarnie i spichrze.

Mój dziadek nigdy nie był bez zapasu pieniążków.» O! dobrze pamiętam ów kuferek szczelnie okuty, w ciemnym kątku garderóbki alkowy stojący; z niego to dostawały mi się często talary i złotówki, a zawsze ze zwyczajną przestrogą, którą mnie wnukowi za naukę, a sam sobie za reflexyą przeciw zbytecznéj hojności, przy każdém otworzeniu kuferka powtarzał.

Pamiętaj przychodzie
Żyć z rozchodem w zgodzie.

Domek ten mały, chędogi natenczas, wesoły i ładny, dziś mi tylko urokiem przypomnienia miły, zawiera dwie izby *pokojami* honorowie zwane, *alkówkę z garderóbką i bokówkę z alkierzykiem.* Bokówka ta, z dużym kominem, piecem jeszcze większym, szerokim zydlem koło pieca i długim zapieckiem, gniazdem dziatwy i szczurów, była miejscem najwalniejszych spraw domowych; tu panowie i sługi zgromadzali się przededniém na rożaniec, wieczorem na godzinki; tu przy kawie rano ulubione snów tłómaczenie i tu wieczorne przy kominie o upiorach i strachach gwary: którym mój Dziadulo lubo zdawał się nie wierzyć, i wszystkim niewiarę wmawiał; jednakże sam nową często przydając powieść, nauczając dawnego i doświadczonego sposobu odpędzania czarów lub odkrywania zaklętych skarbów, niechcący z własném wydawał się przekonaniem, a kończył zawsze na tém. *„Dziatki! dziatki! bez woli Boga nic się nie stanie«*

Tu furczały wiecznie dwa kołowrotki, głuszące zwadkę dwóch swiegotliwych prządek, zasłużonych pokojówek Jejmości; tu nakoniec w Niedzielę i święta uroczyste, panna *Helena*, córka nieboszczyka Ekonoma, do familijnéj przyswojona drużyny, siedząc przy piecu na zedelku, ze spuszczonemi skromnie oczkami, dla zabawy gości cieniutko śpiewała światowe pieśni: »*Pój dźcie pójdźcie gąski moje do domu*« lub pod dobry humór Jegomości, » *Kurdesz kurdesz nad kurdeszami.* Rzadko jednak goście wstęp mieli do *bokówki*: dla nich dwa paradne były pokoje, w pierwszym z nich wielki obraz Boga Rodzicy, co niedziela w świeże bukiety siarczystych goździków ustrojony, zajmował scianę; pod nim bogaty relikwiarz misternéj roboty i dzwoneczek loretański, odpędzający chmury, pioruny, i nawalnice. Kredens i inne sprzęty proste dogadzały tu koniecznéj tylko wygodzie. Drugi pokój, o! drugi pokój na zbytek zakrawał! tu kanapki dywanikami zasłane, tu staroświeckie w kwiaty malowane obicia, okrywały ścianę; tu dwa stoliki niegdyś malowane: na jednym warcabnica, na drugim talia kart polskich dobrze ogranych, i filiżanka z garścią bobu na marki: tu bowiem był plac rozprawy w codziennego nałogowego maryasza i świątecznego ćwika. Z jakimże interesem grano, gdy płatka dwóch złotych dochodziła!... Mój dziadulek wyświeca tuza; brać czy nie brać? a krzyk powszechny »brać! brać! dodaje serca. Ale płatka« odzywa się sąsiad, chcący w duchu aby gracz stchurzył a tuz z kolei do niego przeszedł. Mój dziadulek wróży w palce, *raz, dwa, trzy.* Biorę, rzekł nakoniec z energią godną podziwienia! co będzie to będzie, biorę, Rozwija się powoli karta, oczekują wszyscy; ciche *remis,* szepce się już około stolika. W tym zawoła dziadunio: »Kto pomaga? kto pomaga? kto do azardu? powtarza śmiało. Nikt! nikt! Sąsiad powróżył także w palce, spojrzał ukosem w kartę źle strzeżoną gracza, aż tu obok tuza król w sekundach!—A więc nikt nie pomaga? nikt nie bierze? nikt? po raz ostatni zapytał dziadunio: nikt! i pełny spodek groszaków wywrócił tryumfalnie przed



DZIECI MIESZKAŃCÓW KANADY.

siebie. Ileż to przyjaciół w szczęściu! Każdy winszuje; każdy przechwala że koniecznie tuza brać życzył; wszyscy przyznają, że Pan Skarbnik wybornie gra w ćwika, a jam skakał z radości.

O ileż to razy, ze szkolnéj uwolniony mozoły, jechałem tu na uroczyste święta! Błogi wieku dziecinny! jakże ci mało do uszczęśliwienia potrzeba! jak wyobrażenie zabawy i pociechy upaia rozkoszą niewinne serce! jak żywa radość błyszczy w oczach i wzrusza całém dziecinném jestestwem! Z jakiémże uniesieniem postrzegałem z daleka gaik i dach domku, w którym piękną wielkanoc przepędzić miałem! Wielkanoc! święto najweselsze! święto wiosny! święto odżywającéj się natury! święto odkupienia i powszechnéj radości!

Ostatnie resztki sutéj pańskiéj wieczerzy, ostatni suchar i ostatni śledź w wieczór ostatniéj soboty spożyty został i już z *Bokowki*, jakby pierwociny jutrzejszych godów, miłe zalatywały wonie, gdy huczne kotły i dzwony dawały hasło rezurekcyi. Bieżał wnet mój dziadunio do kościoła, biegliśmy my wszyscy za nim, biegła cała czeladź domowa: bo kto z gospodarzem chciał używać darów Wielkiéjnocy, modlić się wprzód z nim koniecznie musiał. Powitany wesołem Alleluja, dzień zaświtał wśród nabożeństwa; dzień piękny, wiosenny; gromadnie i huczno wychodzono z kościoła, *Wesołego Alleluja*, odzywano się na około. Pozdrowienie to uroczyste, mięszało się z wesołym gwarem pospólstwa, a rzeźwość, uweselenie i radość jaśniały na twarzach wszystkich.

My także wracaliśmy do domu, przechodząc koło chat wiejskich; przy każdéj z nich, familija poczciwych chłopków w kupkę zebrana, czekała na poświęcenie swoich zapasów. Nasze damy powracały do domu, w staroświeckim ale na przepych wyporządzonym pojeździe, my piechotą krótką tę odbywaliśmy podróż, dając czas xiędzu proboszczowi do przybycia dla podobnegoż obrzędu. Co za miły widok nas oczekiwał! W pierwszym pokoju świeżą wysypanym jedlinką, długi stoł okryty był najsmakowitszém święconém. Tu na środku baranek z czerwoną chorągiewką na grzbiecie, trzyma w zawróconym pyszczku garstkę młodéj trawki, jakby zwiastując wracającą wiosnę; obok podpiera go dwoje tłustych prosiąt, a każde częstuje z paszczy czerwonem jajem, zwyczajnym wielkanocnym podarkiem; daléj indyk utuczony, który sam jeden; w całym domu przez post wielki nie pościł; szynka, główna ozdoba możnych i chudo-pacholskich święconych stołów; przy niéj jakby dla rozdwojenia apetytu żarłoków, ćwierć cielęcia szeroką zalega misę. Cóż mówić o półgąskach, ozorach cietrzewiach,

zdolnych najbardziéj stępiony obudzić apetyt? Na obu końcach stołów zasiadły, szerokie, przysiadziste, jakby téj spiżarni gospodynie, dwie ogromne baby! Ach! bez nich cóżby całe święcone znaczyło? na ich ogorzałych obliczach, jak na twarzy pijaka gęsto wysypane czerwone garby, a ze środka czarnawa lipka wysączona massa, upewniała wprawne znawcy oko, że mimo straszne pozory, wewnątrz i zewnątrz smaczne były. Garnitur pirogów i placków rozmaitego kształtu i nazwania, zapełniał zdarzane między półmiskami przerwy, a wszystko gajem zielonego bluszczu zarosłe, troje razem zmysłów, widzenia, smakowania i powonienia nęciło.

Oczekiwano na xiędza proboszcza a tym czasem każdy przygotowywał się do swojéj roli; poglądano w okna, milczano, lub szeptano z cicha; kotka tylko, faworytka domowa, siedząc na kredensie, figlarnie myła się łapką i Filonek tańcował około stołu. Przybywa nakoniec xiądz proboszz; mój dziadunio przyjmuje go na ganku; wnet w komżę przybrany, mając za sobą organistę, z miednicą wody i kropidłem, poświęca i błogosławi dary Boże, a ukończywszy obrządek odwraca się z powagą do gospodarza i wyborną prawi oracyą, przez połowę po łacinie i po polsku. Mój dziadunio pełen erudycyi i jezuickiéj jeszcze łaciny, wzajemnie zatém wyciął perorę proboszczowi, w któréj i dzisiejsza solenność, i respekt dla jego pasterskiéj godności, acuminose połączone były. Tu już następowały powinszowania; w których mniéj dowcipu, a więcéj prawdziwéj wylewało się czułości. Syn i synowa, córki i zięciowie, ze łzami w oczach, mało mówiąc, całowali rękę ojca i dobroczyńcy. Nakoniec przychodziła koléj na wnuczka. Aj! serce mi się wyrywało z piersi! Występowałem więc, koło się rozszerzyło, jam na środku, domowy nauczyciel trochę bliżéj od innych, dla dodania serca i w potrzebie wyrazu, jeżeliby pamięć lub energia mówcę zawiodły. Zaczynam...! O cudo! o mądrości nad wiek i nadzieje! zaczynam po francuzku i bez zająknienia się palę aż do końca; już francuzczyzna w modę wchodzić zaczynała, i ja z gotową, w szkołach ułożoną oracyą, przybywałem na święta. Nie wiele jéj wprawdzie rozumiał X. Professor co ją układał, nie rozumiał nauczyciel co mi ją repetował, nie rozumiałem ja który ją perorowałem i nie rozumiał mój dziadulek, który ją słuchał, ale cieszyli się wszyscy. Dziadulek i rodzice płakali z radości, jam płakał z dziecinnego rozrzewnienia.

Traktował potém gospodarz wszystkich z kolei, pokrajaném jajem i nie opuścił najmniejszego dziecka; a z uczuciem równie życzliwém podawał talerz swym dzieciom, jak sługom i wiernéj czeladzce, która potém szła do piekarni i posiłała się nie tak wytwornem lecz równie obfitém święconém.

Dzień ten cały, jakże nam mile schodził! Dodawał dobrego humoru P. Huszczanowski organista; dął on bez miłosierdzia na klarynecie i skwarzącym się jak patelnia głosem wtórował Pannie Helenie.

Teraz, w wieczór równie jak dawniéj spokojny i miły, tego samego wielkanocy święta, gdy usiędę na kamieniu, niemym świadku tu mego niegdyś szczęścia, uroczystą ciszę pięknéj kwietniowéj nocy chrząsz tylko burczeniem kiedy niekiedy przerywa. W tém pieśń: *Wesoły nam dziś dzień nastał*! rozlega się w oddaleniu.... Wieśniacy to, wierni starym zwyczajom, winszują sobie tą pieśnią doczekanego święta.

MORALNOŚĆ

AUFREDI.

Port Roszelli nie zawsze był tak ubogi i nieludny jak jest teraz. W dawnych wiekach, wyrównywał w czynności i bogactwie, najznakomitszym potęgom morskim. Okręty Roszelli płynęły po najdalszych morzach i wracały obciążone skarbami handlu. W r. 1200, szczęście tego miasta doszło do najwyższego stopnia, a jego flaga panowała nad wszystkiemi. Zamężécie Eleonory z Gujany z Henrykiem Plantagenetem, oddało Roszellę w moc Anglików, którzy ją ogłosili wolnym portem. Przywiléj ten ściągnął do niéj kupców z całéj Europy.

W owéj epoce, handel morski inną zupełnie miał postać i cechę. Czas wszystko zmienia; handel doznał także jego wpływu. Za naszych czasów, przedsięwzięcia handlowe już nie są tak hazardowne jak niegdyś; opierają się na zimnéj i ścisłéj rachubie; przybrały fizyonomią naszéj epoki; przemysł je oblicza, lecz geniusz nie panuje nad niemi. Niegdyś, kupiec wysyłający okręty, nie mógł dokładnie przewidzieć skutków swojego przedsięwzięcia; powierzał cały majątek losowi i zręczności pełnomocnika; była to gra upajająca i straszliwa. Majątki tak szybko upadały jak wzrosły. Te niespodziane zyski, te przerażające klęski, te nagłe przemiany, nadawały myślom i czynom kupców, znamię wielkości i odwagi, wpływającéj na obyczaje i na charakter mieszkańców miast portowych. Łakomi użycia skarbów bez ustanku wystawionych na igrzysko losu, otaczali się dumnym i rozrzutnym zbytkiem i różnili się zupełnie od teraźniejszych negocyantów, którzy, dzięki cywilizacyi, towarzystwom zabezpieczenia i pozakładanym wszędzie kantorom, mogą

spokojnie prowadzić interesa i nagromadzić pomierne ale bezpieczne zyski.

Roszella, bardziéj niż inne miasta, doznała wpływu tych wielkich pomysłów, któremi owcześni kupcy przejęci byli. Wspaniałe gmachy wzniosły się jak gdyby dziełem czarodziejskiéj ręki. Co chwila ważąc się między świetném powodzeniem a może jeszcze głośniejszym upadkiem, kupcy, dumni z bogactw, ale tak bliscy strat, iż je przewidywać musieli, łączyli z próżnością i zbytkiem, uczucia popularności i miłosierdzia. Wznosząc kosztowne pałace i dając świetne biesiady, czynili także hojnie podarunki ubogim i starali się ulepszać ich położenie, pomni, że w każdéj chwili mogą znowu zstąpić do rzędu pospólstwa.

Ze wszystkich kupców, którzy w dwunastym wieku, po zamężciu Eleonory dziedziczki Gujany z Henrykiem Plantagenetem zyskali niezmierne bogactwa, najświetniejsze i najszybsze było powodzenie armatora Aufredi. Jego okręty zapełniały port, jego zbytek gasił świetność panujących xiążąt; wszędzie rozpowiadano o jego hojności; i co wieczór w pałacu Aufredego, była uroczystość na którą cisnęli się najznakomitsi mieszkańcy Roszelli. Gmin witał go okrzykami radości; armatorowie zazdrościli mu skrycie, lecz przypuszczani do jego biesiad, składali mu powinszowania i hołdy. Pewnego dnia, z pomyślnym wiatrem, dziesięć jego okrętów wypłynęło z portu Roszeli, aby w dalekich krainach zamienić towary i zebrać skarby, które za powrotem powiększyć miały świetność właściciela. Było to wspaniałe widowisko. Tłum ludu w świątecznych sukniach zebrał się nad brzegiem. Tysiące bark zbrojnych igrało w koło okrętów kołyszących się na tramach; w jednéj z nich był Aufredi otoczony przyjaciołmi. Wszyscy witali go oklaskami, wszyscy życzyli najświetniejszego powodzenia. Gdy wiatr nadął żagle dziesięciu okrętów, a flota, własność prywatnego człowieka, wyszła z portu i wspaniale wypłynęła na pełne morze, przedłużony okrzyk wzbił się na brzegu i poniósł pod nieba, życzenia i modły wszystkich mieszkańców. Tegoż wieczora, Aufredi dał wspaniałę zabawę kupcom Roszelli, wyprawił ucztę majtkom, a pieniądze złote i srebrne rozdać kazał tłumowi cisnącemu się do bram pałacu.

Aufredi powierzył tym dziesięciu okrętom cały swój majątek i wszystkie nadzieje. Rok upłynął, okręty nie wróciły; zaufany w szczęściu które mu dotąd sprzyjało, kupiec nie umniejszył zbytku i śmiało czekał przyszłości. Sześć miesięcy upłynęło znowu, a jeszcze nie widać okrętów. zazdrośni już się cieszyli; złe wieści krążyć zaczęły o majątku Aufredego; mówiono o ciężkich burzach, zapewniano że dziesięć okrętów zginęło i że kupiec wszystko utracił. Zgubna przepowiednia! już się usuwali przyjaciele. Powodowany próżnością i dumą, Aufredi wyprawiał jeszcze świetniejsze, zabawy; podwoił hojność, wybudował nowy pałac i zgromadził w dom swój artystów i poetów. Z tem wszystkiém, skończyły się dwa lata, a nie było okrętów; zatrważające wieści dochodziły z dalekich krajów; szczątki okrętów, połamane maszty, znaleziono przy brzegach. Nie były to dokładne wiadomości; lecz sam tylko Aufredi wątpił o swoim upadku. Osłabł iego kredyt, i wkrótce, dla zaspokojenia zobowiązań, musiał sprzedać jeden pałac, potém drugi, a z kolei wszelkie posiadłości. Każdy dzień zmniejszał jego dawną świetność. Udał się do przyjaciół, lecz ci chronili się przed nim. Żądał wdzięczności tych których zobowiązał; odpłacili mu niewdzięcznością. Ci którzy go kochali w dostatkach, wyparli go się w nędzy. Za dobrodziejstwa zapłacono mu pogardą; za pożyczone złoto, obelgami. Sami tylko biedni mieszkańcy portowego nadbrzeża, pozostali mu wierni, a ich cześć i poświęcenie się towarzyszyły jego nieszczęściu. Gdy zbużony Aufredi, smutny i samotny przychodził do portu, majtkowie odkrywali głowę i nie śmieli wyrażać litości swojej, tak szlachetne i delikatne były ich proste dusze.

Aufredi zapłacił prawie wszystkie długi przedażą nieruchomości. Lecz już nie miał, ani przytułku gdzieby mógł spocząć, ani stołu przy którymby głód zaspokoił. Przywiedzione do tak wielkiego nieszczęścia, dusze mocne, lecz nie ożywione wyższém uczuciem, uciekają się do samobójstwa. Dusza Aufredego, inny hart miała. Pomyślność nie zatarła jéj blasku, przeciwność nie zdołała jéj poniżyć. Czystą była i wśród pomyślności i wśród nieszczęść. Aufredi nie obwinił ludzi o niewdzięczność; przytłumił w sercu gorycz i skargi; ludziom słabym i głupcom zostawił gorzkie żale i głośne dopominania. Bez zadrżenia przypatrzył się położeniu swemu i poznał że jest wyższym od losu. Oziębłe zważył wartość życzliwości ludzkiéj i pomścił się za nią pogardą. Pewnego dnia, ujrzano w porcie Roszelli, pośród majtków, wyrobników i tragarzy, nowego pracownika. W grubą odzież ubrany, chętnie podejmował się najcięższych robót; silny i czerstwy, dźwigał największe ciężary i nie lękał się trudów. Robotnicy przyznawali sami, iż żaden z nich nie mógł wyrównać mu w odwadze, czynności i sile. Pomagał ładować towary, prowadził

cudzoziemców, nosił tłomoki podróżnych i paki kupców. Jednakże, pośród służebnych zatrudnień, oblicze jego było szlachetne i śmiałe; spojrzenie jego rozkazywało wówczas, gdy ręce wykonywały rozkazy; pochylały się jego ramiona, lecz dusza nie uniżała się nigdy. Towarzysze szanowali go i czcili, lecz armatorowie i bogaci kupcy Roszelli, mówili, patrząc na niego. „Oto jest Aufredi tragarz.“ I odchodzili udając że go nie znają. Zdarzyło mu się nie raz, że go użył który z jego dawnych przyjaciół.—„O Panie, rzekł do jednego z nich, dźwigasz na sercu większy ciężar, niżeli ja na ramionach moich.“

Przez pracę i oszczędność, Aufredi zaspokoił wszystkie zobowiązania. Mawiał potém, że najpiękniejszy dzień jego życia był ten, w którym ostatni dług zapłacił. Rzecz dziwna, w tym nowym sposobie życia, znalazł wkrótce więcéj szczęścia i godności, niżeli w złoconych dniach dostatków i przepychu. Niespokojność umysłu pokonał trudami ciała, a czczość serca zapełnił wewnętrznem zadowoleniem. Szlachetne dusze, popadłszy w nieszczęście, wychodzą z niego silne i świetne: taką była dusza Aufredego. Wyobrażenia jego stały się poważne i surowe. Praca i ubóstwo nauczyły go rezygnacyi, stałości i cnoty. Pogardził fałszywemi dobrami świata i poznał prawdziwe skarby, które niebo człowiekowi nadało. A przytem, chociażby samo nieszczęście nie obfitowało w nauki wszelkiego rodzaju, błogosławić je należy za pobożne współczucia któremi nas otacza; te których nas pozbawia nie są godne naszego żalu; lecz te które nam zjednywa, są to szacowne i chwalebne zdobycze. Przyjaciele i dawni współtowarzysze wyparli się jego nazwiska: prosty lud uczcił jego nędzę, i otoczył go większem uszanowaniem niż wprzódy. W oczach robotników portowych, Aufredi był jeszcze potężnym armatorem, który zadziwiał Roszellę wspaniałością i zbytkiem; wdzięczni mu byli, że podzielając ich prace, uszlachetnia je i wznosi.

Żadna skarga nie wykradła się z ust Aufredego; nikt nie mógł wiedzieć czyli kiedykolwiek powstała w jego sercu. Oblicze miał surowe lecz pogodne. Doświadczenie spędziło uśmiech z ust jego lecz nie zachmurzyło czoła. A przytem, ubóstwo nie wydarło mu najsłodszych przywilejów majątku. Pozostał opatrzością pospólstwa. Dawniej, bogactwami przynosił ulgę nieszczęsnym; dzisiaj wspomagał ich naukami i przykładem; wspierał słabego i z uboższemi od siebie dzielił się codziennym zarobkiem. Są boleści, których nie pocieszy złoto bogacza, lecz które ukoi szeląg ubogiego; są łzy, których gorycz złoto pomnaża a które jedno słowo osusza. I stało się, że Aufredi w ubóstwie więcéj zrobił dobrego, niżeli kiedykolwiek za czasów swojéj świetności. W dniach święta i wypoczynku, widziano go w porcie albo nad brzegiem morza; tam, otoczony robotnikami, nauczał ich, jak mają znosić niedostatek, jak osładzać pracę, jak przestawać na małem. »Przyjaciele, mawiał często, zazdrościliście mojego bytu, a teraz bogacze i możni powinni mi zazdrościć. W pracy rąk moich znalazłem spokojność i prawdziwe szczęście.“ I odkrywał im tajemną stronę tego istnienia którego tak zazdroszczą; opowiadał trawiące troski kupca, jego powierzchowną wesołość tłumioną boleść, dni bez spoczynku, nocy bezsenne; wskazywał gorycz na spodzie biesiadnego kielicha, muł pod przejrzystą wodą, pożercze troski ukryte pod jedwabną zasłona. »Patrzcie, mówił, na tę przestrzeń morza; tak jest błękitna i spokojna, lecz potwory kryją się w jéj głębinach. Błogosławcie niebu, za wasze ubóstwo.«

Bóg zesłał na Aufredego silniejszą jeszcze i straszliwszą próbę. Dawny armator od roku żył w ubóstwie i pracy, a nie zmienił się jego charakter. Pewnego dnia, gdy odniosłszy pakę z towarami, wracał do portu, usłyszał krzyki rozlegające się nad brzegiem; i skoro tylko stanął, powitało go tysiące okrzyków, tysiące rąk chciało go nieść w tryumfie. Wszystkich twarze były uradowane, lecz wszystkich oczy zalane łzami. Sam tylko Aufredi stał obojętny. Pięć okrętów obciążonych skarbami zawinęło do portu Roszelli, a na każdego sztabie, złotemi literami jaśniało imie Aufredego. W trzy dni potém, wróciło drugie pięć okrętów, naładowanych najdroższemi i najrzadszemi towarami. Komissanci wytłumaczyli się, że ich spóźnienie było skutkiem przeciwnych wichrów i nieprzewidzianych zdarzeń, i złożyli rachunki panu swemu.

Cóż się stało z tą pogardą bogactw, którą przez rok cały okazywał zubożony kupiec? Nikt nie mógł wiedzieć co się działo w jego duszy. Na twarzy nie okazała się ani radość, ani podziwienie. Pośród uniesienia pospólstwa, on sam pozostał obojętnym i zimnym. Jednakże oddalił się z portu, chcąc zapewne czemprędzéj użyć odzyskanych bogactw, a wkrótce po całém mieście rozprawiano o rozrzutności, któréj znowu chce się oddać. Aufredi już odkupił jeden z najwspanialszych pałaców Roszelli i powiadano że przepych sprzętów i ozdób przechodzi wszelkie wyobrażenie; że ten filozof, który dniem wprzódy uczył zamiłowania w mierności, nigdy jeszcze do takiego stopnia nie posunął wytworu i zbytku.

Gdy ozdabiano pałac, Aufredi nie pokazał się ani w porcie ani w mieście, a po ukończeniu przygotowań, zaprosić kazał stan kupiecki, na uroczystość, którą chciał uświęcić powrót szczęścia. Zaproszeniom towarzyszyły tak bogate dary, nieśli je słudzy tak dorodni i tak pięknie ubrani, iż wyglądali jak paziowie królewscy. Zaproszenia i dary przyjęto z uniesieniem. Wszyscy już byli przyjaciołmi Aufredego. Z zapałem mówiono o jego bohatyrskiem postępowaniu w epoce przeciwności. Poeci nastrajali liry, przyjaciele odzyskali pamięć.

Nadszedł dzień uroczysty. Już od rana brzmiała muzyka w ogrodzie Aufredego. Sale napełnione były kwiatami a przed wieczorem tłum oblegał bramę. Najbogatsi kupcy i obywatele, najpiękniejsze kobiety, tłoczyl się na szerokich schodach i powoli wchodzili do sal jaśniejących złotem i światłem. Wszyscy przyjaciele Aufredego płakali z radości i rozrzewnienia; niebo wysłuchało nareście ich życzeń i modłów. Szukano Aufredego, wołano go, lecz go nie było nigdzie.

W jadalnej sali, stół świetny, zastawiony wybornemi potrawami, oczekiwał gości. Harmonijna muzyka brzmiała na galeryach i niczego nie brakowało prócz gospodarza.

Nagle, powstaje głuchy szmer oburzenia. Majtkowie, wyrobnicy i tragarze portowi, ich siostry, żony i córki, zaproszeni wszyscy, weszli w świątecznych sukniach i pomięszali się z bogatemi kupcami. Słudzy, prowadzą ich na pierwsza miejsce. Bogaci armatorowie wołali Aufredego, pytając się co znaczy ta zniewaga; gdy w tem otworzyły się drzwi w głębi sali i wszedł Aufredi w ubiorze tragarza.

Przeszedł między kupcami nie spojrzawszy na nich, i serdecznie powitał robotników. Niektórzy z nich, nie śmieli podać mu ręki zgrubiałej od pracy; lecz on przyciskając ich do serca, rzekł. „Czyliż mię nie poznajecie? czyliż nie jestem waszym towarzyszem? Patrzcie, moja twarz ogorzała od słońca, praca pochyliła moje ramiona, ręce moje tak stwardniały jak wasze. Kochajcież mię nie i odpychajcie od siebie. Czyliż i szczęście będzie tak okrutne jak przeciwność? Czyliż mię pozbawi przyjaciół?“ Za Aufredym szło dziesięciu służących, a każdy niósł dwa worki napełnione złotem. Wyposażył dziesięć dziewczyn i tyleż młodzieńców i rzekł do rodziców płaczących z radości. Czyliż zdołam zawdzięczyć wasze dobrodziejstwa? Od was nauczyłem się pogardzać majątkiem, a w pracy szukać prawdziwych skarbów życia.

Dawniejsi przyjaciele Aufredego, zbliżyli się do niego i winszując szczęścia, usiłowali zwrócić na siebie jego uwagę.—„Mości panowie, rzekł do nich, musiała zajśdź jakaś omyłka. Nie jestem bogatym i nie mam honoru znanym bydź od was. Przez cóż zasłużyłem na wasze odwiedziny? Mylicie się panowie; spojrzyjcie na moję odzież; jestem tylko tragarzem portowym.

Bogaci kupcy, chociaż w tak przykrém znajdując się położeniu, nie zabierali się do wyjścia; zadumienie, pomieszanie, a może także i dziwaczność tego widowiska, zatrzymywały każdego. Tymczasem, służący obnosili wino, lecz częstowali samych tylko ludzi z pospólstwa; ładne dzieci, ubrane jak pazie, podawały ich żonom i córkom bukiety, sztuki materyi i rozmaite stroje. Zaczęły się tańce, Aufredi poszedł w pierwszą parę z córką najpracowitszego i najuczciwszego robotnika.—»Panowie: rzekł do bogatych mieszkańców Roszelli, którzy z udręczeniem czekali końca tak boleśnego żartu: nie zapomnimy nigdy i jaki zaszczyt chcieliście nam uczynić. Obecność wasza powiększa nasze uciechy«

Gdy już była godzina dwunasta, Aufredi zaprosił przyjaciół swoich do sali biesiadnej. Bogaci i niewdzięczni kupcy, poznawszy, że od kilku godzin są celem szyderstwa, oddalili się ze wstydem na czole.

Tym jedynie sposobem Aufredi ukarał ich za niepamięć, obojętność i wzgardę, którą mu okazali w dniach przeciwności. Słodka radość panowała przy biesiadzie. Gdy przyniesiono wety, Aufredi wstał i rzekł: »Współtowarzysze, niebo powróciło mi bogactwa. Poświęcam je dla waszego wsparcia.„ O drugiej godzinie po północy, Aufredi wyszedł z pałacu i zamieszkał w szczupłéj izdebce, którą zajmował w czasach ubóstwa. Nazajutrz, wyczytano na wystawie jego pałacu, te dwa wyrazy: *Szpital Aufredego.* Jakoż, cały swój majątek poświęcił na dobroczynne zakłady. Ten szpital dotąd istnie w Roszelli, z tymże samym napisem, a imie i dobrodziejstwa Aufredego, utrzymują się w pamięci mieszkańców.

DZIECI MIESZKAŃCÓW KANADY.

Kobiety kanadyjskie odbywać muszą dalekie podróże z dziećmi swemi i dla tego kładą je w małe łóżeczko, w którém nie mogą ruszyć ani ręką ani nogą. Stawiają potem to łóżeczko prostopadle w koszyk, a przywiązawszy go sobie na plecach, idą lekko bez kłopotu i unużenia. Dziecko ma głowę wolną. Gdy chcą wypocząć, zdejmują koszyk i opierają go o drzewo lub o kamień, albo też zawieszają na gałęzi. Matki jak najtroskliwiej ozdabiają ten koszyk, pletą go starannie, a pasy wyszywają w rozmaite rysunki. Jest to razem ozdobą dla nich i dla dziecka; koszyk ten zastępuje miejsce sukienek, powijaka, płaszczyka, itd.



PRZEŚLADOWANIE CHRZEŚCIAN.

Czternaście wielkich prześladowań, poniosło, albo raczéj, podług poetycznego wyrażenia Chateaubrianda, czternaście wielkich bitew stoczyło chrześciaństwo pod cesarzami rzymskiemi, a każda z nich była zwycięztwem, w każdéj płynęła krew chrześcian; a im więcéj traciła żołnierzy tem potężniejszą stawała się prawdziwa wiara, albowiem męczeństwa wiernych, były jednym z najpotężniejszych środków tryumfu i rozszerzenia religii. Rok nie upłynął jeszcze od śmierci Jezusa Chrystusa, a krzyż posiadał męczenników i czcicieli. Święty Stefan umęczony w Jeruzalem, w dziewięć miesięcy po ukrzyżowaniu Jezusa Chrystusa, jest pierwszym w

w szeregu bohaterów wiary. W prześladowaniu tem padło zapewne wiele ofiar, lecz nie było powszechne i raczéj wymierzono je przeciw pojedynczym osobom, niżeli przeciw chrystyanizmowi.

Drugie prześladowanie zaczęło się 61 roku naszéj ery, pod panowaniem Nerona. Szaleństwem powodowany, Neron kazał zapalić Rzym, dla nasycenia się widokiem pożaru, i dla zadosyć uczynienia swojéj namiętności do budownictwa. Ponieważ zaczął wyjaiać się jego udział w tym obmierzłym czynie, umyślił na chrześcian zrzucić tę zbrodnię. Cały lud rzymski nienawidził nową religią; chciwie przeto pochwycono sposobność prześladowania wyznawców krzyża, chociaż, podług świadectwa Tacyta, chrześcianie byli niewinni. Prześladowanie nakazane wyrokiem cesarskim, trwało aż do śmierci Nerona. Święty Piotr i Święty Paweł byli naczelnikami tego drugiego szeregu męczenników.

Okrutny Domicyan nakazał trzecie prześladowanie roku 90. Polityczna obawa, aby potomkowie Dawida nie wyłamali Judei z pod władzy Rzymu, błędne tłómaczenie wyrazów Ewangelii o królestwie Jezusa Chrystusa, obudzające podejrzliwość Cesarza, a przedewszystkiem żądza krwi, były pobudkami okrutnych kar, naznaczonych na wyznawców wiary chrześcijańskiéj. I dopiero śmierć Domicyana (w r. 99) położyła kres męczarniom. Męczeństwo i cudowne zachowanie Sgo Jana, należą do téj epoki.

Wyobrażenia porządku i sprawa poganizmu który był religią państwa, skłoniły Trajana do zakazania zgromadzeń i towarzystw chrześciańskich. Przestępując zakres rozkazów cesarskich, rządcy prowincyi wywarli najsroższe okrucieństwa przeciw chrześcianom, tak, iż czwarte prześladowanie działo się za rządów jednego z najlepszych i największych cesarzów Rzymu. Lecz sama gwałtowność kar, zrządziła ich koniec; krew męczenników była tak płodną, iż po dziewiętnastu latach walki (od 97 do 116) wielkorządca Judei napisał do cesarza, że nie ma dostatecznéj liczby katów, do zabijania winowajców. Trajan kazał wstrzymać prześladowanie.

Też same względy polityczne, skłoniły Adryana, i od roku 118 do 126, wiara chrześciańska wytrzymała piąte prześladowanie. W owym czasie, cesarz przekonany mowami pewnego biskupa i filozofa chrześcijańskiego, kazał wstrzymać męczarnie; jednakże przy końcu jego panowania, prześladowania rozpoczęły się częściowo, a nowi męczennicy zjednali dla wiary nowych wyznawców.

Za panowania Antonina zaczęło się szóste prześladowanie. Cesarz znosił je raczéj aniżeli rozkazał, zabronił tylko czytania Ewanielii, ponieważ odwodziły lud od ołtarzy bogów; lecz wielkorządcy rozciągnęli ten zakaz do osób, a religia chrześcijańska, prześladowana była przez lat piętnaście. Wielkie klęski publiczne, głód, pożary, zalewy, trzęsienia ziemi, zniszczyły państwo rzymskie w roku 153. Pobożny Antonin rozkazał błagać litości wszystkich bogów i poniósł modły swoje do stóp ołtarzy chrześcian; ustało więc prześladowanie i tylko w odległych przerwach padło tu i owdzie kilka ofiar.

Nowe panowanie, Marka Aureliusza, sprowadziło dla chrześcian dni doświadczenia i chwały, i przeszło przez lat dwanaście, od 161 do 174, wiarę swoją życiem opłacali. W 174, zwycięztwo odniesione nad barbarzyńcami, a będące skutkiem odwagi i modlitw legii złożonéj z chrześcian a przezwanéj legią piorunującą, zrządziło zmianę w umyśle ludu i cesarza. Nakazano opiekować się chrześcianami i ustanowiono kary na ich nieprzyjaciół; oskarżycieli chrześcian karano stosem.

Po tém siódmem prześladowaniu, upłynęła dosyć długa przerwa. Osme zaczęło się około roku 200 za cesarza Sewera. Chociaż z początku wymierzone było przeciw żydom i Gnostykom, rozciągniono je do chrześcian i dopiero po śmierci Sewera w 211, dozwolono im spokojnie wyznawać wiarę. Dziewiąte prześladowanie było w r. 235 za panowania Maxymina. Przez dwadzieścia i cztery lat poprzednich, chociaż kilku chrześcian otrzymało koronę męczeńską, nie prześladowano jednakże całego kościoła. Maxymin chciał dosięgnąć samych tylko naczelników chrześciaństwa, lecz przestąpiono jego rozkazy, a sprzątnąwszy pasterzy, rzucono się na trzodę.

Cesarz Decyusz, rozkazał nowe prześladowanie, (w r. 241) w dziesięć lat po ustaniu tamtego. Wyrok jego był jeden z najsurowszych, i mnóstwo ofiar padło przez dwa lata jego panowania. Cesarzowie Gallus i Voluzyan, jego następcy, na chwilę zawiesili prześladowanie, lecz ponowili je wkrótce, i trwało aż do końca ich rządów.

W 257. Waleryus i Gallien, odnowili edykt Decyusza, nakazujący powszechne wytępienie chrześciaństwa, a jedenaste prześladowanie, zajęło miejsce w rocznikach wiary. Trwało trzy lata, po których przez lat trzynaście cieszył się Kościół głębokim pokojem, przerywanym

pojedynczemi tylko czynami prześladowania, w oddalonych prowincyach.

Dwunaste prześladowanie pod Aurelianem, ustało przed upływem dwóch lat, a po niém nastąpił długi pokoj, od 273 do 303 roku. Wówczas to zdarzyło się męczeństwo legionu Tebańskiego: lecz zdaje się że pobudki karności tyleż na nie wpływały, co i względy religii. Legion złożony z samych chrześcian, nie chciał czynić ofiar fałszywym bogom w obec całego wojska. Wodz rzymski zabić kazał wszystkich żołnierzy co go składali, bardziej jako buntowników, niżeli jako chrześcian.

Nazwiska cesarzów Dyoklecyana i Maxymiana, połączone są z trzynastém prześladowaniem, jednėm z najdłuższych i najsroższych (od r. 303, do 325). Okropność jego spada zupełnie na cesarza Galeryusza: on bowiem zmusiwszy podstępem i siłą, cesarza Dyoklecyana i Maxymiana do wydania wyroku, wykonywać go kazał z niesłychaną surowością. Boleśną chorobą dotknięty w 311, wstrzymał prześladowanie; a przypisując okropne cierpienia swoje, zemście Boga chrześcian, usiłował rozbroić gniew jego. Lecz po śmierci Galera, cesarzowie Maxymin i Licyniusz odnowili męczarnie chrześcian, aż dopiero Konstantyn, wydarłszy tron i życie Licyniuszowi, zakończył prześladowanie.

Zdawało się, że nawrócenie cesarza Konstantyna zakończyć powinno trzy wieki próby i cierpień, pośród których wiara chrześciańska wzrastała tak silnie, iż przeszła nawet najdalsze granice państwa rzymskiego. Jako religia państwa, byłaby już nie powinna obawiać się prześladowania; jednakże jeszcze nie zamknął się szereg męczenników. Środki surowości nakazane przez cesarzów Konstansa (w 333) i Walensa (w 366) stronników Aryusza, wymierzone były przeciw katolikom, nie zaś w ogólności przeciw chrześciańskim wyznaniom; lecz Julian Apostata, prześladował wszystkich chrześcian.

Prześladowanie to już było ostatnie. Historya kościelna liczy ich dwadzieścia sześć; lecz wspomnieliśmy same tylko prześladowania nakazane przez cesarzów rzymskich: albowiem edykt cesarski wydany w Rzymie. wykonanym był w całym świecie znanym wówczas, w Azyi w Europie w Afryce. Boleśny zarazem i wspaniały obraz przedstawia ta długa walka, między bałwochwalstwem, posiadającym wszelką materyalną potęgę, a chrystyanizmem uzbrojonym jedynie żywą i głęboką wiarą. Bałwochwalstwo, podżegnięte aż do wściekłości bezsilnością środków swoich, wyczerpało, jak owi dzicy w lasach Ameryki, wszelkie rodzaje męczarni, ażeby tym sroższą uczynić karę śmierci. Żelazo, ogień, głod, zęby i pazury dzikich zwierząt, posłużyły mu do okropnych męczarni. Wiara chrześciańska walczyła nie wyczerpaną siłą moralną, nie pojętemi cudami odwagi, stałości, rezygnacyi; i musiała odnieść zwycięztwo.

Wątpić można, czyli jedynie z przywiązania do bałwochwalstwa i szczerą wiarą powodowany, lud rzymski tak długą i tak okrutną wściekłością płonął przeciw chrześcianom. Na długi czas przed śmiercią pierwszych męczenników, filozofowie szydzili z bajek mitologicznych; augurowie bez śmiechu nie mogli spoglądać jedni na drugich. Nie był to więc bałwochwalczy fanatyzm, a przynajmniéj nie on wyłącznie domagał się aby chrześcian rzucano na pożarcie zwierzom; i jeźli sprawiedliwą jest ta uwaga, przyznać potrzeba, iż Rzymianie za czasów cesarstwa na tym większą zasługiwali pogardę. Chciwi tych krwawych igrzysk, na których nasycali spojrzenia swoje walką zwierząt ze zwierzęty, ludzi z ludźmi, i ludzi ze zwierzętami, cieszyli się może że zjawienia się téj nowéj wiary, która obficie dostarczała mięsa ludzkiego dla zabawy ludu, i dzięki któréj, nigdy nie brakowało aktorów, do straszliwych widowisk cyrku. Walki gladiatorów już nie mogły zaspokoić żądzy krwi i męczarni, która pożerała pospólstwo. »Nie byli to już, mówi Chateaubriand, ci szlachetni Rzymianie którzy przeklinali wielkiego Pompejusza, że spokojne słonie zmusił do walki; byli to ludzie upodleni, zaślepieni w bałwochwalstwie, u których wygasło wszelkie uczucie ludzkości. Bez tego, czyliżby mogli bydź nie czuli na wszelkie powaby nieszczęścia, młodości i cnoty? Głos litości, czyliż byłby nie rozbroił ich gniewu, na widok tylu szlachetnych ofiar, idących na śmierć z nieustraszonem sercem? Lud rzymski, przecież pewnego razu okazał się łaskawym; cała rodzina chrześcian, złożona z ojca, matki i dziecięcia przy piersi, skazana była za panowania Neroną na pastwę zwierzom. Lwa ogromnego wypuszczono na nich w cyrku. Ojciec rozdarł mu paszczę i powalił na ziemię. Rzymianie nie zdolni uczuć szczytnéj moralności męczenników, spokojnie umierających za wiarę, uwielbili ten truumf siły fizycznéj, powstali z okrzykami i skazana rodzina ocaloną została.

Rys ten, podał panu Maindron, rzeźbiarzowi paryzkiemu, pomysł posągu który zwrócił powszechną uwagę na tegoroczněj wystawie sztuk pięknych w Paryżu. Nadzwyczajność widowiska wiele przyłożyła



URNY WYKOPANE W LUBASZU.

się do wzbudzenia ciekawości powszechnej, lecz to zwycięztwo człowieka nad lwem, nie będzie zdawać się nie podobnem do wiary, tak zręcznie umiał artysta przedstawić posag głównej osoby. Zwierz opiera przednie nogi na lewym udzie chrześcianina, i w chwili gdy otwiera paszczę, ojciec chwyta rękami za jego szczęki i rozdziera je gwałtownie. Trudno było zaiste, wydać tę akcyą, lecz artysta zupełnie cel swój osiągnął. Zdaje się że słychać trzask łamanych kości lwa i rozdarcie się jego ciała. Ta gruppa ułożona jest z trafnością podziwienia godną, a widok przestraszonej matki leżącej u stop męża i trzymającej dziecię na ręku, pomnaża i uzupełnią zajęcie.

Urny wykopane w Lubaszu w W. X. Poznańskiém.

W wielu okolicach kraju, znajdujemy miejsca, w których wykopane bywają naczynia, popiołami i szczątkami kości ludzkich napełnione. Miejsca takowe są niezawodnie dawnemi cmentarzami pogan, a naczynia obejmujące szczątki ciał ludzkich, są to domki wieczności, czyli urny. Przywiązanie do zmarłych, troskliwość o nienaruszony spoczynek ich po śmierci, pewien szacunek dla miejsc, w których spoczywają zwłoki rodziców, krewnych i przyjaciół, zdają się być wrodzone wszystkim narodom. Długo pamiętamy słodkie chwile, spędzone z tymi, którzy się już przenieśli do wieczności; ich cnoty, ich miłe z nami obcowanie, piękne przymioty duszy, któremi nas do siebie pociągali za życia, zawsze w czułém zostają sercu, i dla tego nawet po śmierci nas zajmują. Egipcyanie, ciała zmarłych sztucznie namaszczone i od zepsucia zabezpieczone, w przysionkach domów swych lub w grobowcach na to przeznaczonych, jako najdroższe pamiątki zachowywali. Grecy, Rzymianie i inne narody, ciała zmarłych paląc, popioły ich ze czcią w urny zbierali i składali w ziemi; a w dowód szacunku przepyszne wystawiali pomniki, częstokroć takim nakładem, iż prawami zbytkom zapobiedz musiano. Znajdujemy także ślady równej czci ku zmarłym i w Słowiańszczyznie. Mogiła Wandy, Krakusa, mogiła na Krzemionkach pod Krakowem, są zapewne grobowcami, a rozliczne pagórki w Kujawach, mianowicie w Pałukach, w ziemi Chełmińskiej, Dobrzyńskiej i t. d., urnami zapełnione i kamieniami na wierzchu obłożone, jawnym takiego szacunku są dowodem. Zgoła, nie było narodu tak dzikiego, któryby pewnej czci zmarłym swym nie okazywał;

a jeżeli historya przytacza nam przykłady okrutnego obchodzenia się z ciałami zmarłych u Sabejczyków, Lutofagów i Troglodytów, więcéj to należy do baśni, aniżeli do powszechnego zwyczaju. — Palenie ciał ludzi zmarłych i chowanie popiołów ich w urny, było, wyjąwszy niektóre narody, aż do zaprowadzenia Chrześcijaństwa powszechném prawie. Urny, które rycina wystawia, są wydobyte z ziemi na cmentarzu na Krasnéj Górze w Lubaszu, przy kościele parafialnym, w czasie kopania grobów dla zmarłych. Nie zawodnie był na tém miejscu kiedyś cmentarz, a może i bożnica pogańska, na któréj rozwalinach teraz wznosi się piękna Chrześcijańska świątynia. Znajdują się tu po całéj prawie górze w znacznéj ilości urny; lecz przez niebaczność kopiących, rzadko w całości wydobywane bywają, albowiem największa tylko ostrożność może je ocalić od zepsucia. Zwyczajna głębokość, w któréj się urny znajdują, wynosi trzy, najwięcéj cztery stopy; kształt mają rozliczny, wysokości od 6ciu do 11tu cali, objętości zaś bardzo różnéj. W ziemi, ustawione są zwykle na talerzu czyli podstawie, przykryte mniejszym talerzykiem, kilku kamieniami przyciśnionym, zajmują w sobie prócz popiołów znaczną ilość kości, mających jeszcze cząstkowo swój właściwy kształt, n. p.: jabłka, części czaszek, żeber i t. d. Na podstawie obok urny, znajdują się często małe, różnokształtne garnuszki, które podobno miały służyć do zachowania łez, ronionych przez płacznice i członków rodziny nieboszczyka, i na znak wiecznego żalu obok urny bywały ustawione. Zdarza się czasem widzieć w niektórych miejscach dwie równéj wielkości urny, obok siebie postawione, które może przywiązanych małżonków popioły zawierają, gdyż było zwyczajem niektórych narodów, nawet i Sławian, iż, gdy mąż wprzód umarł, pozostała żona wspólnie z swym mężem spaloną bywała. (a) Swieżo z ziemi wydobyte urny, są nadzwyczajnie kruche i mają kolor surowéj gliny; lecz im dłużéj stoją na słońcu i w suchém miejscu, tém więcéj nabierają mocy, a z czasem i koloru ceglanego, co dowodzi, iż bywały palone; kości zaś coraz bardziéj bieleją i kruszeją. W urnach nie przykrytych, już prawie trudno znaleść ślady popiołu i kości. Kształt urn tych jest bardzo rozmaity (zob: obraz.), nie mają żadnych napisów lub szczególnych znaków, prócz foremnych karbów i centek; lecz powszechnie są tak misternie zrobione, iż pospolity nasz gancarz ledwie naśladowaćby je zdołał. Odległość wieków, w których był zwyczaj palenia ciał ludzkich, piękność urn, zamykających w sobie popioły, nie pozwalają nic więcéj wnosić, przy braku bliższych dowodów, jak tylko, iż w okolicach, gdzie takowe w znacznéj ilości się znajdują, mieszkał lud, stałe mający siedliska, i posiadający już niejakiś przemysł. Trudno jest zatém z pewnością oznaczyć wiek tych urn, trudno nawet twierdzić, iż są sławiańskie: albowiem i inne narody, które tu przybywały, miały zwyczaj palenia ciał zmarłych; ale zważając, iż Sławianie bałwochwalcy najdłużéj w tych okolicach stałe mieli siedliska, i że za czasów Bolesława Chrobrego, dość już powszechny był zwyczaj chowania ciał zmarłych, wnosić można, iż w urnach tych, znajdują się popioły Sławian przed 800 lat zmarłych, szczątki pogańskich jeszcze ojców naszych. — Ileż to podobnych miejsc na ziemi naszéj jeszcze znajdować się musi! Aleć po jednych zapewne już posępne porosły bory, drugie na bujne zamienione łany, pługiem rolnika zrównane, na zawsze już uszły ciekawości badacza i tylko położone nad wodą piaszczyste góry, najczęściéj dzisiaj dają nam widzieć takie odległéj starożytności zabytki.

(a) Abhandlungen der Böhmischen Gesellschaft, z roku 1787. J. Dobrowski über die Slawen und ihre Sitten.

LITERATURA.

Teatr hiszpański—Kalderon.

Teatr hiszpański jest dla większéj części czytelników naszych, rzeczą zupełnie nową. Przez długi czas znaliśmy sam tylko teatr francuzki, i podług jego zasad ocenialiśmy sztuki angielskie i niemieckie, które kiedy niekiedy, jaki śmielszy tłómacz, poważył się przenieść na nasz język. Byliśmy w błędzie. Wyższe pojęcie literatury, rozszerzając się między umysłami, nauczyło nas, że chcąc ocenić twory literackie jakiego kraju i wieku, trzeba wprzódy mieć dostateczne wyobrażenie o tymże kraju i wieku, trzeba umieć postawić się na stanowisku z którego autor zapatrywał się na przedmioty, a wówczas, geniusz poety pokaże się w całym blasku, znikną mniemane niedorzeczności i dziwactwa; wówczas zrozumiemy dla czego ten lub ów pisarz zyskał uwielbienie ziomków i przekonamy się, że sąd i podziw ogółu, nie jest płochym i błędnym.

Poezya była z początku w Hiszpanii niezmiernie prosta. Ballada i pieśń była jej

pierwotnym kształtem. (a) Ballada, przez pół od Arabów pochodząca, była zrazu prostem opowiadaniem wojennego zdarzenia; wykształciła się zwolna i objęła bardziéj urozmaicone przedmioty. Późniéj, stała się poematem sztucznie wypracowanym i jaśniejącym świetnością kolorytu. Pieśń wyrażała u Hiszpanów tkliwe uczucia, w dowcipnych zwrotach; poeci nadali jéj rozmaite przyjemne kształty. Gdy ze wzrostem potęgi i oświaty Hiszpanii, wykształcił się język kastylijski, poeci wznieśli się od pieśni i ballady do ważniejszych przedmiotów, lecz duch liryczny nie przestał ożywiać i odznaczać ich płodów. Natchnienie poetów wzrastało z chwałą wojowników, a geniusz dumny z nowych sił swoich, powiększył je zaufaniem. Hiszpanie, grali w historyi wieków średnich, pamiętną rolę, o któréj za nadto zapomniała niewdzięczność nowożytnych. Jako straż postawiona na najdalszym stanowisku, czuwali nad Europą, zagrożoną nieprzeliczonemi hordami Arabów, a na półwyspie swoim, jak w obszernym obozie, zawsze byli gotowi walczyć, a walczyć bez pomocy. Założenie chrześcijańskich królestw w Hiszpanii, od chwili kiedy waleczni potomkowie Gotów zmuszeni schronić się między skały Asturyi, wyszli z tamtąd z orężem w ręku, aż do chwili kiedy Maurów ze szczętem wypędzono z Hiszpanii, cały ten przeciąg wieków, jest poematem historyi, jest nawet jéj cudem: albowiem zupełne oswobodzenie chrześcijaństwa, tak straszliwą potęgą przygnębionego w tym kraju, zdaje się bydź dziełem kierowanem prawicą Najwyższego, a którego, człowiek własnemi siłami dopełnić by nie zdołał. Naród hiszpański musiał z zapałem przywiązać się do religii którą z takiem wysileniem zdobył. Pociechy religijne były dla tych wojowników nagrodą krwi przelanéj; każdy kościół był pomnikiem zwycięztwa, a prawnuki tych bohaterów, jeszcze oddają hołd pamięci przodków. Aż do ostatniego tchnienia, wierny Bogu i królowi, niezgięty co do praw honoru, dumny ale korzący się przed ołtarzem, poważny, wstrzemięźliwy, surowy, taki był dawny Kastyllańczyk; uprawiał pole nie składając oręża. Po wypędzeniu Maurów, królowie Hiszpanii korzystając z rycerskiego ducha narodu, wywarli wielki wpływ na Europę, a ich poddani z taką samą stałością i odwagą szli pod sztandarami dumy, z jaką niegdyś bronili swego bytu i religii. Dokonano bezprzykładnych przedsięwzięć; świat nowy, uległ garstce śmiałych awanturników. Pojedyncze rysy okrucieństwa i łakomstwa, skaziły chwałę swietnego heroizmu, lecz naród nie był doknięty zepsuciem. Duch rycerstwa przeżył w Hiszpanii polityczny byt rycerzy, i potém jeszcze, gdy błędy Filipa IIgo zmniejszyły szczęście i potęgę Hiszpanii, duch ten odznaczył najświetniejszą epokę literatury Hiszpańskiéj. Poeci tego narodu, nie byli to, jak w innych krajach Europy, dworzanie, uczeni, albo ludzie trudniący się jakim rzemiosłem miejskiem. Byli to rycerze, szlachta, wojownicy. Cwiczenia wojenne i umysłowe, podwójna chwała, podwójna przyszłość, były ich świetnym udziałem. I tak, jeden z najdawniejszych poetów za Karola V, Garcilaso, potomek Inkasów peruańskich, poszedł na wyprawę do Afryki i zginął przy szturmie do miasta Tunis. Portugalczyk Kamoens, zaciągnąwszy się jako żołnierz, płynął aż do krańców Jndyi, za śladami sławnego żeglarza, którego odkrycia opiewał, Don Alonzo d'Ercilla, utworzył swój poemat Araukana, już to pod namiotem u stop Kordylierów i walcząc z dzikiemi, już to w nieprzystępnéj pustyni, już na okręcie płynącym w około świata. Cerwantes, długą niewolą w Algierze i utratą ręki, opłacił zaszczyt że jako ochotnik znajdował się na bitwie pod Lepantem, pod sztandarami sławnego Don Juana austryackiego. Lope de Vega, był świadkiem zniszczenia floty zwanéj niezwyciężoną, którą Filip wyprawił przeciw Anglii. Nareście Kaldeon odbył wyprawy we Flandryi i we Włoszech i ciągle wypełniał obowiązki stanu wojskowego, dopóki nie wykonał ślubów zakonnych.

Wyobraźnia Hiszpanów, tak śmiała jak ich wyprawy, nie cofała się przed żadnem awanturniczém przedsięwzięciem. Upodobanie w cudowności, zjednało niezmierną wziętość romansom rycerskim, a gdy lud poznał i polubił wystawy sceniczne, chciał też same romanse ujrzeć na scenie. Poeci przerobili te bajki rycerskie na przyjemne i świetne zmyślenia i powlekli je kolorem poetycznym.

Sztuka drammatyczna zaczęła się rozwijać się w Hiszpanii w połowie szesnastego wieku, a w następnym doszła do najwyższego stopnia świetności. Trzy główne epoki postępu sztuki drammatycznéj w Hiszpanii, odznaczyć można imionami trzech sławnych pisarzy, *Cerwantesa*, *Lope de Vega* i *Kalderona*. Cerwantes był świadkiem pierwszych prób sztuki drammatycznéj i opisuje wesoło niekształtne te widowiska, pozbawione zewnętrznych ozdób

---

(a) Nie mając właściwego wyrazu na oznaczenie słowa *Romance*, w języku francuzkim, nazywamy je balladą jako najbardziéj zbliżającą się do jego treści.

i rzeczywistéj wartości. Uważać go można jako jednego z wykształcicieli téj sztuki: albowiem przed napisaniem Donkiszota, gorliwie pracował dla teatru i kilkanaście jego sztuk, o których potém bardzo obojętnie wspomina, były przyjęte z wielkiemi oklaskami. W liczbie tych sztuk, jedna wznosi się do godności tragedyi i liczyć ją trzeba między najznamienitsze fenomena sztuki drammatycznéj. Jest to *Zburzenie Numancyi*. W niéj, Cerwantes zbliżył się do starożytnéj wielkości i prostoty, mimo wiedzy swojéj i myśli.

Lope de Vega, skoro tylko pokazał się, owładnął scenę i zaćmił chwałę poprzednika. Podobanie się widzom, było głównym celem tego pisarza; dogodził więc zamiłowaniu w cudowności i romansowych przygodach, i sztuki jego, których niezliczone mnóstwo napisał, są to rycerskie, miłosne, i czarodziejskie powieści wystawione na scenie. W żadnéj z nich nie dosięgnął głębokości ani szczytności pomysłów, lecz zawierają się w nich miłe zajmujące położenia i trafne żarty, a dla pisarzy posiadających gust i znajomość sztuki, mogą bydź bardzo obfitém źródłem.

Gdyby teatr hiszpański był się składał tylko z dzieł Lope de Vega i kilku współczesnych jemu pisarzy, uwielbianoby w nim rozmaitość i bogactwo wyobraźni, nie zaś doskonałość drammatycznéj sztuki; lecz nareście, zjawił się *Pedro Kalderon de la Barka*, geniusz tak płodny i tak procowity jak Lope, lecz większy poeta. Kalderon urodził się na początku siedemnastego wieku; miał lat szesnaście gdy umarł Cerwantes, a trzydzieści pięć gdy umarł Lope de Vega. Historyk życia Kalderona, powiada nam, że ten autor napisał przeszło 120 sztuk drammatycznych, 100, allegorycznych aktów z historyi świętéj, sto intermedyów i mnóstwo poezyi. Ponieważ zajmował się drammatycznemi pracami, od czternastego roku aż do osiemdziesiątego pierwszego, to jest do kresu życia, dzieła te rozdzielone na długi przeciąg lat, nie były pisane z takim pośpiechem jak sztuki Lope de Vega; miał czas zastanowić się nad ich pomysłem i układem. Dla tego też, we wszystkich sztukach Kalderona widać piętno wielkiego mistrza. Styl jego jest świetny i poetyczny, a wrażenie teatralne ma zawsze na pierwszym względzie.—Płody jego dzielą sie na cztery główne klassy; sztuki święte, sztuki historyczne, sztuki mitologiczne i nareście obrazy życia towarzyskiego. Lecz i te płody Kalderona, które najbardziéj zdają się zniżać do tonu pospolitego życia, zajmują nas jakimsiś fanstatycznym powabem i nie można uważać ich za komedye w zwyczajném znaczeniu tego słowa. Komedye Kalderona kończą się małżeństwem jak inne, lecz jakże się różnią całą osnową! Terencyusz używa niemoralnych środków dla zaspokojenia zmysłowych namiętności, albo dla dopięcia samolubnego celu; u niego ludzie śledzą wzajemnie swoją słabość i walczą moralnemi siłami, jak gdyby walczyli fizyczną siłą. Przeciwnie, w sztukach hiszpańskich panuje ten zapał namiętny, który uszlachetnia przedmiot żądzy człowieka. Kalderon pokazuje nam główne osoby swoje w burzliwéj porze młodości, w wieku, w którym śmiało ufamy życiu i chlubimy się z jego uciech; lecz cel do którego dążą, dla którego zapominają o wszystkiém, jest w ich oczach celem nieskończonym, marą szczęścia któréjby niezamienili za żadną w świecie rzeczywistość. Honor, miłość i zazdrość są sprężynami jego drammatów. Walka najszlachetniejszych namiętności, tworzy wątek intrygi i żadne gminne oszukaństwo nie mięsza się do niéj. Honor jest zawsze idealną zasadą, polega bowiem na téj wzniosłéj moralności, która uświęca zasady czynów, bez względu na ich skutki. Kalderon nadaje także kobietom, toż samo uczucie honoru, które przezwycięża miłość albo obok niéj stawa. Honor kobiet polega w Kalderonie na tém, iż kochają tylko człowieka bez skazy, kochają go z doskonałą czystością i nie cierpią żadnego dwuznacznego hołdu, żadnego uszczerbku ich godności. Kalderon otacza tę miłość nieprzeniknłą tajemnicą, aż do chwili kiedy prawy węzeł dozwala ogłosić ją przed światem.— Zazdrość, ta namiętność zawsze czynna, a częstokroć szalona, przywiązuje się nie do posiadania przedmiotu miłości, lecz do najlżejszych wzruszeń serca.

W religijnych sztukach, z największą mocą i wywnętrznieniem rozwijają się uczucia Kalderona. Miłość ziemską malował ogólnemi tylko rysami; Religia jest prawdziwą jego miłością, jest duszą jego duszy, i wówczas poeta unosi się w najwyższą sferę poezyi.

(*dokończenie nastąpi*)

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Nowy Kalendarz Powszechny, wydany na rok przyszły (1837) przez P. Kajetana Lubicz Niezabitowskiego, Czł: Tow: Nauk Krakowskiego, odznacza się tąż samą starannością i doborem przedmiotów, która w dwóch pierwszych latach, zasłużoną wziętość temu Kalendarzowi zjednała. Co do części właściwie Kalendarskiéj, wyda-

wca tak się wyraża w odezwie do czytelników zamieszczonéj:

»Pozostaje jeszcze redakcyi zdać sprawę z części właściwie kalendarskiéj. Część ta bardzo pracowicie na ten rok ułożona, obejmuje nowość dotąd w naszych kalendarzach nie znaną, to jest zamieszczoną pod każdym dniem odznaczającą go przyrodzenia zmianę. Prawda, że tysiące zmian natury na każdy dzień przypadają, i nie w dniu tylko jednym ta która jest pod nim zamieszczona, wykonywa się: jednakże starano się to tylko wybrać na dzień każdy, co najwyraźniéj w nim dostrzedz się daje. Z resztą, myśl ta pierwszy raz powzięta, nie jest taką ażeby na przyszłość zmianom i poprawom nie uległa, zwłaszcza, jeżeli szanowni czytelnicy zechcą ją własnemi postrzeżeniami wyprobować, i wypadki takowych postrzeżeń nadesłać redakcyi, która najmocniéj o nie uprasza. Uważanie natury jest najmilszą i najpożyteczniejszą rozrywką wsi mieszkańca, który nawet największą ma sposobność do tego. Dla tego też, korzystając z uwag Dra Filozofii *Adryana Krzyżanowskiego*, nie wahaliśmy się udzielić zebranych przez niego nowych postrzeżeń nad zjawiskiem ciekawém, to jest nad spadającemi gwiazdami.«

Przedmioty zawarte w Kalendarzu Powszechnym na rok 1837, oprócz części kościelno-astronomicznéj, do któréj dołączony jest rozkład prac rolniczo-gospodarskich, są:

Nowe postrzeżenia tyczące się gwiazd spadających, przez *Adryana Krzyżanowskiego* Dok: Fil: Pof: Uniw: Król: War:

O zmianach powietrza i o naturalnych porach roku w ogólności, przez *Wojciecha Jastrzębowskiego* Prof: Inst: Gospodarstwa wiejskiego w Marymoncie.

Zasady praktyczne robienia wernixów i pokostów, przez *Teofila Rybiokiego* Mag: Filozofii.

O kurach, przez *Pawła Eustachiusza Leśniewskiego*, b. Prof: nauk przyrodz:

Krótka statystyczna wiadomość o stanie górnictwa i hutnictwa w Królestwie Polskiem, od roku 1816 do 1835, przez *Jerzego Pusch*, b. Radcę górn: i Prof: Szk: Gór:

Sposób budowania domów drewnianych, aby były trwałemi i utrzymywały wewnętrzne tynki i inne części, bez uszkodzenia, w najodleglejsze nawet lata, przez *Adama Idźkowskiego*.

Słów kilka o towarzystwie oszczędności, przez *Antoniego Barcińskiego*

O miarach i wagach znakomitszych państw Europy, a w szczególności polskich, przez *Floryana Zubelewicza*.

O zamianie miar i wag zagranicznych na polskie i zagranicznych na zagraniczne, przez tegoż.

O hypotece podług praw obowiązujących, wiadomość potrzebna każdemu mieszkańcowi, przez *Józefa A. Szabrańskiego*, Magistra Obojga Prawa.

Kolęda, powieść, przez *Bezimienną* (Autorkę powieści).

Upominek, czyli Poradnik użyteczny w Gospodarstwie domowém.

Rycina na czele Kalendarza umieszczona, należąca do artykułu P. Idźkowskiego, o budowaniu domów, przedstawia bardzo dobry rozkład domu wiejskiego.

Do tych wewnętrznych zalet, przydać należy druk czysty czytelny a zarazem ścisły, dobry papier i ozdobną okładkę.

WODOTRYSKI W WERSALU.



Łoże Neptuna i Amfitryty.

Jeżeli spuścimy z uwagi, iż prace podjęte dla utworzenia wodotrysków w Wersalu, zniszczyły skarb Francyi, uwielbiać musimy to wspaniałe dzieło potęgi człowieka. Zdaje się, że ajenci Ludwika XIV umyślnie wybrali to miejsce, gdzie największe zachodziły trudności w uskutecznieniu zamierzonego celu. Wcale nie było wody na tém spiekłém wzgórzu, a rzeki płynęły o podal i na niższym gruncie. Wersal był suchy z natury swojéj; postanowiono że wody będzie tam obficie i tak się stało. Ta wola, tworzenia tego, czego nie było i czego bydź nie powinno, przestąpiła granice sztuki: i budowniczowie Wersalu za bardzo nawet oddali się temu zadowoleniu, że zdołali zwyciężyć naturę; za bardzo chlubili się dziełem swojém. Wszędzie umieszczono wodę; nie ma krajobrazu, nie ma widoku, do któregoby woda nie wchodziła jako główny żywioł, a gdy wodotryski są puszczone, można powiedzieć, że za wiele jest wody w Wersalu. Nie podobna opisać ani nawet wymienić nieprzeliczonych fontann, wodozbiorów, kaskad i źródeł, których szmer i odbicie zadziwia widzów; wymienimy tylko najsławniejsze, najwspanialsze, albo najdziwaczniejsze utwory.

Gdy wyszedłszy z zamku idziemy ku sławnemu *Zielonemu Kobiercowi,* natrafiamy najprzód dwa obszerne łoża (bassin) wśród których wytryskują snopy wody na trzydzieści stop wysokie; ich brzegi ozdabiają bronzowe posągi nimf i allegoryczne postaci rzek Francyi; po rogach znajdują się mniejsze wodozbiory. Te przedwstępne widoki, przygotowują do widoku *Łoża Latony.* Łoże to, całe wysłane marmurem, powzięło swoje nazwisko od postaci umieszczonej na środku i wyobrażającej Latonę, przy któréj jest dwoje jéj dzieci, Apolin i Dyana. Bogini skarżyła się przed Jowiszem na okrucieństwo wieśniaków Licyi, którzy jéj zabronili napić się wody z jeziora; Jowisz dla ukarania wieśniaków, przemienił ich w żaby: wszystkie te żaby rozproszone w około środkowéj gruppy, wyrzucają krzyżujące się wodotryski. Całość ta przyjemne czyni wrażenie, a jednakże nie tak szlachetne i nie tak wdzięczne, jak widok *Alei wodnéj* będącéj po prawéj stronie łoża Latony. Aleja wodna, jak to wskazuje jéj nazwisko,

odznaczona jest wodotryskami, wodozbiorami, i snopami wody, urządzonemi na dwa rzędy; początkiem jéj jest fontanna, zwana fontanną Piramidy, ponieważ massa wody z niéj wytryskująca, spadając z łoża w łoże, ma kształt piramidalny; jéj końcem zaś jest szerokie łoże zwane *Łożem Smoka*, w środku którego stoi wąż Python wyrzucający wodę na wszystkie strony na 80 stop wysokości; łabędzie i delfiny otaczają smoka. Za niemi znajduje się *Łoże Neptuna*, utwór najznamienitszy ze wszystkich. Łoże to, zbudowane w amfiteatr i mające kształt muszli, jest ozdobione w całym okręgu wyższéj części, 60 wytryskami znaczną mającemi objętość i wysokość; w środku znajduje się gruppa Neptuna i i Amfitryty: ci bożkowie siedzą w muszli, w około nich tłoczą się Trytony, Nereidy i i potwory morskie. Wszystkie te figury wyrzucają wodę nozdrzami i pyskiem. Z drugiéj strony, spoczywa Ocean z godłami swemi, a i tam liczne źrzódła wytryskują z pośród trzcin, między któremi leży bożek. Oprócz tych wszystkich postaci, tu i owdzie pływają Trytony i potwory morskie, które wychylając głowę nad wodę, wyrzucają liczne jéj słupy. Do tych wszystkich odmian, przydać jeszcze potrzeba spadające obrusy i kaskady. Żaden widok nie może bydź wspanialszym i większe wzbudzać podziwienie. Widok łoża Neptuna i łoża Dyany, objęty jednym rzutem oka, jest arcydziełem sztuki hydraulicznéj. Jednakże niektórzy znawcy przenoszą kąpiele Apolina, znajdujące się w innéj części zwierzyńca. Te sławne kąpiele, zwane także *Grotą*, ukryte są w głębi gaju otoczonego krzakami i zacienionego wielkiemi drzewy. Bożek słońca przychodzi w odwiedziny do Tetydy; artysta wystawił go przy wniściu do groty w skale wykutéj, któréj sklepienie opiera się na kolumnach; sześć nimf bogini przyjmuje Appolina. Tymczasem Trytony mają staranie o jego koniach i rozdzieleni na dwie gruppy, prowadzą je do sadzawki. Postaci pięknie zrobione, należą do arcydzieł rzeźbiarza Girardon, który wykonał je podług rysunku Lebruna. Piękny obrus wody spada z wierzchu skały, rozbija się tuż przy Appolinie i nimfach, a potém rozdzielony na kilkanaście wodospadów, upływa nareście w łoże wykopane w gruncie gaju. Wszystko to nadaje téj scenie wdzięczny pozór ruchu i życia. Inne utwory, inne prace hidrauliczne, zasługują także na wspomnienie, z powodu ich siły i mocy: takiemi są, gaik w którym olbrzym Encelades przywalony górami Olimpu i Ossy, wytryska ogromne słupy wody na 70 stop wysokości, z taką potęgą i mocą, iż zdaje się że woda jest wyrzucona ciężarem i ciśnieniem góry; gaik w którym spada woda z wierzchu tryumfalnego łuku; inny gaik gdzie wodotryski tak są urządzone iż w powietrzu tworzą obelisk; łoże Appolina, w którym bożek pokazuje się ciągniony czterema końmi, otoczony od Trytonów, wielorybów i delfinów, i niezmiernéj wielkości łoże Szwajcarów, tak nazwane iż je pułk Szwajcarów wykopał, mające 350 sążni długości a 120 szerokości; taki nareście jest wielki kanał, który szeroki na 200 stop a długi na 2400, płynie z jednego łoża do drugiego i w środku przecina się poprzecznym kanałem tak, iż oba tworzą krzyż łaciński.

Wszystkie wody w zwierzyńcu Wersalskim, tak urządzone zostały, aby wzrok znużony wspaniałemi widokami olbrzymów, bożków, i potworów morskich, spocząć mógł na łagodniejszych przedmiotach. Pomysł dziwny bardziéj, niżeli trafny, przewodniczył utworowi i ozdobie małych fontann, a szczególniéj tych co są umieszczone w części zwierzyńca zwanéj *Labiryntem.* Zrobiono tam mnóstwo łoż, na których wystawiono w akcyi, bajki Lafontena i Ezopa, wyjaśnione, na wszelki przypadek, niepojętnym umysłom, w czworowierzach złotemi literami napisanych. Dwa przytoczenia, dadzą nam poznać smak i wartość tych obrazów. Fontanna Koguta i Lisa, tak jest ułożona: Kogut siedząc na stosie kamieni ozdobionych zielonością, najgrawa się z lisa, tryskając na niego wodą; a lis stojąc niżéj, chce zemścić się tymże samym sposobem, lecz daremne czyni usiłowania, wytrysk jego nie dosięga aż do koguta. Następujące wiersze, wyryte są na marmurowéj cembrowinie fontanny lisa.

„Wieczny pokój już stanął: tak rzecze lis stary,
Do koguta; znijdź zatém.— „Dobrze, dwa ogary
Idą z tą wiadomością," kogut mu odpowie.
Lis nieśmiał czekać na to aż przyjdą posłowie.

Fontanna Lisa i Kozła jest taka. Ze studni wypływa woda, kozioł na pół zanurzony, wychyla głowę z wody i zdaje się uskarżać na lisa, który szydząc z jego położenia, wodą tryska na niego.

Ta główna myśl, wyrzucać wodę dla wyrażenia wszelkich położeń, panuje we wszystkich fontannach Labiryntu. Kot i szczur, prowadzą-li jawną walkę? tryskają na siebie wodą. Dudek ogołocony z pożyczonych piórek otrzymuje-li karę za próżność swoją? dudki i pawie tryskają nań wodą. Bocian oszukany przez lisa, nie może-li schwytać odrobinkę biesiady zastawionéj na talerzu? wytryska wodę. Lis otrzymuje li słuszną karę za to oszustwo?

wytryska wodę. Jeźli wielkość wieku Ludwika XIV objawia się w alei wodnéj, w łożu Neptuna, w kąpielach Apolina; fontanny Labiryntu są także znamiennym rysem: zły gust i przesada owéj epoki, okazują się w hidraulicznéj wystawie bajek Lafontena, i w czworowierszach co je objaśniają.

Wszystkie te wodotryski, ozdobione są mnóstwem postaci ludzi i zwierząt, naczyń i ozdób z bronzu, marmuru, kamienia i ołowiu; samo ich wyliczenie nawet, zabrałoby za wiele miejsca: powiémy tylko, że najsławniejsi rzeźbiarze i bronzownicy wieku XVII, pracowali nad niemi. Do tych sztucznych ozdób, przydać należy kępy i aleje drzew najpiękniejszą zielonością pokryte; trawniki, klomby, gaje, poumieszczane po wszystkich stronach, z dowcipem i gustem sławnego Lenotre.

Jakkolwiek zadziwiają nas wodotryski Wersalu, nie przewyższają przecież olbrzymich prac, które dla ich zrobienia podjęto: i aby pojąć jak potężnych środków użyć było trzeba, przypomnijmy sobie że Wersal nie miał ani kropli wody, a potém złączmy w myśli naszéj w jedną objętość te wszystkie wytryski, źródła, obrusy, łoża. Tysiąc ludzi i miliony pieniędzy daremnie użyto w Maintenon, aby sprowadzić do Wersalu wody rzeki Eure. Zaniechawszy téj pracy, zażądano wody od Sekwany i zbudowano w Marly ogromną machinę (dziś ją zastępuje pompa ogniowa) która, czerpiąc wodę z głębokiéj doliny, wyniosła ją na wzgórze na szczyt wieży, skąd potém płynie pochyłym wodociągiem do wodozbioru, a z niego rozdziela się na kanały i wodotryski zwierzyńca. Obok tego, aby dopomódz temu głównemu źrzódłu wód Wersalskich, zbudowano wspaniały wodociąg Bac, który przechodząc przez dolinę Bievre, zgromadza wodę ze stawów okolicznych. Takiemi to sposoby, odznaczającemi się wielkością pomysłu i wykonania, usunięto najcięższe przeszkody i zbudowano wodotryski Wersalskie.

WIDOK ZAMKU HAM.

Zamek ten, leży we Francyi w departamencie Somme i obrócony jest na więzienie stanu. W nim osadzeni byli w skutku wypadków rewolucyi Lipcowéj, czteréj ministrowie Karola Xgo, P: Peyronnet, Polignac, Guernon-Rainville, i Chantelauze. Niedawno doniosły gazety, że panowie Peyronnet i Chantelauze, uwolnieni zostali na słowo honoru, z obowiązkiem mieszkania w dobrach swoich. Polignac i Guernon-Rainville, nie przyjęli łaski ofiarowanéj sobie przez króla Ludwika Filipa.

Jeden ze sławnych pisarzy francuzkich, odwiedził był hrabiego de Peyronnet w zamku Ham, i udzielił zajmujących szczegółów o tych nieszczęśliwych ofiarach losu.—Artykuł ten, zebrany jest z jego opowiadania.

Opatrzony pozwoleniem ministra spraw wewnętrznych i ministra wojny, nasz podróżny stawił się przed bramami miasta. Po długiem i drobiazgowym przeglądzie, pozwolono mu wnijść na ulicę gdzie mieszka pani de Perpigna, siostra pana de Peyronnet. Ta dama, która niegdyś tak świetnie i uprzejmie przyjmowała gości w salonach ministra, poświęciła się na osłodzenie losu brata i zajmuje mały domek czysty i skromny. Nieszczęście nie zmieniło jéj humoru.

Kilkakrotnie jeszcze obejrzano paszport i pozwolenie, zanim można było dostać się wewnątrz zamku, do mieszkania uwięzionych ministrów.

Panowie Chantelauze i Guernon Rainville, zajmują dół, a pan Polignac i Peyronnet, pierwsze piętro. Rozkład pokojów jest jednakowy; pomieszkanie każdego składa się z gabinetu i pokoju sypialnego; drzwi wychodzą na korytarz. Więźniowie mogą wychodzić w dzień na taras zamkowy i do wspólnéj sali jadalnéj. Na wieczór, wyjście to zamykają i wszelki związek téj części zamku, z innemi, jest przecięty.

Czteréj uwięzieni ministrowie, o wiele różnią się między sobą w sposobie życia. Pan Chantelauze jest najbardziej cierpiącym. To prawda, iż może najwięcéj zasługuje na politowanie, gdyż przez dziewięć miesięcy w roku zupełnie jest samotnym. Brat jego poświęca staranie o swoich interessach, majątku, rodzinie, i przybywa na trzy miesiące, dla pocieszenia jego niedoli. Przez resztę czasu, pan de Chantelauze zdaje się bydź oderwanym od wszelkich ziemskich wyobrażeń i pogrążony w głębokiem dumaniu, tak dalece iż nawet zapomina o ubiorze.

Pan de Guernon, osładza swoją samotność nauką fizyki i matematyki. Przepędza nad machiną pneumatyczną wszystkie chwile, których nie obraca na rozwiązywanie algebraicznych zagadnień; lecz najczęściéj, stojąc przed czarną tablicą, w zaniedbanym ubiorze, z twarzą zarosłą, wygląda jak ów Galileusz, myślący w więzieniu nad odkryciem wielkiéj matematycznéj prawdy.

Pan de Polignac przeciwnie, w niczém się nie zmienił; podobnie jak w Paryżu, lubi wytwór i wygody życia. Jest spokojny, i pra-



WIDOK ZAMKU HAM.

wie obojętny, grzeczny, uprzejmy, wesoły, nie nudzi się wcale, lecz przynajmniej może widywać żonę i dzieci, dla których nie umarł tak jak dla towarzystwa. Bawi się muzyką i rysunkiem. Ubiera się jak najtroskliwiej, a gdy wychodzi na przechadzkę, na taras mający osiemdziesiąt stop długości a szerokości tylko pięć, możnaby go poczytać za eleganta, który dla swojéj zabawy zwiedza fortecę. Wychodzi codzień o siódméj rano, jakikolwiek jest czas, i, już to dla utrzymania zdrowia, już to dla sprzeciwienia się dozorcom swoim, chodzi niezmiernie szybko. Pan de Guernon przechadza się później, pan de Chantelauze niekiedy, a pan de Peyronnet nigdy.

Przez dwa lata, pan de Peyronnet na krok nie wyszedł ze swego pokoju. Trzéj więźniowie jedzą śniadanie osobno lecz obiadują razem. — Pan de Peyronnet jada osobno. — Co niedziela stawiają ołtarz w sali jadalnéj i odbywa się msza, na któréj prócz więźniów i dowódzcy zamku, nikt nie jest obecnym. Pan de Peyronnet, przyjął za prawidło aby niczego nie żądać. W roku przeszłym, cierpiał pięć miesięcy na artrytyzm a i wówczas nie zawezwał pomocy lekarza. W gabinecie jego, znajduje się biblioteka, złożona z xiążek historycznych i prawnych.

Pan de Peyronnet, nie tyle się zmienił ileby spodziewać się można po takim sposobie życia. Wstaje wcześnie, czyta dzienniki i pracuje aż do południa. W więzieniu swojém napisał kilka dzieł, odznaczających się pięknością myśli i stylu: pomiędzy niemi, pierwsze miejsce zajmują *Wspomnienia Więźnia.*

Załoga zamku składa się z dwóch kompanii wyborczych i kompanii artyleryi. Zwodzone mosty podnoszą o ósméj wieczorem.

Miasteczko Ham stoi na wzgórku i jest otoczone wałami, liczy 1800 mieszkańców. Już za rządów Napoleona, pan de Polignac wytrzymał w niém kikoletnie więzienie.

LITERATURA.

Teatr hiszpański — Kalderon.

(ciąg dalszy)

Jeśli więc, odrywając się od poziomej krytyki, odrzucając jej zimne formy, zdołamy wznieść się do wspaniałego rozważania uniesień myśli człowieka, czytajmy fanatyczny drammat Kalderona. Czytelników powierzchownie tylko uważających na przedmioty, bawią intrygi sztuk hiszpańskich, lecz jest to zewnętrzne życie poety, nie zaś jego namiętność, jego dusza, jego myśl tajemna, i ten ogień który jego arcydzieła ożywia. Ten ogień, z gminnej wiary zrodzony, przez żadnego z dotychczasowych krytyków pojęty i oceniony nie został. Teatr hiszpański przedstawia najstraszliwsze rysy namiętności; znajdziesz tam, krew, łzy, zbrodnie nie mające nazwiska, wściekłość żadnemu innemu ludowi nie znaną; jest tam społeczność pożerana trawiącą gorączką, wielka i silna; jest tam cywilizacya ukształtowana ręką wiary i żelazną rycerza prawicą.

Czytając sztukę z hiszpańskiego teatru, pamiętajmy o tém, że symbolum, godło zewnętrzne, jest wszystkiem dla hiszpanów, że u nich, to godło ochrania, wykupuje, zasłania, ożywia, uspokaja, otwiera niebo i piekło, a teraz przystąpmy do drammatu Kalderona. Nie zdołam powtórzyć harmonijnej i miarowej części jego dzieła, tych wierszy ośmio sylabowych, z natchnioną rozwijających się łatwością, tej poezyi, która, świetna i szybka, przebiega po zakrętach drammatu jak dech człowieka w okręgach trąby. Mogę tylko skreślić pierwotny zarys, 'dziwacznej ale charakterystycznej sztuki, która, będąca płodem bujnej wyobraźni poety, w wielu miejscach sprzeczną bydź może z czystemi pojęciami moralności, i którą sam tylko wzgląd na wiek i miejsowość usprawiedliwia.

W wąwozie między górami, na łonie dzikiej i surowej samotności, zdala od wszelkich dróg uczęszczanych, pośród skał zaczernionych od deszczu, stoi wielki krzyż zrobiony z dwóch kawałów dębu, nieociosanych nawet toporem cieśli. Jest to krajobraz zgadzający się ze straszliwemi myślami i zapędami namiętności. Tam chronić się muszą bandyci, tam spoczywają biedni strudzeni pasterze, tam powinni zawzięci nieprzyjaciele zaczynać i kończyć śmiertelną walkę.

Tam więc Kalderon rozpoczyna swój drammat, któremu dał tytuł *Cześć Krzyża.*

Biedny rębacz drewek i jego żona, nie mogąc dalej poganiać swego osła, zatrzymują się dla wypoczynku. Mąż niezmiernie kocha to zwierze, które ani na krok nie chce dalej postąpić. »Dalibog, rzecze jego żona, jeżeli ty się nie ruszysz ja pójdę szukać pomocy.« Przystaje na to wieśniak, lecz sam pozostawszy, zaczyna się lękać. »Gdyby nadeszli bandyci, cóżby się z nim stało? Nie jest zuchem.

Szelest uderza jego ucho. Wstaje, patrzy. Dwaj rycerze zsiadłszy z koni idą w tę stronę. Powodowany ciekawością i strachem, rębacz chowa się w krzaki.

Jeden z tych rycerzy, był to Kastyllijczyk, niezmiernie drażliwy o honor swojej rodziny, gotów nawet obmyć błąd, albo pozór błędu, we krwi siostry, żony, kochanki, lub kochanka, syn Lizarda Kurcjo, zubożałego szlachcica, brat młodej i pięknej Julii. Wyzwał on Euzebiusza. Nie dał mu żadnego objaśnienia, żądał tylko aby szedł za nim. Euzebiusz usłuchał go i obydwa zatrzymują się w tym samotnym wąwozie. — »Nie idźmy dalej, rzecze Kurcjo. Oto jest miejsce samotne, oddalone od drogi i stósowne do moich zamiarów. Dobądź szpadę Euzebiuszu, złoż się. Jesteś zapewne szlachcicem, musimy walczyć.

—»Dobrze; i aby ci odpowiedzieć żelazem, dosyć mi na tém żeś mię tu przyprowadził. Lecz o cóż się skarżysz? Czego żądasz odemnie? Chcę o tem wiedzieć wprzódy, nim się bić zaczniemy.

— O co się żalę? O! jest to zbyt wielka zniewaga i nie zdołam jéj wypowiedzieć. Głos mój ścina się w piersiach; chciałbym zamilknąć, chciałbym o niej zapomnieć. Podwajasz ją przypomnieniem. Czy znasz te listy?

—»Rzuć je na ziemię; podniosę je.

—»Oto są.

—»A cóż? zbladłeś! zmieszałeś się!

—»Nędzny! stokroć nędzny, kto swoje tajemnice pismu powierza!

—»Znasz te listy?

—»Są moje, nie zaprzeczam.

—»Dobrze; a ja jestem synem Lizarda Kurcjo, szlachcica. Byłeś moim przyjacielem. Uwiodłeś moją siostrę Julią. Jesteś ubogim i nigdy nie otrzymasz jéj ręki. Jutro, ażeby czystość imienia mego zaćmioną nie była, siostra moja, poświęcona Bogu, wnijdzie do klasztoru. Chętnie albo z przymusu, zostanie zakonnicą. Ty zaś musisz mi dać zadosyć uczynienie; jeden z nas umrzeć tu musi. Jeśli ty zginiesz, siostra moja nie będzie twoją kochanką; jeżeli ja, nie będę na to patrzał.

— »Słuchałem cię i poskramiałem się,

odpowiada Euzebiusz. Lizardo, umiarkuj się i posłuchaj mojej odpowiedzi. Jeden z nas musi tu zginąć, ale dowiedz się kto stoi przed tobą. Człowiek któren się niczego nie lęka i czuje że go niewidzialna siła prowadzi. Życie moje jest pasmem cudów. Powiesz światu to, co ci wyznam; a jeśli zginę, niechaj wieczna niepamięć nie pokryje tak wielkich, tak szczytnych zjawień. Nie wiem kto był moj ojciec. Nigdym go nie znał. Powiadano mi żem się urodził u stop krzyża, mając niebo za osłonę a kamień za kolebkę. Trzy dni płakałem; trzy dni, dzikie zwierzęta krążyły koło mnie, nie śmiejąc tknąć bezbronnego niemowlęcia. Nie umarłem z głodu, gdyż zrodziłem się u stop Krzyża. Pasterz błądząc po górach za zgubioną owcą, zabrał mię z miłosierdzia. Nazywał się Euzebiusz, dał mi imię *Euzebiusz krzyża*. Pielęgnował mię jak syna; rosłem w jego chatce; mój charakter był dziki i surowy; straszliwą była gwiazda urodzenia mojego, zarazem wybawczą i groźną. Krzyż ochraniał mię we wszystkich przygodach. Mając trzy lata, wpadłem w głęboką wodę, lecz wypłynąłem; *mały krzyżyk żelazny* był w moich ręku. Pożar pochłonął chatę mego przybranego ojca. Ten sam *krzyżyk żelazny* otworzył mi drogę pośród płomieni. Z upodobania obrałem sobie stan żołnierski. Wsiadłem na okręt z wojskiem; okręt rozbił się o skały. Ocaliłem się uchwyciwszy kawał drzewa: cudowne godło znowu mię ochroniło; ten odłam belek, miał kształt krzyża. W bitwach, w obec rozbojników, w nędzy, pośród moich zapędów, zawsze czuwa nademną to znamie boże. Tu, na piersi mojej, boski krzyż wyryty jest krwawemi znaki. Tenże znak jaśniał wchmurach, z których w koło mnie spadały pioruny; w falach które mi zagrażały, a nie mogły pochłonąć. Tajemnicze przeznaczenie rządzi mną. Lizardo! nie wyzywaj mię do walki. Śmierć mię nie ugodzi, powiadam ci; klasztorne mury nie ochronią twojej siostry. Gotów jestem dać ci zadosyć uczynienie: nikt bowiem nie posiada gwałtowniejszych namiętności, nikt odemnie nie jest bardziéj nieprzystępnym obawie.

— Euzebiuszu, odpowiada przeciwnik: niechaj zamilknie język; żelazo mówić powinno.

Nie jest że to uderzający początek sztuki? Co za okropna mieszanina krwi, wiary, miłości, okrucieństwa! Jak drammatyczna jest ta scena, jak mocne wzbudza zajęcie! Niechaj nikt nie wspomina o niedorzecznościach geniuszu. Jest to szczytność zdrowego rosądku, a w najdziwaczniejszych drogach, jakże śmiałym postępuje krokiem! Ten krajobraz, to dzikie ustronie, ci rozbojnicy w oddaleniu, ten krzyż, ta śmiertelna walka, ta niewidzialna potęga opiekująca się Euzebiuszem, jakże wielką tworzy zgodność wyobrażeń, czynów, namiętności i charakterów!

Euzebiusz nie otrzymał razem z świętém godłem, czystéj duszy i prawego umysłu. Jest to człowiek dziki, gwałtowny, nie pohamowany; postępować będzie pośród krwi, łez, ojcobójstwa i kazirodztwa. Nie podobna pytać się jaka jest moralność tego fanastycznego drammatu. Potęga i cześć godła, oto jest główny pomysł Kalderona, o to jest jego założenie; i nie podobna było silniéj i traiczniéj odpowiedzieć zamierzonemu celowi.

Dwaj młodzieńcy walczą. Szpada Lizarda odbija się o znak krzyża, który ochrania Euzebiusza. Euzebiusz zabija przeciwnika. «Ach! mamże umrzeć bez rozgrzeszenia? zawołał Lizardo: W imie tego krzyża na którym umarł Zbawiciel, nie dopuść abym skonał bez spowiedzi.

Na to święte wezwanie, Euzebiusz zanosi konającego przeciwnika, do pobliskiego klasztoru, a potem, powodowany tym niezwyciężonym zapałem, tą gwałtownością która go nigdy nie opuszcza, biegnie do pomieszkania Julii, do siostry tego, któremu wydarł życie. Chce ją skłonić aby poszła za nim, chce wykraśdź Julią wprzódy, nim się dowie o śmierci brata. »Jeżeli to prawda że mię kochasz, rzekł, jeźli prawda że twoje i moje serca już się porozumiały, jedź ze mną, jedź natychmiast; ojciec twój nie da się przebłagać; jedź, mam dla ciebie pałace; mam przyjaciół którzy cię bronić, a duszę która cię kochać będzie.

Julia waha się przez chwilę; lecz już chce uledz, gdy w tém ojciec nadchodzi. Euzebiusz kryje się w pobliskim pokoju. Ojciec przekłada córce, że najważniejsze pobudki skłaniają go oddać ją do klasztoru: ubóstwo i świetność familii, którą niestosownym zamęźciem poniżyć nie chce, i konieczność aby szczupłe dziedzictwo swoje zostawił synowi. Julia słucha w milczeniu, ojciec z chlubą wróży przyszłą świetność swego rodu; gdy w tém przynoszą zwłoki jego syna.

—Ach! zawołał starzec rzucając się na martwe ciało: dozwolcie niech się przypatrzę tym zwłokom, niech zobaczę te rozprute żyły, któremi upłynęła wszystka krew moja, całe szczęście mojéj starości!— »Kto go zabił? kto zabił ostatnie dni moje?

Powiadają mu imie Euzebiusza.

Ach! zawołał, ten człowiek wydziera mi honór i szczęście. Oczyść się z winy jeżeli

możesz, Julio! Powiedz nieszczęśliwa, że twoja miłość była bez skazy! Czy nie widzisz że twój ojciec i brat giną jednym ciosem z twojéj ręki? Ach! nie odpowiadaj, milcz, niechaj głosu twego nie słyszę. Ukryj tę piękność która była przyczyną śmierci syna mojego. Mój synu, moja córko! oboje nie żyjecie dla mnie: on umarł światu, ale żyje w mojéj duszy; lecz ty która żyjesz dla świata, na zawsze umarłaś w mojém sercu. Zostań, zostań przy tym trupie; niechaj to będzie twoją nauką, twoją męczarnią. Zamykam ciebie, tu, przy zwłokach twojego brata.»

W rzeczy saméj, zamknięto drzwi, a Julija zostaje w obec zwłok zakrwawionych. Płacze, jak mówi poeta, swojéj morderczéj miłości; może rozpatrzyć się w błędzie swoim a niespodziania i silna moralność wynika z głębi tego przedmiotu, na pozór tak przeciwnego wszelkiéj moralności.

Euzebiusz ciągle jest obecny. Ludzie z geniuszem, umieją użyźnić pozyskaną korzyść. Kalderon nie porzuca tak pięknego położenia; u twórczych pojęć, piękność rodzi się z piękności. Trup Lizarda nie byłby dla jego siostry dosyć mocną nauką, gdyby Euzebiusz wyszedłszy z gabinetu gdzie jest zamknięty, nie okazał się także. Zwłoki jéj brata leżą między dwoma osobami, z których jedna jest sprawcą jego śmierci; ta śmierć jest dziełem ich obojga. Scena ta wzbudza jak największe uwielbienie. Młoda dziewczyna odpycha Euzebiusza i odrzuca wszelkie jego nalegania. Drzwi się otwierają. Euzebuisz ucieka, pozbawiony wszelkiéj nadziei. Tak się kończy akt pierwszy. Od najpierwszéj sceny aż do ostatniéj, zapala go ogień namiętności.

Euzebiusz, zabójca Lizarda, odrzucony od kochanki, ścigany wyrokiem sądu, chroni się w góry. Dowodzi gromadą bandytów, i to rzemiosło wybornie zgadza się z odważnym, awanturniczym i niezbłaganym charakterem jego. »Ach! rzekł, obeszli się ze mną jak z występnym! Dobrze więc, moje występki wyrównają ich karze. Postąpili ze mną jak gdybym zdradziecko zabił Lizarda; a wszakże on mię przymusił do walki? Opuścili mię przyjaciele; nie wiem jak utrzymać istnienie moje. Zasłużę więc na ich prześladowania, a ktokolwiek przebywać będzie te góry, padnie ofiarą.« — Pośród szaleństwa i zbrodni do których przywiodła go rozpacz i miłość; Euzebiusz ma zawsze cześć dla godła które od urodzenia rozciągnęło nad nim tajemniczą opiekę. Daruje życie mnichowi przy którym znalazł xiążkę opisującą cuda krzyża Śgo i żąda jedynie aby w dzień jego śmierci był obecnym i nie odmawiał mu ostatniego rozgrzeszenia i pociechy.

Pośród burzliwych przygod występnego życia, miłość niewygasła z serca młodzieńca. Chce odzyskać tę którą kocha. Odkrywa jéj święte schronienie. Towarzysze Euzebiusza otoczyli klasztor; przystawiają drabiny; on chce się wedrzeć w głąb klasztoru; przeraża go myśl świętokradztwa którego się dopuszcza, lecz szalona namiętność zwycięża.

W tejże chwili, żołnierze pod dowództwem starego Kurcjo weszli w góry. Ojciec chce się pomścić zgonu syna i uszczerbku sławy Julii; zajął wszelkie ścieszki rozbojników i usiadł u stóp tego prostego krzyża, który stoi w środku téj dzikiéj okolicy. Cofa się przestraszony na widok tego świętego godła; przypomina sobie okropną przygodę lat młodych. Ożenił się był przed niedawnym czasem, zniewolony odjechać i opuścić żonę na kilka miesięcy, otrzymał od zdradzieckiego sługi doniesienia obwiniające wierność żony. Powraca, zastaje żonę przy nadziei, a rozumiejąc, że go zdradziła, płonie zemstą. Prowadzi nieszczęśliwą między wąwozy gór. Tam, przejęta trwogą, daremnie błagając męża o łaskę, pada nieszczęśliwa u stop krzyża.

—»Nie, nosisz w łonie twojém dziecię zbrodni.

—»A więc niechaj ten krzyż będzie moją obroną. Zbawicielu świata, zbaw nieszczęśliwą kobietę, okaż moją niewinność!

Mówiła te słowa, on zaś podwajał ciosy, ale miecz przecinał samo tylko powietrze. Zachowana cudem, wydała na świat u stop opiekuńczego krzyża i pod bezsilnym ciosem mordercy, dwoje bliźniąt. Przybiegli na jéj wołanie, a w tém zamieszaniu jedno dziecię zginęło. Drugie, to które znalazło przytułek w domu ojcowskim, jest to Julia. Jéj matka odzyskawszy zdrowie, poświęciła się Bogu i została zakonnicą. Julia, dziecię cudu, jest także przeznaczona na usługę ołtarzy. Ręka boża jest nad nią; krzyż krwawy wyryty jest na jéj piersi.

Taką to przygodę z przestrachem przypomina sobie stary szlachcic. Oto jest ten sam krzyż, toż samo miejsce; gubi się w myślach, jak się skończy tak dziwaczne przeznaczenie.

Wróćmy do Euzebiusza. Domyślamy się łatwo, że Julia jest siostrą jego. Okropne to położenie zamieniłoby się w obmierzłość niepodobną do zniesienia, gdyby Kalderon, nie posiadał prawdziwego geniuszu,

który zawsze jest szlachetnym i czystym. Zobaczymy, że w tak trudném położeniu znalazł właściwą sobie moralność i szczytny wstyd, o którym nigdy nie zapomina.

Euzebiusz, przebiegając klasztor, znajduje Julią spiącą w szczupłej celi.

—»Ach! to ona rzekł. I zatrzymuje się.

»Ona! czyliż z nią mówić będę, czyliż ją obudzę? Dusza moja tak śmiała aż dotąd, dla czegoż drży w tém miejscu? Ta uboga jéj odzież, ta prostota, ten wdzięk zachwycający, wzruszają mię i wstrzymują poniewolnie. Tak czysta niewinność, przezwycięża moje szaleństwo. Obok doskonałości ciała, czystość duszy znajdować się powinna; święte uszanowanie wynika z piękności, a jeźli ta piękność wzrusza moję istotę, uszanowanie panuje nad zmysłami.

Budzi się Julia. Widok kochanka ocuca jéj przytłumioną namiętność. Lecz nagle, po ognistych wyrazach Euzebiusza, następuje uczucie wstrętu; odpycha tę dla któréj wdarł się w święte ustronie klasztoru. Ujrzał boskie znamie krzyża, to podwójne pasmo krwi i płomienia, którém ręka Wszechmocnego w kolebce naznaczyła Julią.

—»Puść mię niewiasto! ujrzałem rękę Boga mściciela. Pali mię każda łza twoja; zabija mię każden twój wyraz. Ach! ten krzyż cudowny którem postrzegłem na twojém łonie, to święte a razem straszliwe znamię jest przestrogą niebios! Zostań w klasztorze Julio: już mię nie ujrzysz!

Euzebiusz ucieka i łączy się ze swoją gromadą. Poeta, wierny naturze ilekroć namiętne maluje popędy, wystawia Julią, skłaniającą się do kroku, tak dziwacznego na pozór, jak jest prawdziwym w rzeczywistości. Ucieczka Euzebiusza, wstręt i okropność którym go przejęła, utkwiły w jéj umyśle. Zakłócił ciszę jéj ustronia, obudził usypiające uczucia, na zawsze zniszczył jéj spokojność. Powodowana miłością, obrazą i wściekłością, porzuca mury klasztorne, idzie ścigać kochanka, zemścić się krzywdy i zniewagi swojej. Przebrana po mężku, długo błądzi po górach, znajduje nareście Euzebiusza, wyzywa go i lekko jest raniona. Wówczas ją poznaje kochanek, ale wojska wysłane przeciw rozbojnikom, otoczyły ich zewsząd i zmusiły do ostateczném walki. Euzebiusz odbiera cios śmiertelny, i umiera otrzymawszy przebaczenie i rozgrzeszenie, od zakonnika, któremu był życie ocalił. Julia pada u stóp krzyża i przysięga resztę życia przepędzić na modlitwie i pokucie.

Takie jest rozwiązanie sztuki Kalderona. Z jéj zarysu przekonać się mogą czytelnicy, iż to jest utwor, zupełnie zastosowany do obyczajów i charakteru Hiszpanów, że nie ma najmniejszego podobieństwa do płodów, jakie widzimy na scenie naszéj, a jednakże jest zajmujący, wzniosły i poetyczny.

Jedną tylko sztukę Kalderona przełożono na język polski; wdzięczność za tę pracę należy się J. Nepo: Kamińskiemu, dyrektorowi teatru we Lwowie i redaktorowi Rozmaitości Lwowskich; który ciągle pracuje nad rozszerzeniem wyobrażeń o sztuce, i współziomkom swoim daje poznać płody dotąd dla nich nie przystępne. Sztuka ta ogłoszona drukiem jeszcze w roku 1827, we Lwowie, mająca tytuł, *Lekarz swego honoru*, ile nam wiadomo doszła tylko do ręku literatów; lecz nie upowszechniła się między publicznością. Może przyczyną tego był sam tytuł, odstręczający dziwacznością swoją, ludzi, którzy podług tytułu czynią wybór dzieła do czytania lub nabycia, (a ci stanowią większość między czytelnikami) Odnowimy przeto wiadomość o téj sztuce, i przytoczymy niektóre wyjątki, a przez to uzupełni się wyobrażenie o teatrze hiszpańskim. — Jak bowiem drammat *Cześć krzyża*, maluje namiętną i religijną stronę charakteru Hiszpanów, tak tragedya Lekarz swego honoru, wystawia nam ich dumę i drażliwość na to, co tylko dotknąć może honor, podług wyobrażenia jakie ten lud o nim sobie utworzył.

(*dokończenie nastąpi*)

398

LUWR.



Za panowania Filipa Augusta, na początku XIII wieku, pierwszy raz znajduje się w historyi francuzkiéj wzmianka o Luwrze. Monarcha ten, dał to nazwisko warowni, którą zbudować kazał na prawym brzegu Sekwany, za obrębem murów Paryża, ale tuż przy nich. Miejsce to, jak cały prawy brzeg rzeki, należało do zakonników opactwa S Dyonizyusza i król kupił je od nich za trzydzieści soldów. Forteca składała się tylko z dużéj wieży okrągłéj, otoczonéj murem i rowami. Z początku służyła za więzienie i najpierwszy siedział w niéj hrabia Flandryi, Ferrand, wzięty w niewolą w bitwie pod Bouvines. Przed zamknięciem w téj wieży, oprowadzono go po całym Paryżu. Przez długi czas, wieża Luwru przeznaczona była na ten smutny użytek, a burzliwi baronowie XIII i XIV wieku, drżeli na samo wspomnienie Luwru, jak potem na wspomnienie Bastylii. Do téj posępnéj warowni chronili się królowie w chwilach niebezpieczeństwa i tam chowali swoje skarby. Stosownie do tego użytku, nie starano się bynajmniej ozdabiać i upiększać pierwotny gmach Luwru, lecz go wzmacniać. Widok jego był dziki, groźny i posępny. Wieża Luwru, chociaż zbudowana za murami, już miana była za ognisko rządu i władzy monarszéj, i chcąc oznaczyć że jakie posiadłości zależą feodalném prawem od korony, mówiono że *zależą od wielkiéj wieży Luwru.*

Za panowania króla Jana, około roku 1358 powiększył się obwód Paryża, a Luwr objęty został murami miasta. Król Karól V obrawszy go za mieszkanie, znacznie go powiększył, zachował wieżę Filipa Augusta i jego wały, a nowe budowle wzniosł w około Luwru. Zamieniony na pałac królewski, przybrał nową postać i stał się feodalnym zamkiem. W tym to zamku mieszkali królowie francuzcy aż do Ludwika XIV.

Król Franciszek pierwszy, znaczne poczynił zmiany w budowie tego gmachu; zrzucić kazał wieżę Filipa Augusta, rozebrał dawne gotyckie mury i wzniosł nowy pałac, pod kierunkiem sławnego architekta, Piotra Lescot. Pracę tę ukończono w przeciągu lat ośmiu,

Jednakże gmach ten jeszcze był nie postradał wszelkich znamion gotyckiéj budowy: rowy, zwodzone mosty i wieże, jeszcze mu nadawały feodalną postać. Sprzecz-

ność ta uderzyła Ludwika XIV i nakazał ostatecznie ten gmach przerobić. Uskuteczniono to podług planu lekarza Klaudyusza Perrault; jego to dziełem jest wspaniała kolumnada, którą wyobraża nasza rycina. Wystawa znana w całej Europie pod nazwiskiem *Kolumnady Luwru*, jest celem powszechnego podziwienia. Za rządów Napoleona przydano nowe ozdoby i chciano połączyć Luwr z pałacem Tuileries. Olbrzymie to dzieło dotąd jeszcze nie zostało ukończone. Zbiory starożytności, galerya obrazów, rzeźby i rycin, zajmują sale tego gmachu. W nim także odbywa się corocznie wystawia sztuk pięknych i płodów przemysłu Francyi.

KOBIETA.

Według zamiarów przyrodzenia i społeczności.

Zdaje się iż stan białogłowy był zawsze jednostajnym, we wszystkich czasach u ludów nieprzestrzegających innego w postępowaniu prawidła nad to, które im ze wszystkiemi jestestwami obdarzonemi życiem i czynnością jest wspólne. Stan takowy ulegał odmianie, stosownie do epok oraz instytucyi, w społecznościach urządzonych. Za naszych czasów, pojęcia postępowe o udoskonaleniu, dały powód do rozpraw dosyć żywych, względem *wyzwolenia kobiety*, względem roli jaką powołana jest ona grać na scenie publicznej świata, względem udziału i praw jakie na łonie rodzinnego pożycia, mają bydź jéj ustąpione. Uważać tu nade wszystko potrzeba, że o ten rodzaj odznaczenia się białogłowy, bardziéj się mężczyzna niż ona sama dopomina; że mężczyzna najmniéj skłonny do zrzeczenia się, sumiennie, przywilejów płci swojéj, najwyżéj wszakże głos, w téj mierze podnosi, że taka kobieta, któréj wartość umysłowa i moralna, najmniejszym sporom nie ulega, najumiarkowańsze ma wymagania.

Wdając się do tego sporu, o którym kilka słów tylko powiedzieć zamierzamy, usilnością naszą będzie trzymać się ścisłych granic, które rozsądek, bezstronność, oraz chęć dobra społecznego przepisują. Nasza miłość, nasze podziwienie samo, ku towarzyszce jaką nam nieba zrządziły, nie dozwolą nam stracić z oczu pożytków powszechnych; i jeżeli miło nam jest wypłacać kobiecie daninę winną pochwał, jakie dla niéj, jéj wdzięki i powaby, jéj znakomite cnoty tudzież cząstka szczęścia przyniesionego przez się na łono domowego zacisza słusznie jednają, tedy z drugiéj strony wystrzegać się będziemy, ażeby pochlebianie ckliwe i uprzejma hipokryzya, nie skłoniły nas do przyznań i ustąpień które zdrowy rozsądek zdaje się potępiać, a których zacna niewiasta, mająca uczucie swojéj godności, najpierwszaby się rumieniła. Nie z wieńcami to poetyckiemi, ani z artystowskich ozdób rozporządzeniem, godzi się, do podobnego przedmiotu przystępować; albowiem powaga i dostojność religijna przystała sama jedynie roztrząsaniu, mającemu na widoku los przyszły rodziny, to jest wychowanie dzieci, wychowanie, którego zarodek i pierwiastki pomyślności zależą od matki, od białogłowy, rzetelne swoje przeznaczenie pojmować umiejącéj.

Wszelakoż, niechaj nikt nie rozumie, że ulegli niebacznym przesądom i mylnym wnioskom, chcielibyśmy kobietę do pilnowania kolebki swojego dziecięcia, i krzątania się około gospodarstwa, jedynie obrócić: nie mamy zamysłu skazywać ją na zatrudnienia wyłączne, równie jak się zatrzymywać na różnicy jakaby pomiędzy zdolnościami i usposobieniami, jéj i naszego mózgu zachodzić mogła. Miło nam jest owszem, uznawać w białogłowie tłum przymiotów, które ją częstokroć na wyższym szczeblu od mężczyzny, w rozmaitych położeniach życia umieszczają; ale przystając, jak najlepszą wiarą, na jéj zdolność, do wypełnienia wszelkich towarzyskich zatrudnień, nie tracimy dla tego przekonania, że istność najwyższa wyraźną zakreśliła linią jéj obowiązków, po przekroczeniu któréj staje się ona wyjątkiem, a zatém rzetelną swą wartość, jako białogłowa, utraca.

Wola Stwórcy dotykalnie jest wypisana w ukształceniu i organizacyi szczególnéj, płci każdéj z osobna udzielonéj. Mężczyzna został nadany siłą fizyczną, odwagą, zdolnością pewnego i dojrzałego rozumowania; białogłowa, składem ciała delikatnym, słodyczą form, bojaźliwością, wdziękiem uprzejmym, zniewalającym językiem duszy: a nade wszystko udzielona jéj została możność rodzenia na świat nowych ludzi, możność, która zwiększając cześć naszę ku niéj, wskazuje oraz jéj, w sposób niezaprzeczony, naturę obowiązków, jakie w społeczności wypełniać powinna.

W pierwszych wiekach świata, mężczyzna i białogłowa, najmniejszego sporu z sobą w téj mierze nie toczyli: mocniejszy udzielał wspaniale słabszemu swojego wsparcia, słabszy, nigdy na wyższość swojego opiekuna nie powstawał; białogłowa widziała w mężczyznie tego, który ją matką uczynił, który ją równie jak

i dziecię przed niebezpieczeństwem zasłaniał; mężczyzna kochał w białogłowie tę, którą widział karmiącą swojemi piersiami drugiego samego siebie, która upiękniała jego pobyt, dzieliła jego uciechy i koiła cierpienia. Cywilizacya, w swoich pierwiastkach żadnej odmiany w tym rzeczy porządku nie zrządziła, i najpierwsze prawa stósowane do przyjętych już i ustalonych zwyczajów, mogły podległość białogłowy uświęcić, wtenczas, kiedy ze strony mężczyzny żadnego przywłaszczenia nie było. W miarę, jak się obyczaje stawały łagodniejszemi i mniéj czystemi podobno, stan białogłowy uległ także odmianie, podczas któréj ona także ze swojéj strony pewny gatunek panowania okazała; władzę tę nadało jéj udoskonalenie darów hojnie odebranych z nieba i biegła zręczność w okazaniu ich wartości. Następnie mężczyzna, wytrzeźwiony z uroków i upamiętany niewolnik, w pana się samowładnego przeistoczył; kobieta zatem, mniéj lub więcéj uciemiężona, lecz zawsze uległa, dostała się aż do naszéj epoki, w któréj się o *wyzwolenie* (émancipation) upomina. Pytamy się teraz, o co się domaga? albo raczéj, o co się domagają dla niéj? Tu to właśnie, jasno pretensye te wyrazić potrzeba, lubo, bez żadnéj ogródki, do żałującéj się przemawiamy strony, ażeby oświadczyła, czyli jéj serce i jéj sumienie, zgodne są z jéj słowami.

»Białogłowa zdolna jest do sprawowania większéj części obowiązków społecznych, które mężczyzna wypełnia.« Oto co się zwykle mówi. Argument ten zdaje się bydź bez odpowiedzi, wszelakoż jest on tylko pozorny. Zaprzeczać sposobności do jakiéj kobieta doścignąć jest zdolna, byłoby złą wiarą: dowodzi nam ona, co chwila, jak jest wysoki lot jéj pojętności, a historya przybywa tu na wsparcie, otwierajac swoje karty, na których wskazuje nam białogłowę, już to dzwigającą, z chwałą ciężar korony, już zbierającą laury hetmańskie, już ubiegającą się z wyższością o palmę nauk. Teraz się możemy zapytać, *ex abrupto*, czyli białogłowa dostojniejszą i czcigodniejszą jest na tronie, jak na czele rządu patryarchalnego swojego domu; czyli więcéj ma powabu i wdzięków z hallabardą w ręku, przodkując szwadronowi kiryssyerów, jak na klęczkach przed ołtarzem w kościele, gdzie z pokorą wzywa błogosławieństwa niebios dla swojéj niedorosłéj rodziny; czyli więcéj zasług jedna dla siebie topiąc mordercze żelazo w nieprzyjacielskiem łonie, jak kwapiąc się z ratunkiem i pocieszeniem, do łoża boleści lub nędzy; czyli, nakoniec, nie z większym urokiem widzimy ją witającą z uprzejmością tych, którzy pod jéj gościnny dach przybywają, aniżelibyśmy słyszeli jéj rozprawiania z katedry? Lecz ułatwiających tym sposobem zagadnienie, możnaby nas obwinić, że się staramy pozornie zbydź istotę rzeczy; o co bynajmniéj nie chcielibyśmy posądzonymi zostać. Przyjmujemy zatém, nic przeciwko pewności faktów nie zarzucając, że białogłowa zdatną jest tyle ile mężczyzna, wszystkie społeczne obowiązki sprawować. Owoż teorya przyjęta, pójdźmy do praktyki.

W związkach mężczyzny z białogłową, dwa rodzaje powinności wybitnie od siebie odróżnione, są do wypełnienia: obowiązki publiczne i domowe. Każde z tych powołań zabiera i pochłania wszystkie chwile życia tego, kto się im poświęca, skąd wypada, iż jeśliby kobieta była ministrem, wodzem, professorem, adwokatem, medykiem, nie mogła bydźby, w tym samym czasie matką, karmicielką, instytutorką, rządczynią domu, aniołem stróżem życia wewnętrznego. Z innego, również ścisłego wniosku to wypada; iż jeżeli na kobietę przypadnie wykonanie obowiązków publicznych i zewnętrznych, mężczyzna nieuchronnie domowe sprawować musi: jeżeli kobieta przywdzieje togę, przypasze miecz do boku i zasiędzie w doktorskiéj mównicy, mężczyzna będzie musiał koniecznie, podpasać się fartuchem, wziąść w ręce igłę i wrzeciono; jeżeli kobieta odrzecze się swoich powinności macierzyńskich, mężczyzna koniecznie będzie musiał je zastępować, kiedy kocha swoje potomstwo i czci rękę Najwyższego! Ale nam powiedzą, że białogłowa nic posiadać nie chce wyłącznie i że zatém sprawiedliwie jest, ażeby mężczyzna czynił toż samo; kobieta, jednem słowem chce mieć we wszystkiém wspólny udział. Jestże możność uiszczenia przyzwoicie takowego wspólnictwa?— Jeżeli kobieta należeć może do połowy w czynach oręża, mieć połowiczne uczestnictwo w radzie—mężczyzna jestże zdolny, jestże powołany od przyrodzenia, dostarczyć ze swojéj strony połowicę starań i troskliwości, jakiéj nowo-narodzone dziecię wymaga? Cóż przyczyni do pierwiastkowego hodowania niemowlęcia, i do wszystkich drobiazgowych gospodarstwa szczegółów? Lecz może, przystępując bliżéj do przyrodzenia, zechce nam ktoś przywodzić przykłady źwierząt? Jednakże też same przykłady posłużyłyby do zbicia wytoczonego tu wniesienia. Lew broni od niebezpieczeństwa swoje lwięta, dostarcza im pożywienia; lecz do samicy należy ta troskliwość bez przestanku, która w tak tkli-

POLOWANIE Z PANTERĄ.



* * * * *

wy i wzruszający sposób różnicę płci okazuje: słowik sam nawet, tak poświęcony dla swojego plemienia, tak czuły dla swojej współ-towarzyszki, jéj wszelakoż, największą część troskliwości około drobnych piskląt zostawuje, i usiadłszy, nie na téj na której spoczywa ich gniazdeczko, gałęzi, szczęście swoje małżeńskie i panowanie miesiąca maja opiewa.

Białogłowa, uskarża się także na szczupłe granice w jakich zwykle instrukcyą jéj naukową zamykają. Skarga ta, rzetelna w średnim wieku, zdaje się nam dzisiaj bezzasadną. Kobieta, uczy się pewnie tego wszystkiego, cokolwiek jéj przystało; nie widzimy przeszkód innych do rozprzestrzenienia jéj wiadomości, nad te jakie czasami szczupłość fortuny wystawia, a i w tym ostatnim przypadku, zawsze się wydaje roztropność przezorna rodziców, którzy wychowanie naukowe swoich córek, do podobieństwa losu ich przyszłego stosują.

(*La Themis*)

GATUNKI KOTÓW UŻYWANE DO POLOWANIA.

Zdaje się, iż w części Afryki ciągnącéj się wzdłuż morza Srodziemnego, i w częściach Azyi znanych starożytnym, są dwa gatunki pantery: większa część podróżnych nazywa większy gatunek panterą lub lampartem, a mniejszy onką. Wszyscy się na to zgadzają, iż onka łatwo się oswaja, że ją przyuczają do polowania, i że jéj do tego używają w Persyi, i wielu innych prowincyach Azyatyckich; iż są one tak małe, że jeździec może je wieść za sobą na koniu; a tak łaskawe iż można ich się dotykać i głaskać ręką.

Pantera zdaje się z natury dumniejsza i mniéj uległa; łatwiéj ją przyniewolić niżeli oswoić; nigdy całkiem nie utraca swego dzikiego charakteru; chcąc ją użyć do polowania, trzeba bardzo starannie wyćwiczyć, i z większą jeszcze ostróżnością prowadzić na łowy.

Wiozą panterę na wózku, zamkniętą w klatce, od któréj wtedy dopiero otwiera-

ją drzwiczki gdy się zwierzyna ukazuje. Pantera wyskakuje na zwierzę; dopędza go zwykle w kilku skokach, obala i zadusza. Utrzymują, że jeśli chybi, staje się rozżartą, i niekiedy rzuca się na własnego pana, który zwykle uprzedza to niebezpieczeństwo, biorąc ze sobą kawały mięsa lub żywe zwierzęta, naprzykład jagnie lub koźlątko, które jéj na pastwę porzuca.

Dla tego używają onki do polowania w gorących klimatach Azyi, iż psy są tam bardzo rzadkie; znajdują się te tylko które są przywiezione, a i te nawet w krótkim czasie utracają głos i instynkt. Prócz tego, ani pantera, ani onka, ani lampart nie mogą psów cierpieć: zaczepiają je z większém upodobaniem niż inne zwierzęta.

W Europie, gończe psy nasze nie mają innego nieprzyjaciela prócz wilka; lecz w kraju pełnym tygrysów, lwów, panter, lampartów, onk, które wszystkie daleko okrutniejsze są od wilka, niepodobna byłoby długo psów uchować. Z resztą, onka nie ma tak dobrego węchu jak pies; nie goni zwierzyny za tropem, i nie mogłaby jéj doścignąć w długim biegu. Onka poluje tylko na rzut oka, można powiedzieć iż tylko jednym skokiem rzuca się na zwierzę; bieży tak lekko, iż przeskakuje rowy i mury. Często wdziera się na drzewa, aby czekać rozważnie na przechodzące zwierzęta, a potém spaść na nie. Sposób ten chwytania zdobyczy, jest wspólny panterze, lampartowi i once.

Lampart ma też same obyczaje i naturę co pantera. »Nigdzie nie znajduję, mówi Buffon, aby go oswojono jak onkę, ani też aby murzyni Senegalu lub Gujany, gdzie bardzo jest pospolity, używali go do polowania.« W powszechności jest większy od onki, a mniejszy od pantery; ma ogon krótszy niżeli onka, chociaż bywa długi na dwie lub pół-trzeciéj stopy.

Cuvier, ów naturalista tak dokładny, tak drobnostkowy w opisach, zaprzecza aby onka była szczególnym gatunkiem kota i twierdzi że jest białawą odmianą pantery. Dodajmy, iż wszystko to, co Buffon przypisuje once, należy do zwierzęcia dobrze dzisiaj znanego, u naturalistów pod nazwiskiem *guépard*. Lampart Buffona pochodzący z Senegalu, jest właściwie zwierzęciem, któremu dano imie pantery. Z resztą podział tego rodzaju zwierząt, jest jeszcze dla naturalistów, źródłem wielu zamieszań i sprzeczek.

LITERATURA I POEZYA.

Królodworski rękopism, zbiór staroczeskich bohaterskich i lirycznych śpiewów, nalezionych i wydanych przez Wacława Hankę, Bibliotekarza król. narod. czes. muzeum, a z czeskiego na Polskie przez Lucyana Siemieńskiego przełożonych.

Kraków, w Tłoczni D. E. Friedleina. 1836 *r. Cena Zł:* 6.

Najcelniejszym utworem poetycznym którym tego roku pomnożona została nasza literatura, jest przekład Krolodworskiego rękopismu. Mała ta xiążeczka co do objętości, bogata jest w skarby poezyi, i trafne postrzeżenia tłomacza. Posłuchajmy słów jego: z nich dowiedzą się czytelnicy nasi o przedmiocie i ważności krolodworskiego rękopismu.

»Wacław Hanka, bibliotekarz król: naro: czeskiego muzeum, niespracowany w badaniu języka czeskiego, w odgrzebywaniu pamiątek i zabytków swoich naddziadów, szczęśliwym trafem, jakby od losu w nagrodę, odkrył najwyborniejsze przodków utwory, które cudem, wśród niszczącéj wieków powodzi, do naszych czasów przybiły.

»W d. 16 września 1817 roku, nawiedzając przyjaciela w mieście Królowym dworze, które niegdy mściwéj ręki Zyski doznało, zasłyszał, że w niskiem środkowém wieży kościelnéj sklepieniu, pod chórem, znajduje się pęk strzał, jeszcze od nieszczęsnéj epoki zniszczenia dochowany. Życzył on sobie ten dawny oglądać zabytek; a gdy w strzałach przewraca i przetrząsa, napada na kilka kart pargaminu. Z razu miał je za modlitwy łacińskim charakterem spisane; lecz wyszedłszy na widnią, jakaż go radość przejęła, gdy ujrzał czeski rękopis, a jak rosło uniesienie, gdy im go daléj wartował, tém skarb bogatszy się stawał. Władzom miejskim i światlejszym odczytał zaraz piérwszy ułamek; słuchacze dzielili jego zachwycenie, i jednogłośnie przyznano mu własność znalezionego rękopisu, który on złożył następnie w muzeum.

»W ostatnich leciech, głośne dały się słyszeć utyskiwania nad niedostatkiem starych gminnych poezyj czeskich, Królodworski rękopism ukoił te żale.

»Kiedy Niemiec z uczuciem radości spogląda na Heldenbuch, na Nibelungenlied, na swoje miłosne piosneczki (Minneelieder); kiedy Ers chełpi się z Ossyana, Hiszpan z starodawnych romansów o wielkim Ruyz Diaz et Cid Campeador, Rossyanin ze swego Igora i starożytnych pieśni o *Włodzimierzu*, kiedy z tych i homerowskich wnosimy pło-

dów, że wspaniały kwiat poezyi najsnadniéj na obszernéj pielęgnuje się przestrzeni, a nie na szczupłéj grzędzie ogrodniczéj; kiedy te wszystkie ludy rozkoszują w przecudnych utworach z owych wieków, które widzimisiem głów niby oświeconych, do wieków grubiańskich i ciemnoty policzono: natenczas Czech niechaj wstydliwych nie spuszcza oczu, bo może je z dumną podnieść radością; Królodworski Rękopis równa się z płodami najlepszych czasów. Ani Pizystrat ani Mackpherson nie składał mu tych pojedynczych dźwięków w jedną kunsztowną całość, o któréj wielcy twórcowie może i nie myśleli, posiada on je tak, jak wybrzmiały z piersi, co serce z sercem zespiewuje.

»Rękopis sam, podług świadectwa biegłych w téj rzeczy znawców, należy do epoki między 1230 a 1310 rokiem, a nigdy do późniejszego czasu.

»Najdawniejsze, pogańskich wieków sięgające pieśni, najwięcéj zdają się być uszkodzone, jak to widać snadnie z niejednostajności miar wierszowych, szczególniéj w Zaboju, Czestmirze i Jeleniu; późniejsze, sądząc po równości rytmu, nienaruszone zostały.

»Pierwotwór rękopisu pisany jest prozą, rzadkie ma odstępy; w przekładzie trzymałem się mniéj więcéj miar ułożonych przez wydawców czeskich, lub przynajmniéj chwytałem tok pieśni. Szczytna prostota starożytnych utworów zawsze niemałe stawia zawady; dzisiejszy nasz język, tak zwany uczony i wykształcony, a w istocie niemalujący, niezmysłowy, daleki od jędrności i mocy dźwięków dawnych Sławian, żyjących z przyrodą, nie mógł podołać ze swoim rymem.

»Co do następstwa i rozgatunkowania pieśni odstąpiłem nieco od porządku przyjętego przez prof: Swobodę; podzieliłem wszystkie na dwa oddziały: *a*) Spiewów bohaterskich, na historycznéj opartych treści, tonem zbliżonych epopei, i *b*) Pieśni, już to miłosnych, już to w kształcie ballad.

»Wartość ocalonych szczątków, powszechnie z uniesieniem przyznaną została. Göthe wspominał o nich z zamiłowaniem. U nas różni przekładali częściami, jako to: Brodziński, Kucharski, Bogdan Zalewski, Rakowiecki, (*w Prawdzie Ruskiéj*), i inni w pismach czasowych. A: Bielowski przełożył wybornie Sąd Libussy. Rossyanom dał je poznać znany z prac swoich admirał Szyszków, a w narzeczu ruskiém przekłada Szaszkiewicz.—«

Spiewów Bohatyrskich jest pięć 1) Zaboj, Sławoj, Ludiek 2) Czestmir i Wlasław 3) Jarosław 4) Benesz Hermanów 5) Oldrzych i Jarmir. — Pieśni jest dziewięć; Ludissa i Lubor—Zbychon—Jeleń—Wianek — Jagody — Róża—Zazulki—Opuszczona—Skowronek. Do nich dodał tłumacz przekład wierszem miarowym Sądu Libussy i pieśni pod Wyszenradem.

Zastanawiając się nad poetycznemi płodami, których sława wieki przetrwała, postrzegamy że one wylęgły się w czasach na pół bajecznych, gdy jeszcze cywilizacya ludu była dopiero w kolebce tak, iż nawet nazwiska ich tworów, mgłą niepamięci okryte, nie doszły do nas, albo też zlały się w jedno zbiorowe nazwisko. W takich to płodach, widzimy najświeższe i najżywsze kolory, widzimy wierny obraz przyrodzenia, znajdujemy jakiś powab prostoty, którą napróżno usiłują naśladować pisarze z wykształconéj epoki. Młodociany wiek narodów, jest więc jedynym wiekiem malowniczéj bohatyrskiéj poezyi; z téj to epoki zachowane pieśni, powieści, dumy, rapsodye czyli obszerniejsze śpiewy bohaterskich czynów, są tém źródłem ożywczém, z którego późniejsi pisarze czerpają swoje natchnienie. Takim płodem są poemata Homera. Już dowiedzioną jest rzeczą, iż one powstały ze zlania w jedną całość, mnogich śpiewów i opowiadań, których przedmiotem był jeden wielki wypadek, zwracający uwagę wszystkich śpiewaków Grecyi: zburzenie Troi.—Pieśni bohatyrskie Królodworskiego rękopisu, nie są ani tak liczne, ani do jednego przedmiotu zmierzają, jak pieśni o zburzeniu Troi, jednakże zachodzi między niemi podobieństwo —Jak pieśni wieszcza Grecyi tak i śpiewy czeskie, są tworczym dziełem gminnéj poezyi; nie uszkodził ich żaden wpływ naśladownictwa. Jak jednych tak i drugich twórcy, nie są wiadomi. W obudwóch przeważa malowanie prostéj natury, siły fizycznéj i zapasów wojennych. W pierwszéj zaraz poezyi: Zabój i Sławój, znajdujemy obraz walki Zaboja z Ludjekiem:

Ludiek uderzył ostrém żelazem
W tarcz, trzy skóry przeciął razem.
Zabój z toporem ramie wytęża,
Puścił—Ludiek się ciosu uchował,
Topór ciął w drzewo, padło na pował;
Ku ojcom poszło trzydzieści męża.

Porównania są brane z natury, proste i poetyczne.

Długo, szeroko, jak starczy pole,
Drapieżny jastrząb rozwija
W górze szérokie skrzydeł półkole,
Ptaków gromady rozbija.

Wojsko Zaboja puszcza zagony,
Długo, szeroko, na wszystkie strony;

Posłuchajmy opisu szturmu do zamku.

Czmir każe z tyłu dobywać grodu,
Czmir każe wały przeskoczyć z przodu,
Owóż gdzie drzewa rosną pod skałą,
Z tych drzew potężny grodziec ugrodzą;
Teraz niech kłody walą się śmiało,
Gdy wojowników głowom nie szkodzą.
Tam przedni szereg krzepko się trzyma,
Chłop z chłopem zrósł się, plecy z plecyma.
Na barki poprzek dyle pokładną,
Podłuż silnymi stwierdzą węzłami,
Podstawią włócznie, podeprą sami.
Każdy na ramie brał oszczep długi,
A każdy oszczep węzłami zwarty,
I szereg trzeci wskoczy na drugi,
Znowu na trzeci wyskoczył czwarty,
A piąty szczytów zamku dosięże;
Zkąd miecz ognisty,
Zkąd strzał świsty,
Zkąd kłody lecą na mężé.

Jaka prawda i żywość w tych opisach!

Spiew o Jarosławie jest najpóźniejszym z objętych w rękopisie Królodworskim. Ma też najwięcéj wykończenia. Zdaje się nawet że poeta znał obce wzory, okazuje się to ze wstępu:

Zwiastuję powieść z przesławnych czasów,
Pełną bitw wielkich, krwawych zapasów;
Zważcie i um wasz zestrzelcie cały,
I ucho skłońcie na dziw niemały!

Gdzie Ołomuniec réj wodzi grodom,
Jest mały wzgórek w owéj ziemicy,
Hostajnów zwany; szeroko słynie
Cudotworami Boga-Rodzicy.

Długo mir gościł w naszéj dziedzinie,
Długo dobytek kwitnął narodom.
Aż od ziem wschodnich wzbiły się burze
W zemście, za córę Tatarów chana,
Którą gdzieś zabił miecz chrześciana,
Za klejnot, złoto, za perły duże.

Córka Kublaja, z luny urokiem,
Słyszy, że dziwne zachodnie kraje,
I że w tych krajach luda natłokie m
Ona chce poznać cudze zwyczaje.
Dziesiątek juńców skoczy na nogi,
I dwie dziewice, orszak do drogi.
Czego potrzeba, siła nabiorą,
I wszyscy na koń dosiędą skoro,
I wszyscy lecą, gdzie słońce leci.

A jako zorze w pojutrzu świeci,
Gdy nad szum mrocznych wynijdzie borów;
Tak Kublajewna pełnią kolorów,
Urodą świeci i wdziękiem stroju.
W złotogłów postać do stóp obwija,
Odkryte tylko piersi i szyja,
W klejnotów, pereł, drogim zawoju.

Dziwią się Niemce jéj licom cudnym,
Zajrzą jéj skarbu, a skarb bogaty;
Obsiędą puty, obstawią czaty,
Aż ją oskoczą w lesie bezludnym,
Zabiją, złupią skarby i szaty.

Słyszy to Kublaj, han nad Tatary,
Słyszy o córce i ledwo wierzy;
Z państw swoich zbiera wojsko bez miary,
I z wojskiem biegnie, gdzie słońce bieży,

Słyszą to króle, pany zachodnie,
Że han ich ziemie najdzie dziedziczne;
Wnet jeden z drugim łączy się zgodnie,
I zbiorą wojsko wielkie, prześliczne;
W pole wywiodą, staną równiną,
Czekają hana z jego drużyną.

Kublaj przywołał swoich guślarzy,
Czarnoksiężników, wróżków, gwiazdarzy;
Każe im wróżyć, niechaj odgadną,
Jakie z téj wojny skutki wypadną.
Zewsząd się zbiegną owi guślarze,
Czarnoksiężnicy, wróżki, gwiazdarze,
Na dwie się stronie z koła rozgarną,
I podłuż laskę położą czarną,
I laskę kłują na dwie połowy:
Jedna się poła Kublajem zowie,
Druga połowa znaczy: królowie;
I zaśpiewali staremi słowy....
Wstaje do bójki każda połowa,
I zwyciężyła część kublajowa.
Cieszy się naród w mnóstwie ochoczy,
Ku swoim rączym koniom poskoczy,
I wojsko w długich szeregach stanie.
Nie poszli nawet w radę chrześcianie,
Bez umu wpadli na pogan tłumy;
Jak ufni w siłę, tak pełni dumy.
Stłoczą się pierwszym bojem gromady;
Jak z chmur ulewa biją strzał grady,
Jak gruchot gromu włocznie gruchocą,
Jak ogień burzy szable migocą.

Z obu-stron jara i bujna siła,
I tym i tamtym przodku broniła.
Wnet się po ziemiach trwoga rozniosła,
W włościach się zbiera lud do wyprawy,
Siła ich w cztery wojska urosła,
Pojdą z Tatary na taniec krwawy.

Pamiętna epoka najazdu Tatarów na Europę, któremu dopiero zwycięztwo w roku 1245 pod Ołomuńcem odniesione, tamę położyło, uderzyła starożytnego wieszcza. Jakże zajmujący jest obraz szturmu do wzgórza Hostajnowskiego na szczyt którego schronili się chrześcianie i stamtąd dawali odpór Tatarom!

Won-czas się hordy gniewem rozjuszą,
Miota przeklony ich han rozżarty.
Trzema prądami tabor się dzieli,
Trzema prądami ku chełmu ruszą.
W tém drzew dwadzieścia chrześcianie ścięli,
Wszystkie dwadzieścia które tam stały,
I wielkie kłody wtoczą na wały.
Znowu na okop leciał poganiec,
Wrzask bił w obłoki, leciał w zawody,
I już się imał rozrywać szaniec.
Z wałów ogromne zepchnięto kłody;
Gniotą Tatarów, niby padalce,
Jeszcze daleko na równi gniotą.
Długo się w krutéj łamali walce,
Pokąd nie zeszli z nocną ciemnotą.

Straszliwy upał i pragnienie pomnaża okropność położenia chrześcian. Lud wzywa modlitwy Boga Rodzicy; a deszcz zasila studnie. Tatarzy ostatnie czynią wysilenie, już na ich stronę przeważa się zwycięztwo, w tem: Jarosław najznakomitszy z wodzów chrześciańskich, przybiega z pomocą i rozgramia Tatarów.

Zwięzłość i moc są główném znamieniem tych śpiewów, nie ma tam ustępów, ani działania bóstw i cudownych zdarzeń, zapełniających pieśni ludów południowych.

Pozostaje nam jeszcze wspomnieć o pieśniach stanowiących drugą część Królodworskiego rękopisu, o nich tak mówi tłomacz:

»Ta liryczna część Rękopisu królodworskiego niemniejszą wartością poszczycić się może: Brodziński, Bogdan Zalewski, przekładali niektóre pieśni z właściwym sobie talentem; w ogólności przebija się w nich starożytna sławiańska prostota i głębokość uczuć. Przywołajmy zdanie wybornego znawcy Mainert'a (*Archiv für Geschichte, Jännerheft vom* 1819), a któż się z nim niezgodzi? że przy właściwych pomysłach żywość, tkliwa czułość, moc, jasność i koloryt gminny silnie w nich odbity, niby dusza i serce anioła w rysach lica urodziwego dziecięcia.—Raz one z polotną anakreoncką i grają tkliwością (jak Zazulka), to czułą tchną tęsknotą (Wianek, Róża); rozpływają się w żalu (Opuszczona, Skowronek); znowu pełne swawolnéj młodzieńczéj bujności (Jagody). Inne, lubo w nich mocno charakter poezyi gminnéj odbity, zarywając jednakże tonem epopei, opiewają hardego wybawcę porwanéj kochanki (Zbychoń); rycerskiego szermierza o rękę książęcéj oblubienicy (Ludissa i Lubor); opłakują stratę młodziana, zabitego zdradą, oczami wszystkich dziewic (Jeleń).

Przytaczamy jedną pieśń p: t: Wianek.

Wieje wietrzyk wieje,
Od książęcéj knieje,
Bieży dziewcze młode
Do zdroju po wodę.

Nabrała w głębinie
W okute konewki;
A wianuszek płynie
Po wodzie do dziewki,

Z fijołków i róży
Wiązanka uwita,
Dziewczyna po wodzie
Za wiązanką chwyta,
Zachyci ją w dłonie,
I pluśnie na tonie:

Gdybym ja wiedziała,
Kto ciebie mój kwiecie
W ogródku zasadził,
Wypieścił na świecie?
Dałabym z ochotą,
Tę obrączkę złotą.

Gdybym ja odgadła
Czyja ręka, czyja
Do wianku cię kładła
I łyczkiem obwija?
Dałabym ochocza
Iglicę z warkocza.

Gdybym ja wiedziała
Mój wianku różowy,
Czyje ciebie dłonie
Puściły na tonie?
Dałabym mu, dała
Mój wianuszek z głowy.—

Wartość przekładu ocenić mogą czytelnicy z umieszczonych wyjątków. Wiersz jest mocny, harmonijny i pełen szczęśliwie odświeżonych dawnych zwrotów i wyrażeń.

GLASGOW.



Glasgów miasto Szkocyi, leży w hrabstwie Lanerk, na prawym brzegu rzeki Klyde i na wzgórzach ciągnących się wzdłuż lewego brzegu téj rzeki. Proste i szerokie ulice, murowane domy, piękne place, wiele wspaniałych gmachów publicznych i prywatnych, czynią, że to miasto należy do najznakomitszych w północnéj Europie. Najznaczniejsze są place Świętego Jerzego i Świętego Andrzeja, najpiękniejsza ulica jest *Argyll street*, najznaczniejsze domy są: *nowy pałac sprawiedliwości*, *bank Szkocyi*, *Kassyno*, *Ratusz*, *Giełda*, i dawny kościół katedralny, będący najpiękniejszym pomnikiem architektury gotyckiéj w Szkocyi; obszerny i piękny *kościół katolicki*, zbudowany w 1815, wielki *szpital obłąkanych*. Wspomnieć należy o *pomniku Nelsona* pięknym obelisku, o mostach i nadbrzeżach Klydy.

Z pomiędzy naukowych zakładów, wymienimy *uniwersytet* gdzie sławny Szmith pierwszy wykładał prawdziwe zasady Ekonomii politycznéj; *muzeum Huntera*, *obserwatoryum*, *ogród botaniczny*, *gimnazyum*, *instytut głuchoniemych*, *bibliotekę publiczną*, *towarzystwo literatury*, *towarzystwo nauk przyrodzonych i ich zastosowania do sztuk użytecznych*, *towarzystwo w celu wydoskonalenia przemysłu i postępów handlu*, któremu W. Brytania winna jest bardzo ważne przysługi; nareście *instytut do szczególnéj nauki klassy rzemieślniczéj*, na wzór któréj założono podobne w wielu miastach W. Brytanii.

Glasgów jest pierwszém miastem Szkocyi, pod względem rozległości, ludności, przemysłu i handlu; jest ogniskiem rękodzielni bawełnianych tego kraju. Trzy kanały dochodzą do niego. 310 machin parowych jest w ciągłym ruchu, w mieście i okolicach. Miasteczko Port Glasgów i Grenock, przy ujściu rzeki Klyde, uważane bydź mogą jako tworzące jedną całość z Glasgowem, tam bowiem zatrzymują się okręty które nie mogą dopłynąć aż do Glasgowa.

Wzrost, bogactwa i ludność tego miasta, nie są dziełem ani długiego lat przeciągu, ani skutkiem stałego pobytu głównych władz krajowych, jak to naprzykład było przyczyną wielkości Paryża. Glasgów jest zadziwiającym utworem handlu i przemysłu. Wzrost jego nie zasięga lat stu trzydziestu.

W 1560 miasto Glasgów zaledwie miało 5000 mieszkańców, w sto lat potém liczyło 28000; w 1780, 42000, na początku 19go wieku, liczba ta prawie się podwo-

iła, a 1811 było 100,000, w 1821 147,000, a w 1831 202,000, od tego czasu znowu przybyło 20,000 i zdaje się, że pomyślność tego bogatego miasta, nie doszła jeszcze najwyższego stopnia rozwinięcia.

W 1776, nie było bruku na ulicach; w 1832, ulice brukowane miały, razem wzięte, 17 mil długości. Pierwsze kanały zbudowane w 1790; w 1832 zajmowały przeszło milę rozległości. W 1818 założono w mieście pierwszy rewerber gazowy; a teraz pod wszystkiemi ulicami idą rury do prowadzenia gazu.

1 Stycznia 1812, Europa nie posiadała jeszcze ani jednego parowego statku; na końcu tego miesiąca, Henryk Bell spuścił z warsztatu w Glasgowie statek parowy zwany *Kometa*. W 1835, 51 statków parowych odbywało żeglugę na rzece Klyde, płynącej pod Glasgowem, a ich ładunek dochodzi do 5000 beczek.

7 Lipca 1788, przybył do Glasgowa pierwszy dyliżans i potrzebował 63 godzin dla odbycia drogi; teraz potrzebuje tylko 44. W tejże epoce prawie nie potrzeba było zaprowadzać dyliżansów, z powodu małej liczby podróżnych; a teraz, na statkach parowych, na lekkich czołnach, dyliżansami, na kolejach żelaznych i konno przybywa, do tego miasta corocznie półtora miliona podróżnych.

Przed połączeniem się Anglii i Szkocyi, handel Glasgowa ograniczając się na Holandyi i Francyi, nie wiele znaczył, lecz gdy akt Unii otworzył porty Ameryki kupcom szkockim, przedsiębiercy z Glasgowa z zapałem puścili się tą nową drogą i handlowali głównie tytuniem z Wirginii. Z początku najmowali okręty angielskie; dopiero w 1718 pierwszy okręt zbudowany w Glasgowie przebył ocean atlantycki.

Podczas wojny amerykańskiej, przerwały się interessa z Wirginią, a negocyanci i kapitaliści Glasgowa zwróciwszy w inną stronę czynność swoją i kapitały, zajęli się rękodzielniami. Właśnie wtedy, Arkwright udoskonalił sposoby przędzenia, a to przyłożyło się do wzrostu przemysłu.

Po ukończeniu wojny odnowiły się dawne stosunki z Wirginią, a powstały nowe z innemi krajami Stanów Zjednoczonych. Wkrótce potém, uprawa bawełny wprowadzona do południowych krajów Stanów Zjednoczonych, stała się dla Glasgowa nowem zrzódłem bogactw: gdyż bez powiększenia massy surowych płodów, rękodzielnie szkockie niebyłyby mogły zadosyć uczynić wzrastającemu żądaniu handlu. Kanada i Nowa Szkocya, otworzyły nowe zrzódło odbytu.

Druga odnoga handlu Glasgowa, z zachodniemi osadami, stała się ważną dopiero od pierwszych wojen rewolucyi francuzkiéj. W 1816. pierwszy raz Glasgów wysyła towary swoje do Jndyi, a w roku 1834, gdy handel z Chinami przestał bydź wyłącznym przywilejem kompanii Jndyjskiéj, najpierwszy okręt naładowany herbatą a nie należący do tejże Kompanii, wysłany był przez armatora z Glasgowa.

W 1833 zawinęło do Glasgowa 399 okrętów, mających 81,500 beczek ładunku; cło od nich wynosiło 779,232 f: sz: czyli 31 milionów zł. pol.

SŁOWNICZEK '
(niektórych wyrazów mniéj używanych)

Odoja, w górach pokuckich znaczy toż samo, co w Alpach *un chalair*, *un chalet*, domek do którego się schodzą mieszkańcy, lub obcy, czyli to dla zdrowia, czyli dla zabawy, czyli ku piciu serwatek zdrowiu pomocnych, nakoniec są to miejsca, w których skotopasy górale doją.

Jołom, czapka kozaków ukraińskich z baraniéj skóry, pospolicie czarnéj, z wierzchem jéj obwisłym.

Szałaput, który udaje walecznego, wszystko działa z trzaskiem i wrzaskiem, z miną gęstą, a w sercu tchórz. *Un fanfaron*, *tapageur*. Mówi się też i *szaławiła*. Czynność jego *szałaputostwo* się zowie. Ani wątpić można, w wyrazie dawnym, *szał* jest pierwiastek szałaputa.

Swiegot; wyraz wzięty od ptastwa, znaczy gadatliwego, który plecie ladaco, gada co mu ślina do gęby przyniesie, i którego język na kołowrocie biega. Ztąd *swiegotka*, *swiegotać*, i t. d. Blizcy mu są: *szczebiot*, *klekot*, *papla*, i *plotka*.

Powsi-noga, jest to włoczęga, co nigdzie miesca nie zagrzeje.

Dyląg; długi, chudy, lejbowaty, nieokrzesany, niegłaźny, a którego brat rodzony *drągal* się mianuje.

Niedopanek, wyraz Maxymiliana Fredra; w przysłowiach sam go tłumaczy, iż mówi się o tym, co nie czując się w powadze, rad ją pychą nadstawia.

Powiadałki; w czeskim języku tak zowią kwoki, które o wszystkiem wiedzą, wszystkie plotki roznoszą, i rade każdemu rozpowiadają.

Bajołap; co każde nowiny chwyta, i zwykle powiększone, lub odmienione rozgaduje, najczęściéj je sam zmyśla, i nowinami posiedzenie, które im bynajmniéj nie wierzy, bawi.

(*dokończenie nastąpi*)

CHOPIN.

Z chlubą i miłém zajęciem, czytamy liczne wzmianki w pismach krajowych i obcych, o młodym ziomku naszym, Panu Chopin, który jako fortepianista i kompozytor, prześcignął wszystkich współzawodników i europejską sławę pozyskał. — Umieszczamy rycinę tego artysty, oraz szczegółową wiadomość o jego kształceniu się, zawodzie i płodach.

Fryderyk Chopin urodził się w roku 1810 w Warszawie. Ojciec jego, P. Mikołaj Chopin, nauczyciel przy Liceum Warszawskiém, uważając w synie już w najpierwszéj młodości nadzwyczajny talent do muzyki, starał się o jego rozwinięcie i ukształcenie. Młody Chopin przewyższył oczekiwania ojca. Już w ósmym roku najtrudniejsze kompozycye wówczas pierwszych mistrzów: jak np. Humla, Kalkbrennera, Moszelesa, Filda, i t. d. od ręki i to prawdziwie po mistrzowsku wykonywał.

W 11tym roku wyrównał wymienionym fortepianistom, a w 16 tak w grze, jak w kompozycyi, już ich przewyższył. Mianowicie podziwiano w jego grze, mechaniczną biegłość i szybkość, nadzwyczajną delikatność w uderzeniu, najczulsze cieniowanie, w noszeniu, w wzrastaniu, i w niknieniu tonów; czystość i łatwość, z jaką pokonywał największe trudności, znajdujące się tylko w jego dziełach, w których powodowany duchem czasu, zaniechał przestarzałego sposobu kompozycyi, a obrał nowy, piękny i oryginalny. Niezważając na śmieszne pedantyczne reguły, tłumiące długo jak w poezyi, tak i w muzyce, wyższe wzniesienie się ducha, pozwala ognistéj swéj fantazyi bujać dowolnie w krainie tonów: przez co, i przez właściwy sobie sposób pisania i wyrażania nie tylko uczuć ale i ideów, stał się twórcą szkoły tak nazwanéj romantycznéj czyli fantazyjnéj.

Już na początku tego wieku, Beethovena owa piękna gwiazda na widnokręgu muzycznym, wstępując w ślady Hajdena, dał pierwszy, mianowicie w symfoniach z D dur, C mol, A dur i F dur, hasło do bezregułowéj jenialności. Nawet w kompozycyach na fortepian, choć mało był obeznany z tym instrumentem, przebijał się jego wielki gieniusz, i pokazał drogę, która jedynie mogła do prawdziwéj piękności i doskonałości doprowadzić. Spodziewać się należało, że to, co Beethoven zaczął, inni kompozytorowie dokonać nie omieszkają. Lecz nie tak się stało. Prawie wszyscy uczniowie Beethovena, albo przestali na tém, co on myślał i utworzył, albo poszli dawną drogą Mocarta, Clementego, albo tworzyli oddzielne szkoły, pragnąc tylko wszystkim się podobać i mile ucho bawić. Ztąd poszło, iż sztuka grania i komponowania na fortepian, coraz bardziéj upadać zaczęła, i że mimo milionów kompozytorów na ten instrument, od Beethovena aż do Chopena, ledwie dwóch się znajdzie zasługujących na uwagę. Kompozycye Kalkbrennera, Humla, Kramera, i tylu innych, zasadzając się na małéj tylko mechaniczněj doskonałości gry, nie mają nic w sobie, coby duszę naszą zajmowało; — nie ma w nich ani ognia, ani uczucia, ani fantazyi. Ries, choć z wielu względów wyższy od wymienionych, nie może się jednak z Beethovenem równać. Moszeles i Mendelsohn-Bartoldy, długo muszą się namyślać, nim co takiego, jako Beethoven napisał, wymyślą. Cóż mam powiedzieć o tak ulubionym przed kilku laty Herzu, Hintenie, Czernim? Oni to, ubiegając się jedynie za pochwałą tłumu, i hołdując powszechnemu zepsuciu, gust dobry w muzyce bardziéj jeszcze skazili.

W takim stanie rzeczy, czas był największy, aby jaki wielki geniusz zupełnéj zagładzie dobrego smaku zapobiegł. Chopin to uskutecznił; nie dbając on o poklaski gminu, przekładając nad pochwałę tysięcy mało muzykalnych, zdanie jednego, ale prawdziwego znawcy muzyki, ufny nakoniec w swéj sile, postępował odważnie, obraną przez siebie drogą i doszedł najwyższego stopnia doskonałości.

Sława Europejska Chopena zaczyna się od jego podróży muzykalnéj, którą w roku 1829 przedsięwziął. Szczególniéj w Wiedniu został z największym zapałem przyjęty. Wszędzie gdzie się dał słyszeć, pisma publiczne napełnione były pochwałami jego zachwycającéj gry, i niezrównanych kompozycyi. Nie mniéj podziwiano wolne fantazye, w których mógł jeszcze bardziéj niż w kompozycyach puszczać wodze wzniosłéj, bujnéj i twórczéj wyobraźni. W ówczas, bladość jego twarzy niknęła, a ciemne oczy pałały ogniem nadludzkim, twarz zasmucona okrywała się febrycznym prawie rumieńcem. Dopiero, kiedy ostatnie pełne akordy, miękkie i płaczące, jak zwykle zakończenia wszystkich jego kompozycyi i wolnych fantazyi, rozlały się po sali, a rzęsiste oklaski uniesionych słuchaczów słyszeć się dały, dopiero wtenczas lekki uśmiech krasił jego piękną twarz, przy-



CHOPIN.

bierającą swą naturalną bladość, która go osobliwie w oczach dam, jeszcze bardziej zajmującym czynić musiała.

Wrócił Chopin do Warszawy; lecz na krótki tylko czas: albowiem już w roku 1830 wyjechał do Anglii, Niemiec i Francyi.

Sława Chopena jako kompozytora, zaczyna się w Niemczech, Anglii i Francyi, od wyjścia dzieła:

La ci darem la mano, Varié par Fr. Chopin. Oeuvre 2.

To dzieło zrobiło nadzwyczajne wrażenie w Europie. Najwięksi nawet przyjaciele szkoły dawniejszej, przyznali mu wyższość nad wszystkiemi innemi.

Można sobie łatwo wystawić, z jakiém oczekiwaniem cały świat wyglądał innych kompozycyi Chopena. W roku 1833 wyszły następujące:

1. Polonez na fortepian i wiolonczellę, dzieło 3.
2. Trio. Dzieło 8.
3. Notturna. Dzieło 9. (później drugi oddział. Dzieło 15.)

Kompozycye te, szczególniéj Trio i Mazurki przewyższały oczekiwania wszystkich.

Następnie wydał Trio na fortepian skrzypce i wiolonczellę, ofiarowane Xięciu Antoniemu Radziwiłłowi. Pełno w nim jest nowych figur, wielkich i pięknych myśli: znajduje się jakiś śpiewny, charakterystyczny dźwięk, porządek i dziwna symetrya. Słowem, to dzieło godne Chopena, równie jak Notturna, które wkrótce po »Trio« wyszły. — Dotąd jak wiadomo, uważano Filda za najpierwszego kompozytora notturn. Chopin i w tym rodzaju kompozycyi chciał być pierwszym, i oczywiście przewyższył Filda. Jakże suche, oschłe i nudne są notturna tego kompozytora, w porównaniu z tworami Chopena, które mianowicie śpiewnością, nowemi szczytnemi myślami, bogactwem harmonii, tak bardzo od wszystkich innych się różnią.

Każdy, kto tylko te pierwsze dziewięć

dzieł naszego ziomka pozna, musi przyznać, iż już przez nie przewyższył wszystkich fortepianistów, cóż dopiero, gdy uwagę zwrócimy na jego późniejsze kompozycye; na jego »Cwiczenia« na jego Koncert, na jego Fantazyą, i na smętne Scherzo? — Brakuje nam słów do wyrażenia ich doskonałości i piękności.

W ćwiczeniach (Etudes Oeuvre 10. Liv. I et II.) Pan Chopin już przez dedykacyą (Lisztowi po nim najlepszemu fortepianiście w Europie) dał poznać, dla jakich to fortepianistów te ćwiczenia są przeznaczone. Dobrze ich nikt pewnie oprócz samego kompozytora i Liszta nie jest w stanie wykonać: mierni fortepianiści (t. j. tacy, którzy najtrudniejsze dzieła dawniejszych kompozytorów jak n. p.: Kalkbrennera, Riesa, Humla, Herza i t. d. od razu i to pod każdym względem doskonale, wykonać są w stanie) ledwie będą mogli po kilkumiesięcznem pilnem ćwiczeniu, jednę albo dwa z tych »Etudes« jako tako odegrać; o wykonaniu trudniejszych, jak n. p.; 2giéj, 11téj, ani myśli.

Cwiczenia te są kluczem do następujących kompozycyi Chopena: do koncertu dzieło 11ste (z Orkiestrą):

Fantazyi dzieło 13. (z Orkiestrą.)
Rondo z Es. Dzieło 16.
Scherzo Dzieło 20.

Najwięksi krytycy już powiedzieli wszystko to, co tylko na pochwałę tych dzieł powiedzieć można było.

Zwykle bawi P. Chopin w Paryżu, gdzie często nadzwyczajnie licznie odwiedzane koncerta daje, i gdzie jego lekcye Francuzi złotem ważą (podobno 2 Luidory za godzinę). Skutek najpomyślniejszy uwieńczył jego usiłowania. Wszyscy prawie wielcy kompozytorowie postępują za jego przykładem, i tą drogą, którą on poszedł: Wymienię tu tylko sławnego Liszta w Paryżu, Hillera, Berliniego, Schumana, równie piękną jak utalentowaną Klarę Wiek, Pixisa i Chaulieu, który od 10go dzieła do romantycznej szkoły przeszedł.

PREZENT.

(Powieść gminna.)

Nie dawne temu czasy, ani dalekie miejsce, w którem stał się wypadek dziwny, do uwierzenia trudny, przecież prawdziwy, bo pani Chorążyna, własnem na wszystko patrzała okiem. A chociaż jéj usta oniemiały na wieki, prawią przecież usta osób innych, powtarzając powieść Chorążyny co do słowa; Relata, refero.

W drewnianym dworku, z którego okien piękny jest widok na błyszczące w oddaleniu białe domki sąsiedniego miasta i na górę wybiegającą nad miasto — na której jednym szczycie stoi St. Marcina kościołek; na drugim sterczą zamku zwaliska. Otóż w dworku tym drewnianym mieszkał Chorąży dziedzic wioski.

Błogosławieństwo Boskie spoczywało nad jego domem; wszystko pomyślnie mu się wiodło. Pomnożył się przychowek, szkatuła raz wraz ciężała. Mówiono o nim, iż wężyka miał w kieszeni! Jle razy przypadło sięgnąć po grosz, syczał okropnie, i odstraszał rękę żądełkiem. Przecież był ludzkim i gościnnym w całém znaczeniu tego wyrazu, bo rzadki był wypadek, ażeby gość trzeźwo od niego odjeżdżał. — Miał żonę młodą i piękną. Aniela chowała się u babki, któréj była pieszczotką, i nie było szybki w oknie, żeby wnuczka jéj nie miała, byle się naparła. Zostawszy Chorążyną, zdarzało się często, iż skromne jéj życzenia i marzenia, rozbijały się, jakoby o twardą skałę, o upór oszczędnego męża.

Sąsiadki na przekorę pokazywały nieszczęśliwéj téj istocie, coraz to nowe robrony, kornety, mantele, chustki. Aniela dodzierała tylko ślubną swoją wyprawę. Lecz nigdy większego nie doznała frasunku, jak w ówczas, gdy się dowiedziała, iż najbliższą jéj przyjaciółkę związał mąż na urodziny sznureczkiem pereł uryańskich prześlicznéj wody.

Żałością przejęta, zapłakała z smutku zazdrości. Sąsiadka bowiem ta, szczęśliwsza od niéj, była żoną dzierżawcy, trzymającego folwark od proboszcza Tuchowskiego. A ona dziedziczka, korale tylko nosiła na szyi. Ale żale i płacze nie przemogły Chorążego; skarcił żonę, że się zachciwa jéj zbytków w tych ciężkich czasach.

Biedna żona rzuciła zapłakanem oczkiem na ciężką szkatułkę i westchnęła. Ale dnia tego długo zasnąć nie mogąc, dumała o wieczornym chłodzie.

Wkrótce potém przyszedł posłaniec z listém od Babki Anieliny, w którym staruszka wzywała wnuczkę, aby zjechała na święta.

Chorąży uradowany tém nie mało, chodził po izbie i zacierał ręce: wiedząc o tém, iż babka kochana, stosownie do zwyczaju swojego, odsyłając do domu wnuczkę, obdarzy ją znowu sumką jaką na szpilki. —

Odjechała Chorążyna.—Ani młokos czeka na przybycie kochanki z większą tęsknotą, jak Chorąży tą razą wyglądał powrotu żony.

Po upływie kilku tygodni, przyszła nareście wiadomość, że wraca.

Chorąży wychodził kilkakrotnie na przeciwko małżonki. Jednego wieczora nareście, wyszedłszy na wzgórze, dojrzał wznoszącą się kurzawę na gościńcu! poznał siwe konie, i koczyk. »Wraca, wraca« zawołał, i zbiegłszy na drogę, czekał. Nadjechała żona.

»Stój« krzyknął Chorąży — zatrzymała się kolasa, wysiadła żona; smutna jakaś i zapłakana rzuciła się w objęcia małżonka, który zadziwiony tym smutkiem, zapytał: »Co się stało moje serce? powiedz«

»Nie gniewaj się na mnie — jam niewinna«« odpowiedziała zapłoniona. Dobyła chustki z woreczka, zakryła sobie oczy płaczące.

»Ale cóż się stało? powiedz,« powtórzył Chorąży.

»»Skradli mnie, skradli, zabrali wszystko!«« przemówiła żona.

Daremne byłoby staranie moje, opisać scenę, jaka nastąpiła po tém wyznaniu Chorążyny — iż na noclegu w karczmie skradziono jéj sakiewkę z dukatami, o któréj była wzmianka w liście babki do Chorążego pisanym.

Chorąży przyszedłszy do siebie, nie zaspał chwili, wysłał, i sam nareście poleciał na miejsce popełnionéj kradzieży.

Badano, szukano, ale bez skutku.

Miesiąc upłynął, jeszcze Chorąży żalu swego strawić nie zdołał, i nie było żadnéj w dniu jednym godziny, ażeby nie wyrzucał Anieli, iż tak jest płocha i nieostrożna — powtarzając swoje: »a mówiłem, miéj się na ostrożności; sto cz. zł. nie piechotą chodzi; stracić tak lekkomyślnie!« Czas najlepszy na troski lekarz, przyniósł niejaką w tym frasunku ulgę. Chorąży zapominać się zdawał o doznanéj szkodzie.

Zdarzyło się pod tę porę, iż Chorąży o zaoranie kopca granicznego sąsiadowi, pozwany do Forum Nobilium — wyjechał do miasta — dzień to był czwartkowy — dzień processu.

Sprawa, acz wątpliwa, zręczną wymową Chorążego tak pomyślny wzięła obrót, iż upadła; owszem powód na koszta processu skazanym został.

In gratiam tak pomyślnego sprawy zakończenia, Chorąży zaprosił pana Sekretarza, i kilku dobrze znajomych, do Szmula na lampkę.

Było to jakoś z jesieni: pora dżdżysta i śnieżna. Żydek wnosił butelkę po butelce, a próżne odnosił. Już dobrze się zmierzchło. P. Sekretarz nie żegnał fundatora, a temu jako traktującemu nie wypadało brać za czapkę pierwszemu. Ciągnęła się pogadanka o emigrantach francuzkich, którzy w przejeździe do Rossyi noclegiem stanęli byli u Szeflera. *)

Ciągnęła się rozmowa, i rozciągnęła w uwagi nad Europą, Ameryką i Azyą. Zadzwonili w ratuszu na dobranoc, a Chorąży kieliszkiem o kieliszek Sekretarza dzwoniąc, zawołał: »kochajmy się.« Ostatniém tém zdrowiem przywalony, padł na ławę Chorąży, do rana na niéj doleżał, Sekretarza odprowadzono do stancyi.

Nazajutrz o poranku, wracał Chorąży do domu. Skręcając z gościńca ku dworowi wedle karczmy, żyd gospodnik, uchylając czapki, do bryczki przybieżał i zawołał:

»Niech Wielmożny pan jedzie do dworu, a prędko, dobre rzeczy tam słychać.

»Cóż to za dobre rzeczy?«

»Niechno Wielmożny pan jedzie, sam na własne oko obaczy ten prezent, te perły.«

»»Jaki prezent? jakie perły?«« zapytał Chorąży zdziwiony — lecz woźnica śmignął batem, a czwórka w chyżym biegu porywając bryczkę, przecięła dyskurs pana z żydem karczmarzem:

Po drodze rozmyśliwał Chorąży, coby to znaczyły te perły, ten prezent; a wołał na woźnicę, by pośpieszał.

Ledwie co wjechał na podwórze — obskoczyła go czeladź wszystka, przebąkując cóś o prezencie, o perłach. Z wrzasku tego, i poplątanéj gadaniny, rozumnego nie mógł wyciągnąć słowa Chorąży. Szedł więc do izby i zastał Anielę przed zwierciadłem stojącą: w ręku sznur pereł miała, raz do szyi to znowu do czoła przykładając je i przymierzając, patrzała w zwierciadło i uśmiechała się wesoło, jak dziecko, a postrzegłszy wchodzącego, biegła do męża, pokazując mu perły.

Zdziwiony Chorąży, oku nie wierzył własnemu, wziął je do ręki, liczył jedną perłę po drugiéj i przesuwał po sznurku. Nareście zapytał zkąd je dostała, od kogo? i któż ten wielkomyślny szlachetny Dobrodziéj?

»Usiądź mój mężulku« rzekła żona: »opowiem ci wszystko; ale uprzedzam, żebyś mi wierzył, co mówić będę, bom sama na własne widziała oczy; klucznica nie widziała, ale słyszała; sama mówi, że słyszała.

»Nieinaczéj« wpadła w słowo przytomna klucznica stara, słyszałam na własne uszy, słyszałam szelest i wrzawę jakąś w nocy, jakby kto kuferek przesuwał po podłodze.

*) Gospodnik w mieście.

»»Dobrze, już dobrze: przerwał Chorąży: wierzę, już wierzę, tylko mówcie, co się stało.«

»Otóż to się stało« zaczęła mówić żona: »Jakoś to było po północy, zegar wybił 3 kwadranse na pierwszą, ocknęłam się, niebo się wypogodziło, i miesiąc świecił jasno.«

»»Ależ jako żywo! teraz xiężyc na nowiu««

»A to gwiazdy może tak jasno świeciły; same nadzwyczajności działy się téj nocy. Wierz mi mężulku.«

»Nie inaczéj, i ja z drugiéj izby widziałam, że jasno było w sypialni« przemówiła klucznica.

»»Otóż ocknęłam się, mówiła dalej żona, i nie spałam, zegar wybił pierwszą. Posłyszałam szelest jakiś pod łożem moiém. Przestraszyłam się, bo nie wiedziałam coby to znaczyło i myślałam że to...

»»No! co tam, mniejsza, coś myślała» przerwał mąż, »powiedz, co to było?««

»Otóż, kiedy myślałam, że to mysz może się tłucze, a to nie mysz, ale człowieczek jakiś malutki, jak ci Liliputowie, co to niedawno czytałam ci z książki, którą mi kanonik pożyczył: taki sam maleńki Liliputek wyjechał na koniu, z pod łóżka mego.

»Cóż to pleciesz za baje! przerwał mąż:

»»Ale mój mężulku kochany, słuchaj jeno daléj« rzekła żona.

»Nie inaczéj, niech jegomość słucha, co daléj będzie: rzekła znowu klucznica

»»Otóż, na czémże stanęłam? Wyjechał Liliputek na koniku małym, wyjechał na sam środek pokoju, zdjął kapelusz z piórkiem, pokłonił mi się pięknie i przemówił:

»Prawisz duby, moje serce,«« rzekł mąż.

»»Słuchajże daléj«« rzekła żona.

»Nie inaczéj, niechno Jegomość słucha« rzekła klucznica.

I Chorąży słuchał daléj, nie przerywając już opowiadania żony, które w skróconéj umieszczam treści: Człowieczek maleńki, wyjechawszy na środek pokoju, zdjął kapelusz, uczynił pokłon i zapytał się pani Chorążyny, czyli dozwoli państwu młodym odprawić wesele w jéj pokoju?

Przestraszona z razu Chorążyna takiem nadzwyczajném zjawiskiém, oczom własnym nie wierząc, wzięła to wszystko za senne jakieś widzenie; ale słowa te, dobitnie i wyraźnie wymówione, przekonały ją dostatecznie, że to wszystko na jawie było.

Zakłopotana nie wiedziała sama, jaką dać odpowiedź: bez wiedzy i woli, ledwie to słówko dobrze wymówiła, już ci zaszeleściało znowu coś pod łożem, i razem 4 karetek małych, każda o 5 koniach, wysunęło się z pod kobierca, który spadając z łóżka ku ziemi, osłaniał i zakrywał co się działo pod łóżkiem. Za karetami bryczek kilka, nareście wózek z kapelą i kilku kawalerów konno. Cała ta kalwakata była drobna, maleńka — jednéj miary z tym pierwszym Jegomością, przodem wysłanym. — Karetki i bryczki, były zastósowane do tych człowieczków, domyśli się każdy—kiedy jak wspominałem, 4 karet i bryczek kilka, pod łóżkiem Chorążyny wygodnie pomiejścić się mogły, a wysunąwszy się z pod łoża, po izbie, jakby po obszernym Krakowskim objeżdżały rynku.

Nie odbyło się to bez wrzawy: turkocik karetek, trzaski z biczyków woźnic, tentencik koniczków galopujących, obił się o ucho Chorążyny, wraz z muzyką kapeli, wygrywającéj dziarskiego marsza.

Muzyka ta była cicha, podobna do głosu pozytywki drobnéj, w zegarku zamkniętéj. — Kapeli nie słyszała klucznica, w drugiéj spoczywająca izbie, czego żałowała najwięcéj, i na pół śpiącéj zdało się, że któś kuferek po podłodze przesuwał.

Zatrzymały się karety i bryczki — i wszystko z nich powysiadało.

Tu widziała Chorążyna najprzód państwa młodych, ślicznie ubranych, nieco z staroświecka. Jacyś sędziwi panowie i panie, drużbowie, i innych gości mnogo.

Stanęli w wianek, kapela urznęła mazura, i wysunęła się pierwsza parka do tańca, po niéj druga, trzecia, i czwarta: taniec szedł żywo, i wesoło. Samą Chorążynę, patrzącą na tańcujących, ochota brała do tańca.

Po mazurku, puściła się wiarka obertasa, potém drabanta, nareście krakowiaka: w pierwszéj parze hasał pan młody z panią młodą, obleciawszy koło po razy kilka w skokach żwawych, przyskoczył do łoża, za nimi długim sznurem ciągnęły się pary.

Skoro przed łożem Chorążyny stanęli, skłonili główkami, i dwoje maleńkich, dźwigając na patyczkach jakieś pudełko, złożyli je na ziemi przy łóżku, a starosta dziękując gospodyni za gościnność, prosił by prezent ten przyjąć raczyła jako wdzięczności podarek.

Kapela uderzyła znowu marsza; rzuciło się wszystko do karet i bryczek; biczyki woźnic pukać zaczęły, i wszystkie 4 karety i bryczki wjechały pomiędzy drewniane słupki, na których kaflowy piec

spoczywał: turkut i kapeli odgłos coraz to cichł, i wkrótce nastąpiła cisza w izbie, i izba była próżna.

Chorążyna nie rychło przyszła do siebie — ochłonąwszy nieco z podziwu i obawy, uniesiona ciekawością, coby się w tém zawierało pudełeczku, podniosła je, otworzyła; w pudełku były perły. Radością przejęta, niemogła doczekać ranka, skoczyła z pościeli; przybiegłszy do klucznicy, pokazała perły, i całe opowiedziała zdarzenie.

Klucznica na obie zerwała się nogi, i tysiąc pytań zadawała pani, i żałowała niezmiernie, że nie była na weselu przytomną.

Rozbudziły wszystkie dziewki i czeladź: wszystko się zbiegło do sypialni pani i nuż zaglądać pod łóżko, nuż pod piec i kijami stukać pod piecem. Nic już nie było. Chorążyna niecierpliwie czekała powrotu męża; ciesząc się darowanemi perłami

Skończyła mówić Chorążyna. Chorąży się zadumał, głową kiwał, nareście przemówił:

»Rzecz dziwna, niesłychana! słyszałem o duchach i upiorach, ale o takich maleńkich upiorach nie słyszałem dotąd; prawda że w książkach piszą o jakichsiś tam Liliputach: trudno tu nie wierzyć kieky perły, które przecie dobrze widzę i czuję w garści, tego dowodzą.«

To rzekłszy, przeszedł do sypialni, zajrzał pod łóżko, patrzał po podłodze, to schyliwszy się pod piec zaglądał, laską sztukając i grzebiąc pod piecem. Zdarzenie to nadzwyczajne, błyskawicy chyżością rozniosło się po okolicy.

Chorąży przez cały ciąg żywota swego, tyle w swym domu nie miał gości, ile tygodnia następnego po téj nadzwyczajnéj nocy. Mężczyzni i kobiety, starcy i dzieci, zbiegali się tłumnie w dom Chorążego. A każdy z gości ledwie przebył próg domu, pędził do sypialni i patrzał po podłodze, i zaglądał pod łóżko i pod piec.

Niektórzy ślad jakiś dostrzegali jeszcze, a słupek jeden od pieca przytarty był nieco; zląd wnoszono, iż kareta w szybkiéj jeździe osią zawadziła o niego, dodał ktoś: »Dobrze że pieca nie rozwaliła ta czereda. — Nie dosyć na tym, oglądano przeciwną w przysionku ścianę izby sypialnéj, w czeluście pieca wstępowali ciekawsi, rozbijając się w domysłach, którędy te karety wyjechać mogły. Chorąży, acz gościnnego serca, nudził się tą zgrają gości. Chwili nie miał spokojnéj. Do tego, piwnica przez tydzień cały prawie się nie zamknęła, pękły cztery beczki; a ogień kuchenny jakoby ogień Znicza, od rana do wieczora tlał nieustannie. Nie wiedział już rady; a dnia jednego, obrachowawszy się z śpiżarnią, i piwnicą, wyciągnął z téj rachuby wniosek, że te perły darowane, opłacił już nad cenę nawet, szkodą, jaką poniół traktamentem nieustającym. Téj pielgrzymce do pieca chcąc położyć koniec, wyjechał z domu. Lecz oddalenie się pana, było hasłem gromadzie wioski i okolicznych, do poznania z bliska sławnego tego pieca i łóżka.

Z razu klucznica chętnie, i izbę sławną, piec, i łóżko pokazywała, wszystkim razem i z osobna; lecz przebrała się miarka cierpliwości.

A gdy ciekawe rzesze nie przestawały téj pielgrzymki do pieca, przymuszoną się być widziała, wezwać Ekonoma pomocy, i dwóch pachołków z kijami stać musiało od rana do wieczora w sieni, odpędzając ciekawych. Byłem w tym dworku, widziałem izbę sypialną, łóżko i piec. Izba zwyczajna kwadratowa, ośm kroków długa i tyleż szeroka, ma dwa okna wychodzące do ogrodu; między oknami jest kanapa cycem w paski powleczona, przed nią stoliczek okrągły na trzech nóżkach, przy ścianie od prawego okna stoi łóżko. Pawilon czerwony, nieco spłowiały spada na nie z wysoka i pokrywa.

Piec quaestionis, spojony z kafli białych w niebieskie arabeski; na jednym środkowym jest wyobrażenie herbu Łodzia.

Dając świadectwo prawdzie, i to mi dodać wypada, iż jeden z tych drewnianych słupków, na których odarty stoi piec, zwichnięty jest na lewą stronę. Słuszną zatém była ta uwaga, iż pędząca karetka zawadziła o niego. Ten ślad tylko zostawili ci maleńcy goście. *)

Jad....

---

*) Prawda, że Liliputkowie nie zostawili innego śladu, ale zostawiła go sama pani Chorążyna, która, jak sobie baczny Czytelnik przypomnieć raczy, miała sto dukatów od matki — wszak je skradli złodzieje w karczmie na noclegu? — może i nie skradli. Dość na tém, że te perły właśnie tyle kosztowały. P. A.

MUZEUM DOMOWE, wychodzić będzie w roku przyszłym, w tymże samym formacie i układzie.

WYDAWCA: F. S. DMOCHOWSKI.
w Księgarni przy Ulicy Miodowéj Nro 496.



RUBENS.

307

Umieszczamy najprzód, jedną scenę z życia tego sławnego malarza, a następnie skreślimy jego biografią.

GUDULA.

(*Powieść Flamadzka*),

§. I.

O SIÓDMÉJ WIECZOREM.

Tego wieczora, chociaż pani Trea Denneseus, kupcowa, a przytem żona bogatego notaryusza w Antwerpii, kazała upiec najpiękniejszego kapłona jakiego kiedykolwiek bądź utuczono w mieście, mimo tego z nie mniejszą troskliwością doglądała izby w tyle sklepu będącéj. Już to, uderzona mocniejszym zapachem pieczystego, biegła polewać masłem tę główną potrawę swojej wieczerzy; już to, zasiadłszy w krześle z poręczami, na pozór z miną roztargnioną i obojętną, doglądała starej szwaczki, cerującéj pończochy.

Ta kobieta, siedząc w kącie izby, pracowała nie spuszczając oka z roboty, praco-

wała bez przerwy, gdyż pani Dennesens zgodziła ją dziennie za dwanaście soldów, prócz jedzenia: każdą za tém przerwę, każde wytchnienie uważała za szkodę swoją i czujnie pilnowała robotnicy, tak że nawet opóźnienie w ruchu igły nie mogło uniknąć jej uwagi.

Ze swojej strony, szwaczka Gudula, używała tysiąca dowcipnych wybiegów, nie przez lenistwo, ale przez ten duch sprzeczności, któremu nie mogą oprzeć się nawet najsprawiedliwsi ludzie, gdy za wiele od nich wymagają. A jeżli pani Dennesens musiała wyjśdź na chwilę, wtenczas to dopiero Gudula podnosiła głowę z niewymownym wyrazem szczęścia i wyciągała członki. Patrzała na przechodzących przez ulicę, na płaskorzeźby ozdabiające wielką szafę dębową; a potém, na najmniejszy szelest sukni pani Dennesens, przybierała nachyloną postawę i wracała do pracy.

Najmilszą rozrywką Guduli, najpożądańszą, był dzwięk dzwonów katedralnego kościoła. Rano, gdy dzwoniono na ostatnią mszę, szwaczka myślała sobie: »Za pół godziny będzie południe, dadzą obiad.« Wieczorem o siódméj, dzwonienie na anioł Pański oznajmiało koniec długiéj całodziennéj pracy i nieprzerwanego milczenia. A łatwo pojąć jak słodką była, dla kobiety przez dwanaście godzin przykutéj na stołku, najprzód pora obiadowa, to jest cała godzina wypoczynku, a potém ta chwila, kończąca umowę mocą któréj zaprzedała swoją pracę, swój ruch i wolę.

Otoż, nie wiedzieć jakie przeczucie ostrzegało ją, że spodziewany dźwięk dzwonu wkrótce się odezwie, gdy machiawelskiém wyrachowaniem powodowana, pani Dennesens, rzekła.

—»Co za szkoda! zadzwonią na Anioł pański, a pończocha jeszcze nie naprawiona, nie wiem co jutro wdzieje mój biedny mąż.

Gudula zrozumiała ten podstęp, lecz nie mogła uchronić się przed nim. »Nie idzie mi o kwadrans czasu, odpowiedziała zmuszając się do uśmiechu, dokończę cerowania.«

Wtedy pani Dennesens zajęła się przygotowaniem do wieczerzy; wiedziała bowiem, że po godzinie siódméj Gudula i bez doglądania spieszyć się będzie.

—»Czy chcecie wziąść ze sobą waszą wieczerzę? rzekła, czyli też zostaniecie z nami, aby zjeśdź kawałek tego przepysznego kapłona.?

Gudula chciwém okiem spojrzała na kapłona, lecz odpowiedziała: »Wezmę wieczerzę.

Pani Denesens, powodowana wspaniałomyślnością która jej się rzadko zdarzała, odkroiła udko od kapłona i razem z chlebem i dwoma jajami podała Guduli.

Uradowana stara, ukłoniła się jak tylko mogła najpiękniéj i pośpieszyła do swego pomieszkania, w małym domku na przedmieściu.

Przybywszy tam, zapukała. Otworzyła jéj młoda dziewczyna, odebrała od niéj płaszcz i koszyczek z wieczerzą.

—»Powoli! powoli Elżbietko, rzekła stara z radością, powoli! są dobre rzeczy w tym koszyku, zgadnij co.

—»»Nie wiem, odpowiedziała dziewczyna z roztargnioną i melancholiczną miną.

—»Udko od kapłona! moje dziecię, udko tak duże jak od indyka! siadajmy czemprędzéj; jeszcze jest ciepłe.

To mówiąc, stara siadła przy nakrytym już stoliku i przeciąwszy udko na dwa kawałki, większy podała Elżbiecie. Młoda dziewczyna chciała jeśdź, lecz wkrótce odsunęła talerz a łzy spłynęły po jéj licach.

—»Na ten widok, Gudula straciła apetyt.

»Nie przyszedł więc? zapytała się z politowaniém.

—»»Od trzech dni!

—»Nie chcę go usprawiedliwiać, postąpił sobie źle, bardzo źle; ależ może jaka pilna praca zatrzymała go w domu? Nie zawsze możemy robić to czego chcemy. No moje dziecie, nabierz serca, przyjdzie może dziś lub jutro. Ziedz kawałek i pociesz się kochana Elżbietko.

—»Rozmyślił się zapewne, rzekła Elżbieta, że szaleństwem jest kochać sierotę, która żyje z pracy rąk swoich i nie ma innéj pomocy prócz ciebie kochana Gudulo.

—»Sierotę! to prawda, lecz sierotę która piękne otrzymała wychowanie, umie pisać, czytać, należy do najpierwszych familii w Antwerpii! Ho! to jest wcale co innego. Twój ojciec nie byłże hurtowym kupcem zboża? Twoja matka nie byłaż spokrewniona z panem burmistrzem, tym który zmarł przed czterema laty?

—»Tak jest, lecz niespodziane straty zniszczyły mego ojca, rodzice moi umarli ze zmartwienia i pozostałam sama na świecie, ciężarem będąc twojéj starości i ubóstwu.

—»Ciężarem Elżbieto! gniewa mię takie gadanie. Ciężarem! Nie jestżeś moją pociechą? mojém szczęściem? I cóżbym tu bez ciebie robiła? No, czasy mogą się polepszyć; a nasz młody człowiek tyle ma zdrowego rozsądku i szlachetności, iż nie poczyta nam za złe naszego ubóstwa. Nie traćmy odwagi... Cóż... czy słyszysz to stąpanie?.. Poznaję go, to on!

W rzeczy saméj zapukano do drzwi; Gudula otworzyła i młody człowiek, poważnéj i szlachetnéj postaci, wszedł do izbedki. Serce Elżbiety już zaczęło bić na odgłos jego kroków, a teraz drżała i bladła, gdy młody człowiek witał ją z uszanowaniem i skromnością.

—»Jużeśmy cię tak dawno nie widzieli! rzekła Gudula zapominając się z radości.

Elżbieta, zganiła skinieniem, te wyrazy staréj kobiety.

—Jak widzę nie wszyscy są tego zdania: odpowiedział młody człowiek z uśmiechem.

—»Trzy dni! trzy dni nie było ciebie! Lecz te trzy dni zdały nam się bydź rokiem i myślałyśmy iż nasze wieczory nigdy się nie skończą.

—»Trzy dni! tak jest pani Gudulo, rzekł młody człowiek zdejmując płaszcz. I dla mnie czas wydawał się długi. Ale są dni w których zatrzymuje nas niezbędna praca! Są dni w których zniechęcenie ściska serce, myśli nie chcą wydobyć się z mózgu, a ręka nie chce bydź posłuszną myśli. W tych dniach, pani Gudulo, doznajemy dzikiego smutku i czujemy potrzebę samotności; i wtedy nie rozerwie nas, nawet widok najdroższych nam osób wtedy wątpimy o sobie samych.

—»I wątpimy także o tych którzy nas kochają! z wyrzutem i z oczyma zapłakanemi, zapytała się Elżbieta.

—»Przebacz mi! przebacz! panno Elżbieto, lecz już trzy lata jak cię znam, jak usiłuję przywieśdź do rzeczywistości, marzenia kołyszące moją wyobraźnią, a nie mogę wskórać. Jestem zawsze nieznanym... ubogim; chciałbym, jakiém świetnem powodzeniem; usprawiedliwić miłość moją: bo widzisz, śmieją się z młodego ubogiego człowieka, który się ożeni z ubogą dziewczyną; wyrzucają mu jego małżeństwo, jako zły uczynek, który mu zamyka wszelką drogę do szczęścia. Przybywa niedostatek, za nim zniechęcenie, a wtedy nic już nie zdoła wyprowadzić nas z mierności i nędzy.

—»Tak jest, masz słuszność, panie Piotrze; tak jest, miłość młodej dziewczyny nieszczęście sprowadza; jest śmieszną, zgubną... Trzeba ją zerwać, trzeba się jéj pozbyć jakby jakiéj przeklętej rzeczy!

—»Elżbieto! jakże przykro i surowo mówisz do mnie.

—Przebacz mi, rzekła usuwając rękę którą trzymał; przebacz mi panie Piotrze. Już to ostatnia oznaka słabości; odtąd będę mocną i dowiodę ci że nie tchnę ku tobie samolubném i zimnem przywiązaniem, jak młoda pospolita dziewczyna... To coś mi powiedział, zrozumiałam od dawna i gorzkie czyniłam wyrzuty. Co? mówiłam do siebie, kochasz go i niszczysz jego przyszłość; kochasz go, a skazujesz go na dozgonne ubóstwo. Jeżeli uczyni dla ciebie ofiarę ze swojéj ręki! w ubóstwie żyć będzie przy tobie, przywiążesz go do siebie jakoby nieustanną zgryzotą. Nie, tego nie uczynię. Wracam ci słowo panie Piotrze, uwalniam cię od obietnic twoich. Bądź dla mnie tylko bratem. Cierpieć będę przez czas niejaki, lecz uczucie spełnionéj powinności doda mi siły, a przy tém, nawykłam do nieszczęścia.

Blada, lecz mocnem postanowieniem uzbrojona, usiadła.

—»I tak to mię rozumiesz, tak oceniasz czułość moją Elżbieto? Od trzech lat, czyliżem najwytrwaléj nie pracował, aby stać się godnym ciebie, abyś się mogła pochlubić z mego nazwiska?

—»Twego nazwiska! albož je znam? Czy mniemasz, że wielekroć nie powzięłam podejrzenia, widząc że się taką ta emnicą otaczasz, żem nie cierpiała, postrzegając szydereczy uśmiech sąsiadek, gdyś do nas wchodził. Lecz zawsze odtrącałam to podejrzenie i teraz je odtrącam, sądzę bowiem, że jesteś szczerym i prawym młodzieńcem. Powtarzam ci, panie Piotrze, nie chcę inaczej cię uważać tylko jak brata; chcę bydź dla ciebie tylko tkliwą i przywiązaną siostrą, siostrą która podzielać będzie twoją niespokojność i zmartwienie, która cię zawsze pocieszać będzie. Lecz zaniechajmy bezrozumnych zamiarów, zaniechajmy niepodobnych marzeń, Zbyt wiele boleści one zrządzają, zabijają nawet.«

Jéj wyrazy tchnęły taką stałością, wyrzeczone były z taką mocą i prawdą, i iż młody człowiek uległ ich wpływowi; łzami tylko, ukradkiem obtartemi, odpowiedzieć zdołał;

—»»Elżbieto! przysiągłem że będziesz moją żoną, a nic nie zdoła uwolnić mnie od słowa mojego... Jednakże, ponieważ tego żądasz, wracam ci wolność, lecz powtarzam ci, że moje przyrzeczenie mimo tego za święte uważam. Żegnam cię, nie powrócę dopóki nie zawezwiesz mię; może nawet opuszczę Antwerpią.

—»Nie rozstawajcie się w ten sposób, na Boga! zawołała Gudula. Co! kochając się od tak długiego czasu, możecież mówić do siebie gorzkiemi słowy, których żałujecie wprzódy jeszcze, nim są wyrzeczone do końca. Cożbyście robili jedno bez drugiego? Elżbieta płacze bez ustanku od trzech dni, jak ciebie nie widziała, a ty jesteś blady jak chusta panie Piotrze, po krótkiem poróżnieniu z Elżbietą. O Boże! Moje dzieci, nie zakłócajcie szczęścia



SIKORA.

które wam zsyła i które obiecuje Opatrzność. Jesteście młodzi, serca wasze pałają świętą i czystą miłością, a rozpaczacie? Ja ufam miłosierdziu Bożemu. Gdzieżbyś znalazł panie Piotrze, piękniejszą, łagodniejszą i przywiązańszą żonę? Każdy ją szanuje i kocha, każdy pozdrawia tak, jak gdyby kupiec Brant jéj ojciec żył jeszcze i był bogatym. A przytém, jest pracowita, a nadewszystko, dobra! Gdybyś wiedział jakie staranie ma o mnie, która jestem tylko biedną służącą jéj zacnéj nieboszki matki? Gdybyś wiedział jak mię pieści w najmniejszéj mojéj słabości? Nie może najmować się na dni, jak ja, gdyż przez to uwłaczałaby stanowi swojemu, a za nic w świecie nie pozwoliłabym na to, lecz przez cały dzień robi w domu, koronki I więcéj odemnie zarabia! doprawdy. A gdy powrócę, zastanę gotową wieczerzę, dobry ogień i dobre przyjęcie. Ach! ona jest aniołem, tak jak ty jesteś uczciwym młodzieńcem, gospodarnym, który kiedyś dorobi się chleba. Dobrze więc; czekamy cierpliwie na ten dzień i spodziewam się, że za pomocą Bożą wkrótce przyjdzie. A tym czasem, podajcie sobie ręce, zapomnijcie o tych nie potrzebnych brzydkich sprzeczkach, i rozmawiajmy jak dobrzy przyjaciele.

Gudula złączyła rękę Elżbiety z ręką Piotra i oboje stali przez czas niejaki, w milczeniu, ze spuszczonemi oczyma.

Nareście Piotr zapytał się słodko wzruszonym głosem.

—»»A więc mię już nie kochasz?

Elżbieta, spojrzała na niego i natychmiast spuściła oczy, a potém zwolna wyjęła rękę swoją z ręku młodzieńca, gdy tym czasem Gudula, patrzała na ich pojednanie oczyma pełnemi łez, zdradzających jéj radość.

—»A więc mię już nie kochasz?

—»Niedobry! odpowiedziała Elżbieta, niedobry! Przynajmniej nie odezwiesz się do mnie słowami które mi tyle przykrości czynią.

—»Czyliż nie byłem srodze ukarany za to? Och! gdy będziesz moją żoną odpłacę

ci za te wszystkie prześladowania Elżbieto.

—»Twoją żoną! o Boże! Nie śmiem wierzyć aby tyle szczęścia miało bydź moim udziałem, a przecież potrzebuję w to wierzyć.

—Gdybyś wiedziała z jakim zapałem pracuję aby ten szczęśliwy dzień przyśpieszyć?

—»Tak to dobrze! zawołała Gudula. Bóg pobłogosławi twoje zamiary. A teraz, gdyście się już pojednali, przydała, czuję żem odzyskała apetyt, zjem resztę udka od kapłona, które na nieszczęście, ostygło.

§. II.

NA DRUGIM KOŃCU MIASTA.

Sądząc podług teraźniejszych obyczajów, trudno byłoby pojąć te zamiary małżeństwa, powzięte na kilka lat na przód, a które jednakże dopełniały się jak najświęciej. Gdy młodzieniec kochał dziewczynę, a jego wiek, szczupły majątek, albo inna jaka przeszkoda, nie dozwalała mu natychmiast ożenić się, oświadczał rodzicom kochanki miłość swoją i przypuszczony był do ich rodziny.

Co wieczór, po nabożeństwie, gdy się zaczynały godziny spoczynku, przychodził do rodziców téj którą kochał. Przy stole nakrywano dla niego obok młodéj dziewczyny. Po wieczerzy, bawiono się w gry rozmaite, a dwaj kochankowie siedzieli jedno przy drugiém. W lecie na przechadzce prowadzili się razem.

Tak więc, ich miłość wzrosła pod rodzicielskiemi oczyma, bez ukrywania się i bez przeszkody; pełna powabu i nadziei, ciągnęła się spokojnie i codzień przybierała świętsze i trwalsze znamie. Była prócz tego ochroną przeciwko złym towarzystwom, w które, bezczynność albo niezajęcie serca, mogło było wtrącić młodzież; zachęcała ich do zapewnienia sobie losu, przez usilną pracę, aby przyspieszyć dzień ślubu.

Po tych objaśnieniach, nie będziemy dziwili się, że Piotr bywał w domu poczciwéj Guduli, i bez uchybienia przyzwoitości, mówił swobodnie o swojém przywiązaniu, z Elżbietą Brant.

Nie długo po zgonie matki, Piotr pierwszy raz spotkał Elżbietę. Smutny, zniechęcony, samotny, chciał opuścić Antwerpią i wrócić do Rzymu, gdy pewnego rana wszedł do kościoła, gdzie spoczywały zwłoki zacnéj i pobożnéj jego matki. Zbliżając się do kaplicy, ujrzał młodą dziewczynę w żałobie i słyszał jak się modliła. I onę także okrutny cios uderzył i ona już nie miała matki!

Ta zgodność smutku, mocne uczyniła wrażenie na młodym człowieku; nie mógł oderwać oczu od téj bladéj i słabéj istoty, tak wzruszającéj i tak poetycznéj. Gdy wstała, poszedł za nią, a nazajutrz umiał zręcznie wywiedzieć się o téj która zajęła jego wyobraźnią.

To co mu powiedziano o Elżbiecie i o staréj Guduli, jeszcze powiększyło ciekawość Piotra: umyślił poznać je z bliska. Łatwo wynalazł sposobność, gdyż tylko przyniosł im bieliznę do szycia.

Elżbieta przyjęła go bez przesady, z szlachetną prostotą, chętnie podjęła się roboty i wskazała dzień na który będzie gotową. Dwa razy przed tym dniem, Piotr przyszedł wskazać zmiany potrzebne w zamówionej bieliźnie: potém było mu potrzeba kołnierzyków, potém rękawków, potém innych jakich robót, tak, iż zawsze miał pozór odwiedzania Elżbiety. Im częściej ją widywał, tém była w jego oczach piękniejszą, tém godniejszą świętego i trwałego przywiązania. Ze swojej strony, młoda dziewczyna nigdy jeszcze nie słyszała tak słodkiego głosu, jak był głos Piotra; niczyje myśli bardziéj nie zgadzały się z jéj myślami; aż nareście pewnego wieczora, nigdy nie powiedziawszy sobie iż się kochają, zaczęli mówić o małżeństwie i przyszłości. Od tego czasu, Elżbieta otwarcie wyznała miłość swoją Piotrowi, a dobra Gudula cieszyła się z wypadku o którém nie wątpiła nigdy; gdyżby ani pomyślała nawet, iż kto bez zamiaru ożenienia się, mógłby kochać Elżbietę.

Z tém wszystkiem, Piotr, niedawno srodze zraniony w mocném przywiązaniu, i którego narzeczona, po roczném oddaleniu, poszła za innego: (nie była to Flamandka lecz Włoszka) z niedowierzaniem oddawał się nowej miłości. Przy Elżbiecie doznawał całego uroku, któren wzbudzała w nim niewinność i piękność; lecz zdala od niéj wątpił i cierpiał. Nie raz nawet chciał się z nią rozłączyć, chciał odjechać. »I ona, mówił do siebie, zwiedzie mię także: lecz nie miał serca uskutecznić tego zamiaru i tak przepędził trzy lata, miotany najsprzeczniejszemi myślami.

Elżbieta zaś oddała się z całém zaufaniem dziewczyny młodéj bez doświadczenia, swojéj miłości dla Piotra; a jeśli czasem jakie powątpiewanie zakłóciło jéj wyobraźnią, jedno słowo kochanka, już zdołało uspokoić ją i zapewnić. Tak była ufną, iż nigdy nie przyszło jéj na myśl, ażeby przeniknąć tajemnicę która otaczał się ten młody człowiek, nie znała je-

szcze jaki jest stan jego w świecie, jakie zatrudnienie, jakie nawet nazwisko; gdyż to nazwisko raz jéj tylko wspomniał, a że zawsze nazywała go panem Piotrem, nareście zupełnie zapomniała o niém. Ale cóż ją to obchodzi, gdy kochała go i była kochaną? Cóż ją to obchodzi, ponieważ przyjdzie czas, kiedy on powie jéj to nazwisko i nada je Elżbiecie przed Bogiem i ludźmi?

Gdy się rozstali, Elżbieta była znowu spokojną i wesołą; Piotr znowu lękał się i wahał. Smutny, zamyślony, nie kontent z samego siebie, udał się do pięknego domu. Tylko co zapukał, dwóch paziów przybiegło zdjąć z niego płaszcz, a potém intendent czarno ubrany zbliżył się z uszanowaniem i rzekł, iż pewien pan z Madrytu, od dwóch godzin czekał z poselstwem od xięcia Bragancyi.

Pan ten ukłonił się i oddał Piotrowi list i sakiewkę pełną złota, którą tenże przyjął z pogardliwym uśmiechem i rzucił ją paziom swoim.

—»Senor! rzekł, oświadcz twojemu panu, że pojadę do Villanowa, nie po to aby uczynić czego żąda odemnie, lecz aby się tam rozerwać przez dni ośm lub dziesięć. Mam tu sto tysięcy pistolów, wezmę trzy tysiące aby je wydać podczas mego pobytu w waszem mieście. (*)

Potém obrócił się do paziów swoich. Podziękujcież rzekł, posłańcowi xięcia Bragancyi, który przyniosł wam 50 pistolów, od pana swego.

Przeszedł potém do bogatéj izby sypialnéj; rozbierali go słudzy, a sekretarz czytał rozmaite listy. Jeden list był od arcy xięcia Alberta, z gorzkiém użaleniem iż zamyśla opuścić Flandryą hiszpańską, która wydała człowieka, *będącego najszacowniejszą ozdobą téj krainy* (*) drugi był z podpisem xięcia Buckingham i oznajmił przyjazd Michała Albano z kwotą 60,000 zł: »To skłoni ciebie, bardziéj ni»żeli chęć uczynienia mi przysługi, iż mi »odstąpisz twój gabinet naczyń porfiro»wych, agatów, starożytnych popiersiów, »medalów i obrazów. Za to mieć będę jak »największą wdzięczność; co zaś dotycze »się mojéj przyjaźni, téj nic już powięk»szyć nie zdoła.

»Niestety! westchnął Piotr, z roztargnieniem słuchając czytania tych listów. Niestety! majątek i chwała nie stanowią szczęścia.»

Potém kazał wyjśdz sekretarzowi, paziom i służącym i zaczął pobożnie wpatrywać się w portret matki.

»Ty! rzekł z westchnieniem, która teraz jesteś w niebie, moja matko oświeć mię. Czyliż mogę być pewnym wiecznego przywiązania Elżbiety? 382

(*dokończenie nastąpi*)

SIKORA.

Wszystkie ptaszki z tego rodzaju, są słabe na pozór ponieważ są bardzo małe, lecz przytém są żywe, czynne i odważne. Zostają w nieustannym ruchu, przelatują z drzewa na drzewo, skaczą z gałązki na gałązkę, wdzierają się na ściany, zaczepiają się i zawieszają wszelkiemi sposobami, aby mogły grzebać w wszystkich szparach i dziuplach i tam szukają robaczków owadów i jaj, które są ich zwyczajném pożywieniem, Żyją także ziarném i zabawnie jest widzieć, jak sikory kruszą dziobkiem ziarka które w nożkach trzymają. Jeźli im zawieszą orzech na nitce, czepiają się nitki i kołysząc się razem z orzechem, nie przestają go dziobać. Większa część sikor Europejskich, w każdéj porze roku znajduje się w naszym klimacie, ale najliczniej widać je na jesieni. W ówczas to mile świegocą, kręcą się koło domów i szukają pożywienia.

Nie można wyobrazić sobie, jak zajadle rzucają się na puszczyków; skoro tylko postrzegą które z tych biednych ptaków, zlatują się gromadami i wydziobują mu oczy. Noszą osiemnaście do dwudziestu jaj i ścielą sobie gniazda albo w dziuplach drzew, albo też robią je na gałązkach. Odważnie bronią swego potomstwa.

Jest kilkanaście gatunków sikor; sikora pospolita; — bławatka, najpiękniejsza ze wszystkich wystawiona na załączonéj rycinie,—sosnówka — czubatka — ogoniatka— wisiarka i t. d.

Trudno je uchować, ponieważ trzymane w klatce podlegają konwulsyom i po kilku dniach zdychają.

SŁOWNICZEK

niektórych wyrazów mniéj używanych
(*Dokończenie*).

Drygant; jest koń ciężki, duży a niekształtny, przenośnie stosuje się ten wyraz do ludzi. Grzegorz Knapski, za którego jeszcze wyraz *ogier*, znany niebył, pisze, że uczciwiéj się mówi koń, lub stadnik, którego wtedy drygant miał znaczenie.

Szlany; dawniéj zwany był sługa mający dozór szat pana, a *szatna* pani, którą dziś najlepiej zowiemy: garderobiana.

(*) Historyczne *Descamp* Tom Iszy.

wszak i *szatnia* jest właściwie to, co niedorzecznie mówimy garderoba. Dzięki modnym czasom naszym, dziś szatnia pana złożona z pary fraków, a pani z kilku wielkich płatków, niepotrzebują oddzielnego sługi do utrzymywania szat drogich spisu i dozoru.

Nasuwień, suknia zwierzchnia, którą dziś z francuzkiego *surtout*, zowiemy surdut, bo się na wszystko nasuwała, wdziewała.

Opryszek, w Pokuciu i Podgórzu Krakowskiem, i w samych Karpatach zowią tym wyrazem rozbojników z tej przyczyny, jak Kleczewski pisze, iż chcąc wymódz wyjawienie pieniędzy od tych, których rozbijano, prysk im ognisty w obuwie sypali.

Wataha; jest kupa swawolna hultajów, rozbojników, i t. d.: takiemi były zgraje hajdamackie, które pustoszyły Ukrainę i Podole. Dowódzcę ich *wataszkami* zwano.

Kwoka, bawi się rozsiewaniem plotek, kłóceniem sąsiadów, ogadywaniem wszystkich; *une commere*.

Kupiec; lubo zdaje się, iż mają powód mniemania, ci którzy ten wyraz z niemieckiego od słowa *kaufen* prowadzą, znając iż handel nasz był w początku w rękach tylko Niemców, co same wyrazy niemieckie: *handel*, *jarmark*, *frymark*, *targ*, i t. d. świadczą, niepłonny jednak i tych jest wywód, którzy w słowie *kopa*, *kupa*, to jest gromada, źródło mu naznaczają. Wszak polski jest wyraz *kupia* towar; na kopy też dawniej ojcowie nasi pieniądze rachowali.

Skocz; zwał się niegdyś tancmistrz; *ujezdnik* znaczył to, co dziś z niemieckiego *Berejter*, po włosku *calvacatore*. Jerzy Ossoliński, od skocza we Francyi uczył się skoków, od ujezdnika we Włoszech sztuki jeżdżenia na koniu.

Pochopień; wyraz dawny znaczący człowieka napastnego, co pochóp do bitki i zwady daje.

Smerda; niegdyś chłopów wieśniaków smerdami za Dnieprem zwano, od słowa ruskiego *smerdet* czyli niedobrze pachnąć. Ten wyraz przejęli Polacy, zowiąc wzgardliwie młodzika niemającego jeszcze praw żadnych, *smerda*. I w Polscze poddanych, iż zwano smerdami, jest dowód w przywileju danym klasztorowi Tynieckiemu, z wieku 13tego, który wyraża: *cum omnibus smerdonibus*, to jest ze wszystkiemi poddanymi.

Hajda, wyraz którym się nazywają ci, co bydło pędzą; może od słowa *hajdy*, lub *hajde*, które iść, przyjść i pójść znaczy u pospólstwa ruskiego; albo też od głosu *haj!* powtarzanego nieustannie od hajdów, gdy woły pędząc, naglą je, aby w iściu nie ustawały. — Od tegoż słowa hajdy wziął początek i wyraz *hajdamak*, a może raczej od *hajdema*, idźmy! którego używali kozacy, gdy na jakową wyprawę z domu wyruszali. — Lecz wyraz *hajduk*, lubo także jest w używaniu u Sławaków, a zwłaszcza węgierskich, początek ma swój w języku arabskim od słowa *hajdud*, znaczącego: hultaj i tułacz.

Otrok; jest chłopak, parobek niewolny, *otroczek*, zaś dzieciuch płci męzkiej. Dobrze był niegdyś używany w mowie polskiej; dziś w ruskiej tylko pozostał. Skarga każde dziecię męzkie zwał *otrocze*, gdy mówi: »od pierwszych lat »życia, innych zabaw otrocze, innych dzie»wcze szuka.« Lecz otrok pierwiastkowo niewolnika znaczył. Może od wyrazu *troki*,] który znaczy rzemienia i łyka, jakie w dawnym sposobie wojowania, mieć był każdy wojak powinien, dla wiązania w nie jeńców. Tatarowie powiązanych w troki brańców w plon wziętych, jak bydło przed sobą pędzili.

Włodarz, dobry nasz stary wyraz, lepszy daleko od ekonoma i dyspozytora, pochodzi od władania rolniczym gospodarstwém i służebną czeladzią. *Kataj* zaś, którego tylekroć wspominają ustawy dawne, był włościanin robiący sprzężają, obowiązany w czasie potrzeby wojennej do roty stawać.

Sudanny,, *sudanność*, nadobny, wysmukły i kształtny.

»Te trzy rzeczy koniecznie ma mieć w
w sobie panna,
»Żeby była wstydliwa, grzeczna i su-
danna.

Petrycy ethica, *str*. 297. Mówi się koń sudanny, czyli nogi suchej; sudanne baszmagi, to jest obuwia; *sudannie*, toż co gładko, np. krótkim pasem sudannie przepasać się w poły.

Złodziej; jest wyraz ogólny, mówi Knapski, znaczy bowiem właściwie każdego, który źle działa; po łacinie *maleficus*; niebaczny zwyczaj przywiązał go do jednego znaczenia, który ma dawny właściwy nasz wyraz: *kradziežnik*, lub *kradźca*. Tak go używa Farnowski w książce o fałszywej wierze, Błażowski w przekładzie Kromera, Odymalski w piśmie: świat naprawiony, i t. d. Jako *złodziej* każdego źle czyniącego, to jest złego człowieka, co oddajemy toż samo znaczącym wyrazem: *złoczyńca*, tak *dobrodziej*, jednoznaczny z wyrazem *dobroczyńca*, każdego dobrego, to jest dobrze działającego człowieka, oznaczać powinien. Niesłusz-

nie bardzo zwyczaj obydwóch tych wyrazów ścieśnił znaczenie. Lecz jako każdy kradzca, jest istotnie złodziejem, tak w liczbie tych, których rozrzutnie, nieprzyzwoicie, przeciw prawdzie i uczuciu do łrodziejami mianujemy, nader mała liczba jest tych, którymby ogólne znaczenie dobrze działających, szczególne podług zwyczaju mowy, znaczenie przystało.

Mowa o wyrazie *złodziéj*, daje powód i miejsce niektórym ku rzeczy téj uwagom. *Naprzód.* Co była za przyczyna, iż przodkowie nasi kradzież szczególniej złodziejstwem zwali? Bo za największy ten występek poczytywali, ile iż im większe nad ten ledwie znane były: ile iż zamknięcia tak domów, jako i skrzyń, mało jeszcze używali. *Powtóre.* Dla czego zwyczaj, wyraz dobrodzieja w pospolite używanie wprowadził, czci godne znaczenie jego spodlił, owszem czczym go wyrazem uczynił? Dla czego mowę naszą nudną potrzebą powtarzania jego skaził, odjął jéj tę szlachetność, to zgodnéj społeczności, znamie, które jéj było właściwém, kiedy się wasza miłość, potém wasz mość, nakoniec waść mówiło? kiedy, jak dotąd jeszcze lud prosty czyni, uszanowanie, nie czczym i obłudnym wyrazem pana i dobrodzieja, ale liczbą mnogą, co w powszechnym jest i u innych narodów zwyczaju, okazuje n. p.: *gdzieście byli ojcze? jak się macie kumo?* i t. d. *Potrzecie.* Wyraz złodziéj naprowadza jak łatwo wiele wyrazów nowych, a potrzebnych, utworzyć moglibyśmy na wzór już mianego wyrazu *kołodziéj*, w którym *dziej* odpowiadający wyrazowi w niemieckim języku *macher*, dodany do rzeczy działanéj, każdego rzemieślnika oznaczać może, n. p. *stelmach*, z niemieckiego *stellmacher*, jest wozodziéj wszak Serbowie mówią woźnik; *bixmacher* z niemieckiego *Bächsmacher*, czyż nielepiéj strzelbodziéj, którego dawniéj od rusznic rusznikarz zwano? Zamkodziéj raczéj, niżeli z niemieckiego slosarz od *Schlosser.* Czesi mówią zamecznik; *suknodziéj* właściwiéj niżeli sukiennik, bo tak i kupczący suknem zwykł się nazywać, i t. d.

PROSPEKT.

Na dzieło dla dzieci p: t: POŻYTECZNE I PRZYJEMNE CZYTANIA czyli RODZICIELSKI PODARUNEK — Dzieło do praktycznych ćwiczeń w trzech językach. Francuzkim, Niemieckim i Polskim służące, a obok tego, do nauki i rozrywki, ozdobione dwunastą rycinami. —

W xiążkach i pismach czasowych, wydawanych dla dzieci, staramy się za pomocą rozrywki i zabawy, zachęcać do czytania i udzielać pożytecznych wiadomości. Zadosyć czyniąc temu celowi, nie łączono z nim jeszcze wprawy w języki, któréj od samego zaczęcia edukacyi, z oka spuszczać nie należy, jeżeli nie chcemy stracić czasu i kosztów, wyłożonych na naukę języków. —

Dogadzając téj niezbędnéj potrzebie, wychodzić zacznie z początkiem roku przyszłego, w xięgarni F: S: Dmochowskiego, pod kierunkiem redakcyi Muzeum Domowego, dzieło do pojęcia dziecinnego zastósowane, w trzech językach, francuzkim, niemieckim i polskim, ułożone na wzór tego, które od roku blisko, wydają w Paryżu, panowie Nodier i Michaud, sławni literaci francuzcy. Moralne powieści, opisy, małe drammatyczne sztuki, jako najskuteczniéj wprawić mogące w łatwe i potoczne rozmawianie, składać będą treść pisma tego. Za pomocą tłomaczenia polskiego, zrozumieją dzieci znaczenie textu francuzkiego i niemieckiego i wprawiać się będą w tłomaczeniu z tych języków na polski, a z polskiego nawzajem na niemiecki i francuzki.

Każden zeszyt ozdobiony będzie jedną ryciną, ze stósownym do niéj w trzech językach artykułem.

Bez wątpienia, użyteczne są i potrzebne, rozmowy, powieści, listy i t. p. dziełka wydawane dla dzieci, z textem w dwóch lub w trzech językach; lecz dziecię raz je przeczytawszy, już nie ma bodźca, któryby ciekawość i ochotę jego podżegał. W piśmie zaś wydawanem zeszytami co miesiąc, powab nowości będzie ciągłą zachętą do czytania i wprawy w języki, a obok tego, przedmioty tak będą dobierane, aby łączyły naukę, moralność i rozrywkę. —

Xiążka ta, któréj cel i układ wyłożyliśmy publiczności, mieć będzie tytuł POŻYTECZNE I PRZYJEMNE CZYTANIA czyli RODZICIELSKI PODARUNEK., i niewątpliwą mamy nadzieję, że ze wszech względów, na ten tytuł zasłuży. Składać się będzie z 12stu zeszytów. Co 1go każdego miesiąca zaczynając od 1go Stycznia roku przyszłego wyjdzie jeden zeszyt z 32 stronnic in 8vo złożony. Roczna prenumerata kosztuje złotych 12ście w Warszawie, we wszystkich xięgarniach i kantorach; zlp: 15ście na wszystkich Urzędach i stacyach pocztowych, oraz prowincyonalnych xięgarniach i składach. Główny kantor jest w xięgarni F. S: Dmochowskiego przy ulicy Miodowéj Nro 497.

Aby ułatwić nabycie tego dzieła, prenumerata rozłożoną bydź może na miesięczne wypłaty, następującym sposobem. Prenumerujący, zaliczą z góry zł: 3. jako porękę, że dzieła nie zdefektują. — Przy odbiorze każdego zeszytu, zapłacą zł: jeden, zeszyty 10, 11, 12ty odbiorą już bez opłaty, Do przyjmowania tak rozdrobionéj prenumeraty, jedna tylko xięgarnia F: S: Dmochowskiego, czyli Kantor Główny, jest upoważnioną.



* * * * *

ZARYSY Z BADAŃ PRZYRODZENIA.

I.

Cudowność wszystkim się podoba, chociaż niektórzy zaprzeczają lub ukrywają te prawdę, przez jakieś dziwaczne uczucie miłości własnej.

I ja także lubię cudowność, lecz, zbyt leniwy abym miał za nią gonić, chciałbym ją znaleść tuż pod ręką, gdy się przechadzam zadumany nad brzegiem strumienia, lub pod milczącym cieniem lasów. Chcę ją dostrzedz przez wodę szemrzących strumieni, napotkać pod tą kępką ziół, pod brunatną korą téj starej wierzby, pod owisłym liściem téj płaczącéj brzozy; chcę się tylko schylić i pochwycić ją za każdym krokiem, przechadzając się po lasach i łąkach. Tam, tysiące rozmaitych ludów otwiera przedemną archiwa swoje: a dla tego który je umie czytać, nie zbywa w nich ani na fantastyczności ani na cudowności. Pójdźcie ze mną wyczytać kilka kartek, gdyż pragnę was przekonać. Zacznijmy na los, od pierwszéj co się nadarzy.

Widzicie ten ładny wiejski domek, tak malowniczo umieszczony przy wejściu do lasku; lat temu kilka, mieszkał w nim jeden z moich przyjaciół, wielki miłośnik zabaw, biesiad i towarzystwa; ztąd poszło że domek ten dzisiaj jest pustym. Wychowywał na dziedzińcu całe gniazdo kacząt, które bardzo jeszcze maleńkie, po drugi raz zostały sierotami: gdyż kura, co je wysiedziała, utonęła w sadzawce, chcąc je ratować skoro postrzegła pływające po wodzie. Od téj smutnéj chwili, dziesięcioletni synek ogrodnika codziennie wodził kaczęta do téj sadzawki, odległéj o dwieście kroków od domu. Pozwalał im pływać przez godzinę, potém przyprowadzał na podwórko.

Chłopczyk ten wychował srokę, która wszędzie za nim chodziła, osobliwie do

sadzawki za kaczętami. Tam, usiadłszy na gałązce wierzby, ani na chwilę nie traciła ich z oczu. Zaledwie wybiła godzina powrotu, już naśladując swego pana, chodziła tam i sam w około sadzawki, aby z niéj wygonić kaczęta, potém szła podskakując za niemi, doglądała je, przymuszała uderzeniem dzioba nie zbaczać ze ścieszki, i przyśpieszała chód ich leniwy, aby prędzéj powrócić do domu.

Gdy chłopczyk spotkał czasem szkolnego towarzysza, zatrzymywał się na swawolę. Wówczas to sroka, zostawszy sama powodzicielką kacząt, podwajała baczność, dziobanie i wrzaski, aby je bez szwanku doprowadzić na podwórko.

Wydarzyło się raz iż, chłopczyna zachorował, i nie mógł kacząt zaprowadzić do sadzawki o naznaczonéj godzinie. Sroka, niezmiernie niespokojna, chodziła bez ustanku z kuchni na podwórze, z podwórza do kuchni, kręcąc się i krzycząc głośniéj jak zwykle; lecz na próżno, nikt nie poprowadził kacząt. Wzięła więc rozpaczne przedsięwzięcie, sama powieść je do wody, i tak to zręcznie i starannie wykonała, że zadowolona służąca, nadal powierzyła jéj to staranie.

Sroka codziennie wykonywała swoją powinność, z równą przezornością i poświęceniem, nawet pysznila się z tego zlecenia. Jeśli kot lub pies domowy, za blisko przysunął się do jéj gromadki, skakała mu do oczów, z odwagą, któréj nie okazałaby pewnie w innym przypadku.

Lecz jéj wychowańce porosły i utyły, i co tydzień kucharka zmniejszała ich liczbę. Sroka nie mniéj dla tego prowadziła pozostałe do sadzawki, i gorliwość jéj wytrwała aż do końca, chociaż smutek jéj był widoczny i głęboki. Włożono nakoniec ostatnie kaczątko na rożen; sroka widząc jak je brano z podwórza, wydała krzyk żałośny i uciekła do pobliskiego gaju. Odtąd już nie wróciła.

Większe zwierzęta umieją doskonale porozumieć się między sobą do łowieckich postępów; nieraz, będąc jeszcze młodym, ciekawe w tym względzie czyniłem postrzeżenia. Mieszkałem wówczas nie daleko rozległéj kniei. Co noc słyszałem w przyległym lasku skamlący głos lisów, polujących na zające, jak najlepiéj wyćwiczone psy gończe, dopóki pierwsze promienie jutrzenki do nór ich nie zagnały.

W piękną noc letnią, otworzyłem okno, aby odetchnąć świeżem powietrzem, Niebo iskrzyło się gwiazdami, księżyc barwił przedmioty bladym swoim promieniem, i najmniejszą rzecz łatwo można było rozpoznać o pięćdziesiąt kroków. Była blisko trzecia z rana; ubrałem się, aby podéjść lisa, polującego na wzgórku na przeciw mego okna. Wziąłem strzelbę i wyszedłem.

Posłyszałem wyraźnie po za krzakami zbliżające się łowy, wniosłem ztąd, iż zając przebiegnie nie zadługo tak blisko, iż go będę mógł dosięgnąć okiem i strzelbą. Wszedłem więc do lasu, czyniąc jak najmniéj łoskotu, i usiadłem na mchu, pod drzewem, tam gdzie się dwie schodziły drogi. Już zaczynało świtać, gdym postrzegł zająca, dążącego ku mnie ile tylko mógł wyskoczyć, Aby z większą pewnością trafić, chciałem go przypuścić do siebie, gdyż nic nie mogło go przestraszyć, ani zwrócić z drogi.

Omyliłem się, był już blisko o pięćdziesiąt kroków odemnie, gdy lis wypadł z po za krzaka, gdzie podobnież jak ja siedział na czatach, i skoczył na biedne zwierze. Lecz chybił; zając dał młynka, zapuścił się w las i zniknął. Myśliwy, jak gdyby zdziwiony swoją niezręcznością, nie myślał go ścigać, lecz pobiegł w krzak z którego był wyskoczył. Już chciałem wstać i odejść, gdym go znowu postrzegł wyskakującego i padającego na toż samo miejsce, gdzie chybił swą zdobycz. Znowu wbiegł do lasu, wyskoczył trzeci raz, potém czwarty, i tak daléj odbywał to szczególniejsze ćwiczenie przez czas dosyć długi. Chciałże poznać przyczynę swego zawodu, czy téż wprawiał się aby lepiéj na drugi raz utrafić, tego nie wiem?

Tymczasem przybył, oszczekując się zdala, towarzysz idący za tropem zwierzyny. Nic śmieszniejszego nie podobna widzieć, jak pomięszanie i gniew nowo-przybyłego, gdy się dowiedział że drugi nic nie schwytał, tylko powietrze, i że nie było żadnego łupu do podzielenia. Przez pół minuty patrzał na niego wahając się; potem, puściwszy wodze słusznemu gniewowi, rzucił się wściekle na niezgrabnego, i rozpoczęła się walka, którą zakończyłem wystrzeleniem z fuzyi: każdy co prędzéj w inną odbiegł stronę.

Lisy nie są jedyne mięsożerne zwierzęta, stowarzyszające się dla łatwiejszego dostania łupu. Dzikie psy i szakale afrykańskie, polują w gromadach mniéj lub więcéj licznych, a gdy złapią antylopę lub gazellę, zajadają wspólnie bez żadnéj sprzeczki. Każdemu wiadomo, że wilki podobnież prawie postępują. Gdy jeden z nich ma chrapkę na psa folwarcznego, który jest zbyt duży i silny, idzie po którego ze swych towarzyszy, i zasadza go na czaty w krzakach, o dwieście lub trzysta kroków od folwarku. Krąży potem w około budynków, dopóki nie obudzi czujności wiernego kundla. Ten rzuca się na-

tychmiast, szczekając, skoro tylko zwietrzy nieprzyjaciela trzody. Wilk udaje lękliwego i ucieka, lecz tak, aby go pies mógł z bliska ścigać. Prowadzi go wprost do zasadzki, i wówczas się odwraca. Obydwa razem wpadają na niego, a biedny stróż, po najokropniejszéj walce, pada ofiarą swéj odwagi, jeśli pan, uwiadomiony jego wyciem, prędko na pomoc mu nie pośpieszy.

Teraz zobaczymy które zwierze da nam najtkliwszy przykład miłości, tego głównego węzła towarzystw ludzkich. Będzież-to gołąb, który lubo nie odstępuje samicy, bywa jednak czasami niewiernym? Będzież-to czuła turkawka z różanemi nóżkami, któréj małżeństwo trwa rok tylko jeden? lub też skrzydło-szpon, (*Palamedea curnuta, Cuvier*), któren nosi ruchomy róg na głowie, rozpościéra po bagnach Ameryki południowéj, głos podobny do grzmotu, który nigdy nie opuszcza swéj samicy, i wierny jéj przez całe życie, umiera ze smutku jeśli ją straci? Nie; tego przykładu czułości i cnoty małżeńskiej, nie da nam żaden ptak świetnemi okryty pióry, żadne zwierze ze szklniącą siercią, ani ryba odziana łuską symetryczną, ani żadna z istot posiadających wdzięki, lekkość kształtów i zewnętrzne powaby, lecz... ropucha!

Tak jest! ten płaz od wszystkich wzgardzony, szkaradny, obmierzły, co brzuch swój trupio żółty wlecze po kałużach, co nie umie ani skakać jak żaba, ani biedz jak jaszczurka, ani pływać jak salamandra, ta ropucha co przeraża i obmierzłość sprawia, któréj wtedy chyba zostawiamy życie, gdy go odebrać nie możemy, tę wam przedstawiam jako wzór małżonków.

Ropucha (*Bufo obstetricans Cuvier*) nie opuszcza nigdy swéj samicy, chodzi za nią wszędzie, czuwa nad nią z najczulszą troskliwością, naraża się na wszelkie niebezpieczeństwa aby ją od nich uchronić, i pomimo zupełnéj bezsilności, groźną przybiéra postawę naprzeciw wielkich zwierząt; byle od samicy odwrócić ich uwagę. Ustępuje jéj ułowione robaczki; z trudem wykopuje dla niéj nórę lub urządza pomieszkanie pod opiekuńczym kamieniem; zawsze umieszcza się przed nią, aby ją zasłonić własnem ciałem, gdy się zjawi jaki nieprzyjaciel. Przez zbytek miłości nie dozwala nawet samicy zajmować się staraniami macierzyństwa, gdyż przyczepia sobie jaja do udów, za pomocą jakiejś nici szlamowatéj, i nosi je jak najostrożniéj, dopóki nie są usposobione do wyklucia. Wówczas szuka jakiéj stojącej wody; tam je składa, aby małe nalazły się w żywiole, który im potrzebny jest w pierwszych chwilach życia; potém powraca do samicy, aby ją na nowo otoczyć najtkliwszemi staraniami.

Pewnego dnia, zbiérałem rośliny do zielnika. Powietrze było gorące, a słońce prostopadle rzucało promienie na moją głowę. Chcąc wypocząć, usiadłem w cieniu na odłamku skały. Nie zadługo ujrzałem żmiję (*Caluber berus Lin:*) wychodzącą z pod obalonego pnia, i rozciągającą się na słońcu o sześć kroków odemnie. Nadzwyczajnie była rozdęta, co mi dało powód do mniemania, że musiała połknąć znaczne jakieś zwierze. Nagle roztworzyła pysk, jakgdyby chcąc poziewać, i z wielkiém mojém podziwieniem ujrzałem wychodzące z niego najprzód jedno żmijątko, potém drugie, trzecie, i narachowałem ich aż do szesnastu. Wtedy żmija zamknęła pysk i zajęła się czuwaniem nad dziećmi, igrającemi po trawie; jeśli jedno z nich zbyt oddalało się od gromady, zwracała je łagodnie pyskiem, i wyraźnie widziałem jak je lizała jedno po drugiem, swym miękkim i widlastym językiem.

Ruszyłem się, i żmija mnie postrzegła. Podniosła ku mnie głowę z żywym giestem obawy i gniewu, potém pochyliła ją ku ziemi, długie wydała gwizdnięcie, roztworzyła pysk, a małe żmijątka, które zaledwie tak były duże jak glisty, powpadały jéj do gardła niezmiernie przestraszone, i znikły jedno po drugiem. Żmija zamknęła pysk i pospieszyła do kryjówki, unosząc w żołądku drobną swoją rodzinę. Podziwienie nie dozwoliło mi nawet pomyśléć o jéj zabiciu.

Większa część ptaków broni swego gniazda dosyć odważnie, lecz rzadko przeciw napadem człowieka. Jest jednakże jeden pomiędzy niemi, który nigdy nie waha się rzucić na nieprzyjaciela, gdy zagraża jego dzieciom. Któreńże z powietrznych mieszkańców myślicie że jest tak śmiałym, aby stawił czoło owéj potężnéj i niebezpiecznéj istocie? Czy orzeł z ostremi szpony, kondor co się po nad obłoki unosi, lammergeyer co młode porywa jelonki? Nie; jest to ptako-much, czubato-białoszyi, który w wielkości wyrównywa zaledwie chrząbąszczowi. Powabna ta miniaturka (*Trochilus magnificus*), ma dziobek prosty, a pierze najżywszego metalicznego odblasku; główkę zdobi mu piękny czubek szkarłatny, a policzki ma ozdobione dwoma kolorетkami białemi, najpiękniejsze czyniącemi wrażenie. Lot jego jest raptowny, przerywany, nadzwyczaj szybki, i ciągle widzieć go można brzęczącego po nad kwiatami. Ptako-muchy. Żyją parami, a samiec nie cierpi aby inna samica osiadła w pobliżu krzaka, na którym jego połowica założyła mieszkanie i uwiła



MAGNAT WĘGIERSKI.

gniazdeczko. W takim razie, biją się pomiędzy sobą, z zajadłością, której żaden inny ptak nie przedstawia przykładu, i z życiem chyba zwyciężony ustępuje zwycięzcy, jasmin lub pomarańczę, na której obrał sobie siedlisko.

Samiczka robi gniazdo bardzo sztucznie, między dwoma gałązkami, a niekiedy około korzonka liścia lub kwiatu. Wierzch jest z bawełny, a wnętrze z cienkiego i jedwabistego puchu, który zbiera na ziarnkach niektórych roślin. Z wielką pilnością wysiada jaja, nieco większe od ziarnek grochu, a przez cały czas siedzenia, samiec, zaczajony w pobliżu, na wpół ukryty w długim czerwonym kielichu wirgińskiego jasminu, czuwa nad bezpieczeństwem przyszłej rodziny. Nie lęka się ani ptaków drapieżnych, ani żarłocznych zwierząt, od których go ochrania jego małość; lecz ma groźnych nieprzyjaciół, w dwóch istotach zarówno złośliwych, w człowieku i pewnym pająku, i nie waha się rzucić na nich, ile kroć rodzina jego jest zagrożoną,

Pająk zwany *Micala avicularia,* długi

jest blisko na półtora cala, to jest dwa lub trzy razy większy od ptako-mucha, czarniawy, niezmiernie kosmaty, z pyskiem i nogami czerwonawemi. Rano i wieczór, wychodzi z jaskini w której mieszka, i błąka się po polu szukając łupu. Jeśli ptakomuch postrzeże go wdzierającego się na krzewinę, na której znajduje się przedmiot najtkliwszych jego uczuć, zdjęty obawą i wściekłością rzuca się na potworę, napada nań mężnie, wzlatuje kręcąc się w około pająka, dokucza mu z tyłu, z przodu, z boku, a to tak żywo, iż nie raz zdoła zagłuszyć go i przymusić do odwrotu. Lecz, niestety! częściej, owiniony długiemi kosmatemi łapy, pochwycony w ostre i zjadliwe kleszcze, umiera ofiarą swego poświęcenia. Potwór zawłóczy go do swéj kryjówki, pożera i wraca dokończyć klęski małej rodziny, porywając matkę i jéj pisklęta.

Inne ptaki, natchnione miłością ojcowską, umieją łączyć podstęp z odwagą, aby odwrócić niebezpieczeństwo od swéj rodziny. Wybierzemy naprzykład tadornę, (*Anas tadorna* Lin) Jest-to wielka kaczka, ktora zwykle gnieździ się po nad morzem baltyckiem. Jest biała, z zieloną głową, w około piersi ma pas cynamonowy, a skrzydła upstrzone czarno, biało, rudo i zielono, dziób mięsisty, grzebień czerwony, nogi cieliste.

Piękny ten ptak szuka na piaskach jamy którą opuściły króliki; rozszerza ją, oczyszcza, wyściela spód suchą trawą, i zakłada w niéj mieszkanie. Samica ściele tam gniazdo z puchu, który sobie wyskubuje z pod brzucha, znosi jaja, i siedzi na nich, a samiec tymczasem stoi na straży przy wejściu jamy. Gdy się młode wylęgną, codziennie rodzice prowadzą je do morza; lecz ta przechadzka nie odbywa się bez największych ostróżności, aby uniknąć cienia nawet niebezpieczeństwa. Najprzód samiec wychodzi z jamy, i rzuca w około przenikliwe i śledcze spojrzenie; jeśli nie postrzega nic zatrważającego, powraca i daje znak wyruszenia, wówczas cała rodzina spiesznie puszcza się w drogę pod przewodem matki. Ojciec postępuje naprzód, i co kilka kroków wstępuje na skałę lub kupę piasku, aby odkryć co się dzieje z daleka. Jeśli postrzeże w odległości myśliwca i psa, wydaje krzyk trwogi, a pisklęta rozpraszają się i chowają po krzakach, pod gęste kępy trawy, lub skupiają się jedne koło drugiego, i pozostają nieporuszone; matka tymczasem oddala się, lecz nie tracąc ich z oczu.

Teraz tylko o to chodzi aby nadać strzelcowi inny kierunek. Samiec wzbija się zatém w górę, i pada obok psa, tak jednak aby go nie mogła dosięgnąć fuzya strzelca. Tam trzepoce się po ziemi, jękliwe wydając krzyki, jak gdyby zraniony i bliski skonania. Pies rzuca się na niego, lecz ptak, który śledzi jego poruszenia, bieży wlokąc skrzydła, upada, znowu się podnosi, podlatuje, zawsze bliski schwytania, lecz nigdy nie schwytany, gdyż wszystkie te postępy są wyrachowane i z nadzwyczajną wykonane zręcznością. Pies pełen zapału, mniema co chwila że go pochwyci i co chwila widzi go uciekającego jak gdyby z ostatniém wysileniem, i również zwiedziony, nie przestaje biedz za psem, podniecając go giestem i głosem. Podczas téj sceny samica stoi na czatach. Skoro postrzeże oddalające się niebezpieczeństwo, powraca do dzieci, zwołuje je, gromadzi, prowadzi co prędzéj do morza i oddala się z niemi od brzegu.

Samiec czas wyrachował, wié że dzieci już są ochronione przed niebezpieczeństwem; w ówczas przestając nagle udawać chorego, wydaje okrzyk radosny, wzbija się w powietrze, dosięga morza lekkiem i potężném skrzydłem, łączy się z rodziną, i zostawia myśliwca i psa, zdumionych, o ćwierć mili od miejsca, w którém go złapać chcieli.

Ta miłość, jakeśmy powiedzieli, tak jest silna w sercach niektórych zwierząt, iż może im natchnąć czyny zadziwiające; zupełnie przeciwne ich zwyczajom. Przytoczę przykład, który wydarzył się przed memi oczyma, w lasku, do którego poszedłem na polowanie. Sarna w towarzystwie swego dziecięcia pasła się przy krzakach cierni i głogów, gdy postrzegła zgłodniałego wilka. Nieszczęśliwa matka, zapominając własnego niebezpieczeństwa, rzuca się pomiędzy dziecię i groźnego nieprzyjaciela, ależ niestety! jest bezbronna, śmierć jéj nie ocali dziecięcia! Sarneczka nie może uchronić się ucieczką, musi więc ginąć; lecz ona może uciekać i zostawić ją nieszczęsnemu przeznaczeniu. Co czynić? macierzyńskie serce myśl jéj podaje. Chociaż nie zwykła pochwycić i nieść przedmiot nieco większéj objętości, czyni ogromne wysilenie, chwyta sarneczkę za skórę na grzbiecie, i unosi ją, uciekając jak strzała, ścigana przez rozżarte zwierze. Siedzieliśmy pod jedném z drzew rozsianych po tém lasku, gdy biedna matka, wyniszczona utrudzeniem, mając wilka za swemi tropy, przebiegła o trzydzieści kroków, Wilk postrzegł nas, i zatrzymał się wahając; lecz dwa wystrzały zmusiły go do odwrotu, a sarna wraz z dziecięciem uszła bez szkody.

MAGNAT WĘGIERSKI.

Szlachta Węgierska od Słowaków ziemianami zwana, po wsiach osiadła, mieszka w ozdobnych domach; domy te noszą nazwisko kasztelów (z łacińskiego wyrazu zamek) i są prawie zawsze jednym kształtem budowane: fronton nic nie ma szczególnego w sobie; ze czterech tylko boków domu, wznoszą się małe wieżyczki, gotycyzm przypominające. Przy każdym takim kasztelu, znajduje się ogród obszerny i ozdobny; Węgrzy bowiem, a szczególniéj kobiety kochają się w kwiatach; stoły zawsze niemi są ozdobione. Gust angielszczyzny, zakładania dzikich ogrodów, jest tu także w modzie, lubo nie zbywa na owocowych drzewach, z których śliwki szczególniéj pielęgnowane: winnice są zwykle oddzielne od ogrodów.

Znajomość kilku języków jest pomiędzy szlachtą Węgierską upowszechniona; najwięcéj mówią po łacinie. Szlachcic Węgierski gościnnym jest aż do zbytku, uprzejmy, z szczerém sercem przyjmuje w swoim domu obcego. Kogo z cudzoziemców raz uzna za godnego swéj przyjaźni i szacunku, tych nie zmieni nigdy; w przeciwnym razie, pogardy swojéj nie umie polityczną grzecznością pokrywać.

Ubiór ich podobny jest do stroju znanych huzarów. Na zgromadzenia obywatelskie (congregatio), na zabawy publiczne, w dnie uroczyste, na powitanie Cesarza, Palatyna, lub znakomitych osób, szlachta Węgierska występuje zawsze w dawnym stroju. Ubiór ten bywa dwojaki: pierwszy składa się z czapki wysokiéj, sobolowéj lub innego futra, z pośrodku któréj spada worek axamitny naprzód, z piórem i bogatą kitą; z dwóch dołmanów, na kształt naszych kurtek, bogato wyszywanych srebrem lub złotem; z tych jeden na rękawy wdziany, drugi z lewego ramienia spada; chustka na szyi grubo zawiązana, końce jéj frandzlami ozdobne. Spodnie obcisłe w bóty zachodzące, równie bogato, jak dolmany wyszywane sznurkami w rozmaite wzory: do tego bóty kolorowe, w kroju dawnym, od wierzchu szeroką frandzlą obwiedzione, z dwiema ostrogami. Szabla bogato osadzona. Kobiecy strój prawdziwie madziarski. Drugi rodzaj ubioru w w tym się tylko różni, że zamiast dolmanów, używają czamar, równie bogato wyszywanych, reszta składa się z tych samych części co i poprzedni; ten strój, Węgrzy sami uważają za najdawniejszy.

G U D U L A.

(Dokończenie)

§. III.

SZCZĘŚCIE.

Jeśli noc następną przepędził Piotr we wzruszeniu i bezsenności, Elżbietę przeciwnie, kołysały najprzyjemniejsze marzenia, a młoda dziewczyna spała jeszcze snem głębokim, gdy się obudziła Gudula; —»O Boże! zawoła stara, już siódma; Cóż powie pani Dennesens, widząc żem się spóźniła, ja co jestem zawsze tak pilna. Ach! jakże mogłam tak zaspać. Ubrała się czemprędzéj, pocałowała w czoło Elżbietę spiącą jeszcze, i czemprędzéj poszła do pani Dennesens.

Na twarzy kupcowéj widać było chęć łajania.

—»A! już wam się podstarzały nogi! rzekła nielitościwa, wiedząc, że nie można srożéj dotknąć staréj kobiety, jak wyrzucaniem dolegliwości jéj wieku.

Spoźniłam się o kwadrans, rzekła Gudula cokolwiek obrażona: lecz...

—»O kwadrans?... o całe pół godziny.

—A więc, pani Dennesens potrącisz mi za to spoźnienie i koniec.

—»Nie koniec, gdyż się opóźni robota.

—»Zostanę dłużéj wieczorem.

»Tak! palić świecę bez potrzeby.

—» I cóż mam zrobić? pani Dennesens, czy mam odejśdz? zapytała się Gudula, tonem obrażonéj godności.

Na tę pogróżkę, pani Dennesens widząc iż się za daleko posunęła, ujrzała natychmiast w wyobraźni swojéj, nie tylko zawieszoną robotę, lecz jeszcze przybycie szwaczki nie tak pracowitéj i na tak zręcznéj jak Gudula?

—»No, no, rzekła, tonem łagodniejszym, porzućmy te sprzeczki które do niczego nie doprowadzą, pani Gudulo. Czyliż ci smakowało udko od kapłona.

—Doskonałe! wyborne! odpowiedziała Gudula jeszcze nieco rozgniewana i usiadła do roboty w izbie za sklepem.

Pod czas téj rozmowy, wszedł pan Dennesens notaryusz, i przywitał Gudulę zdziwioną tym zaszczytem.

»No, rzekł skinąwszy na żonę aby wyszła i usiadłszy obok szwaczki; cóżbyś dała temu któryby ci przyniosł dobrą wiadomość?

—»Czy masz pan jaką dla mnie? zapytała się Gudula uśmiechając się z tego żartu.

—»Tak jest.

—»Bardzo byłabym wdzięczną: rzekła, zaczynając uważniéj słuchać.

— » Otoż donoszę ci żeś odziedziczyła 100,000 złotych.

—«Sto tysięcy złotych! Ach! żartujesz pan ze mnie. Nie czyń tego, to mi zrządza wielką przykrość.

—»Pani Gudulo uspokoj nieco twoje wzruszenie i posłuchaj mię. Czyliż nie miałaś w prowincyi Liege, nie daleko Verviers, w wiosce Seraulle krewnego zowiącego się Eustachi Goffyn?

—»Tak jest panie, lecz jest daleko młodszy odemnie i ma dwoje dzieci.

—»O tóż on i jego dzieci umarli bez testamentu i jesteś jedyną dziedziczką ich majątku.

Gdy notaryusz udzielał tych objaśnień, pani Gudula złożyła drżące od wzruszenia dłonie, pot spływał z jéj twarzy, usta jeden tylko wyraz mogły wyjąkać — Elżbieto! Elżbieto!

—»Pójdźmy mówił daléj notaryusz biorąc pod rękę starą kobietę, z wielkiem podziwieniem pani Dennesens która weszła w téj chwili; pójdź, przejdź się trochę po ogrodzie; świeże powietrze uspokoi wzruszenie twoje.

W rzeczy saméj, po kilku chwilach przechadzki, Gudula zebrała myśli.

—»Panie Dennesens; rzekła, ten majątek nie może przydać się dla mnie, starej i nawykłéj do ubóstwa, musi więc służyć do szczęścia mojéj młodéj pani, do szczęścia Elżbiety, a na to trzeba w nią wmówić że dziedzictwo należy do niéj, nie zaś do mnie, gdyżby go nie przyjęła.

Notaryusz spojrzał na nią z uwielbieniem i uszanowaniem.

—»Potrzeba to zrobić: mówiła daléj Gudula, z powagą, którą nadaje majątek: a za to będę wiecznie panu zobowiązaną.

—»Dobrze, rzekł notaryusz, urządzimy to wszystko.

—»W Cambresis Elżbieta ma licznych krewnych, i nie zna ich wcale; przypuść że jeden z nich umarł i tak był bogaty jak mój kuzyn Goffyn. Każ podpisać Elżbiecie akt niby to przyjmujący to udane dziedzictwo, a zamiast tego niech podpisze przyjęcie darowizny mego majątku.

—»Dalibóg, pani Gudulo, tak dobrze znasz się na interessach jak sam notaryusz.

—»Bo idzie o szczęście mego dziecięcia, mojéj Elżbiety, którą wychowałam i którą wydam za mąż, mój dobry panie Dennesens: gdyż kocha pięknego młodzieńca, lecz będąc ubodzy oboje, nie mogli się ożenić. Ach! jakże się zadziwią! Lecz muszę oznajmić Elżbiecie o tém dziedzictwie. Powiedz mi panie notaryuszu, jejmość nie będzie się gniewać że pójdę nie dokończywszy cerowania bielizny? lecz ręka tak mi drży a głowa tak mi pała, iż nie mogłabym ani jednego oka schwytać; jutro przyjdę wcześniej.

Nie pani Gudulo, nie troszcz się, weźmiemy inną szwaczkę.

—»A to dla czego? zapytała się obrażona Gudula.

—»Bo przez niejaki czas będziesz miała co innego do roboty nie zaś cerowanie moich starych pończoch. Pójdź, połóż znak krzyża świętego na dwóch lub trzech aktach, a potém będziesz wolna.

§. IV.

ROMANSOWY.

W godzinę po wyjściu Guduli, Elżbieta obudziła się, zdziwiona że już dzień i że spała dłużéj jak zazwyczaj, lecz była tak spokojna, tak słodkie miała marzenia iż nie śmiała żałować opóźnienia które przez to zrządziło się w jéj robocie. Nie dosyć na tém, zamiast wstać natychmiast i zająć się gospodarstwem, zajęła się miłemi wspomnieniami i jeszcze była w łóżku, zamyślona i bezczynna, gdy lekko zapukano do drzwi.

—»Kto tam? zapytała się.

—»To ja. Piotr.

—»Ach mój Boże! rzekła, jakież mniemanie poweźmie o mnie, gdy się dowie że jeszcze o téj godzinie nie wstałam? Mniejsza o to, obraziłby się, gdybym go nie przyjęła.

Ubrała się więc na prędce, zasunęła błękitne firanki alkowy i otworzyła wreście. Piotr wszedłszy uśmiechnął się złośliwie, widząc oczy pięknéj spioszki jeszcze nie przetarte ze snu.

—»Cóż cię sprowadza tak rano? zapytała się zapłoniona.

—»Byłem smutny i miałem na sercu ciężkie i bolesne myśli, przyszedłem do ciebie ażeby się uleczyć. Nie spodziewałem się że jeszcze spać będziesz o dziesiątéj: przydał, spoglądając na porozrzucane sprzęty małego pomieszkania.

—»A za karę dopomożesz mi do ich ułożenia, panie Piotrze. Weź ze mną ten stolik. Dobrze. Posuńmy teraz ten stołek.

—»Pracują jakby już na swojém gospodarstwie! odezwał się głos najradośniejszy, jaki kiedykolwiek słyszeli narzeczeni.

Była to Gudula, zaczerwieniona, zdyszała, i tak lekka jakby dopiero miała lat piętnaście.

—»Dobrze, dobrze, panie Piotrze, naucz się pomagać żonie w zachodach około domu, gdyż pobierzecie się za dwa tygodnie.

—»Za dwa tygodnie! powtórzył Piotr zdziwiony.

—»Czyliżeś mi nie powtarzał sto razy, że samo tylko ubóstwo przeszkadzało ci do ożenienia?

—»I cóż? rzekł Piotr bledniejąc.«

—»Otóż... jesteś bogatym.

—»Wie mój sekret‹ pomyślał. Kazała iść za mną, śledziła mię, może nawet już oddawna przenikła tajemnicę którą się otoczyłem! może... Ach! byłaby to rzecz okropna! Może przyjmują mię i kochają, dla tego tylko że jestem bogatym.

—»Jesteś bogatym: powtórzyła Gudula.

—»Bogatym! kto? ja?

—»Ty, nie, lecz Elżbieta; odziedziczyła sto tysięcy złotych.

—»Ja. Gudulo?

—»Ty moje dziecię. Nie troszczcie się więc o nic, nie smućcie się, nie czekajcie. Bawmy się wesoło! tra la la la la la!

I tańcowała i skakała klaszcząc w ręce. A potém wytłomaczyła narzeczonym, że krewny Elżbiety, zapisał jéj sto tysięcy złotych.

—» To wszystko do ciebie należy Piotrze, rzekła Elżbieta, użyjesz tego podług woli twojej. Żyć będziemy spokojnie z naszych procentów, albo też założymy handel jeśli zechcesz; wszystko mi jedno, bylebym tylko nie rozłączyła się z tobą.

—»I nie rozłączymy się Elżbieto; za dwa tygodnie będziesz moją żoną w obliczu Boga i ludzi; nie z powodu bogactw twoich, przydał, lecz z powodu twego serca i przywiązania... Ja także mam tajemnicę, lecz dowiesz się o niéj dopiero w dzień ślubu. A tym czasem zajmę się przygotowaniami do wesela. Nie wychodź, nie widuj się z nikim. Czyliż mi to przyrzekasz?

»—Przyrzekam Piotrze.

»—Żegnam cię więc moja Elżbieto.

Czule pocałował ją w rękę, a Gudula wołała z radości.

—»Za dwa tygodnie! za dwa tygodnie!

Te dwa tygodnie przeznaczone na załatwienie formalności, upłynęły na robotach, przy których igiełka pani Guduli wielką grała rolę; bo jeżli młoda dziewczyna sama skrajała swoją ślubną suknię, uszyła ją Gudula, a możemy domyślić się z jakiém staraniem Piotr prawie na krok nie wychodził od nich i tylko usiłował ile można nie dozwalać im aby nie wychodziły z domu i nie miały związku z innemi osobami.

Lecz na cztery dni przed ślubem zaprzestał je odwiedzać i możecie sobie wystawić jaka niespokojność ogarnęła serce i wyobraźnią dwóch kobiet.

Siedząc przy oknie, Elżbieta spoglądała bez ustanku, czyli zdala nie postrzeże swego narzeczonego i serce jéj mocno biło, jeżli kto pokazał się na końcu długiéj ulicy; lecz w krótce łzy płynęły z jéj oczu, gdyż to nie był jéj narzeczony.

—»Zachorował, mówiła dręczona niespokojnością, a ja nie jestem przy nim, abym go doglądała, abym czuwała przy jego łożu... Innym razem, okropna myśl powstawała przed jéj umysłem.

— Nie przyjdzie! nie kocha mię!

Gudula cierpiała tyle przynajmniéj ile Elżbieta, lecz udawała zaufanie od którego była daleką; ze srogą rozpaczą kończyła przygotowania do ślubu, tem sroższą, że ją musiała pokrywać pozorną wesołością.

Nareszcie nadszedł dzień ślubu. Od ósméj rano, Gudula ubrana w nową suknię, zaczęła ubierać Elżbietę, która blada i ledwie mogąc ustać, nie odrywała oczu od okna. Niespokojność przyprawiła ją o tak mocne drżenie, iż ledwie mogła przypiąć szpilki i zawiązać wstążki u sukni Elżbiety.

Udręczenie to trwało aż do dziesiątéj rano.

O dziesiątéj, muzyka dała się słyszeć na ulicy i ani domyślając się że to była ślubna muzyka, Gudula wyszła do sieni, dla zobaczenia co się dzieje. Wyobraźcie sobie jéj podziwienie. Muzykanci poprzedzali bractwo Sgo Ildefonsa, którego członkowie przybrani w wspaniałe szaty, postępowali z rozpuszczonemi chorągwiami. Za niem szła deputacya mieszczan, a na jéj czele burmistrz i sekretarz miasta.

Orszak zatrzymał się i stanął w koło przy małym domku.

Wówczas pokazał się pan młody, Piotr, w bogatym ubiorze, i zewsząd powstał okrzyk:

—»Niech żyje żona Rubensa!

—»Rubens! wyjąkała zdumiona Elżbieta. Rubens! ten sławny artysta którego imie powtarzają wszyscy z uszanowaniem i uwielbieniem. Ty jesteś Rubens, Piotrze?

—»Tak jest moja Elżbieto, tak jest; mój majątek, moje imie, moja chwała, wszystko do ciebie należy.

—»Cóż mię to wszystko obchodzi gdy mię kochasz?

—»Ale gdzież jest Gudula?

—»Jestem, jestem, rzekła stara kobieta, zmięszana, widząc że pan Piotr stał się tak ważną osobą.

—»Ach! ach! znam twoję podejścia pani Gudulo, notaryusz Dennessens wszystko mi powiedział.

—»Daj pokój, po cóż o tem gadać przed ludźmi.

—»Nie powiem im, bo już wiedzą o tém.

—»Moi przyjaciele; przydał biorąc za rękę starą kobietę, moi przyjaciele o to jest Gudula.

Każdy z uszanowaneim odkrył głowę.

—»A teraz przydał, biorąc za ręce Elżbietę i Gudulę, idźmy do katedralnego kościoła, gdzie biskup pobłogosławi nasz związek.

—»Niech żyje Rubens! niech żyje Elżbieta Grand, wykrzyknął lud zgromadzony.



ORANGUTANG.

ZARYSY Z BADAŃ PRZYRODZENIA.
II.

Amerykanie potrafili korzystać z pojętności niektórych dzikich ptaków i skłonić je do życia domowego. Długo-szpon albo chawarja Paragwajska (*Parra chavaria.* Lineusz), dochodzi wielkości małego indyka. Głowa jego, okryta puchem podobnież jak szyja, przyozdobiona jest kształtną koroną ze stojących piórek; pierze ma szaro-ołowiane, długie nogi opatrzone w mocne pazury, a końce skrzydeł uzbrojone rogiem, grubym, długim, spiczastym, który ją czyni bardzo groźną dla innych ptaków. Charakter jéj jest jednak łagodny, wspaniały nawet, gdyż jedynie używa swéj siły i odwagi ku obronie lękliwego ptastwa domowego, które Indyanie straży jéj powierzają. Przechadza się cały dzień z wielką powagą, pośród kur, kaczek i gęsi sobie powierzonych; przenikliwe jéj oko, zawsze ku obłokom zwrócone, dostrzega drapieżnego ptaka, w największéj odległości.

Skoro go zoczy, wydaje okrzyk trwogi i gotuje się do walki. Na próżno jastrząb łupiezca, spada z szybkością gromu na gęś lub kurę, już długo-szpon stoi w pogotowiu, z nadstawionym dziobem i najeżonemi pióry. Jedném skrzydłem zasłania ofiarę, a drugiém uderza napastnika, i kolcem swoim zadaje mu głębokie rany w szyję i piersi. Jak szermierz wyćwiczony w polowaniu, umie upatrzyć sposobną chwilę ugodzenia go kończatym dziobem w oczy, i zadrapania ostremi szpony. Podwaja razy, obala przeciwnika, gromi go ra-

czéj swoją odwagą i zręcznością niżeli siłą, i wkrótce zmusza do wstydnéj ucieczki. Wówczas prostuje się i dumnie przechadza śród swéj przelękłéj gromady, a koguty tym czasem wysilają się na opiewanie jego zwycięztwa.

Lecz jeśli ptak drapieżny napadnie jego stado, wtedy gdy pasące się na polu może rozproszyć się ze strachu i tak odosobnione stać się łatwym łupem, wówczas, inny obrońca przybywa im na pomoc. Jest to agami, którego głos ryczący, podobny do dźwięku trąby, przestrasza jastrzębia i przywołuje pasterza na pomoc nieulękłemu chawaryi.

Agami czyli gruchacz (*Psophia crepitans*, Lin:) nie ma ani siły ani odwagi chawaryi, lecz przewyższa ją pojęciem, podobnież jak wszystkie inne zwierzęta, prócz psa jednego. Ptak ten, jest tak wielki jak duży kapłon, pierze ma czarniawe, z jasno fioletowym odcieniem na piersiach, głowę i szyję okrywa mu puch czarno-fioletowy, naśladujący aksamit; dziob ma mocny, oczy wielkie, świecące, pełne wyrazu. Ciało jego podłużne, prawie prostopadłe, unoszą długie żółte nogi. Lata źle, lecz bieży nadzwyczaj szybko.

W stanie dzikości żyje po lasach, żywi się ziarnem i owocami, i gniazdo swoje u stóp drzewin zakłada. Oswojony, poznaje rękę co go żywi, przywiązuje się do swego pana,. chodzi za nim wszędzie, posłuszny jest jego głosowi; i pieści się z nim zupełnie jak pies. Podobnież jak pies lubi się przypodobać, i aby tego dokazać stara się bydź użytecznym. W nocy czuwa podedrzwiami domu i daje baczność na to co się dzieje na dworze. Jeśli złodzieje chcieliby się zakraść przy pomocy ciemności, czujny stróż trąbi natychmiast na trwogę i budzi donośnym głosem, podobnie jak pies szczekaniem. W dzień dogląda podwórza i utrzymuje na niém porządek. Wypędza kury i gołębie z ogrodu, słowem, czyni wszystkie małe przysługi, do jakich tylko jest zdolnym, chociaż ich nawet niewymagają po nim.

Niekiedy powierzają mu stado gęsi, aby je zaprowadził w pole. Trzeba wówczas widzieć, ile sobie zadaje pracy dla utrzymania porządku w gromadce; prowadzi ją; kieruje, przyśpiesza jéj pochód, karci spóźniających się, zmusza te które zbaczają z drogi, aby na wspólném pasły się polu. Utrzymują nawet, że gdy pasterz nie ma psa do prowadzenia owiec, dwóch agami mogą wyśmienicie go zastąpić, i że w takim razie okazują zadziwiającą pojętność i gorliwość. Nic ciekawszego jak widzieć głupie owce, bieżące z przestrachem, cisnące się jedne do drugich, a to wszystko, aby być posłuszne ptakowi, sześć razy mniejszemu, i dwadzieścia razy słabszemu od najmniejszego z nich.

Zarysy te zakończymy opowiadaniem rozmaitych podróżników, o instynkcie dwóch gatunków małp, Orangutangów, i Szympansów. Między obiema zachodzi znaczne podobieństwo. Orangutangi znajdują się na wyspie Bornea. Szympansy zaś w najgorętszych krajach Afryki *południowéj*.

Miejscem przebywania Orangutanga są wielkie tamtejsze lasy, zręcznie wdrapuje się na drzewa i w napaści mocno się broni. Stare tak szybko i silnie kijem się oganiają, iż kilku ludzi nie są w stanie żywcem jednego pojmać i dla tego młodych tylko można dostać. Dorosły Orangutang jest tak silny iż najmocniejszego chłopa łatwo o ziemię rzuci. Mieszkańcy bardzo strzegą spotkać się sam na sam z tym zwierzem w lesie.

Szympansy w nieprzebytych lasach Afryki w oddaleniu od mieszkań ludzkich stadami się utrzymują. W obyczajach i sposobie życia, małpy te równają się Orangutowi. Są równie silne i częstokroć słonie muszą im z placu ustępować. Murzyni gdy się do nich zbliżą niebacznie, bywają nie raz pobici. Ogień zostawiony przez murzynów Szympansy otaczają z radością i przeskakują przez niego; jednakże nie umieją go utrzymywać przez dokładanie drzewa. Stare Szympansy nie dadzą się schwytać żywcem, ale młode można podejść i wychować, wtedy bywają łagodne i nazwyczają się do różnych posług domowych.

Menażerya Londyńska, posiadała w roku zeszłym, żyjącego Szympansa, lecz zdechł po kilku miesiącach pobytu w stanie domownictwa. Menażerya Paryzka, posiada Orangutanga, o którego słabości i wyzdrowieniu donosiły ostatnie gazety. Rycina umieszczona na czele dzisiejszego zeszytu, przedstawia wyobrażenie tego zwierza, zdjęte z natury.

Szympans londyński schwytany był na południowo zachodnim brzegu Afryki. Okazywał się żywym i wesołym, zważał na wszystko co się koło niego działo i każdéj rzeczy przypatrywał z miną tak poważną, tak zamyśloną, iż nie podobna było wstrzymać się od śmiechu. Był bardzo poufałym i jak dziecko bawił się ze swemi dozorcami; obchodzono się z nim jak z dziecięciem; myto mu codziennie twarz i ręce; z wielką powagą i uległością poddawał się téj czynności. Zawsze okazywał wielką ochotę posiadania tego, czego nie miał, a skoro tylko dostał rzecz któréj pragnął, porzucał ją zaraz po obejrze-

niu. W jego igraszkach i swawoli, nie było wcale téj nieustannéj ruchliwości i wykrzywiań małpich, i to właśnie stanowiło jego wyższość i zbliżało go do człowieka. Żywiono go mącznemi potrawami, owocami, gotowaném mięsem, mlekiem i t. d. Lubił herbatę ale nie chciał piwa i mocnych trunków. Zabawnie było widzieć go z jaką powagą pił herbatę i poważnie stawiał potém filiżankę.

Orangutang, znajdujący się w menażeryi paryzkiéj, jest także dosyć wesołym i pojętnym. Nie lubi zostawać w samotności i wtedy wpada w gniew i drze wszystko co tylko może schwytać. Nie raz przychodzi do pomieszkania dozorcy i tam jest najweselszy; jada rosół łyżką, pije ze szklanki i bawi się z dziećmi.

Podróżnik angielski John Griffith, w dziele swojém, *Cztery lata pobytu na wyspie Cejlan*, umieścił zajmujące opisanie zażyłości swojéj z orangutangiem; dajemy ją w skróceniu.

»Poszedłszy na przechadzkę do lasu nad brzegiem morza, postrzegłem orangutanga, który siedząc na gałęzi wpatrywał się we mnie. Spojrzenia jego były łagodne a twarz nie odrażająca; rzuciłem mu kawałek chleba, zbiegł z drzewa, powąchał go, lecz nie jadł. znając obyczaje tych zwierząt wziąłem drugi kawałek chleba, zjadłem połowę a porzuciłem mu resztę. Wziął je i uciekając niezmiernie szybko, zjadł ją a potém i pierwszy kawałek. Następnego dnia znowu spotkałem toż samo zwierze i przynęciłem je do siebie, rzucając mu chleb i owoce. Odwdzięczając się zerwał kilka orzechów kokosowych i rzucił je pod nogi moje. Nazwyczajony do widywania mię codzień, czatował na moje przyjście. Pewnego razu przybiegł zmęczony i ująwszy mię za rękę chciał zaprowadzić w głąb lasu. Przyznaję że z początku wahałem się iśdź za nim. Obawiałem się natrafić na gromadę małp, przeciw którym nie mógłbym się obronić. Lecz przezwyciężywszy tę obawę poszedłem za moim przewodnikiem. Na twarzy orangutanga malowała się niecierpliwość któréj przyczyny nie mogłem odgadnąć.

Uszliśmy kilkaset kroków pomiędzy krzakami i postrzegłem z nie małém podziwieniem, chatkę prawie już ukończoną. Przypomniałem sobie wówczas, że wielu sławnych podróżników i naturalistów poświadcza, iż małpy budują sobie takie chaty. Mój orangutang uradowany był ze swojego dzieła. Klaskał w ręce i gwizdał na znak radości. Lecz w krótce zasmucił się niezmiernie, widząc iż do téj chaty wnijść nie mogę. Otwór zastosował do swego małego wzrostu nie zaś do mojego; jego przezorność nie rozciągała się tak dalece. Uniesiony złością rozrzucił szałas a poprowadziwszy mię na miejsce gdzie był nagromadził gałęzie, włożył mi kilka pod rękę, sam wziął tyle ile mógł udźwignąć i dał mi znak abym poszedł za nim; usłuchałem, i mniemany pan stworzenia stał się pomocnikiem małpy.

»W krótce zrobił wnijście do chatki, większe i odpowiednie mojemu wzrostowi. Dopomagałem mu w téj robocie. Wewnątrz przy wnijściu były dwa posłania z mchu, dosyć długie, a w kącie zapas kokosowych orzechów.—Nie zdołam opisać jak się zdziwił i zasmucił biedny Orangutang, gdy zabawiwszy przez czas niejaki w jego chatce, zabrałem się do powrotu. W jego małéj głowie uroiło się, iż musimy żyć razem jako przyjaciele. Dla tego to, zbudował chatę, nazbierał owoców i po swojemu całe gospodarstwo urządził.

»Nazajutrz przyszedłem wcześniéj jak zazwyczaj i nie mało użyłem trudów nim znalazłem naszą chatkę. Przyniosłem rozmaite sprzęty; widok ich niezmiernie ucieszył orangutanga. W krótce nauczył się nakrywać stół, stawiać krzesła, kłaśdź talerze i jadać wraz ze mną.

»28 Grudnia 1816go poszedłem rano do lasu. Wziąłem ze sobą ciasta i owoce, które mój przyjaciel lubił najbardziéj i jakąś niespokojnością powodowany, szłem spiesznie. W tém usłyszałem jakiś hałas i postrzegłem ślady krwi na scieszce; przyspieszyłem bieg mój i postrzegłem ogromnego węża któren porwał biednego orangutanga i otoczył go swemi kłębami. Potoki krwi płynęły z ciężkich ran jego. Strzeliłem do gadu i trafiłem go; puścił orangutanga i chciał rzucić się na mnie lecz dobiłem go drugim wystrzałem.

Daremne czyniłem starania aby uratować biedną małpę, ostatni raz spojrzała na mnie z wyrazem wdzięczności i przywiązania którego nigdy nie zapomnę i wydała ostatnie tchnienie.

WYSPA JERSEJ

O parę mil od brzegów Francyi, wewnątrz kąta utworzonego przez nadbrzeża Normandyi i Bretanii, tuż przy wnijściu do portów francuzkich, leżą cztery wyspy, nie należące do Francyi, a których mieszkańcy mówią francuzczyzną dawnych Normandczyków, zachowują ich prawa i zwyczaje.

Podróżny zwiedzający te wyspy, mógłby mniemać że powrócił do feodalnych cza-



ZAMEK ELŻBIETY NA WYSPIE JERSEJ.

sów; znajdzie tam lenności, drogi królewskie, podrzędnych lenników, sędziów lennych i całą organizacyą jaka w średnich wiekach istniała. Jakże się stało, że tak bliskie Francyi, wyspy te pozostały w mocy Anglików?

Jakimże sposobem, w przeciągu ośmiu wieków, nacechowanych tak wielkiemi i tak licznemi przemianami, szczęśliwi ich mieszkańcy nie doznali żadnéj znaczniejszéj zmiany, w urządzeniu towarzyskiém i w mowie?

Na te zapytania nie można dać zaspokajającéj odpowiedzi.

»Wszechwładna opieka boska, mówi jeden z mieszkańców wysp Jersej, widomie okazała się nad nami, że nas przez tyle wieków ochroniła od przewagi Francyi. Francuzi odzyskali obszerne prowincye, utorowali sobie drogę do Niemiec i Włoch, żyzne równiny Flandryi zamienili w nieustanny plac wojny, a zawsze byli odparci ilekroć chcieli zajechać wyspy nasze, jak gdyby mała odnoga morska rozdzielająca Francyą od brzegów naszych, była przeznaczona w mądrości Najwyższego do wstrzymania ich podbojów i dumy.«

Ten wyjątek dostatecznie okazuje, jak dalece mieszkańcy lękają się aby ich nie przyłączono do Francyi. Łatwo to sobie wytłumaczyć. Zachowali część dawnych feodalnych przywileiów, które zniszczyła rewolucya francuzka; posiadają przytem różne prawa i korzyści, które im nadał rząd angielski, chcąc dobrodziejstwami przywiązać ich do siebie. I w rzeczy saméj, gdyby sprzyjali Francuzom, już od dawna należeliby do Francyi. Ze swojéj strony, czują, iż spokojniejsi są pod rządem Anglii, odleglejszéj od nich, aniżeli Francyi tak bliskiéj. Wyspy te podlegają Królowi Anglii jako dawnemu xięciu Normandyi: w tenczas bowiem kiedy Wilhelm xiąże Normandyi zdobył Anglią, królowie Francyi

nie mieli żadnego prawa do Normandyi, przyłączyli ją potem do swego państwa, skutkiem zwycięztw i traktatów, lecz wyspy Jersej, Guersenéj, Auriguy i Serk, oparły się wojskom francuzkim i zachowały dawne stosunki. Wyspa Jersej jest najznaczniejsza ze wszystkich posiadłości angielskich, leży o trzy mile fran: od brzegów Francyi, a o 30 od brzegów Anglii, długości ma 4 mile, szerokości 2. Żyzna, wybornie uprawiana, oblana morzem obfitującém w ryby, wolna jest jeszcze od opłaty cła i podatków.

Wyspa Jersej jest ogniskiem bardzo czynnéj kontrabandy, ponieważ przedmioty do konsumcyi opłacają tam bardzo małe cło; cukier kosztuje tylko 10 soldów funt, kawa 20 soldów, tabaka jest bardzo tania.

W noc ciemną i burzliwą, szalupy przypływają do brzegów Francyi i staczają w morze, tuż przy skałach, znaczne partye tytuniu upakowane w szczelnie zamkniętych beczkach. Celnicy nie mogli ich postrzedz. Następującéj nocy ich spólnicy mieszkający nad brzegami Francyi, wyławiają towar, znając jego położenie.

Ci wyspiarze prowadzą także z Anglią kontrabandę herbatą. Herbata przywożona do Anglii i przeznaczona na wywiezienie z kraju, wolna jest od opłaty; kontrabandziści kupują ją w składach i wywożą skrycie do wyspy Jersej, a ztamtąd wchodzi znowu do Anglii, jako herbata angielska i niby już oclona. Zamek Elżbiety królowéj, którego rycinę umieściliśmy, zbudowany był za panowania téj monarchini. Jego położenie czyni go prawie niepodobnym do zdobycia i jest główną obroną tych posiadłości W. Brytanii.

BOCIAN

(*Wyjątek z dzieła: „Badania Starożytności polskich i ruskich.*“

Bocian największe uszanowanie odbiera w Polsce i na Rusi; nikt nie waży się doń strzelać; zabić bociana jest to grzech nie przebaczony. Pomiędzy polskim ludem krąży powiastka, że Chrystus Pan jakiegoś obmówcę zamienił w bociana, i kazał mu odtąd świat z plugastwa oczyszczać.

Gdzie się gnieżdżą bociany, miejsce to uważają za szczęśliwe. W XVI wieku używano wyrażenia. „*Bociana sprowadzić*“ co znaczyło szczęście sobie sprowadzić, zjednać: gdyż *bocian* a *szczęście* były to w XV i XVI wieku języka naszego bliskie synonimy (a). Lecz szczęśliwe to miejsce było nawet bezpieczne od gromu pioruna. Ztąd też w całéj Polsce i Rusi zaciągają koła na szczyty drzew blizkich budowli i stodół, z przygotowaném gniazdem, zapraszając zbawczego i ulubionego ptaka do swojéj zagrody.

Bocian odwiecznie przywiązany do naszéj ziemi, przybyciem swoiém z stron dalekich zapowiada ciepły czas wiosny.

Lud utrzymuje, że żaby nazywają go wyraźnie swoim *panem* i powtarza wyrazy śpiewu (jak mówią) żab. Jest to za prawdę harmonijne naśladowanie skrzeczenia żab pojedynczych i wielu razem.

Kum, kum, kum!
Kume, kume, kume!
Kwa, kwa, kwa!
A kto pan?
Pan bocian.
Kilka razem.
Rade temu, rade temu, rade temu!

Do tego Wielkopolanie dodają niby rozmowę dwóch żab, jak jedna pyta gdzie się żaba podziała, a druga odpowiada że wziął ją bocian.

Ku? — ku!
— A gdzie on? —
— Pon go wzion!
— Pon?
— Pon bocion.—

Lud nazywa go *Grzegotką* lub *Boćkiem*. Ostatnią nazwę w przypowieściach Salomona Rysińskiego znajduję (b) gdzie dawne przysłowie o bocianie umieszcza.

„Nie wadzi na Boćka rzucić.“

To jest że spłoszyć go rzuceniem kija. lub kamienia można, byle nie zranić, a co gorsza zabić, jak objaśnia to przysłowie rękopism z 1656 roku.

Flisy zwali bociana *Wojciechem*. (c) Odgłos który wydaje dziobem, przez wyraz *klekce* oddawano, jako w tém przysłowiu u Mikołaja Reja z Nagłowic (d)»Klekce jak bocian.«

Jak z powodu długości dziobu jest u nas stare przysłowie:

(a) Stanisław Orzechowski używa tego wyrażenia w dziele bardzo rzadkiém „Ziemianin albo rozmowa ojca z synem w Krakowie 1575 in 8º min.

(b) Przypowieści 1619 r. in 4º.

(c) Seb. Klonowicz „flis“

(d) Wizerunek.

„Rad, by go bocian nosem iskał."

Tak z długich nóg Krakowiacy na sąsiednich wysmukłych górali używają szyderskiéj piosnki i przypowiastki że:

„Góral ma nogi bocianie
Kogo zechce to dostanie."

St. Duńczewski w Kalendarzu na rok 1759 wróżył, iż kto na wiosnę bociany ujrzy latające, pilnym około gospodarstwa będzie i przezornym; gdy zaś stojące albo siedzące na gniazdach, leniwym, gnuśnym, lub słabym zostanie. Nadto powtarzał odwieczną wróżbę, że na gniazdo bocianów nietylko pioruny, ale i grady nie biją.

Przy końcu Sierpnia, bociany w liczne zbierają się gromady, co lud nazywa że *lecą na wieca* (e) i powiada że bocian raniony płacze rzewnemi łzami.

Bociany stawiano za przykład ile są przywiązane do rodziców swoich. Bartosz Paprocki bierze ztąd wyjątek do przypowieści w księdze „Koło Rycerskie."

Bocian gdy się zstarzeje, zaraz dziecie jego
Wziąwszy ojca do gniazda żywi jak onego
On żywił w młodych leciech, zagrzewa piersiami.
Azaż miłość takowa jest dziś między nami?
Syn na ojca narzeka, że mu żyw nad wolą,
Gdy mu ma co posłużyć, to go nogi bolą.
A u pieca zbrukana, siedzi miła matka,
Tego czego sam nie mógł zieść da jéj ostatka.
Ale przeklęta dziewko i przeklęty synu,
Który taką poczciwość czynisz ojcu swemu.
Uznasz sam cześć od Boga taką w rychłym czasie
Jaką czynisz rodzicom!

K. Wł. Wóycicki.

LITERATURA.

Nowe dzieło

Powiastki dla dzieci, z prawdziwych wydarzeń, ozdobione jedenastą rycinami i muzyką. Warszawa w drukarni Józefa Węckiego 1837.—in 8vo oblong, stronnic 182. Cena zł. 7. papier piękny, druk czysty, oprawa kartonowana w drukowanéj okładce.—

Xięgarstwo warszawskie przysposobiło kilka dziełek na kolendę dla dzieci na nadchodzące święta Bożego Narodzenia i Nowego Roku; dwa ładne Elementarze z illuminowanemi obrazkami. Zabawka dla dzieci i zajmująca prostotą swoją i moralnością powieść z dzieł Szmidta pod tytułem *Baranek*, w tych dniach opuszczą prasę. Lecz najznaczniejszym i nie tylko chwilowy użytek mającym podarunkiem, któren troskliwi i kochający rodzice, dzieciom będą mogli uczynić, jest dziełko: *Powiastki dla dzieci z prawdziwych wydarzeń*, przed kilkunastu dniami wydane. Dziełko to, równie pod względem pomysłu jako i stylu, należeć będzie do rzędu wyborowych w tym rodzaju; i z tém większą przyjemnością zwracamy na nie uwagę powszechną, że autorka (jest bowiem owocem pióra jednéj z dam naszych) zdaje się wróżyć nam tą pracą, następczynię autorki *Wiązania Helenki, Powieści moralnych dla dzieci* i *Rozrywek.*

Na początku tego dziełka, znajduje się sześć powieści: *Grob dziadunia*, *Dzieci przy choréj matce*, — *Wilanów*,—*Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło*; — *Ach jak ja się nudzę*,—*Dla czego, i komedya Radość*, zastósowane do pojęcia młodszych dzieci. Tkliwą smętnością oddycha pierwsza powiastka, wzruszającym sposobem maluje w niéj autorka pierwszą prostotę dziecinnego wieku, następne rozwijanie się wyobrażeń, z niéj umieszczony wyjątek da nam poznać piękny styl autorki.

» Często zdarzało się słyszeć te lube dzieciny, jedno drugiemu przypominające, że dziadunio z Nieba patrzy na nich, i cieszy się lub martwi ich dobrym lub złym postępkiem. Razu jednego, do łez matkę rozczuliły, gdy na pochwały jakie im oddawała za dobre sprawowanie się, oboje razem zawołały: *Toby dobrze było żebyśmy teraz poumierały, prostobyśmy poszły do dziadunia.* Ciągle więc i one miały na myśli ukochaną osobę. którą ich matka opłakiwała, lecz myślały i mówiły o niéj bez żalu, bez smutku. Co u nas sprawia czas i poddanie woli Boskiéj, to u was lube dzieci jest skutkiem uśpionego czucia i prawdziwéj boleści. Lecz zbyt prędko przemija ta swoboda waszego wieku! I Józio nie długo jéj używał. Jeszcze przed rokiem chodził często do grobu dziadunia, a zawsze był tam wesół, gadający, skaczący jak i młodsza od niego siostrzyczka. Dziś, jaka jest różnica między nim a jego malutką siostrzyczką, okaże co następuje.

Po długiéj i przykréj zimie, w czasie któréj dzieci nie mogły towarzyszyć matce do grobu dziadunia; zaledwie pierwsze dni wiosny pogodą zajaśniały, zaprowadziła je matka do celu swéj nieutulonéj żałości. Biegła skacząc mała Helenka, biegł i Józio za nią wesoły; cieszyły się oboje,

(e) Do 200 z górą bocianów zgromadzonych razem na łące widziałem sam przy końcu Sierpnia 1835 r. na Podlasiu.

że po tak długiém niewidzeniu, zobaczą... kamień grobowy dziadunia!

Idąc długą Jerozolimską Aleją, zmęczone dzieci usiadły w połowie drogi na ławeczce, i zaczęły jeść przyniesione z sobą sucharki. Józio prędko skruszył swoje, i pobiegł naprzód. Zbliżywszy się do cmentarza, zwolnił kroku, i gdy matka z Helenką nadeszła, wziął ją za rękę mówiąc: »Idźmy razem, bo mnie tu czegoś smutno. W tém postrzegł siostrę jedzącą jeszcze sucharek; odjął go jéj od ust i ze smutną minką powiedział: Jak ty możesz jeść przy dziadunia grobie! Jabym nie mógł!

Po odmówieniu modlitwy, już Józio nie zapytał jak dawniéj matki: »Czego płaczesz kiedy dziaduniowi tak dobrze w Niebie? lecz rzekł czule: »Nie płacz mamo bo i mnie się chce płakać.

Helenka tym czasem biegała od jednéj do drugiéj katakumby, wykrzykując radośnie: »*Chodź, chodź mamo, zobac jakie tu ślicne złote litery, pzecytaj, bo ja nie umiem.*

Odchodząc ucałowała matka oboje dzieci, i ponowiła im w krótkości napominania dziadunia. Józio uszedłszy kilka kroków zamyślony, nagle się zawrócił i zawołał: Mamo! ja *tu* przyrzekam Tobie, że zawsze będę dobry, a jak urosnę, nie zapomnę nigdy gdzie grób dziadunia, i często go będę odwiedził! I ja będę *odwiedzała*, powtórzyła Helenka. — »A jak mama będzie tu leżyć, czy będą dzieci przychodzić? zapytała matka.— »O ja będę, będę! wołała Helenka klaskając rączkami. — Józio zalany łzami, ujął rękę matki w obie dłonie, i śród łkania ledwie wyjąkał: *Nie umieraj mamo!*

Józio od téj chwili wyszedł z pierwszego dzieciństwa, bo uczuł co to jest utrata matki!

Kto z was mali czytelnicy, wraz z Józiem łzę uroni nad samą obawą utracenia drogiéj wam osoby, niech coraz więcéj przejmuje się wdzięcznością dla nauki Zbawiciela. Ona tylko przynosi ulgę i pociechę; ona śród łez dozwala powtarzać: *Do zobaczenia.* »

Dzieci przy choréj matce, wskazujące użyteczną i potrzebną naukę roztrzepanym dzieciom. Bardzo trafna jest powiastka *Dla czego* i możemy zaręczyć, że po jéj przeczytaniu nie jedno dziecię odwyknie od niepotrzebnych i nudzących zapytań:.— Powieść, *Jak ja się nudzę*, i *Nie czyń drugiemu co tobie nie miło*, też same mają zaletę.

Dalsze przedmioty zawarte w tym dziełku, jako to Wyjątek z pierwszéj i drugiéj podróży Józia do Buska, Kolęda, Listy Helenki i Karoliny, Wieczorynka i Dziennik Helenki, są już dla dzieci starszych więcéj usposobionych; stopniowanie między przedmiotami jest bardzo dobrze utrzymane.

Nie możemy dostatecznie wynurzyć wdzięczności naszéj, autorce, że wszystkie przedmioty powzięte są z obrazów naszego towarzyskiego życia; że opisuje miejsca i zakłady które mamy przed oczyma, a właśnie dla tego nie zwracamy na nie uwagi i mniéj je znamy, niżeli obce pomniki, płody, osobliwości, które są zwyczajnym i nie wyczerpanym źródłem naszych obrazkowych magazynów. Pod tym względem, *Dziennik Helenki* kończący to dziełko nie tylko dla dzieci ale i dla dorosłych jest zajmującym, i dla tego umieszczamy z niego opis ogrodu Saskiego i targu oraz obraz instytutu moralnie zaniedbanych dzieci.

»Przecie wczoraj mieliśmy piękną pogodę, a korzystając z niéj, poszłam z Mamą na targ za *żelazną bramę*. Bardzo to miło przechodzić rano przez ogród Saski, a osobliwie w Piątek. Zupełnie inną postać przybiera ten piękny ogród, jak go znamy we święta po obiedzie. W tedy tylko średnia aleja przepełniona ślicznie postrojonemi paniami, i rozmaitemi panami, uzbrojonemi w lornetki i laseczki. Wszyscy wolnym krokiem przechodzą, przypatrując się to jedni drugim, to siedzącym na ławeczkach, ciekawym widzom tego żyjącego Panorama. I wzajemnie, chodzący dla siedzących, a siedzący dla chodzących służą za widowisko. Ja też z mamą nigdy środkową ulicą nie chodzę. Parę razy tylko przez ciekawość usiadłyśmy przez chwilę na ławeczce, ale najlepiej lubię ten ogród od strony Pałacu Zamojskich. Jakie tam mnóstwo słowików, tyle nianiek i mamek z dziećmi na ręku lub wózeczkach, tyle chłopczyków goniących się, chowających w krzakach, jeżdżących na drewnianych konikach, tyle dziewczynek z pięknemi lalkami, co mnie bardzo bawi, bo mi przypomina *moje młode lata!* Tam daléj, pod wystawą u Lesla, zajadają przednie lody, ciasteczka i karmelki; częstują się oranżadą lub orszadą. Otóż wcale inne obrazy przedstawiają się tu w piątek rano. Śpią jeszcze *garsony* od Lesla, średnia aleja puściusieńka, tylko gdzie niegdzie na ławeczce drzymie stary inwalida, lub siedzi zatopiony w czytaniu jaki literat. Boczne za to ulice są pełne ruchu, gdyż wielką zrobiono dogodność dla gospodyń i kucharek, pozwoliwszy do 9téj rano przechodzić przez ogród Saski z wiktuałami. Pospiesza przeto jak może hoża kuchareczka z kobiałką,

obładowaną świeżemi kartofelkami, rakami, sałatą, serem i t. p. Postępuje ranna gosposia, za nią ugina się kuchcik pod ciężarem ogromnego kosza z rybami, jarzyną, chlebem bułkami i masłem. Biegnie zwinna *młodsza* z koszykiem na jagody, i dzbanuszkiem na śmietanę w jednéj ręce, a w drugiéj wywija chusteczką, w któréj rogu pieniądze zawiązane. Wraca lokaj z wazonami róż i rezedy dla swéj Pani. I ja też z Mamą mnóstwo nakupiłyśmy kwiatów. Nasza Julianna musiała znaleźć w swojéj koszałce miejsce na moje doniczki z łewkonią i oleandrem, a prócz tego ja niosłam pęk róż, a Mama bukiety z swoich ulubionych konwalii i rezedy. Bardzo zabawny na targu gwar kupujących i sprzedających, obfitość rozmaitéj żywności, natłok przekupek, zieleniarek, szereg wieśniaczek z jagodami, grzybami i różnemi ziołami; turkot fur i bryczek przybywających z odległych nawet okolic, z nabiałem, owocami i drobiem.

Wśród tego wszystkiego, przyjemnie patrzyć na rządne gospodynie, schludnie poubierane, przesuwające się zwinnie i zgrabnie wśród ustawionych na ziemi garnków, rynek, kojców, worów z mąką i kaszą, wiązek jarzyn, i t. d. Ładnie się wydaje sam wstęp do targu. Z jednéj strony stoją uszykowane pojazdy przybyłych kupujących, a z drugiéj zastawione rzędem wozy ogrodników z prześlicznemi kwiatami. Ale cóż! kiedy cały ten obraz pełen życia i blasku, zaćmiony jest odrażającemi żydami i żydówkami których na nieszczęście wszędzie u nas pełno!

25. Lipca, Ach mój Józiu! żebyś wiedział, jak jestem wzruszoną, zamyśloną, smutną i wesołą. Ale i ty doświadczyłbyś tego samego, gdybyś był ze mną tam zkąd wracam. Zwiedzałam dzisiaj z kilku osobami i z Mamą, *Instytut moralnie zaniedbanych dzieci.* Pamiętasz zapewne, z jakiem zajęciem słuchaliśmy, gdy nam papa czytał *zdanie sprawy* o tym Instytucie. Otóż wszystko co tam opisane, ja widziałam! Jaki wszędzie porządek, jaka czystość, jak doskonałe urządzenie wszystkiego co tylko może mieć wpływ na poprawę tych biednych istot, wyrwanych zbrodni, do któréj byliby doprowadzeni przez złe wychowanie, opuszczenie i zgubny przykład. Gdyby tylko jedną taką ofiarę ochronić od zepsucia, jaka to już pociecha i nagroda dla szlachetnego umysłu, który pierwszy powziął myśl zaprowadzenia u nas takiego zakładu, i który go utrzymuje niezmordowaną swoją gorliwością o dobro ludzkości. Przysłuchując się i przypatrując rozmaitym szczegółom tego dobroczynnego Instytutu, z rozrzewnieniem myślałam sobie iż jest on skutkiem usiłowań i zabiegów jednych, a litości drugich osób; gdyż tak na postawienie domu, jak na utrzymanie wychowańców, nie było dotąd innego dochodu, tylko dary dobroczynne. Zastaliśmy 30 chłopczyków porządnie ubranych; (lubo bosych, bo szczupłość funduszów nie dozwala tylko na zimę sprawiać im obuwie); pracowali w ogrodzie: gdzie każdy ma wydzielony kawałeczek gruntu, na którym wolno im uprawiać co się im podoba.

Téj wiosny umówili się wszyscy aby kartoflami swoje grządki zasadzić, a to dla tego ażeby na jesień przybyła im z własnéj pracy wieczerza, któréj dotąd nie otrzymują także dla braku funduszu. Jednakże nie zaniedbali ozdoby swoich *włości*; każda osadzona jest kwiatami, i bardzo się ubiegają o przewyższenie jedni drugich pięknością roślin. Byliśmy przytomni ich objadowi, który przy najmilszéj dla oka czystości, składa się z kawałka chleba pytlowego i porcyi zupy rumforckiéj, któréj kosztowaliśmy wszyscy, i tak mi smakowała, iżbym jéj chętnie całą miseczkę zjadła, gdybym się nie obawiała pozbawić obiadu którego z wychowańców.

Poznałam wśród nich tego małego chłopczyka, którego tak często spotykaliśmy na krakowskiem przedmieściu, obdartego, wynędzniałego, z woreczkiem piasku na plecach. Musisz sobie przypominać jak nas zasmuciło i zgorszyło, gdy nie chciał iść za nami, skoro mu powiedzieliśmy, iż zaprowadzimy go do naszych rodziców, który może obmyślą jaki sposób ażeby go ochronić od żebractwa. Otóż dzisiaj ten sam chłopczyk wyrabia ładne słomianki, klei pudełka, umie bardzo dobrze katechizm, nie źle czyta, niezgorzéj pisze pręcikiem na piasku, a nadewszystko jest pilny i posłuszny. Przyznajże teraz mój Józiu, czy nie słusznie pisałam: Jestem *wzruszoną, zamyśloną, smutną* i *wesołą.* Nie można się nie cieszyć i nie być wzruszoną, patrząc na te istoty naprowadzone na drogę cnoty, i to jedynie staraniem i darami osób powodowanych miłosierdziem chrześcijańskiem. A czyż przytém nie ma się czego smucić, myśląc iż tyle jeszcze pozostaje ofiar których niedostateczność funduszów tego Instytutu nie dozwala ochronić od nieszczęścia i zguby! Ach mój Józiu! prośmy Boga żeby błogosławił coraz więcéj temu zakładowi. Matka Boska mile przyjmie modły dzieci szczęśliwych, za dziećmi nieszczęśliwemi.



BEDUINI.

KRADZIEŻ U ARABÓW BEDUINÓW.

W puszczach Arabii i w północnéj Afryce, znajdują się koczujące pokolenia, które obozują pod namiotami tam, gdzie natrafią na trochę paszy i wody dla trzód swoich; są to Beduini: ich nazwisko nie oznacza ani ludu ani pokolenia, lecz po prostu *mieszkańców pustyni*.

Pustynia podobna jest do morza; jéj powierzchnia ruchoma i ulotna, już to rozdziela się i rozciąga pod powiewem łagodnego wiatru; już to za działaniem burzy kształtuje się we wzgórza, które w dniu jednym powstają i nikną; ślady tysiąca wielbłądów zacierają się za karawaną, jak śpienione bruzdy za płynącym okrętem. Niekiedy, przestrzenie piasku okrywają się rzadkiemi kępkami murawy. Całe pokolenie osiada tam na kilka godzin, dla korzystania z tego daru nieba, podobnie jak rybak zatrzymujący łódź swoją na miejscu obfitém w ryby. Pustynia należy do wszystkich, jak morze. Morze utworzyło żeglarzy, pustynia utworzyła Beduinów; lecz morze zbliża i połącza ludzi, pustynia oddziela ich i odgranicza; morze jest miejscem schadzki tysiąca ludów udzielających sobie pomocy, pustynia siedliskiem samych tylko rozbojników. Wielbłąd, to osobliwe zwierzę, przeznaczone na to aby było żywiołem cywilizacyi na krańcach pustyni, wielbłąd, stał się jedynie narzędziem kradzieży, rozboju i łupieztwa; o Boże! jakież to nadużycie darów twoich!

Nazwisko Beduina oznacza razem złodzieja; kradzież stanowi nieuchronny żywioł jego bytu, kradzież jest u niego korzystném rzemiosłem, jest sztuką pełną poetycznych przygod, jest grą obfitującą w rozmaite koleje i przypadki, jest potrze-

bą jego romansowéj wyobraźni, jest nareście zasadą postępowania mającego ściste przepisy i prawa, jest zaszczytem, jest cnotą.

Napadanie na karawany i rabunek podróżnych, są to podrzędne czyny ogólnego systematu rozboju u Beduinów. Gdyby kradzież była u nich tylko przemysłem, może ograniczyliby ją na tem co zysk przynosi, lecz stała się przez dziedziczne następstwo rodu, przez klimat, wychowanie i nałog, głównym czynem w ich życiu; musiała więc dojść wyższego stopnia upowszechnienia i zrobiła się pewnym rodzajem handlu czyli zamiany: i dla tego jest przysłowie na wschodzie, że prawa ręka Beduina usiłuje okraśdź lewą rękę, a ta nawzajem. Pokolenia rabują jedne drugie, bez wstydu i miłosierdzia i w tych wzajemnych walkach rozwijają zręczność i czynność, daleko groźniejszą niżeli w napadzie na karawany i podróżnych.

Gdy Beduin zamierza puszczać się na rozboje i kradzieże, bierze ze sobą ze dwunastu przyjaciół i wszyscy okrywają się staremi łachmanami, aby utaić swój stopień i w razie schwytania ochronić się od zbyt wielkiego okupu. Lecz podejście to pospolicie nie udaje się; schwytawszy złodzieja usiłują odgagnąć jego prawdziwy majątek i do niego zastósować okup.

Gdy ci złodzieje wyruszają na wyprawę, każdy bierze z sobą trochę mąki, soli i burdziuk skórzany pełen wody; z tak szczupłemi zapasami oddalają się niekiedy o osiem dni drogi od swego koczowiska. Przybywszy nad wieczorem nie daleko od pokolenia, którego bogactwa chcą sobie przywłaszczyć, wysyłają trzech najzwinniejszych z pomiędzy siebie, ku namiotom, gdzie dopiero o północy stawają. Wszyscy już śpią; scena zaczyna się, każdy z trzech aktorów ma swoją rolę i od niej przybiera nazwisko. Jeden z nich, *mostambech* wsuwa się za namiot i usiłuje zwrócić czujność psów; wkrótce napadnięty od nich, ucieka i daleko psy odprowadza. Wówczas pokazuje się drugi sprawca, *hharami*, podcina pęta wielbłądów i zgania je. Wielbląd nie obładowany może wstać i iśdź bez najmniejszego hałasu; *hharami* uprowadza jedno z tych zwierząt, a inne idą za nim. Przez ten czas, trzeci rozbojnik, *kayde*, stoi przy wniściu do namiotu, z maczugą w ręku, gotów zabić pierwszego ktoby wyszedł, a po dokonaniu kradzieży łączy się z towarzyszami. W niejakiej odległości od obozu, każden chwyta za ogon jednego z najsilniejszych wielbłądów i ciągnie go z całej siły; wtedy zwierze puszcza się galopem wlokąc za sobą Araba; inne lecą za niemi i przybywają tam gdzie czeka reszta gromady. Wówczas niosą pomoc mostambechowi i wracają do obozu. Jest to dobry figiel, wypłatany właścicielowi wielbłądów, który obudziwszy się, widzi, że mu skradziono kilkadziesiąt sztuk nie przerywając bynajmniej jego spoczynku: złodzieje grzecznie się obeszli.

Jeżeliby przypadkiem jeden z towarzyszów został schwytany, uległby dziwnemu bardzo obejściu, które jest dowodem, między tysiącem innych, tego domyślnego prawa, czuwającego nad wszystkiemi narodami i ochraniającego ich od zniszczenia, któreby sprowadziły nieochybnie ich anty-socyalne nałogi. Stosownie do niezmiennych zwyczajów pustyni, jeśli jeniec Araba zdoła dotknąć inną osobę, albo jaką rzecz którą ona trzyma w ręku, jeśli chociaż tyle jest zręcznym iż pośrednio się z nią zetknie rzucając na nią kamieniem albo śliną z ust swoich i w téjże chwili zawoła, *jestem pod twoją opieką*! już został ocalony; osoba dotknięta musi mu udzielić żądanéj opieki.

Pojmujemy zatém, że więzień tém ściśléj bywa trzymany, im więcéj zależy temu który go schwytał, aby go pozbawił tego zachowawczego prawa. Obydwa toczą nieustanną walkę podejścia. Co rano, Arab usiłuje wymódz na swoim złodzieju, ażeby wyrzekł się prawa opieki, a jeżeli namowy nie skutkują, ucieka się do razów. Lecz, ponieważ to wyrzeczenie ważne jest tylko na dzień jeden, trzeba nazajutrz rozpoczynać tęż samą formalność, którą także powtarzają co do każdéj osoby przychodzącéj w odwiedziny.

Arab zniewolony pilnować jeńca w namiocie swoim, musi używać nadzwyczajnych środków ostróżności dla uchronienia się od prawa opieki; i tak, kopie dół na dwie stopy głęboki i wsadza tam złodzieja, związawszy mu ręce i nogi, przymocowawszy mu głowę za włosy tak, iż nią ruszyć nie może: grube kije położone są w poprzek dołu i przez nie widać tylko część ciała nieboraka, któremu na domiar przykrości tyle tylko dają pożywienia, aby z głodu nie umarł.

Pomimo tak nieznośnego położenia, Beduinowie nieraz przez pół roku wolą je znosić, a niżeli wyjawić swoje nazwisko, zwłaszcza jeżeli należą do bogatych rodzin. Rzadko się zdarza, aby przez ten czas nie wyczerpała się cierpliwość posiadacza; sam bowiem nie mniéj jest udręczony takim dozorem; i naprzykład, gdyby którekolwiek z jego dzieci zbliżyło się do więźnia i dało mu kawałek chleba, musiałby go natychmiast uwolnić. Nie dosyć na tém; należy chronić się plwania, bo cho-

ciaż więzień ma głowę przymocowaną za włosy, umie z daleka wyrzucać ślinę przez otwory swojéj klatki. Oprócz tego, surowość więzienia wkrótce naraża życie pacyenta, a Beduinowie są przekonani, że krew więźnia spadnie na ich głowę.

Przez czas téj niewoli, przyjaciele jeńca czynią wszelkie wysilenia aby go oswobodzić. Niczego nie zaniedbują, przemocy, podejścia, dowcipu, proźb, pogrożek, a w téj walce Arabowie okazują cudowną zręczność i niesłychany zapas dowcipnych wynalazków. Jedno z podejść najbardziéj używanych jest: kobieta, matka albo siostra więźnia, przychodzi do pokolenia, niby zabłąkana i prosi o gościnność. Gościnność jest zachowawczą cnotą u ludów, nieznających żadnéj innéj. Wynalazłszy namiot gdzie jéi syn lub brat jest zamknięty, wkrada się tam pod jakimkolwiek pozorem, z kłębkiem nici. Jeden koniec téj nici jest umieszczony w ustach więźnia, a kobieta wychodząc rozwija kłębek aż do pobliskiego namiotu; tam przyszedłszy, kołace; pan wychodzi, ona w tenczas przykładając mu do piersi drugi koniec nici, zaprowadza związek między nim i uwięzionym.

»On jest pod twoją opieką« woła kobieta. Natychmiast Arab wykonywa swoją powinność; idzie do sąsiada, któren uwolniając więźnia daje mu dobry obiad i pozwala wrócić do swego pokolenia.

PIOTR PUSTELNIK.

Jednem z najważniejszych zdarzeń w historyi, są krucyaty, czyli wyprawy chrześcian na odzyskanie grobu Jezusa Chrystusa podejmowane. One dały nowy popęd umysłom, one utworzyły nowe drogi handlu, one przeniosły do zdziczałéj Europy swietne sztuki i zabytki cywilizacyi wschodnich krajów; od nich zaczyna się pasmo wypadków, nie przerwanym biegiem rozwijających się aż do naszych czasów. Zamierzając skreślić obraz wojen krzyżowych, zaczynamy od opisania życia człowieka któren im dał początek; człowiekiem tym był Piotr pustelnik.

Należy on do rzędu tych ludzi, którzy jak się zdaje nie byli przeznaczeni do zajmowania znakomitego miejsca w historyi i tylko zbiegiem okoliczności, niespodzianą zyskali sławę; i z téj właśnie przyczyny nie ma dokładnych o jego życiu wiadomości; nie zgadzają się nawet względem nazwiska jego familii. Anna Komnena nazywa go: *Cucupetrus,* od wyrazów greckich które przetłumaczono po łacinie *Petrus Cucullus.* Jezuita Utreman opisał jego historyą lecz bardzo niedokładnym sposobem. Mówi w dziele swojem że Piotr otrzymał bardzo staranne wychowanie, że zaczął nauki w Paryżu, a dokończył ich we Włoszech. Podług opowiadania tego autora, Piotr wybrał sobie najprzód zawód wojskowy, lecz doznał samych tylko przeciwności, stracił nadzieję wywyższenia się w tym zawodzie i szukał szczęścia w pożyciu domowem, lecz i tam go nie znalazł. Po kilku latach małżeństwa, stracił żonę z której miał kilkoro dzieci, został zakonnikiem i zamknął się w samotności.

Odgłos pielgrzymstwa do wschodnich krajów, w krótce wywiódł go z ukrycia; razem z innemi pielgrzymami odwiedził grób święty w Jerozolimie i wynurzył patryarsze Jerozolimskiemu, jak mocno ubolewa nad niewolą świętego miasta. Patryarcha Symeon skłonił go aby powrócił do Europy i błagał wsparcia chrześcijańskich wojowników. Słowa patryarchy do najwyższego stopnia podnieciły zapał Piotra pustelnika.

W tém przekonaniu że jest narzędziem Boga, Piotr bierze listy patryarchy, siada na okręt płynący do Włoch, przybywa do Rzymu i pada do nog papieża Urbana II. Ojciec święty pochwala jego powołanie i rozkazuje mu aby zapowiadał bliskie oswobodzenie grobu Jezusa Chrystusa.

Pustelnik przebiega Włochy, Francyą i większą część Europy, głosząc krucyatę przeciw niewiernym. Podróżował, siedząc na ośle, z krzyżem w ręku, z odkrytą głową, z ciałem przepasaném grubym sznurem, w grubym habicie i płaszczu pustelniczym. Ze wszech stron zbiegano się dla słuchania tego apostoła, opowiadającego nieszczęścia Bożego miasta i tyraństwo niewiernych. Za szczęśliwego poczytywał się ten, kto mógł dotknąć się jego odzieży.

Pośród wzruszenia umysłów zrządzonego przez te kazania, papież zwołał zbór najprzód do Placencyi, a potém do Klermontu w Owernii. Piotr przybył tam i znowu opowiedział tonem natchnionego człowieka, jakiego poniżenia i świętokradztwa był świadkiem w Jeruzalem, jakich prześladowań i udręczeń doznawać muszą pielgrzymi. Zapał, którego opisać nie podobna, ogarnął całe chrześciaństwo, a tłumy które podbudził we Francyi, żądały aby im przewodził w wyprawie.

Wówczas to ujrzano zadziwiający widok, wojska, albo raczéj niezliczonego tłumu wojowników, kobiet, dzieci, starców i chorych, mających na czele swojém, ubogiego pustelnika, odzianego wełnianym płaszczem, z kapturem na głowie i siedzącego na cichém zwierzątku, na którem całą Europę objechał. Ciemny ten tłum sądził, że



PIOTR PUSTELNIK.

na rozkaz Piotra rzeki rozstąpią się przed nim, a manna z nieba spadnie, aby go żywić. Okrutne doświadczenie w krótce rozproszyło te złudzenia.

Wojsko Piotra dzieliło się na dwie części; jedną dowodził szlachcic burgundzki zwany Gotier bez mienia, a Piotr drugą. Gdy krzyżowcy wkroczyli do Węgier, obudzili wszelkiego rodzaju nadużyciami gniew dzikich mieszkańców téj krainy i wielka ich liczba zginęła w bitwie pod Semlinem. Gotier ocalił swój korpus przez roztropność i umiarkowanie, lecz korpus Piotra z trudnością zdołał zebrać się i w bardzo nędznym stanie dostał się do Konstantynopola.

Cesarz Alexis, chciał widzieć Piotra pustelnika, dostarczył mu żywności i okrycia; lecz krzyżowcy, przeprawiwszy się do Azyi mniejszéj, wycięci zostali przez niewiernych. Ten smutny wypadek był skutkiem niedoświadczenia Piotra i innych wodzów wyprawy. Nie chcieli czekać na wojska chrześcijańskie, które za ich przykładem wyruszyły z Europy, pod dowództwem xiążąt i hrabiów. Taki nieład panował między temi zbrojnemi pielgrzymami, iż wszędzie dopuszczali się jak największych nadużyć i mieszkańcy krain przez które przechodzili, musieli przeklinać ich przedsięwzięcie. Ze stu tysięcy ludzi, których Piotr wyprowadził z Europy, zostało ledwie cztery tysiące; ocalił je cesarz Alexis, wysławszy z Konstantynopola wojsko na ich ratunek.

Po tak smutnym wypadku, Piotr zmieszał się z tłumem krzyżowców, którzy nadciągnęli pod dowództwem Godfreda z Bouillon; historya poświadcza, że przy końcu stracił zaufanie w sprawie której był ogłosicielem. Krzyżowcy cierpieli okropny niedostatek. Piotr skrycie opuścił obóz, lecz schwytał go Tankred, przyprowadził nazad, publicznie naganił mu to zbiegostwo i zniewolił go do zaprzysiężenia na Ewangelią że ich nie opuści.

Odtąd Piotr, co raz bardziéj tracił na znaczeniu i powadze, a gdy Krzyżowcy weszli do Jerozolimy, miał mowę do wojowników zgromadzonych na górze Oliwnéj, Powrócił potem do Francyi w dyecezyi Liege założył klasztor, i tam dokonał

życia 7 Lipca 1115. Słusznie utrzymują, że Piotr Pustelnik dla tego tylko wywarł taki wpływ na współczesnych sobie, że umysły już były przygotowane do wielkiego religijnego popędu któremu dał początek i tak opłakanym poprowadził go sposobem.

358

RUBENS.

Przez świetność życia swego, Rubens stanowi jedyny wyjątek w rocznikach sztuki. Nie tylko był malarzem z nadzwyczajnym geniuszem, lecz żył z xiążęcym przepychem i należał do wszystkich politycznych wypadków swego czasu, a dyplomatyka równie się o niego dopomina jak malarstwo.

Rodzice Rubensa wynieśli się z Antwerpii, z powodu zamieszań które trapiły Belgiją w XVI wieku i osiedli w Kolonii; tam urodził się Rubens 29 Czerwca 1577. Ojciec jego był człowiekiem świattym, starał się o rozwinięcie władz umysłowych syna, i przeznaczał go do sądownictwa. Rubens nie czuł w sobie powołania do tego stanu, a po śmierci ojca powróciwszy do Antwerpii, ukończył jak najświetniéj nauki szkolne i oddał się malarstwu. Umieszczono go najprzód w szkole malarza Adama von Ort, który posiadał reputacyą biegłego artysty, lecz poniżał swój talent grubiańskiem i nierządnem postępowaniem. Rubens porzucił go w krótce i przeniósł się do Oktawiusza von Veen, znanego pod nazwiskiem Otto Venius; u niego znalazł wzory wdzięków, geniuszu, kolorytu, piękności pędzla, a razem dobroć i wytworność obyczajów. Mając lat dwadzieścia trzy, już wyrównał swoim nauczycielom i puścił się do Włoch.

Zatrzymał się najprzód w Wenecyi, dla rozważenia dzieł Tycyana, Pawła Veronesé i Tintoreta. Z tamtąd, xiąże Mantuański powołał go do swojego dworu. Rubens otrzymał tytuł szambelana i malarza Jego xiążęcéj Mości. Xiąże coraz bardziéj go szacował i odkrywając w nim wielką zdolność do interessów dyplomatycznych, wysłał go do Hiszpanii z podarunkiem przepysznego cugu sześciu koni neapolitańskich, dla króla Filipa III. Za powrotem z Hiszpanii, obdarzył go nowemi zaszczytami i pozwolił mu udać się do Rzymu. Następnie zwiedził Rubens Florencyą i Bolonią, powtórnie odwiedził Rzym i Wenecyą, udał się do Medyolanu, a potém do Genui; w którém to mieście zatrzymała go przez kilka lat życzliwość mieszkańców i łagodność klimatu. W tych wszystkich miastach, rozważał arcydzieła sztuki, dla wybadania tajemnicy ich piękności, i wiadomo jest, że jeśli cała Europa uwielbia czarowną piękność jego kolorytu, Rubens, naczelnik szkoły flamandzkiéj przejął ją po części od najznakomitszych mistrzów szkoły weneckiéj. Od lat dziesięciu już był oddalony od swego kraju, gdy dowiedziawszy się o niebezpieczněj chorobie matki, pośpieszył do niéj, lecz zaledwie zdołał przybyć na czas dla przyjęcia jéj ostatniego błogosławieństwa. Rubens uczcił pamięć matki i okazał żal swój i przywiązanie, wzniesieniem wspaniałego grobowca. Dopełniwszy téj powinności, byłby powrócił do Włoch, lecz arcy xiąże Albert wielkorządca Niderlandów, i jego małżonka Jzabella, uznali, iż dla chwały Belgii wypada zatrzymać w kraju, tak znakomitego malarza. Obsypany zaszczytami, kazał dla siebie wystawić w Antwerpii dom, który stał się pałacem sztuk pięknych, i od tego czasu, chociaż ożenił się wkrótce, zadziwiał tak obfitością jak i zaletami swoich płodów.

Nie będziemy usiłowali wyliczać wszystkich dzieł Rubensa; nie ma ani jednego miasta w Belgii, ani jednéj sławniejszéj galeryi, gdzieby nie znajdowały się jego prace; wspomnimy zatém o najznaczniejszych dziełach. Między niemi, najpierwsze miejsce zajmuje *Wzniesienie Krzyża.* Kościół dominikanów w Antwerpii posiada sławne *ukrzyżowanie Chrystusa między dwoma łotrami*, jeden z najbardziéj zadziwiających utworów malarstwa, a w którym geniusz artysty okazuje największą śmiałość i świetność. Drugiém arcydziełem jest *Zdjęcie z Krzyża,* które znawca Rejnolds uważa za jedną z najpiękniejszych postaci, jakie kiedykolwiek utworzył pędzel malarza. Kościół katedralny w Antwerpii posiada obraz *Wniebowzięcia Najświętszéj Panny Maryi*, a w kościele S. Augustyna jest obraz wystawiający *Małżeństwo Stej Katarzyny*; te wszystkie płody można równać z arcy-dziełami Michała Anioła i Rafaela.

Marya Medicis wezwała go do wymalowania obrazów w pałacu Luxemburg, w którym umyśliła mieszkać. Ztąd powstał wspaniały zbiór 21 obrazów, wystawiających pod allegoryą, życie królowéj, od jéj urodzenia, aż do pojednania się z synem w 1620. Między niemi celuje obraz wystawiający urodzenie Ludwika XIII w Fontainebleau; twarz królowéj wyraża w nim dwa przeciwne uczucia, złączone z sobą, radości i boleści. Galerya ta zabrała Rubensowi tylko dwadzieścia miesięcy czasu i znajduje się teraz w Muzeum paryzkiém w Luwrze.

W Paryżu, Rubens zapoznał się z xięciem Bukingham ulubieńcem króla Karola Igo. Xiąże mówił z nim o nieporozumieniu między Hiszpanią i Anglią i oświadczył iż pragnie aby je można usunąć. Za powrotem do Bruxelli artysta wyjawił to arcyxiężnie Jzabelli i otrzymał od niéj rozkaz porozumiewania się listownie z xięciem Buckingham. Posłany był potém do Madrytu, a z tamtąd do Londynu, z wierzytelnemi listami króla Filipa IV. Talent jego ułatwił mu przystęp do Karola Igo, który także okazał życzenia zgodne z oświadczeniami Buckinghama; wtedy wyznał Rubens że ma pełnomocnictwo do pojednania dwóch mocarstw. Po dwu miesięcznych naradach, stanął pokoj, a monarchowie na wyścigi obsypywali Rubensa dowodami wspaniałości i zadowolenia.

Następnie, poruczono mu negocyacye z Holandyą, z Maryą de Medicis, z Władysławem IV królem polskim, i z innemi xiążętami.—Jednakże polityka nie oderwała go od malarstwa. Jego pobyt w Paryżu, w Madrycie i Londynie nie był bez owocnym dla sztuk pięknych, i spis obrazów Rubensa, do 1500 dochodzi. Traktował wszystkie przedmioty; jego obrazy historyczne, pejzaże i portrety noszą jednakie piętno geniuszu.

Prywatne życie Rubensa godnie odpowiada jego geniuszowi. Wspaniałomyślnie używał bogactw które zebrał pędzlem swoim. Chociaż wielu z jego uczniów świetną sławę zyskało, ich powodzenia nie wzbudziły zazdrości w jego sercu. Mało można przytoczyć ludzi tak czynnych i tak liczne posiadających wiadomości; oprócz języka łacińskiego, umiał także po francuzku, angielsku, włosku i hiszpańsku. Żądza pracowania pożerała go nieustannie. Malując, kazał czytać sobie najlepszych autorów łacińskich i greckich. I to tylko bezustanne zatrudnienie, wytłumaczyć nam zdoła nadzwyczajną liczbę dzieł jego, gdyż Rubens nie żył długo; miał dopiero lat 63 gdy 30 maja 1641 umarł na podagrę, która jego ostatnie dni udręczyła.

LITERATURA

Teatr hiszpański.—Kalderon.

(dokończenie)

W dalszym ciągu zarysu teatru hiszpańskiego zajmiemy się sztuką Kalderona, Lekarz swego honoru, jedyną (jakeśmy już o tém namienili), któréj przekład posiadamy w naszym języku.

Sam tytuł sztuki wskazuje że obraza honoru będzie przedmiotem dzieła. Podług naszych wyobrażeń o honorze, przywiązujemy jego obrazę do czynów i występnych chociażby nawet niespełnionych zamiarów. Wyobrażenie o honorze i jego nietykalności, daléj posunął autor hiszpański. Kobieta podług niego, nietylko występną bydź nie powinna, ale nawet sam cień podejrzenia już ją plami, już ją czyni godną kary. *Wszakże i słońca chmura czarna nie dotyka a jednak zaćmić może jego promień złoty* (mówi) Walka wewnętrzna powinności z miłością, która na scenie tak mocno zajmuje widzów, nie ma w Kalderonie żadnéj wartości w oczach obrażonego męża. Pomysł Lekarza Honoru jest następujący:

Don Gutyer, wazal hiszpański, poślubił sobie *Donnę Mencyą*, która już pierwéj kochała Infanta *Enryko* brata królewskiego. Przypadkiem na łowach, Infant zrzucony z konia utracił przytomność i w tym stanie przyniesiony został przed dom Gutyera. Mencya wychodzi i poznaje dawnego kochanka.—Jak szlachetne uczucia w jéj sercu panują!

DONNA MENCYA.

Nakoniec jestem sama!—jakąż pójdę drogą?..
Honoru surowego słuchając wyroku,
Mogęż martwe w tém sercu ożywiać uczucia?...
(*Westchnąwszy, kładzie rękę na piersi*)
Ktoby się zdołał włamać do tego sklepienia,
I na wieki zamkniętą wykrył tajemnicę,
Ach! same tylko ślady ujrzałby zniszczenia,
Zdroj uczuć wysączony przez moje źrzenice!
Zimny ponik płomienia który już nie pala,
Czczy i pusty zabytek, gdzie miłość mieszkala!
Cóżem rzekła niebaczna? Nie słysz mię powietrze!
Oddaj, coś drżącym ustom skradło płochym lotem!
Niech się i cień przeszłości w méj pamięci zetrze,
Co przed sobą ukrywam, niech świat nie wie o tém?...
Alboż to moją wolą moja własna wola?
Mogęż ja mojém sercem rządzić samowładnie?
Już uczuć własnych nie mam; cierpieć moja dola,
I zapomnieć na wieki, co los ukrył na dnie.
Honoru idąc drogą, cnotą uzbrojona,
O boleściach kochanki nie chce wiedzieć żona.
Jak się w gwałtownym ogniu sprawdza wartość złota,
A twardość dyamentu dyamentem ściera;
Tak w walce sama z sobą doświadcza się cnota,
Lub odnosi zwycięztwo, lub pięknie umiera!

Don Enryko przychodzi do zmysłów. Nie wiedział jeszcze o zamęźciu Mencyi. Na jéj widok, zapala się jego namiętność, Gutyer odprowadza go do Sewilli; tam zanosi na Gutyera skargę przed królem jedna z dam tego miasta, Donna Leonora że ją miał zaślubić, a po tém opuścił. Zapy-

tany Don Gutyer, daje za przyczynę swéj zmiany to, że widział mężczyznę wychodzącego w nocy z domu Leonory. Don Aryas, jeden z orszaku Infanta występuje, objawia prawdziwą przyczynę swego pobytu w domu Leonory i wyzywa Don Gutyera. Król obrażony tą ujmą swojéj dostojności, obu w więzieniu osadza. Infant korzystając z tego zdarzenia, przekupiwszy służących wkrada się w nocy do ogrodu Donny Mencyi.

DON ENRYKO (sam)

Jakażto skryta moc zachwycenia
W méj tęsknéj piersi ogień rozniecał?
Najsłodsze czucia budzi z uśpienia,
Posępnéj głębi jasno przyświeca.—
Kiedy przeczucie, płód omamienia,
Takiéj rozkoszy rozlewa zdroje;
Jakże znieść zdołam pocisk spojrzenia,
Którym jéj oczy uderzą w moje?
Jeszcze nie słyszę wdzięcznych ust głosu,
Już myśli polot żywi nadzieję:
Na rozkosz niebian nie zmienię losu,
Gdy słodki podźwięk w duszę przeleję!...
Przyjmcie mię drzewa pod wasze cienie,
Roztocz się gęsto liściu zielony,
Niech ujrzę gwiazdy błogie promienie,
Niemi napoję mój wzrok stęskniony!...
W cieniach się waszych krył Akteon tkliwy,
Gdy swemu bóstwu niósł serca ofiarę;
Niech z nim podzielam i rozkosz i karę,
Drzewa! dozwólcie niech będę szczęśliwy.

(kryje się w krzewinę)

Przebudzona Donna Mencya, chce nakłonić Infanta aby się oddalił.

DON ENRYKO.

(zatrzymuje ją i przymusza usiąść)

Nie sądź, iż nie wiem, co twéj czci należy,
Jaki hołd twojéj mam okazać dumie?
Kto za snem szczęścia na wyścigi bieży,
Ten je na jawie pewnie cenić umie!...
Rzeszę myśliwych przywiodłem w te strony,
Która za białym tęskni dnia promieniem,
By się w tych kniejach za chybkim jeleniem,
W chlubne o wyścig puściła przegony,
Niechaj się bawi igrzyskiem tak miłém,
Ja sieć na inny połów zastawiłem,
Tyśto orlico najpieszczeńszych piórek,
Z gniazda Olimpu, pierwsza z bogów córek.
Którą wdziękinie na ten poziom zniosły!
Ciebie pozyskać mój zamiar wyniosły,
Ciebie oswoić, mój to zamysł dumny!
Lecz ty orlico rączo bijesz wiosły,
Bierzesz lot chyży olimpskiego gońca,
Wzlatasz przedemną do pałacu słońca,
W jarego światła kryjesz się kolumny!

DONNA MENCYA (w obłąkaniu)

Nie wiem czy orzeł skrzydłem w słońce bije,
Nie wiem czy biedna orlica podoła,
Lot królewskiego wyścignąć sokoła
Lecz wie ptak wszelki, co mieszka na lesie,
Że dumny orzeł pewną zgubę niesie,
Że się daremnie w obłokach nie wije!

(z trwogą)

Zgubisz mię książe! zgubisz! ach to mało—
Mój honor zniszczysz na wieki zakałą!

W tém, daje się słyszeć głos Don Gutyera, który wydostawszy się z więzienia, na parę godzin przyjechał do żony. Mencya przestraszona ukrywa Infanta i aby go po tém nie postrzeżonego wypuścić, woła, że jakiś mężczyzna ukrył się w jéj pokojach. Gdy mąż na szukanie jego wybiega, ona gasi światło, a tymczasem niewolnica wyprowadza Infanta. Gutyer znajduje sztylet który Don Enryko przypadkiem zgubił; to już obudza jego podejrzenie, lecz tłumiąc je udaje się na powrót do więzienia. Król przebacza mu i wraca wolność; wówczas Gutyer postrzega że sztylet ten zupełnie podobny jest do sztyletu Xięcia.

DON GUTYERE.

Trętwieję! przebóg! cóż to ja widziałem?
Jasno widziałem oto temi oczy!...
Teraz honorze czas pomówić z sobą!
Jesteśmy sami, pomówmy surowo.—
Alež niestety, kto kiedy wysłowi,
Kto myślą pojmie te krwawe katusze,
Które bolesnie szarpią moją duszę?
Kto te potwory, te widma okryśli,
Które zbójecko snując się po myśli,
Krwią swego łupu
Pragną okupu!...
Zrywa się burza, głucho wichrzy na dnie,
Tak zawsze bywa, za nim grom wypadnie.
O zapłacz głośno serce boleścią przeszyte,
Niech się przez okna duszy twa boleść wytoczy!
Z téj przyczyny łez gorzkich nie wstydźcie się oczy,
Anioł z nieba w zwyczajną zmienił się kobietę!
O Mencyo, Mencyo, płaczu mego godna,
Nieszczęśliwa, najmilsza... co mówię? wyrodna!
Wstydź się! jestešże mężem? tobież łzy przystoją?
Być surowym jak honor, powinnością twoją.
Kto boleść słowy karmi, pochlebia boleści,
Obiera broń niemęzką, własną płci niewieści.
Okaż raczéj niezłomność w tak smutnéj potrzebie,
Wzgardź nikczemną, gdy winna, odtrąć ją od siebie.
Jak orzeł patrząc w słońce nie zbija się z toru,
Tak i ty siebie godzien patrz w światło honoru. —
Lecz rozwińmy treść sprawy pilnie od początku,
Rozmotawszy zawiłość, może dojdziem wątku.
Przybywam niespodzianie w noc do mego domu,
I zaraz na mój rozkaz otwiera się brama;
Wiem, że jakiś mężczyzna wszedł w dom pokryjomu!
Lecz o tém ona, ona powiada mi sama!—
I któżby się w tym wirze dowcipem pochlubił?
Czuję że się nie mojém zatrudniam rzemiosłem!....
Oto sztylet nieszczęsny, który tam podniosłem,
Czyliż go z moich dworzan przypadkiem kto zgubił?
Lecz rękojeść podobna xięcia rękojeści....
Albož i tego cudu przemysł nie uiścił?
Gdzież dzieło ludzkiéj ręki, sztuka tak misterną,
By jéj nic nie zrównało przez podobność wierną?
A potém, gdyby Infant—szkaradna sromoto!
Był w istocie ukryty,—onaż temu winna?...
Przekupstwo zdradę rodzi—chytrość sług uczynna,
A gdzież zamek, którego nie otworzy złoto?. .
O! witaj słodka myśli, przeminęła trwoga,
Mencya jest niewinną, niewinną na Boga!
Któżby chciał w czystym blasku przyćmić klejnot cnoty?
A przecież... gdyby... widzisz, jak uwaga marna!
Wszakże i słońca—chmura nie dotyka czarna,
Wszelako zakryć może jego promień złoty.
Już świat pozór potępia; jéj wina w pozorze —
O! w jakżeś niebezpieczną wpadł słabość honorze!
Zdrowie twoje jad toczy, żółcią poi skrycie.
Na słabym tylko wątku wisi twoje życie,
Gdy na cnocie ułomnéj zawisło kobiety!
Ja będę twym lekarzem, tak, ja sam niestety!

Użyję wszystkich środków z wszelkiem poskromieniem,
By chorobę nie zwiększyć, a wydrzeć z korzeniem.
Wszak lekarz wprzód doświadcza i ściśle ocenia,
W jakim stopniu jest słabość, czy do uleczenia?
Dziś jeszcze, gdy noc tajna czarny płaszcz roześciele,
Wnijdę skrycie i będę—o hańby za wiele!
Będę śledził, czatował bystrem sępa okiem!
Choć mię piekło uderzy zabójczym widokiem,
Zniosę pogrom cierpliwie, jakby głaz milczący,
Zniosę boleść, katusze, zniosę jad trawiący,
Zniosę wszystko, czém zazdrość kaleczy piekielnie!
Zazdrość? ha! otóż piorun! ugodził śmiertelnie...
O biada! biada mówię! biada takiéj żonie!
Która zazdrość wylęgnie w dzikiém męża łonie!
Tam gdzie ten gad zjadliwy, żywioł ma dostatni,
Tam środek tylko jeden—okropny, ostatni!

Nieszczęsne jego podejrzenie, smutnym zbiegiem zdarzeń mimo niewinności Mencyi, w jego oczach zamienia się w pewność. Wyszedłszy z więzienia, niespodziewanie w nocy wraca do domu i zastaje Mencyą śpiącą w altanie, z lekka ją budzi, i cichym głosem do niéj przemawia, a Mencya snem rozmarzona, bierze go za Infanta, i tym sposobem wyjawia przed nim podejście, którego użyła w akcie drugim.

Co więcéj... Don Gutyer skarży się przed Królem na zamysły Infanta krzywdzące jego honor, i składa Monarsze znaleziony sztylet Xiążęcy. Król przywołuje Enryka, każe Gutyerowi skryć się za kotarę i przy nim bada swego brata. W tenczas dowiaduje się Gutyer, że Mencya kochała Infanta pierwéj jeszcze aniżeli poszła za niego. Enryko, po stracie łaski królewskiej, zamyśla uciekać na pustynię. Mencya dowiedziawszy się o tém przed. się wzięciu, obawia się aby właśnie ten krok nie przyniósł krzywdy jéj honorowi. Za namową Jacynty swéj powiernicy, pisze do niego bilecik, zaklinając go na miłość ku niéj, aby pozostał. Gutyer wydziera jéj z rąk to pismo, a tém do reszty przekonany o jéj niewiarze, postanawia odebrać jéj życie. Zamyka żonę w ustronnych pokojach, oddala służących, sam sprowadza lekarza z zawiązanemi oczyma i każe nieszczęśliwéj Mencyi krew z żył puścić. Lekarz zniewolony trwogą, spełnił okropny rozkaz, a wychodząc, dla poznania miejsca, zakrwawioną ręką wycisnął znak na bramie. — W ostatnich scenach przybywają wszystkie działające osoby, Król uwiadomiony od lekarza o téj zbrodni, Infant zapóźno wezwany przez służącą zamordowanéj ofiary, i wchodzą do domu Gutyera; charakter tego dzikiego Hiszpana wiernie jest utrzymany do końca.

KROL

Wszak na każde nieszczęście jest lekarstwo przecie?

DON GUTYERE (z porywczym wybuchem)

Na wiarołomność żadnego na świecie!

KROL (spokojny)

I owszem.

DON GUTYER (żywo)

Jakież?

KROL.

Twoje własne.

DON GUTYER (tknięty)

Jakto?

KROL.

Krew puścić.

DON GUTYER (zachwiawszy się mówi)

Biada!

KROL (z oznaczeniem)

Każ zatrzeć to znamię
Które dłoń krwawą wskazuje na bramie!

DON GUTYER.

(po krótkiem upamiętaniu się, z dziką dumą.)

Wszakże tak czyni rzemieślników rzesza:
Czem się kto trudni, u drzwi znak wywiesza;
Dla mnie był honor rzemiosłem zbyt miłem,
Przeto dłoń krwawą na znak wywiesiłem,

KROL

Gdyś ty krew obrał za honoru źródło,
Ja miecz obieram za królewskie godło;
Piorunem prawa uzbrajam me ramię.
I hańbą trzaskam w twoje krwawe znamię!
Śmierć nie jest karą, gdy się jawi codzień,
Gdy nią umiera niewinny i zbrodzień;
Weź życie z łaski, dla tego jedynie,
Abyś libijskie zamieszkał pustynie!
Tam barbarzyńco krwią niewinną zlany.
Zbójco z przywidzeń zadający rany,
Naucz tygrysy sztucznie krew przelewać,
I z plam urojeń dziki honor zmywać!
Tam nosząc żalem skaleczone serce,
Proś lwa srogiego, by zgubił mordercę!
Jesteś wygnańcem! Twe dobra, honory,
Jak i twe imie daję Leonorze,
Którąś szaleńcze do podejrzeń skory,
Zbytkiem honoru skrzywdził na honorze.

Gutyer przekonawszy się wówczas, że Mencya była niewinną, życie sobie odbiera.

Jakkolwiek ta sztuka mało ma stosunku z naszym sposobem widzenia rzeczy; przyznać jéj musimy znakomite piękności. Jest w niéj ciągle utrzymana interessowność, ciekawość i trwoga czytelnika ciągle wzrasta. Charakter Gutyera jest w wysokim stopniu traiczny; charakter Mencyi pięknie skreślony, jest ona niewinną i nieszczęśliwą ofiarą dawnéj miłości i dzikich urojeń honoru.



RATUSZ W WROCŁAWIU.

WROCŁAW.

Prawie w samym środku Szląska, na rozległéj i bujnej płaszczyznie, ograniczonéj na południe i zachód górami Glatzu, Zobten i Sudetami, wznosi się po obu stronach Odry, jednak po większéj części na lewym brzegu, miasto **W r o c ł a w.** W odległéj trudnéj do zbadania przeszłości, najprzód wspominany pod nazwiskiem Wracisława czyli Wortisława w kronice Ditmara Merzeburskiego, który w latach 1016—1017 towarzyszył cesarzowi Henrykowi II. w wyprawie przeciwko Bolesławowi Chrobremu. Już samo imię, wielu innym słowiańskim miastom wspólne (np. Bracław w Małéj-Polsce, Bracław w Litwie, Inowrocław — Wrocławek nad Wisłą, także w imionach Bolesław etc.) dowodzi, że ten gród słowiańską był osadą. Kazimierz I. Mnich, roku 1052 wybudował w Wrocławiu zamek i kościół katedralny. Biskupstwo Wrocławskie po nawróceniu kraju roku 965 założone, w roku 1000 przez Ottona III. do Arcybiskupstwa Gnieźnieńskiego przyłączone było, lubo z początku nie w Wrocławiu, ale w Smogorzewie katedra fundowana. Kraj ten zwał się terra Wratislaviensis, później dopiero terra Silensis (Szląsk). Jako mieszkanie Biskupa i starosty, Wrocław stał się stolicą całego kraju i wzrastał coraz bardziéj. W testamencie Władysława Hermana, który umarł roku 1102, grody Kraków, Wrocław, Sandomierz, wymienione są jako główne miasta królestwa. Pierwszy wielkorządca czyli starosta, o którym kroniki wspominają, zwał się Magnus; lecz najsławniejszym z nich był ów **P i o t r D u n i n.** Ten pod Bolesławem Krzywoustym około roku 1102, z wielkiemi skarbami, zapewne z rozboju morskiego zebranemi, do Polski przybył, i znaczne w Szląsku i w Polsce posiadał dobra. On to założył klasztor na Piasku około roku 1110 i Ś̄go Wincentego, roku

1130. Najprzód Benedyktyni, potém, gdy ten zakon podupadł, Cystersi i Norbertanie z Francyi sprowadzeni, w nim mieszkali.

Zamek królewski nie był inny, jak ten, którego szczątki dotychczas za kościołem Śgo Krzyża pozostały, składające się z staréj baszty i murów około ogrodów kanoników. Lecz w mieście był jeszcze drugi zamek. Roku 1241 Tatarzy wpadli do Wrocławia, i spalili nie dawno pożarem zniszczone miasto: jednak po bitwie pod Lignicą znowu się Wrocław poczynał wzmagać. Teraźniejszą zaś postać przybrał dopiero po dwóch pożarach roku 1342 i 1344. Karól IV. król czeski, z domu Luxemburskiego, któremu Praga tyle winna, kazał miasto podług nowego planu odbudować i znacznie rozszerzyć. W téj postaci rozszerzony i ufortyfikowany Wrocław, stósownie do potrzeb czasu, zostawał aż do roku 1807. Po zdobyciu od Francuzów, którzy fortyfikacye zburzyli, w roku 1813 zaczęto dopiero znosić okopy, rozwalać mury, baszty, bramy, a na około miasta najpiękniejsze zakładać promenady. Wrocław jest zbudowany dość regularnie, domy są wysokie, a ulice po większéj części wązkie. Najgłówniejszym placem jest rynek w kwadrat, na którego środku, prócz wielu innych domów, stoi ratusz w gotyckim stylu z głównemi wschodami, od południa na rycinie odrysowany.

Czas, w którym go zbudowano, z pewnością oznaczyć się nie da; lecz zapewne w pierwszéj połowie 14go wieku, za panowania Jana króla czeskiego. Zewnętrzne ozdoby, łuki i małe wieżyczki, są zupełnie w guście naówczas panującym; przeciwnie, wierzchołek wieży dopiero roku 1559 osadzony, w niderlandzkim sposobie. Pomiędzy pokojami ratusza, największa i najwspanialsza sala xiażęca, gdzie xiażęta i królowie zagajali sejmy: roku 1741 Wrocławianie złożyli tutaj homagium Fryderykowi II., królowi Pruskiemu.

Drugi gmach na szczególną zasługujący wzmiankę, jest kościół Śtéj Elżbiety.

Na fundamentach dawniejszéj świątyni, zburzonéj podczas napaści Tatarów, wzniesiono od roku 1252—1257 nowy okazalszy kościół, któren w czasie Reformacyi ewangelicy objęli. Wieżę zaczęto budować roku 1452, a roku 1482 doprowadzono do 230 łokci Wrocławskich, mało co niższéj od wieży Śgo Stefana w Wiedniu. Lecz niestety! nie dostawało najważniejszéj rzeczy, trwałości, tak, że już w 47 lat po ukończeniu, wyznaczono 300 złot: dla tego któryby się podjął zdjąć jej wierzchołek. Lecz, nim to przyszło do skutku, cały szczyt (21. Lutego 1529) grożący ku północy upadkiem, na 140 łokci wysokości, straszliwą burzą na rynek zrzucony, żaden jednak człowiek ani zabity, ani uszkodzony nie został. Dotychczas widziéć można na murze obraz wystawiający to zdarzenie. Anieli chwytają spadającą wieżę z tym napisem:

Mirabilis in altis Dominus,
Collapsa est turris Siloae madefacta cruore.
Pyramide hac nostra nemo cadente perit.
Nam jussu Domini exceptam, cui gratia soli
Angelicae molem deposuere manus.
Podziwienia godzien Pan na wysokości,
Runęła wieża Siloash i krwią się ludzką zbroczyła;
Lecz naszéj wieży upadek nikomu śmierci nie zadał.
Albowiem z rozkazu Boga, któremu niech będą dzięki,
Anielskie ręce ująwszy, złożyły ciężar na ziemię.

Nowy wierzchołek w roku 1534 wzniesiony i 145 centnarami miedzi pokryty, 17 pozłacanemi gałkami ozdobiony, ma teraz ze wszystkiem 74 łokci wysokości; wcale nie jest tak kształtną i piękną, jak była pierwsza w kształcie piramidy. Wysokość wieży wynosi 322½ stóp Paryzkich, z których 191 aż do galeryi, a od galeryi aż do samego szczytu 131½ stóp. Z wierzchołka przepyszny widok na kilka i kilkanaście mil odległości. Wewnątrz podzielony kościół na trzy nawy, średnia wsparta na 18 filarach. Średnie sklepienie 52 łokci wysokie a 17 szerokie, 114 łokci długie, ma być najwyższe w Szląsku. Cała świątynia, pomimo ubocznych kaplic, z wysokich okien jasno oświecona. Dnia 10. Sierpnia 1649 o 4 godzinie z rana, kiedy nikogo nie było w kościele, zapadł się przedni wielki filar, a 13go, jeszcze dwa inne z organami i sklepieniem, tak, że 3cia część kościoła leżała w gruzach. Lecz we dwa lata odbudowany znowu ze składek miejskich. Obrazy i ołtarze wszystkie prawie z czasów katolickich, obok wielkiego ołtarza wiszą dotychczas chorągwie, niegdyś w czasie uroczystych obchodów używane.

Wrocław dzieli się na nowe i na stare miasto, ma 5 przedmieść 73 ulic 3 wielkie place, 3625 domow nie licząc w to 283 gmachów publicznych, około 90000 mieszkańców między temi 4000 żydów. Kościołów 26 kato: a 13 prote: i 21 klasztorów. Pomiędzy temi, najznaczniejszym jest kościół Śgo Jana. Wrocław jest stolicą Biskupa całe szlaskiej prowincyi, który ma tytuł xięcia. Sławnym jest universytet wrocławski. W 1811 połączono z nim uniwersytet przeniesiony z Frankfurtu nad Odrą; liczy z górą 600 uczniow. Oprócz universytetu, znajduje się w Wrocławiu 84 za-

kładów naukowych, z tych 13 szkół katolickich, 2 luterskie i 2 kalwińskie gimnazya, instytut głuchoniemych, szkoła chirurgiczna, szkoła sztuk, szkoła budownictwa, szkoła żydowska, towarzystwo szląskie dla krajowéj oświaty, 24 Bibliotek, 5 zbiorów sztuk i numizmatów, muzeum historyi naturalnéj i 19 szpitalów. To miasto jest siedliskiem regencyi i sądu najwyższego krajowego, posiada liczne fabryki wyrobów bawełnianych, sukiennych, jedwabnych, rafineryą cukru, fabrykę tabaki, kart, zwierciadeł, saletry i t. d. Prowadzi znaczny handel, ma dwa wielkie jarmarki i kantor Banku Berlińskiego. Wywóz i przywóz towarów dochodzi do 150 milionów Zł. W roku 1741 przeszło pod panowanie Pruss, a Fryderyk II. nie tylko potwierdził jego przywileje lecz je obdarzył różnemi korzyściami i uczynił trzeciém miastem królestwa. 22 List: 1756 zdobyli je Austryacy ale po bitwie pod Leuthen 20 Gru: musieli znowu je opuścić. W Sierpni 1760 oblegał je generał Laudon lecz bezskutecznie. W 1806 oblężone zostało przez wojska bawarskie i inne konfederacyi reńskiej i po walecznéj obronie poddało się przez kapitulacyą 7 Stycz. 1807. Pokoj Tylżyski znowu przywrócił je Prusom. Po bitwie pod Bautzen wkroczyli Francuzi do Szlązka, obsadzili Wrocław, lecz z niego przymuszeni byli ustąpić.

DZIEWCZYNA Z O-TAITY.

(*Wiersz Wiktora Hugo, przekładania Br. hr. Kicińskiego.*)

Gdzież jest? cóż robi przez nas wyglądany?
Pewnie nie kocha choć tak jest kochany!

Przyznaj się, chcesz uciekać, a żagle powiewne
Uniosą cię daleko na morza niepewne!
Słyszałam ja téj nocy, śród gorzkiéj tęschnoty,
Jak śpiewali majtkowie zwijając namioty,
Do ich wesołych śpiewów łzy mięszałam rzewne.

Czego kraj nasz porzucasz? W twojéj obcéj ziemi
Milszeż niebo? a smutki czyliż są lżejszemi?
Gdy umrzesz, czyliż szczerszą łzę poświęcą bratu?
Czy osłonią grobowiec krzewami świętemi,
Z których zbierać nikomu nie godzi się kwiatu?

Wszakże ten dzień w pamiętnej myśli ci zostaje,
Gdy cię zbawienne wiatry do nas przypędziły,
Wabiłeś mnie z daleka w nasze ciche gaje.
Pierwszy raz cię widziałam, lecz na głos twój miły,
Oprzeć się, nie przychodzić, nie miałam dość siły.

Byłam nawówczas piękną, byłam ci wzajemną.
Zostań biały wędrowcze! nie żegnaj się zemną

Wspomnisz mi o twéj matce, wiesz jak mi jest droga.
„Wiesz jak mi piosnek twoich słuchać jest przyjemno.
„I modlów do twego Boga.

Zajmiesz wszystkie dni moje, oddaję się tobie,
Com winna że uciekasz? Osiądź w naszéj ziemi.
Dobrą i słodką będę, leczyć cię w chorobie,
Cieszyć cię będę w każdéj trosce i żałobie,
Dając ci imie jakiém zwą cię między twemi.

Wierną we mnie gdy zechesz znajdziesz niewolnicę,
Dość mi, że się twym lubym widokiem zachwycę.
Zostań, a piękną będę!... Cudzoziemcze biały,
Teraz zgaduję twoich uczuć tajemnicę;
Ty z jaskółką przelotną, ja kocham wiek cały.

Ach! może z gór ojczystych tkliwe przywiązanie
Wygląda cię, Ach! weź mię, weź mię z sobą Panie,
Jak sługa twojéj lubéj przy tobie osiędę,
Ulegać jéj, a może i kochać ją będę,
Jeśli rozkoszą twoją będzie jéj kochanie.

Zdala Ojca któregom ja była ozdobą,
Zdala gaju gdzie wszystkiém bywaliśmy sobie,
Żyć nie mogę i wkrótce ty złożysz mnie w grobie....
Ale tu sama umrę. Ach! zabierz mnie z sobą,
Umrę przynajmniej przy tobie.

Jeśliś używał szczęścia w cichéj palmy mroku,
Jeśliś mnie kiedy kochał, nie odtrąć od siebie,
Nie płyń sam, nie zostawiaj, ażeby w obłoku,
Gdy skonam, dusza moja błądząca po niebie,
Nie ścigała twego kroku."

Ledwie pozłocił żagle świetny blask poranku,
Ojciec córki do nocy szukał bez ustanku,
I nie znalazł jéj w boru, nie znalazł przy skale,
Choć dziewczyna tak tęskne wywodząca żale,
Nie była przy swym kochanku.

DWIE KARYKATURY ANGIELSKIE.

Było to w r. 1815, wkrótce po drugim powrocie Ludwika XVIII. do Paryża.

Pewnego dnia, między innemi, wysoki Anglik, z postacią drżącą i niezgrabną, przechadzał się w ogrodzie Tulieries i nie postrzegał wcale, iż wszystkich oczy zwróciły się na niego, że był przedmiotem powszechnéj rozmowy. I ja także nie mogłam wytrzymać i musiałam śmiać się razem z drugiemi, na widok téj miny pogardliwéj, tego kołyszącego się chodu, człowieka, którego ubiór dziwne przedstawiał połączenie wojskowego uniformu i cywilnych sukien. Na domiar, jego mały przeciągły kapelusik, podobny do przewróconéj łódki, ustrojony był pięcią lub sześcią zmokłemi piórami, zgadzającemi się z roztargnioną miną i zaniedbaném ubraniem tego człowieka.



DWIE KARYKATURY ANGIELSKIE.

Każdy przeto nim się zajmował, każdy szedł ślad w ślad za jego powolnym krokiem, a tłum rozstąpił się na dwie strony i utworzył żyjący szpaler w koło nieznajomego.

W tém, wyobraźcie sobie radość powszechną, nadszedł z przeciwnego końca alei, drugi Anglik, jeszcze dziwniejszy, jeszcze śmieszniejszy od pierwszego. Nowo przybyły, był tak gruby i pękaty, jak tamten był cienki i długi. Zbliżyli się do siebie i z wielkiem zadowoleniem wszystkich, poznali się i silnie wstrząsnęli się za ręce: co teraz już przeszło w zwyczaj, lecz wówczas mocno zadziwiało i śmieszyło. Potém wzięli się pod ręce i szli razem, rozmawiając z zapałem i nie postrzegając że młody człowiek otoczony kilkoma przyjaciołmi, zrobił z nich karykaturę, która z ręki do ręki przechodziła: ten człowiek, mówiąc nawiasem, nazywał się Horacyusz Wernet.

Orszak wyższych oficerów angielskich wyszedł z pałacu i zszedł do ogrodu. Był to, pośród świetnego sztabu, lord Wellington, lord Fitz Clarence naturalny syn Xięcia rejenta, lord Hill namiestnik wojsk angielskich i znamienity uczony, i inni oficerowie, świetni z bogactw waleczności i rodu.

Wszyscy zwrócili się ku dwom Anglikom któremi bawiliśmy się od godziny i powitali ich z pośpiechem i uszanowaniem, które mocno zadziwiło paryzkich próżniaków. Potém, lord Wellington po kilku chwilach przechadzki nalegał, ażeby z nim razem wsiedli do powozu. Skłonili się do jego życzenia, jako ludzie przyjmujący zaszczyt do którego mają prawo.

Lord Hill pożegnawszy się z Wellingtonem, postrzegł mię i podał mi rękę.

—,, Co to są te dwa oryginały z których takeśmy się naśmieli?

— ,,Pani odpowiedział mi tonem nieco surowym, jeden z nich nazywa się Humfrey Davy, a drugi James Watt.

— ,,I cóż? rzekłam na to.

— ,,Co! pani? powtórzył zdziwiony, nie znacie we Francyi kto jest Humphrej Davy i James Watt? — James Watt zago

wszystkie klęski które wojna zadała Francyi, on wam stworzy nowy przemysł i dobry byt upowszechni między ubogiemi klassami. James Watt jest wynalazcą machin parowych, a przynajmniéj on pierwszy wynalazł łatwy i użyteczny sposób ich zastosowania. Wiecie przynajmniéj, przydał z szyderstwem, co to jest machina parowa?

— „Słyszałam o tem cokolwiek. A Davy?

— „Davy jest uczonym któremu winna jest chemia niezmierne postępy; jest to wynalazca *lamp bezpieczeństwa*, które ocaliły życie tylu robotnikom w kopalniach.

Tak więc, oto są dwaj dobroczyńcy ludzkości, których nawet z imienia nie znacie we Francyi.

„Tak więc, oto są dwaj wielcy ludzie którym ubliżacie waszém szyderstwem, ponieważ noszą mundur cudzoziemski, w który dla tego tylko się ubrali ażeby zwiedzieć wasze kuźnice i kopalnie i wprowadzić tam niejakie ulepszenia! Ale wy francuzi, tacy jesteście, śmiejecie się ze wszystkiego, a nic nie umiecie.“

Za kilka lat poznałam jak była wstydna i niewdzięczna niewiadomość moja; lecz w owéj epoce, w 1815, mało bardzo osób we Francyi wiedziało, kto jest Watt i Davy, i nawet, pewna jestem, nie wiedział o tém Horacy Wernet, który z nich karykaturę wyrysował.

Jedna z dam współczesnych.

EDUKACYA

(*O stósunkach dzieci ze służącemi*).

Chodź do mnie, moje dziecię, mówiła dozorczyni(*bona)* do swego malenkiego ucznia, dawszy mu wprzód chleba z masłem i z cukrem: chodź, obetrzyj usta i daj mi pocałowanie. Pojdziesz potém do sali, i powiesz twojéj mamie dobra noc; a jeżeli cię zapyta, coś jadło na wieczerzą, odpowiesz, iż chleb z masłem. — »I z cukrem, dodało dziecię; trzeba więc mówić, żem jadło chleb, masło i cukier.

Mało jest dzieci, któreby się odważyły dadź podobną odpowiedź. Taka próba jest w samej rzeczy delikatna. Mały chłopczyna zrozumiał subtelność dozorczyni; poznał, iż się obawia, ażeby ją nie połajano za dodanie cukru; gdyby nie to, na cóżby opuściła cukier, ucząc dziecię, co miało powiedzieć? Dozorczyni psuje dziecię chcąc mu się przypodobać; wzbudza jego dla siebie wdzięczność, a oziębia w niém przywiązanie do matki, która zdaje mu się zbyt nieużytą; gdyż dziecię nie wie, dla czego pozbawia go cukru. Powiedziała mu bowiem, iż choroba pochodzi z cukru, on zaś jadł go dopiero, a przecież nic go nie boli. Zakaz więc matki dziwactwem bydź sądzi. Otóż wdzięczność i przywiązanie ku dozorczyni, w przeciwieństwie z powinną miłością dla matki. Jakie pasmo niebezpiecznych skutków, to jedno słowo za sobą pociągnąć może!

Im starsze są dzieci, tém bardziéj przejmują złe skłonności służących. Garderobiana wpaja w małą dziewczynkę gust do wytwornych strojów; lokaj młodego człopczynę do gry, a stangret do konnéj jazdy zapala. Piwniczy zaostrza w niém chęć do wina. Jedno dziecko rozprawiało ustawicznie o psach, koniach, kabryoletach. Pałało niecierpliwością doczekania się tych lat w w którychby mu wolno było kierować czterema końmi w powozie. Oczywistą jest rzeczą, iż przejęło od służących te wszystkie szaleństwa.

Wystawmy sobie, że służący będą uczciwi. Przesądy ich edukacyi i to wszystko co widzą obcując ze swemi panami, nadaje w ich mniemaniu szacunek bogactwom i wysokim stopniom. Ten tylko jest u nich szczęśliwym, kto żyje z przepychem. Szanują osoby w miarę dostatków; przywiązanie nawet ku swoim panom stosują do pomyślnej na pozor ich doli. Lubią, żeby panowie czynili wielkie wydatki, jest to niejakim dla służących tryumfem. Najwięcéj o tém między sobą rozmawiać zwykli. Te mowy często dochodzą uszu dzieci, i rodzą w nich pragnienie, ażeby kiedyś i o nich podobnie mówiono. Lecz to nie dosyć. Gdy służący chce pozyskać przychylność swojego młodego pana, okazuje swoje przywiązanie dla domu, wynosząc wielkość jego familii i czyniąc krzywdzące dla przeciwnych mu familii porównania. Jeżeli się znajdują jakie nasiona zazdrości lub nieprzyjaźni pomiędzy jego i sąsiedzkiemi domami, nie zaniedbuje pomnażać nienawiści i zawziętości. Często nawet, przez złość lub nieostróżność, zaszczepia w samém rodzeństwie niechęć i poróżnienie.

Miny i tony od służących przejęte rażą delikatność rodziców, są jednak łatwiéjsze do naprawienia; lecz ukryte serca skłonności i nałogi psujące charakter duszy, mogą bydź przez długi czas nieznajome rodzicom i sprawić złe nieuleczone.

Każdy przyznaje, iż te nieprzyzwoitości są prawie powszechne; że nie masz nic gorszego, jak powierzać dzieci służalcom: nikt jednak nie odstępuje od zwyczajnego trybu, i mniema, że jego służący są wcale różni od innych. Każdy dom pochlebia sobie, iż posiada bonę, która jest Fenixem swego rodzaju, zupełnie polega na jéj doskonałych sposobach dozierania małych dzieci. Trzeba nadto

ważnych pobudek, ażeby takie zaufanie usprawiedliwić. Trzeba mieć wiele doświadczenia i wielką znajomość serca ludzkiego, ażeby umieć przystósować do okoliczności prawidła edukacyi. Day zaufaney kobiecie ten powszechny przepis, iż należy przywiązywać jakowąś przykrość do rzeczy którejby się dzieci wystrzegać powinny, a roskosz do tego co chcemy ażeby kochały; doświadczysz, iż dla przystósowania tego prawidła, gorliwa lecz nierostropna kobieta użycie rózgi na dziecię, które nie uczyni tego, co mu zaleciła, a da mu cukierkóm, gdyjéj posłuszném się stanie.

W pierwszych latach zdaje się rzeczą niepodobną zapobieżeć, ażeby dzieci nie zabawiały się na chwilę ze swoją służącą, choćby tylko przez ten czas, gdy je ubiera. Ale baczna i troskliwa matka, obecnością swoją ochroniłaby dzieci od nieprzyzwoitéj ze służącemi rozmowy. Jest na to sposób wskazany od Jana Jakóba *Rousseau*, ażeby służąca wynajdowała zatrudnienia w ten czas, gdy dzieci chcą się ubierać, a tak przez niecierpliwość nabiorą zwyczaju ubierania się bez cudzéj pomocy.

Dobrzeby także było, ażeby dzieci jak najwcześniéj jadały u jednego stołu ze swojemi rodzicami. Staranna matka skróci im naukę przyzwoitego w takim razie zachowania się, usposobi do obyczajności, któréj brak, lub spóźnienie, zostawia dzieci pod dłuższym dozorem służących. Nie należy w niczém zaniedbywać dobrego porządku i miary. Dzieci zazwyczaj są chciwemi na łakocie. Trzeba, ażeby nauczyciel rozporządzał równie ciasteczkami, jak pochwałami.

Są jeszcze inne roskosze, które dzieci mają sobie pozwolone w obcowaniu ze służącemi. Gdy się znajdują w pokoju gościnnym, wymagamy od nich największéj spokojności, powróciwszy zaś do swojéj izby, rozpoczynają hałasy i wrzawę. Możnaby temu zapobiedz, dając im w jednem miéjscu więcéj swobody, w drugiém przyzwyczajając do większéj skromności.

Nie należy wysyłać dzieci na przechadzkę z samemi służącemi. Łatwiéj tego uniknąć na wsi, niżeli w mieście. Wiejskie zabawy nie podlegają tylu przypadkom. W mieście zaś potrzeba więcéj ostrożności. Ojciec lub matka, powinni zatrudnić się pilnowaniem dzieci na przechadzce.

Urządzenie pokojów jest rzeczą ważną. Nigdy do izby dziecinnéj służących przypuszczać nie należy, lub znajdować się tam nie powinni, tylko w nieprzytomności dzieci. A zatém dzieci niech same poprzątają swoje bawidełka. Tym sposobem przywykną do porządku, nie troszczą się o popsucie narzędzi swoich zabaw, nie mają okazyi wchodzenia w rozmowę ze służącemi.

O znajomościach domowych.

Ach! co za piękne dziecię! woła dama odwiedzająca rodziców: chodź tu mój aniołku, chodź niech cię ucałuję. — Aniołek odwraca się do swojéj ochmistrzyni, lecz ta go odpycha, a dziecię chce czy nie chce, musi usiąśdź na kolanach pochlebnéj damy, która stara się podobać głaskaniem jego próżnosci. Któż cię tak pięknie uczesał? kto ci dał to czerwone obuwie? Co się płaci za pocałowanie tych rumianych policzków? — Muszę poszukać w kieszeni, może co znajdę.

Dama dobywa pugilaresu, dziecię chce otworzyć, nie może. Matka rozkazuje oddać; dama chce ażeby się nim bawiło, otwiera go: dziecię postrzega zwierciadełko, przegląda się. Patrz jak jesteś piękne, mówi dama. Nie kochamy dzieci z piękności, ale z dobroci, przerywa matka.

Ażeby wstrzymać te nierostropne pochwały, matka napróżno przekłada, iż dziewczynka zbytecznie się naprzykrza. — Komu to rozkoszne dziecię mogłoby się naprzykrzyć? odpowiada dama. — Biada dziecięciu, które się da o tém przekonać! Ileż późniéj upokorzenia od rodziców wytrzymywać musi, a te upokorzenia nie powiększają zapewne przychylności dzieci ku rodzicom.

Poczytujemy za rzecz małą tę przyjaźń dziecinną, przenoszącą się co moment od jednéj osoby do drugiéj. Przywiązanie dziecięcia powzięte pod czas jednych odwiedzin, odmienia się przy drugich; lecz w powszechności zawsze z tego niedobre wynikają skutki. Dzieci zbytecznie od gości pieszczone, mniéj dbają o podobanie się rodzicom, i więcéj idą za własną skłonnością. Przełożonym nad takiemi uczniami, nie staje sposobów zastanowienia ich uwagi. Jeżeli jednego dnia dziecię było celem pochwał powszechnych, nazajutrz wszystko mu nie do smaku, gdy się sam na sam ze swoim nauczycielem znajduje. Gdy zakosztowało słodyczy pochlebstwa, wszystko mu odtąd niemiłe. Poziewa przy zwyczajnych zabawach; staje się dziwaczném, niecierpliwém, krnąbrném, a za najmniejszym przymusem, ucieka się do krzyków i płaczu.

Na cóż się przydadzą te jałowe grzeczności, niemiłe nawet tym, którzy je czynią? Taki jest zwyczaj, i nikt do niego stósować się nie zaniedbuje.

Rodzice, mający wielomówne dzieci, są

tak nierozsądni, iż je wprowadzają dla zabawienia kompanii. Tym sposobem zastępują przerwy zachodzące w rozmowach. Chłopcy tym sposobem od szóstego lub siódmego roku przyzwyczajeni do wypowiadania tego wszystkiego, co im przyjdzie do myśli, nie będą nigdy rozsądnemi ludźmi. Często zdarza się, iż powiedzą, czyli też zdaje się, iż powiedzieli cós dowcipnego: lecz jest to gadanina przyjemnością wieku pokryta, a która w kilka lat póżniéj bywa natrętną i nieznośną: i często dziecię w siódmym roku zabawne, w piętnastym widzimy tępe i niepojętne. Zawcześnie sławne imie staje się ciężarem.

Prosty rozsądek i przyzwyczajenie do myślenia, nim się mówić zacznie, nie czyni dzieci miłemi w oczach ludzi obcych. Tém lepiéj; unikną przez to niebezpiecznego pochlebstwa. Mało jest ludzi, którzyby umieli z dziećmi rozmawiać. Mówią z niemi zazwyczaj o rzeczach wyższych lub niższych nad ich pojęcie. Nie poczynają z niemi szczerze, lub im z powagą nakazują milczenie, lub nakoniec doświadczają ich dowcipu zadając niezrozumiane zagadki. Łatwość rozwiązywania zagadek zasadzonych na słowach, jest zwodniczą miarą dowcipu dziecięcia; często najrozsądniejsi ludzie okazują w téj mierze zadziwiającą tępość.

Nie należy rozmawiać z dziećmi o rzeczach niestósownych i zawikłanych: również unikać potrzeba rozmów nieprzyzwoitych lub żadnego nie mających znaczenia. Dając im ciemne odpowiedzi, przyzwyczajamy je do fałszywego rozumowania, i oduczamy rozróżniać złe od dobrego. Może połowa rozmów toczących się w posiedzeniach, nie ma dokładnego znaczenia; lecz inne powinny być znamiona mowy ludzi rozsądnych; chcą oni, ażeby się dobrze tłómaczyć.

W rozmowach potocznych często wielkie zachodzą niedokładności. Nie postrzegamy tego tak, jak dziecię przyzwyczajone rozumieć to, co słyszy. Dziewięcioletni chłopiec znajdował się w domu, gdzie się ogień zajął w kominie, z czego nastąpiła wielka trwoga i zamięszanie. Gdy ugaszono ogień, chłopiec pytał się pani domu: Proszę mi powiedzieć, co się to pali, gdy się ogień zajmie w kominie? Dama odpowiedziała z uśmiechem: Mój przyjacielu, gdy się zajmie w kominie, to znaczy, iż komin się pali. Czyliż nigdy nie słyszałeś o ogniu w kominach? Jest on bardzo niebezpieczny, może spalić cały dom, a nawet część miasta. Wypadają na dach z komina iskry, a nawet płomień. Szczęśliwy jesteś, że się to nie zdarzyło u twoich rodziców.

Ta próżna gadanina nie zaspokoiła ciekawości dziecięcia. Musiał mu potém ojciec powiedzieć, iż komin się nie palił, lecz sadze przez długi czas z komina nie wymiatane.

DO CZYTELNIKOW MUZEUM DOMOWEGO.

Z następującym zeszytem, skończy się rok drugi tego pisma. Redaktor starając się o jak najregularniejsze wydawanie, doprowadził je z końcem roku aż do przedostatniego zeszytu i tylko słabość pracownika trudniącego się odbijaniem rycin, zrządziła, że ostatni zeszyt wyjdzie dopiero w dniu 8mym Stycznia. Małe to opoźnienie, wyrozumiali czytelnicy wybaczyć zechcą, zwłaszcza iż w ciągu Stycznia i Lutego r. b. wynagrodzoném zostanie.

Zamierzając nadal wydawać to pismo, redaktor ośmiela się powiedzieć kilka słów o planie którego trzymał się w upłynionym roku i o dalszém jego wychodzeniu.

Przy zamknięciu pierwszego roku Muzeum Domowego, wyraził się redaktor: że pismo to obejmować będzie w roku przyszłym, literaturę krajową i obcą, podróże, pamiętniki, opisy i pomniki historyczne, obyczaje i zwyczaje ludu, biografią, moralność, filozoficzne powieści, obrazy towarzystwa, poezyą i wiadomości z nauk przyrodzonych. Pochlebia sobie, że chociaż w części, przyrzeczeniu twemu, zadosyć uczynił. Szczegółowy spis wykaże, o ile usiłował urozmaicić to pismo, tu zaś wspomni się tylko o niektórych ważniejszych artykułach, jako to: Zarys życia i pism Szyllera, Goethego i Kalderona. — Puszcza Białowieska — Olkusz. Dom Piotra wielkiego w Sardam — Rej z Nagłowic — Jan Kochanowski — Kościół S. Dyonizyusza pod Paryżem — Kazimierz nad Wisłą. — Rubens — Kanowa — Czacki — J. S. Bandtkie — O kobietach i ich przeznaczeniu u ludów tegoczesnéj Europy — Bicetre — Urny słowiańskie wykopane w Lubaszu — Wrocław — Marcin Bielski — Chopen. i t. d. i t. d. Z literatury umieścił wydawca wiadomość o wszystkich prawie znaczniejszych dziełach i pismach czasowych naukowych, wydanych lub nadeszłych do Warszawy w ciągu roku 1836go. Dla tém większego urozmaicenia i zabawy czytelników, Muzeum z r. 1836go obejmuje kilka zajmujących powieści i dość liczne poezye.

W tych artykułach powyżéj przytoczonych, nie szukał wydawca i nie pragnął

wyłącznie chluby i zasługi z oryginalności, gdyż ta nie może bydź głównem znamieniem pisma, które za tak niską cenę (zł. 18 za 52 arkusze druku i 100 rycin) wydawane, ten ma cel, aby stało się zachętą i przewodnikiem do czytania obszerniejszych dzieł i pism naukowych. Z tego to powodu, wydawca Muzeum umieszczał i umieszczać będzie artykuły i wyciągi z nowych dzieł i pism czasowych, wydawanych w Krakowie, Lwowie, Poznaniu, Wilnie i t. d. a w Warszawie i obrębie kraju naszego zbyt mało znanych: i przekonanym jest, iż przez to przyjemność uczyni swoim czytelnikom, a przez upowszechnienie wiadomości literackich i zbieranie ich w jedno ognisko, samymże pisarzom i wydawcom wyświadczy przysługę.

Od początku wydawania, aż do Nr. 30go Muzeum, Redaktor sprowadzał z zagranicy odlewy do rycin ozdabiających to pismo. Z numerem 31 r. b. kazał je sztychować w Warszawie. Zmiana ta, pociągnęła za sobą powiększenie kosztów i zachodów, lecz stała się rzeczywistém ulepszeniem dzieła. Wydawca bowiem, nie jest zniewolonym stosować artykuły swoje do nadsyłanych z zagranicy rycin, częstokroć zupełnie dla nas obojętnych, jak się o tém z doświadczenia przekonał, lecz wybierać może ze wszystkich pism i zbiorów to, co najbardziéj zajmującego znajdzie, i dla tego, w roku przyszłym zamieszczone będą widoki Peterzburga, Moskwy, Rygi, Wilna, Królewca, Gdańska, Torunia, Lublina, Płocka, Lwowa, Tarnowa: co byłoby nie podobną rzeczą dla wydawcy, gdyby z zagranicy sprowadzał odlewy.

Zwrocono uwagę wydawcy, że obok rozmaitości, potrzebnej w piśmie takiém, jakiém jest Muzeum Domowe, pożytecznie byłoby chociaż jeden przedmiot systematycznie skreślić w ciągu roku. Uznając ważność téj rady, redakcya umyśliła dać w ciągu 1837 r. obraz literatury krajowéj, poczynając od najdawniejszych aż do teraźniejszych czasów. Będzie tam krótka wiadomość o życiu pisarzy, wskazanie ich zalet i błędów; obraz kształcenia się, upadadania i przemian smaku, nie które wyjątki ze znakomitszych autorów. Do skreślenia tego zarysu, znajdują się liczne materyały w dziełach bibliograficznych, w rozprawach, i w pismach czasowych. Wydawca Muzeum będzie usiłował tym sposobem uskutecznić ten zamiar, ażeby dla młodzieży był nauką a miłém przypomnieniem dla starszych.

Taki więc będzie układ i znaczniejsze przedmioty Muzeum Domowego w roku 1837. Czytelnicy nie odmówią zapewne zachęty usiłowaniom wydawcy, usiłowaniom które, niech mu wolno będzie powiedzieć, przy zupełnym braku obszernych pism naukowych w kraju, nie były bez użyteczne w dwóch upłynionych latach.

F: S: Dmochowski.

PROSPEKT.

na nowe dzieło: PODRÓŻ MALOWNICZA PO EUROPIE.

Wydawca Podróży Malowniczéj około świata, ukończywszy to dzieło i zachęcony pomyślném jego przyjęciem, wydawać będzie z początkiem roku bieżącego, PODRÓŻ MALOWNICZĄ PO EUROPIE.— Obyczaje, zwyczaje, stan oświaty, przemysłu i handlu, zabytki starożytności, pomniki, świątynie, piękne widoki natury, będą przedmiotém textu i rycin tego dzieła.— Rok 1837 Podróży Malowniczéj po Europie, obejmie w zupełności opisanie Włoch i Sycylii, tego kraju tak zajmującego pod wszystkiemi względami, a którego posiadamy dotąd nazbyt szczupłe opisy w języku naszym, i to bez żadnych rycin, wydane. Ryciny będą wyjęte i wiernie przekopiowane z pięknego zbioru wychodzącego w Paryżu p: t: *Univers Pittoresque*, (świat malowniczy). Jedna z nich, jako wzór załączona jest do prospektu osobno drukowanego.

Podróż Malownicza po Europie, wychodzić będzie w wielkim formacie in 8vo, na pięknym papierze, w miesięcznych zeszytach. Każden zeszyt obejmie 40 stronic druku i cztery tablice, nie już lekkich szkiców jak było w Podróży Malowniczéj około świata, lecz wykończonych rycin. Cena rocznéj prenumeraty wynosi zło: 15ście, w Warszawie, a zło; 18ście na prowincyi; że zaś Podróż Malownicza po Europie, wychodzi pod redakcyą i nakładem wydawcy Muzeum Domowego, kto zatém na obadwa te pisma prenumerować będzie, ten otrzyma je za cenę zniżoną: to jest w Warszawie zapłaci za Muzeum i za Podróż nie 33 złote lecz tylko 30. a na prowincyi nie zło: 42, lecz tylko 38.

Nareście namienia wydawca, że *Podróż Malownicza po Europie*, którą wydawać będzie redaktor textu i sztycharz Podróży Malowniczéj około świata, od 1834 do 1836, drukowanéj, nie ma żadnéj styczności z dziełem *Podróż obrazowa powszechna*, ogłoszoném przez wydawcę Magazynu Powszechnego, i jest dziełem zupełnie odrębném, ułożoném w ten sposób jak ukończona już Podróż Malownicza około świata.



KOŚCIÓŁ Ś. DYONIZYUSZA POD PARYŻEM.

GROBY KRÓLÓW FRANCYI.

Święty Dyonizy, apostoł Francyi i pierwszy biskup Paryża, wysłany był z Rzymu do Gallii w połowie 3go wieku. W opisie życia tego świętego, wyczytujemy, iż nawrócił wielką liczbę bałwochwalców, i zakończył męczeństwem swój zawód apostolski, w r. 272 za prześladowania pod cesarzem Waleryanem. Miejsce gdzie jego ciało pochowano, uświęcone i wsławione było wielu cudami; z tej przyczyny zbudowano tam najprzód kaplicę a potém kościoł. W siódnym wieku, Dagobert wzniosł tam wspaniały kościół i klasztor, i aż do kresu życia nie przestawał go uposażać tak, iż stał się jednym z najbogatszych i najznaczniejszych w kraju. Król Dagobert pochowany został w tym kościele; przykład ten naśladowało wielu jego następców, i z czasem, świątynia ta, została z wyłączeniem innych, miejscem spoczynku dla zwłok śmiertelnych królów Francyi.

Pepin, z niemniejszą gorliwością pamiętał o zbogaceniu i ozdobie klasztoru i kościoła Ś. Dyonizego, kazał zrzucić gmach wystawiony przez Dagoberta, a na jego miejscu wzniosł obszerniejszy, któren dopiero za panowania Karola Wgo ukończony został. Poświęcono go w 775 w obecności tego monarchy, z nadzwyczajną uroczystością.

Kościoł zbudowany przez Pepina zrzucono także, a przynajmniej po większej części, za panowania Ludwika grubego, na rozkaz Sugiera najsławniejszego z pomiędzy opatów Ś. Dyonizyusza. Sciana frontowa i dwie wieże jeszcze zasięgają téj epoki. Sugier chciał, ażeby wnętrze kościoła odpowiadało wspaniałości zewnętrznéj i między innemi pomnikami postawił tam grobowiec na cześć świętego Dyonizyusza i jego towarzyszów męczeństwa. On także zrobić kazał sławne drzwi bronzowe, wyrabiane dłutem, na których wyobrażona była męka Jezusa Chrystusa; ozdobił kościół malowanemi szybami i mnóstwem naj bogatszych sprzętów kościelnych. Potęga i powaga opatów Ś. Dyonizyusza doszła do tego stopnia, iż brali pierwszeństwo nad biskupami i arcybiskupami Francyi. W owéj także epoce, chorągiew opatów zwana *oriflamma,* stała się sztandarem królów Francyi.

Kościół Ś. Dyonizyusza nie tylko był uprzywilowaném miejscem pogrzebu królów, lecz także podzielał z kościołem w Rejms, prawo ich namaszczania: w nim bowiem składano koronę, berło, krzyż, rękę sprawiedliwości, szaty i ozdoby służące do koronacyi. Opat i zakonnicy nieśli te przedmioty do Reims, a po koronacyi odnosili do swego kościoła. Pogrzeby monarchów, były dlań źrzódłem ciągłych uposażeń i upiększeń. Opiszemy w krótkości cały ten obrząd.

Szesnastu szambelanów niosło mary, na których leżała postać zmarłego króla, wyrobiona z wosku, mająca koronę na głowie, berło w prawéj ręce, rękę sprawiedliwości w lewéj, nogi obute w ciżmy srebrne, wyszywane złotem, z podeszwami z karmazynowego atłasu, a dwie poduszki ze złotogłowu, jedna pod głową, druga pod nogami. Ta postać miała koszulę z najcieńszego płótna, obszytą taśmą z czarnego jedwabiu a na koszuli kaftan z karmazynowego atłasu, którego rękawy widać było po łokieć, gdyż reszta ciała okryta była tuniką z błękitnego atłasu, obszytego złotem i srebrem i posianą liliami. Na wierzchu leżał płaszcz axamitny fioletowy, bez rękawów, wyszyty złotemi liliami.

Trumna w któréj leżały zwłoki zmarłego króla, za zwyczaj znajdowała się pod marami, a czasem w wozie zaprzężonym w sześć koni i poprzedzającym karawan.

Czterech prezydentów parlamentu, trzymało cztery rogi całunu, a w około karawanu szli członkowie parlamentu w szkarłatnych sukniach. Baldachim niosł starszy zgromadzenia kupców i radni miasta Paryża. Wielki koniuszy trzymając na ręku *szpadę królewską,* jechał przed karawanem, na koniu okrytym białym atłasem, a przed wielkim koniuszym, dwóch koniuszych prowadziło konia paradnego, z fioletowym czaprakiem i siodłem wyszytém liliami złotemi. Czterech służących czarno ubranych, z obnażoną głową, utrzymywało cztery rogi czapraka. Na pogrzebie Ludwika XIII. gdy już ciało złożono w grobie, najpierwszy z heroldów zbliżył się do otworu grobu, rzucił tam swój kapelusz i pancerz, rozkazał heroldowi mającemu tytuł orleańskiego znijść do grobu i uporządkować na trumnie wszystkie oznaki honorowe, jako to, chorągiew stu szwajcarów gwardyi królewskiéj, trzy chorągwie stu łuczników gwardyi szkockiéj, ostrogi, rękawice, tarczę królewską, pancerz, hełm, szpadę, chorągiew Francyi, rękę sprawiedliwości, berło i koronę królewską. Korona i chorągiew Francyi tylko na chwilę pochylone były ku grobowcowi lecz w nim nie zostały złożone. Szesnastu marszałków pałacowych, powołanych imiennie, złożyło w grobie swoje laski obwinięte krepą, a potém xiąże de la Tremouille pełniący obowiązki wielkiego mistrza obrzędów, pochylił swoją laskę i rzekł po cichu. »Król umarł.« Pierwszy z

heroldów obracając się ku zgromadzeniu, powtórzył głośno. »Król umarł! król umarł! król umarł! modlmy się za pokoj jego duszy.« Po kilku chwilach milczenia, xiąże de la Tremouille zawołał: „Niech żyje król! niech żyje król! niech żyje król Ludwik XIV król Francyi i Nawarry!“ Natychmiast wielki szambelan podniósł chorągiew Francyi a wielki mistrzo, brzędów swoją laskę, cały kościół zabrzmiał dzwiękiem trąb i dętej muzyki.

Takie same obrzędy odbyły się przy pogrzebie Ludwika XIV. Ludwika XV. i po większej części po zgonie Ludwika XVIII. w 1824.

Zazwyczaj chowano ciała królów Francyi dopiero w 40 dni po ich zgonie, a przez ten czas wystawiono ich postać z wosku, na wspaniałych marach i w całym blasku majestatu. Służono im tak jak gdyby zostawali przy życiu. Przynoszono obiad podług zwyczajnych formalności, a po obiedzie podawano wodę do umycia rąk i odmawiano modlitwę dziękczynną, z tą tylko różnicą, że do niéj przydawano *De profundis.*

Opactwo i kościół Ś Dyonizyusza w głębokim pokoju używały swoich bogactw i przywilejów, aż do roku 1792. Wówczas nastały dla nich dni żałoby i upadku. Opactwo zagarnięte było w powszechnem zniesieniu klasztorów. Szalony motłłoch zburzył groby królewskie i rozproszył popioły monarchów, chciano nawet w 1794 z gruntu rozrzucić kościół. Chociaż nie przyszedł do skutku ten zamiar, jednakże zdjęto piękny dach ołowiany i wytłuczono szyby kolorowe. Za Napoleona, kościół ten zaczął wracać po części do dawnéj świetności, gdyż postanowieniem 20 Lutego 1806, Napoleon wyrzekł iż będzie miejscem grobu dla cesarzów z jego dynastyi. Odtąd troskliwie zajmowano się naprawą kościoła Sgo Dyonizyusza, a za panowania Ludwika XVIII i Karola X nie ustawano w téj pracy. Król Ludwik Filip także się nią zajmuje. Już naprawiono kilka najpiękniejszych grobów, jakoto Dagoberta, królowéj Nawarry, Franciszka Igo. Ludwika XII. Henryka II. Architektura, rzeźba i malarstwo, od lat trzydziestu ozdabiają tę sławną świątynię która znowu jest miejscem grobów monarszych.

O LUBUSKIEM BISKUPSTWIE.

Lebus po polsku Lubusz miasto nad Odrą 1 o pół mili od Frankfurtu, teraz spustoszałe, gdzie z rozwalin tylko poznać można, że kiedyś było w ludzi i budynki obsiadłe. Tu Bolesław Chrobry król Polski fundował katedrę biskupią pod tytułem Sgo Jana i oddał pod zwierzchnictwo archi-katedrze Gnieźnieńskiéj. Trzeba jednak ostrzedz, że inny był Leubus Lubiąż w górnym Śląsku, teraz Müncheberg zwany; tam klasztorowi Cystersów Henryk Brodaty 400 włók jako i innemu w Trzebnicy PP. Cysterek nadał; pierwszy zdaje się był fundowany przez Kazimierza Igo. Wracając się do biskupstwa Lubuskiego nad niższą Odrą, miała ta dyecezya 116 parafii w 8 dziekaniach; między dyecezyami Pomorską czyli Kamińską, Poznańską, Brandeburską, Miźnieńską i Wrocławską. Posiadali tę ziemię XX. Wielkopolscy i Śląscy, potém dostała się Margrabiom Brandeburskim. Pierwszym Biskupem jak podaje Długosz: był Wawrzyniec. Henryk I. Brodaty Xże Śląski darował im miasteczko Borek (Grosburg) w Śląsku. Nadał Bolesław V. Wstydliwy miasteczko Opatów z 216 wsiami, odjęte Templaryuszom w Sandomierskiém i miasto Kazimierz w Wielkiéj Polszcze, rozciągnął oraz ich dyecezye na Ruś Czerwoną, gdzie posiadali Przeworsk i Krosno miasteczka. Doświadczała ziemia Lubuska różnych losów kolei w zaburzeniu podzielonych xiążąt Polskich, i kiedy Margrabiowie Brandeburgscy posuwając się za Odrę w Wielkiéj Polszcze, nową Marchią około r. 1283 uformowali, biskupi Lubuscy katedrę swą do Gorecza (Goretia) przenieśli. Eryk de Wulkau Starosta Lubuski, z rozkazu Ludwika I. margrabi kościół i katedrę w Goreczu spalił, i wygnał Biskupa z kapitułą z kraju 1324 r. Ten czyn przypisano miastu Frankfurtowi nad Odrą; obraz téj historyi oglądałem w Frankfurcie nad Odrą w starożytnem kościele farnym w 1816. roku. Przenieśli potém biskupi Lubuscy swą rezydencyą do Fürstenwalde, zkąd wyrugowani ci biskupi, do r. 1420 najwięcéj Ślązacy, przenieśli swe mieszkanie do Biskupic w Sandomierskiém, i tam jak dzieje nasze opisują, Jan biskup Lubuski przez rozbojników był pochwycony i w lasy uprowadzony. Po tém zdarzeniu bezpieczniéj w Opatowie przemieszkiwali, który z całą rozległością 1518 r. sprzedali Krzysztofowi Szydłowskiemu kasztelanowi krakowskiemu sławnemu z związku braterskiego z Albertem Xięciem Pruskim; Wielkiemu Kanclerzowi i doradzcy Zygmunta I. Króla, która to własność z córką Szydłowskiego przeszła w dom XX. Radziwiłłów. Majętności inne na Rusi i w Polszcze, Biskupi najwięcéj z XX. Brandeburgskich, przechodząc do innego wyznania, posprzedawali! Joachim II około r. 1555 był pierwszym już biskupem lubuskim protestanckim, około r. 1571. Skassowane

zostały w Brandeburgii biskupstwa, a przeto i lubuskie i dobra wcielone do rządu. Sześćset lat blisko przetrwała ta katedra.

EDUKACYA
(*Wyciąg drugi*)

Nierozmyślna odpowiedź często bywa ze szkodą dziecięcia; lecz ponieważ nie można się spodziewać, ażeby każda obojętna osoba ważyła słowa, jakich do dzieci ma użyć; potrzeba, ile możności, odwodzić je od rozmowy z ludźmi, których obcowanie szkodę zamiast pożytku przynosi. Powinniśmy mieć szczególniejszy wzgląd na trwałe dobro naszych uczniów, poświęcać mu próżną chlubę wystawiania ich na scenę dla zabawy towarzystwa, gdzie nic nie usłyszą coby się przyłożyć mogło do ukształcenia ich rozumu.

Mówiliśmy dotąd o odwiedzinach przypadkowych; lecz poufali przyjaciele domowi, szanowani dla swoich talentów lub dostojności, są często rodzicom niewygodni. Choć mają dosyć oświecenia i rozsądku, lecz może się nigdy nie zastanawiali nad edukacyą. Mówią o niéj jak o polityce, utrzymują swoje widzimi się. Niby dla interesu rodziców, chcą im dowodzić, że ich prawidła w téj okoliczności są błędne, tłumaczą się zbyt jasno przy uczniach, a ci z tego wszystkiego obierają to, co im się najbardziéj podoba.

W zapale sprzeczek zapominamy często, iż mówiemy w obecności dzieci. Poruszona ich ciekawość i miłość własna, czyni je bystremi. Zawsze jest niebezpieczno rozmawiać przy dzieciach o rzeczach tyczących się ich edukacyi. Niezdolne objąć całego ogółu, chwytają niektóre części, i wnoszą sobie, iż rodzice źle z niemi postępują. Z tych powodów, nigdy takich materyi przy dzieciach rozpoczynać nie należy.

Jeżeli dla pomyślnego skutku ważną jest rzeczą, ażeby przyjaciele domu nigdy się nie mieszali do wychowania dzieci, ważniejszą jest jeszcze, ażeby ci, pomiędzy któremi podzielona jest władza, w doskonałéj z sobą zostawali zgodzie. Dzieci bardzo prędko postrzegają najmniejszą różnicę w zdaniach tych, którzy niemi rządzą. Jch pojęcie jest nader delikatne w tém, co się do nich ściąga. Uważają i roztrząsają aż do najmniejszego spojrzenia. Gdy odbiorą karę, umieją poznawać politowanie, jakie im kto okazuje. Pożałowanie obojętnych osób, osłabia miłość dzieci ku tym, którzy je prawdziwie kochają.

Ludzie rozmaitego stanu i różniący się przez oświecenie, nie mogą mieć jednakowego zdania o edukacyi. Również i w pośród familii nie znajdziemy zupełnéj zgody na jedne prawidła: lecz trzeba koniecznie porozumiewać się w praktyce, chcąc trafić do zamierzonego celu. Mianowicie zaś przy uczniach, należy się strzedz najmniejszych sporów, a nawet znaku przeciwieństwa i niejedności w zdaniach.

Potrzeba, ażeby wolność mówienia i działania powiększała się przez nieznaczne stopnie: nagłe do tego dążenie mogłoby być szkodliwe. Często się jednak zdarza, widzieć postępowanie wcale przeciwne. Rodzice nadają dzieciom zbyteczną wolność, i chcą ją odejmować gdy się staje niebezpieczną przez namiętności. Matki pilnujące edukacyi swoich synów, zwykły w téj mierze grube popełniać błędy. Zaniedbują dozoru w latach gdy się rozsądek formuje, a bywają nadto surowe, gdy pobłażanie byłoby potrzebniejsze.

O skłonnościach i charakterze.

Mamka poznaje po głosie, czy dziecię płacze z bolu, czy też z dziwactwa. Powinna więc swoje pieszczoty zachować dla cierpiącego, jeżeli nie chce zachęcać do łez pochodzących z uporu i gniewu. Nie może zawsze zostawić rozkwilonego ze złości dziecięcia, nie starając się o jego uspokojenie, lecz powinna dać mu poznać iż gniew najmniéj pomoże do otrzymania czego żąda. Takie postępowanie wymaga niepospolitych przymiotów: lecz potrzeba przynajmniéj wystrzegać się wad, któreby wszystko popsuły. Niedbała lub gniewliwa mamka, nadaje dziecięciu humor niecierpliwy i uporczywy. Pilność, przezorność, wesołość i łagodność, wcale przeciwne skutki sprawują.

W pewnym domu, dziecię spuściwszy przypadkiem rękę na kota siedzącego przy mamce, tak się przestraszyło, iż mamka przez długi czas uspokoić jego krzyków nie mogła. W czwartym roku nie można go jeszcze było przyzwyczaić do widzenia kota. Dokazano tego nakoniec, oblokłszy w skórę drewnianego kota, którego zwolna ku dziecięciu zbliżano.

Małe dzieci uporczywie zatrzymują raz powzięte wyobrażenia, gdyż znajome im przedmioty są w małéj liczbie. Dzieci mają czasem w ciągu dnia swoje momenta oznaczone płaczem; trzeba wcześnie zapobiegać temu przyzwyczajeniu, odmienić izbę, wystawiać oczom dziecięcia inne przedmioty, ażeby przerwać ciąg jego myśli. Nakoniec, gdy dziecko przyzwyczai się płakać z dziwactwa, nie od rzeczy będzie zostawić je sobie samemu, dopóki się nie uspokoi. Bywa, iż dzieci płaczą po

kilka godzin dla tego tylko, iż zapłakały na chwilę, a tak zawczasu gniew staje się u nich nałogiem. Trzeba więc, jak najrychléj oddalać od niego przyczyny niesmaków. Mniejsza o to, że zapłacze, byle wkrótce płakać przestało; długich nadewszystko żalów i wyrzekania strzedz się należy, gdyż w takim razie dziecię zdaje się uskarżać, iż mu nie oddano sprawiedliwości.

Zepsute dziecię jest istotą nieszczęśliwą; gniewne, popędliwe, dla siebie samego i dla rodziców ciężarem. Jestto często los jedynaka; postrzega on wkrótce, że jest osobą wielkiego znaczenia. Gdy wchodzi do pokoju, wszystkich oczy są ku niemu zwrócone. Wszyscy dopytują się o jego zdrowie. Jego chęci są zgadywane, jego życzenia uprzedzane; każdy na wyścigi stara się mu przypodobać; dziwić się więc nie można, iż dziecię staje się wyniosłém i zuchwałém.

Próżnowanie, jest także źródłem wielu nieszczęść, z pomiędzy których najmniejszém jest dziwactwo. Widzimy dzieci nieznośne dla otaczających siebie, gdy im są odjęte zwyczajne zabawy; nie przeto ażeby te zabawy sprawiały im wielką rozkosz, lecz znieść nie mogą tęsknoty pochodzącéj z próżnowania. Ażeby ochronić dzieci od nudów, trzeba jak najbardziéj pomnażać ich zabawy i zatrudnienia. Dziecię zatrudnione jest szczęśliwe i nie potrzebuje cudzéj pomocy do zabawy. Prożnującemu dziecięciu zawsze cóś zostaje do żądania, i często doznaje przykrego sobie odmówienia.

To co użyczamy dzieciom, nigdy nie powinno być skutkiem ich natręctwa; potrzeba od razu zezwolić, lub w stateczném trwać odmówieniu. Nadewszystko, nie należy wystawiać dzieci na wkładanie się do dworszczyzny i na upatrywanie chwili pomyślnéj, ażeby otrzymały to czego żądają. Jeżeli dziecię dla małéj fraszki przerywa nasze zatrudnienia, powinniśmy je nauczyć lepszego obierania czasu, a wkrótce pozna, iż nasze odmówienie jest sprawiedliwe. Jednostajne postępowanie, łagodna stałość, bardziéj je przyzwyczai do cierpliwości, aniżeli fukliwe mowy i przykre łajania.

Nie można tego nadto powtarzać, iż lepiéj jest zapobiedz, niżeli ukarać. Przedłużone drażnienie morduje cierpliwość, pobudza do gniewu i więcéj szkodzi, niżeli gniew dotkliwy. Uważaliśmy często, iż pewne nieprzyzwoitości zdające się niczém, nadają dzieciom niespokojność wpływającą do ich humoru. Naprzykład, ciasne obuwie, niedogodne suknie i inne przykrości w ubiorze. Niektórzy ludzie mniemają, iż dobrze jest przyzwyczajać dzieci, ażeby znosiły cierpliwie przeciwieństwa w swoich żądaniach i zawód w swoich nadziejach. Zaiste przykrość, którą dzieci widzą być nieuchronną, mężnemi je czyni, znoszą spokojnie naturalne przeszkody, lecz trudności, które sami wymyślamy, mają skutek przeciwny. Dzieci z własnego interessu stawszy się przezornemi, wkrótce rozpoznawają dwa rodzaje nieszczęść; ulegają potrzebie, lecz oburzają się przeciw dziwactwu. Nie wynajdujmy dla naszych dzieci sposobów doświadczenia ich cierpliwości; przestańmy na tém, gdy wytrzymają te proby, które w zwyczajnym biegu życia ludzkiego wydarzać się zwykły.

UWIADOMIENIE.

W roku 1837. wychodzą nakładem i pod redakcyą F. S. Dmochowskiego następujące pisma.

a) *Muzeum Domowe*. 52 zeszytów in 4to z rycinami na miedzi, zł. 18 rocznie.

b) *Podróż Malownicza po Europie*; rok 1837 obejmie opisanie Włoch, Sycylii, Malty, Sardynii i Korsyki, arkuszy 30 in 8vo majori i 48 rycin na miedzi: zł. 15ście.

c) *Czytania przyjemne i pożyteczne*, czyli rodzicielski podarunek, dzieło dla dzieci, w trzech językach, francuzkim, niemieckim i polskim, 24 arkuszy in 8vo majori z 12stą rycinami na miedzi; zł. 12ście rocznie, z możnością opłacania zł. 3 z góry a następnie po złotemu przez 9 miesięcy. Muzeum Domowe i Podróż Malownicza po Europie, razem wzięte kosztują zamiast 33 zł. tylko zł. 30. Trzy zaś powyższe pisma razem zaprenumerowane, kosztują nie zł. 45 lecz tylko zł. 40.

Pierwszy zeszyt *Czytań pożytecznych* wychodzi dnia 15go Stycznia r. 1837

Pierwszy zeszyt *Podróży Malowniczéj po Europie*, wychodzi dnia 31 Stycznia r. b.

Muzeum Domowe wychodzi co tydzień w sobotę.

Wydawca Muzeum domowego, ułożył się był od połowy bieżącego roku z Biórem Informacyjném o roznoszenie tegoż pisma, prenumeratorom w Warszawie. Zawiadamia się że każden kto tym sposobem roznoszonych zeszytów Muzeum w zupełności nie odebrał, może się zgłosić po brakujące do xięgarni F. Dmochowskiego przy ulicy Miodowéj Nro 497. Na rok 1837 exemplarze rozsyłane będą prenumeratorom przez roznosiciela wprost od wydawcy zależącego, za którego regularność zaręcza.

SPIS PRZEDMIOTOW
ZAWARTYCH W MUZEUM DOMOWEM.

(Do wszystkich artykułów oznaczonych gwiazdką, należy jedna lub więcéj rycin).

Zeszyt—Str:

PODRÓŻE I POMNIKI HISTORYCZNE.

POEZYE.

Zeszyt—Str:

TOWARZYSKIE OBRAZY, POWIEŚCI FILOZOFICZNE, ZARYSY MORALNE I ROZMAITOŚCI.